

Janusz Pajewski

**PIERWSZA  
WOJNA ŚWIATOWA  
1914-1918**



WYDAWNICTWO NAUKOWE PWN

# Przedślowie

Historia pierwszej wojny światowej od dawna budziła moje najżywsze zainteresowanie. Pasjonowałem mnie ten moment przełomowy w dziejach Europy i świata całego, stanowiący przejście od jednej do drugiej epoki dziejowej. Wyobraźnię i uczucie pobudzały zmagania potęg w tej „wojnie powszechnej za wolność ludów”, o którą modlił się Adam Mickiewicz. Szczególne moje zainteresowanie budziły dwa łączące się ze sobą ściśle zagadnienia: cele wojenne, jakie sobie stawiały mocarstwa wszczynające wojnę, i osiągnięte wyniki.

Przystąpiłem do opracowania dziejów pierwszej wojny światowej z niezmierną radością, ale i z obawami niemałymi.

Radość dawała mi praca badawcza, dążenie do wykrywania prawdy o doniosłych wydarzeniach dziejowych, których byłem świadkiem dalekim, o ich wynikach, o ich następstwach.

Obawy budziła we mnie okoliczność, że wojna - która chronologicznie rzecz ujmując nie stanowi okresu długiego, trwała dokładnie 4 lata, 4 miesiące i 11 dni - niesie taką mnogość zagadnień, iż dla badacza nie będącego specjalistą w wielu dziedzinach syntetyczne jej opracowanie przedstawia trudności poważne.

Sprawę komplikuje również olbrzymia i ciągle rosnąca literatura przedmiotu w wielu językach; jej opanowanie przez jednego autora nie jest możliwe. Konieczne było przeprowadzenie selekcji.

Zdecydowałem się jednak pomimo wszystko podjąć próbę opracowania ogólnego obrazu dziejów pierwszej wojny światowej w przekonaniu, że synteza ważnego problemu dziejowego dokonana przez jednego autora ma, czy raczej powinna mieć, pewne walory, których brak opracowaniom wieloosobowym.

Czytelnika uderzą zapewne dysproporcje pomiędzy niektórymi częściami książki. Może się wydawać, że niektóre zagadnienia zostały opracowane zbyt obszernie, inne zbyt wąsko. Dwie są tego przyczyny: niektóre rozdziały rozbudowałem dlatego, że przywiązuję szczególną wagę do omawianych w nich problemów, np. sprawy niemieckie, inne dlatego, że dysponowałem nowym, nieznanym a interesującym materiałem.

*Feci quod potui* i oddaję książkę tę w ręce Czytelnika nie bez obaw, ale i nie bez nadziei, że wzbudzi ona być może bliższe zainteresowanie tym tak doniosłym, a tak mi bliskim okresem dziejowym.

Z maszynopisem zechcieli się zaznajomić prof. Antoni Czubiński i prof. Andrzej Garlicki. Miły to dla mnie obowiązek złożyć Im serdeczne podziękowanie za Ich trud i za cenne uwagi.

Niektóre części pracy czytali również moi Uczniowie. Za ich spostrzeżenia serdecznie Im dziękuję.

Głęboką wdzięczność winien jestem dr Aleksandrze Kosickiej, która wnikliwie przestudiowała cały maszynopis. Jej pracy, Jej uwagom zawdzięczam bardzo wiele, zwłaszcza gdy idzie o jasność i precyzję wielu sformułowań.

JANUSZ PAJEWSKI, Poznań w styczniu 1988 r.

# 1. Obraz przyszłej wojny

Rok 1914 pokazał, że władze zarówno cywilne, jak i wojskowe państw, które stanęły do walki, nie rozumiały, nie zdawały sobie sprawy z tego, czym jest, wojna nowoczesna, jakie siły wyzwolić musi, jak głębokie przemiany w życiu ludzkości przyniesie, ile ofiar pochłonie, jak długo trwać będzie.

Przyszłą wojnę widziano w konflikcie między koalicjami wrogich sobie państw, upatrywano w bojach armii zawodowych, ale opartych na powszechnym obowiązku służby wojskowej; w narodach państw walczących widziano tylko widzów, obserwatorów - nie czynnik działania.

Pierwsi Niemcy mieli wizję przyszłych wojen, gdy tworzyli jeszcze w XIX w. teorię „narodu pod bronią”. Nie była to jeszcze wizja „narodu w wojnie”, wizja całego narodu toczącego wojnę. W narodzie upatrywano jedynie rezerwuar niezbędnych sił, jedynie zbiornik zapasowy, skąd armia czerpać będzie potrzebne jej zasoby ludzkie i materiałowe. Nie dostrzegano jeszcze w narodzie niepożytej siły, której armia jest częścią jedynie.

Zwracano się do przeszłości, spoglądano na wojny toczone w XIX w. i wyciągano z nich naukę.

Gdy zakończyło się ćwierćwiecze wojen rewolucyjnych i napoleońskich, prowadzono w Europie wojny, ale obejmowały one jedynie część kontynentu i nie trwały długo. Tak więc walki w ciągu jednego tylko

miesiąca lipca 1866 r. rozstrzygnęły wojnę Prus przeciwko Austrii i mniejszym państwom niemieckim, a wojna ta miała przecież doniosłe znaczenie dla całej Europy. Siedem miesięcy trwała wojna francusko-niemiecka 1870/71 r., a w jej wyniku Francja utraciła stanowisko pierwszego mocarstwa w Europie. Stanowisko to zajęły Niemcy.

Czy fakty te nie musiały wpłynąć na tok rozumowania polityków, wojskowych, ekonomistów, publicystów, którzy w ostatnich latach XIX w. głosili pogląd, że wojna w ówczesnych, nowych warunkach może być wojną tylko krótkotrwałą?

I czy mogło być inaczej? Rozważania sztabowców zwracały się ku wielkim bitwom, które rozstrzygały o losach całej kampanii, ku wielkim bitwom, które wygrywał Napoleon, które wygrywał Moltke. Strategia zniszczenia wzięła górę nad strategią wyczerpania.

Takie poglądy dyktowały w Niemczech plany Helmuthowi Moltkemu starszemu, Alfredowi Schlieffenowi, Helmuthowi Moltkemu młodszemu. Takie poglądy od końca XIX w. dominowały w myśli strategicznej francuskiej. Ich wynikiem były francuskie plany wojenne XIV, XV, XVI, XVII, zapowiadające szybkie działania zaczepne.

Wojna zaczepna, szybkie, błyskawiczne, druzgocące zwycięstwo, szybki koniec wojny.

Odosobniony był głos francuskiego pisarza wojskowego Emila Mayera, który w 1889 r. pisał, że wprowadzenie w życie „nowego prochu sprawiło, iż ruch stał się niebezpieczeństwem. Siłą jest nierucho-

mość (*immobilite*). To znaczy, że odtąd przewagę daje defensywa”. Defensywa to wojna długo trwała. Spostrzeżenie Mayera było dość zaskakujące, nie znalazło też szerszego oddźwięku.

Oddźwięku nie wywołały, co już musi zdumiewać, głosy dwóch poważnych znawców zagadnień wojny, głosy dwóch mężów, których różniło stanowisko, jakie zajmowali w społeczeństwie, których różniły poglądy polityczne i społeczne; zgadzali się natomiast z sobą w jednej tylko, ale ważnej sprawie - jaka będzie przyszła wojna? Ci dwaj mężowie to Fryderyk Engels i Helmuth von Moltke starszy.

Engels pisał w 1887 r. „... Dla Prus–Niemiec niemożliwa już teraz żadna inna wojna prócz światowej. A byłaby to wojna światowa niebywałych dotąd rozmiarów, niebywałej siły. 8 do 10 milionów żołnierzy będzie się wzajemnie mordowało objadając przy tym do cna całą Europę tak gruntownie, jak nigdy jeszcze nie objadła jej szarańcza. Spustoszenie, spowodowane wojną trzydziestoletnią, zgęszczone w krótkim okresie trzech czy czterech lat i rozszerzone na cały kontynent, głód, epidemie, powszechne zdziczenie zarówno wojska, jak i mas ludowych, zdziczenie wywołane skrajną nędzą, beznadziejny chaos w naszym sztucznym mechanizmie handlowym, przemysłowym i kredytowym - wszystko to skończy się powszechnym bankructwem. Załamanie się dawnych państw i ich tradycyjnej mądrości państwowej w takich rozmiarach, że korony tuzinami toczyć się będą po ulicach i nie znajdzie się nikt, kto by je podniósł. Będzie sprawą absolutnie nie-

możliwą przewidzieć, jak się to wszystko skończy i kto z walki wyjdzie zwycięzcą. Jedno jest wszakże zupełnie pewne: ogólne wyczerpanie i ustalenie warunków ostatecznego zwycięstwa klasy robotniczej”.

Okoliczność, że Engels pogląd ten wypowiedział we wstępie do nie nazbyt szeroko rozpowszechnionej broszury, w części tylko może wytłumaczyć, iż głos jego przeszedł niemal bez echa.

Bez echa przeszedł również i głos Moltkego. 14 maja 1890 r. na trybunie parlamentu Rzeszy stanął dziewięćdziesięcioletni wówczas zwycięzca spod Sadowy i spod Sedanu, starzec nad grobem stojący, i rzucił światu groźne ostrzeżenie: „Gdy wybuchnie wojna, nie da się przewidzieć ani czasu jej trwania, ani jej końca. Walkę podejmą największe mocarstwa Europy uzbrojone jak nigdy dawniej. Żadne z nich nie może być w jednej czy w dwóch kampaniach tak osłabione, aby się uznało za pokonane, aby musiało zawrzeć pokój na twardych warunkach, aby się nie mogło podźwignąć, choćby po dłuższej przerwie do nowej walki. Moi Panowie, może to być wojna siedmioletnia, może to być wojna trzydziestoletnia - i biada temu, kto w Europie wzniesie pożar, kto pierwszy przytknie lont do puszeki z prochem”.

*Nemo est propheta in patria sua.* Głos Moltkego nie wywarł chyba wpływu. W każdym razie wpływu tego nie widać w ustalanych później planach wojennych ani Schlieffena, ani Moltkego młodszego. Schlieffen uważał, że strategii wyczerpania nie da się zastosować w czasach, gdy „utrzymanie milionów (żołnie-

rzy) wymaga miliardowych wydatków”. Wychodząc z takiego założenia doszedł do wniosku, że bitwa, która w początku wojny zniszczy armię jednego z przeciwników, złamie również jego wolę oporu i sparaliżuje zarazem wolę oporu jego sprzymierzeńca. Krótką wojnę przewidywał również plan jego następcy Moltkego młodszego. Gdy w 1914 r. wybuchła wojna, zarówno wojskowe, jak i cywilne władze niemieckie brały pod uwagę jedynie możliwość wojny krótkotrwałej.

Z takim samym nastawieniem spotykamy się również i po drugiej stronie Renu, we Francji. I tam ofensywne plany wojenne przewidywały wojnę krótkotrwałą. I tam w opinii władz i cywilnych, i wojskowych wojna, której się spodziewano, miała być wojną krótkotrwałą. Major Ferdinand Foch, późniejszy wódz naczelny i marszałek Francji, wykładowca historii wojskowej i taktyki ogólnej w Szkole Wojennej, ogłosił książkę o zasadach wojny; znajdujemy tam wiele interesujących myśli i wiele interesujących spostrzeżeń o wojnie i jej prowadzeniu. Znamienny jest pogląd autora, że armia, która w zbliżającym się konflikcie zbrojnym ruszy do boju, nie będzie armią zawodową, tworzyć ją bowiem będą ludzie wyrwani ze swych środowisk, ze wszystkich szczebli drabiny społecznej. Będą to ludzie oderwani całkowicie od swych rodzin, od pracy zawodowej, od środowiska społecznego, a bez tego nie mogą oni przecież żyć. „Wojna - pisał Foch - przynosi ciężkie przejścia i cierpienia, wraz z nią wszędzie się kończy życie. Stąd wniosek, że wojna nie może trwać długo, a więc trzeba ją toczyć z energią, aby



szybko osiągnąć cel; w przeciwnym razie nie daje rezultatu”.

Inaczej niż narody kontynentu Europy patrzyli na zagadnienia wojny wyspiarze brytyjscy. Od roku 1066, od czasu najazdu Normanów i zwycięstwa Wilhelma Zdobywcy pod Hastings, stopa najeźdźcy nie dotknęła ziemi angielskiej. W przeciwieństwie do krajów stałego kontynentu Europy, często wstrząsanych i niszczonech pożogą wojenną, Anglicy nie zaznali jeszcze wówczas grozy wojny. Wojnę toczyli zawsze poza granicami kraju, często od granic kraju daleko, i zwykle były to wojny długotrwałe. Dlatego może w Wielkiej Brytanii brano pod uwagę możliwość dłuższej wojny, ale i Anglicy nie przewidywali, że wielki konflikt zbrojny, który wybuchnie latem 1914 r., trwać będzie ponad cztery lata. Na początku wojny Lord Kitchener oceniał jej trwanie na nieco ponad dwa lata.

Na tym tle wyróżniają się poglądy formułowane w sześciotomowym dziele o „przyszłej wojnie”. Dzieło to ukazało się najpierw w języku rosyjskim w Petersburgu w 1898 r. Wkrótce pojawiły się tłumaczenia na język polski, francuski, niemiecki i częściowo (tom VI) angielski. Autorem, a właściwie redaktorem kierującym pracą zespołu specjalistów, był Jan Bloch, bankier warszawski i przedsiębiorca kolejowy.

Dzieło Blocha to prawdziwa encyklopedia problematyki wojny; pięć tomów to opis mechanizmu wojny i wszelkich związanych z nią zagadnień gospodarczych, społecznych i politycznych. Trudno iść tu za Blochem i referować jego rozważania, w wielu przy-

padkach dawno już nieaktualne. Zwróćmy więc uwagę na „wnioski ogólne” zawarte w tomie VI, ostatnim, uzupełnione znakomicie rozmową, którą bankier przeprowadził jesienią 1898 r. w Petersburgu z publicystą angielskim W. T. Steadem.

Bloch wystąpił z tezą, że w warunkach udoskonalonej, nowoczesnej broni i milionowych armii wojna między mocarstwami jest niemożliwa, a gdyby doszło do jej wybuchu, przyniesie zgubę wszystkim stronom walczącym. W przyszłej wojnie bowiem ujawnią się zasoby moralne i intelektualne wszystkich narodów, cała potęga cywilizacji współczesnej, udoskonalona technika, a obok tego zagrają uczucia, uzewnętrzną się charaktery, umysł i wola. W wyobraźni ogółu - dowodził Bloch - wciąż pokutują obrazy czasów już minionych, gdy męstwo brało górę nie tylko nad liczniejszym, lecz nawet i nad lepiej uzbrojonym przeciwnikiem i - co ważniejsze - gdy życie wewnętrzne społeczeństwa płynęło nieprzerwanym potokiem, choć na granicy toczyły się krwawe walki, a pożyczka pokrywała koszty prowadzenia wojny, koszty bez porównania niższe niż w naszych czasach.

Bloch sądził, że udoskonalona broń nowoczesna dokona takich rzezi pośród walczących, pozwoli na dokonanie takiej masakry, iż doprowadzenie walki do rozstrzygającego zakończenia stanie się niemożliwe. W takich warunkach nie będzie bitew o ostateczne zwycięstwo, nastąpi natomiast długi okres wysiłków zmierzających do opanowania zasobów przeciwnika. Armie będą stały naprzeciwko siebie, będą sobie zagra-

żały, ale nie będą zdolne do zadania rozstrzygającego ciosu. Będzie pokój zbrojny na niespotykaną dotąd skalę. Wojna pomiędzy mocarstwami będzie samobójstwem - powtarzał Bloch - ale nie wykluczał tej możliwości. Mniemał wszakże, iż będzie to ogólna, światowa katastrofa, która doprowadzi do upadku wszystkich cywilizowanych rządów.

Rozumowanie Blocha szło dalej w tym kierunku, że nie ma dziś państw samowystarczalnych, wszystkie bowiem państwa, nawet najpotężniejsze, najbogatsze i najrozleglejsze, skazane są na dowóz z innych krajów bądź środków żywności czy innych surowców, bądź artykułów przemysłowych. Wojna wywoła więc od razu olbrzymie niedobory, tym bardziej że zabraknie rąk do pracy, gdyż powszechna mobilizacja oderwie od niej miliony ludzi. A cóż to są wielkie zmobilizowane armie? Bloch rzucił tu pod adresem rządów groźne ostrzeżenie - armia może być nie tylko narzędziem podbojów, armia może nie tylko stać na straży porządku wewnętrznego, armia może również wywołać i szerzyć dążności wywrotowe, dążności rewolucyjne.

Za tym, że wojna będzie w przyszłości niemożliwa czy też nieprawdopodobna, przemawiały jeszcze - zdaniem Blocha - argumenty finansowe. Państwo współczesne opiera się na kredycie, a wojny nowożytnej nie sposób prowadzić bez „rujnujących wydatków”. Koszt utrzymania jednego żołnierza obliczał Bloch w ostatnim dziesięcioleciu XIX w. na 8 szylingów dziennie. Jeśli państwa Trójprzymierza i Dwuprzymierza postawią swe armie na stopie wojennej, około 10 mln ludzi

stanie pod bronią. A więc pięć mocarstw europejskich wydawałoby każdego dnia ponad 4 miliony funtów szterlingów wyłącznie na utrzymanie wojska. A gdzie inne wydatki związane z prowadzeniem wojny?

Dużo dają do myślenia wywody bankiera warszawskiego, iż udoskonalenie oręża, jego nieporównana skuteczność uniemożliwiają prowadzenie wojny. „Najpierw nastąpi coraz straszniejsza rzeź - tłumaczył Bloch Steadowi - rzeź w takich rozmiarach, że żadna armia nie będzie w stanie doprowadzić bitwy do zwycięskiego końca. (...) Nie będzie już wtedy wojny złożonej z poszczególnych bitew, toczonej do upadłego, nastąpi wtedy długi okres, gdy walczący podejmą systematyczne wysiłki dla gromadzenia zasobów. Nie będą to już bezpośrednie zapasy, gdzie walczący mierzą swe siły moralne i fizyczne; wojna przerodzi się w sytuację bez wyjścia, gdy żadna armia nie będzie mogła pokonać przeciwnika, gdy obie armie będą stały naprzeciwko siebie, gdy obie armie będą sobie zagrażały, ale nie będą zdolne do zadania przeciwnikowi ostatecznego i rozstrzygającego ciosu. Będzie to po prostu naturalna ewolucja zbrojnego pokoju w coraz groźniejszej mierze.

Charakterystyczny błąd w rozumowaniu bankiera warszawskiego, błąd łatwo wszakże zrozumiały u człowieka drugiej połowy XIX w. Oto Bloch był przeświadczony, że człowiek mu współczesny, człowiek końca wieku XIX, człowiek wieku XX nigdy nie będzie w stanie wytrzymać i wycierpieć tyle, ile zdolni byli wycierpieć jego przodkowie. Wiemy dziś, jak

gruntownie się mylił. Zapatrywania Blocha zaważyły w jakiejś mierze na poglądach, które w przededniu pierwszej wojny światowej dominowały pośród wojskowych, pośród polityków, pośród ekonomistów, że nadchodząca wojna będzie wojną krótkotrwałą. Brzmi to zapewne jak paradoks - Bloch postawił tezę, że wojna pomiędzy mocarstwami nie jest już możliwa, gdyż musiałaby trwać bardzo długo, a ludzkość nie podoła takiemu wysiłkowi; współcześni Blocha przyjęli wprawdzie pogląd o niemożliwości wojny długiej, wieloletniej, ale uznali za możliwą wojnę krótkotrwałą, kilkumiesięczną w przekonaniu, że oręż nowoczesny, znakomicie udoskonalony pozwoli na zadanie przeciwnikowi szybkich ciosów i w niedługim czasie doprowadzi do zakończenia działań wojennych. Zapewne wielu ekonomistów, polityków, wojskowych zgadzało się z twierdzeniem, że nie ma dziś mocarstwa, które zdołałoby znieść finansowe ciężary wojny nowoczesnej; lecz w takim razie rozstrzygnięcie musi nastąpić tak szybko, zanim wyczerpią się zasoby finansowe wielkiego mocarstwa.

## **2. U źródeł wojny**

Badania genezy pierwszej wojny światowej mają długą historię. Trwają niemal od chwili wybuchu, kiedy to w krajach walczących, przede wszystkim we Francji i w Niemczech, usiłowano wykazać szerokim kołom społeczeństwa, że odpowiedzialność spada całkowicie na przeciwnika, który dokonał aktu agresji. Łatwo było tak twierdzić Francuzom, znacznie trudniej Niemcom,

gdyż to Niemcy przecież wypowiedziały wojnę Rosji, a następnie Francji, gdyż to przecież wojska niemieckie wdarły się na ziemię francuską. Ale od czego propaganda? Ona to sprawiła, że każdy naród wierzył, iż stał się ofiarą napadu. Roznamiętnienie polityczne nie służy spokojnym badaniom naukowym, nic więc dziwnego, że w początkowym okresie powojennym szukano nie tyle wyjaśnienia procesu dziejowego i wykrycia licznych zjawisk dziejowych, które złożyły się na wielki zbrojny konflikt międzynarodowy, ile dążono do ustalenia odpowiedzialności - więcej: winy za rozpętanie burzy wojennej. W pewnej mierze przyczynił się do takiego stawiania kwestii traktat wersalski, który w artykule 231 stwierdzał, że Niemcy są winne wywołania wojny i dlatego muszą płacić odszkodowania wojenne. Tezę tę rozwijała w początkowym okresie międzywojnia publicystyka i historiografia francuska. Niemcy byli początkowo w defensywie; obrona niemiecka szła w tym kierunku, aby pokazać, że wina wywołania wojny obarczała nie naród niemiecki, lecz odsunięty już od władzy dawny rząd cesarski. Z biegiem czasu coraz śmielej wykazywano, że obok obalonego reżimu Wilhelma II byli i inni winowajcy: był rząd carski, była Wielka Brytania, była Francja. Wreszcie osławiony premier brytyjski David Lloyd George wystąpił z poglądem, że właściwą przyczyną wojny był zbieg nieszczęśliwych okoliczności.

W późniejszych latach międzywojnia i po zakończeniu drugiej wojny światowej podjęto już poważne badania naukowe; są one jeszcze dalekie od pełnego

wyjaśnienia wszystkich kwestii związanych z genezą wojny, ale wzbogaciły znacznie stan naszej wiedzy. Nauka nie szuka odpowiedzialności, a tym mniej winy, wypatruje natomiast przyczyn i tych bliskich bezpośrednich, które doprowadziły do konfliktu latem roku 1914, i tych głębszych i dalszych, często pośrednich, które sprawiły, że wojna w ogóle wybuchła.

Były to przeciwieństwa pomiędzy państwami imperialistycznymi. Wystąpiły najpierw - rzecz prosta - w Europie, później dały znać o sobie w całym świecie.

Zwycięstwo Prus i połączonych państw niemieckich nad Francją w wojnie 1870/71 r., a następnie zjednoczenie Niemiec wywołało zasadniczą zmianę sytuacji w Europie.

Już 9 września 1870 r., w tydzień po Sedanie, Karol Marks przewidywał, że jeśli Niemcy zagrabiają części terytorium francuskiego, będą się musiały zbroić do nowej wojny, tym razem wojny na dwa fronty, do wojny „ze sprzymierzonymi rasami słowiańską i romańską”.

Jak słuszny był ten sąd, okazać się miało 44 lata później, gdy Niemcy stanęły do walki przeciwko sprzymierzonym z sobą Francji i Rosji.

Ale od września 1870 r. cofnijmy się jeszcze cztery lata do lipca 1866 r. Bismarck ponoć spędził kiedyś noc bezsenną na rozmyślaniu, jak potoczyłyby się dzieje, gdyby to nie Prusy, lecz Austria wygrała bitwę pod Sadową. Nie możemy wiedzieć, jaki byłby wówczas rozwój wydarzeń dziejowych, ale z całą pewnością możemy stwierdzić, że koło historii Niemiec, koło historii

Europy potoczyłoby się inaczej. Nie Prusy dominowałyby nad Niemcami, przewodziłaby im Austria. I niewątpliwie Wiedeń powiódłby Niemcy inaczej i w innym kierunku niż Berlin.

U źródeł lipca roku 1914 leży Sedan, u źródeł Sedanu leży Sadowa.

W układzie sił po Sadowie i po Sedanie najpotężniejszym mocarstwem naszego kontynentu były Prusy rozszerzone w Niemcy. Były już największą potęgą polityczną i militarną, a zmierzały do zdobycia przewagi gospodarczej; od końca XIX w. zaczęły zagrażać największej w owym czasie potędze gospodarczej świata - Wielkiej Brytanii. Przed Niemcami stało zadanie utrzymania tej pozycji; czy sprostają temu zadaniu, czy nie, od tego zawisły losy i Niemiec, i całej Europy.

Kanclerz Bismarck upatrywał drogę do utrzymania przewagi Niemiec w politycznym izolowaniu Francji i w bliskich związkach z dwiema sąsiednimi potencjami cesarskimi - monarchią habsburską i Rosją. Gdy antagonizm austriacko-rosyjski uniemożliwił jednoczesne kultywowanie przyjaźni z Habsburgami i z carem, Bismarck dokonał - jak to wówczas określano - opcji na rzecz Wiednia. 7 października 1879 r. stanął traktat przymierza pomiędzy Niemcami i Austro-Węgrami; 20 maja 1882 r. przyłączyły się do niego Włochy, powstało Trójprzymierze.

Przewaga Niemiec zachwiała się pod koniec XIX w., gdy w latach 1891 - 1894 zostało zawiązane przymierze francusko-rosyjskie, Francja wyszła po 20 latach z izolacji politycznej. W Europie stanęły naprze-



ciwko siebie dwa bloki - Trójprzymierze i Dwuprzy-  
mierze.

Koniec wieku XIX przyniósł panowanie monopoli i kapitału finansowego, przyniósł wzmożony wywóz kapitału, przyniósł wreszcie podział całego terytorium kuli ziemskiej przez najsilniejsze państwa kapitalistyczne. Innymi słowy świat wszedł w erę imperializmu. Nie mówimy już o potęgach europejskich, mówimy o potęgach światowych. A potęgi światowe to Wielka Brytania, Francja, Rosja. Na przełomie wieków XIX i XX do stanowiska mocarstwa światowego wysuwały się najpierw Niemcy, dalej Stany Zjednoczone, wreszcie Japonia. W końcu wieku XIX największe znaczenie miało dążenie Niemiec do zdobycia pozycji mocarstwa już nie europejskiego tylko, lecz światowego. Wszczęły Niemcy bój o „miejsce pod słońcem”, wedle słynnego obrazowego wyrażenia kanclerza Bernharda Bülowa. Zewnętrznym wyrazem nowych dążeń niemieckich była dymisja Bismarcka w dniu 20 marca 1890 r. Żelazny kanclerz był całkowicie człowiekiem minionego okresu i nie mógł odpowiadać dążeniom i interesom burżuazji niemieckiej sterującej wyraźnie ku polityce światowej, ku „*Weltpolitik*”. Następcą Bismarcka został generał Leo von Caprivi de Caprara de Montecuculi. Drugi kanclerz Rzeszy wykazał od razu zrozumienie dla nowej polityki imperialistycznej. Jej wyrazem były traktaty handlowe zawarte z Austro-Węgrami, z Włochami i z Belgią 6 grudnia 1891 r., z Serbią 21 sierpnia i z Rumunią 21 października 1893 r., wreszcie z Rosją 10 lutego 1894 r. Traktaty te, zwa-

ne ogólnikowo i niedokładnie traktatami Capriviego, zapowiadały zbliżenie pomiędzy Niemcami, Austro-Węgrami, Rumunią i Serbią. Zbliżenie, które w sprzyjających okolicznościach mogło doprowadzić do utworzenia w takiej czy innej formie wielkiego związku środkowoeuropejskiego pod egidą Berlina. Związek taki byłby ogromnym wzmocnieniem politycznym i gospodarczym Niemiec. Byłaby to formacja na razie tylko europejska, ale szeroko otwierałaby się przed nią droga do ekspansji na Bliski Wschód.

10 grudnia 1891 r. na mównicy parlamentu Rzeszy stanął kanclerz Caprivi i wielką mową zainaugurował dyskusję nad zawartymi właśnie traktatami handlowymi. Część mowy poświęcona ogólnej sytuacji światowej wyjaśniała w sposób jasny, czym - według nowych pojęć - jest mocarstwo, czym jest mocarstwo światowe. „W ostatnich czasach - dowodził kanclerz Leo von Caprivi - narody zrozumiały światowe zjawisko dziejowe, którego znaczenie wysoko oceniam. Jest nim powstanie wielkich mocarstw, ich poczucie własnej siły, ich dążenie do odgrodzenia się od państw innych. Nasz wschodni sąsiad włada obszarem, ciągnącym się od północnych stoków Himalajów aż do Oceanu Lodowatego. Ma on możliwość wyprodukować we własnym zakresie prawie wszystko to, czego państwu potrzeba. (...) Po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego powiększa się nieustannie liczba ludności Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Wzmaga się poczucie siły republiki północnoamerykańskiej i energia, z jaką czuwa ona nad swymi interesami. (...) Jeśli znawcy spraw chiń-

skich mają słuszość, Chiny stoją u progu olbrzymiej przemiany, której nie sposób nie docenić; nie wiadomo, czy i Chiny nie zaczną się odgraniczać od innych państw, nie wiadomo również, w jakiej mierze będą one mogły wystąpić jako współzawodnik na rynkach świata. (...) Rozszerzyła się widownia historii świata, mamy wobec tego do czynienia z innymi stosunkami; państwo, które dotychczas grało w dziejach rolę mocarstwa europejskiego, może, jeśli chodzi o siły materialne, spaść w niedługim czasie do rzędu państw małych”.

Słowa kanclerza o rozszerzeniu się świata i wynikającej stąd możliwości spadku znaczenia mocarstw europejskich zwiastowały wejście Rzeszy na tory polityki imperialistycznej, na tory „*Weltpolitik*”, zapowiadały, że Niemcy podejmą rywalizację z mocarstwami światowymi, takimi jak Wielka Brytania, Stany Zjednoczone, Rosja.

Punkt ciężkości polityki międzynarodowej nie znajdował się już wyłącznie w Europie, sprawy innych kontynentów odgrywały rolę coraz znacniejszą. W grę wchodziła nie tylko rywalizacja kolonialna, która stawiała przeciwko sobie Francję i Wielką Brytanię, i Rosję, później Niemcy przeciw Francji; była to również rosnąca pozycja dwóch potencji pozaeuropejskich - Stanów Zjednoczonych i Japonii. Alianse, które zawierały pomiędzy sobą mocarstwa Europy, nabierały obecnie charakteru aliansów światowych, w każdym razie pozaeuropejskich. Trójprzymierze i Dwuprzymierze były to alianse wyraźnie europejskie, zawierane dla obrony interesów europejskich. Ale już traktat brytyj-

sko–japoński z 30 stycznia 1902 r. obejmował sprawy Dalekiego Wschodu. *Entente cordiale* (Porozumienie serdeczne) francusko–brytyjskie z 8 kwietnia 1904 r. dotyczyło głównie Afryki, układ brytyjsko–rosyjski z 31 sierpnia 1907 r. regulował współzawodnictwo Londynu i Petersburga w Azji Środkowej (Persja, Afganistan, Tybet).

Niemcy były wielką potęgą lądową i niewątpliwie najpotężniejszym mocarstwem w Europie, Wielka Brytania natomiast wielką potęgą morską i najpotężniejszym mocarstwem w świecie. Na przełomie XIX i XX w. trafiła się chwila, gdy Wielka Brytania postanowiła wyjść z tradycyjnego *splendid isolation* (wspaniałego odosobnienia) i zdecydowała się ostrożnie szukać zbliżenia z Niemcami. Berlin wszakże nie przyjął wyciągniętej dłoni angielskiej. W niemieckich kołach rządowych sądzono, że Wielka Brytania nigdy nie dojdzie do porozumienia ani z Francją, ani z Rosją. Niemcy będą więc miały zawsze swobodę manewru. Błędne były to rachuby. W Londynie, zwłaszcza po przykrych doświadczeniach podczas wojny z Burami 1899–1902, zrozumiano, że zupełne osamotnienie wytwarza sytuacje niepomysłne. Wynikiem zmienionej oceny założeń politycznych były wspomniane już kompromisy z Francją w 1904 r. i z Rosją w 1907 r. Niemcy więc same realizowały swą „politykę światową”; nie miały wsparcia sprzymierzeńców z Trójprzymierza, ani Austro–Węgier, których interesy nie wykraczały poza Europę i Bliski Wschód, ani Włoch słabych i niepewnych.

„*Weltpolitik*” (polityka światowa) - gorliwe szukanie miejsca pod słońcem prowadziło do tarć i nieporozumień ze wszystkimi mocarstwami światowymi.

Świat ujrzał w początkach wieku XX ostre konflikty międzynarodowe. Jedne miały korzenie w Europie, źródłem innych były sprawy pozaeuropejskie.

A oto główne konflikty, które ostatecznie doprowadziły do wybuchu wojny: konflikt niemiecko-francuski, niemiecko-brytyjski, następnie konflikt austriacko-rosyjski, który wkrótce przekształcił się w konflikt niemiecko-rosyjski.

Rozpatrzmy te konflikty kolejno. Najdawniejszy z nich to konflikt niemiecko-francuski. Dwa mocarstwa oddzielone Renem przez cztery dziesięciolecia były w stanie konfliktu. Nie znaczy to wszakże, iż przez te cztery dziesięciolecia w stosunkach pomiędzy Paryżem a Berlinem utrzymywał się niezmienny, ciągły stan napięcia. Przeciwnie, stosunki te podlegały fluktuacjom, podlegały falowaniu. Zrozumiała to sprawa, zwłaszcza gdy spoglądamy na problem od strony francuskiej. Dla Francuzów klęska roku 1870 była wstrząsem bez porównania silniejszym niż przegrana lat 1813–1815. Tamte lata przyniosły koniec wielkiej epepei; była to klęska nie tyle Francji, ile Napoleona. „Napoleon — są to słowa historyka francuskiego - zasłonił sobą Francję i nieliczni tylko upatrywali w tym heroicznym upadku pomniejszenia potęgi narodowej czy może pierwszych oznak przeznaczenia. W roku 1870 przeciwnie, nikt nie spogląda na główne osoby dramatu, zbytsą małe w porównaniu z upokorzeniem narodu.

Każdy patrzy na przyszłość Francji i możliwość jej odrodzenia: czy Francja jest zdolna do życia”. Nastroje te można zrozumieć, gdy zdamy sobie sprawę z tego, jaki był przed Sedanem stosunek Francuzów do Niemiec i do Prus. W Niemczech dostrzegano głównie wartości intelektualne i kulturalne. Francuski świat intelektualny pozostawał pod wrażeniem i pod wpływem niemieckiej nauki, zwłaszcza filozofii, jak i niemieckiej wielkiej poezji. Szczególnie widoczne było to od czasów pani de Stael i jej głośniejszej, wydanej w 1813 r. książki „De l’Allemagne” („O Niemczech”). Natomiast pruskiej potęgi militarnej nie doceniano, lekcji Sadowy nie rozumiano.

Klęska francuska poniesiona „pod nieobecność Europy”, izolacja polityczna Francji wywarły wpływ nie mały nie tylko na politykę III Republiki, ale i na mentalność polityczną Francuzów.

W stosunku rządu francuskiego i francuskiej opinii publicznej do Niemiec - mówiąc w skrócie - rozróżnić należy trzy okresy. Okres pierwszy trwa mniej więcej przez dwa pierwsze dziesięciolecia po klęsce. Rana pozostaje niezabliźniona, wspomnienia Sedanu, oblężenia Paryża są wciąż żywe i bolesne. Francja mogła wprawdzie zapisać na swe konto znaczny sukces polityczny i moralny, jakim była przedterminowa spłata kontrybucji wojennej i w następstwie wycofanie w 1873 r. ostatnich niemieckich garnizonów okupacyjnych, ale jej osłabienie było wciąż widoczne - Francja pozostawała politycznie izolowana. Niemcy nadal górowały nad nią i politycznie, i militarnie. I Niemcy demonstrowały swą

przewagę nad Francją - *alerte* - alarm roku 1875 i groźba, realna czy może tylko demonstracyjna, wojny prewencyjnej przeciwko Francji, ostra polityka w Alzacji w latach 1885–1888, podstępne uwięzienie komisarza granicznego Wilhelma Schnabelego w 1887 r.

Okres drugi to ostatnie lata wieku XIX i początek XX. Zawarcie przymierza z Rosją w latach 1891–1894 wyprowadziło Francję ze stanu izolacji politycznej i dało rządowi francuskiemu większe możliwości manewru. W społeczeństwie wszakże, zwłaszcza wśród młodzieży akademickiej, dawało się zauważyć pewne zobojętnienie na sprawy Alzacji i Lotaryngii, na niebezpieczeństwo ze strony Niemiec. „Pesymizm był cechą charakterystyczną generacji, która osiągnęła wiek męski po roku 1885”.

Skutki tych nastrojów widoczne są dopiero po roku 1905. Wizyta Wilhelma II w Tangerze 31 marca tego roku, wymuszona dymisja ministra spraw zagranicznych Delcasségo 7 czerwca, upokorzenie zadane Francji przez Niemcy, wszystko to wzbudziło nastroje nie tylko patriotyczne, ale i nacjonalistyczne. Francuzi zrozumieli, że niebezpieczeństwo niemieckie zagraża im rzeczywiście. 19 czerwca 1905 r. Clemenceau pisał w dzienniku „L’Aurore”: „Być lub nie być, oto problem, który po raz pierwszy od czasów wojny stuletniej postawiło przed nami nieubłagane dążenie do supremacji”. Podobnych głosów można przytoczyć wiele.

„Dziesięć gorących lat, które poprzedziły wojnę roku 1914, wzmogły ożywienie, ekscytację i niepokój intelektualistów francuskich. Żywy tu kontrast

z przedwojennym rokiem 1870. Wówczas kwestia niemiecka nie istniała. Niemiec najczęściej nie znano lub je lekceważono; jedynie umysł niemiecki budził zainteresowanie uczonych i pisarzy. Natomiast wojna z Niemcami pozostawała zjawiskiem odległym, problemem abstrakcyjnym, który rzadko sobie stawiano. W roku 1914 przeciwnie, kwestia niemiecka ściągała uwagę najgłośniejszych pisarzy, była w centrum ich przemyśleń; politycznie pasjonowała kraj cały. Wojna stała się przedmiotem wielkiej troski narodu, cały naród zdawał sobie sprawę, że weźmie w niej udział i że oręż rozstrzygnie jego przyszłość. Dzięki tej zbiorowej świadomości w roku 1914 nie powtórzyły się nieład i osłupienie roku 1870”.

Konflikty z Niemcami, w które Francja popadła w 1905 i 1911 r., udało się załagodzić na drodze dyplomatycznej, ale w opinii publicznej trwał stan napięcia.

Stan napięcia utrzymywał się tym bardziej że podsycały go sprawy gospodarcze. W wielkim żelazno-węglowym okręgu przemysłowym w środku Europy, przedzielonym granicą państwową francusko-niemiecką, kapitał niemiecki od końca XIX w. coraz bardziej brał górę nad kapitałem francuskim.

Interesujące są niektóre przejawy rywalizacji czy ... kolaboracji wielkich banków francuskich i niemieckich.

Wiadomo, że niemiecką ekspansję imperialistyczną, niemiecką „*Weltpolitik*” utrudniała względna - w każdym razie w porównaniu z Paryżem i Londynem



- słabość rynku finansowego i monetarnego Rzeszy. Banki niemieckie walczyły z trudnościami, aby służyć „*Mittel*” zgodnie z wymaganiami rządu. Wystarczy tu wskazać na wysiłki, które Niemcy podejmowali, aby zapewnić sobie współdziałanie obcego kapitału przy budowie kolei Berlin–Bagdad.

Taka sytuacja otwierała przed bankami francuskimi szerokie pole zyskownych działań. Kapitał francuski służył pośrednio lub bezpośrednio niemieckiej „*Weltpolitik*” idąc dwiema drogami: 1) udzielając bankom niemieckim kredytów krótkoterminowych, 2) zawierając francusko–niemieckie porozumienia finansowe w świecie. Porozumienia te działały w Meksyku, w Brazylii, w Argentynie, dały się zauważyć na Bałkanach, z większą siłą wystąpiły w Turcji. Banque Ottomane, reprezentujący kapitał francuski, współdziałał z *Deutsche Bank*. Niekiedy rząd francuski sprzeciwiał się współpracy kapitału francuskiego z niemieckim, stawiał warunki, ograniczenia, ale nie zawsze skutecznie. Dopiero po kryzysie tangerskim w 1905 r., a zwłaszcza po kryzysie agadirskim w 1911 r. zaznaczyła się we Francji silna opozycja przeciwko kolaboracji kapitału francuskiego z kapitałem niemieckim i wspieraniu w ten sposób niemieckiej ekspansji imperialistycznej.

Niekiedy banki francuskie zdobywały się na krzyżowanie ekspansji niemieckiej. Tak było w roku 1911. Niemcy, w zamian za zgodę na opanowanie przez Francję Maroka, chciały pierwotnie uzyskać całe Kongo Francuskie, musiały jednak zadowolić się tylko jego

częścią, tzw. *Bec du Canard*. A przyczyniły się do tego manewry banków francuskich, banki francuskie bowiem wywołały zamieszanie na giełdzie berlińskiej we wrześniu 1911 r.

Stanowisko banków francuskich, często przychylnie współpracy finansowej z Niemcami, nie miało chyba wpływu na francuską opinię publiczną, ale ważyło niekiedy na polityce rządów. Zaznaczyło się to wyraźnie w 1905 r. w działalności ministra skarbu bankiera Maurice'a Rouviera, zaznaczy się niejednokrotnie w polityce Josepha Caillaux, blisko związanego z wielkimi finansami.

Trudniejszy do zrozumienia i do wyjaśnienia jest konflikt niemiecko–brytyjski. „Dlaczego nieustannie mówiono o groźbie wojny pomiędzy Wielką Brytanią a Niemcami, gdy nie było konkretnej przyczyny sporu?” - zapytuje autorka pracy o Wielkiej Brytanii i genezie pierwszej wojny światowej.

Przyczyny sporu wymienia się zwykle trzy: rywalizacja gospodarcza, rywalizacja kolonialna, wyścig zbrojeń morskich.

Niewątpliwie szybki w ostatnim ćwierćwieczu wieku XIX i w początkach wieku XX rozwój przemysłu niemieckiego wzbudził obawy w pewnych kołach gospodarczych brytyjskich. Świadectwem tych obaw był znak fabryczny umieszczany od 1887 r. na towarach przywożonych na Wyspy Brytyjskie: *made in Germany* (wykonane w Niemczech). Ten tak popularny odtąd znak stał się pewnego rodzaju symbolem.

Nie można wszakże przeceniać znaczenia tych obaw upatrując w Niemczech groźnego, niebezpiecznego konkurenta, który ruguje Wielką Brytanię z rynków europejskich i światowych. Wzrost zapotrzebowania na rynkach brytyjskich i światowych tępił ostrze rywalizacji angielsko–niemieckiej. W Wielkiej Brytanii panowała wówczas pomyślna koniunktura na wyroby żelazne, stalowe, włókiennicze, na budownictwo okrętowe. W początku XX w. Wielka Brytania była najlepszym klientem Niemiec, Niemcy były dla Wielkiej Brytanii najlepszym rynkiem zbytu. Dominia i posiadłości zamorskie imperium brytyjskiego pochłaniały 35% eksportu z Wysp Brytyjskich; na tych chłonnych rynkach niektóre tylko firmy angielskie spotykały się z konkurencją niemiecką. W Ameryce Południowej, w Afryce, w Azji Anglicy znacznie górowali nad Niemcami. W posiadaniu angielskim znajdowała się trzecia część światowej floty handlowej; angielska flota handlowa opanowała połowę całego światowego transportu morskiego i - rzecz prosta - cały transport morski brytyjski. Widzimy współpracę gospodarczą niemiecko–brytyjską na rynkach międzynarodowych w dziedzinie ustalania cen, podziału rynków. Z 40 międzynarodowych karteli producentów 22 to kartele brytyjsko–niemieckie.

Angielscy kupcy i fabrykanci rozumowali, że klęska Niemiec w wojnie, że osłabienie Niemiec to zmniejszenie siły nabywczej wielkiego odbiorcy towarów angielskich. Jest rzeczą znamioną, że w kampaniach prasowych, kierowanych przeciwko Niemcom,

nie brały udziału organy prasowe City - wielkiego kapitału brytyjskiego, natomiast najczęściej zajmowały stanowisko proniemieckie. W Niemczech, jak zobaczymy, było odwrotnie, ale miało to inne przyczyny.

Jakie były cechy rywalizacji kolonialnej brytyjsko-niemieckiej?

Trzon niemieckich posiadłości zamorskich tworzyły kolonie afrykańskie: Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia, Togo i Kamerun, zajęte w 1884 r., Niemiecka Afryka Wschodnia, zajęta w 1885 r., dalej Niemiecka Nowa Gwinea od 1884 r. i Samoa, wreszcie Kiau-czou (niem. Kiautschou, obecnie Jiaozhou) w Chinach od roku 1898. W 1914 r. kolonie niemieckie obejmowały obszar 2.952.000 km<sup>2</sup>. W przededniu wojny kapitał niemiecki inwestowany w koloniach stanowił 3,8% kapitału inwestowanego poza granicami Rzeszy, handel zaś z koloniami sięgał do wysokości 0,5% handlu zagranicznego Niemiec.

Niemcy parokrotnie usiłowały się przeciwstawić, z miernym zresztą skutkiem, francuskiej ekspansji kolonialnej, nie stawały natomiast na drodze ekspansji brytyjskiej; przeciwnie, dążyły do porozumienia z Wielką Brytanią. Na mocy traktatu podpisanego w Berlinie w dniu 1 lipca 1890 r. Wielka Brytania odstąpiła Niemcom Helgoland, który zajęła podczas wojen napoleońskich w 1807 r., w zamian Niemcy zrzekały się roszczeń do Zanzibaru; traktat regulował zarazem sfery wpływów, brytyjską i niemiecką, w Afryce.

*Grün ist das Land, gelb ist der Sand, rot ist die Wand, das sind die Farben von Helgoland!* - głosi znana pieśń niemiecka.

Dla Niemiec układ był niewątpliwie korzystny. Helgoland w posiadaniu brytyjskim był potencjalnym zagrożeniem wybrzeży niemieckich. W Niemczech powtarzano, że angielski Helgoland to „angielska pięść na niemieckim nosie”. Korzystne były również i inne postanowienia traktatu, ułatwiały bowiem Niemcom urządzenie niedawno zajętych posiadłości afrykańskich, zwłaszcza Niemieckiej Afryki Wschodniej.

Niemcy rzucali pożądliwe spojrzenia nie na kolonie brytyjskie, za którymi stała potęga imperium, lecz na posiadłości zamorskie państw małych i słabych, na belgijskie Kongo, na portugalski Mozambik, na portugalską Angolę. W Berlinie wszakże dobrze rozumiano, że droga i do Kongo, i do Mozambiku, i do Angoli wiedzie przez Londyn. Innymi słowy, że tylko za zgodą Wielkiej Brytanii mogą Niemcy myśleć o skłonieniu czy zmuszeniu Belgii i Portugalii do odstąpienia kolonii. Zawsze najłatwiej godzić się na ustępstwa i regulować rachunki cudzym kosztem. Taki właśnie charakter miała tajna konwencja brytyjsko–niemiecka z 30 sierpnia 1898 r.; zapowiadała, ale bez oznaczenia terminu, oddanie Niemcom większej części Angoli i zachodniej części Mozambiku. W rozpoczętej wkrótce później wojnie Burów z Anglikami Niemcy nie poparły Transwalu, zachowały stanowisko neutralne. Nie odniosły z tego korzyści, gdyż konwencja nie weszła w życie.

Niemcy snuli jednak nadal plany utworzenia w Afryce, kosztem małych państw kolonialnych, wielkiego niemieckiego imperium kolonialnego - „Mittelafrika”.

W przededniu wojny plany te zarysowywały się poraż mocniej. Wiele na ten temat pisała prasa i to nie tylko ta na usługach imperialistów. Interesowały się sprawą szersze koła społeczeństwa niemieckiego, zakrzętała się dokoła niej dyplomacja. W puszczach i sawannach Afryki znajdą Niemcy upragnione „miejsce pod słońcem”.

Mogło się wydawać, że Wielka Brytania nie stanie na drodze dążeniom niemieckim. Wyraźnie to oświadczył 28 listopada 1911 r. w Izbie Gmin sekretarz stanu w *Foreign Office* Sir Edward Grey. Podobnie wyraził się 20 grudnia 1911 r. w rozmowie z ambasadorem niemieckim hr. Wolff–Metternichem, że Wielka Brytania nie zamierza przeciwstawić się rozszerzeniu niemieckich posiadłości kolonialnych „ze wschodu na zachód” przez Afrykę Środkową. Gdyby belgijskie Kongo wystawiono na sprzedaż, rząd brytyjski spoglądałby życzliwie na przejęcie przez Niemcy południowej części Konga pomiędzy Angolą a Niemiecką Afryką Wschodnią.

Trudno ocenić, jak dalece wynurzenia Greya były szczere, w jakiej zaś mierze były manewrem dla ułatwienia negocjacji o ograniczenie zbrojeń morskich.

W każdym razie wznowiono rokowania między Londynem a Berlinem i 20 października 1913 r. podpisano tajny układ o nowych strefach wpływów w Afry-

ce. Strefa brytyjska to południowe części portugalskiego Mozambiku i portugalskiej Angoli, strefa niemiecka to północ Mozambiku i prawie całe wybrzeże Angoli. Szło tu nie tylko o korzyści gospodarcze, ale i o wpływy polityczne; układ przewidywał ochronę interesów zarówno brytyjskich, jak niemieckich w wypadku ich zagrożenia.

Mamy tu więc do czynienia z typowym porozumieniem pomiędzy państwami kolonialnymi o strefy wpływów, jednym z wielu, jakie wówczas zawierano; mogło ono nie wyjść poza ogólnikowe postanowienia, a mogło prowadzić istotnie do podziału kolonii portugalskich; wyraźnie dążyli do tego Niemcy, czy pragnęli tego Anglicy - to pytanie.

Był jeszcze jeden układ brytyjsko–niemiecki, a dotyczył budowanej mozolnie przez Niemców, a tak niechętnie widzianej przez Anglików, kolei Berlin–Bagdad, a właściwie jej przedłużenia do Zatoki Perskiej. Przewlekłe rokowania zakończyły się zawarciem porozumienia w dniu 15 czerwca 1914 r., na dwa tygodnie przed zamachem w Sarajewie, na siedem tygodni przed wypowiedzeniem wojny Niemcom przez Wielką Brytanię.

W dziedzinie polityki kolonialnej Niemcy nie popadły więc w konflikt z Wielką Brytanią, były natomiast próby współpracy i tu zapewne dyplomacja brytyjska lekko zwodziła Niemców.

W końcu XIX w. wszakże rozwinęła się pomiędzy Niemcami i Wielką Brytanią rywalizacja w dziedzinie zbrojeń morskich. Wzmogła się ona w wieku XX.

Szybki rozwój przemysłu i handlu niemieckiego uzasadniał budowę silnej floty wojennej. Ale powstała kwestia, jak wielka powinna być ta flota? Czy ma ona bronić jedynie wybrzeży, czy też interesów niemieckich na całym świecie? A więc czy budować przede wszystkim krążowniki czy wielkie okręty liniowe?

28 marca 1898 r. parlament Rzeszy uchwalił 212 głosami przeciwko 139 ustawę zawierającą sześciolletni program budowy floty wojennej. 30 kwietnia 1898 r. został zawiązany *Deutscher Flottenverein* (Niemiecki Związek Flotowy), narzędzie propagandy. Zgromadziwszy w swych szeregach ponad milion członków, był Związek Flotowy przed wojną najliczniejszą, największą organizacją masową imperializmu niemieckiego. Finansowały Związek i jego akcję propagandową wielkie banki i ciężki przemysł. Opłacało się to zresztą znakomicie, Krupp i Stumm, właściciele hut stali w Zagłębiu Saary, zarabiali na samym tylko opancerzeniu okrętów po 5 milionów marek rocznie.

Admirał Alfred Tirpitz, od 1897 r. sekretarz stanu w Urzędzie Marynarki Rzeszy, organizator sprawny i zręczny, pomysłowy propagandzista, taki cel wytyczył flocie wojennej niemieckiej: musi ona być tak potężna, aby Wielka Brytania uznała wojnę przeciwko Niemcom za przedsięwzięcie ryzykowne. Program ten nazwano w skrócie *Risikogedanke* (myśl o ryzyku).

Czy „myśl o ryzyku” można uznać za program defensywny? Za program czysto obronny? Czy rzeczywiście szło tu tylko o to, aby Wielką Brytanię zniechęcić do przeciwstawiania się Niemcom? Za takim rozumie-



niem sprawy przemawia niewątpliwie bieg wydarzeń w początkach niemieckich zbrojeń morskich.

Zwykło się mówić, że Wielka Brytania unikała bliższych związków z innymi mocarstwami, a zawsze występowała przeciwko najsilniejszemu mocarstwu w Europie. A jednak w latach 1898–1901, w czasie, gdy Niemcy były największą potęgą na kontynencie, szły z Londynu do Berlina propozycje zbliżenia, a nawet układu obronnego. Rząd Rzeszy wszakże przekonany, że Wielka Brytania nigdy nie zdoła osiągnąć porozumienia ani z Francją, ani z Rosją, nie przyjął sugestii angielskich.

W fazie początkowej niemieckie zbrojenia morskie bynajmniej nie zagrażały brytyjskiej dominacji na morzach; nie zagrażały tym bardziej, że w 1902 r. Wielka Brytania zawarła przymierze z Japonią (co pozwoliło Anglikom sprowadzić część eskadry z Dalekiego Wschodu na wody europejskie), w 1904 r. porozumienie z silną na morzu Francją, a w 1907 r. z Rosją. U wybrzeży szkockich, w Rosyth, powstała nowa baza floty, wojennej. W lutym 1906 r. spuszczono na wodę potężny okręt wojenny, pierwszy nowego typu: *Dreadnought* (Nie lękaj się niczego). Drednot znacznie przewyższał siłą bojową wszystkie znane dotąd typy okrętów liniowych.

Takie wzmocnienie potęgi morskiej Wielkiej Brytanii stało się dla Niemców impulsem, a może tylko pretekstem do nowych zbrojeń morskich. W maju 1906 r. i w listopadzie 1907 r. parlament Rzeszy uchwalił

kredyty na budowę okrętów liniowych typu *Dreadnought*.

Nowe zbrojenia niemieckie przyjęto w Wielkiej Brytanii z niezadowoleniem i irytacją. W 1905 r. wygrali wybory liberałowie i 10 grudnia 1905 r. ster rządów objął gabinet liberalny z programem szerokich a kosztownych reform społecznych. Nie na rękę był więc rządowi wigów wyścig zbrojeń. Przeciwnie, gabinet pragnął ograniczyć wydatki na marynarkę. Stąd starania dyplomacji brytyjskiej o porozumienie z Niemcami. Nie dało to rezultatu. Wilhelm II w lutym 1908 r. naiwnie czy arogancko tłumaczył Lordowi Edwardowi Tweedmouth, że porozumienia co do zbrojeń są niepotrzebne i każde państwo powinno mieć swobodę budowania tylu okrętów, ile uważa za właściwe. Bez skutku pozostały również ostrzeżenia ministrów angielskich Greya i Lloyd George'a, że wyścig zbrojeń morskich spowoduje pomiędzy Londynem i Berlinem trwałą nieufność.

W takiej sytuacji w gabinecie brytyjskim na Downing Street przeważał punkt widzenia Urzędu Spraw Zagranicznych i admiralicji, że niezbędne są dalsze zbrojenia morskie, że gdy Niemcy spuszczą na wodę jeden okręt wojenny, Anglicy muszą wybudować dwa; ujęto to w hasło „dwa kile na jeden”. Deklaracja rządu z 12 listopada 1908 r. w Izbie Gmin głosiła, że Wielka Brytania pozostaje wierna zasadzie *Two Powers Standard* (Poziom Dwóch Mocarstw), tzn. że ilość brytyjskich wielkich okrętów liniowych - *capital ships* -

musi być o 10% wyższa niż połączone siły dwóch największych po Wielkiej Brytanii potęg morskich.

Poparcie, jakiego Wielka Brytania udzieliła Francji w 1911 r., podczas drugiego kryzysu marokańskiego, przyczyniło się do kompromisowego uregulowania konfliktu, ale dało nieoczekiwane skutki - w Wielkiej Brytanii zwiększyło obawy wojny, w Niemczech posłużyło Tirpitzowi do żądań przyspieszenia tempa zbrojeń morskich. Tirpitz domagał się, aby w latach 1912–1917 budowano rocznie nie dwa, jak to było ustalone, lecz trzy wielkie okręty liniowe. Była to *Novelle*, tzw. Nowela, którą miał uchwalić parlament Rzeszy. Taka uchwała musiałaby podsycić nieufność Anglików i spowodować nowe tarcia pomiędzy Londynem i Berlinem, a także zaostrzyć sytuację międzynarodową.

Tirpitz odniósł stanowcze zwycięstwo, a układ sił w nowo wybranym parlamencie Rzeszy ułatwił mu grę. W wyborach w styczniu 1912 r. sukces odnieśli socjaldemokraci; zdobyli 110 mandatów i byli najliczniejszym klubem poselskim w Izbie. Natomiast konserwatyści, najpewniejsza podpora rządu, ponieśli klęskę. Zyskali na znaczeniu narodowi liberałowie, w wielu przypadkach bowiem byli w głosowaniu języczkiem u wagi. Otóż narodowi liberałowie, związani z ciężkim przemysłem, poparli zbrojenia morskie. „Nowela” Tirpitz miała zapewnioną większość głosów, opowiadali się za nią konserwatyści, Centrum i narodowi liberałowie, przeciwni byli Polacy, socjaldemokraci, postępowcy. W mowie tronowej z dnia 7 lutego, z okazji otwarcia nowego parlamentu, cesarz Wilhelm zapowie-

dział budowę nowych okrętów. Zamiary admiralicji niemieckiej nie były zresztą tajemnicą i wzbudzały zaniepokojenie w kręgach zwolenników zbliżenia brytyjsko–niemieckiego zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i w Niemczech. Porozumieli się więc ze sobą bankier Sir Ernest Cassel, jeden z potentatów londyńskiej City, i Albert Ballin, naczelny dyrektor linii Hamburg - Ameryka. Efektem porozumienia był przyjazd do Berlina Lorda Haldane'a.

Richard Burdon Haldane wicehrabia of Cloan, wybitny prawnik, wzięty adwokat, był rozmiłowany w kulturze niemieckiej. Na jego poglądach filozoficznych, którym dał wyraz w druku, zaważył wpływ Hegla. Głosił potrzebę reformy uniwersytetów angielskich według wzorów niemieckich. W 1905 r. Haldane stanął na czele War Office (Urzędu Wojny) i zamyślał o reorganizacji armii angielskiej na modłę pruską. Oddanie rokowań w Berlinie w ręce polityka o takiej postawie miało swą wymowę.

8 lutego 1912 r., w dniu przybycia Lorda Haldane'a do stolicy Niemiec, ogłoszono tekst wniesionego do parlamentu projektu „Noweli”. Stocznie niemieckie w odstępach dwuletnich w roku 1912, w 1914 i w 1916 miały wodować trzy nowe drednoty. Haldane, którego misja - w rozumieniu gabinetu londyńskiego - miała charakter jedynie orientacyjny, przestrzegał władców Rzeszy, że kwestia floty ma dla Anglików znaczenie zasadnicze. Tirpitz wszakże nie chciał słyszeć o żadnych zmianach „Noweli”, a popierał go cesarz. Rozumny i ostrożny Bethmann Hollweg przez obietnicę

złagodzenia tempa zbrojeń morskich pragnął uzyskać ze strony Wielkiej Brytanii ustępstwa polityczne. Kanclerz przedstawił wysłannikowi brytyjskiemu projekt umowy stanowiącej, że jeśli jeden z partnerów uwikła się w wojnę, drugi partner zachowa życzliwą neutralność. Rzecz prosta, że chodziło tu o zerwanie porozumienia francusko–brytyjskiego i na to gabinet londyński nie mógł się zgodzić, zwłaszcza że Niemcy w zamian za umowę ofiarowywali jedynie zwolnienie tempa zbrojeń, a nie utrzymanie na dotychczasowym poziomie. I tak zamierzano wodować trzy drednoty, lecz nie w latach 1912, 1914, 1916, ale w latach 1913, 1916, 1919. Nie skusiły władców Niemiec perswazje Lorda Haldane’a, że Anglicy gotowi byłiby zawrzeć układ o podziale kolonii portugalskich, a nawet odstąpić Niemcom Zanzibar. 19 marca 1912 r. Niemcy odrzucili ostatecznie oferty brytyjskie. „Byłoby grubym błędem politycznym - pisał Sir Eyre Crowe - gdybyśmy pozwolili rządowi niemieckiemu skłonić nas do ustępstw i dać mu swobodnie kontynuować przygotowania do nieuniknionej wojny z nami”.

Niemcy rozpoczęli zbrojenia morskie w intencji osłabienia przewagi Wielkiej Brytanii na morzach. Anglicy podjęli rzuconą rękawicę. Widzieli, że jeśli nie zachowają dominacji na morzach, nie zdołają powstrzymać niemieckich dążeń do hegemonii.

Rzecz prosta, że budowa wielkiej niemieckiej floty wojennej nie była jedyną przyczyną wojny pomiędzy Wielką Brytanią i Niemcami. Anglicy obawiali się, i słusznie, że przegrana Francji i Rosji zapewni Niem-

com zupełną przewagę w Europie, a taka przewaga zagroziłaby Wielkiej Brytanii tak pod względem politycznym, jak gospodarczym i militarnym. Wyścig zbrojeń morskich odegrał tu rolę znaczną, u Anglików wzbudził nieufność do Niemców, u Niemców siał nienawiść do potężniejszego sąsiada.

Trzeci groźny konflikt, który niemałą rolę odegrał w genezie pierwszej wojny światowej, to konflikt niemiecko–rosyjski.

Konflikt niemiecko–rosyjski wydaje się również niełatwy do zrozumienia. Od drugiej połowy XVIII w., od czasów Katarzyny i Fryderyka, stosunki pomiędzy Berlinem i Petersburgiem uchodziły za oparte na mocnej, ugruntowanej przyjaźni. Interesy dynastyczne i polityka dynastyczna odgrywały wówczas jeszcze rolę, toteż związki pokrewieństwa i przyjaźni, jakie łączyły autokratów znad Sprewy i znad Newy, wydawały się mocne, zwłaszcza że wiązała ich sprawa polska. Na tej przyjaźni pojawiły się rysy, gdy Mikołaj I zbyt ciężył nad Niemcami i nazbyt dawał im odczuć swą żandarmską rolę i swą żandarmską wolę. W 1848 r. omal nie doszło do wojny prusko–rosyjskiej. Ale były to zgrzyty tylko przejściowe. Podczas wojny krymskiej Petersburg nie miał powodu do uskarżania się na stanowisko rządu pruskiego. Lata 1863 i 1870 przyniosły umocnienie przyjaźni i wzajemnego zaufania.

Sojusz trzech cesarzy, zawarty w 1873 r., to już epilog, to już finał dawnych przymierzy dynastycznych. Obrona systemu monarchiczno–konserwatywnego, leżąca w interesie dworów i arystokracji, musiała zejść

na plan dalszy wobec interesów wielkich banków, ciężkiego przemysłu, handlu.

Sojusz trójcesarski nie przetrwał długo. Zastąpiły go umowy pomiędzy trzema rządami zawarte w 1881 i 1884 r.; zastąpić go miał dwustronny układ niemiecko–rosyjski, tzw. traktat reasekuracyjny z 1887 r. Na dłuższą metę nie miało to jednak znaczenia.

W końcu XIX w. stosunki pomiędzy trzema monarchiami cesarskimi opierały się już na innych podstawach. W 1879 r. Niemcy związały się przymierzem z Austro–Węgrami, z Rosją stosunki ich układały się rozmaicie, dostrzegamy zbliżenia i oddalenia, przymierza nie zawarto. Petersburg z Berlinem łączyło jeszcze wspólne ujarzmianie Polski, ale w innych sprawach zarysowywały się coraz wyraźniej sprzeczności. I sprzeczności te coraz bardziej brały górę nad podobieństwami i nad zgodnościami.

A sprzeczności tych było niemało! Źródła swe miały w Wiedniu, w Konstantynopolu, w Paryżu. Dyplomacja niemiecka uważała istnienie monarchii habsburskiej i jej mocarstwowy charakter za podstawowy nakaz niemieckiej racji stanu. Myśl tę wypowiedział Bismarck w 1877 r. w odpowiedzi na sondaż rosyjskie w Berlinie, jakie stanowisko zajęłyby Niemcy w razie wojny pomiędzy Rosją a Austro–Węgrami. Kanclerz udzielił wyjaśnienia, że Niemcy nie interesują się wynikami poszczególnych batalii, ale nie mogą dopuścić do klęski jednego z tych państw i utraty przez nie pozycji mocarstwowej. Rzecz oczywista, że chodziło tu o monarchię habsburską. Podobnie rozumował w 1914

r. ówczesny niemiecki sekretarz stanu spraw zagranicznych Gottlieb von Jagow. Pisał on, że jak długo można, należy dążyć do utrzymania przy życiu Austro–Węgier. Otóż ekspansja rosyjska na Bałkanach godziła w monarchię habsburską, groziła jej znacznym osłabieniem, musiała więc napotkać sprzeciw w Berlinie. Gdy nadto imperializm niemiecki wkroczył w końcu XIX w. na Bliski Wschód, gdy Niemcy rozpoczęli budowę kolei Berlin–Bagdad, gdy penetrowali Turcję, znaleźli się na drodze imperializmu rosyjskiego - starcie było nieuchronne.

Kryzys bośniacki w 1908/9 r., wojny bałkańskie w 1912 i 1913 r. znacznie zaostrzyły konflikt austriacko–rosyjski i w konsekwencji konflikt niemiecko–rosyjski.

Przymierze francusko–rosyjskie miało charakter obronny, jego zawarcie w latach 1891–1893, jego istnienie nie miało chyba aż do roku 1914 znaczniejszego wpływu na pogorszenie stosunków pomiędzy Berlinem a Petersburgiem.

Działał natomiast i w erze imperializmu potężniał czynnik, który musiał wpływać hamująco na konflikt pomiędzy imperium Hohenzollernów a imperium Romanowów. Czynnikiem tym był lęk przed rewolucją. W dniu 30 marca 1911 r. przywódca junkrów hr. Hans von Kanitz–Podangen w parlamencie Rzeszy wśród żywych potakiwań na prawicy wyraził przyjazne dla Rosji poglądy. „Wiążą nas z Rosją - mówił - nie tylko interesy gospodarcze i handlowe, łączy nas także wspólnota naszych instytucji monarchicznych, która



każe nam iść wspólną drogą i nie powinna zezwolić na żadne pomiędzy nami rozdźwięki”. Gdy hrabia skończył, z ław posłów socjalistycznych rozległ się głos: „Wspólnota reakcji”.

Rzecz wszakże w tym, że interesy gospodarcze, i to właśnie interesy junkrów i wielkiej burżuazji, wzięły górę nad ideologią.

Wróćmy do sali obrad parlamentu Rzeszy. 14 maja 1914 r. deputowany socjalistyczny Hermann Wendel mówił: „Przywódca czarnych sotni (Władimir) Puryszkiewicz i pan von (Elard) Oldenburg–Januschau, przywódca band czarno–białych, spotykali się zawsze razem pod znakiem knuta. Ale obecnie nienasycone apetyty junkrów rozerwały tę budującą wspólnotę”.

Fama głosiła, że rosyjski minister spraw zagranicznych S. Sazonow miał powiedzieć Niemcom: „*Lâchez l’Autriche et nous lâcherons la France*” („*Porzućcie Austrię, a my porzucimy Francję*”). Sprawa to wątpliwa, czy Sazonow mógł tak powiedzieć. Było to zapewne życzenie wielu Rosjan, może niektórych Niemców. Ale czy Sazonow tak powiedział jest rzeczą wątpliwą, w XX w. bowiem wykraczało to poza sferę możliwości.

Dlaczego kryzys lipcowy roku 1914 doprowadził do wojny, gdy poprzednie kryzysy - cztery w dziesięcioleciu 1905–1914 - zażegnano drogą pokojową? Odpowiedź jest prosta; konflikty te nie wywołały wojny, gdyż państwa zainteresowane albo nie były jeszcze do walki zbrojnej przygotowane, albo też sądziły, że przedmiot sporu nie był wart wojennego ryzyka.

W 1905 r. Francja była słaba i osamotniona, podobnie Rosja w 1908/9, Niemcy w 1911 r. uznały, że Maroko nie było dostatecznie ważną przyczyną wojny, Rosja w 1913 r. nie chciała ruszyć do boju o port serbski na Morzu Adriatyckim.

Ale kryzysy te za każdym razem zacieśniały węzły sojusznicze i - co najważniejsze - wpływały na wzrost zbrojeń<sup>17</sup>. Wojny bałkańskie osłabiły Turcję, wzmocniły Serbię i podniosły jej autorytet, to zaś podkopało pozycję Austro-Węgier, a w konsekwencji ugodziło w Niemcy.

Zmagania zbrojne na Bałkanach można było uznać za wielki, krwawy poligon. Przegrała armia turecka, szkolona przez oficerów pruskich i uzbrojona w niemiecki sprzęt bojowy z fabryk Kruppa. Laury zwycięstwa zdobyła armia serbska zaopatrzona w broń francuską z fabryk w Le Creusot.

Taki bieg wydarzeń wywołał zaniepokojenie w sztabach w Berlinie i w Wiedniu. Podniesienie możliwości bojowych armii uznano za nieodpartą konieczność.

W memoriale opracowanym w grudniu 1912 r. przez pułkownika Ericha Ludendorffa czytamy: „Istotę Trójprzymierza, nie tylko w czasie obecnego naprężenia politycznego, ale zapewne również i nadal, możemy krótko tak scharakteryzować: z trzech kontrahentów politycznie najbardziej jest zagrożona Austria, militarne Niemcy, Włochy zaś są politycznie i militarnie najmniej zainteresowane” (w konflikcie międzynarodowym). Stąd płyną takie wnioski: podwyższenie bu-

dżetu wojska, zwiększenie stanu liczebności armii, podniesienie jakości uzbrojenia.

Sprawa nie była prosta, reforma wojskowa wymagała pokaźnych funduszy, a to budziło opozycję nie tylko w parlamencie, ale i pośród wpływowych zwolenników powiększania floty wojennej, budowy nowych okrętów. Charakterystyczne były również obawy wypowiedziane w pruskim ministerstwie wojny, że podwyższenie stanu liczebnego korpusu oficerskiego może wprowadzić tam żywioły niepożądane i grozi „demokratyzacją”. Ostatecznie jednak uchwała parlamentu Rzeszy z 3 lipca 1913 r. dała podstawę do zwiększenia armii o 4 tys. oficerów, 117 tys. szeregowców. Jesienią 1913 r. armia niemiecka liczyła 748 tys. żołnierza, w 1914 r. miała już liczyć 820 tys.

Do pracy nad lepszym przystosowaniem armii do wojny wzięto się i w monarchii habsburskiej. Od lat spośród mocarstw europejskich Austro–Węgry stosunkowo najmniej łożyły na armię. Bardziej aktywna polityka zagraniczna, a w wyższym jeszcze stopniu zaostrzająca się sytuacja międzynarodowa skłoniły koła rządzące w Wiedniu i w Budapeszcie do baczniejszego zwrócenia uwagi na siły zbrojne. W lipcu 1912 r. wprowadzono dwuletnią służbę wojskową i zwiększono liczbę rekrutów o 77 tys., w marcu 1914 r. jeszcze o 35 tys. W latach 1905–1914 stan liczebny armii Austro–Węgier podniesiono z 360 tys. do 450 tys. Zajęto się też lepszym wyposażeniem wojska w sprzęt bojowy. Pod tym względem armia monarchii była zanie-

dbana, chociaż armaty wyrabiane w zakładach Škoda uchodziły za najlepiej sporządzone w Europie.

Latem 1914 r. w chwili wybuchu wojny skutki podjętych reform wojskowych dalekie były jeszcze od wyznaczonych celów.

Również Francja powiększyła swą armię w przededniu wojny. Nigdzie reforma wojskowa nie wywołała tylu sporów i tyle kontrowersji co w tym kraju. Sprawa to zrozumiała. W Niemczech liczba młodych ludzi uznanych przez komisje poborowe za zdatnych do służby wojskowej była w każdym roku wyższa niż liczba wcielonych do szeregów. Natomiast we Francji do „armii jedynaków” powoływano do służby wszystkich zakwalifikowanych, a należy pamiętać, że francuskie komisje poborowe były mniej wymagające niż w innych krajach.

Dnia 25 marca 1913 r. prezes ministrów Louis Barthou złożył w Izbie Deputowanych następującą deklarację: „Powiększenie sił zbrojnych dokonane już w innych krajach nałożyło poprzedniemu gabinetowi (Aristidesa Brianda) obowiązek przedstawienia (parlamentowi) projektu prawa o trzyletniej służbie wojskowej, równej dla wszystkich”. Deputowany Joseph Reinach mówił 3 czerwca 1913 r. w Izbie Deputowanych, że jest „podatek pieniądza”, który powinien obciążać posiadających, jest „podatek czasu”, to długość służby wojskowej, obciąża najuboższych, jest wreszcie „podatek krwi” równy dla wszystkich.

Opozycja wysuwała głównie dwa argumenty: ode-  
rwanie wielkiej liczby młodych ludzi na czas co naj-

mniej jednego roku od pracy produktywnej, a więc ubożenie kraju, i przez wprowadzenie trzyletniej służby wojskowej przywrócenie armii zawodowej dawnego typu o charakterze reakcyjnym.

Ustawę o wprowadzeniu, a właściwie przywróceniu obowiązku trzyletniej służby wojskowej uchwalono w Senacie 7 sierpnia 1913 r. Pozwoliło to na podniesienie stanu liczebnego armii francuskiej z 580 tys. żołnierza na 750 tys. Miało to znaczny wpływ na bieg działań wojennych w 1914 r.

Zamierzano pierwotnie zatrzymać w szeregach rocznik, który miał być zwolniony jesienią 1913 r.; wywołało to wszakże agitację i zaniepokojenie w koszarach. Postanowiono więc ostatecznie powołać do wojska w tym samym roku dwa roczniki: 21–letnich, według dotychczas obowiązującego prawa, i 20–letnich. Gdy w roku następnym wybuchła wojna, do obrony kraju stanęło 200 tys. wyszkolonych żołnierzy więcej. „Trzyletnia służba uratowała Francję nad Marną” - powtarzali zwolennicy trzylatki.

Nie od rzeczy będzie tu przypomnieć charakterystyczne słowa Moltkego: „Francuzi cierpią na spadek urodzin, ale Niemcy krócej żyją. Nasze formacje rezerwowe topnieją prędzej niż francuskie”.

Prace nad gruntowną reorganizacją armii rosyjskiej podjęto na większą skalę w 1909 r. i o tym będzie mowa w uwagach o armii rosyjskiej i o rosyjskich planach wojennych. Tu ograniczymy się do stwierdzenia, że kwestia stanu liczebnego wojska, tak trudna i tak ważna we Francji, miała w Rosji zupełnie inny charakter.

W Rosji, przy jej wysokim potencjale ludzkim, sprawa nie polegała na tym, jak wielu młodych ludzi można powołać do szeregów, lecz ilu rekrutów można będzie należycie uzbroić, należycie wyposażyć w odpowiedni sprzęt bojowy.

Powszechny wyścig zbrojeń narzucił wszystkim pytanie, kto w tym wyścigu wysunie się na czoło i kiedy. 12 maja 1914 r. generał Helmuth von Moltke na spotkaniu w Karłowych Warach mówił swemu austriackiemu koledze feldmarszałkowi Conradowi: „wszelkie wyczekiwanie oznacza pomniejszenie naszych widoków; nie możemy wytrzymać konkurencji z Rosją, jeśli chodzi o masy”.

A Sir Edward Grey pisał, że każde z wielkich mocarstw dążyło do zapewnienia sobie bezpieczeństwa, „lecz zamiast poczucia bezpieczeństwa wytworzyło to lęk, a lęk ten rósł z każdym rokiem. (...) Przygotowania wojenne napawały strachem, a strach wiedzie do gwałtu i do katastrofy”.

### **3. Austro-Węgry a Serbia**

Wiele było przyczyn, które doprowadziły do I wojny światowej, wiele zjawisk politycznych, gospodarczych, społecznych znajdujemy u jej źródeł, ale powodem, dla którego wojna wybuchła właśnie w 1914 r. był konflikt austro-węgiersko-serbski.

Kwestia bałkańska znajdowała się w centrum polityki monarchii habsburskiej - polityki zagranicznej i polityki wewnętrznej, co zresztą łączyło się ze sobą najściślej.

Półwysep Bałkański to dla Austro–Węgier nie tylko teren ekspansji gospodarczej, to również teren politycznego starcia się z Rosją. Carat dążył do zawładnięcia Bałkanami, monarchia habsburska nie mogła stawiać przed sobą celu tak daleko sięgającego, ale nie mogła też dopuścić, aby Rosja opanowała Bałkany; groziłoby jej to oskrzydleniem z trzech stron; stąd dążenie do zdobycia na Półwyspie mocnego punktu oparcia.

Celowi temu służyły traktaty z Serbią z 28 czerwca 1881 r. i z Rumunią z 30 października 1883 r. Traktat z Rumunią wiązał państwo to z całym Trójprzymierzem i zapewniał mu jego zbrojną pomoc przeciwko Rosji. Z punktu widzenia Wiednia utrudniał i osłabiał rosyjskie parcie na Bałkany.

Traktat z Serbią miał niewątpliwie większe znaczenie, wiązał małe księstwo południowosłowiańskie z potężnym sąsiadem z północy więzami politycznymi i gospodarczymi. Panujący w Belgradzie Milan Obrenović potajemnie proponował w Wiedniu przyłączenie Serbii do monarchii Habsburgów. Rzeczy nie zaszły tak daleko, ale Serbia weszła całkowicie w orbitę wpływów austriackich i nie formalnie wprawdzie, ale faktycznie uznała austriacki protektorat. Serbia zobowiązała się również nie tolerować na swym terytorium działalności skierowanej przeciwko Austro–Węgrom. W zamian monarchia obiecała rozszerzenie granic serbskich na południu kosztem Turcji i poparła wyniesienie księstwa serbskiego do godności królestwa, co nastąpiło 6 marca 1882 r. Milan przybrał tytuł króla Serbii, nie zaś króla

Serbów, co miało inne, daleko szersze znaczenie. Opieka austriacka okazała się zresztą dla Serbii korzystna. Gdy bowiem 19 listopada 1885 r. książę bułgarski Aleksander Battenberg zadał Serbom klęskę pod Śliwnicą, sprzeciw Wiednia zatrzymał pochód wojsk bułgarskich w głąb Serbii.

Traktat austro-węgiersko-serbski, pomimo korzyści, jakie początkowo przynosił obu stronom, krył w sobie zaród upadku. Polityka bowiem nie mogła się tu wspierać na gospodarce. Monarchia habsburska nie była wielką potęgą przemysłową, była w znacznej mierze państwem rolniczym, stąd też wpływały jej trudności w stosunkach z krajami bałkańskimi. Były one dla przemysłu austriackiego i czeskiego pożądanym rynkiem zbytu, ale produkowały to, co Austria, a zwłaszcza Węgry miały w nadmiarze - płody rolne. Wywóz z Serbii nierogacizny, bydła, owoców zagrażał interesom nie tylko węgierskiej szlachty, wielkich właścicieli ziemskich, jak zwykle się powtarzać, ale również i węgierskiemu włościanstwu. Pomimo takiego stanu rzeczy stosunki austriacko-serbskie układały się względnie dobrze, dominacja austriacka w Serbii przetrwała dość długo, do początków wieku XX.

Zagraniczna wymiana handlowa Serbii to przede wszystkim wymiana z Austro-Węgrami; w dziesięcioleciu 1895-1905 monarchia habsburska pokrywała 58% przywozu do Serbii, a 88% wywozu z Serbii. Koleje serbskie stanowiły przedłużenie sieci kolejowej austriackiej i węgierskiej. Związki gospodarcze, a ściślej uzależnienie gospodarcze Belgradu od Wiednia i Buda-



pesztu było więc silne. Z uzależnieniem gospodarczym wiązało się uzależnienie polityczne. Sprzyjał mu układ stosunków międzynarodowych, ciche porozumienie z Rosją o podziale wpływów na Bałkanach: zachodnia część półwyspu to domena wpływów austriackich, wschodnia - wpływów rosyjskich.

W początkach XX wieku, po klęskach poniesionych na Dalekim Wschodzie, Rosja zwróci baczniejszą uwagę na sprawy Bałkanów i Bliskiego Wschodu. Serbowie podejmą walkę o zerwanie więzów łączących ich z Austro–Węgrami.

Rok 1903 przyniósł przewrót pałacowy w Belgradzie, zamordowanie ostatniego z Obrenowiciów, młodego króla Aleksandra, syna Milana, i wyniesienie na tron Piotra Karadziordziewicia. Do władzy doszły dwa czynniki: grupa oficerów, która dokonała zamachu, i stronnictwo tzw. radykałów z Nikołą Pašiciem na czele. I oficerowie, i radykałowie, choć często pozostający z sobą w konflikcie, byli zgodni, że głównym wrogiem Serbii są Austro–Węgry i że oparcia należy szukać w Rosji. Serbia przejmowała kierownictwo ruchu południowosłowiańskiego i wyrastała na południowosłowiański Piemont, oparcia szukała w Petersburgu i nie szukała nadaremnie.

W 1906 r. wygasł traktat handlowy austro–węgiersko–serbski. Dzięki poparciu rosyjskiemu Serbia podjęła nową politykę gospodarczą. Jeszcze w 1903 r. zakupiła sprzęt kolejowy w fabrykach austriackich, ale następne dostawy nadeszły już z Francji z zakładów Schneider–Creusot, a banki francuskie udzieliły Serbii

kredytu na warunkach dogodniejszych niż banki austriackie. W wyroby przemysłowe mogła więc Serbia zaopatrywać się na Zachodzie. Trudności pojawiły się przy eksporcie towarów z Serbii. Szedł on - jak wiemy - prawie w całości do Austro-Węgier. W 1906 r. Austriacy wstrzymali przywóz bydła i nierogacizny z Serbii. Decydowały tu względy polityczne, chęć zmuszenia Serbii do uległości, do przywrócenia stanu rzeczy sprzed roku 1903, ale także i inne czynniki. Wiedeń, przed przedłużeniem ugody z Węgrami, co miało nastąpić w 1907 r. oszczędzał Madziarów, ponadto surowa kontrola weterynaryjna w Niemczech zmuszała i Austriaków do stosowania takiej metody. Okoliczności te sprawiły, że nowy traktat handlowy austro-węgiersko-serbski zawarto dopiero w 1911 r., a tymczasem trwał stan beztraktatowy, wojna zwana niekiedy wulgarnie wojną świńską lub wojną o świnie.

Pomiędzy monarchią habsburską a Serbią rozwarła się przepaść. Propaganda nacjonalistyczna w Serbii wskazywała Serbom, że wszystkie trudności, z którymi kraj musi walczyć, mają źródło w Austro-Węgrzech.

Konflikt austriacko-serbski to nie tylko konflikt gospodarczy, to przede wszystkim konflikt polityczny: kto złączy, kto zjednoczy Słowian południowych? Wielka monarchia Habsburgów czy mała Serbia? Dziś pytanie to wydaje się retoryczne, ale w ówczesnych warunkach były na nie różne odpowiedzi. W każdym razie monarchia habsburska miała możliwości narzucenia Słowianom południowym swej hegemonii. Pamiętać należy, że nie stanowili oni narodu jednolitego.

Słowianie południowi to katolicy Chorwaci, synowie cywilizacji zachodniej, to wyrosli z innego kręgu kulturowego prawosławni Serbowie, a wreszcie Słoweńcy. Rozbicie mogło się pogłębić i utrwalić, mogło się też zakończyć zgodnie z zamierzeniami austriackimi bądź serbskimi. Pomimo wszystko Austriacy trzymali w rękach karty atutowe i mieli szansę wygrania batalii o południową Słowiańszczyznę. Chorwaci pozostawali w konflikcie z Madziarami, ale będąc od lat tradycyjną podporą dynastii, byli lojalni. Na Chorwatach przede wszystkim opierały się koncepcje przebudowy monarchii: zastąpienia dualizmu Austria–Węgry - trializmem, w którym trzonem trzecim byłiby Słowianie południowi pod przewodem Chorwatów.

I w Wiedniu, i w Budapeszcie uznano Serbię za zaporę w stabilizacji stosunków wewnętrznych, jak i w ekspansji gospodarczej na Bałkany i na Bliski Wschód; zaporę tę należało usunąć.

Rok 1908 przyniósł aneksję Bośni i Hercegowiny, dwóch prowincji południowosłowiańskich od 1878 r. okupowanych i zarządzanych przez Austro–Węgry. Aneksja miała pokazać Europie, że monarchia habsburska jest mocarstwem i że stać ją na politykę czynną, na politykę siły. Serbom aneksja miała dowieść, że rozbięcie monarchii wychodziło poza zakres możliwości, że zjednoczenie Słowian południowych powinno i mogło się dokonać nie pod przewodem Serbów, lecz pod patronatem Habsburgów. Stosunki pomiędzy Belgradem a Wiedniem i Budapesztem uległy zaostreniu. W maju 1911 r. powstała w Belgradzie tajna organizacja „Uje-

*dinenije ili Smrt*” („Zjednoczenie lub śmierć”), zwana także „*Črna ruka*” („Czarna Ręka”). Nazwa mówi o celu tajnego związku i o jego metodach. Kierowana z Serbii propaganda jugosłowiańska zataczała na terenie monarchii habsburskiej coraz szersze kręgi i zdobywała coraz więcej zwolenników idei jedności Słowian południowych. Wojny bałkańskie lat 1912 i 1913, z których Serbia wyszła zwycięzcą, podniosły pośród Słowian autorytet królestwa serbskiego.

Zwyciężała idea narodowa, idea państw narodowych, a w takich okolicznościach wielonarodowościowa monarchia Habsburgów wydawała się wielu ludziom w Europie przeżytkiem, pozostałością innych warunków, innej epoki, anachronizmem skazanym na nieuchronną zagładę.

Półwysep Bałkański, od dawna teren gry pomiędzy mocarstwami, teraz był domeną przeważających wpływów rosyjskich i francuskich. Znikła z półwyspu Turcja, na pierwsze miejsce wysunęła się Serbia, wasal Petersburga, Bułgaria, niepewny klient rosyjski, pobita i upokorzona, Rumunia coraz bardziej odsuwająca się od Wiednia i od Berlina, coraz bardziej wiążąca się z kapitałem francuskim. Austro–Węgry mogły wprawdzie zapisać na swym koncie sukces, gdy nie pozwoliły, aby Serbia zdobyła wyjście ‘na morze i własny port na Morzu Adriatyckim, ale było to zbyt mało, aby odbudować podważony autorytet monarchii, aby osłabić i podważyć wpływy rosyjskie, aby usunąć groźbę irredenty serbskiej. Należało więc przystąpić do działania, należało podjąć szerszą akcję dyplomatyczną.

Na polecenie Berchtolda opracowano na *Ballplatzu* memoriał z oceną zmienionej sytuacji na Bałkanach i ze wskazaniem polityki, jaką należało tam prowadzić. Memoriał przeznaczony dla rządu Rzeszy wykazywał, że zbieżne były na Bałkanach interesy Austro–Węgier i Niemiec; celem było pozyskanie Berlina dla założeń nowej polityki austriackiej na Bałkanach. Pierwszą redakcję memoriału skończono opracowywać 24 czerwca 1914 r., a więc na cztery dni przed zabójstwem arcyksięcia następcy tronu. Po poprawkach Berchtolda 28 czerwca była gotowa druga redakcja, 1 lipca gotów był tekst ostateczny.

Autorom memoriału sytuacja na Bałkanach nie rysowała się w jasnych barwach. Rosja i Francja zabiegają usilnie i nie bez powodzenia o wyrównanie przeciwieństw pomiędzy państwami bałkańskimi, a więc Turcją i Bułgarią z jednej, a Rumunią, Serbią i Grecją z drugiej strony. Celem tego wyrównania jest przymierze państw bałkańskich skierowane - rzecz prosta - przeciwko monarchii habsburskiej, gdyż tylko jej kosztem wszyscy sprzymierzeni mogą rozszerzyć swe granice posuwając się ze wschodu na zachód. W planach tych ważne miejsce zajmuje Bułgaria. W polityce bułgarskiej najważniejszą rolę odgrywa Macedonia. Jeśli Bułgarzy dojdą do przekonania, że przynajmniej część Macedonii dostaną za cenę porozumienia z Serbią, nie znajdzie się rząd bułgarski, który ośmieliłby się oprzeć tej koncepcji i Bułgarzy pokornie przyjmą warunki, które podyktuje im Rosja w zamian za wzięcie Bułgarii „pod ochronę i opiekę”.

Niebezpiecznie zmienia się również sytuacja w Rumunii - głosił dalej memoriał. Rosną wpływy rosyjskie i francuskie; armia, klasy oświecone i cały naród opowiadają się za orientacją antyaustriacką i stawiają sobie za cel „wyzwolenie braci po tamtej stronie Karpat”. Król Karol lojalnie i otwarcie oświadczył posłowi austriackiemu w Bukareszcie, że póki żyje nie pozwoli, aby armia rumuńska uderzyła na Austro-Węgry, ale nie może prowadzić polityki wbrew narodowi, dlatego nie można wyobrazić sobie, że w razie agresji rosyjskiej na kraje monarchii habsburskiej armia rumuńska walczyć będzie u boku armii austriackiej.

Zdaniem autorów memoriału Austro-Węgry dotąd nie wyciągnęły wniosków z ewolucji politycznej Rumunii, ulegały perswazjom niemieckim, że zjawiska niepokojące w polityce rumuńskiej są wynikiem nieporozumień z czasu wojen bałkańskich i kryzysu bałkańskiego i znikną automatycznie, jeśli Państwa Centralne zachowają spokój i cierpliwość. Należy wszakże położyć temu kres, gdyż jest to prowadzenie polityki w bez trosce. Dyplomacja austriacka powinna wyteńczyć starania, aby Rumunia powróciła do współpracy z Austro-Węgrami, do polityki lojalnego oparcia na monarchii habsburskiej i dała gwarancje, że zobowiązania sojusznicze wypełniać będzie lojalnie. W tym celu żądać trzeba, aby rząd rumuński manifestem królewskim lub deklaracją ministerialną zaznajomił naród rumuński z tajnymi dotychczas zobowiązaniami Rumunii wobec Trójprzymierza. Jeśli opinia publiczna rumuńska pozna założenia polityki swego rządu i w pewnym sensie je

zaakceptuje, Austro–Węgry będą mogły znowu z zaufaniem uważać przymierze z Rumunią za punkt kluczowy swej polityki bałkańskiej.

Dla autorów memoriału było sprawą oczywistą, że jeśli Rumunia ponownie w nowych warunkach zdecyduje się oprzeć na Wiedniu i Berlinie to jedynie w zamian za ustępstwa polityczne przekraczające ramy dotychczasowych zobowiązań sojuszniczych. Austro–Węgry byłyby skłonne gwarantować granicę rumuńsko–bułgarską; byłyby skłonne również, jeśli Rumunom na tym zależy, pójść na rękę Serbom w dziedzinie gospodarczej i politycznej. Ale na tym kończą się możliwości ustępstw ze strony monarchii; wszelka dyskusja na temat stosunków wewnętrznych w Austrii (Bukowina) czy na Węgrzech (Siedmiogród) jest niemożliwa; w ogóle nie można jej brać pod uwagę.

W Rumunii - wywodzili dalej autorzy memoriału - w wielu kołach panuje pogląd, że dla królestwa najlepszą polityką jest polityka wolnej ręki, lawirowanie pomiędzy dwoma blokami. Otóż na to nie można pozwolić; należy zmusić Rumunię, aby opowiedziała się wyraźnie albo po stronie Trójprzymierza, albo po stronie Rosji i Francji. Jeśli Rumunia nie da się nakłonić do powrotu do aliansu z Państwami Centralnymi i zwiąże się z Rosją, Austro–Węgry wyciągną z tego konsekwencje natury politycznej i militarnej.

W dziedzinie politycznej trzeba będzie wówczas związać z Państwami Centralnymi Bułgarię i doprowadzić do zawarcia przymierza pomiędzy Bułgarią i Turcją. Punktem oparcia na Bałkanach będzie w takim ra-

zie dla monarchii nie Bukareszt, lecz Sofia. W dziedzinie militarnej będzie trzeba wznieść odpowiednie fortyfikacje na bezbronnej dotychczas granicy z Rumunią.

Jest rzeczą bezsporną - kończyli swe uwagi autorzy memoriału - że polityka Rosji i Francji na Bałkanach kieruje się nie tylko przeciwko monarchii habsburskiej, ale także i przeciwko Rzeszy; „widoczne dążenie” Petersburga do okrążenia Austro-Węgier jest jednym z elementów antyniemieckiej polityki Rosji, polityki przeciwdziałania ekspansji Niemiec. Dlatego krótkowzroczne są poglądy, jakoby Niemcy popierały monarchię z uwagi na lojalność sojuszniczą.

Według autorów memoriału najdoskonalsze byłoby utrzymanie sojuszu z Rumunią i zawarcie przymierza z Bułgarią. Serbia byłaby wówczas oskrzydłona, zwłaszcza że w przyszłości czynnikiem antyserbskim będzie również i nowo powstałe państwo albańskie.

Memoriał stwierdzał więc potrzebę aktywnej polityki austriackiej na Bałkanach, polityki zmierzającej do izolowania i osłabienia Serbii, a tą drogą do stłumienia, do zgłuszenia irredentyzmu jugosłowiańskiego.

Zarysy tej polityki ustalono więc przed sarajewskim zamachem na życie następcy tronu.

## **4. Sarajewo**

Dnia 28 czerwca 1914 r. w Sarajewie, stolicy Bośni, pod kulami zamachowców serbskich padł następca tronu monarchii habsburskiej arcyksiążę Franciszek Ferdynand. Kim był arcyksiążę Franciszek Ferdynand, jaka była jego osobowość, jakie były jego dążenia i je-



go plany polityczne? Postać to interesująca i wielce kontrowersyjna. Otacza go legenda wielkiej miłości i walki, którą podjął ze światem, aby za cenę wielkich wyrzeczeń poślubić ukochaną kobietę. W dziedzinie politycznej oceniano go różnie - dla jednych był przewidującym mężem stanu, który jedyny zdoła odrodzić i uratować starożytną monarchię Habsburgów, inni widzieli w nim reformatora pozbawionego realizmu, który rozpad monarchii mógłby jedynie zaostrzyć i przyspieszyć.

W 1896 r., po zgonie ojca a brata cesarskiego Karola Ludwika, Franciszek Ferdynand został następcą tronu i wziął się do pracy nad przygotowaniem się do przyszłych obowiązków monarszych. Interesował się żywo i polityką wewnętrzną, i zagraniczną, przedstawiał cesarzowi swoje opinie, na wpływowych stanowiskach usiłował umieszczać oddanych sobie ludzi. Nie było to sprawą łatwą; cesarz Franciszek Józef strzegł zazdrośnie swych praw, bratankowi powierzał często funkcje reprezentacyjne, nie dzielił się z nim władzą. Dopiero w 1913 r. powierzył mu, opróżnione w 1896 r. w wyniku zgonu zwycięzcy spod Custozzy arcyksięcia Albrechta, stanowisko generalnego inspektora sił zbrojnych monarchii, czyli naczelnego wodza na wypadek wojny. Zdaniem Carla von Bardolffa, szefa kancelarii wojskowej Franciszka Ferdynanda, arcyksiążę w każdej ważnej sprawie dotyczącej się armii zajmował stanowisko, chociaż ostateczne decyzje pozostawały nadal w rękach cesarza. Ale nade wszystko zajmował się planami zasadniczej przebudowy monarchii. Zgrupował

dokoła siebie grono ludzi różnych narodowości; ich zadaniem było przemyśleć i przygotować reformę ustroju monarchii habsburskiej. Do grona tego należeli m. in. późniejsi premierzy zjednoczonego królestwa Rumunii Alexandra Vaida–Voevod i Iuliu Maniu, przyszły premier Czechosłowacji Słowak Milan Hodža i wreszcie Polak Juliusz Twardowski. Wiadomo, że nie było wśród nich ani jednego Węgra.

Panujący od roku 1867 ustrój monarchii, dualizm (cesarstwo Austrii i królestwo Węgier, złączone unią dynastyczną i rzeczową) uważał arcyksiążę za źródło słabości imperium Habsburgów. Za szczególnie szkodliwy poczytywał następca tronu niepośledni wpływ, jaki na sprawy państwa wywierali Węgrzy, a ściślej szlachta węgierska. Złamanie tego wpływu było - jego zdaniem - podstawowym warunkiem reformy państwa.

O planach arcyksięcia i jego „trustu mózgow” niewiele możemy powiedzieć. Arcyksiążę zamyslał początkowo przekształcić ustrój dualistyczny w trialistyczny, obok trzonu austriackiego i węgierskiego powstać miał trzon słowiański czy południowosłowiański z Chorwatami na czele. Później skłaniał się ku myśli utworzenia z monarchii kilkunastu krajów koronnych wyposażonych w autonomię w lokalnych sprawach gospodarczych, narodowościowych, wyznaniowych, kulturowych, ale podlegających silnej władzy centralnej, której ostoją miała być jednolita armia „podpora tronu”. W rzędzie najbliższych doradców arcyksięcia stał Rumun profesor Aureliu Popovici, autor głośnej w swoim czasie książki *„Die Vereinigten Staaten von Gross-*

*Österreich*” („*Stany Zjednoczone Wielkiej Austrii*”). Popowici proponował podział całej monarchii na 15 „krajów” obdarzonych własnymi rządami i sejmami; rząd i parlament centralny zawiadywać miały sprawami wspólnymi. Ambasador niemiecki w Wiedniu Heinrich von Tschirschky und Bögendorff 2 lipca 1914 r. pisał do kanclerza Bethmanna, że arcyksiążę nauczył się cenić żywioł niemiecki i upatrywał w nim czynnik państwowotwórczy w „austriackim chaosie narodowościowym”. Ambasador był zdania, że arcyksiążę dążyłby do wzmocnienia niemczyzny. W polityce zagranicznej, w ocenie sytuacji międzynarodowej arcyksiążę reprezentował poglądy anachroniczne. Trójprzymierze - Austro-Węgry, Niemcy, Włochy - pragnął zastąpić związkiem trójcesarskim - Austro-Węgry, Niemcy, Rosja. Wyobrażał sobie, że interesy monarchiczne, konserwatywne są silniejsze niż antagonizm austro-rosyjski na Bałkanach i niemiecko-rosyjski na Bliskim Wschodzie i wezmą nad nimi górę.

Otóż nie ulega wątpliwości, że gdyby arcyksiążę zdołał zrealizować swe plany przekształcenia monarchii Habsburgów, utrudniłby bardzo zjednoczenie Słowian południowych pod hegemonią serbską. Zacieśniłyby się zapewne więzy tradycyjnie jeszcze wówczas łączące Chorwatów z koroną Habsburgów, więzy, które na przełomie XIX i XX wieku zaczęły się nieco rozluźniać. Należy tu wziąć także pod uwagę stary antagonizm serbsko-chorwacki.

Panujący cesarz Franciszek Józef liczył sobie lat 84, a to pozwalało sądzić, iż arcyksiążę Franciszek Fer-

dynand w bliskiej już przyszłości zasiądzie na tronie i przystąpi do wprowadzania w życie swych planów. W tych warunkach powstała, czy też dojrzała myśl zamachu na życie następcy tronu Austro–Węgier.

Powstaje pytanie, kto zamachu na życie arcyksięcia Franciszka Ferdynanda dokonał, kto go przygotował i jaki był tego zamachu cel polityczny?

Istniała organizacja „Młoda Bośnia”, grupująca uczniów gimnazjalnych i studentów Serbów bośniackich. Byli to głównie synowie chłopów serbskich. Organizacja ta dążyła do zjednoczenia wszystkich Słowian południowych pod przewodem Serbii, zarazem stawiała sobie za cel zmianę anachronicznych stosunków społecznych w Bośni i Hercegowinie. Pośród zwolenników „Młodej Bośni” dominował pogląd, że Serbia - jedyna niepodległa gałąź Słowiańszczyzny południowej - ma moralny obowiązek zjednoczenia Słowian południowych i powinna odegrać wśród nich taką rolę, jaką dla Włochów odegrał w XIX w. Piemont. Główną wszakże rolę w zamachu odegrała tajna organizacja serbska „*Ujedinjenje ili Smrt*”. Kierowali nią „ludzie 29 maja”, tzn. oficerowie, którzy w 1903 r. wzięli udział w spisku na życie króla serbskiego Aleksandra, ostatniego z rodu Obrenowiciów, i jego żony Dragi. Na tron krwawo opróżniony wstąpił Piotr I, przedstawiciel drugiej dynastii serbskiej Karadziordziewiciów, konkurującej z Obrenowiciami. Pod nowym panowaniem Serbia przeszła zdecydowanie z dawnej orientacji austriackiej na orientację rosyjską.

„Ludzie 29 maja” nie chcieli się zadowolić odegraną fortunnie rolą sprawców przewrotu dynastycznego. Pragnęli uzyskać decydujący wpływ na politykę państwa. Na tym tle doszło do ostrego konfliktu z politykami cywilnymi z pozostającej u steru rządów partii radykałów.

„Czarna ręka” została zawiązana w 1911 r., ale do większego znaczenia doszła podczas wojen bałkańskich w latach 1912–1913. Na jej czele stał szef departamentu informacyjnego w serbskim ministerstwie wojny, pułkownik sztabu głównego Dragutin Dimitrijević; nosił on przydomek czy też pseudonim Apis, przez środek jego czarnej czupryny szło bowiem pasmo siwych włosów.

Łączenie dwóch funkcji - szefa wywiadu i przywódcy tajnej organizacji spiskowej - otwierało przed Dimitrijevicem szerokie możliwości.

Wywiad serbski nie ograniczał się do zbierania informacji wojskowych i politycznych, do wspomagania dywersji politycznych w monarchii habsburskiej. Sięgnął po bomby i rewolwery w celach terrorystycznych. Myślano o zamordowaniu cesarza Franciszka Józefa, następcy tronu Franciszka Ferdynanda lub dowódcy wojskowego w Bośni, generała artylerii Oskara Potioraka. Ostatecznie zapadła decyzja, że ofiarą zamachu paść ma arcyksiążę Franciszek Ferdynand; uznano go bowiem za najbardziej niebezpiecznego przeciwnika idei jedności jugosłowiańskiej. Pogląd taki - jak wiemy - nie był pozbawiony uzasadnienia. Zabójca arcyksięcia Gavrilo Princip mówił w sądzie, że po wstąpieniu na

tron Franciszek Ferdynand wprowadziłby zmiany i reformy, które zamykałyby bądź utrudniały drogę Serbom.

Wyświetlono już wiele kwestii dotyczących się genezy zamachu, jego organizacji i jego wykonania, a mimo to pozostaje jeszcze wiele niewiadomych.

Wywiad serbski miał ściśle powiązania z wywiadem rosyjskim. Nie wiadomo wszakże i zapewne nie dowiemy się nigdy, czy wywiad rosyjski wiedział o przygotowaniach do zamachu i jakie w tej kwestii zajmował stanowisko; jaką rolę odegrał tu cesarski *attaché* wojskowy w Belgradzie pułkownik Wiktor Artamonow.

Nie ulega wątpliwości, że inicjatywa wyszła od oficerów i organizacji „Czarnej Ręki”. Nie ulega również wątpliwości, że pułkownik Dimitrijević o zamiarze zamordowania następcy tronu austriackiego nie zameldował ani swym przełożonym, ani szefowi sztabu, ani ministrowi wojny. Ale również jest rzeczą pewną, iż rząd serbski swoimi kanałami uzyskał wiadomości o przygotowaniach do zamachu. Premier Pašić znalazł się w położeniu niełatwym; jeśli pragnął zająć stanowisko lojalne względem Austro–Węgier i uniknąć z nimi konfliktu, powinien był przestrzec władze austriackie; nie była to wszakże sprawa prosta - ostrzeżenie mogło skompromitować Serbię, mogło też dojść do wiadomości serbskiego wywiadu wojskowego i „Czarnej Ręki” i wywołać niebezpieczne dla premiera konsekwencje. Ostatecznie Pašić zdecydował się podać sprawę w dyskretny sposób do wiadomości Wiednia. Istnieją na ten

temat różne wersje; według niektórych do ostrzeżenia w ogóle nie doszło. Najbardziej prawdopodobna wydaje się wersja następująca: poseł serbski w Wiedniu Jovan Jovanović otrzymał polecenie powiadomienia w sposób dyskretny, nieoficjalny rządu austriackiego, że według informacji zdobytych przez władze serbskie istnieje możliwość dokonania zamachu na życie arcyksięcia Franciszka Ferdynanda podczas jego podróży do Bośni. Jovanović nie zwrócił się na *Ballplatz* drogą urzędową, nie poinformował o sprawie c. i k. Ministerstwa Spraw Zagranicznych, lecz w sposób luźny i ogólnikowy dał do zrozumienia wspólnemu austro-węgierskiemu ministrowi finansów i wielkorządcy Bośni i Hercegowiny Leonowi Bilińskiemu, że arcyksięciu grozić może w Bośni niebezpieczeństwo. Wydaje się, że Biliński nie przywiązywał wagi do aluzji Jovanovicia. W pamiętnikach opowiada, iż w tym czasie wiele osób - m. in. on sam - otrzymywało z różnych stron ostrzeżenia o przygotowywanych zamachach. Ostrzeżenia te - pisze Biliński - „nie robiły na nikim wrażenia właśnie z uwagi na zapowiedź tych morderstw, rewolucje zapowiedziane bywają najmniej niebezpieczne”. Biliński nie wspomniał zresztą ani słowem o ostrzeżeniu Jovanovicia.

W czerwcu 1914 r. odbyły się w Bośni wielkie manewry, uświetnione obecnością następcy tronu i generalnego inspektora sił zbrojnych. Po ukończeniu manewrów, w niedzielę 28 czerwca, arcyksiążę w towarzystwie morganatycznej małżonki księżnej Zofii Ho-

henberg odbył uroczysty wjazd do stolicy kraju. Sarajewa.

Dzień 28 czerwca był dla Serbów datą pamiętną. Tego dnia 1389 r. na Kosowym Polu państwo serbskie padło pod uderzeniem Turków. Wszakże zwycięski sułtan Murad I został tego dnia zasztyletowany przez Serba Miloša Obilicia.

Jest to również rocznica innego wydarzenia historycznego, które - być może - chcieli Austriacy przypomnieć Serbom. Oto 28 czerwca 1881 r. zawarto konwencję austro-serbską. Serbia zobowiązała się uzależnić swą politykę zagraniczną od woli Wiednia, w zamian uzyskała poparcie monarchii habsburskiej dla dążeń rewindykacyjnych na południu.

Dzień oficjalnej wizyty następcy tronu austriackiego i węgierskiego w Sarajewie, gdzie znaczną część ludności stanowili Serbowie, nie był więc szczególnie szczęśliwie wybrany. Tym bardziej że pośród ludności serbskiej Bośni i Hercegowiny panowało wrzenie, a w ostatnich latach kraj ten był widownią kilku zamachów na życie dygnitarzy austriackich.

Tymczasem gubernator wojskowy kraju generał Oskar Potiorek i w ogóle władze wojskowe stały na stanowisku, że podróż arcyksięcia ma charakter wyłącznie wojskowy i odsunęły wielkorządcę Bośni ministra Leona Bilińskiego oraz czynniki cywilne od udziału w organizowaniu przyjęcia dostojnego gościa. Wojsko nie zatroszczyło się wszakże o zapewnienie arcyksięciu należytej ochrony. Władze cywilne domagały się, aby wzdłuż ulic, którymi miał przejeżdżać następcą



tronu, ustawiono kordon wojska. Okazało się jednak, że w rojącej się zwykle od żołnierzy stolicy Bośni znajduje się zaledwie jedna kompania piechoty, korpus sarajewski nie powrócił jeszcze z manewrów. Było też zbyt mało policji. Na trasie przejazdu arcyksięcia jeden policjant stał od drugiego w odległości około stu metrów. Tych członków świty arcyksiężęcej, którzy orientowali się w sytuacji i doradzali następcy tronu odwołanie uroczystego wjazdu do Sarajewa i powrót do Wiednia, generał Potiorek zapewnił, że jako gubernator bierze pełną odpowiedzialność za przebieg uroczystości. Sekretna choroba osłabiła sprawność generalskiego mózgu. Ale jego stanowisko rozstrzygnęło sprawę.

W niedzielę, 28 czerwca 1914 r., następca tronu wraz z małżonką przybył do Sarajewa. Wjazd arcyksięcia do Sarajewa odbył się według uroczystego programu. Ludność miasta licznie wyległa na ulice wzdłuż trasy przejazdu, armaty w formie gotowe były do salw honorowych, a w ukryciu czaili się już zamachowcy gotowi do czynu. Głównych zamachowców było trzech: Nedeljko Čabrinović, Gavrilo Princip i Trifko Grabež, Bośniacy, a więc poddani austriaccy, ale Serbowie, w Serbii nie w Austrii widzący swą ojczyznę. Przeszkolenie terrorystyczne odbyli w Serbii. 26 maja 1914 r. członkowie „Czarnej Ręki” major Voja Tankosić i urzędnik kolei serbskich Milan Ciganović, za wiedzą pułkownika Dimitrijevicia zaopatrzyli zamachowców w broń z magazynów wojskowych serbskich; były to granaty ręczne i brauningi: dostarczyli im również pieniędzy. 3 czerwca 1914 r. funkcjonariusze serbskiej

służby granicznej i agenci wywiadu serbskiego przeprowadzili spiskowców przez granicę i przemycili broń.

Gdy para arcyksiążęca wraz ze świtą jechała do ratusza, w kolumnie samochodów pośród licznie zgromadzonej na ulicach publiczności, czeladnik drukarski Čabrinović rzucił bombę. Ale arcyksiążę zdołał odrzucić ją ręką, tak że eksplodowała na jezdni, odłamek ranił adiutanta. Po uroczystości powitalnej w ratuszu następca tronu wyraził chęć odwiedzenia w szpitalu ranego oficera - ofiary zamachu. Podczas jazdy z ratusza do szpitala uczeń Gavrilo Princip oddał do pary arcyksiążęcej dwa strzały; były to strzały śmiertelne. Franciszek Ferdynand i księżna Hohenberg zmarli w kilka czy kilkanaście minut po zamachu. Pomoc lekarska była na miejscu, lecz już bezsilna. Przybyły z pobliskiego klasztoru zakonnik franciszkański udzielił małżonkom ostatniego namaszczenia in articulo mortis. Dzwony zaczęły bić w kościołach

Sarajewa. „Czy było to podzwonne monarchii habsburskiej?” - pisze biograf cesarza Franciszka Józefa.

Wiadomość o zabiciu następcy tronu już we wczesnych godzinach popołudniowych rozeszła się we wszystkich krajach monarchii. Od razu zaznaczyła się różnica pomiędzy uczuciami wywołanymi śmiercią niezbyt popularnego arcyksięcia a rozumieniem politycznego znaczenia sprawy. Jeden z zauszników Franciszka Ferdynanda Ottokar hrabia Czernin pisał: „na dworze wiedeńskim i w towarzystwie budapeszteńskim

więcej było uradowanych niż bolejących. (...) Nie mogli przeczuć, że zmarły pociągnie ich z sobą w upadku i, że rozpętana katastrofa światowa pochłonie ich wszystkich”. Na ulicach Wiednia, według oceny J. Redlicha, nie wyczuwało się nastrojów żałobnych. Rzecz znamienna, inaczej zupełnie zareagował na wiadomość o zamachu Kraków. „Wieczorem wyszliśmy na miasto - wspomina działacz ludowy Jan Dąbski - Olbrzymie fale przewalały się po ulicach i kawiarniach. Mord uczynił na Krakowie wstrząsające wrażenie. Wszyscy rozumieli, że odwraca się jakaś nowa, tajemnicza karta w dziejach ludzkości”.

A teraz słowo - będzie to miało konsekwencje polityczne - o uroczystościach pogrzebowych zamordowanego następcy tronu. Ograniczono je do form najskromniejszych; zadbał o to wielki ochmistrz dworu księżę Alfred Montenuovo, który mścił się za okazywaną mu przez zmarłego wzgardę i niechęć. Zwłoki arcyksięcia nie spoczęły, tak jak wszystkich członków dynastii, w krypcie rodowej Habsburgów w podziemiach kościoła kapucynów w Wiedniu, lecz w kościele w Artstetten. Pogrzeb odbył się skromnie 4 lipca 1914 r.; następcy tronu i generalnemu inspektorowi armii odmówiono asysty wojskowej.

29 października 1914 r. sąd w Sarajewie ogłosił wyrok w sprawie uczestników zamachu na następcę tronu. Gavrilo Princip, Nedeljko Čabrinović i Trifko Grabež zostali skazani na 20 lat więzienia za zdradę stanu i morderstwo. W dniu popełnienia zbrodni żaden z nich nie ukończył 20 roku życia, a według obowiązku-

jącego kodeksu nieletnich nie wolno było skazywać ani na karę śmierci, ani na więzienie dłuższe niż lat dwadzieścia. Wszyscy trzej zmarli w więzieniu jeszcze podczas wojny.

Większe znaczenie miały wszakże losy nie wykonawców, lecz inspiratorów i kierowników zamachu. Rozegrały się one już w latach wojennych. Zaostrzył się wówczas w Serbii konflikt pomiędzy wojskowymi a politykami cywilnymi. Oficerowie odpowiedzialnością za klęskę serbską obarczali rząd Pašicia, twierdzili, że przegraną spowodowały, a w każdym razie ją powiększyły błędy popełnione przez władze cywilne. Spór zaogniał się i przysparzał rządowi coraz znaczniejszych trudności. A nie zapominajmy, że Dimitrijević jako szef wywiadu wiedział o różnych sprawach i dla wielu polityków mógł być niebezpieczny. Uderzono więc w Dimitrijevicia, oskarżono go o przygotowanie puczu wojskowego celem obalenia rządu konstytucyjnego, odpowiedzialnego przed parlamentem, i zastąpienia go rządami klikii oficerskiej. Na przełomie roku 1916/17 regent książę Aleksander i prezes ministrów Pašić zdecydowali się zlikwidować przemocą niebezpieczną grupę oficerską. W początku 1917 r. aresztowano Dimitrijevicia i kilkunastu oficerów. Prowadzony w Salonikach proces przed sądem wojennym zakończył się, jak nietrudno było przewidzieć, wydaniem wyroków śmierci i wieloletniego więzienia. Regent Aleksander ułaskawił skazanych i zamienił im karę pozbawienia życia na dożywotnie lub wieloletnie więzienie. Udzielenia łaski odmówił regent Dimitri-

jeviciowi i dwu oficerom. Wyroki wykonano 26 czerwca 1917 r.

Czyżby miało być kwestią przypadku, że Dimitrijević stanął przed sądem właśnie w czasie, gdy toczyły się tajne rokowania o pokój odrębny z Austro-Węgrami? Chwilami mogło się wydawać, że rokowania zakończą się istotnie wynikiem pozytywnym. W ówczesnej sytuacji rząd serbski gotów był pogodzić się z takim obrotem sprawy. A w takim razie mógłby w chwili zawierania pokoju pokazać Austrii i światu, że władze serbskie doszły do przekonania o odpowiedzialności Dimitrijevicia za zamordowanie arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i same z własnej inicjatywy ukarały winnego.

Są to, rzecz prosta, tylko supozycje, pełnej prawdy nie dowiemy się zapewne nigdy. Jedno jest pewne - Dimitrijević wiedział dużo, może zbyt dużo.

W 1925 r., w ogniu gorących wówczas dyskusji na temat odpowiedzialności za wywołanie pierwszej wojny światowej, rząd serbski zapowiedział publikację zbioru dokumentów oficjalnych dotyczących zamachu sarajewskiego. Zapowiedź ta nie została spełniona.

## 5. Lipiec roku 1914

Kule zamachowca serbskiego położyły kres życiu następcy tronu Habsburgów w chwili, gdy na *Ballplatzu* ustalono już zasady austriackiej ofensywy dyplomatycznej na Bałkanach. Zamach sarajewski ugodził w arcyksięcia, ale przede wszystkim ugodził w autorytet monarchii. I monarchia Habsburgów nie mogła spokoj-

nie przejść nad tym do porządku, nie mogła faktu tego zignorować, musiała reagować ostro.

Brzmi to jak paradoks, ale taka była rzeczywistość - zamach sarajewski wsunął rządowi austriackiemu w ręce atut silny i żywo przemawiający do całej ówczesnej monarchicznej jeszcze (z wyjątkiem Francji, Szwajcarii i Portugalii) Europy. Atutem tym było dokonane przez Serbów królobójstwo. Spodziewano się, że uroczystości pogrzebowe zamordowanego następcy tronu sprowadzą do Wiednia przedstawicieli wszystkich panujących dynastii europejskich i w atmosferze powszechnego oburzenia nastąpi publiczne potępienie królobójców i ich protektorów. Od udziału w takim potępieniu nie mogłaby się uchylić i carska Rosja. Austria w walce politycznej przeciwko Serbii dostałaby do rąk oręż silny. Małostkowe wszakże intrygi dworskie i niechęć, która otaczała w tych kołach Franciszka Ferdynanda, wytrąciły broń tę z ręki Austriakom. Uroczystości pogrzebowe ograniczono do najskromniejszych form i nie dopuszczono do przyjazdu monarchów europejskich i przedstawicieli dworów pod pozorem oszczędzania sił sędziwego, 84-letniego cesarza Franciszka Józefa. Zaprzepaszczone tą drogą niemałą szansę moralnego i politycznego izolowania Serbii.

Władze wojskowe wszelako zamierzały od razu podjąć akcję przeciwko Serbii, władze polityczne zajmowały stanowisko ostrożniejsze. Na ostrożność i umiarkowanie nalegał szczególnie węgierski prezes ministrów hrabia Istvan Tisza. Uważał on, że dopóki się nie wykaże, iż rząd serbski ponosi odpowiedzial-

ność za zamach, akcja zbrojna przeciwko Serbii postawi monarchię w złym „*locus standi*” i w opinii świata narazi na zarzut, że to Austria jest burzycielem pokoju. Tisza zwracał również uwagę, że wojny nie przygotowano politycznie, Rumunia pomimo traktatu przymierza nie jest już sprzymierzeńcem, Bułgaria - sprzymierzeniec potencjalny - jest bardzo osłabiona. Należy więc czekać na koniunkturę sprzyjającą i zapewnić sobie poparcie Niemiec.

Poparcie Niemiec uznano za niezbędny warunek stanowczego wystąpienia przeciwko Serbii. Celem wystąpienia miało być unieszkodliwienie raz na zawsze Serbii przez przejaw siły monarchii.

W niedzielę, 5 lipca 1914 r., c. i k. ambasador w Berlinie hr. Laszlo Szögyenyi–Marich na audiencji w Nowym Pałacu w Poczdamie doręczył cesarzowi Wilhelmowi list odręczny cesarza Franciszka Józefa oraz znany nam już memoriał austro–węgierskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Cesarz uważnie przeczytał oba pisma i zapewnił ambasadora, że Austro–Węgry w pełni mogą liczyć na poparcie Niemiec, dodał wszakże, iż musi jeszcze wysłuchać opinii kanclerza, ale nie wątpi, że pan Bethmann Hollweg będzie tego samego zdania.

Po południu tego samego dnia 5 lipca cesarz przyjął kanclerza Bethmanna i podsekretarza stanu w Urzędzie Spraw Zagranicznych Arthura Zimmermanna, który zastępował bawiącego w podróży poślubnej sekretarza stanu Gottlieba von Jagowa. Rozmowa wykazała zupełną zgodność poglądów. Zakonkludowano, iż „ce-

sarz Franciszek Józef musi wiedzieć, że w ciężkiej chwili nie opuścimy Austro–Węgier. Nasz własny interes życiowy wymaga utrzymania nienaruszonej Austrii”.

Cesarz przyjął następnie przedstawicieli wojskowości: pruskiego ministra wojny generała piechoty Ericha von Falkenhayna, generała pułkownika Hansa von Plessena i szefa gabinetu wojskowego generała piechoty Moritza von Lynckera. Rozmowa odbyła się w tym samym duchu i z takimi samymi konkluzjami.

Wkrótce później, jeszcze podczas wojny, powstała legenda, szerzona gorliwie zwłaszcza w krajach Koalicji, jakoby w Poczdamie miała się zebrać 5 lipca Rada Koronna i postanowić wojnę. Dalekie to od prawdy. Cesarz prowadził jedynie rozmowy z dygnitarzami cywilnymi i wojskowymi.

Stanowisko zajęte przez rząd Rzeszy w lipcu 1914 r. wyjaśnił sekretarz stanu w Urzędzie Spraw Zagranicznych von Jagow w liście do ambasadora niemieckiego w Londynie księcia Karla Maxa Lichnowskyego. „... Mamy sojusz z Austrią - pisał Jagow - *hic Rhodus, hic salta* (...) Utrzymanie Austrii i to możliwie silnej Austrii jest dla nas koniecznością z powodów wewnętrznych i zewnętrznych. Przyznaję chętnie, że nie da się ona wiecznie utrzymać przy życiu. Tymczasem dadzą się wynaleźć jakoweś kombinacje. Musimy się starać zlokalizować konflikt austro–serbski. (...) Im bardziej Austria pokaże się zdecydowana, im energiczniej my ją poprzemy, tym pewniej Rosja zachowa spokój. (...) Jeśli nie powiedzie się lokalizacja (konfliktu)



i Rosja zaatakuje Austrię, nastąpi *casus foederis*, a wówczas nie możemy opuścić Austrii. Znaliśmy się w niechwalebny odosobnieniu. Nie chcę wojny prewencyjnej, ale jeśli walka się rozpocznie, nie wolno nam się usunąć...”

W tym samym duchu przemawiał w dniu 1 sierpnia 1914 r. kanclerz na posiedzeniu Rady Związkowej. „Nasz interes - mówił Bethmann Hollweg - nakazuje, aby Austria ostała się silna i nie uległa w walce ze Słowiańszczyzną. (...) Zniweczenie Austrii podcięłoby korzenie Rzeszy Niemieckiej”.

Politykę tę - nie dopuszczenia do upadku mocarstwowej pozycji Austrii - prowadziły Niemcy od czasów Bismarcka. Upadek monarchii habsburskiej otwierał wrota ekspansji rosyjskiej na Bałkanach i w Europie Naddunajskiej i zagrażał interesom niemieckim nie tylko na Bliskim Wschodzie, ale i nad Dunajem.

7 lipca 1914 r. zebrała się na *Ballplatzu* w Wiedniu wspólna rada ministrów monarchii habsburskiej. Pod przewodnictwem ministra domu cesarskiego i królewskiego oraz spraw zagranicznych hrabiego Leopolda Berchtolda von und zu Ungarschütz zasiedli u stołu obrad ministrowie wspólni: finansów Leon Biliński i wojny generał broni Alexander Krobatin, dwaj prezesi ministrów: austriacki hrabia Karl von Stürgkh i węgierski hrabia Istvan Tisza de Borosjenö et Szeged, szef sztabu głównego generał piechoty Franz Conrad von Hötzendorf i przedstawiciel dowództwa marynarki wojennej kontradmirał Karl Kailer von Kaltenfels.

Minister Berchtold miał już w ręku relacje z Berlina, że Niemcy „stoją u boku monarchii jako sprzymierzeniec i przyjaciel”. Otworzył więc posiedzenie zaznaczając, iż Rada powinna stwierdzić, czy nie nadeszła chwila, aby „na zawsze unieszkodliwić Serbię przez uwidocznienie siły”. Cesarz niemiecki i kanclerz Rzeszy zapowiedzieli „bezwzględne poparcie”. A dwaj pozostali sprzymierzeńcy - Włochy i Rumunia? Berchtold sądził, że „lepiej będzie działać i czekać na ewentualne postulaty kompensacyjne”. Minister był w pełni świadom, że wyprawa zbrojna na Serbię może przynieść w skutku wojnę z Rosją, zwracał wszakże uwagę obecnych, że Rosja pracuje nad utworzeniem związku państw bałkańskich, łącznie z Rumunią, i skierowaniem go w odpowiedniej chwili przeciwko Austro-Węgrom, a w takiej sytuacji czas pracować będzie przeciwko monarchii tym bardziej, że Słowianie południowi i Rumuni poczytywać będą jej bezczynność za słabość. Minister skończył *exposé* wnioskiem, że podjęta w odpowiedniej chwili rozprawa z Serbami zapobiegnie niepomyślnemu biegowi wypadków.

Pierwszy zabrał głos węgierski prezes ministrów Tisza i wypowiedział się stanowczo przeciwko agresji na Serbię „bez uprzedniej akcji dyplomatycznej”. Jego zdaniem postawiłoby to Austro-Węgry w oczach całej Europy w pozycji napastnika. Serbii należy postawić warunki „twarde, ale możliwe do przyjęcia” ; jeśli je Serbia przyjmie, monarchia osiągnie olbrzymi sukces dyplomatyczny i podniesie swój autorytet na Bałkanach. Jeśli zaś Serbia odrzuci warunki austriackie,

wówczas i on - Tisza - opowie się za akcją zbrojną, trzeba wszakże od razu ustalić, iż celem będzie pomniejszenie, ale nie zupełne unicestwienie Serbii. Do unicestwienia Serbii nie dopuści nigdy Rosja bez walki na śmierć i życie, nie zgodzi się na to również i on, Tisza, gdyż jako szef rządu węgierskiego nie pozwoli, aby monarchia anektowała jakąś część królestwa serbskiego.

Po dłuższej dyskusji stwierdzono, że wszyscy obecni pragną możliwie najszybszego rozstrzygnięcia konfliktu z Serbią „na drodze wojennej albo pokojowej”. Wszyscy, z wyjątkiem Tiszy, uznali, że „sukces czysto dyplomatyczny, nawet gdyby się wiązał z bezprzykładnym upokorzeniem Serbii, byłby bez znaczenia; dlatego należy postawić Serbii warunki, które według wszelkiego prawdopodobieństwa musiałyby odrzucić; powstałaby wtedy możliwość radykalnego rozwiązania drogą nacisku militarnego”. Tisza domagał się wszakże, aby monarchia stawiając Serbii warunki twarde nie odkryła zbyt wiele kart i nie wzbudziła w świecie przekonania, że celem było zmuszenie Serbii do ich odrzucenia.

Minister spraw zagranicznych miał więc ręce wolne, ale wziął się do rzeczy niezręcznie. W gorących dniach lipcowych dyplomacja austriacka interesowała się jedynie stanowiskiem Niemiec, czy udzielą monarchii poparcia, czy kryć ją będą od strony Rosji; poza kręgiem zainteresowań *Ballplatzu* pozostawała, na razie przynajmniej, kwestia jak na akcję austriacką wobec Serbii reagować będą inne państwa, jak się do niej od-

niesie opinia publiczna w Europie, jakie stanowisko zajmie sprzymierzeniec włoski.

Berlin reagował na sytuację inaczej niż Wiedeń. W Berlinie rozumiano, że należy się liczyć z opinią publiczną, że w krajach zachodnich wywiera ona na rządy wpływ niemały, że trzeba więc działać tak, aby w opinii ogółu wzbudziło się przekonanie, iż rządy powinny trzymać się z dala od konfliktu pomiędzy Wiedniem i Budapesztem a Belgradem. Należy wywołać nastroje potępienia zamachowców serbskich, królobójców, nastroje podobne do tych, które panowały w społeczeństwie angielskim w 1903 r. po zamordowaniu Aleksandra i Dragi Obrenowiciów.

Taka kampania prasowa była nietrudna do przeprowadzenia w Wielkiej Brytanii, trudniejsza w innych krajach, ale przecież możliwa. Austriacy nie zwrócili na sprawę uwagi i tu znowu popełnili pomyłkę. Zaniechanie uroczystości pogrzebowych następcy tronu z udziałem przedstawicieli dworów europejskich, a następnie zlekceważenie opinii publicznej Europy - oto dwa poważne błędy w kalkulacjach *Ballplatzu*.

Prowadzone śledztwo wykazało niewątpliwe powiązania zamachowców z Belgradem, nie mogło wszakże stwierdzić bezpośredniej odpowiedzialności rządu serbskiego za zabójstwo następcy tronu.

9 lipca 1914 r. cesarz Franciszek Józef przyjął w swej letniej rezydencji w Bad Ischl ministra Berchtolda i, pomimo znanych mu obiekcji Tiszy, wyraził zgodę na ostre, stanowcze kroki wobec Serbii.

Na *Ballplatzu* przystąpiono do pracy nad redakcją noty do rządu serbskiego. Wiedziano tam, że węgierski prezes ministrów zapytał szefa sztabu głównego, jak w najbliższych latach kształtować się będzie stosunek sił pomiędzy wielkimi mocarstwami, i znano odpowiedź Conrada: „Raczej na naszą niekorzyść”.

Dwa czynniki górowały teraz w Wiedniu; najpierw przekonanie, że tylko przez unicestwienie Serbii, unicestwienie serbskiego Piemontu można powstrzymać ruchy narodowe południowosłowiańskie skierowane przeciwko monarchii Habsburgów i jej integralności. Następnie pewność, że w razie rozszerzenia konfliktu i wystąpienia Rosji, Niemcy całą swą potęgą staną u boku Austro–Węgier.

19 lipca 1914 r. zebrała się znowu Rada Ministrów Spraw Wspólnych. Rada zatwierdziła tekst noty do rządu serbskiego i na żądanie węgierskiego prezesa ministrów, pomimo zastrzeżeń wysuwanych przez niektórych mówców, uchwaliła jednomyślnie rezolucję następującej treści: „Rada Ministrów Spraw Wspólnych na wniosek królewsko–węgierskiego prezesa ministrów postanawia, że natychmiast po wybuchu wojny obce mocarstwa zostaną powiadomione, iż monarchia nie prowadzi wojny zaborczej (*Eroberungskrieg*) i nie zamierza anektować królestwa (serbskiego). Oczywiście dokonane zostaną niezbędne ze względów strategicznych korektury graniczne, Serbia zostanie również okrojona na rzecz innych państw; nie jest także wykluczona przejściowa okupacja części terytorium serbskiego”.

Cel wojenny Austro–Węgier został więc jasno określony. Serbia miała być zmiądzona, odstąpić miała części terytorium państwowego Bułgarii, Grecji, Albanii, ewentualnie również i Rumunii; konwencja militarna miała ją uzależnić od monarchii. Zamierzano także usunąć dynastię Karadziordziewiciów.

Upokorzona, osłabiona Serbia nie mogłaby zapewne odgrywać roli jugosłowiańskiego Piemontu. Czy było to równoznaczne z przekreśleniem, ze zniweczeniem, jak to sobie wyobrażano w Wiedniu i w Budapeszcie, wszelkich dążeń narodowowyzwoleńczych jugosłowiańskich, skierowanych przeciwko monarchii habsburskiej? Z pewnością dać tu wypadnie odpowiedź negatywną. Ale niewątpliwie dążenia takie byłyby utrudnione, osłabione, zgłuszone.

20 lipca 1914 r. kurier dyplomatyczny powiózł do poselstwa austro–węgierskiego w Belgradzie notę c. i k. rządu z poleceniem, aby poseł złożył ją rządowi serbskiemu 23 lipca pomiędzy godziną 5 a 6 po południu. Datę tę ustalono nie bez powodu. Oto w dniach 20–23 lipca przebywał w Petersburgu z oficjalną wizytą prezydent Francji Raymond Poincaré. Hrabiemu Berchtoldowi zależało na tym, aby wiadomość o akcji austriackiej w Belgradzie nadeszła nad Newę dopiero po odpłynięciu prezydenta Francji od wybrzeży rosyjskich.

W czwartek, 23 lipca, o godzinie 6 po południu c. i k. poseł w Belgradzie generał kawalerii baron Vladimir Giesl von Gieslingen złożył notę austriacką na ręce ministra skarbu Lazara Pacu, zastępującego nieobecne-

go w stolicy premiera Pašicia. Poseł stwierdził, że w razie gdyby do soboty 25 lipca do godziny 6 po południu nie otrzymał odpowiedzi, lub też gdyby odpowiedź nie była zadowalająca, natychmiast opuści Belgrad wraz z personelem poselstwa.

W 48 godzin później, w sobotę 25 lipca na kilka minut przed godziną 6 po południu, do poselstwa austriackiego przybył osobiście serbski prezes ministrów Nikola Pašić, „człowiek wysokiego wzrostu, który przekroczył już siedemdziesiątkę, o zupełnie siwych włosach i brodzie, w pełni świadomy wagi chwili”. Głosem niepewnym Pašić przemówił po niemiecku: „Przyjęliśmy część warunków. Co do pozostałych odwołujemy się do lojalności i rycerskich sentymentów generała austriackiego”. Generał przeczytawszy notę serbską uznał ją za odmowę. O godzinie 6 min. 15 Giesl i personel poselstwa powozami, pośród wrogich demonstracji ulicznych, odjechali na dworzec. O godzinie 6 min. 30 Orient–Ekspres opuścił dworzec belgradzki, przejechał zaraz później przez Dunaj i znalazł się na terytorium węgierskim. Stosunki dyplomatyczne pomiędzy Austro–Węgrami i Serbią zostały zerwane. Na stacji w Semlinie (obecnie Zemun), Giesl uzyskał połączenie telefoniczne z węgierskim prezesem ministrów i zakomunikował mu o zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Serbią. Głęboko poruszony Tisza zapytał, czy było to rzeczywiście konieczne. Giesl odpowiedział krótko, jednym tylko słowem: tak.

Nota serbska - było to niewątpliwie pełne finezji arcydzieło kunsztu dyplomatycznego. Zorientować się

w nim można najlepiej, gdy zestawimy ultimatum austriackie z odpowiedzią serbską.

Nota austriacka przypominała, że 31 marca 1909 r. rząd serbski złożył deklarację, w której zobowiązał się zerwać z polityką wroga monarchii i utrzymywać z nią dobre stosunki sąsiedzkie. Wbrew temu zobowiązaniu nic nie uczynił, aby ukrócić zbrodniczą działalność różnych organizacji serbskich wymierzoną przeciwko Austro–Węgrom. Nie uległo to zmianie nawet po tragicznym dniu 28 czerwca. Według zeznań sprawców zamachu sarajewskiego zbrodnię uknuto w Belgradzie, a oficerowie i urzędnicy należący do „Narodnej Odbrawy” dostarczyli bomb i rewolwerów zamachowcom i ułatwili im przejście granicy. Dalej następuje dziesięć żądań austriackich.

### *ULTIMATUM*

*Wobec takich faktów Austro–Węgry nie mogą zachować dotychczasowej postawy pełnej pobłażliwości i żądają, aby rząd serbski na pierwszej stronie dziennika urzędowego z 26/13 lipca ogłosił enuncjację, w której potępi propagandę skierowaną przeciwko Austro–Węgrom. Enuncjacja ma stwierdzać wyraźnie, że rząd serbski odrzuca myśl wszelkiej ingerencji w „losy mieszkańców jakiegokolwiek części Austro–Węgier” i ostrzega urzędników, oficerów i całą ludność królestwa, że wystąpi ostro przeciwko winnym tego przestępstwa.*

*Rozkaz dzienny króla ogłoszony w oficjalnym dzienniku wojskowym poda tę enuncjację do wiadomości armii serbskiej.*



1) Rząd serbski zobowiązuje się konfiskować wszelkie publikacje, które sięją nienawiść do Austro–Węgier i są wymierzone przeciwko; jej integralności terytorialnej.

2) Rozwiązać natychmiast stowarzyszenie „Narodna Odbrana” oraz inne organizacje rozwijające propagandę przeciwko Austro–Węgrom i skonfiskować ich majątek.

3) Usunąć natychmiast z nauczania, zarówno z zespołu nauczającego, jak i z środków nauczania wszystko, co służy lub może służyć do uprawiania propagandy skierowanej przeciwko Austro–Węgrom.

4) Usunąć z wojska i z administracji wszystkich oficerów i urzędników winnych propagandy antyaustriackiej; rząd cesarski i królewski zastrzega sobie podanie nazwisk i faktów rządowi serbskiemu.

5) Zgodzić się na współpracę w Serbii organów rządu cesarskiego i królewskiego w celu zniweczenia ruchu wywrotowego wymierzonego przeciwko integralności terytorialnej Austro–Węgier.

6) Wytoczyć śledztwo przeciwko uczestnikom zamachu sarajewskiego znajdującym się na terenie Serbii. W śledztwie wezmą udział organy delegowane przez rząd cesarski i królewski.

## ODPOWIEDŹ

Rząd serbski potępia wszelką propagandę, która byłaby skierowana przeciwko Austro–Węgrom.

Rząd serbski ubolewa, że niektórzy oficerowie i urzędnicy serbscy wzięli udział w propagandzie antyaustriackiej i ostrzeże formalnie oficerów, urzędników

*i całą ludność królestwa, iż wystąpi z całą surowością przeciwko winnym tego przestępstwa.*

*Enuncjację tę poda do wiadomości wojska i ogłosi w najbliższym dzienniku urzędowym wojska w imieniu króla następcy tronu.*

*1) Rząd serbski zobowiązuje się postawić na najbliższej sesji skupstiny wniosek o uchwalenie nowego prawa prasowego, które pozwoli karać surowo każde wezwanie do nienawiści względem monarchii austro-węgierskiej. Rząd serbski zobowiązuje się również spowodować zmianę artykułu XXII konstytucji tak, aby publikacje siejące nienawiść mogły podlegać konfiskacie, co obecnie nie jest możliwe.*

*2) Rząd serbski nie ma dowodów, że „Narodna Odbrana” prowadzi działalność antyaustriacką nie mniej jednak rozwiąże ją, a także inne organizacje, które by prowadziły akcję wymierzoną przeciwko Austro-Węgrom.*

*3) Rząd serbski zobowiązuje się usunąć bezzwłocznie z nauczania wszystko, co służy propagandzie antyaustriackiej natychmiast, gdy tylko rząd austro-węgierski przedstawi mu fakty i dowody takiej propagandy.*

*4) Rząd serbski usunie z wojska i z administracji wszystkich oficerów i urzędników, którym śledztwo sądowe udowodni działalność wymierzoną przeciwko integralności terytorialnej Austro-Węgier. Rząd serbski oczekuje, że rząd cesarski i królewski zakomunikuje mu nazwiska i fakty, aby można było wdrożyć śledztwo.*

5) *Rząd serbski nie zdaje sobie jasno sprawy ze znaczenia tego żądania, ale zgadza się na współpracę, która byłaby zgodna z wymaganiami prawa narodów.*

6) *Rząd serbski poczytuje za swój obowiązek wdrożyć śledztwo przeciwko osobom zamieszkanym w zamach sarajewski, znajdującym się na terenie Serbii. Nie może natomiast zgodzić się na udział w śledztwie organów władz austro-węgierskich, może im natomiast komunikować wyniki śledztwa.*

Następne cztery żądania dotyczyły spraw mniejszej wagi. Odpowiedź serbska kończyła się oświadczeniem, że gdyby rząd cesarski i królewski nie był nią w pełni usatysfakcjonowany, rząd serbski gotów jest przyjąć rozwiązanie pokojowe i oddać sprawę Trybunałowi Haskiemu bądź też wielkim mocarstwom.

Jak ocenić należy wymianę not pomiędzy Wiedniem i Belgradem? Czy był to sukces dyplomatyczny Austro-Węgier? Formalnie niewątpliwie tak. Serbia została upokorzona, zmuszona do przyjęcia ostrych warunków. Zgłoszone przez rząd serbski zastrzeżenia w pewnym tylko stopniu ratowały zadraśniętą godność narodową Serbów. Toteż w Europie dość powszechnie szerzyło się przekonanie o zwycięstwie dyplomatycznym monarchii habsburskiej. Impulsywny Wilhelm II zawyrokował: „Więcej, niż można było oczekiwać. Wielki sukces moralny Wiednia; ale odpada wszelki powód do wojny. Giesl mógł spokojnie zostać w Belgradzie”.

Wojnie tej chciano nadać charakter lokalny, charakter „ekspedycji karnej” przeciwko Serbii. Spodzie-

wano się, że Rosja podobnie jak w roku 1909, podobnie jak w roku 1913 cofnie się przed udzieleniem pomocy zbrojnej Serbii, zwłaszcza Serbii stojącej pod zarzutem królobójstwa. Liczono, że tak jak w roku 1909 odniesie skutek nacisk Berlina w Petersburgu. Brano oczywiście pod uwagę i możliwość interwencji rosyjskiej, a więc wojny z Rosją, ale to już na dalszym planie.

W chwili rozstrzygającej spoglądano z Wiednia na Berlin i na Petersburg.

Wiadomości z Berlina były pomyślne i dawały pewność, że sprzymierzeniec niemiecki nie zawiedzie w dniach próby.

Inaczej było w Petersburgu; tu należało się liczyć z komplikacjami.

Rząd Rzeszy stanął na stanowisku, że konflikt austriacko-serbski jest sprawą lokalną, którą rozstrzygnąć powinny wyłącznie Austro-Węgry i Serbia; włączenie się w tę kwestię innego państwa mogłoby wywołać daleko idące konsekwencje z uwagi na zobowiązania sojusznicze mocarstw. Niemcom zależało, rzecz prosta, przede wszystkim na stanowisku Rosji; postawa Rosji przesądzała, czy konflikt austriacko-serbski przybierze szersze rozmiary, czy też da się umiejscowić. Uderzono więc w czułą strunę i wytoczono ciężki antyserbski argument; jeśli wielkie monarchie nie opowiedzą się po stronie Austro-Węgier, jeśli nie potępia radykalizmu, który nie wzdraga się przed królobójstwem, jakież będzie to miało konsekwencje dla idei monarchicznej? Rosja jest w tej mierze zainteresowana w tym samym stopniu co i Niemcy.

Wydaje się, że Niemcy początkowo odnosili wrażenie, iż państwa zachodnie nie sprzeciwią się lokalizacji konfliktu. Pomimo znanej stanowczej postawy prezydenta Poincarégo nie sądzili, aby Francja poparła ewentualne wojenne zamiary Rosji. Byli również przekonani, że rząd brytyjski nie wchodzi się do konfliktu austriacko-serbskiego, pozostanie wobec niego obojętne, że nie życzy sobie konfliktu austriacko-rosyjskiego, gdyż upatrywałyby w nim niebezpieczeństwo wojny europejskiej, wojny czterech mocarstw (Rosja i Francja przeciwko Niemcom i Austro-Węgrom).

W tych warunkach uznano w Berlinie pośpiech za nakaz chwili; odmowa serbska powinna pociągnąć za sobą natychmiastowe wypowiedzenie wojny Serbii przez Austro-Węgry i niezwłoczny atak wojskowy na Serbię.

W Petersburgu Austriacy od razu spotkali się z przeciwnościami. Tu wiadomość o nocy austriackiej wywołała oburzenie. Siergiejowi Sazonowowi wyrwał się z ust okrzyk: „To jest wojna europejska”. Ambasador niemiecki w Rosji hrabia Friedrich von Pourtalès usiłował działać łagodząco; pozostawało to bez skutku. Rzecz charakterystyczna, że argumenty cesarsko-niemieckiego ambasadora o solidarności monarchistycznej nie robiły na cesarsko-rosyjskim ministrze spraw zagranicznych wrażenia i trafiały w próżnię. 24 lipca rząd rosyjski postanowił porozumieć się z mocarstwami celem skłonienia *Ballplatzu* do przedłużenia wyznaczonego Serbii czasu na udzielenie odpowiedzi, tak aby rządy mocarstw miały możliwość zapoznać się

z „dokumentami dotyczącymi zbrodni sarajewskiej”. Rząd rosyjski postanowił również doradzić Serbom, aby nie przeciwstawiali się czynnie „ewentualnemu zbrojnemu atakowi Austro–Węgier”, lecz oświadczyli, że „Serbia ulega przemocy, a los swój powierza rozstrzygnięciu wielkich mocarstw”. Rada ministrów pozostawiła uznaniu ministrów wojny i marynarki, czy należy uzyskać zgodę cara na mobilizację w czterech okręgach wojskowych (Kijów, Odessa, Moskwa, Kazan).

Gdy więc Niemcy od początku usiłowały zlokalizować konflikt, Rosja dążyła do przeniesienia sprawy na szeroki teren międzynarodowy. Od złożenia ultimatum austriackiego w Belgradzie, a zwłaszcza od 25 lipca, od udzielenia odpowiedzi serbskiej, ważyło się na szali, czy Europa będzie się jedynie przyglądać wysiłkom austriackim rozprawienia się z Serbią, czy też wystąpi czynnie i weźmie w ręce rozstrzygnięcie sporu. W opinii publicznej walczyło ze sobą powszechne potępienie mordu sarajewskiego z ogólną, poza Niemcami, dezaprobatą noty austriackiej.

Wśród mocarstw europejskich, obok Austro–Węgier dwa mocarstwa były bezpośrednio zainteresowane konfliktem — Niemcy i Rosja.

Dla Niemiec utrzymanie mocarstwowej pozycji monarchii habsburskiej miało znaczenie podstawowe. Upadek czy choćby powolny rozkład Austro–Węgier osłabiłby Niemcy i zmusił je do montowania nowego systemu przymierzy.

Rosja nie mogła pozostawić Serbii jej losowi. Triumf austriacki nad Serbią, zlikwidowanie jej, w myśl planów Wiednia, jako cennika politycznego oznaczało hegemonię Państw Centralnych na Bałkanach i na Bliskim Wschodzie i godziło w autorytet Rosji jako mocarstwa.

W dniach 26 i 27 lipca, przez dwa dni po odpowiedzi serbskiej, Europa przedstawiała widownię gry dyplomatycznej: czy konflikt austriacko-serbski zostanie zlikwidowany, czy też nabierze charakteru międzynarodowego.

Ważna rola przypadła tu Wielkiej Brytanii, mocarstwu, którego interesom konflikt austriacko-serbski bezpośrednio nie zagrażał.

Sir Edward Grey, sekretarz stanu w *Foreign Office*, opierał się na dwóch założeniach: 1) uważał, że chociaż żądania austriackie szły może zbyt daleko, lepiej byłoby dla świata, a przede wszystkim dla Wielkiej Brytanii, gdyby Serbia ustąpiła na całej linii, niż gdyby naruszony został pokój Europy; 2) sądził trafnie, że Niemcy potęgą górowały nad Austro-Węgrami, stąd dyplomacja brytyjska wysiłki mediacyjne skierowała ku Berlinowi w mniemaniu, iż stanowisko rządu Rzeszy na politykę Wiednia wywierało wpływ istotny. Greyem kierowała przy tym obawa, aby konflikt austriacko-serbski nie przekształcił się w wojnę i aby Wielka Brytania odmawiając Petersburgowi pomocy nie osłabiła swego porozumienia z Rosją.

Grey wciąż miał w pamięci rok 1913 i swą mediację w konflikcie bałkańskim, gdy ambasadorowie

moocarstw w Londynie, obradujący pod jego przewodnictwem, rozegnali chmury wojenne i doprowadzili do zawarcia pokoju. 9 lipca 1914 r. sekretarz stanu oświadczył ambasadorowi niemieckiemu księciu Lichnowskiemu: „Będę kontynuował politykę, którą prowadziłem : podczas kryzysu bałkańskiego”. Taktyka Greya w lipcu 1914 r. to współdziałać z Berlinem tak ściśle, jak było to możliwe bez naruszenia dobrych ‘stosunków z Paryżem i Petersburgiem.

Anglicy stali na stanowisku, że jedynie konferencja przedstawicieli moocarstw w Londynie jest w stanie zapobiec wojnie. Austria otrzyma wtedy pełne zadośćuczynienie, gdyż Serbia ulegnie raczej naciskowi moocarstw niż pogrożkom austriackim. Warunkiem wszakże powodzenia konferencji jest powstrzymanie się Austriaków od wszelkiej akcji militarnej; jeśli bowiem wojska austriackie przekroczyłyby granicę serbską, Rosja z całą pewnością wystąpi zbrojnie przeciwko monarchii habsburskiej.

Zamiarom angielskim przeciwstawił się stanowczo rząd Rzeszy. Kanclerz Bethmann Hollweg stanął na stanowisku, że nie wolno „w sprawach serbskich pozywać Austrii przed trybunał europejski”. Nie chciał pośredniczyć pomiędzy Austro–Węgrami a Serbią, ale nie chciał też zrażać sobie Wielkiej Brytanii, chciał zachować pozory współdziałania z Wielką Brytanią. W przeciwnym bowiem razie „stanęlibyśmy przed całym światem (...) jako podżegacze wojenni. Wówczas i nasza pozycja w kraju byłaby niemożliwa, musimy tu bowiem uchodzić za przymuszonych do wojny”.



Innymi słowy kanclerz „odgrywał nadal rolę mediatora nie podejmując mediacji”.

Sekretarz stanu Gottlieb von Jagow oświadczył wyraźnie ambasadorowi Austro–Węgier Szaparyemu, że do Wiednia za pośrednictwem niemieckim nadejdą angielskie propozycje mediacyjne, jednak rząd Rzeszy zaręcza, iż w żadnej mierze z nimi się nie solidaryzuje, jest im raczej przeciwny, jeśli na życzenie rządu brytyjskiego podejmuje jakoweś kroki, to dlatego jedynie, aby nie dopuścić do bliższego współdziałania Wielkiej Brytanii z Francją i z Rosją. „Należy uniknąć wszystkiego, co mogłoby zerwać dobrze dotąd funkcjonujący drut pomiędzy Niemcami i Anglią”.

Możliwości mediacyjne mocarstw w sporze austriacko–serbskim były nikłe, w Wiedniu wszakże postanowiono 27 lipca wypowiedzieć wojnę Serbii, aby nie dopuścić do mediacji i „wywołać jasną sytuację”. Istotnie, 28 lipca rząd serbski otrzymał akt wypowiedzenia wojny przez Austro–Węgry.

Berchtold spieszył się, rozumiał, że po groźnej nocy do rządu serbskiego, po odrzuceniu odpowiedzi serbskiej Serbia i cała Europa spodziewa się ze strony monarchii energicznych, zdecydowanych kroków. Bezczynność austriacka wywołać musiała wrażenie słabości. I to był drugi, ważniejszy bodaj jeszcze powód pośpiechu w wypowiedzeniu wojny. Lecz niewiele dobrego wyszło z pośpiechu. Zdaniem generała Conrada armia austriacka mogła podjąć generalny atak na całym froncie dopiero 12 sierpnia. Węgrzy zdołaliby uderzyć wcześniej, uderzenie austriackie natomiast od strony

Bośni nie było z powodu trudności komunikacyjnych możliwe przed upływem dwóch tygodni.

Zadanie, przed którym stało Naczelne Dowództwo austriackie, nie było proste ani łatwe. Wojna przeciwko Serbii nie miała być ani demonstracją zbrojną, ani okupacją części terytorium państwowego serbskiego. W jej wyniku miała ulec zniszczeniu armia serbska, to zaś wymagało rzucenia przeciwko Serbom znacznych sił, co najmniej 400 tys. żołnierza. Jeśli jednak do walki stanęłaby i Rosja, większa część armii austriackiej musiałaby się skoncentrować w Galicji.

Plan wojenny austriacki przewidywał dwa warianty: wariant B (Bałkany) i wariant R (Rosja). Plan mobilizacji i koncentracji był tak ułożony, aby zależnie od sytuacji 8 korpusów zapasowych można było skierować nad Dunaj i nad Sawę lub do Galicji.

I w Rosji podjęto przygotowania do mobilizacji. Już 25 lipca rosyjska rada ministrów postanowiła w zasadzie zarządzić mobilizację częściową - 13 korpusów w czterech okręgach wojskowych (Moskwa, Kijów, Odessa, Kazań) - skierowaną przeciwko monarchii naddunajskiej. 28 lipca wieczorem, na wiadomość o wypowiedzeniu wojny Serbii przez Austro-Węgry, postanowiono zarządzenie to wprowadzić w życie. Rosyjskie władze wojskowe starały się powstrzymać od wszelkich kroków, które można by uznać za skierowane przeciwko Niemcom. Pomimo tego w okręgach warszawskim, wileńskim i petersburskim podjęto tajne przygotowania do mobilizacji.

Nazajutrz, 29 lipca, Sazonow oświadczył ambasadorowi austriackiemu hrabiemu Szaparyemu „w sposób najbardziej oficjalny”, że wojsko, które zostanie zmobilizowane, nie zaatakuje Austro–Węgier, że jedynie będzie „stało z bronią u nogi na wypadek zagrożenia bałkańskich interesów Rosji”. Mobilizacja rosyjska - wywodził Sazonow dyplomatom Państw Centralnych - ma, z racji ogromnych obszarów i słabo rozwiniętej sieci komunikacyjnej, inny charakter niż w państwach Europy Zachodniej.

Spod działania mobilizacji wyłączono okręgi wojskowe graniczące z Niemcami. Był to manewr polityczny mający na celu wykazać pokojowe dążenia rządu rosyjskiego i jego chęć utrzymania dobrych stosunków z Niemcami. Manewr ten, jak zobaczymy, zawiódł zupełnie i nie dał skutku. Z punktu widzenia militarne- go był to zupełny absurd, przeciwko któremu protestowali kompetentni generałowie. Rosyjski plan wojenny przewidywał bowiem, że zaraz w początkach wojny Rosja rzuci przeciwko Austro–Węgrom 16 korpusów, które atakując z Królestwa i z Podola wezmą w kleszcze armię austriacką skoncentrowaną w Galicji i otworzą drogę do marszu na Wiedeń i na Węgry. Otóż mobilizacja częściowa, obejmująca okręgi moskiewski, kijowski, odeski i kazański, pozwalała rzucić do walki tylko 13 korpusów, a nie 16, jak plan przewidywał - i co więcej nie pozwalała na atak oskrzydający od strony Królestwa, okręg bowiem wojenny warszawski, graniczący w znacznej części z Niemcami, nie miał podlec mobilizacji. Zmuszało to więc sztab rosyjski do

nagłej, w ostatniej chwili, zmiany planu strategicznego, a to było przecież sprawą niemożliwą.

Reakcja na mobilizację rosyjską nadeszła, lecz nie z Wiednia, a z Berlina. Do Sazonowa zgłosił się ambasador Pourtalès i oświadczył z polecenia kanclerza Bethmanna, że dalsze zarządzenia mobilizacyjne rosyjskie zmuszą Niemcy do mobilizacji, a wówczas nad Europą zawiśnie groźba wojny. Pragnąc złagodzić ostrą treść swego oświadczenia, ambasador dodał dyplomatycznie, że nie jest to „pogróżka, lecz przyjacielska opinia”. Minister przyjął „przyjacielską opinię” z objawami silnego podniecenia.

W Berlinie czynniki wojskowe, szef sztabu generał Helmuth von Moltke i bardziej jeszcze pruski minister wojny generał Erich von Falkenhayn, nalegały na zarządzenie mobilizacji w odpowiedzi na kroki podjęte przez Rosję. Sprzeciwił się temu kanclerz. Bethmann Hollweg uważał, że póki nie zaszedł *casus foederis*, tzn, póki Rosja nie wypowiedziała wojny Austro-Węgrom, należy czekać, należy wstrzymać się z ostatecznymi decyzjami; w przeciwnym wypadku opinia publiczna w Niemczech nie opowie się za rządem, opinia publiczna w Wielkiej Brytanii zaś wystąpi przeciwko Państwowi Centralnym. Kanclerz był przeświadczony, że gdyby Rosja wszczęła wojnę, Wielka Brytania w żadnym razie nie stanęłaby po jej stronie.

Bethmann Hollweg wszakże, zapewne pod naciskiem kół wojskowych, wysłał ostrzeżenia do Paryża i do Petersburga. Ambasador niemiecki we Francji baron Wilhelm von Schön miał zwrócić uwagę rządu

francuskiego, że coraz obficie napływają wiadomości o wojskowych przygotowaniach francuskich; w takich warunkach rząd Rzeszy zmuszony będzie przedsięwziąć środki ostrożności, zmuszony będzie proklamować „niebezpieczeństwo wojny”. Nie oznacza to wprawdzie jeszcze mobilizacji, ale pociągnie za sobą wzmożone napięcia.

W tych gorących dniach lipcowych panowało w Europie powszechne przekonanie, że klucz do rozwiązania sytuacji znajduje się nad Tamizą.

Co sądzono o sytuacji międzynarodowej w Londynie i jakie kroki przygotowywał rząd Jego Królewskiej Mości?

Wielka Brytania osiągnęła w 1904 r. porozumienie z Francją, w 1907 r. z Rosją, ale nie wiązały jej z państwami Dwuprzymierza żadne konwencje wojskowe, miała wolne ręce i zupełną swobodę decyzji.

Rządząca w Wielkiej Brytanii partia liberalna zawsze dotąd więcej uwagi poświęcała polityce wewnętrznej niż stosunkom międzynarodowym i tradycyjnie skłaniała się ku izolacjonizmowi. Lewe jej skrzydło pełne było nieufności i niechęci do państwa carów. Lord–prezydent Tajnej Rady John Morley głosił, że wojna przyniesie upadek ustalonego porządku w Europie; gdyby miała zwyciężyć carska Rosja, zwycięstwo to zagrażałoby cywilizacji. Sfery gospodarcze City, powiązane z kapitałem niemieckim, opowiadały się za neutralnością. Neutralności pragnęła przytłaczająca większość społeczeństwa angielskiego.

Toteż stanowisko kierownika dyplomacji brytyjskiej, jeśli chciał prowadzić politykę aktywną, nie było łatwe.

Sir Edward Grey osobiście gorąco pragnął utrzymania pokoju, żywił jednak przekonanie, że w razie wojny francusko–niemieckiej Wielka Brytania będzie musiała stanąć u boku Francji; rozumiał jednak, że według wszelkiego prawdopodobieństwa ani gabinet, ani parlament, ani opinii publiczna w początkach konfliktu nie będą sobie zdawały sprawy z takiej konieczności. We wszystkich więc swych wystąpieniach i wypowiedziach kierował się tą zasadą, że Wielka Brytania nie może zaciągnąć zobowiązań ani względem Francji, ani względem Rosji i nie może robić im co do tego żadnych nadziei.

24 lipca 1914 r., zaraz po zapoznaniu się z ultimatum austriackim, sekretarz stanu rzucił myśl, aby cztery mocarstwa bezpośrednio w konflikcie nie zaangażowane - Wielka Brytania, Francja, Włochy, Niemcy - wzięły na siebie trud mediacji. Myśl ta nie doznała poparcia ani w Berlinie, ani w Petersburgu.

Grey wróci wszakże do tego projektu w zmienionych już okolicznościach po wypowiedzeniu wojny Serbii przez Austro–Węgry.

29 lipca 1914 r. sekretarz stanu spraw zagranicznych dwukrotnie konferował z ambasadorem niemieckim. W Londynie wiedziano już o częściowej mobilizacji rosyjskiej, nadszedł też telegram z Petersburga, że po wypowiedzeniu wojny Serbii przez Austrię rząd rosyjski nie jest w stanie rokować bezpośrednio z rządem

wiedeńskim. Sazonow prosił wszakże, aby gabinet londyński podjął pośrednictwo. Grey wysunął myśl, by Austriacy po zajęciu Belgradu „lub innych miejscowości” oznajmili swoje warunki, a wówczas cztery mocarstwa bezpośrednio sprawą nie zainteresowane - Wielka Brytania, Francja, Niemcy i Włochy - podjęłyby mediację. Sekretarz stanu pośrednictwo mocarstw pożytywał za rzecz konieczną, jeśli nie ma dojść do „katastrofy europejskiej”. Wielka Brytania - wywodził dalej Grey - będzie stała na uboczu, póki sprawa utrzyma zacieśniony charakter konfliktu pomiędzy Austro-Węgrami a Rosją. Jeśli wszakże do zatargu wmieszają się Niemcy i Francja, sytuacja ulegnie zupełnej zmianie i rząd brytyjski zmuszony zostanie do powzięcia „szybkich decyzji”. W tym miejscu Grey zrobił uwagę, że „jeśli wojna wybuchnie, będzie to największa katastrofa, jaką świat kiedykolwiek widział”. Sekretarz stanu dodał następnie, iż rząd brytyjski liczyć się musi z opinią publiczną; dotąd opowiadała się ona po stronie Austro-Węgier, obecnie wszakże dokonuje się zmiana nastrojów w wyniku twardego stanowiska Wiednia.

Stanowisko rządu brytyjskiego rysowało się więc dość wyraźnie i Niemcy mogli się zorientować, że według wszelkiego prawdopodobieństwa Wielka Brytania nie pozostanie z dala od konfliktu zbrojnego na kontynencie europejskim.

Książę Lichnowsky uznał wywody Greya za „ostrzeżenie ubrane w przyjacielską formę”.

Nie był również pozbawiony znaczenia fakt, że zarządzono pogotowie w brytyjskiej flocie wojennej.

Bodajże jedynym człowiekiem w niemieckich kołach rządowych, który zrozumiał grozę sytuacji, był kanclerz Bethmann Hollweg. „Ale nie był on panem położenia - pisał Grey - prowadząc z nim rozmowy nie pertraktowaliśmy z osobą decydującą”.

30 lipca kanclerz, pełen niepokoju, telegrafował do ambasadora w Wiedniu Tschirschkyego, że jeśli Austro-Węgry odrzuca wszelkie pośrednictwo, Europa stanie w obliczu konflagracji, w której Państwa Centralne będą miały przeciwko sobie Anglię, a nie będą miały za sobą ani Włoch, ani Rumunii; ciężar walki spadnie na Niemcy. Ambasadorowi polecił kanclerz wpłynąć na c. i k. ministra spraw zagranicznych, aby Austro-Węgry przyjęły na honorowych warunkach pośrednictwo mocarstw. Zajęcie Belgradu pozwoli monarchii zachować autorytet. Bethmann Hollweg dodał, że Niemcy wypełnią obowiązki sojusznicze, ale nie mogą się zgodzić, aby monarchia lekceważyła rady niemieckie i lekkomyślnie wciągnęła sprzymierzeńca w pożogę wojenną.

Dużo do myślenia dały Bethmannowi wieści napływające z Rzymu; w umyśle kanclerza budziły się wątpliwości, czy można jeszcze liczyć na włoskiego sprzymierzeńca. Jeśliby Włochy w wielkim konflikcie międzynarodowym nie stanęły po stronie Państw Centralnych, osłabiłoby to szansę Niemiec i Austro-Węgier.

Tymczasem w Wiedniu stał się punkt widzenia wojskowy z dyplomatycznym. Minister spraw zagranicznych pod wpływem sugestii płynących z Berlina



i depesz nadchodzących z Londynu począł się wahać i medytować, czy nie wznowić rozmów z Petersburgiem, aby odsunąć od monarchii odium za wywołanie wojny i zrzucić je na Rosję. Szef sztabu zaś stał na stanowisku, że działań zbrojnych przeciwko Serbii wstrzymać nie będzie można, a wobec zarządzonej już mobilizacji rosyjskiej należy przeprowadzić mobilizację powszechną własną. Ten punkt widzenia przeważył; wojnę z Serbią zdecydowano prowadzić, na propozycje angielskie zaś postanowiono odpowiedzieć uprzejmie, ale nie wiążąco.

W Wiedniu zorientowano się zresztą bardzo prędko, że pruskie władze wojskowe dalekie były od podzielenia ostrożnych, wyważonych opinii kanclerza Bethmanna. Szef sztabu generał von Moltke w dniu 30 lipca w rozmowie z c. i k. *attaché* wojskowym w Berlinie podpułkownikiem K. von Bienerthem nagląco (*dringend*) doradzał natychmiastową powszechną mobilizację; jeśli Austria bez zwłoki nie przeprowadzi mobilizacji skierowanej przeciwko Rosji, Moltke oceniać będzie sytuację jako „krytyczną”. Dla Niemiec zajdzie w razie mobilizacji *casusu foederis*. „Niemcy bezwarunkowo idą z nami” - telegrafował z Berlina podpułkownik von Bienerth. Przeczytawszy ten telegram uradowany Berchtold przetarł oczy i wykrzyknął: „To się udało. Kto rządzi: Moltke czy Bethmann ...?” Pytanie było czysto retoryczne, a odpowiedź była prosta i oczywista: nie cywilny kanclerz, lecz generałowie.

Berchtold wyznał, że miał wrażenie, iż Niemcy „słabną”, ale teraz ma uspokajające wyjaśnienia z najbardziej pewnej, wojskowej strony”.

Tegoż dnia, 30 lipca, zebrali się na *Ballplatzu* w gabinecie gospodarza ministra spraw zagranicznych, obaj prezesi ministrów - węgierski Istvan Tisza i austriacki Karl von Stürgkh - szef sztabu generał Conrad von Hötzendorf, wspólny minister wojny generał Alexander von Krobatin i węgierski minister *à latere* baron Burian de Rajecz. Wobec wieści nadeszłych z Berlina postanowiono przedstawić do aprobaty cesarza wnioski o ogłoszenie powszechnej mobilizacji. Uzasadnienie wniosku - mobilizacja w Rosji. Instrukcje przesłane c. i k. przedstawicielstwom dyplomatycznym oraz komunikat wydany dla prasy głosiły, że mobilizację spowodowały kroki podjęte przez Rosję, ale że Austro-Węgry nie mają zamiaru ani wypowiedzania wojny, ani jej wszczynania.

Nazajutrz, 31 lipca, proklamowanie mobilizacji w krajach monarchii; wielkie afisze na murach i zarządzenia publikowane w dziennikach wzywały poborowych do szeregów.

Znad Dunaju przenieśmy się teraz nad Newę. 29 lipca po południu ambasador niemiecki zgłosił się do ministra Sazonowa i odczytał mu telegram kanclerza, że jeśli Rosja nie zaprzestanie przygotowań mobilizacyjnych, Niemcy zmuszone będą zarządzić mobilizację, a wówczas będzie rzeczą bardzo trudną zapobiec „wojnie europejskiej”. Reakcja Sazonowa była ostra: „Teraz nie mam już wątpliwości, jakie są prawdziwe przyczy-

ny nieustępliwego stanowiska Austrii”. Równie ostro replikował hrabia Pourtalès: „Stanowczo protestuję, Panie Ministrze, przeciwko obraźliwemu twierdzeniu”. Na to sucha uwaga Sazonowa, że Niemcy mają możliwość wykazać czynami, iż jest on w błędzie.

Wkrótce potem zebrali się na naradę ministrowie: spraw zagranicznych Sazonow, wojny Suchomlinow i szef sztabu Januskiewicz. Omawiając sytuację uznali oni, że możliwość uniknięcia wojny jest niewielka, nie można więc dłużej odraczać mobilizacji ogólnej. Naza jutrz, 30 lipca, Sazonow z wielkim trudem uzyskał zgodę cara na mobilizację ogólną. W ciągu nocy telegraf poniósł po całej Rosji rozkaz carski. Wczesnym rankiem 31 lipca na murach Petersburga ukazały się afisze powołujące do wojska.

Tymczasem w Berlinie trwał spór pomiędzy cywilnymi i wojskowymi władcami Niemiec. Wojskowi, Moltke i Falkenhayn, parli do mobilizacji, ze względów taktycznych wstrzymywał ich ostrożny kanclerz, wolał bowiem, aby zarówno świat, jak przede wszystkim niemiecka klasa robotnicza uważały, że to nie Niemcy, lecz Rosja poczyniła pierwsze kroki wiodące ku wojnie.

31 lipca w godzinach południowych nadszedł do Berlina telegram od ambasadora niemieckiego w Petersburgu z wiadomością o mobilizacji rosyjskiej. Kości były rzucone! O godzinie 13 zapadła decyzja rządu Rzeszy zaprowadzenia w państwie „stanu grożącego niebezpieczeństwa wojny” („*Zustand drohender Kriegsgefahr*”). „Stan grożącego niebezpieczeństwa”

pozwalając ogłosić stan oblężenia, zamknąć granicę i wprowadzić w życie różne ograniczenia.

31 lipca o północy ambasador niemiecki w Petersburgu zgłosił się do ministra spraw zagranicznych i oświadczył, że mobilizacja rosyjska zmusiła rząd Rzeszy do ogłoszenia stanu grożącego niebezpieczeństwa wojennego, co wszakże nie oznacza jeszcze mobilizacji. Rząd Rzeszy zarządzi jednakowoż mobilizację, jeśli Rosja w ciągu 12 godzin nie odwoła wszelkich przygotowań wojennych skierowanych przeciwko Niemcom i przeciwko Austro–Węgrom. Na zapytanie Sazonowa, czy zapowiedź niemiecka jest równoznaczna z wojną, czy oznacza groźbę wojny hrabia Pourtalès odparł, że tak nie jest, ale że wojna jest bliska.

Zgoda rządu rosyjskiego na tak postawione żądania niemieckie byłaby, według trafnego określenia generała Daniłowa, „bezkrwawą kapitulacją Rosji przed niemiecką opancerzoną pięścią”. Niosłaby upadek mocarstwowego autorytetu Rosji.

1 sierpnia o godz. 7 wieczorem odbyła się dramatyczna rozmowa pomiędzy ambasadorem niemieckim a rosyjskim ministrem spraw zagranicznych. Hrabia Pourtalès pośród oznak zdenerwowania zapytał Sazonowa, czy rząd rosyjski udzieli pozytywnej odpowiedzi na notę niemiecką z 31 lipca. Sazonow odparł, że odwołanie mobilizacji jest sprawą niemożliwą, Rosja wszakże nie uchyla się od rokowań celem utrzymania pokoju. Wówczas ambasador rękami drżącymi ze zdenerwowania wręczył ministrowi akt wypowiedzenia wojny. Deklaracja głosiła, że skutkiem nieuzasadnionej

mobilizacji rosyjskiej „Rzesza Niemiecka stanęła przed groźnym, bezpośrednim niebezpieczeństwem”. Ponieważ rząd rosyjski odrzucił wezwanie do odwołania zarządzeń mobilizacyjnych „Jego Cesarska Mość, mój dostojny władca, uważa się za będącego w stanie wojny z Rosją”.

Hrabia Pourtalès podszedł następnie do okna, objął głowę rękami i wyrzucił z siebie skargę: „Nie myślałem nigdy, że w takich warunkach opuszczę Petersburg”.

Francja, sojuszniczka Rosji, pozostawała na razie na uboczu. Rząd rosyjski nie konsultował się w sprawie mobilizacji z rządem francuskim i nie uprzedził go o zapadłych decyzjach. Przymierze francusko–rosyjskie, zawarte w latach 1891–1893, umocnione postanowieniami uzupełniającymi w latach 1899, 1900, 1911, 1912, miało charakter obronny. *Casus foederis* zachodził jedynie w razie ataku niemieckiego na Francję lub na Rosję. W danym przypadku Rosja pierwsza zaczęła się mobilizować, ale wojnę wypowiedziały Niemcy Rosji. W myśl układów francusko–rosyjskich oba rządy przyrzekły sobie porozumiewać się „we wszystkich sprawach, które mogłyby zagrozić pokojowi”, a w razie groźby wojennej obiecywały sobie uzgodnić „środki”, które należałoby podjąć. Otóż rząd rosyjski podjął decyzję o mobilizacji bez porozumienia się z Paryżem. Teoretycznie więc, z punktu widzenia ściśle prawnego rząd francuski miał swobodę decyzji i mógł stwierdzić, iż postanowienia sojuszu nie znajdują tu zastosowania. Rzecz prosta, że taka ewentualność nie wchodziła w grę. Francja nie mogła pozostawić Ro-

sji sam na sam z Niemcami. W kołach rządowych francuskich nikt takiej możliwości nie brał poważnie w rachubę.

Zresztą decyzja czy Francja weźmie udział w wojnie po stronie swego rosyjskiego sprzymierzeńca, czy też zachowa neutralność, nie należała do Francji. Decyzja w tej mierze zapadła w Berlinie i to na długo przed początkiem kryzysu roku 1914.

Wiemy już, że niemiecki plan wojenny przewidywał wojnę na dwa fronty - przeciwko Francji i przeciwko Rosji jednocześnie, co więcej zakładał wielkie uderzenie najpierw na Francję. Bieg wypadków w lipcu 1914 r. doprowadził Niemcy do konfliktu z Rosją, ale nie wywołał zatargu z Francją. Była to sytuacja nad wyraz kłopotliwa zarówno dla Naczelnego Dowództwa, jak i dla rządu Rzeszy. Zupełna zmiana planów wojennych była w krótkim czasie sprawą niemożliwą, a zresztą nawet w nieprawdopodobnym wypadku, gdyby Francja ogłosiła neutralność, Niemcy musieliby skoncentrować na swej zachodniej granicy silną armię i nie mieliby swobody ruchów na froncie rosyjskim. Ze względów militarnych więc rząd Rzeszy zdecydował się na krok wysoce niepolityczny: albo sprowokować Francję, albo - gdyby się to nie powiodło - wypowiedzieć jej wojnę.

31 lipca o godz. 7 min 30 wieczorem w gabinecie prezesa ministrów i ministra spraw zagranicznych René Vivianiego zjawił się ambasador niemiecki baron Wilhelm von Schön. Ambasador zawiadomił premiera o mobilizacji rosyjskiej, o czym rząd francuski oficjal-

nie jeszcze nie wiedział, zawiadomił go dalej, iż rząd Rzeszy proklamował w Niemczech „stan zagrożenia wojennego” i zapytał wreszcie, czy w razie wybuchu wojny niemiecko–rosyjskiej Francja zachowa neutralność. Viviani przewidział zapytanie i naradzał się na temat odpowiedzi z prezydentem Poincaré. Obaj mężowie stanu doszli do wniosku, że roztropność nakazuje nie udzielić wyraźnej odpowiedzi. Toteż premier odparł enigmatycznie: „Niech mi Pan pozwoli mieć nadzieję, że nie będziemy zmuszeni do podejmowania decyzji ostatecznych i niech mi Pan da czas do namysłu”. Na to zdenerwowanemu ambasadorowi wyrwały się przedwcześnie słowa: „Jeśli będę zmuszony opuścić Paryż, spodziewam się, że zechce mi Pan ułatwić wyjazd”. „Z pewnością - brzmiała odpowiedź premiera - ale o tym nie ma mowy”. Obecny przy rozmowie dyrektor polityczny *Quai d’Orsay* Pierre de Margerie miał wówczas dodać: „Pan, który dał tyle dowodów umiarkowania podczas swej kariery (dyplomatycznej), nie może jej zakończyć we krwi”. Wiele lat później zapytano Margeriego, czy rzeczywiście wypowiedział te słowa. Stary dyplomata wyjaśnił, że jeśli nawet zwrócił się do ambasadora niemieckiego z wezwaniem do zachowania spokoju, to z pewnością nie w przypisywanych mu słowach, które bardziej aniżeli styl jego własny przypominają „szumne frazesy” wymowy parlamentarnej. Była to zapewne aluzja, że autorem tej wersji był Viviani, adwokat i parlamentarzysta słynny z porywającej wymowy. Jest to zarazem jeden z licznych przykładów, jak się rodzą, jak powstają tzw. słowa histo-

ryczne. Przed wyjściem z gabinetu Vivianiego Schön zapowiedział, że nazajutrz, 1 sierpnia, we wczesnych godzinach popołudniowych zgłosi się po odpowiedź. Według prezydenta Poincarégo słowa te to „ultimatum kurtuazyjne i ledwo zamaskowane”.

Ambasador nie wykonał całej instrukcji, którą mu przysłano z Berlina. Depesza kanclerza kończyła się szczególnie skomplikowanym szyfrem, który wszakże wywiad francuski odczytał, choć z opóźnieniem, „Jeśli co jest nieprawdopodobne - depeszował Bethmann Hollweg - rząd francuski oświadczy, że Francja chce pozostać neutralna, zechce Wasza Ekscelencja oznajmić rządowi francuskiemu, iż jako poręki neutralności żądamy oddania Toul i Verdun, które zajmiemy i zwrócimy po ukończeniu wojny z Rosją”. Baron von Schön osądził wystąpienie takie za nazbyt brutalne, albo też uznał, że nie byłoby jeszcze do rzeczy, skoro Viviani uchylił się od odpowiedzi.

Sobota, 1 sierpnia, godzina 11 przed południem, przed zapowiedzianym terminem baron von Schön jest znowu w gabinecie prezesa ministrów na *Quai d'Orsay*. Viviani wyjaśnia ambasadorowi jakby z wahaniem (*zögernd*), że „Francja kierować się będzie swoimi interesami”. Po chwili milczenia ambasador zagadnął: „Przyznaję, że moje pytanie jest nieco naiwne. Francja ma traktat przymierza (z Rosją)?”. „Oczywiście” odparł Viviani i jakby dla usprawiedliwienia czy wzmocnienia swej ogólnikowej deklaracji dodał, że od dnia poprzedniego sytuacja się poprawiła - Austro-Węgry oznajmiły, że nie zamierzają dokonać aneksji w



Serbii, Sir Edward Grey ponowił propozycję mediacji czterech mocarstw. Rozmowa prowadzona była spokojnie i z obustronną kurtuazją, ambasador nie wspominał już o wyjeździe z Paryża.

Zapewne wkrótce po wizycie barona Schöna na *Quai d'Orsay* podsekretarz stanu Abel Ferry przesłał do Londynu do ambasadora Cambona telegraficzną informację, że ambasada niemiecka w Paryżu ostentacyjnie przygotowuje się do odjazdu. Ferry komentował to w taki sposób: „Ambasador państwa, które nie jest bezpośrednio zainteresowane problemem serbskim, akredytowany w państwie, które również tym problemem nie jest zainteresowane, przygotowuje się do zażądania swych paszportów, natomiast ambasadorowie Rosji i Austrii (w Wiedniu i w Petersburgu) nie wydają się myśleć o odjeździe. Czy ten fakt nie wskazuje na to, skąd pochodzi myśl o agresji”. Abel Ferry szedł w swych wnioskach niewątpliwie zbyt daleko. Faktem wszakże pozostanie nerwowe, niezręczne postępowanie ambasadora niemieckiego w Paryżu i personelu ambasady. Niemcy wsuwali przeciwnikowi do rąk argumenty propagandy antyniemieckiej.

Jeżeli Viviani istotnie dopatrywał się polepszenia sytuacji, optymizm jego nie był długotrwały. W nocy z soboty 1 na niedzielę 2 sierpnia na krótko przed północą do Pałacu Elizejskiego przybył ambasador rosyjski Izwolski i poprosił o natychmiastową audiencję u prezydenta Republiki. „Z miną ponurą i twarzą zmienioną” oznajmił, że Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji, po czym dodał: „W tej chwili tak tragicznej uwa-

żam za swój obowiązek, Panie Prezydencie, zwrócić się do głowy sprzymierzonego państwa z zapytaniem: «Co zrobi Francja?»» Poincaré ograniczył się w odpowiedzi do kilku zdań tylko, że w tej kwestii wyłącznie rząd zająć może stanowisko, że niezwłocznie zwoła Radę Ministrów, że nie wątpi, iż rząd wypełni sojusznicze zobowiązania Francji, ale że lepiej będzie opóźnić tę decyzję o dni kilka, gdyż w interesie Francji, a nawet Rosji leży, aby władze francuskie mogły ukończyć najpierw mobilizację i, co nie mniej ważne, lepiej będzie pod każdym względem, jeśli to nie Francja wypowie wojnę, lecz „smutny ten zaszczyt” pozostawi Niemcom. Wkrótce zebrała się Rada Ministrów i jednomyślnie podzieliła punkt widzenia prezydenta. Viviani oświadczył Izwolskiemu, który oczekiwał w przyległym salonie, że Francja wypełni swe zobowiązania, ale że potrzebna jest jej kilkudniowa zwłoka. Ambascador nie taił, że wolałby „deklarację natychmiastową i publiczną”, ale ostatecznie musiał się zadowolić odpowiedzią i odszedł „z miną ponurą”.

1 sierpnia w godzinach południowych prawie jednocześnie Niemcy i nieco tylko później Francja zarządziły mobilizację.

Niemcy wszakże i Francja znajdowały się w innej sytuacji. W Niemczech decydowały władze wojskowe i podporządkowały decyzje polityczne względem militarnym. Inaczej zupełnie było po drugiej stronie Renu. Decydowały tam władze polityczne i kierowały się względami politycznymi.

Niemieckie plany mobilizacyjne, obowiązujące od 1 kwietnia 1914 r., spoczywały w kasach pancernych w ministerstwie Wojny, a wraz z nimi podpisany już przez cesarza nie datowany rozkaz mobilizacji. Ostatnie przygotowania rozpoczęto 28 lipca, zarządzono ochronę linii kolejowych i dróg wodnych, powrót wojsk z terenów ćwiczeń do koszar, 30 lipca okręty wojenne wezwano do portów macierzystych, 31 lipca „stan zagrożenia wojennego” szybko posunął naprzód wszelkie przygotowania. Wreszcie 1 sierpnia rozwarły się kasy pancerne ministerstwa wojny, światło dzienne ujrzał cesarski rozkaz mobilizacyjny, został opatrzony datą i opublikowany. Armie krajowe, a więc nie tylko pruska jak czasu pokoju, ale i bawarska, saska i wirtemberska przeszły pod rozkazy cesarza „najwyższego pana wojny”.

We Francji natomiast chyba aż do 1 sierpnia nakazy polityki dyktowały postępowanie władz. Chcąc przekonać opinię publiczną świata, szczególnie opinię angielską, a także własne społeczeństwo, o bezwzględnie pokojowym stanowisku Francji rząd republiki nakazał wycofanie wojska ze strefy granicznej, z pasa szerokości mniej więcej 8 do 10 km. Z punktu widzenia obrony kraju decyzja ta niosła różne niebezpieczeństwa, toteż 31 lipca generał Joffre, przewidziany wódz naczelny, przestrzegał rząd francuski, że odtąd każdy dzień zwłoki w zarządzeniu mobilizacji zmusi dowództwo francuskie do cofania wojsk o 15 do 20 km dziennie. Rząd wzdragał się wszakże przed drastycznymi krokami, a wówczas Joffre zagroził 1 sierpnia dymisją w wypad-

ku dalszego zwleknięcia. Na wniosek ministra wojny Messimy'ego zaproszono generała na posiedzenie rady ministrów. Zebrany ministrom wydał się Joffre „człowiekiem spokojnym i zdecydowanym, który lękał się jedynie, aby mobilizacja niemiecka, najszybsza ze wszystkich, nie doprowadziła Francji do stanu niższości, na który nie będzie rady”.

Wysłuchawszy wywodów generała rada uchwaliła jednogłośnie zarządzenie mobilizacji. Dekret o mobilizacji zawierał zarazem deklarację polityczną zredagowaną przez Vivianiego. A oto ona: „Mobilizacja to nie wojna. Przeciwnie, w obecnej sytuacji wydaje się ona najlepszym środkiem zapewnienia pokoju z honorem”.

Sytuacja międzynarodowa zmieniała się wciąż z wielką szybkością. W dniu ogłoszenia mobilizacji niemieckiej i francuskiej, przedstawiała się następująco: cztery państwa były ze sobą w stanie wojny - Austro-Węgry z Serbią począwszy od 28 lipca i począwszy od 1 sierpnia Niemcy z Rosją. Pokój natomiast panował wciąż pomiędzy Austro-Węgrami i Rosją, chociaż to właśnie konflikt pomiędzy Wiedniem a Petersburgiem doprowadził do kryzysu.

W tych warunkach wejście w życie niemieckiego planu strategicznego napotykało nieprzewidziane trudności polityczne. Wojnę miano przecież rozpocząć wielkim atakiem na Francję, która wszakże nie kwapiła się z porzuceniem neutralności. Toteż w Berlinie nie tylko gorączkowo wyczekiwano, kiedy Francja wypełni swe zobowiązania sojusznicze względem Rosji i wypowiedzie Niemcom wojnę, ale bodaj usiłowano ją do tego

sprowokować. Dzięki zarządzeniom władz francuskich nie było to sprawą łatwą.

2 sierpnia wojska niemieckie wtargnęły na terytorium Wielkiego Księstwa Luksemburga. Kanclerz Bethmann Hollweg zawiadomił rząd luksemburski, że nie jest to krok nieprzyjazny w stosunku do Wielkiego Księstwa, lecz jedynie zabezpieczenie kolei luksemburskich przed napaścią francuską.

Wkroczenie wojsk niemieckich do Luksemburga było niechybną zapowiedzią naruszenia neutralności Belgii, a to stawiało rząd brytyjski w zmienionej sytuacji.

Jeszcze 29 lipca Sir Edward Grey zwracał uwagę ambasadora Francji Paula Cambona na różnicę pomiędzy konfliktem marokańskim roku 1911 a rozgrywającym się konfliktem lipcowym roku 1914. W konflikcie marokańskim - dowodził - zaangażowane były interesy Francji, sprawy te uwzględniało porozumienie brytyjsko-francuskie, zresztą wszystko wskazywało na to, że Niemcy chcą ugodzić we Francję. Obecnie sytuacja jest inna, Wielka Brytania nie może się dać wciągnąć w wojnę o hegemonię na Bałkanach; przedmiot obecnego konfliktu nie dotyczy bezpośrednio Francji. Jeśli zobowiązania sojusznicze doprowadzą do zatargu zbrojnego francusko-niemieckiego, Wielka Brytania będzie miała ręce wolne i swobodę decyzji.

Zręczny Cambon zreasumował wywody Greya w ten sposób, że Wielka Brytania nie czuje się powołana do interwencji w sporach o hegemonię na Bałkanach; gdyby jednak sprawy wzięły inny obrót i zrodził

się konflikt o hegemonię w Europie, rząd brytyjski poweźmie decyzję, co należy mu czynić.

Sekretarz stanu w *Foreign Office* znajdował się w niełatwym położeniu. Nasilający się szybko konflikt międzynarodowy zagrażał interesom angielskim i nie mógł pozostawić Wielkiej Brytanii w roli widza przyglądającego się spokojnie wypadkom rozgrywającym się na kontynencie, jak to było w 1870/71 r. Przeciwnie, teraz Wielka Brytania musiała zająć wobec nich zdecydowane stanowisko. A podjęcie decyzji nie było łatwe. Rząd angielski nie był rządem autorytatywnym, jak rządy w Berlinie i w Petersburgu, a nawet w Wiedniu. Jego decyzje musiały mieć poparcie stronnictw politycznych, parlamentu, musiały zyskać zrozumienie opinii publicznej. Latem 1914 r. zainteresowanie opinii publicznej budziła przede wszystkim sprawa irlandzka, bliższa Anglikom i lepiej im znana niż zawile sprawy kontynentu europejskiego; wielu Anglików nigdy w ogóle nie słyszało o Serbii. Podobnie stronnictwa polityczne więcej uwagi poświęcały sprawom wewnętrznym niż stosunkom międzynarodowym. Rzecz ciekawa, komisja spraw zagranicznych Izby Gmin w dniu 31 lipca zbierała się dwa razy, nie podjęła wszakże żadnych decyzji i postanowiła odbyć następne posiedzenie dopiero po zakończeniu weekendu.

„Sekretarz stanu spraw zagranicznych tradycyjnie cieszył się wyjątkową niezależnością w prowadzeniu spraw”. Sir Edward Grey miał ponadto osobiście silną pozycję w gabinecie i w parlamencie i to dawało mu pewną swobodę manewru, i on wszakże nie mógł ani w

swych wypowiedziach, ani w swych działaniach posuwać się zbyt daleko.

Energicznie wystąpił pierwszy lord admiralicji, czyli minister marynarki Winston Churchill; 29 lipca przeprowadził w gabinecie uchwałę o ostrożnej mobilizacji floty. Tegoż dnia, 29 lipca, Churchill wysłał do dowódców eskadr *warning telegrams* (telegram ostrzegawczy) uprzedzając ich o niebezpieczeństwie wojny. Nazajutrz, 30 lipca, „wielka flota” skoncentrowała się w Scapa Flow. Możliwość wojny morskiej dla przeciętnego Anglika była chyba bardziej zrozumiała, niż wysłanie na kontynent Europy korpusu ekspedycyjnego.

Sir Edward Grey 31 lipca nie taił już, że w ewentualnym konflikcie międzynarodowym Wielka Brytania nie będzie mogła zachować neutralności. Podkreślał jednak, że rząd brytyjski nie jest związany żadnymi umowami, ale że pragnie uzyskać zobowiązanie Niemiec i Francji, że państwa te respektować będą neutralizację Belgii. Zresztą Grey uważał za rzecz jedynie możliwą czekać na rozwój sytuacji.

Lecz czekanie nie odpowiadało - czemu trudno się dziwić - Francuzom. W Paryżu widziano by chętnie zdecydowany krok ze strony angielskiej, akt woli, który mógłby może zapobiec wojnie. Prezydent Raymond Poincaré przedstawił Radzie Ministrów projekt swego osobistego listu do króla Jerzego V. Prezydent rozumiał, że król angielski panuje, lecz nie rządzi, sądził wszakże, iż bezpośredni apel na najwyższym szczeblu, apel głowy państwa francuskiego do głowy państwa

brytyjskiego uwydatni politykom angielskim doniosłość chwili i wagę apelu. Gabinet podzielił opinię prezydenta i 31 lipca w późnych godzinach wieczornych szef protokołu dyplomatycznego na *Quai d'Orsay* William Martin złożył w pałacu Buckingham pismo odręczne prezydenta Republiki. „Jeśliby Niemcy miały pewność - pisał Poincaré - iż rząd angielski nie będzie interweniował w konflikcie, w który Francja zostałaby wciągnięta, wojna byłaby nieunikniona i odwrotnie, gdyby Niemcy miały pewność, że Porozumienie serdeczne umocniłoby się w danym razie także i na polach bitew, byłoby wiele danych, że pokój nie zostanie naruszony”. W niedzielę, 2 sierpnia, szef protokołu Martin przywiózł prezydentowi odpowiedź brytyjską, list napisany po angielsku ręką króla Jerzego na papierze z nagłówkiem Buckingham Palace. „Wypadki posuwają się z taką szybkością - pisał król Jerzy - iż jest rzeczą trudną osądzić z góry ich przyszły rozwój. Ale może Pan być przekonany, że mój rząd nadal rozważać będzie swobodnie i lojalnie z panem Cambon wszystkie sprawy, które mogłyby dotyczyć interesów naszych narodów”.

Gdyby rząd brytyjski udzielił wyraźnego poparcia dyplomatycznego Francji i Rosji - tak rozumowano w kołach rządowych Londynu - wpłynęłoby to na usztywnienie stanowiska Rosji i zaostrzyłoby sytuację międzynarodową.

W Paryżu list króla Jerzego V nie sprawił zapewne miłego wrażenia, choć wypadki biegły istotnie tak szybko, że w chwili, gdy pismo królewskie znalazło się



na biurku prezydenta Republiki, sytuacja już się lekko zmieniła. W Berlinie natomiast w tym samym niemal czasie telegram z Londynu radośnie poruszył władców Niemiec. Oto książę Lichnowsky depeszował 1 sierpnia, że jeśli Niemcy nie zaatakują Francji, Wielka Brytania zachowa neutralność.

Sekretarz stanu i ambasador ważną tę rozmowę prowadzili przez telefon. Grey wyraził się zapewne nie dosyć jasno, Lichnowsky jego słowa zrozumiał tak, jak je zrozumieć pragnął. Wobec wielkiej wagi zagadnienia powinien był zgłosić się do Greya osobiście i dopiero uzgodniony z nim wspólnie tekst oświadczenia angielskiego podać do wiadomości rządu Rzeszy. Zaniechał tego i natychmiast pod pierwszym radosnym a mylnym wrażeniem nadał pilny telegram do Berlina. W podniosłym nastroju narada na zamku w Berlinie, cesarz i kanclerz przyjęli telegram Lichnowskyego z wielką radością i byli już przekonani, że wojna ograniczy się tylko do działań zbrojnych przeciwko Rosji. Impulsywny Wilhelm zwrócił się do wezwanego pospiesznie szefa sztabu ze słowami: „A więc po prostu maszerujemy z całą armią na wschód”. Na wyjaśnienia Moltkego, że jest sprawą niemożliwą nagle zmieniać plany opracowywane w ciągu lat, zniecierpliwiony cesarz odparł: „Pański stryj dałby mi inną odpowiedź”. Nietaktowna uwaga koronowanego dyletanta głęboko dotknęła Moltkego. Euforia w Berlinie nie trwała długo, nadszedł telegram króla Jerzego do Wilhelma, że Lichnowsky błędnie zrozumiał wywody Greya. Moltke

mógł już bez przeszkód wprowadzać w życie plan wojenny.

Gdy król Jerzy odpowiadał prezydentowi Francji, gdy telegrafował do cesarza niemieckiego, w Londynie ważyły się jeszcze decyzje o wojnie i o pokoju. 31 lipca minister kolonii Lewis Harcourt pisał, że „ten gabinet” nie pozwoli, aby Wielka Brytania uwikłała się w wojnę. Tego samego dnia rada ministrów odrzuciła wniosek pierwszego lorda admiralicji Winstona Churchilla o powołanie marynarzy rezerwistów i ostateczne ukończenie przygotowań wojennych we flocie. Lord-prezydent Tajnej Rady wicehrabia John Morley i prokurator królewski (*attorney general*) Sir John Simon żądali ogłoszenia deklaracji, że Wielka Brytania w żadnym wypadku nie weźmie udziału w wojnie. Ciężki przemysł, banki, koła handlowe popierały to stanowisko antywojenne. Grey groził dymisją, gdyby gabinet przyjął wniosek Morleya–Simona. Wydawało się sprawą niemożliwą, aby Wielka Brytania dała się wciągnąć do wojny pod rządami gabinetu liberalnego. Ale już w dwa dni później, 2 sierpnia, członkowie gabinetu z wyjątkiem dwóch przychylali się do polityki interwencji. Zmieniły się też nastroje społeczeństwa.

Cóż więc zaszło takiego, co się wydarzyło, co spowodowało zwrot tak nieoczekiwany? Odpowiedź jest krótka - Belgia, zagrożenie Belgii, zagrożenie wybrzeży nad kanałem La Manche, zagrożenie Wysp Brytyjskich. Anglicy z dala, spokojnie beznamiętnie słuchali o nieznanej Serbii, o polityce austriackiej i rosyjskiej na Bałkanach, nawet o konflikcie niemiecko–

rosyjskim, ożywili się, gdy widmo wojny zbliżyło się do ujść Renu i Skaldy. Rozbudziły się resentymenty antyniemieckie, czerpane z rywalizacji w budowie floty, z rywalizacji kolonialnej. 31 lipca Edward Grey telegrafował do ambasadora w Berlinie Sir Edwarda Goschena: „Opinia publiczna przesądzi w znacznej mierze o naszym stanowisku, a neutralność Belgii będzie żywo do tej opinii przemawiała”.

W niedzielę, 2 sierpnia, odbywały się w Londynie wiece robotnicze, śpiewano Międzynarodówkę, ale tego samego dnia Ramsay MacDonald, główny przywódca pacyfistów, mówił do Lorda Morleya, że wojna, która nadchodzi, będzie to „najbardziej popularna wojna, jaką kraj toczył”.

Wyjaśnia to, tłumaczy to sprawa belgijska, nie dopuścić do Belgii i do Holandii żadnej obcej potęgi militarnej to podstawowy nakaz polityki brytyjskiej, rozumiały ogólnie i w społeczeństwie popularny, utwierdzony traktatem londyńskim 1839 r..

2 sierpnia dwukrotnie, w godzinach rannych i w godzinach wieczornych, zebrał się gabinet brytyjski na nadzwyczajne posiedzenia. Fakt, że wbrew angielskim zwyczajom weekendowym zebranie zwołano w niedzielę świadczy, z jaką powagą oceniano w Londynie sytuację. Przyjęto następujący porządek dzienny: sprawa neutralności Belgii, ochrona kanału La Manche i ewentualna brytyjska ekspedycja wojskowa na kontynent.

Gabinet większością głosów przyjął, że pogwałcenie neutralności Belgii zmusi Wielką Brytanię do dzia-

łania; upoważniał sekretarza stanu spraw zagranicznych do oświadczenia ambasadorowi francuskiemu, że gdyby flota niemiecka wpłynęła na wody kanału La Manche i podjęła kroki zaczepne przeciwko Francji, flota brytyjska udzieli Francji pomocy; wreszcie co do ekspedycji gabinet stanął na stanowisku, że z uwagi na sytuację w Indiach i w Egipcie Wielka Brytania na razie nie może wysłać swych wojsk na kontynent.

Decyzje gabinetu przeprowadził pośród gorącej dyskusji Grey przy poparciu Herberta Asquitha i Winstona Churchilla. Na stanowisko zajęte przez ministrów wpłynęła niewątpliwie w pewnej mierze zmiana nastrojów w społeczeństwie.

Sir Edward Grey, główny zwolennik działania, zdawał sobie w pełni sprawę z grozy położenia: jaśniej niż ministrowie innych mocarstw rozumiał, że „nikt nie może przewidzieć skutków” wojny europejskiej.

Sytuację rządu osłabiła dymisja dwóch ministrów, Lorda Johna M. Morleya i Johna Burnsa, zwolenników izolacjonizmu. Jednocześnie, co miało niewątpliwie większe znaczenie, konserwatyści zapewnili 2 sierpnia premiera Asquitha, że popierać będą stanowczą politykę rządu.

O co chodziło? Protokołem londyńskim z 19 kwietnia 1839 r. pięć ówczesnych mocarstw europejskich - Francja, Wielka Brytania, Austria, Prusy i Rosja - gwarantowało neutralizację królestwa belgijskiego. Wielka Brytania miała więc formalną podstawę do obrony Belgii przed agresją niemiecką, ale miała i powody bardziej realne zainteresowania się losami małe-

go królestwa belgijskiego. Belgia i Holandia we władaniu militarystycznego mocarstwa to, zdaniem angielskich polityków i strategów, zagrożenie bezpieczeństwa Wysp Brytyjskich.

W sztabie niemieckim zdawano sobie z tego sprawę, ale uważano, że potężne, oskrzydlające armię francuską uderzenie na Paryż w niedługim czasie powali Francję; sądzono, że w wojnie krótkotrwałej udział Wielkiej Brytanii byłby bez znaczenia; w wojnie takiej brytyjska blokada wybrzeży i portów niemieckich mogłaby przyczynić Niemcom tylko niewielkich przejściowych trudności, a brytyjski korpus ekspedycyjny zdołałby odegrać tylko nieznaczną rolę. Bodaj tylko kanclerz Bethmann Hollweg i nieliczni politycy cywilni upatrywali w zbrojnym starciu z Wielką Brytanią poważne niebezpieczeństwo.

29 lipca poseł niemiecki w Brukseli Klaus von Below-Saleske otrzymał z Urzędu Spraw Zagranicznych pismo w zapieczętowanej kopercie; instrukcja Jagowa nakazywała mu trzymać je zamknięte i otworzyć dopiero na polecenie telegraficzne. Polecenie to nadeszło do Brukseli 2 sierpnia. Poseł miał zgłosić się do ministra spraw zagranicznych wicehrabiego J. Davignon o 8 wieczorem i wręczyć mu ultimatum zabiegając starannie, aby minister był przekonany, że nadeszło ono do Brukseli w ostatnich godzinach. Czas odpowiedzi 12 godzin, a więc godzina 8 rano w poniedziałek 3 sierpnia. *Attaché* wojskowy odpowiedź na ultimatum miał odwieźć osobiście samochodem do Akwizgranu i doręczyć ją tamtejszemu komendantowi generałowi von

Emmichowi. Najpóźniej o godz. 2 po południu stanowisko rządu belgijskiego musiało być znane w Berlinie. Tak wielką wagę przywiązywały władze niemieckie do pośpiechu.

2 sierpnia o godz. 7 wieczorem przed gmach belgijskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych zajechało auto poselstwa niemieckiego. Poseł von Below-Saleske wszedł do gabinetu ministra Davignona i z oznakami istotnego wzruszenia wręczył mu ultimatum rządu Rzeszy. „Według wiarogodnych danych - brzmiała zadziwiająca w treści nota niemiecka - otrzymanych przez rząd cesarski, francuskie siły zbrojne planują marsz nad Mozę przez Givet i Namur. Wiadomości te nie pozwalają wątpić, że Francuzi zamierzają wkroczyć do Niemiec przez terytorium belgijskie. Rząd cesarski nie może powstrzymać się od obawy, że Belgia pomimo najlepszej woli nie będzie w stanie odeprzeć bez pomocy tak silnego ataku francuskiego w taki sposób, aby nie zagroził on Niemcom”. W tych warunkach Niemcy są zmuszeni wkroczyć również na terytorium belgijskie. Jeśli Belgia zachowa wobec Niemiec życzliwą neutralność, rząd Rzeszy zobowiązuje się gwarantować przy zawieraniu pokoju niepodległość i integralność królestwa belgijskiego, a nawet zaspokoić jego roszczenia terytorialne kosztem Francji i po zawarciu pokoju wycofać wojska niemieckie z Belgii. Gdyby jednak Belgowie zajęli w stosunku do wojsk niemieckich postawę wroga, Niemcy będą zmuszone uznać Belgię za nieprzyjaciela i nie będą mogły zaciągnąć wobec niej żąd-

nych zobowiązań; oręż rozstrzygnie, jak ułożą się przyszłe stosunki pomiędzy obu państwami.

2 sierpnia o godzinie 9 wieczorem, pod przewodnictwem króla Alberta, zebrała się Rada Koronna i uchwaliła jednomyślnie odrzucenie ultimatum niemieckiego. Gdyby rząd belgijski - głosiła uchwała Rady - przyjął żądania niemieckie, „poświęciłby honor narodu, a zarazem zdradził swoje obowiązki względem Europy”.

W poniedziałek 3 sierpnia major von Klüber, niemiecki *attaché* wojskowy, pędził samochodem z Brukseli do Akwizgranu, aby odpowiedź belgijską doręczyć przed godziną drugą po południu generałowi Emmichowi.

Nikt nie miał wątpliwości, że atak na Belgię stanowi krok wstępny do agresji na Francję. Wojna niemiecko-francuska była kwestią godzin.

3 sierpnia, wkrótce po godzinie 6 po południu, ambasador niemiecki przybył na *Quai d'Orsay* i zjawił się w gabinecie prezesa ministrów i ministra spraw zagranicznych René Vivianiego. „Baron von Schön - pisał później Poincaré - nie miał dnia tego swego zwykłego poczciwego uśmiechu i tej poufnej dobroduszości, do której przyzwyczaili się od dawna nawet woźni z *Quai d'Orsay*. Był ponury, a twarz wykrzywiało mu wzruszenie, które wydawało się szczerze”. Rozmowę z Vivianim rozpoczął z oznakami zdenerwowania. „Panie Prezydencie, zostaliśmy znieważeni, mój cesarz i ja. Dwie damy zelżyły mnie, gdy wsiadałem do powozu”. Wysłuchał złożonych przez premiera wyrazów ubole-

wania, a następnie odczytał dokument zaopatrzony własnym podpisem: „Panie Prezydencie, wojskowe i administracyjne władze niemieckie stwierdziły pewną ilość czynów wrogich dokonanych na terytorium francuskim przez wojskowych lotników francuskich. Wielu z nich pogwałciło jawnie neutralność Belgii przelatując ponad terytorium tego kraju. Jeden z lotników usiłował zniszczyć zabudowania koło Wesel, innych widziano w rejonie Eiffel, jeszcze inny zrzucił bomby na linię kolejową Karlsruhe i koło Norymbergi. Mam zaszczyt podać do wiadomości Waszej Ekscelencji, że wobec tych aktów agresji Rzesza uważa, iż znajduje się w stanie wojny z Francją z winy tej ostatniej”.

Rzecz znamieną, że nota wręczona przez ambasadora Niemiec premierowi Francji odbiegała nieco w treści od instrukcji nadesłanej z Berlina. Instrukcja ta, podpisana przez kanclerza Bethmanna, głosiła: „Wojska francuskie już wczoraj przekroczyły granicę niemiecką koło Altmünsterol i drogą górską przez Wogezy i znajdującą się jeszcze na terytorium niemieckim. Lotnik francuski, który bez wątpienia przeleciał ponad terytorium belgijskim, został zestrzelony wczoraj, gdy usiłował zniszczyć kolej pod Wesel. Wiele innych samolotów francuskich widziano niechybnie w okolicach Eiffel. I one musiały przelecieć ponad terytorium belgijskim. Wczoraj lotnicy francuscy zrzucili bomby na kolej pod Karlsruhe i pod Norymbergą”.

Pozostaje kwestią sporną, nie wyjaśnioną, dlaczego ambasador nie przytoczył wszystkich podanych mu z Berlina faktów oskarżycielskich. W swych pamiętni-



kach stwierdza, że telegram Bethmanna nadszedł z Berlina do Paryża tak zniekształcony, że nie sposób było w całości go zdeszyfrować. Według badań francuskich twierdzenie to było mało prawdopodobne. Najprawdopodobniej Schön uznał, że oskarżenia niemieckie szły zbyt daleko. Przecież, jeżeli Niemcy zestrzelili na swoim terytorium lotnika francuskiego, powinni móc go pokazać, jego lub jego zwłoki.

A więc 3 sierpnia Niemcy znajdowały się już w stanie wojny z Rosją na wschodzie, z Francją i Belgią na zachodzie. Austro–Węgry były w stanie wojny z Serbią, nie doszło natomiast jeszcze - rzecz dziwna - do wojny pomiędzy Austro–Węgrami a Rosją. Dopiero 6 sierpnia Austro–Węgry wypowiedziały wojnę Rosji. Dla dalszego biegu wypadków miało doniosłe znaczenie stanowisko dwóch pozostałych mocarstw europejskich - Włoch, a przede wszystkim Wielkiej Brytanii.

Włochy wiązała z Państwami Centralnymi traktat Trójprzymierza, zawarty 20 maja 1882 r., odnowiony po raz szósty 5 grudnia 1912 r. z mocą działania do roku 1920. Nie zaciągnęły one ani względem Francji, ani względem Wielkiej Brytanii ściślejszych zobowiązań, zwłaszcza zobowiązań do wystąpienia zbrojnego.

Traktat Trójprzymierza, spowodowany w głównej mierze chęcią Włoch zabezpieczenia się przed Francją, miał charakter obronny; *casus foederis* zachodził jedynie na wypadek nie spowodowanej agresji francuskiej na Włochy lub na Niemcy, konflikt austriacko–serbski pozostawał w ogóle poza wzajemnymi zobowiązaniami. Co więcej, w roku 1887 Austro–Węgry i Włochy

ułożyły się, że jeśli „utrzymanie *status quo* na Półwyspie Bałkańskim, na wybrzeżach i na wyspach otomańskich na Adriatyku i na Morzu Egejskim stałoby się niemożliwe i gdyby w wyniku akcji trzeciego mocarstwa lub w inny sposób Austro–Węgry albo Włochy uznały za sprawę konieczną zmienić ten stan rzeczy przez okupację stałą lub przejściową, okupacja ta nastąpi dopiero po uprzednim porozumieniu się pomiędzy tymi mocarstwami opartymi na zasadzie wzajemnej rekompensaty”.

W piśmie do króla Wiktora Emanuela III z 24 lipca, a więc zredagowanym pod pierwszym świeżym wrażeniem ultimatum austriackiego, markiz di San Giuliano tak określił politykę czy taktykę Włoch w nadchodzącym konflikcie:

1) wyjaśnić sprzymierzeńcom, że Włochy nie mają obowiązku wzięcia udziału w ewentualnej wojnie, 2) przed udzieleniem poparcia nawet dyplomatycznego zdobyć pewność, że Państwa Centralne uznają włoską interpretację art. VII traktatu Trójprzymierza, 3) zapewnić sobie odpowiednie kompensaty na wypadek ewentualnego powiększenia terytorium Austro–Węgier, 4) zapewnić sobie kompensaty za ewentualny „ale nieprawdopodobny udział w wojnie, udział pro lub contra, zapadnie o tym swobodna decyzja w swoim czasie”, 5) zapewnić sobie pomniejsze kompensaty, a co najmniej gwarancję, że interesy Włoch nie poniosą uszczerbku w zamian za każde dyplomatyczne poparcie sprzymierzeńców.

Rząd włoski od razu, już w początkach kryzysu stanął na stanowisku, że nie zachodzi *casus foederis*. Premier Antonio Salandra zwierzał się ambasadorowi francuskiemu Barrère'owi, że „Włoch musiałby być szaleńcem, aby dążyć do wojny”. Zdaniem Barrère'a, na stanowisko Włoch wywierały wpływ znaczny wieści napływające z Londynu. Rząd włoski głosił, że ma wolne ręce, nie chciał wszakże palić mostów i dawał do zrozumienia i w Wiedniu, i w Berlinie, że być może Włochy wezmą udział w wojnie, ale w późniejszym czasie. 31 lipca rada ministrów podjęła uchwałę o neutralności Włoch, 3 sierpnia ogłosiła ją oficjalnie. Agencja Stefaniego ogłosiła: „... Włochy zachowują pokój ze wszystkimi walczącymi państwami. Rząd królewski oraz obywatele i poddani królestwa mają obowiązek przestrzegać neutralności według obowiązujących praw i zgodnie z zasadami prawa międzynarodowego”.

W podobnym do Włoch położeniu znajdowała się Rumunia, również powiązana z Państwami Centralnymi (traktat z 30 października 1883 r.). I ten sojusz tracił na sile, gdyż pozycję Niemiec w Rumunii podcinały coraz bardziej wpływy francuskie i rosyjskie. Toteż polityka rumuńska budziła ostatnio zaniepokojenie i w Wiedniu, i w Budapeszcie.

Król Karol I z rodu Hohenzollern–Sigmaringen, przeświadczony o przewadze Państw Centralnych, uważał, że w zbliżającej się wojnie Rumunia powinna opowiedzieć się po stronie silniejszego i wystąpić przeciwko Rosji; mogłaby dzięki temu odzyskać w całości lub w części Besarabię utraconą w 1878 r. Inne stano-

wisko zajmowali ci politycy, którzy dowodzili, że interes nakazuje zdobyć Siedmiogród, a to jest możliwe tylko w oparciu o Rosję. Sądzieli więc, że należy stanąć u boku Rosji, bądź też zachować chwilowo wolną rękę.

Na wiadomość, że Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji, król zwołał 3 sierpnia Radę Koronną; obok członków gabinetu uczestniczyli w niej następca tronu Ferdynand, prezes Izby Deputowanych oraz kilku dawnych ministrów-przedstawicieli opozycji. Burzliwe obrady trwały cztery godziny. Pierwszy zabrał głos przywódca opozycji, dawny premier, Petru Carp wskazując, że triumf slawizmu zagraża Rumunii. „Wcześniej czy później - dowodził - jedna czy druga strona na nas napadnie. Dlaczego się wahać? Zwycięstwo Trójprzymierza jest pewne”. Następni mówcy wywodzili, że nie zaszedł *casus foederis*, gdyż Austrii nikt nie zaatakował, przeciwnie, to Austria zaatakowała Serbię. Powoływali się na opinię publiczną, która nie chce słyszeć o wojnie po stronie Państw Centralnych. Wyrażali obawę, że to, co dziś Austria usiłuje narzucić Serbii, jutro mogą chcieć narzucić Rumunii Węgry. Alexandru Marghiloman radził czekać na decyzję Włoch, jeśli Włochy pozostaną neutralne, któż zrozumie, że Rumunia porzuciła neutralność? „Z pewnością - zakonkludował - nie kraj”. Dyskutowano zawzięcie, gdy otwarły się drzwi, wszedł woźny i podał premierowi pilny telegram; była to informacja o ogłoszeniu przez Włochy neutralności. Król oświadczył wówczas: „Panowie, czuję się związanym osobiście z Państwami Centralnymi. Jeśli Panowie uważają, że dobro Rumunii wymaga innej polityki za-

granicznej, gotów jestem abdykować”. Ostatecznie po dalszej dyskusji Rada Koronna wszystkimi głosami z wyjątkiem głosu Carpa uchwaliła, że „Rumunia podejmie wszystkie środki potrzebne dla obrony granic”. Oznaczało to neutralność z tym, że wyrazu tego nie użyto przez szacunek dla króla. „Jako monarcha konstytucyjny - zakonkludował król Karol - muszę się poddać decyzji Panów. Ale lękam się, że autorytet Rumunii zostanie podważony po dzisiejszym posiedzeniu, a Panowie będą żałowali swej decyzji”.

Słabym ekwiwalentem dla Austro–Węgier za neutralność rumuńską miało być zapewnienie Rumunii, że nie wystąpi przeciwko Bułgarii w razie agresji bułgarskiej na Serbię.

4 sierpnia król Karol oświadczył posłowi niemieckiemu baronowi Juliusowi von Waldthausen, że dopóki on zasiadać będzie na tronie, Rumunia nie wystąpi przeciwko Austro–Węgrom. Ale dni sędziwego monarchy były już policzone. Zmarł w Sinai 11 października 1914 r.

„Sprzymierzeńcy odpadają od nas jak zgniłe gruszki” - zauważył nie bez słuszności Wilhelm II.

Sprawą wielkiej doniosłości dla losów wojny było stanowisko Wielkiej Brytanii. Sposób, w jaki się ono kształtowało jest znamieny dla mentalności angielskiej i dla angielskich obyczajów politycznych.

Niemcy niepokoiли się możliwością interwencji brytyjskiej i usiłowali jej zapobiec. Usiłowania te były często nie tylko niezgrabne, ale i niepoważne. Tak więc 2 sierpnia sekretarz ambasady niemieckiej von Schu-

bert z poważną miną zakomunikował podsekretarzowi stanu w *Foreign Office* Sir Eyre Crowe'owi, że ranniem tego dnia 80 oficerów francuskich w mundurach pruskich usiłowało przekroczyć dwunastu samochodami granicę niemiecką koło Walbeck na zachód od Geldern. „Żartem zapytałem pana von Schuberta - notował Sir Eyre - czy spodziewa się on, że jego twierdzenie przyjmę poważnie”. Zakłopotany dyplomata niemiecki wyjaśnił, że sprawa jest poważna, gdyż wiadomość ta pochodzi od rządu Rzeszy. I rząd Rzeszy chciał widocznie poprzeć te rewelacje swoim autorytetem, gdyż nazajutrz, 3 sierpnia, sekretarz stanu von Jagow telegrafował do ambasadora Lichnowskyego, że Francuzi przebrani za oficerów pruskich usiłowali w większej liczbie przekroczyć granicę holendersko(!)-niemiecką, a jakiś lekarz francuski próbował zatruć studnię w Metz bakteriami cholery, został wszakże schwytany i rozstrzelany widocznie dlatego, aby takiego przestępcy nie można było nikomu pokazać. Nie wiadomo, co tu więcej podziwiać, naiwność czy cynizm. W każdym razie powtórzyć należy za Iuvenalem: „*Difficile est satyram non scribere*”.

Nasuwa się wszakże refleksja, że widać skończyły się czasy informacji urzędowych, pewnych i rzetelnych, a wkroczone w erę informacji późniejszych państw totalitarnych, informacji nierzetelnych, nieodpowiedzialnych i niepoważnych.

Ambasador książę Karl Max von Lichnowsky poważnie traktował swe obowiązki, ale stanowiska władz w Berlinie, zarówno cywilnych, a zwłaszcza wojsko-

wych, nie rozumiał. W decydujących godzinach dnia 3 sierpnia stanowczo zapewnił Greya, że Niemcy w razie przemarszu przez Belgię uszanują integralność jej terytorium, że jeśli Wielka Brytania pozostanie neutralna, flota niemiecka nie wpłynie na wody kanału La Manche i nie zbliży się do brzegów Francji.

Nerwy odmówiły księciu Lichnowskyemu posłuszeństwa. 2 sierpnia tłumaczył premierowi Asquithowi, że to właśnie Niemcy, które muszą swe wojska wysłać i przeciwko Francji, i przeciwko Rosji, są znacznie bardziej narażone na niebezpieczeństwo zgniecenia niż Francja. „Był bardzo wzburzony - pisze Asquith - biedny człowiek i płakał. Był rozgoryczony z powodu polityki swego rządu, który nie powstrzymywał Austrii; wydawał się zupełnie załamany”.

Lichnowsky był tym bardziej załamany, że musiał zdawać sobie sprawę z tego, że wysiłki jego były już daremne.

W poniedziałek, 3 sierpnia, około godz. 11 w południe nadeszła do Londynu wiadomość o ultimatum niemieckim do Belgii i o odpowiedzi rządu belgijskiego. Gabinet postanowił mobilizację armii terytorialnej. Po południu w Izbie. Gmin zabrał głos Sir Edward Grey. Każde słowo długiego przemówienia było starannie wyważone. Mówca stwierdził, że Wielka Brytania nie zaciągnęła względem Francji żadnych zobowiązań, że ma zupełną swobodę decyzji, ale że jej interes narodowy nie pozwala na zagrożenie wybrzeży francuskich. Wiele uwagi poświęcił neutralizacji Belgii, gwarantowanej przez mocarstwa, szczególnie przez Wielką

Brytanię. W imieniu konserwatystów poparł stanowisko Greya Andrew Bonar Law, w imieniu Irlandczyków Sir John Redmond. Gdy głos opozycji podniósł Ramsay MacDonald, w różnych stronach Izby rozległy się protesty, niektórzy posłowie wyszli z sali. Głos MacDonalda przebrzmiał bez echa. W dwa dni później zgłosił on rezygnację z przewodnictwa Labour Party i oddał je w ręce Arthura Hendersona.

„Gdy Grey udawał się do Izby, spodziewał się, że połowa członków jego własnej partii opowie się przeciwko niemu. Gdy skończył swą mowę, miał za sobą wszystkich konserwatystów, prawie wszystkich liberałów i połowę labou-rzystów”.

Nikt nie zażądał głosowania, zgodnie więc z angielskimi zwyczajami parlamentarnymi uznano, że Izba jednomyślnie poparła stanowisko rządu.

We wtorek, 4 sierpnia, ambasador brytyjski w Berlinie Sir Edward Goschen zażądał od rządu niemieckiego cofnięcia wszystkich kroków podjętych przeciwko Belgii i uszanowania neutralizacji królestwa belgijskiego. Odpowiedź sekretarza stanu spraw zagranicznych była odmowna, wojska niemieckie przekroczyły już granicę belgijską, a ta „konieczność wojenna” była dla Rzeszy kwestią życia i śmierci. Rozmowa pomiędzy kanclerzem Rzeszy i ambasadorem Wielkiej Brytanii, prowadzona nieco później, miała charakter dramatyczny. Bethmann Hollweg potwierdził odmowną odpowiedź Jagowa i zaczął się rozwodzić nad „nieszczęściem dla świata”, jakie pociągnie za sobą przystąpienie Anglii do wojny. Gdy Goschen wtrącił słowo o neu-



tralności Belgii, kanclerz stracił panowanie nad nerwami i wykrzyknął, że w porównaniu z tak strasznym nieszczęściem, jakim będzie wojna angielsko-niemiecka traktat o neutralizacji Belgii to tylko świstek papieru (*a scrap of paper*).

Sir Edward odparł, że jeśli według zapewnień Jagowa przejście wojsk niemieckich przez Belgię było dla Niemiec kwestią „życia i śmierci”, to dla honoru Wielkiej Brytanii kwestią „życia i śmierci” jest dotrzymanie uroczystych zobowiązań i obrona neutralności belgijskiej. Inaczej do zobowiązań angielskich nikt nie przywiązywałby wagi. Na to kanclerz: „Ale za jaką cenę? Czy rząd brytyjski o tym pomyślał?”

Wieczorem 4 sierpnia tłumy demonstrowały przed ambasadą brytyjską w Berlinie; wybito 11 szyb. Przybyły na interwencję ambasadora w Urzędzie Spraw Zagranicznych silny oddział policji rozproszył demonstrantów. Nazajutrz, 5 sierpnia, wyrazy ubolewania złożył osobiście sekretarz stanu von Jagow. Wkrótce później zjawił się w ambasadzie jeden z adiutantów cesarskich i oświadczył, że cesarz Wilhelm polecił mu wyrazić ambasadorowi ubolewanie z powodu zajść poprzedniego wieczora, ale zlecił mu również zwrócić uwagę Sir Edwarda na to, co czuje naród niemiecki, gdy widzi, że Anglicy wystąpili przeciwko swym starym sprzymierzeńcom spod Waterloo. Cesarz prosił o podanie do wiadomości króla angielskiego, że jest wprawdzie dumny z tytułów brytyjskiego marszałka polnego i brytyjskiego admirała, ale musi je teraz złożyć.

W parę godzin po rozmowie z Goschenem 4 sierpnia po południu kanclerz w mowie w parlamencie Rzeszy rzucił te słowa: „Występujemy we własnej obronie, a konieczność nie zna zakazów (*Not kennt kein Gebot*). Wojska nasze zajęły Luksemburg, może wkroczyły już do Belgii. Moi Panowie, to sprzeciwia się nakazom prawa narodów”.

Tymczasem w Londynie zgromadzeni na Downing Street członkowie gabinetu czekali niespokojnie na odpowiedź niemiecką. Nadszedł wreszcie telegram *in claris* Goschena o odmownej odpowiedzi kanclerza. Młody urzędnik *Foreign Office* Harold Nicolson, znany później pisarz, zawiózł akt wypowiedzenia wojny do ambasady niemieckiej na Carlton House Terrace i wręczył go osobiście księciu Lichnowskyemu.

Big Ben wybijał godzinę 11 wieczorem, gdy Winston Churchill, pierwszy lord admiralicji, wysyłał telegraficzne rozkazy do floty. Wielka Flota (*the First, Grand Fleet*) zgromadziła się już w portach Scapa Flow, Cromarty i Rosyth. Druga flota (*the Second Fleet*) była gotowa według planów przewidzianych współpracą francusko–brytyjską. Rozpoczęła się mobilizacja armii lądowej.

Od północy z 4 na 5 sierpnia Niemcy znalazły się na stopie wojennej z Wielką Brytanią. 6 sierpnia Austro–Węgry wypowiedziały wojnę Rosji, a Serbia Niemcom. 7 sierpnia Czarnogóra wydała wojnę monarchii habsburskiej, 12 Niemcom. Wreszcie 11 sierpnia Francja, a 12 Wielka Brytania wypowiedziały wojnę Austro–Węgrom.

W ciągu pierwszych dwunastu dni sierpniowych znalazło się więc w stanie wojny pięć wielkich mocarstw „i trzy mniejsze państwa. Konflikt, jeśli nie brać pod uwagę głębszych przyczyn, a tylko bezpośrednie powody i patrzeć tylko na państwa weń wmieszane miał charakter europejski, ale utracił go szybko. Jeszcze w sierpniu wystąpiło mocarstwo z dala od spraw Europy stojące - Japonia.

Japonia nie miała interesów w Europie i w sprawach europejskich nie była związana zobowiązaniami sojuszniczymi. Traktat brytyjsko-japoński z 12 grudnia 1905 r., odnowiony 13 lipca 1911 r., mówił tylko o ochronie wspólnych interesów w Chinach i o prawach terytorialnych obu kontrahentów na Dalekim Wschodzie i w Indiach. Sternicy cesarstwa Wschodzącego Słońca uznali wszakże, iż konflikt europejski wytworzył sytuację, w której Japonia będzie mogła umocnić swą pozycję w Azji Wschodniej, przede wszystkim w Chinach. Wstępnym krokiem do tego miało być zajęcie bazy morskiej w Kiau-czou. Bazę tę opanowali Niemcy i zmusili Chiny do oddania im tego portu w tzw. dzierżawę na lat 99; umowę podpisano 6 marca 1898 r.

Zdarzyło się, że w kwietniu 1894 r. Francja, Wielka Brytania i Rosja przeprowadziły w Tokio wspólną *démarche*, aby skłonić rząd japoński do złagodzenia warunków świeżo zawartego w Shimonoseki pokoju z Chinami. Do owej *démarche* przyłączył się poseł niemiecki w Tokio niejaki pan von Gutschmid i uczynił to w formie aroganckiej, tyle niezręcznej co i brutalnej.

Zapewnił na piśmie rząd tokijski, że Japonia nie może przecież myśleć o przeciwstawieniu się mocarstwom europejskim. Nota barona Gutschmida spoczywała spokojnie w archiwum japońskiego ministerstwa spraw zagranicznych, ale Japończycy pogróżki nie zapomnieli.

15 sierpnia 1914 r. japoński minister spraw zagranicznych baron Takaki Kato wystosował do rządu niemieckiego ostre ultimatum. Zawierało ono dwa żądania: 1) natychmiastowego wycofania z wód japońskich i chińskich okrętów niemieckich oraz wszelkich statków uzbrojonych, a rozbrojenie tych, które nie mogą być wycofane; 2) przekazania władzom japońskim najpóźniej do dnia 15 września 1914 r., bez żadnych warunków i bez odszkodowania, dzierzawionego przez Niemcy chińskiego portu Kiau–czou. W nocy znalazła się wzmianka o „ewentualnym” (!) zwrocie Kiau–czou Chinom. Nota kończyła się tymi słowami: „Cesarski rząd japoński zawiadamia jednocześnie, że jeśli do południa 23 sierpnia 1914 r. nie otrzyma odpowiedzi cesarskiego rządu niemieckiego o bezwarunkowym przyjęciu powyższej rady (!), będzie zmuszony do podjęcia kroków, które uzna za konieczne w powstałej sytuacji”.

Fakt to znamieny, że niemiecki *chargé d'affaires* w Pekinie wystąpił z propozycją natychmiastowego zwrotu Kiau–czou bezpośrednio Chinom. Chińczycy otrzymali wszakże ostrzeżenie z Tokio i bynajmniej nie kwapili się do podjęcia rozmów z Niemcami.

Rząd Rzeszy nie udzielił odpowiedzi na notę japońską i Japonia 23 sierpnia wypowiedziała Niemcom wojnę.

Rzecz prosta, że ani chęć zemsty na notę Gutschmida z 1894 r., ani irytacja, którą wywoływały w Japonii mowy Wilhelma II o żółtym niebezpieczeństwie, nie skłoniły rządu tokijskiego do wystąpienia przeciwko Niemcom. Japonia, korzystając z konfliktu w Europie, chciała umocnić swą pozycję na Dalekim Wschodzie, a przede wszystkim zająć Kiau–czou i postawić stopę na Półwyspie Szantuńskim, bogatym w żelazo i w węgiel tak bardzo jej potrzebne. Był to wstęp do polityki imperialistycznej w Chinach, której świadectwem będzie „21 żądań” przedstawionych Chinom 18 stycznia 1915 r.

„Pod nieobecność Europy” chciała Japonia osiągnąć imperialistyczne cele na Dalekim Wschodzie.

We wrześniu 1914 r. sześćdziesięcioletni korpus ekspedycyjny japoński wylądował w Chinach i zaatakował Niemców w Kiau–czou i w Cintao (obecnie Qingdao); po zaciętych walkach Niemcy kapitulowali 7 listopada 1914 r. W walkach w ciągu września i października 1914 r. Japończycy opanowali kolonie niemieckie na Oceanie Spokojnym - Wyspy Marshalla, Mariany i Palau. Zwycięstwa Japończyków w Chinach i na Pacyfiku położyły faktycznie kres wojnie japońsko–niemieckiej.

W krajach Koalicji wystąpienie Japonii wywołało niekłamanie zadowolenie. Najzyczliwiej powitano je w Piotrogradzie, Rosja bowiem upatrywała tu zabez-

pieczenie na Dalekim Wschodzie, a to pozwalało jej ściągnąć więcej wojsk z Syberii do Europy. We Francji widziano już żołnierzy mikada spieszących na fronty europejskie na pomoc przeciwnikom Niemiec. Już 7 sierpnia 1914 r. tak trzeźwy skądinąd człowiek jak Clemenceau pisał do Lady Milner: „...Wiadomość o zmobilizowaniu 500 tys. ludzi wywołała tu (tj. w Paryżu) wielką radość. Ale trzeba sprowadzić Japończyków”. Podobne głosy rozlegały się na łamach prasy francuskiej. Na *Quai d'Orsay* snuto już nierealne plany, jak ściągnąć odsiecz japońską. Czy Koleją Transsyberyjską przez całą Syberię, a następnie część Rosji europejskiej na front wschodni? Do którego to projektu rząd rosyjski odniósł się niechętnie. Czy też drogą morską przez dwa oceany Spokojny i Indyjski, przez dwa morza Czerwone i Śródziemne do Francji na front zachodni? - tu obiekcje wysunęli Anglicy.

Rozważania te to zwykły rachunek bez gospodara. W Japonii nikt nie myślał o wysłaniu wojska na europejski teren wojny. Rząd mikada jasno określił swe stanowisko - armia japońska powstała na podstawie powszechnego obowiązku służby wojskowej, żołnierze japońscy nie są najemnikami, obowiązani są jedynie bronić własnego kraju i nie będą brali udziału w walkach, których celu nie rozumieją. Wszelkim złudzeniom położył ostatecznie kres minister spraw zagranicznych w wywiadzie opublikowanym 19 listopada 1914 r. w „Japan Advertiser”; minister stwierdził, że Japonia została „zmuszona” do wydania wojny Niemcom, gdyż dąży do „utrzymania pokoju na Wschodzie”,

ale nie ma bezpośrednich interesów w Europie. A ponadto, kto poniósłby koszty działań wojennych Japończyków na frontach europejskich? Nie Japonia, gdyż nie mogłaby uzyskać następnie odszkodowań wojennych, i nie Koalicja, gdyż to godziłoby w autorytet cesarstwa japońskiego.

Drugie mocarstwo pozaeuropejskie - Stany Zjednoczone - ogłosiły neutralność.

Opinia publiczna w Stanach Zjednoczonych, słabo zainteresowana sprawami europejskimi, słabo w nich zorientowana, wiadomość o wybuchu w Europie wielkiej wojny, w której wzięło udział pięć wielkich mocarstw, przyjęła ze zdumieniem. Był to „grom z jasnego nieba”, pisał w listopadzie 1914 r. pewien obywatel z Karoliny Północnej o reakcji amerykańskiej na groźne wydarzenia w Starym Świecie.

Rząd Stanów Zjednoczonych od pierwszego dnia stanął na stanowisku neutralności. 19 sierpnia 1914 r. prezydent Wilson wezwał Amerykanów, aby pozostali „bezstronni i w myślach, i w czynach”. Wyrazem tej bezstronności był apel rządu z 15 sierpnia do banków, że pożyczki udzielane państwowom walczącym sprzeciwiają się „prawdziwemu duchowi neutralności”. Z tego stanowiska zeszły wszakże Stany Zjednoczone prędko, bo już w październiku 1914 r.

Jeśli wielu Amerykanów doznało w sierpniu 1914 r. uczucia jak gdyby ulgi, że wojna wybuchła daleko w Europie i do brzegów Ameryki dotrzeć nie będzie mogła, to uczucie to nie trwało długo. Przekonali się bowiem bardzo prędko, że groźny europejski konflikt

zbrojny pociągać zaczął za sobą następstwa i po drugiej stronie Atlantyku. Dobra wojenna koniunktura gospodarcza ogarnie Amerykę dopiero później. Na razie występowały oznaki kryzysu. Ustał, a w każdym razie skurczył się bardzo amerykański eksport do Europy, kapitałiści europejscy wycofywali kapitały ze Stanów Zjednoczonych. Budziło to różnorakie trudności.

Ponadto wielu obserwatorów amerykańskiego życia politycznego z zaniepokojeniem spoglądało na zaznaczający się w społeczeństwie amerykańskim podział na sympatyków Koalicji i sympatyków Niemiec. W społeczeństwie kształtującym się dopiero, składającym się z wielu odmiennych narodowości, podział taki był niebezpieczny. Na takim tle, ale nie tylko, zaczęło się dokonywać powolne przechodzenie Stanów Zjednoczonych od neutralności do interwencji.

Neutralność ogłosiły pomniejsze państwa Europy: trzy państwa skandynawskie, Holandia i Hiszpania.

Najwyraźniej proniemieckie a może raczej antyrosyjskie stanowisko zajęła Szwecja. Szwedzi zarzucali rządowi carskiemu nacjonalistyczną, rusyfikacyjną politykę w Finlandii, stosowaną i wobec Finów, i wobec Szwedów. Obawiali się zaborczej, agresywnej polityki Petersburga. Obawy te podsycali Niemcy wskazując Szwedom, że Rosja w dążeniu do otwartego morza napotkała przeszkody nie do pokonania na Dalekim Wschodzie, w Zatoce Perskiej, nad Bosforem, zamierza więc zdobyć teraz port nie zamarzający w północnej Norwegii i dlatego musi zająć szwedzką Laponię. Szwedzi lękali się również, aby Rosja nie ufortyfikowa-



ła Wysp Alandzkich, wtedy bowiem - jak twierdzili - Szwecja znalazłaby się w zasięgu armat rosyjskich. Najwybitniejszym, a w każdym razie najgłośniejszym heroldem zbliżenia szwedzko-niemieckiego był znany w świecie podróżnik azjatycki Swen Hedin. Myśl oparcia się na Niemcach znajdowała coraz więcej zwolenników. W początkach 1914 r. podjęto zbrojenia; miały one wyraźnie antyrosyjski charakter. Prezydent Francji Poincaré podczas swej wizyty w Petersburgu, 20–23 lipca, i w Sztokholmie, 25 i 26 lipca 1914 r., próbował mediacji pomiędzy Szwecją i Rosją - z niewielkim skutkiem. Szwedzki minister spraw zagranicznych K. A. Wallenberg oświadczył premierowi Francji Vivianiemu: „Jeśli Rosja upierać się będzie przy swym dotychczasowym postępowaniu względem nas, rzuci nas, wbrew naszej woli, w objęcia Niemiec”.

Sir Esme Howard, poseł brytyjski w Sztokholmie, raportował 3 sierpnia, że opinia publiczna nie pozwoli, aby Szwecja walczyła u boku Rosji. W Petersburgu obawiano się, że Niemcy już osiągnęli porozumienie ze Szwecją.

A jednak 4 sierpnia Szwecja ogłosiła neutralność. Cóż więc zaszło? Z jednej strony działały zapewne dyskretne ostrzeżenia czy pogróżki, które z inicjatywy Greya popłynęły z Londynu, Paryża i Petersburga; z drugiej zaś, co może ważniejsze, chęć zajęcia wspólnego stanowiska z dwoma pozostałymi państwami skandynawskimi.

Norwegia 4 sierpnia ogłosiła neutralność, przestrzegając jej ściśle nie tając zresztą sympatii proangiel-

skich. Dla Wielkiej Brytanii stanowisko Norwegii miało niemałe znaczenie, gdyż Norwegia po stronie Niemiec to Niemcy na wschodnich i północnych brzegach Morza Północnego.

Spośród państw skandynawskich najwięcej bodaj powodów do zachowania neutralności miała Dania, chociaż uczuciowo Duńczycy zwracali się przeciwko Niemcom; zabór Szlezwiku, germanizacja Szlezwiku były to czynniki wytwarzające w Danii nastroje antyniemieckie. Ale Dania czuła się bezsilna wobec niemieckiej potęgi. Toteż nikt w Danii nie myślał o występowaniu przeciwko Niemcom i 4 sierpnia Dania ogłosiła neutralność. Na żądanie wszakże Berlina Duńczycy zaminowali cieśniny Wielki Belt i Sund, chociaż zgodnie z porozumieniami międzynarodowymi miały być one zawsze otwarte dla komunikacji międzynarodowej. Wprawdzie w 1907 r. rząd brytyjski obwieścił, że wszelkie ograniczenie handlu morskiego uważać będzie za naruszenie neutralności, teraz jednak - w 1914 r. - nie wniósł protestu.

Holandii w mniejszym stopniu niż Belgii zagrażała agresja niemiecka, choć i w Hadze obawiano się wkroczenia wojsk niemieckich do Limburgii. Minister spraw zagranicznych Holandii J. Loudon zapytywał 27 lipca posła belgijskiego w Hadze, jakie kroki podejmie rząd belgijski w obliczu groźby wojennej. „Rozumie Pan - mówił - że znajdujemy się w tym samym położeniu. Nam także grozi, że armia niemiecka będzie usiłowała przejść przez holenderską Limburgię”.

Obawy te były wszakże płonne. 3 sierpnia o godz. 9 rano poseł niemiecki w Hadze podał do wiadomości rządu holenderskiego treść ultimatum do Belgii i oświadczył, że rząd Rzeszy spodziewa się, iż Holandia zachowa życzliwą dla Niemiec neutralność, a Niemcy będą jej ze swej strony skrupulatnie przestrzegały. Po południu dnia 3 sierpnia minister Loudon ogłosił, że Holandia zachowa ścisłą neutralność.

Stanowisko Hiszpanii nie budziło większego zainteresowania ani rządów państw Trójprzymierza, ani rządów Państw Centralnych. Była ona słaba militarnie, położenie na peryferiach Europy pozwalało jej na zachowanie dystansu w konfliktach europejskich, toteż nikt nie zamierzał naruszać jej neutralności, ani pozyskiwać jej do współdziałania. W społeczeństwie dominowały sympatie francuskie. Już 1 sierpnia król Alfons XIII i rząd dawali ambasadorowi francuskiemu zapewnienia, że Francja może spokojnie wycofać wojska spod Pirenejów. 4 sierpnia Hiszpania ogłosiła neutralność<sup>81</sup>.

Od wieku XIV przymierze i przyjaźń wiązały Anglię z Portugalią. Portugalia nie przystąpiła do wojny, ale zgodnie z życzeniem gabinetu londyńskiego nie ogłosiła neutralności. 7 sierpnia Senat i Izba Deputowanych proklamowały solidarność Portugalii z Wielką Brytanią. Lecz nie Portugalia wypowiedziała wojnę Niemcom, ale odwrotnie, Niemcy wydały wojnę Portugalii 9 marca 1916 r. podając jako uzasadnienie konfiskatę przez władze portugalskie 36 statków niemieckich stojących na kotwicy w portach portugalskich.

Inna była sytuacja Szwajcarii. W przeciwieństwie do Belgii, Holandii czy Danii miała Szwajcaria znakomite położenie obronne; łańcuchy górskie uniemożliwiały, a w każdym razie silnie utrudniały wszelką agresję. Miała następnie Szwajcaria bitną, doskonale wyszkoloną armię, znakomicie przygotowaną do obrony kraju. Toteż niemiecki plan wojenny, ani Schlieffena ani Moltkego, w ogóle nie przewidywał przekroczenia granic szwajcarskich i marszu przez Szwajcarię.

Rzecz prosta, że Szwajcarzy nie mogli mieć w tej sprawie pewności, toteż poczynili przygotowania obronne.

1 sierpnia Rada Związkowa ogłosiła mobilizację wyznaczając pierwszym jej dniem dzień 3 sierpnia. Tego samego dnia Zgromadzenie Związkowe zatwierdziło decyzje Rady Związkowej, udzieliło jej pełnomocnictw i potrzebnych kredytów. Zarazem Zgromadzenie większością głosów wybrało pułkownika Ulricha Willego na naczelnego wodza armii szwajcarskiej. W wojsku szwajcarskim najwyższym stopniem wojskowym jest stopień pułkownika, tytuł generała przysługuje tylko wodzowi naczelnemu i tylko w czasie pełnienia obowiązków naczelnego wodza.

Państwa neutralne znalazły się skutkiem wojny nieraz w ciężkim położeniu, gdy dowóz żywności, dowóz surowców potrzebnych przemysłowi był utrudniony, ale czerpały również niemałe dochody z kontrabandy wojennej.

Państwa te, w największej mierze Szwajcaria, były zarazem terenem, z którego płynęła propaganda wojen-

na państwach wojujących, były miejscem nieoficjalnych spotkań i rozmów politycznych, były wreszcie polem działania wywiadu wojskowego, politycznego, gospodarczego. W różnych licznie powstałych podczas wojny pod najrozmaitszymi nazwami agencjach i biurach propaganda, informacja i wywiad miały różnorakie powiązania.

## 6. Cele wojenne. Uwagi ogólne

Historyk, który pragnie wyjaśnić genezę wojny, jej przebieg i jej skutki, musi sobie zadać pytanie, jakie cele wojenne stawiali sobie walczący, jakie były ich dążenia, co miała im dać wojna, owa polityka prowadzona innymi środkami.

Odpowiedź na to pytanie rzuci przede wszystkim snop światła na genezę wojny, wyjaśni wiele czynników, które do wybuchu doprowadziły: ujawni następnie wiele elementów dotyczących samego prowadzenia wojny. Nie tylko względy militarne rozstrzygały o wyborze terenu i czasu ataku.

Wbrew pozorom nie zawsze łatwo odpowiedzieć na to pytanie. Nie zawsze ujawniano prawdziwe cele wojenne, nie zawsze ujawniano je całkowicie. Różne były po temu powody. Najważniejszy zapewne i najczęściej występujący to okoliczność, że przedwczesne ujawnienie celów wojennych, zaborczych, imperialistycznych mogło ujemnie wpłynąć na opinię publiczną, na nastroje wśród żołnierzy, mogło osłabić wolę walki. W 1914 r. we wszystkich krajach, u wszystkich narodów walczących panowało przekonanie, że

tocząca się wojna była wojną obronną. Niemcy bronili się przed barbarzyństwem caratu, przed knutem kozackim, Francuzi przed militarystką pruską, Anglicy przed gwałcicielami neutralności Belgii. Odsłonić zbyt daleko karty to zachwiać wiarę własnego narodu i własnego żołnierza w ściśle obronny charakter wojny. Stąd płynęły nakazy do cenzury wojennej, aby nie dopuszczała, poza ogólnikami, do ogłoszenia publikacji na temat celów wojennych, zwłaszcza zamierzonych aneksji. Rządy sprzeciwiały się również zbyt dalekim dyskusjom parlamentarnym w tym przedmiocie. Później dopiero zakazy te uległy złagodzeniu; przestrzegać je ściśle było na dalszą metę rzeczą niemożliwą. A zresztą, cele wojenne odpowiednio podane do wiadomości publicznej, odpowiednio przedstawione i społeczeństwu, i żołnierzowi walczącemu na froncie mogły być także ważnym orężem w wojnie.

Najłatwiej stosunkowo określić można cele wojenne imperializmu niemieckiego, szczegółowo publicznie omawiane.

Natomiast niemało trudności następcza wyjaśnienie celów wojennych Koalicji. Trudno zresztą w ogóle o nich mówić. Były bowiem cele wojenne Francji, Wielkiej Brytanii, Rosji. Uwolnić zajętą przez najeźdźcę ziemię francuską, uwolnić francuską Alzację, Lotaryngię oto cel prosty jasno zrozumiały dla każdego francuskiego obywatela, dla każdego żołnierza francuskiego. Oswobodzenie brutalnie napadniętej Belgii - tym szczytnym hasłem podniecano Anglików. Obrona słowiańskiej Serbii przed germańskim najeźdźcą - to

znowu miało przemawiać do Rosjan. Był jednak cel wspólny, głośno proklamowany: pokonać Niemcy, zgnieść, zniszczyć pruski czy niemiecki militarizm. Poza tym odrębne, często sprzeczne ze sobą cele wojenne wysuwała Francja, inne wytyczała sobie Wielka Brytania, jeszcze inne Rosja. Bardziej przenikliwi politycy w Paryżu, a zwłaszcza w Londynie, z niechęcią odnosili się do przedwczesnego ujawniania celów wojennych w obawie, że może to poróżnić sprzymierzone rządy, a w każdym razie utrudnić im działania. Trzeba pamiętać, że związki łączące mocarstwa Koalicji były świeżej daty. Wszak to przed dziesięciu zaledwie laty, położono kres wiekowej nieprzyjaźni dzielącej sąsiadów znad kanału La Manche i nikt nie mógł mieć pewności, czy któregoś dnia znowu nie wybuchnie pomiędzy nimi konflikt, zwłaszcza na tle podziału kolonii. A i sprzymierzeńców od lat dwudziestu, Francję i Rosję, dzieliły różnice dążeń i interesów na niejednym polu.

W ogłoszeniu celów wojennych koalicję krępował wzgląd na Stany Zjednoczone; należało za wszelką cenę utrzymać czy też pozyskać sympatię bogatej republiki północnoamerykańskiej. Cele wojenne musiano więc tak pokazywać, aby znalazły one za oceanem odźwięk przyjazny, pełne zrozumienie opinii publicznej i kół rządowych.

## **7. Niemieckie cele wojenne**

Najłatwiej zapewne ustalić cele wojenne imperializmu niemieckiego, nie dlatego iżby imperialiści innych

państw nie wytyczali daleko nieraz idących celów wojny - podbojów i zdobyczy, lecz z tej przyczyny, że właściwa Niemcom skłonność do rozważań teoretycznych sprawiła, iż w Niemczech znacznie więcej niż w innych krajach wylano atramentu i zużyto farby drukarskiej, aby snuć rozległe plany zaborcze i zjednywać dla nich społeczeństwo.

Głośny pisarz polityczny Friedrich Naumann w ogłoszonej w październiku 1915 r. książce pt. „*Mittleuropa*” sformułował pogląd, że źródłem i przyczyną niemieckich dążeń zaborczych była blokada angielska, było zamknięcie Niemiec w „więzieniu, gospodarczym”. Innymi słowy, że zrodziła je dopiero wojna, a więc nie mogły wywrzeć na jej wybuch wpływu. Pogląd ten szerzono gorliwie już podczas wojny i później w okresie międzywojennym, a i dziś pokutuje on jeszcze gdzieśgdzie. Przeczą jednak temu fakty. Cele wojenne wytyczali imperialiści niemieccy na lata przed blokadą, na lata przed wybuchem wojny.

Dwa były zasadnicze kierunki, w których szła ekspansja imperializmu niemieckiego - kontynentalny i zamorski. Zamorski to Afryka, gdzie nęciły Niemców belgijskie Kongo i portugalska Angola, gdzie myślano o utworzeniu wielkiego imperium kolonialnego środkowo-afrykańskiego - *Miltelafriki*, a także, choć w mniejszym stopniu, Azja Wschodnia, gdzie od roku 1898 w Kiau-czou posiadali Niemcy bazę wypadową.

Kierunek kontynentalny to linia Berlin-Bagdad, ekspansja poprzez kraje monarchii habsburskiej, po-



przez Bałkany do Turcji. To następnie zachód - Francja, to wreszcie wschód - Rosja.

Ekspansja w kierunku Bliskiego Wschodu zaczęła się wraz z rozciąganiem i umacnianiem wpływów politycznych, później gospodarczych na Austro-Węgry, wraz z koncesjami w Turcji, wraz ze stopniowym opanowywaniem tego kraju przez kapitał i przez politykę niemiecką.

Niemiecka ekspansja imperialistyczna zmierzała i w kierunku sąsiada zza Renu, tj. Francji. Nie znaczyło to, że zawsze w każdym przypadku szło o aneksje terytorialne, ale zawsze szło o opanowanie przez kapitał niemiecki bogatych w rudę, wysoko uprzemysłowionych wschodnich departamentów Francji. W wielkim żelazno-węglowym okręgu przemysłowym w środku Europy, przedzielonym granicą francusko-niemiecką, kapitał niemiecki coraz bardziej brał górę nad francuskim. Podstawę po temu wytworzył między innymi zabór w 1871 r. Alzacji i bogatej w rudę żelazną Lotaryngii, zabór, który wówczas już Karol Marks uznał za niebezpieczny dla Europy. Od końca wieku XIX kapitał niemiecki zaczął się wylewać coraz silniejszym strumieniem poza granice Rzeszy i zdobywać we Francji pozycję za pozycją. Zapasy rudy niemieckiej nie pokrywały w całości zapotrzebowania niemieckiego przemysłu, stąd płynęła konieczność znacznego przywozu z zagranicy. Rudę sprowadzano głównie z trzech krajów - ze Szwecji, Hiszpanii i Francji. Szwecja wszakże zaczęła stosować ograniczenia w wywozie, spadło wydobycie rudy hiszpańskiej, przemysł nie-

miecki był więc coraz bardziej związany z rudą francuską, tym bardziej że koszty transportu z kopalni w Lotaryngii i w Normandii były najniższe. Wielkie reńsko-westfalskie koncerny żelazne wyruszyły więc na podbój Francji i francuskiego żelaza. W 1900 r. August Thyssen uzyskał zyskowną koncesję w Batilly w okręgu Briey. Za tą koncesją poszły inne. W początkach XX w. kapitał niemiecki zdołał w znacznej mierze opanować okręgi Briey, Longwy, Nancy. W Normandii Niemcy potrafili uzależnić od siebie 3/4 kopalń żelaza. Nie powiodło się Niemcom ani w 1905, ani w 1911 r. opanowanie Maroka z jego bogactwami, za to w samej Francji odnosili sukcesy nie lada kładąc ręce na jej podziemnych skarbach. Penetracja kapitału niemieckiego wzbudziła w społeczeństwie francuskim silne zaniepokojenie. W prasie posypały się artykuły protestujące przeciwko wyprzedawaniu ziemi francuskiej; w kołach parlamentarnych zastanawiano się nad wydaniem ustawy utrudniającej czy uniemożliwiającej opanowywanie francuskich kopalń przez obcy kapitał. Niemcy różnymi sposobami ukrywali swe koncesje. Thyssen, który finansował w Niemczech szowinistyczną prasę i organizacje szowinistyczne, starał się o obywatelstwo francuskie dla jednego ze swych synów. Kapitał niemiecki coraz bardziej utyskiwali na sztuczny podział okręgu żelazno-węglowego i głosili, że niemiecki węgiel i francuskie żelazo doskonale się wzajemnie uzupełniają.

Niewątpliwie jedną z głównych przyczyn groźnego napięcia sytuacji międzynarodowej w przededniu woj-

ny i zwiększonego wyścigu zbrojeń był kryzys marokański roku 1911; nie zapominajmy zatem, że u źródeł jego znajdowała się ruda żelaza i oparte na niej interesy niemieckiego kapitału monopolistycznego. Kapitał ten wyraźnie pchał Niemcy do awantury marokańskiej, a więc do wystąpienia przeciwko Francji.

W ostatnich latach przedwojennych niemiecki ogień propagandowy raził przede wszystkim Wielką Brytanię i Rosję, jednak Francja w rozumieniu przeciętnego Niemca była wrogiem dziedzicznym, przygotowującym odwet za Sedan, za zabór Alzacji i Lotaryngii, wrogiem którego należało bezwzględnie powalić na obie łopatki.

Niemiecka ekspansja imperialistyczna na wschód miała podobne cele, rozwijała się wszakże w innych warunkach. W okresie imperializmu nadchodził kres tradycyjnej przyjaźni łączącej od stu lat z górą dwór berliński z petersburskim, dobiegała końca współpraca Prus z Rosją. Przymierze austriacko–niemieckie z 1879 r., choć w intencji jego współtwórcy, Bismarcka nie miało - jak mówiono - zrywać „drutu” do Petersburga, zacieśniało się przecież i umacniało; antagonizm austriacko–rosyjski rodził antagonizm niemiecko–rosyjski, tym bardziej że imperializm niemiecki wkroczył na Bliski Wschód i począł się tam ścierać z imperializmem rosyjskim. Co więcej, Rosja sama była terenem niemieckiej ekspansji imperialistycznej. Pod koniec XIX i w początkach XX w. państwo carów przedstawiało wdzięczne pole dla wywożących kapitał krajów Europy Zachodniej. Szerokim strumieniem płynął

do Rosji kapitał francuski. Kontrolując bezpośrednio główne banki rosyjskie, kapitał francuski rozciągał swe wpływy na wszystkie uzależnione od nich huty, kopalnie, fabryki, towarzystwa kolejowe, ubezpieczeniowe itp.

Również kapitał niemiecki płynął do Rosji i był inwestowany w poważne interesy. Ale kapitał francuski był silniejszy i coraz widoczniej spychał niemieckiego konkurenta na plan dalszy, zwłaszcza na południu Rosji, gdzie np. z 16 wielkich hut żelaza 13 znajdowało się w posiadaniu grupy banków francuskich i belgijskich. W rosyjskich stoczniach okrętowych kapitał francuski był zaangażowany w 77%, niemiecki w 23. Kopalnie węgla w Zagłębiu Donieckim całkowicie uzależniły od siebie banki francuskie. Tylko na terenie Królestwa kapitał niemiecki utrzymywał przewagę nad francuskim. Nie bez słuszności powiedziano, że w 1914 r. walczył nie tylko Krupp z Creusotem, ale i niemiecki przemysł stalowy z przemysłem donieckim. Ostrą walkę z kapitałem niemieckim toczył kapitał francuski na terenie kolejnictwa rosyjskiego. I tu także widzimy cofanie się wpływów finansowych niemieckich. Dnia 30 grudnia 1913 r. podpisana została umowa francusko-rosyjska, na mocy której banki francuskie udzielić miały Rosji pożyczki w wysokości dwu i pół miliarda franków z przeznaczeniem na budowę kolei żelaznych. Znaczną część projektowanych linii kolejowych, mianowicie około 5 tysięcy kilometrów, stanowić miały koleje w zachodnich prowincjach cesarstwa o znaczeniu przede wszystkim strategicznym.

Nic więc dziwnego, że w tych warunkach kapitał niemiecki na terenie cesarstwa rosyjskiego poczytywał się za poważnie zagrożony przez wrogie mu wpływy i działania kapitału francuskiego. Taki stan rzeczy wpływać musiał na stanowisko rządu Rzeszy.

Ale to jeszcze nie wszystko. Obok kapitału niemieckiego, bezpośrednio czy pośrednio zaangażowanego w Rosji, istniały silne grupy kapitału, których interesy pozostawały w wyraźnej sprzeczności z ówczesną polityką rosyjską. Monarchia habsburska, kraje bałkańskie, wreszcie Turcja, oto tereny, gdzie krzyżowały się zarówno gospodarcze, jak i polityczne dążenia i interesy Niemiec ówczesnych i Rosji. Kapitał niemiecki, który mocno się usadowił w Austro–Węgrzech, który dzięki kolei bagdadzkiej, dzięki dostawom sprzętu wojennego, różnego rodzaju pożyczkom uzależniał od siebie Turcję, który coraz dokładniej penetrował Bałkany, musiał uznać Rosję za przeciwnika. Tu na Bliskim Wschodzie nastąpiło starcie imperializmu niemieckiego z imperializmem rosyjskim, wspartym przez rentierski imperializm francuski, a w owym czasie już także i przez brytyjski.

Jeszcze jeden czynnik zasługuje na uwagę - stanowisko junkrów pruskich względem Rosji. Stanowisko to nie było tak proste, jakby się wydawało. Pod względem politycznym junkrzy wyraźnie skłaniali się ku Rosji. Działy w tym kierunku tradycyjne sympatie pruskie dla caratu i naturalna więź, jaką stanowiła wspólnota interesów monarchiczno–konserwatywnych. Ale sympatie polityczne i społeczne, solidarność interesów

konserwatywnych, przyjaźń tradycyjna kół dworskich Berlina i Petersburga to tylko jedna strona zagadnienia i to nie najważniejsza. O stosunku niemieckich agrariuszy do wschodniego sąsiada decydowały względy gospodarcze.

Traktat handlowy niemiecko–rosyjski z 1904 r., podobnie jak poprzedni z roku 1894, wyraźnie uprzywilejowywał niemiecką wielką własność ziemską. Niemcy utrzymywały wysokie cła rolne, utrudniały przywóz rosyjskiego bydła. Zupełnie naturalne dążenia rosyjskie do rewizji traktatu i do różnych zmian doraźnych wywołały w pruskich kołach agrarnych niezadowolenie i zaniepokojenie. Przybierało ono nieraz zaskakujące rozmiary. Ale sprzeczności interesów między pruską i rosyjską wielką własnością ziemską nie miały charakteru zasadniczego. Junkrzy po prostu w ostrej formie wyrażali swoje niezadowolenie z rosyjskiej polityki celnej i chętnie ujrzeliby niepowodzenia rządu petersburskiego, takie mianowicie, które skłoniłyby go do ustępstw na rzecz niemieckich agrariuszy.

W przededniu wojny w Niemczech wzmogły się znacznie szowinistyczne tendencje antybrytyjskie, antyfrancuskie i antyrosyjskie. Wielki kapitał za pośrednictwem swej prasy i różnych swych organizacji działał w tym kierunku wytrwale i ze skutkiem.

Cała ta hałaśliwa propaganda rzuca sporo światła na cele wojenne imperializmu niemieckiego, przygotowywane jeszcze w okresie pokoju, a ujawnione w pełni podczas wojny. W stosunku do Wielkiej Brytanii szło o budowę wielkiej floty, wielką ekspansję zamorską,

handel światowy, nowy podział kolonii. W stosunku do Francji chodziło przede wszystkim o rudę w Briey i Longwy. W stosunku do Rosji cele imperializmu niemieckiego były mniej uchwytnie i dlatego trudniejsze do przedstawienia społeczeństwu. Przed wybuchem wojny i w jej początkach nie brano pod uwagę zdobyczy terytorialnych kosztem Cesarstwa Rosyjskiego ani na ziemiach polskich, ani w krajach bałkańskich. Książę -Heinrich Schönaich-Carolath wyrażał zgodną opinię niemieckich klas panujących, gdzie przy ogólnym poklasku zapytywał w parlamencie Rzeszy: „Czego moglibyśmy chcieć od Rosji? Może Warszawę i Polaków? Myślę, że mamy ich dosyć”.

Cele wojenne w stosunku do Wielkiej Brytanii to zmuszenie Anglików, aby uznali Niemcy za równego partnera w polityce światowej, w handlu światowym, na oceanach, na kontynentach zamorskich.

Jeśli chodzi o Francję cel wojenny był wyraźnie agresywny - zadanie odwiecznemu wrogowi takiego ciosu, po którym nie mógłby się już podnieść jako mocarstwo.

Agresywny również był cel wojenny w stosunku do Rosji, ale miał on inny charakter; nie chodziło tu o rozbicie armii carskiej i zupełne pokonanie Rosji, lecz zadanie jej kilku uderzeń, które by ją zmusiły do wycofania się z terenu rywalizacji na Bliskim Wschodzie i poddania się pod gospodarcze dyktando Berlina. Szło o wyparcie z Rosji kapitału konkurencyjnego, przede wszystkim najmocniej tam usadowionego fran-

cuskiego, i ogarnięcie olbrzymiego imperium carów własną eksploatacją.

Tak w ogólnych zarysach przedstawiały się niemieckie cele wojenne w czasach pokoju. Nie zmieniła ich wojna, wskazała tylko jak je osiągnąć. Przez długie lata pokoju uczeni, publicyści, urzędnicy w ministerstwach z niemiecką systematycznością wypracowywali książki, broszury, rozprawy, memoriały, referaty wykazujące, jakie Niemcy mają potrzeby. W chwili rozpoczęcia działań wojennych rząd, organizacje gospodarcze i polityczne miały materiałów pod dostatkiem, aby od razu konkretyzować o co Niemcy walczą. I konkretyzowano istotnie.

Ale kart nie można było zbyt odśłaniać. Propaganda oficjalna postawiła tezę, że oskrzydłone Niemcy zostały napadnięte i muszą się bronić. „Rosja i Francja wymusiły na nas wojnę” mówił kanclerz w parlamencie 4 sierpnia 1914 r. Toteż w Niemczech, podobnie jak w innych państwach toczących wojnę, wydano zakaz publicznego omawiania celów wojennych. Ale w zaciśkach gabinetów ministerialnych, w urzędach państwowych, we wpływowych organizacjach wiedziano od razu, jak wyzyskać zwycięstwo, jaki ma być świat, który wywalczy miecz. niemiecki.

26 sierpnia 1914 r., gdy armia niemiecka parła na Paryż, kanclerz zażądał szczegółowych informacji na temat hut i kopalń francuskiej Lotaryngii i udziału w nich kapitału niemieckiego.

21 sierpnia August Thyssen zażądał aneksji Briey i Longwy i natychmiastowego oddania tamtejszych ko-



pań w ręce niemieckie. Dnia 3 września namiestnik Alzacji i Lotaryngii Johann von Dallwitz złożył kanclerzowi wnioski co do „poprawek granicznych” i przesłał mu memoriał przemysłowca Karola Röchlinga o konieczności przyłączenia Briey i Longwy do Rzeszy. 28 sierpnia sekretarz stanu w Urzędzie Kolonialnym Wilhelm Solf złożył kanclerzowi memoriał o utworzeniu niemieckiej „*Mittelafriki*”, na którą składać się miały: belgijskie i francuskie Kongo, Francuska Afryka Równikowa, portugalska Angola i północna część portugalskiego Mozambiku.

Syntezę planów imperialistycznych, snutych na długo przed wybuchem wojny a gorączkowo opracowywanych i kończonych w sierpniu i wrześniu 1914 r., w dniach marszu wojsk niemieckich w głąb Francji, dał tzw. program wrześniowy kanclerza Bethmanna Hollwega, zawarty w jego memoriale z 9 września 1914 r. Był to memoriał ściśle tajny, Bethmann bowiem nigdy publicznie celów wojny nie sprecyzował. 9 września nakreślił on władzom cywilnym i wojskowym ogólną linię działania, urzędom Rzeszy zaś i ministerstwu pruskiemu dawał instrukcje do przygotowania materiałów do przyszłych traktatów pokojowych. Traktaty podyktowane w Brześciu i w Bukareszcie w marcu i w maju 1918 r. pokażą, że urzędnicy niemieccy i rzeczoznawcy czasu nie zmarnowali.

Interesująca była droga, jaką imperialiści niemieccy w krótkim czasie przebyli od wojny obronnej do wojny zaczepnej. 4 sierpnia 1914 r. w mowie tronowej w sali Białej Zamku Królewskiego w Berlinie Wilhelm

II oznajmił: „Nie kieruje nami chęć zdobyczy”. Oskrzydlone i napadnięte Niemcy nie chciały zdobyczy, chciały jedynie wymusić na nieprzyjacielu „zabezpieczenia” i „gwarancje”, że napaść już się więcej nie powtórzy.

Takie ujęcie sprawy było wskazówką, w jaki sposób dążenia klas panujących należy przedstawić światu i... własnemu społeczeństwu. Nie zapomniano, że socjaldemokracja była wraz z kierowanymi przez siebie związkami zawodowymi największą w Niemczech organizacją masową; wbrew socjaldemokracji i wbrew prowadzonej przez nią klasie robotniczej nie można było ciągnąć wojny.

Według kanclerza program wrześnieowy była to „wytyczna polityki przy zawieraniu pokoju”. Trzonem programu była koncepcja „*Mitteleuropy*” starannie przygotowywana już od lat wielu. Dążenia zamorskie odsuwano na plan dalszy, chociaż ich się nie wyrzekano.

„Ogólny cel wojny” określał memoriał tymi słowy: „Zabezpieczenie Niemiec od zachodu i od wschodu na czas możliwie długi. Dlatego Francja musi być tak osłabiona, aby nie mogła znowu powstać jako wielkie mocarstwo. Rosja musi być odrzucona możliwie daleko od granicy niemieckiej, jej panowanie nad narodami nierosyjskimi złamane”. Francja oprócz ustępstw terytorialnych (Briey, ewentualnie Belfort i wybrzeże aż do Boulogne) miała zapłacić wysoką kontrybucję i zawrzeć z Niemcami traktat handlowy, który by ją zupełnie uzależniał ekonomicznie od Berlina. Belgia miała

utworzyć gospodarczą prowincję Rzeszy. Planowano dalej zawiązać Środkowoeuropejskiego Związku Gospodarczego, w którego skład weszłyby pod niemieckim zwierzchnictwem Austro–Węgry, Francja, Belgia, Holandia, Dania i... Polska; tym mianem nazwano Królestwo Polskie. Program wrześniowy przewidywał dalej utworzenie w rękach Niemców „zwartego państwa kolonialnego środkowoafrykańskiego”, które powstałoby z posiadłości francuskich, belgijskich i portugalskich.

Współczesny historyk zachodniemiecki Fritz Fischer tymi słowami charakteryzuje program wrześniowy: „Po zniszczeniu mocarstwowej pozycji Francji, po usunięciu z kontynentu wpływów angielskich, po odepchnięciu Rosji cel Niemiec to hegemonia w Europie”.

Pomimo zakazu publicznych dyskusji na temat celów wojny, na łamach prasy, zwłaszcza miesięczników i tygodników, ukazywały się artykuły poświęcone temu problemowi; dają one niezłą orientację w dążeniach niemieckiej burżuazji i wielkiej własności ziemskiej. Najwięcej wiadomości przynoszą - rzecz prosta - poufne memoriały, składane rządowi przez wpływowe organizacje. Spośród wielu pism tego typu zajmiemy się tylko dwoma najdonioślejszymi. Będą to memoriały sześciu zrzeszeń gospodarczych z 10 marca i 20 maja 1915 r. i memoriał intelektualistów niemieckich z 20 czerwca tego roku.

Przedstawiciele sześciu zrzeszeń gospodarczych reprezentujących ciężki przemysł i wielką własność ziemską, za cel wojny uznali - obok zdobycia imperium kolonialnego, które by w pełni zabezpieczało ich inte-

resy gospodarcze, obok zapewnienia należytych odszkodowań wojennych - zabezpieczenie i ugruntowanie „europejskiej podstawy istnienia Rzeszy” („*Sicherung und Verbesserung der europäischen Daseinsgrundlage des Deutschen Reiches*”). Dla osiągnięcia tego celu konieczne są następujące warunki: Belgia musi być ekonomicznie i militarnie uzależniona od Rzeszy. Gdy idzie o Francję, memoriał stwierdzał, że jest sprawą życiową dla Niemiec opanowanie wybrzeża francuskiego aż po ujście Sommy. Anektowane wybrzeże musi mieć wraz z portami morskimi odpowiednie zaplecze. Należy więc anektować departamenty Nord i Pas-de-Calais, okręgi Briey, Longwy, Nancy, twierdze Verdun i Belfort oraz leżące pomiędzy nimi zachodnie zbocza Wogezów. Znajdujące się tam „gospodarcze środki potęgi” (*die wirtschaftlichen Machtmittel*), łącznie z wielką i średnią własnością ziemską, muszą przejść w ręce niemieckie; odszkodowanie wypłaci właścicielom Francja. Ludność tych terenów, jak również Belgii, nie może mieć żadnego absolutnie wpływu na politykę Rzeszy.

Inaczej nieco wytyczono cele wojenne na wschodzie. Ustrój społeczno-polityczny cesarstwa Hohenzollernów opierał się na współwładzy junkrów i burżuazji. Obu stronom pomimo konfliktów nieantagonistycznych, jakie dzieliły je niekiedy, zależało na utrzymaniu *status quo*. Zdobycze zachodnie miały wzmocnić burżuazję, na wschodzie zatem należało dać rekompensatę junkrom. Aneksje wschodnie muszą wzmocnić niemieckie rolnictwo, muszą dać narodowi niemieckiemu

„zdrową, rolniczą podstawę gospodarki narodowej”, chłopu niemieckiemu zapewnić szerokie tereny osadnicze i złagodzić tą drogą walkę klasową na wsi niemieckiej. Memoriał zrzeszeń gospodarczych domagał się szerokiego wywłaszczenia ziemi, upatrując w tym jedną z dróg spłacenia przez Rosję odszkodowań wojennych. Tereny osadnicze na wschodzie uznali autorzy memoriału za niezbędne dla utrzymania „równowagi naszej gospodarki”, tzn. równowagi pomiędzy wielką własnością ziemską a ciężkim przemysłem nie tylko dla zapewnienia narodowi niemieckiemu należytych warunków aprowizacyjnych, ale także dla zabezpieczenia mu solidnych podstaw rozwoju demograficznego, który może dać tylko liczna, zdrowa ludność chłopska.

20 czerwca 1915 r. grupa znanych działaczy spośród profesorów wyższych uczelni, wyższych urzędników państwowych, właścicieli ziemskich, przemysłowców, parlamentarzystów na zebraniu w berlińskim „Künstlerhausie” uchwaliła własne postulaty w przedmiocie celów wojennych i przedstawiła je kanclerzowi. Tę tzw. petycję intelektualistów rozpowszechniano w społeczeństwie pod postacią „manuskryptu ściśle poufnego”. Intelektualiści zgadzali się we wszystkim z matadorami gospodarki niemieckiej z sześciu zrzeszeń. Te same żądania pod adresem Francji i Belgii, te same myśli o odszkodowaniach wojennych i terenach osadniczych. Wzdłuż wschodniej granicy Poznańskiego i Śląska oraz południowej granicy Prus Wschodnich żądali utworzenia „pasa granicznego, możliwie pozbawionego właścicieli ziemi, dostępnego dla kolonizacji

niemieckiej”. Zwracali również uwagę na prowincje bałtyckie z ich ziemią urodzajną a słabo zaludnioną. Ważny cel wojny upatrywali intelektualiści w umocnieniu przewagi Niemiec na kontynencie europejskim. „W grę wchodzi tu przede wszystkim nasza polityczna przyjaźń z Austro–Węgrami i z Turcją; powinno nam to otworzyć Bałkany i Azję Przednią. Dlatego musimy w trwały sposób zabezpieczyć Austro–Węgry, Bałkany, Turcję i Azję Przednią aż do Zatoki Perskiej przed zakusami ze strony Anglii i Rosji”.

## 8. Cele wojenne Austro–Węgier

Rok 1871 i zjednoczenie Niemiec pod egidą Prus położyły kres dążeniom do utrzymania, czy też raczej przywrócenia hegemonii Austrii i Habsburgów w Rzeszy, położyły zarazem kres rywalizacji austro–pruskiej. Głównym przeciwnikiem, głównym rywalem utworzonej w 1867 r. monarchii podwójnej była Rosja. Rosja stawała na drodze ekspansji austriackiej na Bałkany, a ekspansja ta, jedynie możliwa dla Austrii, miała dla monarchii Habsburgów coraz większe, coraz bardziej rosnące znaczenie i gospodarcze, i polityczne.

Inny potencjalny przeciwnik - Włochy — stał już na dalszym planie.

Na przełomie XIX i XX w., gdy na fotelu ministra spraw zagranicznych monarchii zasiadał Agenor Gołuchowski, polityka *Ballplatzu* streszczała się w haśle *quies non movere*. Gołuchowski uważał, że wielonarodowościowy charakter państwa i jego powikłane stosunki wewnętrzne nakazują politykę ostrożną, unikają-

cą komplikacji. Inny pogląd żywił jego następca Alois Lexa von Aehrenthal. Przekonanie szerzące się w świecie, że monarchia nad-dunajska stała się niezdolna do prowadzenia czynnej polityki wymagało - zdaniem Aehrenthala - riposty, wymagało pokazania Europie, że Austro-Węgry są mocarstwem wielkim i są zdolne to udowodnić. Stąd aneksja Bośni i Hercegowiny proklamowana przez Wiedeń w dniu 6 października 1908 r., stąd skuteczny protest przeciwko uzyskaniu przez Serbię dostępu do Morza Adriatyckiego po wojnach bałkańskich 1912/13.

Były to zapewne silne gesty, tak w każdym razie rozumiało je wielu ludzi w Europie, ale były to przecież tylko półśrodki. Nie zgnieciono Serbii, nie zmuszono jej do zupełnej uległości, widziano natomiast, że to małe państewko słowiańskie cieszyło się rosnącym autorytetem i na Bałkanach, i pośród Słowian żyjących pod berłem Habsburgów.

To było powodem, że w lipcu 1914 r. zastosowano tak ostrą, bezwzględną politykę w stosunku do tego małego sąsiada Serbii.

Monarchia Habsburgów miała jeden wyraźnie zarysowany cel wojenny w chwili wybuchu wojny: uratować państwo przed grożącym rozsadzeniem od wewnątrz. Cel ten nakazywał zwrócić ekspansję polityczną i gospodarczą na południe i mocną stopą stanąć na Bałkanach. Wojna z Rosją zaktualizowała kwestię polską i od razu zarysowały się niejasne plany rozwiązania austro-polskiego, powiększenia Galicji o Królestwo, częściowego odbudowania Polski w oparciu o Austrię

pod berłem cesarza austriackiego. Miały one dawne tradycje, snuto je w Wiedniu w siódmym dziesięcioleciu ubiegłego wieku. Powróciły w roku 1914.

Cel ściśle obronny wiązał się z dążeniami wyraźnie zaborczymi. Wiadomo, że zdobycze terytorialne nie zawsze dają wzmocnienie państwa, bywa i odwrotnie. Z taką ewentualnością rządy monarchii habsburskiej musiały się liczyć w stopniu znacznie wyższym niż rząd Rzeszy czy też rządy państw Koalicji.

W czasie wprowadzania w życie autonomii galicyjskiej w niektórych kołach polskich powstała myśl odłączenia Galicji od cesarstwa Austrii i przyłączenia jej do królestwa Węgier. Ówczesny królewsko-węgierski prezes ministrów hr. Gyula Andrassy starszy był tej myśli przeciwny, a swoje stanowisko uzasadniał tym, że statek węgierski jest tak przeładowany, iż z pewnością zatonie niezależnie od tego, czy się go obciąży cetnarem złota, czy Polacy bezwzględnie są, czy cetnarem błota.

Słowa Andrassyego zastosować można do całej monarchii Habsburgów. Włączenie nowych ziem czy to w granice cesarstwa austriackiego, czy królestwa węgierskiego musiałoby bardziej jeszcze zaostrzyć trudną sytuację wielonarodowościowego państwa. Przekształcenie monarchii podwójnej w monarchię potrójną - Austro-Węgry-Polska - niosło również nie lada powikłania i na zewnątrz i wewnątrz. Ale toczyć wojnę bez myśli o podbojach wydawało się sprawą niezwykłą, niezrozumiałą, wręcz absurdalną. Toteż w różnych ko-



łach kreślono rozmaite plany aneksjonistyczne czy to w kierunku Polski, czy to w kierunku Bałkanów.

Interesujące wyjaśnienie poglądów i dążeń czynników miarodajnych w Wiedniu przynoszą memoriały z sierpnia i grudnia 1914 r., uzupełnione w 1916 r. Opracował je zawodowy dyplomata baron Leopold Andrian–Werbung, później przedstawiciel *Ballplatzu* w Warszawie.

Punktem wyjścia rozważań Andriana było ideologiczne uzasadnienie celów i podstaw istnienia monarchii Habsburgów. A oto jaka jest misja dziejowa i jakie zadanie życiowe monarchii Habsburgów? Małym narodom, które z racji położenia geograficznego i słabości liczebnej nie mogą mieć samodzielnej egzystencji państwowej, zapewnić możliwość swobodnego rozwoju narodowego i wszelkie korzyści rozwoju gospodarczego, jakie przynosi przynależność do jednego z największych państw Europy. Misją dziejową monarchii jest również zapewnienie jej narodom, przy uszanowaniu ich odrębności, dobrodziejstwa wysokiej kultury, której „nosicielami są Austriacy języka niemieckiego” i Madziarzy „dzięki szczególnym uzdolnieniom i dzięki potężnej tysiącletniej tradycji”.

Po wojnie monarchia habsburska powinna się znaleźć w rzędzie mocarstw I klasy razem z Niemcami, Wielką Brytanią, Rosją, a nie II klasy, jak Francja i Włochy.

Pośród celów wojennych pierwszym i najważniejszym jest zdobycie Polski. Andrian widział trzy możliwości uregulowania sprawy polskiej; a) przyłączenie

całego Królestwa w formie, którą się później określi; b) podział Królestwa pomiędzy Austrię i Prusy; c) podział Królestwa pomiędzy Austrię i „ewentualnie nowo utworzone państwo buforowe polsko–litewsko–białorusko–kurlandzkie”. Ukrainę był Andrian skłonny pozostawić Rosji, a jedynie oderwać od niej część guberni podolskiej i wołyńskiej w takich rozmiarach, aby granica z Rosją kształtowała się pod względem wojskowym pomyślniej niż obecnie.

Memoriał grudniowy autor poświęcił Serbii. „Ze względów prestiżowych oraz ze względów samoza-chowawczych będzie można uznać, że wojna ukończy się dla nas zadowalająco, jeśli materialne i moralne osłabienie Serbii pokaże Serbom i całej Europie zupełne fiasko polityki wielkoserbskiej”. Należy „prawie zniweczyć suwerenność Serbii”; nabytki natomiast terytorialne jej kosztem nie powinny być wielkie: przy-czółki mostowe na Sawie i na Dunaju, Šabac i Belgrad oraz opanowanie Żelaznych Wrót. Tak wyobrażał sobie Andrian „rozwiązanie minimalne”. Natomiast rozwią-zanie „maksymalne to tak stanowcze zwycięstwo Pań-stw Centralnych, że będzie można oderwać Ukrainę od Rosji” a „Rosję ostatecznie trzymać z dala od Europy Środkowej, dzięki temu monarchia będzie trwale mo-carstwem europejskim I klasy”. Stanowcze zwycięstwo Państw Centralnych i wielkie osłabienie Rosji pozwoli narzucić Serbii unię celną, konwencję wojskową i układ o reprezentowaniu Serbii wobec zagranicy przez władze monarchii. Memoriał wskazywał również na możliwość wcielenia Wołoszczyzny i zachodniej

Mołdawii. Rzecz interesująca, że Andrian wiązał dość ogólnikowo sprawę rumuńską ze sprawą polską; będzie to później jednym z elementów gry Czernina.

Na posiedzeniu Rady Koronnej w dniu 31 października 1914 r. Tisza wniósł, aby miarodajnym czynnikom monarchii poddać pod dyskusję problem warunków przyszłego pokoju i omówić je następnie z rządem Rzeszy; prosił ministra spraw zagranicznych o opracowanie odpowiedniego memoriału.

Berchtold wyraził wprawdzie zgodę na wniosek Tiszy, ale memoriału - wydaje się - nie opracował. Sprawa celów wojennych weszła pod dyskusję Rady Koronnej dopiero niespełna rok później, 6 października 1915 r. Wojska Państw Centralnych wyparły już wówczas Rosjan z ziem polskich, które znajdowały się pod okupacją niemiecką i austriacką. Należało więc zająć stanowisko wobec sprawy polskiej. Rzecz interesująca - wszyscy członkowie Rady wyrażali życzenie przyłączenia Królestwa do monarchii i wszyscy upatrywali w takim rozwiązaniu poważne trudności. Stwierdzono zgodnie, że rozwiązanie sprawy polskiej nie było celem wojennym Austro-Węgier, że celem wojennym jest zabezpieczenie monarchii przez atakami, których padła ofiarą. Odrzucono koncepcję trializmu, Polska powinna być powiązana z samą Austrią w formie, którą należy opracować. W każdym razie Polska musi otrzymać „stanowisko odrębne” (*eine Sonderstellung*), gdyż „potrzebni nam są Polacy zadowoleni”. Ale chęć uczynienia Polaków „zadowolonymi” rozmijała się z nieufnością, a nawet niechęcią niektórych dygnitarzy austriac-

kich. Prezes ministrów Austrii hr. Karl von Stürgkh twierdził: „Polak jest Polakiem i tylko Polakiem pozostaje; w 150 lat po przyłączeniu Galicji do Austrii Polacy nie są jeszcze Austriakami. Nie przeniknięci tradycjami tego państwa, obcy innym narodowościom, nie rozumiani także i przez nie, żyją oni własnym życiem”.

Austriacy zdawali sobie sprawę, że zgoda Niemiec jest niezbędnym warunkiem rozwiązania przez monarchię kwestii polskiej, rozumieli obawy niemieckie, że połączenie Galicji z Królestwem wzmocni żywioł słowiański w państwie Habsburgów, że utrudni politykę pruską na ziemiach zaboru pruskiego, ale nie doceniali siły oporu niemieckiego, nie brali pod uwagę tej okoliczności, że Niemcy nie chcą wypuścić z ręki karty polskiej, że nie zamierzają dzielić się dominacją w Polsce ze słabszym partnerem.

10 listopada 1915 r. kanclerz Bethmann Hollweg przyjmował w Berlinie wizytę wspólnego ministra spraw zagranicznych Austro–Węgier barona Buriana. Gospodarz wyraził wobec gościa przekonanie, że doświadczenia toczącej się wojny nakazują zacieśnienie sojuszu. Już w trzy dni później rząd Rzeszy wystosował do Wiednia memoriał, w którym sugerował potrzebę rozszerzenia i pogłębienia sojuszu pomiędzy Austro–Węgrami i Niemcami i złączenia ich w jednolity obszar gospodarczy.

W tych warunkach Burian widział potrzebę przedyskutowania celów wojennych na Radzie Koronnej. Uważał, że jeśli uda mu się uzgodnić stanowisko rządów austriackiego i węgierskiego, wzmocni to jego po-

zycję i ułatwi mu grę z Berlinem. Przyświecała mu zarazem myśl wzmocnienia swej pozycji także i w stosunku do innego potężnego czynnika, z którym liczyć się musiał, tj. do Naczelnej Komendy Armii (AOK).

Na posiedzeniu Rady Koronnej w dniu 7 stycznia 1916 r. minister poddał pod dyskusję cele wojenne Austro–Węgier.

„Wojnę - tymi słowy Burian zagał dyskusję - prowadzimy przede wszystkim dla zapewnienia integralności i bezpieczeństwa monarchii”. Wskazał następnie, że przy określaniu celów wojennych nie idzie ani o interes austriacki, ani o węgierski, lecz wspólny interes monarchii. „Co szkodliwe dla monarchii, w tym samym stopniu będzie szkodliwe dla Austrii i dla Węgier”. Problem Serbii znalazł się na pierwszym miejscu wywodów ministra. „Sprawa południowosłowiańska musi znaleźć rozwiązanie w granicach monarchii”. Głównym dyskutantem był w tej kwestii Węgier Istvan Tisza.

Podczas obrad podjęto również sprawę polską, której szczególne zainteresowanie okazali Austriacy — Stürgkh i Körber.

Jeśli chodzi o Serbię, starano się uzyskać odpowiedź, czy to małe państewko, mocno okrojone na rzecz Bułgarii i Albanii, przysporzy Austro–Węgrom większych trudności, gdy zostanie wcielone do Węgier, czy też gdy pozostanie na zewnątrz granic monarchii formalnie niezawisłe, ale gospodarczo, politycznie i militarnie całkowicie podporządkowane dyrektywom Wiednia i Budapesztu.

Co do Polski uważano, że aneksja ziem polskich to dla Austrii „ciężkie brzemię”, ale inne rozwiązanie grozi utratą Galicji, grozi również, że naród polski, oporny dotąd w stosunku do panslawizmu, może zwrócić się ku Rosji. Przewidywano trudności ze strony Niemców, że będą oni chcieli podziału Królestwa albo włączenia go do Rzeszy w formie państwa związkowego. I względy wojskowe przemawiały za przyłączeniem Królestwa - „nowa silna armia doskonałych żołnierzy” i lepsza granica z Rosją. Prezes ministrów Stürgkh w wypadku rozwiązania austro-polskiego przewidywał utworzenie z Galicji Wschodniej „prowincji austriackiej na wzór Bukowiny”, jednak zarząd nie znajdowałby się w rękach Ukraińców, ale „byłby raczej germanizacyjny”.

Rada Koronna przeprowadziła dyskusję o charakterze akademickim, była to jedynie wymiana poglądów bez podejmowania decyzji. Decyzje trudno było zresztą podejmować, Rosja nie była jeszcze pokonana, Niemcy z Królestwa nie zrezygnowały. Minister spraw zagranicznych wszakże pragnął się zorientować, jakie stanowisko w przedmiocie celów wojennych zajmuje rząd austriacki, jakie węgierski, a jakie są poglądy sztabu.

Minął rok 1916 i przyniósł wielkie zmiany - znaczne osłabienie monarchii, wystąpienie i klęskę Rumunii, akt 5 listopada, grudniowe propozycje pokojowe Państw Centralnych i ich odrzucenie przez Koalicję. Toteż gdy 12 stycznia 1917 r. zebrała się dla narad o celach wojennych Rada Koronna pod przewodnictwem młodego cesarza Karola, aby omawiać cele wo-

jenne, inne już były nastroje niż przed rokiem i inaczej sprawy ujmowano.

Cesarz zagajając dyskusję zaproponował dwa programy: maksymalny i minimalny. Program maksymalny przewidywał przyłączenie Królestwa i Czarnogóry, poprawki graniczne w Siedmiogrodzie, usunięcie dynastii Karadziordziewiciów; program minimalny - utrzymanie integralności państwa, aneksja góry Lovcen i usunięcie Karadziordziewiciów.

Nowy minister spraw zagranicznych Ottokar Czernin nie wahał się powiedzieć: „Monarchia prowadzi wojnę obronną i osiągnie wiele, jeśli ukończy wojnę zachowując integralność terytorialną. (...) Zupełne pokonanie nieprzyjaciela nie jest sprawą prawdopodobną, należy się więc liczyć z pokojem kompromisowym”.

W podobnym duchu toczyła się dyskusja, widziano trudności w rozwiązaniu sprawy polskiej, przewidywano, że Koalicja nie dopuści do rozgromienia Serbii. Ale wystąpiło *novum* - w niespokojnym umyśle hr. Czernina pojawiła się myśl rozbicia Rumunii. Za rzecz pożyteczną uważał oddanie Mołdawii Rosjanom. Chodziło o porozumienie z Rosją cudzym kosztem. Zaznaczyły się tu już późniejsze dążenia Czernina do ogarnięcia przez monarchię Rumunii, zaznaczyła się owa jego *idée favorite*.

Wkrótce wszakże inne wiatry powiały nad Dunajem i Czernin zaczął oceniać sytuację nie bez pewnego optymizmu i z optymizmem ustalać cele wojenne, zwłaszcza ulubiony rumuński. Wydało mu się, że Niemcy zrezygnowali z podbojów na zachodzie, a pra-

gną powetować to sobie z nawiązką na wschodzie. Na posiedzeniu Rady Koronnej w dniu 22 marca 1917 r. minister stwierdził, że wypadki w Rosji i rosnące zmęczenie wojną w krajach nieprzyjacielskich, zwłaszcza we Włoszech i we Francji, mogą doprowadzić do zawarcia pokoju już w niedługim czasie. Wynikiem dyskusji, opartej na takich sugestiach, były powzięte rezolucje:

1. Politykę zagraniczną należy tak prowadzić, aby Niemcy dali pewnego rodzaju porękę za integralność monarchii.

2. Dla Austro–Węgier wchodzi w grę przede wszystkim nabytki terytorialne na Bałkanach; określono wyraźnie „Rumunia, Czarnogóra i Serbia”.

3. Co się tyczy aneksji w Czarnogórze i w Serbii c. i k. minister spraw zagranicznych ograniczył się w rozmowach z rządem Rzeszy na razie tylko do „poprawek granicznych” (Lovćen, Antivari, przyczółki mostowe serbskie) .

Rezolucja ta znaczyła, że Austro–Węgry oddają Polskę w ręce niemieckie, a ekspansję kierują ku Bałkanom, przede wszystkim ku Rumunii. Żądanie gwarancji Niemiec dla integralności terytorialnej niezbyt licowało z mocarstwową rangą monarchii.

Bieg wojny w coraz wyższym stopniu uzależniał Austro–Węgry od Niemiec, a Niemcy bynajmniej nie kwapili się do realizowania celów wojennych monarchii, sprzeciwili się rozwiązaniu austro–polskiemu, nie dopuścili Austro–Węgier do Rumunii.



## 9. Cele wojenne Francji

Cele wojenne Francji niełatwo określić. W latach 1871–1914 w polityce zagranicznej Francji dominował - z różnym nasileniem - problem niemiecki. Problem niemiecki wpływał na stosunek Paryża i do Wielkiej Brytanii, i do Włoch. Problem niemiecki ważył na francuskiej polityce kolonialnej, a również wiązał się - rzecz prosta - z rozwojem sytuacji wewnętrznej kraju. Mówiąc najkrócej, problem niemiecki to przede wszystkim sprawa bezpieczeństwa Francji, to sprawa jej stanowiska mocarstwowego w Europie i w świecie, to wreszcie sprawa Alzacji i Lotaryngii.

Przegrana wojna 1870/71 r., walne a szybkie zwycięstwo lekceważonych dotąd Prus wywołało we Francji silny wstrząs. Dotychczas u wschodnich granic francuskich znajdował się niegroźny konglomerat państw i państewek, Berlin zaś jawił się Francuzom jako siedziba narodu poetów i myślicieli. Teraz dojrzeli za Renem mocarstwo potężne, rosnące w siły, z groźną armią, z rozwijającym się gwałtownie przemysłem.

Bezpośrednią groźbę nowego najazdu, nowej walki z przemocą uczuli Francuzi w 1875 r. (manewry Bismarcka z wojną prewencyjną), w 1887 r. (sprawa Schnabelego), najostrzej może w 1905 r., gdy weto Berlina w upokarzający sposób położyło tamę ekspansji francuskiej w Maroku, gdy została wymuszona dymisja ministra spraw zagranicznych Delcasségo. 19 czerwca 1905 r. w dzienniku „L’Aurore” Clemenceau pisał: „Być lub nie być, oto problem, który po raz pierwszy od czasów

wojny stuletniej postawiło przed nami nieubłagane dążenie do supremacji”.

A więc oddalić od Francji niebezpieczeństwo niemieckie to pierwszy zasadniczy cel polityki francuskiej. Służyć miało temu przymierze z Rosją (1891–1893), porozumienie z Wielką Brytanią (1904), zbliżenie z Włochami (1900, 1902). Następnie utrata Alzacji i Lotaryngii była we Francji ciągle żywa. Mimo że Gambetta wskazywał, iż o Alzacji i Lotaryngii należy nieustannie myśleć, ale nie powinno się mówić, to jednak mówiono. Szkoła, literatura ustawicznie przypominały Francuzom o ranie zadanej ojczyźnie. Świadectwem tych uczuć była kirem okryta figura na Łuku Triumfalnym w Paryżu, przedstawiająca Alzację i Lotaryngię. Nie znaczy to wszakże, aby naród francuski pragnął wojny o odzyskanie zabranych prowincji, nie znaczy to, aby rząd francuski państwo do takiej wojny przygotowywał.

Myśli i uczucia Francuzów w pierwszych tygodniach i miesiącach wojny oscylowały wokół obrony kraju przed najeźdźcą i zwycięstwa nad nim. Inne kwestie wydawały się odległe i niezbyt jasne. 20 sierpnia 1914 r. wytrawny dyplomata Paul Cambon pisał do Xaviera Charmesa: „Jeśli odniesiemy zwycięstwo, a o tym jestem przekonany, trzeba będzie na sto lat pozbawić Niemcy możliwości szkodzenia i postąpić z nimi tak bezlitośnie, jak oni postąpiliby z nami”.

Takie uczucia dzieliła zapewne ogromna większość Francuzów. Podobnie sentymenty, jakie żywiła wówczas ogromna większość Francuzów, trafnie ujął

Marc Bloch w słowach: obraz Alzacji i Lotaryngii „od chwili pierwszych walk wyłonił się raptownie spośród dyskretnych cieni, gdzie jeszcze kilka dni przedtem widziano go pogrzebanym”.

Historię celów wojennych Francji w latach pierwszej wojny światowej, posuwając się śladami Pierre'a Renouvina można podzielić na trzy okresy. W okresie pierwszym, pomiędzy sierpniem 1914 r. a lipcem 1916, rząd francuski uchylał się od określania celów wojennych; zszedł z tej drogi w okresie drugim, pomiędzy lipcem 1916 r. a marcem 1917 r., i w styczniu 1917 r. opracował obszerny program. Jednak wypadki najbliższych tygodni i miesięcy szybko go zdezaktualizowały. W okresie trzecim, od marca 1917 r. do końca wojny, wystąpiła tendencja ograniczania celów wojennych.

W okresie pierwszym zaznaczyć się daje różnica pomiędzy opinią publiczną a ostrożnym i wyważonym stanowiskiem rządu.

W rozumieniu społeczeństwa zwycięska wojna przynieść powinna restytucję Alzacji i Lotaryngii. Tak rozumowano zarówno na prawicy, jak i na lewicy. Gdy 6 sierpnia 1915 r. minister robót publicznych, socjalista Marcel Sembat, na posiedzeniu socjalistycznego klubu parlamentarnego zauważył, że Alzacczycy może zadowoliliby się autonomią w ramach państwowości niemieckiej, słuchaczy ogarnęło zdumienie, a mówca zorientował się i zmienił temat. Nawet zwolennicy pokoju kompromisowego wyobrażali sobie, że na drodze układów, dzięki rekompensatom w koloniach, można będzie odzyskać Alzację i Lotaryngię.

Już w 1915 r. pojawiły się w niektórych kołach francuskich tendencje szerszego wyzyskania ewentualnego zwycięstwa. Znany pisarz polityczny kierunku nacjonalistycznego, Maurice Barrès, w lutym, marcu i kwietniu 1915 r. opublikował serię artykułów na temat celów wojny; domagał się odłączenia od Niemiec lewobrzeżnej Nadrenii; mieszkańcom miano by dać do wyboru: albo utworzenie małego neutralizowanego państwa, albo przyłączenie do Francji. W Paryżu związał się *Comité de la rive gauche du Rhin* - Komitet lewego brzegu Renu i zajął się kolportażem kart i broszur propagandowych.

Rzecz znamienita, że myśl Barrèsa podchwyciła grupa historyków o poglądach lewicowych. Gdy Barrès twierdził, że katolicki światopogląd mieszkańców Nadrenii oddala ich od Prus, badacz i entuzjasta rewolucji francuskiej Alphonse Aulard powoływał się na stanowisko, jakie Nadreńczycy zajęli w erze wojen rewolucyjnych. Aulard domagał się utworzenia „republiki nadreńskiej statutowo neutralizowanej”.

W memoriałach z października i grudnia 1915 r. Robert Pinot, sekretarz generalny zrzeszenia właścicieli hut żelaznych - *Comité des Forges* - wysunął postulat aneksji Zagłębia Saary. Motywacja miała wyłącznie charakter gospodarczy. Francja cierpi na niedobór węgla (w 1913 r. 20 mln ton); odzyskanie Lotaryngii zmieni sytuację tylko nieznacznie, dlatego „Zagłębie węglowe Saary” jest Francji niezbędne.

Francja oficjalna była bardziej ostrożna i bardziej powściągliwa. Rząd musiał brać pod uwagę czynniki,

które nie krępowały prywatnych instytucji i osób prywatnych. Deklaracja londyńska z 5 września 1914 r. mówiła, że żaden z trzech kontrahentów - Francja, Wielka Brytania, Rosja - nie wysunie warunków pokoju bez ich uzgodnienia z sojusznikami. Deklaracja, rzecz prosta, dyktowała rządowi stanowisko, a w każdym razie taktykę.

Niewątpliwie w związku z deklaracją londyńską Izwolski zapytywał 13 października 1914 r. Delcasségo, jak zapatruje się na cele wojenne i usłyszał kategoryczną odpowiedź, że za wcześnie jeszcze dzielić skórę na niedźwiedziu.

Dopiero w końcu roku 1914 rząd francuski nakreślił w sposób ogólnikowy cele wojenne Francji. Po czterech miesiącach przerwy w dniu 22 grudnia 1914 r. zebrał się parlament w uwolnionym od grozy oblężenia Paryżu. Entuzjastyczną i wspaniałą oratorsko mowę wygłosił prezes Deputowanych Paul Deschanel. Mowę tę, zgodnie ze zwyczajem francuskim, wydrukowano na plakatach wywieszonych w miejscach publicznych w całym kraju. Następnie stanął na trybunie prezes ministrów René Viviani. „Francja - mówił - w porozumieniu ze swymi sprzymierzeńcami przestanie walczyć dopiero wtedy, gdy pomści znieważone prawo, gdy na zawsze zwiąże z francuską ojczyzną dwie zagrabione przemocą prowincje, gdy bohaterkiej Belgii przywróci pełną niepodległość, gdy złamie militarizm pruski, aby móc zrekonstruować Europę na podstawie sprawiedliwości”.

Wymienione są tu dwa cele: usunięcie niebezpieczeństwa niemieckiego i odzyskanie Alzacji i Lotaryngii. Natomiast nie ma tu jeszcze wzmianki o zdobyciach terytorialnych ani w Europie, ani w koloniach. W każdym razie nie chciano ich głosić publicznie.

Zgodnie z tymi założeniami rząd 1 lutego i 28 kwietnia 1915 r. wydał zarządzenie zakazujące publikowania w prasie artykułów na temat podstaw przyszłego pokoju, chyba że mówiłyby one o „triumfie Sprawiedliwości i Prawa”. Wiosną 1915 r. premier Viviani wezwał zaproszonych na konferencję redaktorów pism paryskich, aby nie pisali na temat pokoju, gdyż mogłoby to wytworzyć w opinii publicznej ruch „bardzo krępujący”.

W październiku 1915 r. upadł gabinet Vivianiego, a 3 listopada stanął przed parlamentem nowy gabinet, w którym Aristide Briand obok prezesury objął tekę spraw zagranicznych. Socjaliści uzgodnili z premierem, że w imieniu klubu socjalistycznego zabierze głos Renaudel i zwróci się do premiera, aby stwierdził uroczyście, iż Francja nie dąży do aneksji. Forma wystąpienia Renaudela była niezręczna i mowa jego wywarła w kraju i w Izbie wrażenie ujemne. Natomiast Briand pokazał w odpowiedzi całą finezję znakomitego mówcy i wytrawnego gracza parlamentarnego. „O pokoju będzie mogła być mowa - wołał szef rządu - gdy oręż francuski odniesie zwycięstwo”, gdy wyzwolone zostaną okupowane prowincje, gdy na łono ojczyzny powróci Alzacja i Lotaryngia, gdy wolna będzie bohaterska Belgia. Ale Francja nie ma w sobie egoizmu, Francja

walczy w obronie wolności narodów i w obronie cywilizacji, szpadę schowa do pochwy, gdy otrzyma pewność, że pokój, który zawrze, będzie pokojem solidnym i trwałym, gdy wszelkie dążenia do tyrańskiej dominacji w świecie ustąpią miejsca postępowi cywilizacji dokonującemu się dzięki wolności wszystkich narodów.

Gładkie frazesy mogły na wielu słuchaczach i czytelnikach robić dodatnie wrażenie, mogły nie zawierać żadnej myśli, ale mogły też kryć w sobie różne niespodzianki. Na pewno wszakże, jeśli chodzi o opracowanie programu pokoju, Francuzi pozostawali w tyle, za metodycznymi imperialistami z drugiej strony Renu.

W kilka tygodni po swej mowie listopadowej, 14 i 15 grudnia 1915 r., Briand wydał polecenie, aby cenzura nie zezwalała na druk artykułów zarówno takich, które opowiadały się za pokojem, jak i takich, które występowały przeciwko pokojowi; szło o to, „aby nie dopuścić do przedwczesnych polemik w tym przedmiocie”.

Rezerwę zachował Briand również w rozmowie z wysłannikiem prezydenta Wilsona pułkownikiem Housem w dniu 7 lutego 1916 r., kiedy zapewniał go, że Francja nie zawrze pokoju, który by jej nie oddał Alzacji i Lotaryngii. Na pytanie Amerykanina, czy Francja zgodziłaby się na oddanie większej części Azji Mniejszej pod wpływy niemieckie w zamian za zwrot Alzacji i Lotaryngii Briand odparł, że nie nadeszła jeszcze chwila układania programu pokoju.

Jedynie w dziedzinie ściśle gospodarczej zauważyć można pewne prace nad przygotowaniem warunków

pokoju. Już w sierpniu 1914 r. francuskie placówki konsularne otrzymały polecenie przeprowadzenia ankiety zawierającej pytanie, czy francuskie wyroby przemysłowe mogłyby wyprzeć z rynków światowych wyroby przemysłowe niemieckie. Innymi słowy utrwalić w pewnej mierze skutki przeprowadzonej przez Koalicję blokady gospodarczej Niemiec. W czerwcu 1916 r. konferencja międzysojusznicza obradowała w Paryżu nad środkami, które należałoby podjąć, aby nie dopuścić po wojnie do hegemonii ekonomicznej Niemiec, związanej z planami „*Mitteleuropy*”.

Z końcem lata 1916 r. zarówno w prasie, jak w kołach przemysłowych i politycznych przytłumione zainteresowanie celami wojennymi Francji ponownie ożyło. Problem nabrał aktualności. Czy przyczyną była lekka poprawa sytuacji na frontach zachodnim i wschodnim, czy poprawa sytuacji politycznej (Rumunia wystąpiła po stronie Koalicji), czy może raczej rząd uznał, wbrew swemu dotychczasowemu stanowisku, że szeroka dyskusja na temat celu wojny podniesie ducha w narodzie? Może grał tu wzgląd na Rosję, skąd napływały coraz bardziej pesymistyczne raporty ambasadora Paléologue'a o sytuacji w kraju i defetystycznych nastrojach kół dworskich i rządowych. Widoki wielkich zdobyczy - wyobrażano sobie - wzmogą w Rosji chęć do walki.

Złagodniała więc cenzura i nie przeszkadzała publikowaniu artykułów na temat pożytków, jakie przyniesie zwycięstwo nad Niemcami. Na łamach prasy różnych kierunków, z wyjątkiem prasy socjalistycznej, zaczęły się ukazywać artykuły o Zagłębiu Saary,



o prawach francuskich do Nadrenii lewobrzeżnej, a nawet rozbiciu Niemiec jako o gwarancji bezpieczeństwa Francji.

Nie mogło tu zabraknąć i głosu ciężkiego przemysłu. Z końcem lipca 1916 r. Zrzeszenie właścicieli hut żelaznych - *Comité des Forges* - uchwaliło następującą rezolucję na temat celów wojny:

1. Odzyskanie Alzacji i Lotaryngii jest nie tylko kwestią sprawiedliwości, ale i bezpieczeństwa Francji. Niemcy przyznają, że bez rudy lotaryńskiej nie mogliby wytwarzać w dostatecznej ilości niezbędnego podczas wojny sprzętu bojowego. Odebranie więc Niemcom Lotaryngii to znaczne osłabienie potęgi militarnej Prus. Właściciele hut sądzą, że pod tym właśnie kątem widzenia należy Francji i światu przedstawić problem Alzacji i Lotaryngii.

2. Zrzeszenie uważa, że aneksja Zagłębia Saary odpowiada bezspornym interesom Francji, gdyż Francja nie ma dostatecznej ilości węgla. Co więcej, aneksja ta uchroni francuskie kopalnie żelaza przed nagłą agresją niemiecką.

3. Zrzeszenie wyraża pogląd, że rozszerzenie granic Francji poza Alzację, Lotaryngię i Zagłębie Saary otworzy przemysłowi francuskiemu nowe rynki zbytu, zwiększy francuskie zasoby paliwa i wytworom przemysłu francuskiego ułatwi transport Renem.

Interesujące były opinie wysuwane w kołach rządowych. 12 sierpnia 1916 r. prezydent Poincaré, pod wpływem wiadomości otrzymanych poufnie i nieoficjalnie z Watykanu o ciężkim położeniu monarchii

habsburskiej, prosił generała Joffre'a o opracowanie warunków rozejmu. Joffre w przekonaniu, że zwycięstwo było bliższe niż myślano, polecił, aby Oddział 2-gi Sztabu opracował warunki nie tylko rozejmu, ale również i pokoju.

Miesięczny rozejm miał objąć walki na wszystkich frontach lądowych, nie miał natomiast przerwać blokady morskiej. Linie demarkacyjną pomiędzy armiami Koalicji a armią niemiecką stanowić miał Ren, z tym że wojska Sprzymierzonych zajęłyby jeszcze niektóre przyczółki mostowe na jego prawym brzegu.

Co do warunków pokoju - ciśnienie historii było tak silne, że wódz francuski domagał się dla Francji granicy roku 1789. „Wierna zasadom rewolucji francuskiej, według których ludy mają wyłączne prawo rozporządzania sobą, w zgodzie ze stałym protestem przeciwko traktatowi frankfurckiemu, Francja żąda tylko granicy roku 1789”. Joffre wychodził z założenia, że zagrożenie Francji od wschodu zaczęło się z chwilą, gdy małe państewka na lewym brzegu Renu utraciły niezależność i zostały wchłonięte przez Prusy. Aby zabezpieczyć Francję i Belgię przed nową agresją, należy odłączyć Nadrenię lewobrzeżną od Niemiec. Na lewym brzegu Renu powinno powstać jedno lub kilka państewek, miałyby one pełną swobodę ustalenia swego ustroju, a z Francją byłyby związane unią celną. Joffre postulował następnie okrojenie i osłabienie Prus tak, aby utraciły przewagę w Rzeszy; należałoby im odebrać Poznańskie i Pomorze i zwrócić „królestwu polskiemu”, Śląsk powinien utworzyć oddzielne państw-

ko, Królestwu Saksonii Prusy musiałyby oddać zagarnięte prowincje saskie, a Danii Szlezwik i Holsztyn, Hanower i Westfalia zostałyby niezależnymi państwami.

Oddzielne rozważania poświęcił Joffre Polsce. „25 milionów Polaków - pisał - dąży usilnie do odzyskania niepodległości”. Czy Rosja zgodzi się na utworzenie u jej granic „państwa katolickiego, mającego rzeczywistą autonomię (*une autonomie réelle*) i własne życie narodowe, które by ją oddzielało od Europy”? Jeśliby zjednoczone ziemie polskie czekał los Królestwa Kongresowego, „lepiej nie zmieniać nic w obecnym losie Polaków”. „Należy wszakże mieć nadzieję, że Rosja zdobędzie się na szczerze ustępstwa. Czy to możliwe? Tak, jeśli rząd carski będzie na tyle inteligentny, aby zrozumieć, że z wielkiego kataklizmu, jaki przeżywamy, wyjdzie nowy świat”.

Słowa te pisał wódz francuski na siedem miesięcy przed ostatecznym, niesławnym upadkiem caratu. Zwracał uwagę na kwestię polską w czasie, gdy dyplomacja francuska starannie kwestię tę pomijała, lękała się kwestię tę podnieść, gdy cenzura wojenna z łamów prasy francuskiej usuwała wszelką wzmiankę o nigdy nie przedawnionych prawach Polski do niepodległości.

Nie wiadomo, jakie oddźwięki wywołał memoriał Joffre'a, na razie zapewne niewielkie, ale cele wojenne Francji były przedmiotem uwagi kół rządowych. 7 października 1916 r. na śniadaniu w Pałacu Elizejskim odbyła się na ten temat ożywiona dyskusja. Léon Bo-

urgeois przedstawił memoriał historyczny uzasadniający prawa Francji do Nadrenii lewobrzeżnej, był wszakże przeciwny aneksji, opowiadał się natomiast za wieloletnią okupacją. Charles de Freycinet i prezydent Poincaré byli zdania, że nie nadeszła jeszcze chwila, aby definitywnie rozstrzygać losy Nadrenii, należy jedynie oświadczyć Sprzymierzeńcom, tzn. w praktyce Wielkiej Brytanii, że kwestia ta musi zależeć wyłącznie od decyzji Paryża. Rzecz znamieną, że pod dyskusję poddano także przyszłość Rzeszy i monarchii habsburskiej. Wyrażono obawy, aby ewentualny rozpad tej ostatniej nie powiększył i nie umocnił Niemiec.

W kołach rządowych dyskutowano już wprawdzie nad celami wojennymi, ale premier Briand w dalszym ciągu nie życzył sobie publicznej dyskusji w tym przedmiocie. 15 i 25 października 1916 r. poszły zalecenia dla cenzury wojennej, aby nadal tamowała publikację artykułów na temat Nadrenii.

Bieg wypadków wszakże nie pozwalał gabinetowi paryskiemu odsuwać kwestii celów wojennych i poczynić dyskusji na ten temat za przedwczesną.

Na początku lutego 1917 r. obradowała w Piotrogradzie konferencja międzysojusznicza. Briand uznał za rzecz wskazaną przed rozpoczęciem narad przedstawienie Londynowi swego punktu widzenia na kwestię celów wojennych Francji. 12 stycznia 1917 r. wystosował obszerny list do ambasadora w Londynie Paula Cambona, w którym przedstawił stanowisko swego rządu. Treść listu Cambon miał podać do wiadomości

nowemu sekretarzowi stanu spraw zagranicznych Jamesowi Balfourowi.

List Brianda do Cambona dokument to interesujący. Nie tylko ujawnia cele wojenne, jakie stawiał przed Francją gabinet Brianda, ale zaznajamia z taktyką zmierzającą do ich osiągnięcia. „Każde mocarstwo - czytamy w liście - ma swe własne dążenia, trzeba je znać, aby w pewnej mierze wyrównać albo ekwiwalenty, które mają być udzielone, albo ofiary, które będą wymagane”. Pod tym kątem widzenia należy patrzeć na dążenia i postulaty Francji. Francja żąda zwrotu Alzacji i Lotaryngii, ale nie będzie to nowy nabytek, nie będzie to zdobycz wojenna, będzie to odzyskanie własnej prowincji zagrabionej swego czasu wbrew woli ludności. Jest sprawą zrozumiałą, że chodzi tu nie o Alzację i Lotaryngię, okrojone traktatem 1815 r., lecz o Alzację w granicach sprzed roku 1790. Francja odzyska więc Zagłębie Saary, niezbędne dla jej przemysłu; „musi być zatarte wspomnienie okaleczania naszej starej granicy”. Wielu Francuzów „przywiązanych do starej tradycji naszej polityki narodowej domaga się rewindykacji (Nadrenii lewobrzeżnej), utraconego dziedzictwa rewolucji francuskiej, potrzebnej do utworzenia tego, co Richelieu nazwał *«pré carré»*„. Istnieje wszakże możliwość, że odzyskanie Nadrenii lewobrzeżnej zostanie poczytane za zdobycz i przysporzy Francji trudności. Sprawą istotną jest tu bezpieczeństwo Europy i Francji. Zdaniem gabinetu paryskiego Niemcy nie powinny posiadać piędzi ziemi na lewym brzegu Renu. Rządy Koalicji powinny porozumieć się w takich kwestiach, jak

ustrój Nadrenii, jej neutralizacja, jej czasowa okupacja. Francja wszakże, jako najbardziej w urzędzeniu tego kraju zainteresowana, musi mieć przy rozważaniu zagadnienia głos przeważający.

Przed wysłaniem listu tezy jego przedyskutowała i zaaprobowwała rada ministrów.

A więc zasadniczy cel wojenny Francji to jej granica wschodnia tak ustalona, aby zapewniała krajowi bezpieczeństwo, a zarazem dawała korzyści gospodarcze. Nie podlegało też dyskusji, że kwestii Alzacji i Lotaryngii w szerokich historycznych granicach Francja nie będzie z nikim uzgadniała. Co do statusu Nadrenii lewobrzeżnej, Francja gotowa jest porozumieć się ze sprzymierzonymi, przede wszystkim z Wielką Brytanią.

Zanim Wielka Brytania zabrała głos w tej sprawie, pospieszył wyrazić zgodę na postulaty francuskie rząd rosyjski księcia Nikołaja Golicyna - na cztery dni przed sromotnym upadkiem caratu. Rząd francuski dawał Rosji w zamian wolną rękę przy ustalaniu jej granicy zachodniej, tzn. dawał caratowi *carte blanche* w sprawie polskiej. Z powodu zasadniczych zmian w Rosji nie miało to skutków praktycznych, przysporzyło wszakże gabinetowi paryskiemu znacznych trudności.

Rewolucja w Rosji, wystąpienie Stanów Zjednoczonych, załamanie się ofensywy Nivelles'a, z którą wiązano tyle nadziei, niepokoje w armii - wszystko to sprawiło, że rząd francuski sprawę celów wojennych ujmował teraz dużo ostrożniej i bardziej powściągliwie.

Toteż 4 Czerwca 1917 r. Izba Deputowanych 453 głosami przeciwko 55 podjęła uchwałę, że w wyniku wojny oczekuje „wyzwolenia zajętych terytoriów, powrotu Alzacji i Lotaryngii do matki ojczyzny i sprawiedliwego odszkodowania” (*réparation des dommages*) oraz odrzuca „wszelką myśl o zdobyczach i ujarzmieniu obcej ludności”.

Taką powściągliwość dyktował wzgląd na Rosję i na plany prezydenta Stanów Zjednoczonych, jak również na trudną sytuację wewnętrzną. Marcel Cachin zapewniał wymownie, że restytucja Alzacji i Lotaryngii „to nie aneksja”.

W kołach politycznych uznano, że w świetle tej uchwały Francja ograniczyła swe cele wojenne do odzyskania Alzacji i Lotaryngii i uzyskania odszkodowań wojennych.

Dla rządu i znacznej części Izby było to tylko zręczne posunięcie taktyczne o charakterze propagandowym. Już w dwa dni później, 6 czerwca, podczas dyskusji w Senacie prezes ministrów Ribot opatrzył uchwałę Izby elastycznym komentarzem: „Gwarancje (przed nową agresją), gdzie je można znaleźć? Czy w zdobytych terytoriach? Nie sędzę. Czy w czasowej okupacji, w neutralizacji? To wszystko należy zbadać. I zbada się w chwili odpowiedniej”.

Senacki komentarz Ribota, wyraźnie rozszerzający sens uchwały Izby Deputowanych, wywołał zdziwienie w szeregach socjalistów. W ich imieniu Marius Moutet na posiedzeniu Izby w dniu 2 sierpnia 1917 r. zainterpelował rząd, co znaczą różnice pomiędzy uchwałą

Izby z 4 czerwca i wyjaśnieniami premiera w Senacie 6 czerwca. Odpowiedź Ribota: „Nie nadeszła jeszcze godzina dyskusji nad wszystkimi warunkami pokoju”. Premier dodał, że rząd odrzuca plany aneksji, ale nie wyparł się myśli utworzenia na lewym brzegu Renu niezależnych państewek. Powzięta w następstwie uchwała Izby potwierdzała uchwałę poprzednią z 4 czerwca, zawierała wszakże nadto żądanie zniszczenia militarystyki pruskiej „bez czego żaden traktat pokoju nie będzie trwał”.

Następca Ribota na stanowisku szefa rządu Paul Painlevé w deklaracji ministerialnej w Izbie Deputowanych w dniu 18 września 1917 r. wymienił odzyskanie Alzacji i Lotaryngii oraz odszkodowanie za straty wyrządzone przez nieprzyjaciela jako cele wojenne Francji.

17 listopada 1917 r. na czele rządu stanął Clemen-  
ceau. W *exposé* w Izbie Deputowanych w dniu 20 listopada oświadczył: „Panowie zapytują, jakie są moje cele wojenne, odpowiadam: mój cel być zwycięzcą”.

W trzy miesiące później, 15 lutego 1918 r., na posiedzeniu komisji spraw zagranicznych Senatu minister spraw zagranicznych Stephen Pichon mówiąc o „niezbędnych warunkach pokoju trwałego” wymienił odzyskanie Alzacji i Lotaryngii. Ta „reintegracja” - dodał minister - naprawi to, co się stało w roku 1871. A więc chodziło o Alzację i Lotaryngię bez Zagłębia Saary i bez Nadrenii lewobrzeżnej?

„W obecnym okresie poszukiwań historycznych - stwierdza Pierre Renouvin - wydaje się, że restytucja



Alzacji i Lotaryngii bez plebiscytu była jedyną rewindykacją od Niemiec stale podtrzymywaną przez rząd francuski od sierpnia 1914 r. do listopada 1918 r.”. I tylko w krótkim okresie, w zimie 1916/17 r., rząd wysuwał postulaty aneksji Zagłębia Saary i utworzenia małych państewek w Nadrenii lewobrzeżnej.

Rzecz prosta, że dwa te postulaty, chociaż nie mówiono o nich głośno i nie wysuwano ich przy każdej sposobności, miały nadal zwolenników zarówno w kołach rządowych, politycznych, przemysłowych, jak i w opinii publicznej.

Działał Narodowy Komitet Studiów (*Comité National d'Etudes*); za zadanie miał przygotowanie „serii teczek”, czyli opracowanie materiałów dla delegacji francuskiej na przyszłą konferencję pokojową. Były to referaty omawiające kwestię wschodniej granicy Francji z punktu widzenia historycznego, geograficznego, militarnego. Pracowali tu wybitni uczeni - geograf Paul Vidal de la Blache, historycy Philippe Sagnac, Alphonse Aulard, Ernest Denis, generał Robert Bourgeois. Nie wydaje się, aby prace Komitetu wywarły wpływ na stanowisko rządu czy opinii publicznej. Może dostarczyły argumentów delegatom na konferencję pokojową. Podobnie nie odegrał roli memoriał Joffre'a.

Jest rzeczą znamienne, że strona francuska nie wyrażała chęci nabytków kolonialnych, przeciwnie napomykano o możliwości oddania, na wypadek pokoju kompromisowego, Madagaskaru lub Indochin w zamian za Alzację i Lotaryngię. Nie znaczy to, by politycy francuscy nie brali pod uwagę powiększenia statusu

posiadania w koloniach; świadectwem tego jest układ Sykes–Picot ze stycznia 1916 r., ale to odrębna sprawa.

Główny, zasadniczy cel wojny, któremu wszystko musiało być podporządkowane, to dla rządu francuskiego, to dla narodu francuskiego było zabezpieczenie się przed nową agresją pruską, przed rewanzem. To zapewnienie Francji pokoju i bezpieczeństwa.

## **10. Cele wojenne Wielkiej Brytanii**

Kapitalne to, ale niełatwe zadanie określić cele wojenne Wielkiej Brytanii. Ale bo też przez dłuższy czas cele te pozostawały nieokreślone. Wielka Brytania nie czuła się w swym bezpieczeństwie zagrożona, tak jak Francja lub jak monarchia habsburska. Anglicy nie opracowywali memoriałów o koniecznych podbojach, jak czynili to Niemcy, nie wysuwali postulatów aneksyjnych jak Rosja.

„Nie jest sprawą właściwą - pisał w grudniu 1914 r. stały podsekretarz stanu w Urzędzie Spraw Zagranicznych Sir Arthur Nicolson - myśleć w jakiś sposób o pokoju, dopóki nie mamy możliwości podyktowania jego warunków, dopóki Niemcy nie są pobite i bardziej osłabione”.

Publiczne wysuwanie celów wojennych, dyskusja nad nimi - sądzono w brytyjskich kołach rządowych - mogłaby osłabić ducha wojennego w szerokich rzeszach narodu, mogłaby także prowadzić do nieporozumień pośród sprzymierzonych. A więc ogólniki!

W wielkiej mowie w Izbie Gmin w dniu 3 sierpnia 1914 r. Sir Edward Grey tak wyjaśnił właściwy powód

przystąpienia Wielkiej Brytanii do wojny: gdyby Wielka Brytania nie stanęła po stronie Francji i Belgii przeciw agresji, „byłaby izolowana i zdyskredytowana”.

W mowie wygłoszonej na tradycyjnym dorocznym bankiecie w Guildhall w dniu 9 listopada 1914 r. pierwszy minister Herbert Asquith żądał przywrócenia niepodległości Belgii, zabezpieczenia Francji przed nową agresją, gwarancji dla niepodległości małych państw i zniszczenia militarystyki pruskiej.

Ta tendencja nie zajmowania się celami wojennymi, ograniczania się do ogólników, przeważała w Londynie mniej więcej przez dwa pierwsze lata wojny, do połowy roku 1916. Czasem - pod naciskiem sprzymierzeńców rosyjskiego i japońskiego, czasem w chęci pozyskania nowych sojuszników, jak Włochy, Rumunia czy szarif Mekki - rząd brytyjski odstępował od tej zasady. Musiał on wtedy odpowiednio kształtować politykę i rozważać, jak świat ma być urządzony zgodnie z interesami Wielkiej Brytanii. Należało odsunąć Rosję od Persji, gdzie upatrywano teren ekspansji brytyjskiej, a skierować ją ku Cieśninom. Do przeszłości należał opór brytyjski stawiany w wieku XIX rosyjskiemu parciu na Cieśniny. Jeszcze przed wybuchem wojny Komitet Obrony Imperium uznał, że Konstantynopol w rękach rosyjskich nie byłby zagrożeniem dla imperium. Natomiast zajęcie Konstantynopola przez Rosjan zdawało się teraz zapowiadać korzyści. Sir Edward Grey był zdania, że rokowania pokojowe potoczą się składniej, jeśli Rosja skoncentruje swe aspiracje na Cieśninach, a nie będzie ich zwracała przeciwko Austro-

Węgrom. Sądził również, że Niemcy byliby bardziej skłonni opuścić Turcję niż Austrię. Już w październiku 1914 r. gabinet londyński zerwał z tradycyjną polityką brytyjską ochrony integralności Turcji. Stwierdził to wyraźnie Asquith w mowie w Guildhall 9 listopada 1914 r.: „To nie my, to imperium osmańskie wybiło podzwonne dla panowania osmańskiego nie tylko w Europie, ale i w Azji. Tą wskazówką będzie się odtąd kierowała polityka brytyjska. Rosja w zamian za zgodę na zabór Konstantynopola i Cieśnin da Wielkiej Brytanii wolną rękę w innych okolicach Bliskiego Wschodu. Persja (strefa brytyjska i strefa neutralna według układu z 1907 r.), Półwysep Arabski, Bagdad i Basra będą obszarami wpływów wyłącznie brytyjskich. Obawa przed zawarciem przez Rosjan pokoju odrębnego z Niemcami grała także rolę w brytyjskiej ustępliwości dla dardanelskich aspiracji Rosji.

Latem 1916 r. wraz z wieściami o ofensywie nad Sommą napłynęły nad Tamizę fale optymizmu. W oczach Lorda Charlesa Hardinge'a, nowego po Nicolsonie stałego podsekretarza stanu w Urzędzie Spraw Zagranicznych, rysowała się już możliwość takiej pomyślnej sytuacji, kiedy Niemcy i to już jesienią 1916 r. będą prosiły Koalicję o podanie warunków pokoju. W kołach rządowych budziły się obawy, że obecnie Wielka Brytania jest tak nieprzygotowana do pokoju, jak była nieprzygotowana do wojny.

W sierpniu 1916 r. powstała komisja do studiów nad polityką brytyjską względem kolonii niemieckich.

Również w sierpniu 1916 r. Sir William Tyrrell, szef wywiadu politycznego Political Intelligence Department w Urzędzie Spraw Zagranicznych i drugi urzędnik Spraw Zagranicznych Sir Ralph Paget zredagowali memoriał: „*Suggested Basis for a Territorial Settlement in Europe*” („*Proponowana podstawa terytorialnego urządzenia Europy*”). Pokój miał się opierać na zasadzie narodowości z odrzuceniem wszelkich ograniczeń gospodarczych. Zasadę narodowości należy lekko korygować, aby nie wzmocniła państw, które w przyszłości mogą być niebezpieczne dla pokoju. Konkretnie propozycje memoriału tak się przedstawiały: Francja odzyska Alzację i Lotaryngię, ale nie dostanie niemieckich terytoriów na lewym brzegu Renu; Dania otrzyma Szlezwik, ale bez Holsztynu; powstanie państwo polskie z trzech zaborów, pod berłem cara, ewentualnie połączone z Czechami; Austro–Węgry będą rozbite; Austria niemiecka zostanie połączona z Niemcami. W ten sposób miał być wzmocniony w Niemczech element południowoniemiecki, osłabione zaś Prusy. Memoriał akcentował, że wrogiem nie są Niemcy, lecz Prusy.

W sierpniu 1916 r. marszałek polny Sir William Robertson, szef sztabu generalnego imperium, otrzymał od premiera polecenie przygotowania opinii sztabu na temat warunków pokoju. Robertson, według Lloyd George’a „nie był wielkim żołnierzem, z pewnością wszakże był wybitną indywidualnością. (...) Pracowity, solidny, inteligentny”. Charakteryzowała go nieufność do cudzoziemców, najbardziej do Francuzów, którzy go

nazywali „generał Non, Non”, najmniej - jeśli była to nieufność - do Niemców”.

Robertson wyszedł z założenia, że chociaż końca wojny dotąd nie widać, rokowania pokojowe mogą się zacząć w każdej chwili; jeśli Wielka Brytania nie będzie do nich przygotowana, znajdzie się w położeniu gorszym nie tylko od przeciwników, ale i od sprzymierzeńców.

Rokowania pokojowe muszą się opierać na następujących zasadach: a) utrzymanie w Europie równowagi sił; b) utrzymanie brytyjskiej supremacji na morzach; c) ujście Renu pod panowaniem małego państwa.

Utrzymanie równowagi sił w Europie - dowodzili autorzy memoriału - wymaga istnienia silnego śródwoeuropejskiego mocarstwa; musi to być państwo „teutońskie”; inna możliwość - państwo słowiańskie będzie zawsze ciążyło ku Rosji; Rosja zdobędzie wówczas pozycję dominującą, a to zniszczy zasadę, którą Anglia stara się utrzymać. Jeśli przy tym Niemcy mają być naszym głównym europejskim współzawodnikiem na morzu, warunki pokoju muszą być tak ułożone, aby hamować rozwój niemieckiej floty wojennej i handlowej. Innymi słowy interes Wielkiej Brytanii nakazuje, aby Niemcy były w sposób do przyjęcia (*reasonably*) silne na lądzie, a słabe na morzu.

Trudny jest problem Austro-Węgier. Uwzględnienie postulatów włoskich, rumuńskich i serbskich spowoduje rozbitcie monarchii habsburskiej. Powstaje więc kwestia, jak ułożyć status Austrii niemieckiej, madziarskich części Węgier oraz Galicji, Czech i Moraw. Gali-

cję wchłonie nowe królestwo polskie. Ale Czechy, Morawy i Węgry? Robertson nie znajduje tu rozwiązania. Austrię niemiecką można włączyć do Niemiec; 10 milionów Niemców południowych to „odtrutka” (*counterpoise*) przeciwko Prusom. Można będzie również utrzymać przy życiu pomniejszone Austro–Węgry z własnym portem na Morzu Adriatyckim. Państwo to zawrze zapewne przymierze z Niemcami, ale dla Wielkiej Brytanii nie wynikną stąd szkody. Przymierze austro–niemieckie osłabiałoby Rosję i nie dopuściło do przekształcenia Morza Śródziemnego w jezioro włoskie lub francuskie.

Wielka Brytania będzie „przypuszczalnie zmuszona” do wyrażenia zgody na postulaty francuskie co do Alzacji i Lotaryngii. Musi być przywrócona niepodległość Belgii. Dania powinna odzyskać Szlezwik i część Holsztynu. Sprawą najwyższej wagi jest umiędzynarodowienie Kanału Kilońskiego i oderwanie od Niemiec portu w Kilonii, Wysp Północnofryzyjskich oraz wschodnich wybrzeży Zatoki Helgolandzkiej.

Wytyczenie wschodniej granicy zależy od tego, co „można dać Polsce”. Polacy żądają Gdańska i twierdzą, że 60% ludności Prus Zachodnich to ludność polska. Wszakże trudno sobie wyobrazić, żeby Niemcy zgodzili się na odcięcie Prus Wschodnich. I trudno przypuścić, żeby Niemcy zostały tak pobite, aby się zgodziły na oddanie Polsce Poznania, chyba że Polska byłaby państwem wchodzącym w skład Rzeszy pod berłem niemieckiego dynasty. „Co do Polski będziemy praw-

dopodobnie zmuszeni zastosować się do życzeń rosyjskich”.

Imperium tureckie powinno być podzielone - Konstantynopol i Cieśniny weźmie Rosja, Mezopotamia, Syria i część Azji Mniejszej pójdą pod dominację Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch. W dużej mierze chodzi tu o niedopuszczenie Niemiec na Bliski Wschód.

Stosunki ze sprzymierzeńcami wymagają równie bacznej uwagi co stosunki z nieprzyjaciółmi. „Jaka ma być nasza polityka względem Francuzów w Salonikach, względem Włochów i Francuzów w Albanii, względem Włochów w Azji Mniejszej, względem Rosjan na Bałkanach i w ogóle względem świata słowiańskiego, a to w związku z utworzeniem Polski? Trzeba pamiętać, że obecne ugrupowanie mocarstw nie będzie trwało wiecznie, może trwać tylko krótki czas po zakończeniu wojny”.

Znamienne były uwagi Robertsona o kwestii kolonialnej. Niemcy utraciły kolonie, ale będą z pewnością robiły uporczywe wysiłki w celu ich odzyskania, aby zachować „miejsce pod słońcem”, aby utrzymać chociażby pozory mocarstwa światowego. Będą więc występowały z ponętnymi propozycjami do państw mniej zainteresowanych problemami kolonialnymi, a wywierały nacisk na państwa, dla których sprawy kolonialne mają znaczenie pierwszorzędne. Zdaniem Robertsona jedynie Wielka Brytania ma interesy we wszystkich koloniach niemieckich, Francja jedynie w Kamerunie, Belgia w Afryce Wschodniej (?), Japonia w Kiau-czou



i na wyspach północnej części Oceanu Spokojnego. Wielka Brytania może więc się znaleźć w trudnej sytuacji, jeśli Niemcy w zamian za oddanie Rosjanom Polski, Francuzom Alzacji i Lotaryngii, a nawet w zamian za całkowitą ewakuację Belgii zażądają zwrotu Afryki Południowo-Zachodniej i Wschodniej oraz wysp południowej części Oceanu Spokojnego.

Memoriał wyrażał opinię sztabu, opinię generalicji, przedstawiał punkt widzenia militarno-polityczny. Rzecz znamienna, że Robertson domagał się, aby Niemcy pozostały wielką potęgą militarną „dla równoważenia ekspansji francuskiej, a zwłaszcza rosyjskiej”.

Generalicja brytyjska nie dostrzegała w tym czasie interesu Wielkiej Brytanii w likwidowaniu militarizmu pruskiego, w demilitaryzacji Niemiec. Marszałek polny Sir Douglas Haig mówił królowi Jerzemu: „Niewielu spośród nas myśli, że «demokratyzacja Niemiec» warta jest śmierci jednego jedyne Anglika”.

Z końcem października 1916 r. Sir Maurice Hankey, sekretarz War Council - Rady Wojennej, opracował pewnego rodzaju rekapitulację poglądów członków Rady. A oto one: Niemcy wycofają się z Belgii i okupowanych części Francji, odstąpią co najmniej te części Alzacji i Lotaryngii, których ludność mówi po francusku, kwestia polska ma być załatwiona w sposób do przyjęcia dla Rosji, Rosja otrzyma Konstantynopol, jeśli sprzymierzeńcy zachodni zdołają zrealizować swoje postulaty terytorialne w Azji Mniejszej, Włochy i Rumunia dostaną obiecane im w układach tereny, przywrócona zostanie niepodległość Serbii. Hankey do-

strzegał jeszcze dwa postulaty, które spotkają się z uznaniem w Radzie Wojennej - należy tak upokorzyć Niemcy, aby nie powtórzyły już „eksperymentu zmuszenia Europy do wojny”; należy następnie polepszyć sytuację militarną Sprzymierzonych, przede wszystkim przez okupację terenów, do których roszczą oni pretensje.

Memoriały Robertsona i Hankeya zawierały jedynie myśli ogólne, wskazywały jedynie kierunek, w jakim Wielka Brytania pójść powinna, aby umocnić po wojnie swą pozycję; konkretne wskazówki na temat warunków pokoju znaleźć możemy dopiero w memoriale Balfoura z 4 października 1916 r.

Arthur James Balfour, prezes ministrów w latach 1902–1905, od niedawna pierwszy lord admiralicji, czyli minister marynarki, opracował na prośbę Asquitha memoriał o przyszłym urządzeniu Europy.

Wytrawny, doświadczony brytyjski mąż stanu oparł się na hipotezie, że Państwa Centralne albo zostaną pobite, albo też tak dalece wyczerpane, że będą zmuszone przyjąć warunki postawione przez Koalicję. Celem wojny, zdaniem Balfoura, jest osiągnięcie trwałego pokoju należy więc uszczuplić tereny, z których Państwa Centralne czerpią zasoby gospodarcze do prowadzenia wojny, jak również żołnierza, którego rzucają do walki. Takie dążenie wiedzie do niepodległości Belgii, do oddania Francji Alzacji i Lotaryngii, do „pewnego rodzaju samorządu dla Polski”, do rozszerzenia granic Włoch, do powstania Większej Serbii i Większej Rumunii. W tym kontekście poruszył też kwestię cze-

ską, ale od razu wysunął wątpliwości, czy niepodległe Czechy będą się mogły ostać wobec przewagi niemieckiej.

Baczną uwagę poświęcił Balfour kwestii polskiej. Działacze polscy na zachodzie - Roman Dmowski, Władysław Sobański, Stanisław Kozicki - uważali Balfoura za szczerego przyjaciela Polski i tak go też oceniali w poufnych, nie przeznaczonych do druku, wypowiedziach. Prawda była inna. Być może, iż Balfour nie odziedziczył po swym wuju i nauczycielu margrabim Salisburyem jego nienawiści do Polski, ale w najlepszym razie miał do niej stosunek chłodny, dyktowany wyłącznie, czemu nie można się dziwić, interesem brytyjskim.

Kwestia, która - według Balfoura - wzbudzi zapewne najwięcej kontrowersji - będzie to sprawa polska. Ale jednocześnie jest to jedyna kwestia, w której zgodni są z sobą i Niemcy, i Rosjanie. Jedni i drudzy zgadzają się, że wojna musi zmienić status Polski, że wprawdzie otrzyma ona „pewien stopień autonomii”, ale musi być uzależniona od jednego ze swych dwóch potężnych sąsiadów. Ale od którego sąsiada i jakie mają być jej granice - to właśnie zasadniczo różni Berlin i Piotrogród.

„Patrząc na kwestię polską z czysto brytyjskiego punktu widzenia - pisał dalej Balfour - chciałbym, aby w skład nowego państwa weszła nie tylko Polska rosyjska, ale również możliwie wielkie części Polski austriackiej i pruskiej (...) wolałbym wszakże, aby nie wskrzeszono dawnego królestwa polskiego. Lękam się

bowiem, że nowa Polska będzie cierpieć na te same choroby, które dawną Polskę przywiodły do zguby, że będzie widownią ustawicznych intryg pomiędzy Niemcami a Rosją, że jej istnienie nie będzie sprzyjało sprawie pokoju europejskiego, lecz będzie źródłem stałego konfliktu w Europie”.

Co więcej, gdyby nawet Polska była zdolna do odgrywania roli państwa buforowego, Europa Zachodnia nie czerpałaby stąd korzyści. Gdyby Niemcy przestały się obawiać nacisku ze strony Rosji, całą swą potęgę mogłyby skierować na zaspokajanie swych ambicji zachodnich; odczułyby to i Francja, Wielka Brytania. Rosja odcięta od zachodnich sąsiadów mogłaby swe zainteresowania zwrócić ku Dalekiemu Wschodowi w stopniu, który musiałby wzbudzić obawy brytyjskich mężów stanu.

Dlatego najlepszym dla interesów brytyjskich rozwiązaniem kwestii polskiej będzie utworzenie Polski wyposażonej w szeroką autonomię, ale „pozostającej integralną częścią imperium rosyjskiego”, obejmującej zabór austriacki i częściowo przynajmniej pruski.

Rzecz znamienita, że poglądy na sprawę polską wyłożył Balfour zaraz w początkowych częściach memoriału, zapewne nie dlatego, aby przypisywać jej tak wielką wagę. Prawdopodobnie dlatego, że uważał sprawę za kontrowersyjną i chciał od razu zaznaczyć swe stanowisko, albo też za sprawę Anglikom zupełnie obcą i niezrozumiałą i pragnął ją wyjaśnić na wstępie.

Rzecz nie mniej znamienita, że dopiero po rozważaniach o Polsce przystąpił do analizy sprawy niemieck-

kiej. W sprawie polskiej opowiadał się za znacznie-  
szymi - jak sądził - zmianami, natomiast jeśli chodzi  
o Niemcy był bardziej umiarkowany. Są ludzie, którzy  
wierzą w „pełne zwycięstwo Sprzymierzonych, w co ja  
wątpię”. Myślą oni o rozbiciu lub o gruntownej reorga-  
nizacji imperium niemieckiego. Zdaniem Balfoura na-  
leży wykluczyć wszelkie mieszanie się do spraw we-  
wnętrznych Niemiec i Austrii. Być może, iż pod wra-  
żeniem klęski ożyją dawne niechęci zapomniane w go-  
dzinach zwycięstwa. Południe oddzieli się od Północy,  
katolicy od protestantów, Bawaria, Saksonia, Wirtem-  
bergia od Prus, rewolucja może obalić Hohenzollernów  
i nowe Niemcy mogą powstać na ruinach militarizmu.  
Możliwe są takie następstwa wojny, ale zwycięzcy nie  
powinni wprowadzać ich w życie. Podjęta przez Napo-  
leona po bitwie pod Jena próba zniweczenia pruskiego  
militaryzmu i armii pruskiej zakończyła się zupełnym  
niepowodzeniem. Balfour spodziewa się, że zwycięska  
Koalicja będzie w stanie zmusić Niemcy do wyrzече-  
nia się terytoriów niemieckich, ale jakie stosunki zapa-  
nują w Niemczech w ich nowych granicach to sprawa  
wewnętrzna Niemców. Hasło Koalicji powinno głosić:  
„Niemcy dla Niemców - ale tylko Niemcy”. Formuła ta  
nie rozwiązuje wszakże problemu Europy Środkowej,  
nie przesądza np. kwestii stosunków pomiędzy Austrią  
a Niemcami. Balfour opowiada się za utrzymaniem  
przy życiu monarchii habsburskiej, ale bez ziem wło-  
skich, słowiańskich i rumuńskich, tworzyć ją powinny  
tylko Austria i Węgry. Imperia austriackie i niemieckie  
byłyby zapewne połączone węzłami przymierza. Możliwe

liwy jest wszakże rozpad monarchii podwójnej, a w takim razie Austria niemiecka połączy się z Niemcami, Węgry zaś będą „izolowane albo zależne”. Powstałoby wtedy wielkie państwo niemieckie, ale Prusy straciłyby niewątpliwie swą obecną dominującą pozycję. Balfour jest przekonany, że Austria i Niemcy czy to związane przymierzem, czy to stopione w jedno państwo będą mocarstwem „bogatym, ludnym i potencjalnie groźnym”.

Balfour nie zgadzał się z opinią, że państwa słowiańskie zagrożą niemieckiej w Europie Środkowej; jedyne państwo słowiańskie, które może być mocarstwem, to Rosja, a Rosji grozi rewolucja. Wielu Anglików obawia się, że Niemcy będą po wojnie tak dalece osłabione, iż Wielka Brytania stanie „twarzą w twarz” z mocarstwem dążącym do „dominacji uniwersalnej”. Balfour nie zgadza się z tym poglądem. Jego zdaniem Niemcy, a bardziej jeszcze Niemcy wespół z Austrią, będą zawsze godnym przeciwnikiem Francji „niezależnie od tego, ile damy Francji, ile zabierzemy Państwu Centralnym”. Na uwagę zasługuje twierdzenie, że to od Wielkiej Brytanii ma zależeć powiększenie stanu posiadania Francji, pomniejszenie stanu posiadania Niemiec.

Jeśli Europa powojenna - kontynuuje w swym memoriale Balfour - ma być „zbrojnym obozem”, pokój świata zależeć będzie, jak dotychczas, od obronnego przymierza tych, którzy pragną zachować swój stan posiadania przeciwko tym, którzy dążą do jego powięk-

szenia. W tym przypadku należy utrzymać obecną Koalicję, tzn. przymierze francusko–brytyjskie.

Należy przewidzieć również i taki bieg wypadków - Niemcy będą cierpiały „*spiritual conversion*” (duchowe przeinaczenie), Rosja się rozpadnie, rozruchy robotnicze doprowadzą Francję i Wielką Brytanię do bezsilności, powszechne bankructwo uniemożliwi powszechne zbrojenia, okropności roku 1914, 1915, 1916, 1917 sprawią, że wojna budzić będzie odrazę. Takie były, zdaniem Balfoura, widoki na przyszłość.

Wskazania na chwilę bieżącą są następujące: zwycięska Koalicja powinna Niemcom i Austrii narzucić takie tylko ustępstwa, aby oba Państwa Centralne były dostatecznie silne „i do obrony, i do ataku”. „Rosja - pisze dalej Balfour - może nam sprawiać trudności w Mezopotamii, Persji i Afganistanie, nie sądzę wszakże, aby dążyła ona do panowania nad Europą, a tym mniej, aby cel ten osiągnęła”.

Problem Bliskiego Wschodu zwrócił również uwagę pierwszego lorda admiralicji. Należy uniemożliwić realizację „megalo–maniakalnych planów” Niemiec w Azji Mniejszej, w Mezopotamii, Persji i w Indiach, ale Państwa Centralne muszą mieć wolność handlu z krajami położonymi na wschodnich wybrzeżach Morza Śródziemnego.

Tezy memoriału Balfoura wynikały z tradycyjnych założeń polityki brytyjskiej. W przeciwieństwie do innych państw walczących, które planowały mniej lub bardziej rozległe aneksje, Wielka Brytania nie dążyła, w każdym razie w Europie, do zdobyczy terytorialnych.

Jej głównym celem wojennym miało być utrzymanie czy nawet umocnienie *balance of power* (równowagi sił). Wzajemnie trzymać się miały w szachu Francja, Niemcy i Rosja. Żadne z tych mocarstw nie powinno wszakże wyrosnąć potęgą nad inne, ale każde ma dysponować odpowiednią siłą polityczną i gospodarczą. Niemcom np. nie można pozwolić na realizację planów „*Mitteleuropy*”, nie można dopuścić, aby wszedł w życie program ekspansji niemieckiej wiążący się z koleją Berlin–Bagdad, ale nie wolno im utrudniać handlu z krajami Lewantu. Słowem Niemcy mają być potężne, aby ani Francji, ani Rosji nie pozwolić na przewagę w Europie, ale nie tak znowu potężne, aby móc podjąć na jakimkolwiek polu rywalizację z Wielką Brytanią i na jakimkolwiek polu zagrozić jej drogę.

10 grudnia 1916 r. nastąpiła w Wielkiej Brytanii zmiana rządu. W miejsce Asquitha stanął na czele gabinetu dotychczasowy sekretarz stanu wojny Lloyd George, w Urzędzie Spraw Zagranicznych Edwarda Greya zastąpił Arthur Balfour. W marcu 1917 r. zebrał się po raz pierwszy Imperialny Gabinet Wojenny (*Imperial War Cabinet*), rozszerzony o przedstawicieli posiadłości zamorskich. Pierwsze posiedzenie w dniu 20 marca otworzyła mowa Lloyd George’a.

Premier mówiąc o celach wojennych stwierdził, że pierwszym warunkiem racjonalnego pokoju musi być usunięcie Niemców ze wszystkich terytoriów, które zajęli we Francji, w Belgii, w Rosji, Serbii, Czarnogórze. Osobno zwrócił uwagę na kwestię polską. „Polska - dowodził - musi być nie tylko odbudowana, ale odbu-



dowana w warunkach, które dadzą wolność jej uciśnionej ludności; wypadki ostatnich dni w Rosji przybliżyły realizację tego postulatu”.

Pierwszy minister wskazał jeszcze inne cele, które należy osiągnąć. Najpierw „w umysły (ludzi) cywilizowanego świata musi być wszczepione przekonanie, które powinno przejść w instynkt, że wojny agresywne są przedsięwzięciem niemożliwym; wiodą jedynie do zniszczenia agresora”. Dalszym celem wojny powinna być demokratyzacja Europy. „Jest to jedyna gwarancja pokojowego postępu”. Zagrożenie Europy nie wyszło z krajów demokratycznych, lecz z autokracji militarnej. Trzeci cel to „rozbitcie imperium tureckiego jako imperium”.

Od tych założeń ogólnych przeszedł premier do celów wojennych brytyjskich; wymienił dwa: podniesienie ogólnego poziomu życia, zwłaszcza szerokich mas w Wielkiej Brytanii oraz „większą solidarność celu i czynu w imperium brytyjskim”, czyli zacieśnienie więzów łączących metropolię z posiadłościami zamorskimi<sup>9</sup>.

Były to wciąż wskazania ogólne - inaczej zresztą być nie mogło - ale tak przedstawione, aby zostały przychylnie przyjęte przez społeczeństwo.

Obrady dowiodły, że dominia interesowały się żywo celami wojennymi. W konsekwencji pierwszy minister zapowiedział 12 kwietnia utworzenie dwóch komisji do studiów nad celami wojennymi; jedna pod przewodnictwem Lorda Alfreda Milnera zająć się miała postulatami gospodarczymi, druga, której przewodził

Lord Curzon - terytorialnymi. Na posiedzeniach Gabinetu Wojennego w dniach 26 kwietnia i 1 maja 1917 r. nie uzgodniono stanowisk na temat celów wojennych. Podsumowując dyskusję Lloyd George stwierdził, że daje ona „wskazówki”. Stał on nadal na zajętych już uprzednio stanowisku, że celem wojny jest zniszczenie „reakcyjnego rządu wojskowego” w Niemczech. Pierwszy minister nie wychodził więc jeszcze poza ogólniki.

Interesująca jest ewolucja poglądów polityków nowozelandzkich i australijskich na kwestię bezpieczeństwa ich krajów. Przed rokiem 1914 główne niebezpieczeństwo upatrywali oni w Niemcach, ale gdy Japończycy zajęli niemieckie posiadłości w północnej części Oceanu Spokojnego, w Nowej Zelandii i w Australii zaczęto uczuwać lęk przed Cesarstwem Wschodzącego Słońca. Sir Joseph Ward, minister skarbu Nowej Zelandii w sierpniu 1918 r. nie zawaha się w taki sposób określić sytuacji: „Problem przyszłości to odpowiedź na pytanie, czy na Pacyfiku przewagę będzie miała rasa biała czy żółta”.

W lutym 1917 r. gabinet londyński postanowił poprzeć Japonię w jej dążeniu do aneksji Kiau–czou i wysp znajdujących się dotychczas w posiadaniu niemieckim w północnej części Oceanu Spokojnego (Mariany, Karoliny, Palau), ale imperializm japoński będzie przysparzał Wielkiej Brytanii znacznych trudności.

Tymczasem w komisji badania celów wojennych terytorialnych, w otoczeniu Lorda Curzona formułowano daleko idące postulaty aneksyjne. Domagano się za-

jęcia Palestyny i Mezopotamii, w Afryce zaś takich aneksji, które by połączyły terytorialnie Egipt z Rodezją. Z tych samych kół szły żądania w sprawach europejskich: odbudowa Belgii i Serbii, rozwiązanie kwestii Alzacji i Lotaryngii oraz Polski w taki sposób, aby „odpowiadało tak dalece, jak to tylko możliwe życzeniom ludności (Polski i Alzacji), było ugruntowane i przyczyniło się do utrzymania trwałego pokoju”.

W razie konieczności zawarcia pokoju kompromisowego, łatwiej można by zwrócić Niemcom Kamerun i Togo niż Afrykę Wschodnią, gdyż „większą wagę ma dla imperium brytyjskiego Afryka Wschodnia, Morze Wschodnio–Afrykańskie i tamtejsze drogi lądowe niż drogi Afryki Zachodniej”.

Mniej więcej w połowie roku 1917 zauważyć można było, iż rząd brytyjski skłaniał się do większej ostrożności i większej powściągliwości w stawianiu celów wojennych. W kołach rządowych wzbudziły się wątpliwości, czy Koalicja będzie mogła odnieść nad Niemcami pełne militarne zwycięstwo. Na sprzymierzeńca rosyjskiego coraz mniej można było liczyć, Stany Zjednoczone zaś do wojny nie były jeszcze gotowe, a ich prezydent zachowywał co do celów wojennych milczenie i wciąż nie było wiadomo, w jakim kierunku pójdzie polityka Waszyngtonu.

Nie znaczy to, aby celami wojennymi przestano się zajmować. 4 sierpnia 1917 r. powstał *National War Aims Committee* (Narodowy Komitet Celów Wojennych); w skład prezydium wchodził m.in. Asquith i Lloyd George. Komitet postawił sobie za cel podnieść

morale narodu, wytyczyć cele wojenne tak, aby je aprobowala większość społeczeństwa, wykazać korzyści gospodarcze płynące ze zwycięstwa, hamować walkę klasową i walki partyjne.

Z końcem grudnia 1917 r. Gabinet Wojenny wszczął dyskusję nad celami wojennymi Wielkiej Brytanii. Ale to już sprawa odrębna, która zostanie szerzej omówiona w rozdziale **81. Program Wielkiej Brytanii.**

## **11. Cele wojenne Rosji**

Niekiedy można się spotkać z twierdzeniem, że na przełomie XIX i XX w. w polityce zagranicznej Rosji dominował Daleki Wschód, a po przegranej wojnie z Japonią Bałkany i Turcja. Jest to zbyt duże uproszczenie. Rzeczywistość była znacznie bardziej powikłana. Na przełomie dwóch stuleci Rosja nie przestała się interesować czynnie Bliskim Wschodem i Bałkanami, a po roku 1905 nie zaniechała ekspansji w Azji Wschodniej. Nie da się wszakże zaprzeczyć, że w drugim dziesięcioleciu panowania Mikołaja II dyplomacja rosyjska szczególnie ożywioną działalność przejawiała na terenie bliskowschodnim. Było tak, ponieważ tu właśnie sytuacja zmieniła się w kierunku dla Rosji niepomyślnym i zmianie tej należało. przeciwdziałać.

Na teren Bliskiego Wschodu wkroczyły Niemcy. Kolej Berlin–Bagdad, misje wojskowe reorganizujące armię turecką i zaopatrujące ją w sprzęt bojowy, liczne koncesje gospodarcze - to drogi wiodące do opanowania imperium osmańskiego przez kapitał niemiecki

i niemiecką politykę. Niemcy wysforowały się w Turcji na pierwszy plan przed Wielką Brytanię i przed Francję. Rosja dążąc do wyjścia z Morza Czarnego spotykała opór nie brytyjski, jak dotąd, lecz niemiecki. A dążenie to było żywe od chwili, gdy Rosja stanęła nad Morzem Czarnym. Traktat w Küczük Kajnardży 21 lipca 1774 r. zapewniał rosyjskim statkom handlowym swobodę przejazdu na Morze Egejskie. Ale traktat turecko-brytyjski z 6 stycznia 1809 r. warował zamknięcie Cieśnin, czyli połączenia wodnego pomiędzy morzami Czarnym i Egejskim, a przez Morze Egejskie ze Śródziemnym - Bosfor, morze Marmara, Dardanele - dla okrętów wojennych wszystkich państw z wyjątkiem tureckich. Odtąd wszystkie porozumienia międzynarodowe (wyjawszy pozostający w mocy tylko siedem lat traktat w Hünkâr İskelesi z 1833 r.) zamykały Cieśniny dla każdej floty wojennej w myśl „starodawnej zasady imperium osmańskiego”.

W wieku XX kwestia Cieśnin nabrała dla Rosji znaczenia niepomiernie donioślejszego niż to było w wieku XIX. Unieruchomienie floty wojennej rosyjskiej na Morzu Czarnym było jednym z powodów klęski w wojnie z Japonią. Lecz ponad wszystko wysunął się czynnik gospodarczy. Ku Cieśninom spoglądała i wielka własność ziemska na Ukrainie, zainteresowana swobodnym wywozem zboża, i ciężki przemysł na południu Rosji. Zboże ukraińskie, a także ropa naftowa z Baku i produkty pochodne, ruda żelaza z Krzywego Rogu oto bogactwa wysyłane drogą przez Cieśniny. W latach 1903–1912 przeciętnie 37% wywozu z Rosji

szło przez Cieśniny. W ostatnim roku przed wojną procent ten wzrósł jeszcze. Gdy podczas wojny włosko-tureckiej 1911/12 Porta zamknęła Cieśniny na okres kilku miesięcy także i dla statków handlowych, Rosja poniosła ogromne straty. Minister spraw zagranicznych Siergiej Sazonow pisał z niepokojem: „Jeśli obecnie trudności Turcji odbijają się wielomilionowymi stratami dla Rosji, cóż będzie, gdy zamiast Turcji Cieśninami będzie władało państwo mogące przeciwstawić się żądaniom Rosji”. Wyrażna tu aluzja do Niemiec i ich rosnących wpływów w Turcji.

To było przyczyną zabiegów dyplomacji rosyjskiej, podejmowanych dwukrotnie w 1908 i 1911 r., zresztą bez powodzenia, o otwarciu Cieśnin dla rosyjskiej floty wojennej. Pierwsza próba zmierzała do uzyskania zgody mocarstw na postulaty rosyjskie. Druga dążyła do celu przez porozumienie z Turcją. Zawiodła jedna i druga.

Tym usilniej więc zmierzała Rosja do uzyskania hegemonii na Półwyspie Bałkańskim. Wydawało się, że sytuacja kształtowała się w tym względzie pomyślnie - na początku wieku XX Serbia zdecydowanie zmieniła orientację z austriackiej na rosyjską. Ku Rosji kierowała się też, choć nie zawsze konsekwentnie, Bułgaria. Silną wszakże ofensywę polityczną i gospodarczą rozwinęła na Bałkanach monarchia habsburska, projektując budowę kolei łączącej Wiedeń i Budapeszt z Salonikami, anektując Bośnię i Hercegowinę.

Opór polityce rosyjskiej na Bliskim Wschodzie i na Bałkanach stawiała nie Wielka Brytania, jak to by-

ło w wieku XIX, ale Państwa Centralne: Niemcy dążące do opanowania Turcji i Austro–Węgry broniące usilnie swej pozycji na Bałkanach.

W tych warunkach dyplomacja rosyjska postawiła sobie za cel utworzenie konfederacji bałkańskiej, początkowo z udziałem Turcji, a gdy to się okazało sprawą najzupełniej nierealną, bez Turcji. W pierwszym przypadku konfederacja miałaby charakter antyaustricki, w drugim także i antyturecki. Tak czy inaczej byłaby to rosyjska zaporą dla imperializmu niemieckiego zmierzającego na Bliski Wschód.

Wojny bałkańskie 1912/13 wzmacniając i realnie, i prestiżowo Serbię przyczyniły się do osłabienia stanowiska Austro–Węgier na Półwyspie Bałkańskim. Skłoniło to rząd wiedeński do uaktywnienia polityki bałkańskiej; tą samą drogą musiała pójść wobec tego i Rosja.

Rozwój ruchów narodowych i wzrost sił odśrodkowych w monarchii habsburskiej wskazywał rządowi carskiemu drogę działania. Interesujące światło rzuca na nią memoriał ministra spraw zagranicznych Sazonowa z 20/7 stycznia 1914 r. Minister stwierdzał rosnące wrzenie pośród narodów Austro–Węgier, zwłaszcza pośród Słowian południowych. Wyprowadzał stąd wniosek, że Wiedeń i Budapeszt albo dokonają radykalnej przebudowy monarchii w kierunku jej federalizacji, albo z poparciem Niemiec uciekną się do wojny, aby ratować status quo i umocnić panowanie mniejszości niemieckiej i madziarskiej nad narodami monarchii! Jest sprawą oczywistą, że pierwsza, i druga droga roz-

wiązania kwestii austriackiej była sprzeczna z interesami Rosji. Stąd plany przeciwdziałania; Sazonow zamyslał posłużyć się tu nawet i Polakami. Rozbicie monarchii habsburskiej znajdowało się w bardziej odległych planach rosyjskich. Rosja uzyskałaby wówczas hegemonię nie tylko na Bałkanach, ale i w Europie Naddunajskiej.

Było rzeczą więcej niż wątpliwą, by plany te dały się zrealizować w czasie pokoju. W razie wojny za to miały szansę powodzenia.

Najbaczniejszą uwagę koncentrowano w Petersburgu na Cieśninach. 21/8 lutego 1914 r. odbyła się pod przewodnictwem ministra spraw zagranicznych Sazonowa konferencja wyższych urzędników dyplomatycznych oraz przedstawicieli dowództwa wojsk lądowych i marynarki. Sazonow otwierając posiedzenie wyraził pogląd, że w niedalekiej przyszłości liczyć się należy ze zmianą sytuacji na Bliskim Wschodzie. Gdyby Turcję wyparto z Konstantynopola, Rosja w żadnym wypadku nie może pozwolić, aby inne mocarstwo opanowało Cieśniny. Rosja zostanie wówczas zmuszona do zaprowadzenia nad Bosforem i w Dardanelach porządku odpowiadającego jej interesom. Powodzenie - zdaniem Sazonowa - zależeć będzie od szybkości działania; w każdym razie atak floty wojennej musi pociągnąć za sobą zajęcie Cieśnin przez wojska lądowe. Tego samego zdania byli wojskowi. Zgodzono się też ogólnie, że operacja w Cieśninach będzie możliwa tylko w razie wybuchu wojny europejskiej.



Cele wojenne Rosji to przede wszystkim Cieśniny, a następnie ściśle z nimi powiązana hegemonia na Półwyspie Bałkańskim oraz hegemonia w Europie Naddunajskiej.

Powstaje pytanie, kto głównie przeszkadzał Rosji w osiągnięciu wytyczonych celów. Nie była to Turcja, był to bowiem przeciwnik najslabszy; bez obcej pomocy nie mogła Turcja stawić Rosji czoła. Za głównego przeciwnika uważano w Rosji Austro–Węgry. Ani planów hegemonii na Bałkanach, ani tym bardziej w Europie Naddunajskiej nie sposób było zrealizować bez rozbicia imperium Habsburgów. Przeciwno Austrii zwracały się też od czasów wojny krymskiej resentymenty rosyjskich kół dworskich, wojskowych, rządowych. Nie zawsze chciano widzieć, że mocarstwem, które faktycznie przeciwstawiało się dążeniom Rosji były Niemcy. To Niemcy stały za monarchią habsburską, to Niemcy stały za Turcją. Bez przegranej Niemiec nie mogła Rosja myśleć o wprowadzeniu w życie swych planów dardanelskich, bałkańskich, a już żadną miarą naddunajskich. Stosunkowo najlepiej układały się sprawy na Bliskim Wschodzie. W razie zwycięstwa można było Niemcy zmusić albo do wycofania się z Turcji, albo raczej do zgody na podział wpływów w kraju padyszacha pomiędzy Berlinem a Petersburgiem. Ale tylko zupełna klęska Niemiec mogła otworzyć Rosji pole do nieskrępowanej ekspansji nad Dunajem.

Tymczasem polityka rosyjska względem Niemiec nie była konsekwentna. Niemcy miały w Rosji carskiej

wpływowym zwolenników na dworze, pośród arystokracji, generalicji, w kołach wyższej biurokracji. Budziły się w Petersburgu obawy, że klęska Niemiec może w tym kraju wywołać rewolucję, a rewolucja w Niemczech musiałaby się odbić głośnym echem w Rosji. Potęgą niemiecką chciano zachwiać, ale zadawano sobie pytanie, czy można ją było skruszyć, a nade wszystko czy należało ją skruszyć. Niemcy wilhelmińskie nie dążyły do zniszczenia potęgi caratu, chciały go tylko zmusić do ustępstw. Podobnie i Rosja carska nie chciała unicestwienia Niemiec, chciała je tylko osłabić.

W tych rozumowaniach i w tych istotnych czy pozornych niekonsekwencjach odgrywała rolę i sprawa polska. Konflikt zbrojny pomiędzy zaborcami musiał ją postawić na porządku dziennym, a tego się obawiano i tego chciano umknąć. Dopiero później zmagania wojenne zmuszą obu zaborców do nieszczerzego i niekonsekwentnego wysunięcia kwestii polskiej

Wojna otworzyła - wydawało się - drogę do realizacji daleko idących celów. Już 20 lipca/2 sierpnia 1914 r. poseł rosyjski w Serbii książę Grigorij Trubeckoj w liście do ambasadora przy Wysokiej Porcie Michała Giersa snuł rozważania na temat pożytków, jakie Rosji powinna przynieść wojna. „Ewentualna zdobycz u naszych granic zachodnich - pisał - przyniesie nam raczej wypełnienie nieuniknionego historycznego obowiązku niż bezpośrednie korzyści. Tylko posiadanie ujść Niemna i Wisły byłoby dla ziem polskich ważką kompensatą. Ale z wszelką pewnością myśli nasze kierują się mimo woli ku Cieśninom”.

Gdy Trubeckoj snuł te rozważania, niewiadomą pozostawało dlań stanowisko Turcji. Możliwości widział następująco: 1) Turcja zachowa neutralność trzy mocarstwa, t j. Rosja, Francja i Wielka Brytania gwarantować jej będą dotychczasowy stan posiadania, ale można będzie wyjednać państwowi czarnomorskim prawo swobodnego przejazdu ich okrętów wojennych przez Cieśniny; 2) Turcja wystąpi zbrojnie przeciw państwowi bałkańskim lub przeciwko Rosji, wówczas ulegną zniszczeniu twierdze tureckie nad Bosforem i w Dardanelach; można będzie tam natomiast założyć umocnienia rosyjskie.

Trubeckoj nie chciał wybiegać zbyt daleko w przyszłość w swych spekulacjach myślowych. Zawładnięcie Konstantynopolem poczytywał za rozwiązanie dla Rosji najlepsze, ale dodawał, że jest to hipoteza czysto akademicka. Zauważył tu trafnie, że Rosji nie wolno popełnić błędu Niemiec, które zwróciły Europę przeciwko sobie jawnym, wyraźnym dążeniem do „naruszenia równowagi europejskiej”.

Trubeckoj był wyrazicielem kierunku, który nazwano „rosyjskim imperializmem liberalnym”, tzn. imperializmem mającym poparcie burżuazji rosyjskiej. Blisko tego kierunku stał i minister spraw zagranicznych Sazonow. Trubeckoj należał do kręgu jego najbliższych współpracowników i przypuszczalnie był jego doradcą zwłaszcza w kwestii polskiej i w sprawie Cieśnin.

Niektóre myśli Trubeckiego odnaleźć można w tzw. 12, a właściwie 13 punktach, tj. w wyliczeniu

rosyjskich celów wojennych. Sazonow przedstawił je w dniu 14 września 1914 r. ambasadorom Francji i Wielkiej Brytanii w Piotrogradzie Maurice'owi Paléologue'owi i Sir George'owi Buchananowi. Minister wychodził z założenia, że rządy państw Koalicji powinny wypracować ogólne zasady warunków pokoju, które po zwycięstwie należy podać Państwom Centralnym. Oto one:

1. Zasadniczym celem Koalicji jest złamanie potęgi Niemiec i ich dążeń do politycznej i militarnej przewagi w Europie.

2. Zmiany terytorialne powinny się oprzeć na zasadzie narodowościowej.

3. Rosja zaanektuje dolny bieg Niemna i wschodnią część Galicji; Królestwo Kongresowe zostanie powiększone przez dołączenie wschodnich części Poznańskiego i Śląska oraz Galicji Zachodniej.

4. Francja odzyska Alzację i Lotaryngię, a od jej woli zależeć będzie, czy zechce anektować jeszcze część Nadrenii i Palatynatu.

5. Belgia rozszerzy swe granice.

6. Szlezwik–Holsztyn zostanie zwrócony Danii.

7. Zostanie odbudowane Królestwo Hanoweru.

8. Austro–Węgry z monarchii podwójnej przekształcą się w potrójną. Składać się ona będzie w cesarstwa Austrii, królestwa Czech i królestwa Węgier. Cesarstwo Austrii tworzyć będą tzw. austriackie kraje dziedziczne, królestwo Czech obejmuje Czechy i Morawy, królestwo Węgier będzie musiało porozumieć się

z Rumunią w sprawie Siedmiogrodu, tzn. odstąpić Rumunii cały ten kraj albo przynajmniej jego część.

9. Serbia otrzyma Bośnię, Hercegowinę, Dalmację i pomocną Albanie.

10. Bułgaria uzyska w Macedonii rekompensaty kosztem Serbii.

11. Grecja otrzyma południową Albanie z wyjątkiem Valony (obecnie Vlora), którą dostaną Włochy.

12. Wielka Brytania, Francja i Japonia podzielą się koloniami niemieckimi.

13. Niemcy i Austria zapłacą kontrybucję wojenną.

Wytyczne te nazwał Sazonow „szkicem obrazu, którego wątek nie został jeszcze namalowany” i prosił, aby nie uważać ich za propozycje oficjalne. Ambasadorowie odnieśli jednak wrażenie, iż ministrowi zależało na zainaugurowaniu dyskusji.

Sprawa dla rządu carskiego najważniejsza, na której Sazonowowi najbardziej chyba zależało, tj. Konstantynopola i Cieśnin, w proponowanych warunkach pokoju w ogóle się nie znalazła; nie mogło to dziwić, wszak Turcja była jeszcze państwem neutralnym. Neutralne były również trzy państwa bałkańskie: Grecja, Bułgaria i Rumunia; Sazonow zamyślał o ich pozyskaniu dla Koalicji kosztem Węgier, Serbii i Albanii. Wbrew późniejszym zamiarom rząd carski nie dążył jeszcze do oderwania Czech od Austrii i osadzenia na Hradczanach któregoś z wielkich książąt, chciał tylko osłabienia monarchii habsburskiej i wzmocnienia w niej wpływów czeskich. Zachodnim sprzymierzeńcom szedł minister na rękę; Francji ofiarowywał Alza-

cję i Lotaryngię oraz te części Niemiec, które by anektować pragnęła wraz z częścią kolonii niemieckich; Wielkiej Brytanii również otwierał perspektywy zdobyczy w koloniach niemieckich.

Sazonow jakby stosował się do opinii Trubeckiego i starał się nie odsłaniać imperialistycznych, zaborczych planów. Aneksje ziem polskich można było przedstawić jako zjednoczenie Polski, jako „spełnienie marzeń” Polaków, jak to głosiła odezwa wielkksiążęca.

W kilkanaście dni później Sazonow w rozmowie z ambasadorem Francji poruszył sprawę Cieśnin w duchu zapewnienia ich niezawisłości. Rozwiązanie widział następująco: 1) należy znieść wszelkie fortyfikacje w Cieśninach; 2) komisja międzynarodowa będzie sprawowała kontrolę w Cieśninach i na morzu Marmara opierając się na własnych siłach zbrojnych; 3) Rosja uzyska własną stację węglową w Bosforze, np. w Büyük Dere.

Minister wychodził tu już poza swoich 13 punktów. Wkroczył na teren, który należało dobrze przygotować we współpracy z zachodnimi sprzymierzeńcami.

Tymczasem wypadki potoczyły się tak, że Rosja mogła ujawnić swój najważniejszy cel wojenny. W dniach 28 i 29 października 1914 r. Turcja wszczęła działania wojenne przeciwko Rosji, a w dniach 2 do 5 listopada trzy mocarstwa Koalicji - Rosja, Wielka Brytania i Francja - wypowiedziały Turcji wojnę. Zniknął jeden z czynników nakazujących rządowi carskiemu milczenie w sprawie Konstantynopola - neutralność

Turcji. Sprawy Bliskiego Wschodu stanęły na porządku dziennym państw Koalicji, przede wszystkim Rosji.

Car w manifeście do narodu napiętnował „zdradziecką napaść floty tureckiej, dowodzonej przez Niemców”. Krok ten otwiera Rosji drogę do rozwiązania historycznego problemu, który „nasi przodkowie pozostawili nam w spadku na brzegach Morza Czarne-go”. Minister spraw zagranicznych oznajmił ambasadorowi Francji i Wielkiej Brytanii, że Rosja dysponuje na Kaukazie armią liczącą ponad 200 tys. ludzi i z frontu niemieckiego nie wycofa ani jednego żołnierza; pierwszym zadaniem jest pokonanie Niemiec, ich klęska po- ciągnie za sobą nieodwołalnie ruinę Turcji.

W listopadzie 1914 r. wyższy urzędnik rosyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych N. Bazili opracował memoriał o „naszych celach w Cieśninach” stwierdza- jąc, że mają one dla Rosji znaczenie gospodarcze, stra- tegiczne i polityczne.

Droga morska przez Cieśniny - głosił memoriał - jest najważniejszą arterią handlową Rosji. Transport lą- dowy jest mniej więcej 25 razy droższy niż morski; przez porty Morza Czarne-go wywozi się zboże i su- rowce, które nie znoszą wysokich frachtów. Chwilowo zamknięcie owych Cieśnin przez rząd turecki podczas wojen bałkańskich w latach 1912 i 1913 kosztowało Rosję 30 milionów rubli miesięcznie. Tylko zawładnię- cie Bosforem i Dardanelami może zapewnić Rosji ko- rzystanie z tej drogi morskiej. Ale ł wtedy istnieje moż- liwość, że w razie wojny wrogie mocarstwo zastosuje blokadę Cieśnin.

Z wojskowego punktu widzenia Rosja może zadowolili się takim rozwiązaniem, które by nie dopuszczało do wpłynięcia obcych okrętów wojennych na wody Morza Czarnego; ułatwiłoby to obronę wybrzeży rosyjskich. Ale można również dążyć do opanowania całej drogi morskiej z Morza Czarnego na Morze Śródziemne i zapewnić rosyjskiej czarnomorskiej flocie wojennej swobodne wyjście na to morze.

Przez czas długi Rosja mogła poczytywać panowanie tureckie nad Cieśninami za okoliczność stosunkowo pomyślną, gdyż Turcja była zbyt słaba, aby Rosji zagrazać. Ostatnio wszakże rozkład wewnętrzny Turcji postąpił tak daleko, że Porta stała się narzędziem w rękach wrogów Rosji.

Memoriał stwierdzał dalej: „Panowanie nad Bosforem i Dardanelami nie tylko otwiera możliwości zdobycia wpływów w basenie mórz Śródziemnego i Czarnego, lecz jest również podstawą do władania krajami bałkańskimi i Azją Przednią, a więc krajami, których losem Rosja jest historycznie najbardziej zainteresowana”.

Całe rozumowanie memoriału wiodło do wniosku ostatecznego, że Rosja powinna opanować Bosfor i Dardanele wraz z ich zapleczem oraz wyspy na Morzu Egejskim: Tenedos (Bozca), Ęmbros (Ęmroz), Limnos i Samotrakę. Czarnomorska droga handlowa w rękach Rosji - zdaniem Bazilego - to niezbędny warunek jej normalnego życia gospodarczego i wzrostu dobrobytu jej społeczeństwa. Bazili rozumiał jednak, że pomyślne



dla Rosji rozwiązanie sprawy Cieśnin nie będzie łatwe do przeprowadzenia.

Mimo wszystko mogło się chwilami wydawać, że sprawa posuwała się zgodnie z życzeniami Rosji. 14 listopada 1914 r. ambasador brytyjski Buchanan, w obecności swego francuskiego kolegi Paléologue'a, oświadczył Sazonowowi uroczystym tonem, że rząd Jego Królewskiej Mości doszedł do przekonania, iż „kwestia Cieśnin musi być rozwiązana zgodnie z życzeniem Rosji”. Główny do niedawna oponent Rosji nad Bosforem zdawał się wycofywać z dotychczas zajmowanego stanowiska.

Toteż enuncjacje rosyjskie nabierały coraz większej wyrazistości. Odezwał się sam car. 21 listopada 1914 r. Mikołaj II zaprosił do swej rezydencji w Carskim Siole ambasadora Francji Paléologue'a. Wyraził pragnienie porozmawiania z nim „otwarcie i ze swobodą” i uprzedził, że audiencja będzie długa. Przedmiotem rozmowy były warunki pokoju, które trzeba będzie postawić Państwow Centralnym. „Mamy prawo - mówił Mikołaj - mamy nawet obowiązek porozumieć się, jak mamy postąpić, gdyby Austria lub Niemcy poprosiły o pokój. Niech pan weźmie pod uwagę, że Niemcy mają interes rokować, dopóki są silni militarnie. A Austria czyż nie jest już bardzo wyczerpana?” Car dodał jeszcze, że «niektóre osoby» w rosyjskich kołach politycznych uważają, iż Rosja pragnie pokoju, car stwierdza wszakże kategorycznie, że Rosja prowadzić będzie wojnę do zupełnego zniszczenia niemieckiego militarysty.

I dalej snuł Mikołaj rozważania na temat programu, który Rosja, opierając się na swych zachodnich sprzymierzeńcach, miała podyktować Niemcom. Kongres pokojowy nie powinien się zebrać, rokowań pokojowych nie powinno się z Niemcami prowadzić. Trzy mocarstwa Koalicji, Francja, Wielka Brytania i Rosja, powinny warunki pokoju uzgodnić wyłącznie pomiędzy sobą i następnie podyktować je Niemcom i Austro-Węgrom w chwili odpowiedniej, tzn. gdy Państwa Centralne nie będą zdolne do stawiania oporu. Za cel zasadniczy wojny uznał car „zniszczenie militarystyki niemieckiej. (...) Trzeba narodowi niemieckiemu odebrać wszelką możliwość odwetu. Jeśli wzbudzimy w sobie litość, w niedługim czasie wybuchnie nowa wojna”. Wyznaczenie celów wojny Mikołaj zřęcznie rozpoczął od sprzymierzeńców. „Przyjmuję z góry wszystkie warunki, które Francja i Anglia uznają za właściwe formułować we własnym interesie”.

Po takim wstępie określił car stanowisko Rosji. „Sprostowanie” granicy w Prusach Wschodnich; sztab generalny pragnie przesunąć ją aż do ujścia Wisły; carowi wydaje się to przesadą, zastrzega sobie czas do namysłu. „Poznańskie i może część Śląska będą niezbędne do odbudowy Polski. Galicja i południowa część Bukowiny pozwolą Rosji osiągnąć jej granicę naturalną - Karpaty”.

Przechodząc do problemów Bliskiego Wschodu car dojrzał takie kwestie do rozwiązania: 1) Turków należy usunąć z Europy, 2) Konstantynopol będzie wolnym miastem pod kontrolą międzynarodową. Północna

Tracja do linii Enos–Midye przypadnie Bułgarii, część pozostała, z wyjątkiem najbliższych okolic Konstantynopola, otrzyma Rosja, 3) Serbii przypadnie Bośnia, Hercegowina i północna Albania, 4) Grecja dostanie południową Albanę z wyjątkiem Valony (Vlory), którą otrzymają Włochy, 5) Bułgaria „jeśli będzie rozsądna” uzyska od Serbii rekompensatę w Macedonii.

Rozbicie monarchii habsburskiej było dla cara pewnikiem. Węgry utracą Siedmiogród i Chorwację i odłączą się od Austrii. „Czechy zażądadają co najmniej autonomii”. We władaniu Habsburgów pozostanie więc tylko Górna i Dolna Austria, Salzburg i niemiecki Tyrol.

Zmiany, nie tyle największe, ile najbardziej istotne, chciał widzieć Mikołaj w Niemczech. Najpierw okrojenie Niemiec - utracą one na rzecz Rosji ziemie polskie zaboru pruskiego wraz z częścią Prus Wschodnich, na rzecz Francji Alzację, Lotaryngię i może Nadrenię, na rzecz Belgii okolice Akwizgranu, na rzecz Danii Szlezwik wraz ze strefą Kanału Kilońskiego. Odbudowane zostanie Królestwo Hanoweru. Kolonie niemieckie według własnego uznania podzielą między sobą Francja i Wielka Brytania.

„A więc - wtrącił ambasador Francji - to koniec cesarstwa niemieckiego”. Car odpowiedział głosem zdecydowanym: „Niemcy zorganizują się jak będą chciały, ale dom Hohenzollernów nie może utrzymać korony cesarskiej. Prusy muszą być zwykłym królestwem”.

Taki program przedstawił car-samowładca ambasadorowi Francji. Był to punkt widzenia dynasty. Za-

stanawia, dlaczego rząd rosyjski nie zwrócił się do sprzymierzonego rządu francuskiego normalną drogą dyplomatyczną przez ministerium spraw zagranicznych. Były po temu dwa powody: z jednej strony Sazonow chciał nadać postulatom rosyjskim wielką wagę, dlatego przedstawia je osobiście monarcha, z drugiej - pragnął wyrazić jedynie idee ogólne, nie wchodząc w szczegóły. Stąd ta droga niezwykła: car bez ministra spraw zagranicznych, „prywatnie” w rozmowie w cztery oczy zwraca się do ambasadora Francji.

Konstantynopol, Bosfor, Dardanele, hegemonia na Bałkanach, rozbicie czy znaczne osłabienie monarchii habsburskiej - to właściwe cele wojenne rządu carskiego. Zdobyć Konstantynopol to nie tylko wypełnienie „historycznej misji” caratu, to nie tylko zaspokojenie gospodarczych interesów ziemiaństwa i wielkiej burżuazji południowej Rosji, to także, a może przede wszystkim, próba jednania pośród szerokich mas narodu rosyjskiego popularności dla wojny i dla rządu, który wojnę prowadzi. Rzecz szczególna, w kołach dworskich i rządowych uważano, że zdobycie Cieśnin, podobnie jak opieka nad braćmi na Bałkanach, jak obrona Słowian przed Austrią, są to hasła, które zdolne będą poruszyć naród rosyjski.

Inny zupełnie charakter miały rosyjskie cele wojenne w odniesieniu do Niemiec. Szło tu przede wszystkim, a może wyłącznie, o zniweczenie przewagi niemieckiej nad Rosją, o przywrócenie dawnego z czasów Katarzyny II i Mikołaja I pomyślnego dla Rosji

stosunku sił pomiędzy monarchią Hohenzollernów i carem.

Sprawa polska - mimo że zjednoczenie Polski proklamował w odezwie do Polaków wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, mimo że o zjednoczeniu Polaków mówił sam car do ambasadora Francji - była czynnikiem nie pobudzającym, lecz hamującym wojenne zapały rządu carskiego względem Niemiec. W istocie wszelka nasuwająca się w rezultacie wojny możliwość zmiany granicy państwowej pomiędzy cesarstwami rosyjskim i niemieckim wiązała się ściśle z przygłuszaną stale, a nie dającą się zagłuszyć kwestią polską. Zarówno rząd carski, jak i rosyjskie klasy posiadające uważały utrzymanie panowania rosyjskiego w Polsce za konieczność, zmiany w tej dziedzinie za niepożądane.

Nie zmienia tego fakt, że jeszcze przed wybuchem wojny, 20 stycznia 1914 r., minister spraw zagranicznych w memoriale złożonym carowi postulował niewielkie ustępstwa na rzecz Polaków w Królestwie, aby pozyskać ich w zamierzonej walce polityczno-dywersyjnej przeciwko Austrii.

Nie była to więc zmiana stanowiska względem Polski, ale jedynie zmiana taktyki, wywołana planowaną akcją przeciwko monarchii habsburskiej.

Odezwa wielkiego księcia nie oznaczała zmiany stanowiska w stosunku do Polaków. Zawarte w niej mgliste obietnice, w niczym państwa rosyjskiego nie wiążące, podyktowała chęć pozyskania sympatii czy może tylko neutralności mieszkańców kraju, w którym

wojska rosyjskie toczyły ciężkie boje z Niemcami i Austriakami.

O tym, w jakiej mierze albo raczej czy Polska była jednym z celów wojennych Rosji świadczą dyskusje toczone na posiedzeniach rosyjskiej rady ministrów w październiku i listopadzie 1914 r. Przedstawiony przez ministra spraw zagranicznych projekt autonomii przyszłej Polski, zjednoczonej pod berłem cara, wywołał gwałtowny sprzeciw ministrów spraw wewnętrznych N. Makłakowa, sprawiedliwości I. Szczegłowitowa i wiceministra oświaty Michaiła Taubego. *Votum separatum* zgłoszone przez tych dygnitarzy to interesujący dokument, rzucający snop światła nie tylko na ich stanowisko względem Polski, ale i na ich poglądy na zadania stojące w wyniku wojny przed Rosją. Jest to dokument tym bardziej interesujący, że niewątpliwie odzwierciedla zapatrywania nie tylko trzech członków rządu, ale i znacznej części rosyjskich klas posiadających. Zadania te autorzy memoriału tak uszeregowali: 1) aneksja Galicji Wschodniej, północnej Bukowiny i Ukrainy Zakarpackiej, 2) aneksja Konstantynopola i Cieśnin, 3) korektura granicy z Prusami Wschodnimi i z azjatycką Turcją zgodnie ze wskazówkami sztabu, 4) jak największe osłabienie i okrojenie terytorialne Niemiec, a zwłaszcza Prus, 5) zjednoczenie Polski w granicach etnograficznych, nie historycznych, oczywiście pod dominacją rosyjską, 6) wyzwolenie Słowian podlegających berłu Habsburgów.

A więc cele, które stawiała sobie burżuazja rosyjska, to aneksje kosztem Turcji i Austrii oraz osłabienie

Niemiec. Rzecz prosta, że w miarę rozwoju wypadków na polach bitew, cele te ulegały przemianom, zarówno co do ich treści, jak też rozmiarów.

## 12. Niemiecki plan wojenny

Jeszcze nie przebrzmiały echa wojny francusko-niemieckiej roku 1870/71, jeszcze nie został podpisany pokój frankfurcki, gdy zwycięzca spod Sedanu rozważał już możliwości nowej wojny. Tym razem wojny na dwa fronty, przeciwko Francji i Rosji jednocześnie. „Najcięższą próbą, jaką nowe państwo niemieckie musi wytrzymać - pisał w kwietniu 1871 r. feldmarszałek von Moltke - byłaby równoczesna wojna z Francją i Rosją. Ponieważ zaś jest to kombinacja zupełnie możliwa, należy zawczasu zastanowić się nad środkami obrony”.

Przez ostatnich 17 lat, do roku 1888, urzędowania w charakterze szefa sztabu Moltke kilkakrotnie zmieniał swe plany operacyjne. Początkowo uważał Rzeszę za dość silną, aby wojska niemieckie mogły podjąć ofensywę równocześnie na wschodzie i na zachodzie. Gdy jednak Francja szybko podniosła się po zadanych jej klęskach, armia francuska zaś odzyskała dawne wysokie wartości bojowe, Moltke uznał podwójną ofensywę za ryzyko zbyt wielkie i postanowił pierwsze, główne uderzenie skierować na zachód. Uważał bowiem, że z powodu lepszych możliwości mobilizacyjnych Francja wcześniej niż Rosja wyśle silne wojska do boju, a zatem rozstrzygające bitwy wcześniej zostaną

stoczone na froncie zachodnim, a później na wschodnim.

Wkrótce wszakże łańcuch silnych twierdz zasłonił granice Francji przed wschodnim sąsiadem. Było rzeczą widoczną, że marsz wojsk niemieckich na zachód byłby niezmiernie utrudniony i mógłby się odbyć jedynie bardzo powoli. 7 października 1879 r. stanął traktat przymierza pomiędzy Niemcami a Austro–Węgrami. W razie wojny Rosji z Państwami Centralnymi w Królestwie silne wojska rosyjskie mogły uderzyć bądź na Galicję, bądź na Śląsk, bądź na linię Poznań–Berlin. Jednoczesny atak wojsk niemieckich z Prus Książęcych w kierunku Narwi na Ostrołękę i Pułtusk oraz austriackich z Galicji w kierunku Lublina z dążeniem do połączenia się na wschód od Warszawy mógł w razie powodzenia wziąć armię rosyjską w kleszcze i zadać jej wielką klęskę. Plan ten wydawał się tym słuszniejszy, że według obliczeń Moltkego Niemcy i ich austro–węgierscy sojusznicy mogli wyprzedzić Rosję o sześć dni w przeprowadzeniu mobilizacji, a w strategicznej koncentracji i rozwinięciu swych sił zbrojnych o okres jeszcze dłuższy. W latach 1879 i 1880 Moltke opracował więc plan, według którego w razie wybuchu wojny siły niemieckie podzielono by na dwie mniej więcej równe części, z których jedna, wsparta przez armię austro–węgierską, szukałaby szybkiego rozstrzygnięcia na wschodzie, a druga, w oparciu o twierdze Metz i Strasburg, zajęłaby na zachodzie stanowisko na razie obronne, wzdłuż niedługiej, wynoszącej zaledwie 270 kilometrów granicy francusko–niemieckiej. Taki podział sił



- zdaniem Moltkego - zapewniał szybkie, rozstrzygające zwycięstwo na wschodzie i skuteczną obronę na zachodzie.

Moltke w ofensywie na wschodzie spodziewał się szybkiego zwycięstwa, gdyż - w przeciwieństwie do Napoleona w roku 1812 - nie planował wojny wyniszczenia. Planował jedynie kilka mocnych uderzeń, które wyrzuciłyby Rosjan z Polski, następnie rozsądne, umiarkowane propozycje pokojowe, które Rosjanie chętnie by przyjęli.

Rzecz znamienita, że Moltke nie sądził, aby Niemcy mogły wojnę na dwa fronty zakończyć zwycięstwem takim, jakie osiągnęły w 1866 czy w 1870/71 r. Rzecz charakterystyczna również, że planując wielką ofensywę na wschodzie nie dążył do zdobyczy na ziemiach wchodzących wówczas w skład cesarstwa rosyjskiego. „Rosjanie - dowodził - nie posiadają niczego, co by można im zabrać nawet po zwycięskiej wojnie. Nie mają złota, a nam nie trzeba ziemi”. Helmuth Moltke reprezentował pogląd, że próba zupełnego pokonania najpierw jednego przeciwnika, a następnie przerzucenie głównych sił do walki przeciwko drugiemu nie rokuje powodzenia. „Niemcy nie mogą się spodziewać - pisał - aby można było szybką i szczęśliwą ofensywą na zachodzie uwolnić się w krótkim czasie od jednego przeciwnika i zwrócić się przeciwko drugiemu. Przeżyliśmy właśnie, jak ciężko jest zakończyć wojnę z Francją, nawet wojnę zwycięską”.

Jak dowodzi niemiecki historyk militarystyki Gerhard Ritter, jest miarą wielkości Moltkego, że po wiel-

kim zwycięstwem, jakie odniósł we Francji, nie miał złudzeń co do granic potęgi niemieckiej.

Plan Moltkego, w szczegółach niejednokrotnie zmieniany, obowiązywał za szefostwa sztabu samego Moltkego i jego pierwszego zastępcy generała Alfreda von Walderseeego. Dopiero generał Alfred von Schlieffen dokonał zasadniczej zmiany niemieckich planów strategicznych.

Schlieffen stanął w obliczu zmienionej sytuacji i na wschodzie, i na zachodzie. Z jednej strony rozbudowa sieci kolejowej we Francji przyspieszała mobilizację francuską, ogólnie zaś wzmocnienie armii francuskiej pozwalało Francuzom na silniejsze i szybsze uderzenie niż to przewidywał swego czasu Moltke. Zagłębienie węglowe w Saarze, Lotaryngia z jej bogatą rudą, reńsko-westfalski okręg przemysłowy w krótkim czasie mogły się znaleźć w zasięgu działania francuskiego napastnika; Na takie ryzyko Niemcy nie mogli sobie pozwolić. Z drugiej strony na wschodzie Rosjanie główne swe siły skoncentrowali już nie dokoła Warszawy, lecz cofnęli je poza umocnioną linię Biebrza–Narew (Osowiec, Łomża, Ostrołęka, Różan, Pułtusk, Zegrze, Modlin). Tutaj przez długi czas mogli stawiać Niemcom skuteczny opór, a ewentualnie nawet cofać się, wciągając wojska niemieckie w głąb kraju i unikać ostatecznej, decydującej walki. Przed niemieckim sztabem głównym stało więc pytanie, gdzie leży bliższe i groźniejsze niebezpieczeństwo: na zachodzie czy na wschodzie i gdzie należy szukać rozstrzygnięcia. Ponieważ armia francuska prędzej niż rosyjska i w większej sile we-

drzeć się mogła na terytorium Rzeszy, i to w kluczowych miejscach, Schlieffen w memoriale z sierpnia 1892 r. uznał Francję za cel głównego ataku. Możliwie największe siły niemieckie rzucić się miały na sąsiada zachodniego, na wschodzie zaś chciano się na razie ograniczyć do działań obronnych przy użyciu jak najmniejszej liczby wojska. Plan ten z biegiem lat był wielokrotnie korygowany. Pod wpływem obawy, że twierdze francuskie wzdłuż granicy - Verdun, Toul, Epinal, Belfort - powstrzymają frontalny atak niemiecki, który zresztą mógłby się jedynie wzdłuż wąskiej Trouée de Charmes, pomiędzy Epinal i Toul, Schlieffen powziął myśl obejścia tej linii obronnej. Prawe skrzydło niemieckie poprzez terytorium dwóch państw neutralizowanych Luksemburga i Belgii oraz południową część holenderskiej prowincji Limburgii miało się wedrzeć do północnej Francji na tyły armii francuskiej, przekroczyć dolną Sekwanę i wówczas kierując się ku wschodowi wziąć w kleszcze armię francuską. Myśl ta z wolna dojrzewała w sztabie niemieckim. Szef sztabu określił ją ściślej zimą 1898/99 w memoriale o działaniach wojennych przeciwko Francji. Był to tzw. pierwszy plan Schlieffena.

W latach 1904–1905 Schlieffen opracował ostateczną wersję swego planu. 7/8 wszystkich sił niemieckich miało być rzuconych na front zachodni, 1/8 zaś użyta do działań obronnych na froncie wschodnim. Przewodnia myśl planu streszczała się w tym, że prawe skrzydło armii działające na zachodzie musi być możliwie silne, „należy się bowiem spodziewać, że tu rozegra się roz-

strzygająca bitwa”. Stosunek sił prawego skrzydła do lewego miał być jak 7 do 1. Prawe skrzydło musi nieprzyjaciela ścigać i okrążyć. Zadaniem zaś lewego skrzydła będzie „związać możliwie wielkie siły francuskie możliwie małymi niemieckimi”. Celem operacji było zupełne rozgromienie przeciwnika. „Armia francuska musi być zniszczona”. Możliwość wkroczenia wojsk francuskich głębiej na terytorium Rzeszy Schlieffen uważał za mało prawdopodobną, nie sądził bowiem, aby Francuzi zdecydowali się na tego rodzaju operację zaczepną w chwili gwałtownego ataku niemieckiego na Francję. Gdyby wszakże doszło do ofensywy francuskiej w Lotaryngii, byłoby to - w rozumieniu Schlieffena - w pewnej mierze nawet pomyślne, gdyż w takim razie znaczna część sił francuskich nie mogłaby wziąć udziału w decydującej bitwie w północnej Francji.

Schlieffen brał pod uwagę przemarsz wojsk niemieckich nie tylko przez Belgię, ale i przez Holandię w tej myśli, że pozwoli to Niemcom obejść bez konieczności zdobywania silną twierdzę belgijską Liège, która zagrażała drogę przez wąską bramę na północ od Ardenów. Schlieffen spodziewał się, że rząd Rzeszy uzyska drogą dyplomatyczną zgodę Holandii na wkroczenie Niemców na jej terytorium. Dałoby to korzyści nie tylko polityczne - pozwoliłoby uniknąć naruszenia prawa międzynarodowego i pogwałcenia neutralności dwóch małych państw - ale i militarne, Schlieffen przypuszczał bowiem, że Francuzi, zaniepokojeni marszem wojsk niemieckich przez Holandię, wkroczą do

Belgii i zajmą mocne pozycje obronne w dolinie Mozy na południe od Namuru. W takim razie Francuzi ściągnęliby na siebie zarzut łamania prawa, a Niemcy mogliby bezkarnie wtargnąć do Belgii.

Jeszcze na krótko przed śmiercią pisał Schlieffen: „Niemcy całe muszą się rzucić na jednego przeciwnika, na tego, który jest najsilniejszy, najpotężniejszy i najniebezpieczniejszy, a może być nim tylko Francja - Wielka Brytania. Austria może się nie kłopotać: armia rosyjska, wyznaczona do działań przeciwko Niemcom, nie pomaszeruje na Galicję nim kości nie zostaną rzucone na zachodzie; losy Austrii rozstrzygną się nie nad Bugiem, lecz nad Sekwaną”.

Projektowaną operację wojenną Schlieffena nazwane Kannami na pamiątkę słynnej bitwy, w której Hannibal rozbił wojska rzymskie oskrzydłając je ruchem „półksiężycowym”.

Następca Schlieffena (od 1 stycznia 1906 r.) generał Helmuth von Moltke młodszy, bratanek zwycięzcy spod Sadowy i Sedanu, podzielił pogląd swego poprzednika o potrzebie skierowania głównego, rozstrzygającego uderzenia na zachód i w ogólnych zarysach przyjął jego plan operacyjny.

Porzucił wszakże w 1908 r. zamiar przemarszu przez Holandię, chciał utrzymania neutralności tego kraju dla umożliwienia komunikacji zamorskiej. W dużo większym wszakże stopniu brał pod uwagę możliwość silnego ataku francuskiego na Lotaryngię. Gdyby istotnie Francuzi poważnymi siłami szukali rozstrzygnięcia na terenie Alzacji i Lotaryngii Moltke uważał

ruch oskrzydlaający przez Belgię w kierunku północnej Francji za bezprzedmiotowy. W związku z tym wydatnie osłabił prawe skrzydło, które według Schlieffena nie mogło być dostatecznie silne. Stosunek sił prawego skrzydła do lewego miał być nie jak 7 do 1, lecz jak 3 do 1. Wyraźnie występowały obawy przed inwazją francuską. „Bez obrony nie można kraju oddawać przeciwnikowi - twierdził Moltke. Schlieffen takich obaw nie żywił.

Generał Hermann von Kühl, długoletni pracownik sztabu i pisarz wojskowy, różnicę pomiędzy oryginalnym planem Schlieffena a drugim planem zmienionym przez Moltkego upatruje w tym, że gdy Schlieffen w sposób bezwzględny pragnął narzucić swą wolę przeciwnikowi, to Moltke uzależniał swe działania od inicjatywy nieprzyjaciela. Podobnie oceniał sprawę generał Wilhelm Groener. „Hr. Schlieffen - pisał - grał z przeciwnikiem w szachy mądrymi, przemyślanymi ruchami, Moltke natomiast nad grą nie panował, atakował wprawdzie również, utracił kilka pionków, ale stracił wartościowe figury, które będą miały znaczenie w końcu gry. Schlieffen posuwał się miarowo, bez pośpiechu i ufał, że w chwili decydującej będzie szybszy niż przeciwnik, Moltke się spieszył”. Moltke porzucił również myśl przejścia przez terytorium holenderskie; ta zmiana pierwotnego planu zmusi Niemców w sierpniu 1914 r. do zdobywania twierdzy belgijskiej Liège. Plan Moltkego nazwano nie bez słuszności „rozwodnieniem” planu Schlieffena.

Schlieffenowi nie dane było zmierzyć się z Francją. Mimo to historia pierwszej wojny światowej musi się bliżej jego planami strategicznymi zajmować, gdyż są one punktem wyjścia niemieckich operacji wojennych na zachodzie.

Doniosłe znaczenie polityczne mają plany Moltkego starszego, Schlieffena i Moltkego młodszego. Moltke starszy opracowywał plany strategiczne przewidując wojnę na dwa fronty, gdyż sądził, że Francja bez współdziałania z Rosją nie odważy się na wojnę. Schlieffen i Moltke młodszy działali już w erze przymierza francusko–rosyjskiego. Nie znali jego postanowień, ale wiedzieli, że Francja związała się z Rosją.

Przed kierownictwem politycznym i wojskowym Rzeszy stanęła alternatywa, który z dwu przeciwników jest groźniejszy dla Niemiec, jest niebezpieczniejszy - Francja czy Rosja.

Francja był to wróg, który w razie konfliktu zbrojnego musiał być powalony na obie łopatki, jeśli Niemcy chciały zapewnić sobie trwałe posiadanie alzacko–lotaryńskich nabytków z roku 1871 i, co więcej, jeśli chciały uzyskać nowe zdobycze w bogatych w węgiel i rudę wschodnich departamentach francuskich. Zgodnie z tym kształtował się stosunek Niemiec do armii francuskiej, do wrogów ustroju III Republiki i do wszelkich niebezpieczeństw zagrażających rządowi francuskiej burżuazji. Wszystko, co osłabiało Francję i jej armię, skądkolwiek by szło, było pożądane i chętnie widziane. Niemieccy obserwatorzy urzędowi nie bez zaniepokojenia donosili do Berlina w latach 1912

i 1913 o postęпах armii francuskiej i o występującym *réveil national*.

Inaczej zupełnie kształtował się stosunek do sąsiada wschodniego. Rosja carska, w przeciwieństwie do Francji, nie rysowała się w oczach przeciętnego Niemca z klas panujących jako wróg odwieczny. Raczej budziła u niego, zwłaszcza jeśli chodziło o junkrów, odruchową sympatię. Zapominano chętnie o bitwie pod Grossjagersdorf i pod Kunersdorf, o rządach rosyjskich w Prusach Wschodnich i o wejściu wojsk carowej Elżbiety do Berlina. Tym chętniej za to mówiono o wspólnych walkach przeciwko Napoleonowi, o tradycyjnym sojuszu prusko–rosyjskim, o tradycyjnych związkach pomiędzy domami Hohenzollernów i Romanowów. Przechodząc na grunt bardziej realny stwierdzić należy, że ważnym łącznikiem pomiędzy dwoma cesarstwami była sprawa polska oraz wydatne podobieństwa ustroju społeczno–politycznego. Wzgląd ten działał mocno zwłaszcza na junkrów, stąd ich wielkie sympatie dla caratu. Junkrzy wprawdzie często boczyli się na Rosję, gdy przywóz rosyjskiego zboża zbyt mocno bił ich po kieszeni, ale nigdy nie byli wrogami carskiej Rosji i nigdy nie dążyli do zniszczenia imperium carów w przekonaniu, że płonący dom sąsiada grozi niebezpieczeństwem pożaru we własnym domostwie. Innymi słowy, że rewolucja w Rosji i upadek caratu będzie groźbą i dla feudalnego ustroju Prus–Niemiec.

Podobnie odnosiła się do państwa carów i burżuazja niemiecka - wielkie banki i wielki przemysł. Rosja ówczesna w swym zacofaniu gospodarczym była dla



kapitału niemieckiego wymarżonym terenem eksploatacji, który przynosił pokaźne zyski. Wprawdzie po konflikcie roku 1887 Niemcy przestały być bankierem Cesarstwa Rosyjskiego, ale wywóz kapitałów niemieckich do Rosji trwał bez przerwy, a nawet wzrastał. Jeśli chodzi o wysokość inwestowanego kapitału niemieckiego, Rosja stała pośród krajów europejskich na drugim miejscu po sprzymierzonych z Niemcami Austro-Węgrzech.

Nasuwa się oczywisty wniosek: gdyby w wyniku skrzyżowania interesów na Bliskim Wschodzie miało dojść do wojny niemiecko-rosyjskiej, nie może to całkowitą klęską przeciwnika ze wszystkimi jej rewolucyjnymi konsekwencjami. W intencjach władców Niemiec celem operacji wojennych przeciwko Rosji nie było i być nie mogło zupełne rozbicie armii rosyjskiej i zniszczenie przeciwnika, lecz jedynie zadanie mu kilku ciosów, które by zmusiły go do wycofania się z terenu rywalizacji i do znaczniejszego niż dotychczas liczenia się z interesami Niemiec. Nic ponadto. Cel taki łatwiej i pewniej można było osiągnąć przez powalenie sprzymierzonej z caratem i uzależniającej go od siebie swymi olbrzymimi pożyczkami Francji niż przez ryzykowny marsz w głąb Rosji. Tak rozumowano w czasach pokoju; z chwilą wybuchu wojny - jak zobaczymy - władcy Niemiec zmienili radykalnie stanowisko.

Na takich podstawach opierał się w czasach pokoju stosunek kół rządzących w Prusach-Niemczech do obu sąsiadów, zachodniego i wschodniego. Stanowisko to wpływało oczywiście w jakiejś mierze na sztab pruski

i opracowywane przezeń plany wojenne. W ostatecznej instancji decydowały tam wszakże względy czysto militarne, zwłaszcza odkąd na czele sztabu stanął Schlieffen.

Władze cywilne - kanclerz, sekretarz stanu spraw zagranicznych - uważały za rzecz niedopuszczalną zajmowanie stanowiska w kwestii planów strategicznych. Wprawdzie Schlieffen w maju 1900 r. zawiadomił poufnie Urząd Spraw Zagranicznych, że w razie wojny na dwa fronty armia nie będzie brała pod uwagę zobowiązań międzynarodowych Rzeszy. Ale otrzymał odpowiedź: „Jeśli szef sztabu, a do tego taki autorytet wojenny jak Schlieffen, uważa takie środki za potrzebne, jest obowiązkiem dyplomacji do tego się zastosować”.

Podobne stanowisko zajął i Theobald von Bethmann Hollweg - kanclerz w chwili wybuchu wojny. Niebezpieczeństwa, które niosła ze sobą wojna na dwa fronty, nie pozwalały - zdaniem kanclerza - władzom cywilnym interweniować w sprawach wojskowych, w kwestii planu strategicznego przez czynniki wojskowe wszechstronnie przemyślanego i uznanego za konieczność. Bethmann Hollweg zapewniał, że kierownictwo polityczne Rzeszy nie brało najmniejszego udziału ani w opracowaniu planu, ani w jego modyfikacjach.

A przecież niemiecki mistrz teorii wojny Carl von Clausewitz - na którego wciąż się powoływano - uczył, że jest „niedopuszczalne i wręcz szkodliwe mniemanie, według którego wielkie wydarzenie wojenne lub jego

plan ma podlegać czysto wojskowej ocenie. (...) Również ogólne doświadczenie uczy, że jednak mimo wielkiej różnorodności i rozwoju dzisiejszej wojskowości zasadnicze wytyczne wojny zawsze ustalały gabinety, tzn. czynnik, wyrażając się technicznie, wyłącznie polityczny, a nie wojskowy”.

Za zlekceważenie czynnika politycznego mieli Niemcy drogo zapłacić.

Konflikt francusko–niemiecki, od lat kilkunastu przygłuszony, uległ zaostrzeniu w latach 1905 (Tanger - pierwszy kryzys marokański) i 1911 (Agadir - drugi kryzys marokański). Prawdopodobieństwo wojny z Francją było więc duże. Jednocześnie po roku 1908 pogłębił się antagonizm austriacko–rosyjski, a więc w konsekwencji niemiecko–rosyjski (rok 1908/9 - kryzys bośniacki, rok 1912/13 - wojny bałkańskie). Niemcy zatem musiały nie tylko liczyć się z wojną na dwa fronty, musiały w równej mierze wziąć pod uwagę dwa co najmniej źródła wybuchu konfliktu zbrojnego: antagonizm francusko–niemiecki i antagonizm rosyjsko–niemiecki, a więc wojna z Francją, Rosja idzie na pomoc sojusznikowi, lub też wojna z Rosją, Francja spieszy na odsiecz sprzymierzeńcowi.

Każda z tych możliwości wymagała innych rozwiązań. Rzeczą kierownictwa politycznego i wojskowego Rzeszy było nie dać się zaskoczyć i podjąć działania zgodnie z rozwojem sytuacji. Niemcy wszakże w 1914 r. trzymali się sztywno planu Schlieffena-Moltkego i popadli w paradoksalne trudności. Oto na tle powikłań bałkańskich wybuchł konflikt zbrojny

z Rosją, Niemcy zaś wypowiedzieli wojnę Francji i Francję zaatakowali. Nie trzeba dowodzić, jakie wielkie znaczenie miał ten fakt dla postawy narodu francuskiego i dla światowej opinii publicznej. Co więcej, naruszenie neutralności Belgii - podstawa planu Schlieffena - było poważną kwestią polityczną i nie mogło być decydowane wyłącznie przez generałów; wymagało oceny politycznej i politycznej decyzji rządu.

Rozwój stosunków międzynarodowych w początkach XX w. - porozumienie francusko-brytyjskie w 1904 r., brytyjsko-rosyjskie w 1907 r. - wpływał na pogorszenie sytuacji polityczno-militarnej Rzeszy; należało się liczyć z wojną nie na dwa, jak dotąd, lecz na trzy fronty - Francja, Rosja, Wielka Brytania. Sztab niemiecki nie doceniał znaczenia Wielkiej Brytanii jako przeciwnika; udział brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego w walkach na kontynencie lekceważono wyraźnie. Wprawdzie Moltke brał pod uwagę możliwość lądowania wojsk angielskich na niemieckim wybrzeżu Morza Pomocnego i nalegał na budowę fortyfikacji przybrzeżnych, ale cały sztab wraz z Moltkem był głęboko przekonany, że losy wojny rozstrzygną się na lądzie. Oficerowie niemieccy powtarzali: „Gdy przyjdzie do konfliktu, pokój podyktujemy Anglii w Paryżu”.

### **13. Francuskie plany strategiczne**

Sztab francuski opracowując plany strategiczne opierał się na przymierzu z Rosją i na dość luźnym porozumieniu z Wielką Brytanią.

Przymierze francusko–rosyjskie miało za podstawę ogólnikowy układ z 27 sierpnia 1891 r. i konwencję wojskową z 17 sierpnia 1892 r., ratyfikowaną 27 grudnia 1893 r. i 4 stycznia 1894 r. Konwencja wojskowa określała *casus foederis* postanowieniem artykułu I: „Gdyby Francję zaatakowały Niemcy lub Włochy wsparte przez Niemcy, Rosja wszystkimi swymi siłami uderzy na Niemcy. Gdyby Rosję zaatakowały Niemcy lub Austro–Węgry wsparte przez Niemcy, Francja wszystkimi swymi siłami walczyć będzie przeciwko Niemcom”. Protokół z 31 sierpnia 1911 r. określał, że termin „wojna obronna”, stosowany w umowach francusko–rosyjskich, bynajmniej nie oznacza, że będzie to wojna prowadzona w sposób defensywny. Protokół z 13 lipca 1912 r. stwierdzał, że armia rosyjska znalazła się już znowu (po przegranej wojnie z Japonią) w możliwości spełnienia roli wyznaczonej jej przez konwencję wojskową z roku 1892; począwszy od 15 dnia wojny 800 tysięcy żołnierza stanie na placu boju przeciwko Niemcom.

Francję z Wielką Brytanią łączyły tylko porozumienia między sztabami wojsk lądowych i flot na temat ewentualnego w razie wojny przeciwko Niemcom współdziałania na wodach Morza Pomocnego, kanału La Manche i Morza Śródziemnego oraz ewentualnego przybycia do Francji brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego. Rozmowy te w niczym nie wiązały gabinetu londyńskiego, ale dla rządu i sztabu francuskiego stanowiły nową wskazówkę, że Wielka Brytania w żadnym wypadku nie wystąpi przeciwko Francji, w najgorszym

razie zachowa życzliwą dla niej neutralność. Wpływało to, rzecz prosta, na pracę sztabu francuskiego.

Francuska doktryna wojenna była zawsze doktryną ofensywną, ale przez czas dłuższy pozostawała pod ciężarem klęski roku 1870. Stąd pierwsze plany strategiczne za III Republiki były planami walk obronnych. Wzniesiono w tym celu łańcuch twierdz: Belfort, Epinal, Toul, Verdun z dwiema szczelinami w okolicach Charmes pomiędzy Toul i Epinal - Trouée de Charmes i na północy w okolicach Stenay. Tam chciano wciągnąć wojska niemieckie podejmujące ofensywę. Dopiero pod koniec wieku XIX sztab francuski powracał stopniowo do doktryny ofensywnej. Niewątpliwie miało to związek z zawarciem przymierza z Rosją. Nawracano do taktyki napoleońskiej, która polegała na ostrożnym wybadaniu zamiarów i siły przeciwnika („*on s'engage partout, après on voit*”), zaatakowaniu go w ważnym punkcie i pokonaniu. Twórcą nowej czy odnowionej doktryny był komendant Wyższej Szkoły Wojennej Henri Bonnal, badacz dziejów kampanii napoleońskich.

Bonnal doskonałą formę sztuki wojennej widział w „defensywie strategicznej”. Czekać na nieprzyjaciela, zatrzymać jego pochód, podczas pierwszych spotkań zdobyć niezbędną orientację o jego siłach i zamiarach, a wówczas w wybranej chwili możliwie największymi siłami podjąć „wściekłą” (*endiablée*) ofensywę i stoczyć rozstrzygającą bitwę.

Sztab niemiecki nie zakończył jeszcze prac nad pierwszym planem Schlieffena, kiedy Bonnal doszedł

do przekonania, że główne natarcie niemieckie pójdzie od razu na Francję, a co więcej przewidział manewr oskrzydłający - marsz niemiecki przez Luksemburg i Belgię. Jego zdaniem należało czekać aż prawe skrzydło niemieckie wejdzie dość daleko w głąb Francji, aby wówczas potężnym uderzeniem wedrzeć się klinem pomiędzy wojska niemieckie i zniszczyć ich prawe skrzydło. Był to tzw. plan XIV (opracowano już 13 planów po roku 1871), zatwierdzony przez Najwyższą Radę Wojenną w kwietniu 1898 r. Bonnalowski plan XIV przewidywał utworzenie pięciu armii. Jedna tworzyła „awangardę generalną”, zgromadzoną w rejonie Nancy. Trzy armie miały być skoncentrowane na froncie Epinal–Mirecourt–Commercy. Siły rezerwowe wreszcie gromadzono pod Chaumont, Vesoul, Troyes i Châlons–sur–Marne. Plan ten zmieniano kilkakrotnie już bez autora, a nawet wbrew niemu. Były to plany XV, XV–bis, XVI.

Informacje, których wywiad francuski dostarczał sztabowi o przygotowaniach niemieckich miały różny stopień wiarygodności. Wpływały one, rzecz prosta, na dalsze prace. W 1904 r. tajemniczy wyższy oficer niemiecki, kryjący się pod kryptonimem „Le Vengeur” (Mściciel), dostarczył wywiadowi francuskiemu za 300 tys. franków dokładnych danych o planie Schlieffena. Informacje „Mściciela” odpowiadały istotnie, przynajmniej w ogólnym zarysie, planom przygotowanym w sztabie niemieckim; szło tu przede wszystkim o zamierzone przejście wojsk niemieckich przez Belgię. Ale do dziś pozostaje sprawą niewyjaśnioną, czy istniał

rzeczywiście „Mściciel”, dobrze zorientowany zdrajca niemiecki, mszczący się za krzywdy, których miał doznać od władz niemieckich, czy też rzecz cała - jak sądzić raczej należy - była zręczną mistyfikacją II Oddziału. W takim razie II Oddział opierałby się tu na pozbieranych różnymi drogami różnych materiałach ułamkowych i na własnych kombinacjach czy przypuszczeniach, a mistyfikacji dopuścił się, aby skłonić dowództwo do przyjęcia swych poglądów.

Ale już w 1911 r. francuski *attaché* wojskowy w Brukseli zdobył wiadomość, że prawe skrzydło niemieckie zaatakuje twierdzę belgijską Liège. W 1913 r. sztab francuski odebrał nowe informacje o zamierzonym przejściu przez Belgię prawego niemieckiego skrzydła, grupującego najlepsze dywizje.

Pomimo tego sztab francuski nie w pełni brał pod uwagę możliwość wkroczenia Niemców do Belgii. Drogo za to Francja zapłaciła w sierpniu i wrześniu roku 1914.

W każdym razie dotychczasowe plany ostatecznie uznano za nazbyt nieśmiałe i dogodne dla nieprzyjaciela.

W 1911 r. pułkownik François Loyzeau de Grandmaison, szef III Biura Sztabu, na zebraniu wyższych oficerów przedstawił nowe poglądy na doktrynę wojenną. Wskazał na niebezpieczeństwo planu, który przewidywał najpierw próbę zorientowania się w zamiarach nieprzyjaciela, a dopiero potem uderzenie głównymi siłami własnymi; zdaniem pułkownika de Grandmaison było to uzależnienie się od woli przeciw-



nika. Nie należy - dowodził - tracić czasu na zbieranie informacji, przede wszystkim należy sobie zapewnić inicjatywę. „Trzeba - tymi słowy kończył Grandmaison wykład - przygotować siebie i przygotować innych do jedynej metody, która może wymusić zwycięstwo rozwijając (...) wszystko to, co dyktuje duch ofensywy”. „W ofensywie brak roztropności daje najlepsze rękojmię”. „Przekroczyć miarę nie będzie może dosyć”. „Takie twierdzenia - pisze francuski pisarz wojskowy Eugene Carrias - sprawiły, że utracono poczucie rzeczywistości wojny”.

W lutym 1911 r. przewidywany wódz naczelny generał Victor-Constant Michel opracował plan własny; wychodził tu z założenia, że „główną widownią przyszłych operacji” będzie Belgia „klasyczny teren walk armii francuskich z siłami tamtej strony Renu”, że Niemcy wkroczą do Belgii. Opierając się na takich przesłankach generał Michel uznał, że część sił francuskich należy użyć do „zaczepnej obrony obszaru pomiędzy Belfort a Mezières”, większą zaś częścią rozwinąć „potężną ofensywę” w Belgii.

Spośród francuskich planów strategicznych tylko plan Michela zakładał, że od chwili wybuchu wojny walki toczyć się będą na terenie Belgii. Według innych planów ofensywa francuska miała się rozwijać tylko w Alzacji i Lotaryngii, chociaż nie otwierały się tam realne widoki powodzenia.

Najwyższa Rada Wojenna pod wpływem poglądów pułkownika de Grandmaison odrzuciła koncepcje

Michela i generał podał się do dymisji. Jego następcą został generał Joseph Joffre.

I Joffre myślał pierwotnie o ofensywie przez Belgię, zwracał się w tej sprawie z zapytaniem do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i spotkał się z odmową. Decydujący wpływ wywarło tu stanowisko Londynu. Anglicy wprawdzie dyskretnie sondowali grunt w Brukseli, lecz belgijski szef sztabu generał H. Jungbluth nie chciał nawet rozmawiać na temat wejścia obcych wojsk do Belgii. Rzecz charakterystyczna, że Belgowie przez długi czas upatrywali niebezpieczeństwa ze strony Francji, pamiętali, że nieraz w przeszłości francuskie ambicje zagrażały Belgii; na wschodniego sąsiada natomiast spoglądali ze spokojem. Dopiero nieostrożne wynurzenia impulsywnego Wilhelma II w rozmowie z królem Albertem w 1913 r. wzbudziły w Brukseli zaniepokojenie.

Jak już wiemy, przymierze z Rosją wydatnie wpływało na koncepcje sztabu francuskiego. W sierpniu 1911 r. na konferencji w Krasnym Siole szefowie sztabu francuskiego i rosyjskiego generałowie Auguste Dubail i Jakow Żyliński ustalili; że „istnieje nieodparta konieczność dla armii francuskiej i rosyjskiej podjęcia silnej ofensywy, jeśli to możliwe, jednocześnie, stosownie do artykułu III konwencji militarnej”. Generał Dubail zapowiadał, że armia francuska zbierze się równie szybko, jak niemiecka i już począwszy od 12 dnia mobilizacji będzie w stanie, przy pomocy angielskiej, rozpocząć ofensywę przeciwko Niemcom. Generał Żyliński przyrzekał ofensywę rosyjską na 15 dzień mobi-

lizacji, tak aby 16 dnia wojska rosyjskie mogły przekroczyć granicę niemiecką.

Dodał wszakże zwrot warunkowy: „podjęte zostaną wysiłki, aby rozpocząć ofensywę w tym terminie”. Powtórzono te umowy w lipcu 1912 r. i później wiosną 1913 r. na nowym zjeździe szefów sztabów, nie bez pewnych zresztą zastrzeżeń ze strony rosyjskiej.

Pośród takich okoliczności generał Joffre, bezwzględny zwolennik zaczepnej doktryny wojennej, prowadził prace nad nowym planem operacyjnym, zwanym planem XVII.

Joffre wychodził z założenia, że armia francuska powinna wrócić do swych tradycji i nie uznawać innego działania niż zaczepne, że należy porzucić „defensywę strategiczną”, która wiodła do czekania na wiadomości.

Plan XVII opierał się na następujących przesłankach: 1) wojna będzie krótkotrwała, 2) do decydującej bitwy przystąpić należy wszystkimi siłami zjednoczonymi, 3) ująć inicjatywę w swoje ręce: a) aby nie dać się wciągnąć w manewry nieprzyjaciela, b) aby dotrzymać zobowiązań względem sprzymierzeńca rosyjskiego, c) mieć możliwość modyfikowania prowadzonych operacji stosownie do działań przeciwnika i potrzeb chwili. Zasadnicze założenie planu XVIII to *une offensive foudroyante* (ofensywa piorunująca): podjęta „wszystkimi połączonymi siłami”. Lewym skrzydłem główną armią na północ od Metz i Thionville, prawym skrzydłem na południe od linii Nancy–Toul i wreszcie w centrum wiążącym oba skrzydła na zachód od Metz.

W razie pogwałcenia przez Niemców neutralności Belgii planowano uderzenie lewym skrzydłem na belgijski Luksemburg.

Plan XVII ostatecznie ukończono wiosną 1913 r., Najwyższa Rada Wojenna przyjęła go 18 kwietnia, a rząd 2 maja 1913 r.

## 14. Rosyjskie plany strategiczne

Rosyjskie plany strategiczne miały u podłoża więcej kształtujących je czynników niż plany francuski czy niemiecki. Bardziej skomplikowane były warunki polityczne, bardziej powikłana geografia militarna.

W przeciwieństwie do Francji miała Rosja nie jednego, lecz dwu przeciwników: Niemcy i Austro-Węgry. Otóż pod względem politycznym głównym przeciwnikiem była monarchia habsburska. Cele wojenne Rosji - hegemonia na Bałkanach, Galicja Wschodnia, Bukowina, Ukraina Zakarpacka - zwracały carat przeciwko Austro-Węgrom. Niemcy znajdowały się na dalszym planie, były przeciwnikiem Rosji jako możliwy sprzymierzeniec monarchii naddunajskiej; interesy niemieckie i rosyjskie ścierały się na Bliskim Wschodzie, ale w Europie Środkowej, wzdłuż granicy niemiecko-rosyjskiej od Kłajpedy do Sosnowca, nie było punktów tarcia. Nie miały większego znaczenia wysuwane niekiedy w Petersburgu plany podboju Prus Książęcych i przesunięcia zachodniej granicy cesarstwa do Wisły. A przy tym nad stosunkami pomiędzy Berlinem a Petersburgiem ciążyła sprawa polska. Konflikt zbrojny niemiecko-rosyjski musiał się rozgrywać na

ziemiach polskich i musiał w taki czy inny sposób poruszyć sprawę polską; a to nie leżało w interesie ani jednego, ani drugiego zaborcy.

Któregoś dnia na początku XX w. szef sztabu warszawskiego okręgu wojennego generał Aleksandr Puzyrewski w rozmowie z polskim historykiem Szymonem Askenazym pokazał mu starą rycinę rosyjską z XVIII w., przedstawiającą wejście wojsk carowej Elżbiety w 1760 r. do Berlina i dodał: „Musimy tam wejść po raz drugi, lecz z trwalszym wynikiem; jest to konsekwencja naszego sojuszu z Francją”. Askenazy zauważył, że możliwość ta łączyła się ściśle ze sprawą polską, z czym Puzyrewski zgadzał się w zupełności, i wspomniał generałowi o opracowanym w 1828 r. przez Ignacego Prądzyńskiego planie wojny przeciwko Prusom.

Ignacy Prądzyński opracował trzy plany wojny przeciwko Austrii i Prusom w 1816, 1821 i w 1828 r. Opierały się one na ówczesnej sytuacji politycznej, tj. związku dynastycznym i państwowym Królestwa Polskiego z Rosją. Uderzał tu pogląd, że ze wszystkich terenów, na których Rosja prowadzić będzie musiała wojnę, najtrudniejsza będzie dla niej wojna na jej granicy zachodniej, tzn. na ziemiach polskich. Prądzyński rozpatrywał trzy możliwości - wojna przeciwko Austrii, wojna przeciwko Prusom i wreszcie wojna przeciwko sprzymierzonym Prusom i Austrii.

Myślą przewodnią planów Prądzyńskiego było przewidywanie, że przeciwnik będzie dążył do zamknięcia armii rosyjskiej w Królestwie. Dla zapobie-

żenia temu niebezpieczeństwu zalecał energiczne działania zaczepne, aby ubezpieczyć skrzydła, a więc atak na Galicję Wschodnią, na Prusy Książęce i na Pomorze (zajęcie Torunia, której to twierdzy przypisywał wielkie znaczenie, oraz Gdańska), następnie atak na Śląsk i wreszcie marsz na Berlin. Rzecz znamienita, że był zdania, iż najpierw należy uderzyć na Austrię jako na przeciwnika militarnie słabszego.

Sprawa to interesująca, że rosyjskie plany wojenne, opracowywane w drugiej połowie XIX w. - Dymitra Milutina, Nikołaja Obruczewa, Michaiła Dragomirowa - pokrywały się na ogół z założeniami Prądzyńskiego. Można je określić następująco: zabezpieczyć skrzydła i nie dopuścić do okrążenia armii rosyjskiej w Królestwie, uderzyć najpierw na Austrię.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa sztab rosyjski znał, w każdym razie częściowo, plany Prądzyńskiego i brał je pod uwagę. Możliwe również, że sztabowcy rosyjscy w ocenie sytuacji dochodzili do wniosków podobnych co generał Prądzyński, a niezależnie od niego. Zbieżność jest w każdym razie uderzająca.

Do wybuchu pierwszej wojny światowej nie uległa zmianie wytyczona na kongresie wiedeńskim granica pomiędzy trzema zaborcami (jedynie Wolne Miasto Kraków przyłączono do monarchii habsburskiej w 1846 r.), ale w różnych dziedzinach życia występowały coraz to nowe okoliczności, które sztab przy układaniu planów wojennych musiał brać pod uwagę.

Królestwo Kongresowe klinem wrzynało się w posiadłości królestwa pruskiego i dawało możliwość wdar-

cia się silnym atakiem przez Toruń i Poznań w głąb Prus do Berlina. Plan taki wszakże rokował nadzieje powodzenia tylko w razie błyskawicznego marszu naprzód, a do tego ówczesna armia rosyjska nie była zdolna. Armia rosyjska była silna w obronie, w ofensywie natomiast stawała, zwłaszcza w początkach wojny, przed niepoślednimi trudnościami - olbrzymie terytorium państwa przy rzadkiej, słabo i niedostatecznie rozbudowanej sieci komunikacyjnej utrudniało i opóźniało mobilizację i koncentrację wojska. Otóż zarówno względy techniczne, jak i polityczne przemawiały przeciwko użyciu Królestwa jako bazy wypadowej do silnej, szybkiej ofensywy na Berlin inicjującej działania wojenne przeciwko Niemcom.

Zrozumiałe więc, że Rosja główny wysiłek kierowała przeciwko Austro-Węgrom. Po niepowodzeniach politycznych na kongresie berlińskim minister wojny generał Dymitr Milutin opracował w 1879 r. memoriał, w którym przewidywał wspólną wojnę Francji i Rosji przeciwko Niemcom. Sądził, że główne siły niemieckie zwrócą się przeciwko Francji i proponował silną ofensywę przeciwko Austrii w kierunku Galicji Wschodniej. To stanowisko zajmował również długoletni szef sztabu generał Nikołaj Obruczew. Rzecz prosta, że od chwili podpisania w dniu 17 sierpnia 1892 r. konwencji wojskowej francusko-rosyjskiej Francja zabiegała usilnie, aby Rosja za głównego nieprzyjaciela uznała nie Austro-Węgry, lecz Niemcy i przeciwko Niemcom skierowała główne siły.

Ta kwestia była przedmiotem licznych dyskusji na konferencjach szefów sztabu francuskiego i rosyjskiego. Konieczność równoczesnej ofensywy przeciwko Austrii i przeciwko Niemcom była sprawą oczywistą; chodziło wszakże o stosunek sił rzuconych na front austriacki i na front niemiecki. Uderzenie musiało pójść na skrzydła przeciwnika, gdyż atak frontalny nie mógł rokować pomyślnych wyników.

Pośród ponad dziesięciu wariantów planu wojennego, opracowanych w latach 1900–1914, znalazł się i dziwaczny pomysł związany z nazwiskiem generała Jurija Daniłowa. W obawie przed niebezpiecznym zagrożeniem przez jednoczesny atak niemiecki od północnego zachodu i austriacki od południowego zachodu wojsk rosyjskich rozmieszczonych w Królestwie powzięto myśl wycofania większej ich części za Bug. Ogołoczonego w ten sposób z wojska terytorium bronić miała, tzn. w praktyce utrudnić działania przeciwnika jedna tylko twierdza w Modlinie; miała ona się bić „do ostatniego naboju i suchara”.

Postanowienia te w znacznej części wprowadzono w życie w 1910 r., kiedy zlikwidowano twierdze w Królestwie, przede wszystkim Warszawę i Dęblin. Pełna realizacja planu pociągnąć musiałyby za sobą doniosłe skutki nie tylko w dziedzinie militarnej, ale także i politycznej, musiałyby bowiem wywołać żywy odźwięk w Polsce i dalej idące konsekwencje. Plan ten, opracowany pod kierownictwem ówczesnego szefa sztabu generała Daniłowa, wywołał taką opozycję, że



go niebawem poniechano. W jego miejsce opracowano w 1912 r. wariant nowy, uzupełniony w 1913 r.

Ten ostatni plan zakładał, że Niemcy główne siły rzucą przeciwko Francji, Austriacy zaś przeciwko Rosji; obliczano, że z 16 korpusów armii, utrzymywanych na stopie pokojowej, dowództwo austriackie 3 do 4 zatrzyma dla zabezpieczenia granicy serbskiej, 12 i 13 zaś zwróci przeciwko Rosji. Według danych wywiadu rosyjskiego armia austriacka miała się skoncentrować na linii Jarosław–Lwów–Trembowla i rozwinąć ofensywę w kierunku linii Siedlce–Brześć–Kobryń. Obliczano następnie, że Niemcy dla zabezpieczenia się przed atakiem rosyjskim pozostawią u swych granic wschodnich od 3 do 6 korpusów armii.

W związku z tym sztab rosyjski opracował dwa plany: plan A (Austria) na wypadek wielkiej ofensywy niemieckiej na Francję i plan G (Germania), gdyby główne uderzenie niemieckie poszło na Rosję. Realizacja planu A, tj. wielka ofensywa przeciwko Austro–Węgrom nie wykluczała w rozumieniu dowództwa rosyjskiego działań wojennych przeciwko Niemcom w celu odciążenia Francji; projektowano wkroczenie do Prus Wschodnich.

Wojska przeznaczone do działania przeciwko Austro–Węgrom w sile 16 korpusów tworzyć miały front południowo–zachodni. Celem uderzenia było rozbicie wojsk austro–węgierskich skoncentrowanych w Galicji, opanowanie Galicji i przejść górskich wiodących na Węgry, a następnie marsz dalej w głąb krajów monar-

chii habsburskiej w kierunku Pragi, Wiednia, Budapesztu.

Odbywane corocznie konferencje szefów sztabów francuskiego i rosyjskiego określały bliżej zadania, jakie stawiano obu armiom sojuszniczym w wypadku wojny przeciwko Niemcom. Stale powracała kwestia, kto jest głównym przeciwnikiem. Francuzi dowodzili, że głównym przeciwnikiem są Niemcy i armia niemiecka. Nie chcieli się z tym zgodzić Rosjanie twierdząc, że jeśli na Rosję uderzy silna armia austro-Węgierska, to głównym przeciwnikiem będzie Austria. Na konferencji w sierpniu 1913 r. generał Żyliński oświadczył generałowi Joffre'owi: „Nasz nieprzyjaciel to Austria i Rosja w razie konfliktu może maszerować z entuzjazmem tylko zgodnie ze swymi tradycjami i swymi nadziejami idąc po linii najmniejszego oporu”.

Słowa te padły na ostatniej przed wojną konferencji w sierpniu 1913 r. w Petersburgu i w Krasnym Siole. Zgodzono się wtedy, że uchwalona niedawno ustawa wojskowa niemiecka z 1913 r. przyniesie w skutku skrócenie czasu mobilizacji niemieckiej i pozwoli Niemcom wcześniej niż to przewidywano dotychczas uderzyć na Francję.

Ostatecznie uznano, że główne siły niemieckie uderzą na Francję, a niewielka tylko część skierowana zostanie do działań przeciwko Rosji. Generał Joffre zapewnił, że Francja zgromadzi u swej granicy wschodniej większą część armii, ponad 1 milion 300 tysięcy, tzn. tyle, ile przewidywała konwencja wojskowa francusko-rosyjska. Francuzi, według Joffre'a, ukończą

mobilizację dnia dziesiątego, a jedenastego rozpoczną ofensywę. Szef sztabu rosyjskiego generał Jaków Żyliński oświadczył, że Rosja wystawi do boju przeciwko Niemcom 800–tysięczną armię, mobilizacja zostanie ukończona 15 dnia, a zaraz później rozpocznie się ofensywa rosyjska. Od końca 1914 r. będzie można czas mobilizacji skrócić o dwa dni.

Ustalono, że Rosjanie uderzą bądź na Prusy Wschodnie, na linię Olsztyn–Królewiec, bądź też uderzenie rosyjskie pójdzie po linii Poznań–Berlin w myśl planu Prądzyńskiego, a to zależnie od zgrupowania i działań wojsk niemieckich.

Największą wszakże wagę przywiązywało dowództwo rosyjskie do operacji przeciwko Austro–Węgrom, uważając, że w ostatnich czasach znacznie wzrosła siła militarna monarchii habsburskiej. Tam też ku Austro–Węgrom pójść miało główne uderzenie rosyjskie. W początku na froncie austriackim działać miały 42 dywizje rosyjskie, planowano wszakże skierowanie tam w krótkim czasie jeszcze około 10 dywizji pochodzących z odwodów, a nawet z armii działającej przeciwko Niemcom. Armia ta składać się miała z 20 do 24 dywizji i również od początku wojny prowadzić miała działania zaczepne.

Pełne porozumienie utrudniał obustronny brak całkowitego zaufania. Pomimo serdecznego przyjęcia na konferencji w 1913 r. w Petersburgu i w Krasnym Siole Francuzi wyczuwali, że w otoczeniu cara są ludzie, którzy uważali, że Rosja zbyt silnie związała się z Francją. „Zwłaszcza minister wojny Suchomlinow obiecywał

wszystko, ale niczego nie dotrzymał”. Jedynie wielki książę Mikołaj Mikołajewicz wykazywał zupełne zrozumienie postulatu francuskiego, aby armia rosyjska podjęła szybką ofensywę pomimo ryzyka, które taki krok pociągał za sobą.

W dawniejszych pracach radzieckich przeważał pogląd o zupełnym uzależnieniu caratu od państw zachodnich, zwłaszcza od Francji; działania zaczepne rosyjskie przeciwko Niemcom w roku 1914 miały być podyktowane wyłącznie czy głównie interesem Francji. Później dopiero zwrócono uwagę, że Rosjanie w dobrze zrozumianym interesie własnym nie mogli dopuścić do klęski armii francuskiej; Rosja znalazłaby się w takim razie sam na sam z Niemcami, a Niemcom o to właśnie chodziło, taki był przecież drugi cel planu Schlieffena. W grę wchodziły również czynniki polityczne, Rosja miała własne, daleko idące cele wojenne, a na drodze do ich realizacji stały Niemcy.

## 15. Armia niemiecka

Armia niemiecka doby cesarstwa Hohenzollernów miała swoiste zupełnie cechy, które odróżniały ją od armii w innych państwach nawet tam, gdzie odgrywały one znaczną rolę. Według trafnego określenia Hansa Lohmeyera „armia tworzyła w II Rzeszy państwo w państwie na wzór pruski”. Rolę, jaką wyznaczono armii po zjednoczeniu, w znamienny sposób scharakteryzował Heinrich von Treitschke: „Wojsko jest skoncentrowaną siłą fizyczną narodu, ściśle się więc łączy z jednością państwa; nie ma innej instytucji, która by

jedność państwa, przynależność do całości tak bezpośrednio uzmysławiała także i prostemu człowiekowi, jak armia zorganizowana zgodnie z rzeczywistym położeniem narodu. Handel, sztuka, nauka są kosmopolityczne i wiodą poza granice narodowe. (...) Wojsko zorganizowane na rodzimych podstawach jest jedyną instytucją polityczną, która łączy obywateli jako obywateli, tylko w wojsku synowie ojczyzny czują się zespoleni ze sobą”.

Treitschke usiłował w tych słowach wykazać znaczenie pruskiego militarizmu. Militarizm pruski, opierający się na tradycjach krzyżackich, tradycjach armii tzw. wielkiego elektora, tradycjach fryderycjańskich, zyskał nowe podstawy po wojnach napoleońskich, po zaprowadzeniu w 1814 r. powszechnego obowiązku wojskowego, po odzyskaniu powiększonej Westfalii i przyłączeniu Nadrenii w latach 1814/15. Trzy zwycięskie wojny (w 1864 r. z Danią, w 1866 z Austrią, w 1870/71 z Francją) umocniły junkrów i burżuazję pruską w przekonaniu, że organizacja armii pruskiej była doskonała i że odpowiadała najzupełniej potrzebom nie tylko państwa pruskiego, ale także i zjednoczonej Rzeszy Niemieckiej. Pogląd ten podzielała niewątpliwie większość klas posiadających w całych Niemczech.

Sojusz junkrów z burżuazją miał także i na terenie militarnym silne podstawy. Militarizm pruski wieku XVIII to swoisty system nakręcania koniunktury, ale to system stosowany bezwiednie - celem była siła militarna; osiągnięcia gospodarcze, nawet pokaźne, były tylko

produktem ubocznym. W okresie kapitalizmu w wieku XIX było odwrotnie, ciężki przemysł celowo pracował nad wytworzeniem takiej sytuacji, w której niezbędna wydawała się potężna i liczna armia. Nie było bynajmniej dziełem przypadku, że militarizm pruski rozwinął się najsilniej po przyłączeniu Nadrenii do Prus, gdy nadreńsko–westfalski przemysł żelazny wsparł armię pruską i jej dążenia.

Zasadniczą kwestią była podstawa społeczna armii niemieckiej. Sprawa na pierwszy rzut oka wydaje się prosta. Powszechny obowiązek służby wojskowej zdawał się wskazywać, że armia była odbiciem podziału klasowego i struktury zawodowej społeczeństwa. Tak wszakże nie było. Liczba młodych ludzi zdolnych do służby wojskowej przekraczała zwykle wyznaczony kontyngent rekruta. Toteż przepisy o zwolnieniach i odroczeniach dawały komisjom rekrutacyjnym dużą swobodę działania. Komisje korzystały z nich w ten sposób, że młodych ludzi pochodzących z klasy robotniczej i z rodzin urzędniczych z wielkich miast zwalniały lub też udzielały im odroczeń, uważano bowiem, że młodzież ta bardziej była podatna na wpływy socjalistyczne. Tym tłumaczyć należy, że pomimo ogromnego wzrostu ludności miejskiej w Niemczech w roku 1911 tylko

- 6,14% rekrutów pochodziło z wielkich miast;
- 7,37% rekrutów pochodziło ze średnich miast;
- 22,34% rekrutów pochodziło z małych miast;
- 64,15% rekrutów pochodziło ze wsi.

Obliczono, że wszyscy lub prawie wszyscy zakwalifikowani do rezerwy (*Ersatzreserve*) bądź jako nadliczbowi, bądź jako zwolnieni ze względów rodzinnych, społecznych czy „innych” (tzn. politycznych) byli zdolni do służby. Liczba ich wynosiła w początku XX w. od 80 do 90 tys. rocznie. Zwolnienie ze służby wojskowej było często utrudnieniem sytuacji życiowej, gdyż wiele posad urzędniczych na szczeblu niższym i średnim było zarezerwowanych wyłącznie dla tych, którzy odbyli służbę w szeregach<sup>4</sup>.

Korpus podoficerski pochodził głównie z zaciągu ochotniczego, również przede wszystkim z ludności wiejskiej i z małych miasteczek.

Stanowiska oficerskie były pierwotnie zastrzeżone dla szlachty. Wyjaśnił tę kwestię Treitschke. Poddał krytyce zasady awansu obowiązujące we Francji, gdzie teoretycznie przynajmniej każdy żołnierz nosił w swym tornistrze buławę marszałkowską i gdzie przejście z podoficera na oficera nie było zjawiskiem rzadkim. Treitschke z uznaniem podkreślał, że reorganizator armii pruskiej po klęsce jenańskiej, Scharnhorst, chociaż chłopskiego pochodzenia, rozumiał, że pomiędzy oficerem a żołnierzem musi być przedział społeczny. Korpus oficerski powinien łączyć ten sam poziom społeczny. Prości żołnierze czują rzekomo większy respekt przed oficerem–szlachcicem niż przed zwierzchnikiem równego z nimi pochodzenia. Miała to, zdaniem Treitschkego, wykazać wojna 1870/71 r. Oficerowie francuscy bowiem, wśród których było wielu dawnych podoficerów, nie zdobyli sobie należytego autorytetu.

W początkach panowania Wilhelma I, w okresie konfliktu pomiędzy burżuazją a junkrami, tzw. konfliktu konstytucyjnego, istniały w wojsku silne tendencje do ograniczenia liczby oficerów pochodzenia nieszlacheckiego. Takie stanowisko reprezentował m. in. szef królewskiego gabinetu wojskowego Edwin von Manteuffel. Uważał on, że tylko oficer-szlachcic daje gwarancję, iż na wypadek rewolucji będzie działał energicznie i nie zawaha się wydać rozkazu strzelania do ludu. Proces wszakże zajmowania stanowisk oficerskich przez nieszlachtę zaszedł wówczas już dość daleko. W 1865 r. rzecznik armii oświadczył w sejmie pruskim, że na 8169 oficerów tylko 4172 było pochodzenia szlacheckiego. Co prawda, na samym szczycie korpusu oficerskiego, pośród generałów i pułkowników, przeszło 80% była to szlachta. Zjawisko opanowania armii przez żywioły mieszczańskie, zahamowane podczas konfliktu konstytucyjnego, postępowało jednak dalej. W marcu 1890 r. Wilhelm II wydał rozkaz, w którym stwierdzał, że „szlachta z urodzenia” nie może już, jak dawniej, domagać się wyłącznego przywileju dostarczania wojsku oficerów. Dawać ich musi również i „szlachta z charakteru” (*Gesinnungsadel*).

W 1913 r., ostatnim roku przed wojną, zaledwie 30% korpusu oficerskiego jako całości, a 52% generałów i pułkowników było pochodzenia szlacheckiego.

Generał Hans von Beseler, uszlachcony mieszczanin, dowodził, że „korpus oficerski, jako kierownik całego narodu w najpoważniejszych dla niego chwilach, musi mieć zapewnioną i poza tym pewną kierującą ro-



łę. Już z tego więc wynika konieczność uzupełniania go wyłącznie z tych warstw narodu, które wyróżniają się w dziedzinie wychowania oraz stanowiska towarzyskiego”. A nieco dalej pisał Beseler: „Na pytanie, kto powinien zostać oficerem, nie można lepiej odpowiedzieć niż słowami Waszyngtona: «gentleman», wszystko jedno czy szlachcic, czy nieszlachcic. Decyzję, bliższe określenie tego pojęcia należy pozostawić dowódcy pułku, a następnie jego korpusowi oficerskiemu”.

Pomimo coraz liczniejszego wkraczania mieszczan do korpusu oficerskiego wpływy szlachty pozostawały nadal silne. Oficerowie mieszczańscy mieli trudności przy otrzymywaniu stanowisk w sztabie, w świątyni dowódców nie byli dopuszczani do świty cesarza i innych władców niemieckich. Ponieważ były to jedyne stanowiska dające oficerowi szansę awansu w sposób wyjątkowy i przyspieszony, tą drogą utrzymywano przewagę liczebną szlachty na najwyższych szczeblach w armii.

Stosunek pomiędzy liczbą oficerów szlacheckiego i nieszlacheckiego pochodzenia nie był już wszakże w erze imperializmu sprawą istotną. Zbliżenie junkrów i wielkiej burżuazji, pomimo występujących niekiedy między nimi konfliktów nieantagonistycznych, poszło już bardzo daleko. Interes wielkiej burżuazji nakazywał popieranie armii, domagał się jej wzrostu, jej silnego uzbrojenia. Obawy przed rewolucją, przed rosnącymi wpływami socjaldemokracji były tak samo żywe w pałacach i dworach junkrów, jak w bankach, w zarządach fabryk i wielkich przedsiębiorstwach handlowych. Armię - narzędzie wielkomocarstwowej polityki Rzeszy

wilhelmińskiej - popierali i junkrzy, i wielka burżuazja. Zarówno dla junkrów, jak dla wielkiej burżuazji niezbędna była armia - gwarancja utrzymania ustroju politycznego i społecznego. I nikt już nie wyrażał wątpliwości - jak to było w połowie XIX w. - czy korpus oficerski wypełniony nieszlachtą zajmie w razie rewolucji stanowisko tak oddane koronie i porządkowi społecznemu, jak w roku 1848.

Armia była również narzędziem wpływów politycznych rządu. Rolę tę odgrywała w znacznej mierze poprzez Związki Wojskowych (*Kriegervereine*), do których należeli oficerowie i żołnierze po wyjściu ze służby czynnej. Była to potęga. Dość powiedzieć, że pruski „*Landeskriegerverein*” w 1910 r. łączył 16.533 związki lokalne i liczył 1.439.145 członków. „*Kyffhaeuserbund*” zaś wiązał 29.084 stowarzyszenia obejmujące przeszło 2 i pół miliona członków.

Statut związków dawnych wojskowych zabraniał im zajmować się polityką, ale zarazem nie dopuszczał do członkostwa osób o poglądach socjalistycznych, a nawet członków związków zawodowych. W Prusach nie uchodziło to bynajmniej za sprzeczność, socjaldemokratów bowiem poczytywano w kołach rządzących za stojących poza obrębem patriotycznego społeczeństwa. Ostrze swej akcji kierowały związki dawnych wojskowych głównie przeciwko socjaldemokratom, ale nie wyłącznie, godziło ono w ogóle w opozycję. Gdy podczas wyborów do parlamentu Rzeszy w 1907 r. Krajowy Związek dawnych wojskowych wydał manifest przeciwko katolickiemu Centrum, które kanclerz

Bülow określił jako „antynarodowe”, uznano to za rzecz naturalną; jedynie 20 związków w Nadrenii, grupujących katolików, odmówiło podpisania manifestu. Organizacjom tym odebrano prawo występowania ze sztandarami na uroczystościach, w praktyce było to ogromne utrudnienie działania. W tych samych wyborach w Hanowerze związki dawnych wojskowych odbywały zebrania o charakterze najzupełniej politycznym, przedwyborczym. Mówcy wzywali do zachowania wierności dla sztandaru, wskazywali, że większość rozwiązanego parlamentu podważała autorytet cesarza, wzywali do głosowania na narodowego liberała przeciwko welfowi. Opozycja uznała fakty te za naruszenie swobody głosowania i zażądała unieważnienia wyboru dwóch deputowanych narodowo-liberalnych. Parlament odrzucił jednak to żądanie. Stąd wniosek, że związkom wolno było prowadzić akcję polityczną, jeżeli szły na rękę rządowi.

Takie nastawienie związków dawnych wojskowych niosło, rzecz prosta, poważne utrudnienie działalności stronnictw opozycyjnych, ale nie mogło jej powstrzymać. Stale rosnące wpływy socjaldemokracji, wzrost liczby głosów zdobywanych przez nią w każdym wyborach do parlamentu Rzeszy, wszystko to wskazuje, że znaczna liczba członków związków dawnych wojskowych rzucała do urn wyborczych głosy na kandydatów socjaldemokratycznych. Metody przymusu i nacisku także w tym przypadku okazały się zawodne.

Stanowisko oficera rezerwy było trudniejsze niż żołnierza. Pokazuje to instruktaż oficerski. „Oficerowi

rezerwy nie wolno się łączyć z partią, która stoi w opozycji do rządu naszego cesarza lub któregoś z władców krajowych. (...) Jako oficer jest on w staroniemieckim znaczeniu tego wyrazu «człowiekiem» swego cesarskiego pana”. W praktyce nie pozwalało to na wiązanie się oficerów rezerwy nie tylko ze stronnictwami opozycyjnymi, ale i z wszelkim ruchem opozycyjnym. Ci, którzy o tym przykazaniu zapominali, musieli to gorzko odpokutować. Wyłączano ich ze związku, niekiedy usuwano z zajmowanych stanowisk. Głośna była w całych Niemczech przygoda, która w 1885 r. spotkała ks. Schönaich–Carolatha. Heinrich książę zu Schönaich–Carolath, rittmeister *à la suite* w 15 pułku huzarów, dziedziczny członek pruskiej Izby Panów, a zarazem poseł do parlamentu Rzeszy, ośmielił się głosować przeciwko rządowi w sprawie, którą interesował się sam cesarz. W rezultacie książę został skreślony z listy oficerów; dopiero usilne zabiegi różnych niemieckich książąt krwi i arystokratów doprowadziły po pewnym czasie do przywrócenia mu stopnia oficerskiego.

Wielki pan dzięki swym stosunkom i swej pozycji społecznej i towarzyskiej zdołał się ostatecznie uchronić od przykrych konsekwencji swych niezależnych poglądów, ale ludzie nie tak wysoko ustosunkowani i nie tak majątni nie wychodzili równie gładko z opresji.

Troska o zachowanie autorytetu korpusu oficerskiego i w ogóle armii w społeczeństwie stale towarzyszyła wszelkim poczynaniom władz państwowych, cywilnych i wojskowych. Tak więc przyjęto zasadę, że

w każdej sprawie sądowej, w której występował oficer, i to nie tylko jako oskarżony, ale również jako świadek, stosowano z reguły zasadę drzwi zamkniętych. Rzecz prosta, że każdą sprawę, w której oficer był czy mógł być skompromitowany, dzienniki prawomyślne pokrywały zupełnym milczeniem. Wiadomości o tym można było zaczerpnąć wyłącznie z pism socjaldemokratycznych, przede wszystkim z dziennika „Vorwaerts”, oraz z niektórych pism o odcieniu postępowym, jak „Berliner Tageblatt” czy „Berliner Zeitung am Mittag”. Ale i tam informacje tego typu były zawsze niezwykle krótkie. Gdy chodziło o sprawy przynoszące ujmę honorowi osobistemu, jak np. oszustwo, oskarżonych nazywano zawsze „byłymi oficerami”, gdyż władze wojskowe usuwały ich z armii przed rozpoczęciem procesu. Przesłębstwa zdarzały się we wszystkich krajach i niewątpliwie wszędzie mogli się znaleźć oficerowie, którzy weszli w kolizję z kodeksem karnym. W wielu krajach wypadki takie nabierały rozgłosu i czasami prowadziły do obniżenia autorytetu armii, w Niemczech przechodziły ledwo zauważone.

Pułkownik Maurice Pelle, francuski attaché wojskowy w Berlinie, podał w raporcie z 31 lipca 1912 r. nieco skandalicznych szczegółów z życia oficerów, które właśnie zdarzyły się w Niemczech, i dodał melancholijnie: „Gdyby we Francji zdarzyła się piąta część tego, co raportowałem, jakże długa seria napaściwych artykułów ukazałaby się na łamach naszych dzienników! Jakie ataki skierowano by przeciwko na-

szemu korpusowi oficerskiemu! Jak prasa niemiecka pisałaby o dekadencji armii francuskiej!”.

Kult munduru występował w Niemczech powszechnie. Charakterystyczny był pod tym względem ceremoniał otwierania przez monarchę sesji parlamentu. Cesarz wchodził na salę zamkową, gdzie go oczekiwali posłowie, poprzedzany przez orszak dygnitarzy wojskowych, którzy nieśli koronę, berło i miecz. Gdy cesarz zasiadł na tronie, generałowie stawali po jego prawej stronie, kanclerz zaś, sekretarze stanu i przedstawiciele niemieckich państw związkowych po lewej. Przedstawicielom armii przyznawano pierwsze miejsce, władzom cywilnym tylko drugie. Pośród dygnitarzy cywilnych zresztą zwracały uwagę liczne mundury oficerskie. Według starego pruskiego zwyczaju bowiem największym zaszczytem, którym monarcha mógł wyróżnić dygnitarza cywilnego, było powołanie go do szeregów. Nie tylko Bismarck pokazywał się chętnie w kirasjerskim mundurze. O honor noszenia munduru ubiegało się wielu. Znamienna jest kariera wojskowa kanclerza Bethmanna. Theobald von Bethmann Hollweg po odbyciu jednorocznej służby ochotniczej wyszedł z wojska w stopniu podporucznika rezerwy. Jako oficer rezerwy awansował w miarę posuwania się w hierarchii cywilnej. Jako prezydent prowincji brandenburskiej został porucznikiem, jako sekretarz stanu spraw wewnętrznych Rzeszy otrzymał nominację na kapitana. Gdy cesarz powołał Bethmanna na stanowisko pierwsze w hierarchii cywilnej, na stanowisko kanclerza Rzeszy, mianował go zarazem majorem *à la suite*

gwardii. Po dwóch latach kanclerstwa został Bethmann Hollweg generałem brygady.

Świadectwem potęgi munduru w Niemczech wilhelmińskich jest najzupełniej autentyczna historia kapitana z Koepenick, przybrana przez Carla Zuckmayera w formę dramatu czy komedii. Były przestępca, nie mający żadnych dokumentów, gdy przebrał się w mundur, mógł sobie na wszystko pozwolić. Któż śmiałby go pytać o dokumenty, o pełnomocnictwa?

Ludzie w mundurze byli to przecież „ludzie pierwszej klasy” (*erstklassige Menschen*). Jak wyglądał kraj, w którym nadawali oni ton w życiu, najlepiej powiedzą nam naoczni świadkowie. „Wygląd Berlina miał przy tym coś teatralnego - opowiada Ignacy Paderewski o stolicy Niemiec w ostatnich latach panowania Wilhelma I - wszystko nosiło piętno wojskowe. Mundury panowały wszędzie. Między oficerami a ludnością cywilną wyczuwało się pewien antagonizm. Mimo to stale zauważyć można było ludzi skwapliwie ustępujących miejsca na trotuarze oficerom. W ten sposób podkreślało się ich wyższość. Było to zabawne, ale poczciwa ludność niemiecka przyzwyczaiła się to tego i w krew jej najwidoczniej już weszło poczucie niższości wobec wojska”<sup>14</sup>. Podobne wrażenie odniósł nad Sprewą kilka lat wcześniej pisarz rosyjski Gleb Uspienski. „Oto stoi Berlin w takim drylu żołnierskim, o jakim u nas pojęcia nie mają (...) Pałasze, ostrogi, hełmy, wąsy, dwa palce przy daszku, pod którym w ciasnym kołnierzyku tkwi zadowolona z siebie gęba zwycięzcy, spotyka się na każdym kroku, co chwila: tu salutują,

tam zmieniają wartę tam znowu jak w napadzie wariactwa coś wyprawiają z karabinami, po czym z dumną miną dokądś maszerują (...) Lecz najistotniejsze - to absolutne przeświadczenie o swojej ważności". Eduard Benes, który latem 1908 r. odwiedził Berlin, wyjeżdżał przygnębiony, widząc „przemianę życia publicznego w prawdziwą maszynę pod naciskiem dyscypliny pruskiej, atmosferę przymusu, decydującego wszędzie wpływu kasty wojskowej, junkrów i urzędników”.

Potęga, państwo w państwie, jakim była armia niemiecka, musiała wywierać wpływ poważny na bieg spraw w Rzeszy zarówno w dziedzinie polityki wewnętrznej, jak i zagranicznej.

Nad polityką wewnętrzną ciążyła armia w sposób bezwzględnie reakcyjny - przejawiało się to w obronie istniejącego porządku i walce z socjaldemokracją.

Generał Alfred von Waldersee 22 stycznia 1897 r. tłumaczył Wilhelmowi II, że starcie z socjaldemokracją jest nieuniknione, że im prędzej nastąpi, tym lepiej dla państwa, gdyż „partia wywrotowa” coraz bardziej rośnie w siły. Nie można pozwolić, aby przywódcy socjalistyczni sami mieli możliwość wybrania chwili rozpoczęcia walki. I dodał znamienne słowa: „Drugie pokolenie rodziny socjaldemokratycznej przyniesie pod sztandary idee przewrotu”. Waldersee domagał się uchwalenia praw, które by utrudniały organizowanie się mas robotniczych, a przede wszystkim pozwalały na wydalanie z kraju agitatorów socjalistycznych.

Nie doszło wówczas do zamachu stanu, do krwawej rozgrywki z klasowym ruchem robotniczym. Nie



można wszakże pruskiej generalicji obarczać odpowiedzialnością za to. Sprawa ograniczyła się do uchwalenia w dniu 15 maja 1897 r. przez sejm pruski noweli do ustawy o stowarzyszeniach i zgromadzeniach, tzw. małej ustawy socjalistycznej.

Według danych wywiadu francuskiego, w samej armii niemieckiej, w przeciwieństwie do tego, co się działo we Francji, nie było agitacji socjalistycznej i antymilitarystycznej. Nie dopuściłaby do tego ostra pruska dyscyplina. Jeden z niemieckich oficerów piechoty, nie pozbawiony pewnych zainteresowań kwestią społeczną, wyjaśnił francuskiemu *attaché* wojskowemu w Berlinie, pułkownikowi de Laguiche, że młodzi Niemcy swe przekonania socjalistyczne pozostawiają „poza bramą koszar wraz z cywilnymi ubraniami”. Po wyjściu z wojska przywdziewają ją z powrotem i jednocześnie powracają do swego światopoglądu. Dotyczyło to oczywiście zdecydowanych socjalistów, którzy albo rezygnowali z zapisywania się do związków dawnych wojskowych i płynących stąd korzyści, albo też wstępując do związków maskowali się nadal. Z uwagi na swoistą politykę komisji rekrutacyjnych, o której była mowa wyżej, rekruci o wyraźnie skryształizowanych przekonaniach socjalistycznych znajdowali się niewątpliwie w mniejszości.

Generalicja pruska więc przed wybuchem pierwszej wojny światowej nie widziała w najbliższej przyszłości niebezpieczeństwa rozluźnienia dyscypliny w armii. Lękała się wszakże zmiany nastrojów w społeczeństwie. Socjalizm godził przecież w same podsta-

wy pruskiego militarizmu, a że zdobywał w Niemczech coraz liczniejsze rzesze zwolenników, musiał budzić w kołach wojskowych silne zaniepokojenie. Ustawiczny wzrost wpływów socjalistycznych w narodzie kazał przypuszczać, że w społeczeństwie nastąpi zmiana dotychczasowych nastrojów, że osłabnie autorytet władzy, ulegnie obniżeniu autorytet armii, że zblaknie urok munduru.

W sposób bezwzględny ciążyła również armia nad polityką zagraniczną Rzeszy, przyczyniając się wydatnie do nadania jej charakteru posunięć nieprzemyślnych i agresywnych.

Przygotowanie i prowadzenie wojny wiąże się ściśle z polityką zagraniczną, ale wojna służyć ma polityce, a nie odwrotnie. Stąd wniosek, że ostateczne decyzje polityczne należą do władzy cywilnej, do rządu, a nie do armii. Nie zawsze tego w Niemczech przestrzegano; zwłaszcza po odejściu z rządu Bismarcka, a z dowództwa Moltkego starszego, generalicja coraz silniej wkraczała w dziedzinę polityki, wymuszając na rządzie - bez zwracania uwagi na konsekwencje polityczne - a nawet narzucając mu agresywne działania w stosunku do innych państw.

W erze tzw. pokoju zbrojnego wszystkie państwa imperialistyczne, wprowadzając wyścig zbrojeń, wносиły w życie międzynarodowe niepokoje i szły ku wojnie, ale prym dzierżyły tu niewątpliwie Niemcy.

Powiększenie armii zwykle pociągało dla Niemiec skutki ujemne. Wniosek o podwyższenie stanu liczebnego wojska, przedstawiony parlamentowi na żądanie

generalicji przez kanclerza Capriviego w listopadzie 1892 r., przyczynił się do zbliżenia Rosji i Francji i przyspieszył zawarcie sojuszu rosyjsko–francuskiego. Zabiegi sztabu o wzmocnienie armii, podejmowane od jesieni 1912 r., zakończone uchwałą parlamentu w dniu 3 lipca 1913 r., wywołały wzrost napięcia w stosunkach międzynarodowych i znajdowały się w rzędzie bezpośrednich przyczyn wybuchu pierwszej wojny światowej. Do przyczyn wielkiego konfliktu zbrojnego lat 1914–1918 należał również zapoczątkowany w 1898 r. przez marynarkę niemiecką wyścig zbrojeń morskich z Wielką Brytanią. Oczywiście ani wojsko, ani marynarka nie były jedynymi czynnikami popychającymi Niemcy na drogę wyścigu zbrojeń, ale odegrały w tej mierze poważną rolę.

Sztab usiłował również, na ogół z powodzeniem, nadzorować kierownictwo polityki zagranicznej i dyktować mu jego posunięcia.

Metodę tę scharakteryzował bardzo trafnie niemiecki *attaché* morski w Londynie, kapitan korwety E. von Müller, w liście z 24 września 1912 r. do admirała Alfreda Tirpitz: „... Doświadczenie mówi, że dyplomaci atramentowi chcąc coś osiągnąć, rozpoczynają od udzielania koncesji, a ponieważ Anglia nic nigdy nikomu za darmo nie daje, nawet tego, czego sama nie posiada, trzeba dawać baczenie, aby nasza dyplomacja nie zajęła stanowiska, którego my - marynarka cesarska - nie będziemy mogli akceptować”.

Metodę akceptowania czy nieakceptowania lub wprost żądania i nakazywania stosowała armia nie-

miecka wobec kanclerza i wobec Urzędu Spraw Zagranicznych na ogół z powodzeniem. W latach pierwszej wojny światowej, zwłaszcza za kwatermistrzostwa Ludentdorffa, było to już regułą.

Różne właściwości charakteryzujące militarizm niemiecki odnajdujemy i w innych krajach, w Niemczech wszakże wystąpiło ich wyjątkowo silne nagromadzenie, to zaś na gruncie specyfiki imperializmu niemieckiego sprawiło, że militarizm pruski i niemiecki był wyjątkowo szkodliwy dla wewnętrznego rozwoju narodu niemieckiego i niebezpieczny dla świata.

Korpus oficerski pruski charakteryzowała wielka pewność siebie i lekceważenie przeciwnika. Takie poglądy szerzyły się też w społeczeństwie cywilnym. Armię francuską uważano za stojącą na poziomie niższym niż niemiecka. Gazeta „Deutsche Nachrichten” pisała 19 sierpnia 1909 r.: „Czy mamy drzeć przed armią, której korpus oficerski podzielony jest na dwa obozy, której dyscyplina została zniweczona, a żołnierze w znacznej części są niezdatni do służby wojskowej”? Najmniejszy przejaw braku dyscypliny w armii francuskiej był przedmiotem szerokich nieraz informacji w całej prasie niemieckiej, także i w małych pismach o charakterze lokalnym. Informacjom towarzyszyły lekceważące nieprzychylnie komentarze. Różne agencje telegraficzne, subwencionowane przez Wilhelmstrasse, rozpowszechniały po świecie, zwłaszcza w Rosji, wiadomości dyskwalifikujące armię francuską. Zarówno w wojsku, jak i w szerokich kołach społeczeństwa panowało przekonanie, że armia niemiecka, silniejsza li-

czebnie, bardziej zwarta moralnie i lepiej wyszkolona, w krótkim czasie silnym uderzeniem pokona armię francuską. Rosję wciąż uważano za nieprzygotowaną do wojny. Wielką Brytanię jako siłę wojskową lekceważono zupełnie.

Francuski *attaché* wojskowy w Berlinie podpułkownik Pelle raportował 28 kwietnia 1910 r.: „Taki stan umysłów jest czynnikiem, który w polityce trzeba brać pod uwagę. Z wojskowego punktu widzenia będzie to w początkach wojny czynnik siły: może być wszakże źródłem słabości, jeśli wypadki nie odpowiedzą oczekiwaniom żołnierza”.

Można było się spotkać również z głosami pochlebnymi o armii francuskiej, ale ukazywały się one najczęściej w pismach specjalistycznych i nie docierały do szerszej publiczności. Często zresztą odzwierciedlały nie tyle poglądy autorów, ile dążenia dowództwa do uzyskania nowych kredytów na cele wojskowe.

Jaka była struktura tej armii, której tyle słów zostało poświęconych? Armia niemiecka składała się z czterech kontyngentów: 1) kontyngent pruski, obejmował także pomniejszych kraje Rzeszy, 2) bawarski, saski i wirtemberski. Wodzem naczelnym podczas wojny i pokoju był cesarz. Nad wojskiem bawarskim dowództwo sprawował król, ale tylko w czasie pokoju; pomiędzy armią bawarską a armiami innych państw związkowych występowały też niewielkie różnice w umundurowaniu.

Żołnierze składali przysięgę nie na konstytucję, przysięgali wierność cesarzowi i zobowiązywali się

bezwzględnie wykonywać jego rozkazy; wojskowych bawarskich obowiązywało to jedynie w czasie wojny.

Cesarz kierował wszystkimi sprawami wojska i marynarki; w wykonywaniu tych zadań posługiwał się dwoma niejako instytucjami: pruskim szefem sztabu generalnego armii lądowej i niemieckim szefem sztabu admiralicji. Na mocy cichego porozumienia ustalono, że w sprawach wspólnie prowadzonej wojny lądowej i morskiej głos rozstrzygający przysługiwać będzie szefowi sztabu generalnego armii lądowej. Szef sztabu miał prawo wydawania rozkazów operacyjnych w imieniu cesarza - naczelnego wodza. Administracją armii kierowało pruskie Ministerstwo Wojny, administracją marynarki wojennej Urząd Marynarki Rzeszy. Sprawy wojska i marynarki nie podlegały przedstawicielstwu narodowemu, wywierało ono czy raczej mogło wywierać pewien wpływ na kwestie wojskowe, gdyż przysługiwało mu prawo uchwalania budżetu armii i marynarki oraz wysokości kontyngentu rekruta. Z ramienia sił zbrojnych występowali w parlamencie pruski minister wojny i sekretarz stanu Urzędu Marynarki Rzeszy. Ważną instytucją, zależną tylko od cesarza, był gabinet wojskowy; w skład tego gabinetu wchodził wydział personalny.

W 1913 r. armia niemiecka składała się z 51 dywizji i liczyła 666 tys. ludzi, w tym 27 tys. oficerów. Ustawa z 3 lipca 1913 r. stanowiła powiększenie sił zbrojnych do jesieni 1914 r. do 800 tys. ludzi, w tym 30 tys. oficerów, i do jesieni 1915 r. wzrost do 900 tys.

Pozostawało sprawą otwartą, czy w razie wojny cesarz Wilhelm, zgodnie z tradycjami domu Hohenzollernów i wielu innych dynastii, obejmie osobiście naczelne dowództwo armii. Pewien Niemiec, niesłużący w wojsku, mówił francuskiemu *attaché* wojskowemu podpułkownikowi Pellemu, że Wilhelm na czele wojsk niemieckich to wielka szansa dla Francuzów, to tak jak gdyby armia francuska pozyskała milion żołnierzy więcej.

Obawy były zbyt duże, Wilhelm, *der oberste Kriegsherr* (najwyższy pan wojny), nie odważył się sięgnąć po laury wodza.

## **16. Armia austro–Węgierska**

Armia austro–węgierska, armia cesarska i królewska (*kaiserlich und königlich*, k. u k. - c. i k.), oraz cesarsko–królewska obrona krajowa, czyli rezerwa (*kaiserlich königliche Landwehr*, k.k. - c.k. ) oraz królewsko–węgierska (*királyi magyar honvéd*) odzwierciedlała, chociaż niezupełnie dokładnie, wielonarodowościowy charakter monarchii Habsburgów.

Według spisu ludności monarchii, przeprowadzonego w 1910 r., żyły tam następujące narodowości:

Niemcy 12 010 669

Węgrzy 10 067 992

Czesi i Słowacy 8 465 292

Polacy 5 019 496

Rusini 3 998 872

Chorwaci i Serbowie 5 545 531

Słoweńcy 1 349 222

Rumuni 3 224 755

Włosi 804 271

Inni 252 2031

W wojsku stosunki narodowościowe przedstawiały się następująco. Na tysiąc żołnierzy było:

Niemców 267

Węgrów 223

Czechów 135

Polaków 85

Rusinów 81

Chorwatów i Serbów 67

Rumunów 64

Słowaków 38

Słoweńców 26

Włochów 14

W korpusie oficerskim i podoficerskim stosunki układały się nieco inaczej - trzy czwarte oficerów to Niemcy i Węgrzy. Pośród podoficerów wyższy niż pośród szeregowych procent stanowili Czesi. Czechów sporo też było w służbie tyłowej, w kancelariach, służbie sanitarnej.

Wielonarodowościowy, mieszany charakter c. i k. armii nie ujawnił się w braku spoistości wewnętrznej i w obniżeniu wartości bojowych, jak tego spodziewali się niektórzy ówczesni obserwatorzy, a w każdym razie nie ujawnił się od razu. Nastąpiło to dużo później, w miarę przedłużania się wojny, w miarę narastania



nieszczęść, które niosła ona z sobą, w miarę coraz większych i częstszych niepowodzeń na polach bitew. Nad spoistością armii czuwał korpus oficerski i podoficerski, wychowany w staroautriackich, czarno–żółtych tradycjach. Językiem komendy był język niemiecki; rekrutom nieniemieckim, pochodzącym z odległych prowincji monarchii i władającym własną tylko mową, polską, ukraińską, słowacką, słoweńską czy rumuńską, nie mogło to sprawiać znaczniejszych trudności - aby rozumieć komendę wystarczało znać około 60 wyrazów niemieckich.

Mobilizacja odbyła się gładko i spokojnie, oporów ze strony ludności nie było nigdzie. Znaczący historyk Austrii Henryk Wereszycki mówi nawet o „Mało dla potomnych zrozumiałym entuzjazmie”, który „ogarnął całe państwo”. W Pradze w demonstracji przed konsu-  
latem niemieckim na początku sierpnia 1914 r. wzięli udział nie tylko Niemcy, ale i Czesi. Trudności, jakie wystąpiły tu i ówdzie, wynikały z winy władz wojskowych bądź cywilnych, a nie ze sprzeciwu poborowych. Zapewne we wszystkich krajach monarchii można było zaobserwować zjawisko, które dostrzegł w Krakowie polski działacz ludowy Jan Dąbski. „Sympatia tłumów dla Austrii była duża - pisał Dąbski - żołnierzy w mundurach austriackich uważano za swoich i jak swoich traktowano”.

Z niemałą zręcznością i znajomością psychiki narodowej organizowano poszczególne pułki i wyznacza-  
no im zadania bojowe. Tak więc pułki, w których większość stanowili Słowianie południowi, rzucano prze-

ciwko Włochom, Węgrów, Niemców, a także Chorwátów przeciwko Serbom, Polacy, Niemcy, Węgrzy walczyli przeciwko wojskom cara. Największą w c. i k. armii roztropnością wyróżniali się Czesi; planowa wszakże, antypaństwowa akcja czeska rozwinęła się dopiero w ostatnich fazach wojny. Wprawdzie już w kwietniu 1915 r. prawie cały pułk piechoty czeskiej oddał się w niewolę rosyjską, ale trudno uważać czyn ten za wyraz orientacji prorosyjskiej, a antyaustriackiej. Była to wrodzona dzielnym rodakom walecznego wojaka Szwejka powściągliwość i niechęć do ryzyka.

Koła kierujące monarchią zdawały sobie sprawę z trudności i niebezpieczeństw, które powoduje wielonarodowościowy charakter armii. Szukano więc środków zaradczych; najważniejsze było wychowanie korpusu oficerskiego i podoficerskiego w bezwzględnej lojalności, więcej - w głębokim przywiązaniu do osoby cesarza-króla uosabiającego państwo.

Conrad von Hötzendorf uważał, że „w armii państwa narodo i wyznaniowe niejednolitego duch wojskowy (*militärischer Geist*) zastąpić musi wszystko pozostałe”. Szczególnie w korpusie oficerskim niezbędny jest „duch wojskowy”. Oficera powinna cechować rycerskość i „dumna świadomość stanowia”. Początki wychowania w tym kierunku dać musi już szkoła. Oficer musi zajmować w społeczeństwie stanowisko wyjątkowe. Żołnierze, których prowadzić będzie do boju, muszą już w czasach pokojowych widzieć w nim człowieka wyższej miary. Oficerowi należy dać w wojsku

wyraźne pierwszeństwo przed urzędnikami, wojskowymi, intendentami, weterynarzami itp.

Zdaniem Ludendorffa w armii austro-węgierskiej nie przywiązywano dostatecznej wagi do umocnienia karnośći wojskowej. Równocześnie „c. i k. sztab generalny zbyt duży nacisk kładł na prace teoretyczne, a daleki był od armii. Zbyt wiele rozkazywano z góry, a tłumiono radość płynącą z samodzielnego działania”.

Spośród sześciu wielkich mocarstw europejskich Austro-Węgry najmniej dbały o rozwój swych sił zbrojnych. Monarchia Habsburgów pod względem ilości mieszkańców trzecia w Europie po Rosji i po Niemczech wydawała na cele wojskowe mniej więcej czwartą część tego, co na te cele przeznaczały Niemcy i Rosja, mniej więcej trzecią część tego, co na swą marynarkę i armię wydawała Wielka Brytania. W wysokości budżetu wojskowego Austro-Węgry dały się prześcignąć nawet Włochom.

Więszymi staraniami otoczono armię dopiero w ostatnich latach przed wybuchem wojny. Baczną uwagę zwrócono na artylerię, której dostarczyły główne zakłady Škody w Czechach, m.in. wprowadzono w użycie w 1911 r. 30,5 centymetrowe moździerze. Moździerz ten, przeznaczony pierwotnie do bombardowania fortu, był później używany z dobrym skutkiem w artylerii polowej. Rozszerzono sieć kolejową w Karpatach, w Alpach i w Bośni, aby przyspieszyć i ułatwić mobilizację, rozbudowano twierdze w Krakowie i Przemyśle, umocnienia na linii Dunaju oraz w Tyrolu Południowym i w Karyntii. W lipcu 1912 r. podniesio-

no roczny kontyngent rekruta o 75 tys., w marcu 1914 r. jeszcze o 25 tys., ze 175 tys. na 200 tys. Armia austro-węgierska liczyła w 1913 r., w warunkach pokoju, 425 tys. ludzi.

Administrację wojska prowadziło wspólne cesarskie i królewskie ministerstwo wojny (*Kaiserliches und Königliches Kriegsministerium*) oraz ministerstwa obrony kraju cesarsko-królewskie dla austriackiej części monarchii i królewsko-węgierskie dla krajów Korony św. Stefana. Nominalnym wodzem był cesarz Franciszek Józef, generalnym inspektorem armii arcyksiążę następcą tronu Franciszek Ferdynand. W czasie wojny nominalne dowództwo sprawował arcyksiążę Fryderyk, osobistość zupełnie przeciętna, którą cesarz powołał na czoło armii ze względów dynastycznych; mógł tak uczynić z całym spokojem, gdyż faktycznym wodzem był do wiosny 1917 r. szef sztabu feldmarszałek Franz Conrad von Hötzendorf.

Marynarka austro-węgierska, podlegająca wspólnemu ministerstwu wojny, miała znaczenie drugorzędne. Budowa czterech nowych wielkich okrętów wojennych nie powiększyła w sposób istotny potęgi monarchii na morzu.

## 17. Armia francuska

Waterloo i ostateczna klęska Napoleona nie zachwiały wiarą w siebie narodu francuskiego i jego zaufaniem do własnej armii. Wiarą tą zachwiał dopiero rok 1870. Wtedy to w znamienny sposób zmienił się też stosunek do wschodniego sąsiada. Dotychczasowe lek-

ceważenie Prusaków ustąpiło miejsca podziwowi dla zalet narodu niemieckiego i jego talentów organizacyjnych. Ernest Renan pisał: „Zwycięstwo Niemiec było zwycięstwem wiedzy i rozumu” i dodał: „Prusy są najlepszym wzorem”, a stąd wniosek, że „trzeba nam ustawy wojskowej wzorowanej na ogólnych założeniach systemu pruskiego”. Istotnie armię zawodową II Cesarstwa zastąpiono armią powstałą z poboru. W latach 1872, 1873, 1875 uchwalono ustawy wprowadzające we Francji obowiązek powszechnej służby wojskowej. Postawiony wtedy zrąb organizacji armii przetrwał w swej zasadniczej treści do pierwszej wojny światowej. Według ustawy z 1872 r. służba czynna w szeregach trwała pięć lat, w 1889 r. obniżono ją do trzech, w 1905 r. do dwóch lat. W 1875 r. utworzono Wyższą Szkołę Wojenną (*L'Ecole Supérieure de Guerre*), mającą przygotowywać kadry oficerów sztabowych.

Reforma wojskowa, wprowadzająca obowiązek powszechnej służby wojskowej, miała na celu nie tylko postawienie na wysokim poziomie obronności kraju po przegranej wojnie z Niemcami; po doświadczeniach Komuny szło także o wzmocnienie dyscypliny społecznej w społeczeństwie rządzonym przez burżuazję. Generał Louis Trochu mówił wówczas: „Przywracamy dyscyplinę wojskową z myślą i w nadziei, że jej następstwem będzie dyscyplina społeczna”. Adolf Thiers pisał do hr. Charlesa de Saint Vallier: „Mamy charakter niesforny, który można poskromić tylko przez dyscyplinę wojskową”. W Niemczech uważano, że 2 lub 3

lata służby w szeregach wystarczają, aby wyćwiczyć ciało i wyrobić charakter, we Francji żądano w tym celu początkowo pięciu lat.

Lata po klęsce przyniosły ogromne zainteresowanie sprawami armii i pozytywny, ciepły do niej stosunek. Uderza przede wszystkim, że przedstawiciele lewicy, opozycji republikańskiej, którzy za panowania Napoleona III wykazywali tendencje antimilitarystyczne i głosili hasła antimilitarystyczne, teraz zmienili zupełnie stanowisko. Jules Ferry niedługo po przegranej wspominał, jak to za cesarstwa on i jego przyjaciele polityczni niechętnie odnosili się do armii, jak myśleli o rozbrojeniu powszechnym, jak dążyli do utrzymania milicji narodowej, która by zastąpiła wojsko. Teraz po klęsce wszyscy byli dalecy od takich tendencji. „Ten kraj - mówił Ferry - widział wojnę 1870 r. i odwrócił się na zawsze od tych utopii niebezpiecznych i zwodniczych”.

Francja nie odwróciła się na zawsze od tych tendencji, miała to pokazać niedaleka przyszłość, ale na razie Ferry miał rację. Stary jakobinizm, wskrzeszony przez Gambettę i Rząd Obrony Narodowej, przybrał teraz dawne swe tradycyjne formy wojownicze, swe dawne oblicze.

Za III Republiki armia była bliższa Francuzom niż za Cesarstwa; nie była to już armia zawodowa, stanowiąca odrębne ciało w społeczeństwie. Była to armia, którą powszechny obowiązek wojskowy przybliżył w pewnej mierze przeciętnemu Francuzowi. Każda niemal rodzina miała syna lub bliskiego krewnego, któ-

ry szedł do wojska lub z wojska powracał. Rewie wojskowe, począwszy od 1880 r. stale urządzone 14 lipca w Paryżu i w miastach prowincjonalnych, budziły entuzjazm ludności. Pozycja oficera w społeczeństwie była silna. Kurtka czarna, granatowa lub błękitna, epolety, galony na rękawach, spodnie czerwone, na głowie kolorowe kepi z galonami, a w oku nierzadko monokl. Postać ta cieszyła się dużą popularnością. Charles de Gaulle na podstawie własnych wspomnień pisał w książce o armii francuskiej, że oficer „kocha swój zawód, który mu daje przywileje i autorytet. Żołd ma wprawdzie niewielki, ale cieszy się poważaniem. W życiu garnizonowym każdy okazuje mu szczególne względy. Kupcy żywią doń zaufanie. Jest on ośrodkiem uroczystości. Wszyscy cenią jego postawę. Sprzyjają mu kobiety. Rodziny chętnie biorą na zięcia tego człowieka honoru, o którym się mówi, że ma przyszłość, a w każdym razie stałe pobory a później emeryturę”.

Taki stosunek do armii budziły świeże, bolesne wspomnienia roku 1870, budziła idea odwetu, chęć odzyskania Alzacji i Lotaryngii. Rząd republikański wpływał umiejętnie na szerzenie się tych nastrojów w społeczeństwie.

Republikanie zwrócili baczną uwagę na szkołę. Patriotyzm i to właśnie w postaci wojowniczej zajął naczelną rolę w wychowaniu republikańskim. To był program szkolny opracowany i realizowany przez ministrów oświaty Julesa Ferry'ego i Paula Berta. Jednym z ważnych zadań szkoły było przygotowanie młodzieży do służby wojskowej, zarówno pod względem ideolo-

gicznym, jak i fizycznym. W ministerium wojny utworzono komisję edukacji militarnej, której przewodził poeta Paul Déroulède. Program szkolny ułożono tak, aby młodzież wciąż miała w pamięci i w sercu dawną chwałę wojenną Francji i niedawną klęskę. Aż do końca stulecia ogromna większość nauczycieli pozostała wierna duchowi nowej szkoły republikańskiej zaszczyconemu przez jej twórców Ferry'ego i Berta. Literatura młodzieżowa kultywowała patriotyzm i umiłowanie wojska. Patriotyczne „*Chants du Soldat*” („*Pieśni żołnierza*”) Déroulède'a miały w ciągu 6 lat 50 wydań.

Najsłynniejsza chyba z tych pieśni głosiła:

*„Dans la France que tout divise,  
Quel Français a pris pour devise:  
Chacun pour tous, tous pour l'Etat?  
Le soldat”.*

*„W tej Francji, którą wszystko dzieli,  
Któryż to Francuz wziął za dewizę:  
Każdy za wszystkich, wszyscy za państwo?  
To żołnierz”.*

Istotnie, różnice dzielące społeczeństwo francuskie były głębokie, wrzała walka o ustrój polityczny państwa, o utrwalenie czy o obalenie republiki. Ale milcząca umowa pomiędzy walczącymi obozami stawiała armię poza walką partii. Armia we własnym rozumieniu i w rozumieniu narodu była to La Grande Muette (Wielka Niema). Było to tym bardziej godne uwagi, że korpus oficerski wojsk III Republiki składał się



w ogromnej większości z monarchistów. W znacznie wyższej mierze niż za cesarstwa oficerowie wychodzili głównie z kręgów szlachty, wyższej i średniej burżuazji; do republikańskiego systemu rządów odnosili się niechętnie lub nawet wręcz wrogo, nierzadko manifestowali lekceważenie panującego ustroju, ale mieli silne poczucie legalizmu; nie było mowy o użyciu armii do obalenia rządów republikańskich. I w społeczeństwie, i w wojsku powszechne było przekonanie, że armia powinna być daleko od wszelkiej polityki. Nic się pod tym względem nie zmieniło w okresie bulanżyzmu. I w kręgach antybulanżystów i w szeregach bulanżystów rozróżniano wyraźnie awanturniczego generała i armię.

Ideologią, która pomimo znacznych nieraz różnic w jej ocenie łączyła armię i społeczeństwo, była *La Revanche*, idea odwetu za rok 1870 i odzyskanie Alzacji i Lotaryngii. Idea ta, żywa przez dwa mniej więcej dziesięciolecia po przegranej wojnie, straciła - jak się wówczas wydawało - na sile i atrakcyjności pod koniec XIX w. Armia stała się przedmiotem niechętniej a złośliwej satyry. W społeczeństwie wystąpiła niechęć, niekiedy wrogość do armii. Rozpoczął się pierwszy okres antymilitaryzmu - okres burżuazyjny.

W 1887 r. Abel Hermant ogłosił powieść „*Le Cavalier Miserey*”, pierwszą w literaturze francuskiej gorzką krytykę życia wojskowego. W panującej atmosferze kultu armii książka ta była prawdziwym skandalem. Ale teraz za nią poszły dalsze oskarżenia. W 1889 r. Lucien Decaves w powieści „*Les Sous-Off*” opowie-

dział tragiczną historię młodego podoficera, którego surowość świata wojskowego doprowadziła do samobójstwa. Powieść „*Le Colonel Ramollet*” („*Pułkownik Ramolski*”) ośmieszała oficera i jego poziom intelektualny. Emil Zola w głośnej „*La Débâche*”, ogłoszonej w 1892 r., rozwiewał legendę roku 1870.

Nieoczekiwanym, bolesnym ciosem, który ugodził w armię, a ściślej w korpus oficerski, była sprawa Dreyfusa - „*L’Affaire*”. Kapitan artylerii Alfred Dreyfus, Alzaczycy żydowskiego pochodzenia, niesłusznie posądzony o szpiegostwo na rzecz Niemiec, wyrokiem sądu wojennego został skazany na degradację, wydalenie z wojska i zesłanie na Wyspę Diabelską u wybrzeży Gujany Francuskiej. Gdy niebawem przemówiły dowody niewinności Dreyfusa, opinia publiczna zaczęła się domagać jego rehabilitacji. Sprzeciwiała się temu generalicja w obawie, że podważy to autorytet władz wojskowych. Nie rozumiała, że autorytet ten poderwie właśnie upór, w jakim trwała przy niesprawiedliwym wyroku.

Sprawa Dreyfusa w ostatnich latach XIX w. nie tylko podzieliła Francję na dwa ostro się zwalczające obozy, ale spowodowała gwałtowny atak na armię.

Burżuazja republikańska zdecydowała się skorzystać ze sposobności i zniweczyć wpływy rojalistyczne w korpusie oficerskim. Sytuacja w wojsku ułatwiała akcję godzącą w kierownictwo armii.

Za Drugiego Cesarstwa Francja miała armię zawodową, z wieloletnią służbą, armię odizolowaną od społeczeństwa, ale zwartą wewnątrz. Większość ofice-

rów wychodziła z awansu i składała się ze zdolniejszych, wysłużonych podoficerów, którzy awansowali właśnie dzięki tym zaletom. Stąd stosunki pomiędzy oficerami i żołnierzami były bliskie.

Inaczej było w okresie III Republiki. Obowiązywał już wówczas powszechny obowiązek wojskowy, kiedy żołnierz jedynie przez parę lat pozostawał w koszarach, oficerowie zaś wychodzili ze szkół oficerskich i w niewielkim tylko stopniu rekrutowali się z wysłużonych podoficerów. Stąd wyraźny przedział klasowy pomiędzy oficerem pochodzącym z ziemiańskiej szlachty czy burżuazji a szeregowym - synem chłopskim lub robotniczym.

W 1894 r. na łamach wpływowej, zachowawczej „Revue des deux Mondes” ukazał się artykuł pt. „*La rôle social de l'officier*” („*Społeczna rola oficera*”). Anonimowym autorem, podpisanym trzema gwiazdkami, był ówczesny kapitan strzelców, późniejszy marszałek Francji Hubert Lyautey. Lyautey krytykował istniejący przedział pomiędzy oficerem a żołnierzem i domagał się, aby oficer był nie tylko przełożonym, ale przede wszystkim wychowawcą żołnierza. Rzecz znamienna, że artykuł ten naraził autora na nieprzyjemności i karne zesłanie do prowincjonalnego garnizonu. Dopiero na początku XX w. zaczęto i w pewnym zakresie stosować w armii francuskiej program wysunięty przez Lyauteya.

W tym stanie rzeczy burżuazja republikańska postanowiła skorzystać ze sposobności, jaką nastęrczała sprawa Dreyfusa, i zniszczyć wpływy rojalistyczne

w korpusie oficerskim. Nie dopuszczano więc do awansów, a nawet usuwano ze służby oficerów o przekonaniach katolickich czy rojalistycznych; co więcej wprowadzono zasadniczą zmianę w sposobie powoływania na stanowiska wojskowe. Zniesiono dotychczasowy system kooptacji i mianowania przez generałów, oddano zaś nominacje oficerskie w ręce ministra wojny, zależnego od republikańskiej większości parlamentarnej.

Zarazem wzrastał antymilitaryzm, szerzący się w niektórych kołach inteligencji pracującej, przede wszystkim wśród nauczycieli szkół powszechnych. W pismach przeznaczonych dla nauczycieli wiele miejsca poświęcano atakom na armię i na wychowanie wojskowe. Żądano usunięcia z podręczników szkolnych opisów czynów wojennych, oddania dla szkół i szpitali kwot przeznaczonych na cele wojskowe, obalenia kolumny Vendôme. Wzywano matki, aby uczyły dzieci patrzeć na armaty i na karabiny, tak jak patrzymy na narzędzia tortur z dawnych wieków.

Na przełomie wieku XIX i XX ze znaczną siłą wystąpił antymilitaryzm robotniczy. W jego podsycaniu niepoślednią rolę odgrywała okoliczność, że rządy burżuazyjne przy tłumieniu demonstracji i rozruchów robotniczych posługiwały się nie tylko policją, ale częstokroć i wojskiem. W dniach strajków czy demonstracji robotniczych widywano, jak oddziały kawalerii przebiegały ulicami przedmieść robotniczych. Przed fabrykami i rezydencjami fabrykantów stały na warcie posterunki piechoty. Niekiedy dochodziło do krwawych starć wojska z robotnikami. (Fourmies w 1891 r., w Sa-

int–Etienne i w Châlons–sur–Marne w 1900 r., w Draveil i Villeneuve–Saint–Georges w 1908 r.). Stanowisko antymilitarystyczne zajęła Powszechna Konfederacja Pracy. Przy Giełdach Pracy, tj. lokalnych zrzeszeniach związków zawodowych powstawały *Caisses du sou des soldats et des insoumis* (Kasy groszowe żołnierzy i dezercerów). Miały one nieść pomoc uchylającym się od służby wojskowej, działaczom związkowym zaś powołanym do szeregów miały dostarczać funduszy potrzebnych dla propagandy w koszarach. Zapowiadano *grève militaire* (strajk wojskowy), tj. dezercję i rebelię w razie ogłoszenia mobilizacji. Kongres socjalistyczny w 1906 r. większością 488 głosów przeciwko 310 uchwalił: „Propaganda antymilitarystyczna i antypatriotyczna powinna być coraz silniejsza i coraz śmielsza”.

Ruch ten, dość hałaśliwy, nie miał wszakże poważniejszego znaczenia, liczba uchylających się od służby wojskowej była niewielka, sięgała najwyżej do 1,5%, gdy oficjalnie przewidywano możliwość 13% uchyleń.

Wszelkie przejawy niechęci do wojska, do korpusu oficerskiego rejestrowała skrzętnie prasa francuska. Powtarzano te głosy w prasie europejskiej, a ze szczególną starannością, wręcz z pasją uprawiali to Niemcy. Wszystkie dzienniki niemieckie, łącznie z drobnymi piśmami lokalnymi, podchwytywały najmniejszy przejaw braku dyscypliny w armii francuskiej i komentowały nieżyczliwie. Agencje telegraficzne rozprzestrzeniały takie wieści po całym świecie, zwłaszcza w sprzymierzonej z Francją Rosji.

Jest sprawą naturalną, że w wyniku takiego nastawienia Niemcy nie doceniali przeciwnika; podczas wojny przekonali się rychło, że armię francuską oglądali w krzywym zwierciadle.

Zjawiskiem groźnym były, a raczej mogły być, bo rzecz pozostała bez poważniejszych następstw, bunty w wojsku - w 1907 r. bunt w 17 pułku piechoty w Bézières i w 1910 r. rewolta rezerwistów w Nîmes.

Agitacja antymilitarystyczna w społeczeństwie francuskim, różne objawy niesubordynacji w armii obudziły czujność władz wojskowych. Jej wynikiem był słynny *Carnet B* - Karnet B, czyli lista osób, które należało uwięzić w chwili ogłoszenia mobilizacji. Jak zobaczymy, ani jedna osoba figurująca w Karnecie B nie znalazła się pod kluczem, a mimo to mobilizacja odbyła się bez przeszkód.

Tymczasem w obliczu napiętych stosunków międzynarodowych od czasu wojen bałkańskich coraz częściej zadawano sobie we Francji pytanie, jak w razie wojny armia francuska stawia czoła niemieckiej, liczebniejszej i lepiej przygotowanej materiałowo. Gdy Niemcy w latach 1911–1913 powiększyły armię, rząd francuski uznał za rzecz konieczną przywrócić służbę trzyletnią. Po dłuższej, burzliwej nieraz dyskusji Izba Deputowanych uchwaliła wniosek 19 lipca, a Senat zatwierdził 7 sierpnia 1913 r.

Ze strony społeczeństwa francuskiego był to wysiłek ogromny. Ale 60 milionów Niemców stało naprzeciw 40 milionów Francuzów. Od roku 1870 naród francuski nie wzrósł liczebnie, gdy ilość Niemców wzrosła

mniej więcej o jedną trzecią. Jeśli chodzi o siły zbrojne wyrażało się to w przeddzień wybuchu wojny takimi liczbami - przeciwko 850-tysięcznej armii niemieckiej mogła Francja przy dwuletniej służbie wojskowej wystawić 540 tysięcy żołnierza. Tu szukać należy genezy ustawy o przywróceniu służby trzyletniej. Stąd płynęły różne plany wzmocnienia francuskich sił zbrojnych.

Jean Jaurès w cyklu artykułów publikowanych w 1910 r., zebranych w książce „*L'armée nouvelle*” („*Nowa armia*”), wydanej po śmierci autora w 1915 r., propagował system milicyjny. Szkolenie wojskowe proponował Jaurès odbywać w trzech stadiach: 1) przygotowanie dzieci i młodzieży od 10 do 20 lat miało przez ćwiczenia gimnastyczne wyrobić tężyznę fizyczną; 2) aktywna służba w milicji, pełnią ją wszyscy obywatele odpowiedniej kondycji fizycznej od 21 do 34 roku życia; w tym czasie mają oni odbyć sześciomiesięczną naukę w szkole rekrutów, uzupełnioną następnie powołaniem osiem razy na ćwiczenia; 3) służba w rezerwie od 35 do 40 roku życia i w pospolitym ruszeniu — *l'armée territoriale* - od 41 do 45 roku. Korpus oficerski i podoficerski składać się miał tylko w jednej trzeciej z zawodowców, w dwóch trzecich z oficerów i podoficerów, jak ich Jaurès nazywał, „cywilnych”. Jaurès był przekonany, że tylko posługując się milicją zdoła Francja rozwinąć do obrony kraju wszystkie siły i że pokonają one najeźdźcę. Pytanie tylko, czy system milicyjny, zdolny wprawdzie do wciągnięcia do szeregów większej liczby obywateli niż armia z poboru, będzie mógł tak wyszkolić żołnierza, aby

zwycięsko stawiał on czoła pierwszorzędnym wyćwiczo-  
nym i zaopatrzonym dywizjom niemieckim. Na to py-  
tanie większość wojskowych i większość polityków  
i publicystów cywilnych dawała odpowiedź przeczącą.

Pojawiły się więc inne pomysły wzmocnienia armii  
francuskiej. W 1907 r. deputowany Paryża Adolphe  
Messimy, późniejszy minister wojny w 1914 r., rzucił  
w Izbie myśl rekrutacji Algierczyków. Powołana do  
rozpatrzenia komisja opowiedziała się przeciwko pro-  
jektowi, jeśli Algierczykom nie zostanie udzielone  
obywatelstwo francuskie. Rząd przeszedł wszakże do  
porządku nad tą opinią i w 1912 r. po raz pierwszy po-  
wołano Algierczyków do służby wojskowej.

W 1910 r. podpułkownik Charles Mangin, później-  
szy generał, opublikował książkę pt. „*La Force Noire*”  
(„*Czarna Siła*”). Uzasadniał w niej obszernie, że  
mieszkańcy Francuskiej Afryki Zachodniej stanowią  
doskonały materiał żołnierski i wiernie służyć będą  
Francji. Mangin, który w wyprawach kolonialnych,  
m.in. w ekspedycji Marchanda w latach 1896–1898,  
dowodził Senegalczykami, tak ich charakteryzował:  
„Senegalczycy są tak samo dumni ze swych dowódców  
(tj. Francuzów), jak z nich są dumni ich dowódcy. Ci,  
którzy widzieli Europejczyków, powiadają: Senegal-  
czycy są pierwsi pośród Czarnych, a Francuzi pierwsi  
pośród Białych”. Gdy w Faszodzie Marchand ustąpił  
Anglikom, najbardziej, według relacji Mangina, czuli  
się tym dotknięci i najżywiej reagowali Senegalczycy.  
Mangin obliczał, że pośród 100 tysięcy żołnierzy za-  
wodowych, którzy stoją w służbie Francji, jest 20 tys.



Senegalczyków; liczbę ich należy podnieść do 40, a później do 70 tysięcy. Byłaby to „znakomita siła uderzeniowa w pierwszej bitwie, która według przewidywań stoczy się przy końcu trzeciego tygodnia wojny; siła ta może nam zapewnić zwycięstwo”. Tyle Mangin.

Jak wiadomo i Francuzi, i Anglicy w latach 1914–1918 pociągęli do służby w wielkiej liczbie kolorowych. Wojska te biły się na polach Francji brawurowo; czy w ostatecznym rachunku wyszło to mocarstwom europejskim na pożytek, to inna sprawa.

W armii francuskiej, w stopniu bez porównania wyższym niż w armii niemieckiej, niż w jakiegokolwiek armii z wyjątkiem brytyjskiej, znaczną rolę odgrywali oficerowie zaprawieni w bojach kolonialnych. Przedstawiali swoisty, odrębny typ oficera. „Każdy mały porucznik, dowódca posterunku (w koloniach) - pisał z Tonkinu ówczesny kapitan, późniejszy marszałek Hubert Lyautey - w ciągu sześciu miesięcy rozwiniętej inicjatywy, siły woli, wytrwałości, indywidualności niż oficer we Francji przez cały czas swej kariery”. Życie w otępiającej monotonii garnizonów prowincjonalnych różniło się zasadniczo od barwnego, pełnego niebezpieczeństw, urzekającego egzotyką życia w koloniach. Takie warunki, szczególne zadania, szczególny sposób walki wyrabiały swoisty typ oficera kolonialnego. Kampanie prowadzone zwykle siłami niewielkimi liczebnie (przeważnie żołnierze kolorowi, dowodzeni przez białych oficerów i podoficerów), często na wielkich przestrzeniach, przeciwko nieprzyjacielowi gorzej uzbrojonemu, ale dysponującemu odwagą,

zręcznością, znajomością terenu, co najważniejsze broniącemu własnej ziemi, nie były łatwe. W ostatnich latach przed wybuchem wojny wielu oficerów kolonialnych wysunęło się na czołowe stanowiska w armii francuskiej. Zwłaszcza generałowie Joffre i Gallieni faworyzowali żołnierzy wojsk zamorskich. W 1914 r., gdy po pierwszych walkach Joffre usunął część dowódców, na ich miejsce w przeważającej większości powoływał oficerów, którzy wykazali energię i talenty dowódcze w bojach zamorskich.

## 18. Armia brytyjska

Wielka Brytania od drugiej połowy XVI w. była potęgą morską; bezpieczeństwa Wysp Brytyjskich strzegła flota; flota zapewniała Wielkiej Brytanii panowanie nad morzami i oceanami i władanie rozległymi posiadłościami we wszystkich częściach świata. Tzw. armia terytorialna (rodzaj ochotniczej milicji) bronić miała kraju w mało prawdopodobnym wypadku inwazji, nieliczna zaś armia zawodowa, także oparta na dobrowolnym zaciągu, miała za zadanie trzymać w ryzach kolonie i straż w węzłowych punktach strategicznych od Gibraltaru i Malty przez Suez i Aden aż do Singapuru.

Flota zyskała wśród społeczeństwa wielką popularność, gdy do wojsk lądowych odnoszono się z pewną nieufnością i niechęcią, sięgającą może jeszcze czasów dyktatury militarnej Cromwella. Nie było zresztą w Wielkiej Brytanii tradycji, tak żywej u wielu narodów na kontynencie Europy, że wojsko broni niepodle-

głości i integralności kraju. A przy tym w parlamencie i w społeczeństwie panowały obawy, że znaczniejszy werbunek do armii lądowej zmniejszy napływ ochotników do floty; lękano się również nadmiernych wydatków na wojsko, a przede wszystkim nie widziano jasno potrzeby utrzymywania większej armii lądowej.

Wiek XX wszakże przyniósł zmiany zasadnicze. Wojna w Afryce Południowej (1899–1902) unaoczniała nie tylko kierującym kołom wojskowym, rządowym i parlamentarnym, ale także i szerokiej publiczności tę prostą oczywistość, że armia brytyjska nie stała na wysokości zadania i nie mogła być zbrojnym ramieniem imperium. Z końcem 1902 r. utworzono *Committee of Imperial Defence* (Komitet Obrony Imperialnej), podlegający bezpośrednio pierwszemu ministrowi. Komitet miał za zadanie prowadzić jednolitą politykę militarną floty i wojska lądowego. Wkrótce powstał sztab główny, od 1909 r. noszący nazwę Imperialny Sztab Główny. Szefowi sztabu podlegał dyrektor operacji wojskowych. Zadaniem sztabu było prowadzenie studiów nad zagadnieniami strategii imperialnej, nie zaś tylko obronności lokalnej. Pierwszą sprawą, którą sztab otrzymał do przepracowania, było zagrożenie Belgii w razie wojny francusko–niemieckiej. Było to latem 1905 r., w okresie pierwszego kryzysu marokańskiego. W wyniku tych studiów sztab doszedł do wniosku, że należy utworzyć korpus ekspedycyjny, który w razie potrzeby 100 mógłby pospieszyć z pomocą Belgii.

10 grudnia 1905 r. stanął u steru gabinet liberalny Henry’ego Campbell–Bannermana. Tekę wojny objął

Richard Burden wicehrabia Haldane of Cloan. Sześć lat pełnił urząd i czas ten poświęcił gruntownej przebudowie brytyjskiej organizacji wojskowej. Wspierało go grono młodych oficerów, między nimi i późniejszy wódz z czasów pierwszej wojny Douglas Haig. Instrukcja (*Army Order*) ze stycznia 1907 r. stanowiła, że w razie wojny zostanie utworzony z wojsk regularnych w kraju Korpus Ekspedycyjny, złożony z dywizji kawalerii i sześciu dywizji piechoty, razem ponad 150 tys. ludzi i 492 armaty.

Dalszym krokiem było utworzenie Armii Terytorialnej, przeznaczonej do obrony kraju przed ewentualną inwazją. Armia Terytorialna zastąpiła formacje całkowicie już przeżyte, jak *yeomanry*. Armia Terytorialna składała się z ochotników, szkolili ją i dowodzili nią oficerowie zawodowi. Formacja ta miała stanowić rezerwę dla armii zawodowej. Dominia (Kanada, Australia, Nowa Zelandia, Afryka Południowa) miały również swoje własne niewielkie armie ochotnicze. W razie wojny wojska dominiów miały wziąć udział w walkach także poza ich granicami.

Po pierwszym kryzysie marokańskim roku 1905 sztaby francuski i brytyjski wszczęły nieoficjalne rozmowy na temat współdziałania militarnego. Po drugim kryzysie, gdy latem 1911 r. omal nie doszło do wojny pomiędzy Francją a Niemcami, po powrocie Lorda Haldane'a z nieudanej misji w Berlinie, sztaby brytyjski i francuski zawarły w marcu 1912 r. porozumienie; przewidywało ono, że w wypadku najazdu niemieckiego na Francję brytyjski Korpus Ekspedycyjny zostanie

wysłany na kontynent i skierowany na południe i wschód od rzeki Sambry w okolice Maubeuge–Busigny–Hirson.

Postanowienia te, powzięte przez wojskowych, w niczym nie obowiązywały rządu Wielkiej Brytanii, formalnie więc miały charakter jedynie teoretycznych dyskusji. Jednakże w dwa i pół roku później, w obliczu agresji niemieckiej na Belgię i Francję, Wielka Brytania wysłała Korpus Ekspedycyjny na kontynent i to właśnie we wskazane w umowie sztabowej okolice.

Ale główną siłę zbrojną Wielkiej Brytanii stanowiła nadal jej flota. Doktryna wojny morskiej uległa w początkach XX w. przemianie. Nie bitwa morska, jak w wiekach ubiegłych, miała rozstrzygać o zwycięstwie i panowaniu nad morzami, lecz kontrola dróg i połączeń morskich. Do początku XX w. niewielka tylko część brytyjskiej marynarki wojennej była skoncentrowana u brzegów Anglii, Szkocji, Irlandii. Główne siły strzegły dróg wodnych imperium, zwłaszcza ważnej drogi do Indii poprzez Gibraltar, Malnę, Suez, Aden.

Szybki wzrost sił morskich Niemiec zmusił admiralicję brytyjską do zbrojeń, do budowy nowych okrętów i nowych ich typów (*dreadnought*). Gdy w marcu 1912 r. rząd Rzeszy zgłosił do parlamentu kolejny program powiększenia floty wojennej Niemiec, admiralicja brytyjska uznała sytuację za niebezpieczną; uznała, że flota stacjonująca w portach macierzystych była zbyt słaba, aby przeciwstawić się atakowi niemieckiemu. Stąd porozumienie z Francją stanowiące, że Wielka Brytania większą część okrętów śródziemnomorskiej

z bazy na Malcie odwoła do portów macierzystych i w razie wojny z Niemcami osłaniać będzie nie tylko Wyspy Brytyjskie, ale północne i zachodnie wybrzeża Francji. Atlantycka flota francuska zaś wpłynie na Morze Śródziemne i będzie również broniła brytyjskiej drogi do Indii.

Przez czas dłuższy plany admiralicji brytyjskiej przewidywały blokadę wybrzeży niemieckich nad Morzem Północnym, ewentualnie także i nad Morzem Bałtyckim, zajęcie Kilonii i opanowanie Kanału Kilońskiego. Do wykonania takiego planu musiano by użyć przynajmniej jednej dywizji wojsk lądowych. W związku z decyzją wysłania Korpusu Ekspedycyjnego do Francji postanowiono zamiast blokady wybrzeży przeprowadzić blokadę połączeń morskich Niemiec.

Na tej podstawie sekretarz stanu w *Foreign Office* Sir Edward Grey i ambasador Francji w Londynie Paul Cambon w dniach 22 i 23 listopada 1912 r. wymienili pomiędzy sobą listy; rządy Wielkiej Brytanii i Francji zobowiązały się do wymiany poglądów na sytuację w razie, gdyby jedna ze stron została zaatakowana przez inne mocarstwo. Nie był to traktat przymierza, ale była to droga do przymierza i rzeczywiście doprowadziła do niego w sierpniu 1914 r.

W chwili wybuchu wojny regularna armia brytyjska liczyła 250 tys. oficerów i żołnierzy oraz 200 tys. rezerwy. 250 tys. służyło w armii terytorialnej.

Od roku 1885 armia indyjska, od 1902 cała armia brytyjska nosiła polowe mundury ochronnego koloru brunatnozielonego - *khaki*.

Rzecz znamienna, która zaważyć musiała na operacjach militarnych w 1914 r. - w chwili wybuchu wojny sztab brytyjski nie znał francuskich planów wojennych.

## 19. Armia rosyjska

Przegrana wojna z Japonią pokazała nie tylko słabość państwa carów, ale także słabość i niedostatki armii rosyjskiej. Co gorsza, fakt, że rząd carski posługiwał się wojskiem, aby tłumić ruch rewolucyjny, zwrócił przeciwko armii, a zwłaszcza przeciwko korpusowi oficerskiemu, znaczną część społeczeństwa, przede wszystkim klasę robotniczą. Pokażą to wyraźnie lata pierwszej wojny światowej, zwłaszcza okresu późniejszego, gdy zmęczenie wojną ogarnie coraz to szersze masy żołnierskie. Toteż pierwsze lata po wojnie japońskiej to czasy militarnej bezsily Rosji. Jej punkt kulminacyjny przypada na marzec roku 1909, gdy rząd carski musiał się ugiąć przed wolą Berlina i uznać bez zastrzeżeń aneksję Bośni i Hercegowiny przez monarchię Habsburgów.

Dopiero w 1910 r. podjęto poważną pracę około zasadniczej, gruntownej reorganizacji armii rosyjskiej, tak aby w razie wybuchu wojny przedstawiała ona poważną siłę, której nikt nie mógł lekceważyć.

W 1913 r. przystąpiła Rosja do wprowadzania w życie tzw. Wielkiego planu wzmocnienia sił zbrojnych. Podnosić co roku stan liczebny armii, udoskonalać jej wyposażenie bojowe, a w związku z tym rozwijać przemysł zbrojeniowy - oto podstawowe zadania,

jakie plan stawiał przed rządem rosyjskim. Zadania te pociągały za sobą poważne wydatki, zmuszały do podwyższenia budżetu wojskowego o 150 do 160 milionów rubli rocznie, co więcej powodowały wysokie koszty inwestycyjne, jak budowa nowych fabryk, nowych linii kolejowych itp.; obliczano je na 600 do 700 milionów rubli rocznie.

W 1913 r. armia rosyjska liczyła na stopie pokojowej łącznie ze strażą graniczną, z żandarmerią i kozakami około 1 milion 300 tys. żołnierza; w 1917 r. miano armię powiększyć o 400 do 500 tys. żołnierza. Przewidywano, że plan zostanie zrealizowany w ciągu czterech lat, a więc będzie ukończony ostatecznie w 1917 r.

„W 1913 r. mieliśmy już aparat zdolny wprawić armię w ruch, ale sama armia nie była gotowa ani z uwagi na liczbę wyszkolonego żołnierza, ani na wyposażenie, ani na uzbrojenie, ani na zaopatrzenie”. Tak oceniał sytuację armii rosyjskiej w przededniu wojny minister spraw wojskowych generał Władimir Suchomlinow.

Ogromnym utrudnieniem wszelkich przygotowań wojennych był fatalny wciąż jeszcze stan komunikacji w Cesarstwie Rosyjskim. Olbrzymie przestrzenie od Petersburga do Władywostoku, od Czyty do Erewana, przy słabo rozwiniętej sieci kolejowej - oto czynniki, które w sposób bezprzykładowy utrudniały przygotowanie i następnie prowadzenie wojny. Budowa nowych linii kolejowych komplikowała się m.in. i z tego powodu, że inne były w tej mierze potrzeby gospodarki rosyjskiej, a inne obronności kraju. Rosja powinna była



właściwie budować dwie sieci komunikacyjne - jedną dla zaspokojenia wymagań życia gospodarczego, drugą na potrzeby wojny.

Rosja mogła znacznie powiększyć siły zbrojne, lecz pomimo to Państwa Centralne w początku wojny czy ofensywy miałyby mieć przewagę liczebną, gdyż wcześniej zdołałyby przeprowadzić mobilizację i wcześniej rzucić swe wojska do działań wojennych. Jedynie rozszerzenie sieci kolejowej mogło nieco polepszyć sytuację armii rosyjskiej. W 1912 r. postanowiono budowę dróg żelaznych głównie w celach strategicznych. Zaprojektowano budowę kolei Riazan-Tula-Warszawa. Odzywały się wszakże głosy sprzeciwu wobec rozszerzania sieci kolejowej w zachodnich guberniach Cesarstwa. Podnoszono bowiem, że raczej posłużą one nieprzyjacielowi do szybkiego marszu w głąb kraju niż własnej armii do jego obrony. Chęć zabezpieczenia kraju przed wtargnięciem wojsk nieprzyjacielskich wytwarzała warunki nie sprzyjające własnej ofensywie.

Pomimo sprzeciwów podpisano 30 grudnia 1913 r. umowę francusko-rosyjską, na mocy której banki francuskie miały Rosji udzielić pożyczki w wysokości 2 i pół miliarda franków z przeznaczeniem na budowę kolei żelaznych. Dużą część projektowanych linii kolejowych, mianowicie około 5 tys. kilometrów, stanowić miały koleje w zachodnich prowincjach Cesarstwa, o znaczeniu przede wszystkim strategicznym.

Słaby rozwój komunikacji nie był jedyną trudnością, jaką musieli przezwyciężyć reorganizatorzy armii

rosyjskiej. Długi okres służby wojskowej czasu pokoju sprawiał, że liczba wyszkolonych żołnierzy nie była wysoka. Nie zapewniono na czas wojny należytej, sprawnej pracy fabryk zaspokajających wojenne potrzeby armii przez zwolnienie od służby wojskowej robotników wykwalifikowanych. Natomiast zwalnianie od powołania do wojska oficerów rezerwy - mężczyzn z cenzusem wykształcenia - przekraczało rzeczywiste potrzeby. W wielu przypadkach nie powoływano do służby młodych ludzi narodowości nierosyjskich. Skutkiem różnych tego typu postanowień i przepisów ilość powołanych do szeregów w chwili wybuchu wojny była w stosunku do ogółu ludności niższa niż w Niemczech i jeszcze niższa niż we Francji. Wobec tego, że w przededniu pierwszej wojny światowej na terytorium Cesarstwa Rosyjskiego mieszkało od 175 do 180 milionów ludzi, owe niedociągnięcia mobilizacyjne nie miały takiego znaczenia, jakie miałyby dla Niemców, a zwłaszcza dla Francuzów; nie dawało to wszakże dobrego świadectwa sprawności organizacyjnej armii rosyjskiej.

Wyszkoleniu rekruta nie sprzyjał zupełny brak tak licznych w innych krajach związków sportowych, gimnastycznych, strzeleckich. W państwie białego cara patrzono na tego rodzaju organizacje podejrzliwie, upatrując w nich nastroje rewolucyjne i niebezpieczeństwo dla caratu.

## 20. L'Union Sacrée

Lata 1870/71 przyniosły nie tylko zmianę w polityce rządu francuskiego względem Niemiec, ale i w nastawieniu społeczeństwa francuskiego do sąsiada zza Renu.

Przegrana wojna z Niemcami oraz utrata Alzacji i Lotaryngii, dwóch prowincji uczuciowo i gospodarczo silnie związanych z Francją, pozostawiły ślad trwały w postawie narodu francuskiego i w polityce III Republiki. Naród francuski nigdy nie pogodził się z utratą Alzacji i Lotaryngii. Dla pokolenia, które w pełni świadomości przeżyło la Debacie - rok 1870/71 była to rana zabliźniona, ale zawsze gotowa do odnowienia aż do końca wieku XIX, gdy pokolenie to schodziło ze sceny. Francuzi wszakże nie godząc się z zaborem Alzacji nie szukali odwetu, odzyskania ziem zagrabionych nie czynili celem polityki zagranicznej Francji. Ani rząd, ani naród nie dążył do wojny odwetowej. Panowała natomiast obawa przed Niemcami. Obawę przytłumiło, lekko zapewne, zbliżenie z Rosją w końcu XIX w. i Porozumienie serdeczne z Wielką Brytanią w 1904 r. Ale już rok 1905 przyniósł zaognienie. Niespodziewane wystąpienie Wilhelma II w Tangerze 31 marca 1905 r., wymuszona przez Berlin dymisja ministra spraw zagranicznych Delcasségo 7 czerwca tegoż roku wskazywały na agresywną politykę Niemiec. Kolejne jej etapy to prowokacje niemieckie związane z aferą dezertorów z Legii Cudzoziemskiej w Casablance w 1909 r., przy-

bycie kanonierki „Panther” do portu w Agadirze 1 lipca 1911 r. i tzw. drugi kryzys marokański.

Wielu historyków i wielu publicystów wykazuje, że powyższe fakty, zwłaszcza Tanger, wywołały zwrot w nastrojach politycznych społeczeństwa francuskiego; górujące dotąd tendencje pokojowe, pacyfistyczne ustąpić miały miejsca nieugiętej wobec Niemiec, bojowej postawie. W społeczeństwie francuskim miało się dokonać „przebudzenie narodowe” (*réveil national*).

Pogląd taki częściowo tylko odpowiada prawdzie. Zwrot ku nacjonalizmowi ogarnął jedynie niewielką część społeczeństwa - cienką warstwę intelektualistów, przede wszystkim młodzież. Jej głównym chyba wyrazicielem był Charles Péguy. Péguy, niedawno gorący obrońca Dreyfusa, wróg militarizmu, przeciwnik nacjonalizmu, antyklerykał, nagle zmienił zupełnie stanowisko pod wpływem telegramu nadeszłego z Tangeru w dniu 31 marca 1905 r. Pisał o tym w prostych słowach: „Jak wszyscy wróciłem do Paryża o 9 rano, jak wszyscy, tj. mniej więcej 800 czy 900 osób dowiedziałem się o godzinie 11 i pół, że w czasie dwóch godzin rozpoczął się nowy okres w historii mojego życia, w historii tego kraju i z pewnością w historii świata (...) wszyscy zrozumieli, że stoimy przed groźbą inwazji niemieckiej”.

Podobnie wypowiedział się i przedstawiciel starszej generacji Georges Clemenceau, gdy w dzienniku „L'Aurore” z 19 czerwca 1905 r. pisał: „Być lub nie być, oto problem, który po raz pierwszy od czasu woj-

ny stułetniej postawiła przed nami nieubłagana wola supremacji”.

Podobnie jak Péguy, jak Clemenceau myślało wielu. W kraju dawała się wyczuwać po roku 1905, a i później po 1911 atmosfera nerwowa, atmosfera niepokoję, żywo reagowała młodzież, u wielu spośród jej przedstawicieli widać było zwrot ku nacjonalizmowi.

Désire Ferry, przewodniczący Unii Republikańskiej Studentów Paryża, pisał: „Dreszcz przeszedł przez Francję. Obudziła się młoda energia: my młodzi, osiemnastoletni Francuzi dumnie i wyniośle postanowiliśmy nie znosić dłużej upokorzeń”. Młodzież ujrzała niebezpieczeństwo niemieckie.

Ale to wszystko nie oznaczało, że Francję opanowały nastroje wojenne, że naród francuski przejawiał chęć walki z Niemcami, że owładnęło nim dążenie do odwetu.

Świadczy o tym dobitnie sprawa przywrócenia trzyletniej służby wojskowej. Wiemy już, że wniosek rządowy Izba Deputowanych, po burzliwej dyskusji, uchwaliła 19 lipca 1913 r. Senat zatwierdził 7 sierpnia.

Służba trzyletnia, pomimo poparcia jej przez wielką prasę paryską, nie zdobyła popularności w szerokich kręgach narodu. Wobec zdecydowanej opozycji mas robotniczych, walkę przeciwko reformie podjęły syndykaty, czyli związki zawodowe, niechętnie odnosiły się do systemu trzyletniego masy włościańskie, a więc razem zdecydowana większość narodu. Wybory z kwietnia 1914 r. dały wyraźne przesunięcie parlamentu na lewo. Rzecz prosta, reforma wojskowa nie była

jedyną przyczyną wyborczego niepowodzenia prawicy, ale niewątpliwie bardzo się do niego przyczyniła. Z takimi nastrojami liczyć się musieli parlamentarzyści, liczyć się musiał każdy rząd.

Powszechnie spodziewano się przywrócenia przez nowy parlament służby dwuletniej. Nie doszło do tego dzięki wysiłkom prezydenta Poincarégo. 14 czerwca 1914 r. po różnych próbach prezydent mianował nowy gabinet pod prezesurą, blisko z głową państwa związanego deputowanego, Vivianiego. René Viviani, niedawny dezertor z szeregów socjalistycznych, ale bądź co bądź niepodejrzany człowiek lewicy, radykał, antyklerykał, latem 1913 r. głosował przeciwko trzylatce, ale teraz opowiadał się za tymczasowym utrzymaniem służby trzyletniej.

Zabójstwo sarajewskie nie od razu przyniosło we Francji zrozumienie prostej i oczywistej dla nas dziś prawdy, że Europa znajdowała się dosłownie w przededniu wielkiej, długiej i ciężkiej wojny. W pierwszej połowie lipca prasa i francuska opinia publiczna bardziej niż stosunkami międzynarodowymi zajmowała się toczącym się przed paryskim sądem przysięgłych procesem pani Henriette Caillaux, żony byłego premiera, o zabójstwo redaktora dziennika „Le Figaro” Gastona Calmette’a, procesem zakończonym w dniu 28 lipca wyrokiem uniewinniającym.

Na szersze tory skierowały zainteresowanie Francuzów dopiero rewelacje senatora Charlesa Humberta o złym przygotowaniu armii francuskiej, co wywołało burzliwą dyskusję w Senacie w dniach 13 i 14 lipca.

Dopiero ultimatum austriackie postawione Serbii, o którym Francuzi dowiedzieli się w dniu 24 lipca z dzienników porannych, następnie zerwanie przez Wiedeń stosunków dyplomatycznych z Belgradem 25 lipca i wreszcie austriacka deklaracja wojny pokazały wszystkim, że sytuacja była groźna, a niebezpieczeństwo wojenne bliskie.

Gdy rząd prowadził gorączkową akcję dyplomatyczną w Londynie i w Petersburgu, gdy rosnące zdemotywowanie ogarnęło społeczeństwo, Jaurès toczył ciężką, konsekwentną walkę o utrzymanie pokoju.

Według trafnego powiedzenia Leona Bluma Jaurès to człowiek, który przez piętnaście lat „we Francji i poza Francją uosabiał socjalizm”.

W dniach od 14 do 19 lipca obradował nadzwyczajny kongres socjalistyczny. Proklamował strajk powszechny jednoczesny we wszystkich państwach mających przystąpić do wojny. W dzienniku „L’Humanité” Jaurès wyjaśnił, że strajk albo zostanie zorganizowany i proklamowany w krajach obu obozów, albo nie wybuchnie wcale. Czuwał też, aby w organie socjalistycznym „L’Humanité” nie ukazały się wiadomości, które pokazałyby przeciwnikowi niższość militarną Francji.

Gorące dni lipcowe i zbliżająca się wojna wprowadziły Jaurèsa w stan wielkiego napięcia nerwów. Ratować pokój, chronić Francję i ludzkość przed nieszczęściem wojny - takie zadanie postawił przed sobą wielki trybun ludowy i myśliciel. 29 czy 30 lipca rozmawiał z jednym z przywódców socjaldemokracji niemieckiej Hermannem Müllerem. Był to ten sam Müller, który

w pięć lat później, 28 czerwca 1919 r., w charakterze kanclerza Republiki Weimarskiej podpisze traktat wersalski. Ale do tego było jeszcze daleko. Teraz Müller zapewniał Jaurès, że socjaldemokracja niemiecka nie będzie głosowała w parlamencie Rzeszy za udzieleniem rządowi kredytów wojennych, jeśli Francja da dowód, że szczerze pragnie pokoju. Toteż Jaurès myślał o jakimś wielkim geście ze strony Francji, o posunięciu o charakterze moralnym, które by wstrząsnęło narodem niemieckim, które by mu stawilo przed oczy odpowiedzialność historyczną. Główne niebezpieczeństwo dla pokoju upatrywał nie w Berlinie, lecz w Petersburgu. Ambasadora rosyjskiego w Paryżu Aleksandra Izwołskiego poczytywał słusznie za jednego z głównych podżegaczy wojennych. Domagał się, aby Francja powstrzymywała Rosję w jej zapędach wojennych, aby Francja wraz z Wielką Brytanią podjęła akcję mediacyjną, akcję pokojową. Gdy w godzinach popołudniowych dnia 31 lipca nadeszła do Paryża wiadomość o ogłoszeniu w Niemczech stanu zagrożenia wojennego, Jaurès wystudiowawszy w słownikach dokładne znaczenie wyrazów pocieszał się i uspokajał: „To nie wojna! Niemcy podejmują jedynie środki ostrożności, aby nie dać się zaskoczyć agresją. Sprawy mogą się jeszcze ułożyć!”. W kularach Pałacu Bourbońskiego, siedziby Izby Deputowanych, spotkał ministra spraw wewnętrznych Malvy'ego i wznosząc ręce do góry powitał go patetycznym okrzykiem: „Panie Ministrze, cóż to, rząd pozwoli, aby muzyki pchnęły Francję Rewolucji przeciwko Niemcom Reformacji”. Udał się na czele



delegacji socjalistów na *Quai d'Orsay* prosić prezesa ministrów Vivianiego, aby Francja nie brała na siebie zobowiązań względem Rosji. Traf chciał, że na korytarzu pojawiła się z dala postać Izwolskiego. Nerwy poniosły Jaurès a i krzyknął głośno: „Oto ta kanalia Izwolski! Będzie miał teraz swoją wojnę!” Według Caillaux „kanalia dosłyszała”.

Tegoż dnia, 31 lipca, wieczorem Jaurès w towarzystwie dwóch kolegów z redakcji „L'Humanité” jadł obiad w małej restauracji „Croissant” przy rue Montmartre; opowiadał, że pisze na następny dzień artykuł pt. „*J'accuse*” („*Oskarżam*”), jak niegdyś Zola podczas procesu Dreyfusa. „Oskarżam Rosję, że prze do wojny. Oskarżam Francję, że nie umie jej przeszkodzić”. W tej chwili z ulicy przez otwarte okno padły dwa strzały rewolwerowe. Jaurès, trafiony w głowę, osunął się martwy na kanapę.

Zabójcą jednego z najszlachetniejszych przywódców ludowych był niepoczytalny fanatyk Raoul Villain. „Kto uzbroił zabójcę Raoula Villaina? - pyta historyk socjalizmu francuskiego Daniel Ligou - Policja rosyjska? Tajna służba francuska? Czy po prostu pilna lektura prasy reakcyjnej? Nikt się tego nie dowie”.

Myśliciel, szlachetny trybun ludowy i porywający mówca nie był zapewne Jaurès politykiem realistycznym, oddawał się złudzeniom, ale zawsze pięknym złudzeniom. Gdyby nie kula szaleńca, odegrałby podczas wojny rolę zapewne niemałą i niewątpliwie pozytywną.

Wieczorem 31 lipca w Pałacu Elizejskim obradowała rada ministrów pod przewodnictwem prezydenta Republiki. Minister wojny Messimy przedstawił stan spraw związanych z mobilizacją, m.in. sprawę tzw. karnetu B, z punktu widzenia politycznego najważniejszą w danej chwili.

Karnet B opracowywały wspólnie Surete Generale, czyli władze bezpieczeństwa. Oddział II Sztabu i prefektura policji. Karnet zawierał listę osób, które w rozumieniu władz bezpieczeństwa były zdolne wywołać w dniach mobilizacji rozruchy, a nawet bunt otwarty. Okólnikiem do prefektów z dnia 15 listopada 1911 r. minister spraw wewnętrznych zarządził, aby sporządzono spis trzech kategorii osób: 1) anarchistów, 2) antymilitarystów, 3) „*camelots du roi*”, tj. młodzież rojalistyczną skupioną dokoła pisma „*Action Française*”. W 1914 r. karnet B zawierał od 2400 do 2500 nazwisk, w tym około 1500 Francuzów. Podano takie powody wciągnięcia na listę: 561 cudzoziemców podejrzanych o szpiegostwo, 149 Francuzów podejrzanych o szpiegostwo, 1771 Francuzów i cudzoziemców wpisanych z innych powodów. Rzecz znamienna, że na liście tej znaleźli się rojalista z „*Action Française*”, pisarz i gwałtowny publicysta Leon Daudet i późniejszy kilkakrotny minister i szef rządu, także rządu Vichy, kolaborant hitlerowski, wówczas adwokat buntujących się żołnierzy i deputowany socjalistyczny Pierre Laval.

Messimy domagał się „ścisłego zastosowania Karnetu”. Podczas dyskusji, która się wywiązała, nadeszła z paru stron wiadomość o zamordowaniu Jaurès'a. Mi-

nister spraw wewnętrznych Louis Malvy zakomunikował: „Telefonuje prefekt policji, że za trzy godziny wybuchnie w Paryżu rewolucja. Powstaną przedmieścia”. „Co to - zawołał któryś z ministrów - wojna zewnętrzna i wewnętrzna, wojna domowa! A więc wszystko!” „Prefekt policji - kontynuował Malvy - żąda, aby kawaleria, która tej nocy wyjeżdża (w kierunku granicy niemieckiej) pozostała” (w Paryżu). Po ożywionej dyskusji postanowiono, wbrew opinii ministra wojny, że dwa pułki kirasjerów zostaną w stolicy. Uznano wszakże szczęśliwie, że w takiej chwili aresztowania podejrzanych z Karnetu B byłyby błędem nie do darowania. Premier Viviani opuścił posiedzenie, aby nawiązać kontakt z przywódcami socjalistycznymi i prosić ich, by w obliczu groźby najazdu wpływali uspokajająco na robotników.

Rząd telegraficznie nakazał prefektom departamentów, „aby mieli zaufanie do wszystkich Francuzów i nie aresztowali nikogo, nawet anarchistów, nawet antymilitarystów, nawet p. Pierre’a Lavała”.

Obawy policji paryskiej nie były całkiem bezpodstawne. Nazajutrz po tragicznej śmierci Jaurès’a, dnia 1 sierpnia, działacze Powszechnej Konfederacji Pracy CGT głosili, że na wojnę odpowiedzą rewolucją robotniczą. Dopiero, gdy wojska niemieckie wtargną 2 sierpnia do neutralnej Belgii, gdy 3 sierpnia rząd Rzeszy wypowie wojnę Francji, pisma związkowe w dniu 4 sierpnia w takich słowach ocenią sytuację: „Trzeba ratować tradycję demokratyczną i rewolucyjną Francji

przeciwko prawu pięści, przeciwko germańskiemu, militaryzmowi”.

Roger Martin du Gard oddał, wydaje się, znakomicie atmosferę owych gorących dni lipca i sierpnia 1914 r., atmosferę patriotycznego wzruszenia, które ogarnęło Francuzów w odpowiedzi na agresję niemiecką, ogarnęło zarówno robotników, jak i cały naród.

Pogrzeb Jaurès'a w godzinach przedpołudniowych dnia 4 sierpnia był wielką manifestacją patriotyczną. Obok ludzi ideowo bliskich zmarłemu, w ceremonii pogrzebowej wzięli udział liczni jego przeciwnicy. Léon Jouhaux, sekretarz generalny Powszechnej Konfederacji Pracy w przemowie nad otwartym grobem wołał: „W imieniu organizacji związkowych, w imieniu wszystkich robotników, tych, którzy już znaleźli się w szeregach, i tych, którzy jak ja jadą jutro oświadczam, że na pole bitwy prowadzi nas wola odparcia najeźdźcy”.

Tego samego dnia 4 sierpnia po południu odbyły się uroczyste posiedzenia Senatu i Izby Deputowanych. W obu Izbach odczytano orędzie prezydenta Republiki. Prezydent w charakterze „wyraziciela jednomyślności kraju” stwierdził, że Francja ma po swej stronie prawo, że Francji bronić będą bohatersko jej synowie i nic nie zdoła zerwać ich „Świętej Jedności” (*L'Union Sacrée*). Świadectwem świętej jedności były jednogłośnie uchwalone wnioski rządowe, m.in. w sprawie kredytów wojennych, pożyczek oraz nowej ustawy prasowej. Uniesienie patriotyczne ogarnęło wszystkich przedstawicieli narodu, zbratało ich i zjednoczyło. Pośród burz-

liwych oklasków całej Izby podali sobie ręce w serdecznym uścisku dwaj przeciwnicy, którzy dotychczas w ciągu 20 lat posłowania nie dostrzegali się - dawny komunard Edouard Vaillant i hr. Albert de Mun, w 1871 r. oficer wojsk wersalskich, uczestnik walk przeciwko komunardom.

Swego rodzaju utwierdzeniem „Świętej Jedności” była rekonstrukcja gabinetu dokonana 26 sierpnia. Prezesurę zachował Viviani, do rządu weszło dwóch liderów socjalistycznych - Marcel Sembat, który objął roboty publiczne i Jules Guèsde w charakterze ministra bez teki. Władze partyjne jednogłośnie wyraziły zgodę na czynną współpracę z rządem burżuazyjnym, ponieważ „chodzi o przyszłość narodu”. Uchwała wskazywała, że „zawsze w chwilach ciężkich, w 1793, jak i w 1870 r., naród darzył zaufaniem tych ludzi, socjalistów, rewolucjonistów”. Ustąpił minister wojny Adolphe Messimy, któremu zarzucano wadliwe informowanie społeczeństwa o sytuacji na froncie, miejsce jego zajął znany z energii Aléxandre Millerand. Wreszcie powrócił na *Quai d'Orsay* po dziewięcioletnim oddaleniu Theophile Delcassé. Wagę powrotu wyjaśnił sam Delcassé w tych słowach: „Moje nazwisko ma znaczenie, którego nikt nie może kwestionować. Moja polityka dziś triumfuje. Zarzucano mi niegdyś, że oskrzydlałem Niemcy. Podpisałem porozumienie z Anglią, porozumienie z Włochami, pierwsze porozumienie z Hiszpanią. Skutecznie podtrzymywałem przymierze z Rosją”.

Historyk socjalizmu we Francji Daniel Ligou lapidarnie zreasumował sytuację w słowach: „Sekcja Francuska Międzynarodówki Robotniczej (SFIO) i Powszechna Konfederacja Pracy (CGT) na rządowej galerze. W «L’Humanité» Renaudel i Vaillant piszą artykuły wstępne o obronie ojczyzny i o obowiązku wojskowym”.

6 września Sekcja Francuska Międzynarodówki i Belgijska Partia Robotnicza skierowały do Międzynarodówki znamienny manifest. Manifest nie w sprzecznościach wewnętrznych kapitalizmu upatrywał przyczynę wojny, lecz w polityce „Niemiec imperialistycznych”.

Podobne stanowisko zajęły i loże. Nie doszła - rzecz prosta - do skutku planowana na sierpień 1914 r. we Frankfurcie nad Menem wspólna francusko-niemiecka masońska demonstracja pokojowa. Natomiast 4 sierpnia Wielki Wschód Francji wysłał telegram do prezesa ministrów Vivianiego, brata lożowego, z zapewnieniem oddania republice. W 3 dni później, 7 sierpnia, poszedł telegram do Wielkiego Wschodu Belgii z pozdrowieniami dla „odważnego i bohaterskiego narodu belgijskiego”. Ustały ataki Wielkiego Wschodu na katolików i w ogóle na wszystkich niechętnych masonerii. 13 grudnia 1914 r. Wielki Wschód Francji wydał deklarację: „wszyscy, którzy odpowiedzieli na zew Ojczyzny, są - niezależnie od swych poglądów politycznych, filozoficznych czy społecznych - dobrymi i doskonałymi Francuzami, mającymi prawo do jednakowego szacunku i jednakowego podziwu”.

To samo stanowisko zajęła Wielka Loża Francji. Masoni stanęli w szeregach *L'Union Sacrée*.

Tak było i tak być mogło jedynie w początkach wojny i przy ogólnym przekonaniu, że wojna będzie krótkotrwała.

Mobilizacja przeszła we Francji nie tylko bez oporów, ale i pośród powszechnego entuzjazmu. Gdy na murach miast, miasteczek i wsi francuskich ukazały się wielkie białe plakaty podające do wiadomości publicznej dekret mobilizacyjny, cztery miliony młodych Francuzów opuściło swe rodziny, porzuciło domy i warsztaty pracy i pospieszyło do szeregów. Byli pomiędzy nimi „podejrzani”, byli i niedawni dezercerzy z czasu pokoju: wszyscy oni pragnęli teraz bronić kraju przed najeźdźcą. Do biur werbunkowych zgłosiło się około 350 tysięcy ochotników, pośród nich także i ludzie, którzy dawno już przekroczyli wiek poborowy. Zdradzał ponoć chęć zaciągnięcia się pod sztandary ochotników Francji i stary anarchizujący epikurejczyk Anatole France. Aktywny antimilitarysta Gustave Hervé, który przed niewielu laty wzywał do podpalenia wyrzuconych na śmietniki sztandarów pułkowych, teraz zmienił tytuł wydawanego przez siebie pisma „La Guerre Sociale” (Wojna Społeczna) na „La Victoire” (Zwycięstwo). Zmienił i treść, bo nawoływał do obrony Francji.

Władze wojskowe przewidywały, że pośród podlegających mobilizacji będzie około 13% opornych, usiłujących uchylić się od służby wojskowej. Tymczasem ilość ich nie osiągnęła 1,5%.

Porządek w kraju panował zupełny. Puszczono w ruch 25 tysięcy pociągów nadzwyczajnych do przewożenia wojska i sprzętu bojowego; dziewiętnaście tylko przybyło do celu z opóźnieniem<sup>18</sup>.

Historyk Marc Bloch tymi słowami wspomina dni sierpniowe roku 1914: „Obraz, jaki dawał Paryż w pierwszych dniach mobilizacji, pozostaje dla mnie jednym z najpiękniejszych wspomnień z czasów wojny. Miasto było spokojne i nieco uroczyste. Ruch uliczny zmniejszony, nie było autobusów, z rzadka tylko pojawiały się taksówki, ulica była cicha. Smutek przepełniający wszystkie serca nie przebijał się na zewnątrz, tylko wiele kobiet miało oczy zaczerwienione. Wojna rodziła ferment demokratyczny. W Paryżu były tylko dwie klasy społeczne - jedna złożona z tych, którzy jechali to była szlachta; druga złożona z tych, którzy wcale nie jechali, a wydawało się, że mają jeden tylko obowiązek troszczyć się o jutrzejszych żołnierzy. Na ulicy, w sklepach, w tramwajach ludzie przyjaźnie z sobą rozmawiali; ogólna życzliwość wyrażała się słowami lub gestami, często dziecinnymi lub niezręcznymi, ale zawsze wzruszającymi. Na twarzach mężczyzn nie widać było wesołości, ale wyraz zdecydowania, a to znaczyło więcej”.

Podobnie jak lewicujący historyk, powołany do wojska, widział Francję roku 1914 i oficer zawodowy. „Z pewnością nikt we Francji przed rokiem 1914 - pisał generał Jean-Henri Mordacq - nie spodziewał się takiego zrywu patriotyzmu. Z pewnością żaden Francuz nie poszedł do szeregów z entuzjazmem, żaden Francuz



nie pragnął i nie życzył sobie wojny. (...) ale każdy rozumiał, że ojczyzna była w niebezpieczeństwie”.

Obraz opinii publicznej we Francji latem roku 1914, jaki nam dają pamiętniki, korespondencje, świadectwa literackie (Roger Martin du Gard, Marcelle Tinayre) są bardzo do siebie podobne; mówią wszystkie o wielkim patriotycznym zapale, jaki ogarnął społeczeństwo francuskie i mówią niewątpliwie prawdę. Na tym musi poprzestać dzisiejszy badacz. Obraz pełny, dokładny, bez miejsc niezamalowanych dać by mogło zbadanie tego, co myślał i jak myślał, co czuł i jak czuł przeciętny Francuz, szary człowiek na ulicy. Ale tacy ludzie zwykle pamiętników nie piszą, materiału dla dociekań historycznych zwykle nie pozostawiają. Dlatego obraz opinii publicznej pozostawia z konieczności liczne cienie.

Ale może nie od rzeczy będzie przytoczyć tu słowa znanego pisarza André Gide'a. 6 sierpnia zapisał Gide w swym dzienniku: „Przewiduje się początek nowej ery: Stany Zjednoczone Europy związane traktatem ograniczającym zbrojenia. Rzesza Niemiecka pomniejszona lub rozwiązana. Triest zwrócony Włochom, Szlezwik Danii, a przede wszystkim Alzacja Francji. Każdy mówi o takiej zmianie jak o najbliższym felietonie”.

Angielskiemu obserwatorowi Paryż 6 sierpnia przypominał niedzielny spokojny Londyn. Wiele sklepów pozamykanych, gdyż pracowników powołano do wojska. Kawiarnie zamykane o 8 wieczorem.

Romain Rolland 5–7 sierpnia 1914 r. zapisał w swym dzienniku: Najbardziej charakterystyczne znamię tej konwulsji europejskiej jest (...) jednomyślność za wojną, jednomyślność wszystkich partii najbardziej nawet z zasady przeciwnych wojnie, jak socjaliści i katolicy”.

8 sierpnia 1914 r. prezes Académie des Sciences Morales, wielki filozof Henri Bergson oświadczył na posiedzeniu Akademii: „Walka przeciwko Niemcom jest walką cywilizacji przeciwko barbarii”.

A jednocześnie uczony niemiecki historyk Karl Lamprecht dowodził, że wszczęta właśnie wojna to ostatni bój germanizmu i „sławizmu łacińskiego (Słowianie Austrii) przeciwko barbarii orientalnej, to kontynuacja bojów przeciwko Hunnom i Turkom”.

Gdy dramaturg niemiecki, autor „*Tkaczy*”, Gerhard Hauptmann ogłosił okolicznościowy wiersz patriotyczny, okazując tym samym solidarność z Niemcami walczącymi, zabrał głos Romain Rolland. Autor „*Jana Krzysztofa*” był wielbicielem „wielkości intelektualnej i moralnej potężnej rasy niemieckiej”. Jego powieść–rzeka, historia muzyka niemieckiego, którego losy zawiodły do Paryża, miała służyć sprawie pojednania narodu niemieckiego z francuskim. Wybuch wojny głęboko poruszył Rollanda. 3 sierpnia na wieść o wkroczeniu Niemców do Luksemburga, o ultimatum niemieckim postawionym Belgii pisał: „Jestem zgnębiony. Chciałbym umrzeć. To straszne żyć pośród tej ludzkości szalonej (*au milieu de cette humanité démente*) i być bezsilnym świadkiem upadku cywilizacji”. Wstrząsnęły

nim pierwsze niepowodzenia francuskie. Bolał nad Francją krwawiącą, nad losem „milionów nieszczęśliwych”. „Popadam w stan agonii moralnej - pisał 22 sierpnia 1914 r. - na widok tej ludzkości szalonej, która poświęca najcenniejsze skarby, poświęca swoje siły, swój geniusz, najszczytniejsze cnoty (...) morderczemu i głupiemu idolowi wojny”.

1 września w „Journal de Geneve”, 2 września w „Tribune de Lauzanne” ukazał się Rollanda list otwarty do Gerharda Hauptmanna. „W imieniu naszej Europy - wołał pisarz francuski - której był Pan dotąd jednym z najznakomitszych obrońców, w imieniu tej cywilizacji, dla której najwięksi ludzie walczą od wieków, w imię honoru rasy germańskiej zaklinam Pana, wzywam Pana, Pana i elitę intelektualną Niemiec, wśród której mam tylu przyjaciół, do zaprotestowania przeciwko zbrodni, która zniesławia Niemcy”.

## **21. Niemcy w zaraniu wojny**

4 sierpnia 1914 r. w południe w białej sali pałacu królewskiego zebrał się parlament Rzeszy, aby wysłuchać mowy tronowej. „W doniosłej chwili dziejowej - tymi słowami rozpoczął cesarz swą mowę - zebrałem dokoła siebie wybranych przedstawicieli narodu niemieckiego”. Powtórzył następnie frazes rzucony parę godzin przedtem z balkonu pałacu cesarskiego do zgromadzonych tłumów: „Nie znam więcej żadnych partii, znam tylko Niemców! - Na dowód, że Panowie są mocno zdecydowani stać przy mnie w doli i niedoli bez względu na różnice partyjne, stanowe czy wyzna-

niowe wzywam przewodniczących klubów, aby złożyli ślubowanie podając mi rękę”. Wówczas wszyscy prezesi klubów łącznie z liderem Socjaldemokracji Friedrichem Ebertem podchodzili do tronu, a monarcha ścisnął każdemu rękę. Podczas tej ceremonii posłowie odśpiewali hymn „*Deutschland, Deutschland über alles in der Welt*”.

O godzinie 3 po południu parlament zebrał się ponownie, tym razem we własnym gmachu. Głos zabrał kanclerz i zwrócił się do posłów, za ich pośrednictwem do całego narodu niemieckiego a zapewne i całego świata. „Pragnęliśmy żyć i pracować w pokoju” - stwierdził Bethmann Hollweg. „Wbrew naszej woli, wbrew naszym wysiłkom” - mówił - stanęły Niemcy w obliczu wymuszonej wojny z Rosją i z Francją. Odpowiedzialnością za rozpętanie wojny obarczył kanclerz Rosję, która „zapaliła pochodnię”. Nie pominął jednak Francji, którą oskarżył o akty agresji na terytorium Rzeszy. Główny wszakże akcent mowy kanclerskiej zwracał się przeciwko caratowi.

Kanclerz zażądał kredytów wojennych w wysokości pięciu miliardów marek. Dyskusja nad wnioskiem o takiej doniosłości miała charakter znamieny, gdyż ograniczyła się do jednego tylko przemówienia: przy aplauzie całej Izby wygłosił je... socjaldemokrata Hugo Haase. „Grożą nam okropności inwazji nieprzyjacielskiej. (...) Zwycięstwo despotyzmu rosyjskiego, który splamił się krwią najlepszych synów Rosji, zagraża, naszemu narodowi i jego przyszłości. Przed tym niebezpieczeństwem musimy się bronić, musimy zabezpie-

czyć kulturę i niezależność naszego kraju. Pokażemy teraz, cośmy zawsze głosili - w chwili niebezpieczeństwa nie opuścimy ojczyzny”.

Po przemówieniu Haasego parlament jednomyślnie uchwalił wniosek rządowy. Socjaldemokraci głosowali więc wszyscy za przyznaniem rządowi pięciomiliardowych kredytów wojennych.

Taki rezultat głosowania - Socjaldemokracja wraz z partiami burżuazyjnymi - dał władzom cywilnym i wojskowym poczucie bezpieczeństwa wewnątrz kraju i niewątpliwie był sukcesem politycznym rządu. Nieliczni tylko wiedzieli, że głosowanie w parlamencie poprzedziła dramatyczna dyskusja na posiedzeniu klubu parlamentarnego Socjaldemokracji w dniu 3 sierpnia 1914 r. Na 111 posłów w zebraniu wzięło udział 92. Po gorących zmaganiach słownych klub większością 78 głosów przeciwko 14 uchwalił: opowiedzieć się w parlamencie za kredytami wojennymi. Klub ponowił zarazem postanowienie o dyscyplinie partyjnej, według której mniejszość ma się w głosowaniach parlamentarnych podporządkować większości. Do tej uchwały zastosował się tym razem Karl Liebknecht, który na posiedzeniu klubu przemawiał gorąco przeciwko kredytom wojennym; zastosował się do uchwały klubu on i jego 13 towarzyszy.

Takie stanowisko Socjaldemokracji było niespodzianką dla rządzących i dla rządzonych.

Cesarz obawiał się socjaldemokratów i ich stanowiska. 29 lipca 1914 r. pisał krewki Hohenzollern: „Socjały robią antimilitarystyczne machinacje na ulicach,

tego w żadnym wypadku nie można teraz tolerować; jeśli się to powtórzy, ogłoszę stan oblężenia, a przywódców wszystkich bez wyjątku *tutti quanti* każę zamknąć. (...) Nie możemy teraz tolerować żadnej propagandy socjalistycznej”.

Cesarza niepokoiły manifestacje uliczne, ale znał też, a w każdym razie słyszał o gorących artykułach publikowanych na łamach prasy socjalistycznej, piętnujących wojnę imperialistyczną. Miał może w ręku „Vorwärts” z 28 lipca, gdzie mógł przeczytać ostrzeżenie: „Nie od strony caryzmu grozi w tej chwili największe niebezpieczeństwo wojny, lecz od strony anachronistycznej Austrii”. W dalszych rozważaniach stawiał „Vorwärts” pytanie, czy jest rzeczywiście sprawą pewną, że rewolucja rosyjska zwycięży, jeśli armia niemiecka wkroczy w granice Rosji? Fakt ten może doprowadzić do upadku caratu, ale czy wojska niemieckie nie będą walczyły z Rosją rewolucyjną z większą jeszcze energią niż z Rosją carską i czy Rosji rewolucyjnej nie będą usiłowały obalić? Rewolucja w Rosji wybuchnie także i bez wojny z Niemcami, a wojna byłaby ceną zbyt wysoką za jej przyspieszenie”.

Ale myliłby się, kto by dziennikowi „Vorwärts” z 28 lipca przypisywał jednoznacznie antywojenne stanowisko. Na łamach tego samego pisma z tego samego dnia 28 lipca czytamy: „Jeśli Niemcy opuszczą Austrię, czy nie dopomogą tym caratowi do osiągnięcia wielkiego sukcesu, czy go nie wzmocnią”?

Ludzie w Niemczech i w całej Europie pamiętali o uchwałach zjazdów Międzynarodówki w Stuttgarcie

w 1907 r. i w Bazylei w 1912 r. Cóż się więc stało? Co wywołało tę zmianę? I czy rzeczywiście była to zmiana stanowiska?

W szeregach Socjaldemokracji niemieckiej od dawna panowało przeświadczenie, że niemiecka klasa robotnicza będzie musiała walczyć przeciwko Rosji.

Już w końcu wieku XIX Engels w przewidywaniu wojny Francji z Rosją z jednej strony a Niemcami z drugiej w taki sposób ujmował sytuację: - Niemcy to nie tylko imperium Hohenzollernów, to nie tylko kraj junkrów pruskich, to także siedziba najsilniejszej i najlepiej zorganizowanej socjalistycznej organizacji robotniczej. Najazd więc na Niemcy to napaść na niemiecką klasę robotniczą. Dlatego to interes międzynarodówki socjalistycznej wymaga zwycięstwa Niemiec w wojnie? Rosją, „zwycięstwa obronnego” (*Abwehrsieg*). Niemiecka klasa robotnicza ma obowiązek doprowadzić przez wojnę do zrewolucjonizowania Rosji, a zarazem nie dopuścić do klęski Francji. Wojna zdaniem Engelsa będzie musiała prowadzić do wzrostu znaczenia klasy robotniczej w Niemczech, a nawet przygotować tam zwycięstwo socjalizmu. W razie wybuchu wojny europejskiej robotnicy wielkich państw Europy powinni pracować właściwymi sobie środkami dla wspólnego celu - robotnicy niemieccy dla zwycięstwa Niemiec, ale dla celów robotniczych, nie dla celów junkrów i wielkiej burżuazji, robotnicy rosyjscy dla wywołania rewolucji w Rosji, robotnicy francuscy dla zawarcia możliwie szybko pokoju porozumienia pomiędzy Francją i Niemcami.

W poglądach na Rosję kierownicze koła Socjaldemokracji niemieckiej stały konsekwentnie na stanowisku, jakie zajął Engels w głośnej broszurze o polityce zagranicznej caratu i nadal uważali Rosję za „ostatnią silną twierdzę reakcji ogólnoeuropejskiej”. Socjaldemokraci niemieccy niezmiennie podtrzymywali ten pogląd, chociaż w dobie imperializmu Rosja carska przestała już być „ostatnią twierdzą reakcji”; główny ośrodek reakcji przesunął się ze wschodu na zachód, z Rosji do Niemiec.

W czerwcu 1905 r., w okresie kryzysu marokańskiego i ostrego napięcia stosunków pomiędzy Francją a Niemcami, August Bebel przestrzegał kierownicze koła Rzeszy, że w razie wybuchu wojny francusko-niemieckiej socjaliści francuscy i niemieccy nie dopuszczą do mobilizacji mas robotniczych. „Jeśli chodzi o naszego sąsiada wschodniego - mówił Bebel - sprawa wygląda inaczej niż na zachodzie. (...) Jeśliby kiedy doszło do wojny przeciwko Rosji, przejściowo tylko osłabionej wojną japońską, my socjaliści ruszymy jak jeden mąż”.

Bebel przypomniał sobie może wtedy list, jaki w 1891 r. wystosował doń Engels: „Jeśli Rosja zacznie kiedy wojnę, uderzymy na Rosję i jej sprzymierzeńców, ktokolwiek by to był”.

Rząd Rzeszy i dowództwo rozumiały dobrze, że wbrew klasie robotniczej, a nawet bez klasy robotniczej, bez jej poparcia Niemcy nie zdołają prowadzić wojny. Należało więc robotników pozyskać, a najlepszym tego sposobem było wpojenie w masy pracujące



przekonania, że Niemcy bronią Europy, jej kultury i jej wolności przed barbarzyństwem caratu. Lapidarnie ujął to kanclerz Bethmann Hollweg, gdy mówił, że bez konfliktu z Rosją „nie chwyci” socjaldemokratów.

Gdy chwila nadeszła rząd trafił na grunt już przygotowany i podatny i „chwycił” socjaldemokratów, „chwycił” ich przez zręczną intrygę kół wojskowych. Oto bawarskie ministerium wojny za pośrednictwem redaktora dziennika socjalistycznego „Münchener Post”, Kurta Eisnera, późniejszego prezesa rewolucyjnego rządu bawarskiego, udzieliło socjalistom poufnych wiadomości, że konflikt zbrojny jest nieunikniony skutkiem agresywnego stanowiska Rosji. Intryga nie chybiła celu. W ostatnich dniach lipca 1914 r. Eisner był święcie przekonany, że wkroczenie wojsk rosyjskich jest kwestią najbliższych dni czy nawet godzin. W szeregach partii żywo odezwały się zadawnione urazy i niechęci i w oczach bardzo wielu socjalistów konflikt między mocarstwami zarysował się jako typowa wojna obronna narodu niemieckiego przeciwko napastniczemu, reakcyjnemu caratowi.

Po kraju krążyły ulotki socjalistyczne głoszące, że wojny nie da się uniknąć, a to skutkiem wrogiego stanowiska carskiej Rosji i spodziewanego ataku rosyjskiego.

1 sierpnia 1914 r. w Paryżu Hermann Müller, późniejszy kanclerz Republiki Weimarskiej, zapewniał socjalistów francuskich, że odpowiedzialność za nadchodzącą wojnę ponosi sprzymierzony z Francją carat. Usłyszał w odpowiedzi, że wojnę narzuca militarizm

niemiecki, przeciwko niemu wolna republikańska Francja musi się bronić.

W takich warunkach, w warunkach upadku i rozkładu II Międzynarodówki czy może dziwić stanowisko Socjaldemokracji niemieckiej i jej głosy rzucone w parlamencie za kredytami wojennymi dla rządu cesarskiego?

Wyciągnięta dłoń Socjaldemokracji nie zawisła w próżni. Rząd odpowiedział gestami pojednawczymi. W zamian za obietnicę wstrzymania na czas wojny propagandy walki klasowej, władze przestały stawiać trudności pismom partyjnym i partyjnym organizacjom lokalnym. 31 sierpnia 1914 r. ministerstwo wojny zniosło zakaz kolportowania w wojsku prasy socjalistycznej. Osławiony *Reichsverband gegen die Sozialdemokratie* (Związek Rzeszy przeciwko Socjaldemokracji) zawiesił działalność.

Listy działaczy socjalistycznych, których miano uwięzić z chwilą wybuchu wojny, okazały się niepotrzebne, podobnie jak Karnet B we Francji.

Jak wybuch wojny przyjął naród niemiecki? Jakie nastroje wzięły górę w gorących dniach lipca i sierpnia 1914 r.?

Interesujące są uwagi o nastrojach w Niemczech latem 1914 r. sceptycznie usposobionego dyplomaty niemieckiego Richarda von Kühlmanna. Kühlmann, wówczas radca ambasady niemieckiej w Londynie, opuścił po wypowiedzeniu wojny Anglię i przez Holandię wrócił 6 lub 7 sierpnia do Niemiec. Po drodze widział liczne pociągi wiozące wojsko, na wagonach

napisy kredą: „Ekspres do Paryża! Na Boże Narodzenie w domu!” i podobne wytwory propagandy czy żołnierskiego humoru. „Ładni, wysocy, jasnowłosi chłopcy jechali na wojnę w najlepszych humorach. W niektórych wagonach rozlegał się śpiew wesoły, sypały się żarty, rozlegały się głośne śmiechy”. Uczucie smutku, które ogarnęło Kühlmanna na myśl, że może żaden z tych dorodnych młodych Niemców nie zobaczy już ojczyzny, zniknęło, gdy stwierdził, iż przewidywania, że zobaczy w kraju podniecenie czy wzburzenie okazały się zupełnie nieprawdziwe. Na jednej stacji zobaczył Kühlmann robotnika, który spiczastym kijem zbierał najmniejsze skrawki papieru i z powagą wrzucał je do kosza na śmieci. Na zapytanie, czy teraz czas na taką pracę robotnik odparł z przekonaniem: „Gdy zarządzono mobilizację, wszystko musi być wysprzątane i czyste”.

A jednak i w tym kraju, spokojnym i zdyscyplinowanym, można było dostrzec objawy zdenerwowania. Trzeba wszakże dodać zaraz, że pochodziły one z góry, że wywołali je gorliwi urzędnicy. Z inicjatywy pomyślowego pracownika Urzędu Spraw Zagranicznych różne urzędy szerzyły wieść, że z Francji wyjechała wielka ilość samochodów, które przewożą do Rosji złoto na cele wojenne. Wywołało to niemałe zamieszanie, na drogach wznoszono zapory, zatrzymywano samochody, rewidowano podróżujących.

Gorliwie poszukiwano szpiegów. A oto przygoda, która spotkała niemieckiego *attaché* marynarki w Sztokholmie kapitana von Fischer–Loszainena. Dzielny ten oficer wracał w pierwszych dniach sierpnia

na posterunek, jechał w mundurze samochodem. Zatrzymano go po drodze, nie pomogły dokumenty, wrzucono do piwnicy i dopiero po pewnym czasie wypuszczono na wolność po bezpośredniej interwencji księcia Henryka pruskiego. Zapewne także z Urzędu Spraw Zagranicznych poszła na kraj informacja, że po Niemczech krąży w mundurze oficera niemieckiego szpieg rosyjski, który doskonale włada językiem niemieckim.

A epizod, który wydarzył się 2 września 1914 r. na dworcu w Poznaniu, czy był świadectwem dezorganizacji w państwie ładu i porządku, czy liberalizacji w królestwie pruskim? Na stacji stał długi pociąg z wagonami osobowymi; siedzieli w wagonach poborowi powołani do szeregów. Słysząc było wesoły gwar i różne okrzyki. Nagle rozległy się wołania „Niech żyje Polska!” A za nimi popłynął śpiew chóralny Mazurka Dąbrowskiego. Oficerowie i żandarmi niemieccy, licznie zebrani na dworcu, nie reagowali, a przecież śpiew hymnu narodowego polskiego był w miejscach publicznych niedozwolony.

A oto jak Berlin pierwszych tygodni wojny przedstawił się oczom młodej polskiej podróżniczki. „Gazety przepełnione wiadomościami o zwycięstwach niemieckich w Belgii, Francji, na terenie Królestwa Polskiego. Nowe wypowiedzenie wojny, a było ich coś około dwudziestu, przyjmowano z drwinami i śpiewem. Wszędzie flagi, transparenty: *«Hier werden noch neue Kriegserklarungen angenommen! - Tu przyjmuje się jeszcze nowe wypowiedzenia wojny!»* *«Deutschland*

*über alles*». «*Gott strafe England! - Boże, skarż Anglię!*» «*Nach Paris - do Paryża!*» Gęsto też rozplakany był wierszyk:

«Ein Tritt - ein Britt.  
Ein Stoss - ein Franzos  
Ein Schuss - ein Russ  
Ein Klaps - ein Japs»

Jedno kopnięcie - jeden Anglik,  
Jedno pchnięcie - jeden Francuz,  
Jeden strzał - jeden Rosjanin,  
Jeden klaps - jeden Japończyk.

Na szczęście nie było radia, ale i tak zewsząd rozbrzmiewały *Wacht am Rhein* i *Heil dir im Siegeskranz*. Czyniono gorączkowe przygotowania do obchodu rocznicy zwycięstwa pod Sedanem. Obiecywano sobie, że tego dnia, 2 września, padnie Paryż”.

Nastroje pełne euforii, patriotycznego zapału i entuzjazmu wojennego mogły się utrzymać tylko czas niedługi i tylko w początkach wojny, gdy ogólnie się spodziewano, że zwycięstwo jest nie tylko pewne, ale i bliskie.

Nastroje w Niemczech w zaraniu wojny dowodzą, że władze umiały propagandowo przygotować społeczeństwo do wojny. Walki, jakie armia niemiecka toczyła przez cztery z górą lata na różnych frontach, świadczą, że armię tę umiano wyszkolić i należycie przygotować do wojny. Była wszakże dziedzina, gdzie przygotowania zawiodły, okazały się niewystarczające;

dziedzina ta to gospodarka. Władcy Niemiec rozumieli, że wojna nowoczesna przede wszystkim wymaga przygotowania gospodarczego, wymaga rozwiniętego przemysłu zbrojeniowego w najszerszym znaczeniu tego wyrazu, wymaga rozbudowania gęstej sieci komunikacyjnej. Jednak przekonanie, że nadchodząca wojna będzie wojną krótką, która się rozstrzygnie w ciągu paru miesięcy, nie pozwoliło na pełne przygotowanie zapasów zbrojnych pod względem gospodarczym. Mobilizacja, koncentracja armii, wysyłanie wojska na front zostało zrealizowane z taką precyzją, z jaką działa mechanizm najlepszego szwajcarskiego zegarka. Zbyt późno natomiast dojrzano, że wojna zmieni całkowicie sytuację gospodarczą państwa i stawia je przed nowymi zupełnie zadaniami.

A jednak przygotowanie gospodarcze wojny było sprawą zbyt oczywistą, aby można ją było zlekceważyć. Górowały wszakże poglądy optymistyczne, głoszące, że Niemcy będą mogły przetrzymać nawet dłuższy okres blokady. Dopiero od roku 1905 zaczęto poważniej myśleć o „mobilizacji gospodarczej”. Na podstawie badań dokonanych w 1906 r. na zlecenie sekretarza stanu w Urzędzie Spraw Wewnętrznych hrabiego Arthura von Posadowsky–Wehnera ustalono, że Niemcy miały zapewnione wyżywienie na okres 9, a nawet 10 miesięcy; wskazywano więc, że wojna nie powinna trwać dłużej niż rok.

W listopadzie 1912 r. odbyła się narada przedstawicieli wszystkich Urzędów (tj. ministerstw) Rzeszy; przedmiotem obrad było zaopatrzenie na wypadek woj-

ny przemysłu w surowce, a ludności w żywność. Postanowiono utworzyć stałą komisję, która miała się zajmować wszystkimi sprawami gospodarczymi łączącymi się z wojną. Komisja zbierała się rzadko, rezultaty jej pracy były nikłe.

Jedyną dziedziną - poza sprawami czysto militarnymi - w której rząd Rzeszy mógł się wykazać konkretnymi osiągnięciami, była sprawa finansowania wojny. Już w 1892 r. utworzono specjalny fundusz w złocie na pokrycie pierwszych wydatków wojennych.

Wybuch wojny zmusił rząd do szybkiego i energicznego działania. Pomiędzy 31 lipca a 4 sierpnia 1914 r. podjęto decyzje co do gospodarki wojennej. 4 sierpnia parlament uchwalił ustawę o szczególnych pełnomocnictwach dla Rady Związkowej w sprawach gospodarczych. Była podstawa prawna działania, ale serio wzięto się do pracy dopiero po bitwie nad Marną, gdy zawiodły nadzieje na wojnę błyskawiczną.

Do tych nielicznych, którzy się orientowali czym jest wojna nowoczesna i jakie są jej wymagania, należał prezes „*Allgemeine Elektrizitätsgesellschaft*”, zwanej zwykle w skrócie AEG, Walther Rathenau. W dniach 8 i 9 sierpnia Rathenau przedstawił władzom projekt zorganizowania wojennej gospodarki surowcami. 13 sierpnia w pruskim ministerium wojny powstał Wydział Wojennej Gospodarki Surowcowej (*Kriegsrohstoffabteilung* - KRA).

Kierownictwo KRA objął Rathenau. A oto zadania KRA: 1) przymusowe gospodarowanie surowcami krajowymi, 2) dostarczenie surowców z terenów okupo-

wanych i z państw neutralnych, 3) kierowanie produkcją, 4) rozwój i wytwarzanie namiastek.

Clemens von Delbrück, sekretarz stanu w Urzędzie Spraw Wewnętrznych Rzeszy, opowiada w pamiętnikach, jak długo pozostawał pod wpływem doświadczeń roku 1870, jak trudno było mu się z nich otrząsnąć i wyrobić sobie pogląd, jakie zadania w dziedzinie gospodarczej stawia przed rządem wojna nowoczesna. W każdym razie Delbrück zdawał sobie sprawę, że Niemcy muszą się liczyć z zupełnym odcięciem wszelkiego dowozu z zagranicy. Sądził, że wojna potrwa dłużej niż poprzednia wojna z Francją, ale nie wyobrażał sobie, aby mogła trwać lat kilka, a więc, wobec zapowiadających się dobrych urodzajów, wobec zasobów pozostałych z ubiegłego roku uznał aprowizację kraju za zapewnioną, przynajmniej na okres 12 miesięcy. Nie będą więc potrzebne ograniczenia. Im wolniej gospodarka pokojowa przechodzić będzie w gospodarkę wojenną, tym lepsze będą nastroje w społeczeństwie i tym większa pewność zwycięstwa.

Podobnie jak i w innych państwach walczących, tak i w Niemczech pojawił się w nieznanej dotąd postaci, w niezwykłych rozmiarach problem rąk do pracy. Szło o to, aby nie zabrakło robotników w żadnych gałęziach gospodarki, aby można było zastąpić powołanych do szeregów i zapewnić należyty bieg pracy w rolnictwie i w fabrykach bezpośrednio i pośrednio pracujących na potrzeby wojny. W Urzędzie Spraw Wewnętrznych utworzono więc *Zentrale für Arbeitsvermittlung* (Centralę dla pośrednictwa pracy); do współdzia-



łania powołano różne organizacje pracodawców i pracobiorców bez względu na ich zabarwienie polityczne. W charakterystyczny sposób skomentował to Delbrück. Organizacje te, pisał, „mogły być politycznie niewygodne, ale miały do wypełnienia tak ważne zadania gospodarcze i kulturalne, że stały się niezbędnym czynnikiem naszego życia politycznego i gospodarczego.

## 22. Wielka Brytania u progu wojny

Angielska opinia publiczna była do wojny zupełnie nieprzygotowana. Groźna sytuacja w Irlandii - gwałtowny protest Ulsteru przeciwko *Home Rule* - zaprzętała wszystkie umysły.

Anglicy, rozumując zawsze empirycznie, z trudnością brali pod uwagę wybuch wojny europejskiej, takiej wojny nie było od stu lat, wojnę krymską bowiem uważali tylko za wielką ekspedycję kolonialną. Nie byli też skłonni do biernego przyglądania się wydarzeniom, zajmowali się jednak tylko konkretnymi sprawami, które ich dotyczyły bezpośrednio.

Był lipiec 1914 r. Roman Dmowski siedział na tarasie Izby Gmin pogrążony w rozmowie z kilku posłami i jednym członkiem rządu. „Czyż wy nie widzicie - zapytał - że na kontynencie lada chwila wybuchnie wielka wojna? - To jeszcze nie tak prędko - odpowiedziano mi z angielską flegmą dziwiąc się, że bierzemy rzecz tak poważnie”.

Parę tygodni wcześniej do podobnego co Dmowski wniosku doszedł pułkownik Edward Mandell House. Po wizycie w Berlinie i rozmowach z politykami nie-

mieckimi House doszedł do wniosku, że sytuacja w Europie jest niepewna, jeśli chodzi o utrzymanie pokoju. Usiłował przekonać o tym Greya i innych członków gabinetu brytyjskiego, lecz panowie ci „wydawali się zdziwieni tym pesymistycznym poglądem i uważali, że sytuacja była lepsza niż w ostatnich czasach”.

Minister skarbu David Lloyd George twierdził, że do dnia 24 lipca nie prowadzono na posiedzeniach gabinetu dyskusji na temat sytuacji międzynarodowej i niebezpieczeństwa wojny. Dopiero tego dnia, po dłuższych obradach rady ministrów w kwestii irlandzkiej, sekretarz stanu spraw zagranicznych Sir Edward Grey poprosił obecnych o pozostanie na krótki czas, chciał im bowiem zakomunikować o poważnym napięciu w Europie. Dodał wszakże, iż zapewne dojdzie do pokojowego porozumienia pomiędzy Austro–Węgrami a Rosją. Nazajutrz, w sobotę 25 lipca, Grey wyjechał na tradycyjny weekend do Hampshire łowić ryby; inni członkowie gabinetu poszli za jego przykładem i również opuścili Londyn.

Od 10 grudnia 1905 r. u steru rządów w Wielkiej Brytanii stał gabinet liberalny. Po wyborach wszakże w 1910 r. liberałowie utracili dotychczasową wielką przewagę; tak więc obecnie obie partie - rządowa liberałów i opozycyjna konserwatystów dysponowały mniej więcej równymi siłami w Izbie Gmin. Rząd liberalny utrzymywał większość parlamentarną jedynie dzięki poparciu Labour Party i Irlandczyków. Nie podnosiło to jego autorytetu. Pomimo to liberałowie nie zdecydowali się po wybuchu wojny na utworzenie

z konserwatystami rządu koalicyjnego, dwu- lub trzy- partyjnego. Konserwatyści ze swej strony nie garnęli się do dzielenia z liberałami władzy i odpowiedzialności. Obiecali jednak popierać rząd w tych kwestiach, które dotyczyły prowadzenia wojny.

Uwagę parlamentarzystów, podobnie jak i całego społeczeństwa, przykuwały sprawy wewnętrzne. Tak więc konserwatyści zajmowali się opozycyjną postawą Ulsteru i usiłowali ją wyzyskać dla swej gry politycznej. Lewe skrzydło Labour Party dążyło do osłabienia Izby Lordów przez promulgowanie *Home Rule* i wprowadzenie w życie jego postanowień wbrew sprzeciwom parów w arystokratycznej Izbie Wyższej.

W opinii publicznej w Wielkiej Brytanii zauważyć się dały dwie tendencje, dwa prądy. Jedni uważali, że wojna nie była do uniknięcia, gdyż Niemcy zagrażały i brytyjskiemu handlowi, i brytyjskiemu panowaniu na oceanach i na morzach świata. Ale był i prąd inny. Ogarniał on przede wszystkim młodych radykałów i zwolenników reform społecznych, dominował w całym obozie Partii Pracy, prąd przeciwstawiający się wojnie, a ściślej udziałowi Wielkiej Brytanii w konflikcie zbrojnym na kontynencie. Pacyfiści uzasadnienie swych poglądów znajdowali m.in. w opublikowanej w 1910 r. książce „*The Great Illusion*” („*Wielkie złudzenie*”); autorem jej był Sir Norman Angell, znany pisarz, który w roku 1933 otrzyma nagrodę pokojową Nobla. Angell wykazywał, że wojna musi zrujnować nie tylko zwyciężonych, ale i zwycięzców.

W londyńskiej City ludzie bussinessu widzieli w wojnie „katastrofę w całym znaczeniu tego słowa”. W Izbie Gmin szerzył się pogląd, że wojna w Europie to „nieprzyjemny incydent” zakłócający politykę wewnętrzną Wielkiej Brytanii.

Brytyjska opinia publiczna liczyła się wprawdzie z możliwością wybuchu wojny, ale z trudem tylko mogła ją sobie wyobrazić.

Gabinet liberalny nie był w swych opiniach jednolity. Dwaj ministrowie - Lord-prezydent Tajnej Rady wicehrabia John M. Morley, autor biografii Voltaire'a, niegdyś przyjaciel Gambetty, i radykał John Burns, prezydent Urzędu Handlu, tj. minister handlu - podali się do dymisji na znak protestu przeciwko mieszaniu Wielkiej Brytanii w sprawy kontynentalne. Minister kolonii Lord Lewis Vernon Harcourt pozostał w gabinecie, ale nie ukrywał swych sympatii proniemieckich. Stanowisko profrancuskie zajmował pierwszy lord admiralicji, tj. minister marynarki Winston Churchill, minister spraw wewnętrznych Reginald McKenna i wreszcie sam premier Herbert Henry Asquith. Do tego kierunku przychyłał się, lecz bardzo ostrożnie, minister skarbu David Lloyd George.

Zważyć jeszcze trzeba, że zamach sarajewski wywołał, a może raczej wzmocnił silne w Wielkiej Brytanii nastroje antyserbskie. Nie ułatwiło to zadania przeciwnikom Niemiec.

Sekretarz stanu spraw zagranicznych Edward Grey podjął wielki wysiłek, aby zapobiec wojnie. Greya tak scharakteryzował jeden z jego rodaków. „To jest dobry

kolega, ponieważ nigdy nie podejmuje ryzyka. To także bardzo zły kolega z tego samego powodu”.

Ambasador francuski w Londynie Paul Cambon, który Greya znał dobrze, pisał nieco enigmatycznie w raporcie do Paryża, że sekretarz stanu uległ wpływowi Lorda Haldane'a. który jako minister wojny ułatwił zawarcie porozumienia pomiędzy sztabami francuskim i brytyjskim, ale „zdawał się obawiać wprowadzić je w życie”. „Sir Edward Grey - pisał Cambon - jest uczuciowo pacyfistą, bardzo lojalny, z trudem decyduje się posądzać kogoś drugiego o nielojalność, unika silnych i wyraźnych deklaracji, które rażą zarówno jego łagodne usposobienie, jak i jego obyczaje parlamentaryzisty”.

Kierowały Greyem cztery racje: 1) przeświadczenie, że wielka wojna europejska będzie w nowych warunkach katastrofą bez precedensu, 2) Niemcy są tak potężne i mają nad Austro-Węgrami taką przewagę, że klucz do rozwiązania powstałych trudności znajduje się nie w Wiedniu, lecz w Berlinie, 3) interes Wielkiej Brytanii nakazuje w razie wojny wesprzeć Francję, 4) nie można wszakże ani Francji, ani Rosji dawać żadnych obietnic.

Sytuacja nie była więc łatwa ani dla Greya, ani dla jego francuskiego rozmówcy.

Widniejący na horyzoncie Europy konflikt wywołał od razu powikłania w życiu gospodarczym Wielkiej Brytanii. 30 lipca niepokój ogarnął giełdę londyńską. Cena wszystkich papierów wartościowych spadała,

gdyż nikt nie kupował, wszyscy natomiast chcieli sprzedawać.

Wycofywano wkłady z banków, a banki chcąc mieć stale do rozporządzania potrzebną gotówkę odwoływały się do Banku Anglii. Ze wszystkich stron świata napływały do City telegramy z ostrzeżeniami, że w związku z możliwością wybuchu wojny statki mogą ze swych portów wypłynąć opóźnione lub też nawet wcale nie wypłynąć. Mechanizm działania rynku pieniężnego Londynu wydawał się ulegać zahamowaniu. Kryzys finansowy wyprzedzał konflikt zbrojny.

Niemcy wyzyskiwali swe niemałe wpływy w City, w świecie finansowym Londynu, aby deprymować opinię publiczną. Ich agenci, posadowieni na różnych szczeblach, zapowiadali krach finansowy w razie przystąpienia Wielkiej Brytanii do wojny. Rzucili hasło, że tylko zachowanie neutralności uchroni kraj przed ciężkim kryzysem. Łamy wpływowego tygodnika „Economist” pełne były argumentów za zajęciem stanowiska neutralnego. W tym duchu wypowiadało się też wiele innych pism. Zwłaszcza prasa liberalna głosiła poglądy neutralistyczne, tzn. proniemieckie. Z wielkich dzienników jedynie bodaj „Times” i „Daily Mail” krytycznie oświetlały politykę Berlina. Wybitni finansiści, z londyńskim Rothschildem na czele, zwracali uwagę ministrów i posłów większości parlamentarnych na niebezpieczeństwa gospodarcze, jakie niosła wojna.

Były to jednak głosy, które nie mogły przeważać argumentu zasadniczego, jakim była groźna rywalizacja Niemiec na morzu, w koloniach, w handlu światowym.

Dla interesów Wielkiej Brytanii było to poważne zagrożenie. Niebezpieczeństwo to wzrosłoby jeszcze po zajęciu przez Niemców Belgii i wybrzeży francuskich nad kanałem La Manche. Pogwałcenie neutralizacji Belgii było dla brytyjskich polityków i dla brytyjskiej opinii publicznej groźnym memento. Jednak wtargnięcie wojsk niemieckich do Belgii nie było ani jedynym, ani nawet głównym powodem wzięcia udziału w wojnie przez Wielką Brytanię. Sprawilo tylko, że nastąpiło to szybko, od razu w pierwszych dniach wojny. Przyczynilo się też do tego, że i parlament, i naród prawie jednomyślnie poparły wojenną decyzję rządu.

W Labour Party istniała opozycja pacyfistyczna, której głową był lider partii, późniejszy (w 1931 r.) premier rządu jedności narodowej, Ramsay Mac Donald. Chciał on przemawiać w Izbie Gmin przeciwko wnioskowi rządowemu o kredyty wojenne. Gdy partia się na to nie zgodziła, Mac Donald złożył przewodnictwo. Kredyty wojenne w wysokości 100 milionów funtów szterlingów uchwalono.

Gabinet na razie nie napotykał trudności w parlamencie, zapowiedzieli mu bowiem poparcie konserwatyści, a w szeregach Partii Pracy przegrała opozycja antywojenna. Pozwoliło to rządowi skoncentrować wszystkie wysiłki na przygotowaniu i prowadzeniu wojny.

Powoli, ale coraz powszechniej świtało w głowach Anglików, że konflikt zbrojny nie tylko jest nieunikniony, ale zapewne ogarnie i Wielką Brytanię. Publiczność angielska w dniu 31 lipca mogła czytać na łamach

wpływowego, a zawsze spokojnego i opanowanego „Timesa” niepokojące przestrogi: „Marsz niemiecki przez Belgię ku północnej Francji może pozwolić Niemcom zagarnąć Antwerpię, Vlissingen a nawet Dunkierkę i Calais; staną się one wówczas niemieckimi bazami wypadowymi przeciwko Anglii. Na taką ewentualność żaden Anglik nie może patrzeć obojętnie”.

31 lipca rząd brytyjski zwrócił się jednocześnie do Paryża i do Berlina z zapytaniem, czy Francja i Niemcy uszanują neutralność Belgii. Z Paryża nadeszła wkrótce odpowiedź pozytywna, Berlin odpowiedzi nie udzielił. Rząd Rzeszy nie chciał wiązać sobie rąk, ani odsłaniać planów wojennych niemieckich. Milczenie to musiało dać wiele do myślenia. A jednak w Londynie wzdragało się jeszcze przed wyciągnięciem konsekwencji z takiego stanowiska rządu Rzeszy. Jeszcze 1 sierpnia król angielski w piśmie odręcznym do prezydenta Poincarégo stwierdził: „...Wydarzenia biegną tak szybko, że nie sposób przesądzić o ich przyszłym rozwoju”.

2 sierpnia nadeszła do Londynu wiadomość o wkroczeniu wojsk niemieckich na terytorium Wielkiego Księstwa Luksemburg. Pierwszy minister Asquith, który kierował zarazem ministerstwem wojny, po rozmowie z Greyem doszedł do przekonania, że naza jutrz w poniedziałek 3 sierpnia trzeba będzie zarządzić mobilizację. 3 sierpnia rano nadeszły do Londynu wiadomości o niemieckim ultimatum do Belgii i o jego odrzuceniu przez rząd belgijski. Zarazem król Jerzy otrzymał od króla Belgów Alberta telegram z prośbą



o interwencję dyplomatyczną dla zapewnienia neutralności i integralności Belgii.

Okolo godziny 3 po południu na posiedzeniu Izby Gmin zabrał głos sekretarz stanu w Urzędzie Spraw Zagranicznych Sir Edward Grey. Mowy tej z napięciem wyczekiwała cała Wielka Brytania i cała Europa. Co powie sternik polityki zagranicznej? Jakie decyzje podejmie rząd Jego Królewskiej Mości?

Greyowi ranek 3 sierpnia zszedł na odczytywaniu licznych telegramów nadchodzących ze wszystkich bodaj stolic Europy i na udziale w obradach gabinetu. Na opracowanie mowy niewiele zostało mu czasu. Według własnych wynurzeń szedł do Westminsteru nie myśląc, czy odniesie sukces, czy poniesie porażkę osobistą. Dla mentalności Greya, a może w ogóle dla mentalności angielskiej charakterystyczna to sprawa, że sekretarz stanu postanowił nie informować parlamentu, za jaką cenę - w myśl propozycji kanclerza Bethmanna Hollwega z lipca - chciały Niemcy uzyskać neutralność Wielkiej Brytanii. Uważał, że wywołałoby to wzburzenie, a Izba powinna decydować zupełnie na chłodno. Grey zarazem chciał, aby Izba wyraźnie zdawała sobie sprawę, że Wielka Brytania nie zaciągnęła względem Francji żadnych zobowiązań i ma wolne ręce. Nacisk położył sekretarz stanu na sprawę belgijską wskazując, że jeśli Belgia utraci suwerenność, przed straszliwą groźbą ze strony niemieckiej stanie również i Francja; ale nie tylko Francja, zagrożona w swym dotychczasowym bezpieczeństwie będzie i Wielka Brytania - zagrożona i izolowana.

Mowa Greya wywarła w Izbie duże wrażenie i miała niewątpliwy wpływ na zajęcie stanowiska przez wielu posłów dotąd niezdecydowanych.

Gdy sekretarz stanu skończył swe wywody, głos zabrali przywódca konserwatystów Andrew Bonar Law i przywódca irlandzki John Redmond, aby zapewnić rząd o poparciu konserwatystów i Irlandczyków. Jedynie Ramsay MacDonald w imieniu mniejszej części posłów Partii Pracy zajął stanowisko przeciwne w imię bezwzględnego pacyfizmu.

Izba ogromną większością głosów uchwaliła kredyty wojenne.

4 sierpnia około godziny 10, gdy wojska niemieckie wdarły się już w granice Belgii, w gabinecie kanclerza Rzeszy w Pariserplatz pojawił się ambasador brytyjski Goschen.

Sir Edward Goschen był niemieckiego pochodzenia. Jego dziad Georg Joachim Goschen był właścicielem wielkiej księgarni wydawniczej w Lipsku, dobrze zasłużonym dla kultury niemieckiej. Syn tych samych imion, Georg Joachim, dziwną przemianą losu znalazł się w Anglii, został Anglikiem, wziął czynny udział w życiu politycznym nowej ojczyzny, przez wiele lat był liberalnym członkiem Izby Gmin, pełnił różne stanowiska ministerialne. Był m. in. ministrem skarbu i pierwszym lordem admiralicji. Za zasługi w życiu politycznym Wielkiej Brytanii został wyniesiony do godności parowskiej i ozdobiony tytułem wicehrabiego. Wnuk Edward był w chwili wybuchu wojny ambasadorem brytyjskim w kraju swych przodków. Nazwisko

brzmiające zbyt z niemiecka zmienił wicehrabia przez usunięcie dwóch kropek nad literą o na bardziej angielskie - Goschen.

W rozmowie z kanclerzem ambasador wciąż nawracał do kwestii neutralności Belgii. Wreszcie Bethmanna Hollwega poniosły napięte nerwy i wybuchnął, że w porównaniu do tak strasznej rzeczywistości, jaką byłaby wojna brytyjsko-niemiecka, neutralność Belgii to świstek papieru (*a scrap of paper*).

Nieopanowane nerwy drogo miały kosztować i kanclerza osobiście i Niemcy. Propaganda angielska i francuska nieustannie będą powtarzać, że dla Niemców uroczyste zobowiązania traktatowe to jedynie świstek papieru bez znaczenia.

Odpowiedź kanclerza była więc odmowna, co z góry zresztą można było przewidzieć.

Opinia publiczna domagała się, aby na czele ministerstwa wojny, którym od 30 marca 1914 r. kierował sam premier Asquith, stanął żołnierz o wielkiej reputacji. 6 sierpnia 1914 r. powołano na to stanowisko Lorda Kitchenera. Wracał on właśnie ze spędzonego w Anglii urlopu na posterunek egipski, gdy w Calais zawrócił go z drogi telegram wzywający pilnie do Londynu dla objęcia teki.

Horatio Herbert Kitchener earl of Khartoum - hrabia Chartumu, urodzony w 1850 r., syn pułkownika, w 1870 r. ochotnik w armii francuskiej, wiek życia spędził w wojskowej służbie kolonialnej na Cyprze, w Egipcie i Sudanie, w Afryce Południowej, w Indiach i znowu w Egipcie. W 1898 r. rozgromił wojska derwi-

szów mahdystowskich pod Omdurmanem i rozbił ich państwo, startł się następnie w Faszodzie z ekspedycją francuską majora Marchanda. Był naczelnym wodzem armii brytyjskiej w końcowej fazie wojny z Burami. Dowodził armią indyjską, a od roku 1909 egipską. Był znakomitym organizatorem i temu darowi przede wszystkim, a nie strategii i taktyce, na których ponoć mniej się znał, zawdzięczał swe zwycięstwa.

Stanowisko Kitchenera w gabinecie było trudne, stary żołnierz nie ufał politykom cywilnym, uważał, że są niezdolni do utrzymania sekretu, i nie chciał dzielić się z nimi odpowiedzialnością. „Zasiadał w radzie ministrów - opowiada Lloyd George - z ludźmi, z którymi zmagał się przez całe życie, i dla których żywił w głębi serca mieszaninę pogardy i zarazem lęku. Główną jego myślą na posiedzeniu gabinetu było powiedzieć politykom tak mało, jak to tylko było możliwe, i wrócić jak najprędzej do swego biura w Urzędzie Wojny”.

Spółeczeństwo angielskie przyjęło nominację Kitchenera z pełnym uznaniem. Na stanowisku, które zajmował zwykle polityk cywilny, stanął teraz, czasu wojny, żołnierz opromieniony laurami zwycięstwa, wódz pełen energii i budzący zaufanie w wojsku i w narodzie. Nikt inny wówczas nie mógł z takim skutkiem zwrócić się do narodu, przede wszystkim do młodzieży, żądając od niej zaciągu ochotniczego i ofiary krwi. Wyrazista twarz Kitchenera zdobiła rozlepione na murach miast i wsi angielskich plakaty wzywające młodzież do zaciągania się w szeregi. „Jesteście potrzebni!” - wołał z plakatu Kitchener.

Pośród ekipy będącej u władzy we wszystkich państwach, pośród polityków cywilnych i pośród dowódców wojskowych, Kitchener był jedynym, który u progu wojny rozumiał jasno, że będzie to wojna długa, że trwać będzie co najmniej trzy lata.

W tych warunkach Kitchener uważał, że należy nieustannie powiększać armię; armia ta musi być tak silna, aby Wielka Brytania mogła stronom walczącym narzucić swoją wolę. „Nie może być mowy o zawarciu pokoju - powtarzał Kitchener - póki nie będziemy mogli podyktować naszych warunków”. W tym celu należy przesunąć na plan dalszy sprawy nie związane bezpośrednio z wojną, a wyteńczyć wszystkie siły, aby wygrać bój prowadzony w słusznej sprawie.

Nazajutrz po nominacji, w dniu 7 sierpnia, Kitchener zwrócił się do narodu z wezwaniem do zaciągu ochotniczego; na razie pragnął widzieć w szeregach 100 tys. ochotników. Wnet zapełniły się biura werbunkowe i w przeciągu kilku dni pod sztandarami Jego Królewskiej Mości zgromadziło się 100 tys. nowozaciężnych; w połowie września liczba ta wynosiła już 500 tys., by osiągnąć milion na przełomie roku 1914/15.

Kitchener sprzeciwił się wysuwanym gdzieś projektom zaprowadzenia w Wielkiej Brytanii powszechnego obowiązku wojskowego, spotkał się tu, zwłaszcza w zagranicznych kołach wojskowych, z krytyką. Ale krytycy nie brali pod uwagę faktu, jak bardzo przymusowa rekrutacja była sprzeczna z głęboko zakorzenionymi zapatrywaniami Anglików i ich tradycyj-

nymi pojęciami o wolności przysługującej człowiekowi. „Jeśli metoda Kitchenera - pisał Liddell Hart - charakteryzowała człowieka, to w tej samej mierze charakteryzowała Anglię”.

W listopadzie 1914 r. powstał z inicjatywy Asquitha *Cabinet Committee* - Wydział Gabinetu do kierowania wojną. W skład tej instytucji, nazywanej powszechnie Radą Wojenną (*War Council*) wchodził premier, sekretarze stanu wojny, spraw zagranicznych, Indii, pierwszy lord admiralicji i kanclerz skarbu.

Głównym wszakże orężem Wielkiej Brytanii i głównym źródłem jej potęgi militarnej była flota wojenna. Według stanu z dnia 15 maja 1914 r. liczyła ona: 20 wielkich i 40 mniejszych okrętów liniowych, 9 krążowników liniowych, 34 krążowniki pancerne, 73 krążowniki pancernopokładowe i lekkie opancerzone, 220 kontrtorpedowców, 69 torpedowców oraz 77 łodzi podwodnych. Ponadto stocznie angielskie pracowały nad budową nowych okrętów, między nimi czterech wielkich okrętów liniowych. Z chwilą wybuchu wojny rząd zarekwirował okręty budowane w Anglii na zamówienie innych państw; trzy świeżo ukończone okręty liniowe wcielono od razu do marynarki Jego Królewskiej Mości.

Flotę brytyjską kierowała Admiralicja. Instytucja ta pełniła funkcje zarówno naczelnego dowództwa operacyjnego, jak i ministerstwa marynarki. Kierownik Jej nosił tytuł pierwszego lorda admiralicji, był on ministrem, członkiem gabinetu, a jednocześnie przewodniczył Radzie Admiralicji, gdzie zasiadali między innymi

lordowie morscy - pierwszy, drugi, trzeci i czwarty. Pierwszym lordem admiralicji był z reguły polityk cywilny<sup>20</sup>. W chwili wybuchu wojny stanowisko to piastował Winston Leonard Spencer Churchill.

Churchill, potomek księcia Marlborough, pomimo młodego stosunkowo wieku (urodzony 30 listopada 1874 r. dobiegał właśnie czterdziestki), miał już za sobą przeszłość bujną i błyskotliwą. Przez parę lat służył w kawalerii brytyjskiej, w czasie wojny z Burami był korespondentem wojennym dziennika konserwatywnego „Morning Post” i krytycznymi opiniami naraził się dowództwu, zwłaszcza Kitchenerowi. Wzięty do niewoli zasłynął awanturniczą ucieczką z: obozu jeńców w Pretorii. W 1900 r. wszedł do Izby Gmin jako konserwatysta, przerzucił się później do liberałów i w gabinecie liberalnym piastował teki handlu od 1908 r., spraw wewnętrznych od 1910 i wreszcie marynarki od 1911.

Brytyjski Korpus Ekspedycyjny składał się początkowo z pięciu, wkrótce później z sześciu dywizji piechoty i jednej dywizji jazdy, razem 130 tys. ludzi oraz 30 tys. w etapach. Dowództwo jego objął John Denton Pinkstone French i piastował je do końca 1915 r. Dopiero po roku mniej więcej napływ ochotników pozwolił wyekspediować na front francuski większe siły brytyjskie. Pierwsze dywizje brytyjskie stanęły na ziemi francuskiej w dniach pomiędzy 12 a 17 sierpnia i od razu wzięły udział w walkach.

Flota brytyjska stanęła w ostrym pogotowiu w dniu 29 lipca 1914 r. Miała za zadanie przeprowadzić tzw. daleką blokadę Niemiec. Chodziło tu o zamknięcie

Niemcom wyjść na oceany; dwa były takie wyjścia - południowe poprzez kanał La Manche i północne pomiędzy Szetlandami a Norwegią.

Na straży przejścia południowego stała *Channel Fleet* - Flota Kanału, złożona z 19 starych okrętów liniowych, pod komendą wiceadmirała C. D. Burneya. Skoncentrowano ją w Portsmouth i w Devonport; były to najlepiej i najnowocześniejsze porty wojenne Wielkiej Brytanii.

*Grand Fleet* - Wielka Flota natomiast strzegła wyjścia północnego. Główną bazę miała w Scapa Flow; port ten wszakże nie był przygotowany do obrony przed torpedami. Wielką Flotę, łączącą największe siły morskie Wielkiej Brytanii, dowodził admirał John Rushworth Jellicoe. Ponadto w portach w Harwich, Dover, Humber miały siedzibę flotylle przeznaczone do strzeżenia wschodnich wybrzeży Wielkiej Brytanii.

Zbrojenia podjęła Wielka Brytania od razu na wielką skalę. W pół roku po wybuchu wojny, 10 lutego 1915 r. ambasador Stanów Zjednoczonych w Londynie Walter Hines Page pisał do prezydenta Wilsona: „Anglia robi teraz przygotowania, aby kontynuować wojnę, takie, jakich przedtem nie poczyniło żadne mocarstwo. Działa tak, jakby wiedziała, że pewnego dnia porzucą ją Francja i Rosja i będzie musiała walczyć sama. Ludzie, karabiny, armaty, żywność, samoloty, flota od łodzi podwodnych (dwie na tydzień) do *dreadnoughtów*. (...) W następnym roku Anglia na lądzie i na morzu (i w pieniądzu) będzie silniejsza niż kiedykolwiek było jakie państwo na ziemi”.



## 23. Rosja u progu wojny

W niedzielę 2 sierpnia 1914 r., w galerii św. Jerzego w Pałacu Zimowym w Piotrogradzie, w obecności licznej rzeszy dygnitarzy cywilnych i wojskowych, Mikołaj II wzorując się na stryjecznym pradziadzie Aleksandrze I w 1812 r. przysiągł trzymając rękę na Ewangeli, że nie zawrze pokoju póki jeden żołnierz nieprzyjacielski pozostawać będzie na ziemi rosyjskiej. Gest ten miał wywołać nastroje patriotyczne w społeczeństwie i zapalać do wojny obronnej. Temu celowi służyć też miały masowe pochody z ikonami i portretami cara na ulicach Piotrogradu; pochody te były, rzecz prosta, organizowane przez policję. Tylko bardzo powierzchowny obserwator mógł demonstracje takie brać poważnie i wyciągać z nich wnioski o zapale wojennym narodu rosyjskiego.

Nie trzeba było zresztą długo czekać, aby się przekonać, iż rzeczywistość miała zgoła inne oblicze. Pomimo że to nie Rosja wypowiedziała wojnę Niemcom, lecz przeciwnie Niemcy wydały wojnę Rosji, naród rosyjski nie zajął i zająć nie mógł takiej postawy wobec napastnika, jaką zajął naród francuski. Trzonem narodu rosyjskiego, najliczniejszą jego warstwą był wówczas chłop. Otóż chłop nie widział celu wojny imperialistycznej i nie rozumiał jej znaczenia. Nakazom mobilizacyjnym poddał się, bo był przyzwyczajony do posłuszeństwa władzy, ale były przecież okolice np. w guberni tomskiej, gdzie opór przeciwko mobilizacji przy-

brał charakter niebezpieczny i gdzie władze musiały się uciec do ostrych środków.

Za wojną imperialistyczną natomiast opowiadała się wielka burżuazja. Jednego z jej głównych rzeczników profesora Pawła Milukowa nazywano w kołach lewicowych Milukowem–Dardanelskim.

Burżuazja rosyjska dojrzała, w wojnie, według trafnych słów Romana Dmowskiego, „przełamanie muru wewnętrznego, otaczającego władzę w państwie, (muru) który stanowiła niemiecko–rosyjska arystokracja urzędnicza, otwarcie dostępu do tej władzy przedstawicielom społeczeństwa”. Burżuazja poparła więc wojnę, wszelkimi sposobami starała się służyć potrzebom wojennym, „wykazać swą większą zdolność do prowadzenia państwa w trudnych chwilach od sfer dotychczas rządzących”.

Ale to zjawisko wzmagało w kołach dworskich i rządowych niechęć do wojny z cesarstwem niemieckim, obawy, że wojna może przynieść albo rewolucję, albo otworzyć drogę do władzy czy do współwładzy odsuniętej dotąd od rządów burżuazji. Dla ludzi tak rozumujących każdy wynik wojny - wygrana czy przegrana - niósł pogorszenie ich sytuacji. Obawy żywione w Paryżu i w Londynie pokoju odrębnego pomiędzy Rosją i Niemcami nie były nieuzasadnione.

Wybuch wojny z Turcją ożywił różne koła społeczeństwa rosyjskiego, przybrała na sile propaganda wojenna, albo raczej zyskała na wyrazistości czy ostrości. Przeciwno Niemcom trudno było sformułować cele wojenne zrozumiałe dla przeciętnego Rosjanina; cele takie

natomiast można było z łatwością - tak przynajmniej sądzono - wysunąć przeciwko Turcji: Konstantynopol, Cieśniny, Morze Czarne jeziorem rosyjskim.

Stanowisko poszczególnych kół społeczeństwa rosyjskiego wobec wojny miało rozmaite zabarwienie. „Jeden z informatorów” ambasadora Francji, „należący do środowiska postępowego”, zapewniał Paléologue’a już w dniu 3 sierpnia 1914 r., że „ta wojna doprowadzi do triumfu proletariatu”. „Triumf proletariatu ... nawet w razie zwycięstwa”? zdziwił się Francuz. „Tak - brzmiała odpowiedź postępowego informatora - ponieważ ta wojna złączy wszystkie klasy społeczne; zbliży chłopą do robotnika i do studenta; wydobędzie na światło dzienne wszystkie podłości naszej biurokracji, a to zmusi rząd do liczenia się z opinią publiczną; wprowadzi wreszcie do szlacheckiej klasy oficerskiej element liberalny, a nawet demokratyczny - oficerów rezerwy. Ten element odegrał już wielką rolę polityczną podczas wojny mandzurskiej... Bunt w wojsku w 1905 r. nie byłyby bez niego możliwe”. Nie nazbyt zadowolony z rozmowy ambasador Francji skwitował swego informatora krótkim: „Najpierw zwyciężmy. Później zobaczymy”.

Nie w charakterze przewidywania, ale jako nakaz dla wszelkiej działalności rewolucyjnej postawił sprawę Lenin. „W żadnym kraju - pisał w lutym 1915 r. - walka ze swoim rządem prowadzącym wojnę imperialistyczną nie powinna się cofać przed możliwością klęski tego kraju w rezultacie agitacji rewolucyjnej. Klęska armii rządowej osłabia dany rząd, sprzyja wyzwoleniu

ujarzmionych przezeń narodowości i ułatwia wojnę domową przeciwko klasom rządzącym.

W zastosowaniu do Rosji twierdzenie to jest szczególnie słuszne. Zwycięstwo Rosji pociąga za sobą spotęgowanie światowej reakcji, spotęgowanie reakcji w kraju, a towarzyszy mu całkowite ujarzmienie ludów na zagarniętych już obszarach. Wobec tego klęska Rosji w każdych warunkach stanowi najmniejsze zło”.

8 sierpnia/26 lipca 1914 r. zebrały się na nadzwyczajnym posiedzeniu Rada Państwa i Duma i pozornie dały wyraz jedności narodowej, uchwaliły bowiem postulowane przez rząd kredyty wojenne wszystkimi głosami z wyjątkiem głosów socjaldemokratów.

Niepewne stanowisko społeczeństwa - nie była to jedyna trudność, jaka stanęła przed rządem i przed naczelnym dowództwem. W początkach wojny poważniejsze może niebezpieczeństwo przedstawiało zupełne nieprzygotowanie Rosji do wojny pod względem techniczno-wojskowym. Jeśli poważne braki w zaopatrzeniu w sprzęt bojowy wystąpiły w krajach uprzemysłowionych: jak Niemcy, Wielka Brytania, Francja, czego należało się spodziewać w kraju tak zacofanym gospodarczo, jakim było państwo carów?

Największych trudności nastręczał transport. W tym ogromnym kraju sieć kolejowa była bardzo słabo rozwinięta. Nie było również dróg o twardej nawierzchni. Zresztą brakowało niemal wszystkiego, co było potrzebne do prowadzenia nowożytnej wojny. A przewóz z Francji, Wielkiej Brytanii i z Ameryki napotykał pod każdym względem niepoślednie trudności.

Według praw i zwyczajów rosyjskich car był również wodzem naczelnym. Na wypadek gdyby samowładca nie zdecydował się na sprawowanie tej funkcji podczas wojny, wyznaczano naczelnego wodza spośród członków dynastii (podczas wojny z Turcją w 1877 r. - wielki książę Mikołaj Mikołajewicz starszy) lub wyższych oficerów (w wojnie z Japonią w 1904/5 r. - Kuropatkin). Przed sierpniem 1914 r. Mikołaj II nie ujawnił swego stanowiska, sprawa pozostała więc w zawieszeniu. W innych państwach generał przewidziany na naczelnego wodza, jak Joffre we Francji, Moltke w Niemczech czy Conrad von Hötzendorf w Austro-Węgrzech, miał poważny czy nawet decydujący wpływ na ustalenie i opracowanie planu wojennego. W Rosji było inaczej, a pociągnęło to za sobą ujemne skutki.

Po wybuchu wojny car początkowo zamierzał stanąć osobiście na czele armii, powołując się na przykład Aleksandra I w 1805 r. Niektórzy ministrowie jednak, między innymi Goremykin, a przede wszystkim Sazonow, przekonali monarchę, że nie powinien wystawiać na szwank swego autorytetu w wojnie, która niewątpliwie będzie ciężka i której wyniki były niepewne. Carowi - argumentowali - nie wolno narażać się na krytykę, którą w społeczeństwie, a nawet w armii, będzie musiało wywołać nieuniknione cofanie się wojsk rosyjskich w pierwszych tygodniach wojny. Po pewnych wahaniach Mikołaj uległ tej argumentacji i mianował wodzem naczelnym generała kawalerii wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza młodszego, zastrzegając

sobie objęcie dowództwa osobiście w chwili odpowiedniej.

Wobec zupełnego braku wykształcenia wojskowego i wszelkiego doświadczenia na tym polu Mikołaj II mógł być zresztą tylko figurantem.

Mikołaj Mikołajewicz, w przeciwieństwie do większości książąt krwi, którzy sprawowali czynności wodzów, miał należyte przygotowanie i wykształcenie wojskowe, miał też niewątpliwie talenty militarne. Ukończył akademię sztabu, służbę wojskową odbył przechodząc od niższych stopni oficerskich do najbardziej odpowiedzialnych stanowisk w wojsku - generalnego inspektora kawalerii, dowódcy armii mającej działać przeciwko Niemcom, naczelnika petersburskiego okręgu wojskowego i przewodniczącego Rady Obrony Kraju. W kręgach społeczeństwa wiernych monarchii i w wojsku cieszył się ogromną popularnością, chociaż miał dużo wrogów w kołach dworskich, gdzie obawiano się tej jego popularności i jego ambicji. Na żołnierzach i na publiczności wywierał wrażenie marsowy wygląd wielkiego księcia, zwłaszcza w zestawieniu z niepozornym i nieśmiałym carem-samowładcą.

Szefem sztabu został mianowany generał piechoty Nikołaj Januszkiewicz, kwatermistrzem generał Jurij Daniłow.

Gotowość bojowa armii była nierówna. Korpus oficerski w znacznej większości ożywiał zapał do walki i optymizm; oficerowie byli przeświadczeni, że już „na Boże Narodzenie” powrócą do domu, rzecz prosta jako

zwycięzcy. Postawienie w stan bojowy dywizji kadrowych nie nastroczało trudności; wojsko to, odpowiednio wyposażone, było gotowe do wymarszu. „Mieszkańcy Piotrogradu na ulicach wiodących na dworce kolejowe codziennie mogli podziwiać kolumny piechoty w doskonałym ordynku maszerujące sprężystym krokiem”.

Gorzej przedstawiała się rezerwa. Wielu rezerwistów po odbyciu powinności wojskowej nie powoływano więcej na ćwiczenia, zmobilizowani szli do szeregów zupełnie nieprzygotowani do czekających ich ciężkich zadań. Nierzadkie były przypadki, gdy kierowano ich do rodzaju broni, w której nie byli w ogóle szkoleni. Na przykład wielu artylerzystów wcielono do piechoty. Zaopatrzenie oddziałów rezerwy w sprzęt bojowy pozostawiało wiele do życzenia, przydzielano im armaty i karabiny przestarzałych modeli, dawał się we znaki brak kuchen polowych.

## 24. Nad Marną

„Jak w roku 1870”, to pierwsze słowa książki pisarza francuskiego Henry Contamine’a o zwycięstwie nad Marną. O roku 1870 przez czterdzieści cztery lata pamiętali Francuzi, o roku 1870 przez czterdzieści kilka lat myśleli Francuzi. Charakterystyczny okrzyk studenta paryskiego na wiadomość o wybuchu wojny: „Teraz, gdy powiemy wojna, to już nie będzie chodziło o rok 1870”.

Istotnie sytuacja była inna. W 1870 r. Francja stała się do walki z najeźdźcą osamotniona, z opinią na-

pastnika, do wojny nieprzygotowana czy źle przygotowana. W 1914 r. miała armię na wysokim poziomie, miała sprzymierzeńców - Anglię i Rosję, wiarę w zwycięstwo krzepiła potęga Wielkiej Brytanii, nadzieje budził „walec rosyjski”, który miał się potoczyć w głąb Niemiec.

W 1870 r. stanął przed Francuzami adwersarz niewzniecający nienawiści, ale i niebudzący respektu. W 1914 r. dzielił Francuzów od Niemców mur nienawiści; wyrazy *pikelhauba* i Prusak to jedne z najbardziej pejoratywnych słów w ówczesnym języku francuskim.

W 1914 r. i władze cywilne i władze wojskowe i całe społeczeństwo stanęły wobec wielkiego aktu dziejowego z powagą, z poczuciem odpowiedzialności, bez owych gestów lekkomyślnych tak znamienych dla roku 1870. Teraz to raczej Niemcy lekceważyli przeciwnika, przeświadczeni o degeneracji narodu francuskiego.

W takich warunkach, pośród takich nastrojów zaczęły się we Francji w sierpniu 1914 r. pierwsze boje.

Pod jednym względem wszakże zaczęły się tak, jak w roku 1870. Piechota francuska ruszyła do ataku na bagnety przybrana w czerwone spodnie, wiedli ją wystrojeni oficerowie w białych rękawiczkach, tak jak na promocji w Saint-Cyr; przez kilkanaście dni kosiła barwnych atakujących artyleria niemiecka. Dopiero później żołnierzowi niemieckiemu w szarzielonym mundurze *feldgrau* zagroził drogę żołnierz w uniformie błękitnoszarym *bleu horizon*.



Niewiele bitew stoczono w dziejach świata, którymi tak zainteresowała się nauka historyczna, które tak osnuła legenda, jak bitwa nad Marną we wrześniu 1914 r. I słusznie, jeśli bowiem Niemcy przegrali wojnę, to w znacznej mierze zaważyła na tym wielka przegrana armii niemieckiej we wrześniowych bojach nad Marną.

Zgodnie z planem Schlieffena, zmienionym, „rozcieńczonym” przez Moltkego, Niemcy rzucili główne siły na Belgię, a przez Belgię na północną Francję, aby obejść francuskie lewe skrzydło, okrążyć od zachodu Paryż, wziąć armię francuską w żelazne kleszcze i zniszczyć ją jak Hannibal zniszczył armię rzymską pod Kannami.

Przygotowania techniczne były świadectwem niemieckich talentów organizacyjnych i niemieckiej metodyczności.

Kolej, której tak wielkie znaczenie przypisywał już Moltke starszy, wprzęgnięta do dzieła inwazji, była jej ważnym elementem. Sieć kolejową budowali Niemcy pod ścisłym nadzorem władz wojskowych; nie wolno było położyć nawet niewielkiej linii bocznego toru bez zezwolenia wojska. Praca nad kolejnictwem dała wyniki; pokazało się to zaraz w sierpniu 1914 r. Już 6 sierpnia, jeszcze przed ukończeniem mobilizacji, rozpoczął się wielki marsz na zachód. 550 pociągów przebiegało dziennie przez mosty na Renie. 12 sierpnia półtora miliona żołnierzy znajdowało się już w granicach Francji i Belgii.

4 sierpnia wtargnęli Niemcy do Belgii, a nazajutrz, 5 sierpnia uderzyli na twierdzę Liège. Była to silna

twierdza, uchodziła za jedną z najlepiej ufortyfikowanych w Europie, otoczona w promieniu 40 kilometrów pierścieniem umocnionych fortów. Dopiero po jej zdobyciu mogło niemieckie prawe skrzydło przejść szybkim marszem przez Belgię. Jednak w pierwszych szturmach nie udało się Niemcom zdobyć Liège. Twierdza padła dopiero 16 sierpnia. 18 sierpnia rozpoczęła się wielka oskrzydłająca ofensywa niemiecka. 20 sierpnia wkroczyli Niemcy do Brukseli. Wojska belgijskie pośród zaciętego oporu wycofały się do Antwerpii i do początku października będą tam wiązać znaczniejsze siły niemieckie.

Oskrzydlający marsz Niemców przez Belgię nie zaskoczył dowództwa francuskiego, ale generał Joffre nie przypuszczał, że uderzenie pójdzie na północ od linii Mozy–Sambry.

W Belgii tymczasem rozgorzały nieubłagane boje. Walczył nie tylko żołnierz regularny, opór najeźdźcy stawiała ludność cywilna - „wolni strzelcy” (*franc-tireurs*); wojna ludowa toczyła się ze szczególnym nasileniem w Ardenach, w okolicach Leuven (franc. Louvain) i Dinant. Postawa ludności belgijskiej zaskoczyła Niemców, a ta niespodzianka wprawiała ich we wściekłość. Toteż brutalnie tłumili wszelki opór, rzeczywisty lub urojony. 12 sierpnia Moltke wydał rozkaz, aby rozstrzeliwano natychmiast jako wolnego strzelca „każdego, kto w sposób nieuprawniony bierze udział w działaniach wojennych”. Uprowadzono zakładników, palono wsie i miasteczka. Na Brukselę nałożono wysoką kontrybucję. 25 sierpnia spalono dzielnicę uniwersy-

tecką w Leuven. Pastwą płomieni padła jedna z najpiękniejszych i najbogatszych bibliotek Europy, spłonął Pałac Sprawiedliwości, z dymem poszło 800 domów mieszkalnych. Propagandzie angielskiej i francuskiej, piętnującej niemieckie okrucieństwa, Leuven dostarczyło nieocenionej pożywki.

Bibliotekę w Leuven odbudowano po wojnie z funduszy amerykańskich, na frontonie umieszczono napis ułożony przez kardynała Desire Mercier, arcybiskupa Mechelen (franc. Malines). Napis głosił: „*Furore teutonico diruta, dono americano restituta*” („zniszczona furją teutońską, odbudowana darem amerykańskim”).

Już 5 sierpnia pisał Moltke do austriackiego szefa sztabu Conrada von Hötendorfa: „Postępujemy w Belgii niewątpliwie brutalnie, ale walczymy na śmierć i życie, i kto staje nam na drodze musi ponieść konsekwencje”.

Belgię poddano surowej administracji wojskowej. 23 sierpnia 1914 r. utworzono Generałgubernatorstwo belgijskie: stanowisko generała–gubernatora objął generał Moritz Ferdinand von Bissing.

Pośród walk nieustannych i bezwzględnych, krwawego terroru parli Niemcy ku granicy francuskiej. Dowództwo francuskie zaś podjęło próbę opanowania niebezpiecznej sytuacji.

Generał Joffre, zgodnie z założeniami planu XVII, podjął ofensywę zaraz po wybuchu wojny. 7 sierpnia ruszyli Francuzi do ataku w Alzacji, 8 sierpnia nie napotykając oporu Niemców zajęli Miluzę. Wiadomość ta

wywołała falę entuzjazmu w całej Francji. Entuzjazm był wszakże przedwczesny. Już 10 sierpnia Niemcy szybkim kontratakiem wyparli Francuzów z Miluzy i rozstrzelali kilkunastu Alzacczyków, którzy zbyt manifestowali radość z powrotu do ojczyzny.

Atak francuski w Alzacji podyktowały względy sentymentalne i polityczne. Wieści o błyskawicznym odzyskaniu Alzacji musiały potężnie poruszyć opinię publiczną we Francji. Z przeświadczenia o wojnie krótkotrwałej wyciągnięto wniosek, że Francja mając w czasie rokowań pokojowych Alzaccję w ręku, utrzyma ją na stałe.

Takie rozważania sprawiły, że Francuzi ruszyli znowu 14 sierpnia do ataku w Alzacji i 19 zajęli ponownie Miluzę. Atak ten załamał się wszakże szybko. Atakująca piechota francuska przybrana w czerwone spodnie przedstawiała doskonały cel dla artylerii niemieckiej i niemieckich karabinów maszynowych.

20 sierpnia przeszli Niemcy do kontrofensywy i wyparli Francuzów z Alzacji z wyjątkiem małej miejscowości Thann.

Bitwa Alzacka zakończyła się więc przegraną wojsk francuskich, ale w konsekwencji jej znaczenie dla Francji okazało się korzystne, a to dzięki błędom niemieckim. Oto Moltke na wieść o ofensywie francuskiej skierował do Alzacji sześć dywizji rezerwowych, które pierwotnie miały wzmocnić prawe skrzydło. Przybyłe posiłki roznieciły zapal dowódców niemieckich i zagrzały ich do bojów zaczepnych. Zamiast wciągnąć Francuzów głębiej do walki, co byłoby dla

nich pułapką, pozwolono im oprzeć się na umocnionej linii granicznej. Skutkiem tego część sił francuskich mógł Joffre następnie przerzucić do walki przeciwko prawemu skrzydłu niemieckiemu.

20 sierpnia Joffre wydał rozkaz, aby dwie armie francuskie, 3 i 4, zaatakowały Niemców pomiędzy Dinant i Thionville. Od 20 do 25 sierpnia pomiędzy Skalda i Wogezami na przestrzeni długości około 250 km rozgorzały „bitwy graniczne”.

Niemcy odnieśli tu niewątpliwy sukces taktyczny, ale celu - rozbicia armii francuskiej - nie osiągnęli. Można by już tu chyba upatrywać załamanie się koncepcji wojny błyskawicznej, która miała zakończyć się powaleniem Francji w przeciągu sześciu tygodni.

Wojnę błyskawiczną miano zresztą rozstrzygnąć w północnej Francji potężnym atakiem niemieckiego prawego skrzydła.

Moltke osłabił je wszakże znowu. Zaniepokojony wtargnięciem wojsk rosyjskich do Prus Wschodnich oderwał 24 sierpnia od prawego skrzydła dwa korpusy i wysłał je pośpiesznie na front rosyjski.

Opór prawemu skrzydłu niemieckiemu stawiali już nie tylko Francuzi, do walki stanął także brytyjski korpus ekspedycyjny - *British Expeditionary Force*. Była to siła na razie niewielka - cztery dywizje piechoty i dywizja kawalerii. Wódz tej armii marszałek polny Sir John D. P. French, wsławiony przed kilkunastu laty w bojach z Burami, przyплыł do Boulogne 14 sierpnia. Brytyjski minister wojny Lord Kitchener w instrukcji dla Frencha pisał: „Chociaż powinien Pan sta-

rać się usilnie stosować się do poglądów i życzeń naszych sprzymierzeńców (...) proszę pamiętać, że jest Pan w pełni niezależny i nigdy w żadnym wypadku i w żadnym znaczeniu nie znajdzie się Pan pod komendą sprzymierzonego generała”.

Generał Joffre zrozumiał popełnione błędy i wyciągnął z nich naukę: że zawiodło współdziałanie piechoty i artylerii. 24 sierpnia 1914 r. wydał instrukcję, w której zakazywał rzucać piechotę do ataku bez solidnego przygotowania artyleryjskiego, zabraniał „atakować zwartym szykiem bojowym, lecz cienką falą (*vague mince*) ustawicznie zasilaną z tyłów”.

Pierwsze boje wykazały wszakże nie tylko błędy popełnione przez dowództwo, pokazały również mniejszą niż sądzono w czasach pokoju odporność żołnierza na ogień artyleryjski. Dla ludzi, którzy nie zaznali jeszcze wojny nowoczesnej, którzy pojęcie o wojnie urabiali sobie podczas manewrów, pierwsze zetknięcie z jej grozą, z jej okrucieństwem musiało być głębokim wstrząsem. Kapral Delabeye z racji krótkiego wzroku został zwolniony ze służby wojskowej, ale z wybuchem wojny zgłosił się na ochotnika. Pierwsze przeżycia bojowe opowiedział tymi słowy: „...Nagle odczułem silne uderzenie w twarz. Straszliwe detonacje rozlegały się w lesie położonym od nas około półtora kilometra; częściej niż co sekundę nadlatywały na nas z przeraźliwym sykiem dziesiątki pocisków, z hukiem wybuchały nad naszymi głowami i obrzucały nas odłamkami. Pod tą niespodziewaną piorunującą nawałą ogniową moi ludzie uciekali ze wszystkich stron. Skamieniały, z zamę-

tem w mózgu nie byłem w stanie ruszyć się z miejsca, chociaż instynkt nakazywał mi uciekać. (...) Cóż mógł zrobić człowiek na tym wulkanie ziejącym ogniem i żelazem”. Nagle kapral usłyszał głos kolegi: „Delabeye, nie zobaczymy już Sabaudii, jesteśmy zgubieni”.

Posłuchajmy jeszcze głosu młodego podporucznika 33 pułku piechoty, rannego zaraz w początkach wojny: „Oficerowie ginęli stojąc z wymuszonym, udanym spokojem, bagnety na karabinach (...), trąby wzywają do ataku, odosobnione heroiczne ofiary (...) W mgnieniu oka widać, że odwaga całego świata jest niczym (*ne prevaut*) wobec ognia”.

Młody podporucznik liczył sobie wówczas 24 lata; nazywał się Charles de Gaulle.

Tymczasem Niemcy parli naprzód, 1 Armia niemiecka dowodzona przez generała Alexandra von Klucka na skrajnym prawym skrzydle pobiła Anglików pod Le Cateau 26 sierpnia i Francuzów pod Péronne 28 i 29 sierpnia. 2 Armia pod dowództwem generała Karla von Bülowa w trzydniowej bitwie pod Saint-Quentin odparła silny kontratak francuski i wytrwale posuwała się dalej w kierunku Paryża. Natomiast armie 3, 4 i 5 napotkały nad Mozą pomiędzy Sedanem i Verdun zacięty opór i dopiero po wytężonych walkach przełamały go kosztem strat ciężkich. Francuzi nie zdołali zatrzymać ofensywy niemieckiej, ale nie pozwolili się oskrzydlić. Skutkiem tego 1, 2 i 3 armie niemieckie zmieniły na przełomie sierpnia i września kierunek natarcia, zaniechały planu okrążenia Paryża od zachodu i skręciły na południe.

Walki na przełomie sierpnia i września pokazały, że rezydujący w Luksemburgu Moltke przestał się orientować w sytuacji, jaka powstała na terenie działań wojennych. Brak połączeń telefonicznych pomiędzy Naczelnym Dowództwem a dowódcami 1, 2 i 3 armii oraz niedostatecznie jeszcze sprawna łączność radiowa sprawiły, że dowódcy armii działali na własną rękę, skutkiem tego prawe skrzydło niemieckie (armie 1, 2 i 3) nie miało jednolitego dowództwa.

Ofensywa niemiecka wciąż się rozwijała, ale coraz większe trudności piętrzyły się przed Niemcami. Zwłaszcza 1 Armia walczyła z rosnącymi brakami zaopatrzenia. Niezrażony niczym generał von Kluck gnał naprzód nie dając żołnierzom wytchnienia i wypoczynku i wysforował się znacznie przed 2 Armie.

Jeden z oficerów niemieckich pisał: „Nasi żołnierze są u kresu sił, maszerują już od czterech dni robiąc po 40 kilometrów dziennie... Podtrzymuje ich nerwy i podnieca ich nastroje pewność bliskiego zwycięstwa i triumfalnego wkroczenia do Paryża. Upijają się, aby ciała dać stan upojenia podobny do upojenia ich dusz. Ale pijaństwo utrzymuje ich przy siłach”.

Wieczorem 4 września mówił Moltke: „Mamy sukcesy, aleśmy jeszcze nie odnieśli zwycięstwa. Zwycięstwo to zniszczenie siły oporu wroga. Gdy naprzeciwko siebie stoją milionowe armie, zwycięzca wzięł jeńców. Gdzież są nasi jeńcy? Jakie 20 tys. w bitwie w Lotaryngii, tu 10 tys. i tam może jeszcze 20. Ale stosunkowo mała liczba zdobytych armat wskazuje, że



Francuzi wycofali się planowo i w porządku. Najcięższe wysiłki czekają nas jeszcze”.

Podobnie pisał o wrześniowych walkach we Francji admirał Georg von Müller: „Zwycięstwa, ale nie zwycięstwo”.

Moltke i Müller nie mylili się w pesymistycznej ocenie sytuacji. Francuzi i Anglicy zdołali się wycofać na południe i południowy wschód, nie dopuścili do okrążenia swego lewego skrzydła, parciu 1 i 2 armii niemieckich przeciwstawili zaciekły opór i zdołali rozrwać front napierających wojsk niemieckich. Na przełomie sierpnia i września 1, 2 i 3 armie niemieckie musiały zmienić kierunek ataku, zaniechać planu okrążenia Paryża od zachodu i maszerować na południe i południowy wschód. Inicjatywa wymykała się z rąk Niemców. Ofensywa niemiecka traciła pierwotny charakter planowy i nabierała cech przypadkowości.

Gen. Moltke rozkazem z 2 września zatwierdził *ex post* decyzje dowódców 1 i 2 armii, Klucka i Bülowa, ale widać było, że stracił rozeznanie w sytuacji swego prawego skrzydła, 1 Armia miała maszerować za 2 Armią i objąć ubezpieczenie jej prawego skrzydła. Tymczasem 1 Armia wyprzedziła znacznie Armię 2. Gen. Kluck nadal parł naprzód, zmęczonemu żołnierzowi nie dawał wypocząć, nie zdołał wszakże okrążyć Anglików.

3 i 4 września 1 i 2 armie niemieckie przekroczyły Marne. 2 Armia zajęła 3 września Reims, a 5 była już na lewym brzegu Marny. Ale w ten sposób prawe skrzydło niemieckie, a zwłaszcza wysunięta najbardziej

naprzód I Armia, stanęło przed groźbą ataku od strony Paryża.

Niemcy nie docenili płynącego stąd niebezpieczeństwa. Jeszcze 5 września Kluck był zdania, że należy ścigać nieprzyjaciela do Sekwany i okrążyć Paryż. Chociaż Niemcy znajdowali się w odległości zaledwie 40 kilometrów od stolicy Francji, plany oskrzydlenia armii francuskiej były już nierealne. Wojska niemieckie maszerujące na Paryż znajdowały się u kresu sił; od dnia 18 sierpnia przebyły ponad 500 kilometrów i to przeważnie staczając ciężkie boje, wystawione często-kroć na morderczy ogień polowej artylerii francuskiej. A przy tym Moltke poprzednio już osłabił swe prawe skrzydło, gdy dwa korpusy armii skierował do Prus Wschodnich, gdy kilka dywizji unieruchomił w oblężeniu twierdz Antwerpii i Maubeuge.

Pomimo to położenie armii francuskiej było niezwykle trudne. Załamały się plany strategiczne, z którymi rozpoczynano wojnę, znaczne części kraju były zajęte przez wroga, co więcej nieprzyjaciel stał u wrót stolicy.

Jak bańka mydlana prysły wygórowane, złudne nadzieje na szybkie zwycięstwo. Przed oczyma osłupiałych Francuzów, dotąd wciąż karmionych optymistycznymi komunikatami wojennymi, stanęło widmo nowej klęski, widmo nowego Sedanu. 29 sierpnia dzienniki przyniosły komunikat pozornie bezbarwny: „Położenie na froncie od rzeki Sommy do Wogezów pozostało od wczoraj bez zmiany. Wydaje się, że wojska niemieckie

zwolniły tempo marszu”. Przyznano w ten sposób, że Niemcy wkroczyli głęboko w granice Francji.

26 sierpnia dokonano rekonstrukcji gabinetu Vivianiego, stwarzając warunki do podniesienia jego autorytetu. W charakterze ministra spraw zagranicznych wszedł do rządu Theophile Delcassé, twórca *Entente cordiale* i sprawca umocnienia sojuszu francusko-rosyjskiego. W ministerium wojny generała Messimy'ego, któremu zarzucono zbytnią nerwowość, zastąpił znany z energii Aléxandre Millerand. Po raz pierwszy weszło do gabinetu dwóch socjalistów - Marcel Sembat jako minister robót publicznych i Jules Guèsde jako minister bez teki. Święta jedność święciła triumf.

Z niektórych stron odezwały się głosy domagające się dymisji Joffre'a. Do tego rząd nie dopuścił, a w osobie Milleranda zyskał wódz naczelny bezwzględnie lojalnego i oddanego sobie ministra. Gubernatorem wojennym Paryża mianowano generała Gallieniego. Joseph Gallieni wsławił się w wojnach kolonialnych w Indochinach i na Madagaskarze, gdzie był gubernatorem; był tam też przełożonym Joffre'a i odnosił się doń z uznaniem i szacunkiem, zabarwionym wszakże pewnym odcieniem pobłażliwości. W 1911 r. wraz z Joffrem brano pod uwagę jego kandydaturę na stanowisko szefa sztabu. A i obecnie jedynym rywalem Joffre'a do urzędu naczelnego wodza mógł być Gallieni, choć przekroczył już wiek czynnej służby.

Posępne nastroje mieszkańców Paryża i ich nerwowość zwiększał jeszcze fakt, że Niemcy zrzucili na stolicę niemieckie chorągiewki i ulotki propagandowe

zapowiadające bliskie wejście najeźdźcy do stolicy. Wielu z zamożniejszych paryżan wyjeżdżało pośpiesznie na prowincję. 2 września wieczorem, w rocznicę Sedanu, prezydent wraz z rządem opuścili Paryż i udali się do Bordeaux. Decyzja opuszczenia stolicy ani prezydentowi, ani rządowi nie przyszła łatwo. Była przedmiotem długich i burzliwych narad rady ministrów. Decyzję przesądził bodaj minister Doumergue słowami: „Potrzeba znacznie więcej odwagi, by okazać się tchórzem i ryzykować publiczną dezaprobatę niż by zaryzykować, że się zginie”. Energiczny Gallieni skoncentrował w swym ręku pełnię władzy w mieście i jego najbliższych okolicach. Rankiem 3 września na murach Paryża pojawiły się plakaty z odezwą gubernatora wojennego. Krótki zwięzły tekst odezwy przeszedł do historii i do legendy: „Mieszkańcy Paryża! Członkowie rządu Republiki opuścili Paryż; dodadzą nowego bodźca do Obrony Narodowej. Otrzymałem rozkaz obrony Paryża przed wrogiem. Rozkaz ten wypełnię do końca”.

Nerwowo, chory na cukrzycę Moltke siedział w niemieckiej Kwaterze Głównej w Luksemburgu, z dala od frontu, i dopuścił, że naczelna komenda wymknęła mu się z rąk.

Spokojny, opanowany, flegmatyczny Joffre trzymał nerwy na wodzy i na chwilę nawet nie utracił panowania nad sobą. Łączyły się w nim zimna krew, stanowczość i szybkość decyzji. 24 sierpnia doszedł do przekonania, że plany jego zawiodły, że przegrał pierwszą batalię, ale stwierdził jednocześnie, że wojska

francuskie nie zostały rozbite. Postanowił więc cofać się metodycznie tak, aby nie dopuścić do dezorganizacji armii, lecz móc ją zatrzymać w odpowiedniej chwili i następnie przejść szybko do kontrofensywy.

Nadszedł wreszcie dzień 4 września. W godzinach wieczornych dnia poprzedniego do dowództwa francuskiego nadeszły, głównie od lotników, interesujące wiadomości o ruchach wojsk nieprzyjacielskich. Drogi wiodące do Paryża z północy były wolne, nie było tam Niemców. Na południowym wschodzie natomiast, tzn. ku rzece Marnie, pomiędzy Château–Thierry i La Ferté–sous–Jouarre, maszerowały długie kolumny wojsk niemieckich. Przed armią brytyjską skoncentrowaną pomiędzy Château–Thierry a przedmieściami Paryża była przestrzeń pusta, ogołocona z dywizji nieprzyjacielskich. Dla dowództwa francuskiego było widoczne, że Niemcy zaniechali planu okrążenia stolicy i dążyli do zniszczenia przeciwnika w polu, ale wystawili się w ten sposób na niebezpieczeństwo ataku flankowego od strony Paryża. Generał Alexander von Kluck nie wiedział, że od północnego zachodu zagrażała mu świeżo utworzona 6 Armia francuska, dowodzona przez generała Michel–Josepha Maunoury’ego.

4 września działania niemieckie tak się rysowały: prawe skrzydło, 1 i 2 armie, zwracały się na zachód, aby odeprzeć atak francusko–brytyjski spodziewany od strony Paryża. Armie 4 i 5, centrum, miały atakować Francuzów w kierunku południowym omijając Verdun, skrzydłu lewemu wreszcie, armiom 6 i 7 dano za zadanie przedrzeć się pomiędzy Toul i Epinal i uderzyć na

przeciwnika od południowego wschodu. Tak w dniu 4 września dowództwo niemieckie wyobrażało sobie wzięcie armii francuskiej w kleszcze.

Ale był to przysłowiowy rachunek bez gospodarza, gdyż nie wzięto pod uwagę kontrakcji francuskiej. W zmienionej sytuacji pierwszy zorientował się gubernator wojenny stolicy. Stąd późniejszy spór, kto był właściwym zwycięzcą w pierwszej bitwie nad Marną - Gallieni czy Joffre.

Gallieni już 3 września wydał rozkaz 6 Armii, aby się gotowała do natarcia na odsłonięte prawe skrzydło niemieckie, na armię Klucka.

W każdym razie i wódz naczelny szybko dojrzał pomyslną zmianę położenia. Już 4 września powziął decyzję podjęcia w dniu 6 września kontrofensywy. Potrzeba było jeszcze zgody Anglików. Wódz francuski udał się osobiście do kwatery głównej brytyjskiej na zamku Vaux-le-Penil, aby przekonać opornego Frencha. Wyłożył mu swój plan, podkreślając konieczność; pełnego i ścisłego współdziałania armii angielskiej. W końcu nerwy poniosły i flegmatycznego Joffre'a, uderzył pięścią w stół i zawołał: „W imieniu Francji proszę o pomoc. Panie Marszałku, w grę wchodzi honor Anglii”. French poczerwieniał i po dłuższej chwili odparł głosem niewyraźnym, ledwo zrozumiałym: „*I will do all my possible - Zrobię wszystko, co będę mógł*”. Generał Wilson, który służył za tłumacza świadomie przeinaczył odpowiedź swego wodza: „Pan Marszałek powiedział tak”.

French zrobił istotnie wszystko, co mógł i Anglicy nie cofnęli się, lecz 5 września rozpoczęli marsz w kierunku południowym. 5 września również Kluck, zagrożony od północnego zachodu posuwaniem się 6 Armii francuskiej Maunoury'ego, ściągnął swe siły, aby stawić czoła nieoczekiwanemu natarciu francuskiemu. Pomiedzy 1 a 2 armią niemiecką powstała w taki sposób pusta przestrzeń szerokości od 40 do 50 kilometrów, innymi słowy armie te straciły pomiędzy sobą łączność, którą w niedostateczny tylko sposób utrzymywała kawaleria.

6 września ruszyła kontrofensywa francuska. Żołnierze po obu stronach byli wyczerpani do najwyższego stopnia, ale porwali się do walki; zawrzały ciężkie boje. Siłą liczebną górowali Francuzi i Anglicy - 69 dywizji przeciwko 48 dywizjom niemieckim. W artylerii ciężkiej natomiast przewagę mieli Niemcy. W ciągu czterech dni (6, 7, 8 i 9 września) toczyła się uporczywie wielka bitwa, zwana w historii pierwszą bitwą nad Marną. Niemcy odnieśli znaczny sukces taktyczny bijąc Francuzów pod Fère-Champenoise, odparli natarcie 6 Armii francuskiej Maunoury'ego, ale nie zdołali przywrócić łączności pomiędzy Armią 1 Klucka i Armią 2 Bülowa; zabrakło im odwodów. W utworzoną pustą przestrzeń wdarły się wojska francuskie 5 Armii generała Louis Franchet d'Espereya i Anglicy. Nad 1 Armią niemiecką zawisła groźba okrążenia i zagłady. W tej sytuacji 9 września Niemcy rozpoczęli odwrót. Bitwa nad Marną zakończyła się zwycięstwem Francuzów. Żołnierze obu stron walczących stanęli na

wysokości zadania, z równym męstwem i samozaparciem walczyli z przeciwnikiem i z własnym przemoczeniem. Inna sprawa z dowództwem. Zawiodło zupełnie dowództwo niemieckie, nie zawiodło francuskie.

Z dalekiego Luksemburga nie panował nad sytuacją ślęczący całymi dniami nad mapami wódz naczelny Moltke, z największą szkodą dla sprawy rywalizowali z sobą Kluck i Bülow. Rzecz trudna do uwierzenia, decyzję o odwołaniu powziął nie wódz naczelny, lecz jego wysłannik na front podpułkownik Richard Hentsch. Do tej decyzji dostosowali się natychmiast dowódcy 1 i 2 armii.

Darem orientacji i decyzji wyróżniali się natomiast generałowie francuscy - Joffre, pomimo popełnionych w pierwszych dniach wojny błędów, i Gallieni, i Franchet d'Esperey, i Foch, i Castelnau. We wspomnianym sporze komu należy przypisać główną zasługę zwycięstwa nad Marną najwybitniejszy znawca historii tej bitwy Henry Contamine na pierwsze miejsce wysunął Joffre'a. Sam Joffre ujął problem w tych słowach: „Kto jest zwycięzcą w bitwie nad Marną, nie wiem, wiem tylko kto by ponosił odpowiedzialność, gdybyśmy bitwę przegrali. Ja bym odpowiadał, gdyż ja byłem naczelnym wodzem”. Trafnie rozstrzygnął sprawę prezydent Poincaré słowami: „Chwały starczyło dla obu”.

14 września Moltke musiał oddać dowództwo pruskiemu ministrowi wojny generałowi Erichowi von Falkenhaynowi. Dla zachowania pozorów, dla niedopuszczenia w społeczeństwie myśli o klęsce nominację Falkenhayna ogłoszono dopiero 3 listopada 1914 r.



Bitwa nad Marną była punktem zwrotnym w dziejach pierwszej wojny światowej. Przegrana Niemców uniemożliwiła im szybkie zwycięstwo nad Francją, przekreśliła możliwości wojny krótkotrwałej, otworzyła wojnę długą, ponad czteroletnią.

Niemiecki komunikat wojenny, ogłoszony 10 września, zredagowano w taki sposób, że nikt w Niemczech, poza wtajemniczonymi, nie mógł się zorientować, że poniesiono klęskę. Nie chciano budzić pesymistycznych nastrojów w społeczeństwie, obawiano się też niepożądanych oddźwięków za granicą, przede wszystkim we Włoszech i w państwach bałkańskich. Ale państwa neutralne były na ogół zorientowane w sytuacji i redakcja komunikatów niemieckich zachwiała zaufaniem do nich na czas dłuższy.

Zatajenie klęski wywarło wpływ fatalny na nastroje społeczeństwa niemieckiego.

Monachijski profesor Lujo Brentano pisał, że spotkała go podwójna przykrość - najpierw, gdy z końcem września 1914 r. przyjechał do Florencji i tam dopiero dowiedział się o bitwie nad Marną, a następnie po powrocie do Niemiec, gdy wszyscy znajomi jego wynurzenia o Marnie uznali za dowód łatwowierności i naiwności profesora, który uległ wrogiej propagandzie.

Do nielicznych ludzi w Niemczech, którzy od razu zrozumieli znaczenie wrześniowych bojów pod Paryżem, należał - rzecz ciekawa - Wojciech Korfanty.

A we Francji? Pisarz francuski Maurice Barrès 14 września tak ocenił sytuację: „Czterdzieści dni upłynęło

od rozpoczęcia działań wojennych. Schematycznie można je podzielić w następujący sposób:

Pierwsza dekada. - Mobilizacja w obu państwach przeprowadzona jednakowo skutecznie przez Francję i przez Niemcy.

Dekady druga i trzecia - Niepowodzenie ofensywy francuskiej.

Czwarta dekada - Niepowodzenie ofensywy niemieckiej.

Tak na chłodno ocenić należy sytuację”.

## 25. Wyścig ku morzu

Nowy wódz niemiecki, Erich von Falkenhayn, liczył sobie lat 52 i - jeśli nie weźmiemy pod uwagę wielu cesarskich i królewskich wysokości dowodzących formalnie armiami niemieckimi - był młodszy wiekiem od wszystkich dowódców armii i korpusów armii. Nie był ani uczniem, ani współpracownikiem Schlieffena. Zdolny, pracowity i ambitny już w dniu otrzymania nominacji zabrał się do studiowania położenia i w ciągu nocy opracował „plan operacyjny”. Założeniem jego był nawrót do zasadniczej myśli schlieffenowskiej, do manewru oskrzydłającego lewą flankę francusko-brytyjską. Według Falkenhayna głową i ośrodkiem koalicji antyniemieckiej, a więc głównym wrogiem, była Wielka Brytania. Uważał więc, że losy wojny rozstrzygną się na froncie zachodnim. Dlatego odrzucił zarówno nalegania austriackiego szefa sztabu Conrada von Hötendorfa, jak i sugestie dowódcy frontu wschodniego Hindenburga, aby główne siły przerzucić

do Polski i tu szukać rozstrzygnięcia w działaniach przeciwko Rosji.

Pomiędzy rzeką Aisne a Antwerpią rozciąga się otwarta przestrzeń, dająca szerokie możliwości manewru. Obie strony usiłowały otoczyć północne skrzydło przeciwnika. Od 14 września do 17 listopada 1914 r. w północno-wschodniej Francji toczyły się zażarte bitwy, zwane nieścisłe „wyścigiem ku morzu”. Niemcom zależało na opanowaniu wybrzeża kanału La Manche i zajęciu Calais i Dunkierki, aby utrudnić przewóz wojsk angielskich na kontynent. Domagał się tego jeszcze z końcem sierpnia sztab admiralicji. Francuzi i Anglicy chcieli maszerować na Brukselę i oswobodzić Belgię. Obie strony ściągały więc znaczne ilości wojska na północ.

W dniach 2 do 9 października toczyła się bitwa w Artois, zwana też bitwą pod Arras. Zaraz na początku Niemcy podeszli 3 kilometry pod Arras, ale zatrzymał ich „morderczy ogień” artylerii francuskiej. Niemcy byli pewni zwycięstwa. 4 października Wilhelm II przybył do kwatery księcia Ruprechta bawarskiego w Saint-Quentin w nadziei, że dnia następnego będzie świadkiem klęski francuskiej. Francuzami dowodził generał Foch. Jednemu ze swych podkomendnych, dowodzącemu na najbardziej zagrożonym odcinku, generałowi Maud'hui wydał taką instrukcję: „Znam tylko trzy sposoby walki - atakować, stawiać opór, uchodzić (*foutre le camp*). Zakazuję Panu sposobu ostatniego. Proszę wybierać między dwoma pierwszymi”. Opór francuski zatrzymał Niemców.

Powiodło się natomiast Niemcom w innym miejscu. 9 października generał Hans von Beseler zdobył Antwerpię. W ręce zwycięzcy wpadła olbrzymia zdobycz: 1300 armat, wielkie zapasy amunicji, różnych surowców, jak nafta, metale, wełna. Armia belgijska wszakże, 82 tysiące ludzi, zdołała się wycofać wzmacniając siły francuskie i brytyjskie we Flandrii.

Po sukcesie antwerpijskim poszły następne. 11 października zajęli Niemcy Gandawę, 12 - Lilie, 14 - Brugię, 15 - Ostendę i Nieuwpoort. Belgia aż do rzeki IJzer (franc. Yser) znalazła się w rękach najeźdźcy.

20 października pomiędzy La Bassée a brzegiem morskim rozgorzała nowa wielka bitwa, tzw. pierwsza bitwa we Flandrii. Walki toczyły się na terenie szczególnie trudnym, na błotnistej nizinie w znacznej części wydartej morzu, pociętej licznymi kanałami i groblami, we mgle i w deszczu. Od Diksmuide do morza rozciągają się tam poldery, łatwe do zatopienia. Niemcy dzielnie szli do ataku, a równie dzielnie atakowali i kontratakowali Francuzi, Belgowie, Anglicy. Wreszcie 29 października Belgowie otworzyli śluzy pod Nieuwpoort; dolina rzeki Uzer zamieniła się w wielkie bagno. W tych warunkach walki ustały 3 listopada.

Rzecz znamienita, że 31 października marszałek French postanowił zarządzić odwrót dotkniętego w zaciętych walkach szczególnymi stratami I Korpusu brytyjskiego. Dowiedziawszy się o tym Foch stwierdził natychmiast, że „taka decyzja byłaby uznaniem przegranej i jej początkiem, a przegrana łatwo mogła się zmienić w klęskę”. Wódz angielski uległ argumentom Focha

i wieczorem tego samego dnia 31 października podjął energiczną obronę na umocnionych liniach.

Nie zważając na wielkie straty i ciężki teren walk, Falkenhayn zdecydował się na nową ofensywę. Była to w dniach od 10 do 24 listopada druga bitwa we Flandrii, zwana też bitwą pod Ypres. Zaciekłym atakom niemieckim wojska sprzymierzone stawiały opór nie mniej zaciekły, opór nie do pokonania. Druga bitwa we Flandrii zakończyła się odparciem ofensywy niemieckiej.

Znaczenie bitew we Flandrii ocenił Foch tymi słowami: „Bitwa nad Marną powstrzymała inwazję i uratowała Francję”. Bitwy we Flandrii nie pozwoliły Niemcom na przerwanie łączności pomiędzy Francją i Anglią i „uratowały nie tylko Francję, ale i Koalicję”.

Straty w ludziach były po obu stronach wielkie: szczególnie silnie wykrwawili się Niemcy; w błotach Flandrii legł kwiat niemieckiej młodzieży uniwersyteckiej - ochotnicy jednorocznicy z *Kinderregimenter* (pułków dzieci).

„Bitwa pod Ypres - pisze historyk francuski Jean Ratinaud - będzie to ostatnia aż do roku 1918 bitwa w wojnie ruchomej i pierwsza bitwa w wojnie pozycyjnej”. Odtąd od Morza Północnego aż do granicy szwajcarskiej ciągnąć się będzie długa linia okopów. Żołnierz w okopach i w schronach podziemnych szukał ochrony przed kulą nieprzyjacielską i przed atakami niepogody. Narodziła się wojna pozycyjna. Zmieni się na froncie zachodnim charakter wojny, stawać się ona będzie coraz bardziej widocznie wojną długotrwałą,

a to zmuszać będzie obie strony do szukania rozstrzygnięć na innych terenach.

Angielski historyk wojny Basil Henry Liddell Hart tak oceni nowy system walki: „Na froncie zachodnim, z jego nie kończącymi się równoległymi liniami okopów strategia stała się służebną taktyki, a taktyka - kaleką. Okres lat 1915–1917 pod względem strategicznym nie zasługuje na głębsze studium”.

## 26. Wojna pozycyjna

Niemcy przegrali bitwę nad Marną, przegrali bitwę we Flandrii, Francuzi i ich sprzymierzeńcy zwyciężyli, ale nie zdołali, nie mogli z tak drogo okupionego zwycięstwa odnieść korzyści. Obie strony były wyczerpane, obu stronom brakło wyszkolonych rezerw. Rzecz znamienna, że i Koalicja, i Państwa Centralne największe straty w ludziach poniosły w pierwszych miesiącach wojny, w roku 1914.

Także pierwsze miesiące wojny wykazały, że wszystkie państwa walczące - nie tylko Francja, Wielka Brytania, Rosja, ale i Niemcy - także pod względem technicznym nie były do wojny przygotowane. Okazało się, że dzienne zużycie amunicji było znacznie wyższe niż to przewidywano i obliczano w czasie pokoju. Po bitwie nad Marną zapasy zostały niemal wyczerpane. U obu walczących stron szczególnie dotkliwy był brak amunicji w artylerii. Joffre był tą sytuacją poważnie zaniepokojony; jedyny dokument, z którym się nie rozstawał ani na chwilę, był to mały karnet z codziennym wykazem zużycia amunicji i stanu jej zapasów. 28

września 1914 r. wydał rozkaz, aby codziennie wieczorem każda armia zawiadamiała telegraficznie naczelne dowództwo o ilości wystrzelonych dnia tego pocisków1.

Przemysł nie był w stanie pokryć rosnącego zapotrzebowania na sprzęt wojenny, tym bardziej że utracił znaczną część pracowników powołanych do szeregów. Od razu wystąpiły braki surowcowe. Dotkliwie odczuli to Francuzi; zajęte przez Niemców departamenty wschodnie dawały 49% węgla kamiennego, 64% surowki żelaza, 58% stali. Ale Francuzi mogli brakujące im surowce i wyroby przemysłowe sprowadzić z wielu innych krajów, gdy Niemcom przychodziło to z coraz większą trudnością.

Trzeba było podjąć olbrzymi wysiłek, aby na nowych zasadach zorganizować produkcję masową. Uruchamiano zamknięte fabryki, zakładano nowe, reklamowano z wojska zmobilizowanych techników i wykwalifikowanych robotników, gromadzono surowce. Ale to wszystko mogło dawać skutki dopiero po miesiącach.

Dowództwa obu stron stanęły w obliczu załamania się dotychczasowych koncepcji prowadzenia wojny szybkiej, wojny, która miała się zakończyć w niedługim czasie. Ani jedna, ani druga strona walcząca nie była zdolna do zadania przeciwnikowi decydującego ciosu. Zmienić statyczny charakter wojny mogły samoloty i czołgi, ale były dopiero w stadium początkowym, tzn. było mało samolotów i dość prymitywnej konstrukcji. Czołgi pojawią się dopiero w 1917 r. Tak po-

wstała wojna pozycyjna z jej cechami charakterystycznymi - trwałością linii frontu i bezruchem.

Na długiej przestrzeni blisko 800 km od Morza Północnego do granicy szwajcarskiej ziemia pokryła się rowami strzeleckimi z korytarzami podziemnymi, z polami minowymi, z zaporami z drutu kolczastego, częstokroć elektryzowanego. Były to jakby dwie stojące naprzeciwko siebie oblężone twierdze. Lotnicy fotografowali je niemal codziennie, tak że dowództwa obu stron dysponowały dobrymi mapami. Front tak ustalony nie poruszy się prawie przez dwa lata, aż do marca 1917 r., gdy Niemcy cofną się planowo pomiędzy Arras i Soissons na przygotowane uprzednio tzw. „pozycje Zygfryda”. W okolicach Lassigny i Noyon linia frontu była odległa od Paryża niecałe 100 km. Clemenceau na łamach swego dziennika „L’Homme Enchaine” będzie wciąż powtarzał: „*Les Allemands sont a Noyon*” („*Niemcy są w Noyon*”), aby nieustannie uprzytamniać społeczeństwu powagę sytuacji.

W owych oblężonych twierdzach walczący ze sobą przeciwnicy byli jednocześnie oblężonymi i oblegającymi. Dzielił ich dość wąski pas „ziemi niczyjej” (*no man’s land*). Żołnierz niemiecki Johann Knief, później jeden z przywódców Lewicy Bremeńskiej, pisał: „Nasze pierwsze rowy strzeleckie znajdują się w odległości zaledwie 400 metrów od rowów nieprzyjacielskich. Robotnicy francuscy i niemieccy mogliby nieledwie podać sobie ręce w braterskim uścisku. Ale Międzynarodówka została rozbita. Robotnicy obu narodów stoją



naprzeciwko siebie jak zawzięci wrogowie i czekają tylko rozkazu, aby się wzajemnie mordować”.

Józef Iwicki, Polak, przebrany w mundur niemieckiego żołnierza, opisał plastycznie okopy w błotach Flandrii w miejscowości Woumen. „Miałem okazję - pisał Iwicki 10 stycznia 1915 r. - obejrzeć dokładnie silne pozycje niemieckie. Obydwóch wrogów dzieli przede wszystkim szeroko rozlana woda. Kilkaset metrów za nią jest pierwszy rów obronny z wysuniętymi naprzód placówkami. Za pierwszym rowem jest drugi. Dalej, za nim, w większych lub mniejszych odstępach, jest jeszcze kilka takich rowów. Ostatni przebiega obok naszej kwatery. Ponieważ w rowach tych woda się nzbierała, większość z nich to nie rowy, lecz sztuczne wały, w których wykopano schrony nadziemne. Wały te są tak starannie zieloną trawą z łąk poprzykrywane i tak zgrabnie wzdłuż szeregów drzew zbudowane, że z daleka lub z góry (lotnicy) wcale ich nie widać. Kraj jest tu zupełnie płaski, lasów mało, ale każda łąka, każde pole jest opasane szeregiem drzew albo gęstym, starannie utrzymanym żywopłotem i szerokim rowem z wodą. Wszystkie te właściwości terenu wykorzystano. Szeregi drzew połączono drutami kolczastymi, żywopłoty także poprzeplatano takimi samymi drutami. Artyleria nieprzyjacielska celu należytego nie ma, szturm infanterii (!) połączony jest z olbrzymimi stratami i prawie bez widoków udania się. Tak, a nieraz jeszcze silniej, obwarowana jest cała linia niemiecka, no i francuska. A im dłużej obie armie naprzeciw siebie leżą, tym silniej się obwarowują. Wobec tego - konklu-

duje żołnierz okopowy - zupełnie nie widzę, jak ta wojna ma się skończyć. Ma się wrażenie, że tylko rozejm może położyć jej kres”.

Dla obu stron cel minimalny to utrzymać się na zajętych pozycjach. Cel maksymalny, cel właściwy to wyprzeć z nich nieprzyjaciela. Strategia tradycyjna wskazywała dwie możliwości: albo przełamać linie nieprzyjacielskie uderzeniem frontalnym, albo też atakować z flanków. Ale rzecz polegała na tym, że flanków nie było, było natomiast ogromne centrum - linia o długości blisko 800 kilometrów. Na tej długiej linii usiłowano wybrać punkt najslabszy, przebić się przez okopy nieprzyjacielskie, czyli przerwać front i wziąć część sił przeciwnika w kleszcze. Tej drogi w ciągu trzech lat będą próbowali i Niemcy, i Francuzi, i Anglicy. Broniący miał zdecydowaną przewagę nad atakującym. Atak piechoty bez gruntownego przygotowania artyleryjskiego nie mógł doprowadzić do przzerwania nieprzyjacielskich linii obrony. Na wybrane miejsce ataku musiano skierować najpierw silny ogień artylerii, trzeba było zniszczyć zasieki z drutu kolczastego, trzeba było zmusić do milczenia baterie nieprzyjacielskie, trzeba było uniemożliwić przeciwnikowi nadesłanie pomocy na zagrożone pozycje. Nie wystarczała tu już artyleria lekka, potrzebne były, i to w coraz większej ilości, ciężkie działa. Podobnie w piechocie stracił znaczenie dawny karabin. Posługiwać się musiała piechota karabinem maszynowym i miotaczem granatów, szczególnie użytecznym, gdy chodziło o ostrzeliwanie pozycji nieprzyjaciela blisko położonych. Wtedy dopiero, po

długim ogniu artyleryjskim, ruszała do ataku piechota. A skutek? Odepchnięcie nieprzyjaciela o kilkaset metrów na odcinku dwu- czy trzykilometrowym. „Jest rzeczą oczywistą - pisał w swym dzienniku 23 grudnia 1914 r. późniejszy marszałek Marie-Hmile Fayolle - że trzeba poświęcić życie 10 tysięcy ludzi, aby zdobyć trochę błota w okopach” (nieprzyjacielskich). A 16 marca 1915 r. zanotował: „Ogień szczególnie skuteczny. Straszliwie - członki *boszów* zostały wyrzucone aż do naszych okopów i trzeba je było pochować”.

Wojna pozycyjna to wojna długotrwała bez możliwości uzyskania szybkiego rozstrzygnięcia. W styczniu 1915 r. generał French w taki sposób określał martwy punkt, w którym po półrocznej blisko wojnie znalazły się obie walczące strony. „Niemcy nie mogą wkroczyć ani do Paryża, ani do Calais. Z drugiej strony Sprzymierzeni będą musieli walczyć może rok, może nawet dwa lata, aby wyprzeć Niemców z Belgii. A może czterech lat i niezliczonych ofiar w ludziach trzeba będzie, aby móc wdrzeć się do Niemiec”. Lecz obie strony uznały taki sposób walki za jedynie możliwy w danych warunkach, za „mniejsze zło” według wyrażenia generała Falkenhayna.

Niemcy przeszli do wojny pozycyjnej „nie na podstawie wolnej decyzji szefa” sztabu generalnego, lecz pod naciskiem twardej konieczności”. W tej metodzie walki dowództwo niemieckie w obliczu ogólnej sytuacji upatrywało teraz jedyną możliwość doprowadzenia wojny do zwycięskiego końca, choćby ostateczne decyzje zapaść miały na innych frontach walki. Dzięki

temu bowiem sposobowi prowadzenia działań wojennych Niemcy zdołali nie dopuścić do wdarcia się nieprzyjaciela w granice Rzeszy. Utrata zaś, nawet przejściowa, terytoriów pogranicznych po obu brzegach Renu groziła zahamowaniem produkcji przemysłowej.

Podobnie i Francuzi zmuszeni zostali do wojny pozycyjnej. Nie mieli bowiem ani sił, ani możliwości, aby ruszyć do wielkiej ofensywy, musieli więc ograniczać się do obrony, a w ataku do celów ograniczonych. Stąd to powiedzenie, które przypisywano generałowi Joffre'owi: „*Je les grignote*” („*nadgryzam ich*”).

Według Focha „wojna okopowa to w gruncie rzeczy z obu stron objaw bezsilności. Niemcy nic nie mogą przeciwko nam, my nic nie możemy przeciwko nim”.

To zmuszało obie strony do szukania rozstrzygnięcia i na innych terenach, poza Francją.

## 27. Jeziora Mazurskie i Tannenberg

Jak Królestwo Polskie klinem wrzynało się pomiędzy Niemcy i Austrię, tak Prusy Książęce wciskały się w terytorium Cesarstwa Rosyjskiego długim pasem ciągnącym się od Wisły do Niemna, do linii biegnącej od Kłajpedy przez Tylżę do Suwałk i Augustowa. Podobnie jak Królestwo, tak i Prusy Książęce mogły służyć za punkt wypadowy do uderzenia na przeciwnika, bądź też stanowić teren ułatwionego ataku z jego strony. Atak taki mógł pójść jednocześnie od wschodu i od południa, przez armię uderzającą z rejonu Niemna i armię uderzającą z rejonu Narwi.

Możliwość takiego ataku sztab niemiecki rozważał od dawna. Prusy Książęce nie miały takiego znaczenia gospodarczego, jak Nadrenia, Westfalia czy Śląsk, ich utrata nie utrudniłaby dalszego prowadzenia wojny. Ale była to kolebka królestwa pruskiego, jej opanowanie przez wojska nieprzyjacielskie byłoby dla Prus dotkliwym ciosem moralnym. Było to ponadto siedlisko tak wpływowych wówczas junkrów. Nie wolno więc było dopuścić do ich utraty.

Na takim stanowisku stał w ciągu 15 lat urzędowania w charakterze szefa sztabu generał Schlieffen. Badał wciąż podstawy obrony Prus Książęcych - zimą gry wojenne, latem manewry. Wychodził z założenia, że w wojnie na dwa fronty Niemcy będą mogły rzucić do obrony Prus Książęcych tylko niewielkie siły, ale sądził, że ukształtowanie geograficzne kraju - lasy i jeziora przy stosunkowo dobrze rozwiniętej sieci dróg i linii telegraficznej i telefonicznej - umożliwi działania o charakterze zaczepno-obronnym. Jeziora Mazurskie rozdzieliłyby wkraczające do kraju wojska rosyjskie, a ta okoliczność pozwoliłaby na manewr po linii wewnętrznej i pobicia oddzielnie obu rozdzielonych armii nieprzyjacielskich. Schlieffen, opierając się na wskazówkach Fryderyka II, że aby wygrać wojnę trzeba niekiedy poświęcić jedną prowincję, brał również pod uwagę możliwość wycofania się na linię Wisły, ale tylko jako manewr przejściowy z myślą o przyszłej kontr-ofensywie.

Następca Schlieffena generał-pułkownik von Moltke kierował się tymi samymi założeniami i w pla-

nie na rok 1914/15 dla obrony granicy wschodniej – pozostawił jedną tylko Armię 8. Jej dowódcą został generał Max von Prittwitz und Gaffron.

Armia 8 skoncentrowała się w Prusach Książęcych pomiędzy 1 i 10 sierpnia; wzmocnić ją jeszcze miało pięć dywizji rezerwy.

Gdy na krótko przed wybuchem wojny Prittwitz zjawiał się po instrukcje w sztabie, Moltke oświadczył mu, że gdyby obrona Prus okazała się niemożliwością, ma się wycofać na linię Wisły i ratować przynajmniej armię. Szef sztabu uważał jednak, że byłaby to ostateczność, do której zapewne nie dojdzie i polecił Prittwitzowi nie dać się przeciwnikowi zmusić do defensywy, lecz bić się z Rosjanami uciekając się do zręcznych manewrów zaczepnych. 14 sierpnia szef sztabu pisał do dowodzącego armią w Prusach Książęcych: „Jeżeli Rosjanie wkroczą (do Prus) odpowiedzią ma być nie defensywa, lecz ofensywa, jeszcze raz ofensywa, zawsze ofensywa”.

Prittwitz powtórzył te zalecenia w rozkazie do armii jeszcze tego samego dnia, lecz w głębi duszy nie wierzył w możliwość ich wykonania.

Wojska rosyjskie, przeznaczone do działań przeciwko Prusom Książęcym, tworzyły tzw. front północno–zachodni. Dowodził nim generał kawalerii Jakow Żyliński. Były tu dwie armie - 1 Armia pod komendą generała kawalerii Pawła von Rennenkampfa, złożona z 10 i pół dywizji piechoty i 5 dywizji jazdy, miała leżeć nad Niemnem pomiędzy Kownem a Olitą i miała wkroczyć do Prus na północ od Jezior Mazurskich. 2 Armia

pod dowództwem generała kawalerii Aleksandra Samsonowa składała się z 14 dywizji piechoty i czterech dywizji jazdy, była skoncentrowana nad Narwią i Biebrzą i stamtąd uderzyć miała na zachód od Jezior. W ten sposób siły niemieckie w Prusach Książęcych byłyby wzięte w kleszcze.

Celem operacji rosyjskiej w Prusach Książęcych było zniszczenie znajdujących się tam wojsk niemieckich i zapewnienie tą drogą bezpieczeństwa Królestwu i armii rosyjskiej działającej przeciwko Austro-Węgrom. Dalszym celem było ułatwienie Francuzom odparcia wielkiego ataku niemieckiego na zachodzie.

Na ostatniej przed wojną konferencji szefów sztabów francuskiego i rosyjskiego w 1913 r. generał Żyliński, ówczesny rosyjski szef sztabu, a w chwili wybuchu wojny dowódca frontu północno-zachodniego, zobowiązał się, że wojska rosyjskie rozpoczną działania zaczepne „zaraz po 15 dniu po rozpoczęciu mobilizacji”. Rennenkampf przekroczył granicę niemiecką 17 sierpnia, tj. 18 dni po rozpoczęciu mobilizacji. Rosjanie więc słowa dotrzyмали.

Akcję miał rozpocząć Rennenkampf i ściągnąć na siebie główne siły niemieckie; w dwa dni później ruszyć miał Samsonow, wziąć tyły nieprzyjacielowi i odciąć go od Wisły. Plan był dobry, zawiodło wykonanie.

17 sierpnia Rennenkampf na czele sześciu i pół dywizji piechoty i pięciu dywizji kawalerii przekroczył granicę wzdłuż linii kolejowej Kowno–Insterburg (obecnie Czerniachowsk). Dla dowództwa niemieckiego nie było to zaskoczeniem, gdyż taka właśnie możli-

wość od dawna była przedmiotem studiów w sztabie. Ustalono, że należy całą mocą uderzyć w tę armię nieprzyjacielską, która wysunie się pierwsza, a następnie zwrócić się przeciwko pozostałym siłom napastnika. Toteż Prittwitz skoncentrował główne siły na skrzydle północnym. Tu w dniu 20 sierpnia doszło do pierwszego większego starcia; była to bitwa pod Gąbinem (obecnie Gusiew, Rosja). Niemiecka próba okrążenia rosyjskiego prawego skrzydła i ciężkie straty zadane przez Rosjan niemieckiemu centrum zaniepokoiły Prittuitza, tym bardziej że nadeszły wiadomości, iż armia generała Samsonowa od Wielbarku do Działdowa szeroką ławą zbliżała się od Narwi ku granicy pruskiej. Nazajutrz, 21 sierpnia, Rennenkampf, który sam zamyślał o odwrocie, dowiedział się, nie bez pewnego zdziwienia, że został zwycięzcą, gdyż Niemcy nie dotrzymani pola i cofnęli się tracąc wiele sprzętu bojowego.

Było tak rzeczywiście, Prittwitz stracił panowanie nad nerwami i obawiając się oskrzydlenia przez armię Samsonowa rozpoczął odwrot z myślą zatrzymania się dopiero na linii Wisły. Odwrot ten przechodził niekiedy wprost w ucieczkę. Panika ogarnęła niektórych dowódców, nakazywali rolnikom niszczyć zbiory i uciekać. Junkrzy pruscy poczuli się zagrożeni, poruszyli więc wszystkie sprężyny, aby nie dopuścić do inwazji rosyjskiej na ich siedziby. Zarówno względy militarne, jak i polityczne nakazywały niemieckiemu Naczelnemu Dowództwu opanowanie sytuacji w Prusach Książęcych. Do tego zadania nie nadawał się generał–dworak, niezdolny i nerwowy Prittwitz i 22 sierpnia otrzymał



dymisję. Następcą jego został Hindenburg z Ludendorffem jako szefem sztabu.

Paul von Beneckendorff und von Hindenburg był potomkiem junkierskiego rodu Beneckendorffów ze Starej Marchii, z których wielu - jak z zadowoleniem wspomina feldmarszałek - służyło w szeregach krzyżackich w charakterze braci zakonnych lub *Kriegsgäste* (gości wojennych) „przeciwko poganom i Polakom”. Koligacje i spadki sprawiły, że Beneckendorffowie od roku 1789 nosili podwójne nazwisko Beneckendorff-Hindenburg; w skróceniu występowali zwykle jako Hindenburgowie. Paul urodzony w Poznaniu 2 października 1847 r., syn ówczesnego porucznika piechoty, od dziecka przeznaczony do kariery wojskowej wychowanek korpusu kadetów, brał udział w wojnach z Austrią w 1866 r. i Francją w 1870/71 i postępując coraz wyżej przeszedł w 1911 r. w stan spoczynku z generalskimi szlifami „w pełnym zaufaniu w przyszłość naszej ojczyzny”. Pędził odtąd spokojne dni w Hanowerze. Tu dnia 22 sierpnia o godz. 3 po południu otrzymał niespodzianie telefoniczne zapytanie z Kwatery Głównej, czy gotów jest powrócić natychmiast do czynnej służby. Odpowiedź starego żołnierza była krótka: „jestem gotów”. Równo w dwanaście godzin później Hindenburg wsiadł do pociągu umyślnego, gdzie przedstawił mu się nieznany mu dotąd, wyznaczony na szefa jego sztabu generał major Erich Ludendorff.

Ludendorff, podobnie jak i Hindenburg, urodził się w Polsce w Kruszewni pod Poznaniem 9 kwietnia

1863r. jako syn niższego funkcjonariusza kolejowego. Ukończył korpus kadetów w Plön pod Kilonią, gdzie koledzy wywodzący się ze szlachty nieraz dali mu boleśnie odczuć pochodzenie mieszczańskie i brak szlacheckiego von przed nazwiskiem. Cierpiała nad tym jego ambicja, Ludendorff zatopił się więc w pracy, aby wybić się ponad uprzywilejowanych szczęśliwym losem kolegów. Pracowitość i systematyczność - te dwie cechy charakteru Ludendorffa - zwrócą nań uwagę przełożonych i ułatwią mu karierę wojskową. Po latach służby liniowej przydzielony został do Sztabu Głównego i tu dwa razy odegrał niemałą rolę. W latach 1908/09 z polecenia szefa sztabu opracował pamiętna a wadliwe korektury planu Schlieffena, które w 1914 r. były jednym z powodów klęski niemieckiej nad Marną. W 1912 r. zredagował memoriał o konieczności powiększenia armii niemieckiej, co stało się podstawą reformy przeprowadzonej w roku 1913. W początku wojny energią i odwagą osobistą przyczynił się do zdobycia belgijskiej twierdzy Liège.

Po kilkunastu dniach współpracy w Prusach Książęcych tak go scharakteryzował podpułkownik Max Hoffmann: „Z Ludendorffem pracuje się wspaniale. Dla miejscowych zadań jest to właściwy człowiek ze swoją niewiarygodną bezwzględnością i grubiaństwem”.

23 sierpnia nowy wódz i jego szef sztabu przybyli do Malborka, gdzie mieściło się dowództwo 8 Armii. Zastali sytuację w pewnej mierze już opanowaną w tym sensie, że przewyciężono panikę i odwołano rozkazy

wycofania się za Wisłę. Stwierdzono zarazem, że aktywny dotąd Rennenkampf porusza się teraz niezmiernie powoli. Czy była to ze strony tego bałtyckiego Niemca prosta zdrada, o jaką go wówczas gdzieś posadzano, czy chęć postawienia w trudnym położeniu generała Samsonowa, którego osobiście nienawdził, czy zwykła inercja i nieudolność dowódcy, który niczym się w dotychczasowej karierze nie wyróżnił — trudno orzec; w każdym razie była to „robota” *pour le roi de Prusse*. Zmienioną sytuację umiał wyzyskać Hindenburg; dla osłony przed 1 Armią rosyjską pozostawił jedynie dywizję jazdy i garnizon twierdzy w Królewcu, całą pozostałą siłę rzucił przeciwko 2 Armii rosyjskiej.

Dowódca rosyjskiego frontu północno-zachodniego Żyliński, w przekonaniu, że Niemcy wycofają się za Wisłę, ponaglał Samsonowa do szybkiej akcji, aby przeciwnikowi odciąć drogę odwrotu. Samsonow istotnie wtargnął do Prus, lecz wojska jego rozciągnęły się na froncie długości ponad 60 km; prawe skrzydło, centrum i lewe skrzydło straciły łączność pomiędzy sobą.

Niemcy lepiej orientowali się w sytuacji niż Rosjanie, lepiej działał wywiad niemiecki, przejmowali ponadto radiotelegramy dowództwa rosyjskiego wysyłane *in claris* z rozkazami, co więcej, cały plan operacyjny Żylińskiego znaleziono w papierach wziętego do niewoli wyższego oficera rosyjskiego. Toteż Hindenburg rzucił trzy korpusy w kierunku południowo-zachodnim, jednocześnie załogi twierdz w Toruniu

i Grudziądzu otrzymały rozkaz posuwania się od Wisły ku południowej granicy Prus Książęcych. 23 sierpnia rozgorzała wielka bitwa, Rosjanie posunęli się poza Szczytno, przeszli Olsztyn i Działdowo, ale wkrótce zostali oskrzydleni. W ciężkich walkach pomiędzy 23 a 29 sierpnia armia rosyjska poniosła zupełną klęskę. Większa jej część (około 120 tys. żołnierza, tj. mniej więcej 75%) dostała się do niewoli, tylko mniejsza część zdołała ująć z pogromu i wycofać się poza Narew.

W wyniku klęski Żyliński otrzymał dymisję i dowództwa nigdy już nie objął; był wszakże w latach 1915–1916 delegatem rosyjskim na konferencjach międzysojuszniczych we Francji. Najprzyzwoitszy i najdzielniejszy z tej trójcy generał Samsonow po klęsce swej armii zaginął bez wieści w lasach; według wszelkiego prawdopodobieństwa odebrał sobie życie 30 sierpnia.

W kilka tygodni po tych wypadkach hiszpański *attaché* wojskowy w Berlinie major Valdivia spytał Ludendorffa, czy Niemcy bitwę pod Tannenbergiem (obecnie Stębark) stoczyli według z góry ustalonego planu. Ku zdziwieniu Hiszpana Ludendorff zaprzeczył i wyjaśnił, że plan powstał w ciągu toczonych walk pomiędzy 24 a 26 sierpnia. Dla dowództwa niemieckiego kwestią zasadniczą było, czy można będzie ściągnąć dwa korpusy przeznaczone do działań przeciwko 1 Armii rosyjskiej *Rennenkampfa*. Jego niedołęstwo pozwoliło Niemcom na ryzykowny manewr i umożliwiło im pełne zwycięstwo nad 2 Armią rosyjską.

Znaczenie bitwy, którą Ludendorff nazwał bitwą pod Tannenbergiem, dla obu stron było olbrzymie.

Było dotkliwą klęską nie tyle może dla Rosji, ile dla caratu. Na pruskich polach bitew polegli bądź poszli do niewoli w wielkiej liczbie oficerowie zawodowi, przede wszystkim oficerowie gwardii, zdecydowani monarchiści, bezwzględnie wierni carowi. Osłabienie tego elementu w pierwszych bojach, zwłaszcza w Prusach, silnie godziło w podstawy caratu.

Słuchacze szkół wyższych rosyjskich byli do ukończenia studiów zwolnieni od obowiązku służby wojskowej. W październiku 1914 r. ukaz carski upoważnił ministra wojny do powoływania studentów do szeregów. Motywowano to wielkimi stratami armii rosyjskiej w dotychczasowych walkach. Po sześciomiesięcznym przeszkoleniu studenci mieli być promowani na podporuczników. Ukaz wzbudził żywe niezadowolenie w kołach konserwatywnych. Jeden z przywódców prawicy w Radzie Państwa nie krył przed ambasadorem Francji oburzenia: „To absurd. Nasz korpus oficerski ulegnie zakazaniu. Wszyscy ci studenci to zarazek rewolucyjny, który zatruje armię”.

Zupełnie inne było znaczenie sierpniowych walk w Prusach Książęcych dla Niemiec.

Przede wszystkim kampania pruska przyczyniła się w pewnej mierze do klęski niemieckiej we Francji. 26 sierpnia bowiem Moltke ściągnął z frontu zachodniego i wysłał na front wschodni dwa korpusy i dywizję kawalerii. Była to decyzja i zbędna, i szkodliwa; posiłki przybyły bowiem do Prus 31 sierpnia, tj. już po odnie-

sionym zwycięstwie; na wschodzie były więc niepotrzebne, a na zachodzie osłabiły ofensywę niemiecką.

Generał Fuller tak ocenia znaczenie bitwy pod Tannenbergiem: „Nie miała ona decydującego wpływu na wojnę, ale gdyby ją Niemcy przegrali, zmieniłoby to jej bieg zupełnie. W każdym razie głęboki był wpływ pośredni (bitwy) na front zachodni”.

Poważne znaczenie nie tylko dla dalszego sposobu prowadzenia przez Niemcy wojny, ale nawet i dla ogólnego rozwoju sytuacji w Niemczech, także i po wojnie, miały decyzje personalne Moltkego, mianowicie powołanie Hindenburga i Ludendorffa na czoło armii niemieckiej na wschodzie. Obu wodzów otoczyła od razu krzykliwa reklama przybierająca niekiedy groteskowe formy.

W Berlinie wzniesiono olbrzymiej wielkości drewniany pomnik Hindenburga - sama głowa miała 1 metr 30 centymetrów wysokości. Wielbiciele zwycięskiego wodza mogli za odpowiednią opłatą wbijać w pomnik gwoździe złote, srebrne, żelazne. Zebrane pieniądze szły na cele filantropijne.

Zwłaszcza po przegranej nad Marną wyolbrzymiano wygraną w Prusach Książęcych. Owa reklama i zwycięstwa odniesione na froncie wschodnim w 1915 i 1916 r. sprawią, że Hindenburg i Ludendorff staną w sierpniu 1916 r. na czele całej armii niemieckiej na wszystkich frontach, a Ludendorff rozwijać będzie ożywioną, a dla Niemiec zgubną działalność polityczną.

Do współpracy tych dwóch ludzi Hindenburg wniósł niczym nigdy niezmałcony spokój i żelazne nerwy; tą postawą stary żołnierz imponować będzie, zwłaszcza w trudnych dniach, narodowi niemieckiemu. Ludendorff rzutki, bezwzględny, brutalny będzie właściwym sternikiem. Obaj w znamienny sposób określili wiążące ich stosunki. „Przez lata - napisze Hindenburg - łączyła nas wspólna myśl i wspólny czyn”. Nieco inaczej wyraził się Ludendorff: „Wódz - są słowa Ludendorffa - bierze na siebie odpowiedzialność. Odpowiedzialność przed światem i, co jeszcze cięższe, przed samym sobą, przed własną armią i własną ojczyzną. Jako szef i pierwszy kwatermistrz byłem w pełni współodpowiedzialny i zawsze byłem tego świadom. Odpowiadam za swoje czyny”.

Zasługi zwycięstwa sierpniowego nad Rosjanami utarło się przypisywać Hindenburgowi i Ludendorffowi. Ale plan bitwy był w głównej mierze dziełem podpułkownika Maxa Hoffmanna, dobrego od czasu wojny japońskiej znawcy Rosji i jej wojska.

Ludendorff bitwę z armią rosyjską nazwał, na sugestię Hoffmanna, bitwą pod Tannenbergiem dla jej przeciwstawienia polsko–litewskiemu zwycięstwu nad Krzyżakami w dniu 15 lipca 1410 r. Oddajmy głos poważnemu historykowi niemieckiemu, który tak tę decyzję ocenił: „Nie chcąc tego i nie rozumiejąc zraniono polskie uczucia narodowe w czasie, gdy dążono do pozyskania Polaków przeciwko Rosji”.

Znamienne dla warunków, w jakich toczyła się pierwsza wojna światowa, są słowa Hoffmanna, który

za bitwę pod Tannenbergiem dostał „Żelazny Krzyż”. „Trudno uwierzyć, że na to najpiękniejsze odznaczenie wojskowe można sobie zasłużyć siedząc przy drucie telefonicznym. Ale zrozumiałem, że i tam siedzieć musi ktoś, kto nerwy mocno trzyma na wodzy i z niezłomną wolą w grubiański sposób przewycięża trudności, trwogi i różne urojenia”.

Nad Prusami Książęcymi, choć już mało prawdopodobna, nadal wisiała groźba inwazji rosyjskiej. Jeszcze stała u ich granic 1 Armia Rennenkampfa. Toteż 31 sierpnia Moltke wydał Hindenburgowi rozkaz oczyszczenia Prus z wojsk nieprzyjacielskich i ścigania pobitej 2 Armii rosyjskiej w kierunku Warszawy z uwagi na możliwość ataku rosyjskiego na Śląsk.

Lecz wielki książę Mikołaj Mikołajewicz pomimo nalegań francuskich nie zamyślał podjąć ofensywy ani w Prusach Książęcych, ani od strony Warszawy w kierunku Poznania i Śląska. Dowództwo rosyjskie obawiało się, że zachęceni powodzeniem Niemcy z Austriakami uderzą wspólnie, aby wziąć w kleszcze wojska rosyjskie skoncentrowane na zachód od Bugu.

Obawy te były wszakże płonne. Rosjanie wielkimi siłami ruszyli istotnie do ataku, ale przeciwko Austriakom.

4 września rozpoczęli Niemcy marsz ku wschodowi. Operacja nie była pozbawiona ryzyka. Armia rosyjska liczebnie znacznie przewyższała siły niemieckie; w dodatku żołnierz niemiecki był wyczerpany ciężkimi walkami pod Tannenbergiem. Ale zadanie ułatwiła Niemcom niefrasobliwa inercja Rennenkampfa. „Bez-



czynność Rennenkampfa - pisał gen. Michaelis - miała wyraźny charakter zdrady”. Wojska jego - czternaście dywizji piechoty i pięć dywizji jazdy - rozciągnęły się od Zalewu Kurońskiego do Jezior Mazurskich. Ze spokojem przyglądał się Rennenkampf manewrom niemieckim. Hindenburg dwie trzecie swych sił przeznaczył do ataku frontalnego, pozostała trzecia część miała oskrzydlić Rosjan od południa, powyżej. Plan powiódł się całkowicie. Wprawdzie ukształtowanie terenu i niedostateczne siły nie pozwoliły Niemcom okrążyć nieprzyjaciela i wziąć go w kleszcze, ale i tak zdołali zapewnić sobie przewagę. Bitwa trwała od 8 do 15 września, ale już 10 września rozpoczęli Rosjanie odwrót. Klęska Rennenkampfa była zupełna. 70 tysięcy zabitych i rannych, 45 tysięcy wziętych do niewoli, 150 dział utraconych. Oddziały, które Rennenkampf wyprowadził poza Niemen, znajdowały się w stanie zupełnego chaosu. I Żylińskiego i Rennenkampfa pozbawiono dowództwa. Nad Prusami Książęcymi przestało wisieć niebezpieczeństwo inwazji. Niemcy mogli iść z pomocą Austriakom.

Bitwy w Prusach Książęcych były pierwszym od półtora wieku, od czasów wojny siedmioletniej, starciem zbrojnym pomiędzy wojskami pruskimi i rosyjskimi. A oto pierwsze reakcje walczących.

Niemcy stwierdzili, że Rosjanie wyciągnęli jednak pomimo wszystko wnioski z przegranej przed dziesięciu laty wojny z Japonią, że wiele nauczyli się w Mandzurii. Gdyby armia, która 1914 r. wkroczyła do Prus,

była taka jak armia roku 1904/5 - pisał generał Hoffmann - Niemcy miałoby zadanie o wiele łatwiejsze.

Rosjanie nabrali głębszego niż dotąd respektu dla przeciwnika niemieckiego; szczególnie silne wrażenie wywierała na nich ciężka artyleria niemiecka. Jej pociski zaraz po pierwszych walkach nazwali „kuframami”. Nazwa ta przyjęła się wkrótce w całym wojsku rosyjskim. „Niemcy rzucają w nas kuframami” - powtarzano odtąd często.

W kilkanaście miesięcy później hrabia Hugo von Lerchenfeld mówił do księżnej Zdzisławowej Lubomirskiej, że klęska Samsonowa przesądziła o zwycięstwie Rzeszy. Wdarcia się nieprzyjaciela w głąb Niemiec nie byłiby Niemcy wytrzymali gospodarczo.

## **28. Walki w Polsce jesienią 1914 r.**

Niemcy nie ochłonęli jeszcze z radości po zwycięstwach w Prusach Książęcych, gdy niepowodzenia austriackie zmieniły sytuację na froncie wschodnim. „Wtargnięcie Rosjan na Morawy, a także na Górny Śląsk stało się rzeczą możliwą - pisał generał Ludendorff - C. i k. armię należało wesprzeć, jeśli nie miała ulec zagładzie”.

13 września 1914 r. Hindenburg otrzymał rozkaz wysłania dwóch korpusów z Prus Książęcych do Krakowa. Moltke sądził początkowo, że posunięciem tym dostatecznie wzmocni Austriaków. Dowództwo niemieckie na froncie wschodnim wszakże oceniło położenie bardziej pesymistycznie. 14 września Ludendorff w rozmowie telefonicznej zaproponował Moltkemu

przerzucenie większej części 7 Armii z Prus Książęcych na Górny Śląsk i w Poznańskie. Propozycję tę przyjął i Moltke, i jego następca w naczelnym dowództwie generał von Falkenhayn. Powstała w ten sposób 9 Armia złożona z 12 i pół dywizji piechoty, dywizji kawalerii i 837 armat. Dowództwo armii objął Hindenburg mając u boku Ludendorffa w charakterze szefa sztabu. 9 Armia zajęła leże pomiędzy Katowicami i Kaliszem.

28 września 1914 r. 9 Armia niemiecka poszła do ataku w kierunku Warszawy i Dęblińska. W parę dni później porwali się do ataku w Galicji Austriacy. 6 października stali już Niemcy w pobliżu Warszawy i Dęblińska. Austriakom powiodło się odeprzeć Rosjan od Przemyśla, inna armia austriacka zbliżała się do Lublina. Ale tu skończyły się, powodzenia wojsk Państw Centralnych. W ręce niemieckie wpadły w Grójcu ważne dokumenty rosyjskie, odsłaniające plany wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza. Nadto udało się Niemcom rozwiązać szyfr rosyjski, a to pozwoliło im przejmować wydawane drogą radiową rozkazy dowództwa rosyjskiego. Dowiedzieli się, że znaczne siły rosyjskie zbierają się na prawym brzegu Wisły i gotują się do uderzenia na wojska niemieckie od północy. Niemcy dowiedzieli się następnie, że już 28 września Mikołaj Mikołajewicz armiom rosyjskim frontu północno-zachodniego i południowo-zachodniego stawiał za cel podjąć możliwie wielkimi siłami ofensywę w kierunku górnej Odry i głęboko wdrzeć się w Niemcy. „Plan wielkiego księcia był szeroko zakro-

jony i dla nas niebezpieczny. Ponad 30 korpusów rosyjskich (...) miało przejść przez Wisłę pomiędzy Warszawą a ujściem Sanu do Wisły, inne siły miały przejść San dalej na południe. 14 dywizji (rosyjskich) miało uderzyć na 5 dywizji grupy Mackensena. Wielki książę chciał z północy oskrzydlić 9 Armię i następnie zaatakować ją frontalnie, podobnie jak i armię austro-węgierską. Lewym skrzydłem otaczał wzniesienia na wschód od Przemyśla. (...) Gdyby plan został zrealizowany, zwycięstwo Rosji, na które Koalicja tak liczyła w swych założeniach strategicznych, byłoby sprawą pewną”.

Zagroził Niemcom rosyjski „walec parowy”. Obudziły się obawy przed wtargnięciem Rosjan na Śląsk i w Poznańskie. 27 października Hindenburg nakazał odwrót. Cofali się Niemcy, cofali się Austriacy. Niszczono mosty, linie kolejowe, szosy. Niemcy cofali się w kierunku Śląska, Austriacy ku Krakowowi. Rosjanie znowu przystąpili do oblegania Przemyśla.

Interesująca to sprawa zorientować się w nastrojach panujących w armii cofającej się, w armii idącej naprzód.

„Armia generała Dankla cofała się w końcu października 1914 r. spod Dębli — wspominał Józef Piłsudski. Nie była pobita — przynajmniej my pod Laskami nie odczuliśmy tego — a jednak cofała się jak armia pobita, szukająca bezpieczeństwa w szybkim odwrocie, w pozostawieniu pomiędzy sobą a nieprzyjacielem możliwie dużej przestrzeni. Dwa razy stawaliśmy na pozycjach — pod Brzechowem i pod Górą — lecz tylko po

to, by po wymianie pierwszych strzałów cofać się dalej pod osłoną nocy. (...) tłumaczyłem sobie to pośpieszne cofanie się, podobne do odwrotu po klęsce, porażką na innych frontach, przegraną, która odsłaniała nam skrzydła i gnała tak niemiłosiernie szybko na zachód. Pewne niewyraźne pogłoski o tym chodziły pomiędzy oficerami; więc Przemyśl znowu jest obleżony, więc Rosjanie zajmują środkową Galicję, w Karpatach idą rozpaczliwe ataki, by osłonić Węgry, wreszcie gdzieś koło Łodzi i Łowicza Niemcy pobici cofają się ku swojej granicy”. O nastrojach u cofających się Niemców pisał generał von Bernhardt, że krążyły pośród nich „najdziksze pogłoski”. „Korpus miał być zniszczony. Woysrsch wraz ze swym szefem sztabu zamordowany. Okazało się to później nieprawdą. Ale w owym czasie miano uczucie, że na zachodzie przeżywamy wielki kryzys, ale nie możemy sobie zdać sprawy z jego znaczenia”.

1 listopada 1914 r. Hindenburg otrzymał nominację na wodza wszystkich wojsk niemieckich walczących na froncie wschodnim - *Oberbefehlshaber Ost*. Dowództwo niemieckie w Polsce nosiło nazwę *Oberkommando Ost*, w skrócie zwykle *Oberost*. Szefem sztabu został nieodłączny wówczas od Hindenburga Ludendorff, jego zastępcą generał Max Hoffmann. Dowództwo 9 Armii objął po Hindenburgu generał August Mackensen. „*Oberost* rządził odtąd samodzielnie w sposób niemal nieograniczony” - pisał tego dnia generał Wilhelm Groener.

Jak wyglądała sytuacja? We Francji walki przekształcały się coraz bardziej widocznie w wojnę pozycyjną i trudno było oczekiwać tam teraz rozstrzygnięcia. Na tym stanowisku stało mocno dowództwo austriackie. Na tym stanowisku stali także Hindenburg i Ludendorff. W tym też kierunku szły nalegania Austriaków na niemieckie Naczelne Dowództwo. Generał Conrad domagał się wysłania co najmniej 30 dywizji niemieckich z Francji do Polski. Falkenhayn początkowo opierał się temu żądaniu, liczył jeszcze na zwycięstwo w batalii dokoła Ypres i nie wierzył, aby zwycięska nawet ofensywa w Polsce przyniosła rozstrzygnięcie ostateczne, gdyż armia rosyjska, nawet pokonana na ziemiach polskich, mogłaby tak jak w roku 1812 cofnąć się daleko w głąb Rosji.

Hindenburg i Ludendorff rozumowali inaczej. 9 listopada 1914 r. Hindenburg podpisał i wysłał do Naczelnego Dowództwa memoriał opracowany przez Ludendorffa; postulował przesunięcie punktu ciężkości operacji wojennych do Polski, a w każdym razie wzmocnienie frontu wschodniego trzema lub czterema korpusami, sprowadzonymi z Francji.

Falkenhayn jeszcze się wzdragał, jeszcze nie chciał podzielić poglądów Conrada i Hindenburga, jeszcze żywił nadzieję na zwycięstwo pod Ypres. Dopiero gdy nadzieje te zawiodły, wódz niemiecki zdecydował się przerzucić na wschód punkt ciężkości działań wojennych.

Ale Hindenburg nie czekał na zmianę stanowiska Falkenhayna, nie czekał na posiłki z zachodu, podjął ofensywę tymi siłami, którymi dysponował.

11 listopada 1914 r. ruszyli Niemcy do ataku i zdołali zaskoczyć Rosjan. 9 Armia przełamała pomiędzy Wartą i Wisłą północne skrzydło wojsk rosyjskich frontu północno–zachodniego i zepchnęła Rosjan na południowy wschód ku Łodzi. W bitwie pod Łodzią w dniach 17 do 25 listopada spodziewali się Niemcy całkowicie oskrzydlić Rosjan i zgotować im drugi Tannenberg; nie zdołali tego osiągnąć, ale 6 grudnia zajęli Łódź. W połowie grudnia ofensywa niemiecka zatrzymała się pomiędzy Bzurą i Rawką. Wojska austro–węgierskie w bitwie pod Limanową w dniach 5 do 17 grudnia zatrzymały Rosjan prących ku Krakowowi.

W końcu grudnia 1914 r. od Zalewu Kurońskiego do Karpat utworzył się jeden front i wydawało się, że i tu rozwinie się wojna pozycyjna.

Ustalony wtedy front długości około 1200 kilometrów dawał obraz stosunku sił pomiędzy trzema zmagającymi się mocarstwami, pomiędzy Państwami Centralnymi i Rosją. Niemcy zajmowali pozycje na ziemiach wchodzących w skład Cesarstwa Rosyjskiego (tylko w skrawkach Prus Książęcych utrzymały się jeszcze wojska rosyjskie), Austriacy natomiast musieli się cofnąć i pozwolili Rosjanom wtargnąć do Galicji Wschodniej, do Bukowiny i stanąć w Karpatach; nad Węgrami zawisła groźba inwazji rosyjskiej.

Operacje na wschodzie przybrały charakter wojny pozycyjnej, ale nie w takiej postaci, jak na zachodzie i, co zapewne ważniejsze, jedynie na kilka miesięcy.

## 29. Lwów i Rawa Ruska

„Atak - pisał generał Conrad von Hötzendorf - najbardziej odpowiada duchowi wojny, jej celem bowiem jest narzucenie swej woli przeciwnikowi przez zniszczenie jego siły, a drogą do tego jest walka. Kto więc chce osiągnąć cel wojny, musi - jeśli się nie liczy z przypadkami - dążyć do walki, walkę musi narzucić przeciwnikowi”.

Ofensywa działa dodatnio na psychikę dowódców i żołnierzy - wywodził Conrad - pozwala wybrać czas i miejsce ataku.

Tych zasad uczył Conrad jako wykładowca w Szkole Wojennej, tymi zasadami kierował się jako szef sztabu armii austro-węgierskiej w latach 1914-1917.

Ofensywne plany austriackie napotkały od razu poważne trudności. W sztabie austriackim spodziewano się mimo wszystko, że wojna będzie - przynajmniej przez czas pewien - wojną „zlokalizowaną”, wojną tylko z Serbią. Wbrew tym rachubom Rosja stanęła natychmiast po stronie Serbii, co więcej sprzymierzeńcy włoski i rumuński ogłosili neutralność, a to wytworzyło dodatkowe powikłania. Stanowisko Włoch pozwoliło Francji wycofać z Alp znaczne siły i rzucić je do boju przeciwko Niemcom; zmusiło to Niemców do większe-



go osłabienia wojsk na wschodzie celem wzmocnienia frontu zachodniego.

Neutralność Rumunii miała, chwilowo przynajmniej, skutki bodaj jeszcze gorsze. Dowództwo austriackie spodziewało się bowiem, że armia rumuńska w sile pięciu korpusów, skoncentrowana w Mołdawii, wiązać będzie 7 i 8 armie rosyjskie zgromadzone w Besarabii i na Podolu. Neutralność Rumunii odsłoniła prawe skrzydło austriackie.

Sztab austro-węgierski opracował dwa plany wojenne: plan „R” (Rosja) na wypadek jednoczesnej wojny przeciwko Rosji i Serbii oraz plan „B” (Bałkany) w razie „zlokalizowanej” wojny z Serbią.

Plan „R” przewidywał użycie przeciwko Rosji 3/5 sił zmobilizowanych, a więc dziewięciu korpusów armii i pięciu dywizji kawalerii. Przeciwko Serbii i Czarnogórze miano skierować trzy korpusy i kilka oddzielnych dywizji i brygad. Ponadto Naczelne Dowództwo miało do swej dyspozycji odwody w ilości 4 korpusów i 2 dywizji kawalerii; siły te w razie potrzeby można było przesunąć na front rosyjski lub serbski.

Według planu „B” przeciwko Serbii i Czarnogórze miało działać siedem korpusów i dwie dywizje kawalerii; pozostała część armii stanowiłaby odwody.

Królestwo Polskie, wrzynając się pomiędzy Austro-Węgry i Niemcy, żywo pobudzało wyobraźnię Conrada. Widział on oczami wyobraźni, jak szybki atak Austriaków od Galicji Wschodniej i Niemców od Prus Książęcych zgotowałby Rosjanom nowy wielki Sedan

czy nowe Kanny. Armia rosyjska wzięta w dwa ognie, w stalowe kleszcze.

Ale na pięknym tym obrazie rysowała się skaza. Niemcy, jak wiemy, planowali w początku wojny potężne uderzenie na Francję, a tylko obronne działania siłami na froncie wschodnim. Szef sztabu niemieckiego Moltke parokrotnie uprzedzał o tym Conrada, ostatnio w poufnej rozmowie osobistej w dniu 12 maja 1914 r. „Mamy nadzieję - mówił Moltke - w przeciągu sześciu tygodni od początku operacji pobić Francję, albo przynajmniej tak ją osłabić, że główne siły będziemy mogli przerzucić na wschód”. „W takim razie - odparł Conrad - co najmniej przez sześć tygodni musimy nadstawiać karku Rosjanom”.

25 lipca wydano rozkaz mobilizacji częściowej przeciwko Serbii według planu „B”. Ale w związku z nieustępliwym stanowiskiem Rosji już 31 lipca zarządzono mobilizację powszechną według planu „R”. Dwa sprzeczne zarządzenia wywołały dezorganizację. Koleje wiozły już wojsko ku granicy serbskiej zgodnie z planem „B”. Aby nie wywoływać zamieszania, pozwolono pociągom dotrzeć do stacji przeznaczenia nad Dunajem i nad Sawą, potem dopiero zawrócono je ku Galicji.

Conrad, pomimo wszystko trwał przy planie ofensywnym i 20 sierpnia wydał rozkaz wszczęcia działań zaczepnych.

Naczelne Dowództwo austro-węgierskie (*Armee-Oberkommando* - AOK) rozumiało dobrze, że wojska austro-węgierskie nie będą w stanie przeprowadzić wła-

snymi tylko siłami wielkiej ofensywy, która by pozwoliła zniszczyć armię rosyjską i wedrzeć się w głąb Rosji. Pragnęło natomiast własnym energicznym uderzeniem unieruchomić przeciwnika, przeszkodzić koncentracji jego wojsk i udaremnić rosyjskie próby inwazji. Dopiero zwycięstwo niemieckie we Francji miało pozwolić na ściągnięcie potężnych armii niemieckich na front wschodni i otworzyć drogę do wspólnych niemiecko–austro–węgierskich działań przeciwko Rosji - „w wielkim stylu” wedle wyrażenia Conrada.

Już w połowie sierpnia toczyły się na terenie Królestwa walki wstępne. Walczyli polscy strzelcy Piłsudskiego, którzy 20 sierpnia zajęli Kielce. Wtargnął do Królestwa 15 sierpnia wielki zwiad kawaleryjski austro–węgierski. Do Zagłębia Dąbrowskiego weszli Niemcy pod dowództwem generała Remusa von Woyrscha. Prawdziwe boje zaczęły się wszakże dopiero pod koniec sierpnia.

Przeciwnicy stanęli naprzeciwko siebie ugrupowani w następujący sposób:

Lewe skrzydło austriackie tworzyły 1 Armia dowodzona przez generała Wiktora Dankla i 4 Armia pod dowództwem generała Maurycego Auffenberga, zgrupowane pomiędzy dolnym Sanem i Wisłą. W okolicy Lwowa stała 3 Armia pod komendą generała Hermanna Kövess de Kövesshaza, a na południowym wschodzie w okolicy Stanisławowa 2 Armia, złożona z oddziałów, które nie zostały wysłane do Serbii.

Naprzeciw stali Rosjanie - na południe od Lublina armie: 4 pod dowództwem generała piechoty Aleksieja

Evertha i 5 pod komendą generała kawalerii Pawła Plehwego, w okolicach Łucka i Dubna Armia 3 dowodzona przez generała piechoty Nikołaja Rużskiego i wreszcie na północ od Dniestru Armia 8 pod wodzą generała kawalerii Aleksieja Brusilowa. Dowództwo całego frontu południowo–zachodniego sprawował generał–artylerii Nikołaj Iwanow.

Conrad głównym ciężarem walki obarczył armie generałów Dankla i Auffenberga; miały one oskrzydlić od zachodu rosyjskie armie 4 i 5, następnie od północnego zachodu uderzyć na Armię 3. Ubezpieczenie lewego skrzydła tworzyła grupa generała Heinricha Kummera von Falkerfella, maszerująca w kierunku Radomia, oraz posuwający się od Śląska przez Zagłębie Dąbrowskie niemiecki korpus generała Woyscha.

Rosjanie nie orientowali się dostatecznie w rozmieszczeniu wojsk austro–węgierskich i w planach przeciwnika. Dopiero w drugiej połowie sierpnia stwierdzili koncentrację znacznych sił austriackich w Galicji Zachodniej, nie mieli natomiast danych o sytuacji w Galicji Wschodniej, przypuszczali jedynie, że przeciwnik dysponował tam słabszymi siłami.

Pomimo niedostatecznej orientacji sztab rosyjski przewidział trafnie, że Austriacy uderzą lewym skrzydłem. Dowództwo rosyjskie rzuciło więc dwie armie, 3 i 8, na Galicję Wschodnią w kierunku Lwowa. W razie powodzenia plan ten pozwoliłby Rosjanom zaatakować z flanki i z tyłu armie austro–węgierskie Dankla i Auffenberga. Położenie Austriaków byłoby tym trudniejsze, im bardziej wdarliby się w głąb Królestwa.

21 i 22 sierpnia ruszyła do ataku w kierunku północnym na Lublin 1 Armia generała Dankla, w cztery dni później wsparła ją armia Auffenberga maszerując w kierunku północno-wschodnim na Chełm. Równocześnie, 23 sierpnia, przystąpili do ofensywy Rosjanie; stanęły do boju 4 Armia generała Evertha i 5 Armia generała Plehwego.

25 sierpnia 1 Armia austriacka odniosła zwycięstwo pod Kraśnikiem. Generał Dankl został w nagrodę wyniesiony do stanu hrabiowskiego z przydomkiem von Kraśnik. Dowódca wojsk rosyjskich frontu południowo-zachodniego generał Iwanów rzucił 5 Armię generała Plehwego na zachód do ataku na prawe skrzydło Dankla. Manewr ten nie powiódł się, w sukurs Danklowi bowiem pospieszył od południa Auffenberg i 26 sierpnia pobił Rosjan pod Komarowem na południowy wschód od Zamościa; został za to ozdobiony tytułem Freiherr von Komarów.

Ale zaraz odwróciła się karta. Rosyjskie lewe skrzydło - 3 Armia generała Rużskiego i 8 Armia generała Brusilowa przekroczyły granicę i zmusiły Austriaków do odwrotu. Słabe prawe skrzydło austriackie w Galicji Wschodniej niedostatecznie tylko i powoli wzmacniały wojska ściągane w pośpiechu z drugiego krańca monarchii, z Serbii. 3 września Rosjanie wkroczyli do Lwowa.

Conrad stanął przed bardzo trudną decyzją: czy cofnąć armie 1 i 4 z wysuniętych pozycji w Królestwie, prowadzić działania obronne i czekać na obiecaną pomoc niemiecką. Właśnie z Francji nadchodziły wieści

o zwycięskim marszu wojsk niemieckich na Paryż. Ale nie brakowało mu odwagi i śmiałości decyzji, powziął inne postanowienie. Rozkazał Auffenbergowi zawrócić na południowy wschód i uderzyć na maszerujących w Galicji Wschodniej Rosjan. Auffenberg połączył się istotnie z armiami generałów Rudolfa Brudermanna i Kövessa w Galicji Wschodniej, ale wojska rosyjskie w Królestwie, uwolnione od ataków 4 Armii austriackiej, wzmocnione posiłkami nadesłanymi z Warszawy, podjęły ofensywę przeciwko 1 Armii generała Dankla. Przyszli jej wprawdzie z pomocą Niemcy pod generałem Woyrschem, ale nacisk rosyjski był tak silny, że Austriacy rozpoczęli 4 września odwrot, a 9 września musieli wycofać się za San. Również i w Galicji Wschodniej Austriacy nie zdołali powstrzymać naporu Rosjan. Wielka bitwa pomiędzy Lwowem a Rawą Ruską w dniach 8 do 12 września zakończyła się klęską austriacką. 11 września Conrad, nie chcąc wydać swej armii na zagładę, wydał rozkaz odwrotu. Uchodzące z Galicji Wschodniej wojska austro-węgierskie oparły się dopiero na Wisłocze. 2 Armia austriacka, której dowództwo objął teraz generał Edward Bóhm-Ermolli, broniła w Karpatach przejść na Wielką Nizinę Węgierską. Zaporę przed Rosjanami tworzyła również twierdza w Przemyślu, którą wojska rosyjskie zaczęły oblegać 16 września.

Znamienny zbieg okoliczności: gdy Francuzi bili Niemców na froncie zachodnim nad Marną, Rosjanie brali górę nad Austriakami na froncie wschodnim w Galicji.

Generał Conrad w taki sposób usiłował wyjaśnić różnicę pomiędzy bitwą nad Marną a bitwą galicyjską. „W bitwie nad Marną - pisał - rozkaz odwrotu był wykluczony, gdyż rozkaz odwrotu to była przegrana wojna. W bitwie pod Lwowem i pod Rawą Ruską należało dać rozkaz odwrotu w chwili, gdy dalsze prowadzenie walki groziło rozbiciem c. i k. armii; armia ta miała zachować zdolność bojową do wielkiego uderzenia wspólnie z Niemcami na Rosję po niemieckim decydującym zwycięstwie na zachodzie. (...) Na froncie zachodnim rozpoczął się długi okres zastoju, na froncie wschodnim zaś cztery armie cesarskie i królewskie po krótkim wypoczynku przystąpiły wspólnie z 9 Armią niemiecką do ofensywy przeciwko nieprzyjacielowi. Nieprzyjaciel ten wyobrażał sobie, że rozbił wojska austro-węgierskie - był to jego wielki błąd”.

Tymi słowy wódz austriacki, rozgoryczony na sprzymierzeńca za niedostateczne - jego zdaniem - poparcie, wymierzał sobie sprawiedliwość zrzucając winę na sojusznika.

Czy miał słuszność? Znaczenie bitwy nad Marną ujął trafnie; siłę bojową armii austro-węgierskiej chyba przeceniał.

Niemiecki generał i historyk wojskowości Hermann von Kühl wysoko stawia „śmiałość” strategicznych koncepcji Conrada i jego siłę woli, ale widzi i błędy c. i k. szefa sztabu. Conrad, który chciał zaatakować Rosjan zanim dokonają koncentracji, sam pchnął armię do ofensywy nie zgromadziwszy wszystkich sił swoich. Wojska austro-węgierskie walczyły,

zdaniem Kühla, po bohatersku i zacięcie”. Ale Austro–Węgry nie podniosły się już po ciosie zadany w bitwie galicyjskiej; stale była im odtąd niezbędna pomoc niemiecka.

Dosadnie ujął sprawę angielski historyk i teoretyk wojny Basil H. Liddell Hart mówiąc, że Conrad w bitwie galicyjskiej ocalił armię austro–węgierską od „zagłady, lecz nie od katastrofy”.

W każdym razie skutki kampanii były dla Austro–Węgień ciężkie - 250 tys. zabitych, rannych i zaginionych, 100 tys. wzięli Rosjanie do niewoli; dotkliwie uderzyło to wszystko w korpus oficerski; jego straty wyniosły około jednej trzeciej. Byli to nie tylko wyszkoleni oficerowie, ale i ludzie wychowani w starych tradycjach austriackich i szczerze oddani monarchii habsburskiej. Była to więc strata grożąca konsekwencjami na przyszłość.

Już w początkach wojny, w bitwie galicyjskiej, dało się zauważyć, jak prowadzący wojnę muszą się liczyć z różnymi czynnikami, jak różne czynniki mogą w jakiejś mierze wpływać na bieg wypadków.

I Austriacy, i Rosjanie nie mieli dostatecznego rozpoznania planów i posunięć przeciwnika. Austriacy znacznie później niż Niemcy nauczyli się szybko rozszyfrowywać radiowe depesze nieprzyjaciela. Sierpniowy wypad kawaleryjski z punktu widzenia wywiadu przyniósł niewielkie korzyści. Rosjanie z kolei skarżyli się, że mała liczba samolotów i ich techniczna niedoskonałość pomimo odwagi i ofiarności lotników nie pozwoliły na „rozpoznanie niezawodne, sięgające



w głąb kraju nieprzyjacielskiego”. Było to przyczyną popełniania błędów nie tylko w tworzeniu planów, ale i w ich realizacji. Wywierało również wpływ na nastroje panujące w wojsku. „Pogłoski znacznie wyprzedzały tempo posuwania się wojsk austriackich i niemieckich” - pisze w swych wspomnieniach ówczesny kapitan Boris Szaposznikow.

A po przeciwnej stronie frontu Józef Piłsudski tak pisał o pogłoskach i ich znaczeniu na wojnie: „A tymczasem już po tygodniu spokojnego naszego pobytu w Kielcach miasto stało się pełne dziwnych pogłosek, alarmujących wszystko, co żyło. Opowiadano więc o dziesiątkach tysięcy jazdy rosyjskiej, która idzie z Warszawy na Kielce i Kraków. (...) Te alarmujące pogłoski niepokoiły nie tylko nas, lecz i niewielką załogę austriacką i niemiecką, która stała w Kielcach. Wieści te dochodziły do Krakowa, skąd zarówno władze wojskowe, jak i politycy od opieki nad Legionami raz po raz zapytywali Kielce, czy aby te alarmy nie są prawdziwe. Do mnie wpadał ciągle z tymi niepokojącymi wiadomościami podpułkownik pruski, dowodzący załogą niemiecką”. Piłsudski przypuszczał, że pogłoski te były celowo szerzone dla wywołania nastrojów panicznych u przeciwnika.

Rzecz interesująca, co wówczas w pierwszych tygodniach wojny czuł żołnierz w ogniu walki. Nieznany z nazwiska oficer rosyjski na prośbę Cezarego Jellenty, aby opowiedział wrażenia z sierpniowych bojów w Lubelskiem, zwierzył się: „Jeszcze nie dziś, jeszcze za świeżo. Krótko panu powiem. Wszystko jest niczym

wobec tego strasznego hukupękających szrapneli, tego piekielnego grania świateł i ogni. Tak są częste i ślepiące, że oddychać nie można. Marzysz wtedy o sekundzie wytchnienia lub pauzy. Ale na niebie, w powietrzu nie ma zlitowania. Potwory w ilości niesłychanej, nie objętej, małe i wielkie, ryczą przez przestwór i sieją zniszczenie, znieruchomiają wzrok, denerwują, dech zapierają, kładą ludzi pokosami. Wszystkie uczucia zbiegają się wtedy w jednym pragnieniu: zostać zabitym. Wielu wówczas przeżywa śmierć, sami nie wiedzą dlaczego. Pewnie dlatego, że jest tak blisko i że tak boleśnie jest nie umierać, gdy dokoła umierają towarzysze”.

Takie wyznanie wyrwało się uczestnikowi walk pierwszych tygodni wojny. A co musiał czuć żołnierz pod Verdun? A co musiał przeżywać żołnierz nad Sommą?

### **30. Pierwsza kampania serbska**

Myślą przewodnią Conrada było uniknąć wojny na dwa fronty. Sądził, że mobilizacja w Rosji przebiegać będzie powoli i nie bez trudności, a to da Austriakom czas potrzebny do zgniecenia Serbii. Po zwycięskim zakończeniu krótkotrwałej kampanii serbskiej znakomita większość armii austriacko-węgierskiej będzie mogła uderzyć na Rosję i wspólnie z Niemcami zadać jej cios decydujący.

Serbia miała doskonałego, bitnego, wytrzymałego na wszelkie trudy żołnierza; brak jej było natomiast artylerii, braki występowały również w zaopatrzeniu w amunicję. Zarówno w naczelnym dowództwie serb-

skim, jak i w całym korpusie oficerskim panował duch ofensywy, panowało przekonanie, że jedynie śmiałe działania zaczepne prowadzą do celu.

Austriacy wojny z Serbią nigdy dotąd nie prowadzili, Serbów nie doceniali i lekceważyli; miało to ich drogo kosztować.

Wojnę zaczęli Austriacy od „ekspedycji karnej” (*Strafexpedition*) przeciwko Serbii. Wydawało się, że była to decyzja logiczna, pobić małą, źle uzbrojoną armię serbską zanim rozpocznie się wojna z groźniejszym przeciwnikiem, z Rosją. A jednak - rzecz dziwna - Conrad z góry brał pod uwagę możliwość wstrzymania rozpoczętych już działań przeciwko Serbii, gdyby wojska rosyjskie wcześniej niż to przewidywano w sztabie austriackim ruszyły do akcji przeciwko Austro-Węgrom. 30 lub 31 lipca 1914 r. Conrad mówił wspólnemu ministrowi finansów Leonowi Bilińskiemu, że „w takim razie pociągi, idące na południe, muszą dojść aż do granicy nad Sawą, po czym w największym sekrecie natychmiast nawrócą i przyłączą się do mobilizacji całej armii na północ dla przyjęcia ataku rosyjskiego”.

Wojskami, przeznaczonymi do działań przeciwko Serbii, dowodził generał broni Oskar Potiorek, naczelnik krajowy Bośni i Hercegowiny. Tworzyły je 2 Armia nad Dunajem naprzeciwko Belgradu i armie 5 i 6 w Bośni; razem 190 tys. żołnierza. Przeciwko nim stały cztery armie serbskie na południe od Belgradu, razem 180 tys. żołnierza, pod formalnym dowództwem na-

stępcy tronu i regenta dwudziestosześcioletniego Aleksandra, a faktycznym wojewody Putnika.

12 sierpnia armie austriackie 5 i 6 rozpoczęły ofensywę i przekroczyły Sawę i Drinę. Serbowie stawili zaciekły opór i po ząartych walkach odrzucili Austriaków na zachód od Driny. 24 sierpnia Potiorek nakazał odwrót. Straty Austriaków wynosiły 38 tys. ludzi, Serbów 18 tys.

Wkrótce, 7 września, Austriacy wznowili atak nad środkową Driną usiłując obejść lewe skrzydło serbskie. I tym razem spotkało ich niepowodzenie. Znaczne siły austriackie dostały się w zasadzkę. 15 września walki zakończyły się porażką austriacką.

Pierwsza próba zniszczenia armii serbskiej zawiodła.

Generał Oskar Potiorek, sławiony jako jeden z najzdolniejszych wodzów austriackich, którego „mózg miał większy ciężar niż mózgi innych generałów”, otrzymał dymisję. Cesarz Franciszek Józef opowiadał później, że Potiorek „zachował się bardzo przyzwoicie, gdyż uznał swoje błędy”.

Serbowie wszakże nie mieli możliwości wyzyskania swego zwycięstwa. Armia serbska cierpiała na dotkliwy brak amunicji, odczuwała to szczególnie artyleria serbska.

## 31. Turcja

♣ jednak mogli Niemcy od razu w początkach wojny zapisać na swe konto polityczne sukces niewątpliwy; sukces ten to wejście Turcji do wojny.

Z niewątpliwą przesadą, ale w znacznej mierze słusznie pisał o znaczeniu Turcji dla Niemiec czasu wojny ambasador amerykański w Konstantynopolu Henry Morgenthau: „Jeśli Niemcy nie zwiążą się przymierzem z Turcją, będą mieli niewielkie możliwości zwycięstwa w powszechnej wojnie europejskiej. Sojusz francusko–rosyjski dał Francji na wypadek wojny z Niemcami 170 milionów ludzi. 20 lat z górami Niemcy bezskutecznie usiłowali sojusz ten rozerwać. Droga do tego wszakże prowadziła tylko jedna - zawrzeć przymierze z Turcją. Mając Turcję u swego boku mogą Niemcy zamknąć Dardanele, jedyną w praktyce linię komunikacyjną pomiędzy Rosją i jej zachodnimi sprzymierzeńcami. Krok ten pozbawiłby armię cara dowozu sprzętu wojennego, Rosję zaś zniszczyłby gospodarczo uniemożliwiając jej eksport płodów rolnych, główne źródło jej bogactwa; w ten sposób zostałyby zerwane więzy łączące Rosję z jej sprzymierzeńcami na Zachodzie”.

Z końcem wieku XIX Niemcy wkroczyły do rzędu współzawodników o podział spadku po „chorym człowieku znad Bosforu”. W międzynarodowej rywalizacji na Bliskim Wschodzie Niemcy stopniowo wysunęli się na pierwsze miejsce. Walka pomiędzy imperializmem niemieckim a rosyjskim zajęła miejsce dawnej rywalizacji brytyjsko–rosyjskiej; rywalizacja ta nie zniknęła wprawdzie zupełnie, ale została odsunięta na plan dalszy.

Starcie imperializmów na terenie Turcji odegrało w genezie pierwszej wojny światowej rolę znaczną, nie

zawsze w badaniach naukowych dostatecznie uwypukloną. W wygłoszonym przez niemieckiego dyplomata paradoksie, że aby wyrobić sobie pogląd na politykę europejską należało pojechać do Azji Mniejszej, gdzie jak w zwierciadle odbijają się stosunki pomiędzy wielkimi mocarstwami, tkwi może mniej przesady, niż można by sądzić w pierwszej chwili.

Od końca wieku XIX rosło zainteresowanie kapitału niemieckiego Turcją. Interesował się nią potężny niemiecki przemysł zbrojeniowy, interesował się kapitał ciągnący zyski z budowy kolei w krajach kolonialnych i półkolonialnych. Niemcy budowali wielką linię kolejową, która połączyć miała Konstantynopol, a przez Konstantynopol - Berlin i Wiedeń z Bagdadem i Zatoką Perską. W 1914 r. w chwili wybuchu wojny znaczna część kolei bagdadzkiej była już czynna. Sprawą nęcącej przyszłości pozostawały planowane i zakładane plantacje bawełny, ropa w Iraku, szerszy zbyte artykułów przemysłowych.

W tych warunkach uważano w Berlinie, że celem polityki niemieckiej na Bliskim Wschodzie powinno być utrzymanie tak długo, jak się to tylko da imperium osmańskiego przy życiu. W zamierzeniach tych Turcja miała zostać wielką kolonią czy też protektoratem Rzeszy, a może i pomostem otwierającym drogę do Azji Środkowej i Indii. Państwo tureckie podtrzymywane przy życiu wolą i poparciem Berlina, opanowane niemieckimi wpływami gospodarczymi i politycznymi, musiałyby się w końcu zupełnie od Rzeszy uzależnić.

Obraz taki rysował się niemieckim politykom i publicystom dość realnie<sup>2</sup>.

Wojna - rzecz prosta - wysunęła na plan pierwszy względy wojskowe. Należy tu rozróżnić dwa czynniki - ściśle militarny w węższym znaczeniu tego wyrazu, tzn. korzyści bojowe, które dać mogła armia turecka walcząca po stronie Państw Centralnych, i strategiczno-polityczny w szerokim znaczeniu, tzn. wpływ, który Turcja mogła wywrzeć na bieg wojny przez swój potencjał gospodarczy, sytuację polityczną, położenie geograficzne.

Nie wydawało się, aby armia turecka, zdezorganizowana za długich rządów Abdulhamida II, źle wyszkolona, pokonana niedawno przez Włochy i przez państwa bałkańskie, mogła mieć wielkie znaczenie, 12 maja 1914 r. Moltke mówił Conradowi von Hötendorf: „Armia turecka jest absolutnie bezwartościowa. Nie ma broni, nie ma amunicji, nie ma odzieży. Żony oficerów zebrzą na ulicach. Teraz Turcja chce być państwem morskim i pisze do nas o pieniądze”.

A jednak w wojnie lat 1914–1918 armia turecka odegrała rolę dość znaczną. Przed rozpoczęciem działań wojennych armia sułtańska liczyła około 200 tys. żołnierza. We wrześniu 1914 r. zarządzono mobilizację; pomimo ogólnego nieporządku wyniki były niezłe - blisko 800 tys. ludzi stanęło w szeregach. W 1915 r. sułtan dysponował już ponad milionową armią, ale począwszy od 1916 r. armia turecka topniała szybko w wyniku strat w zabitych, wziętych do niewoli, w wyniku chorób i wreszcie znacznej dezercji.

Turcy nie mieli personelu przygotowanego do prowadzenia wojny nowoczesnej, ważniejsze stanowiska w sztabie, w artylerii, w wojskach technicznych, w marynarce zajmowali więc Niemcy.

Przebieg wojny na Bliskim Wschodzie miał wykazać, że mylił się gruntownie generał Moltke w ocenie Turcji. Mylili się tak zresztą wszyscy ci, którzy wartość bojową armii tureckiej oceniali na podstawie jej klęsk w wojnie libijskiej i w wojnach bałkańskich lat 1911–1913. W latach 1916 i 1917 armia turecka wiązała około półtora miliona wojsk państw Koalicji.

Napięcie stosunków międzynarodowych latem 1914 r., a następnie wybuch wojny skłoniły dyplomację niemiecką i władze wojskowe niemieckie do bliższego jeszcze niż dotąd zainteresowania Turcją. W lipcu 1914 r. wszczęto tajne rokowania niemiecko–tureckie w przedmiocie sojuszu. Dnia 2 sierpnia 1914 r. zawarto traktat przymierza. Turcja zobowiązała się wystąpić zbrojnie przeciwko Rosji, gdyby w wyniku wojny rosyjsko–austriackiej powstał dla Niemiec *casus foederis*. Jeśliby Rosja zagrażała terytorium państwa osmańskiego, Niemcy obowiązują się ją bronić<sup>5</sup>.

Dnia 3 sierpnia 1914 r. Wysoka Porta ogłosiła zbrojną neutralność; pod jej osłoną pragnęła przeprowadzić mobilizację i przygotować zbrojenia, a także zabezpieczyć Dardanele i Bosfor przed atakiem floty nieprzyjacielskiej.

Tymczasem nastąpiły wypadki, które na udział Turcji w wojnie, na jej stosunek do Niemiec i do Koalicji wywarły wpływ niemały. 11 sierpnia 1914 r. dwa



niemieckie okręty wojenne „Goeben” i „Breslau” przepłynęły Dardanele i wpłynęły na wody Bosforu.

Krażownik liniowy „Goeben” i krążownik lekki „Breslau” tworzyły dywizjon śródziemnomorski niemiecki - *die Mittelmeer-Division* - dowodzony przez kontradmirała Wilhelma Souchona.

Niemieckie okręty wojenne na Morzu Śródziemnym zagrażały połączeniom pomiędzy Francją i jej posiadłościami w Afryce Północnej i zamierzonym transportom wojsk francuskich z Algierii do Francji. Stąd wspólny pościg flot francuskiej i brytyjskiej za okrętami niemieckimi. Z pościgu admirał Souchon wyszedł zwycięsko, zdołał nawet o świcie 4 sierpnia ostrzelać porty francuskie w Algierii - Bône (obecnie Annaba) i Philippeville (obecnie Sakikda). Dał tym pozór, że płynie ku Gibraltarowi, tymczasem zmylił pogonie i popłynął w przeciwnym kierunku. 5 sierpnia „Goeben” i „Breslau” szukając schronienia zawinęły do portu w Mesynie. Tu admirał Souchon z przykrym zdziwieniem dowiedział się, że sprzymierzeniec włoski ogłosił neutralność i że pozostanie w porcie mesyńskim dłużej niż 24 godziny grozi okrętom niemieckim internowaniem. Włosi wszakże nie kwapili się z takimi poczynaniami i Souchon nabrawszy węgla zdołał wyprowadzić swe okręty na pełne morze.

Nie popłynął na Morze Adriatyckie szukać schronienia w austriackim porcie wojennym Pula na półwyspie Istria, lecz skierował się na Morze Egejskie i po raz drugi zmylił pogonie. Okręty angielskie bowiem patrolowały cieśninę Otranto i wody pomiędzy Sycylią

i Afryką. Jedynie krążownik angielski „Gloucester” ścigał czas pewien Niemców. Na Morzu Egejskim admirał pełen niepokoju przez trzy dni oczekiwał na wyniki pertraktacji w Konstantynopolu, czy Wysoka Porta zezwoli na wjazd okrętów niemieckich do Cieśnin.

W Konstantynopolu tymczasem rokował ambasador Wangenheim z rządem i działała Niemiecka Misja Wojskowa. Oficer Misji podpułkownik Kress von Kressenstein zgłosił się do ministra wojny Envera Paży i oświadczył, że dowództwo fortów w Dardanelach czeka na rozkaz, czy może przepuścić okręty niemieckie. Wywiązał się pomiędzy nimi taki oto dialog:

Enver: „Nie mogę decydować teraz. Muszę skonsultować się z wielkim wezyrem”.

Kressenstein: „Ale my musimy telegrafować natychmiast”.

Chwila wewnętrznego napięcia.

Enver: „Mogę pozwolić na wjazd”.

Kressenstein: „Jeśli angielskie okręty wojenne popłyną za Niemcami, czy z fortów będzie można strzelać, gdyby Anglicy usiłowali wpłynąć” (w Dardanele).

Enver: „Sprawa musi być pozostawiona do decyzji gabinetu”.

Kressenstein: „Ekscelencjo, nie możemy pozostawić naszych podwładnych w takim położeniu bez jasnych i ostatecznych instrukcji. Czy strzelać do Anglików czy nie”?

Chwila ciszy.

Enver: „Tak”.

Był dzień 10 sierpnia 1914 r. Dnia tego po południu „Goeben” i „Breslau” znalazły się już na wodach Dardaneli. Nazajutrz, 11 sierpnia, nadpłynęła eskadra brytyjska, lecz na pokład okrętu admirałskiego przybyli dwaj oficerowie tureccy i oświadczyli zdumionym Anglikom, że Turcja zakupiła oba okręty niemieckie i wcieliła je do swej floty.

Był to zręczny manewr polityczny niemiecko-turecki; sami Anglicy zresztą podsunęli Niemcom i Turkom takie rozwiązanie. Rząd brytyjski skonfiskował właśnie dwa świeżo skonstruowane w stoczni angielskiej krążowniki zamówione i zapłacone przez Portę. Oburzenie w Turcji było wielkie. W takiej chwili nadeszła oferta niemiecka; zrealizowano ją natychmiast; turecka flota wojenna powiększyła się o dwa krążowniki - „Sułtan Selim Javuz” (Okrutny), poprzednio „Goeben” i „Midilli”, poprzednio „Breslau”. Dotychczasowa załoga niemiecka z kontradmirałem Souchonem na czele przeszła na służbę turecką.

Było to nie tylko wzmocnienie siły bojowej tureckiej, było to nade wszystko spotęgowanie wpływów niemieckich w Turcji. Generał Otto Liman von Sanders był komendantem I korpusu stacjonującego w Konstantynopolu, generał Walter Bronsart von Schellendorf był szefem sztabu armii tureckiej, kontradmirał Souchon dowodził flotą wojenną Turcji.

W Konstantynopolu krążyła w owych dniach charakterystyczna anegdota - minister finansów Cavid Bey spotyka mieszkającego stale w Turcji prawnika belgijskiego. „Mam dla Pana straszne wiadomości — Niem-

cy zajęli Brukselę”. „Ja mam dla Pana wiadomości jeszcze straszniejsze - odpowiada Belgijczyk wskazując ręką na widniejące na Bosforze sylwetki „Goeben” i „Breslau” - Niemcy zawładnęli Turcją”.

W pierwszych tygodniach wojny, gdy Niemcy pracując całą potęgą na Paryż spodziewali się w krótkim czasie powalić Francję i błyskawicznym zwycięstwem zakończyć wojnę, Turcja nie odgrywała w planach niemieckich znaczniejszej roli. Przeznaczono jej raczej uboczne działania dywersyjne przeciwko Rosji; myślano o demonstracji zbrojnej na Kaukazie. Dopiero klęska nad Marną i perspektywa wojny długotrwałej w większej niż dotąd mierze zwróciły uwagę Niemców na sprzymierzeńca tureckiego. Wzrósł nacisk niemiecki na Turków, wzmożły się w Konstantynopolu intrygi różnego rodzaju, obfitszym strumieniem popłynęło złoto niemieckie.

W kołach rządowych Stambułu przeważali na razie zwolennicy neutralności. Za neutralnością opowiadał się wielki wezyr Said Halim, książę egipski oraz minister marynarki Cemal Paşa. Zwracali uwagę, że Turcja nie była dotąd jeszcze do wojny przygotowana, że należało czekać na chwilę odpowiednią, na większe powodzenia militarne Państw Centralnych, na wystąpienie po ich stronie Bułgarii. Wręcz przeciwne stanowisko zajmowali minister spraw wewnętrznych Talât Paşa energiczny i brutalny działacz młodoturecki, oraz minister wojny i wicegeneralissimus Enver Paşa, prawnuk po kądzieli generała Konstantego Borzęckiego Cela-leddina Paşy. Enver, młody, liczył sobie lat 33, dyletant

bez doświadczenia i awanturnik, ale miał silną pozycję w wojsku, o które troszczył się jak dotąd żaden minister; oficerom i żołnierzom gáže wypłacano regularnie - zjawisko w ówczesnej Turcji raczej rzadkie - dbano o ich zaopatrzenie. Enver Paşa i Talât Paşa byli zdania, że zbrojenia na dłuższą metę bez rozpoczęcia działań wojennych nie będą możliwe, że należy wystąpić czynnie po stronie zwycięzcy, którym niewątpliwie będą Niemcy.

Niemcy i pozostający w ścisłym z nimi porozumieniu Enver zagrali *va banque*. 22 października Enver wydał tajny rozkaz admirałowi Souchonowi: „Flota turecka musi osiągnąć panowanie na Morzu Czarnym. Proszę odszukać flotę rosyjską i zaatakować ją, gdzie ją Pan znajdzie, bez wypowiedzenia wojny”. 28 października ambasador niemiecki w Konstantynopolu baron von Wangenheim drogą radiową zawiadomił admirała Souchona, że racje polityczne nakazują dążyć do wywołania wojny rosyjsko-tureckiej. Nie lękając się odpowiedzialności admirał przygotował uderzenie tak nagłe i tak mocne, aby nie mogło być odwrotu.

Przed świtem 29 października 1914 r. okręty tureckie podpłynęły do portów rosyjskich Odessy, Sewastopola, Noworosyjska i Teodozji i otworzyły ogień. Rosjanie musieli zapisać na swe konto dość znaczne straty - zatopione kanonierka „Doniec” i stawiacz min „Prut”, wzniecone pożary w składach portowych i kolejach, w zbiornikach ropy naftowej.

Raport kontradmirała Souchona przedstawiał wydarzenia niezgodnie z prawdą. Według raportu nie-

mieckiego zbombardowanie portów rosyjskich miało być odpowiedzią na rosyjską próbę zaminowania wejścia do Bosforu.

Akcję do powrotu floty utrzymano w zupełnej tajemnicy; dość powiedzieć, że nie uprzedzono o niej ani sułtana, ani następcy tronu, ani wielkiego wezyra, pośród ministrów wtajemniczono jedynie członków młodotureckiego Komitetu Jedność i Postęp.

Mocno poirytowany wielki wezyr udał się natychmiast do ambasady rosyjskiej i złożył wyrazy ubolewania zrzucając winę na Niemców i admirała Souchona. Ambasador Michaił Giers odparł, że skłonny byłby dać wiarę zapewnieniom wielkiego wezyra, pod warunkiem wydalenia z Turcji wszystkich oficerów i doradców niemieckich. Do tego naturalnie Said Halim nie mógł się zobowiązać. Sytuacja uległa zaostrzeniu, gdy tegoż dnia 19 października nadeszła do Konstantynopola wiadomość o ataku floty brytyjskiej na dwa statki handlowe tureckie nieopodal Smyrny (İzmiru). Była to woda na młyn Envera Paży i Niemców. Wypadki biegły teraz szybko, 1 listopada 1914 r. ambasadorowie Francji, Wielkiej Brytanii i Rosji pociągami umyślnym wyjechali do Sofii. Kości były rzucone. Enver Paşa i ambasador Wangenheim zacierali ręce z zadowolenia.

Zasadnicze znaczenie wystąpienia Turcji polegało na przerwaniu komunikacji pomiędzy Rosją i jej sojusznikami zachodnimi drogą przez Morze Czarne i Cieśniny. Rosja zmuszona była znaczne ilości sprzętu bojowego sprowadzać z fabryk Francji, Anglii, później także i Stanów Zjednoczonych. Zamknięcie Cieśnin

sprawiło, że jedynym portem w Europie, przez który Rosja mogła utrzymywać łączność z Zachodem, był Archangielsk, zamarzający na pół roku, źle i niedostatecznie powiązany z wnętrzem kraju i ważniejszymi jego ośrodkami.

Bezpośrednio pod względem militarnym nie mogła Turcja odegrać znaczniejszej roli. Kraj był wyczerpany niedawnymi wojnami - włoską, bałkańską - wojsko źle zaopatrzone, korpus oficerski niedostatecznie wyszkolony. Sprzęt bojowy i amunicję trzeba było prawie w całości sprowadzać z zagranicy, tzn. jak wówczas z Niemiec, a walcząca przeciwko Państwu Centralnym Serbia i neutralna na razie Rumunia zagraadzały drogę większym dostawom. Dawał się również we znaki brak środków sanitarnych. Braki te i trudności w pewnej tylko mierze rekompensowały niepoślednie zalety żołnierza tureckiego. Odległości i zły stan dróg i komunikacji utrudniały mobilizację i poruszanie wojskiem.

Doraźny cel, jaki wyznaczali Niemcy tureckiemu sprzymierzeńcowi, to ściągnąć na siebie możliwie znaczne siły rosyjskie. Ale jak tego dokazać? W głowach niemieckich i tureckich sztabowców leżały się najbardziej fantastyczne pomysły. Myślano wyprawić 50 tys. wojska do Besarabii i odciążyć tą drogą armię austriacką z trudem stawiającą czoła Rosjanom. Liman von Sanders zapalił się do tej myśli i osobiście chciał objąć dowództwo ekspedycji. Szybko wszakże zorientowano się, że przy transporcie, którym Turcja dysponowała, przewóz 50 tysięcy żołnierza musiałby zająć

od dwóch i pół do trzech miesięcy. Chwycono się wówczas innej myśli, równie fantastycznej. 50 tys. wojska (stale ta sama liczba) miało się zgromadzić u północno-wschodnich wybrzeży Azji Mniejszej i stamtąd pod dowództwem pułkownika Stanisława Szeptyckiego przedostać się do obwodu kubańskiego, aby wywołać tam powstanie kozaków kubańskich przeciwko Rosji. Pomysł ten był dziełem Conrada von Hötzendorfa. Nazwisko pułkownika Szeptyckiego, rodzonnego brata grecko-katolickiego arcybiskupa Andrzeja Szeptyckiego, miało w wyobrażeniach c. i k. szefa sztabu oddziaływać na kozaków kubańskich. Naiwność podała rękę nieznamomości stosunków.

Młodoturcy, a przede wszystkim wicegeneralissimus (wodziem nominalnym był sam sułtan) i minister wojny Enver Paşa wytknęli Turcji daleko idące, a najzupełniej fantastyczne cele wojenne. Cele te dyktował głoszony przez młodoturków tzw. panturanizm - kierunek dążący do zjednoczenia w państwie tureckim wszystkich ludów pochodzenia tureckiego. Określony na tej podstawie cel wojenny to podbój Kaukazu, Krymu, Powołża, Turkiestanu, Chiwy, Buchary. W polityce tureckiej nadal odgrywał rolę, chociaż nieco mniejszą, panislamizm, tj. dążenie do zjednoczenia ludów muzułmańskich. W praktyce wiązało się to wówczas z chęcią przywrócenia zwierzchnictwa tureckiego nad Egiptem i Trypolitanią. Wytyczając takie cele młodoturcy nie liczyli się zupełnie z gospodarczym i militarnym potencjałem ówczesnej Turcji i jej możliwościami. Liczyli zapewne, że zwycięstwo Niemiec otworzy



przed Turcją drogę do realizacji najdalej nawet idących celów wojennych. Plany takie były wodą na młyn Niemców, gdyż ułatwiały im własną równie fantastyczną i awanturniczą grę na Bliskim Wschodzie.

Wydawało się przez pewien czas, że Turcy, a wraz z nimi Państwa Centralne, będą mogły posłużyć się silnym atutem, jakim była czy mogła być solidarność muzułmańska. Sułtan turecki był kalifem, tj. głową islamu, zwierzchnikiem muzułmanów ortodoksyjnych - sunnitów. Narody Afryki Północnej, muzułmanie Indii, muzułmanie zamieszkali na terenie Cesarstwa Rosyjskiego to byli sunnici uznający zwierzchnictwo kalifa-sułtana.

Dnia 23 listopada 1914 r. sułtan-kalif wydał do muzułmanów całego świata proklamację głoszącą dżihad - wojnę świętą przeciwko niewiernym. „Ciemieży - głosiła proklamacja - złączeni w Trójporozumieniu pozbawili w ciągu ostatniego stulecia muzułmanów Indii, Azji Środkowej i większej części krajów Afryki niezawisłości politycznej, własnych rządów, a nawet wolności. Co więcej, państwa Trójporozumienia pomagając sobie wzajemnie zagrabiły nam najcenniejsze części imperium otomańskiego”. Do walki przeciwko niewiernym wzywał kalif wszystkich muzułmanów w wieku od 20 do 45 lat.

„Wojna święta” nie spełniła pokładanych w niej przez Niemców i Turków nadziei. Ani w Indiach, ani w Afryce Północnej, ani w Turkiestanie nie wybuchwały powstania; rozruchy ludowe, do których tu i ówdzie doszło, nie przybrały nigdzie poważniejszych rozmiarów. Niewątpliwie ludy muzułmańskie żyjące pod pa-

nowaniem brytyjskim, francuskim, włoskim, rosyjskim chętnie chwyciłyby za broń, aby zrzucić obce jarzmo, ale aparat ucisku był jeszcze zbyt silny, a przy tym ani Niemcy, ani tym bardziej Turcy nie mieli możliwości zapatrywania powstańców w broń i w ogóle nie mogli przyjść im z pomocą. Ponadto rząd turecki nie wszędzie i nie zawsze budził zaufanie. Arabowie, a pośród nich Al-Husajn ibn Ali, wielki szarif Mekki, świętego miasta islamu, i potężny władca arabski Ibn Sa'ud powstałi nie przeciwko Francuzom i Anglikom, lecz właśnie przeciwko Turkom. A wielki szarif Mekki odmówił proklamowania wojny świętej.

A jednak propaganda turecka odniosła pewien sukces, zmusiła państwa Trójporozumienia do podjęcia środków ostrożności w podległych im krajach muzułmańskich. Skoncentrowano tam około pół miliona żołnierzy, w części Europejczyków, dla przeciwdziałania ewentualnym ruchom powstańczym. W początkach wojny Francuzi byli bardzo oględni w powoływaniu pod broń muzułmanów. Cesarz niemiecki wydał 9 września 1914 r. odezwę, w której stwierdził, że Niemcy nie uważają muzułmanów za belligerentów i że w konsekwencji jeńców muzułmańskich odsyłać będą do Turcji do dyspozycji kalifa. W 1915 r. Algierczyków powołanych do wojska francuskiego było tylko 2551, w 1918 r. było ich już 50 tys. Anglicy natomiast swobodnie posługiwali się żołnierzem muzułmańskim z Indii nawet na froncie tureckim.

Działania wojenne rozpoczęli Turcy w listopadzie 1914 r., ale ponieśli klęskę. Dopiero na linii obronnej

ciągnącej się od Köpriiköy na wschód od Erzurum udało się Turkom zatrzymać ofensywę rosyjską. Wówczas Enver umyślił wielki atak na Kaukaz nie wzięwszy pod uwagę nie sprzyjających warunków terenowych ani też zupełnego nieprzygotowania armii tureckiej do walk w surowych warunkach klimatycznych Kaukazu. Enver objął osobiście dowództwo i poprowadził swą armię na zagładę. Przed wyjazdem na front Enver mówił Limanowi von Sandersowi, że najpierw chce opanować pola naftowe w Baku, a następnie pomaszeruje przez Afganistan na Indie. Szły tu w parze zdumiewająca ignorancja i nie mniej zdumiewająca pewność siebie.

Część sił tureckich posuwała się drogą wysokogórską wiodącą z Erzurum do Karsu, druga część próbowała manewru okrążającego prawe skrzydło rosyjskie. Operacja trwała od 19 grudnia 1914 r. do 10 stycznia 1915 r. Temperatura wynosiła przez cały ten czas od 20 do 25 stopni poniżej zera. Żołnierzy udających się w marsz długi i ciężki zaopatrzone w racje chleba na cztery dni. Brak był zupełny opału do rozpalania ognisk obozowych, brak namiotów. Rzecz nie do wiary, żołnierze IX Korpusu otrzymali rozkaz pozostawienia w Erzurum płaszczy i tornistrów, a to dlatego, aby im było łatwiej maszerować w głębokim śniegu. Czyż można się dziwić, że w tych warunkach blisko stutysięczna armia turecka uległa zagładzie? Prawie 80 tys. żołnierzy wyginęło nie od kuł nieprzyjacielskich, lecz od mrozu i z głodu. Enver powrócił chyłkiem do Konstantynopola. Stanowisk mu nie odebrano, lecz pozycja

jego osłabła. O klęsce kaukaskiej nie wolno było pisać, nawet mówić.

Niepowodzenie spotkało Turków i na południu. 7 listopada 1914 r. Anglicy zajęli fort Fao (obecnie Al-Fau) nad Zatoką Perską, 22 listopada wkroczyli do Basry.

30 grudnia 1914 r. wielki książę Mikołaj Mikołajewicz zapewniał przedstawiciela brytyjskiego w rosyjskiej Kwaterze Głównej generała Williamsa, że pragnie się trzymać pierwotnego planu skoncentrowania wszystkich sił Rosji przeciwko „głównemu wrogowi”, tzn. przeciwko Niemcom, wielki książę nie będzie się więc wahał wycofać z Kaukazu znacznych ilości wojska. Rzucił jednak pytanie, czy Anglicy nie byłiby skłonni podjąć demonstracji zbrojnej przeciwko Turcji „w miejscach szczególnie wrażliwych i nadających się do ataku”. Były to ogólniki, nie padła najmniejsza nawet wzmianka o Konstantynopolu czy Cieśninach, aluzja była przecież bardzo wyraźna. Wielki książę wyjaśniał później swemu otoczeniu, że o nic nie prosił Sprzymierzeńców, chciał później ich tylko uspokoić, że Rosja wszystkimi siłami będzie walczyć przeciwko Niemcom, 1 lub 2 stycznia relacja generała Williamsa była w rękach Lorda Kitchenera. Już 2 stycznia brytyjscy ministrowie wojny i marynarki odbyli naradę. Churchill opowiadał się za atakiem na Cieśniny, Kitchener stał na stanowisku, że nie wolno osłabiać najważniejszego terenu walki - frontu francuskiego.

Dla Niemców porażki Turków miały doraźnie mniejsze znaczenie, chodziło im przecież na razie

o szachowanie Rosjan, a tę rolę Turcy wzięli już na siebie w październiku 1914 r. Ale w dalszych celach strategii i polityki niemieckiej Bliski Wschód zajmował niepoślednie miejsce. Turcja miała dla Niemców znaczenie nie tylko jako sojusznik przeciwko Rosji, ale w większej może jeszcze mierze jako aliant przeciwko Wielkiej Brytanii, jako siła, która mogła poważnie zagrozić newralgicznemu punktowi imperium brytyjskiego - Suezowi. Na tę stronę zagadnienia zwracano uwagę w publicystyce niemieckiej już przed wybuchem wojny. „Anglię można z Europy drogą lądową zaatakować i ciężko zranić w jednym tylko miejscu - w Egipcie” pisał Paul von Rohrbach. W Turcji widział on drogę, którą idąc można będzie rozbić wznoszony przez Anglików mur okrążający Niemcy. Desant na Wyspach Brytyjskich siłami potrzebnymi do pobicia powiększonej brytyjskiej armii krajowej należy do dziedziny fantazji, póki niezniszczona flota brytyjska bronić będzie kanału La Manche. „Zapewne, można Anglikom podyktować pokój zdobywszy w 500 tysięcy ludzi Londyn, ale trzeba go najpierw zdobyć”. Potęgę angielską, powtarza na innym miejscu Rohrbach, można ugodzić najpewniej w Egipcie. „Anglia dopiero wtedy utraci pierwsze miejsce przed innymi mocarstwami europejskimi, gdy utraci Egipt”.

Podobne poglądy wypowiedziano także z bardziej kompetentnej, jak by sądzić należało, strony. Dnia 15 stycznia 1915 r. generał Moltke złożył cesarzowi Wilhelmowi memoriał, w którym dowodził, że Niemcy doprowadzić mogą do zawarcia pokoju odrębnego

z Rosją, a później do porozumienia z Francją; kompromis wszakże z Wielką Brytanią poczytywał za niemożliwy i radził szukania sposobów, którymi można by złamać groźnego brytyjskiego przeciwnika. Flota niemiecka nie będzie w stanie zadać Wielkiej Brytanii decydującego ciosu, dlatego trzeba podjąć „starą napoleońską myśl ataku na najczulsze miejsce Anglii, na Egipt”. Plan Bonapartego zawiódł, gdyż w jego czasach nie znano jeszcze kolei; obecnie trudność ta już nie istnieje, należy szybko kontynuować budowę kolei bagdadzkiej, mianowicie nie gotowych jeszcze jej części w górach Taurus i Amanus (obecnie Nur Daglari), a także budować odgałęzienie kolei hidzaskiej aż do Kanału Sueskiego. Koleje te powiązałyby Niemcy z Suezem i silne uderzenie na Egipt byłoby możliwe. Odpowiednie prace musiałyby potrwać około roku; zadaniem Turków byłoby utrzymywać przez ten czas korpus ekspedycyjny na półwyspie Synaj i umożliwić tą drogą budowę kolei.

Sprawę ekspedycji egipskiej dyskutowano w Stambule od początku wojny. Opowiadali się za nią awanturniczy ministrowie młodotureccy Enver Paşa i Cemal Paşa, kołysani ambicją zdobycia egipskiej godności wicekrólewskiej; domagali się tej ekspedycji usilnie Niemcy - ambasador von Wangenheim i działający w Turcji oficerowie niemieccy z wyjątkiem Lima-na von Sandersa. Pomimo wielkich trudności technicznych doszła wreszcie do skutku zimą 1915 r. Kilkunastotysięczna armia turecka przeszedłszy pustynię Ne-gew na południe od południowej Palestyny 2 lutego

1915 r. dotarła do Kanału Sueskiego i zaatakowała Anglików. Ekspedycja ta miałaby może pewne widoki powodzenia, gdyby jednocześnie wybuchło w Egipcie powstanie przeciwko rządowi angielskim. Tak się jednak nie stało. Za sukces można by uznać wszakże i stan trwałego zagrożenia Kanału. Siły tureckie były jednak za słabe, aby opanować Egipt czy choćby tylko zachodnie brzegi Kanału. Nie zdołały się nawet utrzymać na jego wschodnim wybrzeżu. 4 lutego 1915 r. rozpoczęli Turcy odwrót.

Próbie ataku na Suez powtórzą Turcy jeszcze latem 1916 r. przy zwiększonym tym razem udziale Niemców. Zakończy się on również niepowodzeniem.

Rzecz znamienita, że niektóre koła niemieckie nurtowała myśl podboju Egiptu bezpośrednio dla Niemiec. W odpowiedniej chwili zamysłano wysłać wojska niemieckie nad Nil i we własne ręce ująć protektorat nad państwem kedywa.

Były to zamysły, rzecz prosta, mocno awanturnicze.

Awanturniczy i niepoważny charakter miały także próby dywersji niemieckiej w Iranie, Afganistanie, Indiach. Wszystkie one pozostały bez znaczenia.

Ciekawa to rzecz, iż w Wielkiej Brytanii plany ataku na Egipt poważnie brano pod uwagę i mocno się niepokoiono. W listopadzie 1914 r., wkrótce po wystąpieniu Turcji, pierwszy lord admiralicji Winston Churchill wskazywał na niebezpieczeństwa grożące Egiptowi i dowodził, że najlepszym sposobem jego obrony byłby atak na Gallipoli (obecnie Gelibolu). Podobnie

i później z końcem 1915 r. zwycięska obrona Dardaneli przed atakiem angielsko–francuskim, porażka Serbów i powodzenia niemiecko–austriackie na Bałkanach wznowiły angielskie obawy o los Egiptu. Lękano się nowego marszu Turków na Suez i wybuchu powstania nad Nilem. W Egipcie zgromadzono większą ilość wojska.

Obawy o Suez i Egipt będą jedną z wielu przyczyn ekspedycji dardanelskiej w roku 1915.

## 32. Wojna w Afryce

Walki w koloniach niemieckich nie miały wpływu na losy wojny. Losy wojny rozstrzygnęły się całkowicie na frontach europejskich. Gdyby wszakże wojna zakończyła się pokojem kompromisowym, utrzymanie ważniejszych kolonii miałyoby dla Niemiec wagę niepoślednią. I odwrotnie, zajęcie niemieckich posiadłości zamorskich przez Francuzów i Anglików byłoby w rękach mocarstw zachodnich walnym atutem, cennym przedmiotem przetargu, który mógłby przyczynić się do odzyskania terytoriów utraconych w Europie i w ogóle zapewnić lepsze warunki pokoju kompromisowego. Toteż gdy rząd Rzeszy zwrócił się przed wybuchem wojny do Londynu i do Paryża z propozycją, aby na wypadek konfliktu zbrojnego w Europie nie dopuścić do walk w koloniach, spotkał się z odmową.

Wielka Brytania panowała na morzach i Niemcy nie miały możliwości utrzymania swych posiadłości zamorskich. Utraciły najpierw kolonie na Oceanie Spokojnym i w Azji Wschodniej. W końcu sierpnia



1914 r. wojska nowozelandzkie zajęły bez walki Samoa, 21 września Australijczycy wylądowali na Nowej Gwinei, załoga niemiecka kapitulowała. Flota australijska unieszkodliwiła niemieckie stacje telegrafu bez drotu na wyspach Oceanu Spokojnego. Japończycy zajęli bez oporu Karoliny, Mariany i Wyspy Marshalla, jedynie wysepka Nauru z jej bogatymi zasobami fosforu dostała się w ręce Anglików. Trudniejsza była sprawa na lądzie stałym Azji Wschodniej. Celem akcji japońskiej było Kiau–czou, terytorium w chińskiej prowincji Shandong (Szantung), zajęte przez Niemców w 1898 r. W końcu sierpnia 1914 r. flota japońska rozpoczęła blokadę Kiao–czou, w ciągu września i października wysadzili Japończycy na ląd 60 tys. żołnierza. 31 października 1914 r. wojska japońskie rozpoczęły oblężenie Cintao (Qingdao) stolicy Kiau–czou. 7 listopada Cintao (Qingdao) kapitulowało. Zakończył się krótki okres kolonialnych eksperymentów niemieckich w Azji Wschodniej i na Oceanie Spokojnym.

Inaczej potoczyły się sprawy w Afryce. Rzecz znamienna, państwa europejskie na terenie Afryki przeciwstawiały się sobie, rywalizowały ze sobą, ale starały się utrzymać i demonstrować solidarność białych względem czarnych, solidarność lub też jej pozory. Z chwilą wybuchu wojny pozory solidarności białych przysły jak bańka mydlana. Posiadłości niemieckie w Afryce stały się widownią wojny. Biali panowie rzucili swych czarnych podwładnych do boju przeciwko innym czarnym dowodzonym przez innych białych, co więcej wysłali czarnych do Europy, aby tam walczyli

przeciwno innym białym. Sprawa ta będzie miała doniosłe znaczenie w dalszym toku wydarzeń dziejowych.

Wojna w Afryce! Toczyły ją państwa europejskie rękami czarnych afrykańskich tubylców, rękami swych czarnych afrykańskich askarysów. Kadre oficerską, częściowo podoficerską stanowili Europejczycy, trzonem armii byli czarni. Kolonie afrykańskie były terenem buntów gnębionych tubylców przeciwko gnębiącym ich przybyszom, bodaj czy bunty nie występowały najsilniej w posiadłościach niemieckich. A jednak w chwili próby, w chwili, gdy widoczna była przewaga Francuzów i Anglików nad Niemcami, czarny askarys pozostał wierny niemieckim panom. Francuski pułkownik Jouin, znawca wojen afrykańskich, stwierdza: „Ze zdziwieniem należy skonstatować rzeczywistą wartość *askarisa* niemieckiego, który zwykle górował nad swym przeciwnikiem tej samej rasy dzięki żelaznej dyscyplinie, zmysłowi inicjatywy, umiejętności użytkowania i organizacji terenu. (...) Często dekorowano najlepszych czarnych żołnierzy i powierzano im odpowiedzialne zadania, co wbijało ich w dumę z ich zawodu. (...) Trzy czwarte czarnych żołnierzy dochowało wierności swym przełożonym i podążyło z nimi do obozów jeńców, chociaż zwycięzcy obiecywali im natychmiastową demobilizację”.

Zapewne działała tu umiejętna taktyka werbunkowa, znajomość psychiki rozmaitych plemion, najczęściej z sobą skłóconych, wygrywanie jednych przeciwko drugim, ale to nie tłumaczy jeszcze wszystkiego.

Posiadłości niemieckie w Afryce to Togo i Kamerun w Afryce Zachodniej, Niemiecka Afryka Wschodnia i Niemiecka Afryka Południowo–Zachodnia.

Najwcześniej, bo już w sierpniu 1914 r., opanowali Anglicy i Francuzi Togo. Dłużej przeciągnęły się walki w pobliskim Kamerunie, gdzie Niemców zaatakowali Francuzi, Anglicy i Belgowie. Atak na Kamerun ułatwiały niepokoje wewnętrzne, wywołane stłumieniem przez Niemców niedawnego buntu plemienia Duala. Przywódcy plemienia zwrócili się o pomoc Anglików, co oczywiście osłabiło obronę niemiecką. Kraj pokryty lasem, niezdrowy nastroczał wiele trudności i napastnikom, i obrońcom. Działania wojenne rozpoczęto w sierpniu 1914 r. Anglicy zaatakowali od strony morza port Douala, ataki na lądzie poszły w sześciu kierunkach. Dopiero wszakże w marcu 1915 r. ustalono zasady wspólnego działania. Walki toczyły się do 16 lutego 1916 r., kiedy po 15 miesiącach oblężenia skapitulował ostatni niemiecki punkt oporu w Kamerunie - Fort Mora.

Inna była sytuacja w Niemieckiej Afryce Południowo–Zachodniej. Po wielkim krwawo stłumionym buncie Herrerów w 1904 r., władze niemieckie musiały brać pod uwagę niechętną w znacznie wyższym niż w innych koloniach stopniu postawę ludności tubylczej. Ale i w Związku Południowej Afryki rysowały się komplikacje. Część Burów nie pogodziła się szczerze z Wielką Brytanią i szukała teraz oparcia u Niemców. Stał na ich czele jeden z bohaterów niedawnych walk Burów z Anglikami generał Christian De Wet. Pozosta-

ło to bez większego znaczenia. Opór Burów na terenie Związku pokonano szybko, a dowodzony przez De Weta niewielki oddział burski „*Südafrikanisches Freikorps*” został w niedługim czasie rozwiązany. Większość Burów wszakże opowiedziała się po stronie Wielkiej Brytanii, a generał Louis Botha, również jeden z bohaterów wojny burskiej, wódz spod Ladysmith, wówczas już premier Związku Południowej Afryki, stanął na czele armii Związku. Wojska południowoafrykańskie wylądowały w Zatoce Lüderitz we wrześniu 1914 r. i ruszyły na stolicę kraju - miasto Windhuk. Atak idący od południa powstrzymała rewolta Burów we wrześniu 1914 r., dopiero po jej pokonaniu wojska związkowe wylądowały w Zatoce Wielorybiej i zajęły w styczniu 1915 r. Swakopmund. W kwietniu 1915 r. wybuchło powstanie w okolicach Rehoboth w kraju Damara; powstańców wsparły postępujące od południa wojska południowoafrykańskie, przy zmniejszającym się oporze Niemców parły dalej i 12 maja 1915 r. zajęły Windhuk. Ostatnie walczące oddziały niemieckie, wypierane na północ, kapitulowały 9 lipca 1915 r. Skończyła się wojna w Niemieckiej Afryce Południowo-Zachodniej. Naczelnym wodzem wojsk Związku Południowej Afryki w rozkazie z 12 lipca 1915 r. nazwał zdobycie Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej „pierwszym osiągnięciem zjednoczonego południowoafrykańskiego narodu, dziełem, w którym połączyło się to, co w obu rasach (angielskiej i burskiej) było najlepsze i najbardziej mężne”. Rząd Związku Południowej Afryki będzie odtąd patrzył ze

spokojem na północno–zachodnią granicę kraju. 100 tys. żołnierzy weźmie udział w walkach w Europie, będzie to *South Africa Brigade* (Brygada Południowej Afryki). Związek Południowej Afryki otrzyma z ramienia Ligi Narodów mandat nad dawną Niemiecką Afryką Południowo–Zachodnią, czyli otrzyma bogaty ten kraj w charakterze kolonii.

Najdłużej, bo aż do listopada 1918 r., toczyły się walki w Niemieckiej Afryce Wschodniej. Była to perła kolonii niemieckiej; Niemcy wiązali z nią niemałe nadzieje. Kraj był bogaty, prawie dwa razy większy od Niemiec w granicach sprzed 1918 r.

Ale i dla Anglików miała Niemiecka Afryka Wschodnia niepoślednie znaczenie, dzieliła północne i południowe brytyjskie posiadłości afrykańskie i była zaporą na drodze do upragnionego przez Anglików połączenia Kair–Kapsztad. Nie szczędzili więc Anglicy wysiłków, aby zaporę tę przełamać, ale działania na szeroką skalę rozpoczęli dopiero po zajęciu innych kolonii niemieckich. Dało to Niemcom możliwości, które umieli wyzyskać. Siłami zbrojnymi niemieckimi dowodził przybyły do Afryki dopiero niedawno, bo w styczniu 1914 r. pułkownik Paul von Lettow–Vorbeck, człowiek energii nieprzeciętnej i silnego charakteru. Za cel postawił sobie walczyć jak najdłużej i wiązać w Afryce jak największe siły Koalicji. Miał do dyspozycji armię niewielką - kilkuset białych oficerów i podoficerów, 2500 czarnych *askarisów* i około 2000 czarnych policjantów. W ciągu nadchodzących miesięcy zwerbowano jeszcze białych spośród urzędników

kolonialnych i plantatorów oraz ponad 5000 czarnych; był to dobry materiał żołnierski. Brakło natomiast broni, braki te pokrywała częściowo zdobycz wojenna. Anglicy przeciwstawili Niemcom ponad 100 tys. żołnierza; w szeregach tych znaleźli się obok białych czarni *askarysi* z kolonii brytyjskich, belgijskich i portugalskich, oddziały południowoafrykańskie i indyjskie.

Pierwsze większe boje, stoczone w listopadzie 1914 r. w okolicach portu Tanga na północy kolonii, przyniosły 4 listopada klęskę Anglikom. W styczniu 1915 r. nowe uderzenie angielskie od strony portu Mombasa w okolice Tangi zakończyło się nową porażką Anglików. Wzrósł autorytet Niemców w oczach czarnych i wzrósł autorytet osobisty pułkownika von Lettowa. W lipcu 1915 r. po ciężkiej walce zatopili Anglicy krążownik „Königsberg”; od wybuchu wojny krążył on po wodach Oceanu Indyjskiego. Odtąd prowadzili Niemcy wojnę podjazdową głównie w okolicach Kilimandżaro. Sytuacja zmieniła się w styczniu 1916 r., na czele blisko 90–tysięcznej, dobrze wyposażonej armii przybył do Ugandy generał Jan Christiaan Smuts. Rozpoczęły się teraz ciągłe, ciężkie walki. Sprzymierzeńcem Anglików były coraz bardziej dotkliwe w wojsku niemieckim braki amunicji, leków najbardziej niezbędnych jak chinina, a nawet żywności. W tych warunkach wojska brytyjskie i południowoafrykańskie opanowały całe wybrzeże morskie Niemieckiej Afryki Wschodniej. 18 września 1916 r. Anglicy zajęli Dar es–Salam. Warunki walki były dla Niemców coraz trudniejsze, na pastwę losu pozostawiał

dowódca niemiecki rannych, chorych, jeńców. W kar-nych dotąd szeregach *askarysów* zaczęła się szerzyć dezercja. Pomimo tego von Lettow w 1917 r. i w 1918 r. przedłużał wojnę, czynił nawet wyprawy do portu- galskiego Mozambiku, później do brytyjskiej Rodezji. Tam właśnie w Rodezji otrzymał 13 listopada 1918 r. wiadomość o zawarciu rozejmu. Skończyła się wojna także i w Afryce.

Niemiecką Afryką Wschodnią pod nazwą Tanga- nika zawładnęli Anglicy; był to również mandat Ligi Narodów. Tylko terytoria Ruanda i Urundi na północ- nym zachodzie kraju przyłączono do Konga Belgijskie- go.

Interesującym szczegółem są dalsze losy dawnego pułkownika, teraz już generała von Lettow–Vorbecka. Po krótkim pobycie w niewoli brytyjskiej powrócił do Niemiec i działał w różnych organizacjach nacjionali- stycznych. W 1953 r. udał się do Afryki na zaproszenie wdowy po marszałku Smutsie i spędził kilka miesięcy w jej rezydencji w pobliżu Johannesburga. Zmarł w 1964 r. jako starzec dziewięćdziesięcioczworoletni.

### **33. Bilans roku 1914**

Bilans roku 1914 nie był pomyślny dla żadnej ze stron walczących. Niemcy ani na wschodzie, ani na za- chodzie nie odnieśli decydującego zwycięstwa, prze- grali nad Marną, przegrali wyścig ku morzu. Jednak wojska niemieckie stały wszędzie na obcym terytorium, a nieprzyjaciel, który w pierwszych tygodniach wojny wdarł się w granicę Rzeszy, w Alzacji i w Prusach

Wschodnich, musiał pod naporem niemieckim wycofać się z dotkliwymi stratami. Niemcy zachowali - rzecz ważna - inicjatywę strategiczną, ale nie zdołali wygrać wojny krótkiej, błyskawicznej. Musieli z wolna przestawić zarówno gospodarkę, jak i prowadzenie działań wojennych na wojnę długą, na wojnę na przetrwanie, do której nie byli przygotowani i której wygrać nie mogli. Stąd płynęły już w końcu 1914 r. oceny pesymistyczne czy realistyczne, że Niemcy z Koalicją nierozbitą wojny nie wygrają, że konieczny będzie pokój kompromisowy z jednym z przeciwników.

W gorszej sytuacji znajdowały się Austro-Węgry. Już pierwsze miesiące wojny pokazały ich słabość. Wielkie imperium Habsburgów nie zdołało pokonać małego, ale - jak się okazało - groźnego przeciwnika - Serbii. Zajęcie Galicji Wschodniej przez wojska rosyjskie oraz groźba sforsowania Karpat i wdarcia się Rosjan na Węgry wzmagały, pogarszały trudną sytuację. A obok tego niebezpieczeństwo od strony dwóch dotychczasowych, a mocno niepewnych sojuszników, tj. Włoch i Rumunii. Uzależnienie monarchii od niemieckiego sprzymierzeńca w dziedzinie zarówno militarnej, jak politycznej rosło w sposób zastraszający.

Sukcesów nie mogła zapisać na swym koncie Turcja. Było sprawą coraz bardziej oczywistą, że bez wydatnej pomocy ze strony Niemiec Turcja nie będzie w stanie prowadzić wojny na dłuższą metę, a pomoc niemiecka, przede wszystkim w materiale wojennym, mogła nadejść tylko w przypadku pokonania Serbii i zajęcia Bałkanów przez wojska Państw Centralnych.



Koalicja także nie mogła się pochlubić rezultatami dotychczasowych kilku miesięcy wojny. Francuzi zwyciężali nad Marną, wspólnie z Anglikami zwyciężyli we Flandrii, ale nie zdołali wyprzeć najeźdźcy z własnej ziemi; znaczne obszary Francji znajdowały się pod okupacją niemiecką - większa część północnego zagłębia węglowego, całe zagłębie żelazne Longwy–Briey, Lille, Arras, Amiens, Reims, Nancy. Prezydent Poincaré pod koniec 1914 r. z melancholią zapisywał w swym dzienniku: „Trzeba wieków, aby oswobodzić Francję. Ale jakie by nie były trudności do pokonania, nie poddam się zwątpieniu. Być zwyciężonym, jak mówi Foch, czy to nie znaczy uznać się za zwyciężonego”. A wódz naczelny Joffre, zawsze spokojny, zawsze trzymający nerwy na wodzy doznawał nieodpartego wrażenia, że Niemcy stracili już wszelką nadzieję wygrania wojny. „Ale nie wystarczyło przeszkodzić w wygraniu wojny. Trzeba było odnieść zwycięstwo decydujące, odzyskać Północ Francji, Belgię, nasze drogie prowincje Alzację i Lotaryngię”.

Droga do tego celu była jeszcze daleka. We Francji wzniesiono naprzeciwko siebie jakby dwie olbrzymie twierdze - francusko–brytyjsko–belgijską i niemiecką. Zdobycie tych twierdz przekraczało na razie możliwości stron obu. Wojna musiała trwać długo, rozstrzygnięcia szukać należało na innym terenie.

Anglicy wcześniej może niż politycy i wojskowi na kontynencie zrozumieli, że rozpoczął się nowy okres wojny, która trwać musi długo i którą trzeba będzie prowadzić innymi niż dotąd metodami. Kitchener wy-

raził z tego powodu zdumienie, gdy mówił do Greya: „Nie wiem, co mam robić. To nie jest wojna”. Toteż Anglicy pierwsi przystąpili powolnie i metodycznie do przygotowania tej „nowej” wojny.

Rosjanie sławili swe zwycięstwa nad głównym wrogiem, nad Austro–Węgrami, ale niepowodzenia doznane w walkach z Niemcami poważnie, osłabiły znaczenie zwycięstw w Galicji Wschodniej. Bolesne, ogromne straty w Prusach Wschodnich, zwłaszcza pośród oficerów zawodowych i w szeregach gwardii, ugodziły dotkliwie nie tylko w armię rosyjską i jej wartość bojową, ugodziły bardziej jeszcze w monarchię rosyjską; bitwy pod Tannenbergiem, nad Jeziorami Mazurskimi zdziesiątkowały zastępy wiernie oddanych carowi zawodowych wojskowych. Silnie dawał się armii rosyjskiej we znaki brak amunicji jeszcze dotkliwszy niż we Francji czy w Niemczech. Generał Michaił Bielajew, wówczas wyższy urzędnik ministerstwa wojny, późniejszy minister, mówił 18 grudnia 1914 r. ambasadorowi Francji, że armii rosyjskiej trzeba 45 tys. naboju dziennie, a fabryki rosyjskie wyrabiają najwyżej 13 tys. dziennie, w połowie lutego spodziewano się osiągnąć 20 tys. W kwietniu 1915 r. nadejść miały zamówione transporty broni z Japonii i Stanów Zjednoczonych.

W tych warunkach inicjatywę strategiczną, o ograniczonym zresztą zasięgu, podjąć mogły tylko Niemcy i Francja wraz z Wielką Brytanią.

Falkenhayn, który długo był zdania, że rozstrzygnięcia nie można będzie osiągnąć na wschodzie i zgadzał się jedynie na uboczne działania przeciwko Rosja-

nom, aby ułatwić sytuację sprzymierzeńcowi austriackiemu zdecydował się wreszcie na mocne uderzenie na froncie wschodnim. 2 maja 1915 r. zaczęła się pod Gorlicami wielka wschodnia ofensywa niemiecko-austriacka.

Francuzi i Anglicy zwrócili się ku Bliskiemu Wschodowi. 19 lutego 1915 r. flota brytyjska i francuska przyspuściły atak na Dardanele.

### **34. Uderzenie na wschód czy na zachód**

W listopadzie 1914 r., po doświadczeniach Marny, Ypres, Tannenbergu, Jezior Mazurskich, bitew w Galicji, generał Falkenhayn nabrał przekonania, że jeśli Koalicja nie zostanie rozbita, Niemcy nie osiągną „przyzwoitego” pokoju, zawiśnie nad nimi niebezpieczeństwo powolnego wyczerpania. Należy więc oderwać od Koalicji albo Francję, albo Rosję. Jeśli się powiedzie skłonić Rosję do zawarcia pokoju, Niemcy będą w stanie podyktować pokój i Francji, i Wielkiej Brytanii - nawet gdyby do Europy przybyły wojska japońskie, a Wielka Brytania rzucała do boju kolejne rezerwy. Można się wszakże spodziewać, że jeśli z wojny wycofa się Rosja, ustąpi także i Francja, a wówczas Niemcy blokadą morską wygłodzą Wielką Brytanię i rzucą ją na kolana. Chwila do nawiązania z Rosją kontaktu nadejdzie, gdy Hindenburgowi uda się wojskom rosyjskim zadać tak silny cios, że przez całą zimę nie będą zdolne do akcji.

Falkenhayn mówił wprawdzie o zwycięstwie po długiej wojnie, o „przyzwoitym” pokoju, ale niewąt-

pliwie zachwiało się w nim przekonanie o wspaniałym, bezapelacyjnym zwycięstwie Niemiec; w połowie listopada 1914 r. mówił kanclerzowi, że „z wojskowego punktu widzenia” nie należy domagać się ani od Francji, ani od Rosji ustępstw terytorialnych, ale jedynie odškodowania wojennego oraz co najwyżej drobnych strategicznych korektur granicznych. Było to chyba najdalej idące ograniczenie celów wojennych Niemiec, z jakim spotkał się kanclerz ze strony wojska.

Sceptycyzm zawsze pewnego siebie, energicznego Falkenhayna nie pozostał bez wpływu na poglądy kanclerza. Bethmann Hollweg uznał również, że gdy spełzła na niczym próba szybkiego powalenia Francji, zwycięstwo militarne nad Koalicją przestało być sprawą możliwą. W umyśle kanclerza rysowały się natomiast widoki pokoju bez wygranej ani jednej ani drugiej strony, ale w wyniku ogólnego obustronnego wyczerpania. „Rezultat wojny - pisał Bethmann Hollweg do podsekretarza stanu w Urzędzie Spraw Zagranicznych Arthura Zimmermanna - ograniczyłby się dla nas zasadniczo do tego, że pokazalibyśmy całemu światu, iż największa nawet Koalicja nieprzyjacielska nie może nas pokonać. Byłaby to okoliczność niepozbawiona skutków pomyślnych dla pokoju i dla dalszego rozwoju, ale naród (niemiecki) uznałby to za niedostateczną nagrodę za tak olbrzymie ofiary”.

Sprawa wszakże zawarcia pokoju odrębnego nie była taka prosta, jak to sobie wyobrażano w sztabie generalnym. Względy polityczne górowały nad militarnymi. Z politycznego punktu widzenia pokój odrębny

z Rosją niósł poważne niebezpieczeństwa przede wszystkim z uwagi na sprzymierzeńców Rzeszy. Część Galicji zajmowały przecież wojska rosyjskie, warunki pokoju nie mogły być dla Austro–Węgier zadowalające, a w takim razie ludy słowiańskie pozostające pod berłem Habsburgów utraciłyby wiarę w siłę monarchii, a także w siłę Niemiec. Byłaby to woda na młyn Rosji, która pokój odrębny przedstawiłaby łatwo jako swe zwycięstwo i nad Austro–Węgrami, i nad Rzeszą, a także z większą niż dotąd mocą podjęłaby „akcję panslawistyczną”. Opór Wiednia i Budapesztu musiałby wówczas być z natury rzeczy słabszy.

Pokój z Rosją odbiłby się niepożądanym echem również w Turcji i zachwiałyby jej zaufaniem do niemieckiego sprzymierzeńca, Niemcy zaś mają na Bliskim Wschodzie poważne interesy gospodarcze. Interesy te wzrosną jeszcze bardziej po wojnie, a Rosja, jeśli nie zostanie pokonana, nadal prowadzić będzie agresywną politykę na Bliskim Wschodzie i przeciwdziałać Niemcom.

Należy więc dalej prowadzić wojnę na froncie wschodnim; zajęcie Królestwa, wyparcie wojsk rosyjskich z Galicji stanowi rękojmię zwycięstwa nad Rosją. Gdyby nie starczyło po temu sił, można by zawrzeć z Rosją tylko taki pokój, jaki zyskałby całkowitą zgodę Austro–Węgier i Turcji. Koniecznym po temu warunkiem jest wszakże zadanie druzgocącego ciosu Serbii, Rosja także po pokoju kompromisowym, który przywracałby *status quo ante bellum*, utraciłaby autorytet

protektorki nie tylko u Słowian bałkańskich, ale także u Rumunów i Greków.

Kampania wschodnia z sierpnia i września 1914 r. wykazała, że Niemcy mieli przewagę nad Rosjanami, Rosjanie zaś górowali nad Austriakami. Nowy, od 14 września, wódz niemiecki Falkenhayn zdecydował się, choć niechętnie, wysłać na front wschodni posiłki, aby wesprzeć słabnące siły sprzymierzeńca. Szef sztabu armii niemieckiej na wschodzie Ludendorff szedł dalej, domagał się potężnego uderzenia, które by załamało Rosję. Falkenhayn zamyslał stosować strategię wyczerpania. Ludendorff strategię powalenia. Falkenhayn zbyt mało brał pod uwagę czynnik polityczny, Ludendorff nie liczył się z nim zupełnie.

### **35. Front wschodni w pierwszych miesiącach 1915 r.**

Z początkiem roku 1915 obie walczące strony - Państwa Centralne i Rosja - przygotowywały wielką ofensywę. Rosjanie planowali dwa uderzenia - jedno miało im oddać Prusy Wschodnie i umożliwić marsz w kierunku Berlina, celem drugiego było sforsowanie Karpat i otwarcie drogi do Budapesztu i Wiednia. Był to plan, jak go nazywali Niemcy, „gigantyczny”.

Generał Daniłow zaprzecza, aby plan taki istniał, gdyż nie pozwalało na to „ciężkie położenie, w jakim znajdowały się nasze armie”. Stwierdza wszakże, iż Niemcy mieli zawsze we właściwym czasie informacje o ruchach wojsk rosyjskich.

Jednocześnie do potężnego ataku zbierali siły Niemcy i Austriacy; Rosjanie dali im się ubiec, gdyż dowództwo rosyjskie uważało, że z powodu niedostatecznego zaopatrzenia armii w sprzęt bojowy, będzie można dopiero w kwietniu podjąć działania zaczepne na szerszą skalę.

22 stycznia 1915 r. rozpoczęła się „ofensywa karpacka”. Niezwykle ciężkie zadanie stanęło przed atakującymi Austriakami, Węgrami i Niemcami. Walki w górach zawsze są trudne, a tym bardziej gdy toczyć je trzeba przy 20 stopniach mrozu.

Generał Conrad ściągnął wszelkie siły, jakimi mógł dysponować; W Bukowinie zorganizował nową armię pod dowództwem generała Karola von Pflanzer-Baltina; prosił jednocześnie Niemców o posiłki; trzy dywizje niemieckie utworzyły Armię Południową (*Sudarmee*), przetransportowano ją w okolice Munkacza (obecnie Mukaczewo), dokąd przybyły jeszcze cztery dywizje austro-węgierskie; komendę objął generał niemiecki Alexander von Linsingen.

22 stycznia 1915 r. wojska Państw Centralnych ruszyły do „ofensywy karpackiej”. 3 Armia austro-węgierska uderzyła w kierunku Przemyśla, armia „południowa” w kierunku Stryja, 7 Armia generała Pflanzer-Baltina nacierała od Bukowiny w kierunku Stanisławowa. Atakujący zdołali osiągnąć szczyty górskie, ale nie zdołali ich przekroczyć. Ofensywa zatrzymała się w połowie lutego. Straty były poważne, mróz i śnieg utrudniały walki, stały na zawadzie ratunkowi

rannych, tysiące walczących zmarło. 3 Armia utraciła blisko połowę żołnierzy.

Po pięciu miesiącach obrony, 22 marca 1915 r., kapitulował Przemyśl.

Powodzenie sprzyjało Austriakom jedynie na prawym skrzydle - generał von Pflantzer-Baltin wyparł Rosjan z Bukowiny i zajął Stanisławów.

Tymczasem Niemcy przygotowali uderzenie w Prusach Wschodnich. Celem było oskrzydlenie i zniszczenie 10 Armii rosyjskiej stojącej nad Jeziorami Mazurskimi. Aby zamaskować atak zamierzony w Prusach, natarli Niemcy 31 stycznia 1915 r. w okolicach Warszawy pod Bolimowem. Po raz pierwszy użyto tu na froncie wschodnim gazów trujących. Efekt był wszakże minimalny, gdyż mróz zniweczył skuteczność działania gazu. O takich właściwościach mrozu dowództwo niemieckie dotychczas nic nie wiedziało.

6 lutego 1915 r. dwie armie niemieckie, 8 i 10, razem 250 tys. żołnierza, gotowe już były do ataku. W skład ich wchodziły cztery korpusy, utworzone dosłownie w ostatnich tygodniach z nadzwyczajnym wysiłkiem i z niemieckim talentem organizacyjnym; dzięki rozwiniętej sieci kolejowej wojsko to szybko i sprawnie przybyło na plac boju do Prus Wschodnich.

7 lutego 1915 r. wszczęli Niemcy ofensywę; rozpoczęła się „zimowa bitwa nad Jeziorami Mazurskimi”.

Warunki atmosferyczne nie sprzyjały walczącym. Panował siarczasty mróz, szalały zawieje śnieżne. 10 a nawet 12 koni zaprzęgano do wozów z amunicją i do



armat. Maszerujące wojsko musiało się przedzierać przez zasy śnieżne lub skorupy lodu.

7 lutego 8 Armia niemiecka ruszyła do ataku okrążającego lewe skrzydło rosyjskie. Na drugi dzień, 8 lutego, natarła 10 Armia niemiecka i otaczając prawe skrzydło rosyjskie dotarła na wschód od Suwałk. Opór Rosjan był silny, ale pomimo to większa część wojsk rosyjskich lewego skrzydła, otoczona w Puszczy Augustowskiej kapitulowała. 27 lutego ofensywa niemiecka w Prusach Wschodnich została zakończona. Niemcy wzięli blisko 100 tys. jeńców, w ręce niemieckie wpadły znaczne ilości broni i żywności. Niemiecka propaganda wojenna nadała „bitwie zimowej nad Jeziorami” wielki rozgłos, porównywano ją ze zwycięstwem pod Tannenbergiem, ba - z Sedanem. W gruncie rzeczy ofensywa lutowa osiągnęła cel tylko połowicznie. Powiodło się Niemcom wyprzeć Rosjan z Prus Wschodnich, nie zdołali wszakże jeszcze zapewnić sobie zdecydowanej przewagi na froncie wschodnim.

### **36. Dardanele**

19 lutego 1915 r. o godzinie 9 minut 50 rano na zewnętrzne forty tureckie broniące Dardaneli padły bomby angielskie i francuskie.

Wiele przyczyn spowodowało atak na Dardanele. Stagnacja, jaka zapanowała na froncie zachodnim, skłaniała kierownictwo polityczne i wojskowe państw Koalicji do wynalezienia metod prowadzenia „nowej wojny”, czyli szukania dróg wyjścia z ciężkiej, beznadziejnej wydawało się sytuacji. Pojawił się pogląd, że

skoro nie ma szans sukcesu uderzenia w głównego przeciwnika, na głównym terenie walki, ugodzić należy w przeciwnika słabszego, w słabszym punkcie oporu. Ale daleko było do uzyskania jednomyślności.

Wódz francuski Joffre, uczeń Napoleona i czytelnik Clausewitza, był zdania, że tylko we Francji, na froncie zachodnim w walce z najsilniejszym przeciwnikiem można było znaleźć rozstrzygnięcie; był optymistą, 9 stycznia 1915 r. na śniadaniu z członkami rządu u prezydenta Poincarégo przeciwstawił się myśli wysyłania wojsk francuskich poza Francję, np. na Bałkany, dla działań przeciwko Austrii, jak to proponował Briand, i osłabienia w ten sposób armii na najważniejszym terenie wojny. „Jestem przekonany - mówił - że będziemy mogli przełamać linie niemieckie w dobrze wybranym punkcie”.

Ale Joffre w swych poglądach był raczej odosobniony. Innego zupełnie zdania byli Anglicy, a także i w niektórych francuskich kołach kierowniczych dominował pogląd, że wojna pozycyjna nie rokowała możliwości szybkiego zwycięstwa, a pokonać Niemcy należało przed możliwym załamaniem Rosji. Szukano więc gorączkowo dróg wyjścia z zastoju, dojrzano je w uderzeniach flankowych, w podjęciu operacji militarno-politycznych, na lądzie czy na morzu, na skrzydłach.

Na lądzie sprawy kształtowały się dla Koalicji niepomyślnie, na morzu odwrotnie. Flota brytyjska od zwycięskiej bitwy u Falklandów w dniu 8 grudnia 1914 r. panowała nad morzami, mogła więc zapewnić połą-

czenie z Francją, to zaś pozwalało flocie francuskiej skoncentrować się na Morzu Śródziemnym i zabezpieczyć komunikację z Afryką Północną. Flota niemiecka pozostawała w portach macierzystych, akcja łodziami podwodnymi daleka była od groźnego znaczenia, jakiego nabrać miała później.

Rysowały się trzy możliwości uderzenia flankowego: jedno północne w rejonie Morza Bałtyckiego i Morza Północnego oraz dwa południowe: na Morzu Adriatyckim przeciwko Austrii i na Morzu Egejskim przeciwko Turcji.

„Operacja bałtycka” zapewniała największe może korzyści, ale była zarazem najbardziej niebezpieczna i ryzykowna.

Na skrzydle północnym zarówno państwa skandynawskie, jak i Holandia pozostawały pod wrażeniem potęgi niemieckiej i licznymi węzłami powiązane były z Rzeszą; zdawano tam sobie wszakże sprawę, że zwycięstwo niemieckie zrobi z nich wasali Berlina. Norwegia i Szwecja żywiły również obawy przed Rosją. W „operacji północnej” dwa państwa mogły odegrać największą rolę - Holandia i Dania. Armia holenderska była czynnikiem, z którym należało się liczyć, wyspy holenderskie tworzyły punkty strategiczne o kapitalnym dla brytyjskiej floty wojennej znaczeniu. Dania - wrota do Morza Bałtyckiego - w rzeczywistości bezbronna, a przez wąskie cieśniny - Wielki Bełt pomiędzy duńskimi wyspami Zelandią i Fionią oraz Sund pomiędzy Zelandią i Szwecją - wiodła droga na Morze Bałtyckie. Gdyby flota brytyjska zdołała wpłynąć na Bał-

tyk, nawiązano by kontakt z Rosją, otwarłaby się możliwość zaopatrywania jej w sprzęt bojowy, a północne Niemcy zostałyby wystawione na stałe niebezpieczeństwo inwazji brytyjsko–rosyjskiej. Ale w takim razie należało Danię z góry zabezpieczyć przed inwazją niemiecką, to zaś nie było sprawą ani prostą, ani łatwą.

Chociaż myśl ataku na Niemcy przez Morze Bałtyckie kiełkowała w admiralicji brytyjskiej już od roku 1905, chociaż wydawało się, że obecnie sojusz z Rosją powiększył możliwości powodzenia, ryzyko uznano za zbyt duże i planu „operacji bałtyckiej” poniechano.

Pozostawały uderzenia południowe. Zdawały się one także zapowiadać poważne zyski, gdyż mogły wpłynąć na czynne opowiedzenie się po stronie Koalicji trzech neutralnych dotąd państw bałkańskich - Grecji, Bułgarii i Rumunii; każde z nich miało ambicje podbojów terytorialnych. Grecja i Bułgaria zagroziłyby poważnie Turcji, Rumunia swym wystąpieniem osłabiłaby Austro–Węgry. Nie brano wszakże pod uwagę konfliktu grecko–bułgarskiego, ani głębokiej nieufności, jaka dzieliła te państwa .

Minister skarbu David Lloyd George opowiadał się na Radzie Wojennej za atakiem na Austro–Węgry; uderzenie mogło być skierowane bądź przez Saloniki, bądź też wprost na wybrzeża Dalmacji. Operację tę projektował dokonać „współ z Serbami, Rumunami i Grekami”. Wyobrażał sobie, że Rumuni i Grecy będą około mogli rzucić około pół miliona żołnierza. Lloyd George liczył, że do kwietnia Wielka Brytania będzie mogła wysłać na front bałkański armię 600–tysięczną. W re-

zultacie albo Niemcy zostaną zmuszone do wysłania poważnych sił z pomocą sprzymierzeńcowi, a to znacznie osłabi je na innych frontach, albo Austria poniesie druzgocącą klęskę, Niemcy zaś będą musiały bronić się osamotnione. Minister skarbu doradzał jednocześnie ekspedycję do Syrii, aby wziąć w dwa ognie armię turecką przygotowującą się do ataku na Suez.

Uderzenie na Turcję, na Konstantynopol, miało za sobą silniejsze bodaj argumenty opowiadał się za nim już w listopadzie 1914 r. pierwszy lord admiralicji Winston Churchill. W dniu 29 grudnia 1914 r. pułkownik Maurice Hankey wręczył pierwszemu ministrowi Asquithowi memoriał, w którym wskazywał, że dopóki nie zostanie wynaleziona nowa metoda przełamania okopów, chronionych liniami drutu kolczastego, wojna we Francji pozostawać będzie na martwym punkcie, rozstrzygnięcia szukać więc należy gdzie indziej. Niemcy trzeba ugodzić poprzez ich sprzymierzeńców, zwłaszcza poprzez Turcję. Zdobycie Konstantynopola otworzy drogę do Rosji, pozwoli zaopatrywać ją w potrzebną jej amunicję, a w zamian sprowadzać z Ukrainy pszenicę. Należy - twierdził Hankey - pokazać Niemcom i całemu światu, że każde państwo, które wiąże się z Niemcami przeciwko „największej potędze morskiej”, ściąga na siebie katastrofę.

Wielka Brytania, nie osłabiając swej pozycji militarnej na froncie francuskim, mogłaby trzy korpusy armii przeznaczyć do działań w Turcji. Siły te wsparte przez Bułgarów i Greków będą dość wielkie, aby móc zdobyć Konstantynopol. Jeśliby jednocześnie Rosja

uderzeniem wspólnym z Serbią i Rumunią wdarła się na Węgry, monarchia podwójna poniosłaby zupełną klęskę.

Trudność wszakże wynikała stąd, że brak było wojska, które można by skierować do Turcji. We Francji znajdowało się 300 tys. żołnierzy angielskich, ale wszelkie osłabienie brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego wywołałoby gwałtowne protesty zarówno Sir Johna Frencha, jak i rządu i dowództwa francuskiego. A z tym trzeba było się liczyć.

W tym stanie rzeczy rozpoczęto przygotowania do ekspedycji morskiej skierowanej przeciwko Dardanelom. Głównym jej rzecznikiem był Churchill; pierwszy lord admiralicji na poparcie swych planów i dążeń uzyskał pozytywną opinię komendanta eskadry floty brytyjskiej we wschodniej części Morza Śródziemnego admirała Cardena. Admirał był zdania, że atak na Dardanele rokuje szansę powodzenia, jeśli weźmie w nim udział „wielka ilość okrętów”. 28 stycznia 1915 r. Rada Wojenna zarządziła „ekspedycję morską... dla zbombardowania półwyspu Gallipoli (Gelibolu) z Konstantynopolem jako celem ostatecznym”. Flotę miały wspierać dwie dywizje brytyjskie i dwie francuskie, ponieważ Joffre nie pozwolił na wycofanie z frontu ani jednego żołnierza, skompletowano je spośród pełniących służbę tyłową.

Rachuby na udział Greków zawodziły, gdyż rząd grecki stawiał warunki niemożliwe na razie do osiągnięcia - wystąpienie Bułgarii lub Rumunii. Sir Edward Grey zamyślał wspólną brytyjsko–francuską *démarche*

w Bukareszcie, aby skłonić Rumunię do czynnego opowiedzenia się po stronie Koalicji. Sprzeciwił się wszakże temu Delcassé w przekonaniu, że zabiegi o pozyskanie państw bałkańskich będą mogły mieć widoki powodzenia dopiero po podjęciu akcji w Dardanelach. Tymczasem 9 lutego 1915 r. nadeszła do Londynu wiadomość, że Bułgaria uzyskała pożyczkę od Niemiec, znaczyło to, że według wszelkiego prawdopodobieństwa Bułgaria stanie w bliskiej przyszłości po stronie Państw Centralnych, a w takim razie udzielenie szybkiej pomocy Serbii byłoby konieczne.

Zdaniem Churchilla wojska lądowe miały odegrać jedynie rolę pomocniczą, „zbierać owoce” zwycięstwa marynarki, opanować półwysep Gallipoli (Gelibolu), „gdy będzie on ewakuowany i zająć Konstantynopol, jeśli wybuchnie tam rewolucja”. Anglicy spodziewali się, że jeśli okręty brytyjskie wpłyną na wody Dardaneli, wojska tureckie w Gallipoli zostaną odcięte od stolicy i skazane na kapitulację lub beznadziejną walkę obronną. Uważano też, że w Konstantynopolu albo zostanie dokonany zamach stanu, albo zapanuje tam powszechne zamieszanie, *sauve qui peut*.

19 lutego 1915 r. eskadra admirała Cardena rozpoczęła bombardowanie fortów - na półwyspie i u wybrzeży Azji Mniejszej, które broniły wejścia do Dardaneli.

„Walka o posiadanie Dardaneli - pisał Józef Pomiankowski - należy do najbardziej interesujących i najbardziej charakterystycznych wydarzeń (pierwszej) wojny światowej, a nawet historii wojen wszystkich

czasów. Zarówno próba sforsowania Cieśnin wyłącznie przez flotę, a tym samym walka floty przeciwko fortyfikacjom lądowym i armii lądowej, jak i późniejsza wielka operacja desantowa i współdziałanie w ataku sił morskich i lądowych to przedsięwzięcie wyjątkowe, jakich w takiej skali bodaj nigdy jeszcze nie podejmowano”.

Dardanele - Hellespont starożytnych - to cieśnina, która łączy Morze Egejskie z morzem Marmara, długości 60 kilometrów, szerokości przeciętnie czterech, w najwęższym miejscu pomiędzy Çanakkale i Kilitbahir około 1 kilometra. Okręty mogą podpływać blisko do brzegu zachodniego, urwistego, gdy u wschodniego występują mielizny. Dardaneli broniły forty o konstrukcji przestarzałej i armaty Kruppa, modele z lat 1885–1900. Turcy, przestrzeżeni zawczasu, zgromadzili znaczne siły; przybyli też liczni oficerowie niemieccy; faktyczne dowództwo obrony Cieśnin sprawował admirał Guido von Usedom, flotą dowodził kontradmirał Wilhelm Souchon.

Flotę brytyjsko–francuską przeznaczoną do ataku na Dardanele tworzyło 17 okrętów liniowych (w tym 4 francuskie), jeden krążownik liniowy, 5 krążowników lekkich, 22 kontrtorpedowce, 9 łodzi podwodnych, 24 trałowce; przyplłynął też krążownik „Askold”, należący do eskadry dalekowschodniej. Za zgodą greckiego premiera Venizelosa Anglicy i Francuzi utworzyli swe bazy na greckich wyspach Limnos i Tenedos (obecnie Bozca). Dowodził wiceadmirał G. H. Garden, zastępcą jego był kontradmirał J. M. De Robeck.



Rankiem 19 lutego 1915 r. flota brytyjsko-francuska zbliżyła się do Dardaneli i otworzyła ogień na przybrzeżne forty w Kumkale i Seddülbahir; walka przy niewielkim oporze Turków, zmuszonych do oszczędzania amunicji, trwała do zmroku, ale rezultaty przyniosła tylko nikłe.

Z uwagi na niesprzyjającą przez kilka dni pogodę następny atak przypuszczono 25 lutego. Tym razem zdołano zniszczyć forty wejściowe, Turcy wszakże utrzymywali w swym posiadaniu brzegi. Podobnie i następne ataki w dniach 1, 5, 7 i 8 marca wyrządziły poważne szkody w fortyfikacji Cieśnin, ale nie doprowadziły do ich zajęcia.

Stawało się sprawą coraz bardziej wiadomą, że sforsowanie Cieśnin bez użycia wojsk lądowych nie będzie możliwe. Operacja wojskowa wiązała się coraz bardziej z polityką.

Z Londynu poszły więc zachęty do Aten, aby Grecy nie poniechali sposobności, która może się już nigdy więcej nie powtórzyć i wzięli udział w zdobyciu Konstantynopola. Namowy te natrafiały na grunt podatny, 1 marca 1915 r. szef rządu greckiego Eleutherios Venizelos, który już w sierpniu 1914 r. oddawał armię grecką do dyspozycji rządowi brytyjskiemu, zapowiedział przystąpienie Grecji do wojny i wyraził gotowość wysłania w najbliższym czasie trzech greckich dywizji na półwysep Gallipoli. Lecz natychmiast z opozycją wystąpiła Rosja. 2 marca ambasadorowie rosyjscy w Paryżu i w Londynie oraz poseł w Atenach złożyli rządowi francuskiemu, brytyjskiemu i greckiemu oświadczenie,

że Rosja „w żadnym wypadku” nie pozwoli, aby wojska greckie wzięły udział w ataku Sprzymierzonych na Konstantynopol. Rząd carski obawiał się, że Grecy mogą domagać się przyłączenia dawnego Bizancjum do Wielkiej Grecji. Weto rosyjskie przesądziło sprawę. 6 marca 1915 r. król Konstantyn udzielił Venizelosowi dymisji. Następnego dnia, 7 marca, na czele rządu greckiego stanął Demetrios Gunaris, zwolennik innej, proniemieckiej polityki.

Sprawa ta ma szersze znaczenie i wymaga wyjaśnienia. Wiązała się ona ściśle ze stosunkiem Rosji do Cieśnin i do Konstantynopola, z jej dawnymi sięgającymi jeszcze XVIII w. dążeniami do zawładnięcia wyjściem z Morza Czarnego.

Myśl rosyjskiego ataku na Cieśniny rozważano w Rosji w grudniu 1914 r. W rezultacie narad uznano, że ekspedycja taka nie miała widoków powodzenia. Turcy nie zostaliby zaskoczeni, do odparcia inwazji byli przygotowani, a niesprzyjające warunki transportowe nie pozwoliłyby Rosjanom uderzyć wystarczającą siłą od ośmiu do dziesięciu korpusów armii. Wniosek był pesymistyczny - „sami żadną miarą nie możemy zdobyć Cieśnin”.

Nie bez związku zapewne z powyższymi rozważaniami wielki książę Mikołaj Mikołajewicz zwrócił się 30 grudnia 1914 r. do Lorda Kitchenera z prośbą o „demonstrację”, która odciągnęłaby część sił tureckich z Kaukazu, gdzie Rosjanie znajdowali się przejściowo w trudnej sytuacji. Kitchener był zdania, że je-

dynym miejscem, gdzie demonstracje „osiągnęłyby pożądaną efekt były Dardanele”.

Nie jest pozbawiona pikanterii okoliczność, że życzenie rosyjskiego naczelnego wodza było spóźnione, było już nieaktualne, na przełomie bowiem grudnia i stycznia Rosjanie całkowicie opanowali sytuację na Kaukazie. Ale apel wielkiego księcia szedł Anglikom na rękę. W Londynie drogę wyjścia z zastoju upatrywano coraz bardziej w ataku na Turcję. Sądzone, że zajęcie Konstantynopola i Cieśnin skłoni trzy państwa bałkańskie - Grecję, Bułgarię i Rumunię - do opowiedzenia się po stronie Koalicji i - co ważniejsze - umocni pozycję Wielkiej Brytanii na Bliskim Wschodzie, przede wszystkim w Egipcie.

Pomiędzy Londynem a Piotrogirodem rozpoczęła się gra podwójna. 13 listopada 1914 r. król Jerzy V powiedział mile tym zaskoczonym ambasadorowi rosyjskiemu Benckendorffowi, że Konstantynopol powinien należeć do Rosji.

Nazajutrz zaś, 14 listopada ambasador brytyjski w Piotrogradzie Buchanan, w obecności swego francuskiego kolegi Paléologue'a, uroczystym tonem oświadczył Sazonowowi, że rząd Jego Królewskiej Mości stwierdza, iż kwestia Cieśnin i Konstantynopola musi być rozstrzygnięta zgodnie z życzeniem Rosji. 18 listopada Buchanan oznajmił rządowi rosyjskiemu, iż Wielka Brytania zamierza anektować Egipt. Tego samego dnia Paléologue z naiwnym entuzjazmem zapisał w swym dzienniku: „Przed czterema dniami Anglia podarowała Konstantynopol Rosji. Dziś Rosja darowuje

Egipt Anglii. Realizuje się w ten sposób po sześćdzięsięciu i jeden latach program, który w styczniu 1853 r. car Mikołaj I przedstawił ambasadorowi angielskiemu Sir Hamiltonowi Seymourowi; wynikła stąd wojna krymska”.

Pomimo woli nasuwa się tu przypomnienie, jak to pan Zagłoba ofiarował królowi szwedzkiemu Niderlandy.

Deklaracje te były na razie tajne, ale stanowiły dogodny punkt wyjścia dla dalszej akcji Piotrogradu.

A dyplomacja rosyjska prowadziła grę zręcznie. Początkowo oddzielano sprawę Konstantynopola od sprawy Cieśnin. Cieśniny to niezbędna dla Rosji droga handlowa, dla bezpieczeństwa tej drogi Rosja powinna dostać w pełne suwerenne władanie oba brzegi Bosforu w takiej szerokości, jaka jest potrzebna do wybudowania umocnień morskich, i lądowych, oraz Wyspy Książęce, Ćmbros, Tenedos i półwysep Gallipoli. Konstantynopol zaś powinien zostać neutralizowanym wolnym miastem pod zarządem międzynarodowym. W tym sensie - jak widzieliśmy - Mikołaj II tłumaczył swe zamiary Paléologue'owi.

Wkrótce wszakże rząd carski odsłonił przyłbicę. Przyspieszyła ten fakt aktywność brytyjska na Bliskim Wschodzie. 5 listopada 1914 r. Wielka Brytania anektowała Cypr. 18 grudnia ogłosiła protektorat nad Egiptem, 19 lutego 1915 r. flota brytyjska i francuska zaatakowała Dardanele. Taki bieg wypadków niósł dla Rosji niebezpieczeństwa - protektorat brytyjski nad Egiptem,

Anglicy w Konstantynopolu, Rosja mogła wyjść z wojny z pustymi rękami.

Należało zająć stanowisko wyraźne i pokazać sprzymierzeńcom, że Rosja nie zadowoli się już umiędzynarodowieniem Konstantynopola. Zwrot w polityce uzasadniono dość zręcznie. Oto cały naród rosyjski domaga się aneksji Konstantynopola i nie zadowoli się rozwiązaniem połowicznym. Tak postawił sprawę 1 marca 1915 r. minister spraw zagranicznych Sazonow w rozmowie z ambasadorami Francji i Wielkiej Brytanii, a w dwa dni później, 3 marca, car oświadczył Paléologue'owi: „Kwestia Cieśnin w najwyższym stopniu pasjonuje rosyjską opinię publiczną. Jest to prąd coraz potężniejszy. Nie mam prawa narzucać memu narodowi straszliwych ofiar, które niesie z sobą obecna wojna, jeśli w zamian nie dam mu urzeczywistnienia jego stuletnich marzeń. (...) Powziąłem decyzję. Miasto Konstantynopol i południowa Tracja muszą być wcielone do mego imperium”.

4 marca 1915 r. minister spraw zagranicznych Rosji wystosował do ambasadorów Francji i Wielkiej Brytanii w Piotrogradzie noty z wyraźnym określeniem rosyjskich celów wojennych na Bliskim Wschodzie. Sazonow stwierdzał, że z rosyjskiego punktu widzenia każde rozwiązanie uznać należy za niedostateczne, jeśli do imperium carów nie zostanie włączony Konstantynopol, „nie zostaną przyłączone zachodnie brzegi Bosforu, morza Marmara i Dardaneli, południowa Tracja do linii Enos–Midye. Ze względów strategicznych Rosja musi anektować również zachodnie części wybrzeża

azjatyckiego pomiędzy Bosforem, rzeką Sakarya a punktem, który się oznaczy w zatoce izmit, dalej wyspy na morzu Marmara, wreszcie wyspy Ęmbros (obecnie Ęmroz) i Tenedos (obecnie Bozca).

Rosja była konsekwentna, od lat stu z górá dążyła do aneksji Konstantynopola i Cieśnin, ujrzała teraz możliwość zrealizowania tych dążeń. Wielka Brytania natomiast znalazła się w sytuacji trudnej, polityka brytyjska bowiem od dawna krzyżowała dążenia Rosji na Bliskim Wschodzie. Tak było czasu wojny krymskiej, tak było gdy polityką Londynu kierował Disraeli. Lecz w wieku XX sytuacja uległa zmianie. Turcja dostała się pod decydujący wpływ niemiecki i nie szukała już oparcia nad Tamizą. Rosja nie była przeciwnikiem, była sprzymierzeńcem. Należało więc przyjąć postulaty Piotrogradu, zwłaszcza że pozycję Wielkiej Brytanii na Bliskim Wschodzie uznać można było za dostatecznie umocnioną; ponadto wszystko zdawało się wskazywać, że wojna odda Konstantynopol w ręce angielskie, nie zaś rosyjskie. A więc, po zwycięstwie, gdy sprzymierzeniec rosyjski nie będzie już potrzebny, można będzie wrócić jeszcze do kwestii Konstantynopola i do uregulowania jego losów. Na tok rozumowania polityków brytyjskich wpływały jeszcze obawy przed wycofaniem się Rosji z Koalicji i przed zawarciem przez rząd carski pokoju odrębnego z Niemcami.

10 marca 1915 r. sprawa postulatów rosyjskich stanęła na porządku dziennym obrad gabinetu londyńskiego. Kwestię tę uznano za tak ważną, że pierwszy minister zaprosił na posiedzenie przywódców opozycji

konserwatywnej Lorda Henry Lansdowne'a i Andrew Bonar Lawa. Gabinet opowiedział się za uwzględnieniem żądań rosyjskich. 12 marca 1915 r. ambasador Buchanan zawiadomił Sazonowa, że rząd Jego Królewskiej Mości przyjął postulaty rosyjskie w sprawie Konstantynopola pod warunkiem, że w wyniku zwycięskiej wojny spełnione zostaną również dezyderaty Francji i Wielkiej Brytanii. Tego samego dnia opublikowano treść deklaracji.

Rzecz szczególna, że znacznie więcej trudności napotkali Rosjanie w zaprzyjaźnionym od dawna Paryżu niż u nowego sojusznika w Londynie. Rzecz tym bardziej szczególna, że na *Quai d'Orsay* zasiadał znany ze swego rusofilstwa Delcassé, którego Anglicy nazywali Delcassoff.

Francja miała w Turcji rozliczne interesy gospodarcze, koncesje w różnych częściach Turcji azjatyckiej, zwłaszcza w Syrii, miała też na Syrię zakusy, ustaliła niemałe wpływy kulturalne w państwie Osmanów (misje katolickie i szkoły). Było sprawą oczywistą, że swoje wpływy i interesy pragnęła Francja umocnić i rozszerzyć, pragnęła również zawładnąć Syrią. Do realizacji tych planów trzeba było czasu. Stąd niechęć do zaciągania zobowiązań w nieregularnej jeszcze i niepewnej sytuacji. Ponadto obawiano się w Paryżu, że Rosja zawładnąwszy Konstantynopolem zdobędzie decydującą pozycję na Bliskim Wschodzie i nie będzie się dostatecznie liczyła z interesami sojuszniczki. Zapewne wchodził tu w grę jeden jeszcze wzgląd niepośledniej wagi i inaczej kształtował stanowisko Paryża, inaczej

Londynu. Oto Anglicy widzieli w Rosji nie tylko niedawnego, ale i przyszłego - może już w niezbyt odległym czasie - przeciwnika; składali więc zobowiązania z ukrytym zastrzeżeniem, że w zmienionych warunkach nie będą nimi skrepowani. Francuzi natomiast przeciwnie upatrywali w Rosji nie tylko dotychczasowego, ale i przyszłego wartościowego sprzymierzeńca; zobowiązania więc względem Rosji traktowali poważnie bez utajonych myśli.

Ostatecznie rząd francuski ustąpił pod naciskiem konieczności wojennych i 12 kwietnia 1915 r. wyraził zgodę na postulaty rosyjskie pod warunkiem, że państwa sprzymierzone prowadzić będą wojnę do zwycięstwa, że interesy Francji zostaną w pełni zabezpieczone, że Rosja zagwarantuje po wsze czasy pełną swobodę przejazdu przez Cieśniny.

Ale wróćmy do działań wojennych. 18 marca 1915 r. na umocnienia tureckie nastąpił nowy atak floty brytyjsko-francuskiej, złożonej z dziesięciu okrętów liniowych wspomaganych przez mniejsze jednostki. Walka zakończyła się porażką atakujących; zatoneły trzy okręty liniowe, trzy inne zostały poważnie uszkodzone. Straty nie były wynikiem kanonady artyleryjskiej z fortów przybrzeżnych, ale wynikiem działania min podwodnych. Wzbudziło to wątpliwości admiralacji brytyjskiej. Wiceadmirał De Robeck, który objął dowództwo po admirale Gardenie, 22 marca 1915 r. po pewnych wahaniach doszedł do wniosku, że zdobycie Cieśnin wyłącznie siłami morskimi jest sprawą niemoż-



liwą, że należało wprowadzić do boju wojska lądowe. Oznaczało to opóźnienie akcji co najmniej o miesiąc.

A jednak Koalicja mogła zapisać na swym koncie i plusy rozpoczętej tak niefortunnie ekspedycji dardanelskiej. Generał Paget, komendant misji brytyjskiej w Sofii, telegrafował 17 marca do Lorda Kitchenera, że „operacja w Dardanelach wywarła (na Bułgarach) głębokie wrażenie, że zniknęło niebezpieczeństwo ataku bułgarskiego na państwa bałkańskie sprzyjające Koalicji (chodziło o Serbię), że co więcej istniały powody do przypuszczenia, iż armia bułgarska w niedługim już czasie weźmie udział w operacji dardanelskiej przeciwko Turcji”.

Nie było to chyba rozumowanie wishful thinking. Powodzenie Anglików i Francuzów w Cieśninach zapobiegłoby niechybnie wystąpieniu Bułgarii po stronie Państw Centralnych.

Podobnie i Grecy parli do ataku na Cieśniny. Jak pamiętamy, nie doszło to do skutku jedynie z powodu sprzeciwu Rosji.

Panika opanowała Turków, panice ulegli bodaj i Niemcy i Austriacy w Konstantynopolu. Ambasador von Wangenheim uważał sforsowanie Cieśnin przez siły brytyjsko–francuskie nie tylko za możliwe, ale wręcz nieuniknione. Poczyniono przygotowania do ewakuacji dworu sułtańskiego, urzędów, korpusu dyplomatycznego.

Po dotychczasowych przykrych doświadczeniach, w Londynie górę wziął pogląd, że udział - i to wydatny - w zdobyciu Cieśnin muszą mieć wojska lądowe. Do

akcji tej obok 29 Dywizji brytyjskiej i dywizji francuskiej przeznaczono wojska australijskie i nowozelandzkie (*Australian and New Zealand Army Corps* zwane w skrócie ANZAC). Przeszło 80 tys. ludzi i 180 dział tworzyło korpus ekspedycyjny. Dowództwo sprawował brytyjski generał Sir Ian Hamilton. Cieśnin broniły trzy dywizje tureckie na zachodnim i dwie na wschodnim brzegu. Dowodził Otto Liman von Sanders, pruski generał kawalerii i turecki marszałek. Sztab tworzyli oficerowie tureccy. Liman von Sanders nie był nastrojony optymistycznie, uważał bowiem, że gdyby jednocześnie z atakującymi od południa półwysep Gallipoli Anglikami i Francuzami od północy ruszyli do ataku na Bosfor Rosjanie klęska turecka byłaby nieunikniona. Obejmując dowództwo obrony Cieśnin Liman miał powiedzieć: „Gdybyż Anglicy podarowali mi osiem dni”. Podarowali mu cztery tygodnie.

Te cztery tygodnie pozwoliły na umocnienie fortyfikacji i sprowadzenie posiłków. Główne siły obronne skoncentrował Liman nad zatoką Besika w Azji Mniejszej i od strony europejskiej na półwyspie Gallipoli w okolicach Achi–Baba i Krithia (obecnie Kirte) oraz na północy w najwęższym miejscu półwyspu około Bolaryi (obecnie Bulair). Podstawą planu obrony było zapewnienie możliwości szybkiego przerzucenia wojska. W tym celu Liman nakazał poprawę dróg i ich rozbudowę.

Plan Hamiltona zmierzał do otwarcia flocie brytyjsko–francuskiej drogi przez Cieśniny; temu zadaniu służyć miała armia lądowa.

25 kwietnia 1915 r. wojska brytyjskie wylądowały w dwóch miejscach - Anglicy około Seddülbahir na południu, a Australijczycy i Nowozelandczycy koło Arburnu. Francuzi natomiast atakowali na wybrzeżu azjatyckim pod Kumkale.

Rozgorzały zaciekle walki. Wojska brytyjskie i francuskie nie zdołały opanować wybrzeży Dardaneli, Turcy nie byli w stanie wyprzeć najeźdźców z pozycji opanowanych w początku działań.

Tymczasem wojska ekspedycyjne otrzymały posiłki i generał Hamilton uderzył 6 sierpnia znacznymi siłami w zatoce Suvla. Wywiązała się krwawa bitwa pod Anafarta, najkrwawsza z walk o Dardanele. Turkami dowodził pułkownik Mustafa Kemal Bey. Po trzech tygodniach ciężkich bojów, w dniu 27 sierpnia otrzymawszy znaczne posiłki, powstrzymał ostatecznie napór przeciwnika. Dalsze działania nabrały charakteru walk pozycyjnych. Los ekspedycji dardaneelskiej został przesądzony, zwłaszcza że i próby floty wpłynięcia na wody Dardaneli spełzły na niczym. Miny, ogień baterii nadbrzeżnych i wreszcie łodzie podwodne zadały flocie brytyjsko-francuskiej ciężkie straty i okazały się skuteczną zaporą. W listopadzie 1915 r. Lord Kitchener przeprowadził inspekcję lokalną i doszedł do wniosku, że Dardaneli nie da się sforsować.

W styczniu 1916 r. floty brytyjska i francuska odpłynęły z wód okalających półwysep Gallipoli.

Być może, jak twierdził Winston Churchill, ekspedycja miała szansę sukcesu, unicestwiły je wszakże

błędy popełnione przez lądowe i morskie dowództwo brytyjskie i zbyt powolność w działaniu.

Walki w Dardanelach stanowią niemałej wagi wydarzenie w dziejach wojny. Przez wiele miesięcy Turcy wiązali kilkuset tysięcy armię brytyjsko–francuską i osłabiali tą drogą siły Koalicji na froncie zachodnim. Odparcie ataku brytyjsko–francuskiego nie pozwoliło na realizację planu Koalicji, a więc na nawiązanie bezpośredniego połączenia z Rosją, na skłonienie trzech neutralnych dotąd państw bałkańskich Grecji, Bułgarii i Rumunii do wystąpienia przeciwko Państwom Centralnym i wreszcie na oskrzydlenie Austro–Węgier. Niepowodzenie w Cieśninach zadało cios autorytetowi, zwłaszcza Wielkiej Brytanii.

### **37. Saloniki**

Udział Turcji w wojnie obok stron dla Koalicji ujemnych (dywersja nad Kanałem Sueskim przeciwko Wielkiej Brytanii, dywersja czarnomorsko–kaukaska przeciwko Rosji) miał i strony dodatnie, mógł w pewnych warunkach przyczynić się do zjednoczenia państw bałkańskich i ich opowiedzenia się przeciwko Państwom Centralnym. Niemal wszystkie ambicje i dążenia państw bałkańskich można było znakomicie zaspokoić kosztem Austro–Węgier i Turcji. Zjednoczone Bałkany w obozie Koalicji oznaczały szybką klęskę Turcji, przyspieszenie przegranej Austro–Węgier, a w następstwie zagrożenie Niemiec z trzeciej strony – od południa. Wymagało to oczywiście wielkiego wysiłku ze strony Londynu, Paryża i Piotrogradu, wysiłku

politycznego i finansowego, wymagało trudnych rokowań o rekompensaty, ale zapowiadało poważne korzyści.

Z końcem 1914 r. Briand z zapałem szkicował program bałkański: „Ufortyfikujemy się na froncie francuskim i będziemy czuwali za żelaznymi drutami. A tam (tj. na Bałkanach) będziemy mieli swobodę ruchów, zmusimy Grecję; Bułgarię i Rumunię, aby maszerowały z nami, Serbia podniesie Słowian starego Franciszka Józefa... Czechy są z nami (...) Mamy Dunaj i Budapeszt (...) do Wiednia droga otwarta (...) Wówczas Włochy wyciągną do nas ręce i pójdziemy razem zaatakować Boszów od tyłu”.

Planom bałkańskim przeciwstawił się wódz naczelny. Joffre uważał, że nie wolno mu osłabiać frontu francuskiego, zwłaszcza że armia niemiecka wzmocniła się o 24 pułki, a to pozwala przewidywać ofensywę. Był również zdania, że korpus ekspedycyjny skierowany na Bałkany, który by wylądował w Salonikach, byłby zdany na całkowite zaopatrzenie z Francji. Tego zdania był i wódz angielski Sir John French.

Gorącym zwolennikiem ekspedycji bałkańskiej okazał się brytyjski minister skarbu, ruchliwy Lloyd George. 2 i 3 lutego 1915 r. bawił on w Paryżu, konferował z prezydentem Poincaré, z ministrami francuskimi, orędownął za wysłaniem na Bałkany korpusu ekspedycyjnego francusko–brytyjskiego. Zarazem był zdania, że Rosjanie powinni obsadzić Macedonię, aby odzielić Bułgarów od Serbów i nie dopuścić do starcia pomiędzy nimi. Lloyd George i Briand dużo obiecywali

sobie po takiej ekspedycji - wystąpienie Rumunii, Bułgarii i Grecji przeciwko Państwom Centralnym. Bałkany w rękach Koalicji to śmiertelny cios dla Turcji, a groźny dla Austro-Węgier.

Sprawa nie była wszakże taka prosta. Wprawdzie w 1912 r. państwa bałkańskie zjednoczyły się dla wspólnej wojny przeciwko Turcji, ale już w 1913 r. podział zdobyczy wywołał ostry konflikt pomiędzy zwycięskimi sprzymierzeńcami i drugą wojnę bałkańską. Stąd wroga nieufność i trudności porozumienia.

Grecja mogła odegrać czynną rolę w zmaganiach na Bliskim Wschodzie. Wiemy już, że w Paryżu i w Londynie myślano o użyciu wojsk greckich w walkach o Cieśniny i że sprzeciwiła się temu Rosja. Myślano również o uzyskaniu pomocy greckiej dla Serbii, ale jej uzyskanie nie było łatwe.

Udział Grecji w wojnie wiązał się z rozwojem stosunków wewnętrznych w państwie. Od 18 marca 1913 r. zasiadał na tronie greckim król Konstantyn I, ożeniony z Zofią siostrą Wilhelma II. Wykształcenie wojskowe odebrał Konstantyn w Niemczech i pozostawał pod urokiem potęgi militarnej Niemiec. „Król i sztab generalny - pisał rosyjski poseł w Atenach Elim Demidow - bardziej niż kiedykolwiek są przeświadczeni o zwycięstwie Niemiec, nawet jeśli go sobie nie życzą. (...) Przekonać Jego Królewską Mość o ostatecznym zwycięstwie naszego oręza jest sprawą niemożliwą”.

W innym kierunku podążał najwybitniejszy niewątpliwie i najbardziej wówczas wpływowy polityk Eleutherios Venizelos. Kreteńczyk, przywódca grec-

kiego ruchu narodowowyzwoleńczego na Krecie, lider partii liberalnej, stał na czele rządu od 19 października 1910 r. do 6 marca 1915 r., a więc długo jak na stosunki greckie. Realizator „wielkiej idei” zjednoczenia wszystkich Greków we własnym państwie, kierował polityką grecką podczas wojen bałkańskich i w początkach wojny światowej. Przebiegły, bezwzględny, nie przebierający w środkach, nie znosił oporu. Król nie ufał mu i obawiał się jego wpływów.

Venizelos zmierzał do związania Grecji z Koalicją. W jej zwycięstwie, w klęsce Turcji upatrywał najlepszą, a właściwie jedyną możliwość realizacji „wielkiej idei”. Rządy państw Koalicji wszakże stawiały wówczas na kartę bułgarską; pośród różnych rekompensat dla Bułgarii w zamian za jej wystąpienie przeciwko Państwom Centralnym obiecywały jej grecki port Kawala nad Morzem Egejskim. Stąd polityka Venizelosa spotykała się ze znacznymi trudnościami, chociaż Koalicja obiecywała Grekom nabytki w Azji Mniejszej kosztem Turcji. Rząd ateński dwukrotnie protestował przeciwko takim metodom gry dyplomatycznej; pozostało to - rzecz prosta - bez skutku.

Venizelos nie zrażając się przeciwnościami prowadził przemyślną grę i dyskretnie zachęcał Francję i Wielką Brytanię do wysłania na Bałkany korpusu ekspedycyjnego, ale w taki sposób i takimi siłami, aby Grecji nie wystawić na szwank. 28 stycznia 1915 r. poseł grecki w Piotrogradzie oświadczył Sazonowowi, że Grecja byłaby skłonna wystąpić przeciwko Państwom Centralnym, jeśli wystąpi równocześnie Bułgaria lub

tylko Rumunia. W tym ostatnim wypadku poseł sugerował, aby Koalicja wysłała swe wojska do Grecji dla jej zabezpieczenia przed atakiem bułgarskim. Sazonow przyjął propozycje greckie nie nazbyt chętnie; w Londynie skwapliwie podchwycił tę myśl Lloyd George i gorąco ją popierał wśród swych ostrożnych kolegów w gabinecie, Greya i Kitchenera, oraz w Paryżu wobec rządu francuskiego. Ale teraz z kolei wyśliznął się Venizelos. Kreteńczyk domagał się, aby wojska francuskie i brytyjskie przybyły do Grecji dopiero w chwili, gdy Rumunia wyraźnie zdecyduje się wziąć udział w wojnie po stronie Koalicji<sup>6</sup>.

Obawa przed ryzykiem wojny, przed Niemcami, a zwłaszcza przed odwetem ze strony Bułgarii była widoczna. Venizelos musiał się również liczyć ze stanowiskiem króla i chciał mieć możliwie wiele atutów w rękę, aby dla swej polityki pozyskać monarchę. 15 lutego 1915 r. Venizelos pisał do francuskiego ministra spraw zagranicznych Delcasségo: „Byłoby szaleństwem ze strony Greków iść na pomoc Serbom, jeśli nie uzyskaliby gwarancji (bezpieczeństwa) ze strony Bułgarii. Obecność dwóch dywizji, francuskiej i angielskiej, nie wystarcza”. Venizelos odwołał się w tej sprawie do opinii francuskiego generała Paul-Marie Paua, który 15 lutego przybył w misji do Aten. Generał Pau był na audiencji u króla, konferował z szefem sztabu pułkownikiem Ivannosem Metaxasem i następnie telegrafował do Paryża, że „z wojskowego punktu widzenia teza grecka jest logiczna i sensowna”.



W Londynie i w Paryżu zwolennikami wysłania na Bałkany korpusu ekspedycyjnego byli tylko Briand i Lloyd George, a w Atenach Venizelos walczył z przeciwnościami. Król doprowadził nawet 6 sierpnia 1915 r. do dymisji prezesa gabinetu. Wszakże tylko na krótko powiodło się odsunąć Kreteńczyka od władzy. 22 sierpnia 1915 r. Venizelos, nie bez dyskretnych nacisków Paryża, Londynu i Piotrogradu, znowu stanął na czele rządu<sup>8</sup>.

Sytuacja zdawała się teraz sprzyjać planom kreteńskiego męża stanu.

4 sierpnia 1915 r. Joffre wystosował do ministra wojny pismo, w którym zwracał uwagę na znaczenie strategiczne kolei serbskich, a zwłaszcza linii wiodącej z Salonik do Üsküb (obecnie Skopie). Kolej ta pod kontrolą Koalicji mogła odegrać doniosłą rolę. W kilka tygodni później nadeszły do Aten wiadomości o skierowaniu kawalerii bułgarskiej na tereny przygraniczne. 21 września Venizelos zaprosił posłów Francji i Wielkiej Brytanii i oświadczył im, że król Konstantyn doszedł do przekonania, iż grecko-serbski traktat przy mierza z 1 czerwca 1913 r., mocą którego Ateny i Belgrad przyrzekały sobie wzajemnie pomoc w razie ataku trzeciego państwa, stracił obecnie moc wiążącą. Serbia bowiem, na którą spadł ciężar walki z Niemcami i Austriakami, nie może wystawić 150 tys. żołnierza przeciwko Bułgarii. Venizelos ten punkt widzenia uważał za słuszny i zapytał, czy Francja i Wielka Brytania byłyby skłonne wysłać na Bałkany wojska, które Grecji zastąpiłyby nieaktualną pomoc serbską. Odpowiedź Pa-

ryża i Londynu była pozytywna. Postanowiono ściągnąć dwie dywizje z frontu w Dardanelach i skierować je do portu w Salonikach. Venizelos bez wiedzy króla uzgodnił z posłami Koalicji w Atenach, że przeciwko lądowaniu obcych wojsk na ziemi złoży wprawdzie protest, ale tylko pro forma. 4 października 1915 r. prezes ministrów wygłosił w parlamencie mowę. Zapowiadał w niej wejście Grecji do wojny po stronie Koalicji, uzasadniając, że wymagało tego bezpieczeństwo państwa i jego godność. Parlament 142 głosami przeciwko 104 opowiedział się za polityką prezesa ministrów. Król Konstantyn zareagował ostro i szybko - nazajutrz,

5 października, udzielił Venizelosowi dymisji. Udzielił jej z tym głębszym przekonaniem, że przed kilkunastu dniami, 23 września, na wiadomość o mobilizacji bułgarskiej zarządził mobilizację armii greckiej. Wilhelm II pospieszył wówczas zapewnić swego królewskiego szwagra, że Bułgaria nie zaatakuje Grecji; uspokajające wyjaśnienia złożyli również Bułgarzy. Tymczasem 5 października 1915 r. Francuzi i Anglicy w sile 20 tys. żołnierza wylądowali w Salonikach. Rząd grecki złożył protest przeciwko pogwałceniu neutralności Grecji, ale protestu dyplomatycznego nie mógł poprzeć siłą. Korpus ekspedycyjny francusko-brytyjski pozostanie w Salonikach do końca wojny.

Wojska francuskie i brytyjskie na ziemiach neutralnej Grecji to wdzięczny przedmiot propagandy niemieckiej w krajach neutralnych, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. W odpowiedzi na ataki na pogwałcenie

neutralności Belgii posypały się ataki na pogwałcenie neutralności Grecji. Z tych bojów propagandowych Koalicja wyszła na ogół obronną ręką, a pomogli jej w tym sami Niemcy swym niezręcznym postępowaniem.

12 października przybył do Salonik generał Maurice Sarrail, mianowany dowódcą wojsk mających działać na Bałkanach. Nominację generał Sarrail, „zwierzchnik trudny, a podwładny niemożliwy”, zawdzięczał po trosze tej okoliczności, że chciano go się pozbyć z Francji<sup>10</sup>.

W ciągu października przybyły kolejne dywizje, ostatnia 1 listopada 1915 r. Razem siły francuskie i brytyjskie nie przekroczyły 75 tys. żołnierza. Duch w tym wojsku był ponoć dobry. „Na wojnie żołnierz każdą zmianę miejsca wita z nadzieją”.

Jakie były cele ekspedycji salonickiej? Przede wszystkim stanąć na Bałkanach, a przez to podnieść autorytet Koalicji na Bliskim Wschodzie, zachwiany niepowodzeniami w Dardanelach, zaważyć na decyzjach państw bałkańskich dotąd neutralnych, Grecji, Bułgarii, Rumunii, a następnie podać dłoń pomocną armii serbskiej, toczącej ciężkie walki z przeważającymi siłami niemieckimi i austro-węgierskimi. Generałowi Sarrailowi polecono zabezpieczyć połączenie pomiędzy Salonikami i Serbią. Zadanie było trudne, siły francuskie i brytyjskie nader szczupłe. Sarrail, wbrew pierwotnym nadziejom, nie mógł po upadku Venizelosa liczyć na współdziałanie 150-tysięcznej armii greckiej, co więcej na granicy grecko-tureckiej zaczęły się koncentrować

wojska tureckie i zagrażały Francuzom z flanki. Sarrail posuwał się wzdłuż doliny Wardaru. Była tam tylko jedna linia kolejowa i „ścieżka, którą tubylcy nazywają drogą”. Stąd trudności w marszu i zaopatrywaniu armii. Sarrail już 1 listopada uważał sytuację za beznadziejną. W początkach listopada Francuzi weszli w kontakt bojowy z Bułgarią. 18 listopada wojewoda Putnik podjął desperacką próbę ataku na Bułgarów, aby wyrąbać połączenie z Francuzami. Próba załamała się po dwóch dniach walki. 23 listopada Sarrail dał rozkaz odwrotu. W grudniu korpus francusko–brytyjski skoncentrował się w okolicach Salonik. Pozostano, aby ratować nadwątlony autorytet Koalicji i zapewnić możliwość działania w bardziej sprzyjających okolicznościach.

Pozostać w Salonikach to punkt widzenia francuski, Anglicy byli temu przeciwni, żądali ewakuacji, obawiali się niemiecko–tureckiego ataku na Egipt. Zdaniem Lorda Kitchenera dla obrony kraju nad Nilem trzeba było 15 dywizji, a ponieważ ani jednego żołnierza brytyjskiego nie można było wycofać z Francji, obronę Egiptu należało powierzyć wojskom sprowadzonym z Gallipoli i z Salonik. Dopiero po długich targach w rezultacie narady dowódców wojskowych w Chantilly w dniach 6 do 7 grudnia 1915 r. Kitchener zgodził się zatrzymać tymczasowo wojska brytyjskie w Salonikach.

Nie była to sprawa łatwa. Niechętne było stanowisko króla Konstantyna, niepewne rządu greckiego, trudności sprawiało zaopatrzenie korpusu ekspedycyjnego. W rezultacie wszakże utrzymanie w Salonikach

wojsk francuskich i brytyjskich okazać się mogło rozwiązaniem pomyślnym, groziło przeciwnikowi uderzeniem z flanki, choćby w dalszej przyszłości, powstrzymało Grecję od pójścia w ślady Bułgarii, a nawet nie pozostało bez wpływu na prokoalicyjne ugrupowania w Rumunii.

Dowództwo niemieckie nie zarządziło ofensywy na Saloniki i likwidacji korpusu ekspedycyjnego francusko–brytyjskiego. Generał Falkenhayn uważał Bałkany za teren wojny o znaczeniu drugorzędnym i pragnął ograniczyć do minimum siły niemieckie na Półwyspie, obawiał się także wznowienia konfliktu pomiędzy Bułgarią a Grecją w razie gdyby wojska bułgarskie przekroczyły granicę grecką (formalny zakaz otrzymały 13 grudnia 1915 r.).

Na przełomie 1915 i 1916 r. rozpatrywano w Pszczynie sprawę ataku na Saloniki i likwidacji tamtejszego posterunku Koalicji. Domagali się tego Austriacy, ale nie mogli się zobowiązać do zasilenia ekspedycji dostatecznymi siłami. Nie kwapili się do tego Bułgarzy, uznali bowiem, że osiągnęli cel wojny - zdobyli Macedonię. Przeważały względy nakazujące powstrzymanie się od większych działań na Półwyspie. Powodzenie takich działań wzmogłoby bałkańskie ambicje monarchii habsburskiej i odwróciło jej uwagę od głównych terenów wojny. Falkenhayn uważał również, że zajęcie Salonik przyniosłoby nie tylko pożytek, ale dałoby i straty. Ewakuowane znad Morza Egejskiego wojska francuskie i brytyjskie byłyby użyte przeciwko Państwom Centralnym na innych frontach, w przeci-

wieństwie do wojsk bułgarskich, które mogły walczyć tylko na Bałkanach. Zdaniem Falkenhayna Bułgarzy walczyć będą dobrze, gdy się będą czuli zagrożeni.

### 38. Na morzach

Rok 1898 przyniósł początki budowy floty wojennej niemieckiej na wielką skalę. Uchwały parlamentu, tzw. *Novellen* z lat 1906, 1908, 1912, otwierały poważne kredyty i powstała wielka flota przeznaczona nie jak w wieku XIX jedynie do obrony wybrzeży, ale zdolna podjąć walkę o panowanie na morzach. Wszyscy rozumieli, że budowa silnej floty wojennej ma charakter antybrytyjski. Niemiecka flota wojenna powstawała, aby wywalczyć, a następnie zapewnić Niemcom *Weltmachtstellung* (pozycję mocarstwa światowego) i złamać brytyjską *Welthegeemonie* (hegemonię światową).

Inspirator i główny budowniczy niemieckiej floty wojennej sekretarz stanu marynarki Rzeszy admirał Alfred Tirpitz opracował doktrynę *Risikoflotte* (floty ryzyka) i *Risikogedanke* (myśl o ryzyku). Co to znaczy? Flota niemiecka nie musi być równie potężna jak flota brytyjska, gdyż Anglicy nigdy nie będą mogli wszystkich swych sił skoncentrować wyłącznie przeciwko Niemcom, także i słabsza flota niemiecka stanowić będzie dla Wielkiej Brytanii niebezpieczeństwo i nawet w przypadku zwycięstwa w bitwie morskiej Wielka Brytania nie będzie w stanie walczyć z koalicją potęg morskich drugiego rzędu, tzn. nie będzie mogła utrzymać zasady *Two Powers Standard*, zasady głoszącej, że flota wojenna brytyjska musi być silniejsza niż połą-

czone floty dwóch najpotężniejszych po Wielkiej Brytanii państw morskich.

Niemcy roili, że wszystkie drugorzędne państwa morskie pod przewodem niemieckim złamią morską hegemonię Wielkiej Brytanii i w zbliżającej się wojnie wywalczą „wolność mórz”.

Tirpitz wyobrażał sobie, że gdy wybuchnie wojna Anglicy będą usiłowali zablokować Niemcy na wodach pomiędzy Helgolandem a ujściem Tamizy. Stało się inaczej, blokada angielska objęła całe Morze Pomocne od Norwegii do północnych wybrzeży Szkocji. Flota niemiecka nie przełamała blokady, podkopało to poważnie siły gospodarcze Niemiec i odporność narodu niemieckiego.

Admiralicja niemiecka błędnie oceniła szansę swej floty wojennej, a to zemściło się na Niemcach nie mniej dotkliwie niż rachuba na błyskawiczne powalenie Francji.

Wojna lat 1914–1918 nie była wojną lądową, jak kampania roku 1870/71. Wojna rozszerzyła się na morza, a to stawiało państwa walczące w zupełnie nowej sytuacji i wymagało jasno określonych planów wojennych oraz oceny środków ich realizacji.

Wojennym planem morskim Koalicji było oddzielenie Niemiec od świata, trzymać Niemcy w pozycji obleżonej twierdzy, zagrozić drogę dostawom. Wojenny plan morski Niemiec zakładał niedopuszczenie do blokady. Koalicja górowała tu nad Niemcami, znajdowała się w sytuacji pomyślniejszej i dysponowała większymi siłami.

Pierwszym mocarstwem morskim była owymi laty Wielka Brytania, jej flota strzegła bezpieczeństwa Wysp Brytyjskich i bezpieczeństwa szlaków morskich, łączących metropolię ze światem, a zwłaszcza z dominiami i koloniami. Główne siły tzw. *Grand Fleet* (Wielkiej Floty), dowodzone przez admirała Johna Rushwortha Jellicoe'a, miały bazę na północy w Scapa Flow, później także w Cromarty Firth i w Rosyth w głębi Firth of Forth. Flota Kanału, strzegąca kanału La Manche, miała bazy w Portsmouth i w Devonport. Mniejszy zespół, stacjonowany w Harwich, strzegł wód Morza Północnego. Mniejsza flotylla strzegła wybrzeży wschodnich. Silna była Flota Śródziemnomorska, którą dowodził admirał A. B. Milne, strzegła Gibraltaru, Suez i Cieśnin. Inne flotylle pełniły służbę na wodach Dalekiego Wschodu i na Oceanie Indyjskim. Flota brytyjska strzegła więc interesów Wielkiej Brytanii na wodach całego niemal świata.

26 lipca 1914 r. admirał Jellicoe w obliczu niepewnej sytuacji międzynarodowej wydał rozkaz, aby flota wojenna zgromadzona na redzie w Portland pozostawała w gotowości. 29 lipca poszły telegramy ostrzegawcze do wszystkich eskadr.

Francja była czwartą potęgą morską świata, po Wielkiej Brytanii, Niemczech i Stanach Zjednoczonych. Flota śródziemnomorska - 1 Armia Morska (*le Armée Navale*) - miała bazy w Tulonie i w Bizercie; jej zadaniem było zabezpieczenie połączeń morskich na Morzu Śródziemnym, przede wszystkim połączeń z Afryką Północną, skąd sprowadzano wojska do Fran-



cji. Eskadra stacjonowana w Breście miała wespół z flotą brytyjską strzec kanału La Manche. Pozostałe okręty pływały w rejonie Antyli i na wodach okalających Indochiny.

Z mocarstw Koalicji najslabszą flotę, a najtrudniejszą sytuację miała Rosja. Nie zdołała ona odbudować swej floty zniszczonej w dużej mierze podczas wojny z Japonią w 1904/1905 r. Ponadto flota rosyjska była umiejscowiona w dwóch zamkniętych morzach - na Morzu Czarnym i Bałtyckim. Rola więc floty rosyjskiej była z natury rzeczy ograniczona.

W gronie państw Koalicji znajdowała się również Japonia. Flota japońska działała w 1914 r. na Morzu Żółtym i na Oceanie Spokojnym.

W chwili wybuchu wojny największą po Wielkiej Brytanii potęgą morską były Niemcy. Główne siły morskie Niemiec, tzw. Flota Pełnego Morza (*Hochseeflotte*) rozmieszczone były nad Morzem Północnym z główną bazą w Wilhelmshaven; lekkie krążowniki i łodzie podwodne miały swe bazy na wyspach Helgoland i Sylt w Cuxhaven i u ujścia rzeki Ems. Dowodził tą flotą Friedrich von Ingenohl. Niewielką flotą bałtycką z bazami w Kilonii, Świnoujściu i Gdańsku dowodził książę Henryk pruski, brat Wilhelma. Kanał Kiloński dawał połączenie pomiędzy Morzem Bałtyckim i Morzem Północnym.

Na wodach Dalekiego Wschodu operowała niewielka wschodnioazjatycka eskadra krążowników pod dowództwem wiceadmirała Maximiliana von Spec. Dywizjonem śródziemnomorskim, złożonym z krą-

żowników „Goeben” i „Breslau” dowodził kontradmirał Wilhelm Souchon. Dwa krążowniki pływały w chwili wybuchu wojny w zachodniej części Oceanu Atlantyckiego.

Słaba była flota Austro–Węgier, liczyła zaledwie 12 okrętów liniowych, koncentrowała się na Morzu Adriatyckim; główna baza była w porcie Pula na półwyspie Istria.

Flota turecka była słaba, dysponowała jedynie niewielkimi przestarzałej konstrukcji i źle utrzymanymi okrętami. Zamówienia w stocznjach zagranicznych były spóźnione.

Admiralicja niemiecka spodziewała się, że Anglicy przeprowadzą tzw. bliską blokadę Niemiec i zaatakują wybrzeża niemieckie; w takim przypadku Tirpitz planował wytoczenie Anglikom wielkiej bitwy morskiej w pobliżu Helgolandu. Anglicy wszakże nie okazali się tak uprzejmi, przeprowadzili - jak wiemy - blokadę daleką, nie zbliżali się do brzegów Niemiec. Niemcy zaś nie mogli, rzecz prosta, odważyć się na zaatakowanie silniejszej floty brytyjskiej w pobliżu jej baz, w pobliżu Wysp Brytyjskich.

16 września 1914 r. Tirpitz pisał do szefa sztabu admiralicji admirała Hugona von Pohla: „Od 20 lat celem wszystkich naszych zabiegów administracyjnych i wojskowych jest bitwa. (...) Ze względu na to, że jesteśmy słabsi musimy się starać nie stoczyć bitwy zbyt daleko od Helgolandu, najwyżej 100 mil morskich”. Gdyby nie doszło do wielkiej bitwy, „musi upaść wspaniały duch naszej floty”.

Admirał Tirpitz nie mylił się; „wspaniały duch” floty niemieckiej „upadł” na długo przed końcem wojny, a jedną z przyczyn upadku była bezczynność floty.

A jednak czy mogło być inaczej? 3 października 1914 r. odbyła się w Wilhelmshaven narada wyższych oficerów marynarki. Zdania były podzielone. Admirał von Pohl reprezentował pogląd, że nie wolno stawiać na kartę istnienia floty wojennej niemieckiej, że trzeba ją zachować nie dotkniętą stratami, nie uszczuploną do końca wojny, wówczas bowiem podczas rokowań pokojowych taka flota (*Fleet in being*) będzie ważkim atutem w rękach niemieckich. Admirał Tirpitz natomiast domagał się prowadzenia wielkich operacji morskich, żądał wydania Anglikom wielkiej bitwy. Dowództwo powinien objąć oficer, który ma wiarę we flotę niemiecką, który jest przekonany, że Niemcy w bitwie na morzu mogą zadać Anglikom ciężkie straty. Innymi słowy on sam, Alfred von Tirpitz, chociaż od 1897 r. nie pełnił służby morskiej, pracował w Berlinie, przy biurku. Spór rozstrzygnął cesarz. Nie chciał wystawiać na ryzyko swej floty i wydał 6 października 1914 r. rozkaz wstrzymania wszelkich większych akcji. Bezczynność floty wojennej niemieckiej uznał Tirpitz za główną przyczynę przegranej.

Wielką bitwę morską stoczono dopiero w 1916 r., na razie Anglicy zapewnili całkowitą nieprzerwaną łączność z Francją na kanale La Manche. I to było sprawą najważniejszą.

22 sierpnia 1914 r. Tirpitz pisał: „Anglicy chcą działać przez wygłodzenie (Niemiec) i sparaliżowanie

naszego życia gospodarczego. (...) Zdziwiająca sytuacja - Morze Bałtyckie i Morze Północne są wolne, a my gospodarczo jesteśmy zakneblowani”.

Tirpitz zrozumiał to już w czwartym tygodniu wojny, a była to sprawa wielkiej doniosłości.

Na oceanach Atlantyckim, Spokojnym oraz Indyjskim mogliby Niemcy utrudnić łączność Wielkiej Brytanii i Francji z ich posiadłościami zamorskimi, gdyby rozporządzali na tamtych wodach wielką flotą i gdyby ta flota miała odpowiednie bazy i punkty oparcia. Tak nie było i dlatego podjęte operacje miały znaczenie drugorzędne, i to raczej propagandowe niż rzeczywiste.

Trzonem floty niemieckiej na wodach pozaeuropejskich była eskadra Dalekiego Wschodu mająca bazę w Kiau-czou; dowodził nią wiceadmirał Maximilian von Spee, w skład jej wchodziły dwa pancerniki „Scharnhorst” i „Gneisenau”, cztery mniejsze krążowniki i kilka kanonierek. Wybuch wojny zastał admirała von Spee u wybrzeży Karolin. Nie chciał wracać do Kiau-czou, aby nie dać się tam zamknąć Japończykom, gdyby Japonia - jak przewidywał - wypowiedziała wojnę Niemcom. Wziął więc kurs na Amerykę Południową, zamierzał opłynąć ją i próbować przedostać się do Niemiec. W pobliżu chilijskiego portu Coronel 1 listopada 1914 r. zetknął się z niewielką flotyllą brytyjską i zatopił dwa małe krążowniki „Good Hope” i „Monmouth”. Było to zwycięstwo małej wagi, ale można je było wyzyskać propagandowo. Radość zapanowała w Niemczech, powtarzano, że prysnął mit o niezwyciężoności floty brytyjskiej. Może i prysnął, ale nie na

długo. Admirał von Spee próbował opłynąć od południa Amerykę Południową, przy tej sposobności zapragnął zniszczyć bazę brytyjską na Falklandach; 8 grudnia 1914 r. napotkał silną eskadrę. Bitwa przyniosła klęskę Niemcom, zatoneły pancerniki „Scharnhorst” i „Gneisenau”, zatonął dzielny admirał von Spee, zatoneły krążowniki „Nürnberg” i „Leipzig”, uszedł jedynie krążownik „Dresden”, aby dopiero w marcu 1915 r. pójść na dno w wyniku starcia z krążownikami angielskimi.

Jeszcze czas jakiś na południowym Atlantyku i na Oceanie Indyjskim kilka krążowników niemieckich atakowało okręty brytyjskie i francuskie. Większy był psychiczny i propagandowy efekt tej akcji korsarskiej niż rzeczowy. Długo walka ta trwać nie mogła. 11 lipca 1915 r. u brzegów Afryki Wschodniej zatonął krążownik „Königsberg”.

Akcja korsarska kilku krążowników niemieckich nie była wydarzeniem wielkiej wagi. Doniosłym problemem, który wyłonił się zaraz po wybuchu wojny, był problem blokady, w głównej mierze blokady morskiej. Blokadę stosowano od dawna. Rzecz polegała na tym, że zajęciu na morzu podlegały statki wiozące materiały wojenne. Rodziła się tu od razu wątpliwość, czym jest materiał wojenny. Według interpretacji zacieśniającej jest to w dosłownym znaczeniu tego wyrazu sprzęt bojowy, armaty, karabiny, amunicja. Interpretację tę rozszerzono bardzo szybko; za kontrabandę wojenną uznano nie tylko wszystkie surowce potrzebne do wyrobu broni, ale i wszystkie artykuły konieczne do

pełnego wyposażenia żołnierza, do jego wyżywienia; lecz jak w takim razie rozróżnić żywność przeznaczoną dla wojska od wiewendy sprowadzanej dla ludności cywilnej. W praktyce więc każdy artykuł wieziony do kraju nieprzyjacielskiego można było uznać za kontrabandę wojenną.

Już na początku wojny Wielka Brytania i Francja stanęły na stanowisku, że dawniejsze umowy międzynarodowe w przedmiocie kontrabandy wojennej, ostatnio tzw. deklaracja londyńska z 1909 r., nie przewidywały totalnej mobilizacji wszystkich sił gospodarczych w wojnie nowożytnej; ich postanowienia zatem nie mogą już obowiązywać. Co więcej, Niemcy mogły sprowadzić potrzebne towary drogą pośrednią przez sąsiadujące z nimi bliskie państwa neutralne, kraje skandynawskie, Holandię, Włochy póki nie stanęły w rzędzie ich przeciwników, Szwajcarię. Toteż Wielka Brytania i Francja uznały, zgodnie z praktyką stosowaną podczas wojny secesyjnej, że o tym czy dany towar jest kontrabandą wojenną decyduje miejsce ostatecznego przeznaczenia, nie zaś obywatelstwo właściciela towaru, właściciela statku lub też port, do którego statek płynie. Interpretacja szeroka, ale logiczna.

2 listopada 1914 r. rząd brytyjski ogłosił, że Morze Północne jako zaminowane przez Niemców jest terenem wojennym i zarządził, aby statki płynące do krajów skandynawskich płynęły szlakiem północnym podlegającym kontroli brytyjskiej. W odpowiedzi rząd Rzeszy oświadczył 4 lutego 1915 r., że wody okalające Wyspy Brytyjskie są widownią działań wojennych,

a niebezpieczeństwo zatopienia grozi także i statkom państw neutralnych. Niemcy sięgnęli zatem po oręż nowy, którym nikt dotąd się nie posługiwał, który był tajemnicą dla wszystkich - jakie skutki przyniesie walka łodziami podwodnymi.

Początki wydawały się zachęcające. 22 września 1914 r. łódź podwodna U9 zatopiła u brzegów Holandii trzy stare krążowniki brytyjskie. Uznano to za wielki sukces nowej broni.

Sprawa nie była jednak prosta. Niemcy dysponowały do działań na Morzu Północnym tylko dwudziestoma łodziami podwodnymi, w stocznicach znajdowało się w budowie jeszcze dwanaście. Nie była to więc ilość, która pozwalałaby Niemcom zapanować nad morzami. Ale dały się zauważyć pewne skutki natury psychicznej. Łodzie niemieckie wzbudziły zaniepokojenie we flocie brytyjskiej; wielkie okręty bojowe wycofały się na wody szkockie dopóki nie ukończono bazy w Scapa Flow, dającej ochronę przed atakami łodzi podwodnych. W Niemczech łodzie wywołały entuzjazm i przesadne nadzieje.

Obawy jednych, nadzieje drugich nie były uzasadnione, nie ze wszystkim były uzasadnione. Wojna podwodna nastroczała trudności i technicznych, i politycznych. Było sprawą oczywistą, że łodzie podwodne nie mogą się stosować do postanowień deklaracji londyńskiej z 1909 r. określającej, w jakich okolicznościach można zatopić statek handlowy; postanowienia te odnosiły się do krążowników. Szczupłość załogi łodzi podwodnej nie pozwalała na rewizję statku i wie-

zionego towaru, szczupłość miejsca uniemożliwiała wzięcie na pokład marynarzy i pasażerów zatopionego statku. Łodzie podwodne powinny torpedować podejrzany statek nieprzyjacielski w zanurzeniu, gdyż na powierzchni były niemal bezbronne i zaatakowany statek mógł z łatwością umknąć albo, co gorsza, razić ogniem artyleryjskim atakującą go łódź podwodną. Stąd zarzuty podnoszone przeciwko Niemcom, że wojnę prowadzą w sposób barbarzyński, niehumanitarny. Odpowiadali na to Niemcy, że blokada zarządzana przez Koalicję jest barbarzyńska i niehumanitarna, morzy bowiem głodem miliony niewinnych kobiet i dzieci. Zarzuty takie będą tematem propagandy stron obu podczas wojny i jeszcze długo po wojnie.

### **39. Rok 1915 na froncie zachodnim**

Ostrożność, roztropność nakazywała dowództwom wojsk państw Koalicji powstrzymać się od poważniejszych działań zanim zdołają nagromadzić w odpowiedniej, wystarczającej ilości zapasy sprzętu bojowego, zanim w pełni zostanie zorganizowana armia brytyjska. Lecz pragnienie wyparcia Niemców z zajętych terytoriów francuskich oraz chęć odciążenia i przyjscia z pomocą sprzymierzeńcowi rosyjskiemu, połączone z niezbyt uzasadnionym optymizmem, skłoniły generała Joffre'a do podjęcia przedwczesnych działań zaczepnych. Nowe formy wojny wymagały nowych metod, które można było wypracowywać jedynie z wolna, wymagały metodycznego szkolenia na wszystkich szczeblach, od generała do najniższych stopni.



Opracowano taki schemat: najpierw ogień huraganowy, tzn. wielogodzinny czy nawet wielodniowy, nieprzerwany ogień artyleryjski miał zniszczyć okopy nieprzyjacielskie, zdemoralizować przeciwnika, zadać mu ciężkie straty i przygotować w ten sposób atak piechoty. Niemcy na atak taki odpowiedzieli silnym ogniem zaporowym artylerii i karabinów maszynowych. Ataki wojsk Koalicji prowadzono zwykle na niedługim kilkunastokilometrowym najwyżej odcinku frontu, Niemcy mieli więc zawsze możliwość ściągnięcia posiłków i wzmocnienia miejsc zagrożonych.

Taki charakter miała ofensywa francuska w tzw. bitwie zimowej w Szampanii od 16 lutego do marca 1915 r. i ofensywa angielska pod Neuve-Chapelle od 10 do 14 marca 1915 r. W Szampanii Francuzi posunęli się 2 km naprzód na odcinku frontu szerokości 8 km; nieznaczną tę zdobycz okupili dotkliwymi stratami - 240 tys. zabitych, rannych, wziętych do niewoli, zaginionych, gdy Niemcy utracili 45 tys.

Walki w Szampanii i we Flandrii z początku roku 1915 niemieckie Dowództwo Naczelne uznało za dowód, że przełamanie frontu niemieckiego na zachodzie jest sprawą nierealną i, decydując się na mocne uderzenie na froncie wschodnim, przeniosło znaczne siły (9 dywizji piechoty i 2 dywizje jazdy) z Francji na front wschodni. Aby zamaskować przygotowania do ofensywy przeciwko Rosjanom Niemcy prowadzili niewielkie działania zaczepne w różnych miejscach frontu zachodniego. Zdecydowali się również na próbę zasto-

sowania gazów trujących, broni nigdy dotąd nie stosowanej.

Druga konferencja haska ustaliła w 1907 r. podstawowe zasady humanitarnego prowadzenia wojny. Na krok taki mocarstwa zdecydowały się w erze długiego pokoju w Europie. Konferencja ustaliła, że wojnę prowadzi jedynie żołnierz umundurowany przeciwko umundurowanemu żołnierzowi, wojna nie może więc godzić w ludność cywilną. Za niedozwolone uznano więc branie zakładników, ściąganie okupu, bombardowanie miast otwartych. Niedozwolone również są działania wolnych strzelców. Ranni żołnierze mieli podlegać opiece Czerwonego Krzyża, wzbronione było ostrzeliwanie pociągów i ośrodków Czerwonego Krzyża, zalecano rozejmy dla ewakuacji rannych. Opiece mieli podlegać jeńcy wojenni, próby ucieczki można było powstrzymywać, udaremniać, ale nie podlegały one karze.

Konwencja haska stawiała mocno zasadę neutralności. Statki państw neutralnych powinny pływać swobodnie po morzach i oceanach pod warunkiem, że nie będą przewoziły sprzętu bojowego. Potwierdzono to jeszcze w 1909 r. Postanowienia konwencji haskiej obowiązywały wszystkich sygnatariuszy i wojna, która rozgorzała w sierpniu 1914 r., powinna się być toczyć według reguł ustalonych w Hadze. Stało się inaczej, od zarania wojny reguły te wciąż naruszano. Niemcy pogwałcili neutralność Belgii: „*Not kennt kein Gebot*” („*Potrzeba nie zna zakazów*”), łamali paragrafy konwencji dotyczące ludności cywilnej, brali zakładników,

ściągali kontrybucje, bombardowali miasta otwarte, jak Reims, Leuven. Wobec neutralnych Koalicja stosowała metody nacisku, mające na celu powstrzymanie wszelkiego przywozu do Niemiec, a więc nie tylko sprzętu bojowego, ale i żywności.

Wojna pozycyjna umożliwiła jeszcze nowe barbarzyństwo - gazy trujące. Nauka chemii dostarczyła środka masowej zagłady, który wojnę na wyczerpanie przekształcił w wojnę na wyćpienie. Armię nieprzyjacielską chciano zniszczyć metodami nigdy dotąd niestosowanymi względem ludzi. Teren zagazowany zajmować miała piechota zaopatrzona w maski gazowe.

Oburzenia, które budzi taki sposób walki, nie może pomniejszyć fakt, że wojnę następną, drugą wojnę światową toczono w sposób znacznie bardziej okrutny, barbarzyński.

Atak gazowy planowali Niemcy początkowo na luty 1915 r. Nalegał na to Falkenhayn, chciał się bowiem przekonać, jaka jest skuteczność nowej broni. Później przesunięto ten termin na 15 kwietnia. Meteorologowie starannie badali sytuację atmosferyczną i kierunek wiatru; błędne czy niedokładne obliczenia mogły spowodować zniszczenia we własnych szeregach. Termin ataku ponownie przesunięto na 22 kwietnia. Na 6-kilometrowym odcinku naprzeciw Ypres pomiędzy Poelkapelle i Steenstrate umieszczono 6 tys. stalowych butli wypełnionych gazem chlorowym. Od jeńca niemieckiego Francuzi dowiedzieli się o grożącym niebezpieczeństwie, zlekceważyli wszakże tę wiadomość. Drogo przyszło im za to płacić.

Nadszedł wreszcie dzień 22 kwietnia roku 1915. Wyszkoleni do walki gazowej żołnierze wydmuchali ołowianymi węzami ze stalowych butli gaz chlorowy. Na wysokość człowieka uniosła się żółtawa chmura i wlokła się ku pozycjom francuskim, angielskim i kanadyjskim na odcinku frontu szerokości około 6 km. Żołnierze nie byli przygotowani na taki atak, nie mieli masek. 15 tys. zostało ciężko porażonych, spośród nich blisko 5 tys. zmarło. Niemcom użycie gazów dało niewiele. Piechota niemiecka w maskach gazowych, postępująca zaraz za chmurą gazową, zajęła bez wysiłku pierwsze linie okopów wojsk Koalicji na niewielkim odcinku i na tym się skończyło. Wybrany do uderzenia gazowego odcinek frontu był zbyt wąski, brakło też rezerw. Ypres pozostało w rękach sprzymierzonych.

W następstwie dowództwo niemieckie przez czas dłuższy nie przywiązywało większej wagi do broni gazowej może także i dlatego, że wcześniejsza nieco próba, gdy to Niemcy 31 stycznia 1915 r. zaatakowali gazem Rosjan koło Bolimowa pod Warszawą, nie powiodła się z powodu silnego mrozu.

Na biurku premiera Francji znalazł się raport takiej treści: „Nasi ludzie natychmiast (tzn. w chwili ataku gazowego) uczyli kłucie w gardle i podrażnienie gardła, nosa i oczu, oraz duszności i silne bóle w piersiach, chwycił ich też niepowstrzymany kaszel. Wielu padło, aby więcej już się nie podnieść. Inni na próżno starając się biec, musieli się wycofać pod kulami i szrapnelami; chwytaly ich bóle w piersiach i wymioty ze strugami krwi”.

Fakt, że Niemcy nie spieszyli się ze stosowaniem gazów trujących był wielkim szczęściem dla sprzymierzonych, przygotowania bowiem do obrony przeciwgazowej postępowały bardzo opornie.

Falkenhayn, przeświadczony - jak już wiemy - że ani uderzenia Francuzów, ani Anglików nie załamają frontu niemieckiego, główną uwagę zwrócił „na działania przeciwko Rosji. Falkenhayn miał zadanie ułatwione, wyłącznie bowiem w jego rękach leżała decyzja o działaniach na froncie zachodnim, a co do frontu wschodniego Niemcy miały przewagę nad Austro-Węgrami i dowództwo niemieckie w ograniczonej tylko mierze brało pod uwagę postulaty sprzymierzeńca. Rząd Rzeszy, a tym mniej parlament nawet nie próbował ingerować w skomplikowane kwestie prowadzenia wojny. Falkenhayn był wodzem i miał swobodę zarówno podejmowania, jak i wykonania swoich decyzji.

Inaczej Joffre. Był skrepowany podwójnie - stanowiskiem sprzymierzeńca brytyjskiego oraz stanowiskiem władz politycznych własnego kraju. Oczywiście potrzeba uzgadniania planów działania z dowództwem brytyjskim - dowództwa wspólnego wtedy jeszcze nie było - wywoływała wciąż znaczne trudności i komplikowała każdą decyzję. Różnice poglądów na kwestie taktyki, względy personalne, ambicje osobiste wszystko to odgrywało pewną rolę, ale nie to było najważniejsze. Zasadniczych trudności nastroczały odmienne poglądy na cele operacji. Anglicy mówili: „Strzeżemy mórz; na oceanach zagradzamy drogę flocie niemieckiej; bez nas nic nie osiągniecie”. Francuzi powtarzali: „Zatrzymali-

śmy Niemców nad Marną; bez nas Niemcy mieliby drogę otwartą aż do morza, do portów nad kanałem La Manche i nad Morzem Północnym. Wasza metropolia, wasz przemysł, wasze zaopatrzenie byłoby zagrożone. Niczego nie można osiągnąć dopóki Niemcy nie zostaną pokonane na lądzie”. Był to więc spór o charakterze już nie tylko militarnym, lecz przede wszystkim politycznym. Generał Koeltz pisze: „Francuzi byli w swym rozumowaniu bardziej logiczni, Anglicy bardziej uparci; jak szermierze ustępowali pozornie, aby nazajutrz znowu skrzyżować szpady; na dnie tkwił zawsze interes imperium”.

Uwaga niewątpliwie trafna, ale w danym miejscu chyba dość śmiała, przecież i Francuzom interes Francji przesłaniał wszystko.

Rozpoczęły się więc walki celem przełamania linii okopów przeciwnika. Istotnie zwykle łamano, zdobywano pierwszą linię okopów nieprzyjacielskich, ale i na tym się kończyło. Przeciwnik mógł sprowadzić posiłki, gdyż dłuższe przygotowanie artyleryjskie wskazywało miejsce ofensywy, i odzyskiwał w całości lub w części teren utracony. Stąd dylemat co właściwsze - „metoda”, tj. systematyczne przygotowanie i zniszczenie ogniem armatnim zasieków z drutu kolczastego i pozycji artyleryjskich, czy „zaskoczenie”. Generał Joffre skłaniał się do „metody”. (...)

Zawiodły rachuby generała Joffre’a; nie powiodły się próby przełamania frontu niemieckiego, próby przebicia, próby wyparcia Niemców z okupowanych

ziem francuskich i belgijskich. Do końca wojny było jeszcze daleko.

#### **40. Front wschodni latem 1915 r.**

Wiosną 1915 r. sytuacja monarchii habsburskiej przedstawiała się niepomyślnie - od zachodu groziła wojna z Włochami, od wschodu wtargnięcie Rosjan przez Karpaty na Węgry. W kwietniu 1915 r., po długich wahaniach, generał Falkenhayn doszedł do wniosku, że we Francji należy prowadzić defensywę strategiczną, a uderzyć mocno na wschodzie. Zwycięska ofensywa przeciwko wojskom rosyjskim powinna osłonić armię austro-węgierską przed klęską o dotkliwych dla monarchii habsburskiej konsekwencjach, powinna następnie powstrzymać i Włochy, i Rumunię od wystąpienia przeciwko Austrii.

Generał Conrad von Hötzendorf przyjął z zadowoleniem projekt Falkenhayna ofensywy na froncie wschodnim i snuł plany daleko idące. Zamyślał „wielkie Kanny” - wzięcie w kleszcze armii rosyjskiej jednoczesnym uderzeniem od strony Prus Wschodnich i od strony Galicji. Falkenhaynowi „wielkie Kanny” wydały się operacją zbyt niepewną i trudną, a przede wszystkim wymagającą sił znacznie większych, niż miały w Polsce do dyspozycji Państwa Centralne. Planowi Conrada przeciwstawił plan własny - potężne uderzenie pomiędzy Beskidami a Wisłą.

Ofensywę podjąć miała nowo utworzona, częściowo z dywizji sprowadzonych z Francji, 11 Armia niemiecka oraz 4 Armia austro-węgierską. Dowództwo 11

Armii objął generał August Mackensen, jego szefem sztabu został pułkownik Hans von Seeckt. 4 Armią austriacką dowodził arcyksiążę Józef Ferdynand. Ogólne dowództwo nad obiema armiami sprawował Mackensen.

Operację przygotowano w wielkiej tajemnicy. Dla zmylenia przeciwnika fingowano transporty wojsk do Francji. Ataki dywersyjne przypuszczono na Litwie i na Bukowinie.

W końcu kwietnia 1915 r. na froncie wschodnim Państwa Centralne zgromadziły 1 milion 300 tys. żołnierza, naprzeciwko stała armia rosyjska w sile 1 milion 800 tys. ludzi, na terenie przygotowywanej ofensywy wszakże pomiędzy Tarnowem a Gorlicami przewaga była po stronie Państw Centralnych. 20 dywizji niemieckich i austro-węgierskich razem 357400 żołnierza, gdy Rosjanie mieli tam 17 dywizji z 219 tys. ludzi.

„Niemcy - opowiada generał Michaelis - zgromadzili w Galicji Zachodniej, zupełnie niepostrzeżenie dla Rosjan, olbrzymie siły, wyposażone w potężną, ciężką artylerię i nieprzebrane zapasy pocisków, 1 maja nastąpiło czterogodzinne, gwałtowne bombardowanie stanowisk rosyjskich pomiędzy Tarnowem a Gorlicami; zniosło ono zupełnie okopy i druty, wybiło znaczną część obrońców”.

Nazajutrz, rankiem 2 maja 1915 r., Austriacy i Niemcy natarli pod Gorlicami. W ciągu trzech dni przełamali trzy rosyjskie linie obronne i zmusili Rosjan do odwrotu na froncie szerokości 150 km, 15 maja atakujący stali już nad Sanem, 3 czerwca zajęli Przemyśl,



22 czerwca wkroczyli do Lwowa<sup>1</sup>. „Tylko ten, kto przeżył głęboką depresję po bitwie karpackiej - pisał niemiecki pełnomocnik wojskowy przy c. i k. Naczelnym Dowództwie generał August von Cramon - może odczuć sercem, co znaczyły Gorlice: uwolnić się spod ucisku niemal nie do zniesienia, odetchnąć po ciężkiej trosce, nabrać ufności i wiary w zwycięstwo”.

Boje toczone wspólnie z armią austro-węgierską i czerpane stąd doświadczenia dały generałowi Hoffmannowi możliwość czynienia takich spostrzeżeń: „Nieraz mieliśmy powód uskarżać się podczas kampanii na braki armii austro-węgierskiej; tym większy mam powód, aby uznać dobro, którego doznaliśmy od naszego sprzymierzeńca. Trafne były pomysły szefa austro-Węgierskiego « sztabu generalnego wszystkie, tak jak je znam, a nie zawsze można to powiedzieć o pomysłach naszego Naczelnego Dowództwa. Nieszczęściem tego genialnego człowieka było, że brak mu było narzędzia, aby mógł swe pomysły wcielać w życie. Zawiódł żołnierz, i odwrotnie było u nas - aż do lata 1918 r. nigdy nie zawiódł żołnierz, czy nim dowodzono źle czy dobrze”.

W czerwcu 1915 r. Niemcy zachowali się wobec Austriaków kurtuazyjnie. Dotarli w pobliże Lwowa, ale do odzyskanej stolicy Galicji pierwsze wkroczyły oddziały wojsk cesarza Franciszka Józefa. Michał Bobrzyński mówił wówczas do Władysława Leopolda Jaworskiego „o słabości Austrii w porównaniu z Niemcami. Niemcy maskują tę słabość, dali arcyksięciu Fryderykowi tytuł marszałka polnego, pozwolili Böhm-

Ermollemu wejść do Lwowa, chociaż mogli to zrobić sami”.

Dla Rosjan utrata Lwowa była ciosem, nie tyle ze względów strategicznych, ile ze względów politycznych. „Nasi przeciwnicy - pisał generał Daniłow - odzyskali stolicę Galicji; w jej zdobyciu upatrywaliśmy symbol przyszłego oswobodzenia Słowian austriackich spod obcego jarzma”.

Latem 1915 r. sytuacja militarna Państw Centralnych była raczej pomyślna. Na zachodzie Niemcy zatrzymali ofensywy wojsk państw zachodnich w Artois i w Szampanii, nie należało się więc tam obawiać silniejszych uderzeń przed wrześniem. Pierwsze boje na froncie włoskim przyniosły powodzenie Austriakom. Generał Falkenhayn zdecydował się więc uderzyć mocno na froncie wschodnim. Zarysowały się wszakże różnice pomiędzy stanowiskiem Falkenhayna, który ogarniał całość prowadzenia wojny, a ambitnymi planami generałów z dowództwa frontu wschodniego (*Oberostu*) Hindenburga, Ludendorffa, Hoffmanna.

Generałowie z dowództwa frontu wschodniego projektowali operację „wielkich kleszczy” (*grosse Zange*), uderzenia lewym skrzydłem na północ od Niemna; miało to być „wielkie oskrzydlenie” (*grosse Umfassung*) armii rosyjskiego frontu północno-zachodniego i ich zniszczenie. Falkenhayn uznał plan ten, nakazujący sprowadzenie znacznych posiłków z frontu zachodniego, za nierealny i przeciwstawił mu plan własny operacji „małych kleszczy” (*kleine Zange*) - uderzenia nad dolną Narwią.

Falkenhayn, Hindenburg i Ludendorff spotkali się w Poznaniu i 2 lipca 1915 r., pod przewodnictwem cesarza, odbyli naradę. Po wymianie zdań postanowiono - o czym podobno ostatecznie zdecydował Wilhelm - przeprowadzić operację „małych kleszczy”.

Lewym skrzydłem dowodził gen. Maximilian von Gallwitz. 8 i 12 armie niemieckie otrzymały za zadanie maszerować w kierunku Łomży i Pułtuska, przekroczyć Narew i posuwać się na północny wschód od Warszawy. Stojąca w centrum 9 Armia generała Remusa von Woyrscha miała ruszyć frontalnie na Warszawę. Prawym skrzydłem dowodził gen. August Mackensen. Niemiecka Armia 11, nowo utworzona Armia Bugu i austro-węgierską 4 Armia otrzymały rozkaz uderzenia w kierunku północno-wschodnim na Brześć Litewski.

13 lipca 1915 r. 12 Armia niemiecka ruszyła do ataku i po ciężkich walkach przerwała na znacznej szerokości front rosyjski dokoła Przasnysza. 19 lipca stanęli Niemcy nad Narwią. Zatrzymał ich tu chwilowo silny opór Rosjan. Dopiero 24 lipca po przygotowaniu artyleryjskim zdołali Niemcy opanować przyczółki mostowe w Pułtusku i Różanie. Od południa atakowali Niemcy wspólnie z Austriakami (2 i 4 armie austro-węgierskie i 11 Armia niemiecka) i po uporczywych bojach zajęli Lublin 30 lipca, Chełm 1 sierpnia, Dęblin 4 sierpnia. Jednocześnie 9 Armia niemiecka księcia Leopolda bawarskiego przypuściła frontalny atak na Warszawę.

Świadek naoczny Stefan Krzywoszewski opowiada: „W dniu 17 lipca wojska rosyjskie zaczęły się wy-

cofywać znad Bzury i Rawki. Zmusił je do odwrotu katastrofalny brak amunicji. Losy Warszawy były przesądzone. Huk armat zbliżał się z każdym dniem. Nocami niebo od strony Raszyna i Błonia płonęło złowieszczą czerwienią pożarów. Przez miasto ciągnęły bez przerwy ku mostom pułki piechoty, konnicy, artylerii. Ale teraz nie śpiewano już dziarskiej piosenki:

*„Po ulicam prochodit  
preogromnyj krokodit  
Ua, Ua, Ua, a...*

*Ewakuacja odbywała się w bezładnym harmidrze”.*

5 sierpnia 1915 r. o godzinie 6 rano potężny huk oznajmił mieszkańcom stolicy o wysadzeniu mostów na Wiśle. Kilkanaście minut wcześniej wjechał na ulice miasta od strony Woli konny patrol niemiecki. Warszawa znalazła się w rękach Niemców.

Niemcy kurtuazyjnie oddali Austriakom honor odzyskania Lwowa, odmówili jednak sprzymierzeńcowi tego honoru w Warszawie. Stolica Polski była zbyt ważnym atutem w grze politycznej.

W Warszawie opowiadano sobie w lipcu nie bez pewnej dozy naiwności, że stolicę zajmą wojska austriackie z Legionami jako strażą przednią. Rzecz prosta nie doszło do tego i dojść nie mogło.

Ambasador francuski w Piotrogradzie Maurice Paléologue notował w swym dzienniku 6 sierpnia 1915 r.: „Niemcy weszli wczoraj do Warszawy. Z punktu widzenia strategicznego znaczenie tego wydarzenia jest

doniosłe. Rosjanie tracą Polskę z jej ogromnymi zasobami. Będą zmuszeni cofnąć się na linię Bugu, górnego Niemna i Dźwiny. Ale bardziej niepokoją mnie konsekwencje moralne. Czy ta nowa klęska, która zapowiada dalsze w bliskiej przyszłości, jak upadek Osowca, Kowna, Wilna, nie załamie tego zrywu energii narodowej, który obserwujemy od niejakiego czasu”.

Marsz wojsk Państw Centralnych na wschód przyniósł sukcesy, przyniósł zwycięstwa, ale nie dał spodziewanych optymalnych wyników militarnych: armii rosyjskich zgromadzonych w Królestwie nie powiodło się oskrzydlić i zniszczyć. Rosjanie ponieśli znaczne straty w ludziach i w sprzęcie bojowym, ale trzon armii zdołał się wycofać za Wisłę.

Zwycięstwo nie dało wyników politycznych. Rosja nie była skłonna prosić o pokój odrębny. Dyrektor Hans–Niels Andersen, nieoficjalny pośrednik pomiędzy Berlinem a Piotrogradem, był w pierwszych dniach sierpnia 1915 r. nad Newą, rozmawiał z dygnitarzami rosyjskimi, a nawet z samym carem. 8 sierpnia, a więc w trzy dni po wejściu Niemców do Warszawy, Andersen był już w Berlinie. Wrażenia piotrogrodzkie streścił Albertowi Ballinowi cytując słowa cara, że Rosjanie ani Kurlandii, ani Polski nie uważają za części właściwej Rosji i że Rosja ma możliwość prowadzić wojnę nadal aż do zwycięskiego końca; im bardziej Niemcy i Austriacy oddalą się od swoich baz i im bardziej wejdą w głąb imperium carów, tym pomyślniejsza będzie sytuacja wojsk rosyjskich, zwłaszcza w obliczu nadchodzącej zimy.

Warszawa w rękach niemieckich była w grze Berlina z Piotrogiem cennym atutem politycznym, atutem polskim można było albo uderzyć w Rosję, albo skłonić ją do pokoju. Ale i w jednym, i w drugim przypadku należało umocnić zdobyte pozycje.

20 sierpnia 1915 r. Niemcy zdobyli twierdzę w Modlinie, 23 sierpnia zajęli Kowno, silny punkt oporu armii rosyjskich frontu północno–zachodniego, 25 sierpnia padł Brześć Litewski, 18 września stanęli Niemcy w Wilnie.

Jesienią 1915 r. front wschodni ustalił się na czas dłuższy; szedł długą linią od Zatoki Ryskiej nieco na południe od Rygi, dalej na zachód od Dźwińska, przez Smorgonie, na zachód od Dubna i od Tarnopola do Bukowiny.

Generał Hoffmann oceniał sytuację nie bez rozczarowania; 20 września 1915 r. zapisał w swym dzienniku: „Nasza ofensywa wileńska jeszcze nie dała rezultatu, którego się spodziewałem, tj. wielkiej ilości jeńców i (zdobytych) armat. Strategicznie jest to znaczny sukces, gdyż Rosjanie uciekają na całym froncie (...) Ludzie w kraju pragną wszakże zwycięstwa, które da się wyrazić w liczbach. Nic się nie opłaca póki nie mamy 50 tys. jeńców”. A w cztery dni później, 24 września, notował: „Jest rezultat operacji - Wilno, odwrót Rosjan na całym froncie, ale nie ma 50 tys. jeńców, na których liczyłem. Nasi ludzie są zbyt przemęczeni, do tego brak kolei. Wszystko połamane (*entzwei*), nie ma urządzeń telefonicznych, krótko mówiąc ciężkie czasy”.

Interesujący jest ten głos niemieckiego generała. Bardziej może interesujące, bo bardziej ogólnego charakteru są opinie o armii niemieckiej i walce z armią niemiecką dwóch oficerów rosyjskich - Polaka i Rosjanina. Pierwsza chronologicznie opinia pochodzi z września roku 1914; jej autorem jest ówczesny kapitan armii carskiej, późniejszy marszałek Związku Radzieckiego Boris Szaposznikow.

„Analizując bój pod Jędrzejowem (14 września 1914) - pisze Szaposznikow - nie można nie dojść do wniosku, że otworzył on oczy wielu naszym dowódcom na niepodważalną prawdę, iż walczymy z bardzo silnym i niebezpiecznym przeciwnikiem. Również w sztabie korpusu i w sztabie dywizji rozumiano, że walczyć z Niemcami jest znacznie trudniej niż z Austriakami, ale znów nie tak strasznie jak twierdzili ci, którzy uczestniczyli w walkach w Prusach Wschodnich”.

A ówczesny carski generał, późniejszy generał polski i wiceminister spraw wojskowych Eugeniusz de Henning-Michaelis pisał wczesną jesienią 1915 r.: „Głębsze wniknięcie w przebieg spraw wojennych wyrobiło we mnie przekonanie, że wojna na froncie wschodnim jest nie do wygrania. Niemcy górowały nad Rosją nie tylko techniką wojenną, nieporównanym składem oficerów, wykształconych, energicznych, zaciekłych w wykonaniu postawionych im celów, ale i duchem narodu; armia zaś tkwiła głęboko swymi korzeniami w ziemi ojczystej, czerpała z niej siły moralne, żądzę zwycięstwa. Przypuszczałem więc, że zada-

nia strategiczne armii rosyjskiej ograniczą się do przetrzymywania przed sobą maximum sił niemieckich, czyli obrony czynnej, główna zaś akcja zostanie rozegrana na froncie zachodnim. Jako Polak wolałem to nawet; dość niszczących fal wojennych przewaliło się już przez polską ziemię...”

Niewielkie różnice poglądów obu oficerów na armię niemiecką i na walki na froncie wschodnim dadzą się łatwo wyjaśnić - inaczej widzieć musiał sytuację Polak, nawet służący w armii rosyjskiej, inaczej Rosjanin; inaczej wreszcie kształtowała się sytuacja z początkiem jesieni 1914 r., inaczej z początkiem jesieni roku 1915.

Bardzo interesujące są również rozważania o armii rosyjskiej po ciężkich walkach latem 1915 r. ówczesnego kwatermistrza generała Jurija Daniłowa.

Stan armii rosyjskiej pozostawiał już w początkach jesieni 1915 r. wiele do życzenia. Zarówno u przeciwników, jak i u sprzymierzeńców powszechne było przekonanie o niewyczerpanych zasobach ludzkich państwa carów. Istotnie spośród wszystkich państw walczących miała Rosja największą ilość mieszkańców i mogła powołać do szeregów najwięcej rekrutów. Cóż, gdy nie zawsze można było dać tym rekrutom broń do ręki i szkolić ich w jej użyciu. Walki wiosną i latem 1915 r. zmniejszyły armię rosyjską obu frontów północno-zachodniego i południowo-wschodniego o pół miliona żołnierza. Przywrócić wojsku poprzednią liczebność było sprawą niezmiernie trudną nie dla braku ludzi, lecz dla braku broni. Dla szkolenia i uzbrojenia pół mi-



liona żołnierzy, których należało wysłać na front, dowództwo rosyjskie miało zaledwie 40 tys. karabinów. Trudne do wyrównania były niemałe straty w korpusie oficerskim. Ciężkich szkód doznała artyleria, tabory, kuchnie polowe, urządzenia telefoniczne, częściowo zniszczone w ogniu walk, częściowo zagarnięte przez nieprzyjaciela, częściowo zagubione.

Jak zwykle w czasach niepowodzeń szukano winnych. 12 czerwca 1915 r. otrzymał dymisję minister wojny generał kawalerii Władimir Suchomlinow. Zostanie on wkrótce oskarżony o nadużywanie władzy, łapownictwo, bezczynność i, co najważniejsze, o zdradę stanu; w kwietniu 1917 r. zostanie skazany na dożywotnią katorgę.

Większe znaczenie miała zmiana na stanowisku naczelnego wodza. 23 sierpnia 1915 r. wielki książę Mikołaj Mikołajewicz otrzymał dymisję ze stanowiska wodza armii rosyjskich w Europie wraz z jednoczesną nominacją na namiestnika Kaukazu. W dwa dni później, 25 sierpnia, wielki książę wraz ze swym wiernym szefem; sztabu generałem Mikołajem Januszkiewiczem wyjechał na Kaukaz. Na czele armii stanął sam car.

Jakie motywy kierowały słabym, ograniczonym autokrata i skłoniły go do podjęcia tak ważnej i brzemiennej w skutki decyzji? Było to zapewne anachroniczne, monarchistyczne zapatrywanie, że monarcha powinien osobiście stać na czele swego wojska i wieść je do boju z nieprzyjacielem. Jak pamiętamy już w sierpniu 1914 r. Mikołaj II chciał objąć dowództwo i tylko z największym trudem doradcom udało się od-

wieść go od tego zamiaru. Wrócił do tej nierozważnej myśli po roku wojny, w okresie ciężkich niepowodzeń militarnych i tym razem nie dał się odwieść od fatalnej dla dynastii decyzji. W ślepym, dziecinnym uporze podtrzymywała słabego człowieka rozhisteryzowana caryca Aleksandra Fiodorowna.

W znamienity sposób minister spraw zagranicznych wyjaśniał ambasadorowi sprzymierzonej Francji powody carskiej decyzji. Było ich wiele, ale najważniejsza to ta, że wielki książę Mikołaj Mikołajewicz nie podołał zadaniu naczelnego wodza. Dlatego dowództwo obejmuje sam car, a generał Aleksiejew, mający wyższe kwalifikacje, będzie współdecydował.

„Jakie były inne powody - zapytał dociekliwy Paléologue - które skłoniły cesarza do objęcia dowództwa? - Sazonow spogląda na mnie smutny i zmęczony, po chwili odpowiada z wahaniem: «Cesarz chciał z pewnością pokazać, że nadeszła dlań godzina, kiedy powinien wykonywać swą najwyższą prerogatywę monarszą i stanąć na czele swej armii. Nikt nie będzie mógł odtąd wątpić, że cesarz chce prowadzić wojnę do ostatnich poświęceń. Jeśli miał inne jeszcze powody, wolę o nich nie wiedzieć»”.

Ostatnie zdanie wyjaśnia wszystko, myśli, niepokoje i obawy Sazonowa.

Fatalna była decyzja, fatalna była chwila wprowadzenia jej w życie w czasie klęsk i odwrotu.

Jakie znaczenie dla biegu operacji militarnych miało objęcie dowództwa przez cara? Wydawać by się mogło, że niewielkie. Miejsce wielkiego księcia zajął do-

tychczasowy dowódca frontu północno–zachodniego generał piechoty Michaił Aleksiejew i on był faktycznym wodzem armii rosyjskiej. Nie wdajemy się w zawiłą kwestię, kto był lepszym wodzem, Mikołaj Mikołajewicz czy Michaił Aleksiejew, ale pamiętajmy, że wielki książę był rzeczywiście wodzem naczelnym i wydawał rozkazy formalnie w imieniu cara, ale bez pośrednictwa. Aleksiejew natomiast był tylko szefem sztabu i jego zdanie ważyło wtedy tylko, gdy aprobował je car. A jakie wpływy oplątywały słabego Mikołaja, jakie intrygi snuto w jego otoczeniu. Utrudniało to niepomiernie pracę generała Aleksiejewa.

Ten stan rzeczy znała i rozumiała jedynie część społeczeństwa, natomiast w rozumieniu wojska i ogromnej większości narodu rosyjskiego odpowiedzialność za niepowodzenia i klęski, za pochód nieprzyjaciela w głąb kraju spadała na cara. Idei monarchistycznej, autorytetowi panującego i dynastii zadawało to nowy cios i to cios dotkliwy.

Wiosną 1915 r. opowiadano w Piotrogradzie jak zimno i z jaką niechęcią witała armia cara podczas jego wizyty na froncie w Galicji. „Opowiadania o carycy i Rasputinie zadały cios autorytetowi cesarza pomiędzy oficerami i pomiędzy żołnierzami. Nie wątpię, że w pałacu w Carskim Siole czai się zdrada. (...) Pod Lwowem jeden z oficerów wielkiego księcia usłyszał pomiędzy dwoma porucznikami: «O którym Mikołaju mówisz? - Ależ o wielkim księciu, do diabła! Tamten jest Niemcem!»”.

Nowego wodza, generała Aleksiejewa, tak charakteryzował generał Michaelis: „Dobry fachowiec, bez nadzwyczajnych zresztą zdolności, niesłuchanie pracowity, skromny, brzydzący się intrygą, nie miał on jednak silnej woli”.

## 41. Pierwsze zabiegi o pokój

„Śledziłem bardzo uważnie - pisze Tomáš Garrigue Masaryk - wszystkie zabiegi o pokój: charakteryzowały one sytuację ogólną nie gorzej niż bieg wydarzeń na polach bitew”.

Pójdźmy i my śladami Masaryka i prześledźmy zabiegi o pokój, czy też o wszczęcie rozmów na temat pokoju.

I w gorących tygodniach lipcowych 1914 r. i później, już po rozpoczęciu działań wojennych, nie ustawały z różnych stron podejmowane zabiegi o utrzymanie lub przywrócenie pokoju. Działała w tym kierunku czy ściślej mówiąc usiłowała działać międzynarodówka robotnicza. Zabiegi o pokój podjęła też inna zupełnie, przeciwna tamtej, międzynarodówka dynastyczna. „Tylko monarcha może pośredniczyć w dzisiejszej zawierusze” - miał powiedzieć Wilhelm II. Czy ostatni cesarz niemiecki i król pruski rozumiał mówiąc te słowa, że panujący albo przyczynią się do zapewnienia swym poddanym pokoju, albo znikną z areny dziejowej?

Tak jak zawiedli w roku 1914 ludzie przyszłości, zawiodła międzynarodówka robotnicza, tak zawiedli i ludzie przeszłości - międzynarodówka dynastyczna,

rodzina monarchów europejskich. Monarchia nie była już, także w Europie Środkowej i Wschodniej, tą siłą, którą była niegdyś, a na żadnym z tronów nie zasiadał naprawdę wybitny i silny mąż stanu. Toteż mediacje dynastyczne - czy je podejmował blisko z królem angielskim i z carem spowinowacony król duński Chrystian X, czy król Szwecji Gustaw V Adolf, czy brat carycy Ernest Ludwik książę hesko-darmsztacki - zakończyły się zupełnym niepowodzeniem. Nie warto zajmować się nimi bliżej.

Warto natomiast zwrócić uwagę na zabiegi pokojowe prowadzone oficjalnie, a częściej nieoficjalnie, przez rządy państw walczących.

Ledwo wojna rozgorzała, a już wszczęto pierwsze zabiegi pokojowe. Rzecz szczególna, zainicjowało je państwo, które formalnie rzecz biorąc wojnę roznieciło - Niemcy. Przecież nie Rosja Niemcom, nie-Francja Niemcom, to Niemcy Rosji, to Niemcy Francji wypowiedziały wojnę. A teraz Niemcy właśnie występowały z inicjatywą zawarcia pokoju, występowały poufnie i dyskretnie, ale także jawnie. Występowały w roku 1914, 1915, 1916, 1917. Wszystkie próby spęzły na niczym.

Natomiast ze strony Koalicji, ze strony zaatakowanej nie widzimy prób położenia kresu wojnie. Sprawa ta, dziwna na pozór, jest wszakże prosta i zrozumiała.

Niemieckie próby zawarcia pokoju miały na celu przede wszystkim rozbicie otaczającego Rzeszę nieprzyjacielskiego pierścienia przez zawarcie pokoju z jednym z państw Koalicji. Zwracano się głównie

w kierunku Rosji, choć brano pod uwagę - co prawda incydentalnie - i Francję.

Pokój odrębny to pierwszy, zasadniczy cel działań dyplomacji niemieckiej w owym okresie, ale w Berlinie widziano chętnie - zwłaszcza w kręgu polityków poważniejszych, bardziej umiarkowanych - także pokój kompromisowy, pokój bez aneksji i bez odszkodowań. Po przegranej nad Marną, po przegranej we Flandrii dowództwo niemieckie nie widziało możliwości wywalczenia pełnego, całkowitego zwycięstwa w wojnie z nie rozbitą Koalicją. Pokój kompromisowy musiał więc być pożądanym, zwłaszcza że prawdziwe korzyści przyniósłby on nie Koalicji, lecz właśnie Niemcom.

Pokój bez odszkodowań był to pokój bez odszkodowań dla państw Koalicji, był to pokój, na którego mocy pozbawiona byłaby odszkodowań straszliwie najazdem zniszczona Francja, pozbawiona byłaby odszkodowań Polska, gdzie również toczyły się ciężkie boje. Wojna natomiast oszczędziła Niemcy, nieznacznie tylko dotknięte działaniami wojennymi w Prusach Wschodnich. Ponadto łodzie podwodne niemieckie niszczyły flotę nie tylko wojenną, ale i handlową państw Koalicji, przede wszystkim Wielkiej Brytanii i Francji. Zamierzano w taki sposób uzyskać ogromny wzrost znaczenia i dochodów niemieckiej floty handlowej.

Pokój bez aneksji to nienaruszone terytorium Rzeszy - Poznańskie, Śląsk, Pomorze, Alzacja i Lotaryngia nadal w rękach niemieckich, nadal poddawane procesowi usilnej germanizacji. Pokój bez aneksji to rosnące

wpływy gospodarcze i polityczne Berlina w monarchii naddunajskiej, na Bałkanach i w Turcji, wpływy, którym nie zdołałyby się przeciwstawić ani państwa zachodnie, ani Rosja. Pokój bez aneksji to przygotowanie gruntu pod „*Mitteleuropę*”.

A po stronie Koalicji? Tu było akurat odwrotnie. Państwa Koalicji - Francja, Wielka Brytania, Rosja - walczyły o zniszczenie imperializmu niemieckiego i pruskiego militarizmu. Dla Francji celem wojny było odzyskanie Alzacji i Lotaryngii i usunięcie grożącego jej od roku 1871 niebezpieczeństwa niemieckiego. Cel wojenny Wielkiej Brytanii to zlikwidowanie rywalizacji morskiej, handlowej, kolonialnej z Niemcami. Podobnie rysowały się cele wojenne Rosji - zniweczyć przewagę niemiecką nad Dunajem, na Bałkanach, na Bliskim Wschodzie. Osiągnięcie tych celów było możliwe tylko w wypadku zupełnej klęski militarnej Niemiec.

Dla Koalicji wchodził w grę jeszcze jeden czynnik - dyskusja pomiędzy sprzymierzeńcami na temat celów wojennych, jeśli wychodziło się poza ogólniki, była sprawą drażliwą i trudną, może i niebezpieczną. Dwa zwłaszcza czynniki odgrywały tu rolę niepoślednią - Polska i Konstantynopol. W sprawie polskiej spośród rządów państw Koalicji głos zabierał jedynie rząd carski i to w sposób nielojalny. Gdyby wypowiedziały się w tej kwestii rządy Francji czy Wielkiej Brytanii, osłabiłoby to więzy łączące te państwa z ich wschodnim sprzymierzeńcem. Podczas toczącej się wojny można było sprawę polską pomijać milczeniem, ale w czasie

rokowań pokojowych, podczas ustalania przyszłej granicy pomiędzy Rosją a Niemcami i Austro–Węgrami, kiedy kształtowano powojenne stosunki pomiędzy trzema zaborcami, musiała sprawa polska wystąpić. A to z kolei miało podstawowe znaczenie i dla Paryża, i dla Londynu.

Jak pamiętamy, Konstantynopol był celem wojennym Rosji, ale realizacja tego celu budziła niechęć i obawy zarówno Paryża, jak Londynu. Wprawdzie Francja i Wielka Brytania wyraziły zgodę na panowanie rosyjskie w Cieśninach, ale była to zgoda udzielona nieszczerze i z ukrytymi zastrzeżeniami.

Natomiast plany niemieckie w stosunku do Polski i w stosunku do Konstantynopola nie krępowały rządu Rzeszy ani wtedy, gdy szło o wznoszenie polskiej zapory przeciwko Rosji, ani gdy chciano szantażować Rosję kartą polską; nie krępowały czy chodziło o umocnienie pozycji imperializmu niemieckiego nad Bosforem, czy o mamienie Rosji widokami niemiecko–rosyjskiego kondominium w Konstantynopolu. Stosownie do biegu wydarzeń można było zastosować raz ten zabieg raz inny.

W prowadzonych w Niemczech dyskusjach teoretycznych na temat celów wojennych znaczną rolę odgrywała kwestia, kto jest głównym przeciwnikiem Niemiec, tzn. które z trzech mocarstw Koalicji, Francja, Wielka Brytania czy Rosja, było najbardziej skuteczną zaporą dla ekspansji imperializmu niemieckiego.

Niemcy musieli rozstrzygnąć odpowiedź na pytanie, kto jest ich głównym wrogiem? Rosja, jak o tym



skutecznie przekonywano lewicę, Francja, dążąca do odzyskania Alzacji i Lotaryngii, czy Wielka Brytania, główna przeszkoda na drodze wyznaczonej przez *Weltpolitik*.

W zupełnie innej sytuacji znajdowała się Koalicja; tu wróg był jeden - Niemcy. Pokonać Rzeszę, zdławić Prusy, zniszczyć pruski militarizm, zniszczyć flotę niemiecką - oto cel, który łączył Francję, Wielką Brytanię i Rosję. Sprzymierzeńcy Niemiec - Austro-Węgry, później Turcja i Bułgaria - stali na dalszym planie.

Ostatecznie Niemcy za przeciwnika najgroźniejszego, za przeciwnika, z którym kompromis był niemożliwy, uznali Wielką Brytanię. „Anglia - pisał kanclerz 6 listopada 1915 r. - wydaje się najmniej przygotowana do ustępliwości”.

W Rosji natomiast upatrywano partnera, z którym zawarcie pokoju szeroko otwierającego drogę do ekspansji imperializmu niemieckiego byłoby możliwe. To też względem Rosji stawiano cel doraźny - zawrzeć pokój odrębny. Dalszą natomiast kwestią był projektowany stopień osłabienia Cesarstwa Rosyjskiego i rozmiary zamyślanych kosztem Rosji aneksji.

W listopadzie 1914 r. w charakterze pośrednika pomiędzy Wielką Brytanią i Rosją z jednej, a Niemcami z drugiej strony zaczął działać Duńczyk Hans-Niels Andersen, naczelny dyrektor Kompanii Wschodnioazjatyckiej. Andersen z własnej inicjatywy, czy może za podszeptem Alberta Ballina, pozyskał króla Danii Chrystiana X do akcji mediacyjnej pomiędzy dworami

londyńskim, petersburskim i berlińskim. Andersen rękomo z ramienia króla jeździł do Londynu, Piotrogradu i Berlina, i poufnie rozmawiał z różnymi politykami. Mediacja pozostała bez skutku. Dla historyka wszakże relacje Andersena nie są pozbawione znaczenia, rzucają bowiem światło na nastroje kół rządowych, zwłaszcza piotrogrodzkich.

Nad Newą od dawna działały niepoślednie wpływy niemieckie, odczuwało się je zwłaszcza w tzw. sferach, czyli w kołach dworskich, pośród wyższej biurokracji, a także w kręgach wielkiej burżuazji.

Niemcy liczyli na poparcie wpływowego polityka rosyjskiego Wittego. Siergiej Witte, dawny minister komunikacji, skarbu, prezes komitetu ministrów, negocjator traktatu z Japonią w 1905 r., otoczony głęboką nieufnością i niechęcią Mikołaja II, odsunięty od władzy, ale nie od zakulisowych wpływów, nie zrezygnował z ministerialnych ambicji i dążeń do odegrania jak przed laty roli czynnej, dominującej. Od chwili powrotu z wakacji w Biarritz w początku września 1914 r. występował z ostrą krytyką polityki rządu carskiego. Ambasadorowi Francji wręcz oświadczył w dniu 10 września: „Ta wojna jest szaleństwem (...) należy jak najprędzej zlikwidować tę głupią awanturę”. Zdaniem Wittego wojna nie mogła Rosji przynieść żadnych korzyści. Nie mogła przysporzyć korzyści powiększenia terytorium, gdyż Cesarstwo Rosyjskie zajmowało olbrzymie obszary, a „na Syberii, w Turkiestanie, na Kaukazie, w Rosji samej posiada wielkie, a dotychczas nieeksploatowane terytoria. A jakież to zdobycze nam

obietują? Prusy Wschodnie. Czyż cesarz nie liczy w rządzie swych poddanych już dość Niemców? Galicja. Ależ tam pełno Żydów! A zresztą w dniu, w którym przyłączymy polskie ziemie Austrii i Prus, utracimy Polskę rosyjską. Nie łudźmy się, Polska zjednoczona nie zadowoli się autonomią, którą jej niemądrze obiecano, zażąda całkowitej niepodległości i uzyska ją. Czego można się spodziewać jeszcze? Konstantynopol, krzyż na Świętej Zofii, Bosfor, Dardanele. To tak niemądre, że nie warto się tym zajmować”. Zwycięstwo napawało Wittego innymi jeszcze obawami. Zupełna klęska i upadek imperiów Habsburgów i Hohenzollernów to nie tylko koniec przewagi niemieckiej, ale „to proklamacja republiki w całej Europie Środkowej. A tym samym to koniec caryzmu”. Takie wnioski przychodziły Wittemu na myśl o zwycięstwie Koalicji. A co by było w razie zwycięstwa Państw Centralnych? „Wolę zachować dla siebie - powiedział - przewidywania, które mi nasuwa hipoteza naszej klęski”.

Rzecz prosta, że niektóre przynajmniej argumenty Wittego, zwłaszcza przewidywania na temat zaprowadzenia ustroju republikańskiego w Europie Środkowej, musiały na wielu Rosjanach ze sfer rządowych robić wrażenie. Nic więc dziwnego, że w Berlinie z osobą Wittego wiązano niemałe nadzieje i utrzymywano z nim bliskie stosunki. Zaufany sekretarz rosyjskiego męża stanu niejaki J. Melnik przez lata pozostawał na żołdzie niemieckim i przekazywał do Berlina raporty o sytuacji w Rosji. Wittego wiązały z Berlinem, a ściślej z bankami berlińskimi, misterne powiązania.

W domu bankowym Mendelssohnów złożył przed wojną poważne kwoty; dla Niemców był to dogodny środek nacisku. Ale Witte był graczem doświadczonym i pewnym siebie. Nawiązał poufny, listowny kontakt z Robertem Mendelssohnem. „Gdybym był u władzy - pisał 16 listopada 1914 r. - nie doszłoby do tego piekła”, tzn. do wybuchu wojny. W następnym liście 25 lutego 1915 r. donosił swemu berlińskiemu zausznikowi, że w Piotrogradzie zapadła decyzja, iż on - Witte - ma zostać delegatem rosyjskim na konferencję pokojową. Jako polityk skrupulatny i człowiek honoru Witte nie będzie mógł się podjąć tej funkcji, aby nie narazić się na zarzut, że szukając porozumienia z Niemcami działa w interesie osobistym. „Jeśli sądzi Pan - pisał do Mendelssohna - że mój udział w konferencji byłby użyteczny, powinien Pan przyczynić się do usunięcia okoliczności, które nakazują mi odrzucić propozycję objęcia stanowiska delegata’,,. Prosił więc o umieszczenie jego berlińskiego depot w jednym z banków w Kopenhadze lub w Sztokholmie na nazwisko żony. Władze niemieckie przychyliły się, rzecz prosta, do życzenia piotrogradzkiego przyjaciela i zgodziły się jego depot przekazać do Danii lub Szwecji, lecz dla ostrożności nie na imię hrabiny Witte, ale postronnego duńskiego lub szwedzkiego męża zaufania.

Sprawa nie miała wszakże już znaczenia, gdyż Witte zmarł 13 marca 1915 r.

A oto znamienne wypowiedzi o rosyjskim mężu stanu, pochodzące z dwóch przeciwnych obozów. Według wiadomości napływających „z Petersburga - pisał

25 grudnia 1914 r. kanclerz Bethmann Hollweg - wyraża się, że rośnie wpływ hrabiego Wittego; upatruje się w nim nawet następcę obecnego ministra finansów (Piotra) Barka (...) Wobec znanych poglądów Wittego uważam powrót jego na scenę polityczną za wydarzenie bardzo pomyślne”.

W kilka tygodni później ambasador Francji w Piotrogradzie w depeszy na *Quai d'Orsay* z wiadomością o śmierci Wittego napisał z zadowoleniem: „Wraz z jego zgonem wygasło wielkie ognisko intryg”.

„Wygasło wielkie ognisko intryg”, ale nie ustały intrygi, których celem było rozbicie Koalicji. Miały one różny charakter i różny zasięg.

W pierwszych miesiącach 1915 r. generał Falkenhayn zdecydował się, choć niechętnie, główne uderzenie skierować na front wschodni. 2 maja 1915 r. nastąpił gwałtowny atak Niemców i Austriaków pod Gorlicami, 3 czerwca padł Przemyśl, 22 czerwca Austriacy wkroczyli do Lwowa, do końca czerwca wojska Państw Centralnych odzyskały prawie całą Galicję Wschodnią i Bukowinę. Powodzenie sprzyjało Niemcom i na północy, 7 maja zajęli Libawę (Lipawa). 1 lipca rozpoczęła się nowa, wielka ofensywa niemiecko-austriacka od brzegów Morza Bałtyckiego do Sanu. Ofensywa ta przyniosła wojskom Państw Centralnych nowe zwycięstwa - 5 sierpnia została zajęta Warszawa, 18 sierpnia Kowno, 20 sierpnia został zdobyty Modlin, 25 sierpnia Brześć Litewski.

Bijące w oczy sukcesy oręża niemieckiego wywoływały w Niemczech radosne podniecenie; formułowano

daleko idące żądania rozlicznych aneksji na zachodzie kosztem Francji i Belgii i na wschodzie kosztem Cesarstwa Rosyjskiego. Między innymi domagano się przyłączenia krajów bałtyckich i to nie tylko Kurlandii, ale i Inflant, „Ryga musi być Niemiecka”.

Entuzjaści wielkich aneksji i zdobyczy nie zdawali sobie sprawy, że właśnie wówczas, w dniach wielkich zwycięstw, miarodajne czynniki nie tylko w Wiedniu, ale i w Berlinie zabiegały o skłonienie Rosji do zawarcia pokoju odrębnego. Nie sposób się zresztą temu dziwić. 23 maja 1915 r. niedawny sprzymierzeniec - Włochy wydały wojnę Austro-Węgrom. Niepewne pozostawało stanowisko innego sprzymierzeńca - Rumunii. Szef sztabu austriackiego generał Conrad von Hötzendorf chciał budować Rosji „złote mosty”, chciał rezygnować z wszelkich aneksji i odszkodowań, a nawet gotów był przyrzec Rosjanom prawo wolnego przejazdu przez Dardanele, jeśli Rosja nie tylko zawrze pokój, ale i przymierze z Państwami Centralnymi. Za ustępstwami na rzecz Rosji opowiadał się i węgierski prezes ministrów Istvan Tisza.

Stanowisko takie nie może dziwić. Jak niejednokrotnie przedtem, jak niejednokrotnie potem istniała zasadnicza różnica pomiędzy nastrojami opinii publicznej urabianej optymistycznymi komunikatami wojennymi, a rzeczywistym położeniem Państw Centralnych, położeniem, które dokładnie znało i rozumiało tylko niewielu ludzi na kierowniczych stanowiskach.

W istocie koniec zimy i początek wiosny 1915 r. to wbrew pozorom okres ciężki dla Państw Centralnych.

Krwawa zimowa bitwa na Mazurach (4–22 lutego), choć zakończona zwycięstwem, przyniosła ogromne straty wojskom niemieckim. Na froncie zachodnim ofensywy francuska i brytyjska nie zdołały wprowadzić przelamać niemieckich linii obronnych, ale wyrządziły Niemcom znaczne szkody. Armia austro–węgierska z największym tylko wysiłkiem powstrzymała w Karpatach Rosjan i nie pozwoliła im wdrzeć się na Wielką Nizinę Węgierską. Występowały już w c. i k. wojskach, przede wszystkim w pułkach czeskich, objawy rozkładu. Ponadto od lutego, od brytyjsko–francuskiego ataku na Gallipoli (Gelibolu) wzmoógł się niepokój na Bałkanach, coraz wyraźniej chwiała się w swej sojuszniczej wierności Rumunia. Coraz też bardziej zagrażała Austro–Węgrom wojna na południu, coraz bardziej zagrażała napaść włoska.

W tych warunkach w Berlinie i w Pszczynie rozważano możliwości rozbicia pierścienia otaczającego Państwa Centralne, innymi słowy - szansę zawarcia pokoju odrębnego z Rosją. Zastanawiano się, czy zwycięstwa niemiecko–austriackie z wiosny 1915 r. „złamały Rosji kręgosłup”, czy też jedynie armia rosyjska utraciła siłę zaczepną i przestała być groźnym przeciwnikiem. Szerzył się pogląd, że Rosja zawrze pokój odrębny w tym tylko przypadku, jeśli zostanie „śmiertelnie ugodzona”. A Rosję ugodzić śmiertelnie można nie uderzeniem na Petersburg, lecz zabránieniem jej węgla i nafty, czyli uderzeniem na Ukrainę.

Kanclerz Bethmann Hollweg wszakże i szef sztabu Falkenhayn zgodni byli co do tego, iż należało podjąć

próby pozyskania rządu carskiego dla myśli pokoju odrębnego, co więcej, bliższego związania się z Rosją pod względem politycznym i gospodarczym. Do gry rzucono dwa atuty, na które carat szczególnie był wrażliwy: Konstantynopol i kwestię polską.

Zarówno kanclerza, jak i szefa sztabu w myśli tej umacniało stanowisko austro-węgierskiego sprzymierzeńca. Rozpoczęta właśnie wojna z Włochami i konieczność szukania militarnej pomocy niemieckiej dla wyparcia Rosjan z Galicji nie mogły pozostać bez wpływu na stanowisko Wiednia i Budapesztu.

Austriacy latem 1915 r. gotowi byli zrezygnować z wszelkich aneksji ziem wchodzących w skład Cesarstwa Rosyjskiego; jeśli myśleli o pozyskaniu Sosnowca z jego węglem, to skłonni byli w zamian do ustępstw w Galicji Wschodniej. Przymierze z Rosją gotowi byli okupić udzieleniem Rosji prawa wolnego przejazdu przez Cieśniny.

Już od marca 1915 r. ambasador niemiecki przy Wysokiej Porcie baron Hans von Wangenheim pracował usilnie nad wyrównaniem interesów niemieckich, tureckich i rosyjskich nad Bosforem. Chodziło o pokazanie w Piotrogradzie, że drogę przez Cieśniny otworzą Rosji nie Francja i nie Wielka Brytania, lecz Niemcy.

Szwecja była terenem, który wybrano do przeprowadzenia gry z Rosją. W lecie 1915 r. rozeszły się w Sztokholmie pogłoski, najwidoczniej inspirowane przez Niemców, że po spodziewanej w niedługim czasie bitwie w dorzeczu Wisły Rosja rozpocznie rokowa-



nia o pokój odrębny na następujących warunkach: Cieśniny dla Rosji, Polska dla Niemiec.

W połowie lipca 1915 r. przybył z Berlina do Sztokholmu dyrektor *Deutsche Bank* Mankewitz, polsko–rosyjski izraelita z pochodzenia, absolwent politechniki berlińskiej, zajął jedno z czołowych miejsc w finansjerze niemieckiej, żywo zarazem interesował się polityką. Wraz z Bassermannem, Stresemannem, Stinnesem, Hugenbergiem i innymi był członkiem wpływowego klubu politycznego w Berlinie, tzw. „*Mittwochgesellschaft*”.

W połowie lipca Mankewitz przybył do Sztokholmu i rozpoczął dyskretne rekonesanse. Ich celem było podjęcie rozmów z Rosjanami, wskazanie im korzyści, jakie by przyniosło porozumienie z Niemcami. A w relacji Mankewitza sprawa wyglądała naprawdę interesująco.

Oto większość narodu niemieckiego nie rozumie celu i sensu wojny z Rosją, a rząd musi się liczyć z uczuciami i sympatiami społeczeństwa. Niemcy zdają sobie sprawę z tego, że dla Rosji wolny, nieskrępowany przejazd przez Cieśniny jest rzeczą niezbędną. Zdobyć Dardaneli przekracza możliwości rosyjskie. Niemcy wszakże gotowe są pójść Rosji na rękę - Cieśniny tworzyć będą wspólne terytorium rosyjsko–turecko–niemieckie. Rosja musiałaby się jednak zgodzić na niewielkie korektury graniczne w Królestwie. W razie podpisania pokoju odrębnego Niemcy mogą zapewnić Rosji pożyczkę w wysokości niemałej, bo od 5 do 10

miliardów marek; byłaby ona zużyta „na rozwój bogactw rosyjskich”.

W najbliższym czasie rozpocznie się ofensywa niemiecka na froncie wschodnim. Jest sprawą ważną, aby rokowania poufne rozpoczęły się i doprowadziły do porozumienia jeszcze przed większymi zwycięstwami Niemców, gdyż wówczas w obliczu znacznych sukcesów wojennych opinia publiczna w Niemczech nie byłaby w stanie zrozumieć tak wielkich ustępstw na rzecz Rosji. Niechże więc w Szwecji lub w Danii spotkają się jak najrychlej pełnomocnicy dwóch państw - powinni to być finansisci nie dyplomaci - i zawrą porozumienie.

Była to kombinacja i chytra, i fantastyczna; zyski przyniosłaby tylko Niemcom. Uzyskałyby one pokój na wschodzie i wolne ręce na zachodzie. Nie tylko Turcja byłaby ich półkolonią. Półkolonią niemiecką zostałyby także i Rosja, trwale poróżniona z mocarstwami zachodnimi, mogąca uzyskać potrzebne jej wysokie kredyty tylko w Berlinie.

Rosjanie byli przeświadczeni, że Mankiewitz nie działał we własnym tylko imieniu, widzieli w nim wysłańca rządu Rzeszy. W propozycjach berlińskich dostrzegali z jednej strony świadectwo zmęczenia Niemiec wojną, z drugiej zaś podstęp polityczny i militarny. Poseł rosyjski w Sztokholmie Anatolij Niekludow raportował do Piotrogradu, że przyjęcie oferty oznacza zerwanie z obecnymi sprzymierzeńcami i zupełne poddanie rosyjskiej polityki i gospodarki pod kontrolę Niemiec.

Niemcy nie zadowolili się kuszeniem Rosji pożyczką miliardową i Dardanelami, sięgnęli po oręż stary i wypróbowany, przed którym zawsze wzdrygał się carat, zagrozili w Piotrogradzie poruszeniem sprawy polskiej. Chwila była po temu sposobna. Wojska niemieckie i austro-węgierskie wszczęły w lipcu 1915 r. wielką ofensywę na ziemiach polskich. Łatwo było przewidzieć, że w niedługim czasie Warszawa znajdzie się w rękach niemieckich. Z Berlina przez Sztokholm do Piotrogradu poszły ostrzeżenia, że władze niemieckie będą zmuszone „zająć określone stanowisko względem sprawy polskiej”, tym bardziej że napływające z Polski wiadomości głoszą, że wydatnie wzmożły się tam na siłach „żywioty niepodległościowe” i antyrosyjskie, że „wielka część” ludności jest względem Rosji nastrojona wrogo. Ze względów więc czysto militarynych władze niemieckie, wojskowe i cywilne, muszą się odnieść życzliwie do tak usposobionej ludności polskiej i w pewnym sensie poprzeć jej dążenia. Gdyby wojna miała trwać dłużej, jest rzeczą pewną, że Rosja w taki czy w inny sposób utraci Polskę. Sprawa przedstawia się dla Rosji o tyle „gorzej, że nie ulega wątpliwości, iż pociągnie to za sobą niepożądane dla Rosji konsekwencje i w Finlandii, i w krajach bałtyckich. Rosjanie pomniejszają znaczenie obecnych zwycięstw niemieckich i uważają bieg wypadków na froncie za przejściowe, nie pociągające za sobą poważniejszych skutków niepowodzenia wojsk carskich; nie dostrzegają wszakże tego prostego faktu, iż dłuższa okupacja niemiecko-austriacka ziem polskich wpłynie na rozwój

w społeczeństwie polskim dążeń wolnościowych i niepodległościowych. Poseł niemiecki w Sztokholmie baron F. von Reichenau otrzymał polecenie przedstawienia sprawy szwedzkiemu ministrowi spraw zagranicznych. Jeśliby minister Knut Wallenberg wykazał zrozumienie rzeczy, poseł miał prosić królewski rząd szwedzki o wszczęcie odpowiednich kroków i przedłożeń w Piotrogradzie.

Zanim Reichenau zdążył się porozumieć z Wallenbergiem rozległ się z Piotrogradu głos zdający się zamykać Niemcom nadzieje na pokój z Rosją, 1 sierpnia 1915 r. na posiedzeniu Dumy stary wróg Polski prezes ministrów Iwan Goremykin w mowie o sytuacji wojenno-politycznej znalazł ciepłe słowa dla Polski. „Naród polski, rycerski, szlachezny, wierny, odważny, zasługuje na bezgraniczny szacunek”. Cesarz - mówił dalej Goremykin - rozkazał Radzie Ministrów opracować projekty ustaw, które po wojnie zapewnią Polsce swobodny rozwój narodowy, społeczny, gospodarczy „na podstawie autonomii pod berłem cesarza Rosji”.

Słowa premiera carskiego były bez znaczenia dla Polski, ale miały wagę na terenie międzynarodowym, świadczyły bowiem, że rząd rosyjski daleki jest od myśli zawarcia z Niemcami pokoju odrębnego.

W Berlinie mowa Goremykina wywołała niezadowolanie; nie stracono wprawdzie jeszcze nadziei na pokój odrębny, myślano o przystępnych, dogodnych dla Rosji warunkach porozumienia, tzn. o powstrzymaniu się od wszelkich prób podważenia status quo nad Wisłą. Ale realizm polityczny nakazywał wzięcie pod

uwagę także innych możliwości, a wszystkie one wiązały się z Polską. Wtedy to właśnie kanclerz Bethmann Hollweg po raz pierwszy bodaj wyraził pogląd, niejednokrotnie później powtarzany, także i w pamiętnikach, że dla Niemiec nie istnieje „pomyślne i wolne od niebezpieczeństw” rozwiązanie sprawy polskiej. Czy byłoby to „autonomiczne (*autonomes*) Królestwo Polskie” przymierzem i konwencją militarną ściśle związane z Rzeszą lub z Austro–Węgrami, czy też „większa część Królestwa”, połączona z Galicją w ramach monarchii habsburskiej? Każda taka możliwość kryła w sobie zarodki niepomyślnych sytuacji. „W każdym razie - pisał kanclerz - interes nasz nie pozwala nam zrobić sobie z Polaków wrogów, Rosja (bowiem) posłuży się autonomiczną Polską, pozostającą pod jej panowaniem, do wzniecenia u nas irredenty. (...) Polska natomiast, w takiej czy innej formie wyzwolona od Rosji, stanie się dla nas zasłoną przed zalewem rosyjsko–panslawistycznym, jeśli będziemy jej dobrymi przyjaciółmi”.

A sprawa tej „przyjaźni” nie była taka prosta, Niemcy planowali bowiem „korektury graniczne”, co prawda w takich rozmiarach, aby nie dały obrazu czwartego rozbioru Polski. A przy tym wojna i okupacja niosły dla ludności Królestwa ciężkie ofiary i wyrzeczenia. W Berlinie więc przy biurku kanclerskim ułożono plan takiego postępowania z Polakami, aby ich „niepotrzebnie nie drażnić”, a zarazem nie zamykać sobie dróg do porozumienia z Piotrogradem. „Przedewszystkim żadnych tendencji germanizacyjnych -

wskazywał kanclerz - żadnych niepotrzebnych kontrybucji. Możliwie dobra postawa względem duchowieństwa. Przyciągnięcie Polaków do administracji. Nie dawać politycznych zobowiązań na przyszłość, ale i nie żądać, aby nas witano jako oswobodzicieli”.

5 sierpnia 1915 r. wkroczyli Niemcy do Warszawy, nie dopuścili wszakże do stolicy Polski ani sprzymierzonych wojsk austriackich, ani oddziałów legionowych. W Polsce tłumaczono to sobie niechęcią Berlina do dzielenia się z Wiedniem wpływami w Polsce, do rozwiązania austro-polskiego. Względy te grały niewątpliwie znaczną rolę, ale ważniejszy był tu znowu wzgląd na Rosję; nie chciano zrywać mostów wiodących nad Newę.

Gdy mowa o zabiegach o pokój warto może wspomnieć o oryginalnych pomysłach ambasadora Wangenheima.

Baron Hans von Wangenheim, dawny oficer kawalerii, później poseł niemiecki w Atenach, następnie od roku 1911 ambasador przy Wysokiej Porcie, „inteligentny i energiczny”, pozyskał w ciągu urzędowania nad Bosforem niemały wpływ nie tylko na Turków, ale i na kolegów z korpusu dyplomatycznego. Ambitny, cieszył się zaufaniem i sympatią Wilhelma II, fotel kanclerski poczytywał nie tylko za upragnione, ale i naturalne zakończenie kariery. Interesował się między innymi także kwestią polską; nie krył się z poglądem, że po zwycięstwie nad Rosją Niemcy będą musieli utworzyć „autonomiczne lub niezależne” państwo polskie. Rozmowy na ten temat zwykł kończyć dowcipną sen-

tencją: „Gdybym był Polakiem, wdrapałbym się na drzewo i przyglądałbym się z góry” (rozwojowi sytuacji). Świetnie zapowiadającą się karierę Wangenheima przerwała choroba serca i śmierć przedwczesna w październiku 1915 r. W ostatnich miesiącach życia cechowała go wielka pobudliwość, nerwowość i wielomówność nie zawsze ostrożna. Ale temu właśnie stanowi jego zdrowia, chorobowemu, nerwowemu zawdzięczamy jego śmiałe wynurzenia w rozmowach z ambasadorem amerykańskim Morgenthauem.

W połowie grudnia 1914 r. z całą otwartością przedstawił amerykańskiemu koledze swe poglądy na potrzebę zawarcia pokoju. Włochy - dowodził - do wojny jeszcze nie przystąpiły, ale spodziewać się tego należy na wiosnę. Bułgaria i Rumunia stoją na razie na uboczu, ale na pewno nie zachowają długo tej postawy. Niemcy muszą się liczyć z możliwością zwycięskiej wiosennej ofensywy francusko-brytyjskiej we Francji, jak również z możliwością sforsowania Dardaneli przez flotę brytyjską i francuską i zajęciem Konstantynopola przez Anglików. Niemcom brak ponadto podstawowych surowców do prowadzenia przedłużającej się wojny. W tych warunkach - twierdził Wangenheim - rząd Rzeszy byłby skłonny wszcząć rokowania pokojowe i od razu zarysował ambasadorowi Stanów Zjednoczonych plan działania. Obie strony powinny się powstrzymać od ujawnienia z góry warunków pokojowych.

Do czego by to doprowadziło? Niemcy wysunęłyby, rzecz prosta, żądania, które strona przeciwna uzna-

łaby za śmiesznie wygórowane. Koalicja przedstawiłaby postulaty, które wprawiłyby we wściekłość całe Niemcy. „A rezultat? Obie strony byłyby tak rozdrażnione, że konferencja pokojowa w ogóle nie doszłaby do skutku”. Należy więc postępować inaczej, należy najpierw zawrzeć rozejm. „Gdy raz się przerwie działania wojenne, nie będzie można ich już wznowić. Historia nie zna przypadku zawarcia w wielkiej wojnie zawieszenia broni, które nie doprowadziło do podpisania pokoju. Tak będzie - konkludował Wangenheim - i tym razem”.

W szczerych tych wywodach uderzyła Morgenthaua okoliczność, że jeśli ambasador niemiecki mówił wówczas, w grudniu 1914 r., o pokoju, to na pewno nie myślał o pokoju stałym, trwałym. Wangenheim uważał po prostu, że Niemcy nie przygotowały się należycie do prowadzenia długiej wojny z trzema mocarstwami. Muszą więc zawrzeć pokój, a raczej długi rozejm, który pozwoliłby im dobrze przygotować militarnie i ekonomicznie nową wojnę, wojnę światową.

Pomimo braku wiary w dobrą wolę Niemiec Morgenthau poinformował Biały Dom o wynurzeniach Wangenheima i doradzał prezydentowi Wilsonowi podjęcie mediacji pokojowej. Sugestie te pozostały wszakże bez skutku.

W ambasadzie niemieckiej nad Bosforem panowały wszakże nastroje pełne wiary w bliski pokój. Gdy w marcu 1915 r. radca ambasady Richard von Kühlmann opuszczał Konstantynopol, aby objąć stanowisko posła w Holandii, złożył wizytę pożegnalną



w ambasadzie Stanów Zjednoczonych i żegnając się z Morgenthauem powiedział potrząsając jego dłonią: „W przeciągu trzech miesięcy będziemy mieli pokój, Ekscelencjo”.

Rzecz znamienna, że Morgenthau w liście do Wilsona ze stycznia 1915 r. doradzał, aby prezydent rozpoczynając akcję mediacyjną stwierdził, że wojna wybuchła w wyniku wieloletniego procesu dziejowego niezależnie od woli mężów stanu kierujących państwami walczącymi. W pamiętnikach zaś pisanych później, w 1918 r., rozwodzi się, że w styczniu 1915 r. „największą przeszkodą na drodze do pokoju był fakt, iż Niemcy nie wykazywały skruchy za popełnione zbrodnie i nie było cienia żalu w postawie Wangenheima”.

Dla stosunków pomiędzy Niemcami a Austro-Węgrami znamienna jest okoliczność, że Wangenheim ze swymi planami pokojowymi zwierzył się najpierw przedstawicielowi państw neutralnych, a dopiero w kilka tygodni później poinformował o nich swego austriackiego kolegę.

## 42. Ekspedycja serbska

30 sierpnia 1915 r. generał von Falkenhayn w uwagach dla kanclerza Rzeszy tak ocenił militarno-polityczną sytuację Niemiec: „Rosja w bliskiej przyszłości nie może stanowić poważnego niebezpieczeństwa, gdyż ciosy zadane armii rosyjskiej w ostatnich czterech tygodniach znacznie ją osłabiły”. Położenie Rosji pogarszają jeszcze trudności w dostarczeniu jej sprzętu bojowego z zachodu. Falkenhaynowi wydawało

się sprawą mało zrozumiała, że państwa zachodnie po uderzeniach pod Arras nic nie uczyniły, aby nieść pomoc Rosjanom. Przyczyn tego było wiele, ale za najważniejszą poczytywał Falkenhayn fakt, że Koalicja postanowiła prowadzić z Niemcami wojnę na wyczerpanie. Jest to zgodne z interesami głównego przeciwnika Niemiec - Wielkiej Brytanii. Odpowiedzią na to powinno być utworzenie Środkowo-Europejskiego Związku Państw (*Mitteleuropaischer Staatenbund*) - Rzesza, Austro-Węgry, Bułgaria i Turcja powinny związać się ścisłym przymierzem (*langfristiges Schutz- und Trutzbündnis*). Z czasem do związku powinny się przyłączyć Szwecja i Szwajcaria, może Grecja. „Związek musi także znaleźć drogę, aby w sposób połowicznie znośny (*eine halbwegs ertragliche Lösung*) rozwiązać trudną sprawę polską”.

Falkenhayn nie żywił już nadziei na pełne zwycięstwo militarne. Nie dać się pobić w wojnie na wyczerpanie to cel, jaki wytknął Niemcom. Środki wojskowe grały w tej mierze rolę rzecz prosta pierwszorzędą. Trzy zadania widział przed sobą wódz niemiecki: zapewnić dostateczne siły, aby wytrzymać „nadciągającą na froncie zachodnim burzę”, nie zmniejszyć „nacisku wywieranego na Rosję”, a „równocześnie nawiązać łączność z Turcją przez Bałkany”. Jak w rozumowaniu Falkenhayna przedstawiała się doniosłość tych zadań wyjaśnia on sam: „Gdyby zachodni front niemiecki nie zdołał się utrzymać, lub gdyby nie udało się zachować we władaniu Dardaneli, wówczas wszelkie korzyści,

które ewentualnie można by jeszcze od Rosji zyskać, byłyby bezwartościowe”.

A więc łączność z Turcją i utrzymanie Cieśnin stały na drugim miejscu, zaraz po zapewnieniu bezpieczeństwa na zachodzie.

Była już mowa o znaczeniu Turcji dla Państw Centralnych. Teraz należy jedynie wspomnieć, że zajęcie Cieśnin przez Anglików i Francuzów oznaczało nawiązanie łączności Rosji z jej zachodnimi sprzymierzeńcami, oznaczało jej ‘wzmocnienie dzięki temu, że sprzęt bojowy mógł swobodnie płynąć z zachodu do Rosji. Natomiast Cieśniny w rękach tureckich to Turcja w rękach niemieckich. A Turcja to ważny środek nacisku na Rosję, a bardziej może jeszcze na Wielką Brytanię. W wojnie na wyczerpanie pomiędzy Niemcami a Wielką Brytanią zagrożenie Kanału Sueskiego miało znaczenie kapitalne.

Nawiązanie pełnej łączności z Turcją wymagało uprzedniego pokonania Serbii. Austriackie uderzenia na Serbię latem i jesienią 1914 r. przyniosły ciężkie straty, ale nie dały rezultatu. Lecz i Serbowie byli zbyt osłabieni, aby podczas niebezpiecznych dla monarchii nadunajskiej walk na froncie wschodnim uderzyć na Austriaków. W każdym razie wroga, wciąż niepokonana Serbia nadal zagrażała tyłom monarchii habsburskiej. Zagrożenie dawało się Austro–Wegrom odczuć jeszcze silniej po wypowiedzeniu wojny przez Włochy. Toteż Falkenhayn już wiosną 1915 r. planował uderzenie na Serbię.

Wielkie boje na ziemiach polskich, zapoczątkowane pod Gorlicami 2 maja 1915 r., ściągnęły na front wschodni poważne siły niemieckie, austriackie i węgierskie. Austriacy zmagali się ponadto z Włochami. Ale zbliżała się jesień i ofensywę przeciwko Serbii należało podjąć póki pozwolą na to warunki atmosferyczne.

Plan akcji przeciwko Serbii w ogólnym zarysie opracowano już w marcu 1915 r. Wiosną oficerowie niemieccy przebadali teren przyszłych walk, zarządzili prace przygotowawcze do budowy potrzebnych przejść i mostów, ustalili sposoby dowozu amunicji i żywności, określili drogi koncentracji wojska. Przemysłano wszystko i przygotowano z niemiecką systematycznością; dzięki temu trudne przejście wojsk niemieckich i austro-węgierskich przez Dunaj i Sawę dokona się pomyślnie.

W niemieckim korpusie oficerskim, a może i pośród żołnierzy szeregowych zamiary marszu na Serbię wywołały zadowolenie. Po długich walkach pozycyjnych na zachodzie - pisał generał Groener - po operacji wschodniej, która pomimo początkowych wielkich sukcesów nie przyniosła definitywnego rozstrzygnięcia, myśl o wojnie ruchomej w Serbii przyjęto z zapałem; stanowiła ona dla wojska nową podniętę”.

Przy opracowaniu planu akcji przeciwko Serbii między sprzymierzonymi zarysowały się różnice poglądów. Generał Conrad wyprawie serbskiej wytykał cel maksymalny - powalić Serbię na obie łopatki, opanować Czarnogórę i Albanię, poddać Bałkany pod do-

minację Austro–Węgier. Generał Falkenhayn miał przed oczami cel minimalny - zapewnić połączenie z Turcją. Bułgarzy domagali się, aby dowództwo całej operacji objął generał niemiecki i zgodzili się podjąć działania wojenne wtedy dopiero, gdy wojska niemieckie przekroczą Dunaj. Przeważył punkt widzenia niemiecki. Naczelne dowództwo powierzono generałowi Augustowi Mackensenowi, szefem sztabu został generał Hans von Seeckt. Mackensen otrzymał instrukcję cesarza Wilhelma: „pobić definitywnie Serbię, otworzyć, a następnie zapewnić łączność z Konstantynopolem przez Belgrad i Sofię”.

18 września 1915 r. w Temeszwarze (obecnie Timișoara w Rumunii) objął Mackensen komendę, nie nad całym wszakże terenem operacji; nie podlegały mu wojska austro–węgierskie skoncentrowane w Bośni, Hercegowinie i Dalmacji, ani oddziały bułgarskie przeznaczone do obrony granic kraju.

Umowa w Pszczynie z 6 września 1915 r., podpisana przez Falkenhayna, Conrada i Bułgara Ganczewa, mówiła w artykule 2, że dowództwo powierza się generałowi Mackensenowi, że ma on „pobić armię serbską i możliwie szybko otworzyć i zabezpieczyć połączenie lądowe pomiędzy Węgrami i Bułgarią”.

Z końcem września 1915 r. ukończono już na południu Węgier koncentrację wojsk niemieckich i austro–węgierskich przeznaczonych do działania przeciwko Serbii. Była to 11 Armia niemiecka dowodzona przez generała Maxa von Gallwitza i 3 Armia austro–węgierska pod komendą generała Hermanna von

Kövessa; od wschodu zagrażała Serbom I Armia bułgarska pod generałem Bojadijewem. Wojska niemieckie, austro-węgierskie i bułgarskie liczyły razem 330 tys.

Armia serbska była osłabiona po zwycięskich, ale wyczerpujących walkach w 1914 r.; wiosną 1915 r. zaatakowała ją ponadto epidemia tyfusu. Około 250 tys. żołnierza, niedostatecznie wyekwipowanego, stało do obrony kraju. Serbowie mogli jeszcze liczyć na małe posiłki czarnogórskie. Pierwotnie wojewoda Putnik zamierzał prewencyjnie zaatakować Bułgarów, aby zabezpieczyć sobie tyły. Nie zgodziły się wszakże na to rządy państw Koalicji, do ostatniej niemal chwili łądzono się w Paryżu, Londynie i Piotrogradzie nadzieją utrzymania neutralności bułgarskiej.

Tak więc Serbowie stanęli do walki z nieprzyjacielem lepiej uzbrojonym, przeszło dwa razy liczniejszym.

21 września dowództwo niemieckie wydało rozkazy: Austriacy mieli przejść Dunaj pod Belgradem, a Sawę na zachód od Belgradu pod miejscowością Kupinovo, Niemcom polecono przekroczyć Dunaj na wschód od Belgradu pod Smederevem i pod Ramem. Dla zmylenia Serbów ostrzeliwano wiele miejsc granicznych, dopiero wszakże 6 października rozpoczęto silny ogień artyleryjski. 7 października wojska Państw Centralnych pod skuteczną osłoną artylerii przeszły Dunaj i Sawę, Belgrad padł 9 października, twierdza w Smederevie 11 października.

W głębi kraju wszakże mogli się Niemcy i Austriacy posuwać jedynie powoli. Na przeszkodzie stanął nie

tylko energiczny opór Serbów, ale i trudne terenowe warunki górskie. Burze na Dunaju, zwane *kossowa*, przez kilkanaście dni utrudniały budowę mostów. Dopiero 21 października ukończono ich dwa i oddano do dyspozycji armii.

14 października 1915 r. Bułgaria wypowiedziała wojnę Serbii; nazajutrz Bułgarzy przekroczyli granicę serbską. Serbowie znaleźli się od północy i od wschodu w kleszczach.

22 października Mackensen wydał rozkaz: „Główne siły serbskie odrzucić w głąb kraju i tam definitywnie pobić”. Armia austro-węgierska ruszyła w kierunku na Kragujevac, 11 Armia niemiecka maszerowała na południe po obu brzegach Morawy, od wschodu 1 Armia bułgarska wzięła kierunek na Nisz, a nieco bardziej na południe 2 Armia skierowała się ku dolinie Wardaru, aby przeciąć połączenie kolejowe Nisz–Saloniki i zamknąć Serbom drogę odwrotu na południe.

Walki toczyły się w niezwykle ciężkich warunkach. Drogi były złe, a na dobitkę rozmokły po długotrwałych deszczach. Utknęły samochody ciężarowe, armaty transportowano wołami. A i piechota posuwała się powoli. Znaczna część wojska pomimo niepewnej jesiennej pogody musiała biwakować w polu.

Pośród bojów toczonych w tak niesprzyjających okolicznościach Austriacy zajęli 1 listopada 1915 r. Kragujevac, a Bułgarzy 5 listopada Nisz. Napastnikom nie udało się wszakże oskrzydlić armii serbskiej. Serbowie zdołali się wycofać i wśród niesłychanych wysiłków przedrzeć przez dzikie góry albańskie. W połowie

grudnia 1915 r. szczątki armii serbskiej, około 140 tys. żołnierza, dotarły do wybrzeży Morza Adriatyckiego, skąd okręty wojenne francuskie i brytyjskie przewiozły je na Korfu (obecnie Kerkyra). W kilkanaście miesięcy później wojsko to wypoczęte, odżywione, wyposażone w nowy, dobry sprzęt bojowy weźmie udział w walkach na Półwyspie Bałkańskim. Straty Serbów były olbrzymie - 95 tys. zabitych i ciężko rannych, 150 tys. wziętych do niewoli, 800 armat zagarniętych przez nieprzyjaciela.

Rzecz znamienita, jak współcześni oceniali skutki kampanii serbskiej. 15 listopada 1915 r. generał Wilhelm Groener pisał do żony: „W Serbii sprawa stoi dobrze. Teraz chodzi o to, czy Ententa przedsięwzięcie coś na Bałkanach lub w Azji Mniejszej. Mamy wszędzie piękne militarne sukcesy, ale niestety nie mamy siły, aby naszemu wielkiemu przeciwnikowi Anglii, Francji albo Rosji tak skoczyć do gardła, by móc z nim skończyć. Dlatego wojna musi się dalej jeszcze toczyć i będzie się toczyła - może jeszcze długie miesiące, póki Anglia nie zrozumie, że nie może nas powalić gospodarczymi brakami. (...) Jeśli zdołamy sprowadzać drogą wodną przez Dunaj potrzebne zasoby, zwłaszcza paszę i tłuszcze, z pewnością przewyciężymy obecny kryzys gospodarczy. W tym celu zorganizowano w ostatnich dniach pod moim kierownictwem połączenie z Konstantynopolem”.

Zwycięstwo odniesione nad Serbią miało, rzecz prosta, niemałe znaczenie, ale każdy ze sprzymierzeńców inaczej je pojmował. Wynikało to z różnicy poglą-



dów na temat politycznych i gospodarczych celów wojny oraz zadań stojących przed wojskiem.

Dla Niemców działania przeciwko Serbii miały jedynie drugorzędne znaczenie - łączność z Turcją i zabezpieczenie tyłów monarchii habsburskiej. Szukanie na Bałkanach rozstrzygnięcia wojny uważał Falkenhayn za myśl „niezdrową”.

Tymczasem w Wiedniu ekspedycja serbska wzbudziła ambitne nadzieje. W militarnej porażce Serbów ujrzano na *Ballplatzu* sposobność do ostatecznego poskromienia małego a niebezpiecznego sąsiada. Monarchia habsburska nie zdołała poskromić Serbii i zniszczyć niebezpieczeństwa serbskiego, gdy sukcesem dyplomatycznym zakończyła w 1909 r. kryzys bośniacki, gdy w 1913 r. nie dopuściła Serbii do morza. Obecnie w oczach dyplomatów na *Ballplatzu* rysowała się możliwość osiągnięcia nie połowicznego, jak w 1909, jak w 1913 r., lecz pełnego sukcesu. Minister Burian taki szkicował plan, takie warunki dla Serbii - „bezwarunkowa kapitulacja” i okupacja wojskowa całego kraju; zamyślał następnie Burian o połączeniu Serbii z Czarnogórą pod berłem króla Nikity czarnogórskiego i zapewnieniu Czarnogórcom przewagi w tym państwie. Z tym stanowiskiem nie zgadzał się Berlin. Sekretarz stanu Jagow był zdania, że Serbowie mogą w pewnych okolicznościach przyjąć twarde warunki pokoju, ale jako naród bitny żadną miarą nie zgodzą się na „bezwarunkową kapitulację”; walki w ciężkich warunkach musiałyby się długo jeszcze toczyć. „Chcemy osiągnąć praktyczne cele - pisał Jagow 31 października 1915 r.

do ambasadora w Wiedniu - i dlatego nie poświęcimy ani jednego człowieka więcej niż to konieczne”. Inna sprawa to zawarcie z Serbią pokoju. Sekretarz stanu trafnie sądził, że wywarłoby to potężne wrażenie nie tylko na państwach i narodach Koalicji, ale w całym świecie. Miałoby to również, czego już nie wypowiedział głośno, wielkie znaczenie dla stosunków wewnętrznych w Niemczech, podniosłoby wysoko samopoczucie narodu niemieckiego. Francja i Wielka Brytania wycofałyby zapewne z Salonik korpus ekspedycyjny, który wylądował tam 4 października 1915 r. i mógł zagrozić połączeniu Berlin–Wiedeń–Sofia–Konstantynopol.

### 43. Włochy wszczynają wojnę

Włochy mogą być tylko wrogiem Austro–Węgier albo ich sprzymierzeńcem. Jedni sądzą, że wypowiedział te słowa Włoch Emilio Visconti–Venosta, inni że Polak Agenor Gołuchowski. Nie jest ważne kto je wypowiedział, ważne jest, że powiedzenie to odzwierciedla trafnie sytuację i politykę nowo powstałego, zjednoczonego Królestwa Włoskiego. Włochy, które zjednoczyły się w walce przeciwko Austrii, wkrótce po zjednoczeniu zawarły z nią przymierze. Wydawało się, że dwa te państwa dzieliło wszystko - niewygasła pamięć niedawnych walk, głęboka wzajemna nieufność. Włosi nie skrywali chęci przyłączenia habsburskich krajów Tyrolu, Trydentu, Triestu, Istrii, Dalmacji, Austriacy z nietajonym lekceważeniem odnosili się do południowego włoskiego sąsiada. A jednak 20 maja 1882

r. stanął traktat przymierza pomiędzy Włochami, Austro–Węgrami i Niemcami.

Młode Królestwo Włoskie nurtowały sprzeczności pomiędzy tradycjami imperium romanum, którego Włosi uważali się za spadkobierców, przodownictwem w dziedzinie kultury, a nieprzewyciężoną słabością gospodarczą, polityczną, militarną. Kurtuazyjnie, formalnie Europa zaczęła uznawać Włochy za szóste mocarstwo, ale w rzeczywistości daleko było nowemu królestwu do pozycji mocarstwowej. Szukali więc Włosi oparcia tam, gdzie widzieli siłę, gdzie sytuacja była jasna i ustabilizowana. Szukali oparcia w Niemczech.

Na Niemcach, na silnej monarchii Hohenzollernów pragnęła się oprzeć dynastia, wciąż niepewna na tronie królewsko–włoskim. Dom Sabaudzki (*Casa di Savoia*), wczorajszy sprzymierzeniec rewolucji i beneficjant rewolucji dążył do związania się z silną, konserwatywną monarchią Hohenzollernów. Dążenia te popierały włoskie koła polityczne, także i tzw. lewica, która w 1876 r. zdobyła większość w parlamencie. Zresztą Włosi nie mieli wyboru. Oparcia nie mogła im udzielić Wielka Brytania ani tym mniej Francja, szybko wprowadzie podnosząca się po klęsce 1870/71, ale politycznie wciąż izolowana.

W Berlinie zabiegi włoskie przyjmowano z lekceważeniem i niechęcią i dawano Włochom do zrozumienia, że droga do przymierza z Niemcami prowadzi przez Wiedeń. Trudności były więc niepoślednie i nie od razu udało się je przewyciężyć. Włosi zdecydowali się wreszcie kołatać w Wiedniu o zbliżenie z monarchią

habsburską w obawie, że Austro–Węgry mogą wmieszać się w sprawę rzymską i poprzeć papieża. W dniach 27–31 października 1881 r. królewska para włoska, król Humbert i królowa Marguerita, złożyła wizytę w Wiedniu cesarzowi Franciszkowi Józefowi. Uznano to powszechnie za ewenement polityczny niemałej wagi. Istotnie, w siedem miesięcy później, 20 maja 1882 r., podpisano traktat przymierza pomiędzy Austro–Węgrami, Niemcami i Włochami - powstało Trójprzymierze.

Włochy uzyskały obietnicę zbrojnej pomocy Niemiec i Austro–Węgier w razie niesprowokowanego ataku ze strony Francji. W zamian zobowiązywały się do czynnego wystąpienia po stronie Rzeszy na wypadek agresji francuskiej, lecz w razie agresji rosyjskiej przeciwko Austro–Węgrom zobowiązywały się tylko do życzliwej neutralności. Dopiero gdyby jeden z kontrahentów został zaatakowany przez dwa mocarstwa (a więc Francję i Rosję jednocześnie) lub więcej, *casus foederis* miał obowiązywać wszystkich trzech sojuszników. W dwa dni po zawarciu Trójprzymierza, 22 maja 1882 r., podpisano tajną klauzulę, że postanowienia traktatu nie mogą się zwracać przeciwko Wielkiej Brytanii.

Największe korzyści wyciągnęły z traktatu Trójprzymierza Włochy, uzyskały silne poparcie przeciwko Francji, a nadto lepszą pozycję w tzw. sprawie rzymskiej, czyli w zatargu z papieżem. Za te korzyści płacić musieli Włosi osłabieniem akcji irredentystycznej zmierzającej do oderwania od monarchii habsburskiej

ziem, do których rościli pretensje, a więc Tyrolu, Trydentu, Istrii, Dalmacji. To właśnie było głównym zyskiem Austro–Węgier, zyskiem wtórnym zaś było zabezpieczenie tyłów w razie wojny z Rosją. Dla Niemiec sojusz z Włochami oznaczał uwiązanie części armii francuskiej w Alpach i osłabienie tą drogą sił przeciwnika skierowanych na front niemiecki.

Traktat Trójprzymierza, zawarty na lat pięć, odnawiano z pewnymi zmianami w latach 1887, 1891, 1902, 1912; obowiązywać miał on do roku 1920. Największą wagę miało wprowadzenie w 1887 r. artykułu VII, który, głosił, że jeśliby Austro–Węgry lub Włochy widziały się zmuszone do zmiany status quo ante na Półwyspie Bałkańskim bądź przejściowo, bądź na stałe, będzie to mogło nastąpić jedynie po uprzednim porozumieniu między obu mocarstwami, opartym na obustronnych wzajemnych kompensatach. Artykuł VII posłuży w 1914 r. Włochom za uzasadnienie odmowy wykonania postanowień traktatu Trójprzymierza.

Stara zasada, że traktaty pozostają w mocy jedynie *rebus sic stantibus*, znalazła potwierdzenie w historii Trójprzymierza. Włochy związały się z Niemcami i Austro–Węgrami w czasie silnego napięcia w stosunkach włosko–francuskich. Pod koniec wieku XIX sytuacja zmieniła się wszakże. Sprawa rzymska przestała już dzielić Rzym i Paryż. Zakończenie w 1898 r. długiej wojny celnej francusko–włoskiej szeroko otworzyło rynek włoski dla napływu kapitałów francuskich, z którymi z największą tylko trudnością rywalizował kapitał niemiecki. Antagonizm kolonialny zdołano

przygłuszyć umową z 1900 r., przewidującą uznanie przez Włochy pierwszeństwa Francji w Maroku, a przez Francję dominacji Włoch w Trypolitanii. Grunt więc wyrównano i już w 1902 r. Trójprzymierze faktycznie przestało istnieć i to przestało istnieć w niecodziennych okolicznościach. Francuski minister spraw zagranicznych Delcassé ostrzegł Włochy, że nie będą mogły liczyć na finansową czy polityczną przyjaźń Paryża póki Trójprzymierze kieruje się przeciwko Francji. Włosi, nie mogąc uzyskać zgody Berlina na zmianę postanowień traktatu, zdecydowali się na swoistą *combinazione*. 28 czerwca 1902 r. odnowiono traktat Trójprzymierza łącznie z klauzulą o wojskowym współdziałaniu Włoch i Niemiec przeciwko Francji. W dwa dni później zaś, 30 czerwca, włoski minister spraw zagranicznych margrabia Giulio Prinetti i ambasador francuski przy Kwirynale Camille Barrère dokonali, zgodnie z obyczajami dyplomatycznymi, wymiany listów - minister zapewnił, że Włochy nie są zobowiązane do wystąpienia zbrojnego przeciwko Francji. Listy te zastąpiono później przez dokumenty takiej samej treści, ale datowane 1 listopada 1902 r.

Traktat Trójprzymierza odnowiono następnie w 1912 r., miał on obowiązywać, jak powiedziano wyżej, do 1920 r., ale była to już martwa litera. Po wybuchu wojny dyplomacja włoska manewrowała z zupełną swobodą.

Następne lata przyniosły dalsze pogorszenie stosunków pomiędzy Rzymem a Wiedniem. Nastroje antyaustriackie wzmożyły się we Włoszech po aneksji Bo-

śni i Hercegowiny przez monarchię habsburską w 1908 r. i w wyniku powściągliwego stanowiska Państw Centralnych wobec najazdu włoskiego na Libię w 1911 r. Równocześnie szef sztabu austro-węgierskiego generał Conrad von Hötzendorf opracowywał plan wojny prewencyjnej przeciwko niepewnemu włoskiemu sojusznikowi.

I w Rzymie, i w Wiedniu uznano jednak, że nieodnowienie, tzn. zerwanie traktatu Trójprzymierza wywołałoby komplikacje w napiętej i tak sytuacji międzynarodowej. Dlatego w grudniu 1912 r. traktat przedterminowo odnowiono.

W lipcu 1914 r., gdy ważyła się kwestia, czy wojna będzie zlokalizowana, czy zatoczy szersze kręgi, zadawano sobie pytanie, jakie stanowisko zajmie trzeci członek Trój przymierza - Włochy. Ogłoszenie przez Rzym neutralności nie mogło nikogo zdziwić.

Nasuwają się jednak dwa pytania: 1) czy Austro-Węgry chciały wystąpienia Włoch? 2) czy Włochy mogły wziąć udział w wojnie po stronie Państw Centralnych?

W Wiedniu nie spodziewano się zapewne, że sprzymierzeniec włoski zajmie od razu stanowisko tak bezwzględne i nieżycziwe. Za najlepsze rozwiązanie uważano neutralność Włoch, co pozwoliłoby wszystkie lub prawie wszystkie siły rzucić na front rosyjski i serbski. Armię włoską lekceważono i do współdziałania militarnego z Włochami nie przywiązywano wagi.

Mamy tu znamienne świadectwo. 12 maja 1914 r. w Karłowych Warach odbyła się rozmowa szefów

sztabu austriackiego i niemieckiego. Na uwagę Moltkego, że Włosi są skłonni oddać do dyspozycji Austro-Węgier większe siły, Conrad odparł żywo: „Pięknie! ale wolałbym, aby to Pan zabrał wojska włoskie...”

Rząd wiedeński po porozumieniu się z Berlinem stanął na stanowisku, że należy „działać i czekać na ewentualne roszczenia o kompensaty”.

Widoczne tu lekceważenie i brak zaufania do włoskiego sprzymierzeńca.

A teraz kwestia wystąpienia Włoch po stronie Państw Centralnych. Włochy przeżywały poważny kryzys wewnętrzny; wiosna 1914 r. przyniosła strajki i rozruchy robotnicze. W maju stanęły koleje i istniała obawa, że strajk kolejarzy przerodzi się w strajk powszechny. Tradycyjnie czerwona Romania znowu stała się widownią zaburzeń antyrządowych z silną tendencją republikańską. Szerzyła się propaganda przeciwko służbie wojskowej. W Mediolanie agitacją kierowali redaktor dziennika socjalistycznego „Avanti” Benito Mussolini i młody działacz antimilitarystyczny Filippo Corridoni. W Romanii w czerwcu w ciągu tygodnia zwanego „tygodniem czerwonym” (*settimana rossa*) 7–14 czerwca 1914 r. strajkujący byli panami położenia. Kres zamieszkom położyło dopiero przybycie znacznych sił wojskowych.

Ambasador brytyjski przy Kwirynale Sir Rennell R odpisał 7 lipca 1914 r. do Londynu: „Gdy władze i prasa ostentacyjnie potępiają zbrodnię (sarajewską) i wyrażają sympatię dla cesarza (Franciszka Józefa), widać,



że społeczeństwo uważa usunięcie arcyksięcia za wydarzenie niemal opatrnościowe.

14 lipca minister spraw zagranicznych markiz Antonio San Giuliano polecił wydziałowi prawnemu Ministerstwa opracowanie memoriału o stanowisku Włoch w razie konfliktu międzynarodowego. Memoriał opracował wybitny prawnik, sędzia Trybunału Haskiego, Guido Fusinato. Memoriał stwierdzał, że artykuł V traktatu Trójprzymierza nie daje podstaw do *casus foederis*, czyli nie zobowiązuje Włoch do wystąpienia zbrojnego po stronie Austro–Węgier; na wypadek zaś gdyby Austro–Węgry okupowały terytorium serbskie, Włochom przysługuje na zasadzie artykułu VII kompensata. Artykuł ten mówił bowiem o utrzymaniu *status quo* na Bliskim Wschodzie, gdyby zaś stało się to sprawą niemożliwą, Austro–Węgry i Włochy zobowiązały się do wymiany informacji na temat zarówno własnych dążeń, jak i zamiarów innych mocarstw. Jeśliby zachowanie *status quo* na Półwyspie Bałkańskim, na wybrzeżach tureckich, na wyspach Morza Egejskiego i Adriatyckiego okazało się niemożliwością i Austro–Węgry lub Włochy widziały się zmuszone zmienić istniejący stan rzeczy przez okupację „czasową lub stałą” jakiegoś terytorium, może to nastąpić tylko na podstawie uprzedniego porozumienia opartego na wzajemnych kompensatach.

Austro–Węgry w lipcu 1914 r. porozumiewały się co do stanowiska względem Serbii z Niemcami, nie porozumiały się natomiast z Włochami. Rząd włoski

uznał więc, że ma wolne ręce. Przez taką taktykę Austriacy ułatwili Włochom grę polityczną.

Dopiero 24 lipca minister San Giuliano otrzymał tekst noty austriackiej, a więc nazajutrz po doręczeniu jej rządowi serbskiemu. Markiz San Giuliano był ponoć treścią ultimatum austriackiego „niezmiernie poirytowany” i zapowiedział zachowanie neutralności Włoch w razie wystąpienia Rosji.

Uchwałę o neutralności Włoch powzięła Rada Ministrów 31 lipca; ogłoszono ją oficjalnie w dniu 3 sierpnia.

Neutralność Włoch miała charakter zupełnie inny niż na przykład neutralność dalekiej od źródeł konfliktu Hiszpanii czy Szwecji, nie mówiąc już o neutralizowanej Szwajcarii. 30 lipca San Giuliano mówił do ambasadora Niemiec przy Kwirynale Johannesesa von Flotowa: „Nie mówię, że Włochy nie wezmą w końcu udziału w wojnie; stwierdzam tylko, że nie są do tego obowiązane”.

Decyzja zachowania neutralności, w każdym razie tak długo dopóki ważyć się będą losy wojny, była dla Włoch jedynie możliwa. Nie tylko dlatego, że kraj nie powrócił jeszcze do siebie po niedawnej wojnie libijskiej; minister skarbu Giulio Rubini twierdził, że finanse Włoch nie wytrzymają nowej wojny. Nie tylko dlatego, że świeżo wstrząsnęły Włochami ruchy społeczne. Wchodziły w grę i inne względy. Z jednej strony wielu wpływowych polityków włoskich z Giolittim na czele pozostawało pod urokiem potęgi niemieckiej. Z drugiej strony głęboki respekt budziła pośród Wło-

chów flota brytyjska; długie wybrzeże Italii było przed jej atakiem niemal bezbronne. Poważne znaczenie miał fakt, że Włochy były uzależnione gospodarczo od Francji i jej banków, od Wielkiej Brytanii, która m. in. pokrywała w 90% włoskie zapotrzebowanie na węgiel.

Znamienne są słowa markiza di San Giuliano; 16 sierpnia 1914 r. minister pisał do premiera Salandry: „Włochy nie mogą zerwać z Austrią i z Niemcami, jeżeli nie będą miały pewności zwycięstwa”. I dodał: „Nie jest to postawa bohaterska, ale rozumna i patriotyczna”.

Znaczna większość Włochów uważała, że należy pozostać z dala od konfliktu, a zwłaszcza nie obarczać się odpowiedzialnością za agresję na Serbię i za napaść na Belgię.

W Niemczech zapanował *Burgfrieden*, we Francji *Union Sacrée*, we Włoszech ani rozejm polityczny, ani unia narodowa nie były możliwe. I to był bodaj najważniejszy wzgląd powstrzymujący Włochy od natychmiastowej decyzji. Wobec niepewnej sytuacji wewnętrznej nie wolno było ryzykować wojny. Ale właśnie niepewna sytuacja wewnętrzna kazała ekipie rządzącej działać, kazała mobilizować opinię publiczną, kazała pobudzać w społeczeństwie nastroje patriotyczne. Najprostszą ku temu drogą było wskrzesić w pamięci narodowej dawne ideały *Risorgimento*. Długie lata minęły od czasu, gdy Włosi wiedli walki o wolność i o zjednoczenie, a nie wszystkie jeszcze ziemie włoskie weszły w skład zjednoczonej Italii. Hasła *Risorgimento*, wciąż aktualne, wciąż żywe, wciąż budziły

w narodzie entuzjazm i niewątpliwie mogły pod sztandarami patriotycznymi złączyć ogromną większość Włochów. Ale hasła te zwracały się przede wszystkim przeciwko Austrii. Z tym musiał się liczyć każdy rząd włoski, musiał się liczyć każdy włoski polityk.

Wielu Włochom wydawało się początkowo, zwłaszcza przed bitwą nad Marną, że wojna będzie nierozegrana, że zakończy się pokojem kompromisowym; należało wobec tego czekać i ewentualnie wystąpić w dogodnej, trafnie wybranej chwili w zamian - rzecz prosta - za odpowiednie rekompensaty. Gdy po zgonie markiza San Giuliano premier Antonio Salandra obejmował 16 października 1914 r. tymczasowe kierownictwo Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zwrócił się do urzędników z przypomnieniem, że Włochy kierują się w polityce „świętym egoizmem” (*sacro egoismo*). Frazes ten szerokim echem rozległ się po całej Europie.

Wiadomo, że wszystkie państwa kierują się „egoizmem”, tzn. własną racją stanu i nie może być inaczej. Jedynie wszakże Salandra miał odwagę czy też nieostrożność powiedzieć to głośno.

Włochy postanowiły więc w zaczynającym się właśnie wielkim konflikcie międzynarodowym zachować, przynajmniej na razie, neutralność. Ale nie oznaczało to - rzecz prosta - bierności, bezczynnego przyglądania się wojennym zapasom i spokojnego czekania na ich koniec. Przeciwnie, Włochy uznały od razu, że wojna musi im przynieść znaczne zyski, że za neutralność państwa wojujące będą im musiały zapłacić. Możliwości targów rysowały się po obu stronach, bo i dla

Państw Centralnych, i dla Koalicji stanowisko Włoch nie mogło być obojętne. „Równoczesne rozmowy z obiema walczącymi stronami, «włóczęgowanie» (*vagabondaggio*) od Wiednia do Petersburga, od Berlina do Londynu, był to sposób rokowań, który najbardziej odpowiadał Consulcie”.

Ale owo „włóczęgowanie” miało strony ujemne; rysowały się one jasno w oczach polityków włoskich. Markiz di San Giuliano pisał wprawdzie już 9 sierpnia 1914 r. do prezesa ministrów Salandry o możliwości wystąpienia przeciwko Austrii, gdy będzie „pewność lub prawie pewność zwycięstwa”, ale dostrzegał trudność - oto cała Europa uznałaby to za „akt niełojalności”<sup>15</sup>. Niemale były ambicje włoskie. Tyrol, Triest, Istna, Dalmacja, panowanie na Morzu Adriatyckim (*mare nostrum* - nasze morze). Uważano to za dopełnienie zjednoczenia Włoch. A obok tego ambicje mocarstwowe - nabytki na ( Bliskim Wschodzie kosztem Turcji i powiększenie kolonialnego stanu posiadania. Dążenia te zwracały się przeciwko obu stronom, przede wszystkim j zwracały się przeciwko monarchii habsburskiej, ale zahaczały również o interesy rosyjskie i francuskie. Było sprawą oczywistą, że pełna realizacja celów włoskich była niemożliwa. Można je było osiągnąć tylko częściowo zależnie od tego, która strona wojnę przegra i w jakiej mierze ją przegra. Pertraktując z Włochami mocarstwa ofiarowały im korzyści wyłącznie kosztem przeciwników, jak Rosja i Francja, bądź przyjaciół, jak Niemcy, nigdy własnym.

W pierwszym okresie, który trwał mniej więcej do marca 1915 r. Włosi większą wagę przywiązywali do rokowań z Państwami Centralnymi. Żądania włoskie rekompensat od monarchii habsburskiej spotkały się z poparciem Niemiec.

2 sierpnia 1914 r. San Giuliano wystosował do ambasadora Austro–Węgier przy Kwirynale Kayetana Mereya de Kapos–Mere długi list. Wyjaśniał, że nie zaszedł *casus foederis* i Włochy nie mają obecnie obowiązku wystąpić I zbrojnie, ale być może wystąpią później, „jeśli tak nakaże obowiązek lub doradzą interesy”. Wzmianka o obowiązku miała charakter czysto kurtuazyjny i nic nie znaczyła. Wymowne było natomiast powołanie się na interesy, chodziło tu oczywiście o rekompensaty ze strony monarchii habsburskiej.

W rozmowie w cztery oczy z ambasadorem Mereyem San Giuliano położył karty na stół twierdząc, że nabytki w Albanii, Afryce i we Francji są dla Włoch „nie do przyjęcia” i wyraźnie wskazał na Trydent jako przedmiot włoskich żądań.

Sprawa stanęła na porządku dziennym Rady Ministrów Spraw Wspólnych w Wiedniu najpierw w dniu 31 lipca ogólnie, później w długiej debacie w dniu 8 sierpnia. Rzec zreferował minister spraw zagranicznych Berchtold nie tając nacisków ze strony Berlina, aby monarchia poszła Włochom na rękę. Minister uważał, że Włochy z uwagi na Wielką Brytanię żadną miarą nie opowiedzą się po stronie Państw Centralnych, a oddanie Trydentu umocniłoby ich tylko w zamiarach utrzymania neutralności. W razie możliwych zawsze

czasu wojny niepowodzeń austriackich i niemieckich Włochy pójdą w swych żądaniach jeszcze dalej i domagać się będą Triestu.

Zdziwienie budzi, że za ustępstwami dla Włoch przemówił szef sztabu Conrad von Hötzendorf, ten sam Conrad, który w 1912 r. domagał się wojny prewencyjnej przeciwko Włochom, a przed trzema miesiącami z takim lekceważeniem mówił do swego niemieckiego kolegi Moltkego o armii włoskiej. Zdziwienie tym większe, że było to przecież jeszcze przed porażkami austriackimi w Polsce i w Serbii. Jeżeli czynny udział Włoch w wojnie jest nie do osiągnięcia - oświadczył Conrad, należy zapewnić ich neutralność. „Z wojskowego punktu widzenia jest to tak ważne, że jako żołnierz stwierdzam, iż nie ma na to ceny zbyt wysokiej”.

O stanowisku Rady zdecydował najmocniejszy człowiek w ekipie rządzącej monarchią węgierski prezes ministrów hr. Istvan Tisza. „Hańbi się przed całym światem - wywodził Tisza - państwo, które oddaje własne terytorium, aby od całkowitej zdrady powstrzymać skłaniającego się ku zdradzie sąsiada”. „Ustępliwością - mówił dalej Tisza - monarchia niewiele zyska we Włoszech, utraci natomiast autorytet na zewnątrz i wewnątrz. Rokowania z Włochami należy przeciągać dopóki nie rozstrzygną się losy wojny we Francji i w Rosji”. Tisza wystąpił również ostro przeciwko Niemcom, odmówił im prawa nakłaniania Austro-Węgier do ustępstw. Właśnie bowiem najazd niemiecki na Belgię spowodował, że Włochy obawiają się akcji połączonej

floty „brytyjskiej i francuskiej na Morzu Śródziemnym, a to wpływa na ich stanowisko.

Punkt widzenia Tiszy przeważył. I był to punkt widzenia słuszny. Odstąpienie Włochom Tyrolu Południowego musiałoby wzburzyć Niemców austriackich, Tyrolczycy z dawien dawna byli najwierniejszą podporą tronu Habsburgów, dalsze ustępstwa - Triest, Istria, Dalmacja - wywołałyby wrzenie pośród Węgrów i Słowian południowych. Ponadto byłby to druzgocący cios w autorytet monarchii w świecie, a pierwszym jego skutkiem byłyby niewątpliwie analogiczne do włoskich żądania Rumunii - przyłączenia Siedmiogrodu i Bukowiny.

Berchtold wyjaśnił także sprzymierzeńcowi w Berlinie austriacki punkt widzenia, że ustępstwa na rzecz Rzymu są bezcelowe, gdyż nie zdołają zapewnić nawet neutralności Włoch. O ich stanowisku rozstrzygać będzie powodzenie lub niepowodzenie wojsk Państw Centralnych na polach bitew.

Rząd włoski prowadził tymczasem subtelną grę, aby zyskać jak najwięcej jak najmniejszym kosztem. Po śmierci markiza San Giuliano tekę spraw zagranicznych objął 5 listopada 1914 r. baron Sydney Sonnino. Urodzony w 1847 r. z rodziny zubożonej na handlu lewantyńskim syn włoskiego Izraelity i Angielki czy też Irlandki, łączył ponoć zalety i wady Włochów, Anglików i Żydów. W początkach swego życia publicznego ogłosił artykuł uzasadniający żądanie przystąpienia Włoch do Trójprzymierza. Temu stanowisku długo pozostawał wierny. Jeszcze w pierwszych tygodniach



wojny był zwolennikiem współdziałania z mocarstwami centralnymi. Zmienił zdanie po bitwie nad Marną. Jako minister spraw zagranicznych z niezwykłym uporem realizował wskazania „świętego egoizmu” i prowadził tajne rokowania z obu walczącymi stronami z myślą zapewnienia Włochom zdobyczy, gdzie się da i jak się da<sup>19</sup>.

W myśl rzymskiej zasady *beatus qui tenet* Włosi wysyłali najpierw misję sanitarną do Albanii, a następnie wobec braku jakiegokolwiek sprzeciwu ze strony mocarstw wojsko zajęło port i miasto Valonę (obecnie Vlora). Gabinet rzymski uważał to za zastaw, za zabezpieczenie swych pretensji u przyszłego zwycięzcy, a zarazem za przestrożę dla Europy, że Włochy czuwają i że muszą rozszerzać swe posiadłości.

Na razie wszakże nie uciekali się Włosi do działań zbrojnych, do wojny, woleli próbować układów. Było to tym bardziej wskazane, że Włochy były do wojny nieprzygotowane, a w społeczeństwie poglądy na wojnę były podzielone. Neutralność czy interwencja, neutralność czy walka ze starym wrogiem Austrią? Takie pytanie stało przed narodem włoskim i było sprawą oczywistą, że nie mógł on dać na nie jednoznacznej odpowiedzi. Za neutralnością opowiadali się katolicy i socjaliści, znaczna część liberałów, za wojną niewielkie grupy nacjonalistycznie usposobionych intelektualistów, młodzież, republikanie. Masa narodu pozostawała bierna lub niezdecydowana. Tak przed neutralistami, jak i przed interwencjonalistami stanęło niełatwe zadanie - pozyskać naród.

Prostsze zadanie mieli neutraliści - nie ryzykować wojny, nie narażać kraju na zniszczenia wojenne, na straty, na ciężkie ofiary ludzkie; drogą dyplomatyczną można będzie wiele osiągnąć bez niebezpiecznego ryzyka. Wspierał neutralistów autorytet polityczny, jakim się cieszył Giovanni Giolitti.

Trudniejsze zadanie stało przed interwencjonistami. Mieli przecież skłonić naród do wielkiego wysiłku, do bolesnych ofiar.

Rozegrała się więc walka podwójna, walka o pozyskanie opinii publicznej i walka o przekonanie czynników w państwie decydujących: banków, króla, rządu, parlamentu.

Z obu stron poszły znaczne sumy na akcję propagandową. Pieniądze szły i z Paryża, i z Londynu, i z Berlina. Lecz nad Niemcami górowali Francuzi zarówno sumami, jakie łożyli na propagandę, jak i niezaprzeczoną zręcznością.

Tu warto zastanowić się bliżej nad rolą czynnika gospodarczego w przystąpieniu Włoch do wojny.

W stosunkach gospodarczych Francja zdecydowanie ustępowała we Włoszech pierwsze miejsce Niemcom. W 1894 r. powstał w Mediolanie Włoski Bank Handlowy (*Banca Commerciale Italiana*) całkowicie kontrolowany przez kapitał niemiecki, jak również bank kredytowy „Credito Italiano”. „Banca Commerciale” stał się wkrótce ośrodkiem życia gospodarczego Włoch, rozciągał decydujące wpływy na znaczną większość spółek przemysłowych i wywierał wpływ poważny na prasę włoską i w ogóle na włoskie życie poli-

tyczne. W ciągu piętnastolecia, 1898–1913, Niemcy czterokrotnie zwiększyły eksport do Włoch, sprzedawały im dwa razy więcej niż Francja i były ich najpoważniejszym klientem.

Pozycja gospodarcza Francji była na Półwyspie Apenińskim znacznie słabsza niż pozycja Niemiec. Słabo rozwijał się handel francusko–włoski, słabo płynął do Włoch kapitał francuski. Fabryka wielkich pieców w Piombino, gazownie i spółki tramwajowe w niektórych miastach włoskich oto domena zainteresowania kapitału francuskiego. Miał on udziały w niektórych bankach włoskich, jak Credito Italiano, Banca, ale daleko mu było do tego znaczenia i tych wpływów gospodarczych i politycznych, które począwszy od końca wieku XIX zdobył we Włoszech kapitał niemiecki.

Dopiero jesienią 1914 r. rozpoczęła się we Włoszech ofensywa kapitału francuskiego, podyktowana zresztą przede wszystkim nakazami polityki. W grudniu 1914 r. utworzył się Włoski Bank Dyskontowy (*Banca Italiana di Sconto*). Francuzi, głównie bankier Louis Dreyfus, zaczęli odgrywać w banku tym znaczną rolę, a dążyli do podcięcia wpływów Banca Commerciale. Jednak próby - podejmowane celem wyrugowania z potężnego banku mediolańskiego wpływów niemieckich - pozostały bez widocznego skutku. Podobno Sonnino żegnając się w maju 1915 r. z Bülowem przyrzekł mu ochronę interesów niemieckich we Włoszech; w Berlinie zapewnienia te przyjęto z uznaniem.

W pierwszych miesiącach wojny burżuazja włoska pragnęła utrzymania neutralności w nadziei, że zwiększony z powodu wojny wywóz do państw wojujących, zwłaszcza do Niemiec, zapewni jej duże zyski. Ale sytuacja zaczęła się szybko komplikować. Przemysł włoski stanął przed niebezpieczeństwem niedoborów w dowozie węgla i rudy. Ponadto Włochom potrzebne były kredyty na pokrycie przywozu, a był to przecież okres zamętu na rynku międzynarodowym. Co więcej, występowały różnice interesów różnych grup we Włoszech. Genua i Neapol pragnęły rozwijać handel z Francją i Wielką Brytanią. Zakłady Fiata w Turynie były zainteresowane dostawami samochodów ciężarowych, motorów do łodzi podwodnych i samolotów głównie do Francji. Ale jednocześnie działał Banca Commerciale w przemyśle, w finansach, w handlu, w życiu politycznym, w prasie.

W tych warunkach, jakie znaczenie miały względy gospodarcze dla decyzji rządu włoskiego wzięcia udziału w wojnie? „Wejście Włoch do wojny po stronie państw Koalicji - pisał badacz stosunków gospodarczych Pierre Milza - było wynikiem decyzji politycznej powziętej przez szczupły zespół, decyzji, w której czynniki ekonomiczne i finansowe grały rolę tylko drugorzędą. ...Młode Królestwo Włoskie bardziej było wciągnięte w orbitę ekonomiczną Niemiec niż Trójporozumienia”.

Francuzi nie tylko zdobywali coraz silniejsze stanowisko w gospodarce włoskiej, działali także skutecznie w kołach politycznych. Wśród liberałów ostoja

wpływów francuskich były loże masońskie, nie były to jednak wpływy nazbyt wielkie, skoro większość liberałów opowiadała się za neutralnością.

Katolicy włoscy odnosili się do Francji niechętnie, ulegali wpływom niemieckiego Centrum, ale żywa i zręczna akcja katolików francuskich, prowadzona we Włoszech ze zdwojoną siłą od chwili wybuchu wojny, zdołała otworzyć przed Francuzami niejedne drzwi i obalić niejedno uprzedzenie. Zainaugurowano m. in. współpracę pomiędzy katolikami obu krajów celem wypracowania nowych zasad prawa narodów w oparciu o nauki Ojców Kościoła. Uderza tu aktualność i polityczne znaczenie sprawy.

Interesująco przedstawia się stanowisko Włoskiej Partii Socjalistycznej (*Partito Socialista Italiano*) i zabiegi o jej pozyskanie. W II Międzynarodówce socjaliści włoscy mieli słabszą pozycję niż Sekcja Francuska Międzynarodówki Robotniczej (*Section Française de l'Internationale Ouvrière*) i znacznie słabszą niż socjaldemokracja niemiecka. Natomiast w kraju socjaliści włoscy cieszyli się wpływami niepoślednimi.

4 sierpnia 1914 r. zebrało się w Mediolanie kierownictwo partii i uchwaliło żądanie, aby Włochy zachowały całkowitą neutralność „aż do końca wojny”. Gdyby zaś rząd chciał zejść z drogi neutralności, socjaliści wezwą proletariat do „akcji bezpośredniej”.

Sympatie wszakże socjalistów włoskich kierowały się raczej ku Koalicji, zwłaszcza ku Francji i Belgii. Odpowiedzialnością za wybuch wojny obarczano „im-

perializm austro-węgierski wspomagany przez militarizm niemiecki”.

Silne były pomimo to wpływy socjaldemokracji niemieckiej, która pośród socjalistów włoskich, jak zresztą w całej II Międzynarodówce, cieszyła się niekwestionowanym autorytetem. Autorytet ten usiłował wyzyskać Albert Sudekum podczas swej podróży do Włoch z końcem zimy 1914/15 r., ale rezultatów godnych uwagi nie osiągnął, m. in. może i dlatego, że działał już w okresie, gdy sympatie prokoalicyjne zdecydowanie wzięły górę w całym kraju, także i pośród socjalistów.

W przeciwieństwie do Niemców Francuzi w bojach o zdobycie sympatii i poparcia socjalistów włoskich mogli się poszczycić znacznym sukcesem. Historia to niecodzienna, interesująca i warto jej poświęcić słów kilka.

W szeregach socjalistycznych głównym bodaj przeciwnikiem Francji był redaktor „dziennika „Avanti” Benito Mussolini. 7 sierpnia 1914 r. Mussolini pisał: „Co zrobiła dla uratowania pokoju Francuska Partia Socjalistyczna, która ma 101 deputowanych w parlamencie? A Generalna Konfederacja Pracy, która w swym programie miała strajk powstańczy w razie wojny?” 8 września Mussolini pisał: „Wzywają nas, abyśmy przelewali łzy za męczennicę - Belgię. (...) Wszyscy walczący są jednakowo winni”. Po serii ostrych artykułów antywojennych w sierpniu i wrześniu czytelnicy „Avanti” dowiedzieli się ze zdumieniem, że

w wielkim dramacie dziejowym, który się rozgrywa w Europie, „socjaliści nie mogą pozostać widzami”.

Słynny był artykuł Mussoliniego, w którym zwalczał dogmat „absolutnej neutralności”. Artykuł kończył się histerycznym okrzykiem: „Okrzyk to wyraz, którego nigdy bym nie użył w czasach normalnych, ale teraz rzucam go głosem silnym, głosem jasnym, bez niedomówień, z wiarą absolutną: wyraz straszliwy i fascynujący: Guerra!”

Mussolini nie zagrał wszakże dłużej miejsca w szeregach socjalistów, usunięto go z kierownictwa, wkrótce potem z partii i z redakcji „Avanti”. Założył wówczas własny dziennik „Il Popolo d’Italia” i wszczął agitację za udziałem Włoch w wojnie. W kraju zaczęto zadawać sobie wówczas pytanie: *Chi paga?* (Kto płaci?). Tajemnicę zdradzono po wojnie w latach 1926 i 1928 na łamach prasy francuskiej. Pieniądze dał Mussoliniemu rząd francuski, a pośrednikiem był Jules Guèsde, wówczas minister w rządzie jedności narodowej Vivianiego z ramienia socjalistów.

Rzecz ciekawa, nie tylko Francuzi opłacali Mussoliniego, pieniądze dawali mu także, już wówczas, przemysłowcy włoscy. Wyszło to na jaw jeszcze później, już po drugiej wojnie światowej. A było to tak. Dotacje od armatorów genueńskich, od przemysłu żelaznego i cukrowniczego otrzymał Mussolini za pośrednictwem Filippo Naldiego, redaktora prawicowego dziennika „Il Resto del Carlino”. Naldiego inspirował dyskretnie markiz di San Giuliano, chciał on złagodzić neutralistyczne, antywojenne stanowisko socjalistów

włoskich, aby wzmocnić stanowisko rządu włoskiego w pertraktacjach z Wiedniem.

Nastroje społeczeństwa włoskiego zwracały się z coraz większą sympatią w stronę Koalicji.

W szeregach interwencjonistów znalazły się żywioły najrozmaitsze: republikanie, radykałowie różnych odcieni, garybaldczycy, nacjonaści, a nawet prawicowi liberałowie z senatorem Albertinim dyrektorem poczytnego dziennika „Corriere della Sera” na czele.

W płomiennych słowach wzywał rodaków do wojny poeta Gabriele d’Annunzio wołając, że Włochy nie mogą być tylko „muzeum, oberżą, wilegiaturą”. Ricciotti Garibaldi, syn bohatera walk wyzwoleniczych, wzorem garybaldczyków z 1870/71 r. organizował legion ochotników włoskich do walki w obronie Francji przed Prusakami.

Zwiększoną, choć na razie jeszcze ostrożną aktywność rozwijał rząd włoski. 3 grudnia 1914 r. na pierwszym powakacyjnym posiedzeniu Izby Deputowanych zabrał głos prezes ministrów Salandra i wygłosił dłuższe przemówienie programowe. Gdy mówca stwierdził, że i na lądzie, i na morzu Włochy „mają do obrony interesy życiowe, a do zaspokojenia słuszne aspiracje”, w Izbie zerwała się burza oklasków, z galerii zaś odezwały się okrzyki „*Viva Trente e Trieste*” („*Niech żyje Trydent i Triest*”). Na tym samym posiedzeniu doszło do owacji na cześć Belgii.

Tegoż jeszcze dnia ambasador Francji przy Kwirynale Camille Barrère depešował do Paryża: „Ludziom



sprawującym tu władzę najbardziej zależy na tym, aby Włochy odgrywały rolę mocarstwa (...) Chcą działać, ale w chwili, którą sami wyznaczą i sposobami niezależnymi. (...) Moim zdaniem, należy sobie gratulować obrotu rzeczy, który prezes ministrów usiłuje nadać wypadkom, ale nie można wyciągać stąd wniosku, że interwencja jest już bliska. (...) Włochy należy traktować jako niezależne wielkie mocarstwo, które nie znosi nalegań, a jest panem swych przeznaczeń, ponieważ pracuje jedynie na rzecz własnych interesów”.

Rzym był tymczasem terenem gry pomiędzy przedstawicielami mocarstw. W korpusie dyplomatycznym bezsprzecznie pierwsze miejsce zajmował ambasador Francji Camille Barrère. Według Bülowa „bardzo zręczny i świadomy celu” Barrère działający w Rzymie od 1897 r. przyczynił się wydatnie do wyrównania stosunków pomiędzy Francją i Włochami. Sekundował mu obecnie ambasador brytyjski Sir Rennell Rodd.

Od pierwszej chwili działali we Włoszech Niemcy. Berchtold twierdzi, że to nie Włosi wysunęli kwestię Trydentu jako kompensaty, wysunąć ją miał najpierw ambasador Rzeszy przy Kwirynale Johannes von Flotow; odtąd ta sprawa przewijała się stale w rozmowach dyplomatycznych nie tylko niemiecko–włoskich, ale i niemiecko–austriackich.

15 grudnia 1914 r. zjechał do Rzymu w nadzwyczajnej misji dawny kanclerz Rzeszy książę Bernard von Bülow, aby przejąć obowiązki niezręcznego i mało aktywnego ambasadora Johanna von Flotowa.

Bülow, ożeniony z włoską księżniczką Marią Campo-reale, znany był i ustosunkowany we Włoszech. Rzymski pałac Bülowów Villa Malta, niegdyś rzymska rezydencja królowej Marii Kazimiery Sobieskiej, stał się miejscem nie tylko świetnych przyjęć, ale i ożywionej akcji i przemyślnych, misternych intryg.

Austriacy uważali, z punktu widzenia Wiednia całkowicie słusznie, działalność Bülowa za niezmiernie szkodliwą. Minister Burian twierdził wręcz, że staremu intrygantowi należy przypisać odpowiedzialność za to, że bluff włoski z początków wojny zamienił się w realne żądania.

W Wiedniu miano wszelkie powody, aby nie ufać Bülowowi i uważać jego działalność za nielojalną względem monarchii i wysoce dla niej szkodliwą.

Przybycie Bülowa do Rzymu wzbudziło u wielu Włochów niezadowolenie i zaniepokojenie. Stary działacz socjalistyczny Amilcare Cipriani mówił wręcz o ingerencji niemieckiej w wewnętrzne sprawy Włoch.

Dyplomaci zagraniczni w Rzymie zabiegali gorączkowo o pozyskanie włoskich kół rządowych, parlamentarnych, finansjery, opinii publicznej. *Consulta* zaś - włoskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych - przygotowywała z wolna z niezmaconym optymizmem akcję przeciwko Austro-Węgrom. Sekretarz generalny *Consuly* de Martino mówił w listopadzie do radcy ambasady włoskiej w Wiedniu hr. Luigi Aldrovandi-Marescotti: „Jestem przeświadczony, że wojna przyniesie Włochom dużo pożytku”. „Nawet jeśli nie wezmą

udziału w wojnie?” - zapytał Aldrovandi, ale odpowiedzi nie otrzymał.

Gdy w grudniu 1914 r. wojska austro-węgierskie podjęły ofensywę przeciwko Serbii, w Rzymie uznano, że nadszedł czas, aby żądać rekompensat w myśl artykułu VII traktatu Trójprzymierza, rekompensat za terytoria, które by zajęli w Serbii Austriacy. Na *Ballplatzu* nie było wiele trudu z odpowiedzią; traktat mówił o faktach dokonanych, nie zaś o projektach. Ten punkt widzenia Berchtold dość sucho wyjaśnił 11 grudnia ambasadorowi włoskiemu księciu Giuseppe d’Avarna.

Dowodził, że nikomu w monarchii nie mogło przyjść do głowy, iż samo przekroczenie granicy serbskiej zaniepokoi Włochy; nie chodziło tu przecież nawet o „przejściową okupację”, jak to swego czasu było w Bośni i Hercegowinie, c. i k. armia posuwa się w Serbii w wyniku działań wojennych niemożliwych do określenia z góry.

Jednakże pod naciskiem niemieckim Berchtold zaczął się skłaniać do ustępstw, może zresztą tylko pozornych. Pragnął rokować z Włochami, mówić im nawet o cesji Trydentu po wojnie w zamian za inne nabytki terytorialne dla monarchii, przede wszystkim na ziemiach polskich; nabytki te, w myśl projektów Berchtolda, miały gwarantować Niemcy i ...Włochy.

Hrabia Tisza uznał wszakże takie koncepcje za niedopuszczalną słabość, godzącą w autorytet i interesy monarchii i zwrócił się do cesarza o udzielenie Berchtoldowi dymisji. Cesarz Franciszek Józef zgodził się na to chętnie; sędziwego monarchę głęboko oburzało

stanowisko Włoch, które poczytywał za cyniczną nielojalność, jak i sama myśl o dobrowolnej rezygnacji z krajów podległych berłu Habsburgów.

Cesarz Franciszek Józef chciał widzieć ster polityki zagranicznej monarchii w pewnych i mocnych rękach i pragnął, aby hrabia Istvan Tisza, jak niegdyś Gyula Andrassy starszy, ze stanowiska premiera Węgier w Budapeszcie przeszedł do Wiednia na *Ballplatz*. Tisza był wszakże zdania, że musi pozostać w Budapeszcie i nadal kierować polityką węgierską. Na stanowisko ministra spraw zagranicznych zaproponował Węgra Buriana, dawnego wspólnego ministra skarbu. Zgodził się na to cesarz i 13 stycznia 1915 r. nastąpiła dymisja wspólnego ministra dworu cesarskiego i królewskiego hrabiego Leopolda Berchtolda von und zu Ungarschütz i nominacja jego następcy barona Stephana Buriana de Rajecz. Było to zwycięstwo Tiszy i wszystkich przeciwników kupowania neutralności Włoch koncesjami terytorialnymi.

W pół roku po dymisji Berchtold wyruszył na front włoski; z Włochami wolał się bić niż rokować.

Nowy wspólny minister spraw zagranicznych stanął przed niewdzięcznym i trudnym zadaniem - odrzucić żądania włoskie, a tym samym niepewnego sprzymierzeńca zmienić w otwartego wroga czy też ulec naciskom niemieckim, zgodzić się na cesje terytorialne, ponieść ofiarę najprawdopodobniej niepotrzebną, bezskuteczną i stworzyć niebezpieczny precedens na przyszłość. Za najwłaściwszą taktykę uznał Burian działać dylatoryjnie i „cierpliwie prowadzić rokowania”, aby

zyskać na czasie i przygotować się na chwilę, gdy Włochy otwarcie staną w rzędzie wrogów monarchii.

23 stycznia 1915 r. na łamach poczytnego i wpływowego dziennika wiedeńskiego „Neue Freie Presse” ukazał się artykuł wybitnego polityka węgierskiego hr. Gyuli Andrassyego o stosunkach pomiędzy monarchią habsburską a Włochami. Artykuł zwracał się wyraźnie nie do austriackich czytelników „Nowej Wolnej Prasy”, lecz do kierowników opinii publicznej we Włoszech. Treścią było rozważanie, czy klęska Państw Centralnych przyniosłaby pożytek Włochom. Konkluzja była zdecydowanie negatywna. Przegrana Austro–Węgier to zarazem przegrana Włoch - na wybrzeżach Morza Adriatyckiego usadowiłaby się Wielka Serbia, ani Austriacy, ani Węgrzy nie prowadzą walki z żywiołem włoskim, Serbowie taką walkę podejmą. Bałkany opnowałyby Rosja. „Czyż sąsiedztwo takiego słowiańskiego olbrzyma nie byłoby dla Włoch o wiele bardziej niebezpieczne niż nasze? Czyż w Rzymie nie widzą, że przymierze z Włochami ma znaczenie dla Austro–Węgier, ale byłoby zupełnie zbędne dla zwycięskiego caratu, który z bezwzględną energią przystąpiłby do likwidowania wpływów włoskich na wschodnim brzegu Adriatyku?” A ponadto zwycięstwo Koalicji dałoby Wielkiej Brytanii panowanie nad Arabią i Egiptem, a Francji nad całą północno–zachodnią Afryką. Pomiedzy takimi potęgami morskimi i afrykańskimi nie byłoby miejsca dla Włoch, Trypolitanie mogłyby utrzymać wyłącznie z łaski Koalicji, rozszerzenie włoskiego stanu posiadania w Afryce nie byłoby możliwe.

Tyle hr. Andrassy. Rozumowanie jego było niewątpliwie logiczne, ale logika nie zawsze przekonuje. Włoską opinię publiczną bardziej urzekały hasła *Risongimento* i *Italia irredenta*, bardziej urzekał włoski Trydent, włoski Triest, włoska Istria i Dalmacja niż przerażało widmo dalekiego caratu na Bałkanach.

3 lutego 1915 r. odbyło się w Wiedniu posiedzenie Rady Ministrów Spraw Wspólnych. Posiedzenie zainaugurował nowy przewodniczący i minister spraw zagranicznych baron Burian długim *exposé* o położeniu politycznym.

Na plan pierwszy wysunęły się żądania włoskie. Minister wspomniał o sugestiach niemieckich, z jakimi się spotkał podczas swej wizyty w niemieckiej kwaterze głównej, aby pójść wobec Włochów na ustępstwa. Zapewnił jednak, że Niemcy uznali jego argumenty i nie będą nalegali na cesje terytorialne, w Rzymie zaś „będą bardziej (niż dotąd) odgrywali rolę naszego sprzymierzeńca”. Jak wykaże bieg dalszych wypadków optymizm Buriana nie był dostatecznie uzasadniony. Konkluzje ministra zamykały się w opinii, że Austro-Węgry znajdują się wprawdzie w trudnym położeniu, ale z tego bynajmniej nie wynika, aby ponosić ofiary, których bezużyteczność jest oczywista. Oddanie Trydentu nie zapewniłoby Austro-Węgrom życzliwej neutralności Włoch do końca wojny; przyniosłoby to skutki tylko na krótką metę. Co utracono w boju - konkludował minister - można odzyskać; co oddaje się dobrowolnie, traci się na zawsze.

W początku 1915 r. położenie na froncie wschodnim przysparzało Państwu Centralnym poważnych trosk - Rosjanie nie sforsowali wprawdzie obronnych linii austro-Węgierskich w Karpatach i nie zdołali wdrzeć się na Węgry, ale obrona drogo Austriaków kosztowała i sytuacja była wciąż niepewna. Niemcy wygrali ostatecznie zimową bitwę na Mazurach, ale za cenę wielkich ofiar. Kanclerz Bethmann Hollweg podczas wizyty w dniu 4 marca 1915 r. w dowództwie frontu wschodniego stwierdził, że panowały tam nastroje dość posępne. Kanclerz nakłonił Ludendorffa do opracowania dla dowództwa austriackiego memoriału z pesymistyczną oceną sytuacji; cel memoriału był jasny - wpłynąć na Austriaków, aby dłużej nie wzdragali się przed ustępstwami na rzecz Włoch.

Niemcy zmobilizowali i inne, wszelkie dla siebie możliwe, środki nacisku i perswazji, działali w kołach dworskich, pośród finansjery, w świecie politycznym. Działania ułatwiała im trudna pod każdym względem sytuacja monarchii.

Wytoczyli ciężki argument, który w 1918 r. odegrała niemałą rolę - groźbę głodu. Ustępstwa na rzecz Włoch i Rumunii - głosili - dyktuje trudna sytuacja aprowizacyjna, powoływali się na wydane jakoby w Wiedniu przepisy aprowizacyjne, zezwalające na wypiek chleba tylko w 50% z mąki pszennej lub żytniej, pozostałe 50% miały stanowić namiastki. W tej sytuacji nieustępliwi dotąd Węgrzy zaczęli się chwiać, zaczął się chwiać bodaj sam cesarz Franciszek Józef.

Naciski niemieckie idące „wszystkimi możliwymi do pomyślenia kanałami” uznał Burian za „bardzo nieprzyjemne”. Nie brakło mu jednak poczucia humoru, gdy podniósł „godną uznania lojalność” rządu Rzeszy. „Lojalność” owa wyraziła się w taki sposób, że Niemcy zgodzili się wziąć udział w „ofierze”, którą ponieść miała monarchia habsburska. Niemcy mianowicie wyrazili gotowość oddania Austrii bogatego zagłębia węglowego na południowym zachodzie Królestwa Polskiego. Lojalność rządu Rzeszy była istotnie wzruszająca. Niemcy żądali od Austrii ofiar z jej własnych ziem, za tę ofiarę płacili cudzą własnością<sup>46</sup>.

Rada Koronna monarchii w dniu 8 marca 1915 r. wyraziła ostatecznie zgodę na oddanie Włochom po wojnie Tyrolu Południowego w zamian za zachowanie neutralności i wolną rękę na Bałkanach. Na podjęciu tej ciężkiej zarówno dla Austriaków, jak i dla Węgrów decyzji zaważył bezwzględny nacisk niemiecki, zaważył również pesymizm szefa sztabu. Generał Conrad oświadczył, że c. i k. armia nie ma dość siły, aby przeciwstawić się Włochom; jedynie Pola (obecnie Pula) i Tyrol będą mogły bronić się przez czas pewien.

Conrad, jak wiemy, lekceważył armię włoską, ale był zdania, że Austro–Węgry nie są w stanie prowadzić wojny na trzy fronty - Bałkany, Rosja, Włochy.

Bolesne ustępstwo w Tyrolu, na które Austria zdobyła się tylko z największym trudem i największym wysiłkiem, bynajmniej nie zadowoliło Włochów. W rozumieniu *Consulty* mógł to być zaledwie początek, zaledwie wstęp do dalszych ustępstw. Ponadto rząd wło-



ski zamierzał podać do publicznej wiadomości zgodę Austrii na cesję Tyrolu Południowego, aby parlament i cały naród włoski miał świadomość odniesionego w rokowaniach z Austrią sukcesu.

Taka możliwość była dla Wiednia, rzecz prosta, nie do przyjęcia. Z przyczyn łatwo zrozumiałych Austriacy musieli stawiać jako warunek sine qua non odroczenie do końca wojny nie tylko realizacji poczynionych Włochom obietnic, ale także ich utrzymanie w ścisłej tajemnicy. Dla ludzi zorientowanych w położeniu międzynarodowym i w polityce włoskiej sprawa była jasna - porozumienie pomiędzy Włochami a monarchią habsburską przestało już należeć do rzędu spraw możliwych.

Rząd włoski coraz wyraźniej skłaniał się ku myśli związania się z Koalicją. Lekkie sondowania terenu rozpoczęli Włosi już w początkach września 1914 r. w Piotrogradzie, stolicy państwa, które - wydawać by się mogło – miało największy interes w przymierzu wojskowym z Włochami. Już w pierwszych rozmowach piotrogrodzkich pomiędzy ambasadorem włoskim markizem Andrea Carlotim di Rivabella a Sazonowem padła oferta Koalicji: Włochy dostaną Trydent oraz porty w Trieście i Valonie (obecnie Vlora), ale muszą w niedługim czasie wystąpić zbrojnie przeciwko Austro–Węgrom na lądzie i na morzu.

Próby ułożenia się z Koalicją rozpoczęli więc Włosi od Rosji, od badania terenu w Piotrogradzie. I wydawało się to logiczne, Rosja była bowiem tym mocarstwem Koalicji, któremu na pomocy włoskiej, na

współdziałaniu z Włochami najbardziej powinno było zależeć. Uderzenie na tyły monarchii habsburskiej ułatwiłoby działania wojenne Rosjan na froncie wschodnim w Galicji i w Królestwie. Okazało się wszakże niebawem, że to Rosja właśnie odnosiła się do pozyskania Włoch z powściągliwością. Nie powinno to jednak nikogo dziwić. Włoskie postulaty nabytków terytorialnych szły daleko, obejmowały ziemie słowiańskie Istrię i Dalmację, godziły wyraźnie w interesy Słowian południowych. Zatem Rosja, ich protektorka, musiała wziąć ich w obronę. W tym tkwiło źródło niechęci Piotrogradu spełnienia żądań włoskich.

2 marca (17 lutego) 1915 r. Sazonow powiadomił Paryż i Londyn, że „nie bez troski widziałby wejście Włoch do akcji teraz, gdy wyraźnie straciła na znaczeniu ich pomoc”. Siła Koalicji - zdaniem Sazonowa - polega na zaufaniu, które łączy trzy państwa sprzymierzone. Zwartość Koalicji mogłaby stanąć pod znakiem zapytania w przypadku wejścia w jej skład Włoch, mających na względzie jedynie swoje egoistyczne interesy. W każdym razie Sazonow sugerował, aby ewentualną ofertę włoską uchylić w sposób przyjacielski.

Zastrzeżenia Sazonowa ani w Paryżu, ani w Londynie nie spotkały się ze zrozumieniem. Uważano tam, że wejście Włoch do wojny ułatwi i przyspieszy zwycięstwo; życzono sobie, aby Włosi wzięli udział w operacji dardanejskiej. Delcassé sądził ponadto, że odrzucenie oferty Rzymu mogłoby rzucić Włochy w ramiona Państw Centralnych.

Tymczasem w Rzymie coraz więcej wagi przywiązywano do rokowań z Koalicją. 16 lutego 1915 r. Sonnino wysłał do ambasady włoskiej w Londynie memorandum z 16 postulatami. Ale Sonnino jakby wahał się jeszcze, wzbronił ambasadorowi przedstawienia dokumentu rządowi brytyjskiemu bez wyraźnego upoważnienia.

Niebawem nastąpiły wydarzenia, które zaważyć miały na stanowisku Rzymu. 19 lutego 1915 r. Francuzi i Anglicy uderzyli na Dardanele. W Rzymie sądzono, że w niedługim czasie floty brytyjska i francuska wpłyną na wody Bosforu, Konstantynopol wpadnie w ręce Koalicji, państwo Osmanów rozpadnie się i posłuży za łup dla Anglików, Rosjan i Francuzów. A przecież Włosi niedawno, w roku 1912, w wojnie z Turkami zajęli Rodos i wyspy Dodekanezu. Czemu nie mieliby sięgać po nowe zdobycze w Azji Mniejszej? Neutralność kryła w sobie niebezpieczeństwo - ze zwycięstw brytyjskich i francuskich nad Turcją mogli Włosi wyjść z próżnymi rękami. Należało się spieszyć.

3 marca 1915 r. markiz Guglielmo Imperiali di Francavilla, ambasador królewsko-włoski w Wielkiej Brytanii, otrzymał telegraficzne polecenie złożenia w Urzędzie Spraw Zagranicznych memorandum z 19 lutego.

Nazajutrz, 4 marca, Imperiali złożył wizytę Greyowi i przedstawił mu niemałą listę żądań włoskich. Włosi pragnęli się najpierw zabezpieczyć przed ryzykiem wojny z przeciwnikiem, któremu własnymi siłami nigdy dotąd sprostać nie mogli. Stąd postulat, aby woj-

ska rosyjskie podjęły energiczną ofensywę przeciwko Austro–Węgrom, aby flota francuska i brytyjska wsparły Włochów na Morzu Adriatyckim. Rewindykacje terytorialne szły daleko - Trydent i Tyrol aż do Brenneru, Triest i Istria, większa część Dalmacji pomiędzy wybrzeżem chorwackim a Czarnogórą wraz z wieńcem wysp przybrzeżnych. Żądania te nie obejmowały wszakże Fiume (Rijeki) i wybrzeża chorwackiego, Włosi chcieli bowiem zachować kompromis czy pozór kompromisu pomiędzy chęcią posiadania wschodniego brzegu Morza Adriatyckiego a zasadą narodowości. Dalej zastrzegali sobie Włosi neutralizację Zatoki Koterskiej i protektorat nad Albanią; port w Valonie (obecnie Vlora) miał być wszakże posiadłością włoską. W Azji Mniejszej Włochom miała przypaść Adalia (obecnie Antalya) w przypadku rozpadnięcia się Turcji. Gdyby Wielka Brytania i Francja anektowały kolonie niemieckie, Włochy żądały rozszerzenia granic ich posiadłości afrykańskich (Somalia, Erytrea, Libia).

I w Londynie, i w Paryżu uznano postulaty włoskie za wygórowane - Delcassé wyraził się nawet, że Włosi przyłożyli mu pistolet do głowy - ale nie protestowano.

Zaprotestowała natomiast Rosja. Sazonow godził się na włoskie postulaty w sprawie Tyrolu i Triestu, nie zgłaszał sprzeciwu co do Valony i Adalii, wzbraniał się jednak uznać pretensje włoskie do Dalmacji. Nawet zgoda Wielkiej Brytanii na oddanie Rosji Konstantynopola i Cieśnin nie złagodziła sprzeciwów i złego humoru rosyjskiego ministra spraw zagranicznych. Sazonow wciąż wzdragał się przed uznaniem dalmackich aspira-

cji Włoch, gdyż uważał, że godziło to w autorytet Rosji - protektorki Serbów. Motywy oporu, które działały w jego mózgu i argumenty, którymi się posługiwał, były niekiedy dość zaskakujące. „Pretensje Włoch - powiedział Sazonow 31 marca 1915 r. ambasadorowi Francji - są wyzwaniem rzuconym sumieniu słowiańskiemu. Niech Pan pamięta, że św. Izaak Dalmata jest jednym z największych świętych liturgii prawosławnej”. Lecz tu nawet Paléologue, tak zauroczony wspa- niałością i potęgą caratu, stracił cierpliwość i odpowiedział sucho: „Chwyciliśmy za broń, aby ratować Ser- bię, gdyż zagłada Serbii oznaczałaby hegemonię mo- carstw germańskich, ale nie walczymy dla realizacji chimer sławizmu. Oddanie Konstantynopola wystar- cza”.

Rząd rosyjski rozumiał, że Włochy dążyły do zaję- cia na Bałkanach miejsca monarchii habsburskiej i by- najmniej się z tym nie godził. Włosi zaś uważali, że zjednoczone państwo jugosłowiańskie to cień Rosji nad Morzem Adriatyckim. Woleliby już może nadal wi- dzieć u granic Bałkanów dziedzicznego wroga - Au- strię, ale Austrię pomniejszoną i osłabioną. Bardziej jeszcze woleliby widzieć tam skłóconych ze Słowiana- mi Węgrów. Rzecz charakterystyczna, że na liście żą- dań włoskich nie było Fiume (Rijeki); port ten chcieli Włosi pozostawić królestwu węgierskiemu i w ten spo- sób otworzyć sobie drogę do przyszłej współpracy z Węgrami.

Stanowisko Rosji sprecyzował Sazonow w odpo- wiedzi przesłanej 15 marca 1915 r. do Londynu. Rząd

rosyjski wyrażał na ogół zgodę na postulaty Włoch z wyjątkiem tych, które godziły w interesy słowiańskie, rząd rosyjski widział jedynie możliwość oddania Włochom na Morzu Adriatyckim Triestu, Istrii i wysp Kvarner (włoskie Quarnero), nie godził się natomiast na przyznanie im Dalmacji.

W dniu 22 marca 1915 r. Rosjanie po kilku miesiącach oblężenia zdobyli Przemyśl. Wzmocniło to opory rosyjskie, ale tylko chwilowo, gdyż pomimo uporczywych ataków Rosjanie nie zdołali sforsować austriacko-węgierskich linii obronnych w Karpatach, interwencję włoską musieli więc uznać za pożądaną.

Z Rzymu tymczasem Sonnino nadal prowadził misterną grę na dwie strony. Jak wiemy 8 marca Rada Koronna w Wiedniu wyraziła zgodę na cesję po wojnie Tyrolu Południowego, co rząd włoski uznał za ustępstwo niewystarczające i przedstawił kontrpropozycje. Streszczały się one w tym, że monarchia habsburska obok Tyrolu odstąpić miała wyspę Korčulę (włoska Curzola) na Morzu Adriatyckim, zgodzić się na korektury graniczne nad rzeką Isonzo (słoweńska Socza) i na utworzenie z Triestu niezależnego państewka. Na to z kolei nie mogły się zgodzić Austro-Węgry, Sonnino przyspieszył więc rokowania z Koalicją.

26 kwietnia 1915 r. stanął w Londynie traktat przymierza pomiędzy Włochami z jednej a Wielką Brytanią, Francją i Rosją z drugiej strony. Traktat składał się z 16 artykułów i zapowiadał, że Włochy otrzymają Trydent, Tyrol do Brenneru, Triest, Gorycję, Gradyskę, Istrię wraz z wyspami Krk (Veglia), Cres (Cherso) i

Lošinj (Lussino), Dalmację wraz z wyspami przybrzeżnymi, dalej port Valona z zapleczem wystarczającym do zapewnienia ochrony wojskowej oraz wyspę Sazani (włoskie Saseno). Następnie Koalicja zapewniała Włochom posiadanie okupowanych przez wojska włoskie wysp Dodekanezu i w razie podziału Turcji azjatyckiej obiecywała Adalię. Gdyby Francja i Wielka Brytania miały rozszerzyć kosztem Niemiec swoje posiadłości w Afryce, Włochy otrzymają prawo do odpowiedniej rekompensaty w postaci powiększenia swych kolonii: Somalii, Erytrei i Libii. Ponadto państwa Koalicji zgodziły się sprzeciwić się udziałowi przedstawicieli Stolicy Apostolskiej w konferencji pokojowej. W zamian Włochy zobowiązały się wystąpić zbrojnie po stronie Koalicji. Konwencja wojskowa miała ustalić szczegóły techniczne wspólnej wojny, między innymi wysokość sił, które Rosja rzuci przeciwko Austro–Węgrom; chodziło o to, aby uniemożliwić monarchii habsburskiej użycie zbyt licznej armii na froncie włoskim. Pożyczka angielska w wysokości co najmniej 50 mln funtów dopełniła listę zobowiązań zaciągniętych przez nowych sojuszników Królestwa Włoskiego. W przeciągu miesiąca od zawarcia traktatu Włochy miały wypowiedzieć wojnę Austro–Węgrom.

Traktat był niewątpliwym sukcesem dyplomacji włoskiej. Obietnice, których Koalicja Włochom nie poskąpiła, szły daleko. Rosja w zamian za konstantynopolitańskie mirażę cofnęła wcześniejsze zastrzeżenia przeciwko dezyderatom włoskim godzącym w Słowian południowych. Włosi zdołali więc zapewnić sobie po-

siadanie nie tylko znacznej części Dalmacji, ale i wysp u wschodnich brzegów Morza Adriatyckiego; Sonnino w posiadaniu tych wysp widział podstawę władania Morzem Adriatyckim. Takich korzyści Państwa Centralne nie były w stanie Włochom zapewnić.

Sytuacja wewnętrzna Włoch była jednak nader skomplikowana. Traktat londyński był tajny i rząd nie przedstawił go parlamentowi. W parlamencie zresztą stronnicy neutralności mieli przewagę, w gabinecie zaś mówili zwolennicy interwencji zbrojnej.

A kraj? W którym kierunku szły sympatie społeczeństwa?

Gospodarce włoskiej daleko było do pomyślności. Zły stan pogarszały jeszcze klęski żywiołowe - nieurodzaj w 1914 r. wylew Tybru w połowie lutego 1915 r., a niedługo potem trzęsienie ziemi w Abruzzach. Powszechne niezadowolenie mogło z łatwością przerodzić się w groźny ruch mas przeciwko rządowi, przeciwko monarchii, przeciwko panującemu ustrojowi. Należało więc wrzenie w masach skanalizować i zwrócić je w pożądanym dla klas panujących kierunku. Wbrew pozorom interwencjoniści mieli więcej możliwości manewru niż neutraliści i rozwinięli energiczną agitację wojenną. Szerzyła ją prasa. „Corriere della Sera”, „Secolo”, „Idea Nazionale”, Mussoliniego „Popolo d'Italia” wzywały do czynu zbrojnego. Członkowie zorganizowanego przez Mussoliniego Związku Akcji Rewolucyjnej (*Fasci di Azione Rivoluzionaria*) specjalizowali się w demonstracjach prowojennych antyaustrackich.



Z pałacu w Kwirynale dyskretnie a zrećcznie sterował ku wojnie król Wiktor Emanuel III. Demonstracje uliczne miały zyskiwać zwolenników wojny i zarazem pokazać, że za wojną opowiadają się masy. Największa bodaj manifestacja odbyła się w Genui 5 maja 1915 r. w rocznicę wypłynięcia z portu genueńskiego wyprawy „Tysiaca” na podbój Sycylii. Do rozentuzjasmowanych tłumów przemówił d’Annunzio: „... Błogosławieni niechaj będą młodzi ludzie głodni i spragnieni chwały, albowiem będą nasyceni”.

Neutraliści wszakże nie zasypiali gruszek w popiele. Na początku maja po dłuższej nieobecności przybył do Rzymu spragniony powrotu do władzy były kilkakrotny premier Giovanni Giolitti.

Giolitti był zdecydowanym zwolennikiem zachowania neutralności. Z niedawnej wojny libijskiej wyniósł przekonanie o małej wartości bojowej armii włoskiej i jej generalicji, mniemał, że Włochy zaspokoją swoje ambicje mocarstwowe nie ponosząc ryzyka wojny i nie płacąc ceny krwi. Tłumaczył królowi i prezesowi ministrów, że wojna niesie z sobą poważne niebezpieczeństwa - Rosjanie ponieśli klęskę, należy się liczyć z ofensywą austriacką i niemiecką, z wtargnięciem wroga do Włoch, z groźbą rewolucji. Wyrażał pogląd, że odpowiednia uchwała parlamentu zwolniłaby rząd włoski ze świeżo zaciągniętych w Londynie zobowiązań. Giolittiego powitały wrogie manifestacje uliczne, lecz zaraz później ponad 300 deputowanych złożyło bilety wizytowe w mieszkaniu dawnego pre-

miera. Większość parlamentu opowiadała się za Giolittim.

Walka pomiędzy neutralistami i interwencjonistami nabrała szczególnego charakteru - parlament za neutralnością, ulica za wojną. Powtórzyć należy wyraźnie: ulica, nie masy ludowe, robotnicze czy chłopskie, nie naród, ale właśnie ulica, tzn. organizowane demonstracje uliczne. Miały one na celu wykazać, że całe Włochy pragną wojny. Wprawdzie Cavour w 1860 r. mówił, że „krzyków na placach nie można poczytywać za wyraz opinii publicznej”, ale nie wszyscy i nie zawsze chcieli o tym pamiętać.

Tymczasem szła dalej gra o wysoką stawkę pomiędzy królem, gabinetem Salandry i Sonnino, Giolittim, Francją, Wielką Brytanią, wysłannikami Niemiec Bülowem i Erzbergerem. Salandra, doskonale zorientowany w położeniu w parlamencie, przedłużył ferie parlamentarne do 20 maja, sam zaś 14 maja złożył królowi prośbę o dymisję gabinetu. Było to posunięcie zręczne, gdyż Salandra pewien był poparcia króla, zdecydowanego zwolennika wojny, Giolittiemu zaś zabrakło siły woli i odwagi i pozwolił się z gry wyeliminować. Król nie powołał go na stanowisko szefa rządu, przeciwnie - 16 maja nie przyjął dymisji Salandry i polecił mu kontynuować przygotowania wojenne. 17 maja pokonany Giolitti opuścił Rzym, a 20 maja Izba Deputowanych 407 głosami przeciwko 74, a Senat jednomyślnie uchwały kredyty wojenne. 23 maja 1915 r. Włochy wypowiedziały wojnę Austro-Węgrom.

Włochy wypowiedziały wojnę jedynie Austro-Węgrom, nie wypowiedziały jej Niemcom. Rząd Rzeszy od dawna wprawdzie przestrzegał Włochy, że jeśli wystąpią przeciwko monarchii habsburskiej będą miały Niemcy przeciwko sobie, teraz jednak nie wyciągnął wniosków z nieprzyjaznego aktu włoskiego i na razie zachował pokojowe stosunki z niedawnym sprzymierzeńcem, obecnie przeciwnikiem. W Berlinie bowiem chciano jak najdłużej utrzymać drogami przez Włochy łączność gospodarczą ze światem zewnętrznym.

Jak wiemy, parlament włoski był w ogromnej większości wojnie przeciwny, przeciwna wojnie była większość narodu, za wojną opowiadała się jedynie mniejszość hałaśliwa, zdecydowana na wiele.

Jakie siły składały się na tę mniejszość? Byli to republikańscy, widzący w walce przeciwko Austrii ostatni akt *Risorgimento*, ostatnią wojnę *Risorgimento*, wyzwolenie Trydentu i Triestu, triumf zasady narodowości w wolnej i demokratycznej Europie, spełnienie marzeń Mazziniego i Garibaldi. Byli to następnie socjaliści-reformiści - Bonomi, Bissolati - chcieli oni zadać cios śmiertelny militarystom i zapewnić narodom uciskanym wolność w „Europie odrodzonej duchem wolności”. Byli to wreszcie nacjonałiści - Corradini, Federzoni, d’Annunzio - ich zdaniem zwycięska wojna wyniosłaby Włochy rzeczywiście do rangi wielkiego mocarstwa.

A poza nimi czy ponad nimi stał król upatrujący w zwycięskiej rozprawie z Austrią ukoronowanie dążeń pradziada i dziada - Karola Alberta i Wiktora Emanuela

II - i wzmocnienie, wyniesienie Casa di Savoia (Domu Sabaudzkiego). „Walka polityczna, która rozgrywała się od sierpnia 1914 r. do maja 1915 r. wykazuje jasno i bez wszelkich wątpliwości, że interwencję narzuciła krajowi mniejszość, mniejszość nie tylko w zestawieniu z masami ludowymi politycznie niezaangażowanymi, ale i mniejszość sił politycznie mniej lub więcej zorganizowanych”.

Nasuwa się znowu pytanie, jaka była podstawa już nie polityczna, ale społeczna tej mniejszości. Był to ruch mieszczański czy drobnomieszczański, pozostawali z dala odeń robotnicy, pozostawali z dala odeń kierowani przez czynniki wielkoburżuazyjne liberalni „giolittianie” - zwolennicy Giolittiego, liczni liberałowi prawicowi, z dala pozostawali katolicy. Nie można twierdzić, że popierał wojnę wielki kapitał; ciężki przemysł, którego przedstawicielami byli także finansisci łożący na prasę interwencjonistów, był podzielony i w sprawie wystąpienia zbrojnego nie zajmował jednolitego stanowiska.

„W rzeczywistości interwencjonizm ma swe korzenie w pewnym klimacie moralnym i kulturalnym Włoch ery giolittiańskiej w wyniku rozwoju gospodarczego; charakteryzowały go ostre przeciwieństwa, które zmierzały do akcentowania równowagi wewnętrznej i pobudzały dążenia imperialistyczne i zmysł awanturniczy”.

Ostateczną decyzję podjęło trzech mężów - król, prezes ministrów i minister spraw zagranicznych. Król działał całkowicie w ramach konstytucji, która decyzję

w sprawach wojny i pokoju składała w ręce monarchy. Demonstracje uliczne zastraszyły parlament. W 7 i pół roku później manifestacje uliczne przygotują objęcie władzy przez faszystów, a decyzja królewska powoła Mussoliniego na czoło rządu.

W dziewięciomiesięcznej grze o porzucenie przez Włochy neutralności i rozpoczęcie wojny przeciwko Austro–Węgrom na dwie okoliczności warto zwrócić uwagę. Najpierw przyczyna wystąpienia Włoch - Włochy podjęły walkę nie tylko pod hasłem *Italia irredenta*, nie tylko, aby uzyskać od monarchii habsburskiej cesje terytorialne, nie tylko, aby dokończyć dzieła *Risorgimento*, ale w nie mniejszym stopniu po to, aby znacznie powiększyć kolonialny stan posiadania, przede wszystkim kosztem Turcji w Azji Mniejszej, w prowincji Adalia. W myśl dziewiętnastowiecznych jeszcze pojęć była to droga do zdobycia pozycji mocarstwowej. Dla polityków włoskich zapewnienie Italii stanowiska wielkiego mocarstwa, mocarstwa rzeczywistego, a nie fikcyjnego, było celem wielkiej wagi.

Pamiętajmy następnie, że spośród trzech mocarstw Koalicji najsilniej wystąpieniem Włoch powinna być zainteresowana Rosja, gdyż jedynie Rosji zależało na osłabieniu monarchii habsburskiej, jedynie wojska rosyjskie i serbskie toczyły boje z wojskami Austro–Węgier. Rosja zaś przysparzała interwencji włoskiej najwięcej trudności, nad względami militarnymi bowiem górowały względy polityczne - niechęć do opowania wschodnich wybrzeży Morza Adriatyckiego

przez Włochów i zagrożenia w ten sposób interesom serbskim.

O pozyskanie Włoch najbardziej zabiegała Wielka Brytania; nie chodziło jej o sprawy austriackie, szło jej o dominację na Morzu Śródziemnym, zagrożoną przez wystąpienie Turcji po stronie Państw Centralnych; Włochy zgodnie z rachubami brytyjskimi mogły tu odegrać pewną rolę.

W krajach monarchii habsburskiej wojna wszczęta przez niedawnego sprzymierzeńca nie wywołała, jak tego oczekiwano, paniki. Pośród ludności niemieckiej państwa, pośród Węgrów, pośród Chorwatów górowało powszechne oburzenie na wiarołomne Włochy.

Manifest cesarza Franciszka Józefa „do moich ludów” piętnował zdradę Włoch i głosił: „Wielkie wspomnienia Novarry, Mortary, Custozzy i Lissy, które są dumą mojej młodości, duchy Radetzkyego, arcyksięcia Albrechta, Tegetthoffa, które żyją w mojej armii i mojej flocie, sprawią, że południowe granice monarchii obronimy zwycięsko”.

Włochy wkroczyły w wojnę zupełnie nieprzygotowane - ani politycznie, ani gospodarczo, ani militarne. Od lat trzydziestu były związane przymierzem z Państwami Centralnymi. Wprawdzie zastarzała była we Włoszech niechęć do Austrii, ale z respektem patrzono na Niemcy, zwłaszcza na armię niemiecką, którą poczytywano za pierwszą w świecie. Względem Francji natomiast zadawnione były włoskie resentymenty.

Czas rozpoczęcia wojny wybrano niefortunnie. Salandra i Sonnino żywili przeświadczenie, że wojna we-

szła w stadium końcowe, że się nie przeciągnie poza zimę 1915/16 r. Należało więc działać póki interwencja włoska mogła mieć dla Koalicji znaczenie. W kołach rządowych sytuację monarchii podwójnej oceniano jako bardzo trudną. Był to przecież okres powodzeń rosyjskich uwieńczonych zdobyciem Przemyśla w dniu 22 marca 1915 r. Ale powodzenia te skończyły się właśnie w dniach finalizacji układów Włoch z Koalicją. Niefortunnie dla Włochów spotkały się dwie daty - 2 maja 1915 r. Niemcy i Austriacy rozpoczęli wielką, zwycięską ofensywę pod Gorlicami, 4 maja Włochy wypowiedziały traktat Trójprzymierza.

Włochy wszczęły wojnę lekkomyślnie. Salandra i Sonnino najwidoczniej nie zdawali sobie sprawy, jak wielkie sumy pochłonie ta decyzja; liczyli że wojna będzie trwała krótko. Nie można inaczej wytłumaczyć faktu, że w pakcie londyńskim rząd włoski zastrzegł sobie pożyczkę tylko w wysokości 50 mln funtów.

Jaka była armia włoska, na którą spadł teraz tak wielki ciężar? Wojna, którą miała toczyć, nie była to już wojna kolonialna jak nieszczęsna dla Włochów kampania abisyńska w 1896 r., jak kampania libijska w 1911/12 r., była to wojna europejska, wojna nowoczesna przeciwko armii austriackiej i węgierskiej, którym w sukurs miały przyjść wkrótce wojska niemieckie.

Armia włoska po wybuchu wojny liczyła ponad 850 tys. ludzi. Wyszkolenie korpusu oficerskiego pozostawiało wiele do życzenia. Wyposażenie bojowe było niewystarczające. Na 406 baterii artylerii polowej tylko

155 miało do dyspozycji armaty nowszego typu (francuskie działa 75-milimetrowe). Ciężka artyleria liczyła 28 baterii haubic i 12 baterii moździerzy ze szczupłymi zapasami amunicji. Pułki piechoty miały przeciętnie po dwa karabiny maszynowe. Lotnictwo znajdowało się jeszcze w powijakach.

Flota włoska liczyła 4 drednoty i 10 mniejszych okrętów liniowych, 10 krążowników pancernych, 8 kanonierek, 33 kontrtorpedowce, 70 torpedowców, wreszcie 20 łodzi podwodnych. Dowództwo włoskich sił morskich sprawował wiceadmirał Luigi książę Abruzzów, podlegał on szefowi sztabu admiralicji i wiceadmirałowi Paolo Thaon di Revel.

Górowały w armii nastroje niechętne wojnie. Pułkownik de Gondrecourt, francuski *attaché* wojskowy w Rzymie, zapewniał na podstawie licznych rozmów z oficerami włoskimi, że gdyby rząd chciał prowadzić kraj do wojny, spotkałby się ze sprzeciwem w korpusie oficerskim.

Tak było może latem 1914 r., gdy Włochy były jeszcze sprzymierzeńcem Państw Centralnych. Czy takie same nastroje panowały w korpusie oficerskim wiosną 1915 r., gdy wojna oznaczała wystąpienie przeciwko Państwow Centralnym?

Król Wiktor Emanuel III przez cały czas wojny pozostawał na froncie lub blisko frontu i był wodzem nominalnym. Faktyczne dowództwo sprawował szef sztabu. Po nagłej śmierci 27 lipca 1914 r. utalentowanego i niewątpliwie wybitnego dowódcy generała Alberto Pollio mianowany został szefem sztabu 20 lipca,



a objął urzędowanie 27 lipca 1914 r. generał Cadorna. Luigi Cadorna był spadkobiercą głośnego we Włoszech nazwiska; ojciec jego Raffaele Cadorna dowodził oddziałami włoskimi, które 20 września 1870 r. przez Porta Pia wkroczyły do Rzymu. Urodzony w 1850 r., szybko wspinał się po szczeblach kariery wojskowej - w 1898 r. generał-major, w 1905 r. generał dywizji, w 1910 r. dowódca korpusu w Genui. W opublikowanych artykułach o taktyce piechoty podnosił znaczenie ataku na białą broń, opracował też regulamin piechoty. Ale sam nie brał udziału w żadnej wojnie. Pewny siebie, uparty, niełatwo nawiązywał kontakt z ludźmi. Nie miał też kontaktu ani z prezesem ministrów, ani z ministrem spraw zagranicznych i do ostatniej chwili nie był bliżej zorientowany w polityce rządu.

Wystąpienie Włoch miało znaczenie nie tylko polityczne i militarne, ale w dużej mierze także i gospodarcze. Działacz gospodarczy A. Bauer zwrócił się 23 maja 1915 r. do saskiego ministra finansów E. von Seydewitza z interesującymi sugestiami. Niemcy - wywodził Bauer - zaopatrywały się dotąd w bawełnę i inne surowce w znacznej mierze drogą przez Włochy. W marcu 1915 r. przywieziono do Włoch z Ameryki 146.584 bele bawełny, gdy w marcu 1914 r. liczba ta wynosiła tylko 43.143 bele. W czasie od lipca 1914 r. do marca 1915 Włochy otrzymały z Ameryki 905.486 bel, w tych samych miesiącach roku poprzedniego zaś zaledwie 396.182 bele. Wiele mówiły odpowiednie liczby importu bawełny amerykańskiej do Niemiec - w marcu 1915 r. wynosił on 6112 bel, w marcu zaś 1914

r. 219.948 bel. W czasie od lipca 1914 r. do marca 1915 r. import bawełny amerykańskiej do Niemiec zamykał się liczbą 242.661 bel wobec 2.413.712 bel w tych samych miesiącach w roku 1913/14. Stąd wynika - pisał dalej Bauer - jak wielkie znaczenie ma dla Niemiec import surowców przez kraje neutralne, a zwłaszcza przez Włochy. Zamknięcie drogi włoskiej uznać należy za wielki sukces Koalicji. Naprawić tę szkodę można tylko w jeden sposób, a jest nim silna ofensywa skierowana przeciwko Włochom. Jeżeli wojska austro-Węgierskie i niemieckie - kontynuował Bauer - zajmą Wenecję, Lombardię, Piemont i dotrą do Genui, przypadnie im cenna zdobycz, zwłaszcza w Genui, gdzie znajdują się wielkie zapasy surowców i środków żywności.

Zakrojona na taką skalę ofensywa przekraczała możliwości nie tylko Austro-Węgier, ale i Niemiec. Niemcy zresztą w inny sposób próbowały chronić, choć częściowo, dowóz surowców przez Włochy. Nie wystąpiły po stronie zdradzonego sprzymierzeńca, zachowały neutralność aż Włochy wypowiedziały im wojnę 27 sierpnia 1916 r. Inna była reakcja Niemiec wobec Rumunii, gdy ta wydała wojnę Austro-Węgrom w 1916 r., już na drugi dzień ujrzała się w stanie wojny z Niemcami.

#### **44. Bitwy nad Isonzo**

W maju 1915 r., gdy Włochy przystępowały do wojny przeciwko monarchii habsburskiej, francuskie Naczelne Dowództwo wiązało z tą interwencją wygó-

rowane nadzieje. Joffre w swym optymizmie spodziewał się, że będzie mógł przełamać front niemiecki. Roił wówczas o wielkiej jednoczesnej ofensywie włoskiej i serbskiej najpierw na Triest, a w następstwie na Wiedeń i na Budapeszt. Wyobrażał sobie również, że w tym samym czasie na wschodzie potężnie uderzą Rosjanie i wedrą się do Czech i na Węgry.

Wyobraźnia zawiodła wodza francuskiego zbyt daleko. Rzeczywistość była inna, była twarda. Armia włoska, jak wiemy, nie była zdolna do działań na wielką skalę, zresztą nie sprzyjały takim działaniom warunki geograficzne. I bardzo prędko w rachubach francuskiego Naczelnego Dowództwa armii włoskiej przypadnie jedno tylko zadanie - przyczynić się do zgrupowania jak największej ilości dywizji austro-Węgierskich w Tyrolu i nad Isonzo i odciążyć tym sposobem front wschodni.

Pogranicze włosko-austriackie przedstawiało teren trudny do ataku dla Włochów, łatwy do obrony dla Austriaków.

Włoska prowincja Wenecja (obecnie Wenecja Julijska, wł. Friuli-Wenezia Giulia) stanowi wybrzuszenie wtłoczone pomiędzy austriacki Tyrol i Trydent . na północy, a Morze Adriatyckie na południu. Kraj okalały Alpy Karnickie i Julijskie. Z takiego ukształtowania terenu wynikało, że Włosi mogli uderzyć na Austrię jedynie na południu w kierunku wschodnim, w kierunku Gorycji; pociągało to wszakże za sobą niebezpieczeństwo ataku austriackiego od strony Trydentu i uderzenia na tyły armii włoskiej.

W takiej sytuacji generał Cadorna jeszcze przed rozpoczęciem wojny zamyślał ponoć ubezpieczyć lekko granicę z Austrią, a główne siły włoskie rzucić do Francji w tym przekonaniu, że tam właśnie rozstrzygną się losy wojny i tam właśnie na głównym terenie walk Włosi zdobędą udział w zwycięstwie, zdobędą tytuł do chwały i do realizacji postanowień traktatu londyńskiego.

Nie doszło do tego i Włosi uderzyli bezpośrednio na Austrię.

Wiele, rzecz prosta, zależało od decyzji i działań austriackich. Monarchia habsburska mogła na razie przeciwstawić Włochom siły stosunkowo słabe i słabo uzbrojone. Atutem austriackim były natomiast dobrze umocnione pozycje górskie i zapory w przejściach górskich. Austriacy ściągnęli niewielkie posiłki z frontu wschodniego i serbskiego i zgromadzili przeciwko Włochom 227 tys. żołnierza i 640 armat. Stanęło przeciwko nim 460 tys. Włochów z 1810 armatami.

Na konferencji szefów sztabów Państw Centralnych 21 maja 1915 r. Conrad i Falkenhayn ustalili, że na razie Austro–Węgry pozostaną na froncie włoskim w defensywie, aby móc dalej prowadzić działania zaczepne przeciwko Rosjanom.

Plan włoski, zredagowany ostatecznie 1 kwietnia 1915 r., przewidywał, że główne siły włoskie uderzą przez Isonzo w kierunku Lubiany, tzw. grupa karnicka nacierać będzie w kierunku miasta Villach, Armia 4 w kierunku Toblach (obecnie Dobbiaco), Armia 1 zaś

trzymać będzie straż przeciwko możliwemu atakowi austriackiemu z Tyrolu Południowego.

Teren walk austriacko–włoskich dzielił się na trzy części - Tyrol Południowy, Alpy Karnickie i Julijskie, wreszcie Friuli i dolny bieg rzeki Isonzo. Na froncie wysokogórskim z głęboko wrzynającymi się dolinami, stromymi wąwozami, lodowcami, szczytami pokrytymi lodem i śniegiem działania wojenne były szczególnie trudne i wymagały od żołnierza swoistych kwalifikacji. Musiał on być alpinistą, wyszkolonym we wspinaczkach wysokogórskich, musiał też mieć odpowiedni ekwipunek. Wywiązała się więc szczególnego zupełnie charakteru wysokogórska wojna pozycyjna. W górach wysadzano głębokie otwory, aby pobudować w nich schrony. Dla zapewnienia dostaw jednemu żołnierzowi walczącemu w pozycjach wysokogórskich trzeba było siedmiu ludzi obsługi.

Ciężkie były również warunki bojów nad Isonzo. Kamienisty grunt nie pozwalał na budowę okopów; wzmagало to skuteczność ognia artyleryjskiego i powiększało liczbę ofiar.

Działania wojenne na froncie włosko–austriackim w latach 1915–1917 zwykło się nazywać bitwami nad Isonzo; było ich ogółem jedenaście, z tego cztery rozegrały się w 1915 r.

Uderzenia włoskie szły w kierunku Gorycji i Doberdo. Poprzedzał je zawsze długi ogień artyleryjski, następnie szedł atak na bagnety i czasami wiódł do lokalnych niewielkich sukcesów; nigdzie wszakże nie do-

szło do przełamania frontu austriackiego, tym bardziej do zajęcia Gorycji.

Pierwsza bitwa nad Isonzo od 23 czerwca do 7 lipca 1915 r. nie dała sukcesów, podobnie i druga bitwa od 18 lipca do 4 sierpnia 1915 r. nie przyniosła rezultatów. Nastąpiły długie tygodnie typowej wojny pozycyjnej o ograniczonym zasięgu. Włosi przygotowali silniejsze uderzenie. Były to dwie jesienne bitwy nad Isonzo od 18 października do 4 listopada i od 10 listopada do 2 grudnia 1915 r. Efekty były nikłe. Włosi mieli nad Austriakami dwukrotną przewagę w ludziach, słabsza była natomiast włoska artyleria. Znaczne straty w ludziach, rannych, zabitych, zaginionych, wziętych do niewoli, były zupełnie nieproporcjonalne do drobnych zdobyczy terytorialnych.

Przyczyny niepowodzeń włoskich były różne, nie ostatnią było lepsze przygotowanie bojowe Austriaków, a przede wszystkim fakt, iż żołnierz austriacki stawał przeciwko Włochom lepiej niż przeciwko Rosjanom. Znaczenie miała tu polityka narodowościowa stosowana w armii monarchii habsburskiej; otóż z Włochami bili się tyrolscy górale oraz licznie skierowani na front włoski Chorwaci i Słoweńcy, tradycyjnie nastawieni antywłosko i nie mający nadmiernego respektu dla walorów bojowych żołnierza włoskiego.

„Jeśli chodzi o Włochy - pisał generał von Cramon - Conrad był po prostu Austriakiem. Wojna z Rosją była dlań obowiązkiem, atak na Włochy spełnieniem pragnień. Tak samo myślała większość w korpusie oficerskim i w całym wojsku. Żołnierze z ziem Austrii nie-

mieckiej, z Tyrolu, a także Chorwaci, Słoweńcy, Dalmatyńczycy widzieli w Welschach wroga”.

Rozpoczęcie przez Włochy działań wojennych nie spełniło nadziei, jakie wiązano z wystąpieniem włoskim w Paryżu, Londynie, Piotrogradzie. Włosi nie przeszkadzali zwycięskiemu pochodowi Państw Centralnych na froncie wschodnim; z wolna dopiero i dopiero później udział Włoch w wojnie zmieniać zaczynał stosunek sił na korzyść Koalicji.

Konferencja przedstawicieli rządów i sztabów państw Koalicji obradująca w Chantilly w dniach od 6 do 8 grudnia 1915 r. postanowiła, że wojska francuskie, włoskie i rosyjskie będą podejmowały w tym samym mniej więcej czasie ofensywy przeciwko Państwom Centralnym.

W związku z Chantilly Włosi w początku 1916 r. poderwali się jeszcze do uderzenia, aby odciążyć armię francuską walczącą pod Verdun; była to piąta bitwa nad Isonzo od 11 do 16 marca 1916 r.; pozostała bez znaczenia. Włochy podjęły wówczas wysiłki dla wyrównania strat i dozbrojenia swej armii.

O działaniach zaczepnych pomyśleli teraz Austriacy. Zwycięstwa na wschodzie w 1915.r. i stabilizacja frontu wschodniego pozwoliły Conradowi wrócić do dawnych, przedwojennych jeszcze planów porachunku z lekceważonym, niewiernym sprzymierzeńcem włoskim.

10 grudnia 1915 r. dwaj szefowie sztabu, Conrad von Hötzendorf i Falkenhayn, naradzali się ustnie nad ofensywą przeciwko Włochom. Feldmarszałek Conrad

planował atak od Tyrolu z okolic Trydentu na szerokości około 50 km w kierunku południowo-wschodnim. Liczył, że Włosi nie zdołają utrzymać swych pozycji w północnych Włoszech a nawet, że dadzą się oskrzydlić. Uważał, że operacja ta w razie powodzenia „unieszkodliwi” Włochy. Prosił Falkenhayna o skierowanie do Galicji jeszcze dziewięciu dywizji niemieckich, co pozwoliłoby Austriakom rzucić większe siły na front włoski.

11 grudnia, nazajutrz po ustnej wymianie zdań, Falkenhayn udzielił Conradowi odpowiedzi odmownej; nie wyraził zgody na wysłanie do Galicji owych dziewięciu dywizji niemieckich i w ogóle odradzał ofensywę przeciwko Włochom. Przyznawał, że z punktu widzenia austriackiego i węgierskiego „światła przeważają nad cieniami”, ale ze sceptycyzmem oceniał możliwości sukcesu. Wycofanie dziewięciu dywizji z frontu zachodniego i przewiezienie ich do Galicji osłabiłoby poważnie armię niemiecką we Francji, byłoby to celowe i dopuszczalne w takim tylko przypadku, gdyby otwierało możliwości zupełnego pokonania Włoch; takiej możliwości wszakże nie widać. Nawet dotkliwa klęska nie zmusi rządu włoskiego do zawarcia pokoju. Włochy bowiem są gospodarczo zupełnie zależne od państw zachodnich. Wódz austriacki nie dał się przekonać, twierdził, że ponieważ Koalicja ma przewagę materialną, Państwa Centralne nie mogą dopuścić, aby wojna ciągnęła się aż do ich wyczerpania, dlatego należy doprowadzić do rozwiązania „przez akcję w wielkim stylu”. Włochy są właśnie tym przeciwnikiem, którego



„akcją w wielkim stylu” można wprowadzić w najcięższe położenie i zmusić do zawarcia pokoju. W wyniku dyskusji prowadzonej nadal listownie obaj generałowie pozostali każdy przy swoim zdaniu.

Conrad zdecydował się ostatecznie na podjęcie ofensywy przeciwko Włochom tylko austriackimi siłami. Umacniało go w tym przekonanie, które podzielał zresztą i Falkenhayn, że armia rosyjska po klęskach poniesionych w 1915 r. jest na czas dłuższy niezdolna do działań na szerszą skalę. Obaj wodzowie za błędną ocenę sytuacji mieli zapłacić wysoką cenę.

Dowództwo armii mającej atakować w Tyrolu objął arcyksiążę Eugeniusz, szefem sztabu był generał Alfred Krauss. Ofensywę miano rozpocząć pomiędzy 10 a 12 kwietnia 1916 r. Tymczasem w połowie lutego rozszalały się gwałtowne śnieżyce. Śnieg sypał tygodniami. Jego pokłady wznosiły się ponad dwa metry wysoko. Generał Krauss opowiada, że każdy kto zszedł z drogi, natychmiast zapadał się po piersi w głębokim śniegu. Z frontu wschodniego, z Bałkanów, nawet znad Isonzo ściągnął Conrad znaczne siły i skoncentrował je w Tyrolu. Cóż gdy armia ta tygodniami wyczekiwać musiała beczynnie na porę odpowiednią do wszczęcia walki. W tych warunkach odpadł zupełnie ważny czynnik zaskoczenia.

Z końcem kwietnia ustaliła się pogoda i 15 maja 1916 r. ruszyła ofensywa austriacka. Włosi mieli czas umocnić pozycje i ściągnąć wojska posiłkowe.

Cadorna przez czas dłuższy nie brał pod uwagę możliwości wielkiej ofensywy austriackiej z północne-

go wschodu; widział trudności, jakie Austriacy musieli pokonać dla zgromadzenia większych ilości wojska w Trydencie, na peryferiach monarchii związanych z głównymi ośrodkami państwa długimi liniami kolejowymi i niedogodnymi drogami. Nie wierzył, aby Austriacy zdecydowali się na sprowadzenie wojska z frontu wschodniego wobec spodziewanej bliskiej, wielkiej ofensywy rosyjskiej. Rozumował zresztą podobnie jak Falkenhayn, że znaczne nawet zwycięstwo austriackie na północno-wschodnich kresach Włoch nie może wywrzeć istotnego wpływu na losy wojny.

Nie docenił czynnika psychicznego, który u Conrada i w sztabie austriackim grał tak znaczną rolę.

Zgodnie z ustaleniami w Chantilly nakładającymi na państwa Koalicji obowiązek podjęcia ofensywy w razie wielkiego ataku niemieckiego na jednego ze sprzymierzonych, po rozpoczęciu działań pod Verdun Cadorna zaatakował, bez rezultatu zresztą, Austriaków w piątej bitwie nad Isonzo w dniach 11–16 marca 1916 r.

Dopiero w końcu marca 1916 r. wywiad włoski zdobył informacje o przygotowywaniu ofensywy austriackiej w Tyrolu. Przewaga liczbowa Austriaków nie była znaczna, rozporządzali wszakże dużo silniejszą artylerią.

Po południu 14 maja 1916 r. rozpoczęli Austriacy razić ogniem armatnim pozycje włoskie pomiędzy Adygą a Brentą i nekali nim Włochów przez całą noc; 15 maja piechota austriacka ruszyła do ataku. W ciągu tygodnia do dnia 22 maja przełamali Austriacy pierw-

szą i drugą włoskie linie obronne. 27 maja Arsiero a 28 maja i Asiago znalazły się już w rękach austriackich. Wojska cesarskie i królewskie przekroczyły dawną granicę austriacko–włoską sprzed 1866 r.

24 maja 1916 r. Josef Redlich z radością i z dumą zapisał w swym dzienniku: „Świetny marsz naprzód naszych wspaniałych wojsk w Tyrolu Południowym: 24 tysiące jeńców, 250 armat zdobytych, prawie cała linia od Brenty do Adygi na ziemi włoskiej. Czego może jeszcze dokonać stara Austria po dwóch latach wojny? Zarozumiali panowie w Berlinie będą musieli nieco pokroić swą pychę”.

Radość Josefa Redlicha była przedwczesna.

Cadorna, początkowo zaskoczony siłą uderzenia austriackiego, sformował szybko nową armię rezerwową i skoncentrował ją na równinie Vicenza–Cittadella–Padwa. Armia ta miała atakować Austriaków, gdyby zdołali wtargnąć na równinę. Tak więc w początku czerwca Austriacy wyczerpani dwutygodniowymi ciężkimi walkami znaleźli się naprzeciwko świeżych, wypoczętych dywizji włoskich. Ponadto na natarczywe prośby włoskie Brusilow przyspieszył ofensywę na froncie południowo–wschodnim. 4 czerwca ruszyli Rosjanie do ataku. Conrad musiał przerzucić część swych sił z Tyrolu na front wschodni, próbował wprowadzić jeszcze ataków na Val d’Astico, ale już 16 czerwca musiał wstrzymać działania zaczepne. Inicjatywa bojowa przeszła teraz w ręce włoskie. Z końcem czerwca musieli Austriacy opuścić większą część zdobytego terenu i cofnąć się na dogodniejsze pozycje obronne.

„Generał von Conrad stał się uboższy o jedną wielką nadzieję. 40 tys. jeńców włoskich, 300 zdobytych armat, wielkie zdobycze w amunicji i zaopatrzeniu wojska nie mogły zamknąć mu oczu na poważne niepowodzenie. Ponadto głęboka troska, czy powiedzie się odparcie uderzenia na froncie galicyjskim. Pod Verdun, pod Asiago i pod Łuckiem źle stała sprawa Niemiec i Austro–Węgier. Nad Sommą zbierała się już burza, a Rumunia coraz widoczniej chyliła się na stronę przeciwników Państw Centralnych”.

Tymczasem we Włoszech zatarg rządu z Cadorną rzucił snop światła na stary, zadawniony problem - wojna a polityka, prowadzenie wojny i prowadzenie polityki.

W Rzymie dowiedziano się, że Cadorna nosi się z zamiarem ściągnięcia jednej dywizji z Valony, jednej dywizji z Libii i rzucenia ich do walki przeciwko Austriakom. 24 maja 1916 r. rada ministrów powzięła uchwałę, że jeśli rzeczywiście dowództwo zmniejszy garnizony w Valonie i w Libii, rząd wyśle kilku ministrów do Padwy na naradę z dowódcami armii. Cadorna odmówił zgody na takiego rodzaju radę wojenną, wyraził natomiast gotowość udzielania informacji ministrom, którzy zwróciliby się do niego z prośbą o objaśnienie położenia. Wyjechał wówczas do kwatery głównej minister wojny generał Paolo Morone. 29 maja zreferował na radzie ministrów poglądy Cadorny na bieg działań wojennych i dodał, że szef sztabu nie wyklucza możliwości ataku austriackiego także i nad Isonzo, a wtedy armia włoska musiałaby się cofnąć na

linię rzeki Piawy. Niektórzy ministrowie, między nimi Sonnino, minister spraw zagranicznych, żądali dymisji szefa sztabu. Salandra udał się do strefy przyfrontowej, był na audiencji u przebywającego tam króla, konferował z Cadorną. Król Wiktor Emanuel oświadczył, iż w razie odpowiedniej uchwały rady ministrów udzieli dymisji Cadornie. Cadorna dał wszakże prezesowi ministrów uspokajające wyjaśnienia i zobowiązał się uprzedzić rząd, gdyby zaszła potrzeba wycofania się nad Piawę. 3 czerwca 1916 r. Salandra przedstawił radzie ministrów rezultaty podróży z wnioskiem, iż dymisja Cadorny nie jest na razie wskazana.

Zatarg wszakże pomiędzy rządem a szefem sztabu przyspieszył upadek gabinetu Salandry. Rosnące w kraju niezadowolenie z przebiegu i rezultatów toczącej się już od roku wojny wzmogło opozycję parlamentarną. 4 czerwca 1916 r. głosowanie w Izbie Deputowanych przyniosło klęskę rządowi - 197 głosów przeciw, 158 za rządem, 98 deputowanych wyszło z sali przed głosowaniem. Salandra podał się do dymisji. Tak więc kozłem ofiarnym, na którego zwalono odpowiedzialność za niepowodzenia, nie był generał dowodzący operacjami wojennymi, lecz polityk cywilny, prezes ministrów. 19 czerwca 1916 r. król podpisał nominację nowego gabinetu szerszej niż poprzedni koncentracji narodowej. Na czele nowego rządu stanął Paolo Boselli senior Izby Deputowanych, weteran walk *Risorgimento*, prezes Związku Dante Alighieri, prawicowy liberał, interwencjonista, ale polityk bezbarwny. Tekę spraw zagranicznych zatrzymał baron Sidney Sonnino.

Wszedł także do gabinetu, po raz pierwszy w zjednoczonym królestwie, polityk i działacz katolicki Filippo Meda.

Cadorna tymczasem przygotowywał nowe uderzenie. W końcu lipca ściągnął, co uszło uwagi Austriaków, kilka dywizji z frontu tyrolskiego. Wzmocnił szczególnie 3 Armię, która zdobyć miała przyczółek mostowy na Isonzo przed Gorycją. Dowódca 3 Armii Emanuel książę d'Aosta postanowił rozciągnąć atak i na górę San Michele. Przewaga Włochów była znaczna, w liczbie zgromadzonego wojska, w artylerii i szczególnie w lotnictwie, Austriacy bowiem dysponowali jednym tylko samolotem.

6 sierpnia 1916 r. od Morza Adriatyckiego na całym froncie nad Isonzo zaskoczył Austriaków huraganowy ogień artyleryjski. Już w pierwszym dniu ofensywy zdobyli Włosi Monte Sabotino, silnie umocnioną twierdzę na górze. Wyróżnił się tu pułkownik Piętro Badoglio, mianowany na polu bitwy generałem. Zdobyli także i San Michele. 8 sierpnia opuścili Austriacy przyczółek mostowy nad Isonzo. Włosi sforsowali rzekę i zajęli Gorycję. Straty włoskie były znaczne, ale zwycięstwo było całkowite, pierwsze w tej wojnie zwycięstwo włoskie. Była to szósta bitwa nad Isonzo.

Cadorna chciał wyzyskać efekt zwycięstwa, chciał skorzystać z pogarszającej się sytuacji militarnej monarchii habsburskiej - 27 sierpnia 1916 r. Rumunia wypowiedziała jej wojnę. Podejmował więc jeszcze nowe ataki. Były to nowe bitwy nad Isonzo - siódma 14–17 września, ósma 9–12 października, i dziewiąta 31 paź-

dzielnika—14 listopada 1916 r. Dążeniem Włochów było utorować sobie drogę do Triestu. Do Triestu nie dotarli, osiągnięcia w górach były nieznaczne. Działania wojenne na froncie włoskim wznowiono na wielką skalę dopiero w maju 1917 r.

Była to dziesiąta bitwa nad Isonzo (12 maja—5 czerwca 1917 r.) i w 10 tygodni później jedenasta bitwa (18 sierpnia—13 września 1917 r.). Cel wciąż ten sam — otwarcie drogi do Triestu. Uderzenie włoskie miało taki sam charakter jak poprzednie; do ataku ruszyły wszakże wojska silniejsze i lepiej wyposażone. Rezultat był nikły, posunęli się Włosi kilkanaście kilometrów w głąb, do Triestu nie dotarli.

Jedenaście bitew nad Isonzo przyniosło Włochom znaczne straty w ludziach, ponad 700 tys. rannych, zabitych, wziętych do niewoli.

## **45. Bułgaria wszczyną wojnę**

Dla toczącej się walki, dla zmagania pomiędzy Koalicją a Państwami Centralnymi niemałe znaczenie miało stanowisko Bułgarii. Kraj był wprawdzie ubogi, bez przemysłu, ale mógł powołać do szeregów żołnierza bitnego, wytrwałego, do 16% ludności, co było bardzo wiele, i w rezultacie wystawić armię paruset tysięcy, a to w wojnach na terenie Półwyspu Bałkańskiego stanowiło już niewątpliwą siłę. Jeszcze większe znaczenie miało geopolityczne położenie Bułgarii. Rosjanie dążąc do opanowania Konstantynopola i Cieśnin ułatwiliby sobie działanie, gdyby mogli założyć bazy na czarnomorskim wybrzeżu Bułgarii, w jej portach w Warnie

i w Burgas. Dla Państw Centralnych Bułgaria była drogą do Turcji. Jeśli Turcja miała walczyć przeciwko Koalicji, miała wiązać jej siły, musiała mieć nieskrępowaną łączność ze swymi sprzymierzeńcami, otrzymywać od nich pomoc techniczną, sprowadzać niemieckich i austriackich oficerów i specjalistów w wielu dziedzinach.

Toteż jeszcze przed wybuchem wojny poszły z Wiednia i z Berlina usilne zabiegi o pozyskanie Bułgarii; przeciwdziałał temu, ile tylko mógł, Petersburg. Posługiwano się w tej grze różnymi środkami - i politycznymi, i gospodarczymi. Koalicja serbsko-rumuńsko-grecka pokonała Bułgarię w drugiej wojnie bałkańskiej i pozbawiła ją pokojem bukareszteńskim, zawartym 10 sierpnia 1913 r., owoców niedawnego zwycięstwa nad Turkami. Odwet - a przede wszystkim zdobycie Macedonii i portu nad Morzem Egejskim - był odtąd celem polityki bułgarskiej. Austro-Węgry, następnie także i Niemcy, wyzyskiwały w Sofii antagonizm bułgarsko-serbski i wykazywały Bułgarom, że tylko w oparciu o Państwa Centralne mogą uzyskać rewindykacje od Serbii. Działali w tym kierunku zręczny poseł austriacki Adam hr. Tarnowski i jego niezgrabny kolega niemiecki G. Michahelles. W trudniejszym położeniu była Rosja i jej poseł A. Sawiński. Rosjanie nie mogli bowiem występować przeciwko Serbii, ukazywali więc Bułgarom możliwe nabytki jedynie kosztem Turcji, mianowicie Adrianopol (tureckie Edirne).

Skuteczniejszy wszakże i pewniejszy niż wszelkie perswazje i obietnice polityczne był nacisk finansowy.



Ubogiej Bułgarii, wyczerpanej nadto dwiema niedawnymi wojnami, potrzebny był silny zastrzyk pieniężny. Do akcji ruszyły banki wiedeńskie i berlińskie z jednej strony, z drugiej paryskie działające na rzecz Rosji. Na politykę Bułgarii, zwłaszcza na politykę zagraniczną, wpływ niepośledni wywierał jej władca król Ferdynand - Ferdynand lisi, (*foxy Ferdinand* jak go nazywali Anglicy).

Często można się spotkać z poglądem, że Ferdynand jako Niemiec, książę sasko-kobursko-gotajski, ciążył do Państw Centralnych i tym tłumaczono jego politykę. Nie odpowiada to rzeczywistości. Ferdynand w połowie tylko był Niemcem, przez matkę księżniczkę Orleańską był Francuzem i zawsze z dumą mówił o swym burbońskim pochodzeniu i podkreślał, że był wnukiem króla Francuzów Ludwika Filipa. Wiedział, że go nie lubiano na dworze wiedeńskim, a żywił głęboką urazę do Wilhelma II, który nietaktownie zachował się względem króla bułgarskiego podczas jego wizyty w Berlinie w 1913 r. Jednak nie sentymenty osobiste rozstrzygały o polityce Ferdynanda, lecz interes dynastyczny Koburgów bułgarskich. Szefem rządu i ministrem spraw zagranicznych i spraw wewnętrznych był bezwzględnie oddany Ferdynandowi, a zarazem proniemiecko usposobiony Wasyl Radosławow.

W początku czerwca 1914 r. Ferdynand otrzymał z Paryża obietnicę pożyczki w wysokości 600 mln franków; warunkiem czy ceną była dymisja Radosławowa. Nic z tego nie wyszło; górę wzięła działająca szybciej i sprawniej grupa banków niemieckich i au-

striackich z potężną Disconto–Gesellschaft na czele. Na mocy umowy podpisanej 12 lipca 1914 r., a więc na trzy tygodnie przed wybuchem wojny, Bułgaria uzyskała pożyczkę w wysokości 500 mln lewów w złocie. Większą część sumy przeznaczono na konsolidację długów wojennych, tzn. na zamianę kredytów krótkoterminowych na długoterminowe niżej oprocentowane, oraz na zakup w Niemczech sprzętu wojennego. Kapitał niemiecki otrzymał w zamian koncesję na budowę kolei Michajłowo–Chaskowo–Porto Lago nad Morzem Egejskim, na budowę urządzeń portowych w Porto Lago oraz na eksploatację kopalni w Perniku i Bobowdoł. Dyskusja nad ratyfikacją układu odbyła się przy burzliwych protestach partii opozycyjnych, podsycanych przez posła rosyjskiego Sawińskiego. Zgromadzenie Narodowe wszakże układ ratyfikowało, a car Ferdynand podpisał go 17 lipca 1914 r.

Pożyczka zaciągnięta w Berlinie i w Wiedniu świadczyła, że wpływy Państw Centralnych były w Bułgarii silne, ale nie dowodziła bynajmniej, że przebiegły Ferdynand dokonał już wyboru i stanął w obozie niemiecko–austriackim. Ferdynand po prostu czekał, jak potoczą się wypadki i kto będzie górą. Na razie z obu stron przyjmował awanse. Podobnie jak do Rzymu, jak do Bukaresztu, tak i do Sofii kierowano obietnice, niekiedy pogróżki.

Niemcy i Austriacy mieli sytuację ułatwioną: okrojenie i osłabienie Serbii leżało w ich oczywistym interesie i było ich celem. Obietnice Koalicji natomiast musiały być bardziej powściągliwe.

Wybuch wojny rosyjsko–tureckiej uaktualnił znaczenie Bułgarii dla obu stron walczących. Już 2 listopada 1914 r. poseł rosyjski w Sofii odbył długą rozmowę z szefem rządu bułgarskiego. Chwila obecna - zaczął swe wywody Sawiński - jest dla Bułgarii bardzo pomyślna, gdyż pozwoli narodowi bułgarskiemu pokazać, że nie zapomniał on wszystkich dobrodziejstw wyświadczonych mu przez Rosję. Początek rozmowy nie był więc ani taktowny, ani zachęcający i nie mógł dobrze nastroić Radosławowa. Tym bardziej że poseł rosyjski nie ofiarowywał Bułgarom nic konkretnego, a jedynie zapewniał, iż sąsiedzi Bułgarii są jej życzliwi. Sawiński widział wszakże jasno, że w razie zwycięstwa Państw Centralnych Bułgaria otrzymałaby Macedonię, rozumiał też, że rząd cara Ferdynanda nie jest pewny wyniku wojny i dlatego nie schodzi ze stanowiska wycozekującego.

Zachowując oficjalnie neutralność, nie zamykając sobie drogi ani ku Rosji, ani ku państwom zachodnim, Bułgaria oddawała usługi Państwom Centralnym. Z Niemiec i z Austro–Węgier przez Rumunię i przez Bułgarię przedostawali się, podając się za turystów i za robotników, niemieccy i austriaccy oficerowie, podoficerowie, technicy. Po przejściu granicy bułgarsko–tureckiej zrzucali ubrania cywilne i przywdziewali mundury. Przewozili też w miarę możliwości sprzęt bojowy.

Obie strony nie szczędziły starań o pozyskanie Bułgarii. Walki, które w lutym 1915 r. rozgorzały w Dardanelach, wzmogły zabiegi zarówno Państw Cen-

tralnych, jak i Koalicji. Niemcy i Austro–Węgry znajdowały się w położeniu dogodniejszym, mogły bowiem więcej ofiarować, a raczej przyrzec Bułgarom niż Koalicja - Macedonia, kosztem Serbii, Kawala i rozszerzenie wybrzeża bułgarskiego na Morzu Egejskim kosztem Grecji, oto zyski, jakie Państwa Centralne stawiały przed oczyma Bułgarom.

Skromnie natomiast i niepewnie wyglądały rewindykacje bułgarskie zapowiadane czy obiecywane przez Koalicję - wschodnia część Macedonii, ale w tym tylko przypadku, jeśli Serbia otrzymała Bośnię i Hercegowinę oraz port na Morzu Adriatyckim; widziano również możliwość oddania Bułgarii ważnego portu Dedeagacz (obecnie Aleksandrupolis) nad Morzem Egejskim, znowu pod warunkiem odpowiednich rekompensat dla Grecji. Oferty Koalicji budziły w Sofii wiele wątpliwości, gdyż rządy serbski i grecki, którym nie tajne były rokowania z Bułgarami, protestowały przeciwko wszelkim ustępstwom czynionym ich kosztem.

Za przyjęciem przez Bułgarię propozycji Państw Centralnych opowiadali się komitadzi - działacze „Wewnętrznej Macedońskiej Rewolucyjnej Organizacji”. Rozwijali oni energiczną działalność także i terrorystyczną. Z ich stanowiskiem musiał się liczyć rząd bułgarski.

Obok wpływów bankowych niemałe znaczenie miało przeświadczenie bułgarskich czynników rządowych o przewadze Niemiec. Patrzyli Bułgarzy na niepowodzenia Anglików i Francuzów w Dardanelach, widzieli klęski wojsk rosyjskich od rozpoczęcia ofen-

sywy niemiecko–austriackiej pod Gorlicami w dniu 2 maja 1915 r. aż po zajęcie Warszawy 5 sierpnia, Wilna 19 września i wyparcie Rosjan z Polski, Litwy, Kurlandii, gdy wojska rosyjskie stanęły na linii wiodącej od Zatoki Ryskiej przez Dźwińsk i Pińsk do Tarnopola. Z końcem sierpnia 1915 r. przedstawiciele dyplomatyczni państw Koalicji w Sofii zdawali sobie sprawę z faktu, że wystąpienie zbrojne Bułgarii, przeciwko Niemcom było sprawą niemożliwą, pracowali już tylko nad utrzymaniem neutralności bułgarskiej.

Do Londynu do *Foreign Office* nadszedł w tym czasie raport posła brytyjskiego w Sofii. Poseł donosił, że ostateczne zwycięstwa niemieckie nad Rosjanami wywarły silne wrażenie na bułgarskich zwolennikach Koalicji. Będą się oni teraz lękali podjęcia jakichkolwiek kroków, które by mogły narazić kraj na atak niemiecki.

W sierpniu 1915 r. pułkownik Petar Ganczew przybył do niemieckiej Kwatery Głównej w Pszczynie i rozpoczął rokowania nad konwencją wojskową. W końcu sierpnia projekt konwencji był już gotów. W ostatecznej chwili jednak wynikły trudności, gdyż Bułgarzy domagali się, aby dowództwo wojsk Państw Centralnych na Bałkanach znalazło się w rękach niemieckich, a temu ostro sprzeciwił się Conrad von Hötendorf. Ostatecznie znaleziono wyjście kompromisowe oszczędzające drażliwość Austriaków, a umożliwiające objęcie komendy przez niemieckiego feldmarszałka Mackensena. 6 września 1915 r. podpisano w Pszczynie konwencję wojskową pomiędzy Niemcami, Austro–Węgrami i Bułgarią. Bułgaria uzyskała gwarancję

otrzymania całej Macedonii, w razie wystąpienia Rumunii przeciwko Państwom Centralnym obietnicy oddania południowej Dobrudży, a w razie wystąpienia Grecji obietnicę zwrotu terytorium odebranego jej przez Grecję w pokoju bukareszteńskim 1913 r. Niemcy i Austro–Węgry zobowiązały się udzielić Bułgarii pożyczki wojennej w wysokości 200 mln franków; gdyby wojna miała trwać dłużej niż cztery miesiące, pożyczka ta miała zostać odpowiednio podwyższona. Jednocześnie dzięki mediacji niemieckiej tego samego dnia 6 września stanął w Sofii układ bułgarsko–turecki, mocą którego Turcja odstąpiła Bułgarii skrawek ziemi nad Maricą; znaczenie jego było duże, gdyż Bułgaria uzyskała tą drogą bezpośrednie połączenie kolejowe przez własne terytorium ze swym portem Dedeagacz nad Morzem Egejskim.

17 września car Ferdynand przyjął przywódców opozycji Stojana Danewa, Iwana Geszowa, Aleksandra Malinowa i Aleksandra Stambolijskiego. Danew, Geszow i Malinow protestowali przeciwko polityce rządu, domagali się zwołania sobrania, utworzenia gabinetu koalicyjnego i współdziałania z Koalicją. Ostrzej wystąpił Stambolijski, dowodził, że naród stracił zaufanie do cara i jego talentów dyplomatycznych i nie chce polityki awanturniczej; jeśli car zejdzie z drogi neutralności, musi się liczyć z wybuchem rewolucji.

W kilka godzin później premier Radosławow zwrócił się posłowi austriackiemu Tarnowskiemu, że nie spodziewał się tak silnego wystąpienia opozycji.

Lecz karty były rzucone. Ani Ferdynand, ani Radosławow nie mieli już drogi odwrotu. Z początkiem października 1915 r. wojska Państw Centralnych podjęły wielką ofensywę przeciwko Serbii. 9 października Austriacy wkroczyli do Belgradu. 14 października Bułgaria wypowiedziała wojnę Serbii. Przeważające siły niemiecko–austro–węgiersko–bułgarskie w gorących walkach w październiku i listopadzie 1915 r. złamały opór Serbów. Niemcy uzyskały wreszcie upragnione bezpośrednie połączenie z Bułgarią i z Turcją. Komunikacja najpierw od końca listopada 1915 r. odbywała się drogą przez Dunaj.

Po naprawie i zabezpieczeniu zniszczonych linii kolejowych w Serbii i Macedonii ruszył wreszcie w drogę pierwszy po półtorarocznej przerwie bezpośredni ekspres Berlin–Konstantynopol. 17 stycznia 1916 r. w godzinach popołudniowych na udekorowanym flagami i kwiatami dworcu stambulskim zgromadzili się w pełnym składzie pracownicy ambasady austro–węgierskiej i niemieckiej, przybyli również w wielkiej liczbie mieszkający nad Bosforem Austriacy i Niemcy. Gdy na stację wtoczył się ekspres berliński rozległy się i trwały kilka minut grzmiące krzyki „hoch”. Niemcy głosili, że dzień 17 stycznia 1916 r. jest jedną z najważniejszych dat toczącej się wojny.

W każdym razie ekspres Berlin–Konstantynopol kursował odtąd regularnie. Począwszy od września 1915 r. Państwa Centralne wypłacały Bułgarii subwencję w wysokości 50 mln lewów miesięcznie. Kwoty te wraz z oprocentowaniem (5,5%) miały być w rok po

zakończeniu wojny zamienione na pożyczkę długoterminową.

Bułgaria po stronie Państw Centralnych było to niewątpliwie poważne niepowodzenie Koalicji. Przypłacił je utratą teki (12 października 1915 r.) Theophile Delcassé. 30 października 1915 r. rumuńska księżna Martha Lahovary–Bibescu pisała do Brianda: „Nowela Kiplinga pozwoliła mi zrozumieć, dlaczego ludzie tak inteligentni jak Sir Edward Grey i pan Delcassé nie dali sobie rady z Bałkańczykami”. W noweli tej Kipling opowiada, jak to rybacy jadący na Morze Północne na połów sardynek powierzyli kierownictwo wyprawy staremu marynarzowi Tomowi. Był on głuchy i miał tylko jedną rękę, ale miał szczególny dar poznawania miejsc, gdzie znajduje się ryba, „gdyż nauczył się myśleć jak sardynka”. I księżna konkludowała: „Niezdolność myślenia po bałkańsku była przyczyną niepowodzenia bułgarskiego”.

## **46. Wielka Brytania w pierwszych latach wojny**

Ze wszystkich państw walczących Wielka Brytania miała najlepsze i najpełniejsze możliwości gospodarczego zaspokajania potrzeb, jakie niesła wojna. Przemysłowi brytyjskiemu nie brakło surowców, nie brakło mu też rąk do pracy. Również podczas wojny działało prawo popytu i podaży - państwo kupowało potrzebne wyroby nie zważając na rosnące ceny. Rząd widział chętnie, że działa nadal przemysł nie związany z wojną - to dobrze, że produkcja trwa (*business as usual*) im



wyższe bowiem osiągnie zyski, tym więcej pieniędzy z podatków wpłynie do skarbu państwa, tym swobodniej państwo będzie mogło ponosić wydatki na wojnę. Ograniczenia importu i eksportu, które ludności innych państw walczących, a nawet niektórych neutralnych, dały się już we znaki, w Wielkiej Brytanii nie były jeszcze dotkliwe.

Dopiero w 1915 r., wobec przedłużania się wojny, rząd brytyjski wniósł 9 marca do Izby Gmin poprawkę-upełnienie do ustawy o Obronie Królestwa (*Defence of Realm Act*) z 8 sierpnia 1914 r. Poprawkę uchwalono 15 marca 1915 r. Rząd miał odtąd prawo zmusić przemysłowców do wykonywania zamówień państwowych. Dotyczyło to nie tylko fabryk prywatnych wyrabiających sprzęt bojowy, ale także fabryk, które miały możliwość przestawienia się w niedługim czasie na produkcję wojenną; fabryka taka musiała na wezwanie władzy natychmiast przerwać dotychczasową pracę i oddać robotników, maszyny i surowce na potrzeby wojska. Ustawa ograniczała swobodę działania nie tylko właścicieli zakładów przemysłowych, ale i robotników. Było to zupełne novum w Wielkiej Brytanii, nie skłonnej do stosowania środków przymusowych, ale był to też znakomity sposób podniesienia wydajności przemysłu zbrojeniowego. Nic dziwnego, że wobec obyczajów angielskich i angielskiej mentalności konserwatywny członek Izby Gmin Andrew Bonar Law nazwał tę ustawę „drakońską”. Inicjatorem ustawy i jej głównym rzecznikiem był Lloyd George, polityk liberalny czy raczej radykalny, który od dawna skłaniał się ku pew-

nego rodzaju „socjalizmowi państwowemu”. Według radcy ambasady francuskiej w Londynie hr. A. de Fleury „żywa inteligencja (Lloyd George’a) pozwoliła mi zrozumieć, jednemu z pierwszych w Anglii, że wojna współczesna to przede wszystkim wojna inżynierów”.

*Defence of the Realm Act*, w skrócie D.O.R.A.: skrót ten kojarzył się Anglikom z imieniem dziewczyny okrutnej a kapryśnej, która lekkomyślnie i bez wyrzutów sumienia mogła każdemu wyrządzać wielkie przykrości.

Ustawa o Obronie Królestwa była potrzebna, miała poważne zadanie do spełnienia, gdyż Wielka Brytania cierpiała na brak amunicji. Rzecz zadziwiająca, niemiecki przemysł zbrojeniowy pracował w gorszych warunkach, lecz dzięki zdolnościom przewidywania i sprawnej organizacji nieźle zaopatrywał armię niemiecką w amunicję. Pracujący natomiast w dogodniejszych warunkach brytyjski przemysł zbrojeniowy nie dawał żołnierzowi angielskiemu niezbędnego minimum pocisków artyleryjskich i karabinowych. Kitchener miał 9 stycznia 1915 r. oświadczyć wodzowi brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego we Francji generałowi Frenchowi, że jest sprawą niemożliwą dostarczenie armii brytyjskiej we Francji pocisków w takiej ilości, jaką French uważa za niezbędną do rozpoczęcia ofensywy; dlatego Kitchener uważa za rzecz niemądrą „przyśtać do wielkich operacji zaczepnych przeciwko okopom nieprzyjacielskim”. Pomimo tych ostrzeżeń French w marcu pod Neuve-Chapelle i następnie

w maju pod Aubers i pod Festubert podjął działania zaczepne zakończone niepowodzeniem.

Tymczasem sprawą zainteresował się korespondent wojenny wpływowego dziennika londyńskiego „Timesa” podpułkownik Charles Repington. Pułkownik obserwował kwietniowe i majowe boje i był przerażony „katastrofalną niższością naszej (tj. brytyjskiej) artylerii”. 12 maja 1915 r. wysłał do „Timesa” depezę, która narobiła w świecie wiele wrzawy. Opublikował ją „Times” 14 maja. Armia angielska - telegrafował Repington - pozostanie bezsilna, dopóki artyleria nie będzie dysponowała odpowiednią ilością amunicji. Czytelnicy „Timesa” 14 maja czytali w artykule wstępnym: „Żołnierze brytyjscy umierali na próżno pod Aubers, gdyż brak było amunicji. Rząd, który nie spełnił swego zadania w dziele wyzyskania naszych zasobów, musi ponieść za to poważne konsekwencje”.

Telegramem i artykułem zajął się ze szczególną pasją Lloyd George<sup>4</sup>. Od niejakiego czasu zbierało się już na przesilenie gabinetowe, a telegram Repingtona okazał się kroplą, która przepełniła puchar. Gabinet liberalny, pozbawiony zdecydowanej większości, zmuszony do lawirowania, obarczony odpowiedzialnością za niepowodzenia wojenne, za nieudaną kampanię dardaneelską, za brak amunicji, nie miał dostatecznego autorytetu, aby kierować państwem w trudnej sytuacji wojennej. W czasach normalnych, pokojowych rozwiązano by zapewne Izbę Gmin w przekonaniu, że nowe wybory przyniosą większość jednemu ze stronnictw, konserwatystom lub liberałom, to zaś pozwoli utworzyć

ząd silny. Ale podczas wojny nie pora była na wybory. Premier Asquith znalazł jednak wyjście z trudnej sytuacji. Skłonił konserwatystów do wejścia do gabinetu i przeprowadził zmiany na niektórych fotelach ministerialnych. Dawny premier konserwatywny Arthur Balfour objął stanowisko pierwszego lorda admiralicji po mocno krytykowanym Winstonie Churchillu, konserwatysta Andrew Bonar Law został sekretarzem stanu w Urzędzie Kolonialnym, przedstawiciel Partii Pracy Arthur Henderson otrzymał nominację na prezydenta Urzędu Edukacji, czyli ministra oświaty. Lloyd George został ministrem zbrojeń, a Churchill kanclerzem księstwa Lancaster, co oznaczało, że pozostał członkiem gabinetu, chociaż bez teki i mógł wpływać na jego decyzje. Któryś z dzienników napisał, że Churchill będzie mógł nadal „oświecać gabinet mądrością swych rad, a nie będzie mógł kompromitować go nieroztropnymi czynami”.

Niepoślednie znaczenie miał fakt, że na czoło nowo utworzonego Ministerstwa Zbrojeń powołano Lloyd George'a. Ambasador francuski w Londynie Paul Cambon raportował 28 maja 1915 r., że w kołach politycznych przywiązują dużą wagę do nominacji Lloyd George'a, gdyż ma on wpływ na robotników, a od wydajności ich pracy wiele zależy.

Lloyd George! Ileż to nazwisko budzi emocji i sprzecznych sądów! Zmienny jak kameleon sam Lloyd George wywołał o sobie kontrowersyjne oceny. Od 1890 r. zasiadał w Izbie Gmin wśród najbardziej radykalnych liberałów. Wróg arystokracji, toczył zacięte

boje o osłabienie jej pozycji gospodarczej i politycznej, o ograniczenie praw Izby Lordów. Umarł jako hrabia Lloyd George of Dwyfor, jako par Anglii. W latach wojny burskiej (1899–1902) wypowiadał się głośno za Burami. Walczył przeciwko zbrojeniom. Podczas pierwszej wojny światowej „igrał z myślą, aby zostać Człowiekiem, który robi pokój (rola, którą chciał odegrać podczas drugiej wojny światowej), zanim postanowił zostać Człowiekiem, który wygra wojnę”. Pacyfista i liberał potrafił wbrew angielskiej mentalności, wbrew angielskim obyczajom, wbrew angielskim tradycjom wprowadzić obowiązek służby wojskowej.

Roman Dmowski, który go znał dobrze, a nie cierpiał szczerze, opowiada taką historię. W 1920 r. „znalazłem się w gronie poważnych Anglików, którzy narzekali na brak ludzi mocnych zasad w polityce. «No - powiedziałem - wy przecie nie możecie się skarżyć. Nie widziałem człowieka mocniejszych zasad niż wasz premier». Anglicy spojrzeli na mnie zdziwieni. «Prawda - dodałem - że zasady jego są co dzień inne, ale zawsze są mocne». Wtedy przyznali mi słuszność”.

A teraz Lloyd George w oczach Anglosasów! Lloyd George - pisał do prezydenta Wilsona ambasador amerykański w Londynie Walter Hines Page - „nigdy nie pogrążył się w lekturę Drydena i niedobrze gra w golfa; ale ma to, czego brak Lordowi Greyowi i panu Balfourowi - tknięcie geniusza”. Cokolwiek bądź to jest, nie jest to geniusz, który się trudzi, lecz geniusz, który działa jak światło elektryczne, które zabłyśnie w ciemnościach”.

Lloyd George opowiadał Page'owi, że nie cierpi rzeczoznawców. „W każdym urzędzie, gdzie sprawy nie idą dobrze, znajdowałem pełno rzeczoznawców”.

Minister zbrojeń musiał z natury rzeczy współpracować najbliżej z ministrem wojny. Lloyd George nie cierpiał Lorda Kitchenera, lekcewał wojskowych i nie miał do nich zaufania. Współpraca nie mogła więc układać się łatwo i prosto. Urząd Wojny (*War Office*) stał na stanowisku, że zadaniem nowego Ministerstwa jest wykonywanie zamówień wojskowych. Lloyd George zupełnie inaczej pojmował swe nowe obowiązki. Wojskowi biurokraci w Urzędzie Wojny odrzucali, zdaniem Lloyd George'a, każdą inicjatywę, która nie zgadzała się z naukami, jakie pobrali w latach ich odległej młodości i nie rozumieli nowej, zmieniającej się szybko rzeczywistości. Minister nowoutworzonego Urzędu przystąpił do działania nowymi metodami, porozumiał się osobiście ze swym francuskim kolegą ministrem zbrojeń Albertem Thomasem, zasięgnął opinii frontowych oficerów francuskich i angielskich i z energią zabrał się do podnoszenia produkcji zbrojeniowej, zwłaszcza ciężkiej artylerii. Ministerstwo Zbrojeń inicjowało zakładanie nowych fabryk sprzętu bojowego. Od czerwca do grudnia 1915 r. zaczęło pracować ponad 70 nowych fabryk.

Interesujące są okoliczności rozwoju przemysłu chemicznego, tak ściśle związanego z produkcją zbrojeniową. Nowy minister zbrojeń stanął wobec trudności, z jakimi się borykał przemysł brytyjski przy wytwarzaniu acetonu. Redaktor radykalnego dziennika

„Manchester Guardian” C. P. Scott zwrócił uwagę Lloyd George’a na osobę profesora chemii uniwersytetu w Manchesterze Chaima Weizmanna; pragnie on w czasie wojny oddać się na usługi państwa. „Muszę Panu wszakże powiedzieć - dodał Scott - że urodził się on gdzieś niedaleko Wisły, nie jestem pewien, po której stronie”. Weizmann był żarliwym syjonistą, był przekonany, że realizacja dążeń syjonistów będzie możliwa jedynie w przypadku zwycięstwa Koalicji; stąd jego oferta pracy dla brytyjskiego przemysłu wojennego. Weizmann w pierwszej rozmowie z Lloyd George’em na nalegania ministra, że sprawa acetonu jest niezmiernie pilna, zapewnił krótko: „Będę pracował dzień i noc”. Po paru tygodniach oznajmił uradowanemu Lloydowi: „Problem rozwiązałem”. Można było rozpocząć produkcję acetonu.

Na oświadczenie Lloyd George’a, że król wynagrodzi jego zasługi, Weizmann odparł, że pragnie tylko jednego, aby Wielka Brytania wsparła dążenia Żydów do uzyskania własnej ojczyzny. Stało się tak istotnie, a znalazło to wyraz w Deklaracji Balfoura z 2 listopada 1917 r. zapowiadającej utworzenie w Palestynie żydowskiej „siedziby narodowej”. Chaim Weizmann był w latach 1948–1952 pierwszym prezydentem państwa Izrael.

Metodę pracy Ministerstwa Zbrojeń określił Lloyd George w mowie w Izbie Gmin 8 lipca 1915 r. w tych słowach: „Sprawa zasadnicza dla prowadzenia wojny to w pełni spożytkować najsprawniejsze mózgi wynalazców i ludzi nauki”.

Rzecz prosta, że do prowadzenia wojny, do odniesienia zwycięstwa sprawne mózgi uczonych i wynalazców były niezbędne, ale niezbędny był również dobrze pracujący robotnik. Stanowisko klasy robotniczej miało znaczenie decydujące - Czy Wielka Brytania będzie mogła dalej toczyć wojnę? Czy Wielka Brytania wojnę wygra?

W dniach od 6 do 11 września 1915 r. obradował w Bristolu 47 Zjazd Związków Zawodowych (*Trade Unionów*).

Na porządku dziennym stanęły trzy sprawy: 1) stanowisko wobec zaprowadzenia w Wielkiej Brytanii obowiązkowej służby wojskowej, 2) jak Związki Zawodowe patrzą na wojnę i jej dalszy rozwój, 3) jaka jest rola Związków Zawodowych w sytuacji wytworzonej w przemyśle przez wojnę.

W sprawie służby wojskowej Zjazd wypowiedział się zdecydowanie przeciwko służbie obowiązkowej. Robotnicy angielscy potępiają militarizm pruski i dlatego nie chcą tworzyć militarizmu brytyjskiego. W oświadczeniach i wynurzeniach rządowych robotnicy słyszą nieustannie, że wojna obecna to „wojna sprzętu bojowego”. Władze wojskowe zaprosiły i zawiozły na front przywódców robotniczych MacDonalda i Benjamin Tilletta, aby im to zademonstrować ad oculos. A więc jeśli tak jest, to miejsce robotnika jest w fabryce, a nie w okopach. Przemawia za tym jeszcze i ta okoliczność, że przemysł angielski nie może obniżyć tempa swej pracy i swego rozwoju, groziłoby to bowiem katastrofą gospodarczą; przeciwnie, Anglia



powinna nawet zwiększyć wywóz swych wyrobów do Stanów Zjednoczonych.

Sytuację w przemyśle omawiano 9 i 10 września. Organizatorzy Zjazdu prosili o przybycie ministra zbrojeń. Lloyd George przybył i wygłosił dłuższe przemówienie; było ono „przyjazne, dowcipne, niezmiernie dokładne i stanowcze”. Mówca wskazywał, że związki zawodowe muszą wziąć większy udział w walce przeciwko wspólnemu wrogowi. „Z Wami zwycięstwo mamy zapewnione, bez Was wojna przegrana”. Ostatnie zwycięstwo niemieckie nad wojskami rosyjskimi nazwał „zwycięstwem niemieckiego ruchu związkowego”. Nie szczędził ani żartów, ani „prawd dla audytorium nieprzyjemnych”. Zdobył sobie słuchaczy początkowo nieprzychylnych.

Debaty zjazdowe pokazały, że zarówno związki zawodowe w znacznej większości, jak i Partia Pracy uważają, że wojna toczy się w obronie wolności demokratycznych. Zjazd uchwalił rezolucję, iż wojnę należy prowadzić aż do „ostatecznego zwycięstwa”. Sformułowanie nie dość jasne, ale zamyślany początkowo wniosek o zadaniu nieprzyjacielowi „druzgocącej klęski” nie uzyskałby jednomyślności wobec opozycji niewielkiej grupy pacyfistów z MacDonaldem na czele.

Dwaj członkowie parlamentu S. H. Roberts i John Hodge złożyli wniosek opowiadający się przeciw pokojowi, który nie dałby „wolności politycznej i ekonomicznej Belgii, północnej Francji, Alzacji i Lotaryngii i Polsce”. Wniosek zyskał poparcie Zjazdu.

Obserwatorzy obrad zjazdowych twierdzili, że angielską klasę robotniczą ożywia patriotyczna wola zwycięstwa.

Wielka Brytania stanęła teraz przed nowym zupełnie a trudnym zadaniem. Wojna toczyła się już kilkanaście miesięcy i nie widać było jej końca. Nie wystarczało organizować i rozbudowywać przemysł zbrojeniowy w rozmiarach, których nie sposób było przewidzieć, należało wypracować metody prowadzenia wojny nowoczesnej. Dotychczas Anglicy wyobrażali sobie udział w wojnie na kontynencie z tradycją osiemnasto- i dziewiętnastowieczną - flota brytyjska panuje nad morzami, a brytyjski pieniądz wspomaga sprzymierzeńców kontynentalnych i umożliwia im prowadzenie wojny; armia brytyjska gra rolę drugoplanową. Przez stulecia narzędziem agresji była dla Anglików flota. Flocie trzeba znacznie mniej ludzi niż armii lądowej; zapotrzebowanie na marynarzy pokrywał dobrowolny zaciąg, a czasami, jak w okresie wojen napoleońskich, *press-gang*, czyli zbrojne bandy porywające młodych mężczyzn do służby we flocie. Obowiązkową służbę wojskową poczytywano za instytucję zbędną, szkodliwą i przynoszącą ujmę wolnościom obywatelskim. Wybuch wojny nie pociągnął za sobą zmiany w pojęciach, według powszechnego mniemania wojna miała trwać krótko, kilka miesięcy i zmiany w organizacji wojska nie były potrzebne.

Zmiany nie wydawały się potrzebne, tym bardziej że ogłoszony zaciąg dobrowolny dał wyniki optymalne, nadspodziewanie pomyślne.

Propaganda służby wojskowej była pomysłowa. Na ulicach miast, miasteczek i wsi angielskich, na wystawach sklepowych, na słupach ulicznych widniał plakat z wyrazistą twarzą popularnego wodza Lorda Kitchenera, a pod nią podpis: „*Your King and Country Needs You*” („*Twój Król i Ojczyzna potrzebują Ciebie*”).

Sięgnięto i po inne sposoby. Na ulicach pojawiły się młode, przystojne dziewczyny; zaczepiały młodych, zdrowo wyglądających mężczyzn i ofiarowywały im spódnicę ze słowami: „Ten strój lepiej Panu przystoi niż strój męski”. Nie każdy chciał się narażać na taką propozycję.

Rekrutacja dobrowolna dała dobre wyniki. W pierwszych trzech miesiącach wojny zaciągnęło się do wojska ponad 900 tys. młodych ludzi, czyli około 300 tys. miesięcznie. W pierwszej połowie 1915 r. zaciągało się miesięcznie ponad 100 tys. Kraj mógł się cieszyć takim biegiem sprawy, ale wystąpiły i zjawiska ujemne. Trudności nastroczało zakwaterowanie i uzbrojenie rekrutów. Pokazało się również, że wielu ochotników z uwagi na zdolności i przygotowanie do pracy mogło oddać krajowi większe usługi w fabrykach zbrojeniowych czy w innych gałęziach służby cywilnej. Należało więc zaciąg do wojska czy szerzej do służby wojskowej w sytuacji wojennej kraju uregulować. Było to tym bardziej wskazane, że zawiodły rachuby i nadzieje na wojnę krótkotrwałą, a malał zaciąg dobrowolny.

Zaczęła więc kiełkować powoli myśl zaprowadzenia wzorem państw kontynentalnych przymusu woj-

skowego. Przeciw opinii, że będzie to pogwałcenie tradycyjnych wolności obywatelskich wystąpił dawny minister wojny Richard B. Haldane. W mowie w parlamencie 8 stycznia 1915 r. wywodził: „Zgodnie z angielskim prawem zwyczajowym jest obowiązkiem każdego poddanego wspomagać króla (...) przy obronie Królestwa”. Obowiązek służby wojskowej zdobywał coraz więcej zwolenników. Domagali się przymusowej rekrutacji żołnierze frontowi. Zwracano uwagę na fakt, że ponad 600 tys. nieżonatych młodych ludzi pozostaje w kraju, gdy w okopach walczą w pokaźnej liczbie żonaci. W Urzędzie Wojny sądzono, że wobec przedłużającej się wojny nie wystarczy zaciąg dobrowolny i zaczęto opracowywać metody stopniowego wprowadzania w życie rekrutacji przymusowej.

Opór liberałów i laburzystów słabł stopniowo i ostatecznie obowiązek służby wojskowej wprowadzono w 1916 r. etapami - 27 stycznia objął on kawalerów, 25 maja żonatych. Poszły zapewnienia, że jest to konieczność wojenna i nie może być mowy o utrzymaniu przymusu po wojnie. Liczba głosów liberałów przeciwnych obowiązkowej służbie wojskowej z Sir Johnem Simonem na czele spadła w majowym głosowaniu w Izbie Gmin do 27, a laburzystów prowadzonych przez MacDonalda do 10.

Rosła więc potęga militarna Wielkiej Brytanii, rosła jej armia, rozwijał się jej przemysł zbrojeniowy. Nie znaczyło to wszakże, aby państwo mogło skoncentrować cały wysiłek na prowadzeniu wojny. Dotkliwie dawała się Anglikom we znaki nieszczęsna sprawa ir-

landzka. W poniedziałek wielkanocny 24 kwietnia 1916 r. stanął w ogniu Dublin, powstańcy irlandzcy proklamowali niepodległość Irlandii. Powstanie stłumiono szybko, ale cierń pozostał i pozostały trudności.

Walki nad Sommą latem i jesienią 1916 r. wykazały wprawdzie wysokie wartości bojowe żołnierza angielskiego, ale dotkliwe straty unaocznily narodowi, że wciąż stoi przed ciężkimi zadaniami.

Podważony został autorytet gabinetu Asquitha, zwłaszcza autorytet premiera; zarzucano mu zbyt ostrożność i powściągliwość w postępowaniu, brak śmielszej inicjatywy; szerzył się pogląd, że nie jest to właściwy człowiek na właściwym stanowisku, że Asquith nie jest mężem, który zdolny jest dźwigać nadal ciężar wojny. Na domiar we wrześniu 1916 r. ugodził Asquitha cios bolesny - na polach Francji poległ jego starszy syn.

Zmieniła się sytuacja w gabinecie. 5 czerwca 1916 r. na pokładzie krążownika „Hampshire” odpłynął ze Scapa Flow do Archangielska minister wojny Lord Kitchener. Kitchener jechał do Rosji na zaproszenie cara. Stary żołnierz, otoczony nimbem bohatera, jechał do Rosji podnieść na duchu armię rosyjską i poderwać ją do walki. W parę godzin po wypłynięciu ze Scapa Flow „Hampshire” wpadł na minę i zatonął wraz z Kitchenerem i całą załogą. Zgon Kitchenera był jakby symbolem - ten, który miał ożywić i podnieść rozpadający się, przegniły carat, ginął w otchłaniach Morza Północnego.

Działalność ministra wojny z różnych stron poddawano krytyce, ale był to mąż cieszący się w całym

imperium wielkim autorytetem, bezwzględnie lojalny i oddany współpracownik Asquitha. Lojalność nie była natomiast cechą charakteru polityka, który w gabinecie wciąż uparcie wysuwał się na pierwsze miejsce, lojalność nie była dominującą cechą charakteru Lloyd George'a.

7 lipca 1916 r. Lloyd George, nie zrzekając się teki ministra zbrojeń, zasiadł na opróżnionym fotelu ministra wojny. Zasiadł, jak opowiada w pamiętnikach, z oporami i niechętnie, ale zasiadł. Rozpierała go ambicja i niespożyta energia. Sytuacja dojrzewała do przesilenia ministerialnego. Lloyd George rażno zakrzętnął się dokoła sprawy. Nie ufali mu konserwatyści, nie miał pełnego poparcia liberałów, ale tupet, spryt i intryga mogą wiele. Chytry Walijszyk wymanewrował liberała Asquitha, wymanewrował przywódców konserwatystów Balfoura i Bonar Lawa i został sam na placu. 5 grudnia 1916 r. ustąpił gabinet Asquitha, 10 grudnia był już u steru nowy gabinet z Lloyd George'em na czele. Lider konserwatystów Andrew Bonar Law został kanclerzem szachownicy, tzn. ministrem skarbu, inny wybitny konserwatysta Arthur James Balfour stanął na czele Urzędu Spraw Zagranicznych.

„Gabinet Lloyd George'a - pisał ambasador Cambon do prezesa ministrów Brianda - stanowi w historii Anglii innowację. Został zorganizowany w sposób zupełnie nowy, gdyż kierowanie wojną, tj. los kraju powierzono oddzielnemu Komitetowi złożonemu z pięciu członków”.

Gabinet Wojenny tworzyli pierwszy minister David Lloyd George w charakterze przewodniczącego, minister skarbu Bonar Law, prezydent Rady Tajnej Lord George Curzon of Kedleston oraz dwaj ministrowie bez teki Lord Alfred Milner i Arthur Henderson. Trzej ostatni politycy piastowali jedynie godności honorowe i cały swój czas mogli poświęcić wyłącznie sprawom wojny. Gabinet Wojenny zbierał się codziennie, niekiedy nawet dwa razy dziennie, wzywał na konsultacje szefów sztabów wojska i marynarki, ministrów oraz różne osoby kompetentne w rozmaitych dziedzinach związanych z prowadzeniem wojny. Wydawał zarządzenia, które nie zawsze przechodziły przez odpowiednie Ministerstwa. „Wydaje się - pisał radca ambasady francuskiej hr. A. de Fleuriau do Brianda - że brytyjski Gabinet Wojenny czerpie wzory z działalności Komitetu Ocalenia Publicznego”. Powstał więc w Wielkiej Brytanii rząd konieczności wojennych i wszystko podporządkował prowadzeniu wojny do zwycięstwa. Według Cambona gabinet Lloyd George'a znalazł dobre przyjęcie w społeczeństwie. Anglicy powtarzali: „Nareszcie, mamy rząd”.

## **47. Zimmerwald i Kiental**

Niektórzy działacze II Międzynarodówki nie mogli się pogodzić z jej „krachem”, z jej bezsilnością, stąd szły ich zabiegi o wznowienie kontaktów pomiędzy socjalistami różnych krajów, walczących i neutralnych. Socjalista włoski Morgari domagał się w Paryżu w początkach 1915 r. zwołania międzynarodowej konferen-

cji socjalistycznej. Ostro sprzeciwił się temu prezes II Międzynarodówki belgijczyk Emil Vandervelde, a poparł go Francuz Pierre Renaudel. „Trzymacie więc Międzynarodówkę jako zakładnika?” - wykrzyknął Morgari. „Tak - odparł Renaudel - ale jako zakładnika na rzecz prawa i wolności”.

Socjaliści krajów neutralnych porozumiewali się jednak w kwestii jak przeciwdziałać wojnie. 27 września 1914 r. spotkali się w Lugano przedstawiciele socjalistów szwajcarskich i włoskich. Socjaliści amerykańscy zaproponowali w październiku 1914 r. zwołanie do Waszyngtonu kongresu socjalistycznego; zobowiązali się pokryć wszelkie koszty. Z inicjatywy socjalistów krajów skandynawskich miał się odbyć zjazd socjalistyczny w Kopenhadze 6 i 7 grudnia 1914 r.; udziału odmówili Francuzi. Zjazd odbył się pomimo tego 17 stycznia 1915 r., a wzięli w nim udział socjaliści duńscy, szwedzcy i holenderscy oraz „obserwator” włoski Morgari.

Zjazd stwierdził, że wojna jest możliwa tylko dlatego, iż „kapitaliści dzierżą jeszcze rządy” i wezwał robotników, aby podjęli wysiłki dla zdobycia władzy politycznej. Żądał, aby Międzynarodowe Biuro Socjalistyczne zwołało, najpóźniej u początku rokowań pokojowych, kongres partii socjalistycznych celem przedyskutowania ich stanowisk w sprawie warunków przyszłego pokoju, a także zobowiązał socjaldemokracje krajów neutralnych, aby spowodowały mediację pokojową rządów tych państw. W uchwałach zjazdu znalazł



się też protest przeciwko pogwałceniu prawa międzynarodowego „na szkodę Belgii”.

Skutkiem zapomnienia, świadomego czy nieświadomego, skrót rezolucji zjazdowych podany prasie francuskiej nie zawierał wzmianki o potępieniu agresji niemieckiej na Belgię. Zaczęto więc mówić we Francji o „manewrze niemieckim” w Kopenhadze. Dopiero 31 stycznia 1915 r. „L’Humanité” podała pełny tekst rezolucji. Poprzedził go komentarz pióra Renaudela. „Zapewne - pisał Renaudel - teksty, które podajemy, zawierają wyjaśnienie niepełne i nieco formalistyczne, jeśli można się tak wyrazić, przyczyn wojny”. Organ Generalnej Konfederacji Pracy „Bataille Syndicaliste” opublikował o zjeździe artykuł pod wiele mówiącym tytułem Żart kopenhaski. Socjalistom skandynawskim postawił autor zarzut, że atakują kapitalizm, gdy nie chcą powiedzieć, iż jedynym winowajcą wojny jest „imperializm pruski”.

15 maja 1915 r. zebrał się w Bolonii zarząd Włoskiej Partii Socjalistycznej i uchwalił podjęcie starań o zwołanie międzynarodowej konferencji socjalistycznej oraz zaproszenie do wzięcia w niej udziału „wszystkich partii, organizacji robotniczych i ugrupowań, które dochowały wierności starym zasadom i rezolucjom międzynarodówki Robotniczej”. Zarząd uchwalił, aby o zorganizowanie konferencji poprosić Roberta Grimma i Szwajcarską Partię Socjalistyczną. Szwajcarzy i Włosi rażno wzięli się do dzieła; już 11 lipca 1915 r. odbyło się w Bernie „zebranie przygotowawcze”; ustalono, że nie chodzi o tworzenie nowej

Międzynarodówki, lecz o „wezwanie proletariatu do wspólnej akcji na rzecz pokoju”.

W początku września 1915 r. przybyło do Berna, wyznaczonego na miejsce spotkania, 38 przedstawicieli socjalistów z państw walczących i neutralnych. Szwajcaria była miejscem działania wywiadów różnych państw i punktem obserwacji dziennikarskiej, główny więc organizator Robert Grimm przeniósł miejsce obrad do oberży w małym miasteczku Zimmerwald niedaleko Berna. Naradzano się tam przez cztery dni od 5 do 8 września 1915 r. Nie skierowano zaproszeń ani do francuskiej SFIO, ani do socjaldemokracji niemieckiej; przybyli jednakże Francuzi m. in. Alphonse Merrheim, rzutki działacz Związku Metalowców i bednarz A. Bourderon, Niemcy m. in. Georg Ledebour i Adolf Hoffmann. Z Rosjan przybyli Włodzimierz Lenin, Paweł Axelrod i M. Bobrów.

Konferencja była widownią walki pomiędzy rewolucyjnymi internacjonalistami, którym przewodził Lenin, a centrystami. Grupa skupiona dookoła Lenina tworzyła tzw. lewicę zimmerwaldzką; ta działała i później. Szczególnie ostro ścierali się Lenin i Ledebour.

Lenin wywodził, że walka przeciwko wojnie imperialistycznej nakazuje socjalistom głosować zawsze przeciwko kredytom wojennym, wystąpić z rządów, wykazywać z trybuny parlamentarnej, na łamach prasy legalnej, a jeśli to niemożliwe w prasie nielegalnej, że tocząca się wojna ma charakter kapitalistyczny i antysocjalistyczny, prowadzić nieubłaganą walkę przeciwko socjalizmowi patriotycznemu, korzystać z wszelkich

ruchów ludowych, mających za podłoże nędzę wojenną, aby organizować demonstracje antyrządowe, propagować solidarność międzynarodową w okopach, popierać wszystkie strajki ekonomiczne, a gdzie to możliwe, przekształcać je w strajki polityczne. Hasłem nie powinien być rozejm pomiędzy partiami i klasami, hasłem powinna być wojna domowa.

Wywody Lenina spotkały się z silną opozycją. Włosi uważali, że celem konferencji jest odbudować zerwane stosunki pomiędzy partiami socjalistycznymi. Ostatecznie, po ożywionej dyskusji, uchwalono dwa dokumenty - deklarację francusko-niemiecką i manifest do proletariatusy Europy.

Deklaracja francusko-niemiecką potępiła wojnę imperialistyczną, potępiła *L'Union Sacrée* („Świętą Jedność”), stwierdziła, że „śmiałe mniejszości” we wszystkich narodach walczących dążą do realizacji uchwał kongresów socjalistycznych w Stuttgarcie, Kopenhadze, Bazylei. „My, socjaliści i związkowcy, niemieccy i francuscy, zapewniamy, że ta wojna nie jest naszą wojną”. Deklaracja potępiła następnie pogwałcenie neutralności Belgii i żądała pełnego przywrócenia jej niepodległości i integralności. A oto zasady przyszłego pokoju, jak je pojmowali autorzy deklaracji: odrzucić należy wszelkie aneksje rzeczywiste czy zamaskowane, a także „inkorporacje gospodarcze, wymuszone czy narzucone”. Autorzy deklaracji zobowiązali się działać niezmiernie na rzecz pokoju i wytworzyć tak potężny ruch pokojowy, iżby rządy musiały zaprzestać „tej rzezi”. Deklarację podpisali Alphonse

Merrheim, sekretarz Związku Metalowców, A. Bourderon, sekretarz Związku Bednarzy, Adolf Hoffmann, poseł do Sejmu pruskiego, Georg Ledebour, poseł do parlamentu Rzeszy.

Było w deklaracji potępienie aneksji, nie było mowy o odszkodowaniach. I trudno się temu dziwić; postulat odszkodowań byłby możliwy wówczas tylko, gdyby uznano jednostronną winę Niemiec za wywołanie wojny. Odpowiedzialnością wszakże obarczono wszystkie rządy, a w takim razie za zniszczenia we wschodnich departamentach Francji, w Belgii i w Polsce odpowiadały nie tylko Niemcy, ale także Francja, Rosja, Wielka Brytania, a nawet i Belgia, wojska bowiem tych państw walczyły w Polsce, we Francji i w Belgii. Ustalenie w jakiej części winę za dokonane tam zniszczenia i spustoszenia ponoszą Niemcy, w jakiej Francuzi, Rosjanie czy Anglicy nie było sprawą możliwą. Jednak pozostaje faktem, że pominięcie kwestii odszkodowań godziło we Francję, w Polskę, w Belgię, odpowiadało zaś interesom niemieckim i to przede wszystkim interesom kapitalistów niemieckich. Ułatwiało to w krajach Koalicji propagandę przeciwko lewicy socjalistycznej.

Manifest do proletariuszy Europy również stawiał mocno tezę, że przyczyną wojny jest imperializm i dążenie kapitalistów do eksploatacji pracy ludzkiej i bogactw naturalnych świata. Narody gospodarczo zacofane lub słabe politycznie popadną pod jarzmo mocarstw, które dążą do zmiany mapy świata stosownie do nowych interesów. „W ten sposób całym narodom i kra-

jom, jak Belgii, Polsce, państwu bałkańskiemu, Armenii grozi niebezpieczeństwo aneksji całkowitej lub częściowej przez zwykłą grę rekompensat”.

Proletariat socjalistyczny - głosił manifest - długie lata walczył przeciwko militarystom, ale „partie socjalistyczne i organizacje robotnicze w niektórych krajach” nie spełniły swego obowiązku, skłoniły robotników, aby porzucili walkę klas, udzieliły klasom panującym kredytów wojennych, poparły politykę rządów i przez to dzielą z klasami panującymi odpowiedzialność za wojnę. „W tej niemożliwej sytuacji my, przedstawiciele partii socjalistycznych, związków zawodowych lub mniejszości w tych organizacjach, Niemcy, Francuzi, Włosi, Rosjanie, Polacy, Łotysze, Rumuni, Bułgarzy, Szwedzi, Norwegowie, Holendrzy i Szwajcarzy, (...) zebraliśmy się, aby nawiązać zerwane więzy stosunków międzynarodowych, wezwać klasę robotniczą (...) do walki o pokój (...) o pokój bez aneksji i bez odszkodowań”. Dalej manifest powtarzał słowa deklaracji francusko–niemieckiej potępiające wszelkiego rodzaju aneksje i uciemiężenie gospodarcze.

Manifest był wynikiem kompromisu pomiędzy projektem większości i projektem Lenina. Lenin położył pod dokumentem swój podpis, chociaż stwierdził, że manifest „cierpi na skutek braku konsekwencji i na skutek niedomówień”. Uznał jednak, że „Uchwalony manifest jest krokiem naprzód w kierunku ideowego i praktycznego zerwania z oportunizmem i socjalszwinizmem”.

Zjazd powołał do życia „Międzynarodową Komisję Socjalistyczną” z siedzibą w Bernie z zadaniem prowadzenia propagandy antywojennej. Przewodnictwo powierzono socjaliście szwajcarskiemu, ale faktycznym kierownikiem był Lenin.

Zjazd miał znaczenie bardziej teoretyczne (dyskusja Lenina z centrystami) niż praktyczne. Opinia publiczna o obradach w Zimmerwaldzie wiedziała bardzo mało. Pełną informację podały tylko dwa pisma socjalistyczne: „Avanti” we Włoszech i „Berner Tagwacht” w Szwajcarii. We Francji, w Niemczech i w Wielkiej Brytanii ukazały się tylko krótkie wzmianki w niektórych dziennikach. Mówiono, że działała cenzura potrójna: państwowa, cenzura partii socjalistycznych i cenzura związków zawodowych. Manifest do proletariatu Europy nie nabrał rozgłosu.

Kontynuacją konferencji zimmerwaldzkiej była konferencja zwołana również do Szwajcarii do Kiental pod Bernem. Obradowała w dniach 24 do 30 kwietnia 1916 r. Wzięło w niej udział tym razem 43 delegatów z 10 krajów; było wśród nich 12 przedstawicieli lewicy. Zjazd w Kiental zajął się przede wszystkim zagadnieniem walki o zakończenie wojny i stanowiskiem proletariatu wobec sprawy pokoju. Manifest opracowany w Kiental szedł bardziej na lewo niż manifest zimmerwaldzki; żądał od socjalistów, aby nie brali udziału w rządach burżuazyjnych i nie głosowali za kredytami wojennymi. Ale i na konferencji w Kiental nie zgodzono się w pełni ze stanowiskiem, lewicy, nie przyjęto

postulatu przekształcenia wojny imperialistycznej w wojnę domową.

1 maja 1916 r. międzynarodowa komisja socjalistyczna wystosowała do ludów apel z wezwaniem do czynu: „Wszystkimi dostępnymi wam środkami połóżcie kres rzezi międzynarodowej. Domagajcie się natychmiastowego zawieszenia broni”.

Masy robotnicze nie przyjęły wezwania kientalskiego z pełnym zrozumieniem. Delegaci francuscy po powrocie z Zimmerwaldu, później z Kientalu spotkali się z krytyką wielu swych towarzyszy partyjnych. Bronił ich w Izbie Deputowanych, rzecz ciekawa, Pierre Laval. W Niemczech w szeregach socjaldemokracji liczni i wpływowi działacze występowali przeciwko Liebknechtowi i jego działalności.

W każdym razie akcja zimmerwaldczyków utrudniała sytuację socjalistów–oportunistów.

## **48. Plany wojenne na rok 1916**

Kończył się rok 1915, kończył się drugi rok wojny, rządy i dowództwa w obu obozach walczących widziały, że do końca wojny, do zwycięstwa jeszcze daleko. Jednak z większym spokojem mogli oceniać sytuację Niemcy, więcej niepokoju budzić musiała sytuacja w państwach Koalicji.

Generał von Falkenhayn dokonując na przełomie lat 1915 i 1916 bilansu sukcesów i niepowodzeń na frontach zachodnim i wschodnim tak oceniał sytuację: na zachodzie celu kampanii nie osiągnięto, nie zdołano pokonać Francji i musiano się zadowolić utrzymaniem

zdobytch terytoriów, na wschodzie natomiast Niemcy dopięli celu. Celem tym nie było całkowite zniszczenie armii rosyjskiej, należało się bowiem liczyć z możliwościami i cel wojenny ograniczyć do takiego osłabienia „siły uderzenia kolosa”, aby nie mógł się on prędko podnieść. „Jeśli dowództwo i wojska Państw Centralnych spełnią na wschodzie swój obowiązek, można będzie się stamtąd nie obawiać poważniejszego niebezpieczeństwa” - konkludował generał. Zwycięska kampania przeciwko Serbii otworzyła drogę do Turcji, monarchii naddunajskiej nie groziło już niebezpieczeństwo serbskie.

Falkenhayn odrzucił żądanie Conrada von Hötendorfa, aby w roku 1916 możliwie największe siły rzucić przeciwko Włochom i zgnieść zdraдлиwego dawnego sprzymierzeńca. W umyśle wodza niemieckiego wojnę rozstrzygnąć mogło jedynie zwycięstwo na froncie zachodnim. Sądził, że „wykrwawienie” Francji i zadanie jej ciosu tak potężnego, aby nie mogła się już podźwignąć byłoby największym zagrożeniem Wielkiej Brytanii i zmusiłoby ją do porozumienia z Niemcami<sup>1</sup>.

Inaczej spoglądał na sytuację wódz francuski generał Joffre. Bieg wydarzeń na frontach w roku 1915 uważał za niepomysłny, armie państw Koalicji znajdowały się wszędzie w trudnej sytuacji bądź nawet były pobite i trzeba było znacznego wysiłku, aby je przygotować do nowych działań.

Przyczyn takiego stanu rzeczy było wiele, ale główną przyczynę niepowodzeń generał Joffre upatrywał „w niezależności, która przysługiwała każdemu ze



sprzymierzonych w prowadzeniu wojny, każdy na swoim froncie działał według własnych założeń”. „Brak wspólnego kierownictwa operacji”, oto co Joffre uważał za jeden z największych błędów Koalicji. I miał niewątpliwie słuszność. Po stronie Państw Centralnych sprawy układały się pomyślniej, dowództwo niemieckie nie miało wprawdzie również prawa wydawania rozkazów czy poleceń dowództwu austriackiemu, ale Niemcy i Austro–Węgry tworzyły jedność geograficzną, a to w wielu przypadkach mogło powetować brak jedności dowództwa, Państwa Centralne miały możliwość skoncentrowania swych wysiłków w wybranym miejscu i czasie. Ponadto należy pamiętać, że Niemcy górowały potęgą nad Austro–Węgrami; dawało im to możliwość nacisku na sprzymierzeńca.

Na obóz Koalicji natomiast składały się: 1) Zachód, gdzie walczyły armie francuska, angielska i belgijska, a można tu było dołączyć i wojska włoskie, z którymi komunikację utrzymywano swobodnie; 2) Bałkany, gdzie w Salonikach i okolicy były skoncentrowane wojska francuskie i angielskie; 3) armia rosyjska. Łączność państw zachodnich z ich armiami w Salonikach można było utrzymać, choć za cenę znacznych wysiłków i znacznych kosztów. Łączność natomiast z armią rosyjską była możliwa jedynie przez zamarzające na pół roku porty w Murmańsku i Archangielsku bądź też porty Dalekiego Wschodu i długą linię kolejową transsyberyjską.

Do podobnych wniosków doszedł i rosyjski szef sztabu Michaił Aleksiejew. Opracował on i przedstawił

dowództwom wojsk państw Koalicji rozległy plan wspólnej akcji nie tylko przeciwko Państwu Centralnym, ale i przeciwko Austro–Węgrom; plan rosyjski opierał się na założeniu, że trudno będzie przełamać siłę oporu wojsk niemieckich na obu frontach, francuskim i rosyjskim, że wobec tego uderzyć należy tam, gdzie przeciwnik nie spodziewa się ataku i nie przygotował należycie oporu, tzn. na Węgry; równocześnie podjęliby ofensywę Francuzi, Anglicy i Włosi na Bałkanach a Rosjanie w Galicji i na Bukowinie. Wspólny cel uderzenia - Budapeszt. Joffre uznał projekt Aleksiejewa za nierealny, gdyż do rozwinięcia na Bałkanach wielkiej ofensywy trzeba było co najmniej 800 tys. żołnierza, a przewiezienie na Półwysep i zaopatrzenie takiej masy wojska przekraczało możliwości państw Koalicji. Punkt widzenia Joffre'a podzielili Anglicy i Włosi.

W dniach 6, 7 i 8 grudnia 1915 r. we francuskiej Kwaterze Głównej w Chantilly zebrali się przedstawiciele armii państw Koalicji, wysłuchali *exposé* Joffre'a i przedyskutowali sytuację. Wódz francuski uznał ofensywy w Szampanii i w Artois, prowadzone jesienią 1915 r., za „świetne osiągnięcie taktyczne”; nie przyniosły one sukcesów strategicznych częściowo skutkiem niesprzyjającej pogody, częściowo zaś z powodu braku amunicji. Plan Joffre'a na rok 1916 polegał na tym, aby wojska państw Koalicji podjęły działania zaczepne równocześnie lub prawie równocześnie na froncie francuskim, włoskim i rosyjskim, tak aby nieprzyjaciel nie mógł przerzucić odwodów z jednego frontu na

drugi. Za zasadniczy warunek powodzenia uznano przygotowanie dostatecznej ilości amunicji. Początkowo myślano, że wielka ofensywa będzie mogła ruszyć już wiosną 1916 r., ostatecznie zdecydowano, że atak zacznie się w początkach lipca.

Takie były postanowienia konferencji w Chantilly, ale - jak trafnie zauważył Joffre - „decyzja to jeszcze nie wszystko, na wojnie liczy się tylko wykonanie”. Postanowienia z Chantilly mogły mieć znaczenie tylko wtedy, gdyby zostały zrealizowane.

Szczególne znaczenie, jakie wywalczyła sobie armia francuska, i autorytet, jaki zdobył Joffre osobiście, sprawiły, że to właśnie wodzowi francuskiemu przypadła rola koordynatora wspólnych działań. Rolę tę usiłował on wykonywać, a nie była to rola łatwa. Nie mógł, jak to powinno być na wojnie, rozkazywać, musiał przekonywać, musiał przekonywać dowódców armii sprzymierzonych. Dwaj z nich - wódz angielski Douglas Haig i wódz włoski Luigi Cadorna - byli mu równi rangą, natomiast król belgijski, car i regent serbski byli nie tylko wodzami, ale głowami państw.

Takie były warunki, w których dowództwom armii państw Koalicji przyszło rozstrzygać wielkie problemy prowadzenia wojny.

18 lutego 1916 r. Joffre i nowy wódz armii brytyjskiej feldmarszałek Sir Douglas Haig ustalili, że atak francusko-angielski ruszy na południe i północ od Sommy na froncie szerokości około 70 kilometrów. Uderzenie rozpocznie się około 1 lipca, gdy wojsko będzie mogło być zaopatrzone w sprzęt bojowy i amuni-

cję w wystarczającej ilości. W tym samym czasie rozwinąć się miała ofensywa rosyjska.

Jak często bywa sprawy potoczyły się inaczej niż to zaplanowano. 21 lutego 1916 r. Niemcy przypuścili niespodziewanie atak na Verdun; pokrzyżowało to plany francusko–brytyjskie.

## **49. Ofensywa generała Aleksieja Brusilowa**

Ofensywa niemiecka pod Verdun utrudniła i opóźniła realizację opracowanych w Chantilly planów wielkiej równoczesnej ofensywy armii państw Koalicji na trzech frontach: francuskim, włoskim i rosyjskim. Ofensywa ta miała ruszyć 1 lipca 1916 r. Dowództwo rosyjskie dostrzegało możliwość uderzenia przez Niemców na wschodzie, pomimo walk pod Verdun. Liczono się zwłaszcza z marszem na kraje bałtyckie. Dlatego też generał Aleksiejew kierował swą uwagę ku północy. Myślał początkowo o uderzeniu w kierunku Wilna, jednak później powrócił do pierwotnej myśli, do pierwotnych planów atakowania przeciwnika słabszego, a zarazem wroga głównego - Austro–Węgier<sup>1</sup>.

Ofensywa austriacka w Tyrolu i niepowodzenia włoskie wywołały interwencję Zachodu w Rosji i skłoniły generała Aleksiejewa do przyspieszenia ofensywy rosyjskiej. Nie 1 lipca, jak ustalono pierwotnie, lecz już 4 czerwca porwali się Rosjanie do ataku.

W sztabie generała Brusilowa, dowódcy frontu południowo–zachodniego, opracowano nowe metody ofensywy. Brusilow wyszedł z założenia, że w ówczesnych warunkach walki atak rokował nadzieje na po-

wodzenie tylko przy zupełnym zaskoczeniu przeciwnika.

Brusiłow postanowił uderzyć równocześnie wszystkimi siłami na całym froncie od błot Prypeci do Czerniowiec. Przygotowawczy ogień artyleryjski musiałby być bardzo krótki i bardzo intensywny. Atak piechoty przewidziano w trzech czy czterech falach. Pierwsza fala miała przełamać dwie pierwsze linie pozycyjne nieprzyjaciela, zadaniem drugiej fali było pokrycie strat, trzecia i czwarta fala miały zapewnić ciągłość ataku i zdobyć dalsze pozycje. Dopiero na krótko przed rozpoczęciem ofensywy ściągnięto artylerię rosyjską z pozycji dalszych na czołowe.

Przygotowując ofensywę przeciwko Włochom gen. Conrad zabrał z frontu wschodniego i przerzucił do Tyrolu znaczne, najbardziej doborowe siły austriackie wraz z całą prawie ciężką artylerią. I Conrad, i Falkenhayn lekceważyli już armię rosyjską i nie brali pod uwagę niebezpieczeństwa na froncie wschodnim. Nie lekceważył natomiast przeciwnika Brusilow.

Zaskoczenie Austriaków i Niemców było zupełne.

Ani wywiad austriacki, ani niemiecki nie stwierdziły ruchów wojsk rosyjskich i wzmocnienia rosyjskiego frontu południowo–zachodniego. W austriackiej Kwaterze Głównej w Cieszynie uważano, że przygotowania do ofensywy musiałyby zająć Rosjanom od 4 do 6 tygodni od chwili ich wykrycia przez wywiad austriacki, a to dałoby czas na sprowadzenie posiłków i zorganizowanie obrony, patrzono więc ze spokojem na front wschodni. Opinię tę podzielał generał Alexan-

der von Linsingen, niemiecki dowódca północnej części frontu austro–Węgierskiego.

Wczesnym rankiem 4 czerwca 1916 r. po krótkiej kanonadzie na całym froncie od kolana Styru do granicy rumuńskiej Rosjanie - jak nie bez zdziwienia pisze generał Falkenhayn - „podnieśli się ze swych okopów i po prostu poszli naprzód”. „*Urra! urra! urra! idiom na wraga, za matuszku Rassiju, za bielowo caria!*”

Już w pierwszych trzech dniach ofensywy posunęli się Rosjanie 25 do 30 km na szerokości od 70 do 80 km. 7 czerwca byli w Łucku, 10 czerwca przekroczyli Styr, 13 czerwca dotarli do Stochodu opodal ważnego kowelskiego węzła kolejowego. Sukcesy odnosiły wojska białego cara i na południu na Bukowinie, 18 czerwca w rękę rosyjskim znalazły się Czerniowce. Z początkiem lipca byli Rosjanie u wschodnich zboczy Karpat. Niepokój ogarnął Węgry.

28 lipca nowe uderzenie rosyjskie i duże sukcesy w Galicji Wschodniej i na Bukowinie; zajęte Brody, Halicz, Stanisławów. Ale był to już koniec zwycięstw rosyjskich. Straty w ludziach i rosnące trudności zaopatrzenia walczącej armii, dotkliwy brak amunicji szczególnie dla ciężkiej artylerii, zatrzymały w końcu sierpnia ofensywne działania rosyjskie.

Jeszcze dwukrotnie poderwą się Rosjanie do ataku - we wrześniu pomiędzy Karpatami i Stochodem oraz w drugiej połowie października 1916 r. celem przyjscia z pomocą armii rumuńskiej.

Wiele przyczyn spowodowało zatrzymanie Rosjan - coraz dotkliwiej dający się we znaki brak amunicji,

brak rezerw, znużenie żołnierza długą walką, ostatnio i niesprzyjające warunki atmosferyczne.

Skutki wszakże letniej ofensywy Brusilowa były doniosłe, ofensywa rosyjska ocaliła armię włoską przed ciężką klęską, Conrad bowiem zatrzymał ofensywę nad Adygą i nad Brentą, aby z frontu włoskiego wysłać posiłki na front rosyjski, osłabiła siłę oporu Niemców we Francji nad Sommą, gdyż i Niemcy część wojsk przeczucili z zachodniej widowni na wschodnią, przyspieszyła wreszcie decyzję rządu rumuńskiego wypowiedzenia wojny Austro–Węgrom.

Była ofensywa Brusilowa ciosem zadany armii austro–Węgierskiej, nie zdołali jej Rosjanie rozbić, ale ją osłabili. W ciągu trzech letnich miesięcy 1916 r. (czerwiec, lipiec, sierpień) utracili Austriacy ponad 600 tys. żołnierza, między nimi ponad 300 tys. wziętych do niewoli i zaginionych, utracili 580 armat, 1800 karabinów maszynowych.

Było sprawą oczywistą, że Austriacy zdołali zatrzymać napór rosyjski jedynie dzięki pomocy niemieckiej. Pomoc ta to posiłki niemieckie ściągnięte w pośpiechu z innych frontów, to wyżsi oficerowie niemieccy, obejmujący dowództwo nad oddziałami austriackimi, jak znany z bezwzględności i brutalności generał Hans von Seeckt, mianowany szefem sztabu 7 Armii austro–węgierskiej. A ponieważ oficerowie niemieccy nie zawsze wykazywali poczucie taktu, wiodło to niejednokrotnie do tarć i zgrzytów.

W takich warunkach zapadły ważne decyzje zmierzające do ujednoczenia dowództwa wojsk państw Czwórprzymierza.

6 września 1916 r. ustalono, że cesarz niemiecki obejmuje kierownictwo operacji prowadzonych przez armie Państw Centralnych i ich sprzymierzeńców; postanowienia cesarza opracowuje szef sztabu armii niemieckiej (był nim już Hindenburg). W zawartym jednocześnie na żądanie Conrada sekretnym porozumieniu austriacko–niemieckim, zatajonym przed Turkami i Bułgarami, cesarz niemiecki zobowiązał się we wszystkich swych decyzjach dotyczących operacji wojennych stawiać na równi „obronę i integralność” monarchii habsburskiej i Rzeszy. Gdyby dowództwo austriackie nie mogło się zgodzić z postulatami niemieckimi, cesarz niemiecki zobowiązuje się nie działać wbrew woli cesarza Austrii, króla Węgier.

Umowa ta była niewątpliwie uderzeniem w autorytet c. i k. armii, a nawet i państwa austro–węgierskiego.

Uderzeń takich, godzących w monarchię Habsburgów, w jej autorytet było więcej.

Uderzeniem w spoistość państwa czy też już świadectwem słabej jego spoistości było przejście do nieprzyjaciela całego 8 morawskiego pułku piechoty, złożonego z Czechów; fakty podobne zdarzały się i wcześniej, ale nie w takich rozmiarach i nie o tak wyraźnie politycznym obliczu.

Rozmowy prowadzone pomiędzy Wiedniem i Berlinem na temat zamierzonego tworzenia państwa polskiego zakończyły się niepowodzeniem Austriaków.



Poseł bawarski w Wiedniu baron Heinrich Tucher von Simmelsdorf 21 lipca 1916 r. raportował do Monachium, iż „żałosne załamanie armii arcyksięcia Józefa pod Łuckiem” było argumentem, że „ani państwo austriackie, z którym miał być związany nowy polski organizm, nie jest zdolne rozciągnąć skutecznej kontroli nad 17 milionami Polaków, ani monarchia austro-Węgierska nie ma dość siły, aby podjąć i zapewnić obronę od wschodu”.

Kanclerz Bethmann Hollweg podczas swej wizyty w Wiedniu w sierpniu 1916 r. poczynił niepokojące spostrzeżenia - autorytet Naczelnego Dowództwa został doszczętnie podkopany, dowództwo utraciło zaufanie cesarza, armii w polu, społeczeństwa; wśród ludów monarchii nie ma wiary w zwycięstwo, Austriacy gotowi są zgodzić się na najgorszy nawet pokój. Kanclerz wyprowadzał stąd taki wniosek, że wszystkie rozporządzalne siły należy rzucić na wschód, aby przywrócić tam poprzednią sytuację, gdyż tylko w ten sposób można uratować Austro-Węgry przed całkowitym załamaniem, a tym samym przed przegraną wojną.

Węgierski mąż stanu hrabia Gyula Andrassy, który wkrótce miał zostać ostatnim ministrem spraw zagranicznych monarchii, również pesymistycznie oceniał położenie. Twierdził on: „zwyciężyć już nie możemy, katastrofa nie jest wykluczona”. Drogę wiodącą do zawarcia pokoju upatrywał w porozumieniu z Wielką Brytanią, która nie ma interesu w rozbiciu imperium Habsburgów. Ale Andrassy dostrzegał jeszcze „cenę zwycięstwa”, a miała nią być Polska; jeśliby tę nadzieję

monarchii odebrano, w społeczeństwie wzięłoby górę zniechęcenie i powszechnie zadawano by sobie pytanie, po co prowadzi się wojnę.

Takie były dla Austro–Węgier skutki ofensywy Brusilowa.

A jakie znaczenie miała ofensywa Brusilowa dla Rosji?

Zwycięstwa wojsk carskich latem 1916 r. nie wywołały w narodzie rosyjskim entuzjazmu, którego spodziewano się w kołach rządowych Piotrogradu i w sojuszniczej Francji; w jednych kręgach narodu rosyjskiego nadal potężniały siły rewolucyjne, inne nadal pogrążały się w apatii.

Rzecz znamienita, że już jesienią 1915 r. Polak, wyższy oficer armii rosyjskiej, doszedł do takiego mniemania: „Głębsze wniknięcie w przebieg spraw wojennych wyrobiło we mnie przekonanie, że wojna na froncie wschodnim jest nie do wygrania. Niemcy górowały nad Rosją nie tylko techniką wojenną, nieporównanym składem oficerów, wykształconych, energicznych, zaciekłych w wykonaniu postawionych im celów, ale i duchem narodu; armia zaś tkwiła głęboko swymi korzeniami w ziemi ojczystej, czerpała z niej siły moralne, żądzę zwycięstwa. Przypuszczałem więc, że zadania strategiczne armii rosyjskiej ograniczą się do przetrzymywania przed sobą maksimum sił niemieckich czyli (do) obrony czynnej, główna zaś akcja zostanie rozegrana na froncie zachodnim. Jako Polak wolałem to nawet; dość niszczących fal wojennych przewaliło się już przez polską ziemię”.

Angielski historyk wojny tak ocenia ofensywę Brusilowa: „paradoksalna w skutkach, bardziej jeszcze paradoksalna w swoim przebiegu - streszczenie (*epitome*) złudnych celów, błędów, które wiodły do sukcesu, sukcesów, które wiodły do upadku”.

Paradoksem była istotnie ofensywa Brusilowa. Tak oczekiwany, tak upragniony na Zachodzie rosyjski „walec parowy” potoczył się na froncie austriackim, zadał cios Państwu Centralnym, w szczególności Austro–Węgrom, ale zatrzymał się wcześniej. Nie nastąpiło zapowiedziane mocne uderzenie Rosjan przeciwko Niemcom na froncie północno–zachodnim. Niemcy i Austriacy natomiast pokonali wkrótce Rumunię i utrzymali w 1916 r. dotychczasową, dominującą pozycję na Wschodzie.

## 50. Verdun

Z końcem roku 1915 generał Joffre, pełen optymizmu, snuł plany „zniszczenia armii niemieckich i austriackich” jednoczesnym silnym uderzeniem na frontach zachodnim, wschodnim i włoskim, a także na Bałkanach.

Jego adwersarz Falkenhayn przeciwnie - był w nastroju dość minorowym. W memoriale, opracowanym na Boże Narodzenie 1915 r., zanalizował szczegółowo sytuację militarno–polityczną Niemiec. Stwierdził znaczne osłabienie Francji, wyczerpanie Rosji, lekceważąco ocenił możliwości Włoch, armię serbską uznał za zniszczoną. Pomimo różnych niepowodzeń, silna pozostała Wielka Brytania. W dalszym ciągu jest ona

gotowa do wszelkich ofiar, aby usunąć groźnego niemieckiego rywala. Anglicy zdają sobie sprawę, że wyłącznie militarnymi środkami nigdy nie zdołają złamać potęgi niemieckiej, toczą więc wojnę na wyczerpanie. W takiej wojnie działania obronne nie prowadzą do celu. Stosunek sił musiałby się zmieniać ustawicznie na niekorzyść Niemiec. Należy więc pokazać Wielkiej Brytanii, że jej rachuby są błędne.

Uderzenia na Bałkanach, nad Kanalem Sueskim, w Iraku nie mogą przynieść rozstrzygnięcia. Wielką Brytanię pokonać można tylko w Europie. Falkenhayn nie brał pod uwagę inwazji na Wyspy Brytyjskie; zgodnie z opinią admiralicji niemieckiej sądził, że desant niemiecki w Anglii był niewykonalny, przedstawiał trudności nie do pokonania. Za rzecz możliwą natomiast poczytywał zadanie silnego ciosu Francji, ciosu po którym ten główny sprzymierzeniec Wielkiej Brytanii wycofałby się z wojny. „Francja - dowodził Falkenhayn - doszła w swych wysiłkach prawie do granic wytrzymałości, zresztą z podziwu godną ofiarnością. Jeśli uda się uzmysłwić narodowi francuskiemu, że położenie wojskowe jest beznadziejne, wówczas przeberze się miara i Wielkiej Brytanii wytrącimy z rąk jej najlepszy oręż. Nie potrzeba do tego wątpliwego w wynikach i przechodzącego nasze siły masowego przełamania. Również i ograniczonymi siłami można przypuszczalnie cel osiągnąć. Za francuskim odcinkiem frontu zachodniego znajdują się w osiągalnej odległości cele, dla których utrzymania dowództwo francuskie zmuszone będzie poświęcić ostatniego nawet żołnierza. Jeśli

tak uczyni, skrwawią się siły Francji...” Falkenhayn widział dwa miejsca, o które Francja musiałaby „krwawić” - Belfort i Verdun. Pierwszeństwo oddawał twierdzy Verdun. Verdun - zdaniem Falkenhayna - było „najpotężniejszą podporą wszelkiej próby nieprzyjacielskiej, aby przy stosunkowo niewielkim użyciu sił zachwiać całym frontem niemieckim we Francji i w Belgii”. Zdobycie Verdun wszakże miało być tylko „celem ubocznym”, celem głównym, zasadniczym było „wykrwawienie” armii francuskiej.

Drugim ciosem, wymierzonym w Wielką Brytanię, miała być wojna łodziami podwodnymi. Według opinii admiralicji niemieckiej wojna podmorska musiałaby w ciągu roku 1916 sparaliżować brytyjską wolę walki.

„Wykrwawienie” Francji i łodzie podwodne na drugim miejscu to - zdaniem Falkenhayna - jedyna droga do zwycięstwa. Uderzenie na Rosję, tym mniej na Włochy, czego domagał się Conrad, nie dawały możliwości ostatecznego rozstrzygnięcia.

Zawiodły dotąd zupełnie wszelkie próby przełamania frontu nieprzyjacielskiego i osiągnięcia tą drogą zwycięstwa. Falkenhayn szukał więc nowych sposobów, dostrzegł je w „wykrwawieniu” Francuzów pod Verdun. Wódz niemiecki nie myślał uderzeniem tym przełamać frontu, nie myślał też o wielkim ataku oskrzydającym wzdłuż Argonnów i od St. Mihiel. Atak planował na wąskim stosunkowo odcinku frontu, aby zmusić Francuzów do obrony znacznymi siłami ważnego miejsca. Olbrzymie straty, które Falkenhayn spodziewał się zadać Francuzom, miały wywołać we

Francji wstrząs psychiczny i skłonić ich do wycofania się z wojny. Z trudnym do zrozumienia optymizmem Falkenhayn sądził, że straty francuskie będą pozostawały w stosunku do niemieckich jak 5 do 2.

Plan był mało realny; Falkenhayn wprawdzie przewidział trafnie, że Francuzi będą walczyć o Verdun, ale przecenił osłabienie Francji; trudno było również zrozumieć przy tym, dlaczego broniący twierdzy mają mieć dużo większe straty niż atakujący.

Niemcy nie byli w stanie rzucić wielkich sił do ofensywy, Falkenhayn chciał więc działać „siłami ograniczonymi”, nie dopuścić do większych strat we własnych szeregach, ale zadać ciężkie straty przeciwnikowi i - co nie mniej ważne - we własnych rękach utrzymać stale inicjatywę działania. Taki plan był w niezgodzie z dotychczasowymi doświadczeniami wojny.

Błędem było mniemanie, że dotychczasowa wojna podważyła już potęgę Wielkiej Brytanii, że do ostatecznych granic osłabiła Francję.

I tak rozpoczął się bój dokoła Verdun, bój, który miał wykrwawioną Francję rzucić na kolana i doprowadzić do pokoju z Wielką Brytanią.

Plan Falkenhayna był tak nienaturalny, tak dziwny, że po ogłoszeniu pamiętników generała i odsłonięciu jego myśli przewodniej odezwały się głosy powątpiewania, czy wódz niemiecki istotnie ujawnił prawdę.

Jak sprawa wyglądała od strony francuskiej? Czy atak niemiecki zaskoczył Francuzów? W końcu paź-

dzielnika 1915 r. Joffre rozkazał, aby na pierwszej linii frontu pozostawiono jedynie minimum załóg, a możliwie najwięcej wojska skupiono na tyłach w takich miejscach i w taki sposób, aby je można szybko rzucić na zagrożone odcinki. Według ówczesnych przewidywań Joffre'a najbardziej prawdopodobne punkty uderzenia niemieckiego to Amiens, tam bowiem Niemcy mogli usiłować przerwać łączność pomiędzy armiami francuską i brytyjską, to dolina Oise - droga wiodąca prosto do Paryża, to następnie Reims, to dalej Argonny, to wreszcie Porrentruy, ważny punkt oporu na wypadek pogwałcenia przez Niemców neutralności Szwajcarii. Za strefy najbardziej zagrożone pochytywał Joffre Amiens, dolinę Oise i skrajnie prawe skrzydło armii francuskiej. Nie przypuszczał natomiast, aby Verdun mogło stać się przedmiotem wielkiego ataku.

Pamiętać trzeba, że w sprawie Verdun w grę wchodziły czynniki pozarozumowe. emocjonalne, czynniki, które nazwano romantyzmem wagneriańskim. Verdun to miasto, w którym w 843 r. zawarto pakt dzielący ówczesną Europę, pakt stojący u genezy państwa francuskiego i państwa niemieckiego, Verdun to miasto, które było terenem gorących walk w 1792 r. i w 1870, miasto, które Niemcy nazywali *Herz Frankreichs* (sercem Francji). Okolice Verdun to wyrwa w systemie obronnym Francji, to otwarta brama dla inwazji od wschodu. Dlatego właśnie zbudowano tam twierdzę, ale w chwili ataku niemieckiego była ona mocno zaniedbana. Falkenhayn mniemał, że Verdun to symbol, że symbol ten będzie silnie przemawiał do

Francuzów. I rzeczywiście, armia francuska, która bez trudu i bez większych strat mogła wycofać się za Moze, walczyła tak nieugięcie, jakby w fortach Verdun rozegrać się miały losy Francji. Falkenhayn popełnił błędy taktyczne, ale „jego intuicja strategiczna była trafna” - pisał generał Gambiez.

Francuski prezes ministrów Aristide Briand 24 lutego 1916 r. w Kwaterze Głównej francuskiej nie mówił, lecz krzyczał do generałów francuskich: „Dla Pańów wycofać się z Verdun, to nie porażka. Ale dla całego świata będzie to porażką. Dla naszych żołnierzy będzie to również, wierzcie mi, ciężki cios. (...) Jeśli wycofacie się z Verdun, będziecie tchórzami”.

Wrzynający się w linie niemieckie występ Verdun mogli Niemcy atakować od północy zdobywając forty na prawym brzegu Mozy, na wschodzie poprzez Woevre, na północnym wschodzie z lewego brzegu Mozy. Zaopatrywać załogę można było jedynie koleją lokalną wiodącą z Bar-le-Duc do Verdun 55 km. Dwa inne połączenia kolejowe (Verdun-Commercy i Verdun-Sainte-Menehould) nie wchodziły w ogóle w grę, gdyż bądź były częściowo zajęte przez Niemców, bądź też wystawione na silny ogień artyleryjski. Z tych względów według obliczeń niemieckich było sprawą trudną utrzymać w Verdun znaczniejsze siły obronne.

Twierdza miała dwie linie ufortyfikowane - główną zewnętrzną i drugą wewnętrzną. Na wzgórzach okalających Moze znajdowało się 20 większych fortów żelbetowych z licznymi wieżami opancerzonymi. Przestrzeń pomiędzy liniami fortów wypełniały schrony be-



tonowe, gniazda karabinów maszynowych, zasieki z drutu kolczastego. Siła obronna Verdun polegała na połączeniu fortyfikacji ze sprzyjającymi właściwościami położenia geograficznego - wzgórze i wąwozy w leśnym terenie. Ale pod koniec 1915 r. twierdza była źle przygotowana do ciężkich walk, nie wszystkie umocnienia były ukończone.

Dowódca *Région Fortifiée de Verdun* (ufortyfikowanej strefy Verdun, w skrócie RFV), generał Herr do końca 1915 r. zwracał uwagę dowództwa francuskiego na możliwość ataku niemieckiego w tej części frontu i domagał się przygotowania twierdzy do obrony.

Dowództwo francuskie spodziewało się ofensywy nieprzyjacielskiej w początkach 1916 r. Dane wywiadu mówiły o przygotowaniach w różnych częściach frontu; dopiero około 10 stycznia 1916 r. nabrali Francuzi pewności, że uderzenie pójdzie na wysunięty odcinek Verdun.

Niemcy zręcznie ukrywali punkt natarcia, podejmowali maskujące ataki w różnych stronach. Dowódca armii skierowanej przeciwko Verdun, pruski następca tronu kronprinz Wilhelm, demonstracyjnie wyjechał w podróż inspekcyjną do Górnej Alzacji nad granicę szwajcarską. Tam właśnie w Górnej Alzacji w grupie operacyjnej Gaede poczyniło dowództwo niemieckie jawne przygotowania do ofensywy; chciało wprowadzić w błąd nie tylko przeciwnika, ale i sprzymierzeńców, a nawet i własnych podwładnych. Dopiero „czyjeś nieostrożne - według Falkenhayna - odezwanie się w sferach towarzyskich Berlina” sprawiło, że wiado-

mość o bliskiej ofensywie niemieckiej na północny wschód od Verdun dotarła do posła francuskiego w Kopenhadze, który ważną tę informację natychmiast przekazał do Paryża. „Fakt ten - pisał generał Falkenhayn - dowodzi raz jeszcze, jak bardzo nawet we własnym obozie konieczne jest utrzymanie w najściślejszej tajemnicy zamiarów na przyszłość”.

Niemcy w trudnych warunkach zimowych, w nieprzyjającym terenie pracowali z podziwu godną energią i ofiarnością; budowa dróg, transporty artylerii i amunicji, koncentracja wojska - wszystko to odbywało się w nocy i z rzadką zdolnością kamuflażu. Przez pewien czas nic nie przenikało do Francuzów. Wreszcie wywiad dokonywany przez samoloty stwierdził przygotowania do ofensywy. 11 stycznia 1916 r. generał Herr zawiadomił generała Joffre'a o niezwykłej aktywności przeciwnika. Przybyły na inspekcję generał de Castelnau nakazał natychmiastowe podjęcie robót dokoła umocnienia fortyfikacji. W lutym nadeszły wiadomości od Alzaczyków - zbiegów z armii niemieckiej, a 13 lutego znalazł się w rękach francuskich przejęty od jeńca niemieckiego rozkaz kronprinza uderzenia na Verdun<sup>9</sup>. Niemcy mieli przewagę nad Francuzami - sześć korpusów przeciwko trzem dywizjom i 3 tysiące armat.

Atak wyznaczony pierwotnie na 12 lutego nie doszedł do skutku z powodu złych warunków atmosferycznych. Niemcy uderzyli dopiero 21 lutego 1916 r. o godz. 7 min. 15 rano”. Mroźnego, pięknego dnia zi-

mowego rozpoczął się wielki bój o Verdun i trwał przeszło sześć miesięcy.

Były cztery fazy bitwy najdłuższej w dziejach dotychczasowych wojen:

- ✓ atak na prawym brzegu Mozy od 21 lutego do 4 marca,
- ✓ parcia metodyczne na obu brzegach Mozy od 6 marca do 30 kwietnia,
- ✓ walki na zużycie od 1 maja do 15 czerwca,
- ✓ ostatnie ataki od 20 czerwca do 3 września 1916 roku.

Rozgorzał ogień artyleryjski tak silny, jakiego dotąd żadna ze stron walczących nie zastosowała, *feu d'enfer* (ogień piekielny), jak mówili Francuzi. Już pierwszego dnia ofensywy padło na twierdzę milion pocisków. Po takim „piekielnym” przygotowaniu ruszyła do ataku piechota. 25 lutego gwałtownym uderzeniem zdobyli Niemcy fort Douaumont. Po dziewięciodniowych zaciekłych walkach powiodło się Niemcom dokonać wyłomu głębokości 3 km na froncie szerokim na 10 km. Dowództwo Verdun chciało 24 lutego wycofać wojska na lewy, zachodni brzeg Mozy i tam kontynuować obronę. Nie zezwolił na to Joffre nakazując kategorycznie bronić się na prawym, wschodnim brzegu bez względu na straty. „Każdy dowódca - telegrafował Joffre - który da rozkaz odwrotu, stanie przed sądem wojennym”. 5 lutego komendę w Verdun objął generał Philippe Pétain, spokojny i opanowany, dobry w defensywie. Wysłano posiłki, amunicję, żywność, lekarstwa. Jedyne droga dostępna dla transportu ludzi

i rzeczy była to droga Bar-le-Duc-Verdun, zwana później „Świątą Drogą”, gdzie nie ustawiano w ciężkiej i niebezpiecznej pracy nad usuwaniem skutków bombardowania, tak aby transporty mogły iść bez przerwy. I transporty szły; w ciągu tygodnia od 28 lutego do 6 marca 3900 samochodów ciężarowych przewiozło „Świątą Drogą” 190 tys. żołnierzy i ponad 25 tys. ton zaopatrzenia. Później liczby te wzrosną jeszcze. Wzmocniona obrona sprawiła, że ataki niemieckie chwilowo osłabły. Na większą skalę wznowili je Niemcy 6 marca po dwudniowym przygotowaniu artyleryjskim. Tym razem atak niemiecki poszedł na lewym zachodnim brzegu Mozy pomiędzy Cumières i Avoncourt, gdzie wzgórze 304 i Mort Homme stanowiły kluczowe pozycje francuskie. 8 marca ruszyli Niemcy do ataku i na prawym, wschodnim brzegu Mozy. Ale aż do maja główne walki toczyły się na zachodnim brzegu rzeki.

W ciągu walk o Verdun obie strony wzmagały siłę działania artylerii. Pole bitwy zasłane było ciałami poległych żołnierzy i lejami wyrytymi przez pociski. Nieprzejrzysta była linia frontu, zdarzało się, że całe grupy żołnierzy dostawały się pod ogień własnej artylerii.

Pétain zdołał doprowadzić do wymiany walczących; francuscy „*poilus*” przebywali w „piekle Verdun” od 8 do 20 dni, następnie oddziały frontowe ze stratami wynoszącymi od 25 do 50% wycofywano na tyły i zastępowano nowymi. Dywizje niemieckie pozostawały na froncie dłużej; uzupełniano je w toku walki; powodowało to większe zużycie materiału ludzkiego.

Gdy Pétain został mianowany dowódcą Grupy Armii Centrum (*Groupe d'Armée Centre* - w skrócie GAC), komendę nad twierdzą Verdun objął 1 maja 1916 r. generał Robert Nivelle i zaczął wprowadzać w życie nowe metody walki polegające na bliższym niż dotąd skoordynowaniu ognia artylerii z atakiem piechoty i pełniejszym niż dotąd wyzyskaniu zaskoczenia. Metody te różniły się od stosowanych w tym samym czasie w ofensywie nad Sommą latem 1916 r. Będzie to tzw. szkoła Verdun; na jej zasadach oprze Nivelle wielką ofensywę wiosną 1917 r.

Maj, czerwiec, lipiec 1916 r. to dni krwawych, zaciekłych bojów. W przeciągu 44 dni posunęli się Niemcy o półtora kilometra. Francuzi pod wodzą generała Charlesa Mangina odzyskali 22 maja Douaumont, aby utracić je w dwa dni później, 24 maja. Widownią ciężkich walk był również fort Vaux; w przeciągu stu dni padło nań blisko milion pocisków, 1 czerwca zdołali Niemcy fort otoczyć. Bronił go dzielnie z nadzwyczajną determinacją major Raynal. 5 czerwca sygnałami świetlnymi zawiadomił sąsiedni fort Souville: „Nie słyszemy waszej artylerii. Atakują nas gazami i płynami zapalającymi. Jesteśmy u kresu sił”. Tegoż dnia podjęli Francuzi dwie próby przebicia się przez pierścień sił nieprzyjacielskich. Powiodła się tylko jedna - z 34 żołnierzy 29 dotarło do okopów francuskich. W nocy z 5 na 6 czerwca nowy telegram z wezwaniem o przysłanie żywności i wody. W kilka godzin później krótkie wezwanie: „Pomóżcie zanim padniemy z wyczerpania. Niech żyje Francja”. I wreszcie 7 czerwca nad ranem

ostatnie słowa nie ze wszystkim zrozumiały: „Nie opuszczajcie...” W parę godzin później kapitulacja na honorowych warunkach. Major Raynal, dnia poprzedniego mianowany komandorem Legii Honorowej, przedstawiony wodzowi niemieckiemu, pruskiemu następcy tronu Wilhelmowi, usłyszał z ust jego wyrazy najwyższego uznania.

24 czerwca 1916 r. wojska francuskie i brytyjskie rozpoczęły wielką ofensywę nad Sommą, a to osłabiło siłę niemieckiego naporu pod Verdun. Jeszcze 11 lipca przypuścili Niemcy bez powodzenia atak na Souville i na Froid Terre. 1 sierpnia nowy atak niemiecki pomiędzy Thiaumont i Tavannes załamał się po kilku godzinach i przetworzył w potyczki o charakterze czysto lokalnym. W toku tych bojów generał Charles Mangin zdobył Fleury na drodze do Douaumont. Francuzi atakowali tak zażarcie, że Falkenhayn przypuszczał chwilami, iż Joffre rozpoczął nową ofensywę, aby wesprzeć działania zaczepne nad Sommą.

2 września 1916 r. nowy naczelny wódz niemiecki Hindenburg, w cztery dni po dymisji swego poprzednika Falkenhayna, wydał następujący rozkaz: „Wstrzymać ataki pod Verdun. Na osiągniętej linii należy utworzyć pozycję długotrwałego oporu”.

Dalsze walki dokoła Verdun miały już charakter lokalny. Douaumont odzyskali Francuzi 24 października, fort Vaux 2 listopada 1916 r.

Straszliwa bitwa pod Verdun zakończyła się olbrzymimi stratami po obu stronach i całkowitym niepowodzeniem planu Falkenhayna.

Na niewielką przestrzeń szerokości od 15 do 30 km i głębokości około 10 km padło 21 milionów granatów niemieckich i ponad 15 mln francuskich. Według danych urzędowych, prawdopodobnie zaniżonych, Niemcy stracili w zabitych, rannych, zaginionych, wziętych do niewoli 337 tys. ludzi, Francuzi 362 tys.

Walki o Verdun pogłębiły zmęczenie żołnierza wojną i wzmogły nastroje antywojenne. Zjawisko to wystąpiło silniej chyba wśród Niemców, którym oficerowie zapowiadali, że zdobycie Verdun przyniesie koniec wojny. Ale dało się zauważyć i wśród Francuzów; pośród przyczyn buntów w armii francuskiej wiosną 1917 r. znajduje się niewątpliwie i Verdun.

Angielski historyk wojny tymi słowy ocenia bitwę o Verdun: „W toku całej wojny (pierwszej wojny światowej) nie było bitwy bardziej heroicznej i bardziej w swym przebiegu dramatycznej, bitwy, która by tak żywo przemawiała do narodów. Była to największa ofiara Francji i jej największy triumf, a jego wielkości złożył hołd świat cały”.

Warto pamiętać, że dzięki wprowadzonej przez Pétaina wymianie żołnierzy walczących w walkach o Verdun wzięła udział większa część armii francuskiej. Armia ta liczyła w 1916 r. 330 batalionów piechoty, pod Verdun walczyło 259, gdy tylko 109 batalionów wzięło udział w ofensywie nad Sommą. „Te mało znane liczby mają znaczenie, wykazują bowiem, że dla Francji Verdun było wielkim doświadczeniem, doświadczeniem czysto narodowym, gdyż w walkach tych wzięło udział tylko trzy czy cztery bataliony wojsk

kolonialnych, gdy nad Sommą było ich 18; pod Verdun nie walczyli Anglicy”.

Bitwa o Verdun była to, jak na całym froncie zachodnim od końca 1914 r. do lata 1918 r., wojna pozycyjna, ale walki miały tu cechy swoiste, które pod Verdun wystąpiły silniej niż na innych odcinkach frontu.

Pétain tak pisał o żołnierzu spod Verdun: „Gdy nadeszła chwila ataku szli naprzód pewnym krokiem zdając sobie dobrze sprawę z losu, który ich czekał. Kto ich widział pod Verdun, nie zapomni ich nigdy. Kraj darzył ich bezgraniczną ufnością i wyobrażał ich sobie jako prawdziwych nadludzi, zawsze gotowych do czynów nadzwyczajnych. Obraz, jaki urobiła sobie opinia publiczna (...) skłaniał do zapoznania doli żołnierza i do nie dostrzegania granic jego możliwości, stąd to gorączkowe, niespokojne wyczekiwanie ofensywy wyzwalającej, której godzina jeszcze nie była nadeszła”.

A oto relacja żołnierska: „Pochyleni posuwali się naprzód na kolanach, zygzakami jakby byli pijani, z posepnym wejrzeniem, przytłoczeni rynsztunkiem bojowym, na paskach trzymali karabiny okrwawione i powalane ziemią. Nic nie mówili, nawet nie jęczeli, stracili już chęć do skargi. Gdy ci skazańcy podnosili głowy, widać było w ich oczach ból głęboki. Rezerwiści obok mnie mieli wyraz smutku, jaki towarzyszy pogrzebowi. Słyszałem, jak jeden z nich powiedział: «To już nie jest armia, to są trupy»,,. A oto inny świadek: „Wychodzimy z koszar Bevaux i mijamy oddział wojska, które idzie na front. «Jesteście kompanią z 405 pułku? Jesteśmy pułkiem»”.



Nie mniej straszna relacja niemiecka. „Nie ma grobów, jedynie szczątki grobów i leje po granatach najczęściej wypełnione wodą i trupami. Ociekaliśmy wilgocią. Na całym ciele drżeliśmy z zimna, a musieliśmy tkwić nieruchomo. Gdy się nieco rozwidniło, rozpoczynała się strzelanina. Miny i granaty, mniejsze i większe, wreszcie miny olbrzymie, padały niezawodnie w sam środek naszych pozycji. Kopały ogromne doły, z których długo buchał ogień. Można było oszałeć. W niemym poddaniu się oczekiwaliśmy na kulę, która nam była przeznaczona... Zewsząd wrzaski i jęki, wycia i huki, kał i krew, umarli i umierający”.

Świadectwem tych walk są opodal fortów wielkie cmentarze, gdzie w równych szeregach śpią w swych grobach snem wiecznym żołnierze spod Verdun. Robią głębokie wrażenie. Głębsze jeszcze wrażenie robi kostnica, gdzie kłębią się kości - części szkieletów niezidentyfikowanych poległych. Pomiedzy nimi rzuca się w oczy naga czaszka z dwoma otworami wybitymi przez kule. Czy był to obrońca czy najeźdźca?

Tu pod Verdun w cytadeli podziemnej wybrano zwłoki nieznanego żołnierza, który spoczywa pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu.

## 51. Nad Sommą

Ze źródła niedaleko miasta Saint-Quentin wypływa rzeka Somma. Toczy swe fale przez Pikardię w północno-wschodniej Francji obok Péronne, Amiens, Abbeville i wpada do kanału La Manche w zatoce, której dała imię.

Somma, jej bieg, jej brzegi nie mogły być celem ofensywy; nawet gdyby wojska sprzymierzone posunęły się daleko w jej dorzeczu, nie mogło to przynieść większych korzyści strategicznych, większego pożytku. W grudniu 1915 r. ustalono jednak, że tu pójdzie ofensywa, gdyż tu Francuzi i Anglicy mogli walczyć ramię w ramię.

Tu właśnie rzucili Anglicy wszystkie swe siły, zgromadzone we Francji, tu zdobyli się Francuzi na taki wysiłek, na jaki jeszcze się mogli zdobyć po krwawych walkach dokoła Verdun.

Krainę zalesioną, lekko pagórkowatą pokryli Niemcy, zwłaszcza na północ od Sommy, siecią dobrze ufortyfikowanych linii ochronnych, w lasach wzniesli małe forty i schrony dla ciężkiej artylerii oraz betonowe posterunki karabinów maszynowych.

Uderzenie niemieckie pod Verdun 21 lutego 1916 r. i zwycięstwa austriackie nad Włochami w maju pokrzyżowały plany z Chantilly jednoczesnego uderzenia na wszystkich frontach wszystkimi siłami państw Koalicji.

Według pierwotnych zamysłów z lutego 1916 r. Francuzi mieli atakować siłami 42 dywizji na froncie szerokości 45 km; z końcem kwietnia skutkiem walk w Verdun zmniejszono siły atakujące do 30 dywizji, a szerokość atakowanego frontu do 25 km; wreszcie 22 maja nowa zmiana - 22 dywizje i front szerokości zaledwie 12 km.

Osłabienie ataku francuskiego wysunęło na plan pierwszy Anglików. Walki nad Sommą to „chwała i za-

razem cmentarz armii Kitchenera, tych obywateli--ochotników, którzy odpowiadając na apel roku 1914 utworzyli pierwszą narodową armię Wielkiej Brytanii”.

Zebrały się nad Sommą i poszły do ataku najlepsze siły brytyjskie - ochotnicy angielscy, pułki gwardii, ochotnicy australijscy, nowozelandzcy, kanadyjscy.

Nowy wódz brytyjski, Sir Douglas Haig, zamierzał atakować ku północy, aby opanować bazy niemieckich łodzi podwodnych w Ostendzie i w Zeebrugge, natomiast gen. Joffre chciał uderzenie angielskie skierować bardziej na wschód ku Bapaume. I ten punkt widzenia ostatecznie przeważał.

Cel ofensywy nad Sommą określił Joffre tymi słowami: „... prowadzić walkę długotrwałą (...) zakończyć się miała wyczerpaniem środków, które nieprzyjaciel mógłby nam przeciwstawić”.

A więc jak Falkenhayn pod Verdun chciał „wykrwawić” Francuzów, tak Joffre nad Sommą chciał wyczerpać siły Niemców.

I tu, i tam cel osiągnięto jedynie częściowo.

Ofensywa nad Sommą miała złagodzić ataki niemieckie pod Verdun i nie dopuścić do wysłania wojsk niemieckich z Francji na front wschodni.

Uderzenie poszło na południe od Sommy pomiędzy Chaulnes i Péronne oraz na północ od rzeki ku Bapaume.

Atakujący zrezygnowali z góry z zaskoczenia przeciwnika. Kierujący długim przygotowaniem ofensywy generał Ferdinand Foch uważał, że należy otworzyć na nieprzyjaciela morderczy ogień artyleryjski,

nękać nim długo, prowadzić walkę „na wyczerpanie”. Zadaniem artylerii jest zdobycie terenu, zadaniem piechoty jest zajęcie terenu.

24 czerwca 1916 r. zagrzmiały nad Sommą armaty. Przewaga sprzymierzonych była znaczna - 1348 ciężkich armat, 1655 lekkich przeciwko 246 niemieckim ciężkim i 598 lekkim. Silne lotnictwo brytyjskie mogło dokładnie rozpoznać teren i ukryte zapory. W ciągu siedmiu dni ogień huraganowy - *Trommelfeuer*, jak mówili Niemcy - burzył okopy, rujnował zasieki z drutu kolczastego.

1 lipca 1916 r. gwałtowny atak 100 tys. Francuzów i Brytyjczyków w kierunku Péronne i Bapaume zapoczątkował długie i ciężkie walki, które nazywamy bitwą nad Sommą. Walki te trwały z przerwami do końca listopada 1916 r. Poddano wówczas próbie nową broń - 15 września rzucili Anglicy do akcji czołgi. Była to broń jeszcze nie wypróbowana, jeszcze nie sprawdzona. Pierwsza próba nie wypadła zachęcająco, tylko nieznaczne czołgi dotarły do okopów niemieckich i nie wzbudziły wśród Niemców większej grozy. Na razie nowa broń zawiodła.

Pułkownik Charles Repington, który w pierwszych stadiach walk zwiedzał pole bitwy nad Sommą tak opisuje swe wrażenia: „Gleba gliniasta, a nie twarda kredowa. (...) Okopy, z których wyszli Francuzi do pierwszego ataku, oddalone zaledwie 30 metrów od niemieckiej sieci drutów kolczastych są bardzo szerokie. Okopy Boszów, naprzeciwko wsi, przypominają jamy kolonii królików. (...) Schrony, chociaż ukryte głęboko w

ziemi, nie oparły się na ogół bombardowaniu. Całość powierzchni wygląda jak morze pieniące się bałwanami. We wsi zniszczono wszystkie umocnienia; zaledwie można rozpoznać miejsce, gdzie był kościół. Cóż za obraz spustoszenia i ruiny”.

A jak płynęło żołnierzowi życie nad Sommą? Latem zatrwały mu je wielkie upały, jesienią szarugi i błoto. Wobec nieustannego ognia nie sposób było grzebać poległych; zwłoki leżały pomiędzy okopami i zatrwały powietrze. Bywało, że całymi dniami, także w nocy nie można było dowieźć żołnierzowi na pierwszej linii nawet żywności. A gdy ją wreszcie dostarczono, rozchodzący się dokoła zapach trupi uniemożliwiał jedzenie. Szerzyła się dyzenteria.

„Ze wszystkich rodzajów błota, które dla żołnierza było jednym z najdotkliwszych utrapień- przywołuje te czasy na pamięć major Lorieux - błoto nad Sommą znajduje się we wspomnieniach żołnierskich na pierwszym miejscu. Błoto ciężkie, lepkie, nie takie jak w Woevre, gdzie groziło zatopienie, lecz błoto, z którego się nie wychodziło”.

Walki nad Sommą nazwano pierwszą wielką bitwą materiałową, gdzie według pułkownika Stanisława Arciszewskiego „technika wypowiedziała wojnę strategii”, gdzie „człowiek stał się sługą i ofiarą maszyny”, gdzie „wszelki manewr operacyjny staje się rzeczą przestarzałą, strategia staje się nauką masowego zabijania”.

Rezultatem bitwy nad Sommą miało być: załamanie frontu niemieckiego na szerokości około 40 km,

głębokości około 12 km, opanowanie terytorium około 140 km<sup>2</sup>. W rzeczywistości uderzenie zachwiało frontem niemieckim, ale go nie złamało. A koszt tej operacji? Niemcy utracili w zabitych, rannych, wziętych do niewoli ponad 400 tys. ludzi, Anglicy nieco mniej niż 400 tys., Francuzi około 200 tys.

A bilans bitwy nad Sommą? A jej znaczenie w dziejach pierwszej wojny światowej? Czy długa bitwa nad Sommą była zwycięstwem czy klęską Anglików i Francuzów?

Jeśli brać pod uwagę jedynie liczby - straty w ludziach i zajęty obszar - trudno osądzić, że walki nad Sommą uwieńczyło zwycięstwo Anglików i Francuzów. Ale była to przecież wojna „na wyczerpanie”, chodziło nie o pokonanie ostateczne przeciwnika, lecz o jego osłabienie; taki cel postawił sobie gen. Joffre nad Sommą i cel ten osiągnął. Walki nad Sommą nie zdołały sparaliżować siły bojowej armii niemieckiej, ale niewątpliwie osłabiły czy nawet w pewnym stopniu załamały ducha bojowego żołnierza niemieckiego. Liczne świadectwa stwierdzają, że żołnierz niemiecki po przeżyciach roku 1916 nie był już taki, jakim go widziano w bojach w roku 1914, czy w roku 1915. Czym Verdun było dla żołnierza francuskiego, tym Sommą była dla żołnierza niemieckiego. Francuzi z bólem wspominali „piekło Verdun”, Niemcy „piekło Sommy”. Ale walki nad Sommą nadwyreżyły również postawę bojową żołnierza brytyjskiego. Ochotnik roku 1914, ochotnik roku 1915 górował nad żołnierzem z poboru roku 1917 i 1918.

Wódz francuski uznał, że ofensywa nad Sommą spełniła zadanie - nie tylko osłabiła ataki niemieckie na Verdun, nie tylko nie pozwoliła Niemcom ściągnąć znaczniejszych sił z frontu zachodniego na wschód, ale podkopała siłę armii niemieckiej. „Zima i polityka”, jak się wyraził, nie pozwoliły mu zakończyć zwycięstwem kampanii nad Sommą, musiał w listopadzie 1916 r. przerwać działania zaczepne, ale zamierzał iść w 1917 r. tą samą drogą i na luty planował potężny atak pomiędzy rzekami Sommą i Oise oraz przez Chemin des Dames. Dymisja Joffre'a, którą otrzymał w dniu 28 grudnia 1916 r. nie pozwoliła mu zrealizować tego planu. Jego następca Robert Nivelle wybrał inne drogi.

Koła rządowe Paryża i Londynu uznały wielkie ofiary ludzkie za niewspółmierne do uzyskanych korzyści, „nikłych wyników” według Lloyd George'a.

I rzecz znamienita, we Francji usunięto od dowództwa i ze służby czynnej gen. Joffre'a, przejściowo odsunięto na boczny tor gen. Focha, który nad Sommą dowodził Francuzami, natomiast w Wielkiej Brytanii Sir Douglas Haig otrzymał awans na marszałka polnego.

## 52. Życie w okopach

Wojna pozycyjna, wojna okopowa miała zupełnie inny charakter niż wojna ruchoma, stawiała przed żołnierzem inne zadania, narażała go na inne niebezpieczeństwa. W piosence:

*Im Osten steht das wahre Heer.*

Na wschodzie stoi prawdziwe wojsko, na zachodzie tylko straż ogniowa - śpiewali żołnierze niemieccy na froncie wschodnim.

Było w tej piosence niewątpliwie wiele prawdy. Wojna pozycyjna, wojna okopowa miała zupełnie inny charakter niż wojna ruchoma, stawiała przed żołnierzem inne zadania, narażała go na inne niebezpieczeństwa.

Na froncie zachodnim wojna rozpoczęła się od działań szybkich. Okres mniej więcej czterech pierwszych miesięcy żywo kontrastuje ze statyczną wojną następnych lat bez mała czterech. Podczas tej pierwszej fazy wojny żołnierze wszystkich armii okopywali się niekiedy, ale poczytywano to za chwilową taktykę zgodną z duchem ofensywy; niekiedy nie opuszczało przekonanie o wojnie ruchomej i krótkotrwałej. Choć wojna pozycyjna występowała i podczas wojny secesyjnej w Ameryce 1861–1865 i podczas japońsko-rosyjskiej, to teoretycy wojskowości uważali ją za zjawisko nietypowe, wywołane w warunkach swoistych, które się nie powtórzą.

Warto może przytoczyć słowa Józefa Piłsudskiego na ten temat. „W początkach wojny europejskiej w 1914 r. okop należał wyłącznie do taktyki, do metody, jaką boje prowadzono. Obok karabinu każdy żołnierz niósł w boje łopatkę, jako część nieodłączną swego uzbrojenia. I czy miał się bronić przeciwko nieprzyjacielowi, czy miał iść na niego w natarciu, musiał swej łopatki używać jako środka walki. Więc w gwałtow-



nych ruchach i manewrach, którymi otwarto czteroletnią olbrzymią wojnę, okop używany był wszędzie, czy w natarciu czy w obronie, lecz nigdy jako cel wielkich bojów nie był wyznaczony i do dziedziny strategii, wyznaczającej te cele, nigdy się nie wdzierał. Niekiedy dzięki swej sile, sile obronnej nabierał on znaczenia pozycji, którą to nazwą chrzczono ongiś specjalne skrawki terenu od natury mające wartość obronną; lecz i wtedy był on tylko epizodem olbrzymich zapasów milionowych armii, które aż do końca roku 1914 wyrzec się nie chciały głównego czynnika zwycięstwa - ruchu. Dopiero w następnym roku na polach Francji i Belgii obaj przeciwnicy stanęli w bezruchu i bezwładni, zatrzymani naprzeciw siebie długą, nieprzerwaną linią okopów. Okop wtedy jako nieprzewyciężona zagroda niszcząc główny czynnik dotychczasowy - manewr i ruch wdarł się zwycięsko z dziedziny taktyki do strategii”.

Okopy francuskie, belgijskie, angielskie z jednej strony, okopy niemieckie z drugiej ciągnęły się od wybrzeży belgijskich aż do granicy szwajcarskiej. Przed okopem rozciągała się sieć drutu kolczastego. Można go było zakładać tylko nocą lub w dni bardzo mgliste. Były zasadniczo trzy linie okopów; budowano je w ziemi, niekiedy jak w podmokłej Flandrii nad ziemią, niekiedy łączono oba te systemy. Okop był głęboki, o ścianach prostych, umocnionych w sposób odpowiadający właściwościom terenu, czy grunt był skalisty, piaszczysty, gliniasty, czy też była to podmokła Flandria. Poszczególne linie okopów łączyły rowy łączni-

kowe. Tędy szło zaopatrzenie w amunicję, żywność, lekarstwa, tędy wnoszono rannych, tędy szła wymiana żołnierza. Zmęczeni szli na tyły, ich miejsce zajmowali świeżo powołani do szeregów lub wypoczęci.

Zluzować żołnierza! - Francuzi nazywają to *la relève*. A oto jak luzowanie wspomina żołnierz lat 1914–1918. „Tego wieczoru zluzowanie. Być zluzowanym to porzucić na dni kilka strefę śmierci, mieć prawo chodzenia po drogach i patrzenia na domy. Zluzowanie bywa ciężkie, czasem komplikuje je niespodziewane ostrzeliwanie, niekiedy przewodnik błądzi w poszukiwaniu drogi, oddział gubi się po nocy; nie szkodzi, piechur nie narzeka zbytnio na zbędne marsze, deszcz chłosta go po twarzy, miota nim wichur, ale z dala widzi rozkoszny wypoczynek w stodole, grę i pijatykę”.

Angielski pułkownik Charles Repington relacjonuje: „Odwiedziliśmy okopy 4 Armii (francuskiej). (...) Długi spacer przez las i rowy aż do jakiejś zrujnowanej fermy, gdyśmy przeszli 4 czy 5 pozycji, osiągnęliśmy pierwszą linię, zwaną linią 1 bis lub linią oporu. Dalej jest prawdziwa pierwsza linia, rodzaj straży przedniej; zajmuje ją niewielu żołnierzy z kilkoma karabinami maszynowymi; ich zadanie powstrzymać na chwilę rozpęd nieprzyjaciela i sygnalizować ofensywę”.

Wojnę okopową trafnie scharakteryzował Polak Józef Iwicki, wcielony w 1914 r. z poboru do armii niemieckiej i walczący na froncie zachodnim.

„Urządziłem się tu - pisał pod Woumen we Flandrii 3 grudnia 1914 r. - na leże zimowe. W gazetach zawsze czytać można «*günstige Lage*» albo «*günstiger*

*Fortgang*». Faktem jest, że u nas tu, gdzie ja stoję, ani mowy nie ma o stanowczym postępie. Przeciwnie, wszelkie oznaki wykazują, że Niemcy się tu z dłuższym pobytom liczą. (...) Nic też nie wskazuje na to, żeby Francuzi byli osłabieni, przeciwnie, granaty ich i szrapnele padają tu gęściej niż dawniej, toteż owo «*günstige Lage*» i «*Fortschritte*» niektórych wprost irytuje. Rzecz w tym, że przy obecnych fortyfikacjach ziemnych i straszliwej broni szturm jest zupełnie prawie bez widoków powodzenia. Obecnie obie armie tak się ufortyfikowały, że jedna drugiej za pomocą swej dalekosiężnej broni tylko straty wyrządza, lecz nie są w stanie wyprzeć się ze swych stanowisk. Wojnę na swoją korzyść rozstrzygnie ten, kto będzie miał wytrzymalszą i przede wszystkim liczniejszą armię». I trafna uwaga Iwickiego: „Wojna nowoczesna wymaga od żołnierza mniej może odwagi jak cierpliwości i wytrwałości, co jest o wiele trudniejsze”.

A teraz, jakie było życie żołnierzy w okopach?

Z wielu relacji wynika, że żołnierz w okopach bardziej niż nieprzyjacielskiej kuli bał się wszy i szczurów. Żołnierze w pierwszych liniach często przez wiele dni nie mogli zdejmować munduru, a tym bardziej bielizny. Niesłychaną udręką były błoto, brud, odór odchodów i rozkładających się ciał, plaga wszy. Żołnierze francuscy z nieopuszczającym ich humorem mawiali, że gryzące ich wszy dostawały „żelazne krzyże” (niemiecki order wojskowy) za zasługi dla Niemiec. Ohydny i groźnym wrogiem były też szczury. Jeden z żołnierzy francuskich opowiada: „Panami są szczury

w niezliczonej ilości. Setkami rozmnażają się w ruinach każdego domu, w schronach. (...) Straszne są noce: całkowicie okryty kołdrą i płaszczem czuję mimo to te plugawe bestie, jak grasują po moim ciele. Czasami wypada po 15, 20 szczurów na każdego z nas; gdy zjedzą chleb, masło, czekoladę dobierają się do naszych ubrań. Nie sposób spać w takich warunkach. Każdej nocy po sto razy walczę z nimi poprzez kołdrę: zapalam nagle lampkę elektryczną; ale odstrasza je to na krótko tylko, wracają natychmiast w większej liczbie”.

Zwycięską walkę ze szczurami w okopach francuskich podjął uczony polski Jan Kazimierz Danysz, dzięki czemu złagodził nieco cierpienia francuskiego żołnierza w okopach.

A myśli i pragnienia żołnierza niemieckiego? „Móc się raz wreszcie oczyścić. Napisać list na paru zbitych gwoździami deskach. Raz wreszcie zdjąć kurtkę i spodnie i owinąć się odwieszonym kocem. Raz wreszcie gruntownie oczyścić buty i wyszczotkować płaszcz. Raz wreszcie usiąść wieczorem na ławie przed barakiem, palić fajkę i patrzeć na północ na nizinę”.

W warunkach frontowych niepoślednią rolę grało umundurowanie żołnierza. Lepsza lub gorsza widoczność munduru wpływała na większą lub mniejszą skuteczność ognia nieprzyjacielskiego, a zatem na większe lub mniejsze straty w szeregach.

Niemcy ruszyli na wojnę w sierpniu 1914 r. nieźle pod tym względem przygotowani. Mundur *feldgrau* (szarozielony) był wystarczająco ochronny. Niemcy również najwcześniej spośród walczących dali żołnie-

rzowi ochronę głowy. *Pikelhaube*, kask ze skóry z metalowym szpikulcem, już na początku wojny zastąpili kaskiem z blachy stalowej. Kask taki chronił głowę przed szrapnelami, a także przed rykoszetami kul karabinowych. Austriacy walczyli w mundurach szarobłękitnych. Anglicy walczyli w mundurach koloru *khaki*, wprowadzonych podczas wojny z Burami. Mundur rosyjski był ciemnożółty koloru dojrzałego zboża. Francuzi natomiast rozpoczęli działania wojenne w tradycyjnych kurtkach granatowych i czerwonych spodniach, stanowiących doskonały cel dla wszelkiego rodzaju pocisków. Dopiero z początkiem 1915 r. żołnierz francuski otrzymał mundur barwy ochronnej *bleu-horizon* - niebieski (próby robiono w Alpach i w Wogezach). Na głowach nosili Francuzi początkowo podkepi - metalową jarmułkę, która służyła również za menażkę. Dopiero w kwietniu 1915 r. dostali metalowe kaski. Krążyło we Francji opowiadanie, że już w listopadzie 1914 r. wpłynął na ręce gen. Joffre'a wniosek o zaopatrzenie żołnierzy w kaski metalowe. Generał miał wówczas odpowiedzieć: „Nie będzie czasu na ich wyrób, gdyż pokonamy Boshów przed upływem dwóch miesięcy”.

W życiu żołnierza niemałą rolę odgrywała piosenka. Powstawały piosenki spontanicznie, samorzutnie, układane przez nieznanymi autorów, lub też tworzyli je kompozytorzy odpowiednio przygotowani. Powstawały i ginęły w zapomnieniu bądź też zdobywały sławę i rozgłos, śpiewane przez wielu żołnierzy na wielu

frontach. Opiewały dolę żołnierską, opiewały miłość do dalekiej dziewczyny.

W okopach niemieckich w rzadkich i krótkich chwilach wytchnienia rozbrzmiewały smutne sentymentalne strofy:

*Und schiesst mich eine Kugel tot,  
Kann ich nicht heimwärts wandern,  
So wein dir nicht die Änglein rot,  
Und nimm dir einen andern.*

A po przeciwnej stronie frontu Anglicy w tęsknych słowach zwracali się do „słodkiej dziewczyny”.

*It's a long way to Tipperary  
It's a long way to go  
It's a long way to Tipperary  
To the sweetest girl I know  
Goodby Piccadilly  
Farewell Leicester Square  
It's a long way to Tipperary  
But my heart's tight there.*

Ale największą sławą cieszyła się piosenka francuska „„Madelon”” - „siostrzyczka Marsylianki”, jak ją zwano. A powstała w takich okolicznościach. W początkach 1914 r. śpiewak estradowy Bach zwierzał się znajomym, że pragnąłby śpiewać publiczności wesołą piosenkę żołnierską, gdzie „byłoby wino i byłaby miłość”. Posłyszawszy te zwierzenia kompozytor Camille Robert skomponował piosenkę o szynkareczce „„Madelon””. Publiczności paryskiej piosenka się nie spo-

dobała, kompozytora i śpiewaka spotkał zawód. Po wybuchu wojny natomiast wesołe strofy „„Madelon”” zdobyły wielką popularność wśród żołnierzy. Śpiewak Bach, zmobilizowany w sierpniu, wyjechał na front, ale nie na długo; generał Gallieni wycofał go z czynnej służby, kazał mu jeździć po terenach przyfrontowych i śpiewać żołnierzom „„Madelon””. Wkrótce „„Madelon”” śpiewała już cała Francja. Kompozytor Camille Robert opowiadał z zadowoleniem, że słyszał jak ją śpiewają „z uroczą deformacją” czarni Senegalczycy. A oto najbardziej znane strofy „Madelon”:

*Quand Madelon vient nous servir à boire,  
Sous la tonnelle, on frôle son jupon.  
Et chacun lui raconte une histoire,  
Une histoire à sa façon.  
La „Madelon” pour nous n’est pas sévère,  
Quand on lui prend la taille ou le menton  
Elle rit. C’est tout Tmal qu’elle sail faire,  
Madelon, Madelon, Madelon.*

Piosenka żołnierska była ogromnie popularna i w polskich Legionach. Z piosenką na ustach szli w bój legionieści:

*Jedzie, jedzie na Kasztance,  
Siwy strzelca strój...*

Ostatnią czwartą zwrotkę znanej piosenki „Przybyli ułani pod okienko” brzmiącą:

*...a dokąd Bóg prowadzi?*

*Warszawę odwiedzić byśmy radzi*

uzupełnili żołnierze Polskich Sił Zbrojnych słowami:

*A potem do Berlina, do Berlina  
Powiesić Wilusia takiego syna!*

Żołnierza francuskiego, śpiewającego „Madelon”, nazywano we Francji - *poilu*. Dosłownie znaczy to kosmaty, owłosiony, a owłosienie to - jak wiadomo - symbol męskości; w przenośni zaś to - zuch, chłopak dziarski. Zaczęto tak nazywać żołnierzy na parę lat przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Dziś wyraz ten oznacza żołnierza lat 1914–1918. Zwykło się mówić żołnierze roku II, *poilus* roku 14.

Z życiem na froncie wiąże się termin wymyślony przez żołnierzy niemieckich na froncie wschodnim, ale mający zastosowanie i na innych frontach.

Termin ten to *Heimatsschuss* - „Strzał ojczyzniany” to rana tak lekka, że nie zagrażała życiu ani zdrowiu ранego, ale zarazem tak dotkliwa, że wymagała wywiezienia do szpitala w kraju.

### **53. Anglicy we Francji**

Pierwsze cztery dywizje brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego wylądowały we Francji w dniach od 9 do 17 sierpnia 1914 r. i przemaszerowały z Hawru do swych punktów koncentracyjnych pomiędzy Le Câteau i Maubeuge.



Przejazd wojsk brytyjskich przez kanał La Manche odbył się z zachowaniem wszelkiej ostrożności i w ścisłej tajemnicy; wydał chlubne świadectwo angielskiej organizacji transportu i pracy kontrwywiadu. Zdziwiał natomiast lekkomyślność wywiadu niemieckiego; toż Niemcy dowiedzieli się o obecności wojsk brytyjskich na kontynencie dopiero wtedy, gdy weszli z nimi w kontakt bojowy. Co więcej, Moltke odrzucił nawet projekt, aby flota niemiecka podjęła próbę niedopuszczenia wojsk brytyjskich do Francji. Znamienne to świadectwo tradycyjnego z czasów jeszcze bismarckowskich lekceważenia sił militarnych Wielkiej Brytanii.

Wojska brytyjskie wzięły od razu udział w bojach i przyczyniły się do zwycięstwa nad Marną, zagroziły bowiem prawemu skrzydłu armii niemieckiej.

Była wprawdzie chwila, gdy wódz angielski Sir John French zwątpił w dowództwo francuskie i w powodzenie Francuzów i chciał się cofnąć za Sekwanę, lecz w nocy z 31 sierpnia na 1 września stanął w kwatery głównej brytyjskiej Lord Kitchener i zażądał utrzymania łączności z armią francuską.

Boje toczono przez Francuzów i Anglików w sierpniu i we wrześniu, następnie w październiku i listopadzie w „wyścigu ku morzu” zapoczątkowały długie, przeszło czteroletnie, współdziałanie sprzymierzeńców. Nie było to współdziałanie łatwe, nie było to współdziałanie bez zgrzytów, ale ostatecznie przyniosło zwycięstwo. Tarcia te miały wiele przyczyn, m.in. różnice temperamentu pomiędzy żołnierzem francuskim

i angielskim, różnice poglądów generalicji francuskiej i angielskiej na prowadzenie wojny, trudności w uzgodnieniu planu działania, gdy nie było wspólnego dowództwa, ambicje narodowe i ambicje osobiste. „W żadnym wypadku nie zostanie Pan oddany pod rozkazy sojuszniczego generała” - zapewnił Kitchener generała Frencha zaraz w pierwszych dniach wojny.

Interesujące są uwagi brytyjskiego generała Edwarda L. Spearsa o postawie żołnierza francuskiego i brytyjskiego w walkach toczonych przeciwko Niemcom na ziemi francuskiej.

Francuz był zuchwały, całą swą istotą związany z ziemią, którą kochał i której bronił całą swoją mocą „przed wrogiem dziedzicznym”. „Była to - zdaniem generała - walka wieków, nowy zryw przed odwiecznym parciem ludów germańskich na zachód”.

Zupełnie inne były odczucia Anglików. Dla Anglika wojna z Niemcami była szaleństwem, ale zarazem zjawiskiem przejściowym, naród niemiecki nagle stracił głowę, trzeba mu dać nauczkę, a później się zobaczy; w każdym razie Niemcy nie byli dla Anglików wrogiem dziedzicznym.

Generał wyjaśnia subtelnie, finezyjnie, ale przekonująco, że Anglicy nie walczyli tu z Niemcami, walczyliby tak z każdym, kto w danej chwili działałby tak, jak wówczas działali Niemcy. W przeszłości w taki sposób, w sposób nie do przyjęcia, postępowali Francuzi, teraz tak postępują Niemcy. Anglicy sądzili, że trzeba pokroić naród, który dąży do panowania nad Europą. Do Niemców żywili wówczas Anglicy odrazę, jaką się

czuje do złego gracza, ale nie była to nienawiść, jaką Niemcy budzili u Francuzów. Francuzi widzieli przed sobą jedno tylko - Francję „kraj jedyny, doskonały pod każdym względem”.

Anglicy - wywodził dalej generał - nie rozumieli, że dla Niemców znacznie większym zyskiem było pobicie Wielkiej Brytanii niż zdobycie Francji. Nie rozumieli, że Francja była dla Niemców tylko przeszkodą na drodze do rzeczywistego celu. Nęcił Niemców brytyjski handel, brytyjskie kolonie, a przede wszystkim kusilo ich stanowisko, jakie Wielka Brytania zajmowała w świecie. „Cóż mogła dać nowa Alzacja i Lotaryngia? Nowa aneksja niezłomnych Polaków? Dlaczego nie zrozumieliśmy tego nigdy? Prawdopodobnie dlatego, że myśl taka wydawała nam się niedorzeczna”.

Silna była w przeszłości rywalizacja pomiędzy Francuzami i Anglikami, przeszłość rzutowała na teraźniejszość i często zniekształcała sąd o rzeczy. „Można by powiedzieć - pisał generał - że Francuzi cieszyli się z pomocy Anglików, ale nie mogli zapomnieć, jak trudno było swego czasu wyprzeć ich z Francji. Anglicy zaś nadal poczytywali swego (francuskiego) sąsiada za wroga” w ciągu stuleci. Anglik, gdy spoglądał na Francuza, dziękował Niebiosom, że jest Anglikiem. Gdy Francuz patrzył na Anglika, błogosławił Opatrzność za to, że jego ojczyzna to piękna i słodka Francja. Zawsze w dumę wbijała Francuzów francuska inteligencja i kultura francuska. Anglik nigdy nie tracił pewności siebie, gdyż dogmatem jego było

zawsze przeświadczenie o wyższości narodu angielskiego nad cudzoziemcami”.

Uzupełnieniem rozważań generała Spearsa są uwagi innego Anglika, korespondenta wojennego dziennika „Times” pułkownika Charlesa Repingtona. Pułkownik obracał się na frontach pierwszej wojny światowej, przebywał długo we Francji i pozostawał w bliskich stosunkach z wieloma Francuzami, obserwował, w jaki sposób porozumiewali się ze sobą generałowie francuscy i brytyjscy. Pośród brytyjskich wyższych wojskowych i polityków na kierowniczych stanowiskach nie było nikogo, kto władał francuskim i mógł w tym języku zabierać głos na wspólnych konferencjach międzysojuszniczych. Podobnie było i u Francuzów, spośród dygnitarzy francuskich jedynie Clemenceau prowadził dyskusję po angielsku. Niedogodność ta utrudniała współpracę. Inaczej młodzi oficerowie obu armii, wielu z nich znało język sprzymierzeńców. Rzecz natomiast zadziwiająca, prości żołnierze, którzy w początkach wojny nie umieli ani słowa po francusku, a w końcu wojny niewiele więcej, doskonale radzili sobie w kontaktach z ludnością francuską, zwłaszcza z młodymi dziewczętami, chociaż nie znały one angielskiego. „Taka sytuacja wydaje się dziwna - pisze Repington - ale nie brak jej wdzięku”.

Tam, gdzie nie było trudności językowych, występowały nie mniejsze trudności wzajemnego zrozumienia się wynikające z odmiennej mentalności. Repington przytacza relację z rozmowy, jaką jesienią 1914 r. odbył z późniejszym marszałkiem Fochem. Foch pokazał

mu mapę Europy i „naturalnym tonem” zapytał, którą jej część upatrzyli sobie Anglicy. Zapewnienia Repingtona, że Anglicy nie myślą o żadnych aneksjach w Europie, Foch przyjmował ze sceptycznym uśmiechem. Wówczas Anglik zapytał Francuza, czy wie, kto był prawdziwym twórcą imperium brytyjskiego. Foch wymienił kilka nazwisk, lecz za każdym razem spotkał się z gestem zaprzeczenia. Zniecierpliwiony prosił o podanie nazwiska prawdziwego twórcy imperium. Joanna d’Arc - brzmiała odpowiedź Anglika. Gdy Joanna d’Arc wyparła Anglików z Francji, runęły angielskie widoki na hegemonię na kontynencie, Anglicy zwrócili się ku morzu i tak powstało brytyjskie imperium oceaniczne.

Trudności językowe próbowano zmniejszać lub pokonywać przydzielając do jednostek wojskowych brytyjskich we Francji tłumaczy władających dobrze językiem angielskim.

Jednym z takich tłumaczy był André Maurois, pisarz, znawca języka angielskiego, angielskiej kultury i literatury, znawca dziejów Anglii. Owocem jego przeżyć z tego czasu i doświadczeń jest piękna książka o „*Milczeniach pułkownika Bramble i mowach doktora O’Grady*”. Jest to powieść oparta na materiale autobiograficznym; treścią jej jest życie oficera francuskiego, przebywającego w charakterze tłumacza w dowództwie brygady szkockiej walczącej we Flandrii, i jego rozmowy z oficerami angielskimi. Nie od rzeczy będzie przytoczyć tu dwa fragmenty książki Maurois, są to

wrażenia inteligentnego Francuza z jego rozmów z angielskimi towarzyszami broni.

„Jesteśmy dziwnym narodem - powiedział major Parker. Aby zainteresować Francuza meczem bokserkim, trzeba mu powiedzieć, że w grę wchodzi jego honor narodowy. Aby Anglika zainteresować wojną, trzeba mu zasugerować, że przypomina ona mecz bokserki. Powiedzcie nam, że Hun (tj. Niemiec) jest barbarzyńcą, grzecznie przytakniemy, ale powiedzcie nam, że jest złym sportowcem, a wzburzycie całe imperium brytyjskie”. Major Parker tymi słowy rozwijał dalej swój ulubiony temat: „Największą przysługą, jaką nam oddały sporty, jest to, że ustrzegły nas przed kulturą intelektualną. Szczęściem czas nie pozwala, aby móc wszystko robić: golf i tenis wykluczają lekturę. Jesteśmy głupi... - Majorze, cóż za kokieteria? - przerwał Aurelle - Jesteśmy głupi! - powtórzył energicznie major Parker, który nie znosił, aby mu przeczono — i w tym nasza wielka siła. Gdy znajdziemy się w niebezpieczeństwie, nie spostrzegamy tego, ponieważ nie myślimy, a to sprawia, że zachowujemy spokój i prawie zawsze wychodzimy z honorem. - Zawsze! Poprawił krótko pułkownik Bramble”.

Wysłuchawszy tych słów oficer francuski „zrozumiał jaśniej niż zwykle, że wojna zakończy się pomyślnie”.

Charakterystyce wojskowych angielskich i ich mniemaniu o sobie posłużyć może następująca historia: w roku 1916 czy 1917 właścicielka zamku, w którym zakwaterował się sztab dywizji angielskiej, sędziwa

arystokratka francuska, zapytała generała angielskiego: „Kiedy wreszcie skończy się ta wojna? Pani Margrabi- no - brzmiała odpowiedź Anglika - mogę Pani odpo- wiedzieć z dokładnością do jednego dnia. Wojna skoń- czy się w dniu, w którym Anglia odniesie zwycięstwo”.

## 54. Na Bliskim Wschodzie

Ledwie Turcja uszła niebezpieczeństwa w Darda- nelach, gdy zawisła nad nią groźba od północy, od Kaukazu.

Rosjanie ubiegli przewidywany atak turecki i już jesienią 1915 r. podjęli przygotowania do ofensywy na Kaukazie i przygotowali ją dobrze. Żołnierzy zaopa- trzono w namioty syberyjskie, ubrano w białą odzież i rzucono do walki wśród srogich zamieci śnieżnych.

Ofensywa rosyjska ruszyła 14 stycznia 1916 r., w dniu, w którym Cerkiew prawosławna obchodziła Nowy Rok, i przyniosła od razu znaczne sukcesy. 14 lutego Rosjanie wkroczyli do Erzurum, 18 kwietnia za- jęli ważny port czarnomorski Trabzon (starożytny Tra- pezunt). Ogółem posunęły się wojska rosyjskie prze- szło 200 km na zachód i południowy zachód i dotarły do jeziora Wan. Zażarte walki trwały do września 1916 r. Poważne były klęski tureckie, Rosjanom wszakże nie powiódł się plan marszu na południe do Mezopotamii, gdzie chcieli podać rękę walczącym tam Anglikom.

A pomoc przydałaby się Anglikom militarnie, choć nie byłaby pożądana z punktu widzenia politycznego.

Anglicy brali pod uwagę możliwość nowych ata- ków tureckich na Kanał Sueski i na Egipt; liczyli się też

w pewnej mierze z próbami niemiecko–tureckimi zagrożenia Indii. A i pola naftowe nad Zatoką Perską miały już niepoślednie znaczenie. Należało więc stanąć tam mocną stopą.

Pierwszym krokiem na tej drodze było zajęcie 21 listopada 1914 r. miasta Basra nad rzeką Szatt Al–Arab. Wkrótce Anglicy uznali za rzecz pożyteczną rozszerzenie punktu oparcia. Zadanie to powierzono wojskom indyjskim. Na ich czele stał generał Charles Townshend. Townshend posuwał się ku północy wzdłuż Tygrysu i był już około 50 km od Bagdadu, gdy w pobliżu ruin starożytnego Ktezyfonu zastąpiły mu drogę znaczne siły tureckie. 22 listopada 1915 r. rozgorzała bitwa, w wyniku przegranej Townshend cofnął się do Kut Al–Amara (obecnie Al–Kut) i tu czekał na posiłki, lecz w początku grudnia 1915 r. Turcy pod dowództwem sędziwego niemieckiego feldmarszałka Colmara von der Goltza paszy otoczyli Kut Al–Amara i rozpoczęli oblężenie. Załoga, około 3 tys. Anglików i 12 tys. Hindusów, znalazła się w trudnym położeniu; dokuczały jej braki zaopatrzenia. Wiedzieli o tym Turcy z przejmowanych depeusz radiowych i byli pewni wygranej. Nie dożył jej von der Goltz, nabawił się tyfusu i po kilkudniowej chorobie zmarł 19 kwietnia 1916 r. Komendę objął młody turecki generał Halil Paşa. Anglicy próbowali znaleźć wyjście z trudnej militarnie sytuacji nie wojennym, lecz pieniężnym sposobem - ofiarowali dowództwu nieprzyjacielskiemu milion funtów; spotkali się z odmową. 29 kwietnia 1916 r. generał Townshend po wyczerpaniu środków obrony kapitulował. Przeszło



13 tys. ludzi poszło do niewoli; szeregowcom kazano pracować przy budowie kolei w Azji Mniejszej, oficerów internowano, generała Townshenda traktowano z wyszukaną uprzejmością; oddano mu do dyspozycji willę na jednej z Wysp Książęcych i mały parostatek.

Generał Townshend odegra niemałą rolę, gdy Turcy w 1918 r. starać się będą o nawiązanie rokowań rozejmowych z Anglikami.

Zwycięstwo tureckie pod Kut Al-Amara rozległo się głośnym echem na Bliskim Wschodzie, a nawet i w Europie; był to zresztą sukces raczej prestiżowy niż realny.

Traf zrządził, że właśnie w dniach, gdy fortuna uśmiechnęła się do Turków i dała im zwycięstwo nad Anglikami, rządy Wielkiej Brytanii i Francji zajęły się dzieleniem skóry na niedźwiedziu i porozumiały się co do podziału Turcji.

Gdy Turcja opowiedziała się po stronie Niemiec, w Londynie dojrzała myśl, że obrona integralności imperium Osmanów przestała być nakazem polityki brytyjskiej na Bliskim Wschodzie. Wyrazem tej zmiany była zgoda na oddanie Rosji Konstantynopola; w zamian - jak wiemy - Rosja dać miała Wielkiej Brytanii wolną rękę w Arabii i w tzw. neutralnej strefie w Persji. Anglicy zwrócili więc uwagę na Arabię, na ruchy narodowe arabskie. W październiku 1914 r. Kitchener w piśmie do wielkiego szarifa Mekki Husajna ibn Alego rzucił myśl utworzenia niepodległego państwa Al-Hidżazu, co więcej, zachęcał wielkiego szarifa Mekki do objęcia godności kalifa, zwierzchnika religijnego

muzułmanów. W grudniu 1915 r. Husajn otrzymał obietnicę, że Wielka Brytania nie zawrze pokoju, który by nie przyniósł uwolnienia Arabów spod panowania tureckiego. Odzywały się wprawdzie w Londynie głosy, że państwo arabskie to „sen fantastyczny”, że gdy Arabowie uzyskają niepodległość, utworzą liczne walczące ze sobą państewka, ale razem zebrawszy Wielka Brytania postawiła na kartę arabską.

Szło teraz o porozumienie ze sprzymierzeńcami co do podziału spodziewanych nabytków. W grę nie wchodziła już Rosja, której obiecano Konstantynopol i część Armenii, ale występował sprzymierzeniec francuski.

Zainteresowanie Francji Bliskim Wschodem sięga czasów wojen krzyżowych, od wieku XVI rozporządzała tam Francja znacznymi wpływami, protektorat nad chrześcijanami w imperium Osmanów dawał jej silną pozycję. Aspiracje francuskie zmierzały ku Syrii.

Były jeszcze Włochy, którym traktat londyński z 26 kwietnia 1915 r. obiecywał wyspy Dodekanez, a nadto port i prowincję Adalię (Antalyę) w Azji Mniejszej. Pretensje włoskie można było zostawić na uboczu, zwłaszcza wobec militarnych niepowodzeń Włochów, z Francją wszakże należało się liczyć.

Rokowania francusko–brytyjskie rozpoczęły się w październiku 1915 r.; prowadzili je młody parlamentarzysta brytyjski Sir Mark Sykes, dobrze w sprawach Bliskiego Wschodu zorientowany, i dyplomata francuski, ekspert spraw wschodnich na *Quai d'Orsay*, Georges François Picot. Rzecznicy pracowali do po-

czątku 1916 r. Owoc ich rokowań przybrał postać porozumienia dwustronnego; rząd brytyjski zatwierdził porozumienie w dniu 4 lutego, rząd francuski w dniu 8 lutego 1916 r. Porozumienie głosiło, że Wielka Brytania obejmie swymi wpływami terytoria od wschodnich granic Egiptu do zachodnich granic Persji, a więc późniejsza Transjordanię, południową Palestynę i większą część ówczesnej Mezopotamii tj. dzisiejszego Iraku z miastami Bagdad i Basra. Francji przypaść miały ziemie pomiędzy Morzem Śródziemnym a północną granicą Persji, a więc Syria z Libanem, Cylicja z północną częścią Iraku. Palestyna pomiędzy Morzem Śródziemnym a Jordanem miała pozostawać pod kontrolą międzynarodową, tzn. miała stanowić kondominium francusko–brytyjskie. Porozumienie to od nazwisk negocjatorów zwano układem Sykes–Picot.

8 marca 1916 r. tekst układu znalazł się na biurku rosyjskiego ministra spraw zagranicznych. Po kilkudniowym namyśle, 17 marca 1916 r., Sazonow przystał na plany zachodnich sprzymierzeńców, w zamian wszakże domagał się zgody Paryża i Londynu na zabór przez Rosję Armenii wraz z portem Trabzon, żądał następnie starannego wytyczenia granicy pomiędzy Armenią, która miała przypaść Rosji, a strefą francuską w Turcji. Sprawę tę ustaliła w dniu 26 kwietnia 1916 r. francusko–rosyjska wymiana not. W maju 1916 r. Wielka Brytania uznała porozumienie francusko–rosyjskie, a Rosja francusko–brytyjskie. Układ trójstronny zastąpił dotychczasowy układ dwustronny.

Rzecz znamienna, Mosul w rękach francuskich miał stanowić przegrodę pomiędzy posiadłościami brytyjskimi i rosyjskimi.

Był to plan rozbioru imperium osmańskiego, miało ono być skurczone do obszaru Anatolii i musiałyby niewątpliwie zostać „faktycznym protektoratem rosyjskim”, skurczone do obszaru Anatolii i to nie całej, gdyż układem z Saint–Jean–de–Maurienne 18 kwietnia 1917 r. Francja i Wielka Brytania obiecały Włochom Adalię i İzmir (Smyrnę), czyli południową część Anatolii; było to podczas tajnych rokowań z Austriakami i rządy francuski i brytyjski spodziewały się skłonić w ten sposób Włochy do zgody na pokój odrębny z Austro–Węgrami.

A w tym czasie, gdy Francja, Wielka Brytania, Rosja dzieliły pomiędzy siebie przyszłe tureckie łupy, jak rysowała się przyszłość Turcji w oczach wytrawnego znawcy Wschodu wywodzącego się z przeciwnego obozu?

Rysowała się smętnie, mroczno, niewesoło. Długoletni c. i k. ambasador przy Wysokiej Porcie margrabia Pallavicini przewidywał z końcem 1916 r. i w 1917 r., że wojna zakończy się kompromisem, a koszta kompromisu płacić będzie Turcja. W styczniowej odpowiedzi Koalicji na propozycje pokojowe Państw Centralnych z 12 grudnia 1916 r. wyczytał, że Turcja to „jedna z głównych, jeśli nie najważniejsza część programu naszych wrogów”. Stwierdzał rozkład Turcji, utratę krajów arabskich, Armenii, widział już Rosjan w Konstantynopolu, mniemał - a to w ostatnich miesiącach istnie-

nia caratu, że porozumienie z Rosją można osiągnąć świadcząc jej ustępstwa w Cieśninach. Przykra była dla ambasadora droga do uzyskania pokoju kosztem Turcji, która tyle usług oddała Państwu Centralnym, ale znajdował ulgę w myśli, że Turcy rozumieją, iż utracili już terytoria zajęte przez wojska państw Koalicji i, że narodowe państwo tureckie w Anatolii, związane z Państwami Centralnymi, ma widoki rozwoju.

W każdym razie - według obserwacji ambasadora - Turcy widzą, że wojna toczy się o egzystencję ich państwa.

A więc po obu stronach przewidywano skurczenie imperium Osmanów do rozmiarów państwa narodowego tureckiego w Anatolii.

Pesymistyczne przewidywania co do losów imperium osmańskiego były więc na ogół zgodne ze stron obu, ale Turcja nadal odgrywała w wojnie rolę niemałą, i od biegu wypadków na Bliskim Wschodzie zależało wiele.

W 1917 r. sytuacja w Rosji sprawiła, że Turcy uważali, iż nie zagraża im niebezpieczeństwo od północy, groźba natomiast wisiała od południa.

I to groźba poważna. Chociaż wpływowe głosy w brytyjskim kierownictwie politycznym i wojskowym wskazywały, że najważniejszy teren walki to Europa, to Francja, że na froncie zachodnim rozstrzygnie się los wojny, to jednak Wielka Brytania nie mogła nie doceniać Bliskiego Wschodu. Zagrożenie Kanału Sueskiego to zagrożenie drogi do Indii, to zagrożenie łączności imperium brytyjskiego. A Mezopotamia? Tu wchodziły

w grę doniosłe już wówczas interesy naftowe. Rozumieli je Anglicy, rozumiała je admiralicja brytyjska. Pokazują to liczby - 56% akcji *Anglo-Persian Oil Company* było w posiadaniu admiralicji i Intelligence Service, 75% akcji *Turkish Petroleum Company*, która kontrolowała Mosul, to własność kapitału brytyjskiego, a tylko 25% kapitału niemieckiego. Trzeba więc było myśleć o nafcie, zwłaszcza że w czasie wojny popyt na nią wzrósł bardzo wydatnie. Trzeba było również po niepowodzeniach generała Townshenda pokazać i Niemcom, i Turkom, i Arabom, a także sprzymierzeńcom francuskiemu i rosyjskiemu, że Wielka Brytania pewną stopą stoi na pozycjach Bliskiego Wschodu.

W czerwcu 1916 r. w Arabii rozpętała się „burza na pustyni”. Do walki z Turkami poderwali się Arabowie. Wielki szarif Mekki Husajn ibn Ali już raz w początku wojny oddał Koalicji wielką przysługę, gdy odmówił ogłoszenia „dżihad” - świętej wojny przeciwko niewiernym. Teraz poszedł krok dalej; wojna w Arabii szachowała Turków, krzyżowała plany ataku na Suez, utrudniała wojskom sułtana obronę w Syrii i w Mezopotamii. Wśród dowódców arabskich wyróżniał się młody archeolog angielski i zarazem pracownik brytyjskiego wywiadu wojskowego Thomas Edward Lawrence. Obok umiejętności w dziedzinie naukowych badań archeologicznych, obok przymiotów agenta wywiadu Lawrence wykazał niepoślednie talenty dowódcy w wojnie podjazdowej; zręcznie i przemyślnie atakował tureckie linie łączności. Polityczne znaczenie rewolty

w Arabii było nie mniej silne niż militarne. 4 listopada 1916 r. szarif Husajn ogłosił się królem.

Działania zbrojne przeciwko Turkom ułatwiło wyczerpanie Turcji. Braki w sprzęcie bojowym, w umundurowaniu, w zaopatrzeniu żołnierza w bieliznę, w obuwiu, niedostateczna opieka lekarska, wszystko to sprawiło, że armia turecka poniosła największe w tej wojnie ofiary w ludziach. Pomimo to dowództwo tureckie nie wahało się walczyć nadal, a żołnierz turecki nie wahał się iść z determinacją do boju.

Atak rozpoczął w styczniu 1917 r. generał Sir Frederick Stanley Maude na czele dywizji angielskich i indyjskich w Mezopotamii. 24 lutego 1917 r. odzyskali Anglicy Kut Al-Amara, 14 marca wkroczyli do Bagdadu. Stara stolica kalifów wpadła w ręce niewiernych. Polityczne znaczenie zwycięstwa było większe niż militarne. Cios w autorytet sułtana–kalifa był dotkliwy, tym dotkliwszy, że zaledwie przed kilku miesiącami zakończyło się jego panowanie w świętym mieście Mekce.

Pilne wołania o pomoc poszły do Berlina. 28 kwietnia 1917 r. cesarz niemiecki podpisał dekret, w którym do dyspozycji Turcji oddał generała Falkenhayna. Generał Erich von Falkenhayn, do niedawna szef sztabu, 7 maja stanął w Konstantynopolu i rozpoczął swe działania od zorientowania się w sytuacji. Owocem tych studiów był plan operacji w Mezopotamii i odzyskanie Bagdadu. Operacji dano nazwę *Yildrun* (Błyskawica). Plan był całkowicie sprzeczny z mentalnością ludzi, którzy mieli go wprowadzić w

życie. Powtarzali oni wciąż z przekonaniem przysłowie wschodnie: „wszelki pośpiech pochodzi od diabła”. Zresztą nie tylko mentalność turecka uniemożliwiała realizację planu „Błyskawica”. Realizacja tego planu przekraczała możliwości wyczerpanej Turcji. Przystąpił też do działania wróg groźny i zaczął dziesiątkować szeregi tureckie - była to epidemia cholery i tyfusu plamistego. Co prawda wróg ten atakował i Anglików - w Bagdadzie zmarł na cholere generał Maude - ale Anglicy mieli dużo lepsze warunki zwalczania epidemii. Działań na podstawie planu „Błyskawica” w ogóle nie rozpoczęto, gdyż z południowego zachodu nadciągnęła burza i tam należało zwrócić całą uwagę i wszystkie siły. Anglicy więc bez poważniejszych przeszkód posuwali się na północ i już z końcem roku 1917 zatrzymali się w pobliżu Mosulu, o 150 km od Bagdadu.

Znaczniejsza była chyba waga operacji na półwyspie Synaj i w Palestynie. Kanał Sueski nazywali Anglicy „bramą do Indii”. Nie dość było odeprzeć ataki na Suez, należało go w pełni przed atakami zabezpieczyć.

Na przełomie 1916/17 r. rozpoczęli Anglicy działania zaczepne, początkowo bez powodzenia. Dwa razy - 26 marca i 19 kwietnia 1917 r. - atakowali bezskutecznie port nad Morzem Śródziemnym i fortecę Gaza. Silniejsze uderzenie poszło jesienią 1917 r.; prowadził je feldmarszałek wicehrabia Edmund Henry Allenby. 7 listopada zdobyli Anglicy Gazę, 17 listopada wkroczyli do Jaffy, 9 grudnia 1917 r. w rękach angielskich znalazła się Jerozolima. Był to - jak się wyraził Lloyd George - „gwiazdkowy podarunek dla narodu angielskiego”.



Poważne były straty tureckie. Skutkiem braku zwierząt pociągowych musieli Turcy zostawiać znaczną część sprzętu bojowego. Z końcem roku 1917 państwo Osmanów znajdowało się u kresu sił. W kraju panowała bieda, szerzył się głód, grasowała epidemia tyfusu plamistego. Bieda nie pomijała i wojska; żołnierz był obdarty i wygłodzony. Liczbę dezertersów obliczano z końcem 1917 r. na 300 tys.

Nic dziwnego, że generał von Falkenhayn doszedł do wniosku, iż działalność jego w Turcji jest bezcelowa. Zwrócił się z prośbą o odwołanie, 1 marca 1918 roku dowództwo w Palestynie objął generał Otto Liman von Sanders.

Lloyd George twierdził, że niepowodzenia załamały Turków tak dalece, iż dalsza ofensywa poprowadzona większymi niż dotąd siłami rozbiłaby całkowicie armię turecką i wyeliminowałaby Turcję z rzędu państw walczących na długo przed jesienią 1918 r. Niewątpliwie wstrzymanie w Palestynie i w Mezopotamii działań wojennych na szerszą skalę uratowało chwilowo Turcję przed upadkiem.

Był jeszcze jeden czynnik, który w pewnej mierze obudził energię Turków; były to ogłoszone przez rząd radziecki rewelacje o planach Koalicji rozbioru imperium osmańskiego.

Dla Wielkiej Brytanii zwycięstwa w Mezopotamii, a zwłaszcza w Palestynie miały większe znaczenie psychologiczne niż militarne. Podniosły one bowiem na duchu naród angielski nękany przedłużającą się wojną,

zaniepokojony niepowodzeniami i stratami na froncie zachodnim.

Zwycięstwa w Palestynie ułatwiły Anglikom użycie broni, którą już wcześniej mieli w zanadrzu, a której użycie odkładali dotąd skutkiem różnych przyczyn. Broń ta zwracała się nie tylko przeciwko Turkom. Był to oręż uniwersalny, którym Wielka Brytania posługiwała się niejednokrotnie w przeszłości. Orężem tym była sprawa żydowska. Żydzi przez fakt, że żyli w diasporze, w rozproszeniu, stanowili skomplikowany, trudny problem międzynarodowy. W krajach zachodnich, przede wszystkim w Wielkiej Brytanii, ale także i w Niemczech, Żydzi byli nieliczni, zamożni, wykształceni i cieszyli się znacznymi wpływami w polityce i gospodarce. Inaczej było w krajach Europy Środkowej i Wschodniej, w Polsce, w Rosji, w Rumunii. Żyły tam masy ludności żydowskiej ubogie, zacofane, zaznaczające swą odrębność religijną, cywilizacyjną, narodową obyczajami, strojem, językiem. To między innymi było przyczyną prześladowań Żydów w tej części Europy. Prześladowania te miały wpływ na wytworzenie się różnych koncepcji rozwiązania sprawy żydowskiej. Najgłośniejszą z nich był syjonizm; jego podstawą teoretyczną była opublikowana w 1896 r. książka Teodora Herzla pt. „*Der Judenstaat*”. Program syjonizmu przyjął w roku następnym, w 1897, kongres żydowski w Bazylei. Syjonizm postawił sobie za cel uzyskanie dla Żydów prawa do Palestyny, a następnie przeprowadzenie szerokiej akcji przesiedleńczej. Wobec tego, że możliwości odzyskania Palestyny z rąk tu-

reckich były znikome, pojawiły się i inne koncepcje. Rząd brytyjski np. w początku XX w. ofiarował Żydom brytyjską kolonię afrykańską Ugandę na teren masowej kolonizacji. Nic z tego nie wyszło. Żydzi się podzielili, syjonizm u jednych budził entuzjazm, gdy inni ostro go zwalczali.

Wybuch wojny w 1914 r. powikłał sprawę żydowską. Żydzi jako obywatele państw walczących przeciwko sobie znaleźli się w dwóch przeciwnych obozach. Nienawiść do caratu sprawiła, że sympatie żydowskie kierowały się raczej ku Niemcom. Dotyczyło to ogromnej większości Żydów w Europie Środkowej i Wschodniej i z pewnością większości Żydów w Stanach Zjednoczonych. Żydzi angielscy prowadzili, rzecz prosta, politykę probrytyjską. Obu stronom zależało na pozyskaniu Żydów, ich stanowisko miało niemałe znaczenie. *Nervus belli* - dysponowali tym potężnym czynnikiem, bez którego nie sposób prowadzić wojny. Mieli też ogromne wpływy w handlu międzynarodowym, przemyśle, do nich należały liczne banki, niektóre dzienniki. Dowództwo rosyjskie twierdziło, że wielu Żydów w Polsce służyło wywiadowi niemieckiemu i w tym właśnie upatrywało przyczynę swych niepowodzeń. Ambasador brytyjski w Piotrogradzie Sir George Buchanan pisał 10 marca 1915 r.: „Prawie każdy oficer rosyjski, który wraca z frontu, mówi o tym”. Ambasador zdawał się w dużej mierze dawać wiarę tym wieściom.

Pozyskanie pełnego poparcia Żydów i dla jednej, i dla drugiej strony było sprawą trudną; zająłoby się tu

bowiem wiele sprzecznych interesów. Dla Koalicji czynnikiem utrudniającym politykę żydowską był carat, dla Państw Centralnych - Turcja.

Obalenie caratu usunęło walną przeszkodę na drodze do pozyskania Żydów. Zapowiedź oddania im Palestyny miała być silnym atutem w rękach angielskich. Ale sprawa wciąż nie była prosta. Nie było już wprawdzie caratu, Wielka Brytania nie była już strażniczką integralności Turcji, ale musiano się liczyć ze sprzymierzeńcem arabskim, a napływ Żydów do Palestyny musiał się spotkać z protestem Arabów.

Ostatecznie Lord Alfred Milner, przy pomocy polityka konserwatywnego Leopolda Amery'ego, opracował memoriał w sprawie Palestyny i przedstawił go w dniu 4 października 1917 r. Gabinetowi Wojennemu. Memoriał proponował utworzenie w Palestynie siedziby narodowej dla plemienia żydowskiego (*a national home for the Jewish race*). Memoriał zastrzegał wszakże, iż nie może to przynieść najmniejszego uszczerbku uprawnieniom świeckim i religijnym mieszkającej w Palestynie ludności nieżydowskiej.

Nie było wówczas jeszcze zgodności poglądów, nie ustalono jeszcze co znaczy „siedziba narodowa” (*national home*). Według jednych chodziło tu o uznanie prawa Żydów w Palestynie do swobodnego narodowego rozwoju, nie zaś o tworzenie państwa żydowskiego. Ale Lord Lionel Rothschild mówił, że z sympatią myśli o powstaniu państwa żydowskiego „pod Koroną brytyjską”.

Ostatecznie po wielu naradach i dyskusjach, po porozumieniu z prezydentem Wilsonem Gabinet Wojenny w dniu 31 października 1917 r. postanowił rozstrzygnąć kwestię Żydów w Palestynie zgodnie z formułą Milnera –Amery’ego. 2 listopada 1917 r. sekretarz stanu w *Foreign Office* Arthur Balfour wystosował list do Lorda Rothschilda takiej treści: „Rząd Jego Królewskiej Mości widzi z sympatią utworzenie w Palestynie siedziby narodowej dla narodu żydowskiego i dołoży wszelkich starań, aby ułatwić rozwiązanie tej kwestii. Jest rzeczą zrozumiałą, że nie może nastąpić nic, co by było z uszczerbkiem dla praw cywilnych i religijnych wspólnot nieżydowskich w Palestynie lub też dla praw i położenia politycznego Żydów w innych krajach”.

Tyle lub też tylko tyle! List ten zwykło się nazywać „Deklaracją Balfoura”. W tydzień po podpisaniu deklarację podano do wiadomości publicznej. Akt ten, zredagowany ostrożnie, w niczym nie wiązał rządu brytyjskiego, ale - jak się miało później okazać - przyniósł polityce brytyjskiej znaczne korzyści. Anglicy, i o to chyba głównie chodziło, zyskali nowy punkt oparcia na Bliskim Wschodzie, umacniali swe wpływy kosztem Francji, otwierali sobie drogę do prowadzenia gry pomiędzy Żydami i Arabami. Pomimo że „Deklaracja” nie zadowalała syjonistów, zdobywali sympatię Żydów na całym świecie. Ma swą wymowę fakt, że po wojnie utworzono w Palestynie terytorium mandatowe i oddano je Wielkiej Brytanii.

## 55. Wojna morska - bitwa jutlandzka

Od roku 1914 działania floty brytyjskiej i francuskiej zmierzały do blokady Państw Centralnych, natomiast flota niemiecka starała się odbijać te ciosy i próbować kontrblokady. Można tu wyróżnić trzy okresy:

✓ Rok 1915 - czas prób i oczekiwań, a zarazem wodno-łądowa operacja dardanejska.

✓ Rok 1916 - wielka bitwa morska jedyna w dziejach pierwszej wojny światowej.

✓ Lata 1917–1918 - wojna podmorska.

W wojnie morskiej uwagę przykuwają ostatnie trzy lata, a w nich bitwa jutlandzka zwana niekiedy bitwą na Skagerraku w 1916 r. i wojna łodzi podwodnych w 1917 i 1918 r.

„Raz jeden tylko w czasie wojny spotkała się *Grand Fleet* - Wielka Flota Wielkiej Brytanii z flotą oceaniczną Niemiec. (...) Nie było w dziejach bitwy, na której opis zużyto by tyle... atramentu. Pewnego popołudnia 31 maja 1916 r. flota, którą zbudowano, aby walczyła o panowanie na morzach, zderzyła się z flotą, która morzami władała przez wieki. Wczesnym wieczorem dwie floty, największe, jakie świat widział, szukały się po omacku, zetknęły się, oderwały się od siebie, zetknęły się znowu i znowu oderwały się od siebie. Wtedy ogarnęły je ciemności. A gdy zaświtał chwalebny dzień 1 czerwca srodze wprawiona w srogie zakłopotanie *Grand Fleet* defilowała na pustym morzu”.

Zasadnicza różnica pomiędzy dowództwem sił zbrojnych morskich i lądowych polegała na tym, że admirałowie nie wydali bitwy, jeśli nie mieli pewności wstępnej przewagi, gdy generałowie gotowi byli zawsze uderzać bez względu na możliwe straty.

Brytyjska strategia morska od początku wojny opierała się na zasadzie, że utrzymanie przewagi na morzu jest sprawą jeszcze ważniejszą niż zniszczenie floty niemieckiej. Na tej zasadzie opierał się cały wysiłek wojenny Wielkiej Brytanii i jej sprzymierzeńców, gdyż od tego właśnie zależała sama egzystencja Wielkiej Brytanii. Myśl tę wyraził krótko Winston Churchill: „Jellicoe jest jedynym człowiekiem w obu obozach, który może przegrać wojnę w ciągu jednego popołudnia”.

Podstawą niemieckiej strategii morskiej od sierpnia 1914 r. było unikanie ryzyka działań rozstrzygających dopóki flota brytyjska nie zostanie tak osłabiona, że perspektywa sukcesu będzie realna, nie zaś mglista. A miny i torpedy to środek wstępny do osłabienia floty brytyjskiej. Obawa przed minami, lęk, że mogą one rzeczywiście zmienić stosunek sił, dyktowała admiralacji brytyjskiej wielką, przesadną może ostrożność. Admirał John Rushworth Jellicoe głosił, że nie da się zważyć w zasadzkę, gdzie czekają niemieckie miny i łodzie podwodne. Przez blisko dwa lata flota brytyjska czekała na chwilę sprzyjającą wydaniu bitwy, flota niemiecka zaś wciąż była daleka od oczekiwanego momentu osłabienia floty brytyjskiej.

Ale po dwóch latach zmieniła się sytuacja. Blokada dawała się Niemcom coraz dotkliwiej we znaki, nie było mowy o osłabieniu floty brytyjskiej. W dowództwie floty niemieckiej powstały obawy, że bezczynność wpływa ujemnie na postawę marynarzy, że maleje autorytet marynarki i admiralicji. Jak to najczęściej bywa, zmiana taktyki nastąpiła wraz ze zmianą na stanowisku dowódczym. 15 stycznia 1916 r. chorego (wkrótce zmarł) admirała Hugona von Pohla zastąpił na stanowisku szefa sztabu floty wiceadmirał Reinhard von Scheer i 18 stycznia wywiesił flagę admiralską na swym okręcie „Friedrich der Grosse”. Admirał von Scheer zdecydował się na grę bardziej ryzykowną, dążył do zaostrożenia akcji łodzi podwodnych, do operacji minowych i do ataków na wschodnie wybrzeża Wielkiej Brytanii, aby część floty brytyjskiej skłonić do wypłynięcia na morze, gdzie można by na nią uderzyć i zadać jej cios dotkliwy. Nie było mowy o zaatakowaniu floty brytyjskiej w pobliżu Scapa Flow, gdyż jej przewaga liczebna i bliskość bazy nie dawała widoków na zwycięstwo; admirał von Scheer umyślił więc wywabić flotę brytyjską, czy raczej znaczną jej część, na wody Zatoki Helgolandzkiej niedaleko Wilhelmshaven i tam na nią uderzyć. W praktyce tak to miało wyglądać: eskadra wiceadmirała von Hippera skieruje się na wody norweskie, podążą zapewne za nią i zaatakują ją krążowniki brytyjskie, Hipper wycofa się wówczas na południe, popłyną za nim niechybnie Anglicy i znajdą się w obliczu wielkiej floty niemieckiej.



Takie to plany snuła admiralicja niemiecka. Ich wynikiem była bitwa jutlandzka, zwana też bitwą na Skagerraku. Było to jedyne w dziejach pierwszej wojny światowej wielkie zderzenie floty brytyjskiej z flotą niemiecką. Doszło do niego w dniu 31 maja 1916 r.

Rzecz szczególna, że i Anglicy myśleli w owym czasie o wywabieniu floty niemieckiej z jej baz i stoczeniu z nią bitwy. Niemcy wypływając na morze ubiegli Anglików o kilka dni i zmusili ich do przyspieszenia akcji. Znamienne, że admiralicja brytyjska zdobyła w jej tylko znany sposób wiadomości o planach niemieckich. 30 maja admirał Jellicoe wiedział już, że flota niemiecka otrzymała dnia tego ważny sygnał radiowy: „31 Gg 2490”, co oznaczało rozkaz wszczęcia działań.

W nocy z 30 na 31 maja, o dwie godziny wcześniej niż Niemcy, admirał Jellicoe ze swą *Grand Fleet* wypłynął z baz w Scapa Flow i w Cromarty, a wiceadmirał David Beatty z krążownikami z Rosyth.

31 maja 1916 r. we wczesnych godzinach popołudniowych niedaleko wybrzeży Półwyspu Jutlandzkiego pomiędzy dwiema flotami doszło do próby sił. Flota brytyjska miała znaczną przewagę zarówno w okrętach, jak w ich uzbrojeniu.

Wielka bitwa, według niektórych największa dotąd w dziejach, trwała zaledwie kilka godzin. Flota niemiecka, pomimo przewagi przeciwnika, zadała flocie brytyjskiej straty znacznie większe niż poniosła sama; Niemcy stracili 2551 marynarzy i 11 okrętów wyporno-

ści 61.180 BRT, gdy straty brytyjskie wyniosły 6094 ludzi i 14 okrętów wyporności 115.025 BRT.

A teraz pytanie, kto wygrał bitwę jutlandzką? Straty niemieckie były mniejsze niż brytyjskie, ale w chwili decydującej flota niemiecka nie stawiała czoła flocie brytyjskiej, odpłynęła z terenu walki. W oczach admirała Jellicoe była to sprawa decydująca. Jellicoe nie sądził, że może zniszczyć flotę niemiecką i wygrać tym sposobem wojnę, przeciwnie, uważał - jak pamiętamy - że wojnę może przegrać, jeśli dopuści do zniszczenia własnej floty. Nie wszyscy w Wielkiej Brytanii podzielali ten ostrożny, wyważony pogląd. W listopadzie 1916 r. admirała Jellicoe zastąpił na stanowisku komendanta *Grand Fleet* admirał David Beatty, ale i on okazał się wkrótce wyznawcą doktryny swego poprzednika.

Niemcy byli dumni ze swej floty, która nie uległa Anglikom, Anglicy natomiast mieli raczej poczucie niepowodzenia. Niesłusznie, gdyż odtąd niemiecka flota nadmorska nie odważy się na podejmowanie akcji zaczepnej. W sierpniu 1916 r. admirał von Scheer wypłynął wprawdzie ze swą flotą na morze, ale cofnął się natychmiast na wiadomość, że brytyjskie okręty wojenne 400 płyną naprzeciw. Odtąd aż do końca wojny flota niemiecka nie opuści już swych portów. Panowanie na morzach należało bezsprzecznie do Koalicji.

Pierwszy komunikat angielski o bitwie jutlandzkiej wywołał w krajach Koalicji konsternację. Nie silono się w nim na uwydatnienie znaczenia bitwy, lecz podano listę strat własnych tudzież strat niemieckich, co do

których uzyskano wiadomości. Czytelnik odnosił wrażenie, że sukces był po stronie niemieckiej. Komunikat niemiecki zataił własne największe straty, przyznali się do nich Niemcy dopiero po tygodniu. Ale bezpośrednia reakcja opinii publicznej w krajach Koalicji i w krajach neutralnych nie miała trwalszego, donioślejszego znaczenia. Natomiast konsekwencje bitwy jutlandzkiej były dalekosiężne.

A bitwa ta była punktem zwrotnym w dziejach wojny morskiej. Niemcy rozumieli teraz, że przewagę na morzach zdoła im zapewnić tylko nieograniczona wojna łodziami podwodnymi.

Bitwa jutlandzka, jeśli nawet wykazała wysokie walory dowództwa niemieckiego, wysokie walory niemieckiego marynarza, dobre budownictwo okrętów, nie przyniosła Niemcom korzyści. Było sprawą oczywistą, że flota niemiecka nie przełamie blokady i nie zmusi Wielkiej Brytanii do zawarcia pokoju. Kapitan, późniejszy kontradmirał, Adolf von Trotha pisał 2 lipca 1916 r. do Alfreda von Tirpitz: „... nasza flota może jeszcze wydrzeć Anglii laury Trafalgaru, ale do zawarcia pokoju zmusić jej nie zdołamy, nawet gdybyśmy odnieśli wielkie zwycięstwo morskie. Osiągnąć to możemy jedynie nieograniczoną wojną podwodną, gdy pozbawimy Anglię jej położenia insularnego. Wobec przewagi Anglii i wobec środków pomocniczych, jakimi ona dysponuje, flota nasza pozostawiona samej sobie może się tylko wykrwawić. W moim przekonaniu tak samo wykrwawić się musi przez lata armia. Dobrze o tym wie Anglia i zgodnie z tym działa. Jeśli Anglię

chcemy zmusić do pokoju, musimy ją schwytać w jej warunkach życiowych tak, aby wojnę rzeczywiście odczuła; dokonać tego może tylko nieograniczona wojna łodziami podwodnymi”.

Pierwsze dwa lata wojny pokazały, że flota brytyjska zachowując postawę defensywną mogła skutecznie blokować dowozy do Niemiec, gdy dowozom do Anglii flota niemiecka nie była w stanie zapobiec, przeszkodzić ani w roku 1915, ani w 1916. Przez te dwa lata wojna nieznacznie tylko zmniejszyła podstawę zaopatrzeniową Wysp Brytyjskich, np. do końca 1916 r. dowóz żywności do Wielkiej Brytanii zmniejszył się zaledwie o 10%. Wzrosły wszakże ceny skutkiem zwiększonych kosztów przewozu.

## **56. Rumunia wszczyna wojnę**

Rumunia znajdowała się wówczas pomiędzy dwoma rywalizującymi ze sobą mocarstwami, pomiędzy monarchią Habsburgów a imperium carów. Mogła szukać oparcia i w Wiedniu, i w Petersburgu. Niemało ważne względy przemawiały za zwróceniem się w jedną i w drugą stronę.

Do aliansu z Rosją skłaniała Rumunów obawa o los mniejszości rumuńskiej żyjącej w austriackiej Bukowinie, a bardziej jeszcze w należącym do Węgier Siedmiogrodzie. Według spisu z 1910 r. Rumunów pod berłem Habsburgów było 3 miliony 225 tys. wobec 7 milionów 660 tys. mieszkających w królestwie rumuńskim, we własnym państwie. Szczególne obawy budziła polityka madziaryzacyjna w Siedmiogrodzie.

Ale silnie występowała i nieufność do sąsiada z północy, podsycana reminiscencjami roku 1878; wiązała się ona z kwestią Besarabii. Kraj ten po zwycięskiej wojnie z Turcją zaanektowała Rosja w 1812 r.; w 1856 r. po przegranej wojnie krymskiej zmuszona została do zwrotu Besarabii Rumunom. Ale w 22 lata później, w 1878 r. Rosja znowu wcieliła Besarabię do cesarstwa.

Wzgląd na rodaków żyjących pod obcym panowaniem działał przeciwko obu sąsiednim mocarstwom, jednak silniej wpływał na stosunek do Austro–Węgier.

Czynnik gospodarczy sprzyjał szerzeniu się wpływów niemieckich. W 1881 r. wszedł w życie traktat handlowy niemiecko–rumuński. Otwierało to widoki na zbliżenie polityczne. 19 sierpnia 1883 r. Bismarck doradzał w Wiedniu przymierze monarchii podwójnej z Rumunią. 7 września 1883 r. autokratyczny premier rumuński Ion Bratianu, zwany „wezyrem”, złożył wizytę Bismarckowi w Bad Gastein. Kanclerza uderzyła antyrosyjska postawa rumuńskiego męża stanu. Z Bad Gastein Bratianu udał się do Wiednia i ułożył z c. i k. ministrem spraw zagranicznych Gustavem Kalnokym podstawy przymierza pomiędzy monarchią habsburską a królestwem Rumunii. Traktat podpisano 30 października 1883 r. Traktat zwraca się wyraźnie przeciwko Rosji; obaj kontrahenci obiecywali sobie wzajemną pomoc przeciwko imperium carów. Tegoż dnia do aliansu austro–węgiersko–rumuńskiego przyłączyły się Niemcy. Traktat przynosił Rumunii niewątpliwe korzyści, dawał jej ochronę przed Rosją, otwierał nadzieje na

odzyskanie Besarabii, wreszcie pozwalał szukać w Berlinie protekcji, przeciwko Węgrom. Zawarty na lat pięć, był następnie odnawiany, ostatni raz 5 lutego 1913 r.

Można się w nim dopatrywać analogii z aliansem włosko–austro–niemieckim. Monarchia habsburska ani dla Włoch, ani dla Rumunii nie była sprzymierzeńcem naturalnym, wyznaczonym w sposób oczywisty, bezsporny przez gospodarkę, politykę, geografię, historię. Przeciwnie, na drodze wiodącej z Bukaresztu do Wiednia, a bardziej jeszcze do Budapesztu, podobnie jak na drodze z Rzymu do Wiednia piętrzyły się liczne przeszkody. Jednakowoż tarcia z Francją skłoniły Włochy, a tarcia z Rosją skłoniły Rumunię do związania się Trójprzymierzem. Warunki te ograniczały z natury rzeczy siłę aliansu.

Głównym jego twórcą był król Karol I, pochodzący z bocznej katolickiej gałęzi Hohenzollernów - Hohenzollern–Sigmaringen. Człowiek pracowity, skrupulatny, energiczny, o niewątpliwym talencie politycznym zdobył duży autorytet w kraju i w Europie. Wpływ jego na politykę wewnętrzną Rumunii był doniosły, na jej politykę zagraniczną decydujący. Król Karol i na tronie rumuńskim pozostał Niemcem, był i czuł się dynastą Hohenzollernem; w jego rozumieniu wszakże interes jego niemieckiej ojczyzny, interes jego przybranej ojczyzny rumuńskiej i interes dynastii Hohenzollernów były najzupełniej zgodne. Karol pozostawał pod urokiem potęgi Niemiec i był przeświadczony, że jeżeli dojdzie w Europie do wielkiego konfliktu zbrojnego, Państwa Centralne wyjdą z niego zwycięsko.

Traktat Rumunii z Austro–Węgrami i Niemcami był ściśle tajny. Nie ratyfikował go parlament, nie zatwierdziła go rada ministrów; dla zachowania bezwzględnej tajemnicy treść traktatu król podawał do wiadomości każdego prezesa ministrów i każdego ministra spraw zagranicznych, gdy wręczał im nominację; dokument przechowywał w swym gabinecie. O istnieniu traktatu wiedziało w Rumunii kilkanaście osób.

W miarę rozwoju wypadków w naddunajskiej Europie i na Bałkanach traktat coraz wyraźniej tracił na znaczeniu, w przededniu wojny był już martwą literą.

Jesienią 1913 r. objął w Bukareszcie urządowanie poseł Austro–Węgier hrabia Ottokar Czernin. Pragnąc wyjaśnić żywotność aliansu nowy poseł na jednej z pierwszych audiencji u monarchy zaproponował, aby traktat „pragmatyzować”, tzn. przedstawić do ratyfikacji parlamentom w Wiedniu, Budapeszcie i Bukareszcie. „Przerażenie - pisze Czernin - jakie ogarnęło króla na samą myśl, że tak surowo strzeżona tajemnica, iż alians w ogóle istnieje, mogłaby wyjść na światło dzienne pokazało mi, że przywrócić do życia martwy traktat było niemożliwością”.

Jednakowoż w niektórych kołach rumuńskich pojawiały się nadzieje związane z monarchią habsburską. W 1906 r. Rumun-Siedmiogrodzianin Aureliu Popovici ogłosił książkę pt. *„Vereinigte Staaten Grossösterreichs”* („Stany Zjednoczone Wielkiej Austrii”). Dualizm austro–węgierski pragnął Popovici przeobrazić w federalizm; monarchię podwójną zastąpiłaby federacja 15 okręgów–stanów, z których jednym byłby Siedmiogród

zdominowany przez Rumunów. Trudno tu rozważać, czy i w jakiej mierze plan ten miał szansę realizacji; pewną jest wszakże rzeczą, iż opowiadali się za nim Rumuni żyjący pod berłem Habsburgów, a i Rumuni w Królestwie przyjęliby takie rozwiązanie. Na kilka miesięcy przed wybuchem wojny polityk rumuński Nicolai Filipescu wystąpił do hr. Czernina z takimi sugestiami: niech się Siedmiogród złączy z królestwem, a wtedy Wielka Rumunia (*Romania Mare*) zwiąże się z monarchią habsburską w taki mniej więcej sposób, w jaki Bawaria łączy się z Rzeszą. Po latach, po klęsce i rozpadzie Austro–Węgier Czernin twierdził, że urzeczywistnienie myśli Filipescu doprowadziłoby istotnie do zbliżenia pomiędzy monarchią habsburską i królestwem rumuńskim i Austro–Węgry znalazłyby się w 1914 r. w znacznie pomyślniejszej sytuacji niż ta, w jakiej ją zastał wybuch wojny. Któż może to wiedzieć?

Nie tylko kwestia narodowościowa w Siedmiogrodzie, zakłócająca stosunki pomiędzy Bukaresztem i Budapesztem, osłabiała związki Rumunii z Państwami Centralnymi. Na przełomie XIX i XX w. dało się zauważyć nowe zjawisko: na terenie Rumunii wystąpiła silna rywalizacja pomiędzy kapitałem francuskim a niemieckim, reprezentowanym zwłaszcza przez *Deutsche Bank* i przez *Discontogesellschaft*. Francuzi działali ręką w rękę z Rosjanami, pracowali nad rozluźnieniem więzów łączących Rumunię z Trójprzymierzem i wzmocnieniem wpływów francuskich i rosyjskich. W ostatnich kilkunastu miesiącach przed wybuchem



wojny rozegrał się istny pojedynek pomiędzy bankami berlińskimi i paryskimi, pomiędzy dyplomacją francuską i niemiecką. Celem batalii było zdobycie przywileju udzielenia Rumunii pożyczki.

W chwili wybuchu wojny Rumunia znalazła się w położeniu podobnym do położenia Włoch. Obaj sprzymierzeńcy Państw Centralnych nie czuli się związani układami sojuszniczymi, obaj zdecydowali się na politykę neutralności, politykę wyczekiwania. Król Karol pisał do cesarza Franciszka Józefa: „Nie mogę sam bez odpowiedniego rządu wszczynać wojny, przeciwko której burzy się cały naród”. 4 sierpnia 1914 r. zebrała się pod przewodnictwem króla Rada Koronna. W trakcie posiedzenia przybył poseł włoski i zawiadomił oficjalnie, że Włochy ogłosiły neutralność. Nie pozostało to bez wpływu na decyzję rumuńską. Wzorem włoskim Rumunia postanowiła w toczącej się wojnie zachować neutralność.

I Włochy, i Rumunię wiązał alians z Państwami Centralnymi, i Włochy i Rumunia rościły pretensje terytorialne do Austro–Węgier, i Włochy, i Rumunia spodziewały się zyskać na wojnie i albo środkami dyplomatycznymi albo orężem osiągnąć cesje terytorialne od austrowęgierskiego sprzymierzeńca. Były i różnice. Wiochy były silniejsze i bezpieczeństwu ich nikt nie zagrażał, Rumunia była słabsza i zagrożona z trzech stron: od północy przez Rosję, od zachodu przez Węgry, od południa przez Bułgarię. Dlatego rząd rumuński musiał być bardziej ostrożny i powściągliwy niż rząd włoski. Ale ogólnie biorąc Rumunia od pierwszych dni

wojny starała się iść śladami Włoch. Niemalą rolę w stosunkach pomiędzy Rzymem i Bukaresztem i w polityce rumuńskiej odgrywał poseł włoski w Rumunii baron Carlo Fasciotti. 23 września 1914 r. z inicjatywy włoskiej zawarto tajny układ włosko–rumuński o współdziałaniu dyplomatycznym. Tegoż dnia Fasciotti telegrafował do Rzymu: „Bratianu postanowił być w pogotowiu, aby przystąpić do akcji w chwili najstosowniejszej, gdy będzie miał pewność, że ci, z którymi pójdziemy, będą silniejsi”. Oto najlepsza charakterystyka polityki rumuńskiej.

Wielką przeszkodą na drodze Rumunii do wojny był król Karol i zapewne byłby do wystąpienia zbrojnego przeciwko Państwom Centralnym nie dopuścił, ale stary Hohenzollern zmarł 10 października 1914 r. Jego następca Ferdynand I nie miał autorytetu i wpływów swego poprzednika; wpływ korony zmalał.

Najbardziej wpływową osobą w rządzie był teraz prezes ministrów, Ion Bratianu był przeświadczony o zwycięstwie Koalicji, twierdził też, że w polityce rumuńskiej dominuje kwestia Rumunów siedmiogrodzkich.

Podobnie jak w Rzymie, tak i w Bukareszcie sytuacja rysowała się w ten sposób, że Włochy albo Rumunia najprawdopodobniej wystąpią zbrojnie przeciwko Państwom Centralnym, a w najlepszym dla nich, choć mniej prawdopodobnym, wypadku zachowają neutralność i to neutralność nie nazbyt życzliwą.

Stanowisko Rumunii miało dla Państw Centralnych znaczenie doniosłe, pierwszorzędne i to z różnych

względów. A więc najpierw o Rumunię opierało się prawe skrzydło wojsk austro-węgierskich, uginające się pod naciskiem rosyjskim. Przez Rumunię, aż do końca 1915 r., szła jedyna droga z Niemiec do Turcji. „Rumunia to klucz do Wschodu” - mówiono w Berlinie. Rumunia wreszcie dostarczyć mogła niezbędnie Niemcom potrzebne zboże i naftę. Były to sprawy dla Państw Centralnych tak istotne, że już od wiosny 1915 r. zastanawiano się w sztabie niemieckim, czy Rumunii nie należy zmusić siłą do zajęcia bardziej przychylnego stanowiska. Właśnie wiosną 1915 r. postawa Rumunii szczególnie dała się Niemcom we znaki; toczyły się wówczas walki o Dardanele, Turcja stała przed groźbą załamania, a pomoc niemiecka mogła nadchodzić tylko w stopniu niedostatecznym.

W stosunku do Państw Centralnych Rumuni przestrzegali zasad neutralności i nie przepuszczali niemieckich transportów wojennych, przymykali natomiast oczy na transporty rosyjskie do Serbii.

Nie tylko w Wiedniu, ale i w Berlinie stanowisko Rumunii wzbudziło zaniepokojenie. Rząd Rzeszy odwołał z Bukaresztu dotychczasowego posła, którego uznano za nieodpowiadającego wymaganiom nowej, trudnej sytuacji. Miejsce jego zajął baron Hjalmar von dem Busche-Hadderhausen, mający opinię jednego z najlepszych dyplomatów niemieckich. Von dem Busche w pierwszej rozmowie z Bratianu oświadczył, że Niemcy stoją bezwzględnie za Austro-Węgrami; nie znaczyło to wszakże, iż Niemcy nie nalegali w Wiedniu i w Budapeszcie na ustępstwa na rzecz Rumunii. Im-

pulsywny Wilhelm II wpadł nawet na dziwaczny pomysł - niech Rumuni wejdą do Siedmiogrodu, a to dla jego ochrony przed wojskami rosyjskimi; osiągną tym sposobem swoje cele dochowując wierności przymierzu. Takich pomysłów nikt, rzecz prosta, nie brał poważnie oprócz ich cesarskiego autora.

Niebezpieczeństwo rumuńskie poczytywano wszakże w kołach rządzących monarchii habsburskiej za tak poważne, że nawet nieugięty Madziar prezes ministrów hr. Istvan Tisza próbował zejść z dotychczasowego nieustępliwego stanowiska. Tisza nie myślał o cesjach terytorialnych na rzecz Rumunii kosztem Węgier, nie bez słuszności bowiem uważał, że w Bukareszcie i w całej Europie uznano by je za dowód słabości monarchii habsburskiej, że Rumunia i wówczas nie uderzyłaby na Rosję, lecz wystąpiła z dalszymi żądaniem. Tisza jednakowoż gotów był pójść w pewnej mierze Rumunom na rękę i udzielić im w dziedzinie kościelnej i w szkolnictwie uprawnień idących dalej niż to dotąd zamyślano. Uprawnienia te objęłyby Rumunów nie tylko w Siedmiogrodzie, ale we wszystkich krajach korony św. Stefana, przyznano by je również i innym narodowościom. Przy wprowadzaniu tych uprawnień w życie dawano by Rumunom pierwszeństwo. W tym „pójściu całkowicie z nami” chodziło nie tyle o wystąpienie zbrojne Rumunii po stronie Państw Centralnych, ile o jej życzliwą neutralność. Tisza podkreślał, że w stosunkach z Rumunią Państwa Centralne mają w ręku silny atut - obawę Rumunów przed wojną.

Podobnie jak Włochy, tak i Rumunia mogła zyskać od obu stron walczących. Niemcy w zamian za czynne wystąpienie po stronie Państw Centralnych ofiarowali jej Besarabię i należący do Serbii okręg Negotin na prawym brzegu Dunaju. Zachować neutralność i nie pozwolić Niemcom na nawiązanie łączności z Turcją to warunki, za które Rosja obiecywała Rumunii Siedmiogród i Bukowinę. Tak było póki żył król Karol, po jego śmierci Rosja będzie się domagać udziału Rumunii w wojnie. Było rzeczą oczywistą, że propozycje rosyjskie były dla Rumunii korzystniejsze niż niemieckie. Nadto należy pamiętać, że w społeczeństwie rumuńskim górowały nastroje antyaustriackie czy raczej antywęgierskie, sympatie polityczne szły raczej w kierunku Koalicji, zwłaszcza Francji. Do Siedmiogrodu i do Bukowiny przywiązywali Rumuni większą wagę niż do Besarabii.

Rumuni umacniali się w przekonaniu, że niezależnie od wyniku wojny Rumunia musi na niej zyskać kosztem jednej lub drugiej strony.

Zgodnie z takimi dążeniami i nastrojami rząd bukareszteński prowadził wzorem włoskim ostrożną grę na dwie strony. Jak już wiemy oferty austriackie były mniej atrakcyjne niż rosyjskie. Ponadto płynącym znowu podszepcom towarzyszyły wieści o zwycięstwach wojsk rosyjskich i o wtargnięciu ich do Galicji i do Bukowiny. Niezwykle więc przekonująco powinna być brzmieć propozycja, którą 1 października 1914 r. przedstawił Sazonow posłowi rumuńskiemu w Rosji Konstantynowi Diamandyemu. Rosja przyznawała

Rumunii prawo anektowania terytoriów monarchii austro-węgierskiej zamieszkałych przez Rumunów. Dotyczyło to Siedmiogrodu i Banatu czy może części Banatu, w należącej natomiast do Austrii Bukowinie, gdzie mieszkali Rumuni i Ukraińcy, Sazonow zapowiadał podział kraju pomiędzy Rosję i Rumunię według zasady przynależności narodowej większej części mieszkańców. Rumunia sama określi czas zajęcia przyznanych jej terytoriów, tzn. termin wypowiedzenia wojny Austro-Węgrom. Do tej chwili zachowywać będzie względem Rosji życzliwą neutralność. Rząd rosyjski zobowiązuje się uzyskać potwierdzenie jego zobowiązań przez rządy Wielkiej Brytanii i Francji.

Wydawało się, że były to propozycje niezmiernie dla Rumunii korzystne. A jednak rząd rumuński wahał się i zwlekał z decyzją. Przyczyny były różne. Przede wszystkim niepewność co do ostatecznego wyniku wojny; łączyła się z tym obawa przed Niemcami i ich potęgą militarną. W Bukareszcie na przełomie 1914/15 r. chodziły pogłoski o koncentracji wojsk austriackich i niemieckich w pobliżu granicy rumuńskiej. Rumuni obawiali się zresztą nie tylko Niemiec, ale i Bułgarii, lękali się bułgarskiego rewanżu za rok 1913, za agresję rumuńską, za zabór Dobrudży, za pokój bukareszteński. Bratianu powtarzał, że Rumunia nie może prowadzić wojny na dwa fronty. Był jeszcze jeden wzgląd, który powstrzymywał Rumunów przed rzuceniem się w otwarte ramiona Rosji - lęk przed hegemonią Słowian na Bałkanach. A przy tym Rumunia nie była do wojny należycie przygotowana i musiała się do niej

sposobić. Wydaje się również, że we wszystkich rumuńskich manewrach dyplomatycznych, w działaniu na zwłokę nie pozostały bez znaczenia wpływy włoskie. W Rzymie uważano, że Rumunia powinna wystąpić przeciwko Austro–Węgrom w tym samym czasie co i Włochy - wiosną 1915 r.

A jednak do wspólnego w czasie wystąpienia Włoch i Rumunii nie doszło. Włochy wypowiedziały wojnę Austro–Węgrom 23 maja 1915 r., Rumunia zaś nadal zachowała neutralność. Było po temu kilka przyczyn. Rumunia wciąż jeszcze do wojny nie była przygotowana ani politycznie - obawa przed atakiem bułgarskim i wojną na dwa fronty, ani militarnie - armia nie osiągnęła jeszcze stanu gotowości bojowej. Następnie ofensywa wojsk Państw Centralnych wszczęta pod Gorlicami 2 maja 1915 r. dała dużo do myślenia politykom i generałom w Bukareszcie. „Pobita Rosja i Bułgaria oczekująca odwetu, było to dla Rumunii zbyt wielkie niebezpieczeństwo, aby porzucić neutralność” - pisał Sir Edward Grey. I na koniec neutralność nieźle się Rumunom opłacała. Jako wielki eksporter płodów rolnych musiała Rumunia dbać o swych odbiorców. W 1914 r. nie zdołali Rumuni wyczerpać wszystkich możliwości eksportowych. Zbiory roku 1915 zapowiadały się dobrze, obliczano, iż Rumunia będzie mogła jesienią 1915 r. eksportować 300 tys. wagonów. Trudności eksportowe były znaczniejsze niż roku poprzedniego. Niemożliwy był wywóz przez Cieśniny z powodu toczącej się tam wojny, była wszakże otwarta droga przez kraje monarchii habsburskiej do Austrii i do

Niemiec. Niemcom potrzebne było nie tylko rumuńskie zboże, nieodzowna była im i rumuńska nafta. Miała więc Rumunia interes w sprzedaży Państwowym Centralnym płodów swej ziemi, miały Państwa Centralne, zwłaszcza Niemcy, interes w ich nabywaniu. Taki układ stosunków sprzyjał rumuńskiej neutralności, w każdym razie dopóki się szala nie przechyli wyraźnie na jedną lub na drugą stronę. Grę rumuńską rozumiano dobrze w Piotrogradzie, rozumiano dobrze w Wiedniu i w Budapeszcie. Niedokładnie rozumiano ją w Berlinie. Bratianu wciąż był przeświadczony, że wojna będzie trwała długo, że Rumunia powinna czekać i zachować neutralność jeszcze czas dłuższy i wystąpić po stronie zwycięzców dopiero w ostatniej chwili, dopiero w ostatniej fazie działań wojennych, tak aby niewielkim wysiłkiem w możliwie krótkim czasie osiągnąć cele maksymalne.

I tak toczyły się rokowania czy raczej rozmowy pomiędzy Bukaresztem, Wiedniem, Berlinem, Piotrogradem, Paryżem, Londynem. Największą bodaj aktywność przejawiała dyplomacja rosyjska.

Rumuńskie zamysły aneksyjne - Bratianu wykazywał tu niemałe ambicje - austriackie i niemieckie zakupy zboża rumuńskiego, rosyjskie obawy przed wkroczeniem do Rumunii wojsk Państw Centralnych dla wzięcia w dwa ognie lewego skrzydła armii rosyjskiej, rumuńskie lęki przed Bułgarią, wszystko to wpłynęło na stanowisko Bukaresztu.

Obok dyplomacji oficjalnej działała i nieoficjalna usiłując argumentem brzęczącym czy szeleszczącym



pozyskiwać wpływowych polityków. W kabarecie bukareszteńskim szansonistka codziennie wyśpiewywała piosenkę:

*Filipescu - to człowiek rubla,  
Take Ionescu - to człowiek franka,  
Marghiloman - to człowiek marki*

Publiczność przy dwóch pierwszych wierszach z entuzjazmem klaskała, przy trzecim dawały się słyszeć gwizdy i tupania.

Gdy w październiku 1915 r. Bułgaria opowiedziała się po stronie Państw Centralnych, gdy następnie pod uderzeniem wojsk austriackich, węgierskich, niemieckich i bułgarskich padła w listopadzie i grudniu 1915 r. Serbia, gdy w styczniu 1916 r. Austriacy opanowali Czarnogórę, wydawało się, że Państwa Centralne uzyskały przewagę na Bałkanach.

Sądzić by należało, że wpłynęło to na stanowisko Rumunii w sensie proniemieckim. Ale nie, Rumunia w dalszym ciągu zwlekała i czekała. Wpływy Koalicji były w Bukareszcie silniejsze niż wpływy Państw Centralnych. Rumunia miała chyba więcej do zyskania na klęsce Austro–Węgier niż na klęsce Rosji i zapewne zwycięstwo Koalicji uważała za bardziej prawdopodobne.

A jednak Państwa Centralne miały chwilowo podstawę do przypuszczenia, że uda się utrzymać neutralność Rumunii, może nawet neutralność życzliwą. 20 grudnia 1915 r. podpisano układ, mocą którego Rumunia zobowiązała się dostarczyć Austrii i Niemcom 50

tys. wagonów zboża. Do zawarcia układu parła rumuńska wielka własność ziemska, zainteresowana zbytem płodów rolnych, a różnymi sposobami umacniała ją w tych dążeniach dyplomacja austriacka i niemiecka.

Niedługo wszakże spotkała Państwa Centralne przykra niespodzianka - podobny układ o dostawę zboża, tym razem w ilości 80 tys. wagonów, zawarli 20 stycznia 1916 r. Anglicy. Angielskie funty okazały się nowym a ważkim argumentem na rzecz orientacji koalicyjnej. Ale pomimo wszystko funty nie wymogły na razie na rządzie rumuńskim ostatecznej decyzji. Nęciły jeszcze marki i korony, strachem napawała jeszcze potęga niemiecka.

7 kwietnia 1916 r. stanęła w Berlinie umowa handlowa niemiecko-rumuńska. Rumunia zobowiązała się dostarczyć Państwu Centralnym 80 tys. wagonów pszenicy ze starych zbiorów i 50 tys. z nowych, razem 130 tys., z czego Niemcy miały otrzymać 95 tys. Układ przewidywał ponadto dostawę 30 tys. wagonów jęczmienia i 10 tys. wagonów kukurydzy; połowa miała iść do Niemiec. Niemcy miały w zamian sprzedać Rumunii węgiel, maszyny i niektóre inne wyroby przemysłowe<sup>18</sup>.

W Bukareszcie wciąż ścierała się obawa przed Niemcami i doraźnym z ich ' strony niebezpieczeństwem z przekonaniem o ostatecznym zwycięstwie Koalicji. Układy handlowe uchroniły zapewne Rumunię przed atakiem wojsk Państw Centralnych, którego tak bardzo się obawiała. A były po temu podstawy. W końcu roku 1915 i w styczniu 1916 Niemcy skoncentrowali

na południu Węgier nieco wojska i zamyślali o wystosowaniu do Bukaresztu krótkoterminowego ultimatum, a następnie wkroczeniu do Rumunii w razie nie dość zadowalającej odpowiedzi. Od południa uderzyć mieli Bułgarzy. Do wystąpienia zbrojnego jednakowoż nie doszło. Dostawy, z których Rumuni wywiązywali się bez zarzutu, polepszyły ciężkie w Niemczech i Austrii warunki aprowizacyjne. Ultimatum i interwencja musiałyby przerwać na pewien czas ‘dostawy rumuńskie, to zaś ludność w Niemczech i w Austrii odczułaby dotkliwie.

Rumuni obawiali się zresztą nie tylko Niemców, absorbowało, pochłaniało ich żywo niebezpieczeństwo bułgarskiego odwetu i sprawie tej poświęcali wiele uwagi.

Przez kilka miesięcy ciągnęły się rozmowy Rumunów z przedstawicielami państw Koalicji i z przedstawicielami Państw Centralnych. Bratianu wykazywał tu wielką zręczność, oscylował pomiędzy dwoma nakazami polityki rumuńskiej - nie pozwolić, aby minęła chwila najwłaściwsza do wystąpienia po stronie Koalicji, o której zwycięstwie był przeświadczony, i wystąpić możliwie późno, aby Rumunia poniosła możliwie najmniejsze straty przy możliwie najmniejszym ryzyku.

Na koniec chwila nadeszła - 4 czerwca 1916 r. wojska rosyjskie pod wodzą generała Brusilowa ruszyły do wielkiej ofensywy przeciwko armiom austro-węgierskim. 16 czerwca 1916 r. wkroczyli Rosjanie do Czerniowiec, do końca lipca wojska rosyjskie posunęły się w okolicach Łucka 70 km, w Bukowinie nawet 120

km naprzód. Wydawało się, że droga do Lwowa stała przed Rosjanami otworem. W takiej sytuacji Bratianu zdecydował się rokować z państwami Koalicji na temat traktatu. Rządy państw zachodnich zadziwił postulat rumuński, aby Koalicja nie tylko określiła przyszłe zdobycze (Siedmiogród, Banat, Bukowina), ale najpierw gwarantowała terytorialną integralność Rumunii. Była to obsesyjna nieufność do Rosji ze strony Rumunów pamiętających rok 1878 i aneksję Besarabii. Koalicja żądała, aby Rumunia wypowiedziała wojnę jednocześnie Niemcom, Austro–Węgrom, Bułgarii i Turcji, Rumuni zgodzili się wydać wojnę tylko monarchii habsburskiej. Rządy Państw Koalicji stały na stanowisku, że mogą przystać na aneksję Siedmiogrodu, Banatu i Bukowiny przez Rumunię, jeżeli wojska rumuńskie opanują te kraje. Bratianu wszakże był nieustępliwy, żądał gwarancji bez żadnych warunków czy zastrzeżeń i niewątpliwie miał tu rację, zgoda Koalicji na przyłączenie do Rumunii ziem będących już w jej posiadaniu nie była wielką sprawą. Toteż Koalicja ostatecznie ustąpiła.

Trudniejsze było porozumienie w sprawie konwencji militarnej. Sztab rosyjski żądał, aby uderzenie rumuńskie skierowało się przeciwko Austro–Węgrom i poszło na Siedmiogród. Sztab francuski domagał się, aby Rumuni podjęli ofensywę przeciwko Bułgarii, Bułgarię jednocześnie zaatakowałyby armia francuska skoncentrowana w okolicach Salonik. Ostatecznie i tu przeważył rumuński punkt widzenia.

17 sierpnia 1916 r. podpisano w Bukareszcie układ polityczny i konwencję militarną pomiędzy Rumunią i państwami Koalicji. Układ polityczny stanowił, że Rumunia wypowie wojnę Austro–Węgrom, w zamian Koalicja gwarantowała jej integralność terytorialną oraz znaczne powiększenie królestwa przez włączenie Siedmiogrodu, Banatu i Bukowiny; państwa sprzymierzone obiecywały nie zawierać pokoju póki postulaty rumuńskie nie zostaną zrealizowane. Konwencja militarna zobowiązywała Rumunię do wszczęcia działań wojennych przeciwko monarchii habsburskiej w dniu 28 sierpnia 1916 r. z tym wszakże zastrzeżeniem, iż trzy dni przedtem wojska francuskie i brytyjskie rozpoczną z Salonik ofensywę przeciwko Bułgarom. Ponadto Rosja obiecała wysłać 50 tys. żołnierza do Dobrudży dla ochrony Rumunii przed wojskami bułgarskimi.

W Wiedniu i w Berlinie orientowano się nieźle w sytuacji. Taktyka dyplomacji austriackiej i niemieckiej polegała na onieśmieleniu Rumunów i na dość mglistych obietnicach niewielkich cesji terytorialnych w Bukowinie w zamian za neutralność.

27 sierpnia 1916 r. pod przewodnictwem króla Ferdynanda zebrała się Rada Koronna. Bratianu w taki sposób umotywowował potrzebę czynnego opowiedzenia się Rumunii po stronie państw Koalicji: w wojnie na wyczerpanie, na przetrzymanie - dowodził - zwyciężą ci, którzy mają większe rezerwy. Zawiadomił też zgromadzonych przywódców partii politycznych, że powziął wobec Koalicji zobowiązania wiążące. Więk-

szość członków Rady wyraziła zgodę. Z wątpliwościami wystąpili dwaj byli premierzy Alexandra Marghiloman i Tytus Maiorescu. Ich zdaniem zwycięstwo Koalicji nie jest bynajmniej kwestią przesądzoną, jakże więc można ryzykować losy kraju? Z gwałtowną opozycją wystąpił dawny prezes ministrów Petru Carp. Wołał, że pragnie przegranej, gdyż zwycięstwo u boku Rosji oznaczałoby ruinę Rumunii. Był to ten sam Carp, który niegdyś na powiedzenie posła rosyjskiego Poklewskiego, że upatruje w nim największego w Rumunii germanofila, odpowiedział: „Pan się myli, nie jestem germanofilem, jestem tylko wrogiem Rosji”.

Tegoż jeszcze dnia o 8<sup>30</sup> wieczorem poseł rumuński w Wiedniu Edgar Maurocordato wręczył na *Ballplatzu* akt wypowiedzenia wojny. Od 28 sierpnia 1916 r. od godziny 9 rano Rumunia będzie w stanie wojny z monarchią habsburską. Niemcy zareagowały natychmiast i 28 sierpnia wypowiedziały wojnę Rumunii, w ślad za tym poszły deklaracje wojenne Turcji - 30 sierpnia i Bułgarii - 1 września.

Przez Niemcy przeszła fala oburzenia. W Rumunach widziano zdraдлиwego sojusznika. Rzucone w armii i w społeczeństwie hasło brzmiało: „Niech Bóg skarżę Anglię, Włochy ukarzą się same, Rumunię zaś my ukarzymy”.

A jak na wojnę z Rumunią zareagowano na szczytach hierarchii niemieckiej? Impulsywny i zmienny, nastrojowy Wilhelm II wpadł chwilowo w panikę i posępnie zwierzył się swemu najbliższemu otoczeniu: „To oznacza koniec wojny. (...) Austria będzie musiała za-

wrząc pokój, a wtedy i my musimy myśleć o pokoju”. Spokojny, opanowany, o żelaznych nerwach Hindenburg zupełnie inaczej przyjął złą wiadomość, wzruszył ramionami i rzekł: „Gdyby żył jeszcze feldmarszałek von Moltke, powiedziałby: «Teraz historia zaczyna być interesująca»”.

Niemiecki pełnomocnik przy austro-węgierskiej Naczelnej Komendzie Armii generał A. von Cramon tak ocenił wystąpienie Rumunii: „Rumuni, którzy nie chcieli walczyć tylko brać, uznali, że nadeszła ich godzina. Ale przyszli zbyt późno, aby wpłynąć na rozstrzygnięcie ofensywy Brusilowa, i mimo wszelkich wyliczeń zbyt wcześnie, aby się nie dać wciągnąć do walki”.

Austriak Josef Redlich zanotował w swym dzienniku 28 sierpnia: „Także i ten najeżony lud bastardów ruszył przeciwko nam na wyprawę zbójczą. Wszyscy są tu zewnętrznie bardzo spokojni”.

We Francji wystąpienie Rumunii wzbudziło nieopisany entuzjazm. W wydarzeniu tym upatrywano nie tylko wzmocnienie Koalicji, ale i oznakę zbliżającego się zwycięstwa.

Jakimi niebezpieczeństwami zagroziło Państwu Centralnym wystąpienie Rumunii? Jaki pożytek, jakie korzyści odniosła z interwencji rumuńskiej Koalicja?

W czasie pokoju armia rumuńska liczyła 105 tys. ludzi. W ciągu dwóch pierwszych lat wojny Rumunia podwoiła liczebność swej armii, ale nie podniosła jej sprawności bojowej. Armie państw walczących wciąż doskonaliły swój sprzęt bojowy, armia rumuńska pod

tym względem reprezentowała poziom pierwszych lat XX w. Tylko niektóre dywizje piechoty wyposażono w karabiny maszynowe i to zaledwie po dwa na batalion, nie było moździerzy, przestarzały sprzęt miała artyleria. W chwili wypowiedzenia wojny armia rumuńska posiadała zapas amunicji na sześć tygodni, z tego część zniszczył wybuch w arsenale bukareszteńskim; dostawy sprzętu bojowego z państw Koalicji były niższe niż zapowiadano. Dużo do życzenia pozostawiała zarówno organizacja armii, jak i poziom wykształcenia wojskowego korpusu oficerskiego. Słabo rozwinięta sieć kolejowa opóźniała i utrudniała ruchy wojska i dostawy. Sytuacja strategiczna Rumunii była niepomysłna - terytorium o kształcie odwróconej litery L, część dolną stanowiła Wołoszczyzna, wciśnięta pomiędzy Węgry i Bułgarię. Taki kształt kraju dawał bardzo niekorzystne długie granice kraju. Stolica znajdowała się blisko granicy bułgarskiej.

## **57. Kampania rumuńska**

Poseł Austro–Węgier w Rumunii Ottokar Czernin na kilka dni przed przystąpieniem Rumunii do wojny zapowiedział królowej rumuńskiej Marii, że Bułgarzy wcześniej będą w Bukareszcie niż Rumuni w Budapeszcie.

Powiedzenie to obrazuje sytuację militarno–polityczną Rumunii: przeciwnik na zachodzie - monarchia habsburska, przeciwnik na południu - Bułgaria. W którą stronę pójdzie uderzenie rumuńskie? Anglicy doradzali silny atak na Bułgarię i wzięcie jej w dwa



ognie pomiędzy armię francusko–brytyjską w Salonikach i armię rumuńską nacierającą od północy. Rosjanie natomiast zalecali uderzenie na Siedmiogród. Względy polityczne przeważyły, zapadła decyzja ofensywy na Siedmiogród, jego zdobycie było przecież głównym celem wojennym Rumunii.

W nocy z 27 na 28 sierpnia 1916 r. trzy armie rumuńskie, razem ponad 400 tys. żołnierza, rozpoczęły atak na Siedmiogród z planem dalszego marszu na Budapeszt i na Banat. 30 sierpnia osiągnęli Rumuni linię Kronstadt (Braszów)–Nagyszeben (Sybin)–Orsova. Na froncie bułgarskim mieli Rumuni pozostawać na razie w defensywie do czasu przybycia do Dobrudży obiecanej pomocy rosyjskiej i do czasu, gdy rozpocznie działania „armia wschodnia”, francusko–brytyjska; Bułgaria byłaby wzięta wówczas w dwa ognie.

Łatwość, z jaką Rumuni wdarli się na terytorium Siedmiogrodu, najdalej w głąb na 130 km, może dziwić, ale słabe siły austriackie rozrzucone na granicy nie stawiały oporu, graniczne umocnienia fortyfikacyjne, wzniesione w 1878 r., uległy zniszczeniu, wbrew pozorom zalesione góry można było przejść bez większego wysiłku nie tylko wytyczonymi drogami.

Nieoczekiwane ciosy zadane ręką lekceważonego przeciwnika sprawiły w Wiedniu znaczne wrażenie, zaczęto już mówić o wycofaniu się wojsk austro–węgierskich na linię rzeki Maruszy.

Nastroje te zmieniły się niebawem. Austriacy, wspomagani przez Niemców, ruszyli do kontrofensywy.

Niemcy już w lipcu 1916 r. uważali wystąpienie Rumunii za sprawę najbliższych dni czy tygodni. 28 lipca w Kwaterze Głównej w Pszczynie odbyła się narada niemiecko–austriacko–bułgarska: w jej wyniku powstał plan operacji przeciwko Rumunom. Przewidywał on: a) demonstracyjne działanie wojsk niemieckich i austriackich na północy, aby związać możliwie znaczne siły rumuńskie, b) uderzenie Bułgarów na mosty na Dunaju pod Tutrakanem i pod Silistrią, aby osłaniać prawe skrzydło głównej armii, c) przygotowanie głównych sił do przejścia przez Dunaj pod Nikopolem i podjęcie ofensywy na Bukareszt. Wkrótce później Enver Paşa podczas wizyty w Budapeszcie zgłosił udział wojsk tureckich w walkach przeciwko Rumunom.

28 sierpnia 1916 r. feldmarszałek August Mackensen objął dowództwo wojsk niemieckich, austro–węgierskich, bułgarskich i tureckich zgromadzonych w Dobrudży i na południe od Dunaju, i otrzymał rozkaz możliwie szybko ruszyć do ataku.

Kampania rumuńska zmusiła dowództwo niemieckie i austriackie do ściągnięcia potrzebnego żołnierza skąd się tylko dało; był to krok ryzykowny, ale dał dobre wyniki.

Pierwsze wielkie uderzenie przeciwko Rumunom poszło z południa. Na rozkaz Hindenburga zmieniono nieco pierwotny plan i główny atak ruszył z Dobrudży. 2 września Niemcy, Bułgarzy i Turcy, zaopatrzeni w broń nie znaną dotąd Rumunom, jak miotacze min, dowodzeni przez Mackensena, wtargnęli do Dobrudży i posunęli się 60 km naprzód, wkrótce wszakże okrzepł

opór rumuński i dopiero w końcu października wojska sprzymierzone opanowały ważną linię Cernavoda–Konstanca. Pomiedzy 23 i 27 listopada Niemcy i Bułgarzy przekroczyli Dunaj w kilku miejscach i połączyli się z postępującymi od Siedmiogrodu wojskami niemieckimi i austro–węgierskimi.

Po sukcesach niemieckich i bułgarskich na południu nastąpiły sukcesy niemieckie i austriackie w Siedmiogrodzie. Rumuni nie wyzyskali swych pierwszych powodzeń i nie zdołali przeszkodzić koncentracji wojsk austro–węgierskich w okolicach Marosvasarhely (obecnie Tîrgu–Mureș), a niemieckich w rejonie Kronstadt–Sybin. Tu rozegrały się dwie wielkie bitwy - 26–29 września pod Nagyszeben i 7–9 października pod Kronstadt. Był to duży sukces, w ciągu trzech tygodni wojska Państw Centralnych wyparły Rumunów z Siedmiogrodu i odrzuciły je za łańcuch górski Karpat Południowych. Ale niebezpieczeństwo rumuńskie nie zostało jeszcze zupełnie usunięte. Należało zniszczyć armię rumuńską, zająć Rumunię czy większą jej część i zapewnić sobie bogactwa tego kraju - zboże i naftę. Nie zważając na nadejście pory roku mało sprzyjającej działaniom wojennym w górach, dowództwo niemieckie postanowiło kontynuować walkę. W dniach 10–14 listopada wojska niemieckie i austro–węgierskie przeszły łańcuch górski przełęczami Surduc i Vulcan, wdarły się na Wołoszczyznę i w dniach 1–5 grudnia rozbiły armię rumuńską w bitwie nad rzeką Ardzesz. 6 grudnia 1916 r. wojska Państw Centralnych wkroczyły do Bukaresztu.

Pierwsze dni stycznia 1917 r. przyniosły Niemcom, Austriakom i Bułgarom nowe zwycięstwa w Dobrudży, pod Fokszanami i nad Putną. W połowie stycznia 1917 r. południowa część Mołdawii i cała Wołoszczyzna, a wraz z nimi rumuńska nafta i rumuńska pszenica znalazły się w rękach niemieckich. Król i rząd rumuński osiedli w Jassach. Latem 1917 r. pośród walk w pomocnej Mołdawii i w Bukowinie wojska Państw Centralnych odniosły dalsze sukcesy i postąpiły naprzód.

W dniu 10 grudnia 1917 r. stanął rozejm z Rumunią.

Kampania rumuńska była niewątpliwie świetnym zwycięstwem Niemców i Austriaków; wykazała talenty wodzowskie Falkenhayna, i Mackensena, i wodza austriackiego Arza. Ale jakie owoce przyniosło zwycięstwo militarne i czy rzeczywiście wzmocniło Państwa Centralne? Pod względem gospodarczym niezawodnie tak, jak również pod względem politycznym. Inaczej wyglądała sprawa z wojskowego punktu widzenia. Armia rumuńska została poważnie osłabiona, ale nie została zniszczona. Rumuni wycofali się za Seret; przybyła później misja wojskowa francuska podjęła prace nad reorganizacją armii rumuńskiej. Dla Państw Centralnych było to wciąż potencjalne niebezpieczeństwo.

Rzecz charakterystyczna, że w Niemczech szerzył się pogląd, iż działania wojenne przeciwko Rumunii to raczej wyprawa po żywność, raczej ekspedycja aprowizacyjna niż wojskowa.

Rumuni oburzali się na Rosjan, zarzucali im brak pomocy. Rosjanie z kolei nie kryli lekceważenia czy

pogardy dla Rumunii, która zachowywała neutralność, gdy wojska rosyjskie toczyły ciężkie walki w 1915 r. i latem 1916, a ruszyła do boju wtedy dopiero, gdy Rosjanie mogli dać armii rumuńskiej ochronę.

## 58. Grudniowe propozycje Państw Centralnych

19 sierpnia 1916 r. zebrała się pruska rada ministrów. Prezes ministrów Theobald von Bethmann Hollweg, pełniący zarazem funkcję kanclerza Rzeszy, przedstawił sytuację państwa. Położenie militarne uznał za „ciężkie i poważne, ale nie groźne”. Na zachodzie - wywodził Bethmann - można mieć pewność, że Francuzi i Anglicy nie zdołają przełamać frontu; mogą posunąć się jeszcze kilka kilometrów naprzód, ale frontu nie przełamią. Na froncie wschodnim po krytycznych czerwcowych dniach ofensywy Brusilowa sytuacja uległa poprawie. Na froncie włoskim nad Isonzo stan rzeczy był krytyczny, obecnie wszakże bezpieczeństwo wydaje się zapewnione, chociaż ofensywa włoska nie osiągnęła jeszcze punktu szczytowego. W każdym razie stosunki w armii austro-węgierskiej - dowodził dalej premier-kanclerz - budzą obawy. Jednakże do ministerstwa wojny w Wiedniu zostali ostatnio odkomenderowani oficerowie niemieccy, a to pozwala mieć nadzieję, że organizacja zostanie usprawniona.

Dla oceny sytuacji międzynarodowej ważne jest stanowisko Rumunii, której politykę przyrównać można do postępowania sępa. Rumunia przechyliła się na stronę Koalicji, chociaż nie wiadomo, czy zawarła już

wiążące układy. Możliwości pokojowe nie są wielkie, nie skłania się ku pokojowi Francja, daleka jest od chęci jego zawarcia Wielka Brytania, stanowisko Rosji natomiast pozostaje niepewne, dymisja Sazonowa i wzmocnienie sił reakcyjnych w rządzie jest zjawiskiem dla Niemiec pomyślnym.

Premier–kanclerz zajął się również bliżej postawą społeczeństwa niemieckiego. Najpoważniejsze trudności gospodarcze - stwierdził - zostały już przezwyciężone i dlatego można żywić nadzieję, że nie wystąpi w naszym narodzie spadek ducha bojowego skutkiem stosunków gospodarczych. Nie można wszakże zamykać oczu na to, że w społeczeństwie rośnie tęsknota do pokoju”. Interesujące spostrzeżenie uczynił w dyskusji minister rolnictwa: generałowie na froncie nie kryli się z poglądem, że żołnierze z wszelką pewnością spełniają obowiązek, ale jeśli jutro padnie hasło „do domu”, będą się radowali bez względu na wynik wojny.

Taka pruska ocena sytuacji była podstawą do podjęcia przez rząd Rzeszy akcji na terenie międzynarodowym. Ze szczególną uwagą spoglądano na dwie stolicy - na Wiedeń z obawą, z nadzieją na Piotrogród.

Znad Dunaju płynęły nad Sprewę coraz to nowe informacje o niepokojącym stanie rzeczy w sprzymierzonej monarchii podwójnej. 16 sierpnia 1916 r. kanclerz pisał do cesarza o „przerażającej słabości Austrii”. Pesymistyczny raport o silnym wśród Austriaków dążeniu do zakończenia wojny wysłał z Wiednia 19 sierpnia ambasador von Tschirschky. W ręce niemieckie wpadł również zdumiewający memoriał, którego autorem był

osławiony później Ottokar Czernin, wówczas poseł Austro–Węgier w Bukareszcie. Czernin wyszedł z założenia, że przedłużenie wojny wiedzie „z matematyczną pewnością” do całkowitej klęski Państw Centralnych i ich sprzymierzeńców. Dlatego Państwa Centralne powinny zakończyć wojnę „w fazie militarnie pomyślnej” nawet „z wielkimi ofiarami”. Ofiary miały polegać na tym, że Państwa Centralne wyrzekłyby się wszelkich nabytków terytorialnych, a także odszkodowań wojennych. Z austriackiego punktu widzenia znaczyłoby to, że Serbia wyjdzie z wojny wprawdzie bez strat terytorialnych, ale osłabiona przynajmniej na okres dwóch pokoleń. Pesymistyczną ocenę sytuacji i pesymistyczne wnioski zamykał Czernin zaskakującą konkluzją: „Austro–Węgry zyskają nieskończenie wiele przez sam fakt, że wykażą zdolność życia (*Lebensfähigkeit*)”. Prawdziwy to łamaniec myślowy, godny autora.

W służbie państwowej Czernin zajmował stanowisko drugoplanowe, ale było sprawą ogólnie znaną, że należał do kręgu bliskich współpracowników arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i był bodaj upatrzony przez niego na ministra spraw zagranicznych. Istotnie, został ministrem w kilka tygodni po wstąpieniu na tron cesarza Karola. W Berlinie nie można więc było zbagatelizować jego poglądów.

W takich warunkach Niemców niepokoiła możliwość zawarcia przez Austro–Węgry pokoju odrębnego. Byli wprawdzie przekonani, że nie pozwoli na taki krok lojalność cesarza Franciszka Józefa, uspokajała ich okoliczność, że c. i k. minister spraw zagranicznych

Burian ustawicznie nalegał na ostateczne powzięcie decyzji w sprawie polskiej, co wykluczało możliwość porozumienia z Rosją, ale ewentualnej utraty sprzymierzeńca nie lekceważyli.

Jeżeli Niemcy spoglądali z niepokojem na niepewnego sprzymierzeńca nad Dunajem, to krzepili się nieco nadzieją obserwując rozwój wydarzeń u przeciwnika nad Newą. Czy zmęczenie wojną, które coraz szerzej ogarniało społeczeństwo rosyjskie, czy postępujący rozkład maszyny państwowej zmurszałego, chylącego się do upadku caratu skierować mogą rosyjskie koła rządowe do zakończenia wojny pokojem odrębnym? Takie pytanie zadawano sobie w Berlinie. Pytanie logiczne i uzasadnione.

Wilhelm II widział drogę do pokoju z Rosją w dynastycznej solidarności trzech cesarzy wobec rządów adwokatów w państwach zachodnich. Argument taki mógł działać na cara i na „sfery”, tzn. koła dworskie i arystokratyczne w Piotrogradzie, nie wystarczały, aby do zasadniczej zmiany polityki skłonić państwo rosyjskie.

Politycy, dyplomaci, generałowie widzieli kwestię, rzecz prosta, inaczej i innymi środkami zmierzali do celu. Jak po upadku Bismarcka mówiono, aby nie zrywać „drotu do Petersburga”, tak teraz żądano, aby nie dopuścić do zerwania nawiązanych już słabych powiązań z Piotrogradem, do czego - pamiętamy - zmierzały intrygi osób prywatnych, przeważnie ze świata wielkiej finansjery. Latem 1916 r. wiązano nadzieje z osobą niejakiego Rubinsteina w Piotrogradzie, ale ku rozczaro-



waniu kanclerza osobnik ten został przez władze rosyjskie internowany, nie wiadomo zresztą z jakiego powodu.

W 1916 r. w kołach rządowych Berlina sądzono, że sprawa pokoju z Rosją zaczyna wchodzić na drogę realizacji.

W stosunkach rosyjsko–niemieckich dwie kwestie odgrywały rolę kluczową, węzłową: sprawa polska i rywalizacja pomiędzy Berlinem a Petersburgiem na Bliskim Wschodzie. W publicystyce i w nauce niemieckiej długo utrzymywał się pogląd, a powraca on jeszcze gdzieś i dziś, że porozumienie z Rosją sami Niemcy sobie uniemożliwili ogłaszając 5 listopada 1916 r. niepodległość Polski. Było odwrotnie, akt 5 listopada wydali Niemcy dopiero wtedy, gdy stwierdzili, że pokoju odrębnego z Rosją nie da się zawrzeć.

Latem i wczesną jesienią 1916 r. dyplomaci i agenci niemieccy żywo się krzątali dokoła nawiązywania kontaktów wiodących nad Nową. Zabiegano o to w Sztokholmie, gdzie działał rzutki poseł baron Hellmuth Lucius von Stoedten, zarzucano sieci i w samym Piotrogradzie. Nie była to sprawa ani łatwa, ani prosta, bo od Rosji żądano wiele, a niewiele chciano jej ofiarować. Toteż pruscy statyści łamali sobie głowę nad problemem, który był istną kwadraturą koła. Rzecz znamienna, a nierzadka, jak sprzeczne wydawano tu sądy. „W ciągu całej naszej historii nigdy nie mieliśmy Rosjanom tyle do ofiarowania, ile w roku 1916” - pisał admirał von Tirpitz. „Porozumienie z Rosją jest utrudnione, nie możemy bowiem poczynić jej wiele

ustępstw, gdyż związały nam ręce nasze sojusze z Turcją i Bułgarią” - pisał 16 września 1916 r. Fritz Thyssen do Erzbergera. Thyssen znalazł z tej trudności wyjście oryginalne, pragnął mianowicie podarować Rosji Narwik, należący nie do Niemiec, lecz do Norwegii. Zapewni to Rosji wyjście na morze, ale dla Niemiec będzie ciężką ofiarą z uwagi na tamtejsze wielkie kopalnie rudy. Lecz gdy Rosja otrzyma „upragniony port morski na brzegach Norwegii”, będzie skłonna odstąpić Niemcom Kurlandię z Rygą. Jak widać, Thyssen miał poglądy bardzo interesujące.

Nie w Narwiku wszakże i nie w Norwegii, lecz w Konstantynopolu i w sprzymierzonej Turcji upatrywano drogę do pozyskania Rosji dla pokoju odrębnego. We wszystkich poufnych rozmowach na ten temat pomiędzy Niemcami a Rosją zasadniczą rolę odgrywała kwestia Cieśnin. Niemcy rozumieli dobrze, iż pozyskanie rządu carskiego wymaga znacznych ustępstw nad Bosforem. Ustępstwa te zaś były sprzeczne nie tylko ze zobowiązaniami sojuszniczymi Niemiec wobec Turcji, ale - co dużo ważniejsze - z interesami niemieckimi na wschodzie. Rzecz wydawała się więc kwadraturą koła. Pokuszono się wszakże o jej rozwiązanie.

Niemieckie plany warunków pokojowych, którymi usiłowano mieć Rosję, ustaliły się mniej więcej latem 1916 r. w taki sposób: część Armenii tureckiej, zajęta przez wojsko rosyjskie, miała zostać przyłączona do Rosji. Odszkodowanie dla Turcji projektowano uzyskać w zachodnich częściach Persji. Konstantynopol i Cieśniny miały pozostać pod panowaniem tureckim, ale

jako teren zneutralizowany; poczytywano to za znaczne ustępstwo na rzecz Rosji.

Było sprawą oczywistą, że głównym jeśli nie jedynym beneficjentem pokoju zawartego na takich warunkach byłyby Niemcy. Niemcy bowiem umocniłyby swoje wpływy w Turcji, rozszerzyłyby je jeszcze na wschód ku Persji, Rosji dałyby ułudę upragnionego sukcesu nad Bosforem, a w zamian uzależniłyby ją od siebie zarówno politycznie, jak i gospodarczo. Rząd Rzeszy dość długo trwał przy swych rachubach na tajne porozumienie z caratem i pokój odrębny. Jeszcze w końcu września 1916 r. żywiono w Berlinie najlepsze co do tego nadzieje. Świadczy o tym mowa kanclerza wygłoszona w parlamencie 28 września zawierająca ostry atak na Wielką Brytanię, bez wzmianki o Polsce. Zapewne dopiero w połowie października sytuacja wyjaśniła się o tyle, że Bethmann i Jagow uznali próby nawiązania stosunków z Rosją za sprawę nierealną.

Wówczas powrócono do przerwanych chwilowo układów z Austriakami na temat sprawy polskiej oraz przystąpiono do rozważania warunków pokojowych, które można by przedstawić rządowi państw neutralnych.

O ustalenie warunków przyszłego pokoju, o podjęcie inicjatywy pokojowej zabiegał usilnie c. i k. minister spraw zagranicznych baron Burian. „Powinniśmy byli - napisze Burian w pamiętnikach - trzymać w jednym ręku miecz, w drugim gałązkę oliwną. Błysk miecza nie może przysłonić gałązki oliwnej, przeciwnie

powinien ją wyraźniej pokazać. Gałązka oliwna to cel, miecz to tylko środek”.

Stary biurokrata sięgnął po laury poetyckie, aby podkreślić swe pacyfistyczne zamysły i dążenia. Były one niewątpliwie szczere, minister dobrze zdawał sobie sprawę z ciężkiego położenia Austro–Węgier, widział też, że monarchia habsburska budzi w świecie mniej nieufności niż Niemcy, że więc Wiedniowi łatwiej będzie niż Berlinowi nawiązać nici dialogu z przeciwnikiem. Drogą wiodącą do nawiązania tych nici była - zdaniem Buriana - „konkretna oferta pokojowa” ogłoszona we właściwej chwili. Właściwą, odpowiednią chwilę dojrzał minister jesienią 1916 r. po odparciu na wschodzie i na zachodzie ofensyw letnich i po pierwszych zwycięstwach odniesionych nad Rumunami. Tak więc Burian przybył 18 października 1916 r. do niemieckiej Kwatery Głównej w Pszczynie, aby „podczas kilku spokojnych godzin wieczornych gruntownie omówić ówczesną naszą sytuację wojenną z Bethmannem Hollwegiem”.

Trudne położenie gospodarcze Państw Centralnych - skutek blokady - ciężkie walki, które trzeba będzie podjąć wiosną, a które także i w przypadku powodzenia nie przyniosą końca wojny, wreszcie powszechna tęsknota za pokojem widoczna wśród narodów Państw Centralnych, a zapewne także i w narodach państw Koalicji - wszystko to pozwalało, zdaniem Buriana, wystąpić publicznie z inicjatywą pokojową. Dawała ona niezawodnie widoki na powodzenie; nawet odmowa Koalicji wszczęcia rokowań nie przyniosłaby szkody,

świat ujrzałby, że Państwa Centralne zmuszone są walczyć wbrew woli.

C. i k. minister zaproponował kanclerzowi Rzeszy następujący *modus procedendi*: za pośrednictwem rządów państw neutralnych przedstawić rządowi Koalicji „umiarkowane propozycje pokojowe” i równocześnie podać je do wiadomości publicznej. Własnym narodom wyjaśniono by „w zrozumiałej formie” cele wojenne, za które walczą, rządowi nieprzyjacielskim odebrano by możliwość oskarżenia Państw Centralnych o wrogie dążenia.

„Umiarkowane propozycje pokojowe” w ujęciu Buriana tak wyglądały: 1) pełna integralność czterech państw sprzymierzonych, tzn. Austro–Węgier, Niemiec, Bułgarii i Turcji, 2) zwrot kolonii niemieckich, 3) pełna integralność terytorium Francji, 4) przywrócenie niepodległości Belgii jako państwa suwerennego z zawarowaniem „uprawnionych interesów Niemiec”, 5) aneksja Konga przez Niemcy, 6) drobne korektury o charakterze strategicznym na granicy Austrii z Włochami (szczyty górskie), 7) uznanie niepodległego Królestwa Polskiego, 8) korektury o charakterze strategicznym na granicy niemiecko–rosyjskiej; nie były one małe, Burian bowiem wymienił tu Kurlandię i Litwę jako „poprawki graniczne”. Zupełnie nieznaczne korektury graniczne na korzyść Austro–Węgier, 9) korektury graniczne od strony Rumunii, w szczególności Żelazne Wrota, 10) „rozszerzenie” Bułgarii kosztem Serbii i Rumunii (Dobrudża), 11) przywrócenie niepodległości Serbii wszakże z cesjami terytorialnymi na rzecz

Austro–Węgier, Bułgarii i Rumunii, 12) przywrócenie niepodległości Czarnogóry z cesjami terytorialnymi na rzecz Austro–Węgier i Albanii, 13) niepodległość Albanii pod protektoratem austriackim, 14) zniesienie kapitulacji w Turcji, 15) przyznanie Rosji prawa przejazdu jej okrętów przez Cieśniny, 16) przywrócenie integralności terytorialnej Grecji, 17) Koalicja wyrzeknie się wszelkich postanowień, które miały na celu przeszkodzić przywróceniu normalnych stosunków gospodarczych pomiędzy przeciwnikami. Wolność mórz.

Austriacki plan propozycji pokojowych świadczył o innym zupełnie stosunku do państw zachodnich, innym zaś do Rosji. Państwom zachodnim proponowano właściwie *status quo ante bellum* z pewnymi odchyleniami - interesy niemieckie w Belgii, aneksja Kongo. Od Rosji natomiast żądano ustępstw i to znacznych: Królestwo, Kurlandia, Litwa, wycofanie się z Półwyspu Bałkańskiego, w zamian za to ofiarowywano swobodę przejazdu przez Cieśniny.

Plany Buriana skwapliwie przyjął Bethmann Hollweg. Kanclerz od miesięcy nosił się z podobnymi zamysłami, ale jak dotąd dawał im publicznie wyraz jedynie w mowach parlamentarnych. Z propozycjami pokojowymi nie występował oficjalnie na drodze dyplomatycznej w obawie, aby kroku takiego nie poczytano za dowód słabości Państw Centralnych. Teraz, jesienią 1916 r., te względy straciły na znaczeniu, lęk przed trzecią zimą wojenną był widoczny u wszystkich narodów walczących. Bethmann Hollweg stwierdził wówczas, że po dwóch latach wojny „ocena sytuacji mili-

tarnej pozbawiona złudzeń” wskazywała, iż pokój zostanie zawarty na podstawie rokowań; w takim razie jeśli Niemcy wystąpią z inicjatywą pokojową, ich „wola porozumienia” wzmocni w krajach Koalicji żywioły usposobione pokojowo. Podobnie i spora część narodu niemieckiego przejawiała dążenie do pokoju. Przytłumienie tych dążeń głośzeniem wielkich celów wojennych uznał kanclerz za złudzenie, był natomiast przeświadczony, że skutecznym sposobem wzmocnienia w narodzie niemieckim „woli przetrwania” będzie wyciągnięcie do przeciwnika ręki z propozycją zawarcia „honorowego pokoju”.

Podobnie jak Burian był więc i Bethmann Hollweg zdania, że przyszedł czas, aby Państwa Centralne wystąpiły oficjalnie z inicjatywą pokojową. Najpierw kanclerz zapewnił sobie poparcie cesarza, a następnie pospieszył do Pszczyzny, aby, co było sprawą trudniejszą i ważniejszą, uzyskać zgodę Naczelnego Dowództwa. Na konferencji 26 października Hindenburg i Ludendorff wyrazili zgodę na wszczęcie przez Państwa Centralne kroków pokojowych. Ludendorff był wszakże zdania, że Wielka Brytania nigdy nie da się skłonić do pokoju zabiegami dyplomatycznymi; może dlatego właśnie nie sprzeciwił się podjęciu przez rząd Rzeszy inicjatywy pokojowej.

Pomiędzy Wiedniem i Berlinem rozpoczęły się rozmowy. W obu stolicach widziano celowość inicjatywy pokojowej, różnica zdań istniała jedynie w kwestii, jaką obrać praktykę. Burian sądził, że oferta pokojowa bez konkretnych warunków pokojowych zostanie

poczytana za dowód słabości Państw Centralnych i chybi celu. Odwrotnie, Bethmann Hollweg mniemał, że dla Państw Centralnych konkretyzować warunki to wiązać sobie ręce, Koalicji zaś ułatwić odmowę pod pozorem, że warunki te są nazbyt wygórowane. Zdaniem kanclerza mocno powiedziane słowo „pokój” tak dalece wzmocni gorące u wszystkich narodów pragnienie zakończenia wojny, że rządy państw nieprzyjacielskich znajdą się w sytuacji przymusowej i nie będą miały innego wyboru tylko przyjąć propozycje Państw Centralnych i rozpocząć rokowania pokojowe.

Wzgląd na taktykę w rozumieniu Bethmanna Hollwega niewątpliwie odgrywał pewną rolę, ale przeważał bodaj wzgląd zasadniczy, niechęć, a może nawet niemożność pełnego odsłonięcia niemieckich celów wojennych przed własnym społeczeństwem. Rząd niemiecki, który ujawniłby warunki pokoju, tzn. odsłoniłby cele wojenne Rzeszy, rozpętałby w narodzie niemieckim burzę. Jednym warunki pokoju wydałyby się zbyt skromne, innym nazbyt wygórowane. Wielka burżuazja, junkrzy, imperialiści wszelkich odcieni stawiali cele idące tak daleko, że można by je zrealizować jedynie po powaleniu na obie łopatki przeciwników i na wschodzie, i na zachodzie. Ale byli przecież liczni Niemcy, którzy szczerze wierzyli w obronny charakter wojny, trudny do pogodzenia z rozległymi aneksjami, nawet gdyby je nazwać skromnie poprawkami granicznymi.

Trudności uzgodnienia poglądów wynikały również z odmiennych sytuacji, w jakich znajdowały się



państwa Czwórprzymierza. Najlepiej stały Niemcy, utraciły wprawdzie posiadłości zamorskie, ale w Europie wojska niemieckie okupowały prawie całą Belgię, część Francji i część Cesarstwa Rosyjskiego. W podobnym położeniu byli Bułgarzy, wtargnęli bowiem do Serbii i do Rumunii. Gorsza była sytuacja Austro-Węgier - Włosi zajęli Gorycję i Doberdo, Rosjanie część Galicji Wschodniej i Bukowiny. Niedobra była również sytuacja Turcji, utraciła bowiem Mezopotamię i Armenię. Zważyć także trzeba, że wojna dotkliwiej ugodziła w monarchię habsburską i bardziej ją osłabiła niż Niemcy, zmęczenie wojną silniej dawało się odczuć wśród ludów monarchii niż w Niemczech. Austriacy więc bardziej niż Niemcy dążyli do zawarcia pokoju, ale napotykali na tej drodze większe niż Niemcy trudności.

Celem usunięcia czy pomniejszenia tych trudności odbyła się w Berlinie w dniach 15 i 16 listopada 1916 r. narada pomiędzy kanclerzem Bethmannem, sekretarzem stanu spraw zagranicznych Jagowem i jego zastępcą Zimmermannem ze strony niemieckiej a Burianem, c. k. ambasadorem w Berlinie Gottfriedem Hohenlohem i ambasadorem Kayetanem Mereyem ze strony austriackiej. Głównym mówcą był baron Burian. Obszernie i gruntownie wyłożył austro-węgierski punkt widzenia. Warunki austriackie podzielił minister na dwie grupy. Grupę pierwszą tworzył warunek zasadniczy - „przywrócenie terytorialnej integralności monarchii i umocnienie naszej pozycji nad Adriatykiem”. Burian podkreślił z mocą, że pozycja monarchii

nad Morzem Adriatyckim to także „sprawa niemiecka”. Postulowane natomiast korektury graniczne „nie we wszystkich punktach” przedstawiają interes takiej wagi, aby dla ich realizacji trzeba było prowadzić dalej wojnę. C. i k. minister dał więc najpierw swym niemieckim gospodarzom lekcję umiarkowania, po czym „z przyjaźnią sprzymierzeńca i szczerością nakazaną przez obowiązek” usiłował ich przekonać, że niektóre postulaty niemieckie, zwłaszcza te, które dotyczą Francji i Belgii, nie są możliwe do zrealizowania.

Bethmann Hollweg i Jagow, a nawet bardziej wojowniczy Zimmermann, nie wykazywali w rozmowach zbyt wielkiego optymizmu, może dlatego właśnie pragnęli zachować pewną swobodę działania i sprzeciwiali się nazbyt wyraźnemu formułowaniu wobec Koalicji warunków pokojowych. Kanclerz przyznawał, że sprzymierzeni powinni w ogólnym zarysie uzgodnić je pomiędzy sobą, ale był nadal przeciwny podaniu ich do wiadomości publicznej.

Burian dyskusję zreasumował w ten sposób, że ponieważ Państwa Centralne dążą do „pokoju porozumienia”, ministrowie powinni poważnie przemyśleć, z jakich postulatów należy zrezygnować jako możliwych do osiągnięcia jedynie w przypadku pełnego zwycięstwa.

I tu od razu pojawiły się rysy na solidnym, wydawałoby się, gmachu przymierza austro–niemieckiego. Rząd Rzeszy głosił stanowczo, że podczas rokowań pokojowych będzie stał „pod każdym względem” na stanowisku integralności terytorialnej monarchii habs-

burskiej. Ale zaznaczyła się tu *restrictio mentalis*. Sekretarz stanu w Urzędzie Spraw Zagranicznych von Jagow w poufnej zapisce stwierdził, że stan rzeczy powstały w wyniku działań wojennych „wpłynie w pewnym stopniu na warunki pokoju”. Na ziemiach podległych berłu Habsburgów, w Galicji Wschodniej, w Bukowinie, w Gorycji stoją wojska nieprzyjacielskie. Trudno przewidzieć, czy w rokowaniach pokojowych uda się przeprowadzić całkowity ich zwrot Austro-Węgrom. Trzeba do tego dążyć - pisał Jagow. Ale „z drugiej strony - kontynuował swą myśl sekretarz stanu - nie uważam za rzecz możliwą przeciągać wojnę do nieskończoności, aby za wszelką cenę osiągnąć restytucję terytoriów austro-węgierskich”.

Treści zapiski Jagowa dyplomaci austriaccy, rzecz prosta, nie znali, ale w Wiedniu panowała głęboka i - jak widzimy - usprawiedliwiona nieufność do Berlina. Toteż Burian domagał się, aby terytoria państw Koalicji zajęte przez wojska austro-węgierskie i niemieckie uznać za wspólny zastaw; zastaw ten będzie mógł być zwrócony dopiero wtedy, gdy wojska nieprzyjacielskie wycofają się ze wszystkich zajętych przez siebie ziem należących do Austro-Węgier i Niemiec. Austriacy żądali nawet prawa „wspólnego rozporządzania” (*gemeinschaftliches Verfügungsrecht*) okupowanymi terytoriami nieprzyjacielskimi.

Niemcy w postulacie austriackim dojrzeli „nieuzasadnioną nieufność” i nie chcieli go przyjąć, ale jednocześnie dostarczyli Austriakom argumentu dla dalszego uzasadnienia nieufności. Hrabia Botho Wedel, ambasa-

dor niemiecki w Wiedniu, oświadczył wręcz c. i k. ambasadorowi w Berlinie, że układ o wspólnym zastawie mógłby np. zmusić Niemcy do wyrzeczenia się kolonii dla ratowania terytoriów austriackich i usłyszał ostrą odpowiedź Hohenlohego, że Austriacy mieli w rękach mały zastaw w postaci części Królestwa Polskiego i na żądanie Niemiec muszą zastaw ten oddać Polakom; należy im się więc jakiś ekwiwalent.

Austriacy - jak łatwo można było przewidzieć - nie uzyskali od Niemców zobowiązań wiążących. Niemiecki punkt widzenia przeważał również i w sprawie formy i treści oferty pokojowej; oferta, z którą Państwa Centralne wystąpią w grudniu, będzie zawierała tylko ogólniki bez konkretnych propozycji. Niemcy natomiast przyjęli postulat Buriana, aby Państwa Centralne przed publicznym wystąpieniem z inicjatywą ogłosiły manifest do narodu polskiego. Obawa, aby oferty pokojowej Państw Centralnych nie poczytano w obozie nieprzyjacielskim i w całym świecie za dowód słabości, spędzała sen z powiek nie tylko generałów, ale i polityków cywilnych. Sądono natomiast, że proklamacja niezależnego Królestwa Polskiego „pokaże światu, że uważamy się za zwycięzców” i nikt nie będzie mógł uznać propozycji pokojowych Niemiec i Austro-Węgier za wyraz niemocy i wyczerpania.

Dwa zagadnienia były przedmiotem rozmów pomiędzy Wiedniem i Berlinem - pomimo ustępstwa austriackiego i zgody obu sprzymierzeńców na ogólnikowy charakter oferty pokojowej nadal trwała dyskusja na temat celów wojennych. Była to sprawa zrozumiała,

sprzymierzeńcy musieli przecież przed rozpoczęciem rokowań z nieprzyjacielem ustalić swój punkt widzenia w tej dziedzinie i porozumieć się ze słabszymi aliantami - Turcją i Bułgarią.

Pod koniec roku 1916 sytuacja Bułgarii wydawała się pomyślniejsza niż sytuacja Turcji. Niemcy obiecywali Bułgarom część Serbii oraz Dobrudżę w granicach sprzed pokoju w Bukareszcie w 1913 r. ewentualnie z korekturami granicznymi.

Niepowodzenia wojenne Turków sprawiły, że Niemcy uznając teoretycznie postulat Wysokiej Porty *status quo ante bellum* stali na stanowisku, że jego wypełnienie (zwrot Armenii i Mezopotamii) będzie rzeczą wątpliwą, nie wahali się natomiast domagać się prawnego uregulowania przejazdu przez Cieśniny zgodnie z interesami Rosji; nagrodą dla Turcji miało być zniesienie kapitulacji. Tureckim kosztem zamierzali Niemcy płacić Rosji za oderwanie Polski, Litwy, Kurlandii.

Drugą sprawą, którą rozważano, był termin wystąpienia z inicjatywą pokojową. Ustalono najpierw, że stanie się to w dwa do trzech tygodni po ogłoszeniu niepodległości Polski, gdy zblednie nieco zainteresowanie tą kwestią, a zwłaszcza gdy trochę uspokoją się Rosjanie. Uważano wszakże, iż propozycje pokoju złożyć należy jeszcze przed zimą, tzn. przed nastaniem okresu, gdy zmniejszy się nasilenie operacji wojskowych, wtedy bowiem nadzieje bliskiego pokoju mniej będą działać na szerokie masy w krajach Koalicji.

Naczelne Dowództwo żądało, aby wysłanie propozycji pokojowych nastąpiło dopiero po wydaniu osła-

wionego później „prawa o ojczyźnianej służbie pomocniczej” (*Gesetz über den Vaterländischen Hilfsdienst*). „Prawo o służbie ojczyźnianej” parlament uchwalił 2 grudnia, a 5 grudnia weszło ono w życie. 8 grudnia 1916 r. Hindenburg stwierdził, że sytuacja militarna pozwala na wystąpienie z ofertą pokojową pod warunkiem, iż nadal prowadzone będą operacje wojskowe.

6 grudnia 1916 r. padł Bukareszt i w Berlinie uznano, że dłużej zwlekać nie można. Niemcy chcieli bowiem ubiec zapowiedzianą mediację pokojową prezydenta Wilsona. 7 grudnia ukończono redakcję noty. 12 grudnia wręczono tekst noty przedstawicielom Hiszpanii, Holandii, Szwajcarii i Stanów Zjednoczonych w Berlinie i w Wiedniu z prośbą o doręczenie jej rządowi Francji, Wielkiej Brytanii, Włoch, Japonii, Rosji, Rumunii i Serbii. Papieża proszono o poparcie pokojowego apelu Państw Centralnych.

Nota, zredagowana w języku niemieckim, głosiła: „... Niemcy i ich sprzymierzeńcy, Austro–Węgry, Bułgaria i Turcja, wykazały w walce siłę nie do pokonania, osiągnęły zwycięstwa nad przeciwnikiem liczebniej- szym i mającym przewagę w sprzęcie bojowym. (...) Cztery państwa sprzymierzone zostały zmuszone do chwycenia za broń dla obrony swej egzystencji i swo- body narodowego rozwoju. (...) Stoją one niezmiennie na stanowisku, że ich własne prawa i ich uzasadnione dążenia nie znajdują się w sprzeczności z prawami in- nych narodów. Nie dążą do rozbicia i zniszczenia prze- ciwników. Są świadome swej siły militarnej i gospo- darczej i gotowe są prowadzić do ostateczności narzu-

coną im wojnę, ale zarazem ożywia je chęć zapobieżenia dalszemu rozlewowi krwi i położenia kresu okropnościom wojny. Cztery państwa sprzymierzone proponują wszczęcie rokowań pokojowych. Propozycje, które przedstawia, a które zmierzają do zapewnienia egzystencji, honoru i swobody ich narodów, stanowią w ich przekonaniu podstawę przywrócenia trwałego pokoju. Gdyby pomimo wezwania do pokoju i pojednania wojna trwać miała nadal, cztery państwa sprzymierzone są zdecydowane prowadzić ją do zwycięskiego końca. Ale wszelką odpowiedzialność za to przed ludnością i przed historią zrzucają z siebie uroczyście”.

Tego samego dnia, 12 grudnia 1916 r. kanclerz przeczytał tekst noty na posiedzeniu parlamentu Rzeszy. Posiedzenie trwało zaledwie 20 minut, dyskusji nie było. Pragnęli jej wprowadzić konserwatyści i narodowi liberałowie, aby ofertę pokojową związać z „manifestacją silnej woli zwycięstwa”. Do takiej wszakże manifestacji, która wobec państw Koalicji zakrawała wręcz na prowokację, nie dopuścili nieco bardziej realnie patrzący na sytuację deputowani Centrum, Partii Postępowej i Socjaldemokracji.

Analiza tekstu noty wskazuje, że zwracała się ona przede wszystkim do narodu niemieckiego, miała mu pokazać w przededniu trzeciej zimy wojennej, że Niemcy są zwycięzcami, że wszakże ze względów humanitarnych nie chcą przedłużenia wojny. W rozumieniu rządu Rzeszy i Naczelnego Dowództwa krok taki musiał podnieść morale narodu niemieckiego: wzbudzić czy wzmocnić tendencje pacyfistyczne w narodach

Koalicji. Podsekretarz stanu w Urzędzie Spraw Zagranicznych Wilhelm von Stumm telegrafował 9 grudnia 1916 r. do ambasady niemieckiej w Waszyngtonie: „Jeżeli przeciwnicy odrzucą nasze propozycje, spadnie na nich odium za dalsze prowadzenie wojny”.

Warunki pokojowe, ustalone poufnie przed 12 grudnia pomiędzy Berlinem i Wiedniem, pozwalają zorientować się, jak w umysłach ówczesnych władców Niemiec rysowały się cele wojenne. Powstał już program, który tak wyraźnie wystąpi w roku 1918, w erze Brześcia i Bukaresztu - pokój kompromisowy na zachodzie, pokój zwycięski na wschodzie. Słabszy w Rosji niż we Francji i w Wielkiej Brytanii potencjał wojenny, silniejsze w Rosji niż we Francji i w wielkiej Brytanii wyczerpanie i znużenie wojną dyktowały Niemcom inne na wschodzie inne na zachodzie nasilenie celów wojennych. *Status quo ante bellum* na zachodzie z niewielkimi zmianami (gwarancja wpływów niemieckich w Belgii, jeśli się powiedzie aneksja Briey i Longwy), odzyskanie a może nawet powiększenie kolonii (aneksja Kongo w zamian za cesję Kiau-czou oraz Karolinów i Marianów na Oceanie Spokojnym). Postępujący rozkład caratu zdawał się pozwalać na szerokie plany na wschodzie - Królestwo Polskie podporządkowane Niemcom, kraje bałtyckie związane z Rzeszą, ekspansja gospodarcza i polityczna w Rosji. Realizacja takich planów byłaby zupełnym zwycięstwem Niemiec. Nie rozumiało tego wszakże społeczeństwo niemieckie: okoliczność ta utrudniała politykę rządu Rzeszy, zmuszała go do powtarzania na żądanie Naczelnego Do-



wództwa gromkich słów o totalnym zwycięstwie, a to z kolei było wodą na młyn wszystkich przeciwników Niemiec.

Trafną ocenę oferty pokojowej Państw Centralnych znajdujemy w grudniowym „Liście Spartakusa”. „Na próżno szukamy (w nocy) słowa, które mogłoby spowodować wszczęcie rokowań pokojowych. (...) Ale taki był właśnie cel” (noty). Rząd chciał móc powiedzieć narodowi: „Patrzcie, wyciągnęliśmy uroczyście rękę do pokoju, ale odepchnięto ją w sposób frywolny. Wrogowie chcą wojny do ostateczności, będą ją mieli”.

Zagranica, według Erzbergera, przyjęła ofertę niemiecką jak „zimny piorun, który nie zapala”. Dyplomata jednego z państw neutralnych powiedział Erzbergerowi, że Niemcy nie zaofiarowały pokoju, lecz „nim zagroziły pod karą ciężkiego więzienia w razie odmowy”.

Lord Francis Bertie of Tham, ambasador brytyjski w Paryżu, zanotował w swym dzienniku 13 grudnia 1916 r.: „Nie sądzę, aby w pokojowe sidła kanclerza niemieckiego mógł się złapać ktoś z neutralnych, a już na pewno nie nasi kochani amerykańscy krewniacy”. Bertie mniemał, że rządy państw Koalicji w ogóle nie powinny wziąć noty niemieckiej pod uwagę, gdyby udzieliły odpowiedzi, ambasador uważałby to za „czyn nierozsądny” (*foolish act*).

Odpowiedzi jednak udzielono i Państwa Centralne nie musiały na nią długo czekać. 30 grudnia 1916 r. sekretarz generalny *Quai d'Orsay* Jules Cambon wręczył posłowi szwajcarskiemu w Paryżu odpowiedź Koalicji.

Była to bezwzględna odmowa. Propozycja wszczęcia rokowań bez podania warunków wstępnych „nie jest ofertą pokojową”. Rządy państw Koalicji protestowały z oburzeniem przeciwko przerwaniu na nie odpowiedzialności za wybuch wojny i przeciwko zapewnieniom o odniesionym już rzekomo zwycięstwie Państw Centralnych. Memorandum rządów państw Koalicji zaznaczało mocno, że nie można zawrzeć pokoju dopóki nie zostaną przywrócone „pogwałcone prawa i wolności”, dopóki nie zostanie uznana „zasada narodowości i swobodnej egzystencji państw małych”. Podkreślono szczególnie prawa Belgii; miało to swoją wymowę.

W Wiedniu, a bardziej jeszcze w Berlinie przyjęto odpowiedź Koalicji z oburzeniem, uznano ją za impertynencję. Nowy c. i k. minister spraw zagranicznych hr. Ottokar Czernin twierdził wszakże, iż pomimo tonu impertynenckiego odpowiedź Koalicji nie jest odmowna, lecz wymijająca. Podobne stanowisko zajął kanclerz Bethmann Hollweg. Kanclerz widział konieczność skierowania do rządów państw neutralnych repliki, w przeciwnym bowiem razie „zostanie sparaliżowany wysiłek naszej akcji pokojowej tak u neutralnych, jak i wśród zmęczonych wojną mas ludowych u naszych nieprzyjaciół”.

Odpowiedzi Niemcy istotnie udzieliły i to w dwóch postaciach. Odpowiedzią pierwszą był rozkaz Wilhelma II z 6 stycznia 1917 r. „do Mojej Armii i do Mojej Marynarki”. Monarcha zawiadamiał swych wiernych żołnierzy, że wróg odrzucił pokojowe propozycje Państw Centralnych, że dąży do zniszczenia

Niemiec. Żołnierze niemieccy będą więc „ze stali”, aby zapewnić ojczyźnie szczęśliwą przyszłość i zmusić wroga do pokoju.

Odpowiedź drugą skierowano na drodze dyplomatycznej 11 stycznia 1917 r. do rządów Hiszpanii, Szwajcarii i Stanów Zjednoczonych, nosiła ona datę 10 stycznia. Długa nota rządu niemieckiego głosiła, że „Niemcy i ich sprzymierzeńcy, którzy zmuszeni byli chwycić za broń dla obrony swej wolności i swej egzystencji, uważają, iż cel wojenny osiągnęli”. Natomiast Koalicja daleka jest od realizacji takich planów, jak zdobycie Alzacji i Lotaryngii i „wielu prowincji pruskich”, pomniejszenia Austro–Węgier, podziału Turcji i okaleczenia Bułgarii. Nota kończyła się jednak zwrotem, którym chciano utrzymać cienką nić wiodącą do porozumienia. „Cztery państwa sprzymierzone ze spokojną ufnością w ich dobre prawo będą nadal prowadziły walkę aż osiągną pokój, który ich własnym ludom zapewni honor, egzystencję, swobodny rozwój, a wszystkim narodom kontynentu europejskiego przyniesie dobrodziejstwo wspólnej pracy dla rozwiązania wielkich problemów kulturalnych we wzajemnym szacunku i równouprawnieniu”.

## 59. Dymisja Joffre’a

Koniec roku 1916 przyniósł poważny kryzys w Naczelnym Dowództwie francuskim; wzmożła się krytyka działań generała Joffre’a, wprawdzie nie w społeczeństwie, lecz w kołach parlamentarnych. Przewlekła wojna pozycyjna w 1915 i 1916 r., kiedy

nie sposób było dojrzeć końca ciężkich zmagania z najeźdźcą, sprawiła, że został zachwiany autorytet zwycięzcy znad Marny. Powiedzenie, przypisywane Joffre'owi, a charakteryzujące jego taktykę prowadzenia wojny pozycyjnej: „*Je les grignotte*” („nadgryzam ich”), obróciło się teraz przeciwko wodzowi, z różnych stron i w różny sposób zaczęto „nadgryzać” Joffre'a. Wkraczamy tu w dziedzinę wzajemnych stosunków pomiędzy polityką a strategią, pomiędzy władzą cywilną a wojskową. Teoretycznie problem jest niezmiernie prosty, w praktyce następuje poważnych trudności. Występuje np. kwestia kompetencji ministra wojny i naczelnego wodza. Od 27 sierpnia 1914 r. do 29 października 1915 r. tekę ministra wojny piastował Aléxandre Millerand. Zadanie swe pojmował prosto - czuwać nad dostarczeniem armii wszystkiego, co jej potrzebne do prowadzenia wojny, naczelnego wodza zaś osłaniać politycznie. Sytuacja uległa zmianie, gdy w nowym gabinecie prezydowanym przez Brianda stanowisko ministra wojny objął najpierw na krótko generał Joseph Gallieni, a następnie 14 marca 1916 r. generał Pierre Auguste Roques. Tarcia wynikły już za ministrowania Gallieniego, pomimo jego lojalności, a zwiększyły się za generała Roquesa. Ale Gallieni w porozumieniu z Joffrem doprowadził do wydania w dniu 2 grudnia 1915 r. dekretu prezydenta Republiki o naczelnych władzach wojskowych.

Żywa potrzeba ścisłego określenia zakresu władzy naczelnego wodza istniała już od dawna, a zaostrzyła się jeszcze bardziej z chwilą, gdy 5 października 1915

r. wylądował w Salonikach francuski korpus ekspedycyjny pod dowództwem generała Maurice'a Sarraila; Sarrail nie podlegał Joffre'owi, który dowodził tylko wojskami francuskimi na terenie Francji. Nietrudno pojąć, jakie wyłoniły się w związku z tym trudności. To też minister wojny Gallieni w piśmie z 2 grudnia 1915 r. przedstawił prezydentowi Republiki wniosek o ścisłe określenie kompetencji naczelnego wodza. Gallieni nawiązywał do dekretu z 28 października 1913 r., który stwierdzał, że wyznaczenie określenia „celu politycznego wojny” należy wyłącznie do kompetencji rządu. Jeśli wojna toczy się na kilku granicach rząd określa kto „jest przeciwnikiem głównym, przeciwko któremu ma być skierowana największa część sił narodowych”. W konsekwencji rząd decyduje o podziale sprzętu bojowego i wszelkich środków, którymi kraj dysponuje, pomiędzy armie walczące na różnych frontach. Płynące z toczącej się wojny doświadczenia - wywodził Gallieni - wykazały, że „niezbędną dla prowadzenia wojny jedność kierownictwa można zapewnić jedynie stawiając na czele wszystkich armii jednego wodza odpowiedzialnego za operacje wojskowe”.

Zgodnie z wnioskiem ministra wojny prezydent Republiki podpisał tego samego dnia 2 grudnia 1915 r. dwa dekryty. Pierwszy dekret stanowił, że dowództwo wszystkich wojsk narodowych, z wyjątkiem kolonialnych, sprawuje generał noszący tytuł *Commandant en chef des armées françaises*, tj. naczelny wódz armii francuskich. Dekret drugi głosił: „Generał Joffre, wódz naczelny armii francuskich północnego wschodu, zosta-

je mianowany wodzem naczelnym armii francuskich”. Dekrety, podpisane przez prezydenta Poincarégo, kontrasygnował minister wojny Gallieni.

Generał Joffre objął więc bezsprzecznie swymi rozkazami i korpus ekspedycyjny w Salonikach dowodzony przez generała Sarraila. Nie zapobiegło to wszakże konfliktom pomiędzy Chantilly a Salonikami, pomiędzy naczelnym wodzem a dowódcą ekspedycji salonickiej.

Poważniejsze i bardziej niebezpieczne były nieporozumienia pomiędzy czynnikami politycznymi a Naczelnym Dowództwem. Wojna pozycyjna bez widocznych rezultatów, ostatnio krwawe walki pod Verdun a następnie nad Sommą wywołały w narodzie przygnębienie i zachwiały wielkim dotąd autorytetem dowództwa. Politycy francuscy żywili coraz mniej zaufania do sposobu prowadzenia wojny. Straty były ogromne i bolesne, zwycięstwo wciąż wydawało się dalekie.

„Panie Prezydencie - powiedział 3 maja 1916 r. premier Briand do prezydenta Poincarégo w poufnej rozmowie w Pałacu Elizejskim - członkowie parlamentu chcą znać prawdę o wojnie, o Verdun. Wzrasta niepokój, który dręczy kraj i parlament. W Izbie Deputowanych nie mogę już zapanować nad zdenerwowaniem, w które popadło wielu posłów. (...) Wielu senatorów i deputowanych domaga się tajnych komitetów. Myśl ta zyskuje coraz więcej uznania”. „Myśl tę” poddyktowała Briandowi chęć powiedzenia „prawdy o wojnie” przedstawicielom narodu, ale w taki sposób, aby nie poznał jej naród, aby nie załamał się w nim

duch, i tak już osłabiony hekatombami Verdun. Sposób ten był prosty - niechaj obrady parlamentarne toczą się przy drzwiach zamkniętych „w Komitecie Tajnym” (*en Comité Secret*). Tajność obrad nigdy nie była stosowana w parlamentach III Republiki, ale procedura była legalna, przewidywała ją konstytucja roku 18753.

„Wojna trwa zbyt długo - pisał 28 maja 1916 r. Aléxandre Ribot - aby Izby zachowały spokój, który je cechował na początku 1915 r. Czekaają nas ciężkie dni”.

Wielu parlamentarzystów pragnęło powiedzieć głośno, co myśli i czemu dawali wyraz jedynie półsłówkami w kularach. 10 maja 1916 r. światem parlamentarnym Paryża wstrząsnęła wiadomość z Londynu, że Izba Gmin zebrała się na posiedzeniu tajnym. Anglia, ojczyzna parlamentaryzmu, pokazywała nowe metody kontroli parlamentarnej. 16 czerwca 1916 r. Izba Deputowanych zebrała się po raz pierwszy na posiedzeniu tajnym (*en Comité Secret*) jako Komitet Tajny, aby przeprowadzić dyskusję nad sposobem prowadzenia operacji wojskowych przez Naczelne Dowództwo. 4 lipca zebrał się Senat. O zwołanie Komitetu Tajnego najbardziej zabiegali przeciwnicy Joffre'a.

Komitety Tajne to nie tylko dyskusje na temat prowadzenia wojny, błędów rządu i dowództwa, to początek kontroli nad władzą wojskową wykonywaną bezpośrednio przez organy parlamentarne. Utworzono mianowicie „delegację”, która „we współdziałaniu z rządem” miała sprawować kontrolę także nad wszystkimi instytucjami zaspokajającymi potrzeby armii.

Kontrola każdej władzy zawsze jest niezbędna i rozsądna władza od niej się nie uchyla, chodzi wszakże o sposób wykonywania kontroli i kompetencję osób ją sprawujących. Otóż pośród deputowanych była pożądana liczba oficerów rezerwy. Immunitet parlamentarny zwalniał ich od obowiązku mobilizacji. Nie bez lekkiej ironii pisał o nich Joffre: „Deputowany nie mógł się nieraz zdecydować, czy pierwszeństwo mają jego powinności przedstawiciela narodu, czy obowiązek żołnierski; to kwestia sumienia, respektuję te skrupuły. Niektórzy wybrali posterunek wojskowy wyznaczony przez mobilizację; inni uważali, że będą bardziej pożyteczni w Pałacu Burbońskim. Inni przerzucali się ustawicznie z wojska do parlamentu, z parlamentu do wojska. Wytwarzało to fałszywą sytuację dla ludzi, którzy podlegali dwóm władzom i przebywali chwilowo na froncie pośród walczących nie pozbywając się mentalności polityków”.

Tajność posiedzenia, tzn. otwarcie Komitetu Tajnego zarządzał czy oznajmiał prezes Senatu albo Izby Deputowanych; publiczność opuszczała galerię, senatorowie czy deputowani, zobowiązani pod przysięgą do zachowania tajemnicy obrad, wypowiadali się z większą swobodą niż na posiedzeniach publicznych. Stenogramy przechowywano do 1919 r. w tajnym archiwum.

Tajność tajnością, ale agenci wywiadu niemieckiego i brytyjskiego nie próżnowali: stąd częste były „ucieczki” (*fuites*) - tak od czasu Dreyfusa nazywano „znikanie”, czyli po prostu wykradanie tajnych dokumentów. O owych „ucieczkach” wiedzieli wówczas



tylko nieliczni wtajemniczeni. Irytowały one niezmiernie władze wojskowe i wzmagaly ich stosunek niechętny, a nawet wrogi do dyskusji w Izbach.

„Zajmujemy się wciąż osławionym Komitetem Tajnym, gdzie nie ma tajemnic” pisał 4 czerwca 1916 r. Ribot.

Niechęć do dyskusji parlamentarnych miała i inne głębsze przyczyny. W Komitecie Tajnym poszedł atak na Naczelne Dowództwo, na sposób prowadzenia wojny. Zainaugurowały go debaty w Komitecie Tajnym Izby Deputowanych w dniu 16 czerwca 1916 r. Na trybunę wszedł wolnym krokiem ciężko wspierając się na lasce deputowany z okręgu La Meuse sierżant André Maginot; ranny, niedawno powrócił z frontu i do dyskusji wniósł gorzyc żołnierza frontowego. Po raz pierwszy krytyka wypowiedziana głośno dotknęła naczelnego wodza. Maginot odczytał listy poufne wymienione w grudniu 1915 r. pomiędzy Gallienim, wówczas ministrem wojny i Joffrem. Minister wojny komunikował naczelnemu wodzowi, że „z różnych źródeł” otrzymywał informacje o wadliwej organizacji frontu zwłaszcza w okolicach Verdun, Toul i La Meurthe. Jeśli informacje te są prawdziwe, sytuacja jest poważna i może doprowadzić do groźnych konsekwencji - pisał Gallieni - odpowiedzialność zaś spadłaby nie tylko na naczelnego wodza, ale i na rząd cały. Naczelnny wódz odpowiedział ostro, że obawy ministra nie są uzasadnione, a fakt, że rząd przyjmuje informacje pochodzące bezpośrednio lub pośrednio od oficerów służących na froncie bądź od zmobilizowanych parlamentarzystów,

powoduje upadek dyscypliny w armii. W dalszych częściach przemówienia Maginot nie poskąpił rewelacji o niedostatecznym przygotowaniu Verdun do obrony. Był to ostry atak na Joffre'a.

Po przemówieniu Maginota wystąpił premier i bronił naczelnego wodza. Jak zwykle Briand mówił jasno i zręcznie odnosząc niemały sukces parlamentar-ny i krasomówczy.

Ważką niewątpliwie treść miały słowa deputowanego Abła Ferry'ego, dawnego podsekretarza stanu spraw zagranicznych w gabinecie Vivianiego, jednego z głównych instygatorów kampanii przeciwko Joffre'owi. Naczelne Dowództwo zmusza Izbę do wzięcia odpowiedzialności za wojnę - wołał Abel Ferry. „Gdy rządy są bezsilne lub nieudolne, naród przez swych przedstawicieli musi dać poznać swą wolę”. Stenograf zanotował w tym miejscu huczne brawa w centrum i na lewicy.

Pomimo krasomówstwa Brianda i jego sukcesu parlamentarnego sprawa Joffre'a weszła na porządek dzienny dyskusji publicznych i stała się przedmiotem polemik, różnych zabiegów i intryg. Naczelnego wodza, który nie mógł dokończyć zwycięsko wojny zaczęli „nadgryzać” coraz liczniejsi przeciwnicy aż stanął w ich rzędzie dotychczasowy poplecznik Aristide Briand lękający się rosnącej w parlamencie krytyki naczelnego wodza i „wśród kwiatów”, jak się wyraził Alexandra Ribot, usunął Joffre'a.

Przyczyn upadku autorytetu zwycięzcy znad Mar-ny było wiele. Przede wszystkim przedłużająca się

wojna i brak widoków na zwycięstwo w niedługim czasie, poszukiwanie nowych sposobów działania, nowych metod prowadzenia wojny, a więc i nowych ludzi; coraz głośniej mówiono o „szkole Verdun” i jej przedstawicielu generale Nivelle’u. Agitację przeciwko Joffre’owi prowadzono w kołach parlamentarnych, w kołach politycznych, w Ministerstwie Wojny. Zamek Chantilly, od początku wojny siedziba Naczelnego Dowództwa, stał się dla niektórych symbolem zła, które toczyło armię. Rząd domagał się od naczelnego wodza dymisjonowania niektórych generałów i to takich, którzy cieszyli się pełnym zaufaniem Joffre’a. Był to już niewątpliwie dowód braku zaufania. W rozmaity sposób próbowano usunąć Joffre’a od dowodzenia - myślano najpierw pozostawić go formalnie przynajmniej na stanowisku naczelnego wodza armii francuskiej z tym, że właściwe dowództwo sprawowałby we Francji generał Nivelle, w Salonikach generał Sarrail; później przeznaczono Joffre’owi nieokreślone funkcje doradcy technicznego rządu w sprawach wojny. Ostatecznie udzielono mu dymisji nadając mu jednocześnie tytuł marszałka Francji. Był to tytuł nienadawany nikomu od upadku III Cesarstwa, ostatni marszałek Francji Certain Canrobert zmarł w 1895 r. 27 grudnia 1916 r. dzienniki francuskie opublikowały następujący komunikat: „Rząd Republiki pragnąc uznać niepospolite usługi oddane Ojczyźnie przez generała Joffre’a postanowił wynieść go do godności marszałka Francji”. Odpowiedni dekret prezydent Poincaré, z kontrasygnatą

nowego ministra wojny generała Lyauteya podpisał dnia poprzedniego 26 grudnia.

Rankiem 28 grudnia 1916 r. marszałek Joffre opuścił Chantilly.

Jednocześnie odebrano dowództwo generałowi Fochowi; zamiast służby czynnej generał ten otrzymał polecenie przeprowadzenia studiów na temat współpracy francusko–szwajcarskiej w razie agresji niemieckiej na Szwajcarię.

„Zasadnicza cecha (Joffre’a) - mówił Ferdinand Foch do Raymonda Recouly’ego - to sąd bardzo pewny, to niewzruszony zdrowy rozsądek, który może stać się genialny. Dzięki niemu praca dokoła niego idzie doskonale, a to jest cecha prawdziwego zwierzchnika. (...) Nazywaliśmy go boją, przeciwko której bezsilne pozostawały burze i bałwany. (...) Podziwu godna siła. W najtrudniejszych chwilach kładzie się, zasypia i budzi się o swojej porze. Gdy wszyscy dokoła niego są niespokojni, a nawet przygnębieni, on z zimną krwią podejmuje decyzję. Tak właśnie było podczas bitwy nad Marną”.

A oto sąd Lloyd George’a: „Każdy kto spotkał Joffre’a nie może wątpić, że był to człowiek wybitny. Miał wygląd chłopski i chłopski miał charakter. Zbudowany potężnie był odważny aż do brawury, a zarazem cechowały go spokój i opanowanie nawet flegma, zręczność nawet przebiegłość. Gdyby jego zdolności umysłowe były na poziomie jego charakteru byłby największą postacią wojny. Jego patriotyzm, uczciwość, odwaga, stanowczość, obowiązkowość były bez

skazy. (...) Miał niezachwianą pewność siebie i inteligencję ograniczoną. Pewność siebie dawały mu spokój i zimna krew w niebezpieczeństwie, ograniczona inteligencja pozbawiła go ostrości spojrzenia i wyobraźni niezbędnych przy jego olbrzymiej odpowiedzialności. Postawiono go przed problemem wojennym groźniejszym niż te, które stały przed Napoleonem, a rozwiązywał je mózgiem Wellingtona czy Granta”. Ocena Anglika chyba zbyt surowa.

## 60. Niemcy - Francja - sondáže

Wielka Brytania i Francja to główni przeciwnicy, to główni wrogowie Niemiec w pierwszej wojnie światowej, wrogowie, z którymi nie mogło dojść do kompromisu. Niemcy różnymi drogami zabiegały o pokój odrębny z Rosją, nie mogły - wydawało się - myśleć o takim pokoju z Francją. A jednak czyniono w tym kierunku pewne wysiłki. Możliwości były na zachodzie znacznie mniejsze niż na wschodzie, ale w Berlinie nie chciano poniechać najmniejszej nawet okazji i chwytało się różnych sposobów. Częściej były to może próby sondowania stanowiska różnych kół politycznych francuskich czy może tworzenia agentur wywiadu niż właściwa akcja dyplomatyczna. Zabiegi takie wszakże nie ustawały.

Rzecz szczególna, że pierwsze próby rozciągnięcia we Francji macek wywiadu niemieckiego wiązały się z osobistością egzotyczną. Był to pozbawiony właśnie tronu przez Anglików chedyw egipski Abbas II Hilmi. Latem 1914 r. bawił w swych posiadłościach w Turcji;

w chwili wybuchu wojny odmówił powrotu do kraju i, przeświadczony o zwycięstwie Państw Centralnych, oddał się na ich usługi z myślą wyparcia Anglików z Egiptu przy pomocy niemieckiej. Anglicy zareagowali ostro, 18 grudnia 1914 r. ogłosili protektorat brytyjski nad Egiptem, 19 grudnia pozbawili Abbasa godności chedywa, a na jego miejsce osadzili na tronie Abbasowego stryja Husajna Kamila z tytułem sułtana.

W marcu 1915 r. przybył Abbas do Wiednia i nawiązał kontakt z ambasadorem niemieckim Tschirschkym. Ustalony plan działania był dość szeroki, zamierzano zakupić pakiet akcji poczytnych dzienników paryskich „Le Temps” i „Le Figaro”, w podobny sposób zamierzano pozyskać wpływy w kilku dziennikach prowincjonalnych, między nimi w „Dépeche de Toulouse” i w piśmie humorystycznym „Cri de Paris”; zamierzano dalej założyć dziennik zbliżony tendencjami do radykalnych socjalistów, w Genewie projektowano założenie organizacji, która zajęłaby się wysyłaniem do Francji odpowiednio spreparowanych wiadomości. Myślano też o pozyskaniu polityków niechętnie usposobionych do rządu, takich jak Clemenceau, Briand, Barthou. Uznano, że szerzenie we Francji opinii czy wywoływanie nastrojów proniemieckich było na razie sprawą niemożliwą, należało natomiast mówić o pokoju, budzić niechęć do Anglii i nieufność do Włoch. We Francji agentem będzie awanturnik, po trosze dziennikarz Paul Bolo, któremu Abbas nadał z początkiem wojny tytuł paszy; stał on podobno blisko Caillaux.

Bolo wziął się energicznie do działania albo do opowiadania. Za pośrednictwem chedywa przedstawił Niemcom następujący plan: należy wzmocnić we Francji pozycję Caillaux tak, aby albo stanął na czele rządu, albo przynajmniej, aby rząd musiał iść mu na rękę. Główną przeszkodę swej akcji upatrywał w wojsku, ale zapewniał Niemców, że w wojsku zapuścił już macki.

Obok Bolo paszy usługi dla Niemców zaoferował inny jeszcze Francuz - Louis Turmel, deputowany w Côtes-du-Nord i mer miasteczka Loudéac. Turmel w marcu 1915 r. rozmawiał w Rzymie z radcą ambasady niemieckiej przy Kwirynale Herbertem von Hindenburgiem, w maju 1916 r. z konsulem niemieckim w Genewie Geisslerem i następnie z posłem Rzeszy w Bernie baronem Gislertem von Rombergiem. Podał się za człowieka bliskiego Caillaux. Za cel działania postawił sobie zakończenie wojny, której Francja - jego zdaniem - wygrać nie może, a która dziesiątkuje jej ludność męską. Spośród rodziny Turmela 75 młodych ludzi miało wyruszyć w pole, a poległo ich już dotąd 39. Francja powinna zawrzeć pokój, będzie mogła to zrobić, jeśli obalony zostanie obecny rząd, a Niemcy odniosą w niedalekiej przyszłości wielkie zwycięstwo. Wobec tego Turmelowi potrzeba około 3 milionów franków, aby mógł oddziaływać na prasę; co więcej, Turmel przedstawił posłowi Rombergowi informacje o charakterze wojskowym żądając stosownej zapłaty” (*angemessene Geldzahlung*). Niemiecki *attaché* wojskowy w Szwajcarii uznał informacje Turmela za owoc

pracy laika, ale sądził, że nie są pozbawione znaczenia. „Muszę wyznać - raportował Romberg kanclerzowi - że pomimo brudnego handlu nie zostawił (Turmel) wrażenia zwykłego szpiega”. Niemcy sprawdzili personalia Turmela. Stwierdzili, że był on rzeczywiście deputowanym, co więcej członkiem komisji wojskowej Izby. Po takich badaniach sekretarz stanu Jagow zarządził, aby opłacić Turmela i utrzymywać z nim kontakt.

Godny mer, deputowany i członek komisji wojskowej Izby chciał młodzież francuską ratować przed masakrą ze strony Niemców za niemieckie pieniądze. Aresztowany w 1916 r. pozostawał w więzieniu do 6 stycznia 1919 r. W dniu tym znaleziono go w celi martwego. Podobno zmarł śmiercią naturalną na zapalenie płuc.

Dywersja niemiecka we Francji chodziła różnymi drogami. Na jednej z nich spotkamy naczelnego redaktora paryskiego dziennika „L’Eclair” Ernesta Judeta. Jako agent niemiecki używał pseudonimu „Blitz” (Błyskawica). Według barona von Lancken–Wakenitza Judetowi szło „głównie o pieniądze”; gdyby mógł jednocześnie prowadzić politykę, byłoby to dlań przyjemne, gdyż uspokajałby tym sumienie”.

Niemcy do Judeta nie mieli zaufania, uważali, że nie można go traktować poważnie. Jego żądania pieniężne uznali za niedorzeczne (*unsinnig*), ale opłacali go i przywiązywali pewne znaczenie zarówno do jego informacji, jak i do jego „pracy”. Najważniejszą bodaj pracą, jakiej wymagali od Judeta, było inspirowanie artykułów prasowych przeciwko Anglii i jej francuskim



przyjaciołom. Polecali mu szerzenie we Francji wiadomości, że nawet gdyby pokój miał być nieprędko zawarty, Niemcy biedy nie zaznają i „wojna na przetrzymanie” ich nie załamie. Dawali również wskazówki na temat warunków pokoju, ukazywali możliwości rekompensaty we francuskich skrawkach Lotaryngii w zamian za zagłębienie Briey, które „musimy posiadać”; w grę wchodziły również niewielkie ustępstwa na rzecz Francji w koloniach.

Judet ze swej strony informował swych niemieckich pieniądźodawców o nastrojach panujących we Francji; nie uważał za rzecz wykluczoną, że naród francuski zwróci się przeciwko Anglii i zapragnie pojednania z Niemcami, ale byłoby to możliwe tylko w razie zachowania integralności terytorium francuskiego, w razie nadania Alzacji i Lotaryngii autonomii i wreszcie w razie udzielenia Francji rekompensat w koloniach.

Zdrada Judeta wiele pożytku Niemcom zapewne nie przyniosła.

Były jeszcze i inne próby penetracji niemieckiego wywiadu politycznego we Francji; wiązały się one z osobą rumuńskiego wielkiego kupca zbożowego Zygmunta Mayera, który usiłował pośredniczyć pomiędzy Turcją a Francją i ułatwiał późniejszemu tureckiemu ministrowi finansów Cavid Beyowi poufne rozmowy z Francuzami podczas pobytu tureckiego polityka w Szwajcarii wiosną 1915 r.

Niemcy łożyli również pieniądze na szerzący propagandę defetystyczną dziennik „Le Bonnet Rouge”.

Stwierdził to w maju 1917 r. wywiad francuski. 7 lipca 1917 r. deputowany Maurice Barrès z trybuny parlamentarnej wezwał rząd do położenia kresu akcji „kanałii z Le Bonnet Rouge”. Władze zawiesiły dziennik 13 lipca. Sprawa ta dostarczy argumentów Clemenceau w jego ataku na ministra spraw wewnętrznych Malvy’ego w słynnej jego mowie w dniu 22 lipca 1917 r.

Do dziś trudno osądzić, czy do dziejów wywiadu i szpiegostwa, czy też do filmowego romansu należy historia tancerki holendersko-malajskiej Maty Hari. Czy była ona szpiegiem niemieckim, czy szpiegiem pracującym dla obu stron (*agent double*), czy tylko głośną kurtyzaną. W każdym razie z uznania godną bezstronnością darzyła względami zarówno Niemców, jak Francuzów. Cieszył się nimi i pruski następca tronu, i sekretarz stanu spraw zagranicznych Rzeszy Gottlieb von Jagow i francuski minister spraw wewnętrznych Louis Malvy. Aresztowana w Paryżu 13 lutego została rozstrzelana 15 października 1917 r.

Były i próby sondażu francuskiego w Niemczech. Podjął je piastujący do wybuchu wojny stanowisko profesora literatury francuskiej na uniwersytecie berlińskim Haguenin. Profesor Haguenin stał na czele Paryskiej Agencji Korespondencyjnej w Bernie (*Agence de Correspondance Parisienne à Berne*). Pod tą nazwą pracowała w Szwajcarii francuska placówka informacyjno-wywiadowczo-propagandowa. Działali tu i późniejsi wybitni dyplomaci francuscy okresu międzywojennego René Massigli i André François-Ponçet. Szef Agencji Haguenin, według Karola Badera, człowiek

„ostrożny i nader przebiegły”, za jedno z głównych swych zadań uważał nadzorowanie propagandy niemieckiej i austriackiej i krzyżowanie jej działalności.

30 i 31 grudnia 1915 r. Haguenin odbył dwie dłuższe rozmowy ze swym kolegą z uniwersytetu w Zurychu szwajcarskim profesorem Woltereckiem. Woltereck utrzymywał kontakty z poselstwem niemieckim w Szwajcarii, o czym Haguenin oczywiście dobrze wiedział, i złożył poselstwu sprawozdanie z dyskusji z Francuzami”.

Rozmowa nie była pozbawiona znaczenia, a wiadomości, jakich Francuz udzielał Szwajcarowi z dalszym przeznaczeniem do Berlina były interesujące. Przy takich spotkaniach budzi zainteresowanie, jaką część prawdy wymieniają pomiędzy sobą interlokutory i w jakim celu. Otóż Haguenin opowiadał, że „zasługuje na podziw postawa narodu francuskiego, cierpliwa i pełna ufności, gdy działania rządu są żalosne (*erbärmlich*). Także Briand wywołał ogólne rozczarowanie, jest to próżniaczy pozer. „W obu komisjach spraw zagranicznych życzą sobie upadku Brianda przy ryzyku dojścia Clemenceau do steru. Człowiek przyszłości, jak poprzednio tak i teraz to Caillaux; na razie trzyma się on jeszcze na uboczu, w społeczeństwie jest znienawidzony”.

Interesujące były kolejne informacje Haguenina o nastrojach panujących w społeczeństwie francuskim. Panuje powszechne przekonanie, że Niemcom nie uda się przerwać frontu pomiędzy Paryżem a Calais, ale tak samo nikt nie wierzy w zwycięską ofensywę francuską.

Sporo natomiast obiecują sobie Francuzi po ofensywie rosyjskiej, niewiele po militarnym współdziałaniu z Anglikami. Francuzi uważają, że sprawnym korpu- sem oficerskim dysponują tylko Niemcy i Francja. Przeważa we Francji pogląd, że przy wystarczająco długim przeciąganiu się wojny musi dojść do wyczer- pania Niemiec. I tylko nieliczni Francuzi, „Caillaux, niektórzy socjaliści i - Haguenin” obawiają się, że wy- czerpanie Niemiec można osiągnąć tylko po długotrwa- łej wojnie, która doprowadzić musi do równoczesnego co najmniej wyczerpania Francji.

Według Haguenina jedynym wyjściem z sytuacji byłoby porozumienie pomiędzy Francją i Niemcami osiągnięte przy pomocy socjalistów; i we Francji, i w Niemczech „jedynie socjaliści rozumują dostatecznie obiektywnie i internacjonalistycznie, aby znaleźć moż- liwość pojednania”. Francuzi spodziewają się, że „aneksjoniści” znajdą się w Niemczech w mniejszości i Niemcy pój- dą na ustępstwa w sprawie Alzacji i Lotaryngii. Cały naród francuski jest przeświadczony, że tę ciężką wojnę prowadzi tylko o Alzację i Lotaryngię, ale sądzi się powszechnie, że w zamian za te dwie prowincje można by dać Niemcom rekompensaty w innych miejscach na świecie.

Interesująca rozmowa, sondaż bardziej ze strony Francji niż Niemiec. Pokazać Niemcom, że Alzacja i Lotaryngia to dla Francji kwestia najważniejsza, o którą warto prowadzić wojnę, ale i warto dać solidną rekompensatę, może Maroko. Ukazywał Haguenin Niemcom, że najlepszy dla nich premier francuski to

Caillaux, ale że daleka dla niego i mocno niepewna droga do władzy. Rzucał też pogroźkę - na horyzoncie gabinet Clemenceau.

Raport o rozmowach Haguenin - Woltereck dał chyba sporo do myślenia w Berlinie.

Obok sondaży o charakterze wywiadowczym były też i próby nawiązania rozmów, a może i pertraktacji niemiecko-francuskich na wyższym szczeblu. Łączą się z osobami dwóch francuskich polityków Josepha Caillaux i Aristide'a Brianda.

Caillaux miał niewątpliwie kwalifikacje i chęci, aby szukać porozumienia z Niemcami. Polityk i finansista, przeświadczony o potrzebie współdziałania kapitału francuskiego z kapitałem niemieckim, przyczynił się w 1911 r. do zlikwidowania konfliktu pomiędzy Rzeszą a Francją, doprowadził mianowicie do oddania Niemcom części Kongo Francuskiego i uznania w zamian przez Niemcy dominacji francuskiej w Maroku. Warto przy tym pamiętać, że Caillaux, który stał wówczas na czele rządu, porozumiewał się z Berlinem własnymi, tajnymi, prywatnymi kanałami pomijając ministerium spraw zagranicznych. W marcu 1913 r. Henriette Caillaux, żona Josepha, zabiła Gastona Calmette'a, redaktora dziennika „Le Figaro”. Caillaux, wówczas minister finansów, podał się do dymisji i znalazł się z konieczności na uboczu życia politycznego. Był niewątpliwie skompromitowany pomimo wyroku uniewinniającego, który w procesie żony zapadł w lipcu 1914 r. Nie tracił wszakże nadziei, że odegra jeszcze wielką rolę polityczną i torował sobie do niej drogi nie

zawsze zręcznie i nie zawsze przemyślnie. Rozpierała go pycha, ambicja i nienawiść do przeciwników, przede wszystkim do Poincarégo i do Clemenceau. Był to zarazem człowiek nieopanowany i nieostrożny. Jesienią 1914 r. bawił w Brazylii, wdał się tam w rozmowy z zaufanym agentem pośła niemieckiego w Rio de Janeiro i nie wahał się oświadczyć mu, że wojna przeciwko Niemcom jest ze strony Francji szaleństwem i zbrodnią, i że Francuzi wyciągają kasztany z ognia dla Wielkiej Brytanii.

Niemcy w lot podchwycili te konfidencje i otoczyli Caillaux swymi zausznikami i agentami różnych wymiarów. Całą akcją kierował baron Oskar von der Lancken–Wakenitz, wówczas kierownik oddziału politycznego niemieckiego zarządu okupacyjnego w Belgii. Kręcił się więc dokoła Caillaux niejaki Lipscher, rzekomo dziennikarz węgierski, w rzeczywistości agent wywiadu niemieckiego. Zwracał się do Caillaux z awansami Georg Marx, bankier w Mannheim, zarazem kierownik niemieckiej placówki szpiegowskiej w Szwajcarii. Wdał się też Caillaux w stosunki z byłym chedywem Abbasem Hilmi i miał się z nim poufnie spotkać w Szwajcarii w maju 1915 r. Kontaktował się z Caillaux i dostarczał mu informacji o sprawach niemieckich redaktor dziennika „Le Bonnet Rouge” Georges Duval, agent wywiadu niemieckiego działający pod pseudonimem Dumler.

Kontakty te nie były jeszcze zdradą stanu, ale stały na jej pograniczu, zwłaszcza że Caillaux zachowywał je

w tajemnicy i nie informował o nich rządu francuskiego.

Niemcy z osobą Caillaux wiązali nie lada nadzieje, upatrywali w nim przyszłego prezesa ministrów, który wycofa Francję z wojny, w każdym razie wpływowego polityka, który szerzyć będzie w swej ojczyźnie tendencje pacyfistyczne i defetystyczne.

## 61. Pokój z Austro-Węgrami

22 grudnia 1916 r. na fotelu ministra domu cesarskiego i królewskiego oraz spraw zagranicznych monarchii habsburskiej zasiadł hrabia Ottokar Czernin von und zu Chudenitz, dawny zausznik arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i nie nazbyt fortunny poseł w Bukareszcie. Potomek starej szlachty czeskiej, przepojony swoistym „patriotyzmem krajowym” (*Landespatriotismus*), przywiązaniem do dawnych czeskich tradycji feudalnych, odnosił się Czernin niechętnie do czeskiego ruchu narodowego; z kultury i z wykształcenia był Niemcem. Do urzędowania na *Ballplatzu* wniósł cechy charakteru nieułatwiające sukcesów - nielojalność, pesymizm, nerwowość. W Wielkiej Brytanii i we Francji w kołach niezorientowanych, nominację Czernina na kierownika polityki zagranicznej monarchii i innego czesko-niemieckiego arystokraty hr. Heinricha Clam-Martinitza na prezesa ministrów Austrii uznano za ukłon w stronę Czechów. Było to zupełnie błędne.

W kwietniu 1917 r. Czernin w rozmowie z którymś z dyplomatów niemieckich w taki sposób wykazywał różnicę pomiędzy położeniem Austrii a położeniem

Niemiec: oto w Niemczech istnieje partia wojenna i partia pokojowa, rząd ma więc swobodę działania i może grać na zwłokę. Natomiast w Austrii wszyscy chcą pokoju i rząd narazi się na poważne trudności, jeśli nie będzie brał tego pod uwagę.

W ustach Czernina był to zapewne jeden z jego wielu manewrów dla przekonania Berlina o potrzebie podjęcia zabiegów o pokój, ale ocena sytuacji w Austro–Węgrzech była trafna. Imperium Habsburgów ugięło się pod ciężarem wojny i położenie jej kresu było pilną koniecznością.

Zmarły w dniu 21 listopada 1916 r. cesarz Franciszek Józef do ostatnich chwil życia wywierał na sprawy państwa wpływ znaczny, stał mocno na gruncie przymierza z Niemcami i było rzeczą wiadomą, że do jakichkolwiek zabiegów o pokój wystąpi tylko w porozumieniu z Berlinem. Gdy więc cesarz Franciszek Józef w pewnym sensie utrudniał kroki pokojowe, jego następca młody cesarz Karol popierał je gorliwie. Wola monarchy miała jeszcze w owych czasach w monarchii habsburskiej znaczenie niepoślednie.

Czy pokój odrębny pomiędzy Austro–Węgrami a państwami Koalicji był w ogóle możliwy? Trudno dziś tę kwestię rozstrzygnąć, w każdym razie piętrzyły się na tej drodze poważne trudności. Czernin w rozmowach z przedstawicielami rządu Rzeszy zawsze - z wyjątkiem czasu rokowań brzeskich - podkreślał swą lojalność i twierdził, że monarchia zawrze pokój jedynie razem z Rzeszą. Czy była to tylko gra, czy tak sądził rzeczywiście? Czy myślał naprawdę, że Austro–



Węgry miały szansę porzucenia niebezpiecznego alianta niemieckiego? Niełatwo na to odpowiedzieć.

12 stycznia 1917 r. w Baden pod Wiedniem pod przewodnictwem cesarza Karola zebrała się wspólna rada ministrów monarchii podwójnej. Dyskusję o celach wojennych zagał cesarz przedstawiając dwa programy - maksymalny i minimalny. Program maksymalny to przyłączenie Królestwa Polskiego, Czarnogóry, korektury graniczne na granicy węgiersko-rumuńskiej i usunięcie Karadziordziewiciów i zastąpienie ich na tronie serbskim inną dynastią. Program minimalny przewidywał pełną integralność, przyłączenie góry Lovćen, usunięcie Karadziordziewiciów. Minister spraw zagranicznych oświadczył, że zupełne pokonanie przeciwnika jest sprawą nieprawdopodobną, dlatego należy się liczyć z koniecznością zawarcia pokoju kompromisowego. W dyskusji padły różne pomysły aneksjonistyczne, niekiedy dziwne, jak np. podział Rumunii pomiędzy Austro-Węgry i Rosję (Mołdawia dla Rosji, Wołoszczyzna dla Austro-Węgier); miałyby to wywołać trwałą nieprzyjaźń pomiędzy Rumunią i Rosją i „byłoby zbawienną lekcją dla innych państw bałkańskich”. Dlaczego nie wywołałoby to w Rumunii i w innych krajach bałkańskich nastrojów antyaustriackich, tego nie mówiono. Rozprawiano o korekturach granicznych, o wzmocnieniu Bułgarii, o osłabieniu Serbii, o potrzebie skierowania ruchu południowosłowiańskiego pod skrzydła monarchii habsburskiej. Dyskusję zreasumował cesarz słowami: „Nasz główny cel to zachowanie integralności monarchii”.

Cesarz Karol był najmłodszym i najmniej doświadczonym uczestnikiem narady, ale sytuację rozumiał chyba najtrafniej, pragnął pokoju. Pokój jak najprędzej, za wysoką nawet cenę był dla monarchii Habsburgów kwestią życia i śmierci. Rozumiał to i Czernin i podjął niełatwą próbę akcji pokojowej. Dla nowego ministra warunkiem wstępnym, niezbędnym było zorientowanie się w poglądach, nastrojach, dążeniach niemieckiego sprzymierzeńca. Sposobność po temu dała wizyta kanclerza Rzeszy w stolicy naddunajskiej. 16 marca 1917 r. w sali konferencyjnej na *Ballplatzu* zasiedli przy stole obrad Czernin i dwaj ambasadory austriaccy Kajetan Merey i Gottfried książę zu Hohenlohe oraz goście niemieccy kanclerz Theobald von Bethmann Hollweg, sekretarz stanu Wilhelm von Stumm i ambasador hr. Botho von Wedel.

Gospodarze austriaccy nie byli w dobrym nastroju, niepokojem napawała ich rosnąca niedola ludów monarchii. Josef Redlich, wywodzący się z zamożnej burżuazji wiedeńskiej, w dniu 25 marca 1917 r. zanotował w swym dzienniku: „Od wczoraj burza śniegowa. Straszliwa zima. Jak to znoszą ludzie bez węgla? Przy tym wciąż rosnące trudności zaopatrzeniowe. W Wiedniu nie ma kartofli”.

Właśnie 16 marca, gdy na *Ballplatzu* rozpoczęła się narada austriacko–niemiecka, nadeszła do Wiednia wieść o abdykacji Mikołaja II. Znaczenia tego faktu, który rozpoczął i uwidoczniał rewolucję rosyjską, nie rozumieli jeszcze ani austriaccy gospodarze, ani ich goście niemieccy. Z wagi konfliktu pomiędzy Niemcami

a Stanami Zjednoczonymi zdawał sobie sprawę chyba tylko kanclerz Bethmann Hollweg.

Nie można się więc dziwić, że rozmowy z Niemcami rozpoczął Czernin od oświadczenia, że „monarchia znajduje się u kresu sił”, sytuacja zaopatrzeniowa jest katastrofalna, z Czech napływają doniesienia o grasującym tam tyfusie brzuszny, podobnie złe wieści nadchodzą z innych krajów monarchii. Brak surowców niezbędnych do prowadzenia wojny. Stąd wyprowadzał Czernin wniosek, że ponieważ Austro–Węgry dalej walczyć nie są w stanie, „należy uchwycić każdą nić, która może prowadzić do znośnego pokoju”. Ministrowi wydawało się, że taka możliwość otwiera się od strony Francji i wobec tego nie należy jej odrzucać. Czernin pragnął więc wysłać do Szwajcarii hr. Mensdorffa w ściśle poufnej misji. Hrabia Albert von Mensdorff–Pouilly–Dietrichstein, spowinowacony z królewskim domem angielskim, przez lat dziesięć do wybuchu wojny c. i k. ambasador w Londynie, zajmował wysoką pozycję w ówczesnym świecie politycznym; misja jego musiała więc mieć dużą wagę. Instrukcje dla ambasadora chciał Czernin uzgodnić z Niemcami, prosił więc Bethmanna o przedstawienie programu maksymalnego i minimalnego.

Kanclerz, chyba niezupełnie szczerze, może dla przeciwstawienia się pesymizmowi Czernina, uderzył w struny optymistyczne. Nie da się przewidzieć, dowodził, rozwoju wypadków w Rosji, ale rzecz możliwa, że „rosyjskie zamieszki” (*Wirren*) w połączeniu z akcją niemieckich łodzi podwodnych tak „osłabią czy prze-

straszą” Koalicję, że zwróci się ona do Państw Centralnych z konkretnymi propozycjami, dlatego nie należy wiązać sobie rąk wobec Francji. Hrabia Mensdorff powinien w rozmowach z Francuzami zachować się biernie i być tylko słuchaczem. Co do żądań minimalnych od Francji - można dyskutować przyłączenie do Niemiec zagłębia Briey–Longwy w zamian za części Lotaryngii lub Alzacji; żądania maksymalne to aneksja Briey–Longwy bez żadnych ustępstw terytorialnych ze strony Niemiec. Wywody kanclerza uzupełnił sekretarz stanu von Stumm domagając się, aby nie zapomniano, że „wojskowi niemieccy” oceniają sytuację bardzo optymistycznie. Nutę pesymizmu wlał znowu do obrad hr. Czernin; zwrócił uwagę, że wojska niemieckie stoją wszędzie w krajach przeciwnika, natomiast część monarchii, mianowicie część Galicji i część Bukowiny znajdują się pod okupacją nieprzyjacielską, dlatego „pierwszy i najbliższy cel” Austro–Węgier to zachowanie ich całkowitej integralności terytorialnej. Ale pesymizm nie przeszkodził hr. Czerninowi w wysuwaniu żądań podziału Rumunii pomiędzy Austro–Węgry, Bułgarię i ewentualnie Rosję. Aneksje rumuńskie to hrabiego Czernina *idée favorite* (myśl ulubiona). Ostra replika Bethmanna wskazywała, że tak wielkie aneksje wywołać by musiały złe wrażenie w Niemczech. Wielkie aneksje to przywilej Niemiec.

Ostatecznie kanclerz w taki sposób zreasumował wyniki narady: hrabia Mensdorff będzie mógł w ostatecznej formie „dać do zrozumienia swemu francuskiemu rozmówcy, że porozumienie pomiędzy Francją

a Niemcami jest możliwe na takiej podstawie: „a) wymiana terytorialna w Europie; b) ogólny układ kolonialny i c) kompensaty gospodarcze”. Będzie musiał także postawić pytanie, jakie stanowisko wobec przewidywanego układu zajmie Wielka Brytania?

Rozmowy austriacko–niemieckie powtórzono dziesięć dni później, 26 marca 1917 r. w Berlinie. Czernin znowu powtarzał, Austro–Węgry skutkiem braku środków żywności, skutkiem braku surowców, skutkiem niedoborów ludzkich nie będą mogły prowadzić wojny dłużej niż do jesieni, „nasze tygodnie i nasze miesiące są policzone”. Tak pesymistyczna ocena sytuacji nie przeszkodziła wszakże dzielnemu hrabiemu wysuwać daleko idących postulatów. Upierał się przy swej *idée favorite*, przy nabytkach rumuńskich, Niemcom darowywał w zamian Polskę, ale na razie w wielkiej tajemnicy, gdyż gdyby wiadomość o ustępstwach polskich dotarła do kół politycznych w monarchii, pozycja jego Czernina „byłaby niemożliwa”.

Czernin, czemu się trudno dziwić, najwidoczniej grał na nerwach Bethmannowi, kanclerz dwukrotnie powtarzał z irytacją, że gdy hrabia Czernin stoi na stanowisku integralności monarchii i żąda dla niej nabytków, Niemcy mają zrezygnować z części Alzacji, z części kolonii. Po wielkich ofiarach, jakie poniósł naród niemiecki, żaden Niemiec nie zrozumiałby takiego pokoju, takiej rezygnacji.

Ostatecznie uzgodniono program militarny - Państwa Centralne wycofają swe wojska z Rosji, Czarnogóry, Serbii, Albanii i Rumunii dopiero wtedy, gdy;

przywrócony zostanie terytorialny *status quo ante bellum*. Program maksymalny miał się opierać na zasadzie, że nabytki terytorialne mają być w zgodzie, z osiągnięciami militarnymi obu mocarstw. „Dla Niemiec przewiduje się zasadniczo wschód, dla Austro-Węgier przede wszystkim Rumunię”.

Hrabia Mensdorff wyjechał istotnie 21 marca do Szwajcarii, ale bawił tam tylko kilkanaście dni w początku kwietnia 1917 r. Nawiązał pośrednie kontakty tylko z poselstwem brytyjskim w Bernie, nie spotkał się z Francuzami, mi, wzbudził natomiast podejrzenia Niemców. Już 7 kwietnia Czernin prosił go o powrót do Wiednia. Mensdorff wyjechał ze Szwajcarii z przekonaniem, że państwa zachodnie chcą oderwać monarchię od Niemiec, że chcą Niemcy upokorzyć, że mają zobowiązania względem Włoch, że dość obojętnie odnoszą się do interesów rosyjskich i rumuńskich, że pokój powszechny byłby możliwy jedynie za cenę niepodległości Belgii i restytucji Alzacji i Lotaryngii.

Wątki nici porozumienia pomiędzy Wiedniem i Paryżem motano bez rezultatu od początku 1917 r. sięgały one bardzo wysoko, bo do tronu Habsburgów.

Cesarz Karol szukał wszelkich dróg wiodących do pokoju, popierał; Czernina, gdy minister mówił o położeniu kresu wojnie, popierał każdą inicjatywę pokojową. Umyślił też podjąć na własną rękę akcję metodami stosowanymi często skutecznie w wiekach minionych, w wieku wszakże XX, raczej wątpliwymi - posłużyć się chciał więzami dynastycznymi.

Sprawa tak wyglądała: cesarzowa Zyta była córką Roberta i Marii Antonii książąt Bourbon z włoskiej gałęzi tej dynastii panującej do 1860 r. w Parmie. Bracia cesarzowej, Sykstus i Ksawery, czuli się Francuzami, Bourbonami, potomkami Henryka IV; gdy im odmówiono, jako potomkom dynastii ongiś panującej we Francji, zezwolenia na służbę w armii francuskiej, zaciągnęli się do armii belgijskiej i walczyli przeciwko Niemcom. Do Sykstusa i do Ksawerego zwrócił się cesarz Karol z prośbą o podjęcie pośrednictwa pomiędzy nim a rządem francuskim. Książęta misję przyjęli, w styczniu 1917 r. uzyskali urlop i rozpoczęli działania. 23 i 24 marca oraz 8 maja rozmawiali z cesarzem Karolem, rozmawiali z Czerninem, książę Sykstus był cztery razy u prezydenta Poincarégo, konferował z Lloyd George'em, był też na audiencji u króla angielskiego.

Czernin wiedział więc o misji księcia Sykstusa, a chociaż w rozmowach ze szwagrem cesarskim był „zimny” i powściągliwy, nie sprzeciwił się mediacji, a nawet dał mediatorowi krótką, ogólnikową notatkę o postulatach Austro–Węgier; notatka zaczynała się od stwierdzenia o ścisłym, nierozzerwalnym przymierzu z Niemcami, zawierała następnie zadziwiające zapewnienie, że jeśli Niemcy zechcą zrezygnować z Alzacji i Lotaryngii, „Austro–Węgry nie będą tu oczywiście stawiały przeszkód”. Dalej następował postulat przywrócenia niepodległości Belgii i odszkodowania na jej rzecz przez wszystkie państwa walczące. Bezpośrednio po tych ustaleniach zapewniał Czernin; „Wielki to błąd sądzić, że Austro–Węgry znajdują się pod kuratelą poli-

tyczną Niemiec. Za to w Austro–Węgrzech rozpowszechniony jest pogląd, że Francja działa całkowicie pod presją Anglii”.

Główną rolę grał wszakże sam cesarz i tu przejawiał się brak doświadczenia politycznego młodego monarchy, a zarazem jego zapał do służenia dobrej sprawie pokoju. Cesarz bez wiedzy ministra spraw zagranicznych wręczył szwagrowi list prywatny, pisany własną ręką ołówkiem. Prosił o „przekazanie potajemnie i nieoficjalnie panu Poincarému, prezydentowi Republiki Francuskiej, że słuszne rewindykacje francuskie co do Alzacji i Lotaryngii będzie popierał wszystkimi środkami i używając swego wpływu osobistego u swych sprzymierzeńców”. Belgia - pisał dalej - powinna odzyskać pełną niepodległość, obiecywał przywrócenie niepodległości Serbii, nawet z dostępem do morza, byleby Serbia powstrzymała się od wszelkiej wrogiej działalności skierowanej przeciwko Austro–Węgrom. Wobec niewyjaśnionej sytuacji w Rosji cesarz powstrzymywał się od wyrażenia swych poglądów aż do utworzenia tam rządu „legalnego i ustabilizowanego”. Uderzał brak w liście wzmianki o Włoszech.

List do księcia Sykstusa, datowany 24 marca 1917 r., w rozumieniu jego cesarskiego autora miał być pierwszym wstępnym krokiem do rozmów z Francuzami i Anglikami na temat pokoju odrębnego pomiędzy monarchią habsburską a mocarstwami zachodnimi. Czy cesarz orientował się, jak bardzo sprawa była powikłana, ciężka i czy w ogóle mogło wtedy dojść do jej realizacji? Chyba nie. O liście nie powiadomił swego mini-



stra spraw zagranicznych, działał więc wyłącznie na własną rękę, widać anachronistycznie zadufany w autorytet i możliwości monarchii.

Księżę Sykstus po powrocie z Wiednia działał dalej jako pośrednik, był parokrotnie u prezydenta Poincarégo, któremu wręczył list cesarski, rozmawiał z Lloyd George'em, z Cambonem, w maju zjawił się znowu w Wiedniu.

W rozmowie z cesarskim szwagrem uderzył w nutę optymistyczną, był przeświadczony, że zdecydowana postawa Austro–Węgier i pokój odrębny zawarty przez monarchię doprowadzą do pokoju powszechnego, jeśli nie od razu, to w każdym razie w ciągu roku. Rozmowa potoczyła się dalej na temat rewindykacji włoskich. Ostatecznie cesarz wręczył księciu drugi list odręczny, datowany 9 maja 1917 r. Pisał, że zbadanie propozycji włoskich odracza do otrzymania odpowiedzi Francji i Wielkiej Brytanii na jego propozycje pokojowe. Do listu cesarz załączył zapiskę Czernina w języku niemieckim o warunkach pokoju. Minister, stwierdzał, że wykluczone są jednostronne ustępstwa terytorialne ze strony Austro–Węgier, że można będzie wszakże wziąć pod uwagę ustępstwa z kompensatami, takie rozwiązanie byłoby do rozważenia (*ventilierbar*); zapytywał, jakie gwarancje otrzyma monarchia, że na konferencji pokojowej nie zostanie naruszona jej integralność. Definitywnej odpowiedzi udzielią Austro–Węgry, gdy Koalicja zajmie stanowisko w tych dwóch kwestiach i wtedy dopiero porozumieją się ze swymi sprzymierzeńcami na te-

mat rokowań. W każdym razie Austro–Węgry gotowe są prowadzić nadal rozmowy z przedstawicielami Francji i Anglii, pracować na rzecz honorowego pokoju i otworzyć w ten sposób drogę do pokoju światowego.

W przeciwieństwie do listu cesarskiego notatka ministra miała ostrożny charakter dyplomatyczny i, gdyby Niemcy powzięli o niej wiadomość, nie skompromitowałyby rządu wiedeńskiego.

W obozie Koalicji mediacja księcia Sykstusa i list cesarza Karola największe nadzieje rozbudziły u Lloyd George'a, powściągliwiej podszli do sprawy Francuzi - prezydent Poincaré, a zwłaszcza prezes ministrów i minister spraw zagranicznych Ribot. Ostatecznie szefowie rządów francuskiego i brytyjskiego zdecydowali, że o próbie porozumienia z Austrią będą musieli powiadomić rząd włoski, ale w sposób ogólnikowy i niepełny. Na spotkaniu premierów Wielkiej Brytanii i Francji z włoskim ministrem spraw zagranicznych w Saint–Jean–de–Maurienne w Sabaudii w dniu 19 kwietnia 1917 r. baron Sonnino usłyszał krótko i ogólnikowo o austriackiej inicjatywie pokojowej, ale nie dowiedział się nic o liście cesarza Karola. Reakcja włoska była stanowcza. Sonnino domagał się bezwzględnie wypełnienia postanowień paktu londyńskiego z 26 kwietnia 1915 r. Nie pomogły nalegania Lloyd George'a, który nie ukrywał niechęci do Włochów, i ostatecznie minister włoski przy poparciu Ribota narzucił swój punkt widzenia. Sonnino uważał, że nie byłoby rzeczą właściwą prowadzenie rozmów z Austriakami, gdyż mogłoby to „osłabić ścisły związek pomiędzy

sprzymierzonymi, który jest bardziej potrzebny niż kiedykolwiek”.

Na tym rzecz upadła. 20 maja 1917 r. na rozmowie w Pałacu Elizejskim u prezydenta Poincarégo książe Sykstus usłyszał z ust Ribota ostateczną odmowę dalszych prób porozumienia z monarchią Habsburgów.

Książę Sykstus nie dał jeszcze za wygraną. Udał się do Londynu, nalegał na Lloyd George'a. Pierwszy minister brytyjski wpadł na myśl, aby przeciwko Sonnino, który jest *obstinate and difficult and troublesome* (uparty i trudny i nieznośny), użyć autorytetu króla Wiktora Emanuela. Niechby się we Francji zjechali królowie Anglii i Włoch oraz prezydent Poincaré wraz z odpowiedzialnymi ministrami, a wówczas da się może osiągnąć jakieś wspólne stanowisko. Odmowa włoska udaremniła realizację pomysłu Lloyd George'a.

Udaremniła chyba zarazem i misję księcia Sykstusa, i próbę cesarza Karola zawarcia pokoju odrębnego, ratowania tronu Habsburgów i bytu państwowego Austro-Węgier.

A tymczasem hrabia Czernin prowadził grę szczególną - Niemców usiłował przekonać, że monarchia nie jest już w stanie walczyć dalej i dyskretnie pozwalał im się domyślać, iż ma z Francją nawiązane wstępne porozumienie. Wieści napływające z Francji przez Szwajcarię umacniały ministra w przekonaniu, że sprawa pokoju to sprawa Alzacji i Lotaryngii, usiłował więc wywierać swoisty nacisk w Berlinie. Nacisk ten przejawiał się pokazywaniem trudności wewnętrznych monarchii. 31 marca 1917 r. prezes ministrów hr. Clam-Martinitz

mówił ambasadorowi niemieckiemu, że Austro–Węgry dysponują zapasami żywności tylko na okres trzech tygodni, że „nastroje wśród warstw ubogich i sympatie szczepów słowiańskich dla Rosji liberalnej” kazały „lękać się katastrofy”.

2 kwietnia 1917 r. pociąg dworski powiózł z Wiednia do miejscowości kąpielowej Bad Homburg w południowo–zachodnich Niemczech, gdzie znajdowała się Kwatera Główna niemiecka, parę cesarską, cesarza Karola i cesarzową Zytę, Czernina i szefa sztabu generała Arthura Arz von Straussenberga. Cesarz i Czernin usiłowali zyskać zgodę gospodarzy na rezygnację z Alzacji i Lotaryngii, w zamian oddawali Niemcom Polskę, nie tylko Królestwo, ale nawet i Galicję. Niemcy propozycję, rzecz prosta, odrzucili; kanclerz był „silnie zdziwiony”. Cesarz Karol w rozmowie z Wilhelmem miał wciąż na myśli rokowania księcia Sykstusa; w mało prawdopodobnym przypadku, gdyby Niemcy przyjęli sugestie austriackie, cesarz mógł się spodziewać szczęśliwego wyniku mediacji parmeńskiej. Natomiast odmowa niemiecka - całkowita, a tym bardziej częściowa - uspokoiłaby skrupuły młodego monarchy i dałaby mu poczucie lojalności i względem sprzymierzeńca, i względem strony przeciwnej.

Spotkanie w Bad Homburg zakończyło się więc niepowodzeniem, ale niepowodzenie to nie zmieniło planów Czernina. Wkrótce po powrocie do Wiednia minister zredagował memoriał o położeniu wewnętrznym Austro–Węgier. Memoriał wskazywał, że monarchia znajduje się u kresu sił, że najpóźniej z końcem la-

ta lub w początku jesieni „musi być zawarty pokój za wszelką cenę”. Rokowania należy rozpocząć póki przeciwnik nie dojrzy wyraźnie *unsere sterbende Kraft* (naszej zamierającej siły). Groźne zjawisko to „niebezpieczeństwo rewolucyjne, które zawisło na horyzoncie całej Europy”. Czernin twierdził dalej, że gdyby Niemcy próbowały podjąć kampanię zimą 1917/18 r., wywołałoby to ruchy rewolucyjne także i w Rzeszy, a to jemu „obrońcy zasady dynastycznej wydaje się sprawą gorszą niż zawarty przez monarchę zły pokój”. Dalej rzucił hrabia groźne proroctwo: „Jeśli władcy Państw Centralnych nie zdołają zawrzeć pokoju w najbliższych miesiącach, zrobią to ludy ponad ich głowami”. Charakterystyczne były zdania końcowe, że cesarz Karol odrzucił kilkakrotnie próby wroga oderwania monarchii od sprzymierzonych Niemiec, gdyż „jest niezdolny do postępowania nieuczciwego”, cesarz polecił wszakże Czerninowi „oświadczyć mężom stanu Rzeszy, że jesteśmy już u kresu sił, i że Niemcy na jesieni nie będą już mogły na nas liczyć”.

Monarcha przesłał memoriał Wilhelmowi z prośbą o staranne rozpatrzenie.

Interesujące są dalsze koleje memoriału Czernina; miał się odezwać niemiłym dla Austriaków echem w lecie 1917 r., na razie wywołał pełne irytacji kpiny Wilhelma i replikę kanclerza Bethmanna.

Wilhelm II miał zwyczaj robić uwagi na marginesie przedstawianych mu pism; uwagi te, niekiedy wręcz śmieszne, odzwierciedlały zawsze zmienne nastroje monarchy - fantasty.

Twierdzenie Czernina, że najpóźniej jesienią pokój musi być zawarty „za wszelką cenę”, zaopatrzył cesarz taką uwagą: „Feldmarszałek (tj. Hindenburg) powiedział, że wojna skończy się jesienią”. Spostrzeżenie, że i Niemcy stoją u kresu sił, a nie zaprzeczają temu „odpowiedzialne czynniki polityczne w Berlinie”, skwitował cesarz apodyktycznie i krótko: *Blech* (bzdura).

Ważniejsze od cesarskich dopisków marginesowych było stanowisko, jakie zajął kanclerz. Na żądanie cesarza Bethmann Hollweg opracował datowaną 4 maja 1917 r. odpowiedź na memoriał c. i k. ministra. Cechował ją urzędowy optymizm, sytuację militarną widział w jasnych kolorach na obu frontach, zachodnim i wschodnim, „z pełnym zaufaniem” ocenił wyniki wojny łożącymi podwodnymi. Dopatrywał się poważnych komplikacji wewnętrznych we Francji i w Anglii, nie ukrywał, że i Niemcy walczą z wielkimi trudnościami, ale wyrażał wiarę, że wyjdą z nich bez „zagrożenia spoistości państwowej”. Chociaż sytuację ogólną uważał za pomyślną, zgadzał się z Czerninem, że należy dążyć do zawarcia pokoju „honorowego, odpowiadającego interesom Rzeszy i jej sprzymierzeńców”. I tu wymknęło się spod kanclerskiego pióra, że „akcję pokojową” podjąć należy w czasie „gdy inicjatywa militarna i polityczna znajduje się jeszcze w naszych rękach”.

Niełatwo było podjąć akcję pokojową, 4 maja 1917 r. poseł austriacki w Szwajcarii baron Aleksander Musulin von Gomiric pisał do hr. Ottokara Czernina. „Moje tutejsze wrażenia mówią, że znajdujemy się w błęd-

nym kole; gdy powodzi się Koalicji lub spodziewa się sukcesów w najbliższej przyszłości, nie można jej oczywiście pozyskać dla myśli o pokoju, gdy nam się dobrze dzieje, wtedy dają się słyszeć głosy niemieckie: «Na miłość boską, zbytnio się nie spieszyć, nie popsuć, odczekać; będzie jeszcze lepiej»”.

Francuzi nie wierzą, twierdził Mussulin, aby Austria mogła wywierać wpływ na Niemcy, Francuzi uważają Austrię za *docile second* (powolnego sekundanta). Takie zapatrywania odpowiadają Niemcom - pisał dalej Mussulin - starają się oni nawet dyskretnie umocnić w Paryżu pogląd, że Austro-Węgry nie są zdolne do samodzielnych decyzji.

Pomimo wszelkich trudności Czernin prowadził dalej swą misterną grę. („ Podczas ponownej wizyty kanclerza w Wiedniu w dniu 13 maja 1917 r. podał do jego wiadomości, że Wielka Brytania, Francja i Włochy ofiarowały monarchii Habsburgów pokój odrębny w zamian za Trydent i którąś z wysp dalmackich. Według Czernina pokój taki nie wyrządziłby Niemcom szkody, gdyż wojska austriackie, zwolnione z frontu włoskiego, mogłyby przejąć straż na froncie wschodnim i umożliwić przerzucenie sił niemieckich z Rosji do Francji. Skończyłaby się także blokada na Morzu Adriatyckim i Austro-Węgry mogłyby otrzymywać potrzebne im środki żywności, a nawet część ich przekazywać Niemcom. Czernin miał poinformować rządy państw Koalicji, że odpowiedzi będzie mógł udzielić dopiero po porozumieniu się ze sprzymierzeńcem nie-

mieckim. Rzecznicy Koalicji jakoby uznali to za sprawę „rozumiejącą się samo przez się”.

Wynurzenia te nie wzbudziły u Bethmanna wątpliwości co do lojalności Austriaków; wyobraził sobie natomiast, że Koalicja albo drogą przez Wiedeń dąży do nawiązania rokowań o pokój powszechny, albo pragnie monarchię habsburską oderwać od Rzeszy.

Rządy Państw Centralnych uzgodniły stanowisko na nowej konferencji w Kreuznach (obecnie Bad Kreuznach) w dniach 17 i 18 maja 1917 r. Uzgodnione stanowisko - tak jak je ujął opublikowany komunikat wspólny - było niewątpliwym sukcesem Czernina, co prawda sukcesem jedynie papierowym, gdyż postanowienia z Kreuznach nie będą miały znaczenia, a co najwyżej sprytnemu hrabiemu ułatwią chwilowo jego grę.

Tajcie oto były postanowienia w Kreuznach ogłoszone we wspólnym komunikacie: 1) pełna integralność monarchii habsburskiej. 2) Mała Serbia bez dostępu do morza, Czarnogóra i północna Albania militarnie, politycznie i gospodarczo zależne od Austro-Węgier. W ostatecznym razie jako ofiara ze strony monarchii zależna od niej „Nowa Serbia” z wyjściem na Morze Adriatyckie. 3) Zaspokojenie postulatów bułgarskich w Macedonii i w Dobrudży (tu granica sprzed 1913 r.). 4) Jeśli Niemcy opanują (*Angliederung*) Kurlandię i Litwę, a zwiążą z sobą Polskę (*Anlehnung*), Rumunia z wyjątkiem Dobrudży przypadnie Austro-Węgrom jako odrębne państwo (*besonderer Staat*) z zastrzeżeniem interesów niemieckich w tym kraju.



Natarczywie naprzykrzał się hrabia Czernin Niemcom. Zapewniał ich, że „na podstawie otrzymanych wiadomości nie wątpi, iż możliwe jest porozumienie z Francuzami za cenę ustępstw w Alzacji i Lotaryngii”. Ponowił niedawną ofertę: jeśli Niemcy zgodzą się ponieść ofiary w Alzacji i Lotaryngii monarchia jest również gotowa do ofiar i odda Galicję Polsce, tzn. Polsce związanej z Rzeszą. „Oczywiście (Austro–Węgry) nie mogą się wyrzec bez wahania jednej z najbogatszych i największych prowincji. Za oddane zboże i naftę (galicyjską) muszą dostać rekompensatę w Rumunii”. Niemcy nalegania Czernina przyjmowali niechętnie, ofiarowanie im Polski nazywali „darem” Danaów, o koncesjach alzackich nie myśleli, opowiadanie o możliwości porozumienia z Francją przyjmowali ze słusznym sceptycyzmem. Na pytanie kanclerza Michaelisa, czy ze strony Francji widać chęć nawiązania rozmów, ostrożnie odpowiedział Czernin, że nastąpiło to w „luźnej formie” i Austriacy nie dali temu dalszego biegu.

W dalszych rozmowach w Berlinie w dniu 14 sierpnia 1917 r. doszło do ostrej wymiany zdań pomiędzy austriackim gościem a pruskim gospodarzem, pomiędzy Czerninem a nowym sekretarzem stanu Richardem von Kühlmannem.

„Czernin: Rozmawiamy nie rozumiejąc się wzajemnie. Założenie: W ciągu kilku miesięcy Austria jest wykończona.

von Kühlmann: Koncesje w Alzacji i Lotaryngii wykluczone. W takim razie wojnę toczymy sami.

Czernin: Założenie: Koalicja stawia propozycje pokojowe na podstawie *status quo ante*. Wy mówicie: walczyć dalej. My mówimy koniec. Wtedy przymierze traci swą moc”.

Dyskurs nie dał rezultatu, obaj ministrowie pozostali każdy przy swoim zdaniu. Zastanawia wszakże, dokąd zmierzał Czernin; czy wierzył istotnie, że uda mu się skłonić Niemców do ustępstw w Alzacji i Lotaryngii? Dałby tym dowód braku zrozumienia sytuacji w niemieckich kołach rządowych. Czy też usiłował kryć tajne rozmowy z Francuzami i ewentualnie przygotowywać grunt pod pokój odrębny? Trudno tu wyrobić sobie sąd pewny.

W maju 1917 r. misja księcia Sykstusa zakończyła się, jak wiemy, ostatecznie niepowodzeniem. Nastąpiły później dwie rozmowy na niższym szczeblu; spotykali się w Szwajcarii austriacki arystokrata i dyplomata hrabia Nikolaus Revertera di Salandra i francuski arystokrata i oficer wywiadu major hrabia Abel Armand.

Pozostaje sprawą nie wyjaśnioną, z której strony, austriackiej czy francuskiej, wyszła inicjatywa rozmów. Najprawdopodobniej z kół arystokracji katolickiej powiązanej i z Francją, i z Habsburgami, ale to nie ma większego znaczenia.

W biurach wywiadu francuskiego opracowano memoriał zawierający i uzupełniający propozycje pokojowe skierowane do monarchii habsburskiej. W memoriale zakładano, że Rosja się załamała i zapewne w niedługim czasie wycofa się z rzędu państw walczących. Dla wyrównania sił trzeba więc wycofać z wojny

drugie osłabione mocarstwo - Austro-Węgry. Austrii można w zamian ofiarować cenę wysoką - utrzymanie jej integralności i zwiększenie jej potęgi. Jedynym wrogiem Francji, jedynym niebezpieczeństwem dla Europy są Prusy. W interesie Koalicji leży zatem, aby istniała w Europie potęga granicząca z Prusami i bezwzględnie im wroga. Taką potęgą mogą być Habsburgowie, jeśli staną na czele federacji państw, w których Słowianie stanowią większość, łącznie z Polską w granicach sprzed roku 1772 „od Gdańska do Karpat”; jeśli z tymi państwami sfederują się Niemcy, politycznie i wyznaniowo obcy Prusom, mianowicie Bawarzy. Pod berło Habsburgów wrócić powinien Śląsk. W tej konfiguracji Trydent przypadłby Włochom, a Triest byłby portem wolnym.

Memoriał nosił datę 4 sierpnia 1917 r., a trzy dni później, 7 sierpnia, major Armand spotkał się z hrabią Revertera w pałacu księżnej Sarsina pod Fryburgiem w Szwajcarii. Spotkanie nie dało rezultatu, gdyż Armand chciał mówić o pokoju odrębnym, Revertera zaś o pokoju powszechnym, który objąłby i Niemcy. Obu stronom zależało wszakże na kontynuowaniu rozmów i Francuz przedstawił Austriakowi warunki pokoju powszechnego. A oto one - niepodległość Belgii, zwrot Alzacji i Lotaryngii w granicach sprzed 1814 r., odszkodowanie za zniszczenia wojenne, niepodległość Rumunii i Serbii, ewentualne rekompensaty dla Niemiec w koloniach afrykańskich. Trydent dla Włoch, Triest wolnym portem.

30 sierpnia 1917 r. ambasador austriacki w Berlinie książę Gottfried Hohenlohe przekazał Kühlmannowi w Urzędzie Spraw Zagranicznych propozycje francuskie. Czernin nazwał je wprawdzie *ein schlechter Witz* (kiepskim żartem), ale nadal pragnął rokować z Francuzami; wybierał się nawet do Szwajcarii, a właściwie do Vaduz w Księstwie Liechtenstein dla potajemnego spotkania z francuskim ministrem wojny Paulem Painlevém.

Spotkanie nie doszło do skutku, Painlevé 12 września 1917 r. stanął na czele rządu francuskiego, a i Czernin musiał się zapewne zorientować, że inicjatywa jego była przedwczesna i szła zbyt daleko. Nad Sprewą wzbudziła niechęć i podsyciła podejrzenia niemieckie.

Czernin, pomimo dotychczasowych niepowodzeń, nie chciał zrywać cienkich nici wiodących do Paryża i do Londynu.

Niepoślednią rolę odegrał tu Polak Władysław Skrzyński, pozostający w służbie dyplomatycznej austriackiej. Zamożny właściciel ziemski w Galicji Wschodniej, Skrzyński pracował w dyplomacji austriackiej na różnych stanowiskach, w ambasadzie w Paryżu, w poselstwie w Brukseli, na *Ballplatzu*. Gdy Włochy wypowiedziały wojnę Austrii, Skrzyńskiego wysłano do poselstwa w Szwajcarii; rezydował wszakże nie w Bernie, lecz we francuskojęzycznej części Szwajcarii, w Montreux pod Lozanną. Zadaniem jego była obserwacja stosunków międzynarodowych, a także badanie nastrojów i tendencji panujących w kołach po-

litycznych państw Koalicji. Neutralizowana Szwajcaria, granicząca z Francją, z Niemcami, z Włochami, była wymarzonym terenem wszelkiej akcji politycznej, informacyjnej, propagandowej, wywiadowczej. Raporty Skrzyńskiego przedstawiają dziś niemałą wartość jako źródło historyczne. Tendencje polityki francuskiej i angielskiej, zwłaszcza wobec spraw Europy Środkowej, machinacje niemieckie, widoki i możliwości wszczęcia rokowań pokojowych - wszystko to znajduje odzwierciedlenie w relacjach Skrzyńskiego. Poselstwo francuskie w Szwajcarii tymi słowy scharakteryzowało Skrzyńskiego na podstawie bacznej obserwacji jego działalności podczas wojny: „...Jeśli służył monarchii Habsburgów aż do jej upadku, nie zapomniał nigdy swych obowiązków patrioty polskiego. Ożywia go nienawiść do Niemiec, których zwycięstwo zredukowałoby Austrię do roli subalterna i uniemożliwiłoby odbudowę Polski”.

W tym duchu działał Skrzyński na swym nadlemańskim posterunku, w tym duchu informował Wiedeń, w tym duchu wiązał nici porozumienia z Francuzami i z Anglikami.

Działalność Skrzyńskiego przejawiała się szczególnie przy okazji rozmów brytyjsko-austriackich w końcu 1917 r. Rozmowy te przygotowywano już latem 1917 r.<sup>19</sup> - odbyła się w grudniu, wkrótce po konferencji przedstawicieli rządów państw Koalicji w Paryżu na przełomie listopada i grudnia.

Lloyd George, Balfour, Sonnino przybyli do Paryża w końcu listopada 1917 r., aby wespół z nowym sze-

fem rządu francuskiego Clemenceau ocenić sytuację polityczno–militarną zwłaszcza wobec wycofania się Rosji z wojny i powziąć odpowiednie postanowienia. Skorzystał z tej sposobności Roman Dmowski, aby zwrócić uwagę rządów państw zachodnich na metody walki politycznej przeciwko Państwom Centralnym. Przedstawiciele Komitetu Narodowego Polskiego złożyli na *Quai d’Orsay* i na Downing Street memorandum wskazujące, że Koalicja ma dwa słabe miejsca, gdzie może boleśnie uderzyć przeciwnika; miejsca te to Austro–Węgry i Polska. Zapowiedź przyznania niepodległości nieniemieckim i niemadziarskim narodom monarchii habsburskiej sparaliżowałaby działalność Austro–Węgier w tej wojnie”. „Po wojnie jedynym poważnym przeciwstawieniem Niemiec nią wschodzie może być Państwo Polskie”.

Myśli Dmowskiego znalazły przychylne przyjęcie na *Quai d’Orsay*. Dyrektor polityczny Ministerstwa Spraw Zagranicznych Pierre de Margerie pod wyraźnym wpływem memorandum polskiego opracował „notę dla ministra”. Akcja polityczna sprzymierzonych - pisał de Margerie - w krajach nieprzyjacielskich była dotąd ograniczona i mało skuteczna, Niemcy zaś potrafili zorganizować u swych przeciwników ośrodki demoralizacji, propagandy antywojennej, podniecenia do buntu, do anarchii i zdrady, niejednokrotnie z dobrym skutkiem. Alianci natomiast nie próbowali dotąd w krajach nieprzyjacielskich osłabienia moralnej odporności przeciwnika, siania niezgody. Dotychczasowa działalność polityczna Koalicji to propozycje pokoju odrębne-

go, wysuwane pod adresem Austro–Węgier, Turcji, Bułgarii; trzeba poszukać nowych metod. Koalicja ma licznych zwolenników w krajach monarchii habsburskiej, zwłaszcza wśród jej narodowości słowiańskich, trzeba wyciągnąć stąd wnioski. Szersze jeszcze pole działania dla Koalicji to Polska. „Ponieważ utworzenie Państwa Polskiego będzie w rekonstrukcji przyszłej Europy ważnym czynnikiem równowagi, byłoby rzeczą wskazaną, aby Sprzymierzeni ogłosili wspólnie swój pogląd na tę sprawę”. Te same względy przemawiają za poruszeniem kwestii czechosłowackiej. Tyle „nota dla ministra”.

Roman Dmowski miał w oczach jedynie Niemcy i niebezpieczeństwo niemieckie, ten sposób rozumowania dominował wówczas we Francji, natomiast Anglicy ujmowali sprawę zupełnie inaczej. Dla Wielkiej Brytanii wrogiem były Niemcy jedynie wówczas, gdy były najsilniejszym mocarstwem w Europie i aspirowały do utworzenia wielkiej potęgi światowej; w Rosji widzieli Anglicy sprzymierzeńca tylko chwilowego, przejściowego, a w niedalekiej przyszłości potencjalnego przeciwnika, podobnie jak to bywało w przeszłości. Londyn wolał neutralizować potęgę niemiecką nie przez niepewną, nieznaną, słabą Polskę, lecz przez dawnego rywala Prus, popularną w Anglii monarchię Habsburgów.

29 listopada nowy minister spraw zagranicznych Francji Stephen Pichon zebranych w Paryżu ministrom przedstawił projekt rezolucji głoszącej, że „utworzenie Polski niezależnej politycznie, militarnie, gospodarczo niepodzielnej” stanowi jeden z warunków wstępnych

trwałego pokoju. Głos zabrał natychmiast Lloyd George i zauważył, że „wszelka deklaracja w sprawie polskiej może być niebezpieczna, gdyż zaważy niepomysłnie na naszych rozmowach z Austrią”. Pierwszy minister ciągnął dalej, że on i jego bliscy przyjaciele (miał zapewne na myśli Lorda Alfreda Milnera i generała Smutsa) powitaliby z sympatią kombinację Austro–Węgier wraz z Polską; byłby to w Europie Środkowej system polityczny zdolny do przeciwstawienia się i Niemcom, i Rosji.

29 listopada 1917 r. na konferencji poufnej, w której brali udział jedynie Clemenceau i Pichon, Lloyd George i Balfour, Sonnino oraz pułkownik House, pierwszy minister brytyjski podał do wiadomości zebranych, że Władysław Skrzyński w imieniu rządu austriackiego przedstawił następującą propozycję: jeśli możliwa jest wymiana zdań z „osobistością angielską godną zaufania”, hr. Czernin wydelegowałby do Szwajcarii „osobę pewną, chociaż nie oficjalną, dla przedyskutowania sprawy pokoju”. Skrzyński dodał, iż rząd austriacki prowadził już na ten temat rozmowy poufne z wysłannikami rządu francuskiego, ale pozostało to bez następstw. Austro–Węgry - zapewniał Skrzyński - nie żywią do Wielkiej Brytanii niechęci, rząd austriacki wszcząłby z zadowoleniem rozmowy z Anglikami za pośrednictwem ludzi poważnych, jak ambasador Mensdorff lub ambasador Merey. Pierwszy minister wyjaśnił, że w odpowiedzi Skrzyńskiemu polecił zaznaczyć, iż skłonny jest przyjąć propozycje w sprawie pokoju, ale na piśmie i z zastrzeżeniem, iż



zostaną podane do wiadomości rządów sprzymierzonych.

Minister Sonnino oświadczył, że należy działać ostrożnie. Nie sprzeciwił się wszakże wszczęciu rozmów, gdyż może to dać orientację „o poglądach, które dominują teraz na temat wojny i pokoju wśród polityków austriackich, węgierskich, tureckich i bułgarskich”.

Interesujące było wrażenie, jakie z postawienia sprawy przez Lloyd George'a odniósł Pichon; otóż Pichon doszedł do wniosku, że Lloyd George chce mieć pewność, iż rządy sojusznicze nie widzą nic niewłaściwego w jego dążeniu do zawarcia pokoju odrębnego z monarchią habsburską. „Stanowisko - pisał Pichon - które pierwszy minister brytyjski zajął w dyskusji nad deklaracją w sprawie polskiej, wykazało, jak bardzo unika on wszystkiego, co mogłoby utrudnić nawiązanie kontaktu z Austro-Węgrami”.

Lloyd George działał w oparciu o opinię Gabinetu Wojennego; panowało tam przekonanie, że chociaż mediacja księcia Sykstusa zawiodła i wzbudziła niechęć i podejrzenia we Włoszech, należy dalej prowadzić rozmowy z przeciwnikiem; w Gabinetcie Wojennym uważano, że nie nadszedł jeszcze czas na rokowania o pokój powszechny, gdyż Niemcy żadną miarą nie zgodziliby się na warunki, które byłyby do przyjęcia dla Koalicji i dla Stanów Zjednoczonych; natomiast można by podjąć próby nawiązania rozmów z Austro-Węgrami lub z Turcją. Wiadomość, że na rozmowy z Anglikami wyjechać ma do Szwajcarii hrabia Mens-

dorff, wzbudziła żywe zadowolenie na Downing Street. Dyplomata ten cieszył się w brytyjskich kołach politycznych zaufaniem i sympatią.

Do rozmów z Mensdorffem delegował rząd brytyjski generała Smutsa. Jan Christiaan Smuts, swego czasu jeden z dowódców Burów w wojnie z Anglikami w latach 1899–1902, później minister spraw wewnętrznych i obrony narodowej Związku Południowej Afryki, w 1917 r. wszedł do imperialnego Gabinetu Wojennego, był w bliskich stosunkach z Lloyd George'em, miał wybitną pozycję polityczną w imperium brytyjskim.

Mensdorff i Smuts spotkali się w Genewie 18 grudnia 1917 r. i tego samego dnia odbyli dwie dłuższe rozmowy.

Smuts widział trzy zadania swej misji - zachęcić Austrię do rozluźnienia więzów łączących ją z Niemcami, zdobyć możliwie dużo informacji i wreszcie skłonić Austro–Węgry, o ile się to tylko da, do zawarcia pokoju odrębnego. Już wszakże na początku okazało się, że rozmowy genewskie będą mogły mieć charakter jedynie informacyjny; ani Austriak, ani Anglik nie mieli pełnomocnictw do nawiązania konkretnych rokowań.

Wstępem do rozmowy było zapewnienie Smutsa, że Anglicy są oburzeni na Niemców i nie chcą jeszcze z nimi rozmawiać, ale zachowali dawne przyjazne uczucia dla monarchii habsburskiej i pragną porozumieć się z nią co do przyszłości Europy. Na pierwsze miejsce wysuwają się tu konsekwencje rewolucji rosyjskiej. Zdaniem Smutsa, Rosja na czas długi, może na

zawsze, utraciła dotychczas zajmowane stanowisko; wynika stąd niebezpieczeństwo dla Europy, Niemcy bowiem będą w takim razie największą potęgą na kontynencie, nie mającą przeciwwagi na wschodzie. Jest więc sprawą wielkiej doniosłości, aby monarchia habsburska wyzwoliła się z zależności od Niemiec i stanęła naprzeciwko nich jako samodzielna potęga. Wielka Brytania dokonała wielkiego dzieła łącząc w swym imperium narody różnej rasy i różnej kultury. Podobny organizm państwowy w Europie Środkowej powinna utworzyć Austria. Jeśli Austria zerwie z Niemcami, pozyska nie tylko sympatię, ale i czynne poparcie angielskie. Wielka Brytania uczyni wszystko, co będzie w jej mocy, aby Austrię poprzeć, wzmocnić i wspomagać ją w odbudowie gospodarczej.

Nie było dla Austro–Węgier sprawą możliwą zerwanie przymierza z Niemcami i zawarcie pokoju odrębnego. Nie pozwalały na to ani silne niemieckie wpływy gospodarcze, ani niemiecka supremacja militarna. Rozumiał to dobrze Mensdorff, podkreślił więc mocno, że o pokoju odrębnym mowy być nie może; uzasadniał to zresztą argumentem honoru i lojalności. Stwierdził jednak, że „im potężniejsza będzie monarchia (habsburska) po wojnie, tym mniej podlegać będzie wpływom sąsiadów”. Otwierał więc drogę do zbliżenia pomiędzy Austro–Węgrami a Wielką Brytanią.

Rozmowa zeszła następnie na temat rozbieżności brytyjsko–niemieckich. Mensdorff główny przedmiot konfliktu upatrywał w problemie belgijskim, Smuts natomiast trudność zasadniczą widział w militarystyce

niemieckim, kładł więc nacisk na konieczność złamania niemieckiej przewagi militarnej. Przeciwwagą wojowniczych dążeń Niemiec byłyby potężne Austro–Węgry, oparte na narodach obdarzonych szeroką autonomią. Tu wyłoniła się sprawa polska. Smuts oświadczył, że Wielka Brytania pragnie powstania niepodległego państwa polskiego, ale nie życzy sobie, aby miało ono „orientację niemiecką”. Gdyby Austria rzeczywiście zerwała z Niemcami, rozwiązanie austro–polskie byłoby życzliwie przyjęte w Anglii. Byłby to krok na drodze do realizacji zadań, które Anglicy przeznaczają monarchii habsburskiej.

Różnice poglądów wystąpiły w sprawie serbskiej, rumuńskiej, a zwłaszcza włoskiej. Pomimo tego wysłannik brytyjski zapewniał swego rozmówcę, że Wielka Brytania nie dąży do rozbicia monarchii habsburskiej. Smutsowi wyrwało się nawet powiedzenie, że odpowiedź Koalicji na grudniowe propozycje pokojowe Państw Centralnych, zapowiadająca rozpad Austro–Węgier, była „niemądra”. Mensdorff odniósł wrażenie, że Anglicy pragną silnych Austro–Węgier, że wyobrażają je sobie jako „państwo zdolne do rozwoju, złożone z krajów i narodowości rządzonych możliwie autonomicznie z Serbią, a może i z Rumunią.

Rozmowy zakończono obustronnym zapewnieniem gotowości ich wznowienia.

Po zapoznaniu się z raportem Smutsa gabinet brytyjski uznał, że sytuacja nie dojrzała jeszcze do zawarcia pokoju z Niemcami; nie uchylano się wszakże od dalszych rozmów z Austriakami, a Lloyd George

stwierdził: „Wówczas nie braliśmy jeszcze pod uwagę zupełnego rozpadu imperium austriackiego, myśleliśmy raczej o utworzeniu w jego granicach wolnych, autonomicznych i w praktyce niepodległych państw na wzór imperium brytyjskiego.

Nowa próba nawiązania nici pomiędzy Londynem i Wiedniem to rozmowa, którą 14 marca 1918 r. odbył w Montreux sekretarz premiera Wielkiej Brytanii Philip Henry Kerr, późniejszy Lord Lothian, z Władysławem Skrzyńskim. Rozmówcy nie doszli do porozumienia co do spodziewanej konferencji między członkiem brytyjskiego Gabinetu Wojennego a Czerninem i sprawa nie posunęła się naprzód.

Rzecz znamienita, że Kerr powściągliwość austriacką przypisywał m.in. chęci Czernina porozumienia się z Amerykanami, a to dlatego, iż Stany Zjednoczone mogły być dla Wiednia lepszym partnerem niż Wielka Brytania, nie miały bowiem zobowiązań sojusznicznych ani względem Włoch, ani względem Serbii, ponadto po wojnie mogły Austro–Węgrom przyjść z poważną pomocą finansową.

Urwały się poufne rozmowy austriacko–brytyjskie, a wkrótce też skończyć się miała niesławnie kariera polityczna Ottokara Czernina.

A było to tak. Czernin, którego nerwy - według określenia ambasadora niemieckiego - „znajdowały się w stanie rozpaczliwym”, wplątał się w nowe intrygi tym razem nie w zaciszu gabinetów ministerialnych i pokoi hotelowych, lecz publicznie i głośno. 2 kwietnia 1918 r. wygłosił do radnych Rady Miejskiej miasta

Wiednia wielką mowę tak zręcznie zredagowaną, że przyniosła mu kompromitację i usunięcie z urzędu. Podał się mianowicie za orędownika pokoju, któremu w tym wiekopomnym dziele przeszkadzają i wojnę przedłużają aneksjoniści i defetyści. Aneksjoniści dlatego, że żądają zbyt wiele, defetyści dlatego, że ich działalność budzi u przeciwnika przekonanie o słabości i rozkładzie wewnętrznym monarchii. Przede wszystkim zaatakował Czechów, że idą w ślady „nikczemnego, nędznego Masaryka”. Rozdrażnił tym Czechów także i tych, którzy stali daleko od Masaryka i wzmocnił odśrodkowe dążenia w Austro–Węgrzech.

Ale najwięcej szkody i monarchii, i Czerninowi osobiście przyniósł cios, który znakomity polemista umyślił zadać rządowi francuskiemu. Pozwolił sobie na krok nieoględny, nieopatrzny, wystąpił mianowicie z rewelacją, że na pewien czas przed rozpoczęciem ofensywy na zachodzie Clemenceau zapytywał poufnie c. i k. ministra spraw zagranicznych, czy byłby on skłonny przystąpić do rokowań i na jakich warunkach. Czernin „w porozumieniu z Berlinem” miał odpowiedzieć, że jedyną przeszkodą są dla niego zakusy francuskie na Alzację i Lotaryngię. Z Paryża nadeszła odpowiedź, że w takich warunkach rokowania są bezcelowe. „Nie było więc już wyboru”.

Trudno orzec, co miał na celu hrabia Ottokar snując swe myśli przed radnymi miasta Wiednia. Jeśli ludom monarchii i zagranicy chciał pokazać siłę i spoiłość państwa, to osiągnął skutek przeciwny zamierzonemu. Jeśli chciał Niemcom zademonstrować sojuszni-

czą wierność, to rezultatem była zupełna kompromitacja. Przypuszczenie, aby dążył do dymisji Clemenceau jest sprawą nieprawdopodobną i nawet Czernina nie można o taki zamysł podejrzewać.

Ale skutki czerninowskiej mowy nie dały długo na siebie czekać. 4 kwietnia 1918 r. Clemenceau lapidarną wypowiedzią: *le comte Czernin a menti* (hrabia Czernin skłamał) spoliczkował niefortunnego ministra. Komunikaty *Ballplatzu* z 5, 9 i 11 kwietnia to niezręczne próby wywikłania się z matni, w którą się Czernin dobrowolnie zaplątał; przyniosły też jeszcze większą kompromitację.

Komunikat *Ballplatzu* mianowicie głosił, że cesarz Karol miał napisać księciu Sykstusowi, że poparłby francuskie roszczenia do Alzacji i Lotaryngii, gdyby, były one słuszne, ale nie są one słuszne. Wówczas zniecierpliwiony Clemenceau ogłosił tekst listu cesarza Karola do księcia Sykstusa, a następnie wobec twierdzeń o jego sfalszowaniu - *facsimile* listu. Doszczętnie skompromitowany minister podjął jedną jeszcze intrygę, usiłował mianowicie wymóc abdykację cesarza, miał nadzieję, że przy regencji arcyksięcia Fryderyka utrzyma się u steru, a nawet wzmocni swe wpływy. Zawiodła i ta machinacja. Cesarz nie abdykował, lecz udzielił dymisji nielojalnemu ministrowi; było to tym łatwiejsze, że Czernin zdołał zjednoczyć przeciwko sobie liczne wpływowe czynniki w monarchii - od czasu Brześcia zwalczali go Polacy, wzburzył Czechów, nieufnie i niechętnie odnosili się doń Węgrzy, nie zachował poparcia wszystkich Niemców austriackich. Dymi-

sję tę także i w Berlinie przyjęto nie bez cichego zadowolenia.

14 kwietnia 1918 r. ogłoszono dymisję Czernina, a 16 nominację jego następcy. Został nim powtórnie Stephan Burian de Rajecz.

Następca Czernina nie miał przed sobą łatwego zadania. Stosunki pomiędzy Wiedniem i Berlinem weszły w stan krytyczny, zamiast rozluźnienia zacieśnienie więzów, zamiast większej swobody ruchów - ograniczenie pola manewru. Cesarz Karol zmuszony był zaprzeczyć komunikatom francuskim, zaprzeczyć prawdziwości swego listu do księcia Sykstusa. Osłabiło to autorytet młodego monarchy, osłabiło autorytet instytucji monarchicznej, osłabiło autorytet państwa.

Josef Redlich 12 kwietnia zanotował w swym dzienniku o zredagowanym przez Czernina telegramie cesarza Karola do Wilhelma: „Prawdziwy Czernin! Dokąd nas zaprowadzi ten ignorant i człowiek brutalny?”.

Niemcy udawali, że wierzą austriackim dementi, ale pozycję swą wobec Wiednia wzmocnili i usztywnili.

Pojedynek słowny Clemenceau - Czernin przesądził o stanowisku państw Koalicji i Stanów Zjednoczonych wobec Austro-Węgier; jeszcze w styczniu 1918 r. państwa te nie upatrywały swego celu w rozbiciu monarchii habsburskiej, a tylko pragnęły jej przekształcenia w kierunku federacyjnym. Wciąż jeszcze widziały w niej czynnik, który w pewnych warunkach mógłby osłabić Niemcy. Teraz gruntownie zmieniły punkt wi-



dzenia; rozbitcie imperium Habsburgów, poparcie irredentystycznych dążeń jego narodowości to obecny program działania. Skończyły się też poufne rozmowy pomiędzy przeciwnikami na temat pokoju, skończyły się wszelkie próby mediacji austriackiej.

Taka była konsekwencja polityki Ottokara Czernina.

## 62. Orędzie wielkanocne

Gdy do szeregów powołano miliony upośledzonych politycznie i ekonomicznie, gdy obywatele drugiej klasy rzucono do walki, aby z narażeniem życia wypełnili obowiązek względem państwa, nie sposób było definitywnie odrzucać ich postulaty. Władcy Niemiec nie byli wszakże skłonni do rezygnacji z pełni władzy i z przywilejów, jakie ona daje. Nie mogąc udzielić wyraźnej odmowy, obrali taktykę dylatoryjną. Właściwe reformy, czy to w dziedzinie społecznej, czy narodowościowej, czy wreszcie polityczno–ustrojowej zostaną przeprowadzone, ale dopiero po zwycięskiej wojnie. Gdyby zwycięstwo nastąpiło, jak się tego spodziewano, szybko, w ciągu kilku tygodni czy miesięcy, zwycięski rząd mógłby pozwolić sobie na powrót do *status quo ante bellum*. Gdy jednak wojna się przedłużała, a zwycięstwo oddalało, nie można było dłużej prowadzić polityki strusiej, trzeba było zdobyć się na zajęcie stanowiska, na powzięcie decyzji.

W dziedzinie polityczno–ustrojowej niepośledniej wagi była kwestia pruskiej reformy wyborczej; miała ona znaczenie nie tylko dzielnicowe pruskie, ale ze

względu na swoistą konstytucję cesarstwa także ogólnoniemieckie. Przedstawicielstwem narodu był parlament Rzeszy - Reichstag, wychodzący z powszechnych, równych, bezpośrednich i tajnych wyborów. Autorzy konstytucji Rzeszy, decydując się na przyznanie narodowi niemieckiemu powszechnego prawa wyborczego, wychodzili ze słusznego założenia, że związuje ono obywateli z państwem, będzie więc ochroną przed wygórowanymi partykularyzmami. Dla junkrów pruskich i dla wielkiej burżuazji niemieckiej powszechne prawo wyborcze nie niosło zbyt dużych niebezpieczeństw, gdyż znaczenie parlamentu nie było duże. Poważny wpływ na politykę wewnętrzną Rzeszy miała Rada Związkowa (*Bundesrat*), organ rządów państw związkowych. Prusy miały wprowadzić tylko 17 przedstawicieli na 58 członków Rady, ale z reguły dysponowały głosami delegatów mniejszych państweczek i, co ważniejsze, miały prawo weta w sprawach dotyczących wojskowości, ceł, podatków. Rada Związkowa była jednym z organów przewagi Prus w Rzeszy.

W przeciwieństwie do parlamentu niemieckiego dysponującego ograniczonymi możliwościami sejm pruski odgrywał w królestwie pruskim rolę pierwszoplanową. Przeszarżała ordynacja wyborcza sprawiała, że był on bezwolnym narzędziem junkrów i wielkiej burżuazji. Dekret królewski z 30 maja 1849 r. wprowadził trzyklasowe prawo wyborcze. Wyborców podzielono na trzy klasy zależnie od wysokości opłacanego podatku; na każdą klasę przypadała trzecia część ogólnej sumy podatków wpływających do kasy państwo-

wej. Do pierwszej klasy zapisani byli nieliczni, płacący najwyższe podatki, do trzeciej zaś rzesze najślabszych podatników. Każda klasa wybierała w jawnym głosowaniu trzecią część elektorów, którzy dopiero dokonywali wyboru posłów. Skutek był taki, że elektorowie wybrani przez najmajętniejszych wyborców majoryzowali wybieranych przez wyborców opłacających niskie podatki. Gdy do parlamentu Rzeszy wchodził w coraz większej liczbie posłowie socjaldemokratyczni, a po wyborach 1912 r. frakcja socjaldemokratyczna wysunęła się pod względem ilości zdobytych mandatów na pierwsze miejsce, w wyborach do sejmu pruskiego kandydaci socjalistyczni z największym tylko trudem w nieznacznej liczbie zdołali się przecisnąć przez gęste sito wyborcze.

Clemens Delbrück, umiarkowany konserwatysta, sekretarz stanu spraw wewnętrznych, w chwili wybuchu wojny tak ocenił znaczenie sejmu pruskiego: „Siła parlamentu w Prusach była szczególnie wielka. Można nawet powiedzieć, że panował tam ustrój parlamentarny, gdyż rząd (pruski) pozostawał w silnej zależności od dominujących w sejmie konserwatystów i prowadził sprawy zgodnie z ich życzeniem. Konserwatyści nigdy nie podnosili z tego powodu zarzutów, chociaż głośno ubolewali nad uzależnieniem rządu Rzeszy od parlamentu”.

Różnica pomiędzy podstawą wyborczą parlamentu Rzeszy i sejmu pruskiego była w oczy już przed wojną i stawiała przed rządem i narodem zagadnienie reformy pruskiego prawa wyborczego.

W 1910 r. usiłował przeprowadzić ograniczoną reformę wyborczą Bethmann Hollweg; udaremnił te plany opór konserwatystów. W zmienionych warunkach z końcem 1914 r. polecił kanclerz pruskiemu ministrowi spraw wewnętrznych Friedrichowi von Loebellowi podjąć prace przygotowawcze nad pruską reformą wyborczą. Loebell rozumiał, że ordynacja trzyklasowa była anachronizmem nie do obronienia, był wszakże przeciwny przyznaniu Prusakom powszechnego prawa wyborczego na wzór takiego, z jakiego wychodził parlament Rzeszy, zarządził więc opracowanie ordynacji wyborczej pluralnej; miała ona mieć inny wygląd, inne pozory, ale przynosić takie same wyniki, czyli utrzymać panowanie konserwatystów w Prusach. Stronnictwa lewicowe wszakże, przede wszystkim Socjaldemokracja, wywierały presję na rząd i na społeczeństwo. W tej sytuacji król w mowie tronowej w sejmie pruskim w styczniu 1916 r. zapowiedział zmianę pruskiej ordynacji wyborczej po wojnie. Obowiązki i ofiary, które wojna narzuciła poddanym króla pruskiego, nie miały pójść na marne. Ale czy można było zaufać słowu króla pruskiego?

Z reformą pruskiego prawa wyborczego wiązał się czynnik moralno–społeczny; nigdy dotąd w dziejach Niemiec nie prowadzono wojny z takim nasileniem, prowadził ją niemal cały naród. Nie sposób było żołnierzowi, który walczył na froncie, odmawiać nadal prawa głosu i wpływu na losy kraju, gdy ci, którzy na podstawie trzyklasowej ordynacji prawo takie posiadali, a teraz mieli je jeszcze powiększyć, paskarze wojenni

(*Kriegsgewinnler*), którzy prochu nie wǳchali, ale robili na wojnie brudne interesy. Dotychczasowa trzyklasowa ordynacja wyborcza zapowiadała wzmocnienie wpływów najgorszego, najbardziej nieuczciwego odłamu burżuazji, a pomniejszenie znaczenia tych, którzy narażali życie w walce o potęgę Niemiec. Dlatego m.in. należało znieść ordynację trzyklasową, dlatego także nie do przyjęcia było pluralne prawo wyborcze.

Rewolucja rosyjska i upadek caratu wywarły na bieg wypadków w Niemczech wpływ, którego znaczenie trudno przecenić. Wzmogły się dążenia do reform u wszystkich trafnie oceniających położenie; poseł do parlamentu z partii postępowej Heinrich Ernst Müller wołał: „Otwórzcie wentyl tak prędko, jak to tylko możliwe”.

Skłaniał się do tej myśli kanclerz Bethmann i uważał, że czas nadszedł, aby zdobyć się na „wielki gest”, o którym socjaldemokraci Max Cohen i Eduard David mówili już w roku 1914, nadszedł czas, aby wprowadzić w Prusach bezpośrednio, powszechne, tajne i równe prawo wyborcze i zburzyć pruską twierdzę konserwatyzmu. Z takim wnioskiem wystąpił Bethmann Hollweg na posiedzeniu pruskiej rady ministrów w dniu 5 kwietnia 1917 r.; dokonał analizy sytuacji wewnętrznej Niemiec wobec rewolucji rosyjskiej i wobec wojny ze Stanami Zjednoczonymi i zakonkludował: reforma wyborcza to „całkowite przesunięcie stosunku władzy (*Machtverhältniss*) w Prusach, ma znaczenie rozstrzygające dla całego naszego życia państwowego”.

Ale konserwatyści różnych odcieni pełną parą ruszyli do kontrataku; przeciwna była reformie większość w pruskiej radzie ministrów, nie chciał słyszeć o prawie wyborczym do sejmu na wzór prawa wyborczego do parlamentu cesarz–król, sprzeciwił się wreszcie Ludendorff. I to bodaj przesądziło sprawę. Próżno kanclerz tłumaczył, że nie będzie mógł uzasadniać pluralnego prawa wyborczego, gdzie głos ubogiego robotnika odznaczonego za męstwo na froncie „krzyżem żelaznym” będzie miał dwa czy trzy razy mniejsze znaczenie niż głos bogatego dekownika.

Ostatecznie kanclerz zrezygnował z walki i przedstawił koronie inny, w pełni zmieniony, bezbarwny projekt proklamacji królewskiej. Tzw. orędzie wielkanocne z 7 kwietnia 1917 r., ogłoszone w prasie 8 kwietnia, zawierało jedynie ogólnikową zapowiedź reformy po wojnie. Monarcha powiadomił naród, że ministerium pruskiemu zlecił podjęcie pracy nad reformą wyborczą do sejmu tak, aby „w chwili powrotu naszych żołnierzy” można było prędko rozstrzygnąć na drodze ustawodawczej tę sprawę tak ważną dla ustroju Prus. Orędzie zawierało również ogólnikową wzmiankę o Izbie Panów, w której znajdą się poważne, cieszące się ogólnym szacunkiem osobistości z „różnych kręgów i różnych zawodów”.

Jak często bywa w wypadkach rozwiązań kompromisowych orędzie wielkanocne nie zadowoliło nikogo - oburzyło prawicę i z większą jeszcze irytacją zwróciło ją przeciwko Bethmannowi, nie zaspokoilo lewicy.

Kapralski umysł generała Ludendorffa dojrzał w orędziu ukłon przed rewolucją, a w strajkach, które na tle głodowym wybuchły w połowie kwietnia 1917 r., odpowiedź proletariatu na słabość rządu.

### 63. Rokowania Briand - Lancken

24 lutego 1916 r. belgijska rada ministrów powzięła m.in. następującą uchwałę: „Jesteśmy zdecydowani nie zawierać pokoju odrębnego, ale mamy prawo słuchać, co nam zaproponują”.

Ta zasada, dogodna dla stron walczących, leżała u podłoża wielu rozmów, jakie na temat warunków pokoju prowadzono w latach 1914–1918. Charakteryzuje ona też nieźle francusko–belgijsko–niemieckie negocjacje z roku 1917. *Dramatis personae* to polityk francuski Aristide Briand i niemiecki dyplomata baron Oskar von der Lancken–Wakenitz, a zaliczyć do nich można w dalszym rzędzie i inicjatorów czy pośredników. Będą to belgijska arystokratka hrabina Pauline de Merode żona belgijskiego senatora i dygnitarza dworskiego, córka francuskiego księcia de la Rochefoucauld–d’Estissac, przemysłowiec belgijski baron Evance Coppe i wreszcie arystokrata bawarski hrabia Hans von Toerring–Jettenbach, mąż księżniczki Zofii bawarskiej, siostry królowej belgijskiej.

Kim był Briand, wiedzą wszyscy. Mniej znana jest postać Lanckena. W latach 1907–1914 był on radcą ambasady niemieckiej we Francji i nawiązał stosunki w świecie politycznym i towarzyskim Paryża. W 1914 r. został przedstawicielem Urzędu Spraw Zagranicz-

nych przy niemieckim Generalnym Gubernatorstwie w Brukseli. Przechodziły tu przez jego kancelarię sprawy wiążące się bezpośrednio z sytuacją międzynarodową.

Wiosną 1917 r. hrabina de Merode zaproponowała Lanckenowi spotkanie w Szwajcarii z którymś z wybitnych polityków francuskich celem poufnej wymiany poglądów na temat możliwości zawarcia pokoju. Ustalono, że politykiem tym będzie Briand. Z osobą Brianda wiązał Lancken niemałe nadzieje, uważał go za mistrza sztuki przekonywania, za właściwego człowieka, aby francuską opinię publiczną skierować na tory pokojowe.

W Berlinie zainteresowano się akcją hr. de Mero-de; nie tylko kanclerz i sekretarz stanu zalecali Lanckenowi podjęcie rozmów, rzeczą ważniejszą było, że zgadzać się miał z tym również Ludendorff, ba kwatermistrz generalny wyrazić miał nawet zgodę na oddanie w interesie pokoju z Francją „południowo–zachodniego cypla Alzacji, może i niektórych francuskojęzycznych okręgów Lotaryngii”. W każdym razie miały to być niewielkie skrawki ziemi. Swoje sumienie Prusaka uspokoił Ludendorff uwagą, że przyszłość broni lotniczej wpłynie na zmianę strategicznych podstaw kształtowania granic.

Uwagę budzi tu stanowisko Ludendorffa, który do-  
tąd sprzeciwiał się wszelkim, najmniejszym nawet  
ustępstwom terytorialnym ze strony Niemiec. Być mo-  
że, iż Lancken uległ złudzeniu, że było to jakieś jego  
*wishful thinking*. Uderza również nierówna pozycja



przyszłych rozmówców – partnerem sześciokrotnego premiera Francji miał być drugiego rzędu dyplomata niemiecki. Dziwić to musi nawet, jeśli chodziłoby tylko o wstępne nawiązanie rozmów. Wydaje się, że Niemcy od razu tak stawiali sprawę. „Jeżeli Pan uważa - oświadczył Briandowi baron Coppe - że von der Lancken jest zbyt małą osobistością, aby negocjować z Panem, mogę Pana zapewnić, że miejsce Lanckena zajmie kanclerz lub któryś z książąt domu cesarskiego.

Było to dużo, ale była to tylko zapowiedź możliwej przyszłości. Na razie naprzeciw czołowego polityka Francji stawał przedstawiciel Urzędu Spraw Zagranicznych Rzeszy przy niemieckim Generalnym Gubernatorstwie w Brukseli.

Pewna wszakże okoliczność zdawała się łagodzić nierówne pozycje partnerów. Oto Lancken przyjechać miał na spotkanie w charakterze emisariusza czy pełnomocnika cesarskiego, uwierzytelnionego odpowiednimi papierami, gdy Briand wystąpiłby jako osoba prywatna.

Lancken był dobrej myśli, uważał Brianda za „jedynego człowieka, który mógłby przeprowadzić we Francji «pokój kulawy»”. Umacniała go w tym poglądzie hrabina de Merode tłumacząc mu, że jeśli dojdzie do skutku jego spotkanie z Briandem, jeśli nie zmrozi Francuza twardym «niemożliwe», jeśli się nie poróżnia, zrobią pierwszy ważny krok na drodze do pokoju.

Politycy podczas trudnych rokowań posługują się chętnie argumentem, że na znaczniejsze ustępstwa nie pozwoli im wola narodu. Tego atutu zamierzał użyć

wobec Brianda Lancken i prosił poufnie Urząd Spraw Zagranicznych o wywołanie w prasie dyskusji, która by pokazała światu, że nie może być mowy o cesji „większych terytoriów Rzeszy”.

Lancken nie działał własnowolnie, działał na zlecenie rządu Rzeszy. Misja jego wszakże miała mieć charakter jedynie orientacyjny. 20 września 1917 r., w przededniu umówionego ostatecznie spotkania Lanckena z Briandem, sekretarz stanu Kühlmann tak określił emisariuszowi niemieckiemu jego zadanie: „W obecnym stanie rzeczy niewiele możemy ofiarować sąsiadowi. Dlatego należy więcej słuchać niż mówić. Konstelacja jest taka, że skutek długotrwały może być jedynie następstwem wymiany myśli niemieckoangielskiej”.

Z pamiętników Lanckena zdaje się wynikać, że zadanie, które mu poruczono, brał on poważnie i rzeczywiście miał nadzieję zrobić w rozmowach z Briandem krok na drodze do pokoju; iluzje te dyktowała mu ambicja osobista, utwierdzała go w nich mediatorka hrabina de Merode. Ufał, że zdoła przechytrzyć starego lisa z Cocherel i milcząc zdoła wyciągnąć z niego „cenę ostateczną”.

Były to zupełne iluzje. Emisariusz Berlina mógł się o tym dowodnie przekonać, gdy w uroczym Ouchy nad Jeziorem Genewskim nadaremnie oczekiwał przyjazdu byłego premiera Francji.

Briand, polityk bardziej doświadczony i bardziej wytrawny, ostrożniej podchodził do sprawy. Kilkakrotny premier i minister miał więcej do stracenia niż dru-

goplanowy funkcjonariusz Urzędu Spraw Zagranicznych. Nie spieszył się więc, namyślał się, prowadził z różnymi osobami narady i konsultacje; pośpiechowi nie sprzyjała zresztą sytuacja wewnętrzna Francji - niepokoje w armii, niepokoje w społeczeństwie. 22 lipca 1917 r. wielka debata parlamentarna, gwałtowny atak Clemenceau na tendencje pacyfistyczne, 7 września upadek gabinetu Ribota, 12 września nowy gabinet pod prezesurą Painlevégo. Nie sprzyjały takie okoliczności wszczęciu rozmów francusko-niemieckich. Ale - jak się rzekło - Briand czasu nie tracił, porozumiał się z mediatorami - panią de Merode i baronem Coppe, nawiązał kontakt z premierem belgijskim. Hr. de Broqueville był nastrojony raczej optymistycznie i sądził, że propozycje niemieckie należy brać poważnie, gdyż Niemcy utracili już wiarę w całkowite zwycięstwo, można więc rokować z nimi na temat pełnej niepodległości Belgii i zwrotu Francuzom Alzacji i Lotaryngii. Jednakowoż ze strony niemieckiej zawsze należy obawiać się podstępów. Podstępów niemieckich nie lękał się wszakże Briand, zapewniał Broqueville'a, że w działalności politycznej zdobył doświadczenie i nie da się wyprowadzić w pole Lanckenowi. Uważa za obowiązek Francuza zapomnieć o sobie i wziąć na siebie wszelkie ryzyko. „To będzie mój sposób podzielenia heroizmu naszych wspaniałych żołnierzy. Cóż znaczy człowiek, gdy idzie o ojczyznę”.

Światło na rozwój sytuacji rzucają kontakty Brianda z rządem francuskim i jego rozmowy na temat pertraktacji z Niemcami.

Nowy szef rządu francuskiego Painlevé 13 września 1917 r., nazajutrz po nominacji, złożył wizytę Briandowi i wyraził zgodę na wszczęcie rozmów z Niemcami. Tegoż jeszcze dnia, 13 września, Briand zgłosił się na audiencję w Pałacu Elizejskim i radosny, pełen optymizmu, przedstawił prezydentowi swe plany. Sięgały daleko. Według posiadanych przez niego wiadomości Niemcy gotowe były przywrócić niepodległość Belgii, oddać Francji Alzację i Lotaryngię, ponieść koszty zniszczeń wojennych, nie chcą tylko ze strony Koalicji utrudnień gospodarczych. Wszystkie straty powetują sobie w krajach bałtyckich. Ambicją Lanckena jest zrobić pokój i zostać ambasadorem w Paryżu. Wywody swe zakończył Briand słowami: „To będzie nie tylko pokój międzynarodowy, ale i pokój wewnętrzny po wojnie”.

Zaniepokojony prezydent zanotował w swym dzienniku: „Czy Brianda popycha zmysł intrygi, czy też karmi się iluzjami. (...). Do czego dąży”?

Ostrożnie i nieufnie odniósł się też do rokowań z Lanckenem minister spraw zagranicznych Ribot. Na jego żądanie Briand przedstawił mu notę zawierającą program rozmowy z emisariuszem niemieckim. A oto ona - pakt z września 1914 r. pozostaje nienaruszony, Francja nie zerwie ze sprzymierzeńcami; oficjalnie rokowania pokojowe rozpoczną się dopiero po wycofaniu się wojsk niemieckich z terenów okupowanych; z punktu widzenia francuskiego pokój jest możliwy jedynie w wypadku zwrotu całej Alzacji i Lotaryngii; Francja nie podnosi roszczeń do lewobrzeżnej Nadre-

nii; przyszły pokój musi być pokojem pełnym zarówno w dziedzinie politycznej, jak i gospodarczej. Nota nie mówiła o postulatach państw sprzymierzonych z Francją.

Ribot poinformował o sprawie rządu brytyjski i włoski z prośbą o zajęcie stanowiska. Odpowiedź była zdecydowanie negatywna. Sekretarz stanu Balfour mniemał, że idzie tu o intrygę ukutą przez Kühlmanna, którego „sposoby postępowania znamy od dawna”. Celem intrygi jest zasiać ziarno niezgody pomiędzy sprzymierzeńcami i wprowadzić w błąd opinię publiczną w Niemczech i w krajach neutralnych, że to Francja stawia przeszkody na drodze do pokoju.

Podobnie Sonnino uznał inicjatywę niemiecką za pułapkę, której celem jest rozbić jedność Koalicji i wykazać Rosji, że nie może liczyć na poparcie zachodnich sprzymierzeńców i doprowadzić ją do zawarcia pokoju odrębnego z Państwami Centralnymi. Ostrożność zalecał również premier belgijski de Broqueville.

Sprawa upadła. Lancken, który 21 września zjawił się w Ouchy, odjechał 23 września, ale podał do wiadomości Brianda, że każdej chwili gotów jest stawić się na spotkanie, gdyby otworzyła się po temu możliwość.

Sprawa miała niewątpliwie posmak intrygi niemieckiej. Merytorycznie była z góry skazana na niepowodzenie. Briand stał na stanowisku, że restytucja integralna Alzacji i Lotaryngii jest wstępnym warunkiem wszczęcia rokowań, gdy Niemcy uważali, że mowy o tym być nie może, że w grę wchodzić by mogły najwyżej nieznaczne cesje terytorialne ograniczone do kil-

ku gmin. Punkt widzenia rządu Rzeszy wyraził oficjalnie w parlamencie 9 października sekretarz stanu spraw zagranicznych Kühlmann dobitnymi słowami: „*Nein! Niemals!*” („*Nie! Nigdy!*”).

Rozmowa Briand - Lancken nie mogła więc być krokiem na drodze do pokoju, ale postawiłaby rząd francuski w trudnym położeniu zarówno wobec rządów w Londynie, Rzymie, Brukseli, Piotrogradzie, jak i wobec opinii publicznej Francji i świata - oto Niemcy proponują pokój, Francja propozycję odrzuca.

Rozmowa Briand - Lancken nie mogła więc żadną miarą być krokiem na drodze do pokoju. Ale obok tego wielkiego celu miała i cel ograniczony, przyziemny, obu partnerom przynieść miała błyskotliwy sukces osobisty - być twórcą pokoju. Francuz spodziewał się zasiąść znowu na fotelu premiera Francji, a może i otworzyć przed sobą wrota Pałacu Elizejskiego. Niemiec myślał o upragnionej ambasadzie paryskiej. Zawiedli się obaj.

Łączy się ze sprawą i nieco komizmu. Obaj rozmówcy przypisywali sobie chytryść wystarczającą do wyprowadzenia w pole partnera, obaj ulegli sugestiom pośredników, świadomie czy nieświadomie nazbyt optymistycznie oceniających szansę rozmów.

## **64. Misja aliancka w Rosji w 1917 r.**

15 listopada 1916 r. obradowała w Paryżu na *Quai d'Orsay* konferencja szefów lub przedstawicieli rządów państw Koalicji. Gospodarz konferencji francuski prezes ministrów i minister spraw zagranicznych Aristide

Briand przedstawił optymistyczny pogląd na sytuację i konkludował, że rozstrzygnięcia szukać należy na Bałkanach - niechaj wojska rosyjskie i rumuńskie podejmą od północy w Dobrudży ofensywę przeciwko Bułgarii, od południa, od Salonik wesprą je Anglicy i Francuzi. Klęska zadana Bułgarii pociągnie za sobą klęskę Turcji, a to zdemoralizuje opinię publiczną w Niemczech i w Austro-Węgrzech i w 1917 r. umożliwi zadanie Państwowi Centralnym ciosów decydujących.

Były to plany ambitne i śmiałe, pozostawał tu wszakże punkt słaby - Rosja. Czy Rosja będzie chciała i czy będzie mogła podjąć nowy, wielki wysiłek? Wieści, które napływały ze wschodu, nie napawały optymizmem. Pierwszy minister Wielkiej Brytanii Herbert Asquith postulował, aby mężowie stanu i generałowie państw zachodnich udali się do Rosji i tam ustalili z politykami i generałami rosyjskimi, co Rosja może przedsięwziąć na frontach wschodnich i jakiej pomocy państwa zachodnie mają udzielić Rosji i Rumunii. „Konferencja ta - wywodził Asquith - będzie miała na celu zbadać całą sytuację, a przede wszystkim sytuację militarną na wschodzie”.

Dyskusję zreasumował Briand stwierdzając, że „sprzymierzeni są zgodni w poglądzie, iż front wschodni będzie w ciągu zimy główną widownią działań wojennych”. Postanowiono ostatecznie, że do Piotrogradu udadzą się „mężowie stanu i wojskowi wysokiej rangi, mający dostateczny autorytet, aby móc przemawiać w imieniu swych rządów”. Delegaci złożą

zobowiązanie, że państwa zachodnie dostarczą Rosji i Rumunii „w miarę możliwości” potrzebnego im sprzętu wojennego. Rosja zaś zobowiąże się zastosować do postanowień konferencji.

Rosję reprezentował ambasador carski w Paryżu osławiony intrygant A. Izwolski; oświadczył, iż od swego rządu nie dostał ani instrukcji, ani pełnomocnictw i zadowolił się zapewnieniem, że delegaci państw zachodnich spotkają się w Piotrogradzie „z serdecznym przyjęciem”.

Francuzi znaleźli jeszcze jeden temat do rozmów z Rosjanami, chcieli uzyskać potwierdzenie dawnych obietnic Piotrogradu, że Rosja poprze francuski punkt widzenia w sprawie granicy pomiędzy Francją a Niemcami - powrót Alzacji i Lotaryngii do Francji, odłączenie Nadrenii od Niemiec.

Wyjazd delegatów nad Newę nie nastąpił wszakże tak szybko, jak się tego spodziewano. Opóźniła go dymisja gabinetu Asquitha w dniu 4 grudnia 1916 r., opóźniły go targi o osoby delegatów. Wbrew pierwotnym zamiarom na czele delegacji nie stanęli mężowie najbardziej reprezentatywni. Nie mógł pojechać do Piotrogradu nowy premier brytyjski Lloyd George, rzecz zrozumiała, zastąpił go członek gabinetu wojennego Lord Alfred Milner, towarzyszyli mu generał Sir Henry Wilson, Lord Revelstoke i Sir Walter Clayton. Niemałych trudności przysporzyło formowanie delegacji francuskiej. Car życzył sobie, aby przedstawicielem Francji został Briand, premier wszakże w obliczu powikłań parlamentarnych wzdragał się przed opuszczeniem Pa-



ryża; na czele delegacji francuskiej stanął więc minister kolonii Gaston Doumergue, wyjechał wraz z nim znakomity wódz generał Edouard de Castelnau. Włochy reprezentowali minister Vittorio Scialoja i generał Ruggeri-Laderchi.

20 stycznia 1917 r. misja aliancka odpłynęła z małego portu Oban w zachodniej Szkocji na pokładzie parowca „Kildonan Castle”. Dla stosunków wojennych rzecz znamienita i charakteryzująca niebezpieczeństwo podróży morskiej - władze brytyjskie rozsiewały pogłoskę o wyjeździe misji francuskiej do Ameryki, a sami delegaci do ostatniej chwili nie wiedzieli, z którego portu odpłyną. Podróż nie była przyjemna, nad statkiem w każdej chwili wisiała groźba torped niemieckich, przed oczyma delegatów stał wciąż tragiczny zgon Lorda Kitchenera. Nastroje delegatów dalekie były od optymizmu. Lord Milner opowiadał kolegom o telegramie z 12 stycznia ambasadora brytyjskiego w Piotrogradzie Buchanana pesymistycznie malującym sytuację w Rosji. „Rosja stoi na krawędzi przepaści” - powtarzał Milner. Sceptyczny Francuz Doumergue pogrążył się w lekturze wolterowskiego Kandyda i niektóre ustępy odczytywał towarzyszom podróży.

Dwie daty zapisały się podróżnym w pamięci - 24 stycznia przyplłynięcie do portu Kola niedaleko Murmańska, koniec niebezpiecznej podróży morskiej, i 29 stycznia przybycie do Piotrogradu i koniec uciążliwej jazdy koleją. Uroczyste powitanie na dworcu przez ministrów: spraw zagranicznych Michaiła Pokrowskiego, wojny Michaiła Bielajewa i skarbu Piotra Barka. 31

stycznia na uroczystej audiencji w Carskim Siole Mikołaj II przyjął misję, 1 lutego odbyło się plenarne posiedzenie konferencji w siedzibie Rady Państwa.

Uroczystości powitalne nie zakryły rozpaczliwego położenia zapadającego się w przepaść caratu. Widzieli to sprzymierzeńcy Rosji. Na biurku Brianda na *Quai d'Orsay* znalazł się raport Paléologue'a z 27 grudnia 1916 r. Ambasador donosił, że Mikołaj podpisuje wszystko, co mu do podpisu podadzą. A gdy który z rządów państwa sprzymierzonego uzyska decyzję monarchy niewygodną dla władz rosyjskich, te najspokojniej skłaniają cara do innego postanowienia, które pośrednio unieważnia tamte obietnice. Toteż Briand zalecał, aby Doumergue do niczego się nie zobowiązywał, lecz odkładał wszystko do rozstrzygnięcia w Paryżu.

W Piotrogradzie, podczas pierwszej rozmowy, Paléologue odmalował sytuację Rosji barwami jeszcze czarniejszymi. „W Rosji - mówił ambasador - czas pracuje nie dla nas. Tu się wojną nie interesują. Cała machina rządowa, cała administracja są w zupełnym rozkładzie. Najlepsze umysły są przekonane, że Rosja stacza się ku przepaści. Trzeba się spieszyć”. Doumergue nie zapytał z czym należy się spieszyć. Lecz odparł z nutą pesymizmu: „Nie sądziłem, że zło tkwi tak głęboko”.

Paléologue - podobnie jak Buchanan, podobnie jak inni politycy i obserwatorzy życia politycznego Rosji - spodziewał się wprawdzie w niedługim czasie upadku nieudolnego Mikołaja II, ale nie dostrzegał nadciągają-

cej szybkimi krokami rewolucji społecznej. Wszyscy oni rozprawiali o obaleniu Mikołaja II przez zwolenników autokracji, którą kompromituje i wiedzie do zguby car-samowładca słaby i nieudolny, rozwodzili się o wprowadzeniu przez wojsko na tron popularnego w armii wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza. Nie przewidzieli tego, do czego nieuchronnie wiódł proces dziejowy, nie przewidzieli rewolucji społecznej.

Konferencja Piotrogradzka trwała trzy tygodnie, pierwsze posiedzenie plenarne odbyło się 1 lutego, ostatnie 20 lutego. Obrady prowadzono głównie w komisjach. Niektórzy członkowie misji podróżowali po Rosji, aby zorientować się bliżej w położeniu kraju. 25 lutego delegaci odpłynęli z portu Romanów nad Murmanem i 2 marca dobili do brzegów angielskich w Scapa Flow. W 10 dni później wybuchła w Rosji rewolucja, a w 13 dni później abdykował Mikołaj II. Konferencja pracowała głównie w komisjach; wyłoniono ich dwie - gospodarczą i wojskową.

Komisja gospodarcza zadowolila się jednym tylko posiedzeniem; rosyjski minister skarbu Piotr Bark przedstawił smutny stan finansów rosyjskich. Delegaci francuski i brytyjski ograniczyli się do zapewnienia, że prosić będą rządy w Paryżu i w Londynie o przyjęcie Rosji z pomocą.

Komisja wojskowa podzieliła się na podkomisje strategiczną i zaopatrzenia armii. Podkomisja strategiczna stanęła na stanowisku, że w kwietniu sprzymierzeni podjąć powinni wielką ofensywę wszystkimi siłami na wszystkich frontach. Najtrudniejszy zadanie

stanęło przed podkomisją do spraw zaopatrzenia; toteż odbyła ona wiele posiedzeń. Wojskowy delegat rosyjski generał Wasilij Hurko w taki sposób przedstawił sytuację militarną Rosji: „Armia rosyjska nie może skutecznie rozwinąć ofensywy na długim froncie, póki nie dostanie minimum wyposażenia technicznego. (...) Spodziewamy się, że rządy sprzymierzone z uwagi na wspólny cel wojny znajdą środki, aby wyposażyć armię rosyjską we wszystko, czego jej brakuje. Tylko pod tym warunkiem będzie mogła ona wystąpić przeciwko nieprzyjacielowi”.

Nie była to sprawa łatwa. Niemieckie łodzie podwodne pracowały, aby transportu z zachodu nie dopuścić do Rosji, a jeśli dotarł on szczęśliwie do portów rosyjskich w Murmańsku, Archangielsku lub Władywostoku, powstawały trudności z przewiezieniem go dalekimi drogami olbrzymiego imperium na miejsce przeznaczenia. Podobno we Władywostoku zalegało od 400 do 500 tys. ton sprzętu bojowego, a Kolej Transsyberyjska nie była w stanie dostarczyć go do europejskiej części Rosji. Rosjanie domagali się, aby dla każdej armii sprzymierzonej oznaczono „minimum zaopatrzenia”. Warunkiem podjęcia ofensywy rosyjskiej było spełnienie tego żądania. Konkretnie domagali się Rosjanie 10 mln ton sprzętu bojowego. Delegat francuski Albert Thomas uznał, że postulat ten „wykracza poza granice rozsądku”. Ostatecznie Francuzi i Anglicy obiecywali cztery i pół miliona ton, ale żądali, aby Rosja poprawiła fatalne warunki transportowe.

Plenum konferencji postanowiło utworzyć organ kierowniczy, który miał się zbierać co pewnie czas w jednej ze stolic państw zachodnich. Francję, Wielką Brytanię i Włochy reprezentowałyby prezes ministrów lub jego upoważniony przedstawiciel, daleka Rosja wysyłałaby pełnomocnika na niższym oczywiście szczeblu. Gdy 20 lutego 1917 r. ukazał się komunikat prasowy w tej sprawie delegaci uznali swe zadanie za ukończone.

Gdyby konferencja zebrała się wkrótce po wybuchu wojny, w roku 1914 lub 1915, doprowadziłaby, być może, do bliższej i bardziej celowej i owocnej współpracy sprzymierzeńców zachodnich z Rosją; w roku 1917, w przededniu niesławnego upadku caratu, nie mogła spełnić oczekiwań. Najważniejszą chyba korzyścią przyjazdu polityków i wojskowych z Zachodu do Rosji był fakt, że mogli się oni zetknąć z rzeczywistością rosyjską, chociaż nie zrozumieli jej należycie.

Interesującą charakterystykę żołnierza rosyjskiego zakreślił w raporcie do Gabinetu Wojennego generał Sir Henry Wilson. „Ludzie są wspaniali. Przeważnie wysocy, silni, dziecinnie weseli, niezmiernie odważni i wytrzymali. Jednocześnie są to głupi analfabeci, zupełnie pozbawieni przedsiębiorczości i inicjatywy. (...) O ile mogłem widzieć i słyszeć morale armii rosyjskiej jest dobre, oficerowie i żołnierze mniej frasują się brakiem armat, amunicji, samolotów niż oficerowie i żołnierze armii sprzymierzonych w podobnych sytuacjach.

Konferencja piotrogrodzka dała rządowi francuskiemu impuls do dziwnego manewru, jak miała poka-

zać najbliższa przyszłość - jałowego a kompromitującego. Chodziło o uzyskanie osobiście od cara obietnicy poparcia dążeń Francji do granicy Renu.

Akcję podjęła delegacja francuska bez porozumienia się z delegacjami brytyjską i włoską i bez ich wiedzy.

Kwestia celów wojennych Francji i pozyskania dla nich cara stała w rozumieniu Doumergue'a na pierwszym miejscu przed sprawami, którymi zajmować się miała konferencja międzysojusznicza. 1 lutego pierwszy delegat francuski prosił cara o audiencję i został przyjęty przez monarchę w sobotę 3 lutego na dwugodzinnym posłuchaniu.

Doumergue uważał uwiadomienie Mikołaja o celach wojennych Francji za rzecz konieczną, inaczej bowiem rząd francuski mógłby wzbudzić podejrzenia rządu rosyjskiego, że Francja skłonna jest porozumieć się z Niemcami. Znamienna była ta wzajemna nieufność sprzymierzeńców; w każdym razie Francuzi mieli więcej powodów do obaw przed pokojem odrębnym rosyjsko-niemieckim niż Rosjanie przed kompromisem francusko-niemieckim.

Audiencja rozpoczęła się od wymiany zdań na temat polityki prezydenta Wilsona, jego mediacji pokojowej, jego orędzia z 22 stycznia 1917 r. Car mocno krytykował politykę Wilsona, a to dało Doumergue'owi możliwość wyrażenia poglądu, że sprzymierzeni powinni jasno określić swe cele wojenne i zostawać ze sobą pod tym względem w zgodzie. Dlatego Francja, która poniosła w wojnie olbrzymie ofiary, byłaby szczęśliwa,

gdyby monarcha rosyjski uznał jej cele wojenne za własne i poparł je swym autorytetem. A cele wojenne Francji to powrót do granicy nie tylko roku 1870, lecz 1790. Francja powinna złączyć w swym posiadaniu zagłębie żelazne lotaryńskie i zagłębie węglowe Saary; ponadto należy utworzyć na lewym brzegu Renu państewko autonomiczne, politycznie i gospodarczo uniezależnione od Niemiec, zneutralizowane. Mikołaj zwykle zgadzał się z każdym rozmówcą, teraz również przystał na propozycje Doumergue'a i dodał, że Prusy trzeba tak pobić i tak osłabić, aby nikomu nie mogły zagrażać; według wiadomości, jakie dotarły do cara, państewka niemieckie po klęsce chętnie wyzwolą się spod hegemonii pruskiej. Mikołaj dodał następnie, że życzy sobie, aby jego minister spraw zagranicznych przestudiował sugestie francuskie.

Powstała teraz kwestia, czy należało zadowolić się ustnymi obietnicami cara, czy też dążyć do uzyskania zobowiązań na piśmie. 9 lutego telegrafował z Paryża zastępca dyrektora politycznego *Quai d'Orsay* Philippe Berthelot, że dokładne określenie na piśmie treści rozmowy cara z Doumergue'iem byłoby pożądane.

Podobnie myśleli Rosjanie. Toteż 14 lutego 1917 r. ambasador Francji w Piotrogradzie i rosyjski minister spraw zagranicznych wymienili listy-noty; Francji określała swe cele wojenne nad Renem - Alzacja i Lotaryngia w granicach 1790 r. wraz z Zagłębem Saary, niezależne od Niemiec państewko na lewym brzegu Renu, Rosja poparła postulaty sprzymierzeńca.

Wymiana listów Paléologue–Pokrowski napełniła zdumieniem i oburzeniem ambasadora Rosji w Paryżu. Izwolski ruszył do ataku. Stary to był wróg Polski, choć w swych pamiętnikach wystąpił jako potomek szlachty polskiej, która w XVII w. przyjęła prawosławie. W ciągu długiej kariery dyplomatycznej Izwolski niezmiennie działał na szkodę Polski, czy to jako poseł rosyjski przy Watykanie (1894–1897), czy jako minister spraw zagranicznych (1906–1910), czy wreszcie jako ambasador w Paryżu (1910–1917). Według Askenazego „nędzna figura, chciwy kariery i grosza, znany z dróg protekcyjnych i afer giełdowych”. U nikogo nie budził zaufania, ale intrygował zawzięcie, niekiedy skutecznie.

Obawa, że działały we Francji czynniki, które by chciały i mogły poruszyć sprawę polską, spędzała Izwolskiemu sen z powiek, chociaż żywił pełne zaufanie do prezesa ministrów Brianda. „Poufnie, ale szczerze” zainterpelował w tej sprawie sekretarza generalnego *Quai d’Orsay* Julesa Cambona. Przypomniwał, że Rosja wielokrotnie oświadczała, iż przyszłość Polski to wewnętrzny problem rosyjski. Rosja zastrzega sobie wolną rękę w sprawie ustalenia swych granic z Niemcami i Austro–Węgrami, Francji zaś daje taką samą swobodę w kwestii granicy francusko–niemieckiej. Cambon nie rozproszył obaw ambasadora, wręcz przeciwnie, przyznał, że są do nich podstawy. Francuzi bowiem nie rozumieją, dlaczego Francja nie zażądała dotąd formalnego uznania swych praw do Alzacji i Lotaryngii, gdy Rosja zapewniła sobie zgodę zachodnich sprzymierzeńców na zajęcie Konstantynopola i Cieśnin.



W kołach politycznych francuskich poczytuje się to za zaniechanie, o które obwinia się ówczesnego ministra spraw zagranicznych Delcasségo. Być może, iż teraz wznowi się tę kwestię. Izwolski zareplikował, że rekompensatą za rosyjski Konstantynopol i Cieśniny mogą być dla Francji części Turcji azjatyckiej, ale nie można już powracać do ustalonej dawniej współzależności sprawy wschodnich granic Francji i zachodnich granic Rosji.

Pod wpływem alarmujących depesz Izwolskiego Pokrowski, do niedawna kontroler państwa, w dyplomacji zupełny *homo novus*, zorientował się, że nieopatrznie się pośpieszył podpisując jednostronne zobowiązania względem Francji. Polecił więc Izwolskiemu uzyskać u Brianda zgodę na wymianę tym razem w Paryżu nowych listów z wyraźnym wskazaniem zobowiązań wzajemnych - Rosja popiera dezyderaty francuskie nad Renem, Francja popiera stanowisko Rosji w sprawie jej granic zachodnich.

Teraz z kolei zaskoczenie i niezadowolenie w Paryżu. Briand nie tuił zdziwienia z powodu żądań rosyjskich, przecież Rosja otrzymała już w marcu 1915 r. wyraźną zgodę Francji na zabór Konstantynopola i Cieśnin. Przyznać Rosji „zupełną swobodę” wyznaczenia jej granic zachodnich to wyrzec się możliwości zawarcia z Austrią „takich układów, które wyrwać by ją mogły spod hegemonii niemieckiej”. Chcąc wyjść z trudności Briand proponował, aby Francja i Rosja porozumiały się w sprawie nowego tekstu, ujętego już ogólnikowo: oba rządy „zobowiązują się popierać się wza-

jemnie podczas rokowań pokojowych, tak aby wytyczone granice wschodnie Francji i zachodnie Rosji dawały obu narodom niezbędne rękojmie bezpieczeństwa i rozwoju gospodarczego”. Briand początkowo nie chciał dawać Rosji wolnej ręki w kwestii polskiej i dlatego wolał wyrzec się wyraźnej zgody rządu carskiego na rewindykacje francuskie nad Renem. Nie ustał wszakże w zabiegach o uzyskanie zobowiązań francuskich Izwolski, opierał się im długo Briand, długo, bo bez mała trzy tygodnie, aż wreszcie zdecydował się pójść wobec Rosji na ustępstwa i dać rządowi carskiemu wolną rękę w sprawie granicy zachodniej, tzn. w kwestii polskiej. Tekst deklaracji szef rządu odczytał na posiedzeniu rady ministrów w dniu 8 marca 1917 r. Wywiązała się ożywiona dyskusja. Doumergue uznał tekst za nieodpowiedni, gdyż car przyrzekł poprzeć Francję nad Renem nie żądając w zamian niczego dla Rosji; prezydent Poincaré był zdania, że Francja nie może wiązać sobie rąk, gdyż w perspektywie są układy z Austrią, właśnie - o czym ministrowie nie wiedzieli, a o czym wiedział Briand - przybył do Paryża książę Sykstus z poufną misją z ramienia cesarza Karola. Ostatecznie postanowiono, aby Paléologue prowadził dalsze rozmowy z Pokrowskim.

Wbrew wszakże stanowisku rady ministrów Briand podpisał 11 marca 1917 r. dokument przyznający Rosji zupełną swobodę oznaczenia swych granic zachodnich według własnej woli.

Był to wielki triumf osobisty Izwolskiego, ale triumf najzupełniej jałowy i ostatni w karierze niestruzonego intryganta.

Powtórzmy raz jeszcze datę deklaracji Brianda - 11 marca 1917 r. Francja dała caratowi wolną rękę w sprawie przyszłości Polski. A stało się to w chwili, gdy przy pogardzie i nienawiści Rosji i świata walił się w gruzy ohydny, krwawy tron Romanowów. 15 marca abdykował Mikołaj II. Czyżby francuscy republikanie wciąż byli zapatrzeni w wielkość caratu? Czy pewnego elementu komizmu nie przyniósł fakt, że deklarację rządu paryskiego przyjął z rąk ambasadora republiki nie carski biurokrata, ostatni carski minister spraw zagranicznych Pokrowski, lecz pierwszy minister spraw zagranicznych republiki rosyjskiej Paweł Milukow? Trzeba zresztą pamiętać, że Milukow był rzecznikiem imperializmu burżuazji rosyjskiej i jeszcze wiosną 1916 r. agitował przeciwko umiędzynarodowieniu sprawy polskiej; wraz z Sazonowem, Izwolskim e tutti quanti stał na stanowisku, że sprawa polska jest wewnętrzną sprawą rosyjską.

Ale co się stało, że Briand wbrew własnemu przekonaniu, wbrew zdaniu prezydenta Poincarégo i ministra Doumergue'a, wbrew opinii rady ministrów całkowicie zmienił w ciągu dwóch dni stanowisko i uległ Izwolskiemu? Snuć i można tylko hipotezy. 9 marca Paléologue telegrafował z wiadomościami o wzburzeniu wśród robotników i o wybuchu groźnych rozruchów w Piotrogradzie. Pokrowski w rozmowie z Paléologue'iem nie taił, że sytuacja w Rosji była „trudna”.

W tym stanie rzeczy Briand zapewne lękał się, aby odmowa francuska nie stała się bronią w ręku zwolenników pokoju odrębnego pomiędzy Niemcami a Rosją.

Rzecz charakterystyczna, że gdy w kwietniu 1917 r. Stephen Pichon, przewidziany wówczas na ambasadora w Piotrogradzie, studiował w archiwum ministerialnym na *Quai d'Orsay* tajne *dossier* francusko-rosyjskie, przeraził się treścią not marcowych i doradził ministrowi spraw zagranicznych zniszczenie w porozumieniu z rządem rosyjskim tych dokumentów w obawie szkody, którą musiałoby wyrządzić ich przedostanie się do wiadomości publicznej.

Podobnie jak Pichona wymiana listów w nieprzyjemny sposób zdziwiła Alberta Thomasa, gdy już po wybuchu rewolucji przybył ponownie do Rosji. Milukow „nie bez złośliwości” poinformował wysłannika rządu republiki o listach, jakie w dniu 11 marca 1917 r. wymienili pomiędzy sobą ostatni ambasador carski w Paryżu i premier Francji.

Dokumentów Francuzi nie zniszczyli, natomiast bolszewicy natychmiast po objęciu władzy opublikowali je już w listopadzie 1917 r. w dzienniku „Izwestia”. Wywołało to przykre poruszenie opinii publicznej we Francji. Rząd francuski ogłosił 11 grudnia 1917 r. komunikat, w którym niczemu nie zaprzeczał, podnosił natomiast konieczność „odbudowania Polski w całej rozciągłości”, jako Jednego z zasadniczych elementów równowagi przyszłej Europy”.

## 65. Ofensywa Nivelle'a

Dwa były główne zarzuty, które stawiano Joffre'owi; wielkie straty w ludziach, zwłaszcza w bitwach pod Verdun i nad Sommą i przedłużanie się wojny bez widoków na bliskie zwycięstwo. Jeśli chciano zmniejszyć straty ludzkie, należało na czele armii postawić pesymistę i kunktatora Pétaina i słuchać jego słynnego „czekam na czołgi i na Amerykanów”. Bliski natomiast koniec wojny zdawało się zapowiadać wodzostwo Nivelle'a. Energiczny ten generał wraz z generałem Charlesem Manginem atakami pod Verdun w dniach 24 października i 16 grudnia 1916 r. w ciągu kilku godzin odzyskał znaczną część terenów utraczonych w ciągu sześciu miesięcy. „Nowa szkoła z Verdun” zyskała popularność, wiązano z nią wielkie nadzieje. Odsunięto więc dotychczasowe kierownictwo Joffre–Foch–Castelnau, zostawiono w cieniu konkurentów Pétaina i Fayolle'a, a dowództwo oddano w zaprawione świeżymi zwycięstwami ręce Nivelle'a.

Robert Nivelle liczył sobie lat sześćdziesiąt. Na wojnę poszedł w stopniu pułkownika artylerii. Wyróżnił się w bojach nad Marną, gdy zniszczył sześć baterii niemieckich. Awansował szybko, był już generałem dywizji, gdy w maju 1916 r. objął dowództwo pod Verdun; pozostawał wtedy pod rozkazami Pétaina dowodzącego grupą armii Centrum. Pod Verdun wprowadził w życie system atakowania szczególnie skuteczny; wielu oficerów twierdziło, że był to atak nie do odparcia. Co prawda, wiemy obecnie, że w czasie od paź-

dzielnika do grudnia 1916 r. Niemcy dysponowali pod Verdun dywizjami „zmęczonymi”, inne wysłali nad Sommę.

Przyszłość miała pokazać, czy ataki verdunskie można będzie zastosować na wielką skalę. Przyszłość miała też pokazać, czy wódz ma niezbędną szerokość spojrzenia i niezbędną zimną krew.

Urodzony z matki Angielki z domieszką krwi włoskiej w żyłach był jednak Robert Nivelle typowym Francuzem, średniego wzrostu, o rysach twarzy regularnych, o myślących oczach piwnych. Był znakomitym jeźdźcem i - jak utrzymywano w armii - cechowała go brawura kawalerzysty.

Po sukcesach Nivelle'a w Verdun odwiedziło go w jego kwaterze wielu parlamentarzystów; z rozmów z generałem wszyscy odnieśli najlepsze wrażenie; uderzała energia i inteligencja zwycięskiego wodza. Na posiedzeniach komisji parlamentarnych i w kuluarach nie szczędzono mu wyrazów uznania.

„Spokojny, energiczny, rozważny” pisał o Nivelle'u 4 stycznia 1917 r. król belgijski Albert.

Bitwa pod Verdun miała w pojęciach Francuzów znaczenie wyjątkowe. Toteż zwycięzca w tych bojach obejmował stanowisko naczelnego wodza mając do dyspozycji olbrzymi kapitał zaufania, a nawet entuzjazmu. Przez krótki czas było to jego siłą, wkrótce wszakże miało się obrócić przeciwko niemu.

Francja oczekiwała od Nivelle'a wielkiego zrywu, wielkiego uderzenia, które by najeźdźcę wyparło z kraju, które by złamało jego siłę. Joffre, nie zdając sobie

sprawy, że tygodnie jego wodzostwa były już policzone, opracował rozległy plan działania na rok 1917 i przedstawił go na konferencji międzysojuszniczej. W dniu 15 listopada 1916 r. we francuskiej Kwaterze Głównej w Chantilly zgromadzili się wodzowie wojsk Koalicji lub ich przedstawiciele i przedyskutowali i zatwierdzili plan Joffre'a. Plan zakładał, że przeciwnikiem głównym są Niemcy i głównym celem operacji jest zniszczenie ich armii. Ponieważ największa część wojsk niemieckich (129 dywizji na 204) znajduje się na froncie zachodnim, front ten ma największe znaczenie i tam właśnie należy skoncentrować główne siły Koalicji. Sprzymierzeni muszą więc dokładnie rozważyć i ściśle skoordynować użycie wojsk na pozostałych frontach. Joffre stawiał tezę, że przeciwnikowi nie wolno pozwolić nabrać sił i nie wolno mu oddać inicjatywy działania. Uzgodnione działania zaczepne należy podjąć natychmiast, gdy pozwolą na to warunki atmosferyczne i należy rozwijać je na wszystkich frontach z maksymalnym nasileniem. Najpotężniejsze uderzenie, rzecz prosta, miało nastąpić na froncie zachodnim. Wynik powinien być znaczny, gdyż atakujący będą dysponowali siłami potężniejszymi niż w roku 1916. Ofensywy na frontach włoskim i rosyjskim mają również osiągnąć cele strategiczne, które dadzą się później spożytkować. Celem działań na Półwyspie Bałkańskim ma być wyeliminowanie Bułgarii z wojny. Ofensywy na rozmaitych frontach powinny się rozpocząć w połowie lutego, aby nie pozwolić, jak to się stało w roku 1916, dać się uprzedzić Niemcom.

W i ogólnym zarysie planowana ofensywa miała - powtórzyć bitwę nad Sommą, ale na szerszą skalę. Atak pomiędzy rzekami Oise i Sommą miała przypuścić Grupa Armii Północ, dowodzona przez generała Focha. Miała być gotowa do akcji 1 lutego 1917 r. Generał Pétain, dowodzący Grupą Armii Centrum, miał przygotować uderzenie pomiędzy Soissons i Reims, aby albo współdziałać z Grupą Północ w rozgromieniu nieprzyjaciela, albo rozbić go samemu, jeśli się nie powiodł atak Focha. Anglicy mieli atakować pomiędzy Bapaume a Vimy.

Joffre był pewien wielkiego sukcesu planowanej ofensywy, tym bardziej że Niemcy w lutym i w marcu przeprowadzili operację skrócenia frontu pomiędzy Arras i Soissons, tzn. wycofali się na tak zwaną *Siegfriedstellung* - pozycję Zygfryda, zwaną w wojsku Koalicji linią Hindenburga. Ofensywa francusko-brytyjska zaskoczyłaby więc Niemców w chwili przenoszenia się z jednych linii obronnych na inne. „Kończę na tym niepotrzebne żale - pisał Joffre w Pamiętnikach - Próżna to sprawa próbować odrabiać historię”.

Nowy wódz przejął zasadniczą myśl swego poprzednika - szukać rozstrzygnięcia potężnym uderzeniem na froncie zachodnim, nie we Włoszech i nie na Bałkanach, uderzyć już w początkach roku 1917. Do planów Joffre'a wprowadził wszakże zmiany. Przerwać front nieprzyjacielski i przejść, jak tylko można najprędzej, do wojny ruchomej to myśl przewodnia Nivelle'a. Był głęboko przeświadczony, że jest to metoda słuszna. „Trzeba koniecznie – pisał - w pierwszej operacji prze-



łamać obwarowania nieprzyjacielskie. Czy taka operacja jest możliwa? Twierdzą, że armia z Verdun działaniami 24 października i 15 grudnia odpowiedziała na to pozytywnie. Przerwiemy front niemiecki, kiedy będziemy chcieli pod warunkiem, że nie uderzymy w miejsce najsilniejsze i że działać będziemy przez zaskoczenie w ciągu dwudziestu czterech lub czterdziestu ośmiu godzin”.

Szybkość natarcia zależała w dużej mierze od właściwości miejsca wybranego do ataku. Nivelle zmienił więc planowane przez Joffre’a miejsce ofensywy i przesunął je w kierunku wschodnim. Joffre przygotowywał atak na froncie szerokości 45 km pomiędzy Villers–Carbonnel i Oise siłą czterech armii; następnie w 15 dni później uderzyć miała 5 Armia od Laon w kierunku północnym. Natomiast Nivelle tylko dwie armie przeznaczył do działań na zachód od rzeki Oise, trzem rozkazał uderzyć w rejonie rzeki Aisne.

Ofensywą zaplanowaną przez Nivelle’a powinien był dowodzić generał Pétain dowódca Grupy Armii Centrum. Pétain wszakże uznał teren ataku za wybrany niewłaściwie i proponował uderzenie w rejonie Reims. Nivelle powierzył wówczas dowództwo ofensywy generałowi Michelerowi.

W końcu grudnia 1916 r. Nivelle wydał następujące instrukcje: „Cel, który należy osiągnąć, to zniszczenie głównej masy sił nieprzyjacielskich na froncie zachodnim w wyniku rozstrzygającej bitwy wydanej wszystkim siłom przeciwnika; zniszczenie należy w pełni wyzyskać”. Atak pójdzie w trzech kierunkach,

będzie on tak gwałtowny, aby pierwszym uderzeniem osiągnąć teren zajęty przez artylerię przeciwnika.

Plan Nivelle'a był bardziej ambitny niż plan Joffre'a. Punkt ciężkości uderzenia przesunął Nivelle z płaskowzgórza Sommy nad rzekę Aisne, skąd miał pójść główny atak od Craonne w kierunku północnym. Jednocześnie Anglicy mieli uderzyć pod Arras w kierunku Cambrai. Chciał Nivelle przestać „nadgryzać” (*grignoter*) przeciwnika. Spodziewał się móc po krótkim, ale intensywnym przygotowaniu artyleryjskim przerwać front niemiecki jednym zaskakującym, gwałtownym uderzeniem. To miał być pierwszy etap, w drugim zadanie polegałoby na zniszczeniu innymi już siłami odwodów nieprzyjacielskich. Tak było pod Verdun. Nivelle zamierzał więc powtórzyć na wielką skalę zwycięski atak na Douaumont i oświadczył: „Doświadczenia zostały ukończone. Nasza metoda okazała się słuszna”. Z kalkulacją tą wiązała się zwodnicza nadzieja, że Niemców można będzie wkrótce nie tylko wyprzeć z dotychczasowych umocnień, ale i wyrzucić poza granice kraju.

Główna chyba różnica pomiędzy ofensywą planowaną przez Nivelle'a a ofensywami podejmowanymi dotychczas polegała na czynniku zaskoczenia. Nivelle wychodził z założenia, że przeciwnika należy atakować w takim terenie, gdzie się ataku nie spodziewa, i w takim czasie, kiedy nie bierze pod uwagę możliwości ataku. Nie zgromadzi więc odwodów, które mogłyby odeprzeć uderzenie. Atakujący będzie więc mógł prze-

rwać front łatwiej i z mniejszymi stratami i następnie lepiej zdoła wyzyskać zwycięstwo.

Napoleon widział trzy warunki powodzenia: *surprise*, *masse*, *vitesse* (zaskoczenie, masa, szybkość). Nivelle zdołał zgromadzić masę wojska, umiał działać szybko; zbieg wszakże niefortunnych okoliczności sprawił, że zawiódł - częściowo w każdym razie - czynnik zaskoczenia.

Tymczasem Nivelle stanął przed trudnościami ze strony angielskiej. Generał Douglas Haig był zdania, że bezpieczeństwo Wysp Brytyjskich wymaga, aby przede wszystkim wyprzeć Niemców z wybrzeży belgijskich; wtedy dopiero wojska angielskie będą mogły wziąć udział w ofensywie według planów Nivelle'a. Spór pomiędzy obu wodzami rozstrzygnięto ostatecznie na szczeblu najwyższym na konferencji ministrów brytyjskich i francuskich w Londynie w dniach 15 i 16 stycznia 1917 r. W konferencji wziął udział i Nivelle i wywarł silne wrażenie na nowym premierze brytyjskim Lloyd George'u. Nivelle z wielką pewnością siebie i niezmaconym optymizmem oświadczył, że gdy atakujący przerwą front nieprzyjacielski, będą mogli iść dokąd będą chcieli „na brzegi Morza Północnego czy do stolicy Belgii, nad Moze czy nad Ren”. Anglicy opowiedzieli się ostatecznie za koncepcją Nivelle'a. Pozostawała jeszcze do rozstrzygnięcia kwestia dowództwa. Ostatecznie na nowej konferencji w Calais w dniach 26 i 27 lutego 1917 r. zdecydowano, że dowództwo wojsk francuskich działających we Francji sprawował będzie generał Nivelle.

Nivelle zamierzał pierwotnie rozpocząć wielkie uderzenie 15 lutego 1917 r. Nie okazało się to sprawą możliwą i datę tę przesuwno. Tymczasem wystąpiły nowe poważne powikłania, które nie tylko opóźniły, ale i znacznie utrudniły realizację planów francuskiego wodza.

Dowództwa francuskie i brytyjskie otrzymały nieoczekiwane wiadomości, że Niemcy przygotowują wycofanie wojsk z pozycji nad Sommą i Oise'a. Palili własne składy, niszczyli linie kolejowe i dworce, usuwali z siedzib mieszkańców. Wywiad przynosił ponadto informacje o nowej niemieckiej linii obronnej, wspomnianej pozycji Zygryda. Dowództwo niemieckie już jesienią 1916 r. planowało podjęcie tej operacji. Była to decyzja słuszna, wybrzuszenie frontu niemieckiego pomiędzy Soissons i Arras przedstawiało wielkie dogodności dla ataku Francuzów i Anglików. Ponadto skrócenie pozycji Zygryda pozwoliło Niemcom wycofać ze skróconego frontu kilka dywizji i wzmocnić w ten sposób odwody potrzebne do ofensywy czy do obrony.

4 lutego 1917 r. wyszedł rozkaz przeprowadzenia operacji „Alberyk”; było to imię złośliwego karła z sagi o Nibelungach; pod nazwą „Alberyk” kryło się zniszczenie szerokiego pasa ziemi francuskiej. 9 lutego rozpoczęto prace destrukcyjne, ukończono je w połowie marca. 16 i 17 marca 1917 r. wojska niemieckie wycofały się na budowane już od września 1916 r. potężne pozycje obronne pomiędzy Arras i Missy, pozycję Zygryda. Niemcy skrócili front o 70 km; do jego obrony

wystarczało odtąd 21 dywizji, a nie 29. Tymi 8 dywizjami można było wzmocnić odwody.

Operację „Alberek” uznał sztab niemiecki za wielki sukces. „Stanęliśmy obecnie bardziej umocnieni i bardziej zwarci niż na dotychczasowej rozległej pozycji - pisał Ludendorff. Pokrzyżowaliśmy wrogowi jego plany. Nie mógł już atakować w planowanych dotąd kierunkach. Okolicę, którąśmy opuścili, zamieniliśmy w kraj dziki. Trzeba go było odbudować, aby móc prowadzić tam wojnę”.

Ale operacja „Alberek” przyniosła i inne skutki. Wśród wojska niemieckiego na froncie zachodnim, bardziej jeszcze w opinii publicznej w kraju, jeszcze silniej w Austrii, Bułgarii i Turcji odczuwano niemą, gorzki zawód. Zamiast wielkiej ofensywy, zamiast marszu na Paryż - odwrót. We Francji, w Anglii reakcje były wręcz przeciwne - Niemcy wreszcie się cofają.

Sytuację rozumiano właściwie tylko na wyższych szczeblach dowódczych po obu stronach frontu. Nierzadki to przykład, jak opinia publiczna nie dostrzega rzeczywistości, a rozgrywające się wydarzenia ocenia na podstawie ich cech zewnętrznych.

Nie tylko skrócenie frontu niemieckiego stanęło na zawadzie generałowi Nivelle'owi. Śmiały plan jego wywołał niepokój i zastrzeżenia pośród generalicji i polityków cywilnych. Minister wojny generał Hubert Lyautey stwierdził krótko i dosadnie, że projektowana ofensywa „opiera się wyłącznie na pogardzie dla przeciwnika i nadaje się tylko dla armii wielkiej księżnej Gerolstein”. Wprawdzie Lyautey 14 marca 1917 r.

ustąpił ze stanowiska, ale i jego następca nie był wolny od wątpliwości. Nowym ministrem wojny został 20 marca Paul Painlevé, profesor matematyki o autorytecie naukowym, a zarazem znawca problematyki lotnictwa. Zaraz po objęciu urzędu Painlevé nawiązał kontakt z wyższymi dowódcami. Nivelle i Mangin byli pełni optymizmu. Pétain natomiast nie krył się z pesymistyczną oceną planowanej ofensywy i jej widoków. Niepokój w rządzie, 6 kwietnia 1917 r. narada w siedzibie Naczelnego Dowództwa w Compiègne pod przewodnictwem prezydenta Republiki. Obok wojskowych obecni premier, ministrowie wojny, marynarki i uzbrojenia. Pierwsza kwestia do rozstrzygnięcia - czy wejście Stanów Zjednoczonych do wojny powinno spowodować odroczenie działań ofensywnych w przekonaniu, że w najbliższym czasie wzrosną siły Koalicji. Nivelle był zdania, że odroczenie ofensywy przerzuci w ręce niemieckie inicjatywę działania i z dużą siłą przekonania wyrażał pogląd, że nie wolno odkładać natarcia. Pétain był zdecydowanie przeciwny, twierdził, że ofensywa zużyje rezerwy, a nie przyniesie korzyści strategicznych. W wyniku dyskusji Nivelle złożył dymisję uważając, że u swych podkomendnych nie ma dość niezbędnego autorytetu. Na wezwanie prezydenta, premiera i ministra wojny generał cofnął dymisję. Ribot i Painlevé zapewnili go, że cieszy się zaufaniem rządu, ale wskazywali zarazem na konieczność oszczędzania sił, gdyż Francja nie może stawiać wszystkiego na jedną kartę w chwili, gdy wystąpienie Stanów Zjednoczonych daje pewność wygranej.

Nivelle uzyskał więc swobodę działania i mógł to poczytywać za sukces. Ale rozumiał, że w ciężkiej chwili, która zaważyć musiała na losach wojny, stał osamotniony - większość generalicji odnosiła się do jego planów krytycznie, nie cieszył się pełnym zaufaniem rządu, dowódcy angielscy podejmowali ofensywę z niechęcią w przekonaniu, że jest ona niebezpieczna.

Na dobitkę przeciwko wodzowi francuskiemu zwróciły się i okoliczności zewnętrzne, losowe. Wiemy, jak wielką wagę Nivelle przywiązywał do czynnika zaskoczenia nieprzyjaciela. Niemcy od niejakiego czasu spodziewali się uderzenia, 4 kwietnia fortunny przypadek dał im pewność i bliższe dane. W tornistrze zastrzelonego podoficera francuskiego znaleźli rozkazy ataku wydane dla centrum i prawego skrzydła 5 Armii francuskiej. Cenna wskazówka. Dowiedziało się o tym wkrótce dowództwo francuskie, ale o jakiegokolwiek zmianie planów nie mogło już być mowy.

Ofensywie francuskiej nie sprzyjała pogoda - wichury, mokre śniegi i deszcze, błoto, czas mroźny. Lecz sprawy poszły zbyt daleko, aby można było wstrzymać ofensywę.

4 kwietnia Nivelle ostatecznie uściślił instrukcje: Anglicy przerwą front niemiecki w Givenchy-lès-la-Bassée i Quéant, Francuzi pomiędzy Reims i Soissons. Po przerwaniu frontu należy wszystkimi siłami posuwać się naprzód i zajmować zwłaszcza punkty ważne dla zaopatrzenia armii nieprzyjacielskiej, aby w ten sposób doprowadzić do jej dezorganizacji.

Ofensywę rozpoczęli Anglicy. 9 kwietnia o godz. 5 min. 30 rano wojska angielskie i kanadyjskie ruszyły do ataku na froncie długości około 20 km pomiędzy Arras i Lens. W ataku wzięło również udział 60 czołgów. Atakujący wdarli się około 5 km w głąb pozycji niemieckich. Materiałem bojowym Anglicy tak znacznie górowali nad swymi przeciwnikami, że któryś z oficerów niemieckich uczestników bitwy wyraził się, że była to walka ludzi przeciwko maszynom. Wieczorny raport w Kwaterze Głównej niemieckiej w Kreuznach dał „ponury obraz - wspominał Hindenburg - wiele cieni, mało światła”. Ale sędziwy wódz nie zwykł tracić ducha. „Widziałem - pisał - że nowe wojska marszerują na pola bitwy, że nadjeżdżają pociągi. Kryzys przewyciężony”.

W ciężkich bojach zdobyli Anglicy wzgórze Vimy i posunęli się na południowy wschód od Arras, ale frontu niemieckiego przełamać nie zdołali. 14 kwietnia generał Haig wstrzymał chwilowo działania zaczepne. W ciągu sześciu dni posunęli się Anglicy od 6 do 8 km na froncie długości około 30 km. Uderzenia angielskie powtarzać się jeszcze będą w drugiej połowie kwietnia i w maju, celem ich będzie wsparcie działań zaczepnych armii francuskiej.

12 kwietnia poderwali się Francuzi do ataku w kierunku Saint-Quentin, ale już po dwóch dniach wstrzymali atak nie osiągnąwszy znacześniejszych rezultatów; okazało się, że pozycje niemieckie były zbyt silne.

Właściwa wielka ofensywa francuska rozpoczęła się rankiem 16 kwietnia na froncie szerokości około 70



km pomiędzy rzeką Oise a miastem Reims, ściślej pomiędzy Vailly a Berry-au-Bac na północ od Reims. W ciężkich bojach Francuzi zdobyli pierwszą linię umocnień niemieckich, pomiędzy Craonne a Berry-au-Bac wdarli się do drugich linii. Zawiódł atak czołgów, które usiłowały wesprzeć piechotę; ze 120 czołgów Niemcy zniszczyli 60. Szczególnie odznaczyli się w walkach strzelcy senegalscy, ale też i straty ponieśli ogromne - z 10 tys. strzelców 6300 poległo w tych walkach.

Niewątpliwie Francuzi odnieśli sukcesy taktyczne, ale zarówno w wojsku, jak i w społeczeństwie przeszły one bez wrażenia wobec nadziei, jakie powszechnie wiązano z ofensywą, nadziei pełnego, zdecydowanego zwycięstwa.

Nivelle próbował prowadzić dalej ofensywę, co prawda już z celem ograniczonym. Chodziło mu o zapewnienie sobie pozycji dokoła wielkiej drogi Chemin des Dames ciągnącej się na północ od rzeki Aisne. Nazwę tę droga zawdzięcza córkom królowej Marii Leszczyńskiej i Ludwika XV, które jeździły tamtędy do zamku la Bove. Walki dokoła Chemin des Dames ciągnęły się od końca kwietnia do 9 maja i przyniosły Francuzom niewielkie sukcesy taktyczne, nieproporcjonalne wszakże do wzbudzonych niedawno nadziei.

Francuzi stracili w kwietniu i w maju 1917 r. 270 tys. ludzi (zabici, ranni, wzięci do niewoli, zaginieni), Niemcy 160 tys. Nie były to straty większe niż poniesione w 1916 r. nad Sommą i pod Verdun, ale wywołały silniejszą depresję.

„Nie było to chyba winą Nivelle’a, że udaremnione zostały podstawy jego planu strategicznego, wykazał on *la folie de la grandeur* (szaleństwo wielkości), skoro wytrwał w nim, gdy warunki zmieniły się w sposób istotny. A jego plan taktyczny, opracowany nazbyt szczegółowo i nieelastyczny, nie przewidywał sukcesu w sytuacji przestrzeżonego przeciwnika”.

Być może w roku 1916 uznano by ofensywę Nivelle’a za sukces. Teraz jednak sytuacja uległa zmianie; i kraj, i wojsko spodziewały się, że uderzenie kwietniowe przełamie front niemiecki i zada przeciwnikowi cios tak silny, że w sposób widoczny przybliży to koniec wojny. Zamiast tego nastąpiło wykrwawienie armii, sukcesy były jedynie lokalne, jakie już widziano. Jak zwykle bywa w takich razach odpowiedzialnością za wszystko obarczono naczelnego wodza. W społeczeństwie, w prasie, w parlamencie, co więcej pośród generalicji, w korpusie oficerskim, w żołnierskich szeregach dominowała krytyka niechętna wodzowi, co więcej wroga. Naród, parlament, rząd, wojsko utraciły zaufanie w talenty i kwalifikacje generała Nivelle’a.

Zmiana na stanowisku naczelnego wodza w toku działań wojennych nie jest ani sprawą łatwą, ani sprawą prostą. Nie była sprawą łatwą wiosną 1917 r., gdy szło nie tylko o zmianę osoby, ale i o zmianę doktryny wojennej. Siłą faktu nasuwała się wszystkim kandydatura generała Pétaina, głównego przeciwnika planów strategicznych Nivelle’a. Tak się też stało. 15 maja 1917 r. rada ministrów udzieliła dymisji generałowi Nivelle’owi i powołała na stanowisko naczelnego wodza ge-

nerała Philippe'a Pétaina, szefem sztabu został generał Ferdinand Foch.

Nowy wódz zapowiedział od razu, że nie podejmie żadnych działań na szerszą skalę. „Czekam na Amerykanów i na czołgi”. W tej wypowiedzi zawierał się program działania nowego wodza. Zapewne, po krwawych a bezskutecznych hekatombach ofensywy Nivelle'a nie miał on innej drogi przed sobą, nie mógł podejmować nowych ciężkich bojów. Ale hasło „czekam na Amerykanów i na czołgi” znaczyło kres wszelkich nadziei, że rok 1917 przyniesie koniec wojny.

Aléxandre Ribot pisał, że Pétain „jest bardzo inteligentny, inteligentniejszy niż Nivelle, ale to przede wszystkim umysł krytyczny, nie budzi pełnego zaufania”.

Zaufanie wzbudził natomiast Pétain u króla Alberta belgijskiego. „Pierwsze spotkanie z nowym naczelnym wodzem - pisał król w swych zapiskach 7 czerwca 1917 r. - zrobił na mnie najlepsze wrażenie”. „Wodzowie - mówił Pétain królowi - powinni politykom mówić prawdę. Nie zawsze ją mówili. Ofensywa pojęta jako zasada bezwzględna (*principe absolu*) była jedną z przyczyn wielkich strat francuskich”. Jako wódz naczelny Pétain nie dopuści, aby proponowano pokój nieprzyjacielowi, który zajmuje terytoria francuskie i belgijskie.

## 66. Żołnierz francuski buntuje się (*Mutineries*)

W ciągu trzech niespełna lat, od lata 1914 r. do wiosny 1917 r., naród francuski, a wraz z nim żołnierz francuski przeszedł znaczną ewolucję - od entuzjazmu „świętej jedności” do ciężkiej depresji moralnej. Młody Francuz, nagle oderwany od pracy na roli, w fabryce czy w biurze, wcielony do szeregów, odziany w mundur, poddany surowej dyscyplinie nie zawsze mógł się od razu przystosować do nowych warunków życia. Bywały, rzecz prosta, przypadki niesubordynacji czy nawet dezercji - tak bywa chyba we wszystkich armiach. Przejście od stanu pokojowego do warunków stanu wojennego nie mogło się odbyć bez trudności; zwracał na nie uwagę wódz naczelny w rozkazie z 18 sierpnia 1914 r. Winni złamania dyscypliny stawali przed sądami wojennymi. Rozkaz naczelnego wodza z 1 września 1914 r. nakazywał natychmiastowe wykonywanie wyroków na dezerterach i rabusiach. Od stycznia 1915 r. wszakże skazani mieli prawo odwołania do łaski prezydenta Republiki. Do początku 1917 r. zapadało miesięcznie nieco ponad 20 wyroków śmierci; prezydent ułaskawiał miesięcznie zwykle około 15 skazanych, czyli znaczną większość. Były to ciężkie przestępstwa, lżejsze wypadki łamania dyscypliny były znacznie liczniejsze, ilość ich rosła w miarę przedłużania się wojny. Przewinień tych ukaranych na mocy wyroków sądów wojennych było 3 tys. w 1914 r., 14 tys.

w 1915 r., 25 tys. w 1916 r. i wreszcie 26 tys. w czterech pierwszych miesiącach roku 1917.

Rzecz charakterystyczna, obowiązywała we Francji cenzura wojenna i pracowała ostro, świadczą o tym liczne i długie białe plamy na łamach prasy francuskiej. Szczególną uwagę zwracała cenzura na armię i na najszerszej pojętą tajemnicę wojskową.

A jednak ukazywało się pismo, które szerzyło wiadomości z punktu widzenia dyscypliny wojskowej groźne i szerzyło je swobodnie pod okiem cenzury, która nie ingerowała. Był to dziennik „La Vague” („Fala”). W 1916 r., po zjeździe socjalistów w Kiental deputowany socjalistyczny Pierre Brizon zaczął wydawać „La Vague” i atakował na jego łamach militarizm, rząd, dowództwo. Popularność zdobyła sobie „La Vague” publikując listy żołnierzy frontowych; biła z nich groza wojny, znużenie, niekiedy nienawiść i wściekłość. Dla Naczelnego Dowództwa - i to był powód, dla którego cenzura przymykała oczy - listy żołnierzy na łamach „La Vague” były barometrem nastrojów panujących w szeregach.

Jesienią 1916 r. nastroje w armii wyraźnie się pogorszyły. Zwrócili na to uwagę generałowie, na których spaść miała ciężka odpowiedzialność za prowadzenie wojny w 1917 r. - Nivelle i Pétain. Nadzieje związane z ofensywą Nivelle'a podniosły nieco ducha w wojsku, rychłe załamanie ofensywy i jej ofiary doprowadziły do wrzenia wśród żołnierzy i do buntów.

Uwagę dowództwa francuskiego zwrócił fakt, że Niemcy jesienią 1916 r. odnosili sukcesy w atakach na

okopy francuskie i brali licznych jeńców. „Jest rzeczą haniebną oddawać się w niewolę, trzeba się bronić aż do odparcia napastnika kontratakami. Poddać się bez walki to tchórzostwo - pisał Pétain 1 października 1916 r.

Przełożeni utracili zaufanie podwładnych. Rzadko kiedy żołnierze wypowiadali się szczerze wobec oficerów. Najczęściej słyszało się: „Zupa była dobra ... Zwycięzimy”. „U podwładnego i u przełożonego kłamstwo stało się regułą” pisał Alain, ochotnik w 1914 r., głęboko rozgoryczony w 1917 r. Żołnierze powtarzali taki aforyzm: „Wyjdiesz z okopu, będziesz zabity. Jeśli oni wyjdą, oni będą zabici”. Gabriel Chevallier w końcu 1916 r. tak oceniał sytuację: „Padało; człowiek siedział w błocie i ociekał wodą. Czy nigdy się to nie skończy, to plugastwo? O Boże! gdyby papę Joffre'a posadzić w tej dziurze, a Hindenburga naprzeciw ze wszystkimi wygalonowanymi indywiduami, prędko by się skończyła ich wojna”.

Od połowy kwietnia do początku czerwca 1917 r. przelała się przez armię francuską fala buntów (*mutineries*). W kwietniu były to coraz liczniejsze wypadki naruszenia dyscypliny, wywieszano czerwone sztandary, śpiewano Międzynarodówkę, wznoszono okrzyki: „Precz z wojną! Śmierć winnym!” W maju zaostrzyła się sytuacja. Mnożyły się wypadki odmowy wykonania rozkazów, zwłaszcza gdy padały rozkazy marszu na pierwszą linię frontu. 29 maja w Soissons żołnierze dwóch pułków piechoty rzucili myśl marszu na Paryż,

aby przedstawić parlamentowi żądanie natychmiastowego zawarcia pokoju.

A jednak rację chyba mają ci historycy, którzy wraz z Renouvinem twierdzą, że nie była to rewolta, jak w armii rosyjskiej, lecz raczej ruch strajkowy. Naród był znużony przedłużającą się wojną, żołnierz wyczerpany, urlopy miał rzadkie i krótkie, wyżywienie pozostawiało wiele do życzenia. A nadto ważny czynnik psychologiczny - ofensywa Nivelle'a wykrwawiła armię i położyła kres wybujałym nadmiernie nadziejom na bliskie zwycięstwo i bliski pokój.

Młody Philippe Barrès pisał: „To nie bunty «kanalii», które trzeba łamać, to szloch Francuzów, któremu oprzeć się niepodobna”. A konkluzja raportu komisji wojskowej parlamentu mówiła: „Od żołnierza francuskiego zażądano zbyt wiele; wyczerpanie żołnierza dotarło już do granic wytrzymałości”.

Naoczny świadek Henry Bordeaux, znany pisarz o przekonaniach konserwatywnych, zachowawczych, tak odczuwał nastroje w armii francuskiej po ofensywie Nivelle'a: „Widać teraz jakby coś w rodzaju nihilizmu moralnego. Nie wierzy się już w zakończenie wojny siłą oręża. Mamy armię, która nie ma wiary. Nie wierzy się w wagę interwencji amerykańskiej. Dla jednych nie ma ona większego znaczenia niż interwencja włoska czy rumuńska; inni porównują ją z interwencją angielską: za 18 miesięcy czy za 2 lata przybędzie armia amerykańska i posunie się 5 czy 6 km naprzód, a co potem?

Panuje zniechęcenie bliskie rozpacz. Żołnierz nienawidzi tych, których oskarża o przedłużenie wojny.

W kolumnach wojska nie znajdzie się osiołka, którego by nie przezwano Poincaré, Briand czy Barrès”.

A dalej pisał: „Te dworce paryskie, gdzie żołnierze rozkładają się na schodach, na ziemi, gdzie padają łupem dziewczyn publicznych; jak można było nie przygotować obsługi i czystych lokali? Jedyna tylko organizacja dobrze działała we Francji przedwojennej - organizacja wyborcza”.

Generał Pétain w chwili, gdy obejmował dowództwo stanął przed zadaniem trudnym i groźnym. Rysowały się przed nim dwie drogi - albo według twardych wymogów prawa wojennego karać winnych niesubordynacji w obliczu nieprzyjaciela, albo zrozumieć nieszczęsnego żołnierza. Wybrał tę drogę.

Określił źródło zła: „Nasi oficerowie - oświadczył 19 maja 1917 r. - dają od trzech lat dowody heroicznej odwagi, ale nie śmiają przedstawić przełożonym trudności wykonania w obawie, aby ich nie uznano za bojaźliwych. Te obawy sprawiają, że Naczelne Dowództwo utrzymuje rozkazy, które by odroczyło albo uzupełniło, gdyby miało lepsze informacje o położeniu”. O informacje starał się Pétain osobiście, niestrudzenie odbywał inspekcję podległych mu wojsk, rozmawiał z żołnierzami, słuchał ich skarg i żalów. Z energią wziął się do walki ze złem w armii, nakazał prace nad polepszeniem warunków zakwaterowania, regularne zaopatrzenie w żywność, walkę z paskarstwem. Uregulował sprawę urlopów żołnierskich, przyspieszył ich terminy i wydał rozkaz, aby pociągi wiozące z frontu urlopników miały pierwszeństwo przed wszystkimi innymi.



Żołnierz uznał autorytet Pétaina, jego zdrowy rozsądek i dobrą wolę. Powróciła w szeregi dyscyplina wojskowa. Po 10 czerwca nie zdarzyły się już wypadki zbiorowego nieposłuszeństwa. Był to niewątpliwie sukces osobisty Pétaina, nie mniejszy niż obrona Verdun.

Orzeczono 150 wyroków śmierci, wykonano jedynie 23 i to w pierwszym stadium działania sądów za bunt majowe i czerwcowe. Pétain był zdania, że gdy dano przykład w najbardziej skrajnych wypadkach buntu, w przyszłości można będzie postępować łagodniej.

Interesujące są dane dotyczące zawodu skazanych. Otóż spośród 1160 skazanych na kary cięższe było 373 rolników, 46 murarzy, tyłuż górników, 8 studentów.

## **67. Carat obalony**

Rok 1913 wielkie uroczystości państwowe i wielkie manifestacje 300–lecia panowania w Rosji Romanowów–Holstein–Gottorpów. Roztoczono przepych, rozwinięto hałaśliwą propagandę; światu i narodowi rosyjskiemu chciano pokazać potęgę samowładztwa Holstein–Gottorpów i dobrodziejstwa, jakie z ich łaski spłynęły na Rosję. Znalazł się nawet Niemiec, który głosił wspaniałą przyszłość caratu. Był to publicysta hakatystyczny Otto Hoetzsch; w 1913 r. ten „jasnowidzący” pisarz ogłosił książkę o Rosji; zawarł tam pogląd, że rewolucja 1905 r. była dla caratu tym, czym dla organizmu ludzkiego jest wrzód, który pękł; organizm pozbył się szkodliwych czynników i uzdrowiony, świeży wspaniale się rozwija.

Posłuchajmy głosów poważnych. Włodzimierz Lenin upatrywał w Rosji najśłabsze ogniwo w systemie państw kapitalistycznych. Rok 1905 pokazał, że główny, najważniejszy ośrodek walki robotników z kapitalizmem znajduje się w Rosji.

Taka była w chwili wybuchu wojny, w roku 1914, sytuacja imperium carów. Możliwości rozwoju wypadków oceniano wówczas rozmaicie. Jedni w wojnie - w wojnie zwycięskiej rzecz prosta - widzieli wzmocnienie potęgi caratu wewnątrz i na zewnątrz. Inni - burżuazja rosyjska - sądzili, że carat nie może wygrać wojny bez oparcia się na społeczeństwie, spodziewali się w związku z tym ugruntowania swych wpływów, żywi-li nadzieję, że dojdzie do utworzenia w Rosji rządów parlamentarnych na wzór zachodni czy może półparlamentarnych. Jeszcze inni byli przeświadczeni, że wojna imperialistyczna przyspieszy upadek caratu i otworzy wrota rewolucji społecznej.

Ostatni z tych sądów okazał się trafny, ale należy pamiętać, że wojna nie wywołała rewolucji, a jedynie przyspieszyła jej wybuch. „Przekształcenie obecnej wojny imperialistycznej w wojnę domową - pisał we wrześniu 1914 r. Lenin - jest jedynym słusznym hasłem proletariackim, zrodzonym z doświadczenia Komuny, wysuniętym przez rezolucję bazylejską (1912 r.) oraz wypływającym z wszystkich warunków wojny imperialistycznej...”.

Było do tego na razie jeszcze daleko. Walkę o przekształcenie wojny imperialistycznej w wojnę domową podjęli jedynie bolszewicy, a ci stanowili

wówczas grupę nieliczną. Wszyscy inni skłaniali się mniej lub bardziej do poparcia wysiłku wojennego Rosji. W kraju odbywały się manifestacje patriotyczne, m.in. 2 sierpnia 1914 r. wielkie tłumy zebrały się przed Pałacem Zimowym; entuzjazm ogarnął tłum na widok Mikołaja II, który tym razem zdołał opanować swą bojaźliwość i odważył się ukazać dostojną carską osobę swemu ukochanemu wiernemu ludowi. Manifestacje te były zapewne zręcznie reżyserowane i wątpliwe czy można je uznać za wyraz uczuć i przekonań narodu rosyjskiego, ale nie było w Rosji żywiołowego oporu przeciwko wojnie, tak jak go nie było w Niemczech, jak go nie było we Francji. Do szeregów powołano 15 milionów ludzi, tj. mniej więcej 40% dorosłych mężczyzn. Władze obawiały się że około miliona nie usłucha rozkazów mobilizacyjnych, w rzeczywistości było takich kilka tysięcy.

W początkach wojny górowało przekonanie o zwycięstwie, ale już niebawem przekonanie to słabło, zanikało, przechodziło w pesymizm skutkiem niepowodzeń na froncie, skutkiem ujawniających się ze wsząd niedomagań maszyny państwowej, skutkiem odsłanianych coraz widoczniej wad anachronicznego ustroju.

Spostrzeżenie to może dziwne, paradoksalne, ale prawdziwe - w wojnie lat 1914–1918 nie tylko Niemcy, ale i rozległa, olbrzymia Rosja, szósta część kuli ziemskiej, znajdowała się w sytuacji oblężonej twierdzy. Lądową granicę na zachodzie ogarnęła pożoga wojenna, połączenia morskie, Sund na północnym zachodzie,

Dardanele na południu zamknął nieprzyjaciel. Jedynie trzy porty w Archangielsku, Murmańsku i Władywostoku, oddalone od głównych ośrodków kraju i zamarzające na kilka miesięcy w roku utrzymywały łączność Rosji ze światem. Tylko tą drogą daleką i niepewną mogła się Rosja zaopatrywać w potrzebny jej sprzęt bojowy, i - co równie ważne - prowadzić handel zagraniczny. Mobilizacja i przejście wielu mężczyzn ze wsi do pracy w rozwijającym się przemyśle zbrojeniowym spowodowały brak siły roboczej w rolnictwie. W niektórych częściach Rosji odłogiem leżały znaczne połacie ziemi, niekiedy trzecia część, niekiedy nawet i więcej. Ten kraj rolniczy, urodzajny, który przed wojną w wielkich ilościach eksportował płody rolne, teraz zaczął cierpieć na niedostatek żywności, szczególnie dotkliwy w miastach. Przyczyna leżała zresztą nie tylko w niedomaganiach rolnictwa, ale i w niedomaganiach przewozu. Sieć kolejowa była w Rosji słabo rozwinięta w porównaniu z potrzebami kraju, wojna obarczyła ją dodatkowo ciężkim obowiązkiem transportów wojskowych, a nadto zmniejszyła przydziały niezbędnego węgla. Niedostatek węgla uderzał również i w przemysł, zwłaszcza w Moskwie i w Piotrogradzie. Zacołanie gospodarcze ówczesnej Rosji sprawiło, że nagły rozwój przemysłu zbrojeniowego, wywołany koniecznościami wojennymi, chociaż nie mógł zaspokoić potrzeb armii, spowodował zastój, a w każdym razie znaczne trudności w innych dziedzinach produkcji.

Było sprawą coraz bardziej widoczną, że nieudolny, anachroniczny system rządzenia nie jest w stanie

podolać trudnym zadaniom, jakie wojna stawiała przed Rosją. Rozumiało to społeczeństwo rosyjskie, nie rozumiał tego dwór carski, nie chcieli rozumieć jego słu-  
dzy. Rząd prowadził politykę nielojalną, uniemożliwił porozumienie narodowe, na wzór i podobieństwo ta-  
kiego, jakie powstało we Francji, w Wielkiej Brytanii, a nawet w Niemczech. Pomimo stanowiska ugodowe-  
go, lojalistycznego, jakie zajęły stronnictwa burżuazyj-  
ne w Dumie podczas krótkich sesji w sierpniu 1914 r. i w lutym 1915 r., rząd unikał zbliżenia i współpracy z reprezentacją parlamentarną klas posiadających. Nie dopuszczał do dłuższych obrad Dumy i wydawał na mocy art. 98 konstytucji dekrety z mocą ustawy. Rząd nie wykazywał również chęci porozumienia z innymi narodami uciemionymi. Stanowisko względem Pol-  
ski było wybitnie nielojalne i nieszczerze, względem Ukrainy niechętnie, bez zrozumienia problemu. W Fin-  
landii zapowiedziano w listopadzie 1914 r. ogranicze-  
nie autonomii kraju, nadzór nad instytucjami oświato-  
wymi, wzmocnienie władzy policji. Represjom podda-  
no ludność żydowską.

A jakie stanowisko wobec wojny i sytuacji przez nią wytworzonej zajął naród rosyjski?

Inne było, inne być musiało stanowisko stronnictw i koterii wyrażających dążenia i interesy wielkiej wła-  
sności ziemskiej, inne wyrażające interesy i dążenia różnych kół burżuazji. Inaczej patrzyli na sprawy chło-  
pi, inaczej robotnicy. I wreszcie armia; głos żołnierza rosyjskiego rozlegnie się dużo później, ale zabrzmie do-  
nośnie i groźnie.

Stanowisko najbardziej konsekwentne zajęli od samego początku nieliczni jeszcze wówczas bolszewicy. W jakim kierunku maszerować - wskazał im Lenin. We wrześniu 1914 r. Lenin pisał: „W obecnym stanie rzeczy nie można z punktu widzenia międzynarodowego proletariatu określić, klęska której z dwóch grup narodów prowadzących wojnę byłaby najmniejszym złem dla socjalizmu. Ale dla nas, rosyjskich s.-d., nie może ulegać wątpliwości, że z punktu widzenia klasy robotniczej i mas pracujących wszystkich narodów Rosji najmniejszym złem byłaby klęska monarchii carskiej, najbardziej reakcyjnego i barbarzyńskiego rządu, uciskającego największą ilość narodów i największą część ludności Europy i Azji”. W początkach wojny Lenin obawiał się, że „jeśli coś może w pewnych warunkach odroczyć zagładę caratu, jeśli coś może dopomóc caratowi w walce przeciwko całej demokracji Rosji, to właśnie obecna wojna, która kiesy burżuazji angielskiej, francuskiej i rosyjskiej oddała na usługi reakcyjnych celów caratu. I jeśli coś może utrudnić walkę rewolucyjną klasy robotniczej Rosji przeciw caratowi, to właśnie zachowanie się wodzów socjaldemokracji niemieckiej i austriackiej, które ustawicznie stawia nam za wzór prasa szowinistyczna w Rosji”.

Z tez Lenina płynął wniosek nieodparty - wojna wszczęta w 1914 r. jest wojną imperialistyczną, grabieżczą, robotnicy i chłopci powinni odmówić pójścia do szeregów, powinni wystąpić przeciwko własnemu rządowi, przeciwko klasom posiadającym, powinni wydać wojnę wojnie.

Akcja bolszewików nie była łatwa; większość ich przywódców z Leninem na czele była bądź za granicą na emigracji, bądź na Syberii na zesłaniu. Wielu socjalistów rosyjskich, jak Gieorgij Plechanow, wzorem swych zachodnich towarzyszy wypowiedziało się za wojnę przeciwko niemieckiemu imperializmowi i militarizmowi.

Walka rewolucyjna bolszewików zaostrzyła represje. Sądy wojenne, aresztowania, zesłania na Syberię, zawieszanie czasopism ukazujących się za zezwoleniem władz, rozwiązywanie jawnie dotąd działających stowarzyszeń - oto odpowiedź władz carskich na działania bolszewickie. A jednak prześladowani nie ugięli się, lecz walczyli dalej. Obowiązki uwięzionego działacza podejmował inny, akcję rozwiązanej instytucji legalnej prowadziła organizacja tajna, szerzyła się prasa podziemna nie tylko w kraju, ale i wśród żołnierzy na froncie. Zwierały się szeregi zdecydowanych rewolucjonistów. Wzmagał się ruch strajkowy. W pierwszych miesiącach wojny wybuchło 68 strajków; wzięło w nich udział około 35 tys. robotników. Rok 1915 przyniósł przeszło tysiąc strajków, a liczba strajkujących przekroczyła pół miliona. W 1916 r. była Rosja widownią półtora tysiąca strajków, wzięło w nich udział ponad milion robotników. Szczególne znaczenie miał strajk w Piotrogradzie i w Moskwie w dniu 22/9 stycznia 1916 r. w rocznicę „krwawej niedzieli” petersburskiej 1905 r. Wobec czujności policji i licznych aresztowań doprowadzenie do wybuchu strajku świadczyło o sile i determinacji organizatorów. Groźnym

memento dla rządu był strajk w Zakładach Putiłowskich w Piotrogradzie pracujących na potrzeby armii.

Strajki wybuchały, rzecz prosta, nie tylko na skutek agitacji. Poważne względy życiowe - rosnąca wciąż drożyzna i braki zaopatrzenia budziły wrzenie wśród ludności.

A klasy posiadające? Jakie były ich dążenia? Jakie zajmowały stanowisko?

Skrajny pogląd głosił były długoletni minister skarbu, prezes komitetu ministrów, negocjator pokoju z Japonią hrabia Siergiej Witte. Ambasadorowi francuskiemu powiedział wręcz: „Ta wojna to szaleństwo! Co wojna może przynieść Rosji? - zapytywał. Prusy Wschodnie? Czy car nie ma już dość poddanych niemieckich? Gdy Rosja zaanektuje działy zaborowe polskie Niemiec i Austro-Węgier, utraci całą Polskę, gdyż Polska zjednoczona nie zadowoli się autonomią, którą jej tak niemądrze obiecał wielki książę Mikołaj. Porażka Habsburgów i Hohenzollernów to republika w Europie Środkowej, a republika w Europie Środkowej to koniec caratu”. Witte przewidywał więc rewolucję polityczną, nie przewidywał zaś rewolucji społecznej, a może nie chciał o tym mówić z ambasadorem Francji.

Pogląd Wittego o niebezpieczeństwie rewolucji politycznej podzielały liczne odłamy klas posiadających; wielcy właściciele ziemscy, biurokracja, gdzie były tak silne wpływy niemieckie, koła dworskie kierowały się jedną myślą przewodnią - nie dopuścić do żadnych zmian ani w ustroju cesarstwa, ani w jego machinie państwowej. Wojna z Niemcami była w przekonaniu



tych kół szkodliwa i niebezpieczna, gdyż osłabiała reakcję po obu stronach, wzmacniała siły rewolucji.

Z większym jeszcze niż Siergiej Witte pesymizmem patrzył na otaczający go świat przemysłowiec i finansista Aleksiej Putiłow. „Dni caratu są policzone - mówił Putiłow na przełomie 1914/15 r. - carat skazany jest na nieuchronną zagładę. Ale carat to rusztowanie Rosji, jedyna więź jej narodowej jedności. Rewolucja czeka tylko sposobności, aby wybuchnąć. Taką sposobność przyniesie porażka wojskowa, klęska głodu na prowincji, strajk w Piotrogradzie, rozruchy w Moskwie, skandal czy tragedia w pałacu (carskim); wszystko jedno”. Rewolucje we Francji i w Anglii miały skutki dodatnie, w Rosji - zdaniem Putiłowa - będzie inaczej, gdyż w Rosji „warstwy oświecone są w kraju niepokaźną mniejszością, niezorganizowaną, nie wyrobioną politycznie, pozbawioną łączności z masami”. Carat uznawał tylko biurokrację, nie tolerował najmniejszego ośrodka życia politycznego. Według Putiłowa największa to jego zbrodnia. Gdy znikną czynownicy państwo się rozpadnie.

Z niebezpieczeństwami, które rysowały się przed oczami Putiłowa, nie liczyła się zbytnio burżuazja rosyjska. Wojnę uznała za drogę do zdobycia udziału we władzy. Dążeniu temu zdawał się sprzyjać postępujący rozkład caratu. W państwach zachodnich, sprzymierzonych z Rosją, powstały rządy jedności narodowej złożone z przedstawicieli wielu stronnictw. Zapatrzona w te wzory burżuazja rosyjska pragnęła częściowo przynajmniej realizować je w państwie carów, wpro-

wadzić do rządu swych przedstawicieli i uzyskać wpływ bezpośredni na bieg polityki państwa. Nieudolność rządu i wadliwe funkcjonowanie maszyny państwowej w rozumieniu przywódców stronnictw burżuazyjnych stanowiły okoliczności sprzyjające ich ambicjom. Urzeczywistnieniu ambitnych planów pomagać miały hałaśliwe manifestacje patriotyczne w Dumie i poza Dumą. We wrześniu 1915 r. konstytucyjni demokraci, zwani kadetami, październikowcy, postępowcy, wsparci przez pomniejszych ugrupowania, utworzyli tzw. Dumski Blok Postępowy, skupiający mniej więcej 2/3 posłów. Krzykliwie ogłaszane imperialistyczne cele wojenne miały dla bloku zdobyć sympatię nacjonalistycznie usposobionej opinii publicznej, żądanie amnestii politycznej miało przynieść popularność w kołach lewicowych, hasło wojny aż do zwycięstwa miało zapewnić poparcie sprzymierzeńców zachodnich, ich pożyczki, ich kredyty. Taka była droga, którą politycy dumscy zamysłali osiągnąć władzę czy współwładzę. Pod świeżym wrażeniem wieści płynących znowu z Nowy Jorku pisał Szymon Askenazy: „w istocie blok nie może na serio liczyć ani na siebie, ani na kraj, ani na zagranicę. Jest to blok wspólnego radzenia i przemawiania, nie wspólnego czynu, a tym mniej wspólnej władzy. Gdyby cudem jakimś się do niej dorwał, rozpekłby się natychmiast”.

Próba akcji politycznej była to jedna droga burżuazji rosyjskiej do uzyskania władzy. Druga, którą podążono, to rozmaicie pojmowana akcja społeczna.

Już w 1914 r. zawiązały się dwie organizacje społeczne, obejmujące całe państwo. Były to Ogólnorosyjski Związek Ziemstw z księciem Gięorgijem Lwowem na czele i Ogólnorosyjski Związek Miast z prezydentem Moskwy Wiktorem Briańskim, później kadetem Michailem Czełnokowem na czele. Skupiała się tu liberalna szlachta, inteligencja, kupcy, właściciele domów. Organizacje te świadczyły pomoc dla wojska, zakładały szpitale, roztaczały opiekę nad rannymi i uchodźcami, organizowały pociągi sanitarne, starały się dostarczać wojsku lekarstwa, podjęły walkę z epidemiami. W miarę przedłużania się wojny, niepowodzeń wojennych, coraz bardziej bijącej w oczy nieudolności rządu, a także podnoszenia się fali rewolucyjnej burżuazja rozszerzała swą aktywność. W czerwcu 1915 r. powstał Centralny Komitet Wojskowo–Przemysłowy, a na prowincji powstały lokalne komitety; w marcu 1916 r. było ich już 226. Zadaniem ich było podniesienie produkcji przemysłowej na potrzeby armii. W lipcu 1915 r. Związek Ziemstw i Związek Miast utworzyły Główny Komitet do Spraw Zaopatrzenia Armii (tzw. *Ziemgor*). Ziemstwa i samorządy miejskie łączyły się tu w pracy nad zaopatrzeniem armii.

Powodzenie nie sprzyjało ani Blokowi Dumskiemu, ani Związkowi Ziemstw i Miast, ani komitetom. W dziedzinie gospodarczej działalność ich nie doprowadziła do znaczniejszego podniesienia produkcji i podniesienia stanu obronności państwa, w dziedzinie politycznej nie przybliżyła stronnictw do władzy. Burżuazja znajdowała się zresztą w położeniu niełatwym;

w dążeniu do władzy napotykała skuteczny opór dworu i rządu, skorumpowanego i nieudolnego, ale mającego jeszcze dość pewności siebie, aby lekceważyć przedstawicielstwo społeczne. Energię burżuazji osłabiały zresztą wzrastające w masach ludowych nastroje rewolucyjne; walka na dwa fronty nie była dla burżuazji rosyjskiej możliwa.

Nie zapytamy teraz, kto wówczas rządził Rosją, lecz kto w Rosji sprawował czy raczej usiłował sprawować władzę?

Szczyt maszyny państwowej zajmował cara-samowładca Wszechrosji, Mikołaj II Aleksandrowicz. Człowiek słaby, o inteligencji ograniczonej, odznaczał się cechą charakteru, którą mają często ludzie słabej woli i małej inteligencji - był uparty. Autorytet monarchii, autorytet cara, urok dworu carskiego szybko gasły i bladły w oczach narodu rosyjskiego. Nie rozumiał tego Mikołaj, oderwany od społeczeństwa, wiodący życie samotne w otoczeniu najbliższej rodziny - żony i pięciorga dzieci. Wojna szybko pozbawiła cara-samowładcę wszelkich pozostałości zwątląłego autorytetu. Silnym ciosem w powagę i popularność monarchy było objęcie naczelnego dowództwa 5 września 1915 r. w miejsce popularnego wielkiego księcia Mikołaja; w rozumieniu przeciętnego Rosjanina odpowiedzialność za klęski spadła teraz bezpośrednio na uświęconą osobę cara-samowładcy. Nienawiść i lekceważenie budziła caryca tym więcej, że wywierała na swego carskiego małżonka wpływ duży i zawsze szkodliwy. Aleksandra Fiodorowna, urodzona księżniczka Alix Viktoria von

Hessen und Rhein, po 10 latach dała mężowi upragnionego syna - następcę tronu Aleksego, ale przekazała synowi nieuleczalną wówczas, przenoszoną przez kobiety chorobę - hemofilię; lekkie skaleczenie mogło w każdej chwili wywołać śmiertelny krwotok. *Vox populi* oskarżał Aleksandrę Fiodorownę o działania podczas wojny na rzecz Niemiec, czasem nawet i o zdradę. Były to zarzuty niesłuszne. Z urodzenia, a przede wszystkim z wychowania była ta wnuczka królowej Wiktorii bardziej Angielką niż Niemką, uczuć narodowych niemieckich w sercu nie żywiła. Kanclerz Bülow zapytał raz Wilhelma II, co by powiedziała Aleksandra Fiodorowna, gdyby jej przypomniano publicznie, że jej ojciec był jednym z dowódców niemieckich w wojnie z Francją w 1870 r. Odpowiedź Wilhelma: „*Das würde Alix greulich sein - To byłoby dla Alix straszne*”.

Umysł Aleksandry Fiodorowny, jej charakter, całą jej osobowość podkopała choroba ciężka, nieuleczalna - histeria. Histeria kazała jej szukać ratunku dla ciężko chorego syna u magów—cudotwórców rozmaitego pokroju. Ostatnim, najgroźniejszym, najniebezpieczniejszym z nich był nieokrzesany, a sprytny muzyk ze wsi Pokrowskie w guberni tobolskiej Grigorij Rasputin. Alkoholik, wiodący życie rozwiązłe, miał znaczne własności hipnotyzerskie, był zarazem mistykiem czy też odgrywał zręcznie rolę mistyka o przeżyciach religijnych, „świętobliwego starca”. Nazwisko Rasputin pochodzi od wyrazu *rasputie* - rozdroże; wiązano je często z wyrazem *rasputnik* - rozpustnik. Rasputin swymi praktykami hipnotyzera i rzekomego cudotwórcy, mo-

gącego uzdrowić chorego carewicza Aleksego, zdobył nieograniczony wpływ na carycę, a przez nią i na cara. Decyzje Mikołaja II w ważnych kwestiach politycznych, zwłaszcza dotyczące nominacji wysokich dygnitarzy państwowych, zależały od muzyka ze wsi Pokrowskie guberni tobolskiej. Klika awanturników, którzy pozyskali względy „starca”, dorwała się do władzy i do żyły złota. Wywiad niemiecki zapuścił tu, o ile sądzić można, głębokie korzenie. Nietrudno ocenić, jak wpływało to na sromotny upadek autorytetu korony, na utratę popularności pary carskiej, jak to głęboko poniżało i ośmieszało Mikołaja jako człowieka.

Wywiad niemiecki w Rosji działał istotnie sprawnie, sięgał wyżyn i na pewno można mu przypisać różne niepowodzenia armii rosyjskiej. Stał przed sądem i otrzymał kilkuletni wyrok skazujący minister wojny generał Suchomlinow.

Rzecz prosta, że nie tylko szpiegostwo, o którym chodziły w społeczeństwie może i przesadne, wyolbrzymienie wieści, działało na rzecz Niemców; liczne nadużycia, niesumienność wielu „czynowników”, ich niedbalstwo, ich brak kompetencji osłabiały Rosję i jej armię.

Nieudolność władzy, poczynawszy od monarchy poprzez ministrów do niższych szczebli maszyny państwowej, była istotnie zdumiewająca, carat zmierzał szybko na skraj przepaści. W działaniach rządu nie widać było ani zrozumienia powagi sytuacji, ani myśli przewodniej w polityce. Liczne zmiany na stanowiskach ministerialnych nie często miały związek z woj-

ną, były raczej wynikiem intryg dworskich. Zmieniali się szefowie rządu, zmieniali się ministrowie, nie zmieniał się system daleki od narodu, nie zmieniała się polityka. Goremykin, Stiirmer, Trepów, Golicyn wszystko to biurokraci, skostniali w rutynie, bez polotu, bez koncepcji, bez autorytetu. Rozbrajający był stary Iwan Goremykin. Ów szef rządu cara–samowładcy w trudnej dla państwa sytuacji krzepił się nadzieją, iż jest tak stary, że nie dożyje już rewolucji. Dożył.

Względem Dumy rząd pozostawał wrogi i nieufny, współpracę z nią uważał - wbrew temu, co się działo nie tylko w Paryżu i Londynie, ale nawet i w Berlinie - nie za wzmocnienie, lecz za osłabienie swego autorytetu i swego stanowiska.

1 listopada 1916 r. Milukow rzucił w Dumie pod adresem rządu: „głupota czy zdrada?”. Można się było nad tym zastanawiać.

A tymczasem coraz bardziej szerzył się w Rosji pogląd, że „szalona Niemka” - caryca i Rasputin pchają kraj do zguby. Wiedziano, że rośnie wpływ Rasputina na kwestie wielkiej polityki, a nawet na prowadzenie działań wojennych, że niekiedy doradza on działania ofensywne, niekiedy defensywne, a wskazania te czy rady uzasadnia swymi snami lub „widzeniami nocnymi”. Słusznie zapytywał Wiktor Czernow: „Kto wie, w jakim szynku miał Rasputin te widzenia?”. Dojrzało więc postanowienie, że należy zgładzić głównego sprawcę zła - Rasputina. Zamiar ten wykonano w nocy z 29 na 30 grudnia 1916 r. w pałacu księcia Jusupowa. Sprawcami byli wielki książę Dymitr Pawłowicz, ksią-

żę Felix Jusupow i przywódca „czarnych sotni” i prawicowy (*prawieje nas tolko stiena* - na prawo od nas tylko ściana) poseł do Dumy Władimir Puryszkiewicz.

Nie było widać skutków śmierci Rasputina. Zastąpienie Aleksandra Trepowa na stanowisku prezesa ministrów przez księcia Nikołaja Golicyna nie miało znaczenia. W społeczeństwie rosła nienawiść do cara, podnosiły się nastroje rewolucyjne. Przybyła z Moskwy do Piotrogradu dama z arystokracji opowiadała ambasadorowi Paléologue'owi: „Wszędzie krzyk oburzenia. Gdyby car pokazał się na Placu Czerwonym, powitałyby go wrogie okrzyki, carycę by rozszarpano”.

Nastroje szerokich kół ludności niewątpliwie trafnie odmalowane. Fala rewolucyjna wznosiła się coraz wyżej. Rząd albo nic nie czynił, aby przeciwdziałać nadciągającej rewolucji, albo też działał tak, jakby chciał rewolucję zaognić, a wybuch jej przyspieszyć. Być może, iż takie zamysły żywił minister spraw wewnętrznych Aleksandr Protopopow. Wywołać rozruchy wygłodzonej ludności, stłumić je brutalnie i szybko, oto droga do zapewnienia spokoju w państwie carsamowładcy. Jeśli takie były istotnie plany Protopopowa, pomylił się sromotnie chory psychicznie obrońca samowładztwa. Jeszcze w lutym 1917 r. zapewniał, że jeśli rewolucja wybuchnie kiedy w Rosji, to nie wcześniej niż za 50 lat.

Z końcem 1916 r. sytuacja była już silnie napięta. Ludność trapiła już nie bieda, nie nędza, lecz po prostu głód. Obliczano, że jeśli nawet zarobki wzrosły od początku wojny o 100%, to ceny artykułów podstawo-



wych podniosły się o 300% 'z górą, a wysokie ceny to nie była jedyna bolączka - nękał ludność brak rzeczy najpotrzebniejszych, niedostatek chleba, opału, do rozpaczy doprowadzały nie kończące się kolejki przed magazynami.

Wydawało się, że z trzech stron zagrażało carowi niebezpieczeństwo. Do walki, co prawda tylko słownej i tylko na terenie salonów, wystąpili różni wielcy książęta i różni arystokraci. Czuli się zagrożeni i myśleli o usunięciu skompromitowanego Mikołaja i znieprawionej Aleksandry Fiodorowny, zamyślali o regencji księcia Mikołaja Mikołajewicza albo wprost o carze Mikołaju III czy Dymitrze I. Kończyło się na pogawędkach salonowych. Wątpliwa to sprawa, czy wówczas kto w „sferach”, na dworze miałby odwagę sięgnąć po laury morderców Pawła I.

O czynach, o działaniu myśleli również przywódcy stronnictw w Dumie. Ci znowu chcieli wypłynąć na fali rewolucyjnej, chcieli posłużyć się robotnikami, aby obalić rząd carski, utworzyć rząd własny dumski, pierwszy w Rosji rząd parlamentarny, objąć teki ministerialne i ... właśnie, i co dalej? Czy rozumieli grozę sytuacji, w jaką Rosję wpędził carat? Czy widzieli drogi wyjścia z rozpaczliwego położenia?

Na te pytania dać chyba wypadnie odpowiedź przeczącą, zwłaszcza gdy wspomnimy późniejszą działalność ministerialną Milukowów, Tereszczenków, Lwowów i Guczukowów. Siłą był tylko robotnik rosyjski, robotnik rosyjski wywołał rewolucję, robotnik rosyjski obalił carat.

Walną pomoc nieśli robotnikom chłopci. Nie chcieli oni czekać na realizację zapowiadzianej reformy rolnej, gotowali się do dzielenia wielkiej własności ziemskiej. Znalazło to żywy oddźwięk w szeregach żołnierskich. Olbrzymia większość żołnierzy to synowie chłopscy: w chwilach decydujących chcieli być u siebie na wsi, chcieli brać udział w podziale ziemi, pragnęli więc skończyć wojnę z nieprzyjacielem zewnętrznym, której celu nie rozumieli. Domagały się tego Rady Delegatów Żołnierskich. Jak to wpływało na dyscyplinę w armii i jej gotowość bojową, nie trzeba wyjaśniać.

Wielką rolę odegrały podbite przez carat narodowości obce, nierosyjskie. Do akcji przystąpili zgromadzeni w Rosji Polacy. W dniach 8–22 czerwca 1917 r. odbył się w Piotrogradzie Zjazd Delegatów Wojskowych Polskich pod prezesurą chorążego artylerii Władysława Raczkiewicza. Tworzyły się polskie formacje wojskowe. W dniach 3–9 sierpnia obradował w Moskwie zjazd przedstawicieli organizacji polskich i utworzył Radę Polską Zjednoczenia Międzypartyjnego pod prezesurą Stanisława Wojciechowskiego. Wcześniej jeszcze, 17 marca 1917 r., zawiązała się w Kijowie Ukraińska Rada Centralna. 20 marca powstał Tatarski Komitet Muzułmański, 22 marca Zakaukaski Komitet Centralny. Nie można też nie wspomnieć o roli agentur niemieckich, prowadzących rozległą a zręczną propagandę w wojsku i wśród ludności cywilnej. Kierował tą akcją A. Helphant–Parvus.

W ciągu stycznia i lutego 1917 r. strajkowało w Rosji ponad 700 tys. robotników. Represje policyjne

to w rozumieniu rządu carskiego jedyny środek utrzymania statusu quo. 3 marca wybuchł groźny strajk w wielkiej fabryce zbrojeniowej Putiłowa w Piotrogródzie. Władze zarządziły usunięcie z pracy ponad tysiąc robotników. Robotnicy piotrogrodzcy odpowiedzieli strajkiem, który ogarnął wiele fabryk. Sytuację zaostrzał katastrofalny brak chleba i opału. 8 marca Piotrogród był widownią olbrzymich demonstracji przeciwko wojnie, przeciwko głodowi i przeciwko caratowi; dzień ten uważa się za pierwszy dzień rewolucji. 9 marca strajki i demonstracje robotnicze przybrały na sile. 10 marca było to już powstanie; w czołowej kolumnie marszerowali bolszewicy. Policja okazała się bezsilna. Wojsko odmówiło wystąpienia przeciwko ludowi. Strajk powszechny ogarnął już 400 tys. robotników. 12 marca powstańcy zdobyli arsenał. Większość garnizonu piotrogrodzkiego przeszła na stronę rewolucji. Tegoż dnia, 12 marca w Pałacu Taurydzkim, niegdyś rezydencji Grigorija Potiomkina, zebrała się Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, wybranych w fabrykach i jednostkach wojskowych. Początkowo przewagę w Radzie mieli socjaliści–rewolucjoniści zwani eserowcami i mienszewicy.

Prawie równocześnie z powstaniem władzy ludowej ukonstytuował się drugi organ, mianowicie organ władzy burżuazyjnej. Zwołanie Dumy odroczone wprawdzie do kwietnia, ale posłowie zebrali się prywatnie i w nocy z 12 na 13 marca wybrali Tymczasowy Komitet Dumy Państwowej. Weszli doń przedstawiciele tzw. Dumskiego Bloku Postępowego oraz dwaj

członkowie lewicy - przewodniczący Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich mienszewik Nikołaj Czcheidze oraz jego zastępca Aleksandr Kiereński. Przewodniczącym Komitetu Dumy został prezes Dumy Michaił Rodzianko.

14 marca w wyniku porozumienia pomiędzy Tymczasowym Komitetem Dumy Państwowej oraz Radą Delegatów Robotniczych i Żołnierskich utworzono Rząd Tymczasowy. Na czele stanął kadet, jeden z głównych działaczy Związku Ziemstw i Miast, książę Giorgij Lwów, ministerstwo spraw zagranicznych objął kadet profesor Paweł Milukow, ministerstwo wojny i marynarki - październikowiec Aleksandr Guczkow, Prezes Komitetu Wojskowo-Przemysłowego, sprawiedliwości adwokat Aleksandr Kiereński, wiceprzewodniczący Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich i jedyny jej przedstawiciel w rządzie.

W przeddzień tych historycznych wydarzeń carsamowładca wyjechał z Carskiego Sioła do Kwatery Głównej w Mohylewie, uważał się przecież za naczelnego wodza. Gdy nadeszły do Mohylewa wiadomości o wypadkach w stolicy, Mikołaj rozkazał telegraficznie komendantowi okręgu wojskowego piotrogrodzkiego generałowi Siergiejowi Chabałowowi położenie kresu nieporządkom. Rozkaz pozostał oczywiście na drucie telegraficznym, gdyż Chabałow nie miał najmniejszej możliwości jego wykonania. Żołnierze garnizonu stołecznego odmówili posłuszeństwa, wielu przyłączyło się do demonstrantów. Car próbował jeszcze innej drogi, generał Nikołaj Iwanów otrzymał rozkaz sprowa-

dzenia z frontu oddziałów zdyscyplinowanych i „przywrócenia porządku” w Piotrogradzie. Rozkaz wkrótce odwołano.

Urzędujący jeszcze prezes ministrów ksiązę Nikołaj Golicyn zgłosił dymisję i radził carowi powołanie gabinetu parlamentarnego, odpowiedzialnego przed Dumą. Być może, iż jakiś czas wcześniej taki krok mógł mieć pewne znaczenie, teraz było to nieodwołalnie spóźnione. Ale nie rozumiał tego oderwany od życia Mikołaj II i sądził, że zdoła opanować sytuację, postanowił więc powrócić do Carskiego Sioła. Zamiar spełził wszakże na niczym; nikt nie chciał monarchy w stolicy, pociąg dworski krążył po różnych liniach, aby wreszcie 14 marca wieczorem zatrzymać się w Pskowie. Tu w Pskowie w wagonie salonowym pociągu dworskiego 15 marca, a ściślej o godz. 2 w nocy z 15 na 16 marca 1917 r. Mikołaj II, Mikołaj Ostatni podpisał trzy dokumenty: 1) powierzenie księciu Gieorgijowi Lwowowi misji utworzenia nowego rządu, 2) nominację wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza na naczelnego wodza i 3) abdykację na rzecz brata, wielkiego księcia Michała. Mikołaj nie chciał brzemieniem korony obarczać chorego i słabego syna.

Nominacje wielkiego księcia Mikołaja i księcia Lwowa miały zapewnić ciągłość władzy. Była to już fikcja.

W godzinę po podpisaniu aktu abdykacji pociąg dworski uwiózł byłego monarchę z Pskowa do Mohylewa. Dalsze losy Mikołaja II w słabym stopniu należą do historii. Rząd Tymczasowy pozwolił mu na powrót

do Carskiego Sioła do żony i do dzieci. 20 marca wszakże rząd postanowił pozbawić Mikołaja Aleksandrowicza i Aleksandrę Fiodorownę wolności. Powiadomił o tym byłego cara generał Aleksiejew; oświadczył mu, że powinien uważać się za „jak gdyby” aresztowanego, Mikołaj pobladł i odwrócił się od Aleksiejewa. 22 marca był już w Carskim Siole, gdzie oczekiwała go Aleksandra, którą już powiadomiono o aresztowaniu. Człowiek, który podpisał tyle wyroków śmierci, wyroków zesłania na Sybir, sam był teraz więźniem; położenie jego i jego rodziny początkowo dość znośne, pogarszało się z biegiem czasu. Latem 1918 r. rodzinę carską więziono w Jekaterynburgu (obecnie Swierdłowski). Na wiadomość o zbliżaniu się do miasta wojsk kontrrewolucyjnych miejscowa Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich nakazała egzekucję byłego cara wraz z rodziną w dniu 18 lipca 1918 r. w obawie, aby nie dostał się w ręce wrogów rewolucji, co mogłoby wywołać niepożądane komplikacje.

Utrzymanie monarchii było już niemożliwością. Wielki książę Michał nie miał możliwości przeciwstawienia się rewolucji, nawet gdyby miał rozum, siłę woli i odwagę, a tego mu brakowało. Bez oporu podpisał 16 marca 1917 r. akt zrzeczenia się korony. Zręczny prawnik Władimir Nabokow zredagował akt w taki sposób, aby nie zamknąć drogi do ewentualnej restauracji monarchii, Michał oświadczał mianowicie, że koronę mógłby przyjąć wtedy tylko, gdyby mu ją ofiarowała Konstytuanta. Wielki książę Mikołaj Mikołajewicz nie przyjął naczelnego dowództwa. Objął je Aleksiejew.

16 marca 1917 r. Rosja była już republiką, republiką na razie burżuazyjną, ale na jak długo?

Wybitny znawca dziejów Rosji Ludwik Bazyłow napisał cenną pracę, aby odpowiedzieć na pytanie, czy rok 1917 przyniósł upadek caratu, czy obalenie caratu. Na pytanie tak odpowiedział: „... system ten trzeba było obalić, i to w procesie skomplikowanym i niełatwym. Mógł on być jeszcze trudniejszy, mógł spowodować tragedię, wtrącić Rosję w otchłań wojny domowej, do czego wtedy nie doszło. Doszłoby jednak, gdyby nie zawiodły siły, na które car miał prawo liczyć. A jeśli na nie liczył, to tym bardziej nie o upadku może być mowa”.

W całym świecie rewolucję rosyjską powitano życzliwie. We wszystkich kulturalnych środowiskach całego świata obalenie caratu wzbudziło szczerą radość. Ale wszędzie, zwłaszcza w państwach walczących, zadawano pytanie, jaki będzie wpływ zmian zachodzących w Rosji na bieg wojny? Na pytanie to odpowiedziała już najbliższa przyszłość.

## **68. Wojna podmorska**

Wojna podmorska, taka jaką prowadziły Niemcy w latach 1915 i 1916, miała charakter szczególny, półowiczny. Grać na nerwach angielskich, onieśmielić kraje neutralne, a równocześnie nie dopuścić do konfliktu ze Stanami Zjednoczonymi.

Konflikt taki brali Niemcy pod uwagę; admiralicja wszakże stała na stanowisku, że łodzie podwodne w ciągu kilku miesięcy tak bardzo osłabią Wielką Bry-

tanie, że nie będzie ona w stanie prowadzić wojny na kontynencie z taką siłą jak dotychczas, a wywrze to wpływ doniosły na Francję i na Rosję. Uważano, że Stany Zjednoczone, jeśli nawet wystąpią zbrojnie przeciwko Niemcom, co nie jest pewne, nie zdołają wpłynąć na losy wojny w Europie. Żądaniom wzmocnienia i zaostrzenia akcji łodzi podwodnych przeciwstawił się cesarz prawdopodobnie pod wpływem generalnego dyrektora linii Hamburg–Ameryka Alberta Ballina. Ballin wywodził, że do portów brytyjskich przy pływa codziennie co najmniej 200 parowców i tyle samo odpływa. Jeśli łodzie podwodne zatopią 30 czy nawet 40 statków, Niemcy „zadrasną skórę” Anglikom, ale nie zmuszą ich do zawarcia pokoju. 15 marca 1916 r. admirał Tirpitz otrzymał dymisję ze stanowiska sekretarza stanu w Urzędzie Marynarki Rzeszy, które to stanowisko zajmował od roku 1897.

Wydawało się, że zaniechano szaleńczego planu totalnej wojny podmorskiej. Ale stało się inaczej.

Znaczna część społeczeństwa niemieckiego uległa propagandzie Urzędu Marynarki i była głęboko przekonana, że łodzie podwodne byle tylko zaczęły działać szybko i bezwzględnie w niedługim czasie zapewnią zwycięstwo i pokój. Głosu opinii publicznej nie można było „zmusić do milczenia” - skarżył się kanclerz Bethmann Hollweg. Opinia publiczna parła do nieograniczonej wojny podmorskiej.

29 sierpnia 1916 r. w miejsce dymisjonowanego Falkenhayna dowództwo naczelne objęli Hindenburg wraz z Ludendorffem. „Nieograniczona wojna łodziami



podwodnymi - pisał generał Ludendorff - była ostatnim sposobem zwycięskiego zakończenia wojny w dającej się przewidzieć przyszłości. Jeśli wojna podmorska mogła przynieść rozstrzygnięcie - a liczyła na to marynarka - jej zastosowanie było w naszej sytuacji wojennej obowiązkiem względem narodu niemieckiego”.

6 października 1916 r. na zapytanie Hindenburga kanclerz w taki sposób sformułował swój pogląd na kwestię odpowiedzialności za wszczęcie wojny podmorskiej: decyzja należy do „najwyższego pana wojny”, do cesarza, ponieważ jednak rozpoczęcie akcji łodzi podwodnych musi wywrzeć wpływ na stanowisko państw neutralnych, sprawa wchodzi więc w dziedzinę polityki zagranicznej i dlatego całkowitą odpowiedzialność konstytucyjną ponosi za nią kanclerz Rzeszy. „Było to stanowisko bezsporne” - stwierdził Ludendorff. Jesienią 1916 r. rząd Rzeszy nie brał pod uwagę wystąpienia zbrojnego ani państw skandynawskich, ani Holandii, ani tym mniej Hiszpanii, liczył się natomiast poważnie z wystąpieniem Stanów Zjednoczonych. Ostrzegał przed taką możliwością ambasador niemiecki w Waszyngtonie hr. Johann Heinrich von Bernstorff.

22 grudnia 1916 r. szef sztabu admiralicji admirał Henning von Holtzendorff przesłał Hindenburgowi memoriał o potrzebie rozpoczęcia już w najbliższej przyszłości nieograniczonej wojny łodziami podwodnymi. Holtzendorff dowodził: „Wojna musi się skończyć przed jesienią 1917 r., w przeciwnym razie nastąpi ogólne wyczerpanie i wynik jej będzie niepomyślny. W obozie nieprzyjacielskim, we Włoszech i we Francji,

życie gospodarcze uległo takiemu wstrząsowi, że wszystko trzyma się tam tylko dzięki energii angielskiej. Jeśli uda się nam złamać Anglii kręgosłup, wojnę zakończymy szczęśliwie. Kręgosłupem Anglii jest okręt, który Wyspom Brytyjskim przywozi żywność i surowce i zapewnia im zdolność płatniczą wobec zagranicy”. Admirał obliczał, że posiadane przez Niemcy 154 łodzie podwodne, z których sto może być stale w akcji na morzu, mogą miesięcznie zatopić 600 tys. ton. Ponadto przypuszczał, że energiczne działania niemieckie odstraszą co najmniej 2/5 okrętów krajów neutralnych obsługujących Anglię. W rezultacie brytyjski transport morski w ciągu pięciu miesięcy ulegnie zmniejszeniu o 39%, a tego Wielka Brytania nie będzie w stanie wytrzymać. Pozostanie wówczas bez surowców i bez żywności, zwłaszcza że okres krytyczny przypadnie na przednówek po wyczerpaniu zapasów przeszłorocznych. Zdaniem Holtzendorffa wojna podwodna musi się rozpocząć najpóźniej 1 lutego 1917 r., aby jeszcze przed nowymi zbiorami można było osiągnąć spodziewane wyniki. W Anglii zapanuje głód i bezrobocie, a wówczas ten najgroźniejszy przeciwnik Niemiec zmuszony będzie prosić o pokój. Eksperci niemieckiej marynarki wojennej gwarantowali, że obliczenia te są najzupełniej realne.

Taki był punkt widzenia wojskowych. A politycy?

W październiku 1916 r. przywódca Centrum Erzberger prosił sekretarza stanu spraw zagranicznych Jagowa o wyjaśnienie politycznej strony wojny podmorskiej - on, Erzberger, gotów się zgodzić ze sztabem

admiralicji, że łodzie podwodne zmuszą Wielką Brytanię do zawarcia pokoju przed jesienią 1917 r., ale jest rzeczą pewną, że w wyniku akcji łodzi Stany Zjednoczone wypowiedzą Niemcom wojnę; jaka będzie droga do zawarcia pokoju ze Stanami Zjednoczonymi? Jagow odparł krótko, że drogi takiej nie ma i wobec tego wojny podmorskiej wszczynać nie wolno.

Ludendorff po powrocie z inspekcji frontu zachodniego umocnił się w przekonaniu, że bez podjęcia „bezwzględnej (*rücksichtslos*) wojny łodziami podwodnymi” Niemcy wojnę przegrają. Nie zrobiły na nim wrażenia rady nowego sekretarza stanu w Urzędzie Spraw Zagranicznych Arthura Zimmermanna, że trzeba „zachować krew spokojną i głowę chłodną”. W żyłach pierwszego kwatermistrza nie krążyła „krew spokojna”, głowa zwycięzcy spod Tannenbergu i znad Jezior Mazurskich nie była „chłodna”; Ludendorff domagał się stanowczo szybkiego wysłania łodzi podwodnych do akcji.

26 grudnia 1916 r. Hindenburg wystosował do Bethmanna Hollwega ostry telegram, że położenie militarne Niemiec nie pozwala, aby nadal odwlekać kroki uznane już za słuszne i „osłabiać” energię dowództwa. Ponad odpowiedzialność polityczną kanclerza, której nie negował, feldmarszałek postawił odpowiedzialność własną, odpowiedzialność naczelnego wodza. Skutki miał dojrzeć pół roku później.

9 stycznia 1917 r. na zamku w Pszczyńcu obradowała Rada Koronna. U stołu obrad zasiedli pod przewodnictwem cesarza wielcy dygnitarze stojący u steru

ządu Rzeszy. Są „półbogowie” Hindenburg i Ludendorff, są admirałowie Holtzendorff, Capelle, Müller, Scheer, jest wezwany z Berlina kanclerz, chory i zgnębiony, Bethmann Hollweg.

Sprawa była już z góry przesądzona. Naczelne Dowództwo i Admiralicja były bezwzględnie zdecydowane przeprowadzić swój punkt widzenia. Wodzowie mogli liczyć na poparcie uprzednio już pozyskanego cesarza. Plan wojny podmorskiej zreferował Holtzendorff, wniosek o pomyślnym jej wyniku wyciągnął ze szczególnych danych statystycznych, które zestawili eksperci, uchodzący za „autorytety w dziedzinie gospodarki”. Hindenburg stwierdził, że okoliczności sprzyjają wojnie podmorskiej jak nigdy dotąd, zatroszczył się też o żołnierza w okopach, który czeka na akcję łodzi podwodnych. Zawtórował mu Ludendorff, że sytuację wojsk niemieckich na froncie zachodnim ułatwi zmniejszony dowóz amunicji dla przeciwnika. „Musimy żołnierzowi oszczędzić drugiej bitwy nad Sommą”. W ówczesnych warunkach nie do odparcia była ultymatywna zapowiedź „półbogów”, że nie wezmą na siebie odpowiedzialności za dalszy bieg operacji wojennych, jeśli łodzie nie rozpoczną akcji 1 lutego 1917 r.

Zrezygnowany kanclerz oświadczył: „... Jeśli władze wojskowe uważają wojnę łodziami podwodnymi za niezbędną, nie jestem w stanie się temu przeciwstawić”. Nie była to więc zgoda na żądania generałów i admirałów, lecz rezygnacja. Zapewne wobec postawy przeważającej części społeczeństwa niemieckiego, które w osobach Ludendorffa i Hindenburga upatrywało

gwarancję zwycięstwa, trudno było walczyć z bezwzględnymi satrapami. Obiekcje kanclerza, że Stany Zjednoczone wypowiedzą Niemcom wojnę, że zwiększą pomoc finansową i gospodarczą dla Koalicji, że przyślą do Europy samoloty i ochotników, zbył Hindenburg krótkim a wymownym: „Z tym damy sobie radę”. Admirał von Holtzendorff uniósł się wówczas do tego stopnia i tak dalece stracił głowę, że wybuchnął: „Ręczę słowem honoru oficera marynarki, że ani jeden Amerykanin nie wyląduje w Europie”. Bethmann Hollweg był człowiekiem zbyt poważnym, aby w odpowiedzi zaręczyć kanclerskim słowem honoru, że będzie wręcz przeciwnie.

Gdy kanclerz, przygnębiony i zdenerwowany, wyszedł z posiedzenia, zbliżył się do niego marszałek dworu baron Hugo von Reischach i widząc twarz Bethmanna zapytał przerażony, czy Niemcy przegrali wielką bitwę. „Nie - odparł kanclerz - ale *finis Germaniae*. (...) Łodzie podwodne wprowadzą Amerykę do wojny. Tego nie przeniesiemy. Technika poczyniła w tej wojnie tak wielkie postępy, że zostaną wynalezione środki przeciwdziałające (łodziom podwodnym). Amerykanie przyjdą; nie mogę tego dowieść, ale jest to moje przekonanie”.

Rezultat posiedzenia Rady Koronnej - nieograniczona wojna łodziami od 1 lutego roku 1917.

Jeszcze tego samego dnia, 9 stycznia 1917 r., wyszedł rozkaz cesarski, rozkaz „najwyższego pana wojny”, o takim brzmieniu: „Rozkazuję z dniem 1 lutego

rozpocząć z całą energią nieograniczoną wojnę podmorską”.

31 stycznia 1917 r. dyplomaci niemieccy akredytowani w stolicach państw neutralnych złożyli deklarację zapowiadającą, że nazajutrz, dnia 1 lutego rozpocznie się nieograniczona wojna podmorska i niemieckie łodzie podwodne zatapiać będą wszystkie statki na wodach okalających Wyspy Brytyjskie, Francję i Włochy. Dowódcy łodzi otrzymali rozkaz działania z całą bezwzględnością i atakowania przede wszystkim statków handlowych. Oznaczało to, że zatapiane będą wszystkie statki, także państw neutralnych, bez uprzedzenia i bez troski o ratowanie ludzi. „Teraz *vogue la galère!* Nasz cały naród, ba! cały świat patrzy na naszych dzielnych marynarzy łodzi podwodnych”. Tak pisał admirał Tirpitz 31 stycznia 1917 r.

Admirałowie i generałowie nie rozumieli, że z wielkiej kwestii politycznej zrobili sprawę techniczną.

Zapał w Niemczech był niewątpliwie duży, widziano już bliski koniec wojny i zwycięstwo. Cesarz otrzymał wiele telegramów, co go dziwiło i nastrajało nieufnie, gdyż tego rodzaju manifestacji dotąd podczas wojny nie było. Dziwiło zwłaszcza Wilhelma, że telegrafowały do niego giełdy, a zabrakło telegramów przedstawicieli ciężkiego przemysłu Nadrenii.

Nasuwa się tu pytanie, dlaczego w tej sytuacji nie nastąpiło przesilenie na stanowisku kanclerza Rzeszy?

Podjęte w Pszczynie decyzje miały zaważyć ciężko na losach wojny. Bethmann Hollweg był im przeciwny, a był za nie politycznie odpowiedzialny.

Dymisji kanclerza domagał się już wówczas Ludendorff. Udzieliłby mu jej chętnie cesarz, gdyż poważny, rozumny Bethmann Hollweg nieopanowanemu, kapryśnemu Wilhelmowi od dawna grał na nerwach. Wilhelm dał sobie jednak wytłumaczyć, że ustąpienie w danym momencie kanclerza byłoby dla świata dowodem, że wśród władców Niemiec istnieją różnice zdań w kwestii wojny podmorskiej. Zastrzeżenia przeciwko łodziom podnosili sprzymierzeńcy Rzeszy, zwłaszcza wypowiedziano się przeciwko łodziom w Wiedniu. Dymisja Bethmanna umocniłaby sprzeciwy Wiednia, Sofii i Konstantynopola. A potrzebna była jedność Czwórprzymierza. Co do Bethmanna - zdecydował się on pozostać na stanowisku w błędnie chyba pojmowanym poczuciu obowiązku; nie chciał niczym utrudniać prowadzenia wojny.

## **69. Łodzie podwodne w akcji**

31 stycznia 1917 r. przed Komisją Główną parlamentu Rzeszy stanął kanclerz Theobald von Bethmann Hollweg i złożył deklarację wielkiej wagi: Niemcy rozpoczynają bezwzględną walkę łodziami podwodnymi. Kanclerz przypomniał dawniejsze swe oświadczenie z marca 1916 r., że „każdy sposób, który może skrócić wojnę, jest najbardziej humanitarny”. Dotąd był wojnie podmorskiej przeciwny, teraz wszakże zmieniła się sytuacja, gdyż zwiększyła się liczba łodzi podwodnych,

co więcej nieurodzaj przysparza Anglii, Francji i Włochom znacznych trudności, a akcja łodzi sprawi, że trudności te będą nie do przewyciężenia, łodzie zaostrzą również braki w zaopatrzeniu w węgiel i utrudnią dowóz rudy do angielskich fabryk broni.

Tego samego dnia, 31 stycznia, rząd Rzeszy podał do wiadomości rządów państw neutralnych, że dnia następnego, 1 lutego, Niemcy rozpoczynają nieograniczoną wojnę łodziami podwodnymi. Zwraca uwagę terminologia: nie ma już mowy o terenach wojny *Kriegsgebiete*, lecz o terenach blokady *Sperrgebiete*. Tereny blokady obejmowały wody okalające Wyspy Brytyjskie, Francję oraz Morze Śródziemne. Później, 28 marca, objęto blokadą Morze Barentsa, aby utrudnić czy uniemożliwić tą drogą dostawy do Rosji.

Wojnę podmorską rozpoczęli Niemcy mając do dyspozycji 105 łodzi; w czerwcu 1917 r. było ich już 129. W latach wojny wprowadzono liczne udoskonalenia w budowie łodzi, w ich szybkości, w ich uzbrojeniu. Wielkie łodzie mogły wyrzucić torpedy i zakładać miny. Jesienią 1917 r. spuszczone na wodę tzw. krążowniki podwodne. Krążownik podwodny „U-Deutschland” dopłynął dwa razy aż do brzegów Ameryki Północnej.

Akcja łodzi podwodnych zaskoczyła w pierwszym okresie Koalicję, stąd początkowo duże straty. Admiralicja niemiecka zaplanowała zatopienie 600 tys. ton miesięcznie. Liczbę tę przekroczone w kwietniu (841.118) i w czerwcu (669.218), w pozostałych miesiącach planu nie wykonano.



Największe niebezpieczeństwo zawisło nad Wielką Brytanią w kwietniu 1917 r. Obliczano wówczas, że parowiec płynący do tego kraju dopłynie do portu jedynie w trzech przypadkach na cztery. Anglicy patrzyli z niepokojem, jak topnieje ich wielka flota handlowa, ta flota, która Wyspy Brytyjskie zaopatruje w zboże z Kanady i Australii, w mięso z Argentyny, w rudę ze Szwecji. Z niepokojem spoglądali również na neutralnych, czy pomimo zwiększonych opłat nie cofną się przed ryzykiem podróży do portów brytyjskich.

Admirał John Rushworth Jellicoe ostrzegł brytyjski Gabinet Wojenny, że sytuacja jest bardzo poważna, dowodził, że Niemcy wodują trzy łodzie na tydzień, Anglicy zaś zatapiają trzy łodzie na miesiąc. Czyżby miały się spełnić przechwałki, butne obliczenia admirała von Holtendorffa i wygłodzona Anglia miała prosić o pokój?

Walka z łodziami podwodnymi przyniosła początkowo rezultaty skromne. Admiralicja brytyjska rzuciła do boju torpedowce i kontrtorpedowce, urządziły one istne obławy na łodzie, aby je wytropić i zatopić. Rezultaty były na razie ł nikłe; łódź mogła zawsze dojrzeć w czas nieprzyjaciela i skryć się w głębiach' morskich. Wątpliwe wyniki przynosiło również wyznaczanie statkom transportowym oddzielnych „dróg”, szlaków morskich, które byłyby strzeżone przez flotę wojenną. Niemcy szybko orientowali się w ich kierunkach i znali skutkiem tego miejsca, w których można było atakować transporty płynące ku Wyspom Brytyjskim.

Ale po pewnym czasie sytuacja się zmieniła. Prze-  
de wszystkim wyczerpywały się siły niemieckie. Łódź  
podwodna” po pewnym okresie pływania wymagała  
gruntownego remontu, jej załoga pełnego wypoczynku.  
Gdy w kwietniu 1917 r. były w akcji 102 łodzie, w ma-  
ju liczba ich spadła do 84. Nie mniejsze znaczenie miał  
fakt, że słabły siły Niemiec, a wzrastał opór Koali-  
cji. Na Morzu Północnym na przestrzeni około 400 km  
stała olbrzymia przegroda ze 100 tys. min. Patrole  
morskie tropiące łodzie niemieckie liczyły ogółem 8  
tys. okrętów, wypadało więc 80 pościgowców na jedną  
łódź podwodną. Skuteczną ochroną okazały się konwo-  
je - okręty wojenne, które otaczały i ochraniały statki  
transportowe. Zastosowano ten środek defensywny na  
stanowcze żądanie władz cywilnych wbrew pierwot-  
nemu oporowi admiralicji. Eskadra atakowała łodzie,  
gdy tylko je dostrzegła czy wytropiła i zmuszała do  
ucieczki’ bądź zatapiała. Stosowano i inne jeszcze spo-  
soby walki. Były to okręty-pułapki, uzbrojone, ale da-  
jące pozór zwykłego statku handlowego, tzw. okręty  
„Q”. Okręty „Q” służyły jako wabik, jako przynęta  
dla łodzi podwodnych. Jeśli łódź go zaatakowała,  
większa część załogi wsiadała na łodzie ratunkowe  
i odpływała. Zgodnie z ustaloną praktyką łódź pod-  
wodna wyłaniała się wówczas na powierzchnię i do-  
stawiała się niespodzianie pod rażący ogień armatni.  
Tak zatopiono wiele łodzi. Były jeszcze i inne środki.  
Zakładano miny nowego typu, tzw. miny „H”, wypusz-  
czano bomby wodne o dużej sile, niemałe znaczenie  
miały sieci, łodzie nierzadko dawały się w nie zaplątać.

Latem 1917 r. poszły do boju przeciwko łodziom podwodnym samoloty, wodnopłatownice; miały one na pokładzie ciężkie bomby.

Przystąpienie Stanów Zjednoczonych do wojny wpłynęło pomyślnie na sytuację Wielkiej Brytanii także i w wojnie podmorskiej. Stany Zjednoczone nałożyły embargo na towary wywożone do państw neutralnych w Europie. Kraje skandynawskie, Holandia, Szwajcaria, Hiszpania mogły otrzymać towary amerykańskie wyłącznie za zgodą rządu w Waszyngtonie. W rokowaniach o taką zgodę Amerykanie żądali rekompensaty - armatorzy norwescy, szwedzcy, holenderscy musieli się zobowiązać do oddania swych statków na usługi Koalicji pomimo znacznego, płynącego stąd ryzyka.

Statki krajów neutralnych znowu wypłynęły ze swych portów i 5/6 floty handlowej całego świata stało na usługi Koalicji. Zniszczenie czy poważne uszkodzenie tonażu światowego wymagało lat, a na to Niemcom zabrakło sił i czasu.

Gdy Anglicy mogli wyrównywać swe straty, Niemcom przychodziło to znacznie trudniej. Dotkliwsze i trudniejsze do wyrównania były straty w potopionych ludziach niż w zatopionych okrętach.

Propaganda niemiecka szerzyła przesadne wiadomości o wielkich stratach zadanych przeciwnikom, wiadomości wyolbrzymiano, często bowiem statki uszkodzone ogłaszano za zatopione; wszystko to było potrzebne, aby pokrzepić, podnieść na duchu zmęczone wojną społeczeństwo, zmęczonego wojną żołnierza.

O przegraniu przez Niemcy wojny łodziami podwodnymi świadczy pomyślny przewóz armii amerykańskiej do Europy. Trwał on od czerwca 1917 r. do listopada 1918 r.; do Europy przyплыnęło przeszło 2 miliony żołnierza i pełne zaopatrzenie bojowe 42 dywizji.

Niemcy rzucając łodzie podwodne do akcji podjęli grę ryzykowną, zagrali *va banque* i przegrali. Nie tylko nie złamali Wielkiej Brytanii i nie zmusili jej do zawarcia pokoju, ale wywołali czy przyspieszyli wystąpienie Stanów Zjednoczonych.

Interesująca to sprawa zbadać, jak opinia publiczna, jak nieświadomi istoty rzeczy oceniali wypadki, które rozgrywały się na ich oczach.

8 maja 1917 r. francuski *attaché* wojskowy generał de la Panouse raportował o niezadowoleniu angielskiej opinii publicznej z sukcesów niemieckich w wojnie podmorskiej. „Publiczność - pisał generał - ma niejasne poczucie, że od początku floty brytyjskiej nie użyto tak jak można było użyć i, że postawa defensywna, jaką zajęto, jest w pewnym sensie nie do wytłumaczenia”. Niepokój budzą, pisał dalej generał, częste ataki kontrtorpedowców niemieckich na wybrzeża Anglii. Anglicy gotowi są zrozumieć, że odważni marynarze niemieccy mogą, korzystając ze sposobności nocą lub podczas mgły, przypuścić nagły atak na wybrzeża, wystrzelić kilka pocisków i szybko odpłynąć. Rzeczą mniej zrozumiałą wydaje się bezkarność takich napadów; okręty nieprzyjacielskie prawie zawsze zdołają umknąć przed pościgiem.

Niepokoje i rozdrażnienie publiczności angielskiej były zrozumiałe, ale ataki floty niemieckiej na miejscowości nadbrzeżne, podobnie jak naloty samolotów i zeppelinów na miasta południowo-wschodniej Anglii, a zwłaszcza na Londyn, wyrządzały wiele szkody ludności cywilnej, lecz nie załamały gospodarki brytyjskiej.

W Niemczech dość późno zorientowano się w błędnych rachubach admiralicji. Dopiero w lipcu 1917 r. Mathias Erzberger na posiedzeniu Komisji Głównej parlamentu wykazał błąd w obliczeniach rzeczoznawców admiralicji niemieckiej. Oto brali oni pod uwagę nie tonaż światowy, lecz tylko angielski. „Było to tak - opowiada późniejszy wicekanclerz Friedrich von Payer - jakby posłom zdjęto opaskę z oczu”.

19 lipca 1917 r. pisał Albert Ballin do Tirpitz, że wojnę podmorską toczą Niemcy nie przeciwko Wielkiej Brytanii, „lecz przeciwko całemu światu. Tonaż światowy wynosi około 40 mln ton, a w tych warunkach trzeba trzech lat, żeby tonaż ten tak wyniszczyć, aby móc „Anglię rzucić na kolana”. Wojna obecna, twierdził Ballin, jest to *Frachtraumkrieg* - wojna frachtowa.

## 70. Kampania włoska - Caporetto

Który z wielu frontów, gdzie toczą się walki, ma największe znaczenie? Na którym z tych frontów rozstrzygną się ostatecznie losy wojny? Takie pytania nasuwały się każdemu, kto obserwował współcześnie prowadzone boje, takie pytanie nasuwa się każdemu,

kto zajmuje się dziejami wojny. Rzecz prosta, że dla każdego rządu, dla każdego wodza najważniejszy jest front, gdzie biją się jego wojska. Rzeczywistość wszakże jest inna. Są tereny, gdzie działania wojenne mają znaczenie zasadnicze, są tereny, gdzie działania wojenne mają znaczenie poboczne. Zależnie od rozwoju wypadków mogą tu następować zmiany i przesunięcia.

W roku 1914 istniały dwa fronty główne: front zachodni we Francji i w Belgii, i front wschodni na ziemiach polskich oraz dwa fronty poboczne: serbski i turecki. Nie było wówczas dla wszystkich sprawą jasną, gdzie nastąpi rozstrzygnięcie, we Francji czy w Polsce.

W roku 1915 po Gorlicach front wschodni dużo stracił na znaczeniu; w drugiej połowie roku było sprawą oczywistą, że głównym terenem wojny jest Francja.

Tak samo rzecz wyglądała w 1916 r. Ofensywa Brusilowa nie przyspieszyła końca wojny i nie przeniosła środka ciężkości z Francji do Polski. Powstał natomiast, chociaż na krótko, front nowy, front rumuński. 504 W drugiej połowie 1917 r. nie było już w praktyce frontu rosyjskiego, me

było już również frontu ani rumuńskiego, ani serbskiego. Mamy teraz nadal front zachodni, francuski, gdzie po obu stronach walczy największa ilość żołnierzy, mamy front włoski, mamy wreszcie front bałkański dokoła Salonik i na koniec mamy front, jeśli w ogóle można go nazwać frontem, w Palestynie i w Syrii.

Otóż teraz właśnie wzrosło dość nieoczekiwanie znaczenie frontu włoskiego.

Wiemy już, że nadzieje żywione przez Francuzów w 1915 r., iż ofensywa włoska przeciwko Austro–Węgrom przyspieszy zwycięski koniec wojny, że schyłek roku 1915 przyniesie zwycięstwo, okazały się złudzeniem. W 1916 r. Joffre myślał już tylko o jednoczesnym uderzeniu na trzech frontach - francuskim, rosyjskim i włoskim. Z tym, że ofensywa rosyjska i włoska miały być jedynie pomocą dla ofensywy głównej, francusko–brytyjskiej. Nie dało się tego osiągnąć. A jednak po rozczarowaniach z wiosny i lata 1917 r. wydało się przez chwilę, że tu właśnie, na froncie włoskim, powstaną i rozwiną się elementy zwycięstwa.

A było to tak. Zimą 1916/17 w sztabie francuskim zaczęto brać pod uwagę możliwości wielkiego uderzenia niemieckiego przez Szwajcarię; powstałby wówczas jeden front od kanału La Manche do Morza Adriatyckiego; ofensywa niemiecka ruszyłaby na Besançon i na Lyon albo na Mediolan, albo też w obu tych kierunkach jednocześnie. Generał Foch opracował plan działań w razie agresji niemieckiej przez Szwajcarię, widział konieczność silnego wsparcia Włoch, gdyż potężne uderzenie austro–niemieckie na Włochy spowodowałoby zupełną ich klęskę i zawarcie pokoju odrębnego. W sztabie francuskim powtarzano: „Zajęcie Mediolanu to pokój odrębny”.

Generał Cadorna oceniał sytuację pesymistycznie, nie spodziewał się, aby armia włoska mogła odeprzeć wielką ofensywę niemiecko–austriacką i utrzymać się do chwili, gdy wystąpią skutki uderzenia francusko–brytyjskiego we Francji, przewidywał dla Włoch „gy-

tuację krytyczną”. Pesymizm Cadorny podzielali Anglik Robertson i Francuz Foch. Foch obawiał się, że niepowodzenia w rejonie Vicenzy i Padwy mogą doprowadzić do „generalnej katastrofy” armii włoskiej. Pod wpływem tych opinii Nivelle zmienił nieco dotychczasowy pogląd, że nie wolno osłabiać frontu francuskiego i zaproponował ministrowi wojny Painlevému taką formułę: „Jeżeli w wyniku ofensywy (austriackiej) w Trydencie zagrożona zostanie łączność armii włoskiej z krajem, rząd Republiki zobowiązuje się wesprzeć armię włoską, jeśli pozwoli na to sytuacja na froncie francusko–brytyjskim”. Dowództwo korpusu objąłby generał Foch.

5 kwietnia 1917 r. Foch wyjechał do Włoch, 8 kwietnia w Vicenzie konferował z Cadorna. Wódz włoski nie miał podstaw do zadowolenia z rozmowy z francuskim przybyszem, odebrał bowiem informację, że wojska francuskie przybędą wprawdzie do Włoch w ciągu trzech tygodni, ale w sile co najwyżej 10 dywizji, a więc nie 20, jak się domagał, i skoncentrują się w rejonie Vicenza–Padwa. Cadornie przyszłość rysowała się ponuro, nie krył pesymizmu i uprzedził Focha, że „w razie niepowodzenia kraj, w którym występują już symptomy znużenia, może zażądać zawarcia pokoju”. Ostatecznie rząd francuski nie mogąc uzgodnić z Anglikami kwestii posiłków dla Włoch zmniejszył zapowiedzianą pomoc do 4 dywizji.

Tymczasem ofensywa Nivelle’a zakończyła się klęską, przyszły bunty w armii francuskiej, zmieniła się sytuacja.



Jeszcze jedna rozmowa Focha z Cadorną 25 czerwca 1917 r. w Saint-Jean-de-Maurienne. Cadorna powtarzał wciąż, że armii włoskiej brak wielkiej ilości artylerii. Foch nie mógł mu obiecać przysłania armat francuskich, ale przekonywał go długo i wymownie, że Włosi powinni podjąć wielką ofensywę, że Austro-Węgry są bardzo osłabione, że lojalność nie pozwala wprawdzie monarchii habsburskiej na zawarcie pokoju odrębnego, ale monarchia pokój taki zawrze, jeśli zostanie do tego zmuszona. Z rozmowy z wodzem włoskim Foch odniósł wrażenie niekorzystne. Zreasumował je 28 czerwca mówiąc do generała Robertsona: „Nie sądzę, aby można było z pożytkiem użyć wojsk francuskich i brytyjskich we Włoszech”.

W kierownictwach państw Koalicji widziano i osłabienie monarchii habsburskiej, widziano też znaczne korzyści w jej pokonaniu. Klęska zadana Austro-Węgrom oznaczała przecięcie łączności z Turcją i z Bułgarią, oznaczała, że Bałkany i Bliski Wschód znajdą się w rękach państw zachodnich, oznaczała osamotnienie Niemiec. Brano te względy tym żywiej pod uwagę, że wtedy właśnie prowadzono poufne, dyskretne rozmowy z Austriakami na temat pokoju odrębnego i snuto plany działań na Bałkanach i Bliskim Wschodzie oraz podziału Turcji.

W interesujący sposób uderza w tych miesiącach dysproporcja pomiędzy siłą militarną a ambicjami politycznymi Włoch. I tu także uderza kunszt polityczny Włochów, owe słynne włoskie *combinazioni*, które pozwalały wiele żądać a mało dawać. W 1917 r. minister

spraw zagranicznych Włoch Sydney Sonnino prowadził z Londynem i Paryżem rozmowy na temat planowanych aneksji włoskich nad Morzem Adriatyckim i w Azji Mniejszej. Obiecywał wysłanie wojsk włoskich na Bałkany, do rejonu Salonik, przekonywał, zapewniał, łudził, czarował, był w swej grze tak śmiały, tak wymowny, że uległ mu chwilowo nawet i Lloyd George, który Włochów lekceważył i nie lubił.

Sir Rennell Rodd, ambasador brytyjski przy Kwirynale, wyrażał pogląd, że nawet w wypadku powodzenia ofensywy włoskiej nad Isonzo дума narodowa nie p'ozwoli Austriakom na jakiegokolwiek ustępstwa na rzecz znienawidzonego, lekceważonego przeciwnika; inna sprawa natomiast, gdyby w ofensywie wzięły udział wojska brytyjskie i francuskie, gdyby zwycięstwo było wspólnym zwycięstwem państw zachodnich, wówczas Austriacy zgodziliby się zapewne na ustępstwa terytorialne dla uzyskania pokoju.

W lipcu 1917 r. generał Cadorna tak ocenił sytuację - parcie rosyjskie na froncie wschodnim (tzw. ofensywa Kiereńskiego, która rozpoczęła się 1 lipca 1917 r.) i silne uderzenie włoskie doprowadzą do rozpadu armii austro-węgierskiej; wówczas dopiero możliwe będzie silne, skuteczne uderzenie na Niemcy, Cadorna nie wierzył, aby można było pokonać Niemcy jedynie atakami we Francji na froncie zachodnim. 24 lipca 1917 r. spotkali się generałowie Foch, Robertson i Cadorna. Cadorna prosił o wysłanie do Włoch 10 dywizji francuskich i angielskich i 400 ciężkich dział; twierdził, że pomoc ta pozwoli mu zadać ciężką klęskę Austrii. Żą-

daniom włoskim kategorycznie sprzeciwił się generał Robertson. Cadorna cofnął się od razu. „Nie mogę wyrazić zdania - pisał Lloyd George - czy był on (tj. Cadorna) dobrym żołnierzem w polu. Na konferencji porzucił swą pozycję przy pierwszym kontrataku”.

Ostatecznie wodzowie naradzający się w Paryżu postanowili, że należy zbadać sytuację i „ocenić następnie celowość i możliwość oddania do dyspozycji Włoch sił niezbędnych do osiągnięcia celu”.

Była to więc odmowa, uzasadniała ją nie tylko sytuacja militarna na froncie francuskim, ale również i niepewne położenie we Włoszech.

Rok 1917 to czas szczególnie silnego kryzysu moralnego i politycznego we wszystkich państwach walczących. Wyraźniej i dobitniej niż w innych krajach wystąpiło to we Włoszech. Wojnę narzuciła Włochom mniejszość. Wyłoniony z tej mniejszości rząd i popierający go zwolennicy interwencji zbrojnej, w przeciwieństwie do tego, co działo się w innych krajach, nie zdołał przeprowadzić skutecznej propagandy w masach narodu. Skutki dały się wkrótce widzieć, gdy naród włoski stanął w obliczu trudności, jakie niosła wojna. Kraj zmuszony był do importu węgla i zboża, a transport morski coraz był trudniejszy. Na tle głodowym szerzyły się zamieszki, rozruchy, strajki; do najgroźniejszych można zaliczyć rozruchy w Turynie w sierpniu 1917 r. Coraz głośniej wypowiedali się przeciwnicy wojny. 12 lipca 1917 r. deputowany socjalistyczny Claudio Treves oświadczył w parlamencie, że socjaliści chcą pokoju bez aneksji i bez odszkodowań, z wielu ław

podniosły się głosy; „przyszła zima nie może być w okopach”.

Nastroje panujące w społeczeństwie ogarniały wojsko, rzecz naturalna. Wyłamywanie się spod dyscypliny, bierny opór, brak karność, dezercje to częste zjawiska u powołanych do służby wojskowej. Badania aktów procesów w sądach wojskowych wykazały, że zjawiska te w małym tylko stopniu były wynikiem propagandy socjalistów i pacyfistów, działały tu przede wszystkim okrucieństwa wojny, twarda dyscyplina i nastroje w kraju. Później dojdzie jeszcze jeden czynnik - wpływ rewolucji rosyjskiej i udział w niej żołnierzy.

Tymczasem inicjatywę działania przyjęli na froncie włoskim Austriacy i Niemcy. W 1916 r. wódz niemiecki Falkenhayn odrzucił uczynioną przez wodza austriackiego Conrada propozycję podjęcia wspólnej austro-węgiersko-niemieckiej ofensywy przeciwko Włochom, w rok później nowi wodzowie Arz i Hindenburg z Ludendorffem gładko uzgodnili plan wspólnej akcji na froncie włoskim.

Wiemy już o ustąpieniu Falkenhayna 27 grudnia 1916 r. i zastąpieniu go 29 sierpnia przez Hindenburga z Ludendorffem. Obecnie nastąpiła zmiana w monarchii habsburskiej, 1 marca 1917 r. generał Arthur Arz zastąpił generała Conrada na stanowisku szefa sztabu c. i k. armii.

Franz Conrad von Hötzendorf był człowiekiem nieprzeciętnym. W walkach w Bośni w 1878 i 1882 r. zdobył sobie opinię dzielnego oficera frontowego. W następnych latach wyróżnił się pracowitością, rze-

telnym oddaniem służbie, posiadał gruntowną wiedzę wojskową. Jego widzenie spraw nie zawsze zapewne było trafne, ale zawsze cechowała je dalekowzroczność. Instrument, którym jako wódz się posługiwał - c. i k. armia - nie zawsze stał na wysokości zadania. Dlatego też powiedziano o Conradzie, że talentem nie przewyższył go nikt ze współczesnych mu wodzów, ale bieg wojny nie zawsze był dlań łaskawy.

Generał von Cramon, który wódza austriackiego znał dobrze z długiej współpracy i długiej obserwacji, scharakteryzował go tymi słowy: „Conrad bez wątplenia o głowę górował nad innymi. Widział sprawy jaśniej, bardziej konsekwentnie i widział związki pomiędzy nimi. Wola prowadziła go - poza nielicznymi wyjątkami - we właściwym kierunku, jego zdolności były wielkie i wszechstronne (...). Ale pomiędzy jego chcieć i moc stał nie tylko on i jego kwalifikacje, stały także narzędzia działania. I tu stracił miarę i wydawało mu się, że jest bogatszy niż był w rzeczywistości”.

Generał pułkownik Arthur baron Arz von Straussenberg, telegraficznie wezwany z Siedmiogrodu, przybył 1 marca 1917 r. do Kwatery Głównej w Baden pod Wiedniem. Otaczała go sława zwycięzcy w bojach z Rosjanami i z Rumunami. Cesarz Karol przyjął go słowami: „Czy chce Pan zostać szefem sztabu generalnego? Podczas jazdy z Siedmiogrodu miałem dość czasu do namysłu, aby powziąć decyzję, dlatego też świadom odpowiedzialności, jaką brałem na swe barki, odpowiedziałem bez wahania: «Tak, Najjaśniejszy Panie!» Tak nastąpiła moja nominacja”.

Niemcy nominację Arza przyjęli z zadowoleniem. „Głowa praktyczna - wspomina Hindenburg - ze zdrowymi poglądami, doskonały żołnierz, podobnie jak i jego poprzednik wartościowy towarzysz bojów”.

Należy teraz postawić pytanie, dlaczego w 1916 r. Niemcy nie udzielili pomocy działaniom austriackim przeciwko Włochom, a poparli je wydatnie w 1917 r.? Nie zmienili przecież zdania o znaczeniu drugorzędnym frontu włoskiego. Hindenburg, gdy jesienią 1917 r. wycofywał dywizje niemieckie z Francji i słał je nad Isonzo, był nadal przekonany, że nawet stanowcze zwycięstwo nie wyeliminuje Włoch z Koalicji przeciwniemieckiej i nie zmusi do zawarcia pokoju odrębnego. A zatem jakie racje wpłynęły na zmianę stanowiska dowództwa niemieckiego?

Generał Arz nie ukrywał przed Niemcami, że armia austro-węgierska nie przetrzyma nowego, wielkiego ataku włoskiego. „Wyjaśnienie to - pisał Hindenburg - miało dla nas wielkie znaczenie zarówno z militarnego, jak i z politycznego punktu widzenia. Nie chodziło już o utratę linii Isonzo, lecz o załamanie całego oporu austro-węgierskiego. Monarchia naddunajska odczułaby ewentualną klęskę na froncie włoskim dotkliwiej niż w Galicji.(...) W wojnie przeciwko Włochom w uderzający sposób brały udział wszystkie narodowości monarchii podwójnej. Pułki czeskie i słowackie, które zawiodły w walkach z Rosjanami, okazały się bardzo użyteczne w walkach przeciwko Włochom. Wojna włoska była w pewnej mierze czynnikiem jednoczącym w planach militarnych całą monarchię”.

Zwycięstwa włoskie w jedenastej bitwie nad Isonzo miały niemałe znaczenie; droga do Triestu była zagrożona.

Hindenburg utrafił tu w sedno. Przegrana w bojach z Rosjanami nie oddziaływała tak deprymująco na nastroje w c. i k. armii i w narodach monarchii habsburskiej, jak niepowodzenia zadane przez lekceważoną armię włoską.

Rozumowanie to przesądziło o decyzji niemieckiego Naczelnego Dowództwa. Hindenburg wraz z Ludendorffem postanowili wesprzeć uderzenie austro-węgierskie.

Trudności wysunął teraz cesarz Karol. Monarcha austriacki nie odrzucał pomocy niemieckiej, ale chciał, aby Niemcy wysłali na front wschodni możliwie wielkie siły, tak aby wojska austro-węgierskie można było przewieźć z Podola i z Galicji na front włoski i aby c. i k. armia własną mocą pokonała Włochów odnawiając laury spod Custozzy. Duma dynasty, duma Habsburga nie pozwalała korzystać z pruskiej pomocy. Ale i racje polityczne odgrywały tu niepoślednią rolę. Dywizje niemieckie bowiem walczące na froncie włoskim mogły utrudnić porozumienie monarchii podwójnej z Koalicją, a ta myśl ani na chwilę nie opuszczała cesarza Karola. Istniała obawa, że gdy hełmy niemieckie pojawią się w Tyrolu i nad Isonzo, przybędą wkrótce do Włoch dywizje francuskie i brytyjskie.

Sprawa upadła, gdyż Niemcy stali na stanowisku, że wielką ofensywę przeciwko Włochom poprowadzić należy wspólnymi siłami Niemiec i Austro-Węgier.

Najwidoczniej nie ufali Austriakom, nie wierzyli, aby sami Austriacy osiągnęli zwycięstwo, a katastrofa c. i k. armii pogorszyłaby radykalnie położenie militarne Niemiec.

Wojska włoskie były zgrupowane w prowincji Wenecja, a ich główne siły znajdowały się nad Isonzo. Uderzenie z Tyrolu Południowego na tyły i skrzydło armii włoskiej groziło jej oskrzydleniem i rozbiciem. W sztabie austriackim taki właśnie plan opracowano w lipcu 1917 r. A jednak nie dał się on wprowadzić w życie. Przygotowania do ofensywy z powodu słabo rozwiniętej sieci komunikacyjnej trwać by musiały miesiącami i działania wojenne można by poprowadzić dopiero w zimie, najbardziej nieodpowiedniej do tego porze roku. Plan ofensywy znad górnego Isonzo w okolicy Tolmino (obecnie Tolmin) - Plezzo (obecnie Bovec) był mniej efektywny, ale łatwiejszy do wykonania i mniej ryzykowny i - co nie mniej ważne - dawał się przeprowadzić mniejszymi siłami. Przygotowania można było zrobić w niedługim czasie; sądzono też, że uderzenie trafi w słabe miejsce frontu włoskiego i że da się zaskoczyć przeciwnika.

W znacznej mierze tak się też stało. W Bolzano skonstruowano silną radiostację, która nadawała komunikaty do nieistniejących dowództw. W Tyrolu Południowym pojawili się Niemcy. Cesarz Karol przybył na inspekcję wojsk w Tyrolu. A tymczasem w przewidzianym miejscu uderzenia gromadzono wojska i sprzęt bojowy. Przybyły posiłki niemieckie, 14 Armia, osiem dywizji, pod komendą generała Ottona von Belowa.



Przegrupowania wojsk oraz dowóz armat i amunicji odbywały się tylko nocami. Austriacy i Niemcy górowali nad Włochami wyposażeniem bojowym; znaczną rolę odegrały niemieckie samoloty zwiadowcze. Całością operacji dowodził arcyksiążę Eugeniusz, a najbliższymi jego współpracownikami byli generałowie Sveztozar Boroewić von Vojna i Niemiec Otto von Below.

Przez 6 godzin silny ogień artyleryjski i „różnokalibrowy atak gazowy” (*Buntschiessen*) razem „krzyż niebieski” i „krzyż zielony” poprzedził i przygotował atak piechoty.

24 października 1917 r. na terenie rozpoczynającej się walki padał śnieg, słała się gęsta mgła. Pod tą osłoną piechota niemiecka i austriacka ruszyły do ataku pomiędzy Plezzo i Tolmino.

„O godzinie 2 nad ranem - wspomina generał Arz - wielki huk przerwał nocną ciszę. Niezliczone bomby gazowe uderzają w okopy nieprzyjacielskie pod Plezzo i pod Tolmino i odbierają załodze przytomność i życie. Miotacze min i ciężkie granaty dopełniają dzieła. Nieliczni pozostali przy życiu uciekają z pozycji. 22 Dywizja strzelców zdobywa pozycje nieprzyjacielskie pod Plezzo, a 12 Dywizja niemiecka w pierwszym uderzeniu zajmuje stanowiska włoskie pod Tolmino. Tu i tam oddziały atakujące docierają także i do tylnych linii”.

Włochów, mimo iż od dezertków austriackich uzyskali nieco wiadomości o ofensywie austro-niemieckiej, uderzenie całkowicie zaskoczyło. Niemcy zastosowali wypróbowaną świeżo pod Rygą taktykę przenikania, omijali pozycje włoskie i pojawiali się na

ich tyłach. 27 października Niemcy i Austriacy zajęli Cividale del Friuli, 29 Udine. 3 listopada walki toczyły się już nad rzeką Brentą i nad górną Piawą. W rękach niemieckich i austriackich znalazło się już 250 tys. jeńców i 2300 armat. Zdenerwowany i zrozpaczony Cadorna powtarzał: „To nie była bitwa, to był strajk wojskowy. Armię pokonał nie wróg zewnętrzny, lecz wróg wewnętrzny”. Było to prawdą tylko częściowo. Bitwa ta nosi w historii nazwę bitwy pod Caporetto. Odwrót armii włoskiej, który chwilami przechodził w ucieczkę, zatrzymano dopiero nad rzeką Piawą w połowie listopada.

Straty włoskie wynosiły 800 tys. ludzi, w tym 300 tys. wziętych do niewoli i 400 tys. zaginionych i dezertów, 10 tys. zabitych, 30 tys. rannych, a dalej 3150 armat, 1772 miotacze min i 1600 samochodów. Straty wojsk niemieckich i austro-węgierskich były stosunkowo nieduże, wynosiły 65 tys. ludzi.

Niemcy i Austriacy planowali pierwotnie dalszy marsz do linii Roveretto–Wenecja i spodziewali się zmusić Włochów do zawarcia rozejmu. Nie dało się tego dokonać, żołnierz był przemęczony, dały się we znaki trudności i braki dowozu. Włosi zdołali wreszcie opanować panikę i zaczęli pod osłoną Piawy stawiać linię oporu. Z pomocą przybyły im w listopadzie dywizje francuskie i brytyjskie.

Armia włoska właściwie nie stawiała oporu, gdyż żołnierz nie chciał się bić. Klęska pod Caporetto pokazała zupełny rozkład armii włoskiej, pokazała następnie, że Włochom daleko było do tej siły, tej potęgi, któ-

rażą im przypisywali interwencjoniści: „*Italia fara da se*” - „Italia dokona sama dzieła ostatecznego zjednoczenia”. Stało teraz pytanie, czy naród włoski pogodzi się z klęską, czy Włochy poproszą o rozejm, a następnie o pokój odrębny. Wiele faktów zdawało się na to wskazywać: panika w kołach rządowych, zamysły króla Wiktora Emanuela III o abdykacji, do dymisji podał się gabinet bezbarwnego Bosellego.

Stało się inaczej. Caporetto było potężnym wstrząsem dla narodu włoskiego. Włosi uświadomili sobie, że prowadzą wojnę z groźnym przeciwnikiem, że w grę wchodzi losy narodu i kraju. Wyciągnęli wnioski z klęski, zdobyli się na znaczny wysiłek, zaczęli prowadzić wojnę na serio. Międzynarodowa pozycja Włoch osłabła jednak wydatnie. Było sprawą oczywistą, że to nie Włosi udzielają pomocy sprzymierzeńcom, lecz odwrotnie - muszą o pomoc prosić; chodziło nie tyle o wsparcie militarne, o wojska francuskie i angielskie we Włoszech, ile o wsparcie gospodarcze i finansowe. Przed zimą 1917/18 r. Włochy stanęły przed widmem głodu. Brakowało żywności, opału, węgla, żelaza, stali, wszystkiego, co potrzebne do wytworzenia sprzętu bojowego. Uzależniło to Włochy zwłaszcza od Wielkiej Brytanii i od Stanów Zjednoczonych w stopniu znacznie wyższym niż kiedykolwiek przedtem.

Niełatwe zadania stanęły przed nowym, od 30 października 1917 r. rządem, któremu przewodniczył Vittorio Emmanuele Orlando. 9 listopada 1917 r. wódz dotychczasowy Luigi Cadorna został przedstawicielem Włoch w Komitecie Międzysojuszniczym w Wersalu,

dowództwo objął generał Armando Diaz, jego zastępcami zostali dotychczasowy minister wojny generał Gaetano Giardino i generał Pietro Badoglio.

Gabinet Orlando miał charakter rządu szerokiej koncentracji narodowej; po raz pierwszy w dziejach nowego Królestwa Włoskiego na fotelach ministerialnych zasiedli politycy katoliccy. Z poparciem dla rządu prowadzącego wojnę narodową, wojnę obronną pospieszyli i katolicy, i liberałowie–neutraliści spod znaku Giolittiego, i większość socjalistów. Król porzucił myśl o abdykacji, uznał to w zmienionych warunkach za dezercję. Tekę spraw zagranicznych utrzymał baron Sydney Sonnino, znaczyło to, że Włochy mimo wszystko nie chcą rezygnować ze swych planów ambitnych, daleko sięgających<sup>12</sup>.

## 71. Dyktatura Ludendorffa

29 sierpnia 1916 r. otrzymał dymisję dotychczasowy szef sztabu, czyli wódz naczelny generał Erich von Falkenhayn. Następcą jego został wódz opromieniony laurami w wojnie z Rosją generał pułkownik Paul von Beneckendorff und von Hindenburg. Jak dotąd na froncie wschodnim, tak teraz głównym jego współpracownikiem był generał Erich Ludendorff, pierwszy kwatermistrz generalny. Była to nie tylko zmiana systemu prowadzenia wojny, była to zmiana głęboka i o szerszym znaczeniu, była to zmiana systemu rządów w Rzeszy. Zmiana, która zainaugurowała dyktaturę wojskową. W zjednoczonych pod pruską hegemonią Niemczech wojsko miało na wzór pruski

wpływ doniosły, w wielu dziedzinach rozstrzygający. Teraz Naczelne Dowództwo stało się potęgą, która decydowała o wszystkim. Hindenburg, pozbawiony zainteresowań politycznych, nie targany żądzą władzy, zajmował się jedynie sprawami wojskowymi i był dogodnym parawanem dla swego kwatermistrza.

Nieograniczonym władcą Niemiec, dyktatorem został brutalny, ambitny, pozbawiony wszelkich skrupułów Ludendorff. Od września 1916 r. do października 1918 r. był Ludendorff pierwszą osobą w Niemczech, rzecz prosta jeśli chodzi o władzę i wpływy. Pierwszy kwatermistrz odsunął w cień cesarza - najwyższego pana wojny (*den obersten Kriegsherrn*).

Nieco ryzykowne byłoby twierdzenie, że Wilhelm II rządził Niemcami, ale niewątpliwie wywierał na rządy wpływ duży, choćby dzięki temu, że dowolnie według własnego uznania czy własnej fantazji mianował i usuwał kanclerzy. Głośno było o Wilhelmie II w Niemczech i w Europie, wygłaszał kategoryczne sądy i rzucał w świat gromkie słowa. Od wybuchu wojny skurczył się, usunął się w cień, umilkł. Wódz naczelny, „najwyższy pan wojny” nie dowodził swoją wierną armią i nie usiłował wywierać wpływu na dowodzenie. Jego niewielka rola zmalowała jeszcze z chwilą nominacji Ludendorffa. Listopad roku 1918 przyniósł usunięcie od tronu Wilhelma II, a następnie jego abdykację. Były to akty formalne, faktycznie usunął Wilhelma od władzy Ludendorff. Groźba dymisji obu wodzów, Hindenburga i Ludendorffa, wystarczała, aby cesarz w każdym wypadku podporządkował się ich woli. W taki sposób

Ludendorff wymusił w lipcu 1917 r. dymisję kanclerza Bethmanna. Nikomu z wojskowych nie wolno było głosić wobec cesarza poglądów nieodpowiadających Ludendorffowi. Na Radzie Koronnej w dniu 2 stycznia 1918 r. Wilhelm przychylił się do zdania generała Hoffmanna na temat ukształtowania granicy z Polską, Hindenburg skierował zaraz do monarchy pismo protestacyjne. „W sprawie polskiej Wasza Cesarska Mość postawił wyżej zdanie generała Hoffmanna niż moje i generała Ludendorffa. Gen. Hoffmann jest moim podwładnym i nie ponosi w sprawie polskiej żadnej odpowiedzialności. Zajście z dnia 2 stycznia boleśnie dotknęło mnie i generała Ludendorffa. Jest to dla nas znak, że Wasza Cesarska Mość w życiowej sprawie niemieckiej ojczyzny zlekceważył nasze zdanie”. Cesarzowi nie wolno było zasięgnąć zdania oficera niemieckiego w kwestii nie dotyczącej operacji militarynych, lecz w kwestii politycznej. „Generał Hoffmann jest moim podwładnym”.

Nie może dziwić, że w ostatnich miesiącach wojny Wilhelm powtarzał, iż dlatego cieszy się, że wojna zbliża się ku końcowi, ponieważ nie będzie musiał oglądać „tej gęby feldfeblowskiej”, tj. Ludendorffa

Ten sam autokratyczny monarcha, który w dwa lata po wstąpieniu na tron brutalnie zrzucił z kanclerskiego fotela Bismarcka, twórcę cesarstwa Hohenzollernów, teraz po trzydziestu latach panowania nie śmiał przeciwstawić się pierwszemu kwatermistrzowi, gdy ten żądał usunięcia kanclerza Bethmanna, sekretarza stanu Kühlmanna, a nawet najbliższego współpracow-

nika cesarskiego, szefa kancelarii cywilnej Valentiniego. Z bezsilnym gniewem cesarz-król wysłuchał pouczenia, że jego kancelarią kierować powinien człowiek, który „jasno i bezstronnie ocenia położenie, a swego władcę informuje o wypadkach otwarcie i po męsku”.

Na marginesie artykułu w „Börsenzeitung” z 9 stycznia 1918 r. Wilhelm napisał melancholijnie: „Obie strony (tj. Naczelne Dowództwo i Parlament) ignorują cesarza”.

## **72. Kryzys lipcowy. Rezolucja pokojowa**

13 lipca 1917 r. otrzymał dymisję kanclerz Rzeszy Theobald von Bethmann Hollweg, czwarty następca Bismarcka.

Według konstytucji cesarstwa niemieckiego kanclerz był odpowiedzialny jedynie przed cesarzem, tzn. że cesarz mianował kanclerza i zwalniał go z urzędu jedynie według własnej monarszej woli. Z prawa zwolnienia kanclerza z urzędu nie skorzystali dwaj pierwsi cesarze, Wilhelm I i Fryderyk III. Korzystał dopiero z niego Wilhelm II - dymisjonował Bismarcka w 1890 r., Capriviego w 1894, Hohenlohego w 1900, Bülowa w 1909 r. Za każdym razem był to akt woli cesarskiej. Rzecz prosta, że każdy z dymisjonowanych kanclerzy był w pewnej mierze „zużyty” w tym sensie, że były powody jego ustąpienia, o dymisji wszakże i jej chwili rozstrzygał wyłącznie monarcha.

Teraz stało się inaczej. Już od dawna silne, wpływowe czynniki były w opozycji do Bethmanna. Występowali przeciwko niemu konserwatyści pruscy, prze-

ciwna mu była wielka burżuazja, zwalczali go wszyscy, którzy dążyli do wielkich zdobyczy wojennych, którzy wysuwali daleko idące cele wojenne. Nie popierały go natomiast dość stanowczo parlamentarne stronnictwa lewicowe i centrowe.

Bethmann Hollweg trafnie oceniał sytuację, rozumiał, że o zwycięstwie Niemiec nie może być mowy, zarazem nie miał dość sił, aby przeprowadzić swój „punkt widzenia. „Jasnowidząca niemoc” powiedział o nim trafnie Michał Sokolnicki.

Cesarz nie życzył sobie zmiany kanclerza m.in. i dlatego zapewne, że czuł antypatię do osób, których kandydatury na to stanowisko forsowano - Bülowa i Tirpitz. Stawiano też kandydaturę Hindenburga, a to oznaczało chęć Ludendorffa zdobycia pełni władzy w państwie.

W lipcu 1917 r. w sytuacji zaognionej kwietniowymi strajkami, niepowodzeniem wojny podmorskiej, sprawą pruskiej reformy wyborczej, ruszył do ataku frontального, porzucając działania pośrednie, sam pierwszy kwatermistrz generalny. 12 lipca Ludendorff wystosował do cesarza pismo pełne wyrzutu. „Wasza Cesarska Mość - pisał kwatermistrz generalny do monarchy - podczas najcięższego kryzysu, jaki dotknął Niemcy i Prusy, zdecydował utrzymać na stanowisku Pana Kanclerza Rzeszy. Wasza Cesarska Mość wie, że dla mnie jako odpowiedzialnego członka Naczelnego Dowództwa jest rzeczą niemożliwą zaufanie do Pana Kanclerza Rzeszy. (...) Nie mogę dłużej służyć Waszej



Cesarskiej Mości na zajmowanym stanowisku i proszę najpoddaniej o udzielenie mi dymisji”.

13 lipca 1917 r. dymisję otrzymał kanclerz Rzeszy Theobald von Bethmann Hollweg.

W lipcu 1917 r. w niespełna trzy lata po wybuchu wojny ponad cesarzem niemieckim i królem Prus stał już pierwszy kwaterymistrz generalny. Władcy Niemiec i Prus odebrano najważniejszą prerogatywę - prawo mianowania i odwoływania kanclerza. Odebrał mu ją pruski generał.

Ludendorff mógł poczynać sobie tak śmiało, ponieważ wiedział, że stała za nim wielka część narodu niemieckiego, stali za nim bardzo liczni wówczas Niemcy, którzy w osobach dwóch wodzów Hindenburga i Ludendorffa upatrywali gwarancję zwycięstwa. Takiej gwarancji nie dawał Wilhelm II.

„Mogę i ja zaraz abdykować” - tak odczuł, tak ocenił Wilhelm II presję Naczelnego Dowództwa.

W ówczesnej sytuacji w Niemczech, pomimo silnych jeszcze nastrojów i poglądów monarchistycznych, abdykacja Wilhelma II miałyby dla opinii publicznej dużo mniejsze znaczenie niż odejście Hindenburga i Ludendorffa. Byli to przecież zwycięscy wodzowie, z ich osobami łączył naród niemiecki nadzieje na zwycięstwo. „Półbogowie”, jak ich nazwał ironicznie Richard von Kühlmann i jak ich często nazywano. Wilhelm II takich nadziei nie budził i budzić nie mógł.

Długoletni poseł bawarski w Berlinie hr. Hugo von Lerchenfeld, który Bethmanna dobrze znał, tak pisał o kanclerzu: „Był to myśliciel, który każdą kwestię

traktował sumiennie i rozważał wszelkie pro i contra zanim powziął decyzję. (...) W czasach normalnych byłby ten mąż stanu wypełnił swe obowiązki, jestem o tym przekonany, nie tylko dobrze, ale świetnie, gdyż potrafił patrzeć daleko, nie miał uprzedzeń, zyskiwał zaufanie, a także imponował ludziom swą powagą i swym charakterem”.

Wydawać by się mogło, że znalezienie kandydata na stanowisko kanclerza, który cieszyłby się zaufaniem Ludendorffa i byłby do przyjęcia zarówno dla cesarza, jak i dla stronnictw parlamentarnych będzie sprawą bardzo trudną. Tymczasem czekała Niemcy podwójna niespodzianka; pierwszą było ogłoszenie nominacji nowego kanclerza już 14 lipca, tj. nazajutrz po dymisji Bethmanna, drugą była osoba nominata. Piątym następcą Bismarcka został podsekretarz stanu w pruskim ministerstwie finansów i komisarz Rzeszy do spraw aprowizacji Georg Michaelis. Był to wzorowy pruski urzędnik, nieznany w kraju, nieznany w kołach politycznych. Jak mogło dojść do powołania tego człowieka na stanowisko kanclerza w trudnym, ciężkim okresie wojny, gdy była niezbędna mądrość, silna wola i wielkie doświadczenie? Kursująca wówczas w Berlinie anegdota posłużyć może do wyjaśnienia zagadki. Adju-tanci i urzędnicy kancelarii cywilnej rozprawiali o kandydaturach kanclerskich, gdy któryś zawołał żywo: „Znalazłem kandydata, nie pamiętam, jak się nazywa Michel czy jakoś podobnie, jest dostawcą zboża, niedawno wygłosił wspaniałą mowę, w której powiedział, że wpakuje szpadę w brzuch każdemu, kto mu stanie na

drodze”. Na to podniósł się szef kancelarii cywilnej Valentini ze słowami: „Ten człowiek nie nazywa się Michel, tylko Michaelis, nie jest dostawcą zboża, tylko komisarzem Rzeszy do spraw aprowizacji, nie powiedział, że wpakuje każdemu szpadę w brzuch, lecz oświadczył, że ma do dyspozycji oręż prawa i będzie się nim posługiwał z całą bezwzględnością. Kandydatura jest doskonała, jadę zaraz do cesarza z odpowiednim wnioskiem”.

Faktem jest, że kandydatura Michaelisa wyłoniła się z rozmów pomiędzy generałami. Michaelis bywał w Kwaterze Głównej i zdobył sobie pośród wyższych oficerów sympatię gromkimi, dziarskimi frazesami. Zaraz po otrzymaniu nominacji oświadczył nowy kanclerz, że działać będzie w ścisłym porozumieniu z Naczelnym Dowództwem. Od pierwszej chwili kanclerskiego urzędowania uchodził za człowieka Naczelnego Dowództwa, za człowieka Ludendorffa.

A jego kanclerskie kwalifikacje? 15 lipca, naza jutrz po objęciu urzędowania, z całą rozbrajającą szczerością zwierzył się Scheidemannowi: „Niestety nie znam się na tym (tj. na polityce) tak jak Pan i inni Panowie (posłowie). Miałem wiele pracy, dlatego tylko jak obserwator współczesny posuwałem się za wozem wielkiej polityki”.

Znamienna rzecz dla tamtych czasów i tamtych pojęć - prasa wszelkich odcieni podkreślała, że Michaelis to pierwszy nieszlachcic na fotelu kanclerza Rzeszy; dotąd na tym fotelu zasiadało trzech książąt, jeden hrabia i jeden potomek dobrej szlachty ziemiańskiej.

Objął Michaelis urządowanie w chwili bardzo trudnej, gdy potrzebny był Niemcom mąż stanu cieszący się autorytetem, mający doświadczenie w dziedzinie wielkiej polityki, obdarzony silnym charakterem, silną wolą. Mąż stanu, który by rozumiał, że Niemcy zwycięstwa nad Koalicją już odnieść nie zdołają, który by umiał powściągnąć Ludendorffa, trzymać w ryzach imperialistów i pohamować ich rozległe cele wojenne, a zarazem wpływać na parlament i na stronnictwa lewicowe, wywierać wpływ na opinię publiczną kraju. Niełada zadanie stanęło przed dotychczasowym szefem *Reichsgetreidestelle* (Urzędu Zbożowego Rzeszy).

Sytuacja była nie tylko trudna, ale ulegała ustawicznemu pogorszeniu. Naród niemiecki przeżył ciężką „zimę brukwiową”, kiedy skutkiem nieurodzaju ziemniaka podstawowym pożywieniem ludności uboższej była brukiew. W kwietniu zmniejszono kartkowe przydziały chleba. Cienia przesady nie było w słowach, którymi Scheidemann 14 lipca 1917 r. scharakteryzował Hindenburgowi i Ludendorffowi położenie robotnika niemieckiego. „Robotnicy w fabrykach codziennie padają setkami z głodu, na schodach domów mdleją doręczycielki listów. Głód, nędza, ból, niechęć do wszechniemieckich celów wojennych, brak widoków na koniec (wojny); *summa summarum*: rozpacz, która przeradza się w gniew”.

Warunki życiowe wpływały na radykalizację mas pracujących, a wieści nadbiegające z Rosji radykalizację tę jeszcze zaostrzały. Rozejm wewnętrzny był zagrożony; socjaldemokracja większościowa, jeśli nie

chciała utracić wpływu na masy pracujące, musiała się liczyć z ich nastrojami, a także brać pod uwagę stanowisko socjaldemokratów niezależnych i spartakusowców.

Niewesołe nastroje szerzące się w Niemczech wzmagała jeszcze niezręczna propaganda kół wojskowych. Zapewniały one wciąż, że łodzie podwodne w ciągu sześciu miesięcy powalą Anglię na kolana. Pośród żołnierzy na froncie krążyła ulotka z listem wyższego oficera marynarki. Znajdował się w niej taki ustęp: „Nasz sztab admiralicji bierze pełną odpowiedzialność (za twierdzenie), że Anglia z końcem lipca lub w początku sierpnia poprosi o pokój. Zwycięzimy przed jesienią”. Niemcy podawali sobie z rąk do rąk odpis prywatnego listu Hindenburga do żony. Feldmarszałek zapewniał w nim, że wojna skończy się u schyłku sierpnia.

Tak głosiła oficjalna propaganda; po cichu sytuację w Naczelnym Dowództwie oceniano bardziej realistycznie. 10 czerwca 1917 r. zaufany Ludendorffa pułkownik Max Bauer nie wahał się ujawnić posłowi Erzbergerowi nieco danych, które rzucały inne światło na dalsze losy wojny. Pułkownik wskazywał, że Koalicja ma znaczną przewagę nad Niemcami w zaopatrzeniu armii w amunicję - jak 4 do 1 i że przewaga ta będzie wzrastała; w każdym razie należy się liczyć - stwierdzał - że Niemcy będą musiały prowadzić wojnę w ciągu czwartej zimy w roku 1917/18.

Erzberger zabrał się energicznie do działania. Wykazał, że optymistyczne zapewnienia niemieckiej admi-

ralicji co do rezultatów wojny łodziami podwodnymi oparte są na błędnych obliczeniach. Oto admiralicja niemiecka brała pod uwagę jedynie tonaż brytyjski, gdy należało brać tonaż światowy. Różnica kapitalna, błąd kapitalny, 6 lipca 1917 r. Erzberger wygłosił na posiedzeniu komisji budżetowej parlamentu mowę, w której wykazawszy nierealność zapowiedzi złamania latem oporu brytyjskiego żądał, aby parlament zdecydowanie się wypowiedział, że Niemcy toczą wojnę obronną i nie dążą do zdobyczy. Wywody Erzbergera wywarły na posłach piorunujące wrażenie. „Było to prawie tak - opowiada Friedrich von Payer - jakby posłom spadła opaska z oczu”. Ze stanowiskiem Erzbergera solidaryzowała się Socjaldemokracja; socjaldemokraci kierowali się także doświadczeniami wyniesionymi ze Sztokholmu. „Jeśli nie do pomyślenia jest rozstrzygnięcie militarne, nie pozostaje nic innego jak porozumienie” - oświadczył 7 lipca 1917 r. w komisji parlamentarnej Philipp Scheidemann. Socjaldemokraci porozumieli się z Centrum i z postępowcami i 19 lipca parlament Rzeszy uchwalił rezolucję pokojową: „Parlament Rzeszy dąży do pokoju porozumienia (*Verständigungsfrieden*) i trwałego pojednania pomiędzy narodami. Z takim pokojem nie dadzą się pogodzić wymuszone zdobycze terytorialne ani dyktaty polityczne, gospodarcze i finansowe”.

Generał Ludendorff dojrzał w rezolucji pokojowej „nieszczęsną myśl pokoju porozumienia, któreśmy zawsze mogli dostać”.

Ludzie wszakże, którzy rozumowali politycznie, a nawet mówiąc ściślej w ogóle rozumowali, musieli myśleć o porozumieniu inaczej ujmować. Tak więc poseł niemiecki w Kopenhadze hr. Ulrich von Brockdorff-Rantzau mówił 23 maja 1917 r. Scheidemannowi, że formuła „bez aneksji, bez odszkodowań” leży w interesie Niemiec.

Rzecz znamienita, że ten sam pogląd na sprawę co niemiecki patriota i dyplomata Brockdorff-Rantzau miał nieprzejeđnany wróg Niemiec Roman Dmowski.

W istocie formuła bez odszkodowań znaczyła, że odszkodowań nie otrzyma Francja, dotknięta najazdem i okupacją wschodnich bogatych departamentów, ani okupowana Belgia, ani eksploatowana Polska, Niemcy bowiem najazdu i zniszczeń wojennych nie zaznały; walki w Prusach Wschodnich w 1914 r. miały minimalne znaczenie. Niemcy nie zapłaciłyby za straty zadane przesłodzić podwodnej flocie handlowej brytyjskiej, francuskiej i niektórych innych krajów. Przeciwnie, sporo by na tych stratach zarobiły, gdyż powstałaby doskonała koniunktura dla zachowanej w całości niemieckiej floty handlowej. Formuła bez aneksji oznaczała integralność terytorialną Rzeszy, ziemie polskie wraz z Alzacją i Lotarynią pozostałyby pod panowaniem niemieckim.

Rozumiał to dobrze Hans Delbrück i chyba trafnie ocenił rezolucję, że mogła być kapitalnym narzędziem propagandy niemieckiej i osłabić ducha i chęć walki w narodzie francuskim i angielskim. W tym właśnie

upatrywał Delbrück cel rezolucji, celu tego nie spełniła, ponieważ się jej „mocno nie trzymano”.

A nie „trzymano się jej” dlatego, że imperialiści niemieccy nie rozumieli istoty rzeczy; uchwalenie rezolucji o „pokoju pojednania” uważali za ciężki błąd, za przyznanie się do słabości. Ludendorff dopuścił wprawdzie do uchwały parlamentu, ale żądał od nowego kanclerza, aby ją „ulepszył”. Michaelis, rzecz prosta, zastosował się słuźbiście do tego żądania. Treść pierwszej mowy, którą Michaelis miał wygłosić jako kanclerz w parlamencie na temat kredytów wojennych, uzgodnił w ogólnym zarysie z przedstawicielami stronnictw; na żądanie Scheidemanna usunął zwrot o „wielkich zwycięstwach”; ale zgotował parlamentowi i krajowi niespodziankę, której znaczenia w pierwszej chwili nie zrozumiano, wsunął mu ją zapewne do mowy ktoś bardziej od Michaelisa wyrobiony politycznie.

Kanclerz wygłosił swą pierwszą mowę, a parlament uchwalił rezolucję na posiedzeniu w dniu 19 lipca 1917 r. Korespondenci pism holenderskich barwnie opisali tę scenę. Galerie były zajęte na długo przed rozpoczęciem obrad. Wśród obecnych książęta panujący Meklemburgii–Strelitz i Brunszwiku, badeński następca tronu książę Maksymilian, kanclerz w niedalekiej przyszłości, korpus dyplomatyczny w komplecie. Na sali pełne napięcia oczekiwanie. Michaelis pojawieniem się sprawił ogólne rozczarowanie. Posłowie przyzwyczaili się od ośmiu lat, że z fotela kanclerskiego podnosiła się i przechodziła na trybunę wysoka, dystygowana postać o myślącym wyrazie twarzy, teraz



ujrzeli na mównicy człowieka onieśmielonego skierowanymi na niego spojrzeniami setek ludzi, którzy szukali w nim cechy charakterystycznej. Szczupły, niskiego wzrostu o typowo mieszczańskim wyglądzie nie mógł budzić zainteresowania karykaturzystów. Gdy zaczął mówić, usłyszano „głos spokojny i powściągliwy, bez elokwencji, bez ognia, bez intonacji, bez gestu, bez entuzjazmu”. Zdaniem korespondenta holenderskiego w krajach łacińskich, gdzie kwitnie retoryka, wzbudziłby taki mówca z miejsca dezaprobatę.

Korespondenci holenderscy chyba nieco przesadzili. Michaelis bowiem, mimo iż przemawiał „bez ognia i bez intonacji” wywoływał częste oklaski nie tylko na prawicy, ale także w centrum i na lewicy. Nie dziwna to może rzecz, gdyż w *exposé* kanclerskim znalazło się mocne podkreślenie obronnego charakteru wojny i żądanie zabezpieczenia granic Rzeszy „po wsze czasy”.

Obok pokoju kompromisowego, zmierzającego do trwałego pojednania narodów, była tam też gwarancja „warunków życiowych” (*Lebensbedingungen*) Rzeszy na lądzie i na morzu. Pośród oklasków na prawicy oświadczył Michaelis, że ponieważ „uczciwie wyciągnięta dłoń” niemiecka zawisła w próżni, rząd Rzeszy nie będzie wznawiał obecnie oferty pokojowej, lecz gotów jest życzliwie wysłuchać propozycji przeciwnika. Rzecz oczywista, że każdy mógł w te ogólniki podstawić treść według własnego uznania. Najważniejszym zdaniem w całej mowie były słowa kanclerza: „cele te dadzą się osiągnąć w ramach rezolucji, jak ja ją pojmuję”.

„Moja interpretacja, pozbawiała rezolucję jej charakteru niebezpiecznego - pisał w tydzień później Michaelis do pruskiego następcy tronu. Ostatecznie można z tą rezolucją zawrzeć każdy pokój, jaki się pragnie”. Nie inaczej chyba zapatrywał się na sprawę Mathias Erzberger, jeden z głównych inicjatorów i redaktorów rezolucji. Przywódca Centrum oświadczył księciu Maksymilianowi badeńskiemu: po uchwaleniu rezolucji „dostanę Briey i Longwy na drodze rokowań”. Nie było tu chyba przesady. Rezolucja zwracała się przeciwko „wymuszonym zdobyciom terytorialnym”. Ale co znaczą „zdobycze wymuszone”? Jakie zdobycze zaliczyć należy do rzędu „wymuszonych”, a jakie do nie wymuszonych? Słusznie stwierdził Arthur Rosenberg, że jest to kwestia sporna, a w takim razie silniejszy zawsze będzie miał rację. „Z rezolucją pokojową mógł rząd niemiecki zdobyć pół świata. Powiedziano przecież później, że pokój brzeski był z nią zgodny”.

Niepozbawiony znaczenia był fakt, że rezolucja pokojowa była próbą zdobycia przez stronnictwa lewicowe i centrowe wpływu na politykę zagraniczną. Parlament bowiem był stale od tej polityki odsuwany.

Rezolucja wyrażała w pewnym sensie „tęsknotę szerokich mas ludowych do pokoju”. Z tymi nastrojami społeczeństwa liczyli się jej autorzy.

### **73. Międzynarodowa konferencja socjalistyczna w Sztokholmie w 1917 r.**

Nieżłą charakterystykę położenia Europy i państw walczących wiosną 1917 r., w trzecim roku wojny,

przynosi próba reaktywowania II Międzynarodówki, próba podjęta przez partie socjalistyczne położenia kresu wojnie. Krokiem wstępnym miało być spotkanie przedstawicieli socjalistów z obozów walczących dla zorientowania się, jakie cele przyświecały w wojnie partiom socjalistycznym. Takie zadanie postawili przed konferencją w Sztokholmie w 1917 r. jej holenderscy i skandynawscy inicjatorzy i organizatorzy.

Chwila była dobrze wybrana. Społeczeństwa były wyczerpane potwornościami wojny do granic wytrzymałości. Ze szczególną siłą wystąpiło to w Rosji, gdzie łączyły się ze sobą tyrania i niedołęstwo zmurszałego caratu, w Niemczech po ciężkiej „zimie brukwiowej”, we Francji po hekatombach Sommy, Verdun, ofensywy Nivelle’a.

Rewolucja w Rosji wzmocniła wszędzie dążenia pokojowe. 27 marca 1917 r. Piotrogradzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich uchwaliła odezwę do „narodów całego świata”. Odezwa wzywała robotników krajów nieprzyjacielskich do działania na rzecz pokoju.

2 kwietnia 1917 r. Komitet Wykonawczy Piotrogradzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich wezwał Rząd Tymczasowy do publicznego oświadczenia, że Rosja nie żywi żadnych zamysłów aneksyjnych i gotowa jest zawrzeć pokój natychmiast pod warunkiem, że wszystkie państwa walczące wyrzekną się aneksji i odszkodowań.

Stanowisko rewolucjonistów rosyjskich nie pozostało bez wpływu na działaczy II Międzynarodówki. 29

kwietnia 1917 r. kopenhaski dziennik „Socialdemokraten” opublikował zaproszenie skierowane do wszystkich partii socjalistycznych do przybycia na dzień 15 maja 1917 r. do Sztokholmu na międzynarodową konferencję socjalistyczną. „Na porządku dziennym stoi debata nad sytuacją międzynarodową”. Zaproszenie podpisał Camille Huysmans, sekretarz Międzynarodowego Biura Socjalistycznego II Międzynarodówki. 4 maja wszakże postanowiono przesunąć otwarcie konferencji na dzień 10 czerwca. 19 maja 1917 r. zebrał się w Sztokholmie Komitet Holendersko–Skandynawski, grupujący holenderskich i skandynawskich działaczy II Międzynarodówki, i wydał oświadczenie, że „Międzynarodówka nie jest wyrazicielem interesów żadnego z państw Walczących, kroczy ona własnymi drogami, które odpowiadają jej własnym celom, a są to cele ludzkości; w tej rozstrzygającej chwili Międzynarodówka musi rzucić na szalę wszystkie siły proletariatu...”.

Komitet holendersko–skandynawski opracował program konferencji przygotowawczych, które poprzedzić miały konferencję główną. Delegacje poszczególnych krajów przyjechać miały do Sztokholmu i tu na piśmie lub ustnie dokonać wymiany poglądów na temat pokoju. Ustalono pięć punktów zasadniczych, a w ich obrębie kwestie szczegółowe. Wyglądało to tak:

1. Warunki pokoju: tu miano zwrócić szczególną uwagę na kwestię narodowości, a więc sprawa Polski, Belgii, Alzacji i Lotaryngii, Serbii, Finlandii, Litwy,

Ukrainy, północnego Szlezwiku, Armenii, a także sprawa żydowska i sprawa kolonii.

2. Zasadnicze podstawy ułożenia stosunków międzynarodowych - sądownictwo rozjemcze, rozbrojenie, umiędzynarodowienie Cieśnin, zniesienie tajnej dyplomacji.

Praktyczne sposoby urzeczywistnienia tych celów.

4. Działalność Międzynarodówki.

5. Sprawa powszechnej konferencji socjalistycznej: tu planowano poruszyć kwestię odpowiedzialności za wybuch wojny i postawę partii socjalistycznych podczas wojny.

Piotrogradzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich zakreśliła nieco inny, węższy, ale zapewne bardziej realny program konferencji.

Udział poszczególnych partii socjalistycznych w zjeździe zależał z jednej strony od ich własnej woli, z drugiej zaś od stanowiska rządu, który mógł delegatom wydać paszporty na jazdę do Sztokholmu lub paszportów odmówić. Nie była to sprawa prosta, zwłaszcza dla rządów.

W rozumowaniu polityków kół rządzących zjazd socjalistyczny przyniesie zapewne szkody, ale w pewnych okolicznościach może dać i korzyści.

Pierwszy minister brytyjski David Lloyd George uważał, że każdy rząd musi „odrzucić warunki pokoju podyktowane przez konferencję partyjną. Taką samą uwagę odnieść należy do konferencji międzynarodowej liberałów lub konserwatystów”.

Lloyd George w tym przypadku głosił poglądy zasadnicze. Ale politycy bardziej elastyczni dostrzegali możliwość manewru.

Posła francuskiego w Szwecji E. Thiebaut poważnie zaniepokoił planowany zjazd socjalistów. Zdaniem francuskiego dyplomaty krył się tu niebezpieczny podstęp niemiecki. Przeciąć tę intrygę można było w jeden tylko sposób. Trzeba, aby francuska partia socjalistyczna wyraziła gotowość nawiązania rozmów z każdą partią socjalistyczną każdego kraju, która za pierwszy warunek pokoju postawi żądanie usunięcia od tronu dynastii Hohenzollernów. A oto skutki takiej deklaracji: 1) nawiązanie „więzi moralnej” pomiędzy socjalistami francuskimi a robotnikami rosyjskimi, którymi miota nienawiść do monarchii; 2) socjaliści niemieccy a wraz z nimi duńscy i holenderscy będą się wzbraniaли wystąpić przeciwko Hohenzollernom, to zaś wykopie przepaść pomiędzy nimi i Rosjanami; 3) w Niemczech wzrośnie duch opozycji i może ośmielią się mocniej wystąpić cierpiące głód masy ludowe.

Gdy w gabinetach rządowych mocarstw walczących rzucono na jedną szalę względy nakazujące, na drugą wzbraniające socjalistom udziału w zjeździe sztokholmskim, w Berlinie i w Wiedniu szala przechyliła się natychmiast za jazdą do Sztokholmu, w Paryżu i w Londynie odwrotnie, były wahania, były drgania, ale ostatecznie - paszportów odmówiono.

Brzmi to jak paradoks. Tam, gdzie socjaliści wchodzili w skład większości rządowej i zasiadali na fotelach ministerialnych paszportów nie uzyskali. Tam,

gdzie stanowili opozycję, uznawaną niekiedy za opozycję wręcz antypaństwową, paszporty otrzymali bez trudu.

Do tej kwestii, do próby wyjaśnienia tego paradoksu wypadnie nam jeszcze wrócić.

W Berlinie nie zastanawiano się długo, zjazd socjalistów uznano za pożądany czynnik dywersji politycznej. Były wprawdzie sprzeciwy, były i wątpliwości. Sprzeciwiło się Naczelne Dowództwo. Generał Ludendorff uznał, że podjęcie przez parlamentarzystów niemieckich rozmów na tematy pokojowe to „pułapka” zastawiona przez Koalicję. Zgadzał się w ostateczności na udzielenie paszportów socjalistom większościowym, np. Davidowi czy Sudekumowi, był jednak bezwzględnie przeciwny wyjazdowi centrystów czy „niezależnych”.

Wątpliwości nasunęła kwestia Alzacji i Lotaryngii. Były obawy, że Francuzi wysuną postulat alzacki, ale obawy te szybko uśmierzono w przekonaniu, że nie dopuszczą do tego socjaliści państw neutralnych lękając się rozbicia konferencji z powodu tej drażliwej sprawy.

Wątpliwości szerszej natury, bardziej zasadnicze żywił sam kanclerz. Bethmann Hollweg był zdania, że żadna partia nie może oficjalnie pośredniczyć w sprawie pokoju. Był głęboko przekonany, że taka działalność „prowadzi z konieczności do wzmocnienia władzy parlamentu kosztem władzy rządu. Państwa posiadające rząd parlamentarny mogą sobie na to łatwiej pozwolić niż my. U nich bowiem działalność taka jest zgodna z tradycją i roztropna. Natomiast u nas jest to ekspery-

ment i to taki, że jego niebezpieczeństwa nie sposób nie docenić”.

Pomimo takich wątpliwości kanclerz opowiedział się za udziałem socjalistów niemieckich w konferencji sztokholmskiej: powstrzymanie ich od wyjazdu do Szwecji, zwłaszcza przez odmówienie paszportów, przyniosłoby - zdaniem Bethmanna - Jeszcze gorsze skutki”. Byłby to materiał dla propagandy nieprzyjacielskiej, która „mogłaby z nowymi pozorami słuszności bajać (*fabeln*) o niemieckiej «autokracji», a w kraju dadzą wiarę temu nonsensowi tam właśnie, gdzie może to wywołać niebezpieczne konsekwencje”. Niech więc socjaldemokraci - konkludował kanclerz - jadą spokojnie do Szwecji. „Spotka ich tam rozczarowanie, wyciągną z niego naukę i na przyszłość będą się mniej wsłuchiwać w syreni śpiew internacjonalistów. Jeśli to oczekiwanie myli i dadzą się - czego się nie spodziewam - wodzić na pasku internacjonalizmowi, to nie są tym, za co ich uważamy od sierpnia 1914 r. Jeśliby tak wszakże miało być, siłą nie możemy naszej Socjaldemokracji ustrzec przed wzmożonym zarażaniem internacjonalistyczną trucizną”.

Ostatecznie przemogło rozumowanie polityczne, nie życzone sobie zadrażnień z socjalistami, chciano pokazać światu, że Niemcy robią wszystko, aby przywrócić pokój.

Socjalistom zezwolono więc na wyjazd na konferencję do Sztokholmu. Opowiedział się za tym i sam cesarz. Teraz nasuwało się pytanie, czy paszporty należy wydać delegatom wszystkich ugrupowań socjali-



stycznych, a więc nie tylko współpracującej z rządem Socjaldemokracji większościowej, ale i delegatom opozycyjnych ugrupowań radykalnych. Socjaliści większościowi nalegali, aby rząd nie robił ograniczeń. Tłumaczyli przekonująco, że znaleźliby się w Sztokholmie w sytuacji trudnej, gdyby im tylko przypadła reprezentacja niemieckiej klasy robotniczej, w takim wypadku „napiętnowano by ich jako narzędzie rządu niemieckiego”.

Ten wzgląd przeważył, paszporty dostali socjaliści wszystkich odłamów: wyjątek uczyniono dla kilku osób pozostających w więzieniu, jak Róża Luksemburg, jak Adolf Hoffmann oskarżony o zdradę stanu. Policja pruska w Warszawie nie zezwoliła na wyjazd przedstawicieli PPS i socjalistów żydowskich.

I w Wiedniu sprawa udziału socjalistów austriackich i węgierskich nie napotkała trudności. Wspólny c. i k. minister spraw zagranicznych hrabia Ottokar Czernin von und zu Chudenitz nie chciał zaniedbać niczego, co w oczach społeczeństwa mogłoby uchodzić za akcję na rzecz pokoju. Minister spodziewał się, że socjaliści austriaccy wrócą ze Sztokholmu z pustymi rękami. Taki rezultat konferencji przyjąłby z zadowoleniem, gdyż okazałoby się, że socjaldemokracja w zabiegach o pokój nie może się poszczycić sukcesami większymi niż rząd i dyplomacja zawodowa. Czernin liczył się również z możliwością powodzenia konferencji sztokholmskiej, ale to go nie cieszyło. Za pokój „socjalistyczny” - pisał do premiera węgierskiego Istvana Tiszy - zapłaci cesarz z własnej kieszeni”. Ale - dodał zaraz - jeśli

wojny nie uda się zakończyć, „cesarz zapłaci jeszcze więcej”.

Stanowisko Czernina wobec konferencji sztokholmskiej tak należy rozumieć - nieustannie płaczący się w intrygach hrabia uważał, że minister „nie może wziąć na siebie fałszywego pozoru, że sabotuje pokój”. Ułatwił więc wyjazd socjalistów austriackich Karola Rennera, Viktora Adlera, Karola Seitzza, ułatwił wyjazd Ignacego Daszyńskiego, przekonał hrabiego Tiszę, że socjalizm węgierski powinien być reprezentowany w Sztokholmie, a zarazem - jak to zobaczymy później - przeciw „pokojowi socjalistycznemu” knuł intrygi jednocześnie w Watykanie i w Stambule.

W Watykanie starał się Czernin o mediację pokojową papieską i tłumaczył monsignorom z kurii rzymskiej, że papież w zabiegach o pokój nie może się dać ubiec Międzynarodówce Socjalistycznej.

Charakterystyczne dla intryg Czernina wyrafinowanych, a zarazem niezgrabnych, są jego starania podjęte w Stambule o wysłanie do Sztokholmu delegacji socjalistów tureckich, którzy wówczas nie istnieli. Minister wyjaśnił margrabiemu Pallaviciniemu, ambasadorowi austriackiemu przy Wysokiej Porcie, że Austro-Węgry muszą dawać pozory, iż zależy im na powodzeniu konferencji sztokholmskiej i robić wszystko, aby konferencja rzeczywiście się odbyła: jednocześnie wszakże dyplomacja austriacka powinna nie szczędzić wysiłków, aby poszczególne delegacje socjalistyczne wystąpiły na konferencji z takim programem, jaki by z góry wykluczał porozumienie. Z Wiednia poszły więc

do Stambułu telegramy, aby skłonić wielkiego wezyra Talâta Paşe do wyszukania odpowiednich działaczy tureckich, którzy pojechaliby do Sztokholmu, podali się za socjalistów i postawili na konferencji żądanie, aby pokój przywrócił Turcji pełne terytorialne *status quo ante bellum*. Zdaniem Czernina nie było najmniejszych widoków, aby delegaci partii socjalistycznych mogli poprzeć taki postulat. C. i k. minister tłumaczył wielkiemu wezyrowi, aby nie zrażał się brakiem w Turcji odpowiednich ludzi; należy ich wyszukać, należy „stworzyć socjalistów”, odpowiednio ich instruować, w razie potrzeby pomóc sobie złotem, ewentualnie złotem z austriackiego funduszu dyspozycyjnego.

Podobne postulaty skierował niezrównany hrabia Ottokar i do Bułgarów. Tu zadanie było łatwiejsze, gdyż socjaliści bułgarscy, aczkolwiek nieliczni, ale przecież byli na świecie. Dyplomaci austriaccy w Szwecji otrzymali polecenie nakłaniania socjalistów bułgarskich do wysuwania żądań jak najdalej idących, do wysuwania żądań takich, które wywołałyby sprzeciw socjalistów z państw Koalicji - tak, aby nie dopuścić do osiągnięcia porozumienia.

Gdy się czyta te instrukcje Czernina, gdy się pozna tok jego rozumowania, nie sposób nie wspomnieć słów polskiego uczonego: „Intrygująca w próżni c. i k. głowa ministerialna”.

O ileż rozsądniej, a przede wszystkim bardziej realistycznie oceniał możliwości konferencji sztokholmskiej inny, austriacki jeszcze wówczas dyplomata, Władysław Skrzyński, wysłany podczas wojny przez

*Ballplatz* do Szwajcarii dla obserwowania z tego interesującego miejsca sytuacji międzynarodowej. 14 maja 1917 r. Skrzyński raportował z Berna, że jednym z czynników, który mógłby przybliżyć pokój powszechny, jest międzynarodowa konferencja socjalistyczna w Sztokholmie. Jest to dla Państw Centralnych dogodna sposobność do wysunięcia zasad wolnościowych, jakie manifestują państwa Koalicji. Tyle o stanowisku rządów Państw Centralnych. A partie socjalistyczne? Z Niemiec przyjęli zaproszenie do Sztokholmu socjaliści większościowi, a także Niezależna Partia Socjaldemokratyczna Niemiec (*Unabhängige Sozialdemokratische Partei Deutschlands*). Odmówiła natomiast udziału w zjeździe grupa Spartakus; w piśmie do Piotrogradzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich uzasadnił tę decyzję Franz Mehring. Pojechali natomiast do Sztokholmu delegaci socjalistów austriackich, węgierskich, polskich (Polska Partia Socjaldemokratyczna Galicji i Śląska - Daszyński), czeskich, ukraińskich, bułgarskich.

W Berlinie i w Wiedniu chciano sztokholmskim zjazdem socjalistów posłużyć się dla własnych wojennych, imperialistycznych celów. W Paryżu i w Londynie zjazd budził obawy. Ani nad Sekwaną, ani nad Tamizą nie dostrzegano korzyści, jakie mógłby przynieść, widziano natomiast głównie niebezpieczeństwa.

Wiemy już, że inny był stosunek do zjazdu socjalistów autokratycznego, militarystycznego rządu w Berlinie a inny cesarskiego i królewskiego rządu w Wiedniu, inny gabinetów parlamentarnych w Paryżu

i w Londynie. Także i stanowiska partii socjalistycznych we Francji i w Wielkiej Brytanii kształtowały się inaczej niż w Niemczech i w Austro–Węgrzech.

Kwestia Sztokholmu łączyła się ściśle z kwestią rosyjską. Obalenie caratu i wybuch rewolucji w Rosji budziły u jednych obawę, że Rosja wycofa się z wojny, drudzy krzepili się nadzieją, że tak właśnie się stanie.

Pomiędzy socjaldemokratami niemieckimi a Piotrogrodzką Radą Delegatów Robotniczych i Żołnierskich pośredniczył proniemiecko usposobiony dziennikarz duński Frederick Borgbjerg. Pośrednictwo to przyjął z zadowoleniem sekretarz stanu w Urzędzie Spraw Zagranicznych Arthur Zimmermann i polecił wydać natychmiast paszporty na wyjazd do Danii przedstawicielom Socjaldemokracji Ebertowi i Scheidemannowi oraz pełnomocnikowi związków zawodowych Gustavowi Bauerowi. Szef dyplomacji cesarskiej życzył delegatom socjalistycznym dobrej podróży, zapewniał ich, że sprawa pokoju z pewnością nie upadnie z powodu Polski.

6 kwietnia Ebert, Scheidemann i Bauer pojechali do Kopenhagi i tam w rozmowie z Borgbjergiem przedstawili swój punkt widzenia i prosili go; aby oświadczył w Rosji: „nie chcemy pokoju przemocy, Polska nie będzie tu przeszkodą, wiemy, że pozostajemy tu w zupełnej zgodzie z rządem, nie będzie aneksji ziem kurlandzkich czy litewskich, istnieją natomiast po obu stronach chęci małych korektur granicznych. Co do tego będzie się można łatwo porozumieć podczas rokowań pokojowych. Gorzej wyglądają sprawy na Bał-

kanach: Macedonia, Dobrudża, Serbia, Bułgaria, Rumunia, te i podobne rzeczy wystarczy wymienić, aby zaraz powtórzyć za Viktorem Adlerem, że formuła «żadnych aneksji» nie wszystko ogarnia. Dlatego wszystkie te sprawy trzeba zostawić do (dalszego) porozumienia, które z pewnością będzie można osiągnąć”. Charakterystyczna to rzecz i wiele wyjaśnia, że Scheidemann „wyraźnie do tego upoważniony” prosił Borgbjerga, aby oświadczył Rosjanom, że Niemcy nie podejmą ofensywy przeciwko Rosji. Borgbjerg miał od siebie zwrócić uwagę Rosjan, że socjaldemokratom niemieckim potrzebne są masy robotnicze do walk wewnętrznych, chcą więc wyprowadzić robotników z okopów, dlatego Rosja powinna zawrzeć pokój z Niemcami.

Widzimy więc, że rząd cesarski w dziedzinie polityki zagranicznej ściśle współpracował z Socjaldemokracją: współpracy tej nie stała na przeszkodzie fala strajków, która w kwietniu 1917 r. ogarnęła Niemcy.

W państwach zachodnich sprawa wyglądała inaczej.

I socjaliści francuscy, i socjaliści angielscy interesowali się żywo sytuacją w Rosji i wpływem rewolucji na dalszy bieg wojny. Znajdowali się w pewnym sensie w położeniu lepszym niż ich niemieccy towarzysze, mogli bowiem z Rosjanami rozmawiać bezpośrednio. I Francuzi, i Anglicy pojechali do Rosji.

13 kwietnia 1917 r. przybyli do Piotrogradu przedstawiciele socjalistów francuskich: Marius Moutet, Marcel Cachin i Ernest Lafont oraz dwaj Anglicy,

przedstawiciele Labour Party, James O'Grady i Will Thorne.

Francuzi nazajutrz po przybyciu złożyli wizytę w ambasadzie swego kraju i przedstawili się ambasadorowi Maurice'owi Paléologue'owi, wyjaśnili, że pragną zorientować się, czy Rosja będzie w stanie kontynuować wojnę i czy można mieć nadzieję, że zdobędzie się na wysiłek, który pozwoli zrealizować francuski program pokojowy. Ambasador radził rzeczowo, aby socjaliści francuscy zdobyli zaufanie Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich i wykazali jej, że losy rewolucji zależą od losów wojny i, że armia rosyjska powinna jeszcze odegrać swoją rolę. Paléologue poruszył również program pokojowy: trzeba go będzie - twierdził - dostosować do nowych warunków: na zachodzie nie widział powodów, aby „wyrzec się naszych dążeń i ograniczyć nasze nadzieje”, w Europie Wschodniej wszakże i w Azji Mniejszej „trzeba nam (!) będzie poświęcić nieco marzeń”.

Innymi słowy Francja i Wielka Brytania muszą zrealizować w pełni swe cele wojenne, Rosja natomiast będzie je musiała ograniczyć.

Sprawa owego programu pokojowego, owych celów wojennych przybierze później nieco inny obrót niż to sądził Paléologue: będzie to miało wpływ na stanowisko socjalistów francuskich.

Paléologue, literat rozmiłowany w historii, zapisał w swym dzienniku pod datą 14 kwietnia 1917 r.: „Gdy patrzę na nich (tj. na trzech socjalistów) w moich salonach myślę o zdumiewającym i paradoksalnym spekta-

klu, jakim jest ich obecność. Przez 25 lat Partia Socjalistyczna nie ustawała w atakach na alians francusko-rosyjski. A dziś trzech deputowani socjalistyczni przybyli bronić aliansu rosyjskiego ... przed Rosją”.

Prosto z ambasady trzech deputowani socjalistyczni pojechali złożyć wieńce na grobach ofiar rewolucji, tak jak dawniej przedstawiciele Republiki Francuskiej jeździli do Twierdzy Pietropawłowskiej składać wieniec na grobie cara-samowładcy Aleksandra III.

22 kwietnia 1917 r. przyjechał do Piotrogradu francuski minister przemysłu zbrojeniowego znany socjalista Albert Thomas i wsparł swym autorytetem przybyłych wcześniej kolegów.

Nie na wiele się to przydało. Misja socjalistów francuskich zakończyła się niepowodzeniem, przekonali się naocznie, że żołnierz rosyjski nie chce walczyć, a robotnik rosyjski domaga się pokoju. Dopiero w Piotrogradzie z ust rosyjskich parlamentarzysty francuscy dowiedzieli się o zawartej w lutym 1917 r. pomiędzy gabinetem Brianda i ostatnim rządem carskim ściśle tajnej umowy o obustronnym wzajemnym poparciu daleko idących celów wojennych Francji i Rosji. Znamienna była reakcja delegatów socjalistycznych - odstąpili od wszelkich aneksji, „trzeba wyrzucić balast” orzekli, los zaś Alzacji i Lotaryngii umyślili powierzyć plebiscytowi.

16 maja 1917 r. wyjechali z Piotrogradu tym samym pociągiem ostatni ambasador Francji przy dworze carów Maurice Paléologue i przedstawiciele socjalizmu Europy Zachodniej Moutet, Cachin, O'Grady, Thorne.



17 maja, gdy pociąg biegł wśród tysiąca jezior Finlandii, Moutet i Cachin odwiedzili Paléologue'a w jego wagonie. „W gruncie rzeczy - zwierzył się Moutet - rewolucja rosyjska ma słuszność. Nie jest to rewolucja polityczna, jest to rewolucją międzynarodowa. (...) Pokój można zrealizować jedynie według zasad; Międzynarodówki. Wniosek stąd jasny (...) socjaliści francuscy muszą się udać na konferencję sztokholmską, aby doprowadzić do zwołania pełnego zjazdu Międzynarodówki i przygotować ogólne podstawy pokoju”.

W drodze powrotnej Moutet i Cachin zatrzymali się w Sztokholmie i odbyli rozmowę z Hjalmarem Brantingiem. Branting wręczył im kwestionariusz, opracowany wspólnie przez socjalistów holenderskich i skandynawskich: przedstawiciele poszczególnych sekcji Międzynarodówki socjalistycznej mieli przybyć oddzielnie do Sztokholmu, odpowiedzieć na pytania kwestionariusza i rozważyć celowość zwołania międzynarodowej konferencji socjalistycznej.

W ciągu kilku najbliższych tygodni myśli Mouteta o Rosji i o konferencji sztokholmskiej nieco okrzepły. Prezydent Poincaré zanotował w swym dzienniku 5 czerwca 1917 r.: „Rozmowa z panem Mariusem Moutet. Zna on dobrze Rosję: sądzi, że jest ona zdolna do poważnego wysiłku. (...) Ale z drugiej strony nie można pokładać pełnej ufności w rewolucjonistach rosyjskich, są oni jednocześnie butni, bardzo dziecinni i trochę przebiegli. Byłoby rzeczą niebezpieczną pozostawić ich sam na sam z Niemcami. Trzeba im towarzyszyć i czuwać nad nimi”.

Toteż gdy 28 maja 1917 r. zebrała się rada narodowa SFIO przedstawiciel socjalistów większościowych Vincent Auriol i socjalistów mniejszościowych Adrian Pressemane zgłosili wniosek, aby socjaliści francuscy wzięli udział w konferencji sztokholmskiej. Po dyskusji, w której ekstremiści z obu stron wyrażali różne zastrzeżenia, uchwalono jednomyślnie, że przedstawiciele socjalizmu francuskiego powinni jechać do Sztokholmu. Interesująca była motywacja - lewica opowiadała się za udziałem w zjeździe ze względów zasadniczych, prawica, jak to określił Auriol, „domagała się pokoju, aby utrzymać Rosję w wojnie”.

Przed rządem stanęła teraz kwestia - dać socjalistom paszporty na wyjazd do Szwecji czy nie dać.

Nie była to rzecz łatwa do rozstrzygnięcia. Rządy musiały brać pod uwagę całą swą politykę wojenną, a zwłaszcza cele wojenne, musiały zważać na stosunki wewnętrzne, na nastroje zniechęcenia, wzrastającą niechęć do wojny. Wypadło też liczyć się z polityką Waszyngtonu. Antysztokholmskie stanowisko prezydenta Wilsona nie pozostało bez wpływu na politykę gabinetów w Paryżu i w Londynie.

Rozważano możliwe następstwa udziału socjalistów państw Koalicji w konferencji sztokholmskiej a także ich nieobecność w Sztokholmie. Obecność tych delegatów była niewątpliwie wodą na młyn niemiecki. Natomiast ich nieobecność na konferencji oznaczała złe wrażenie w opinii publicznej państw neutralnych, a w Niemczech zbliżenie do rządu wszystkich, którzy pragną pokoju sprawiedliwego.

We Francji kwestią paszportów zajął się najpierw Komitet Wojenny (*Comité de Guerre*). Chwila była trudna, od połowy kwietnia szerzyły się w armii bunty, które zręcznie tłumił nowy wódz naczelny generał Philippe Pétain. Na posiedzeniu Komitetu w dniu 31 maja Pétain odczytał raporty o buntach w dwóch pułkach piechoty; żołnierze postanowili opanować pociąg, jechać do Paryża i wysłać delegację do parlamentu z żądaniem zawarcia pokoju natychmiast. Głos zabrał prezydent Poincaré, zwracając się do generała Pétaina z „kategorycznym” pytaniem: „jeśli międzynarodowy kongres socjalistyczny odbędzie się w Sztokholmie, jeśli socjaliści francuscy spotkają się tam z Niemcami, aby dyskutować o warunkach pokoju, czy utrzyma Pan armię w rękę? Pétain odpowiedział jednym słowem: „Nie”! Odpowiedź ta przesądziła o stanowisku Komitetu. Minister wojny Painlevé oświadczył, że po deklaracji naczelnego wodza udzielenie paszportów socjalistom jest sprawą niemożliwą. Istnieje wszakże - mówił Painlevé - taki problem: jeśli kongres się odbędzie, spowoduje to bezwład naszej armii; odrzucenie zaproszenia rosyjskiego to bezwład armii rosyjskiej i 75 dywizji niemieckich spadnie na nasz front. Wątpliwości te rozwiął natychmiast Pétain. „Niebezpieczeństwo ataku 75 dywizji niemieckich nie jest tak groźne, jak demoralizacja naszej armii”.

Władcy w Berlinie - generalny kwatermistrz, kanclerz, sekretarz stanu spraw zagranicznych, cesarz - mogli jeszcze decydować o udziale socjalistów niemieckich w zjeździe sztokholmskim nie oglądając się zbyt-

nio na parlament, ani na opinię publiczną. Inaczej było w Paryżu, inaczej było w Londynie; tam rząd demokratyczny wydając decyzję musiał brać pod uwagę zarówno stanowisko parlamentu, jak i opinię publiczną.

W dniach 1 do 4 czerwca 1917 r. na tajnych posiedzeniach Izby Deputowanych - tzw. *Comité Secret* (Komitet Tajny) - toczyła się ożywiona dyskusja nad sytuacją kraju, nad stosunkami panującymi w wojsku; rzecz prosta, że wypłynęła, i to na jednym z miejsc naczelnych, sprawa udziału socjalistów francuskich w konferencji sztokholmskiej.

Moutet i Cachin złożyli relację z pobytu w Rosji podkreślając, że rewolucja rosyjska pragnie pokoju bez aneksji i bez odszkodowań i chce, aby wszystkie narody miały prawo decydowania o swym własnym losie. Cachin ujawnił przy tej sposobności umowę pomiędzy gabinetem Brianda i ostatnim rządem carskim o wzajemnym poparciu celów wojennych - lewy brzeg Renu i Konstantynopol. Niewiele miały te cele wspólnego z hasłem pokoju bez aneksji i bez odszkodowań. „Stan moralny kraju jest zły” - twierdził Cachin i prosił rząd o umożliwienie socjalistom francuskim udziału w konferencji sztokholmskiej.

Gorliwy udział w dyskusji wziął ruchliwy adwokat prowincjonalny, deputowany z Aubervilliers, wówczas jeszcze socjalista i to socjalista mocno jeszcze lewicujący, Pierre Laval. W długiej mowie Laval zanalizował sytuację, w której znalazł się kraj i w której znalazło się wojsko. Położenie Francji uznał za „tragiczne”. W następstwie wypadków rozgrywających się w Rosji pra-

wie wszystkie siły niemieckie ruszą do walki we Francji. W kraju szerzy się pogląd, że wroga nie zdoła się pokonać militarnie. „Czy Panowie chcecie czy nie chcecie - ciągnął Laval - niezależne od tego, jakie są Panów sentymenty i poglądy, w kraju zrodziła się wielka nadzieja, wiatr pokoju”. Mówcy przerwały w tym miejscu głosy: „Nie chcemy pokoju niemieckiego!” W konkluzji mówca domagał się od rządu zezwolenia na wyjazd delegatów socjalistów francuskich do Sztokholmu; do ławy rządowej skierował żądanie, aby rząd liczył się z nastrojami społeczeństwa, z nastrojami armii.

Agitacja pacyfistyczna była żywa. Któryś z członków komisji wojskowej Izby Deputowanych, któremu zlecono przeprowadzenie inspekcji w wojsku na froncie, notował w raporcie, że żołnierze w wielu jednostkach wołali: „Sztokholm! Precz z wojną! Nie chcemy wojny!”

Rzecz znamienita, na stanowisko rządu Rzeszy w sprawie sztokholmskiej nie wpłynęła fala strajków, które w kwietniu 1917 r. ogarnęły Niemcy, gdy rząd francuski w swych decyzjach pozostawał pod wpływem antywojennych nastrojów w społeczeństwie i buntów w wojsku.

Rzecz w tym zapewne, że w Niemczech protesty społeczne były wywołane głównie obniżeniem w kwietniu racji żywnościowych, we Francji zaś manifestacje miały wyraźnie oblicze antywojenne. Żołnierz niemiecki utrzymał dyscyplinę, buntował się żołnierz francuski.

Nie biegł prostą drogą rozwój wypadków w Wielkiej Brytanii. W angielskim ruchu robotniczym istniały cztery odłamy: Partia Pracy (*Labour Party*), Towarzystwo Fabiańskie (*Fabian Society*), Brytyjska Partia Socjalistyczna (*British Socialist Party*), Niezależna Partia Pracy (*Independent Labour Party*). Partia Pracy i Towarzystwo Fabiańskie opowiadało się zawsze za kontynuowaniem wojny do zwycięstwa. W Brytyjskiej Partii Socjalistycznej i w Niezależnej Partii Pracy przeważał kierunek antywojenny, pacyfistyczny.

9 maja 1917 r. zebrał się zarząd Labour Party i postanowił nie wysłać delegatów na konferencję socjalistyczną w Sztokholmie; sekcja holenderska Międzynarodówki nie była, zdaniem brytyjskich laburzystów, uprawniona do wysyłania zaproszeń na konferencję międzynarodową; w danej chwili konferencja nie ma konkretnych zadań i nie będzie miała żadnych uprawnień. Zarząd Labour Party postanowił natomiast zorganizować w połowie czerwca 1917 r. w Londynie zjazd przedstawicieli partii socjalistycznych wszystkich państw Koalicji ze Stanami Zjednoczonymi łącznie.

Zarząd postanowił też wysłać do Rosji delegację z laburzystowskim członkiem gabinetu wojennego ministrem Arthurem Hendersonem na czele. Celem tej podróży było przedyskutowanie z Radą Delegatów Robotniczych i Żołnierskich problemu wojny i zaproszenie jej przedstawicieli na planowaną w połowie czerwca konferencję londyńską.

Inaczej przedstawiała się sprawa konferencji sztokholmskiej. Ogromna większość członków Partii

Pracy wypowiedziała się przeciwko udziałowi w konferencji sztokholmskiej. Rząd natomiast wahał się; początkowo był zgodny ze stanowiskiem Partii Pracy, później wszakże przyszły refleksje - w Sztokholmie spotkają się i będą ze sobą fraternizowali socjaliści niemieccy i rosyjscy, a w takim razie byłoby rzeczą pożądaną wysłać do Sztokholmu delegację Partii Pracy i to delegację silną z Arthurem Hendersonem na czele. Przemawia za tym i ta okoliczność, że w zjeździe sztokholmskim pragnęli wziąć udział przedstawiciele Niezależnej Partii Pracy; wybierał się do Sztokholmu ich przywódca James Ramsay MacDonald.

Ostatecznie rząd zdecydował się wydać paszporty MacDonaldowi i jego dwóm czy trzem towarzyszom. Lloyd George rozumował w taki sposób: opinia publiczna w Anglii w ogromnej większości „jest całkowicie zdrowa”, tzn. popiera rząd koalicyjny i stoi na stanowisku konieczności wojennych, jeśli więc MacDonald przyjmie w Sztokholmie punkt widzenia socjaldemokratów niemieckich, zdyskredytuje go to w kraju, jeśli wyrażać będzie stanowisko Koalicji w sprawie Belgii, Alzacji i Lotaryngii, nieprzyjaciel przekona się, że w Anglii także i „skrajni socjaliści” wypowiadają się przeciwko Niemcom.

MacDonald nie mógł jednak wówczas wyjechać ani do Sztokholmu, ani - jak również zamierzał - do Piotrogradu, gdyż Związek Zawodowy Marynarzy zapowiedział, że marynarze nie pozwolą, aby statek, na którym znajdować się będzie przywódca Niezależnej Partii Pracy, odpłynął od brzegów Anglii.

Jakże dziwnymi korytami płyną dzieje! Kto wówczas, w roku 1917, mógł przewidzieć, że w czternaście lat później, w roku 1931, James Ramsay MacDonald stanie na czele koalicyjnego rządu Jedności Narodowej Wielkiej Brytanii, wstrząśniętej strajkiem marynarzy!

Do udziału socjalistów amerykańskich w konferencji sztokholmskiej nieprzychylnie ustosunkował się również rząd Stanów Zjednoczonych. Podobnie i komitet Wykonawczy Amerykańskiej Federacji Pracy (*American Federation of Labour*) uznał, że konferencja jest „przedwczesna i nie w porę”. Natomiast pojawili się w Sztokholmie i w dniach 20 i 21 czerwca 1917 r. konferowali z przedstawicielami Komitetu Holendersko-Skandynawskiego Max Goldfarb, delegat Socjalistycznej Partii Ameryki (*Socialist Party of America*), Boris Rheinstein, delegat Socjalistycznej Partii Pracy Ameryki (*Socialist Labour Party of America*) i D. Davidovitch, delegat Socjalistycznej Terytorialnej Partii Robotników Żydowskich Ameryki (*Socialist Territorial Party of Jewish Workers of America*). Boris Rheinstein oświadczył korespondentowi sztokholmskiemu dziennika kopenhaskiego „Politiken”, że w Stanach Zjednoczonych „rządzą Pierpont, Morgan i Wallstreet” i że wielcy kapitaliści wciągnęli Stany Zjednoczone do wojny.

Rzecz interesująca, że ci trzej delegaci przyjechali do Szwecji nie tylko bez uwierzytelnienia na piśmie, ale i bez paszportów. Poseł amerykański w Sztokholmie Morris zdumiewał się, w jaki sposób zdołali



przejsć przez kontrolę paszportową w Nowym Jorku i w Halifaksie.

Komitet holendersko–skandynawski postanowił tymczasem prowadzić narady z przedstawicielami tych partii socjalistycznych, które zgłosiły udział w konferencji sztokholmskiej.

Pierwszą rozmowę przeprowadził Komitet w dniach 21 i 22 maja 1917 r. z przedstawicielami socjalistów bułgarskich. Bułgarzy oświadczyli, że stoją na gruncie pokoju bez aneksji, zdobycia wszelako Macedonii i Dobrudży przez Bułgarię nie można poczytywać za aneksję. Dalsze rozmowy z socjalistami fińskimi, węgierskimi, czeskimi, ukraińskimi miały mniejsze znaczenie.

Wagę miały natomiast konferencje z socjaldemokratami niemieckimi w dniach 4 do 13 czerwca 1917 r. Z ramienia Komitetu prezydował Holender Pięter Gilles Troelstra, delegacji niemieckiej przewodniczył Friedrich Ebert. Po wstępnych powitaniach głos zabrał Philipp Scheidemann i w dłuższym, przeszło godzinnym przemówieniu wyjaśnił politykę, jaką Socjaldemokracja niemiecka prowadziła podczas wojny, zakończył złośliwym żądaniem, aby Międzynarodowe Biuro Socjalistyczne opublikowało zbiór dokumentów ilustrujących pracę na rzecz pokoju, w której nie ustawiali socjaliści państw Koalicji. Następny mówca „dzielny towarzysz” holenderski Henri Hubert van Koi w mało taktownym - według Scheidemanna - wystąpieniu mówił o winie Niemiec za wybuch wojny. Na zarzuty te odpowiedział w dwa dni później, 6 czerwca, Eduard

David. Opierając się na materiale, który miał wówczas do dyspozycji, z całym przekonaniem odrzucił zarzut wywołania wojny, kierowany pod adresem Niemiec. Mowa ta wywarła podobno na obecnych silne wrażenie, a dał temu wyraz przewodniczący Troelstra.

Na kolejnych posiedzeniach rozwinęła się dyskusja nad kwestionariuszem opracowanym przez Komitet Holendersko-Skandynawski, a rozesłanym wszystkim zaproszonym. Długi ten kwestionariusz mógł - zdaniem Scheidemanna - przynieść zaszczyt każdemu pruskiemu tajnemu radcy. Kwestionariusz poruszał jedynie sprawy Belgii, Alzacji i Lotaryngii, północnego Szlezewiku. Niemcy wnieśli tu zastrzeżenia: albo pokój ma przynieść nowy podział całego świata, a w takim razie należy zająć się losem Irlandii, Egiptu, Indii, Maroka, Trypolitanii, Malty, Gibraltaru. Albo dyskusja ma objąć tylko tereny, które wojna „poruszyła” (*in Bewegung gesetzt*)” lub, które zmieniły posiadacza, a w takim wypadku mowy być nie może ani o Alzacji i Lotaryngii, ani o Szlezewiku. Wywody te zrobiły podobno wrażenie na członkach Komitetu.

Eduard David, Hermann Müller i Philipp Scheidemann opracowali na piśmie odpowiedź delegacji niemieckiej na kwestionariusz Komitetu w formie obszernego memorandum.

„Socjaldemokracja niemiecka dąży do pokoju porozumienia” - te słowa otwierają memorandum. Socjaldemokracja niemiecka domaga się swobodnego rozwoju narodu i potępia gwałcenie życiowych interesów innych narodów. Pokój wtedy będzie trwały, gdy wszyst-

kim narodom umożliwi oddanie pełnych sił do pracy nad postępowaniem społecznym i rozwojem kulturalnym.

Socjaldemokracja niemiecka popiera postulat piotrogrodzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich pokoju bez aneksji i bez odszkodowań na podstawie samostanowienia narodów. Z tego wynika stanowisko Socjaldemokracji w poszczególnych kwestiach:

1. Socjaldemokracja niemiecka jest przeciwniczką przyłączania przemocą obcych terytoriów. W grę mogą wchodzić co najwyżej korektury graniczne dokonywane za obopólną zgodą. Odrzucenie wszelkich aneksji pociąga za sobą zwrot „wydartych kolonii”.

2. Należy odrzucić odszkodowania wojenne. Byłyby one zresztą możliwe do zrealizowania jedynie w razie zupełnej klęski jednej ze stron walczących.

3. Socjaldemokracja popiera przywrócenie państwowej niezależności (*Wiederaufrichtung der staatlichen Unabhängigkeit*). Nie określono wszakże, czy chodzi tu o państwa, których terytoria w toczącej się wojnie zajęły obce wojska całkowicie (Serbia), czy w znacznej części (Belgia), czy też o państwa, którym niepodległość odebrano dawniej (Polska). Odrzucić natomiast należy jednostronne zobowiązanie do odbudowy terytoriów zniszczonych w wyniku działań wojennych. Zniszczeń tych dokonały wojska obu stron walczących i nie sposób ustalić, w jakiej mierze było to dzieło jednej czy drugiej armii.

4. Prawo narodów do samostanowienia oznacza, że każdy naród ma prawo decydować, czy pragnie utrzy-

mać dotychczasowy stan rzeczy, czy uzyskać niepodległość polityczną (*Neuaufrichtung ihrer politischen Unabhängigkeit*). Do pierwszej grupy należą Belgia i Serbia. Socjaldemokracja niemiecka opowiada się za niepodległością; Belgia nie powinna być wasalem ani Niemiec, ani Francji, ani Wielkiej Brytanii. Co do Serbii socjaldemokraci niemieccy podzielają punkt widzenia towarzyszy austriackich. Do drugiej grupy należą narody, które dawniej już utraciły niepodległość, obecna zaś wojna wyzwoliła je spod obcej przemocy. Chodzi tu o „Polskę Kongresową” i o Finlandię.

Trzecią grupę tworzą - narody o wysokiej kulturze, które dawniej padły ofiarą przemocy, a których położenie uległo zmianie podczas obecnej wojny. Są to: Irlandia, Egipt, Trypolitania, Maroko, Indie, Tybet, Korea. Socjaldemokraci niemieccy odnoszą się z sympatią do aspiracji tych narodów i cieszyliby się, gdyby socjaliści państw uciskających te narody podnieśli głos w sprawie ich wyzwolenia.

5. Autonomia narodowościowa: socjaldemokraci niemieccy popierali i nadal popierać będą „autonomię kulturalną mniejszości narodowych” (*der innerhalb eines grösseren Staatsverbandes eingegliederten fremdsprachigen Teile*). Jeśli chodzi o Rzeszę, dotyczy to obywateli języka duńskiego, polskiego i francuskiego.

6. Alzacja i Lotaryngia: Kraj ten nie był nigdy państwem niepodległym, jego mieszkańcy etnograficznie i językowo należą w 9/10 do narodu niemieckiego, a tylko w 1/10 są Francuzami. Alzacja i Lotaryngia wcho-

działa w skład Rzeszy, swego czasu Francuzi gwałtem oderwali kraj ten od Niemiec. Traktat frankfurcki przywrócił mu w 1871 r. jego dawną przynależność państwową. Przyłączenie Alzacji i Lotaryngii do Francji byłoby aneksją terytorium obcojęzycznego. Socjaldemokraci niemieccy domagają się, aby Alzacja i Lotaryngia była „samodzielnym państwem związkowym” (*selbständiger Bundesstaat*) i cieszyła się demokratycznym ustawodawstwem i administracją.

Życie międzynarodowe pragną socjaldemokraci niemieccy oprzeć na takich zasadach: międzynarodowe rozjemstwo, „ponadpaństwowa organizacja prawa” (*eine überstaatliche Rechtsorganisation*) dla zapobieżenia gwałcenia umów międzypaństwowych, rozbrojenie, wolność mórz.

Socjaldemokraci niemieccy gotowi są bez zastrzeżeń wziąć udział w powszechnej socjalistycznej konferencji w sprawie pokoju, gdyż uważają za obowiązek każdego socjalisty działanie na rzecz pokoju.

Po powrocie ze Sztokholmu delegaci socjaldemokratyczni złożyli sprawozdanie kanclerzowi Bethmanowi. Żądali przy tej sposobności, aby rząd Rzeszy jasno przedstawił niemieckie cele wojenne; zwrócili uwagę kanclerzowi, że Rosjanie domagają się obecnie pokoju porozumienia; „mamy tu pierwszego sprzymierzeńca, musimy utworzyć front pokoju przeciwko politykom przemocy po tamtej stronie. Teraz świat musi poznać naszą gotowość do zawarcia pokoju”. Tłumaczyli dalej kanclerzowi, że frakcja socjaldemokratyczna nie będzie mogła głosować za kredytami wojennymi,

jeśli Niemcy nie opowiedzą się stanowczo za pokojem porozumienia.

Kanclerz, jak również sekretarz stanu Zimmermann nie szczędzili delegatom socjaldemokratycznym uznania; na prośbę Bethmanna Scheidemann sporządził na piśmie sprawozdanie z rozmów sztokholmskich, kanclerz wysłał je do Kwatery Głównej. Zadowolenia nie taił i sam cesarz, we właściwym sobie języku dał temu wyraz: „Świetnie się fechtowali w Sztokholmie”.

Zadowolenie cesarza, kanclerza, sekretarza stanu spraw zagranicznych było w pełni uzasadnione. Socjaldemokraci niemieccy pracowali w Sztokholmie przyśłowio *pour le roi de Prusse*. Ich ogólnikowe zalecenia odpowiadały celom polityki rządu Rzeszy. Niemcy mieli odzyskać kolonie i nie płacić odszkodowań. Postulat dotyczący „Polski Kongresowej” i Finlandii pozwalał na realizowanie celów wojennych, które określały brzydkim terminem „Mitteleuropa”.

W dniach 22 do 26 czerwca 1917 r. Komitet Holendersko–Skandynawski konferował z przedstawicielami Niezależnej Socjaldemokratycznej Partii Niemiec. Niezależni postawili żądania dalej idące, domagali się przywrócenia niepodległości Belgii i Serbii, plebiscytu w Alzacji i Lotaryngii, pełnej „niezależności partii socjalistycznych” od rządów imperialistycznych. Gdyby rządy wzdragały się wszcząć rokowania o pokój bez aneksji i bez odszkodowań, niezależni żądali, aby partie socjalistyczne głosowały przeciwko przyznaniu kredytów wojennych. Mówili też o „energicznej międzynarodowej akcji mas ludowych”.

Interesuje nas żywo stanowisko przedstawiciela socjalizmu polskiego. Przedstawiciel Polskiej Partii Socjaldemokratycznej Galicji i Śląska Ignacy Daszyński przyjechał do Sztokholmu w połowie lipca 1917 r. Porozumiał się z Brantingiem i Huysmansem i otrzymał z ich rąk kwestionariusz Komitetu Holendersko-Skandynawskiego. Odpowiedzią na kwestionariusz był memoriał Daszyńskiego, datowany 26 lipca, wręczony Brantingowi 27 lipca.

Daszyński wyjaśniał, że występuje jedynie w imieniu PPSD Galicji i Śląska, ponieważ niemieckie władze okupacyjne w Warszawie odmówiły paszportów przedstawicielom PPS. Zaznaczył przy tym, że „obie partie tworzą od 26 lat wspólną delegację w Międzynarodówce i wbrew podziałom Polski uznają i przeprowadzają jednolitą walkę o wyswobodzenie swego narodu”. „My polscy socjalni demokraci - pisał Daszyński - członkowie Międzynarodówki oświadczamy, że żądamy wolnej, niepodległej, zjednoczonej Polski jako rezultatu wojny światowej i, że zwracamy się z tym żądaniem do Międzynarodówki jako do reprezentacji światowej demokracji społecznej, wyzwalającej narody. Jeżeli pokój świata ma się oprzeć nie na gwałcie, lecz na sprawiedliwości i międzynarodowej solidarności, żądamy dla siebie wszelkich praw wolnego narodu: niepodległego, zjednoczonego państwa polskiego. (...) Bez wolnej Polski nie widzimy w Europie możliwości trwałego pokoju, opartego na demokracji. (...) Czyż Międzynarodówka może spokojnie patrzeć na to, że 20 milionów cywilizowanego narodu w środku Europy miałoby pozostać

w niewoli, ponieważ potężne państwa są ich sąsiadami? Wówczas hasło braterstwa brzmiałoby jak szydercza ironia”. W sprawach ogólnych memoriał Daszyńskiego opowiadał się za „zwierzchnim prawem ludzkości nad państwami i narodami”.

Daszyński postawił sprawę niepodległości Polski, a zaledwie lekko dotknął spraw ogólnych, spraw pokoju. Warto może zapoznać się w tym właśnie miejscu z ogłoszonym później programem socjalistów francuskich, ich odpowiedzią na kwestionariusz Komitetu Holendersko–Skandynawskiego, odpowiedzią udzieloną nie bezpośrednio, lecz w druku na łamach dziennika „L’Humanité” w numerach od 4 do 16 października 1917 r. Socjaliści francuscy stawiali takie warunki przyszłego pokoju:

1. Plebiscyt w Alzacji i Lotaryngii.
2. Oswobodzenie terytoriów okupowanych.
3. Odszkodowania dla Belgii i dla Luksemburga.
4. Utworzenie niepodległego Państwa Polskiego złożonego ze wszystkich ziem, których ludność opowie się za przynależnością do Polski.
5. Plebiscyt w północnym Szlezwiku.
6. Plebiscyt na terytoriach włoskich wchodzących obecnie w skład monarchii habsburskiej.
7. Prawo samostanowienia dla Litwy, Finlandii, Ukrainy i Armenii, kraje te będą mogły utworzyć albo państwa związkowe, albo państwa niezależne.
8. Równouprawnienie i wolność kulturalna dla Żydów.



9. Autonomia dla tych krajów kolonialnych, których ludność osiągnęła już pewien stopień cywilizacji.

10. Traktat pokoju zostanie podpisany przez przedstawicieli wszystkich państw świata i oddany pod gwarancję Ligi Narodów.

Sprawa zjazdu socjalistycznego nie przestawała budzić zainteresowania i na wschodzie, i na zachodzie.

Na uwagę zasługuje próba nieudana odbycia konferencji sztokholmskiej pod patronatem Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Przedstawiciele Rady przybyli 3 lipca 1917 r. do Sztokholmu i przeprowadzili rozmowy z Komitetem Holendersko–Skandynawskim. W ich wyniku ogłoszono 12 lipca wspólne wezwanie „zwołania międzynarodowej konferencji świata socjalistycznego pod sztandarem rewolucji rosyjskiej”. Cel konferencji „zjednoczenie wszystkich sił międzynarodowego proletariatu dla osiągnięcia pokoju bez aneksji i bez odszkodowań, opartego na prawie narodów do samostanowienia”.

Konferencję projektowano rozpocząć w Sztokholmie 15 sierpnia. A oto punkty przewidzianego porządku dziennego:

1. Wojna światowa a Międzynarodówka
2. Program pokojowy Międzynarodówki
3. Środki i sposoby realizacji tego programu i szybkiego zakończenia wojny.

Przeciwko tak planowanej konferencji wystąpili ostro bolszewicy w przekonaniu, że godziła ona w interesy proletariatu i rewolucji.

Konferencja nie doszła do skutku. Odbyła się natomiast w Sztokholmie w dniach od 5 do 12 września 1917 r. Konferencja Zjednoczenia Zimmerwaldzkiego. Wzięło w niej udział 35 delegatów z 12 państw walczących i neutralnych. Przybyli m.in. przedstawiciele SDKPiL Jakub Firstenberg–Hanecki i Karol Radek; nie było natomiast przedstawicieli socjalizmu francuskiego, ani angielskiego. Manifest, uchwalony przez zjazd, wzywał proletariata do strajku powszechnego, który zakończyć miał wojnę. Ogłoszenie wszakże manifestu odroczone; miało to nastąpić dopiero po przyjęciu jego też przez partie, które nie były na zjeździe reprezentowane.

Działania socjalistów angielskich i francuskich poszły w nieco innym kierunku. W dniach 28 i 29 sierpnia 1917 r. odbyła się w Londynie konferencja delegatów partii socjalistycznych państw Koalicji. Zjazd rozpoczął pracę uchwałą jednomyślnie podjętą, zawierającą protest przeciwko odmowie wydania paszportów uczestnikom projektowanej konferencji socjalistycznej w Sztokholmie. Komisja powołana do ułożenia warunków pokoju nie zdołała osiągnąć porozumienia co do tekstu deklaracji o celach wojennych. Znaczne różnice zdań wystąpiły również w komisji obradującej nad sprawami konferencji sztokholmskiej. Ostatecznie postanowiono utworzyć nową komisję, która pracować miała nad przygotowaniem nowego zjazdu socjalistów państw Koalicji.

Tymczasem Komitet Holendersko–Skandynawski pomimo wszelkich przeciwności nie tracił nadziei, że

zdoła urzeczywistnić plan odbycia międzynarodowej konferencji socjalistycznej w Sztokholmie. Planowano jej otwarcie w dniu 9 września 1917 r.; okazało się jednak, że sprawa paszportów dla delegatów francuskich i angielskich nie zostanie do tego czasu załatwiona, termin więc znowu przesunięto, tym razem bez wskazania daty. Komitet prowadził jednak nadal prace przygotowawcze. Podstawą do nich były rozmowy z przedstawicielami partii zaproszonych na konferencję sztokholmską.

Delegaci 25 partii - jak wiemy - przybyli w różnych terminach do Sztokholmu i mogli wyłożyć swój punkt widzenia; gdy przyjazd delegatów nie był możliwy, partia przesyłała Komitetowi memoriał na piśmie. Wszystkie partie zgadzały się na zasadę pokoju bez aneksji i bez odszkodowań, różnice zdań wystąpiły w sprawach dotyczących ułożenia stosunków w Europie. Uderzała rozbieżność poglądów w kwestii zapobiegania wojnie. Gdy socjaliści prawicowi przyszłość wiązali z Ligą Narodów, zimmerwaldczycy sposób na utrzymanie pokoju widzieli w rewolucji społecznej, która zniszczy kapitalizm.

Komitet Holendersko-Skandynawski na podstawie tych memoriałów i materiałów z konferencji z delegatami przybyłymi do Sztokholmu opracował program pokoju. 10 października 1917 r.<sup>39</sup> został on opublikowany.

Stanowisko Komitetu było następujące: „Europę trzeba ratować”. Wojna, która trwa już trzy lata nie rozwiązała dotąd żadnych problemów, które ją wywo-

ły i wątpliwe, czy zdoła je rozwiązać. Jak dotąd, jedynym pozytywnym wynikiem wojny jest wyzwolenie się klasy robotniczej Rosji z więzów caratu.

Wojna nie jest sposobem rozwiązania konfliktów ani politycznych, ani gospodarczych. Świat zaczyna rozumieć, że należy usunąć system przemocy i zastąpić go panowaniem prawa. Jest to zasada rozjemstwa międzynarodowego, a wiąże się z nią utworzenie Ligi Narodów; nie będzie to od razu instytucja w pełni ukształtowana, ale będzie miała organiczną zdolność rozwoju. Tylko pokój zawarty na takich podstawach będzie pokojem trwałym, pokojem pojednania. Pokój taki zostanie urzeczywistniony na zasadzie *status quo ante bellum*, bez aneksji, ale z ewentualnymi korekturami granicznymi, i bez odszkodowań. Pokój taki przyniesie narodom wolność, a co najmniej możliwość swobodnego narodowego rozwoju.

Jeśli Międzynarodówka uzgodni wszystkie sprawy związane z pokojem, przyspieszy jego zawarcie.

Komitet proponuje takie wskazania:“

1. Warunki ogólne:

Nie będzie aneksji. Wszystkie terytoria w Europie zajęte przez obce wojska, a także kolonie, wrócą pod zwierzchnictwo państwa, do którego należały przed wojną. Pełny powrót do całkowitej niezależności i terytorialnego stanu posiadania państw, które podczas wojny niepodległość utraciły całkowicie lub częściowo. „W interesie trwałego pokoju” można tu będzie wprowadzić w życie korektury graniczne z uwzględnieniem woli miejscowej ludności.

Wyrzeczenie się odszkodowań nie wyklucza zwrotu należności za rekwizycje wojenne. Odbudowa zniszczonych terytoriów powinna się dokonać z pomocą funduszu międzynarodowego.

Państwa wielonarodowościowe powinny się przekształcić w państwa związkowe.

## 2. Postanowienia szczegółowe:

Pełna gospodarcza i polityczna niepodległość Belgii; autonomia kulturalna Flandrii i Walonii. Decyzji Trybunału Rozjemczego w Hadze może być przedstawiona sprawa wynagrodzenia szkód wyrządzonych przez wojska niemieckie w Belgii; wynagrodzenie takie zapowiedziała deklaracja rządu Rzeszy z 4 sierpnia 1914 r.

Rozwiązanie kwestii Alzacji i Lotaryngii przez plebiscyt.

Pełna niezależność gospodarcza i polityczna Serbii połączonej z Czarnogórą.

Utworzenie wolnej i niepodległej Polski z zapewnieniem jej rozwoju gospodarczego; autonomia mniejszości żydowskiej, a także innych mniejszości. Polskie terytoria położone w Austrii i w Prusach otrzymać powinny najdalej idącą autonomię.

Autonomia personalna w Rosji, Austrii, Rumunii i w Polsce. Ochrona Niezależność Finlandii, która pozostanie wszakże związana z Rosją.

Czechy będą państwem związkowym w monarchii habsburskiej.

Niezależność polityczna Irlandii w obrębie Wielkiej Brytanii.

Międzynarodowy charakter rozwiązania sprawy żydowskiej.

Autonomia personalna w Rosji, Austrii, Rumunii i w Polsce. Ochrona kolonizacji żydowskiej w Palestynie.

Państwa zawierające pokój, aby zapewnić mu charakter trwały tworzą Ligę Narodów na zasadzie przymusowego rozjemstwa i powszechnego rozbrojenia, z wyłączeniem wojen gospodarczych i rozszerzeniem kontroli parlamentarnej na politykę zagraniczną.

Historyk francuskiego socjalizmu nazwał planowany zjazd sztokholmski „ostatnią szansą przeżycia II Międzynarodówki”.

Istotnie, gdyby rzeczywiście odbył się zjazd przedstawicieli wszystkich partii socjalistycznych obu obozów walczących, mógłby odegrać rolę dużą, niewątpliwie znaczniejszą niż pokojowe deklaracje przedwojennych zjazdów w Stuttgarcie i w Bazylei; odmienna była przecież sytuacja. Czy położyłby kres wojnie? To inna sprawa i zapewne należałoby dać tu odpowiedź negatywną. Ale z pewnością wszystkie rządy musiałyby poważnie wziąć pod uwagę dyskusje prowadzone na zjeździe, jego postanowienia, a nawet sam fakt spotkania podczas wojny przedstawicieli robotników wszystkich państw walczących.

## **74. Papieska inicjatywa pokojowa w 1917 r.**

Wybuch wojny uznano w Watykanie za nieszczęście i katastrofę nie tylko z moralnego, ale i z kościelno-politycznego punktu widzenia. Hamowanie, w wie-

lu przypadkach wręcz uniemożliwienie pracy, trudności w porozumiewaniu się ze światem katolickim - oto zjawiska, które wystąpiły wkrótce po rozpoczęciu działań wojennych. Pesymistyczny nastrój kurii rzymskiej wzmagały jeszcze wyłaniające się możliwości zakończenia wojny. Wygrana Koalicji oznaczała zwycięstwo antyklerykalnej, wojującej z Kościołem Francji, protestanckiej Anglii i prawosławnej Rosji. Wygrana Państw Centralnych to zwycięstwo Niemiec, gdzie wprawdzie silne były wpływy katolickie, ale gdzie mimo wszystko dominowały protestanckie Prusy i gdzie z dala pojawiało się na horyzoncie widmo nowego kulturkampfu.

Strona moralno-polityczna nastroczała również sporo trudności. Wszystkie walczące narody, wszystkie narody po obu stronach frontu uznawały toczącą się wojnę za wojnę obronną, tzn. słuszną i sprawiedliwą. Ale nowy papież Benedykt XV, podobnie jak jego poprzednik Pius X, wyraźnie odróżniał stanowisko Austro-Węgier od stanowiska Niemiec, uważał, że Austro-Węgry miały słuszość w sporze z Serbią, potępiał natomiast pogwałcenie neutralności Belgii przez Niemcy.

Pius X zmarł 20 sierpnia 1914 r.; według powszechnego mniemania wybuch wojny miał przyspieszyć zgon świątobliwego papieża. 3 września 1914 r. konklawe, po raz pierwszy od wielu lat obradujące wśród huku armat, powołało na Stolicę św. Piotra arcybiskupa Bolonii kardynała Giacomo delia Chiesa. Nowy papież przybrał imię Benedykta XV.

Potomek północnowłoskiej rodziny arystokratycznej urodził się w Genui 21 listopada 1854 r. Niski, wąty, z wydatnym nosem, był zarówno wyrobionym, biegłym dyplomata, jak gorliwym duszpasterzem. Długie lata pracował u boku profrancuskiego kardynała Rampolli najpierw w nuncjaturze w Madrycie, później w Sekretariacie Stanu. Za pontyfikatu Piusa X popadł w zatarg z ówczesnym sekretarzem stanu kardynałem Merry del Val, w 1907 r. został usunięty z Kurii i wysłany, a jak mówili niektórzy „zesłany”, do Bolonii na tamtejszą katedrę arcybiskupią. Kapelusze kardynalski otrzymał późno, dopiero w maju 1914 r. W Bolonii zajmował się wyłącznie i bardzo gorliwie pracą duszpasterską.

Od chwili wyboru Benedykt XV pracował usilnie na rzecz pokoju. W licznych ekshortacjach (8 września i 6 grudnia 1914 r., 25 maja, 28 lipca i 6 grudnia 1915 r., 4 marca i 30 lipca 1916 r., 10 stycznia i 5 maja 1917 r.) wzywał świat do położenia kresu bratobójczym walkom. Papież wołał, że „ogarnia go trwoga wobec potwornego widowiska tej wojny, gdzie przelewa się krew chrześcijańska”. Powtarzał, że Europa „dopuszcza się samobójstwa”, że „okrywa się hańbą”. Chciał nie tylko protestować, chciał działać i z góry określał charakter swego działania: „Papież nie jest neutralny, papież jest bezstronny”.

Niepokoje budziła w Watykanie kwestia Włoch, jeśli Włochy wezmą udział w wojnie, skomplikuje to jeszcze bardziej ciężkie, kłopotliwe i tak położenie Stolicy Apostolskiej i utrudni jej kontakt z episkopatami



i wiernymi w państwach obozu przeciwnego Włochom. Brano również pod uwagę możliwość wybuchu we Włoszech rewolucji i wszystkie tego konsekwencje.

Losy innego jeszcze mocarstwa budziły najwyższe zainteresowanie Stolicy Apostolskiej. Była nim monarchia habsburska, jedyne wielkie mocarstwo, które głosiło swój charakter katolicki. Nie znaczy to wszakże, aby stosunki pomiędzy Watykanem a Wiedniem i Budapesztem układały się zawsze pomyślnie. Były zadrażnienia w okresie rządów liberalnych w Austrii i wypowiedzenie w dniu 30 lipca 1870 r. konkordatu z 1855 r.; był konflikt z Węgrami w końcu wieku XIX, był w początku wieku XX zatarg z Austrią wywołany działalnością Wahrmunnda. Co więcej, kardynał Rampolla, długoletni (1887–1903) sekretarz stanu Leona XIII, był przeciwnikiem monarchii habsburskiej i był przeświadczony o jej nieuniknionym upadku w niezbyt odległej przyszłości. Później, w każdym razie za pontyfikatu Piusa X i Benedykta XV, Stolica Apostolska wszystkimi swymi wpływami nie tylko popierała Austro–Węgry i pragnęła chronić je przed rozbiciem, ale dążyła do ich wzmocnienia.

Wzgląd na monarchię habsburską wpływał na różne posunięcia dyplomatyczne Watykanu, na próby tajnego pośrednictwa pomiędzy Włochami a Austrią, na faworyzowanie rozwiązania austro–polskiego.

Aż do 1 sierpnia 1917 r. papież nie wychodził w swych wystąpieniach poza ogólniki, nie wysuwał konkretnego programu pokojowego. Nie ulega wszakże wątpliwości, że poza kwestią włoską, poza kwestią Au-

stro–Węgier istniały zagadnienia polityczne, które w Watykanie starannie opracowywano. Należała do nich sprawa przyszłego kongresu pokojowego. Pamiętano w kurii, że na kongresie wiedeńskim, który po ćwierćwieczu wojen rewolucyjnych i napoleońskich ustalał w latach 1814–1815 sprawy Europy, Stolica Apostolska wzięła żywy udział, że reprezentował ją wybitny mąż stanu kardynał Ercole Consalvi i potrafił wysoko podnieść międzynarodowy autorytet papieżstwa i jak się wyrażał Benedykt XV, wyprowadzić je z letargu, w jaki popadło w XVIII w. Benedykt XV znał dobrze historię i z zainteresowaniem wspominał kongres wiedeński i Consalviego; był przeświadczony, że po wojnie zbierze się międzynarodowa konferencja pokojowa i, podobnie jak sto lat wcześniej w Wiedniu, rozwiąże i ureguluje powikłane sprawy Europy. Papież nie mógł sobie wyobrazić, aby można było przywrócić pokój pomiędzy narodami bez wielkiej konferencji pokojowej. Udział Stolicy Apostolskiej w sprawach konferencji poczytywał za oczywisty i konieczny z uwagi na jej wysoką pozycję międzynarodową, jak i na poważne znaczenie katolików w świecie. Wprawdzie delegata Watykanu nie zaproszono na konferencję rozbrojenia w Hadze, ale papież uważał to za nieporozumienie, które nie będzie mogło się powtórzyć. Dyplomacja watykańska wszczęła dyskretnie prace przygotowawcze do przyszłej konferencji pokojowej.

Benedykt XV nie domyślał się, że Włochy traktem londyńskim z 26 kwietnia 1915 r. uzyskają zapewnienie trzech mocarstw Koalicji, iż Stolica Apostolska

nie zostanie zaproszona do wzięcia udziału w pracach kongresu pokojowego.

Stolica Apostolska utrzymywała dużo żywsze kontakty dyplomatyczne z Państwami Centralnymi niż z Koalicją; z państw Koalicji reprezentację dyplomatyczną miały jedynie Belgia i Rosja, a dopiero 2 grudnia 1916 r. rozpoczął czynności hr. John F.Ch. de Salis, brytyjski poseł nadzwyczajny „w misji umyślnej przy Stolicy Apostolskiej”. Francja wysłała podczas wojny do Watykanu jedynie nieoficjalnego obserwatora. Wprawdzie z końcem 1914 r. minister spraw zagranicznych Delcassé i minister wojny Millerand uważali za właściwe wznowić z Watykanem przerwane od 1904 r. stosunki dyplomatyczne, ale oparła się temu większość gabinetu. Premier Viviani zdecydował się wówczas na wysłanie do Watykanu półoficjalnego obserwatora. Został nim Charles Loiseau, publicysta, współpracownik „La Revue de Paris”; znał on dobrze stosunki rzymskie, rząd francuski niejednokrotnie posługiwał się nim w misjach poufnych. Gdy Briand objął 29 października 1915 r. prezesurę gabinetu i tekę spraw zagranicznych zamyślał o wznowieniu przy Stolicy Apostolskiej ambasady francuskiej; myśl tę popierali i Paul Painlevé, i socjalista Marcel Sembat, ale nadal zwalczała ją antyklerykalna większość republikańska.

Inaczej Państwa Centralne, interesów ich broniły: ambasada Austro–Węgier, poselstwo bawarskie, poselstwo pruskie.

W grę wchodziły jeszcze przyczyny merytoryczne i miały zapewne większe znaczenie - Koalicja z wyjąt-

kiem Belgii nie życzyła sobie pośrednictwa papieskiego, o pośrednictwo takie zabiegała dyplomacja Państw Centralnych, nie dlatego, aby rzeczywiście chciała widzieć papieża mediatorem w wielkim konflikcie światowym; pragnęły tego zapewne jedynie Austro–Węgry, Niemcom natomiast szło wyłącznie o sondowanie terenu, o badanie, czy po stronie Koalicji istnieje gotowość wszczęcia rozmów na temat pokoju, jak daleko mogłaby pójść ta gotowość. Zorientować się w tej materii byłaby to sprawa cenna zarówno z politycznego, jak militarnego punktu widzenia. Liczono też może na wywołanie nieporozumień w przeciwnym obozie. Jednym ze środków wiodących do tego celu była sprawa belgijska, Niemcy badali dyskretnie, a chcieli w tę grę wciągnąć dyplomację papieską, czy zdołano by uzyskać zgodę króla Alberta na powrót do Brukseli za cenę podporządkowania się Rzeszy. Nie dało to rezultatu, ale charakteryzuje metody i taktykę dyplomacji niemieckiej.

Metody te charakteryzowała też próba pozyskania Stolicy Apostolskiej mirażem rozwiązania kwestii rzymskiej, kwestii przywrócenia władzy świeckiej papieża.

Ale i ze strony Koalicji, chociaż w słabszym zakresie, próbowano badać teren. Włoski minister spraw zagranicznych Sydney Sonnino zabiegał o wykluczenie papieża z konferencji pokojowej, ale poufnie pozostawał w niejakich stosunkach z Watykanem i w grudniu 1916 r. dyskretnie dał do zrozumienia, że Włochy byłyby skłonne wszcząć z Państwami Centralnymi dyskusję na temat warunków pokoju. Jeszcze w grudniu 1916

r. nuncjusz apostolski w Wiedniu Valfre di Bonzo wręczył tamtejszemu ambasadorowi Rzeszy Botho von Wedelowi propozycje pokojowe w jedenastu punktach; złożyć je miał w Watykanie „dobrze zorientowany przyjaciel Koalicji”. Znalazły się tam wolność mórz, powszechne rozbrojenie, zwrot Francji części Lotaryngii w zamian za rekompensatę np. w koloniach, pełna niezależność Belgii, oddanie na podstawie plebiscytu tych prowincji austriackich, gdzie dominuje język włoski, Triest wolnym miastem i wreszcie Polska niepodległa pod berłem monarchy z dynastii niepanującej w żadnym z państw walczących. Byłoby to państwo utworzone wyłącznie z ziem zaboru rosyjskiego; Rosja dostałaby rekompensatę w Armenii.

Rzecz prosta, nic konkretnego, nawet w sensie dalszych rozmów z tych sondaży nie wynikło, bo wyniknąć nie mogło. Jedynie pewna orientacja w metodach i środkach działania stron obu.

Gdy Państwa Centralne wystąpiły 12 grudnia 1916 r. z propozycjami pokojowymi, poseł pruski przy Watykanie Otto von Mühlberg powiadamiając o tym kroku kardynała sekretarza stanu Pietro Gasparriego dodał, że rząd Rzeszy spodziewa się „cennego poparcia” Stolicy Apostolskiej. Cel był jasny - niechaj papież opowie się publicznie za akcją Państw Centralnych. Nie znalazło to echa w Watykanie; papież i sekretarz stanu jedynie usiłowali dyskretnymi drogami skłonić strony walczące do wypowiedzenia się co do warunków pokoju.

W końcu grudnia 1916 r. substytut w Sekretariacie Stanu Stolicy Apostolskiej monsignore Federico Tede-

schini rozmawiał poufnie z dziennikarzem francuskim Charlesem Loiseau, nieoficjalnym obserwatorem w Rzymie. Tedeschini wyraził pogląd, że nadszedł czas, aby strony walczące zaznajomiły rządy państw neutralnych „według własnego wyboru”, w razie potrzeby z zastrzeżeniem tajemnicy, na jakich warunkach skłonne byłyby zawrzeć pokój. Loiseau odparł z uśmiechem: „Monsignore uważa, iż państwa wojujące powinny się wypowiadać u neutralnych”. W tym samym żartobliwym tonie replikował Tedeschini, że Loiseau świetnie uchwycił jego myśl, gdyż spowiedź zawiera warunek tajemnicy. Podał dalej przykłady z historii i z życia codziennego, że często strony pozostające w konflikcie bliższe są wzajemnego porozumienia niż to sobie wyobrażają. Z rozmowy tej Loiseau odniósł wrażenie, że Niemcy i Austro–Węgry przedstawiły Stolicy Apostolskiej szczegółowy program swych warunków pokojowych; program ten był, zdaniem Loiseau, daleki od istotnych zamiarów Państw Centralnych, ale był tak zredagowany, aby zjednać dlań sympatie Watykanu i pozyskać jego pomoc dyplomatyczną.

Niemcy istotnie usiłowali pozyskać poparcie dyplomacji papieskiej, ale zbywało na chęci odkrycia kart. Próba zaś posłużenia się mediacją watykańską dla wszczęcia rozmów z królem Albertem belgijskim pozostała bez skutku.

Sytuacja zmieniła się zasadniczo, gdy w Rosji wybuchła rewolucja i runął carat. Wybuch rewolucji w Rosji uznano w Watykanie za wydarzenie doniosłością górujące nad wszystkim. Już w kwietniu 1917 r.

poczytywano nie tylko autokrację carską, ale i burżuazję rosyjską za elementy przeżyte. „Prowadzony przez Anglię na pasku liberalizujący kapitalizm kadetów nie wydaje się siłą kierującą”. Siłę upatrywano w socjalizmie. Nie orientowano się jedynie, czy będzie on zjawiskiem przejściowym, czy też przez czas dłuższy odgrywać będzie rolę kierowniczą. Socjaliści z przyrodzonych skłonności, z wyrachowania i z potrzeby dążą do pokoju i w tym kierunku działają. Jeśli Rosja zawrze pokój przed wejściem Stanów Zjednoczonych do wojny, Koalicja znajdzie się w położeniu trudnym. Ale rządy Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch będą pomimo wszystko usiłowały prowadzić wojnę nadal. Jeśli więc papież podejmie wielką akcję na rzecz pokoju, narazić się może na wrogie kroki ze strony Koalicji, a przede wszystkim masońskiego, antyklerykalnego rządu włoskiego. Rządy te poruszą opinię publiczną w swych krajach, agitować będą w duchu antypapieskim pośród katolików. Ale sytuacja byłaby jeszcze groźniejsza, gdyby papież milczał, gdyż wielu ludzi mogłoby wprost odejść od Kościoła. Zwycięstwo Państw Centralnych niosło z sobą dwa niebezpieczeństwa: możliwość nowego kulturkampfu w Niemczech i rewolucji we Włoszech.

Takiej treści memoriał przedstawił Stolicy Apostolskiej w kwietniu 1917 r. wybitny publicysta katolicki Viktor Naumann. Wnioski płynące z memoriału to konieczność podjęcia przez papieża akcji mediacyjnej; jej celem - zakończenie wojny możliwie szybko bez zwycięzców i bez zwyciężonych.

Memoriał wywarł w Watykanie wpływ niemały.

Wiosną 1917 r. dyplomacja papieska rozwinęła ożywioną działalność. W dniu 29 maja 1917 r. listy uwierzytelniające złożył królowi bawarskiemu nowy nuncjusz w Monachium Eugenio Pacelli. Od tej chwili nuncjatura monachijska zyskała rozstrzygające znaczenie w stosunkach pomiędzy Watykanem a Państwami Centralnymi. Nuncjusz monachijski reprezentował papieża wobec całej Rzeszy (w Berlinie nuncjatury nie było), Pacelli zaś swą indywidualnością wysunął się znacznie przed nuncjusza wiedeńskiego, nie lubianego w Austrii, Theodoro Valfre di Bonzo. W przygotowaniu mediacji papieskiej odegrał Pacelli znaczną rolę.

Eugenio Pacelli, późniejszy papież Pius XII, postać to wielce kontrowersyjna. Wysoki, szczupły z wyrazistą twarzą, w której uderzały wielkie czarne oczy, od lat szesnastu pracownik Sekretariatu Stanu, ostatnio na stanowisku substytuta, przekroczył właśnie czterdziestkę. Misja w Niemczech zaprowadzić go miała na fotel kardynała sekretarza stanu, skąd sięgnie po tiarę, chyba na własne nieszczęście i chyba na nieszczęście Kościoła, gdyż do tej wysokiej godności, na domiar w tak tragicznej chwili dziejowej, zapewne nie dorósł. Tego wszakże podczas bojów pierwszej wojny światowej nikt nie mógł przewidzieć. Zewsząd natomiast sławiono jego wysoką inteligencję, pracowitość, skrupulatność, pobożność. Pacellego przeciwstawiano jego poprzednikowi Giuseppe Aversa. Aversa był typem świetnego prałata o dużych zainteresowaniach kwestiami polityki, Pacelli zaś „jest przede wszystkim ka-



planem i w całej swojej działalności na pierwszym planie stawiał czynnik religijny”, tak go charakteryzował poseł austriacki w Monachium hr. Duglas Thurn von Valsassina. „To człowiek przyszłości - pisał o Pacellim poseł pruski przy Watykanie Otto von Mühlberg. W Kurii jego raporty będą nie tylko czytali, ale będą do nich przywiązywali szczególne znaczenie”.

A jak się przyszyły papież wydał Polakom? Po rozmowie w 1916 r. pisał Konstanty Plater: „Mądry, spokojny, zamyślony, przetrawiony, bardzo spokojny i zrównoważony. O głębokich oczach, o których Dmowski, który po raz pierwszy zetknął się z dyplomacją watykańską, ciągle mówi, że z nich patrzy kultura dwóch tysięcy lat”.

Znakomicie poinformowany Władysław Skrzyński, pozostający wówczas w służbie dyplomatycznej austriackiej w Szwajcarii w tych słowach określił poglądy i dążenia Pacellego. „Jak słyszę z innej strony ma monsignor Pacelli poczytywać za korzystne dla Kościoła istnienie silnych Niemiec, ale rzekomo nie w takiej postaci, w jakiej chcieliby je widzieć niemieccy konserwatyści. Pragnie on Rzeszy bez hegemonii pruskiej i bez terytoriów obcojęzycznych; w zamian za nie powinna ona otrzymać znaczne posiadłości kolonialne”.

Relacja Skrzyńskiego zasługuje na uwagę nawet, jeśli poglądy Pacellego nieco ukierunkował w myśl własnych celów. W każdym razie nowy nuncjusz monachijski od początku pobytu w Niemczech rozwinął ożywioną działalność i wątpić nie można, iż w papieskiej mediacji pokojowej roku 1917 *pars magna fuit*.

28 czerwca 1917 r. Pacelli złożył w Berlinie wizyty kanclerzowi Rzeszy i sekretarzowi stanu w Urzędzie Spraw Zagranicznych. Wizyty, pozornie czysto kurtuazyjne, miały charakter sondażu. Według nuncjusza byłoby rzeczą wskazaną, aby papież dobrze się orientował, jak Niemcy pojmują „problemy wojny i pokoju”. Taki wstęp pozwalał przypuszczać, że dyskusja nie wyjdzie poza ogólniki. Toteż kanclerz nie bez zdziwienia usłyszał serię konkretnych pytań na temat niemieckich celów wojennych i warunków pokoju. Bethmann Hollweg uznał natychmiast, że taki konkretny charakter rozmowy może być pożyteczny i nie poskąpił wynurzeń. Niemcy gotowe będą przyjąć zasadę rozbrojenia powiedział, jeśli będzie ono powszechne, gotowe są przyjąć międzynarodowe sądownictwo rozjemcze, aby usuwać konflikty międzynarodowe. W ważnej sprawie belgijskiej kanclerz zapewnił, że Niemcy przywrócą pełną niepodległość Belgii pod warunkiem, że kraj ten nie popadnie w zależność polityczną, militarną i finansową ani od Francji, ani od Wielkiej Brytanii. W rozumowaniu kanclerza Alzacja i Lotaryngia nie mogą być przeszkodą do zawarcia pokoju, jeśli Francja ma naprawdę dobrą wolę; „drogę do porozumienia można znaleźć w formie wzajemnych korektur granicznych”. Tylko tyle. W sprawach Europy Wschodniej kanclerz uchylił się od wyjaśnień pod pozorem, że nie pozwala na to panujący tam chaos. Wówczas już torował sobie drogę pogląd, że Niemcy zgodzić się muszą na pokój kompromisowy na zachodzie, na wschodzie zaś chcą otworzyć wrota ekspansji imperialistycznej.

Podobny charakter miała rozmowa nuncjusza z sekretarzem stanu Arthurem Zimmermannem.

Rozmowy berlińskie dały nuncjuszowi niewątpliwie materiał do poczynienia dalszych kroków. W dniu 29 czerwca 1917 r. nuncjusz, któremu towarzyszył audytor nuncjatury Lorenzo Schioppa, wręczył w Kwaterze Głównej w Kreuznach cesarzowi Wilhelmowi odręczne pismo papieskie o pokoju. Przeczytawszy list papieża Wilhelm rozwodził się długo na temat pokoju, krytyce poddał stanowisko Stolicy Apostolskiej, która - jego zdaniem - nie rzuciła na szalę wielkiego swego autorytetu; papież powinien był wydać polecenie, aby kapłani na ambonach zwalczali niechrześcijańską nienawiść pomiędzy narodami i wzywali do położenia kresu wojnie; w Niemczech nie jest to konieczne, gdyż naród niemiecki pragnie pokoju i do nikogo nie żywi nienawiści. Cesarz zwrócił dalej uwagę, że inna wielka instytucja międzynarodowa, socjaldemokracja, zrozumiała właściwie znaczenie takiej propagandy „i pierwsza miała odwagę oddać swą organizację w służbę pokoju; pozostanie to trwałą zasługą socjaldemokracji”.

*Tempora mutantur* - czasy się zmieniają. Nie tak to dawno cesarz Wilhelm powtarzał z sympatią hasło reakcjonistów niemieckich: „*Gegen Sozialdemokraten helfen nur Soldaten*” („na socjaldemokratów trzeba tylko żołnierzy”).

Po tej nieoczekiwanej socjaldemokratycznej dygresji wrócił Wilhelm do poprzedniego wątku wywodów. „W interesie Kościoła katolickiego leży - mówię to jako władca protestancki i władca kraju w większości

protestanckiego - aby pokój, a raczej możliwość poważnej dyskusji o pokoju mogła nastąpić za sprawą papieża, a nie socjaldemokracji”.

Rzecz znamienna, że audytor Schioppa sceptycznie wskazywał na trudności, jakie papież będzie miał do zwalczania, jeśli podejmie akcję mediacyjną, nuncjusz Pacelli natomiast podkreślał, że myśli cesarza zasługują na uwagę i że natychmiast zreferuje je papieżowi.

Metody działania dyplomacji papieskiej czy różnice charakteru i osobowości dwóch duchownych - Pacellego i Schioppa?

Jeszcze krótki sondaż w Austrii. 30 czerwca 1917 r. bawił przez kilka godzin w Monachium cesarz Karol i przyjął nuncjusza monachijskiego. Rozmawiano o porozumieniu austro-włoskim. Cesarz Karol zdawał się robić niejaki aluzje do ewentualnych cesji terytorialnych w Tyrolu Południowym, ale ponieważ monarchia habsburska wojny nie przegrała, mogłoby się to dokonać jedynie drogą rekompensat, może w koloniach.

Rozmowa cesarza Karola z monsignorem Pacellim wiązała się zapewne z sugestiami, jakie poufnie wysunął pod adresem Wiednia kardynał sekretarz stanu Gasparri; szło o warunki pokoju odrębnego pomiędzy Austro-Węgrami a Włochami.

Wynikało z układu stosunków, że Państwa Centralne miały więcej do powiedzenia czy do sugerowania w Watykanie niż Koalicja. Głosów austriackich i niemieckich, dyplomatów, działaczy katolickich, publicystów, nie mógł zrównoważyć ani poseł brytyjski John de Salis, od niedawna zresztą, dopiero od grudnia 1916

r. działający na terenie rzymskim, ani poseł rosyjski D. Nelidow. Francja zaś świeciła nieobecnością. Poważnej roli nie mógł odegrać ani zręczny i niezłe na ogół poinformowany Loiseau, ani Francuzi przybywający sporadycznie do Rzymu i prowadzący rozmowy z monsignorami w kurii.

Interesujący przebieg miała audiencja, jakiej Benedykt XV udzielił w kwietniu 1917 r. francuskiemu pisarzowi i parlamentarzystcie Charlesowi Benoit. Audiencja trwała około dwóch godzin, papież wypytywał o stosunki francuskie, o panujące we Francji nastroje. „Co robić? - zapytał wreszcie papież - świat pogrążony w furii nie chce słuchać słów, które dyktuje wiara”.

„Ojcze Święty - odparł Benoit - słuchano by słów, które dyktuje wiara, gdyby najpierw usłyszano słowo sprawiedliwość”. „Powiedzieliśmy takie słowo!” „Ale nazbyt ogólnikowo, dlatego trudno je dosłyszeć”. Charakterystyczne były słowa papieża na zakończenie audiencji: „To wasza wina. Dlaczego zostawiacie mnie samego z waszymi wrogami”?

Nie sposób się dziwić, że w takim stanie rzeczy dyplomacja watykańska mogła szczególnie przygotowywanej mediacji przedyskutować w Wiedniu i w Berlinie, nie mogła ich omawiać ani w Paryżu, ani w Londynie, ani w Piotrogradzie.

24 lipca 1917 r. nuncjusz Pacelli wręczył w Berlinie sekretarzowi stanu Zimmermannowi pro memoria w języku włoskim, zawierające siedem punktów-warunków. Nuncjusz dodał, że Stolica Apostolska nie otrzymała ze strony Koalicji zachęty do pośrednictwa

pokoju, są wszakże oznaki, że może ono przynieść rezultaty albo natychmiast, albo z początkiem października.

Siedem punktów *pro memoria* stanowiły: 1) wolność mórz, 2) zmniejszenie zbrojeń, 3) arbitraż, 4) Wielka Brytania zwraca kolonie niemieckie, Niemcy zaś ewakuują okupowane terytoria francuskie i Belgię, 5) konferencja pokojowa ureguluje sprawy gospodarcze, 6) konferencja pokojowa rozstrzygnie kwestie graniczne pomiędzy Włochami i Austrią, pomiędzy Niemcami i Francją w Alzacji i Lotaryngii, 7) konferencja zadecyduje również: a) o losie Polski, „której szlachetne tradycje historyczne i cierpienia ponoszone od ponad wieku, a także podczas obecnej wojny, powinny zjednać sympatię narodów”, b) rozstrzygnie o losie Serbii, Rumunii, Czarnogóry.

Zimmermann zgłosił zastrzeżenia do punktu o rozbrojeniu, gdyż konferencja pokojowa nie może stanowić o potrzebach Niemiec w dziedzinie wojskowej. Domagał się zwrotu wszystkich kolonii, a więc także na Dalekim Wschodzie zajętych przez Japończyków. Także i punkt 7) nasuwał sekretarzowi wątpliwości pomimo ogólnikowego sformułowania.

Pacelli wyraził gotowość prowadzenia rozmów dla znalezienia określeń, które by odpowiadały intencjom rządu berlińskiego. Charakterystyczna była uwaga nuncjusza, że sprawy sporne pomiędzy Włochami i Austrią, Francją i Niemcami muszą być najpierw uzgodnione pomiędzy zainteresowanymi; konferencja zarejestrowałaby tylko sprawy już rozstrzygnięte.

Monsignor Pacelli uznał widocznie, że zastrzeżenia Zimmermanna nie były odmową i, że będzie można przystąpić do redagowania orędzia papieskiego. Okazać się miało wkrótce, że ocena ta była nazbyt optymistyczna, choć zdawała się za nią przemawiać tzw. rezolucja pokojowa, uchwalona 19 lipca 1917 r. przez parlament Rzeszy.

Pokój kompromisowy, prawdziwy kompromis polegający na ustępstwach i wyrzeczeniach stron obu, nie miał zbyt wielu zwolenników w kołach rządzących Niemiec. Przemysłowiec wiedeński Julius Meinl był w początku sierpnia w Berlinie, rozmawiał z wieloma ludźmi, m.in. z mądrym i umiarkowanym Waltherem Rathenau i odniósł wrażenie, że sukcesy militarne zbałamuciły opinię publiczną w Niemczech.

Optymistycznie wszakże nastrojeni byli monsignorowie w kurii rzymskiej. Skłaniała ich do optymizmu ocena położenia wojennego. Niepowodzeniem zakończyły się wiosenne i letnie ofensywy francuskie i angielskie, dużo dawały do myślenia majowe bunty w armii francuskiej, wojna podmorska przyniosła Koalicji, przede wszystkim Wielkiej Brytanii, poważne straty. Koalicja zatem powinna być skłonna do rozmów.

W sekretariacie Stanu przystąpiono do pracy, 1 sierpnia 1917 r. dokument w postaci pisma papieża do głów państw w obu obozach walczących był już gotów. Pierwsza redakcja, bardziej ogólnikowa, powstała jeszcze w czerwcu; po ostatnich sondażach nadano jej bardziej konkretną formę.

Papież stwierdzał, że jego obowiązkiem, który wypełniał w ciągu trzech lat wojny, było zachowanie bezstronności i starania o położenie kresu groźnemu konfliktowi. Obecnie po różnych wezwaniach o pokój - pisał Benedykt XV - „ponawiamy naglący apel do wszystkich, którzy trzymają w swych rękach losy narodów”. Papież nie wchodził, rzecz prosta, w szczegóły przyszłego pokoju, dawał jedynie myśli i sformułowania ogólne. „Sile materialnej oręża” przeciwstawiał „siłę moralną prawa”, domagał się więc powszechnego rozbrojenia i wprowadzenia przymusowego arbitrażu z prawem sankcji wobec państwa, które albo nie chciałoby się poddać arbitrażowi, albo odmówiłoby przyjęcia jego wyroku. Wolność mórz i wzajemne wyrzeczenie się wszelkich reparacji za szkody i zniszczenia wojenne - to dalsze propozycje papieskie. Następnym postulatem była wzajemna restytucja zajętych i okupowanych terytoriów. „W konsekwencji ze strony Niemiec zupełna ewakuacja Belgii z gwarancją jej pełnej niezależności (*pleine independance*) politycznej, militarnej i gospodarczej od każdego mocarstwa (*vis-à-vis de n'importe quelle puissance*)”; także ewakuacja terytorium francuskiego. Ze strony Koalicji restytucja kolonii niemieckich. Papież widział, że prosta ewakuacja zajętych terytoriów nie przyniesie rozwiązania kwestii spornych „pomiędzy Włochami i Austrią, pomiędzy Niemcami i Francją”. Zalecał więc ich rozważenie „w duchu pojednawczym” z uwzględnieniem tego, co „słuszne i możliwe”.



Ten sam duch sprawiedliwości i słuszności - głosiła dalej nota - powinien kierować badaniem wszystkich innych kwestii terytorialnych i politycznych, a zwłaszcza spraw odnoszących się do Armenii, państw bałkańskich i terytoriów należących do dawnego królestwa polskiego.

Według komentarza „Osservatore Romano” nota papieska zwróciła uwagę na kwestie „ogólnego porządku”, co do których istniała pewna zgodność poglądów.

Uderza, że nota papieska większą wagę przywiązywała do rozstrzygnięć na zachodzie niż na wschodzie, a ze wszystkich spraw spornych najbardziej konkretnie stawiała kwestię Belgii.

Sprawa to zrozumiała i to z dwóch względów.

Przywrócenie pełnej niepodległości Belgii uważano w Watykanie za sprawę zasadniczą; bez jej rozwiązania nie widziano możliwości, aby państwa zachodnie, przede wszystkim Wielka Brytania, zgodziły się wszcząć pertraktacje pokojowe. Papież od początku wojny tak właśnie postawił sprawę - wyraźnie, choć powściągliwie i ostrożnie.

Raporty nuncjusza Pacellego pozwalały sądzić, że i Niemcy przychyliły się do myśli przywrócenia niepodległości królestwu belgijskiemu. Był to pogląd błędny, ale o tym miano się w Watykanie przekonać dopiero później.

Kwestie Europy Środkowej i Wschodu poruszono na drugim planie i bardziej ogólnikowo z uwagi na niewyjaśnioną i powikłaną sytuację w Rosji.

W społeczeństwie polskim pojawiły się wątpliwości, co oznaczał w nocie papieskiej zwrot o królestwie polskim - czy należało przezeń rozumieć królestwo utworzone postanowieniem kongresu wiedeńskiego, czy królestwo z nieokreślonymi granicami powołane aktem 5 listopada 1916 r. Konstanty Skirmunt przedstawił w Watykanie obiekcje dotyczące ujęcia sprawy polskiej w nocie papieskiej. Sekretariat stanu wyjaśnił, że Polsce poświęcono w nocie więcej miejsca niż innym kwestiom, że papież miał na myśli „dawne królestwo polskie”, tzn. całą Polskę, Polskę przedrozbiorową, nie zaś małe Królestwo Kongresowe czy listopadowe i wreszcie, że zwroty o „duchu sprawiedliwości i słuszności” oraz „sympatiach narodów” odpowiadały ogólnemu tonowi noty. Świadectwem uczuć mieszanym, z jakimi przyjęto w Polsce notę papieską, są słowa, których tak wytrawny, realistyczny polityk jak Michał Bobrzyński użył w rozmowie z Adamem Tarnowskim i Władysławem Leopoldem Jaworskim. Bobrzyński twierdził, że papież „poszedł niżej Wilsona, traktuje nas na równi z Armeńczykami jako sprawę humanitarną, a ludziom się zdaje, że sprawa polska ma światowe znaczenie”.

Bobrzyński nie wiedział, może tylko wyczuwał, że w poufnych rozmowach dyplomatów państw walczących na temat propozycji papieskich zajmowano się jedynie Belgią, o Polsce w ogóle nie mówiono.

Nota papieska, datowana 1 sierpnia 1917 r., w połowie tego miesiąca znalazła się w rękach zwierzchników państw walczących.

Wiemy już, że monsignor Pacelli nazbyt optymistycznie oceniał stanowisko Berlina. Niedostatecznie brał pod uwagę zmiany w polityce Rzeszy, które musiała pociągnąć za sobą wymuszona przez Naczelne Dowództwo dymisja rozsądnego i umiarkowanego Bethmanna Hollwega. Nie była również bez znaczenia zmiana na stanowisku sekretarza stanu w Urzędzie Spraw Zagranicznych - bezbarwnego Zimmermanna zastąpił przebiegły Kühlmann.

W Watykanie zorientowano się, że należy się liczyć z trudnościami ze strony rządu niemieckiego. Kardynał Gasparri polecił więc nuncjuszowi Pacellemu podjąć starania, aby odpowiedź niemiecka na notę papieską „pominęła szczegóły, gdyż mogłoby to tylko pogmatwać rozwiązanie spraw zasadniczych”. Papież życzy sobie - wyjaśniał kardynał - tylko zwykłego stwierdzenia, że Niemcy i ich sojusznicy przyjmują propozycje papieskie za podstawę do dyskusji na przyszłej konferencji pokojowej.

Sprawa wszakże nie była taka prosta. Kanclerz i sekretarz stanu liczyć się musieli z opinią Naczelnego Dowództwa. Było ogólnie wiadome, że Hindenburg i Ludendorff rozumowali w sposób prymitywny, a wysuwali daleko idące cele wojenne. Berlin musiał również uzgodnić sprawę ze sprzymierzeńcami, z Austro-Węgrami, a także z Turcją i z Bułgarią, co wymagało pokonania niemałych trudności. Kanclerz postanowił więc traktować sprawę dylatoryjnie, zwlekać z odpowiedzią do chwili, gdy znana będzie odpowiedź państw Koalicji; gdyby była odmowa, a tego się spodziewano,

pozwoliłoby to zrzucić na przeciwnika odpowiedzialność za niepowodzenie mediacji papieskiej.

Cesarz Karol nalegał na szybką odpowiedź. Jego minister spraw zagranicznych hr. Ottokar Czernin ogólnikowe przyjęcie noty papieskiej za podstawę rokowań uznał zarówno za akt kurtuazji wobec Stolicy Apostolskiej, jak i za niezawodną drogę do zrzucenia odium za niepowodzenie sprawy na Koalicję.

Pismo cesarza Karola do papieża, utrzymane w kurtuazyjnej formie nosi datę 20 września 1917 r. „Z uczuciami czci i głębokim wzruszeniem” dziękował cesarz papieżowi za „szlachetną chęć skierowania narodów tak doświadczonych wojną na drogę pokoju”. „Przychylamy się do opinii Waszej Świątobliwości - czytamy w piśmie cesarskim - że pertraktacje pomiędzy stronami walczącymi powinny i mogą doprowadzić do porozumienia stanowiącego, w jaki sposób przy niezbędnych gwarancjach zbrojenia na lądzie, na morzu i w powietrzu mogą być jednocześnie, obustronnie i sukcesywnie sprowadzone do określonych rozmiarów”.

Sułtan Mehmed V skierował do papieża pismo kurtuazyjne; podkreślał z uznaniem dążenie papieża do urządzenia świata na podłożu „moralnej potęgi prawa, triumfu sprawiedliwości międzynarodowej i praworządności”. Podobnie jak cesarz Karol sułtan na pierwszym miejscu stawiał rozbrojenie.

W kołach rządowych tureckich wszakże dwa punkty wzbudziły nieufność - Armenia i wolność mórz. Ich

przyjęcie niosło możliwość utraty prowincji armeńskiej i zagrożenie stolicy.

Nie przysparzał trudności rząd bułgarski.

Najważniejsze było - rzecz prosta - stanowisko Niemiec. Ale też z pewnością z czterech rządów państw Czwórprzymierza rząd Rzeszy napotykał tu największe trudności. Musiał brać pod uwagę, że wszelkie zastrzeżenia w sprawie Belgii, wszelkie niejasności i niedopowiedzenia co do jej bytu suwerennego, prawdziwie niepodległego będą się równały wyraźnemu odrzuceniu propozycji papieskiej i ściągną na Niemcy zarzut, że uniemożliwiły zabiegi o pokój.

Toteż przed ostateczną redakcją noty kanclerz i sekretarz stanu spraw zagranicznych zasięgnęli opinii zarówno stronnictw, jak i Naczelnego Dowództwa.

Komisja złożona z przedstawicieli głównych frakcji parlamentu (*Siebenerausschuss*) opowiedziała się za pozytywną odpowiedzią na papieską inicjatywę pokojową z tym, że odpowiedź powinna być ogólnikowa.

Ważniejsze było dla kanclerza stanowisko Naczelnego Dowództwa. Oficerowie w Naczelnym Dowództwie, zwłaszcza Ludendorff, snuli plany rozległych aneksji, jawnych i ukrytych, chcieli Belgię, podzieloną na część walońską i flamandzką, związać z Rzeszą, ale łaskawie uznawali potrzebę udzielenia papieżowi odpowiedzi pozytywnej. „Zgodnie z inicjatywą Jego Świątobliwości Papieża Czwórprzymierze, jak dotąd tak i teraz, gotowe jest zawrzeć pokój na zasadach *status quo ante*”.

Memoriał Naczelnego Dowództwa, opracowany według wskazówek Ludendorffa, paraflowany 30 sierpnia 1917 r. przez Wilhelma, 31 sierpnia przez Hindenburga (znamienna kolejność), był przedmiotem obrad Rady Koronnej pod przewodnictwem cesarza w Berlinie w dniu 11 września 1917 r.

Rada Koronna rozważała sprawę pokoju z Wielką Brytanią. Nuncjusz Pacelli bowiem 30 sierpnia podał do wiadomości kanclerza odpowiedź brytyjską na notę papieską. Za warunek wstępny wszczęcia rozmów kładł ujawnienie niemieckich celów wojennych i jasną deklarację w sprawie niepodległości Belgii. Dygnitarze Rady Koronnej bezpodstawnie uznali notę brytyjską za świadectwo pokojowych intencji Londynu. Cesarz zwłaszcza puścił cugle fantazji, w owych rzekomych pokojowych intencjach Anglików upatrywał efektu akcji łodzi podwodnych, skutek rewolucji rosyjskiej i obawy przed hegemonią Stanów Zjednoczonych. W rezultacie postanowiono, że Niemcy nie wypowiedzą się w sprawie Belgii zanim Anglia nie zobowiąże się wyraźnie do rozpoczęcia rokowań. Deklaracja w sprawie Belgii nie miała mieć charakteru bezwarunkowego, przeciwnie, opatrzyć ją miano zastrzeżeniami. Takie stanowisko Rady Koronnej przesądziło o treści odpowiedzi udzielonej papieżowi.

Dlatego to odpowiedź niemiecka na notę papieską to tylko pozorna zgoda na jej propozycje; rząd Rzeszy zgadzał się i na rozbrojenie, i na rozjemstwo międzynarodowe, obiecywał też poprzeć każdy projekt papieski,

który odpowiadać będzie „życiowym interesom Niemiec”. O Belgii mowy nie było.

Nuncjusz Pacelli był niemal pewien przychylnego stanowiska Niemiec do mediacji papieskiej, toteż odpowiedź Berlina głęboko go rozczarowała. Charakterystyczna była jego rozmowa z posłem pruskim w Monachium von Treutlerem. Na uwagi nuncjusza Treutler odparł: *„Vous désirez alors que nous allions faire deux pas tandis que nos adversaires n'en font aucun”* (“Książdz chce, abyśmy zrobili dwa kroki, gdy nasi przeciwnicy nie robią ani jednego”). Na to Pacelli: *„Mais c'est Vous qui désirez la paix”* („Ale to wy chcecie pokoju”).

Na dalsze starania nuncjusza, aby zmiękczyć stanowisko rządu Rzeszy, odpowiedzią był telegram sekretarza stanu Kühlmanna z 22 września 1917 r.: „Nasza gotowość zawarcia pokoju nie wynika bynajmniej z konieczności (*Notwendigkeit*) jego zawarcia; nie pragniemy pokoju ani o jeden atom więcej niż go pragnąć muszą nasi przeciwnicy”.

Ambasador francuski w Rzymie Camille Barrère depeszował do Paryża: „W kołach watykańskich panuje rozczarowanie. Zapewne z zadowoleniem przyjęto pełen szacunku ton dokumentu (tj. odpowiedzi niemieckiej), ale wszyscy zdają sobie sprawę z jego charakteru mglistego, nieuściślonego”. Pomimo że w ostatnich dniach utracono w Watykanie wiele złudzeń, spodziewano się, iż stanowisko Berlina będzie jednak inne.

Włoski minister spraw zagranicznych Sonnino uznał, że Koalicja może się cieszyć, iż odpowiedź nie-

miecka wypadła tak blado. Krytyka, jaką ona powszechnie wywoła, będzie najlepszą pośrednią odpowiedzią na notę papieską.

Wbrew uzasadnionym, wydawać się mogło, nadziejom Watykanu, wbrew złudzeniom monsignora Paccellego mediacja papieska spotkała się w Niemczech z zupełnym niepowodzeniem.

A jak było w państwach Koalicji?

Znaczenie najbardziej istotne miało stanowisko Wielkiej Brytanii i Francji. I w Londynie, i bardziej jeszcze w Paryżu nota papieska wzbudziła niezadowolenie. Papieżowi należało odpowiedzieć, do wezwania papieskiego należało się ustosunkować; nie wydawało się to sprawą dogodną, gdyż mogło wciągnąć rządy Koalicji w rozmowy - pośrednie zapewne, ale w każdym razie rozmowy - z przeciwnikiem, a tego sobie nie życzano. Sprawę komplikowały jeszcze względy proceduralne, spośród mocarstw Koalicji jedynie Wielka Brytania i Rosja utrzymywały przedstawicielstwa dyplomatyczne przy Stolicy Apostolskiej.

Początkowo myślano o kolektywnej odpowiedzi Koalicji. Domagał się tego zrazu rosyjski minister spraw zagranicznych Michaił Tereszczenko; wkrótce wszakże zrezygnował z tego postulatu, obawiał się bowiem żądań Włoch, aby w odpowiedzi nie wspomniano o przyznaniu Włochom wschodnich wybrzeży Morza Adriatyckiego.

Znany publicysta angielski Harold Nicolson zebrał z polecenia rządu wszelkie możliwe informacje na temat genezy noty papieskiej i doszedł do wniosku, że in-



spirowały ją pośrednio, jeśli nie bezpośrednio, źródła nieprzyjacielskie. Sekretarz stanu w *Foreign Office* James Balfour był zdania, że papież Benedykt XV, a zwłaszcza kardynał sekretarz stanu Gasparri popierają Państwa Centralne. Raporty przedstawiciela dyplomatycznego Wielkiej Brytanii przy Watykanie hr. de Salis, że Stolica Apostolska zajmowała stanowisko ściśle neutralne, nie znajdowały na Downing Street wiary.

23 sierpnia 1917 r. hr. de Salis zgłosił się na audiencję do kardynała Gasparriego. Instrukcja telegraficzna nakazała mu potwierdzić odbiór noty papieskiej i poinformować kardynała, że rząd brytyjski nie zdążył jeszcze przekonsultować treści noty z rządami sprzymierzonymi. Ale w rozumieniu rządu brytyjskiego żadna mediacja nie ma widoków powodzenia dopóki Państwa Centralne i ich sprzymierzeńcy nie podadzą oficjalnie do wiadomości, jakie są ich dążenia, co zamierzają zwrócić i jakie wypłacić odszkodowania. Nawet w sprawie Belgii, w której rząd Rzeszy uznał swój błąd, nie padło ze strony Berlina wyraźne oświadczenie, że Niemcy pragną przywrócić temu krajowi pełną niepodległość i pokryją straty, jakie spowodowali. Na te słowa kardynał zareagował żywo - przecież Niemcy zapowiedziały przywrócenie niepodległości Belgii, wynika to z uchwalonej przez parlament w dniu 19 lipca 1917 r. tzw. rezolucji pokojowej, a rząd rezolucji nie zdezawuował. Parlament to nie rząd - odparł Salis - a intencje rządu w sprawie Belgii nie są znane. Kwestia ta interesuje Wielką Brytanię w sposób szczególny, gdyż pogwałcenie neutralności Belgii było przyczyną

wojny. Wobec takiego postawienia sprawy kardynał zapowiedział, że zapyta w Berlinie, jaki jest stosunek rządu Rzeszy do kwestii niepodległej Belgii.

Rozmowa kardynała sekretarza stanu z przedstawicielem dyplomatycznym Wielkiej Brytanii doprowadziła do nieporozumienia. W Watykanie uznano, że dla Wielkiej Brytanii istotne znaczenie ma tylko kwestia belgijska, Alzacja i Lotaryngia natomiast oraz postulaty włoskie stoją na dalszym planie. Nieporozumienie pogłębił jeszcze fakt, że hr. de Salis powiedział kardynałowi, iż według telegramu z Londynu rząd francuski przyłączył się do deklaracji angielskiej i nie będzie dawał innej odpowiedzi na notę papieską. Wiadomość ta wzbudziła żywe zainteresowanie kardynała, toteż prosił on Salisa o przekazanie mu tekstu deklaracji rządu francuskiego na piśmie. Minister uznał, że nie może odmówić temu życzeniu i wręczył kardynałowi telegram brytyjskiego Urzędu Spraw Zagranicznych. „W tej chwili - telegrafował wkrótce później do Paryża ambasador francuski Barrère - w Watykanie obok odpowiedzi rządu angielskiego udzielonej Stolicy Apostolskiej znajduje się oświadczenie na piśmie, że rząd francuski przyłącza się do odpowiedzi angielskiej”. Stolica Apostolska - donosił w innym telegramie Barrère - ma prawo mniemać, że przy pośrednictwie papieskim są możliwości wszczęcia rozmów pomiędzy Francją i Wielką Brytanią z jednej a Niemcami, Austro-Węgrami i ich sprzymierzeńcami z drugiej strony. Zdaniem Barrère'a będzie to dla dyplomacji papieskiej hasłem do działania w tym kierunku.

Barrère nie mylił się; rozmowę z hr. de Salis uznano w Watykanie za zachętę do mediacji, z tym że istotą zagadnienia pokoju była niepodległość Belgii. W tym duchu apelował do kanclerza Rzeszy nuncjusz Pacelli, gdy w dniu 30 sierpnia 1917 r. informował go o odpowiedzi brytyjskiej. Pozostało to - jak już wiemy - bez skutku, gdyż Niemcy nie chcieli się wyrzec Belgii. Nie pozwalało na to Naczelne Dowództwo, nie pozwalali wszechniemcy, a nawet rozsądniejszy od nich sekretarz stanu Kühlmann pragnął zatrzymać Belgię jako zastaw.

Obserwatorzy mediacji papieskiej odnosili wrażenie, iż Stolica Apostolska w swej akcji pokojowej związała się głównie, a może nawet wyłącznie ze sprawą Belgii. Czy wrażenie to było słuszne? Sądząc z przejawów zewnętrznych wypadnie dać odpowiedź twierdzącą. Ale może było i inaczej. Ambasador francuski w Szwajcarii P. Beau pisał 28 sierpnia 1917 r., że stanowisko papieża jest niezmiennie, „pozostawać ponad stronami, aby nie można mu było zarzucić, że faworyzuje jeden naród ze szkodą drugiego. Niemniej jednak jest rzeczą pewną, że gdyby Francja, gdy zaczęła się mówić o pokoju, zwróciła się do Watykanu z prośbą o interwencję na jej rzecz celem ułatwienia powrotu Alzacji i Lotaryngii, papież nie odmówiłby użycia swych wpływów, ale Francja - jak mówią (w Watykanie) - powinna się do niego zwrócić oficjalnie”. W jakiej mierze przypuszczenia ambasadora Beau były trafne, trudno osądzić, ale to rzecz pewna, iż rząd francuski zupełnie nie zwracał się do Watykanu, choć nie brakło w tym kierunku zachęty, jak o tym świadczą

choćby słowa Benedykta XV wypowiedziane w czasie audiencji udzielonej Charlesowi Benoit.

Nota papieska wywołała irytację w kołach rządowych Rosji. Zwracano tam uwagę, że papież wystąpił z inicjatywą pokojową w czasie sukcesów militarnych Państw Centralnych, gdy Rosjanie wycofywali się z Galicji i Bukowiny, gdy Austriacy i Niemcy zajmowali Mołdawię, zaznaczano, że sprawę Alzacji i Lotaryngii nota postawiła ogólnikowo i wieloznacznie.

Najwięcej wszakże w rosyjskich kołach rządowych napsuła krwi wzmianka o „dawnym królestwie polskim” i „jego szlachealnych tradycjach historycznych”. Według ambasadora rosyjskiego przy Kwirynale M. Giersa nota nie zawierała najmniejszych nawet aluzji do Poznania i do Galicji, a „szlachealne tradycje historyczne” miały zwracać ekspansję Polski jedynie w kierunku Litwy. Rzecz zadziwiająca, dyplomata dawnego porządku nie rozumiał polskich tradycji historycznych, związanych z Krakowem, Poznaniem czy Gdańskiem.

Początkowo minister Tereszczenko był zdania, że Koalicja powinna udzielić papieżowi odpowiedzi kolektywnej, ale niebawem wycofał się z tego stanowiska w obawie, że gabinet rzymski domagać się będzie, aby zbiorowa odpowiedź Koalicji zawierała wszystkie postulaty terytorialne Włoch.

Rzecz prosta, że ze stanowiskiem rządu rosyjskiego zsolidaryzował się całkowicie gabinet paryski.

Interesujące było stanowisko państw mniejszych. Belgowie zapewniali, że rząd belgijski „przestudiuje z największym szacunkiem propozycje, które dokument

papieski wyłożył w tak wzniosłym języku. Rząd królewski upatruje tu nowe cenne świadectwo szczególnego zainteresowania Ojca Świętego narodem belgijskim tak okrutnie i niesprawiedliwie dotkniętym przez wojnę”. Zdaniem posła francuskiego w Belgii W. Kłobukowskiego premier belgijski hr. Charles de Brocqueville sądził, że chociaż pełne szacunku „potwierdzenie odbioru” noty papieskiej może zwolnić od odpowiedzi szczegółowej, zwykła kurtuazja nakazuje udzielenie takiej odpowiedzi, a będzie to odmowa.

Niezadowolona z noty papieskiej była Rumunia. Premier Bratianu uznał inicjatywę Benedykta XV za „niewczesną i niebezpieczną”.

W rządzie holenderskim panowała opinia, że jeśli inicjatywa papieska skłoni kanclerza Rzeszy do wypowiedzi na temat niektórych celów wojennych Niemiec, zwłaszcza w kwestii belgijskiej, odniesie ona skutek godny uznania.

W Madrycie, w kołach rządowych, inicjatywa papieska spotkała się z przyjęciem pełnym wahań i wątpliwości. Kraj jest w większości katolicki i katolicy byli wówczas główną podporą rządu. Ale rząd, a bardziej jeszcze król Alfons XIII patrzyli z niechęcią na mediację papieską, gdyż do tej roli od początku wojny aspirowała Hiszpania.

W głosach prasy hiszpańskiej dominował pogląd, że chociaż nota papieska nie będzie podstawą rokowań pokojowych, stanowi wszakże bodziec do nich i wywrze wpływ na świat katolicki.

Poważne znaczenie miało stanowisko Stanów Zjednoczonych i osobiście ich prezydenta. Waszyngton nie był związany żadnymi umowami ani z Paryżem, ani z Londynem. Stany Zjednoczone nie były sprzymierzeńcem Koalicji, były państwem współdziałającym, współwalczącym, „stowarzyszonym” według późniejszej nomenklatury. A Thomas Woodrow Wilson sposobił się już do roli moralnego przywódcy świata, do roli przewodnika wszystkich narodów, który ich aspiracje i dążenia przybierze w kształty zgodne z interesami Stanów Zjednoczonych. „Wilson mówi jak Chrystus, a działa jak Lloyd George” - powie niedługo później Georges Clemenceau. Teraz, gdy wzbierała w świecie fala popularności prezydenta, mediacja papieska była mu podwójnie niesympatyczna i niepożądana. W osobie papieża, wołającego o pokój, upatrywał zaporę dla własnych wygórowanych ambicji, w programie papieskim nie dostrzegał rozstrzygnięć dogodnych dla polityki amerykańskiej. Stąd negatywne stanowisko Waszyngtonu.

Stany Zjednoczone nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych ze Stolicą Apostolską, odpowiedź więc datowaną 27 sierpnia 1917 r. wysłano z Waszyngtonu za pośrednictwem rządu brytyjskiego.

Nota amerykańska zaczynała się wprawdzie wyrazami uznania dla „wzruszającego apelu Jego Świątobliwości Papieża”, dla „godności i siły szlachetnych pobudek, które podyktowały orędzie”, odrzucała jednak propozycje papieskie. Program papieski - czytamy w nocie - rozwiązania terytorialnych dążeń Francji

i Włoch, skomplikowanych problemów bałkańskich i wskrzeszenia Polski nie może być zrealizowany na podstawie *status quo ante bellum*. Celem wojny jest uwolnienie narodów świata od groźby, którą stanowi militarizm, kierowany przez rząd nieodpowiedzialny, dążący do panowania nad światem. Pertraktacje z taką władzą miałyby za skutek jej umocnienie, a zarazem kontynuację jej dotychczasowej polityki. Musiałoby wtedy powstać znowu porozumienie państw wrogich Niemcom. Słowo obecnych władców Niemiec - czytamy dalej w nocie - nie może być gwarancją trwałego pokoju. Pokój może się opierać jedynie na prawach narodów, nie rządów, narodów wielkich i małych, słabych i potężnych, na ich jednakowym prawie do wolności i do bezpieczeństwa, wreszcie do udziału na równych warunkach w gospodarce świata; dotyczy to także i narodu niemieckiego, jeśli zgodzi się na równość z innymi, a nie będzie dążył do dominacji.

Wilson narodowi niemieckiemu, z którym można nawiązać porozumienie, przeciwstawił rząd niemiecki, z którym porozumienie nie jest możliwe, gdyż nie można dawać mu wiary.

Znamienne były reakcje na notę Wilsona w państwach Koalicji. Czytelnicy gazet przyjęli ją z zadowoleniem. W kołach rządowych natomiast dostrzegano niebezpieczeństwa wynikające ze stanowiska prezydenta, który rozróżniał rząd i naród niemiecki. W Paryżu zwłaszcza powstały obawy, że jeśli w Niemczech powstanie rząd parlamentarny, a zmierza ku temu sytuacja, Wilson uzna, iż godzina pokoju nadeszła. Jak to

często bywa, ta sama rzecz, jeśli spogląda się na nią z różnych stron, wygląda inaczej. Zbudziły się obawy, że nota Wilsona zahamuje proces demokratyzacji Niemiec, prezydent bowiem swymi wystąpieniami konserwatystom i militarystom niemieckim wkładał broń do ręki.

W kurii rzymskiej dopatrywano się pewnych zbieżności pomiędzy wskazaniem papieskiej propozycji pokojowej a orędziem prezydenta Stanów Zjednoczonych z 22 stycznia 1917 r., tym większy więc zawód sprawiła w Watykanie odpowiedź Wilsona. Nie tańczyły tego włoskie dzienniki katolickie. Sekretariat Stanu inspirował w prasie katolickiej artykuły mające wykazać, że Wilson popadł w sprzeczność sam ze sobą. W styczniu 1917 r. prezydent nie dostrzegał przeszkody dla rozmów w absolutystycznym charakterze rządu Rzeszy, a przecież cesarski rząd niemiecki jest dziś taki sam, jaki był z początkiem roku 1917. Papież pragnie, aby na świecie zapanował *novus ordo* (nowy ład), aby państwa zgodziły się na zasadę arbitrażu, na rozbrojenie, na znaczniejszy, bardziej aktywny udział ludów w rządach.

Papieska inicjatywa pokojowa zakończyła się niepowodzeniem. Wszystkie państwa, do których papież skierował apel o pokój, wyjąwszy może Austro–Węgry, udzieliły odpowiedzi jawnie negatywnej lub też negatywnej w sposób lekko zamaskowany. Przyczyn było wiele. Przede wszystkim sytuacja nie dojrzała jeszcze do pokoju. Żadna ze stron walczących nie była na tyle osłabiona, aby uznać, że zwycięstwo jest już dla niej



niemożliwe i zdecydować się na kompromis. Kompromisu nie chciały Niemcy, z uporem odrzucające wszelkie inicjatywy przywrócenia niepodległości Belgii. Monarchia habsburska, a ściślej cesarz Karol wprawdzie szczerze dążył do zawarcia pokoju, ale wbrew woli Berlina przy sprzecznych dążeniach czynników decyzyjnych w jego własnym państwie niewiele mógł działać. W Rzymie i w Paryżu niechęć budziła osoba mediatora. Jeśli rządy państw Koalicji zobowiązały się wobec Włoch nie dopuścić przedstawiciela Stolicy Apostolskiej na konferencję pokojową, jakże mogły przyjąć mediację papieską?

Minister Sonnino w mowie w Izbie Deputowanych w dniu 25 października 1917 r. łaskawie przyznał wprawdzie, że papież ma prawo działać na rzecz pokoju zgodnie ze swą misją duchową, ale stwierdził, że propozycje papieskie nie mogą stanowić podstawy rokowań.

Najgorzej przyjęto notę papieską we Francji. Francja stała niezmiennie na stanowisku, że nie zawrze pokoju nie odzyskawszy Alzacji i Lotaryngii. Ponieważ nota papieska nie wymieniła wyraźnie tego postulatu, rząd francuski uznał, że mediacja Benedykta XV może wywołać nieporozumienia pomiędzy państwami Koalicji, a w społeczeństwie francuskim zamącić *Union Sacrée* - Świętą Jedność. W prasie francuskiej posypały się ataki na Stolicę Apostolską. Rozgoryczenie ogarnęło także i katolicką część społeczeństwa, a nawet duchowieństwo. 10 grudnia 1917 r. na nabożeństwie w jednym z kościołów paryskich uczony dominikanin

A.D. Sertillanges wołał w kazaniu: „Ojcze Święty, nasi wrogowie są jeszcze potężni, nie możemy wierzyć w pokój pojednania. (...) Nie możemy jeszcze przyjąć Twego wezwania”.

A Benedykt XV mówił: „Zawsze potępiamy gwałcenie prawa wszędzie, gdzie zostało dokonane, ale nie było rzeczą stosowną ani użyteczną rzucać autorytet papieski w spory pomiędzy walczącymi”.

W roku 1917 z największą nienawiścią o osobie Benedykta XV mówili Clemenceau i Ludendorff.

## 75. Gabinet Clemenceau

13 listopada 1917 r. Izba Deputowanych 277 głosami przeciwko 186 obaliła gabinet Painlevégo. Gdy ogłoszono wynik głosowania, na ławach posłów socjalistycznych rozległy się okrzyki: „Precz z Clemenceau! Niech żyje republika!”.

Socjaliści od czasu jego pierwszego gabinetu (1906- 1909) odnosili się do Clemenceau wrogo, lecz reminiscencje sprzed kilku lat miały chyba nieduży wpływ na ostatnią demonstrację. Wywołał ją fakt, że znaczna część społeczeństwa francuskiego - zwolennicy prowadzenia wojny do ostateczności (*les jusqu-abouts*) upatrywali w Starym Tygrysie najlepszego, jeśli nie jedyne go w ówczesnych warunkach szefa rządu. Kontrkandydatów pojawiło się kilku, między nimi Briand i Viviani, ale było sprawą widoczną, że wobec dwóch tendencji: prowadzić wojnę i dążyć do zwycięstwa za wszelką cenę, czy zawrzeć pokój jest

tylko dwóch możliwych kierowników polityki francuskiej - Clemenceau i Caillaux.

Według konstytucji wybór kandydata na prezesa ministrów był jednym z nielicznych atrybutów prezydenta Republiki. Decyzja leżała więc w rękach Raymonda Poincarégo.

I Clemenceau, i Caillaux byli osobistymi wrogami prezydenta. Clemenceau był wszakże dla niego bardziej niebezpieczny, była to indywidualność silniejsza niż Caillaux i bardziej bezwzględna. Od kilku lat Stary Tygrys nie przestawał brutalnie i niesprawiedliwie atakować Poincarégo i zawzięcie go ośmieszać. Ale Poincaré i Clemenceau reprezentowali ten sam kierunek - Francja musi zwyciężyć. Na przestrogi, że gabinet Clemenceau to wojna cywilna, że wyda się na sztych Poincaré odparł z godnością: „Nikt nie zarzuci mi, że kierowałem się względami osobistymi. Trzeba zresztą wybierać pomiędzy Caillaux a Clemenceau. Wyboru dokonałem”.

Zaproszony do Pałacu Elizejskiego Clemenceau stawiał się ochoczo. Prezydent ofiarował mu misję utworzenia nowego rządu i zaproponował *modus vivendi* w stosunkach osobistych: „Będę Panu mówił, co wiem i co myślę. Będę Panu swobodnie wykladał moje myśli, a Pan będzie decydował na swoją odpowiedzialność”. „Nie podejmę żadnej decyzji - brzmiała odpowiedź Clemenceau - zanim nie przyjdę porozmawiać z Panem. (...) Może Pan liczyć na mnie”.

16 listopada prezydent podpisał nominację nowego rządu. Clemenceau obok prezesury objął ministerstwo

wojny, inne teki objęli politycy raczej drugiego rządu, bezwzględnie oddani nowemu premierowi; ministrem spraw zagranicznych został Stephen Pichon, spraw wewnętrznych Jules Pams - w wyborach prezydenckich w 1913 r. kontrkandydat Poincarégo z ramienia Clemenceau.

Clemenceau, zawsze cyniczny, często rubaszny, zawsze pyszny i zawsze gardzący ludźmi scharakteryzował swą ekipę ministerialną dosadnymi słowy: „Gęsi uratowały Kapitol”.

Georges Benjamin Clemenceau urodził się 28 września 1841 r. w posiadłości dziadka macierzystego w Mouilleron-en-Pareds w Wandei. Wandea to kolebka jego rodziny. Rodzina to z dawna zamożna, kulturalna. Jeden z przodków premiera był w końcu wieku XV księgarzem w Poitiers, inny - lekarz z zawodu - cieszył się w wieku XVII protekcją biskupa Luçon kardynała Richelieu. Pradziad był lekarzem armii rewolucyjnej podczas wojny w Wandei, później oddanym Napoleonowi funkcjonariuszem I Cesarstwa. Ojciec Benjamin, również lekarz, był już zagorzałym republikaninem, kult republiki łączył z kultem rewolucji, był ateistą i wrogiem Kościoła. Światopogląd ten przekazał synowi Georgesowi.

Georges Benjamin ukończył studia medyczne i 13 maja 1865 r. uzyskał doktorat medycyny na podstawie pracy z dziedziny anatomii. Zaczęło się burzliwe życie Clemenceau. Na kilka lat wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych, gdzie się żeni, a następnie rozwodzi z Amerykanką Mary Plummer. Wybucho wojna roku 1870/71,

upada cesarstwo, powstaje III Republika. Clemenceau, mer XVIII okręgu Paryża, jako deputowany do Zgromadzenia Narodowego jest jednym ze 107, który wbrew większości (400) głosuje przeciwko ratyfikacji traktatu pokojowego z Niemcami. Burzliwe te lata wycisną trwały ślad na osobowości Clemenceau i wpłyną na kształt jego patriotyzmu.

Rozpoczęła się kariera parlamentarna Clemenceau - deputowany, później senator, świetny mówca, zawsze pełen temperamentu i bojowy, przyczynił się do obalenia około jedenastu gabinetów. Groźny polemista, niebezpieczny przeciwnik na trybunie parlamentarnej, władał równie dobrze piórem na łamach prasy, jak szpadą czy pistoletem w pojedynkach, których odbył ilość niemałą. W parlamencie i w prasie obdarzono go charakterystycznym przydomkiem: gdy Freycineta nazywano „białą myszką” (*la souris blanche*), Clemenceau zyskał przydomek „tygrysa” (*le tigre*).

W zastanawiający sposób łączyły się u Clemenceau miłość i kult wolności z głęboką pogardą człowieka. To Clemenceau powtarzał: „Chwała krajom, gdzie się mówi! Hańba krajom, gdzie się milczy!” I ten sam Clemenceau nie taił pogardy dla człowieka, a zwłaszcza dla polityka. Przecież to on wprowadził do języka francuskiego wyrażenie „*politicien*”, używane zawsze w sensie pejoratywnym, w przeciwieństwie do neutralnego „*homme politique*”.

Clemenceau miał ponoć powiedzieć Lloyd George'owi, że kocha Francję, a nienawidzi Francuzów. Lloyd George tymi słowy charakteryzuje Starego Ty-

grysa: „Pierwsza moja rozmowa z Clemenceau nie zakończyła się pomyślnie. Nie taił, że jest do mnie ustosunkowany nieprzychylnie. Gdybym nie spotkał go już nigdy więcej, myślałbym o nim jak o starym barbarzyńcy silnym, ale zręcznym i nieprzyjemnym. Po latach po tym spotkaniu - i to po latach brzemiennych w wypadki - odkryłem jego urok, jego rozum, jego żartobliwą wesołość, hipnotyczne zainteresowanie, jego uderzającą, niepospolitą osobowość”. Przypomina się tu charakterystyka innego wielkiego Francuza. W parę lat po śmierci generała de Gaulle’a powiedział o nim François Mitterand: „De Gaulle był wielkim człowiekiem, kochał Francję, ale nie zawsze dostrzegał Francuzów”.

Wojna roku 1914 i wtargnięcie wojsk niemieckich do Francji szarpnęły nerwami starego patrioty. W artykułach wstępnych w swym dzienniku „L’Homme Libre” (Człowiek Wolny), przemianowanym nieco później na „L’Homme Enchaine” (Człowiek w okowach), w znacznej mierze konfiskowanych przez cenzurę wojenną, obrzucał gradem inwektyw, nie oszczędzając nikogo, rząd francuski i francuskie dowództwo. Nieco później pisał o Clemenceau Léon Daudet, że należy albo postawić go na czele rządu, albo oddać pod sąd wojenny.

Polaka interesować musi stosunek Clemenceau do Polski i Polaków. Otóż Clemenceau od lat młodości był wielbicielem Polski, a uczucie to u dziedzica tradycji jakobińskich kojarzyło się z kultem wolności. „Clemenceau - pisał o nim Georges Bienaimé - należał do

tej generacji Francuzów, która kochała Polskę jak się kocha prawo, sprawiedliwość i wolność, gdy się ma lat dwadzieścia”.

Clemenceau „zaciekły republikanin ze skłonnościami do cezaryzmu”, jak o nim mówiono, „najsilniejszy człowiek Francji”, „wielki dyktator”, jak go określił Ludendorff, od pierwszej chwili mocną ręką ujął ster rządów. Styl jego rządów był swoisty. Premier nie domagał się szczególnych pełnomocnictw, parlament funkcjonował jak dotychczas i nadal toczyła się gra parlamentarna, prasa wypowiadała się swobodniej niż dotąd, gdyż pod władzą starego dziennikarza Clemenceau złagodniała cenzura wojenna. A pomimo to Stary Tygrys rządził sam, rządził naprawdę, władzą nie dzielił się z nikim. Gdy Clemenceau stanął na czele rządu we Francji powtarzano anegdotę na temat stylu jego rządzenia: znajdować się na przedostatnim stanowisku w rządzie to być prefektem, znajdować się na ostatnim stanowisku to być ministrem.

Premier pracował dużo. Wstawał o godzinie 5 rano, po rannych zabiegach toaletowych pracował w swym gabinecie. O godzinie 8 zjawiał się gimnastyk i odbywał ze starcem ćwiczenia gimnastyczne, którym Clemenceau przypisywał swą dobrą kondycję. Za kwadrans 9 był już Clemenceau w Ministerstwie Wojny i przyjmował swych najbliższych współpracowników - szefa gabinetu ministra wojny generała Jean-Henri Mordacqą, ministra spraw zagranicznych Stephena Pichona, Georges Mandela, szefa gabinetu prezesa ministrów. Trzej panowie składali premierowi raporty

dzienne o sytuacji wewnętrznej, wojskowej i zewnętrznej kraju. Dzień pracy z przerwą na śniadanie i krótki wypoczynek w domu pomiędzy 13 a 15 ciągnął się do późnego wieczora. Często w późnych godzinach wieczornych premier wzywał ministrów, których trzeba było szukać „w różnych kątach Paryża”. Udawał się na spoczynek późno w nocy. Telefon przy łóżku miał bezpośrednie połączenie z Ministerstwem Wojny.

Clemenceau pracował dużo, ale miał cenny dar umiejętnego, sprawnego zorganizowania swej pracy, zajmował się wyłącznie sprawami zasadniczymi, odrzucał od siebie rzeczy drugorzędne. Decyzje podejmował arbitralnie. I jeszcze rzecz charakterystyczna - były dziennikarz rzadko czytał gazety.

Dużo światła na postać Clemenceau rzuca jego mieszkanie w Paryżu przy ulicy Franklina nr 8, gdzie mieszkał od 1889 r. do śmierci w roku 1929.

W mieszkaniu tym znajduje się obecnie Muzeum Clemenceau. Na uwagę zasługuje zwłaszcza gabinet pracy z wielkim biurkiem o pięciu skrzydłach i pokój sypialny. Clemenceau tak jak w latach młodości tak i do końca życia pisał gęsim piórem; nigdy nie używał bibuły, o której mówił, że to zdrajca. Pismo swe posypywał złotym piaskiem.

Przeciążony pracą, pod brzemieniem twardej odpowiedzialności za losy Francji Clemenceau znajdował chęć i czas na częste wyjazdy na front, nie na dalekie tyły jak cesarz niemiecki, lecz wprost do okopów pierwszej linii. Dobrze czuł się wśród żołnierzy i szybko zdobył ich zaufanie. „Stary” mówiono o nim w oko-



pach z sentymentem, powtarzano jego powiedzenia, naśladowano jego ruchy i gesty, zaczęła powstawać legenda sędziwego szefa rządu odwiedzającego front w starym, podniszczonym kapeluszu z nieodłączną laską w ręku. Takim uwieczniono go na pomniku na Polach Elizejskich w Paryżu.

Clemenceau uważał, że w szczególnych okolicznościach zwierzchnik musi ryzykować życie. Nie budziło to entuzjazmu pośród wyższych urzędników i generalicji, ale jednało Staremu Tygrysowi serca frontowych, prostych żołnierzy. Do legendy zapewne należy opowiadanie, że Clemenceau idąc kiedyś okopem pierwszej linii wysunął niebacznie głowę, a wtedy padł w jego kierunku strzał niemiecki. Rozjuszony Stary Tygrys dobył rewolwer i ruszył do ataku, ledwo zdołano go powstrzymać.

20 listopada 1917 r. Clemenceau stanął na trybunie Izby Deputowanych i „swym rąbiącym głosem” przedstawił deklarację ministerialną. „Panowie, zgodziliśmy się objąć ster rządów, aby prowadzić wojnę zdwajając wysiłki dla najlepszego wyzyskania całej energii narodu. Stajemy przed Izbą z jedną tylko myślą o wojnie integralnej (...) Domagano się charakterystyki mego rządu, oto ona: Nie obiecuję nic! Będę działał! (...) Pytają mnie o moje cele wojenne. Odpowiadam: mój cel wojenny - być zwycięzcą”.

Rządy Clemenceau z dnia na dzień nieledwie zmieniały oblicze Francji. Clemenceau tchnął w pochylony pod brzemieniem wojny naród francuski wiarę w siebie, wiarę w zwycięstwo. Szerzący się dotąd defe-

tyzm począł zanikać, oceny pesymistyczne zaczęły ustępować optymizmowi. Francuzi uczuli, że ster rządów kraju dzierży człowiek mocny, który wie czego chce i dokąd dąży. Ze śmiechem oglądali krążącą po kraju karykaturę, której autorem był malarz, rytownik i karykaturzysta Jean-Louis Forain - rozmowa pomiędzy dwoma „poilus”, dwoma żołnierzami frontowymi: „Oby tylko oni wytrzymali!” - „Kto?” - „Cywile!” Wytrzymali!

Parlament pracował nadal normalnie z tym jedynie, że przestały się odbywać posiedzenia komitetów tajnych, cenzura zelżała. Społeczeństwo zaprzestało procesów i ustały zaburzenia, zanikły powody do represji.

Uderzenia padły jedynie na dwóch byłych ministrów. Pod zarzutem zdrady przed sądem stanął Malvy. 14 stycznia 1918 r. został aresztowany Caillaux.

Procesy Malvy'ego i Caillaux miały w rozumieniu Clemenceau onieśmielić defetystów i wątpiących, światu zaś dać obraz narodu jednomyślnego w woli zwycięstwa.

## **76. Stany Zjednoczone wobec wojny**

16 maja 1914 r. odpłynął z Nowego Jorku do Europy umyślny, nadzwyczajny wysłannik prezydenta Stanów Zjednoczonych pułkownik House.

Edward Mandell House, teksańczyk, potomek holenderskich wychodźców do Ameryki, nie piastował żadnego stanowiska w rządzie Stanów Zjednoczonych. Był osobistym przyjacielem i zaufanym doradcą prezydenta Wilsona. Czynny i niezmiernie ruchliwy utrzy-

mywał bliskie stosunki z ludźmi biznesu, z politykami, dziennikarzami, uczonymi, artystami, był nieźle zorientowany w amerykańskich stosunkach politycznych, a nawet w polityce światowej.

Misję swą rozpoczął House w Niemczech. Pesymizm cechował pierwsze wrażenia wysłannika prezydenta. „Militaryzm szaleje - pisał House do Wilsona 29 maja pod świeżym wrażeniem. - Jeśli ktoś działając z Pańskiego mandatu nie doprowadzi do innego myślenia, dojdzie pewnego dnia do straszliwego kataklizmu. Europejczyk tego nie dokona. Zbyt wiele tu nienawiści, zbyt wiele zawiści. Jeśli Anglia przyzwoli, Francja i Rosja oskrzydlą Niemcy i Austrię”.

W słowach tych uderza już przeświadczenie, że Stany Zjednoczone powinny być” arbitrem świata czy Europy, że od ich działań mediatorskich zależy pokój i bezpieczeństwo Europy. Uderza również, że House uległ w pewnej mierze propagandowym wywodom niemieckich rozmówców o oskrzydleniu Państw Centralnych. Punkt ciężkości sytuacji trafnie upatrywał w stosunkach pomiędzy Londynem a Berlinem. „Anglia - pisał w tym samym liście do Wilsona - nie dąży do zgniecenia Niemiec, gdyż znalazłaby się wtedy sam na sam z dawną przeciwniczką Rosją. Ale jeśli Niemcy będą się upierały przy nieustannym powiększaniu floty, Anglia nie będzie miała wyboru”.

1 czerwca House uzyskał sposobność do odbycia półgodzinnej rozmowy z cesarzem. Wilhelm wydał mu się usposobiony pokojowo, tłumaczył amerykańskiemu gościowi, że Niemcy się rozwijają gospodarczo, a do

tego potrzebny im pokój, ale „Niemcy są zewsząd zagrożone. Kierują się przeciwko nim bagnety Europy”. Cesarz uważał, że Anglicy, Amerykanie i Niemcy to narody spokrewnione i powinny ze sobą współpracować. „Szaleństwem” Anglii nazwał jej sojusz z „Latinumami i Słowianami”. Ogólne wrażenie z pobytu w Niemczech i rozmów z politykami niemieckimi streszcza się w tym, że House nie sądził, aby Niemcy dążyli do wojny według ustalonego planu, dojrzał natomiast w Niemczech „bezmyślną nerwowość”, która może się kiedyś wyładować w bezmyślnym ataku. Stwierdził również u Niemców niezdolność do kompromisu i do traktowania z umiarem nasuwających się problemów.

Po „spokojnym tygodniu w Paryżu” pułkownik nabrał przekonania, że „francuscy mężowie stanu zarzucili ideę rewanżu” i odzyskanie Alzacji i Lotaryngii i że zadowolą się obecną pozycją Francji.

Bardziej interesujące były spotkania i rozmowy House’a w Londynie. Na konferencji z Sir Edwardem Greyem usłyszał, że Wielka Brytania i Rosja graniczą ze sobą w tylu miejscach świata, że muszą osiągnąć „pewien rodzaj dobrego porozumienia” (*some sort of good understanding*). Co do Niemiec sekretarz stanu uznawał, że muszą one mieć flotę odpowiadającą rozwojowi ich handlu morskiego, a zarazem dość silną, aby mogła je obronić przed Rosją i przed Francją. Grey uważał wszakże, iż „Niemcy są tak agresywne, że może to być niebezpieczne”.

Drogę do wyrównania przeciwieństw brytyjsko-niemieckich i do zapewnienia świata pokoju upatrywał House we wspólnej akcji Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji i Niemiec dla gospodarczego rozwoju krajów zacofanych. House sądził widać, że wspólna eksploatacja Ameryki Łacińskiej, Azji i Afryki nie powiększy tarć między mocarstwami, ale przeciwnie złagodzi je i doprowadzi do zbliżenia rywali. Sir Edward Grey przyjął myśl wysłannika amerykańskiego z zainteresowaniem, ale świat polityczny Londynu zbyt był zaabsorbowany sprawą irlandzką, aby rząd mógł przystąpić do rozważania inicjatywy amerykańskiej. Jedynym bodaj rezultatem paryskich i londyńskich rozmów House'a był jego list do cesarza Wilhelma z 7 lipca. Pułkownik zdawał w nim krótko sprawę ze swych rozmów paryskich i londyńskich i wyrażał pogląd, że Wielka Brytania, chociaż musi się liczyć z „wrażliwością” Francji i Rosji, pragnie pokoju i polepszenia stosunków z Niemcami. List House'a znalazł się w rękach Wilhelma dopiero po jego powrocie z wód norweskich, gdy sytuacja zmieniła się gruntownie, a Europa znajdowała się dosłownie w przededniu wojny.

21 lipca odpłynął pułkownik House z Anglii a 29 przyплыł do Bostonu.

Misja pułkownika House'a spełzła na niczym, jeśli chodzi o konkretne skutki. Jest wszakże świadectwem rozpoczynającego się właśnie zainteresowania kół rządzących w Stanach Zjednoczonych wielką polityką światową, jest wyrazem przekonania, że Stany Zjedno-

czony powinny wyjść poza kontynent amerykański, powinny wypłynąć poza wody Oceanu Spokojnego i zachodniego Atlantyku - wraz z wielkimi mocarstwami Europy - powinny stać się mocarstwem w skali światowej współdecydującym o rozwoju świata.

Wkrótce po wybuchu wojny House pisał do Wilsona: „...Jeśli zwycięży Koalicja, oznaczać to będzie dominację Rosji na kontynencie Europy. Jeśli zaś zwyciężą Niemcy, zapanuje na pokolenia nieopisana tyrania militarizmu”. Ten взгляд niewątpliwie wielu wykształconych Amerykanów brało pod uwagę. Ale w grę wchodziły inne jeszcze czynniki, które decydowały o polityce Stanów Zjednoczonych, o ich neutralności najpierw, o ich udziale w wojnie następnie.

4 sierpnia 1914 r. prezydent ogłosił neutralność Stanów Zjednoczonych, a 18 sierpnia w orędziu do narodu pisał: „Naród Stanów Zjednoczonych powstał z różnych narodowości, które walczą teraz ze sobą. Sprawa to nieunikniona i rozumiała, że w społeczeństwie naszym istnieją rozmaite sympatie i formułują się rozmaite życzenia co do wyniku wojny. (...) Jak łatwo rozpętać namiętności, a jak trudno je uśmierzyć”. Prezydent lękał się, aby te namiętności nie rozbiły narodu na wrogie obozy. „Ośmielam się kierować do Was, Rodacy, uroczystą przestrogą przed złamaniem neutralności. (...) Stany Zjednoczone muszą pozostać neutralne faktycznie i formalnie. (...) Musimy być bezstronni w myślach i w działaniu...”

Obawy i wątpliwości Wilsona były uzasadnione. Nie tu miejsce na rozważania, czy mieszkańcy Stanów

Zjednoczonych tworzyli już wówczas, w roku 1914, w pełni uformowany naród, jakim są niewątpliwie dziś, czy też byli dopiero na drodze do stania się takim narodem. Faktem jest, że w poglądach na wojnę, na walczące obozy różnice w społeczeństwie amerykańskim były znacznie silniejsze niż w innych państwach neutralnych. I nie mogło być inaczej. Społeczeństwo amerykańskie było zróżnicowane pod względem pochodzenia, a słynny „tygiel” (*meltingpot*) nie zdołał go jeszcze całkiem zintegrować. Byli więc Amerykanie pochodzenia anglosaskiego językiem, obyczajami, kulturą, tradycjami blisko związani z Anglikami i ku Anglii kierujący swe sympatie. Byli i „German–Americans”, Amerykanie pochodzenia niemieckiego; ich sentymenty zwracały się, rzecz prosta, ku dawnej ojczyźnie. Byli następnie Irlandczycy wrogo usposobieni do Wielkiej Brytanii. Byli wreszcie Żydzi, ci nie tyle pałali miłością do Niemiec, ile nienawiścią do caratu. Polacy byli podzieleni; mieli zresztą mniejsze wpływy.

Zróżnicowanie to działało w początkach wojny, zmniejszyło się wydatnie jego znaczenie, gdy Stany Zjednoczone wystąpiły zbrojnie.

Pod pierwszym wrażeniem wojny prezydent Wilson wystosował 4 sierpnia 1914 r. telegramy do cesarza Austrii, Niemiec i Rosji, do króla angielskiego i do prezydenta Francji z ofiarowaniem usług mediacyjnych.

Thomas Woodrow Wilson przez lat dwadzieścia (1890–1910) profesor nauk prawnych i ekonomicznych na Uniwersytecie Princeton, specjalizował się w prawie konstytucyjnym, zwłaszcza brytyjskim i amerykań-

skim. Na forum polityczne wszedł w 1910 r. jako gubernator stanu New Jersey z ramienia partii demokratycznej. W 1913 r. objął urządowanie w Białym Domu jako 28 prezydent Stanów Zjednoczonych. Właściwe pole działania upatrywał dla siebie w polityce wewnętrznej; wyznawał sam w liście do przyjaciela, że byłoby ironią losu, gdyby musiał zająć się polityką zagraniczną.

Nie była to wszakże ironia losu, była to naturalna konsekwencja atrybucji, które konstytucja przyznawała prezydentowi. Sam Wilson pisał w 1907 r. w pracy o rządzie Stanów Zjednoczonych, że prezydentowi przysługuje prawo „absolutnej kontroli” polityki zagranicznej.

Gdy Wilson zasiadł w Białym Domu, nie orientował się w sytuacji międzynarodowej. Europę znał słabo i nie rozumiał jej powikłanych problemów. Był głęboko przeświadczony o wyższości demokracji nad innymi ustrojami. Militarizm pruski budził w nim niechęć i nieufność. Szczere sympatie żywił natomiast do ojczyzny swych przodków, do Szkocji; wysoko cenił literaturę angielską.

Trudno orzec, czy telegramy Wilsona do głów walczących mocarstw były nieprzemyślanym odruchem nierozumiejącego polityki światowej prezydenta, odruchem, który nie mógł pociągnąć za sobą konsekwencji, czy też posunięciem świadomym i celowym, mającym przygotować świat do przyszłej mediacji amerykańskiej.



W każdym razie w poglądach społeczeństwa amerykańskiego na wojnę i jej znaczenie dla Stanów Zjednoczonych następowały widoczne przemiany.

Najpierw zaskoczenie - wojny się nie spodziewano - zdziwienie i przekonanie, że wnet powróci pokój. Lecz wkrótce już wystąpiły obawy, czy Japonia nie skorzysta z wojny w Europie, aby rozszerzyć i umocnić swe panowanie i wpływy na Dalekim Wschodzie. Istotnie Japonia 23 sierpnia 1914 r. wypowiedziała wojnę Niemcom i po krótkich bojach opanowała niemieckie kolonie w Azji Wschodniej i na Oceanie Spokojnym. Wkrótce Japończycy odsłonią chęci zawładnięcia Chinami.

Wybuch wojny zaskoczył społeczeństwo amerykańskie. „Ten straszliwy konflikt pomiędzy narodami - pisał 12 listopada 1914 r. członek kongresu z Karoliny Północnej Robert Page do brata Waltera ambasadora w Londynie - był to dla większości spośród nas jak piorun z jasnego nieba”. Sympatie przeważającej części Amerykanów szły ku Francji i zwłaszcza ku Wielkiej Brytanii; carat budził niechęć, ale nie łączono go ściślej z demokracjami Europy Zachodniej. „Większość myślących Amerykanów była przeświadczona, że przyszłość rodzaju ludzkiego będzie piękniejsza, jeśli liberalne demokracje, brytyjska i francuska, osiągną przewagę w Europie; przyszłość ta będzie natomiast ciemna, jeśli zatriumfują zuchwałe, ambitne, autokratyczne Niemcy cesarskie”.

Obok ogromnej większości Amerykanów sympatyzujących z demokracjami Europy Zachodniej wystą-

pił i kierunek proniemiecki. Tworzyli go przede wszystkim obywatele amerykańscy pochodzenia niemieckiego. Dobrze na ogół sytuowani materialnie, pracownicy, energiczni, ruchliwi, rozwinięli szeroką propagandę w prasie, kolportowali karty z fotografiami Wilhelma II i Hindenburga, albumy wojenne, głosili chwałę Germanii, mieli wpływy i w kołach politycznych. Nie bez słuszności, chociaż z niewątpliwą przesadą, pisał 5 stycznia 1915 r. ambasador brytyjski w Waszyngtonie Sir Cecil A. Spring–Rice: „Widać teraz jasno, że wewnątrz organizmu amerykańskiego istnieje organizacja obca, ukształtowana starannie i systematycznie, sięgająca w dziedzinę polityki, finansów, dziennikarstwa, oświaty, administracji, biznesu, mająca swoje własne cele i swoje własne środki.

Niemcy amerykańscy cieszyli się poparciem niektórych innych odłamów społeczeństwa Stanów Zjednoczonych. Czołowe miejsce zajmowali tu Irlandczycy. Różne organizacje irlandzkie prowadziły propagandę antybrytyjską, współdziałały w tej dziedzinie z Niemcami, korzystały z ich subsydiów. Antykoalicyjne stanowisko zajmowali w większości amerykańscy Żydzi. Za wroga uważali gnębiący ich carat. Na antyrosyjskich pozycjach stali również Amerykanie pochodzenia skandynawskiego. Polonia amerykańska była podzielona na przeciwników Rosji i przeciwników Państw Centralnych.

Stanowisko Stanów Zjednoczonych wobec wojny europejskiej dyktowała im ich swoista, odmienna od państw Europy sytuacja geopolityczna, dyktowały je

ich interesy gospodarcze i wynikające stąd wymagania ich polityki. Stany Zjednoczone żyły w poczuciu zupełnego bezpieczeństwa, nikt dotąd nie zagrażał serio ani integralności ich terytorium, ani ich interesom. Stąd wynikała postawa i obywateli, i rządu. Zainteresowanie sprawami zagranicznymi przejawiała niewielka grupa osób spośród elity intelektualnej, ale dla ogółu sprawy te pozostawały dalekie i obce. „Ogólne nastawienie w tym kraju - pisał 17 września 1915 r. ambasador Spring-Rice - wiąże się z osobistymi korzyściami obywateli amerykańskich. (...) Poczucie honoru narodowego, na co społeczeństwo Stanów Zjednoczonych jest, według ogólnego mniemania, szczególnie wrażliwe, ustępuje w każdym regionie, w każdej klasie, w każdej narodowości przekonaniu, że Amerykanie powinni zajmować się tylko własnymi sprawami. Na przykład w Kalifornii odnoszą się z zupełną obojętnością nie tylko do spraw Europy, ale także i do stanów wschodnich czy środkowych. Stany środkowe myślą o pszenicy, a południowe o bawełnie”.

Interesujące uwagi o stanowisku szerokich kół społeczeństwa Stanów Zjednoczonych wobec wojny zamieścił poważny londyński periodyk „The Nation” z października 1915 r. Czytamy tam, że Amerykanie są nastawieni antyniemiecko, lecz antywojennie, nie są za Koalicją, lecz za pokojem. Niewątpliwie było w tym spostrzeżeniu dużo prawdy.

Ale ważniejsze chyba od nastrojów nie pasjonującej się polityką zagraniczną opinii publicznej było stanowisko rządu, a jeszcze ważniejsze stanowisko wiel-

kich banków. Tym bardziej że i rząd, i wielkie monopole umiały kierować opinią publiczną.

Wiemy o próbie mediacyjnej Wilsona z 4 sierpnia. Prezydent już w pierwszych tygodniach wojny wkroczył na teren zupełnie dla siebie obcy, na teren polityki światowej i zaczął przemyśliwać jej skomplikowane problemy, jej zawiłe zagadnienia bez należytej znajomości rzeczy, ale z doktrynerskim uporem. W sierpniu 1914 r. mówił do swego szwagra Stocktona Axona, że wojna niewątpliwie radykalnie zmieni stosunki międzynarodowe. W umyśle Wilsona rysowały się wówczas cztery warunki ukształtowania powojennego świata: 1) nie dopuścić, aby kiedykolwiek jakieś państwo mogło uzyskać piędź ziemi drogą podboju, 2) uznać bezwzględnie, że małe i duże narody mają jednakowe prawa, 3) państwa, nie zaś prywatne firmy mają być w przyszłości wyłącznym producentem sprzętu bojowego, 4) powinien powstać związek narodów, który czuwałby nad bezpieczeństwem i integralnością swych członków.

Są to w dużym skrócie sformułowane przez Wilsona zasady polityki Stanów Zjednoczonych nie tylko na czas wojny, ale i program polityczny na okres powojenny.

W połowie grudnia 1914 r. prezydent znowu wypowiedział się na temat wojny w wywiadzie dla dziennika „New York Times”. W wywiadzie tym Wilson w sposób zawiły tłumaczył, że wina za wywołanie wojny nie leży po jednej stronie, że pragnąłby pokoju kompromisowego, lecz że nie byłoby to ze szkodą dla

Stanów Zjednoczonych, gdyby wojnę wygrała Koalicja. Prezydent pragnąłby również, aby nie aneksjonistyczne dążenia mocarstw, lecz interesy narodów dyktowały zasady przyszłego pokoju.

Były to myśli bliżej jeszcze nie sprecyzowane; później dopiero miały się z nich wyłonić zasady wilsonowskiej polityki podczas wojny i na konferencji pokojowej. Na razie chodziło o ustalenie nie tylko w teorii (to było proste), ale i w praktyce (to było bardziej skomplikowane) polityki neutralności.

A teraz stanowisko wielkiej finansjery! Wybuch wojny w Europie wywołał niepokój na giełdzie nowojorskiej. Kapitałiści europejscy zaczęli wycofywać kapitały ze Stanów Zjednoczonych do Europy. Panowało tu bowiem przekonanie, że wojna zakończy się w niedługim czasie, że wobec tego przywóz jest zbędny, że wystarczą własne posiadane zapasy żywności, surowców, wyrobów przemysłowych. Zresztą handel Stanów Zjednoczonych z Europą mocno utrudniała wojna, handlowe statki francuskie i angielskie zajęte były transportem wojska, niemieckie zaś zablokowane w swych portach. Ustał, a w każdym razie uległ znacznemu zmniejszeniu amerykański eksport do Europy, nawet eksport bawełny. Widmo kryzysu gospodarczego zamaczało przed Stanami Zjednoczonymi.

Ale sytuacja szybko uległa zmianie. Jesienią 1914 r. zaczął brać górę pogląd, że wojna trwać będzie długo; zapasy zużywano, konieczne było poczynienie nowych zakupów. Wielka Brytania i Francja zaczęły nabywać na rynku amerykańskim zarówno sprzęt wojen-

ny, jak żywność i surowce, zwłaszcza bawełnę i ropę. Banki amerykańskie chętnie udzielały wysokich kredytów, aby móc sprzedawać jak najwięcej i zdobyć przewagę nad konkurentami z Kanady, Australii i Argentyny. 24 października 1914 r. rząd federalny podał do wiadomości bankom, że nie sprzeciwia się udzielaniu państwu walczącym kredytów krótkoterminowych. Rzecz prosta, że transakcje na wielką skalę mogli Amerykanie prowadzić jedynie z Wielką Brytanią i z Francją, Niemcy nie mogły być poważnym odbiorcą z powodu blokady. Czyż w takich warunkach Stany Zjednoczone mogły pozostać państwem rzeczywiście neutralnym, zachowując rzeczywistą bezstronność?

Czynniki gospodarcze coraz wyraźniej kierowały Stany Zjednoczone ku państwom Koalicji. Do listopada 1916 r. państwa te uzyskały w bankach amerykańskich w formie kredytów towarowych i pożyczek 1 mld 929 mln dolarów. Niemcy zaś niespełna 20 mln. Głównym bankiem Koalicji był znany nowojorski Dom Morgana. W tym samym czasie rósł wywóz ze Stanów Zjednoczonych do państw Koalicji, malał zaś wywóz do Niemiec. (...)

Zamówienia wojenne państw europejskich przyniosły amerykańskim monopolom olbrzymie zyski. Trust Morgana w 1916 r. zgarnął 271,5 mln dolarów, firma Dupont de Nemours osiągnęła w tymże roku 82,1 mln dolarów, Bethlehem Steel Corporation 57,9 mln dolarów.

Ścisłe węzły interesu łączyły więc kapitał amerykański z Wielką Brytanią i z Francją. Przegrana Koali-

cji niewątpliwie przyniosłaby firmom amerykańskim poważne straty. Ale to bynajmniej jeszcze nie znaczyło, że naród Stanów Zjednoczonych pragnął wziąć udział w wojnie, nie znaczyło również, że wojny pragnął już kapitał amerykański. Wymowę miał fakt, iż w kampanii wyborczej przed elekcją prezydenta w listopadzie 1916 r. obaj kandydaci, Wilson i Hughes, głosili potrzebę zachowania neutralności. Obie partie, republikańska i demokratyczna, posługiwały się hasłem: Stany Zjednoczone muszą pozostać „poza wojną”.

Ale już w 1915 r. zaczęły się chwiać podstawy neutralności Stanów Zjednoczonych. Na razie jednak w myśl intencji Wilsona, ujawnionych światu 4 sierpnia 1914 r., Amerykanie podjęli próbę mediacji. Obarczono nią pułkownika House'a, „jedynego człowieka, który cieszył się pełnym zaufaniem Wilsona”.

30 stycznia 1915 r. House na pokładzie parowca „Lusitania” odpłynął z Nowego Jorku, a 6 lutego 1915 r. przyплыł do brzegów Anglii i tego dnia jeszcze odbył dłuższą rozmowę z Sir Edwardem Greyem. W dyskusji nad celami wojennymi uwidoczniły się od razu doktrynerskie, mało realistyczne poglądy amerykańskiego wysłannika. Jeśli Francja postawi kwestię Alzacji i Lotaryngii, House doradzać będzie rozwiązanie sporu przez neutralizację tych krajów na wzór Luksemburga. Francja i Niemcy nie będą ze sobą graniczyły, styczność będą mogły mieć tylko na morzu. Taki sposób zapobieżenia wojnie francusko–niemieckiej widział mediator amerykański w pół roku po napaści Niemców na neutralizowaną Belgię.

Od razu zresztą było widać, że misja House'a nie rokowała nadziei. On sam po dwutygodniowym pobycie w Londynie stwierdzał, że ani gabinet brytyjski, ani większość społeczeństwa w Wielkiej Brytanii, ani Francja i Rosja nie pragną w danej chwili wszczęcia rokowań.

Wojownicze stanowisko zajmował król. 1 marca 1915 r. Jerzy V przyjął House'a na blisko godzinnej audiencji. „Jest to najbardziej wojowniczy Anglik, jakiego dotąd spotkałem”, - pisał w kilka godzin później House. Zdaniem króla zapewnić trwały pokój można tylko zmiążdżywszy Niemcy. O samym narodzie niemieckim monarcha wyrażał się na ogół życzliwie, natomiast o swym kuzynie Wilhelmie II mówił „językiem marynarskim”. Podobnie potentat prasowy Alfred Northcliffe zrobił uwagę półzartem, że jeśli pułkownik House przyjechał do Anglii dyskutować o pokoju, należałoby go wydalić. Pokojowo usposobionych Anglików spotkał wysłannik Wilsona niewielu; był pomiędzy nimi - rzecz interesująca - Francis Wrigley Hirst, wydawca tygodnika „Economist”.

Po krótkim, kilkudniowym pobycie w Paryżu House przyjechał 19 marca do Berlina. Nad Sprewą, podobnie jak nad Tamizą, nie trafił pułkownik House na klimat sprzyjający wysiłkom mediacyjnym. „Stwierdziłem - pisał 26 marca - że rząd cywilny jest tu równie rozsądny i lojalny jak rząd angielski, ale chwilowo jest bezsilny. Niebezpieczna to rzecz podniecać naród i karmić go przesadną wiarą w sukcesy. A to nastąpiło i następuje w każdym prawie kraju toczącym wojnę”.



Dalszych trudności nastroczały wysłannikowi prezydenta amerykańskie dostawy sprzętu bojowego dla Koalicji. „Rozgoryczenie i gniew na nas są wręcz niewiarygodne. Wydaje się, że każdy zabity czy ranny żołnierz niemiecki padł od amerykańskiej kuli czy amerykańskiego granatu”. Ale Amerykanin mógł się w berlińskich rozmowach posłużyć argumentem, na który Niemcy byli wrażliwi. Argument ten to wolność mórz, zupełna wolność handlu morskiego, flota miała służyć wyłącznie do obrony kraju przed inwazją. Niemcy przyjęli takie myśli „entuzjastycznie”, zdawali sobie sprawę, że Wielka Brytania była na morzu silniejsza. Odpowiedzią na sugestie House’a był artykuł wstępny w berlińskim dzienniku „Tageblatt” z 27 marca 1915 r., że Niemcy walczą nie tylko o swą niezależność, ale i dlatego, aby uwolnić świat „od terroru angielskiej floty”.

Argument mógł zainteresować niektórych polityków, ale znaczenia praktycznego mieć nie mógł zupełnie. House tak oceniał sytuację w Niemczech: „Wszyscy pragną pokoju, lecz naród obali rząd, a może i monarchę, jeśli podjęte zostaną pertraktacje niedające możliwości sukcesu”. Jak widzimy sytuację w Niemczech oceniał podobnie jak sytuację w Anglii.

House widział takie rozwiązanie trudności niemieckich: rząd Rzeszy musi zachować nieuszczerplony autorytet, ale naród powinien zdawać sobie sprawę z położenia. Należy więc skłonić Wielką Brytanię, aby uznała wolność mórz za jedną z podstaw pokoju, wówczas rząd cesarski będzie mógł powiedzieć swemu na-

rodowi, że wygrał on wielką sprawę, o którą walczy, to jest wolność mórz, i Niemcy mogą się spokojnie wycofać z Belgii.

Pobyty w Berlinie nazwał House „nadzwyczajnie męczącym i nieprzyjemnym”. Rezultaty rozmów w stolicy Rzeszy zreasumował krótko: „Nie znalazłem w Berlinie warunków odpowiednich do dyskusji w sprawie pokoju”. Było tak zapewne między innymi i dlatego, że Niemców oburzały amerykańskie dostawy sprzętu bojowego dla Koalicji; panowała jakoby w Niemczech opinia, że bez tych dostaw wojna zakończyłaby się zwycięstwem niemieckim, rzecz prosta, przed upływem miesiąca, rząd Stanów Zjednoczonych miał więc ponosić odpowiedzialność za jej przedłużanie.

Następny pobyt House'a w Paryżu w kwietniu 1915 r. mógł jedynie usztywnić stanowisko Koalicji. Pułkownik absolutnie nie wierząc w powodzenie, a jedynie *par acquis de conscience* przedstawił ministrowi spraw zagranicznych Francji Delcassému otrzymane 21 kwietnia z Berlina sugestie sekretarza stanu Jagowa, że Niemcy gotowe zawrzeć pokój na takich warunkach: aneksja Namur, Liège, doliny Mozy i części Kongo, odszkodowanie ze strony Francji. Delcassé roześmiał się i propozycje Jagowa uznał za żart. Delcassé nie zgodził się również z nie przekonującym zresztą tłumaczeniem House'a, że postulaty niemieckie są wprawdzie nie do przyjęcia, ale wskazują na chęć Niemiec rozpoczęcia pertraktacji pokojowych.

Ponowny pobyt w Londynie dał House'owi okazję nie tyle do dalszej mediacji pokojowej, ile do dyskusji na temat wojny podmorskiej i jej skutków. 13 czerwca 1915 r. wysłannik Wilsona wylądował w Nowym Jorku. Misja zakończyła się niepowodzeniem, ale prezydentowi Stanów Zjednoczonych przyniosła dane orientacyjne dotyczące sytuacji i nastrojów panujących w Wielkiej Brytanii, Francji i w Niemczech.

Tymczasem wystąpiły czynniki, które niebawem wydatnie zaważą na polityce Stanów Zjednoczonych.

Jak wiemy zaraz po wybuchu wojny Wielka Brytania i Francja ogłosiły blokadę Niemiec. Początkowo nie miało to większego znaczenia gospodarczego. Wkrótce wszakże pierścień dokoła Niemiec zacieśnił się i aparat blokady zaczął działać skuteczniej. Rządy brytyjski i francuski interpretując rozszerzającą tzw. deklarację londyńską z 1909 r. o przemyśle wojennym uznały, że wszelkie towary nie tylko do portów niemieckich, ale i do portów w krajach neutralnych, sąsiadujących z Niemcami, uznać należy za kontrabandę wojenną, jeśli nie będzie bezspornego dowodu, że krajem przeznaczenia wiezionego towaru jest rzeczywiście kraj neutralny. Za przemyt uznano nie tylko sprzęt bojowy i surowce bezpośrednio służące przemysłowi wojennemu, ale w ogóle wszelkie towary wysyłane do Niemiec, także i żywność służącą do zaopatrywania ludności cywilnej.

Niemcy na blokadę odpowiedzieli użyciem łodzi podwodnych. 4 lutego 1915 r. rząd Rzeszy ogłosił, iż wody okalające Wyspy Brytyjskie są strefą wojenną;

niemieckie łodzie podwodne będą zatapiały płynące tam nieprzyjacielskie statki handlowe i pasażerskie. Przemysł wszakże nie ustał. A eksporterzy amerykańscy pomimo strat w zatapianych statkach i towarach ciągnęli zeń sute zyski, ale sytuację wytworzoną przez walczące strony uważali słusznie za drażniącą. Poruszyła się również opinia publiczna w Stanach Zjednoczonych. Początkowo Amerykanie irytowali się na naruszenie zasady wolności mórz, to kierowało się przede wszystkim ku Wielkiej Brytanii; w następnej fazie, gdy od torped niemieckich łodzi podwodnych tonęły statki i ginęli ludzie, oburzenie zwróciło się przeciwko Niemcom.

Interesująca i charakterystyczna była przeprowadzona 30 września 1914 r. rozmowa prezydenta z pułkownikiem House'em o zatrzymywaniu statków państw neutralnych przez okręty brytyjskie. Wilson odczytał ze swej *History of the American People* (1902 r.) ustęp mówiący, jak to w 1812 r. podobne okoliczności, tzn. brytyjska polityka morska, wywołały wojnę pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Wielką Brytanią. Już nazajutrz, 1 października, ambasador brytyjski w Waszyngtonie Sir Cecil A. Spring-Rice pisał do sekretarza stanu Greya: „Prezydent jest pod wrażeniem powagi sytuacji, dotyka ona bowiem kieszeni i uprzedzeń wielu ludzi’ „.

Brytyjska blokada Niemiec była przedmiotem niełatwych rokowań amerykańsko–brytyjskich; toczyły się one jednocześnie w Waszyngtonie i w Londynie. Anglicy pomimo presji Waszyngtonu byli zdecydowani

nie ustępować, utrzymać blokadę i nadal konfiskować wszelkie surowce i wszelkie wyroby amerykańskie potrzebne niemieckiej machinie wojennej, jednocześnie wszakże podkreślali swą dobrą wolę.

Słowem *fortier in re, suaviter in modo*.

Pomimo podniecenia amerykańskiej opinii publicznej, pomimo krytycznego wobec metod blokady stanowiska rządu Stanów Zjednoczonych wzrastał eksport amerykański do państw wojujących w Europie. Rzecz prosta, szedł on głównie do Wielkiej Brytanii i Francji, spotykał się bowiem z mniejszymi utrudnieniami i narażał się na mniejsze ryzyko niż eksport do Niemiec. Łączyła się z tym kwestia pożyczek dla państw importujących ze Stanów Zjednoczonych. Po dyskusjach i wahaniach zgodzono się, że udzielanie państwom walczącym kredytu bankowego, przeznaczonego wyłącznie na opłacenie zakupów poczynionych w Stanach Zjednoczonych, nie będzie naruszeniem neutralności. Banki amerykańskie z potężnym Domem Morgana na czele przyznały wysokie kredyty przede wszystkim Wielkiej Brytanii i Francji, a także i Rosji. Nowojorski Bank Chandler and Company udzielił również kredytów Niemcom<sup>28</sup>. Po deklaracji niemieckiej z 4 lutego 1915 r. o strefie wojennej wokół Wysp Brytyjskich, rząd Stanów Zjednoczonych notą z 10 lutego przestrzegł, że jeśli Niemcy zatopią statek amerykański lub spowodują śmierć obywateli amerykańskich, wytworzy się sytuacja krytyczna. Jednocześnie rząd Stanów Zjednoczonych zaprotestował w Londynie przeciwko wywieszaniu flagi amerykańskiej na okrętach

brytyjskich znajdujących się w niebezpieczeństwie. Prasa amerykańska opublikowała tekst obu not w dniu 12 lutego z ostrymi nieraz komentarzami.

Najbliższe miesiące pokazały, że na wodach Oceanu Atlantyckiego były rzeczywiście źródła niepokoju, który w dwa lata później doprowadzić miał do wybuchu wojny amerykańsko–niemieckiej. 28 marca 1915 r. niemiecka łódź podwodna zatopiła statek brytyjski „Falaba”, 29 kwietnia 1915 r. samolot niemiecki zaatakował statek amerykański „Cushing”. Bomba spowodowała szkody, ale nie było ofiar w ludziach, 1 maja wreszcie znowu niemiecka łódź podwodna storpedowała statek „Gulflight”; straciło życie dwóch Amerykanów.

1 maja 1915 r. dzienniki w Stanach Zjednoczonych opublikowały komunikat, podpisany przez ambasadę cesarsko–niemiecką, przestrzegający obywateli amerykańskich przed odbywaniem podróży na pokładach statków brytyjskich, płynących wodami „strefy wojennej”. Komunikat wywołał oburzenie w Departamencie Stanu. Widziano w nim „formalną groźbę” wymierzoną w obywateli amerykańskich „korzystających ze swych słusznych praw”.

Tego samego dnia, 1 maja, z portu w Nowym Jorku odpłynął do Anglii wielki parostatek transatlantycki „Lusitania”.

Na pokładzie „Lusitanii” znajdowało się 1257 pasażerów. Niemcy będą później utrzymywali, że parowiec wiozł nie tylko żywność, ale i amunicję. 7 maja „Lusitania” płynęła u wybrzeży południowej Irlandii

zbliżając się do portu docelowego w Queenstown (obecnie Ań Cóbh). Zgromadzeni w sali jadalnej na lunchu pasażerowie cieszyli się ze szczęśliwego końca podróży. Nie wiedzieli, że „Lusitanię” tropiła niemiecka łódź podwodna U 20. O godzinie 2 min. 10 po południu U 20 z odległości 700 metrów wyrzuciła torpedę. Rozległa się wyjątkowo silna detonacja, statek otoczył gruby, czarny obłok dymu. Parowiec zatrzymał się nagle, przechylił się ku prawej burcie i zaczął tonąć. Gorączkowo spuszczano łodzie ratunkowe. Jeszcze chwilę widać było u przodu statku złoty napis „Lusitania”. Komendant U 20 kapitan–porucznik Walter Schwieger uznał wyrzucenie drugiej torpedy za rzecz zbędną. Po 18 minutach na powierzchni morza widać było już tylko łodzie ratunkowe. Ocalało 472 pasażerów i 289 marynarzy wraz z kapitanem Williamem Turnerem. Zatonęło 413 marynarzy i 785 pasażerów, pomiędzy nimi 124 obywatele amerykańskich. Pośród zatopionych były kobiety, były i dzieci.

Zatopienie „Lusitanii” posłużyło za temat licznym autorom powieści i nowel, dało również impuls do powstania filmów przedstawiających tragiczną podróż angielskiego parowca.

Tragedia „Lusitanii” szerokim echem rozeszła się po świecie. W Anglii zapanował niepokój, powstało oburzenie. Niemcy „popadli w szaleństwo” - mówił Sir Edward Grey.

Nie mniej żywa była reakcja w Stanach Zjednoczonych. Amerykanom pokazano, czym może być wojna totalna, wojna, która godzi nie tylko w uzbrojonego

żołnierza na froncie, ale nie oszczędza ludności cywilnej, nie oszczędza mężczyzn, kobiet, dzieci. Nowojorski dziennik „Nation” z 13 maja 1915 r. pisał: zatopienie „Lusitanii” „to czyn, za który Hun by się zarumienił, Jurek zawstydział, a barbarzyński pirat by się usprawiedliwił. Rozprawiać o zasadach wojny wobec takiego masowego mordu na pełnym morzu to strata czasu”.

Dla wielu Amerykanów, jak m.in. były prezydent Theodore Roosevelt, jak senator Henry C. Lodge zatopienie „Lusitanii” było świadectwem nie tylko moralnej degeneracji rządu Rzeszy, ale konfliktu nie do opanowania pomiędzy demokracją a autokracją. W kołach sympatyzujących z Koalicją myślano o zerwaniu stosunków dyplomatycznych, a w każdym razie o stanowczej i energicznej polityce względem Niemiec.

Pułkownik House, którego wiadomość o zatopieniu „Lusitanii” zaskoczyła w Londynie, nie tął w rozmowach z Anglikami, że Niemcy przez swoją politykę zmuszą Stany Zjednoczone do wzięcia udziału w wojnie. I, rzecz znamienita, House, który wyjechał do Europy w misji pokojowej, wszczął teraz w Londynie z angielskimi przyjaciółmi dyskusje na temat armii amerykańskiej i jej ewentualnej roli w toczących się zapasach wojennych. 12 maja na spotkaniu z Lordem Kitchenerem postawił wręcz pytanie, czy dla Koalicji byłoby sprawą pożądaną, aby Stany Zjednoczone stanęły u jej boku. Kitchener pospieszył oczywiście z odpowiedzią pozytywną, zapewnił House’a o swym podziwieniu dla walorów żołnierza amerykańskiego i zapewne, aby ten podziw bardziej uwydatnić wygłosił dość za-



skakujący pogląd: „Jeśli armia amerykańska połączy się z brytyjską, nie będą nam potrzebni Francuzi na froncie zachodnim, będziemy ich trzymali w rezerwie”. Kitchener, pisał po tej rozmowie House, „wydał mi się człowiekiem mocnym i zdolnym, chociaż może pozbawionym iskry geniuszu”.

Wobec wzburzenia opinii publicznej w Stanach Zjednoczonych i zdecydowanego stanowiska wielu polityków amerykańskich dziwi postawa prezydenta.

10 maja w Filadelfii w mowie do 4 tysięcy naturalizowanych Amerykanów Wilson powiedział: „... Niekiedy człowiek jest zbyt dumny, aby walczyć. Niekiedy naród tak dalece ma słuszność, że nie musi innych przekonywać siłą, że ma rację”. Rzecz prosta, że w Berlinie takie dowody dumy amerykańskiej przyjęto z pełnym uznaniem. Wilson tłumaczył później, że ma „niedobry zwyczaj głośnego myślenia”.

Ostatecznie po dyskusjach i naradach w Białym Domu i w Departamencie Stanu rząd Stanów Zjednoczonych wystosował 13 maja 1915 r. do Berlina protest przeciwko gwałceniu „praw amerykańskich na morzu”. Nota głosiła dalej, iż rząd Stanów Zjednoczonych uważa, że komendanci łodzi podwodnych nie powinni narażać życia niekombatantów i wystawiać na szwank bezpieczeństwo statków neutralnych, nawet gdyby mieli skutkiem tego wyrzec się „zdobycia lub zniszczenia”. Rzecz prosta, iż wypełnienie postulatów Waszyngtonu uniemożliwiłoby Niemcom prowadzenie wojny podmorskiej.- Notę kończyły stanowcze słowa: „Cesarski rząd niemiecki nie może nie oczekiwać, iż rząd Stanów

Zjednoczonych nie dołoży wszelkich wysiłków, aby zachować prawa Stanów Zjednoczonych i ich obywateli”.

Nota amerykańska była ostra w formie, ale Wilson nie chciał nie tylko wojny, lecz nawet zerwania stosunków dyplomatycznych.

Silne podniecenie panowało po obu stronach; gdy Amerykanie oburzali się na metody stosowane przez Niemców w wojnie morskiej, Niemcy kipieli gniewem na amerykańskie dostawy broni dla Koalicji.

W którejś z gorących rozmów sekretarza stanu spraw zagranicznych z ambasadorem amerykańskim w Berlinie na temat wojny morskiej Jagow uniósł się do tego stopnia, że bijąc pięścią w stół wołał: „Stany Zjednoczone nie odważą się niczego przedsięwziąć przeciwko Niemcom, gdyż w Ameryce mamy 500 tysięcy niemieckich rezerwistów, którzy chwycą za broń przeciwko waszemu rządowi, jeśli rząd ten ośmieli się wystąpić przeciwko Niemcom”. Gerard odparł spokojnie, że w Ameryce jest 501 tysięcy latarni; znajdą się na nich niemieccy rezerwiści, jeśli będą usiłowali wzniecić rewoltę. Dodał, że dotychczas ani jeden Amerykanin niemieckiego pochodzenia nie wyjechał do Niemiec, aby zaciągnąć się do armii niemieckiej, chociaż paszport dostałby bez trudu.

W gruncie rzeczy ani Berlin, ani Waszyngton nie dążyły do zaostrzenia sytuacji. Nie zmieniła tu wiele zmiana na stanowisku sekretarza stanu - ustąpił bezwzględny pacyfista William J. Bryan. 7 czerwca 1915 r. kierownictwo dyplomacji amerykańskiej objął Robert

Lansing, zwolennik kursu bardziej zdecydowanego. Dotychczasowy sekretarz stanu William Bryan był zdeklarowanym pacyfistą, a przede wszystkim nieżyłciowym doktrynerem. W jednej z rozmów z ambasadorem Francji na uwagę Jusseranda, że należy robić różnicę „pomiędzy agresorem i ofiarą, pomiędzy strzelającym i zastrzelonym”, Bryan odparł krótko, że trzeba odmówić słuszności każdemu, kto walczy.

Następca Bryana Robert Lansing był człowiekiem innego pokroju. Nie był doktrynerem, a był nieźle zorientowany w stosunkach międzynarodowych. Jusserand pisał o nim: „Dobry znawca prawa międzynarodowego, człowiek bezwzględnie uczciwy, o zdrowym sercu i umyśle”.

Zmiana w polityce Departamentu Stanu zaznaczyła się po objęciu kierownictwa przez Lansinga na razie jedynie w sprawach drugorzędnych. Ster polityki trzymał Wilson.

Do Berlina poszła 9 czerwca 1915 r. druga nota, następnie 21 lipca trzecia; było to stanowcze uzasadnienie praw państw neutralnych na morzu i żądanie, ażeby państwa walczące prawa te ściśle respektowały. Na notę tę Waszyngton nie doczekał się odpowiedzi. Niemcy wszakże wojnę podwodną nieco złagodzili. Szef sztabu admiralicji rozkazem z 1 czerwca 1915 r. zlecił komendantom łodzi podwodnych daleko posuniętą ostrożność działania, w razie wątpliwości raczej przepuścić statek nieprzyjacielski niż zatopić neutralny. 6 czerwca wyszedł rozkaz dodatkowy zabraniający torpedowania wielkich statków pasażerskich, nawet

nieprzyjacielskich. Pomimo tego 19 sierpnia 1915 r. łódź podwodna U 24 storpedowała brytyjski statek pasażerski „Arabie”; zatonęło 44 pasażerów, pomiędzy nimi 2 Amerykanów. Przez Stany Zjednoczone przeszła nowa fala oburzenia. Niemcy znowu poszli na chwilowe ustępstwa; rozkazem z 30 sierpnia 1915 r. szef sztabu admiralicji zabronił zatapiania wszelkich statków pasażerskich bez ostrzeżenia i bez zapewnienia ratunku pasażerom<sup>40</sup>. Jednakże zapewnienia te nie były widocznie wiążące, gdyż 24 marca 1916 r. niemiecka łódź podwodna UB 29 storpedowała angielski parostatek „Sussex” płynący z Folkestone do Dieppe. Parowiec, na którego pokładzie znajdowali się także i obywatele amerykańscy, nie zatonął, został tylko poważnie uszkodzony; przyholowano go do Boulogne. Nastąpiły nowe protesty amerykańskie i nowa obietnica rządu Rzeszy z 4 maja 1916 r., że statki handlowe nie będą zatapiane bez uprzedzenia i bez ochrony życia ludzkiego.

Opinia publiczna w Ameryce burzyła się nie tylko z powodu akcji niemieckich łodzi podwodnych, drażniła ją także dywersyjna działalność wywiadu niemieckiego. Wywiad - sprawa to zawsze delikatna i trudna.

Istnieją zwykle jakieś więzy łączące wywiad z przedstawicielstwem dyplomatycznym, jednak więzy te powinny być tak odległe i subtelne, aby trudno było je dostrzec a trudniej jeszcze udowodnić. Pod tym względem ambasada niemiecka w Waszyngtonie nie zdała w latach pierwszej wojny światowej egzaminu.

Do jakiej dziedziny np. należało wysyłanie do Berlina informacji w sprawach militarnych? Czy była to normalna, legalna praca *attaché* wojskowego czy działalność wywiadu?

Zdumiewający brak wyobraźni czy też lekkomyślność pracowników Urzędu Spraw Zagranicznych Rzeszy sprawiły, że nie wzięto pod uwagę, iż Anglicy po wybuchu wojny przetną komunikację telegraficzną Niemiec ze światem. Łączność ambasady w Waszyngtonie z Berlinem została przerwana. Dopiero po kilku miesiącach zdołał hr. Bernstorff zapewnić sobie możliwość przesyłania telegramów i raportów do Berlina drogą przez Szwecję. Niemiecki *attaché* wojskowy otrzymał zapieczętowaną kopertę z poleceniem otwarcia jej w razie wybuchu wojny; zawierała ona szyfr oraz wykaz firm handlowych w krajach neutralnych, za których pośrednictwem można będzie przesyłać do Niemiec telegramy zawierające informacje dla sztabu niemieckiego.

Stanowisko *attaché* wojskowego w Stanach Zjednoczonych i w Meksyku piastował od listopada 1913 r. kapitan Franz von Pappen, późniejszy w 1932 r. kanclerz Rzeszy, mąż zaufania prezydenta Hindenburga i pośrednik między starym feldmarszałkiem a Hitlerem. Pappen, urodzony w 1879 r., potomek starej nadreńskiej rodziny szlacheckiej, zgodnie z tradycjami swojej kasty podjął służbę w kawalerii pruskiej, studiował w Akademii Wojennej w Berlinie, pracował czas niedługi w sztabie głównym w wydziale austriackim. W listopadzie 1913 r. mianowano go dość nieoczeki-

wanie *attaché* wojskowym w Waszyngtonie. Nie była to placówka, jak się wówczas wydawało, szczególnie interesująca. Niedaleka przyszłość miała pokazać, iż sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. W każdym razie, gdy nowy *attaché* wojskowy przedstawił się ambasadorowi, otrzymał z ust hr. Bernstorffa uprzejmą przestrożę: „Niech Pan zawsze pamięta, drogi Panie von Pappen, że składanie raportów politycznych nie wchodzi w zakres obowiązków *attaché* wojskowego”.

Trudno ocenić, czy Pappen zastosował się do wskazówek Bernstorffa, ale na pewno nie uchybił swym obowiązkom wojskowym. Gdy w sierpniu 1914 r. pierwsze pułki brytyjskie wylądowały w Abbeville w drodze na front, Pappen wysłał do różnych firm we Włoszech, Holandii i Szwecji telegramy następującej treści: „60 tysięcy bel bawełny zakupiono w Aleksandrii po... dolarów celem wysłania do Genui. Ładunek nadszedł już częściowo. Starania o załadowanie na statki do innych portów włoskich”. W ślad za tym poszły do innych firm telegramy o dostarczeniu cukru, olejów itp.

W Naczelnym Dowództwie niemieckim rozszyfrowano z łatwością owe wiadomości o bawełnie, cukrze i olejach. Ale nie na tym kończyła się praca kapitana von Pappena.

Przedsiębiorczy *attaché* zorganizował biuro, które dostarczało fałszywych paszportów zamieszkałym w Ameryce Niemcom pragnącym udać się do Europy, aby służyć w armii niemieckiej. „Ta moja działalność - wyjaśniał skromnie Pappen - nie naraziła życia ani jed-

nego Amerykanina i nie szkodziła interesom amerykańskim, chociaż było to przeciwne prawu, aby na terytorium neutralnym tworzyć bazę takich operacji”.

Pappen maczał jeszcze palce w próbach wysadzenia w powietrze mostów w Kanadzie, aby utrudnić czy opóźnić wyjazd wojsk kanadyjskich do Europy, kierował tajną akcją zdobywania informacji o sprzęcie bojowym wysyłanym z Ameryki do Wielkiej Brytanii i Francji, nawiązał stosunki z patriotami irlandzkimi działającymi w Stanach Zjednoczonych przeciwko Anglii.

Nie dość na tym, Pappen rozwinął jeszcze pomysłów działalność zmierzającą do utrudnienia produkcji sprzętu bojowego przeznaczonego dla państw Koalicji; chodziło m.in. o wykupywanie artykułów potrzebnych do wyrobu amunicji. Pomocą i informacją służyli mu liczni Niemcy amerykańscy zatrudnieni w bankach amerykańskich. Współpracował w tej dziedzinie z Pappenem niejaki Heinrich F. Albert, Geheimrat - radca tajny, *attaché* handlowy ambasady niemieckiej w Stanach Zjednoczonych. 23 lipca 1915 r. Albert w wagonie kolei napowietrznej w Nowym Jorku pozostawił przez roztargnienie czy też, według innej wersji, pozwolił sobie wykraść podczas drzemki teczkę. Teczka tę podjął bądź wykradł śledzący Alberta agent kontrwywiadu amerykańskiego Frank Burke” Teczka zawierała interesujące dokumenty: wykazy funduszków przeznaczonych na finansowanie organizacji niemieckich i irlandzkich w Stanach Zjednoczonych, na przekupywanie prasy; dokumenty tajnego radcy Alberta

wykazywały dalej, że Niemcy wykupili fabrykę amunicji w Bridgeport (Connecticut), aby nie pozwolić na wysyłanie jej wyrobów do państw Koalicji, że skupywali niektóre artykuły chemiczne. Zawartość teczki kompromitowała ponad wszelką wątpliwość obu *attaché* ambasady niemieckiej, wojskowego i handlowego. Było sprawą oczywistą, że agenci niemieccy naruszali neutralność Stanów Zjednoczonych. Materiały te nowojorski dziennik „World” publikował na swych łamach w dniach od 15 do 23 sierpnia 1915 r.

Afera Alberta nie tylko wzburzyła amerykańską opinię publiczną, ale także w znacznym stopniu utrudniła Niemcom wszelką działalność w Stanach Zjednoczonych również i zupełnie legalną.

Sporo też krwi napsuła afera kapitana Rintelena. Franz Rintelen von Kleist miał przeszłość niecodzienną, urozmaiconą i dobrze był przygotowany do służby wywiadowczej, służył w marynarce wojennej, pracował później w bankowości, z dłuższych pobytów znał Amerykę, mówił świetnie po angielsku i po francusku. 3 kwietnia 1915 r. zaopatrzony w fałszywy paszport szwajcarski na nazwisko Emil V. Gache wylądował w Nowym Jorku. Zadaniem jego było organizowanie strajków i aktów sabotażu w fabrykach broni i wykupywanie tych fabryk, które wykupić się dało; wszystko, aby utrudnić i zmniejszyć wywóz z Ameryki sprzętu bojowego do państw Koalicji.

Rintelenowi polecono również zwrócić uwagę na Meksyk i organizować i popierać wszelką akcję antya-



merykańską, popierać wszystko, co przysporzyć by mogło trudności Stanom Zjednoczonym.

Ale Rintelen niedługo mógł prowadzić swą akcję dywersyjną. W końcu czerwca otrzymał rozkaz natychmiastowego powrotu do Berlina. Rozkaz ten - napisany tajnym szyfrem marynarki niemieckiej - był dziełem znakomicie pracującego wywiadu brytyjskiego. Toteż gdy Rintelen, który odpłynął z Ameryki na pokładzie statku holenderskiego jako obywatel szwajcarski E.V. Gache, znalazł się w Dover, został aresztowany przez Anglików. W kwietniu 1917 r. Anglicy wydali go Stanom Zjednoczonym; udowodniono mu tam działalność antyamerykańską i skazano na karę więzienia. Zwolniono go w 1921 r..

W grudniu 1915 r. Departament Stanu uznał obu *attaché* ambasady niemieckiej, wojskowego i morskogo, Pappena i Boy-Eda, za *personae non gratae* i zażądał ich odwołania.

Trudno ustalić, czy i w jakiej mierze z agentami wywiadu i dywersji współdziałał ambasador cesarsko-niemiecki nieskazitelných manier hr. Bernstorff. Posądzał go o to m.in. i sekretarz stanu Robert Lansing. W maju 1916 r. Lansing pisał w swym dzienniku: „Na podstawie wielu wypadków, które dotarły do mej wiadomości, nie wątpię, że Bernstorff w pierwszej fazie wojny nie tylko był świadom wszystkiego, ale prawdopodobnie kierował działalnością agentów swego kraju”.

Wydaje się, że za słusnością przypuszczeń Lansinga o roli Bernstorffa przemawia afera szpiegowska Igła. Wolf von Igel założył na Wall Street w Nowym

Jorku biuro reklamowe (*advertising office*). Policja amerykańska dokonała w biurze rewizji i wykryła kompromitujące dokumenty świadczące o utrzymywaniu siatki szpiegów pod przykrywką biur handlowych, organizowaniu strajków w fabrykach amunicji, przygotowywaniu zamachów na statki handlowe płynące do portów francuskich i angielskich, o próbach przekupywania pisarzy i dziennikarzy amerykańskich, propagandzie antyamerykańskiej w Meksyku.

Ambasador zażądał zwrotu skonfiskowanych dokumentów motywując to tym, że von Igel wchodził w skład personelu ambasady, biuro jego w Nowym Jorku korzystało z przywilejów dyplomatycznych, a papiery były to dokumenty oficjalne ambasady. Sekretarz stanu Lansing nie dał się zaskoczyć i odparł, że natychmiast udzieli ambasadorowi satysfakcji i poleci zwrócić skonfiskowane papiery Igła, mianowicie te, które ambasador uzna za oficjalne dokumenty ambasady cesarsko–niemieckiej. Hr. Bernstorff cofnął się natychmiast.

Wywiad amerykański, czy może raczej brytyjski, odcyfrował telegram, który 22 stycznia 1917 r. Bernstorff wysłał do Berlina z żądaniem upoważnienia do wydania 50 tys. dolarów, aby zjednać sobie licznych członków Kongresu, by przeciwstawiali się przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny. Były później próby dochodzenia, dla kogo pieniądze były przeznaczone, ale zakończyły się niepowodzeniem. Wskazywano, że telegram ten Bernstorff wysłał w dniu, w któ-

rym Wilson ogłosił orędzie o pokoju, nawet o pokoju bez zwycięzców.

Ciemną kartę miał również kolega Bernstorffa Konstantin Theodor Dumba, ambasador Austro–Węgier w Waszyngtonie. Dumba wmieszał się w akcję dywersyjną w amerykańskich fabrykach broni (strajki i sabotaże). 5 września 1915 r. w rozmowie z dziennikarzami Dumba niezgrabnie odkrył karty. W amerykańskim przemyśle zbrojeniowym, sprzedającym swe wyroby Koalicji, pracuje wielu poddanych austriackich i węgierskich, ludzi bez wykształcenia, którzy nie rozumieją, że działają przeciwko własnej ojczyźnie; należało ich co do tego uświadomić, a nie było to sprawą łatwą; w takich warunkach strajki przynosiły korzyści Państwu Centralnym. 8 września 1915 r. rząd Stanów Zjednoczonych zażądał od Austro–Węgier odwołania Dumby z powodu jego „niewłaściwego postępowania”. Nota kończyła się wszakże życzeniem utrzymania „serdecznych i przyjacielskich stosunków” z monarchią habsburską. Akcja dywersyjna dyplomatów Państw Centralnych drażniła amerykańską opinię publiczną, kierowała ją przeciwko imperium Hohenzollernów, tym bardziej że w stosunkach amerykańsko–niemieckich sporo było materiału palnego. Coraz mocniej też zwracał się przeciwko Niemcom wielki kapitał amerykański, coraz mocniej stawiał na kartę Koalicji. Nie znaczy to wszakże, aby wpływowo koła w Stanach Zjednoczonych zamyślały już interwencję zbrojną, aby zamierzały już rozpocząć wojnę przeciwko Niemcom. Myślano raczej o mediacji, o nakłonieniu stron walczących

do przyjęcia amerykańskiego punktu widzenia, amerykańskiego planu uregulowania kwestii spornych. O mediacji myślał prezydent Wilson, myślał jego doradca pułkownik House. Powodzenie zapewniłoby Stanom Zjednoczonym ogromny wzrost autorytetu moralnego i politycznego i - co za tym idzie - poważny wzrost wpływów w całym świecie. O to zapewne szło na początku, ale w związku z rozwojem sytuacji wojennej rosły amerykańskie ambicje i dojrzewały coraz szersze plany.

Pierwotne zamysły House'a były raczej skromne: rozpoczęcie pertraktacji pokojowych „na szerokiej podstawie zlikwidowania militarizmu i nawalizmu”. Pierwszy warunek godził w Niemcy, drugi uderzał i w Niemcy, i w Wielką Brytanię.

Sytuacja zresztą daleka była od tego, ażeby strony walczące mogły zgodzić się na pokój na podstawie *status quo ante bellum*, szansę więc mediacji amerykańskiej były nikłe.

Wilson nie miał zbyt wielkiego wyobrażenia o dyplomatach, uznał więc za najwłaściwszą metodę akcji mediacyjnej nową podróż House'a do Europy.

House tymczasem coraz bardziej skłaniał się ku myśli, że Państwa Centralne mają więcej możliwości zwycięstwa niż Koalicja, Stany Zjednoczone muszą więc wkroczyć w wojnę, ażeby nie dopuścić do triumfu Niemiec i zapewnić trwały pokój sub auspiciis Stanów Zjednoczonych.

28 grudnia 1915 r. House na pokładzie parostatku „Rotterdam” opuścił Amerykę i 5 stycznia 1916 r.

przyłynął do portu Falmouth w Anglii. Następnego dnia był już w Londynie i konferował z Greyem, później z Balfourem. Rezultat pierwszych rozmów streścił w telegramie do prezydenta donosząc, że Grey opowiada się „teraz” za wolnością mórz pod warunkiem likwidacji militaryzmu i z zastrzeżeniem, że Stany Zjednoczone wezmą udział w ogólnym porozumieniu międzynarodowym, ażeby je umocnić. Wilson przyjął te sugestie z zadowoleniem i depešzował w odpowiedzi do House’a, że będzie szczęśliwy, jeśli będzie mógł „współdziałać w polityce, której celem jest trwały pokój pomiędzy cywilizowanymi narodami”. „Telegram miał znaczenie historyczne” - są to słowa wydawcy papierów House’a Charlesa Seymoura. Wilson jawi się tu bowiem jako przyszły rzecznik Ligi Narodów.

Podróż europejską rozpoczął House od Londynu nie tylko ze względów geograficznych, ale dlatego przede wszystkim, że z politykami brytyjskimi najłatwiej mu się było porozumieć i, że te właśnie rozmowy uważał za najważniejsze.

W Londynie naszkicował House plan interwencji amerykańskiej „opartej na żądaniu wolności mórz i likwidacji (*curtailment*) militaryzmu”. Były to ogólniki, ale i ogólnikowe, bliżej jeszcze niesprecyzowane były koncepcje przyszłej roli międzynarodowej i Wilsona, i jego zaufanego doradcy. Nic dziwnego, że politycy brytyjscy interesowali się przede wszystkim kwestią, jak dalece prezydent zamierza wkroczyć w sprawy europejskie. Wyjaśnieniem w pewnej mierze była replika House’a, że prezydent interesuje się jedynie „szerokimi

kwestiami jak rozbrojenie, co dotyczy przyszłości każdego narodu”. Bardziej zapewne interesujące były wyurzenia ministra skarbu Lloyd George’a. Lloyd George twierdził, że prezydent Stanów Zjednoczonych będzie mógł narzucić takie warunki pokoju:

Niemcy wycofają się z Francji i Belgii, Rosja wyrazi zgodę na utworzenie niepodległej Polski. Przyszły pokój powinien być pokojem pojednania: „Niemcy i Anglia muszą być przyjaciółmi, a nie wrogami”. W relacji z tej rozmowy House uznał Lloyd George’a za ignoranta i w niczym się nie mylił.

20 stycznia 1916 r. pułkownik House wyjechał z Londynu, aby przez Paryż i Genewę dotrzeć do Niemiec. Tym razem pobyt wysłannika amerykańskiego nad Sprewą był krótki, 26 stycznia stanął w Berlinie, a 1 lutego był już w Paryżu, 9 lutego w Londynie. Berlińskie i paryskie rozmowy wykazały, że sytuacja do mediacji amerykańskiej jeszcze nie dojrzała, że żadna ze stron nie przyjmie warunków, które przeciwnik gotów jest ofiarować.

Uderza wszakże, iż House wywarł na politykach niemieckich wrażenie bezstronności. W umyśle kanclerza Bethmanna nie przeszło bez echa opowiadanie pułkownika, że prezydent Wilson pragnie bronić wolności mórz także i przeciwko Wielkiej Brytanii, chociaż takie wydarzenia, jak m.in. zatopienie „Lusitanii” wiążą mu ręce. Zastanawia również, że House o ministrach angielskich wyrażał się w Berlinie lekceważąco; lekki wyjątek czynił tylko dla Greya, którego ewentualne ustąpienie uważał za niepożądane dla Niemiec. Co mia-

ły znaczyć takie nie najbardziej taktowne wynurzenia, trudno dociec.

22 lutego 1916 r. Grey i House opracowali wspólne memorandum, zwane memorandum House'a - Greya, będące reasumpcją rozmów pułkownika podczas ostatniej jego podróży do trzech stolic europejskich. Memorandum rozpoczynało się tymi słowami: „Pułkownik House powiedział mi, że prezydent Wilson słysząc z Francji i Anglii, że chwila jest właściwa, gotów jest zaproponować, aby zebrała się konferencja dla położenia kresu wojnie. Gdyby Sprzymierzeni propozycję przyjęli, a Niemcy ją odrzucili, Stany Zjednoczone prawdopodobnie wystąpiłyby przeciwko Niemcom zbrojnie. Pułkownik House wyraził opinię, że jeśli konferencja się zbierze, zapewni pokój na warunkach korzystnych dla Sprzymierzonych”. Jeśli zaś konferencja nie przyniesie pokoju, a Niemcy okażą się „nierozsądne”, Stany Zjednoczone wezmą udział w wojnie po stronie Koalicji. Pułkownik House opowiedział się za restytucją Belgii, powrotem Alzacji i Lotaryngii do Francji, „zdobyciem przez Rosję wyjścia na morze”, tzn. zajęciem przez nią Cieśnin. W zamian za utratę Alzacji i Lotaryngii Niemcy powinny dostać rekompensatę w koloniach.

Nie zabrakło i groźby. House przestrzegał, że gdyby Sprzymierzeni ociągali się z przyjęciem mediacji amerykańskiej i gdyby wojna wzięła dla nich obrót tak niepomyślny, że interwencja amerykańska nie dałaby skutku, Stany Zjednoczone prawdopodobnie przestały-

by się interesować Europą i szukałyby zabezpieczenia swych interesów swoją własną drogą.

Wśród tych ogólników rysuje się szkicowy plan pośrednictwa amerykańskiego i bliżej jeszcze niesprecyzowane myśli o przyszłej roli Stanów Zjednoczonych w świecie, roli przewodnika i mediatora w wielkich konfliktach międzynarodowych.

Interesujący był sposób, w jaki House nakłaniał Greya do przyjęcia amerykańskiego punktu widzenia. Prezydent Wilson - tłumaczył pułkownik swemu rozmówcy - ma przed sobą tylko rok prezydentury, reelekcja nie jest pewna; gdyby wybory wygrali republikanie, sytuacja uległaby zupełnej zmianie. To tak jakby w Anglii Lord Curzon stanął na czele reakcyjnego gabinetu.

25 lutego 1916 r. pułkownik i tym razem na pokładzie parowca „Rotterdam” odpłynął z Falmouth, 5 marca wylądował w Nowym Jorku.

Na razie trudno było Waszyngtonowi podejmować na arenie międzynarodowej szerszą grę polityczną, gdyż kraj wszedł w okres denerwującej prezydenckiej kampanii wyborczej. O fotel prezydenta ubiegali się dotychczasowy prezydent Wilson z ramienia demokratów i Charles Evans Hughes, republikanin, sędzia Sądu Najwyższego. Rzecz szczególna, obaj kandydaci występowali pod sztandarem pokoju; taką opinię zyskał zwłaszcza Wilson. Slogan wyborczy demokratów brzmiał: „*He kept us out of war*” („Ustrzegł nas od wojny”). 7 listopada 1916 r. Thomas Woodrow Wilson został wybrany na prezydenta Stanów Zjednoczonych.



Reelekcja wzmocniła autorytet Wilsona i z większą pewnością podjął on próbę mediacji. Pracował nad nią zapewne już wcześniej, ostateczny tekst powstał 13 i 14 grudnia. Wieczorem 18 grudnia 1916 r. Departament Stanu wysłał drogą telegraficzną do przedstawicielstw dyplomatycznych amerykańskich w stolicach państw walczących tekst noty prezydenta.

Chwila nie była odpowiednia, gdyż zaledwie przed kilku dniami, 12 grudnia, z propozycjami pokojowymi wystąpiły Państwa Centralne, zbieżność w czasie mogła w krajach Koalicji wywołać wrażenie o popieraniu przez Wilsona inicjatywy Berlina i Wiednia.

Nota amerykańska była bardzo ogólnikowa, zwracała uwagę, że obie strony walczące mają te same cele i te same dążenia: „zabezpieczenie praw i przywilejów słabych narodów i małych państw”, gwarancje przed nową agresją i nową wojną, utworzenie Ligi Narodów dla zapewnienia w świecie pokoju i sprawiedliwości. Zanim to nastąpi należy ułożyć zasady zabezpieczenia niepodległości, integralności terytorialnej i wolności politycznej i handlowej narodów. Przede wszystkim wszakże trzeba zakończyć wojnę, płonne okażą się nadzieje utworzenia nowej społeczności światowej, jeśli wojna trwać będzie aż do wyczerpania jednej lub drugiej strony.

Nota Wilsona spotkała się z niechętnym przyjęciem i w krajach Koalicji, i w Państwach Centralnych.

We Francji i w Anglii uważano, że prezydent poszedł na lep manewrów pacyfistycznych kanclerza Bethmanna, że w swym wystąpieniu postawił na jed-

nym poziomie napastników i ofiary agresji, tych, którzy pogwałcili neutralność Belgii i tych, którzy tej neutralności bronią. Silne wzburzenie zapanowało w Londynie. Czynniki oficjalne ile tylko mogły wpływały uspokajająco na prasę, ale notable angielscy dawali głośno wyraz irytacji. Wydawca wpływowych, poczytnych dzienników „Timesa” i „Daily Mail” Alfred Northcliffe mówił: „*Everybody is as angry as hell*” („każdy jest rozzłoszczony jak piekło”). „Będziemy musieli opanować gniew i odpowiedzieć uprzejmie” - nie bez irytacji notował w swym dzienniku dnia 20 grudnia 1916 r. Lord Bertie, ambasador brytyjski w Paryżu.

W Berlinie znowu panowało przekonanie, że Wilson działał w porozumieniu z Londynem i że chciał pomóc rządowi państw Koalicji wyjść „z impasu”, w jakim się rzekomo znalazły odrzuciwszy niedawne propozycje pokojowe Państw Centralnych.

Ambasador niemiecki w Waszyngtonie hr. von Bernstorff prosił sekretarza stanu o wytłumaczenie niejasności noty. Lansing odparł, że rząd Stanów Zjednoczonych ma nadzieję móc służyć jako swego rodzaju *clearing house*. Jeśli obie strony walczące podadzą mu do wiadomości swoje warunki, można będzie (pójść drogą pośrednią i osiągnąć porozumienie. Odpowiedź wzbudziła w Berlinie niezadowolenie. Nie życzą sobie bynajmniej amerykańskich prób z *clearing house*, a niemieckie cele wojenne rząd Rzeszy zamierzał ujawnić dopiero na przyszłej konferencji pokojowej.

Zgodnie z takim stanowiskiem odpowiedź niemiecka z dnia 26 grudnia 1916 r. była zredagowana

w formie uprzejmej odmowy. Konferencja pokojowa, której zwołanie proponował rząd Rzeszy, była - zdaniem władców Niemiec - jedynie właściwą drogą do położenia kresu wojnie.

W trudniejszej sytuacji niż Niemcy znalazły się rządy państw Koalicji. Interesy państw tych niejednokrotnie były sprzeczne, a sprzeczności tych nie można było ujawniać. Rządy francuski, brytyjski, włoski znacznie bardziej niż rząd Rzeszy musiały się liczyć z nastrojami opinii publicznej, z nastrojami kół parlamentarnych.

Sprawa stanęła na porządku dziennym konferencji szefów rządów państw Koalicji w Rzymie w grudniu 1916 r. Dyskusja ujawniła wiele. Nowy pierwszy minister Wielkiej Brytanii Lloyd George był mocno zaniepokojony kwestią „ewakuacji terytoriów okupowanych”, skoro Wilson nie określił, czy chodzi mu o Niemców czy także o Koalicję, w tym drugim przypadku Anglicy musieliby się wycofać z Mezopotamii. Wówczas padły głosy francuskie Ribota i Cambona, aby lepiej nie wchodzić w szczegóły. Wywołało to zastrzeżenia Lorda Roberta Cecila, że jeśli odpowiedź będzie nazbyt ogólnikowa, Amerykanie powiedzą, że Koalicja nie śmie wyznaczyć właściwego celu wojennego, którym jest rozbicie (*destruction*) Niemiec; pociągnęłyby to za sobą poważne konsekwencje i w Stanach Zjednoczonych, i w Niemczech. Interesująca była uwaga Alberta Thomasa, że odpowiedź negatywna byłaby niebezpieczna z uwagi na wrażenie, jakie wywarłaby nie tylko w krajach neutralnych, ale i w krajach Koali-

cji. Trafnie ujął rzecz Balfour twierdząc, że nota Wilsona w tym samym stopniu kieruje się do narodu amerykańskiego co i do Sprzymierzonych. „Błąd, w który popadnięto w Ameryce, to przekonanie, że sprawą zasadniczą jest zawrzeć pokój w najkrótszym możliwie czasie. Następnie narody pod przewodnictwem Ameryki zorganizują i w Europie, i w świecie lepszy porządek. Amerykanie oddają się złudzeniu, że taka organizacja może przynieść dobre rezultaty niezależnie od warunków zawartego pokoju. To jest złudzenie bardzo niebezpieczne. (...) Jeśli w Europie powróci sytuacja sprzed wojny, będzie ona narażona na takie same niebezpieczeństwa jak poprzednio”.

Takie myśli legły u podstaw noty państw Koalicji do Stanów Zjednoczonych z 10 stycznia 1917 r. W przeciwieństwie do Niemiec państwa Koalicji określiły bliżej warunki pokoju: przywrócenie niepodległości Belgii, Serbii, Czarnogóry wraz z należnymi tym państwom odszkodowaniami, ewakuacja okupowanych przez wojska Państw Centralnych terytoriów francuskich, rosyjskich i rumuńskich oraz „sprawiedliwe odszkodowanie”, poszanowanie praw narodowości i zwrot tych prowincji, które swego czasu zostały oderwane od państw sprzymierzonych siłą i wbrew woli ludności (oznaczało to Alzację i Lotaryngię), „uwolnienie Włochów, Słowian, Rumunów, Czechów i Słowaków spod obcego panowania”, wreszcie „oswobodzenie narodowości poddanych krwawej tyranii i usunięcie z Europy państwa osmańskiego, gdyż jest ono bez wątpienia obce cywilizacji zachodniej”.

W sprawie polskiej nota zawierała znamienne ustępy: „Zamiary JCM cesarza Wszechrosji w stosunku do Polski są jasno (dosłownie!) przedstawione w proklamacji, którą wydał on do swych armii”.

Zgodnie z dyskusją na konferencji notę zredagowano w taki sposób, aby nie można jej było poczytać za odpowiedź negatywną i aby nie miała pozoru repliki ogólnikowej. A jednak obok postulatów jasnych, powszechnie zrozumiałych były tam ogólniki, z których istotnej treści nie zdawali sobie sprawy bodaj nawet sami sygnatariusze noty. Postulat „uwolnienia Włochów, Słowian, Rumunów, Czechów i Słowaków spod obcego panowania” pozwalał przypuszczać, że Francja i Wielka Brytania wówczas już myślały o rozbiciu monarchii habsburskiej. Tak jednak nie było, decyzje w tej sprawie zapadły dopiero wiosną 1918 r. Ustęp ten zamieszczony został w nocie na skutek zabiegów Beneša, któremu chodziło o propagandę sprawy czeskiej. Rząd państw Koalicji natomiast szło tylko o podsycanie trudności wewnętrznych monarchii podwójnej.

Charakterystyczny ustęp o Polsce przeznaczony był nie tyle dla Stanów Zjednoczonych, ile dla sprzymierzeńca rosyjskiego. Ustęp ten znalazł się w nocie po uprzedniej akceptacji przez rząd carski. Rosyjski minister spraw zagranicznych Nikołaj Pokrowski w listach do ambasadorów Francji i Wielkiej Brytanii w Piotrogradzie stwierdził: „Muszę wszelako określić ściśle, że mój rząd uważa stanowczo, iż opracowanie przyszłego statutu Polski musi być zastrzeżone wyłącznie dla Rosji

i że kwestia ta nie może być przedmiotem dyskusji międzynarodowej”.

Jeżeli prezydent Stanów Zjednoczonych zamierzał wskazać światu przyszłą rolę wielkiej republiki amerykańskiej, rolę mediatora, głównego twórcy czy organizatora pokoju, a w przyszłości może nawet przewodnika świata, to nie spotkał się ze zrozumieniem mocarstw walczących. Żadne z nich nie pragnęło pośrednictwa amerykańskiego, żadne z nich nie myślało o przewodnictwie Stanów Zjednoczonych w świecie.

Thomas Woodrow Wilson pozostał wszakże niezrażony. Niepowodzenie nie złamało jego uporu, nie osłabiło wiary ani w swą gwiazdę, ani w przeznaczenie Stanów Zjednoczonych.

22 stycznia 1917 r. prezydent wygłosił w Senacie wielką mowę, w której zawarł swój program pokojowy. Jeśli traktat pokoju ma ustrzec ludzkość przed grozą wojny - mówił Wilson - muszą go wesprzeć narody Nowego Świata. A narody Ameryki przyłączą się tylko do takiego traktatu, który wzbudzi ich zaufanie i będzie się opierał na zasadach rządów amerykańskich. Nie może to więc być pokój oparty na „zwykłych warunkach”, bo nie wytrzymałby próby życia i nie zapewniłby światu bezpieczeństwa. Musi to natomiast być „pokój bez zwycięstwa”. Trwały może być tylko pokój zawarty między równymi. Równość pomiędzy narodami wynikać musi z równości praw. Prawo opierać się musi na sile zbiorowej, nie zaś na sile indywidualnej. „Nie może trwać pokój i nie powinien trwać pokój, który nie uznaje i nie przyjmuje zasady, że rządy czerpią

władzę ze zgody rządzonych. Nie istnieje prawo, które by pozwalało oddawać narody spod jednej władzy pod inną, jak gdyby były one czyjąś własnością. Uważam to za sprawę oczywistą, jeśli można tu zaryzykować jeden przykład, że mężowie stanu wszędzie są zgodni, iż powinna powstać zjednoczona, niezawisła i autonomiczna Polska”. Dalej domagał się Wilson wolności mórz, ograniczenia zbrojeń lądowych i zwłaszcza morskich. Kończył wezwaniem, aby wszystkie narody uznały doktrynę Monroego za „doktrynę świata”, aby uznały, że żadne państwo nie będzie dążyło do rozszerzenia swego terytorium państwowego, iż każdy naród będzie miał pełną swobodę w ustalaniu swego ustroju i własnej drogi rozwoju.

Orędzie to nazwał prezydent orędziem „pokoju bez zwycięstwa” (*peace without victory*). Ale, jak mówił ambasadorowi francuskiemu Jusserandowi, właściwsza byłaby nazwa „pokój naukowy” (*scientific peace*).

22 stycznia 1917 r. Wilson zwrócił się nie do Senatu Stanów Zjednoczonych, gdzie przemawiał, nie do rządów państw walczących, lecz do narodów, dlatego zależało mu tak bardzo, aby głos jego rozległ się możliwie szeroko i dotarł możliwie daleko. Sądził, że rządy będą się początkowo opierały jego wezwaniom, ale wreszcie będą musiały ustąpić pod naciskiem ludów i zgodzić się na „pokój bez zwycięstwa”.

W jakiej mierze Wilson był niezyciowym czy mało zyciowym doktrynerem, w jakiej zaś politykiem dążącym do szerzenia wpływów Stanów Zjednoczonych i wzmocnienia ich autorytetu w świecie? Może istotnie

wierzył, że narody pod wpływem jego słów zmuszą rządy imperialistyczne do zawarcia „pokoju bez zwycięstwa”, ale sądził zarazem, iż taki pokój otworzy Stanom Zjednoczonym drogę do szerokiej ekspansji gospodarczej i politycznej. Było sprawą znamiennej powołanie się na doktrynę Monroego. Doktryna ta skierowana przeciwko państwom europejskim nigdy nie stanowiła dla Stanów Zjednoczonych przeszkody w rozprzestrzenianiu wpływów gospodarczych i politycznych w Ameryce Łacińskiej. Czy doktryna Monroego rozszerzona na świat cały nie sprzyjałaby ekspansji amerykańskiej? Stany Zjednoczone nie dążyły do zdobyczy terytorialnych, parły natomiast do ekspansji imperialistycznej. Wolność mórz godziła w ówczesną władczyńnię mórz i oceanów Wielką Brytanię, zgodna była zaś z interesem Stanów Zjednoczonych. „Pokój bez zwycięstwa” to równowaga sił w Europie, to gwarancja, że nie osiągnie tam przewagi jedno mocarstwo ani jeden blok mocarstw, a to dawało Stanom Zjednoczonym swobodę manewru. Jeżeli orędzie z 22 stycznia 1917 r. nie było w myśl Wilsona programem na daleką metę, lecz manewrem mającym przynieść skutki w niedługim czasie, to prezydent pomylił się gruntownie. O „pokoju bez zwycięstwa” nie chciała słyszeć żadna ze stron walczących, gdyż obie miały nadzieję osiągnąć triumf nad przeciwnikiem.

„Pokój bez zwycięstwa - pisał Anatol France - to chleb bez drożdży, to potrawa z zająca bez wina, to karp bez kaparów, to grzyby bez czosnku, to wielbłąd bez garbu, to miłość bez kłótni, to noc bez księżyca,



miasto bez domu publicznego, wieprzowina bez soli, róża bez zapachu, republika bez marnotrawstwa, noga barania bez kości, kot bez futra, flaki bez musztardy - mówiąc krótko rzecz nudna”.

Sympatię dla programu Wilsona, zapewne bez wgłębiania się w jego prawdziwe intencje, wyrazili socjalistyczni członkowie francuskiej Izby Deputowanych w rezolucji wzywającej rząd do poparcia inicjatywy amerykańskiej. 1 Sympatię dla orędzia Wilsona wyraził również doroczny kongres brytyjskich związków zawodowych obradujący w Manchesterze 26 stycznia.

Oficjalne czynniki francuskie i brytyjskie odniosły się do wystąpienia Wilsona chłodno. Zdumiewająca natomiast rzecz, iż z poparciem programu prezydenta popieszył rząd carski zapowiadając, iż gotów byłby współdziałać w rokowaniach pokojowych.

W Berlinie orędzie Wilsona przyjęto niechętnie: jest to sprawa zrozumiała, gdyż zdecydowano się wszcząć wojnę łodziami podwodnymi.

W kołach kierowniczych monarchii habsburskiej mowa Wilsona wywołała oburzenie. Josef Redlich dojrzał w niej „wyczyn purytański” (*eine puritanische Leistung*). Zachnął się zwłaszcza na stosunek Wilsona do doktryny Monroego. „Już i tak wiele wtłoczono do formuły tej doktryny, ale przekręcić ją na rodzaj ofensywy przeciwko Europie jest to już zdobycz Wilsona<sup>72</sup>.

Węgierski prezes ministrów uznał orędzie Wilsona za poparcie programu Koalicji. Hrabia Tisza wbrew przyjętym obyczajom wystosował list do ambasadora

amerykańskiego w Wiedniu Fredericka C. Penfielda i przestrzegł go, że Koalicja dąży do zupełnego zniszczenia przeciwnika, że będzie to przedłużało wojnę i to zupełnie bezcelowo, gdyż ustrój monarchii podwójnej jest bliski ideałowi „swobodnego rozwoju wszystkich narodów”.

Historyk amerykański Z. Zeman porównuje orędzie Wilsona z 22 stycznia 1917 r. ze sto lat wcześniejszym wystąpieniem cara Aleksandra I z ideą tzw. Świętego Przymierza. Chociaż car Wszechrosji bronił interesów feudalnych a prezydent Stanów Zjednoczonych burżuazyjnych, Zeman podobieństwa obu programów upatruje w tym, że jak Rosja w początkach wieku XIX, tak Stany Zjednoczone w początkach wieku XX stały poza Europą, że i car, i prezydent wierzyli, iż Europę można uzdrowić prostym środkiem i że sami Europejczycy są niezdolni środek ten wykryć i skutecznie zastosować.

Jeśli podobieństwa istotnie wystąpiły, to różnice były znacznie większe. System Świętego Przymierza wszedł w życie i przetrwał lat kilkanaście. Program Wilsona w jego pierwotnej postaci nigdy nie został zrealizowany; system wersalski z Ligą Narodów został wprawdzie zrealizowany, ale bez Stanów Zjednoczonych.

Najbliższe dni miały zresztą wykazać, że również i prezydentowi Stanów Zjednoczonych niezręcznie będzie mówić o „pokoju bez zwycięstwa”, skoro republika północnoamerykańska stanie w szeregach walczących. 9 stycznia 1917 r. na naradach w Kwaterze

Główniej w Pszczynie cesarz Wilhelm pod naciskiem wojska i marynarki zadekretował rozpoczęcie z dniem 1 lutego 1917 r. wojny łodziami podwodnymi. Bardziej przewidujący politycy niemieccy, jak kanclerz, widzieli w wojnie podmorskiej poważne niebezpieczeństwo. Ambasador Bernstorff usiłował przekonać Berlin, że będzie to wręcz prowokowaniem Stanów Zjednoczonych, dowodził, że prezydent chętnie przyjmie zaproszenie niemieckie do podjęcia pośrednictwa, wskazywał, że mediacja amerykańska otworzy Niemcom pewne możliwości, że możliwości te znikną z chwilą przystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny. Wszystko na próżno. Odpowiedziano mu, że odwołanie wojny podmorskiej jest sprawą niemożliwą ze względów technicznych.

31 stycznia 1917 r. Bernstorff wystosował obszerny list do House'a. Za radą Bernstorffa kanclerz Bethmann zdecydował się przedstawić prezydentowi, drogą pośrednią przez pułkownika House'a, prośbę o podjęcie mediacji celem zwołania konferencji pokojowej i podał nawet warunki, na których rząd Rzeszy skłonny byłby przystąpić do rokowań. Ale co za warunki? Zwrot Francji okupowanych terytoriów z zastrzeżeniem „strategicznych i ekonomicznych zmian granicznych” (chodziło tu zapewne o aneksję okręgu Briey), restaurację Belgii, ale z gwarancjami bezpieczeństwa Rzeszy (tu zapewne chodziło o aneksję fortec Liège i Namur), rozszerzenie granicy na wschodzie „dla strategicznej i gospodarczej ochrony Niemiec i Polski przed Rosją”, wreszcie zwrot kolonii. Warunki takie przekreślały

możliwość przyjaznej dyskusji, zwłaszcza że ambasador stwierdzał, iż rząd Rzeszy byłby szczęśliwy, gdyby mógł odwołać „blokadę morską”, ale jest to niewykonalne. „Mój rząd - pisał ambasador - jest przeświadczony, że blokada podmorska zakończy wojnę bardzo szybko. Przez ten czas rząd mój uczyni wszystko, co będzie można, aby chronić interesy amerykańskie i prosi prezydenta, aby kontynuował wysiłki dla przywrócenia pokoju.

W parę godzin po wysianiu tego listu, po południu 31 stycznia, Bernstorff zgłosił się do Departamentu Stanu. Sekretarz stanu Lansing zauważył, że ambasador nie wszedł do jego gabinetu właściwym sobie elastycznym krokiem, a na twarzy nie miał zwykłego uśmiechu. Od razu wręczył Lansingowi notę z zawiadomieniem o rozpoczęciu nazajutrz, dnia 1 lutego, nieograniczonej wojny podmorskiej. Dołączył wyrazy ubolewania z powodu tak drastycznych kroków i zapewnienie, że on, Bernstorff, zawsze pracował na rzecz pokoju. Tego samego dnia, 31 stycznia, w Berlinie sekretarz stanu w Urzędzie Spraw Zagranicznych Arthur Zimmermann zaprosił na godzinę 6 wieczorem ambasadora Stanów Zjednoczonych Jamesa Gerarda i wręczył mu notę zawiadamiającą o utworzeniu „strefy wojennej” dokoła Wysp Brytyjskich i brzegów Francji; wojna podmorska rozpocznie się o pomocy. Zimmermann dodał ustnie, że wojna podmorska jest dla Niemiec koniecznością, że z powodów aprowizacyjnych Niemcy nie mogą wytrwać dłużej niż rok. „Dajcie nam dwa miesiące akcji łodziami - mówił - a ukończymy wojnę i zawrzemy po-

kój w przeciągu trzech miesięcy”. Tegoż jeszcze wieczoru kanclerz Bethmann Hollweg w rozmowie z ambasadorem Gerardem wyraził pogląd, że Wilson został wybrany ponownie na prezydenta jako zwolennik pokoju, nie dojdzie więc do zerwania pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Niemcami. Wątpić należy, czy kanclerz istotnie wierzył w to, co mówił ambasadorowi, było to raczej typowe *wishful thinking* (pobożne życzenie), i wcześniej bowiem, i później w różnych miejscach, przy różnych okazjach trafnie oceniał sytuację i przewidywał wojnę ze Stanami Zjednoczonymi.

Władcy Niemiec raz jeszcze wykazali zupełny brak orientacji w świecie, w którym żyli. Uderza niedocenywanie potencjału gospodarczego Stanów Zjednoczonych. A ze strony osób kompetentnych nie brakło ostróg. Ostrzegał nie tylko Bernstorff. Ostrzegali i inni, przede wszystkim dwaj doświadczeni bankierzy Max Warburg i Bernhard Dernburg. W 1915 r. podczas zatargu o „Lusitanię” i później w 1916 r. przestrzegali, że wprawdzie społeczeństwo Stanów Zjednoczonych wzdraga się przed wojną, ale w razie konieczności zdoła wykrzesać z siebie olbrzymią energię; wskazywali, że Stany Zjednoczone są zdolne finansować wojnę w takiej mierze, aby stanowczo przechylić szalę na rzecz Koalicji. Eksperci w sprawach amerykańskich podkreślali nie tylko potęgę gospodarczą, ale i zdolności organizacyjne Amerykanów. Zwrócił na to uwagę nawet i współpracownik Ludendorffa w sztabie major Wilhelm Wetzell. Wetzell oceniając potencjał militarny Stanów Zjednoczonych przypominał, że Amerykanie

pokazali podczas wojny secesyjnej, iż w krótkim czasie potrafią wystawić dobrą milionową armię. Ale rzeczowe argumenty odbijały się od głów niemieckich generałów i admirałów jak piłka od ściany. Sekretarz stanu w Urzędzie Marynarki admirał Eduard von Capelle oświadczył 31 stycznia 1917 r., że wojska amerykańskie mogą się zorganizować najwcześniej za półtora roku. „Ale nie przyplłyną (do Europy), bo zatopią je nasze łodzie podwodne. Ameryka pod względem militarnym to zero, jeszcze raz zero i po raz trzeci zero”.

W Waszyngtonie nie zwlekano z odpowiedzią na wszczęcie wojny podmorskiej. W ciągu dwóch pierwszych dni lutego prezydent naradzał się z doradcami, jakie stanowisko zająć wobec Niemiec. 3 lutego rano powziął już decyzję, na godzinę 2 po południu zapowiedział wystąpienie w Kongresie, sekretarzowi stanu zaś polecił, aby w chwili rozpoczęcia mowy prezydenckiej w Kongresie wręczył ambasadorowi niemieckiemu paszporty.

Prezydent oznajmił Kongresowi, że rząd Stanów Zjednoczonych zerwał stosunki dyplomatyczne z Niemcami, że odwołał swego ambasadora w Berlinie i zwrócił paszporty ambasadorowi niemieckiemu w Waszyngtonie. Mowa Wilsona była wszakże starannie wyważona. Znalazło się tu zapewnienie, że Amerykanie pragną żyć w pokoju z Niemcami, ale nie zabrakło ostrzeżenia, iż w razie konieczności prezydent zwróci się do Kongresu o upoważnienie do ochrony marynarzy amerykańskich i obywateli pływających na morzach.

Mowę Wilsona przyjęto powszechnie z uznaniem. Zadowoleni byli i zwolennicy wojny, i zwolennicy pokoju. Pierwsi w wystąpieniu prezydenta dostrzegli krok ku wojnie, drudzy żywili nadzieję, że konfliktu da się jeszcze uniknąć.

Nie ulega wątpliwości, że większość Amerykanów wojny sobie nie życzyła, nie życzył jej sobie również i prezydent Wilson, ale warunkiem kompromisu było dla niego zaniechanie przez Niemcy wojny łodziami podwodnymi.

Rzecz prosta, były w Stanach Zjednoczonych wpływowe koła wielkiej finansjery, które parły do wojny, a - jak zobaczymy - przyszła im w sukurs niezgrabność niemiecka.

W każdym razie do zerwania, do wojny droga wydawała się jeszcze daleka. Wskazywał na to stosunek rządu Stanów Zjednoczonych do sprzymierzeńca Niemiec - monarchii habsburskiej.

Na opróżnione przez przymusowe odwołanie niezręcznego Dumby stanowisko c. i k. ambasadora w Waszyngtonie wyznaczony został hrabia Adam Tarnowski, dotychczasowy poseł austro-węgierski w Sofii. Fakt, że Bułgaria opowiedziała się po stronie Państw Centralnych był przede wszystkim dziełem banków niemieckich i austriackich, ale i Tarnowski odegrał tu rolę niemałą. Wysłano go teraz na trudny posterunek waszyngtoński, aby łagodził napiętą sytuację i przeciwdziałał w Stanach Zjednoczonych akcji skierowanej przeciwko monarchii habsburskiej i jej integralności. Tarnowski przyплыł do Nowego Jorku w chwili nie-

fortunnej - 31 stycznia 1917 r., to jest na kilkanaście godzin przed rozpoczęciem przez Niemcy wojny łodziami podwodnymi, a na cztery dni przed zerwaniem stosunków dyplomatycznych pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a cesarstwem niemieckim.

Monarchii habsburskiej z republiką północnoamerykańską nie łączyła wspólnota, nie dzieliła rozbieżność interesów. Przelotnie jedynie zamąciło te nieliczne kontakty pomiędzy Wiedniem a Waszyngtonem zatopienie w listopadzie 1915 r. statku „Ancona” przez łódź podwodną niemiecką płynącą pod flagą austriacką.

W Waszyngtonie przybycie Tarnowskiego powitano nie bez pewnego zadowolenia w nadziei, że w Wiedniu amerykańskie wezwania o pokój zostaną lepiej usłyszane, że rząd cesarski i królewski współdziałać będzie z prezydentem Wilsonem w jego mediatorskich wysiłkach pokojowych. Takim nadziejom sprzyjało przekonanie o powszechnej wśród ludów monarchii niechęci do wojny.

3 lutego 1917 r. Tarnowski złożył pierwszą wizytę Lansingowi. Rozmowa miała charakter przyjazny, chociaż sekretarz stanu nic nie powiedział ambasadorowi o mającym się odbyć dwie godziny później wystąpieniu prezydenta w Kongresie i zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Niemcami. Tarnowski zapewniał, że Austria pragnie mieć dobre stosunki ze Stanami Zjednoczonymi, a Węgry jeszcze bardziej. W Departamencie Stanu przyjęto wynurzenia Tarnowskiego życzliwie, uważano, że na wojnę podmorską Austria zgodziła się pod „naciskiem pruskim”. W wytworzeniu pomiędzy



Państwami Centralnymi różnicy położenia upatrywano korzyści w postaci ochłodzenia stosunków między nimi. W Austrii upatrywano następnie źródła informacji, a może i środka nacisku na Niemcy.

Wiadomości, które z ambasady amerykańskiej w Wiedniu nadeszły do Waszyngtonu równocześnie z przybyciem Tarnowskiego, utwierdziły rząd Stanów Zjednoczonych w przeświadczeniu o pokojowych, antywojennych nastrojach dominujących wśród ludów monarchii.

W „inteligentnym résumé - jak określił pułkownik House - warunków (życia) w Austrii”, zawartym w raporcie ambasady amerykańskiej w Wiedniu, czytał Lansing o trudnych warunkach bytowych w monarchii, o braku żywności i metalów, o wzajemnej niechęci pomiędzy Austriakami i Niemcami.

Rząd Stanów Zjednoczonych planował akcję zmierzającą do wywołania czy zaostżenia antagonizmów austriacko-niemieckich, powiększenia rozdźwięków pomiędzy Państwami Centralnymi, do izolowania Niemiec, może nawet do wsparcia Austro-Węgier za cenę oddalenia Wiednia od Berlina. Grę tę trudną niezawodnie, ale mogącą rokować nadzieje, jeśli nie pełnego, to chociaż częściowego sukcesu, zepsuł od razu niepojętą, bezprzykładną niezgrabnością hr. Czernin.

W pierwszej rozmowie z Lansingiem w dniu 3 lutego Tarnowski wyraził pogląd, że Austro-Węgry nie przyłączą się do wszczętej przez Niemcy wojny podmorskiej. Tarnowski był człowiekiem poważnym i wytrawnym dyplomatą; enuncjacje w sprawie tak istotnej

mógł składać jedynie na polecenie ministra. Czernin wprowadził w błąd Tarnowskiego i tym od razu podważył jego pozycję wobec rządu Stanów Zjednoczonych; uczynił tak albo nieświadomie, albo świadomie, z osobistej niechęci do ambasadora. W każdym razie zaraz po rozstaniu się z Tarnowskim Lansing otrzymał telegram z Wiednia z wiadomością, że również Austro-Węgry rozpoczęły wojnę podmorską.

Przykre wrażenie tego faktu nie trwało długo, gdyż już 7 lutego Lansing otrzymał długi telegram z Wiednia. Austro-Węgry - twierdził Czernin - prowadzą wojnę obronną, dlatego też gotowe są każdej chwili do podjęcia rokowań „o honorowe warunki pokoju, pokoju bez zwycięstwa”. Dopóki wszakże Koalicja nie odrzuci programu, przedstawionego w nocy z 12 stycznia, programu, który stawia za cel rozbicie monarchii, Austro-Węgry muszą się bronić wszelkimi środkami. Zaprzestanie wojny podmorskiej jest sprawą niemożliwą, ze względów technicznych, wiele łodzi bowiem opuściło już porty i żadne rozkazy nie mogą do nich dotrzeć. Zdaniem c. i k. ministra sprawa polega na tym, aby prezydent użył swych wpływów u państw Koalicji i skłonił je do przyjęcia podstawy pokoju, na której stoją Austro-Węgry - pokoju bez zwycięstwa. Czernin wierzy, iż prezydent będzie nadal prowadził dzieło pokoju w duchu zupełnej bezstronności i skłoni Koalicję do przyjęcia amerykańskiego punktu widzenia. Wynikiem będzie zakończenie wojny, a „nazwisko pana Wilsona jaśnieć będzie niezatartymi zgłoskami w dziejach ludzkości”.

Odwołanie się do ambicji i próżności Wilsona odniosło skutek. W każdym razie prezydent nie chciał zrywać stosunków dyplomatycznych z Austro-Węgrami, upatrywał bowiem w monarchii podwójnej partnera w swej akcji mediacyjnej, nie chciał też jeszcze rozbięcia imperium Habsburgów. Przeciwnie, sądził, że należy dać Austrii zapewnienie jej integralności. Prezydent poinformował o swym stanowisku rządu w Londynie i w Paryżu; nie wiedział, że właśnie Francuzi i Anglicy prowadzili tajne rozmowy z Austriakami na temat pokoju. Premier brytyjski Lloyd George wyjaśnił wszakże ambasadorowi amerykańskiemu w Londynie Walterowi H. Page'owi, że Wielka Brytania chętnie widziałaby austriacką ofertę pokojową, byleby tylko prezydent prowadził rokowania z zachowaniem ścisłej tajemnicy.

Jeżeli Wilson myślał o pomocy austriackiej w swej akcji mediacyjnej i chciał prowadzić z Austriakami poufne rozmowy, to bynajmniej nie palił się do takiej roli hr. Czernin. C. i k. minister spraw zagranicznych zdawał sobie sprawę z trudności zawarcia przez monarchię pokoju odrębnego, ale przede wszystkim pozostawał pod wrażeniem potęgi Niemiec i był przeświadczony o wielkiej, może decydującej roli wojny podmorskiej.

Czernin uznał bezzasadnie, że Wilson podjął mediację na życzenie Koalicji, a przede wszystkim Rosji. Położenie Państw Centralnych oceniał w tych dniach nie bez optymizmu, ambasadorowi amerykańskiemu w Wiedniu Fredericowi Penfieldowi tłumaczył „tuzin razy w ciągu godziny”, że pokój odrębny jest dla mo-

narchii habsburskiej nie do przyjęcia. W Departamencie Stanu w Waszyngtonie zapanowała opinia, że Austriacy swego potężnego sprzymierzeńca boją się nie mniej niż nieprzyjaciela.

Toteż pomimo zachęt Lansinga, że monarchia habsburska może „w obecnych warunkach” uzyskać „pewne korzyści”, Czernin dwukrotnie, 5 i 13 marca 1917 r., zawiadomił rząd Stanów Zjednoczonych, że Austro–Węgry każdej chwili gotowe są rozpocząć rokowania pokojowe, ale wyłącznie razem ze swymi sprzymierzeńcami; że mowa może być tylko o pokoju powszechnym, a nie o odrębnym, że Austro–Węgry muszą utrzymać integralność swego terytorium i mieć gwarancję, że ustanie propaganda, która doprowadziła do mordy w Sarajewie.

W trudnej sytuacji znalazł się teraz ambasador austriacki w Waszyngtonie hr. Adam Tarnowski; prezydent zniechęcony stanowiskiem Czernina, poirytowany poparciem przez Austro–Węgry Niemiec w sprawie wojny podmorskiej, odmówił przyjęcia z rąk ambasadora listów uwierzytelniających i nie zgodził się, aby Tarnowski pełnił oficjalnie funkcje ambasadorskie, sekretarz stanu przyjmował go nadal miło i przyjaźnie, ale już nie w Departamencie Stanu, lecz w swym mieszkaniu prywatnym. 27 marca 1917 r. prezydent postanowił odwołać z Wiednia ambasadora Penfielda; obu ambasadami, austriacką w Waszyngtonie i amerykańską w Wiedniu, kierować mieli odtąd *chargés d'affaires*. Misja Tarnowskiego dobiegała końca, 1 maja 1917 r. ambasador złożył pożegnalną wizytę sekreta-

rzowi stanu. „Jeśli nie zajdzie nic, co zmieniłoby uczucia Amerykanów - mówił Lansing - Austria nie będzie miała wroga w Ameryce”. Na uwagę Tarnowskiego, że Koalicja dąży do rozbicia monarchii habsburskiej odparł Lansing: „Oczywiście, Pański kraj ojczysty, Polska, może odzyskać niepodległość, ale Austria będzie pochłonięta przez jedno tylko mocarstwo, przez Niemcy. Tu leży prawdziwe niebezpieczeństwo. (...) Tylko Niemcy zagrażają niepodległości Austrii. Pańskiemu krajowi potrzebny będzie na konferencji pokojowej lojalny i wpływowy przyjaciel. Mam nadzieję, że tym przyjacielem będą Stany Zjednoczone, ale to zależy od Austrii”. Tarnowski „patrzył w przestrzeń ze ściągniętymi brwiami”.

Tarnowski powrócił do Europy przeświadczony, że Amerykanie nieprędko zdołają utworzyć armię, która zaważyłaby na losach wojny. Wywarło to wpływ i w Wiedniu, i w Warszawie.

Tymczasem zaszedł wypadek nieoczekiwany i wydatnie wpłynął na bieg wydarzeń.

24 lutego 1917 r. Balfour wręczył ambasadorowi amerykańskiemu Page'owi tekst rozszyfrowanego telegramu sekretarza stanu w Urzędzie Spraw Zagranicznych Rzeszy Zimmermanna do posła niemieckiego w Meksyku.

Telegram Zimmermanna miał interesującą historię, a wywarł wpływ niemały na stanowisko Stanów Zjednoczonych. 17 stycznia wydział szyfrów wywiadu brytyjskiego, tzw. Biuro 40 otrzymało od wywiadu marynarki długi telegram z Berlina. Były to instrukcje sekre-

tarza stanu Zimmermanna dla posła niemieckiego w Meksyku Heinricha von Eckerta.

Telegram, na prośbę Urzędu Spraw Zagranicznych, nadała ambasada amerykańska w Berlinie brytyjskim kablem podmorskim do Nowego Jorku; kabel niemiecki zniszczyli Anglicy wkrótce po wybuchu wojny. Niemcy nie wiedzieli, że w ręce brytyjskie wpadły kody niemieckie; w niedostatecznym stopniu brali też pod uwagę możliwość rozwiązania ich szyfrów. Utrzymywanie łączności telegraficznej z przedstawicielstwem dyplomatycznym w Stanach Zjednoczonych za pośrednictwem amerykańskim i brytyjskim dyktowały konieczności wojenne, była to jednak wielka nieostrożność, która miała się teraz zemścić na Niemcach.

Zdumiewająca była treść telegramu. Zimmermann zapowiadał rozpoczęcie z dniem 1 lutego 1917 r. bezwzględnej wojny podmorskiej; gdyby miało to doprowadzić do konfliktu zbrojnego ze Stanami Zjednoczonymi, Niemcy obiecywali Meksykowi pomoc finansową i poparcie dla odzyskania utraconych w 1848 r. trzech prowincji: Nowego Meksyku, Teksasu i Arizony, innymi słowy Niemcy grozili Stanom Zjednoczonym odebraniem im trzech stanów. Jakby tego nie było dość, Zimmermann prosił prezydenta Meksyku o mediację pomiędzy Niemcami a Japonią i o doprowadzenie do zawarcia przymierza niemiecko–meksykańsko–japońskiego.

Uderza tu naiwność Zimmermanna i jego nieostrożność. Zrozumiała była ze strony Berlina chęć wyzyskania konfliktu pomiędzy Meksykiem a Stanami

Zjednoczonymi: wojska amerykańskie pod dowództwem generała Johna Pershinga przekroczyły granicę meksykańską i 21 czerwca 1916 r. stoczyły z Meksykanami bitwę pod Carrizal. Ale prezydent Venustiano Carranza nie mógł przecież wziąć poważnie zapewnienia, że Niemcy pomogą Meksykowi odzyskać trzy utracone przed siedemdziesięciu blisko laty prowincje i ze sceptycyzmem traktować musiał projekt przymierza niemiecko–meksykańsko–japońskiego.

Było natomiast sprawą oczywistą, że w Stanach Zjednoczonych telegram Zimmermanna wywoła oburzenie.

Arthur Zimmermann od listopada 1916 r. zasiadał na fotelu sekretarza stanu w Urzędzie Spraw Zagranicznych Rzeszy, pierwszy na tym stanowisku - co podkreślano - nieszlachcic. Karierę rozpoczął w służbie konsularnej. Przejście ze służby konsularnej do dyplomatycznej nie było w tamtych czasach sprawą ani łatwą, ani częstą. Jakiś czas piastował urząd konsula w Szanghaju, a następnie pracował w centrali. Żywo interesował się sprawami kolonialnymi, owocem tych zainteresowań była kilkutomowa praca ogłoszona pod przejrzystym pseudonimem Charpentier. Typowy biurokrata świat i Europę znał słabo.

Dowodem lekkomyślności Zimmermanna i jego słabej orientacji w stosunkach amerykańskich był nie tylko jego telegram. Świadczą o tym także słowa, które 31 stycznia 1917 r. wypowiedział do ambasadora Stanów Zjednoczonych w Berlinie Gerarda już po wręczeniu mu noty o wojnie podmorskiej: „Jak Pan zobaczy,

wszystko będzie dobrze. Ameryka nic nie uczyni, gdyż prezydent Wilson chce pokoju”.

Tymczasem rozszyfrowany telegram Zimmerman na spoczywał starannie ukryty w Londynie. Anglicy czekali. W ręce amerykańskie dostać się miał dopiero w chwili, którą *Foreign Office* uznał za właściwą. Nadeszła 24 lutego 1917 r.

Skąd ta zwłoka? W Londynie rozumiano, że czas w Stanach Zjednoczonych; działa na rzecz Koalicji.

Wojny nie chciał Wilson, wojny nie chciała ogromna większość Amerykanów. Ale od 1 lutego, od chwili rozpoczęcia wojny podmorskiej warunki życia i nastroje w Ameryce zaczęły się szybko zmieniać. Zaczęła się nagle załamywać koniunktura, oparta na wielkich dostawach dla państw Koalicji. Już pierwsze dni nieograniczonej wojny podmorskiej radykalnie zmieniły sytuację. Okręty amerykańskie, w obawie przed niemieckimi łodziami podwodnymi, nie wypływały na morze. W portach amerykańskich zaczęły się gromadzić stosy towarów. Zamówienia na eksport do Europy przestano realizować, a stanowiły one 3/5 całego wywozu amerykańskiego. Stany Zjednoczone stanęły w obliczu kryzysu gospodarczego. Nie tylko przedstawiciele wielkiego kapitału, zainteresowani w pożyczkach i dostawach dla Francji i dla Wielkiej Brytanii, ale i farmerzy w stanach środkowych i plantatorzy bawełny na południu zaczęli dotkliwie odczuwać skutki wojny i bezwzględnej akcji niemieckiej i zastanawiać się czy istotnie Stany Zjednoczone mogą nadal zostać „poza wojną”. Czy prezydent Wilson słusznie jest „zbyt dum-



ny, aby walczyć”. Tradycyjny pogląd, rozpowszechniony od czasów Waszyngtona, że obojętne są dla Stanów Zjednoczonych wszelkie powikłania europejskie, że ze strony Europy nie grozi im żadne niebezpieczeństwo, gdyż chroni je ocean, został nagle zachwiany. Znany publicysta amerykański Walter Lippman pisał 17 lutego 1917 r. w czasopiśmie „New Republic”, że Niemcy zagroziły bezpieczeństwu dróg na Oceanie Atlantyckim i na tym polega ich wina. Zwycięstwo Niemców na morzu - wywodził dalej Lippman - prowadzi do tego, że staną oni na czele wielkiej koalicji niemiecko-rosyjsko-japońskiej skierowanej przeciwko „światu atlantyckiemu”.

W takich warunkach ogłoszenie telegramu Zimmermanna było iskrą rzuconą na beczkę prochu.

Dzień 24 lutego 1917 r. uznano w *Foreign Office* za chwilę właściwą na ujawnienie Departamentowi Stanu niemieckich machinacji antyamerykańskich. Ambasador Page otrzymał pełny tekst instytucji Zimmermanna i natychmiast przekazał je do Waszyngtonu. Wilson był „oburzony i poirytowany”. Zwlekał jeszcze z podaniem telegramu do wiadomości publicznej w obawie, aby publikacja nie doprowadziła do wzburzenia opinii publicznej, nad którym nie zdołałby zapanować. 26 lutego prezydent zażądał od Kongresu zgody na uzbrajanie statków handlowych i na wszelkie środki potrzebne do ochrony na morzach obywateli amerykańskich i ich własności. Wprowadzenie w życie tych postanowień to „zbrojna neutralność” niedaleka od wojny. Uchwała w tej sprawie Izby Reprezentantów zapadła 1

marca większością 403 głosów przeciwko 13. Senat ogromną większością wyraził zgodę 4 marca. Trzy dni przedtem, 1 marca, prasa ogłosiła pełny tekst telegramu Zimmermanna. Wrażenie w społeczeństwie amerykańskim było olbrzymie. Zdaniem niektórych reakcja była silniejsza niż na pogwałcenie neutralności Belgii i na zatopienie „Lusitanii”.

Wzrostowi nastrojów wojennych i antyniemieckich sprzyjały nowe wydarzenia wojny podmorskiej. 12 marca niemiecka łódź podwodna zatopiła parowiec amerykański „Algonquin”, płynący z ładunkiem żywności z Nowego Jorku do Londynu. W tydzień później, 19 marca, Niemcy storpedowali trzy statki amerykańskie; na jednym z nich, na parowcu „Vigilancia” zatonęło 15 ludzi załogi.

Sytuacja dojrzała do kroków stanowczych. 2 kwietnia 1917 r. prezydent stanął przed kongresem i wygłosił mowę charakteryzującą położenie i uzasadniającą konieczność przystąpienia do wojny. Stwierdził, że Stany Zjednoczone nie podejmują walki z narodem niemieckim, dla którego żywią sympatię i przyjaźń, lecz walczyć będą przeciwko „pruskiej autokracji”. „Żadnemu rządowi autokratycznemu nie można dowierzać”. Prowadzenie polityki agresywnej - mówił prezydent - „jest szczęśliwie sprawą niemożliwą w krajach, gdzie panuje opinia publiczna i domaga się pełnej informacji w sprawach dotyczących narodu”. Mowa zawierała więc wskazania podstaw polityki, a w każdym razie taktyki rządu Stanów Zjednoczonych na najbliższą przyszłość.

Kości były rzucone. 2 kwietnia Senat 82 głosami przeciwko 6 powziął uchwałę upoważniającą prezydenta do wypowiedzenia wojny Niemcom.

6 kwietnia identyczna uchwała większością 373 głosów przeciwko 50 zapadła w Izbie Reprezentantów. Tegoż jeszcze dnia, 6. kwietnia 1917 r., Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę Niemcom. Dopiero w 8 miesięcy później,

7 grudnia 1917 r., wydały wojnę Austro–Węgrom.

## 77. Armia amerykańska

Armia amerykańska nie miała tradycji armii europejskich, nie przypadła jej też nigdy dotąd do odegrania taka rola, jaką odgrywały w swych krajach armie: francuska, austriacka, pruska czy rosyjska. Powstała z dawnej milicji kolonialnej powołanej do walki z Indianami. W wojnie o niepodległość milicja walczyła przeciwko wojskom brytyjskim. W czerwcu 1775 r. Kongres postanowił utworzenie armii kontynentalnej (*Continental Army*) pod dowództwem Jerzego Waszyngtona. Po ukończeniu wojny o niepodległość armię kontynentalną rozwiązano, utworzono wszakże nieliczną stałą armię, którą w razie potrzeby wspomagać mogły milicje stanowe. W 1789 r. po uchwaleniu konstytucji i utworzeniu rządu federalnego powołano do życia Departament Wojny (*War Department*), kierujący administracją wojskową.

W 1802 r. powstała Akademia Wojskowa Stanów Zjednoczonych - (*US Military Academy*) w West Point nad rzeką Hudson.

Nieliczna armia Stanów Zjednoczonych opierała się z reguły na zaciągu dobrowolnym. Podczas wojny secesyjnej obie walczące strony wprowadziły w 1863 r. przejściowo rekrutację przymusową, zniesioną po zwycięstwie Północy i zakończeniu wojny.

Nikła rola armii w życiu społeczeństwa Stanów Zjednoczonych i w ich polityce wynikała z zupełnego bezpieczeństwa kraju. Z wyjątkiem wojny z Wielką Brytanią w latach 1812–1814 w innych wojnach miały Stany Zjednoczone przeciwnika zdecydowanie słabszego (Meksyk w 1848 r., Hiszpania w 1898 r.).

Wejście Stanów Zjednoczonych na drogę polityki imperialistycznej również nie pociągnęło za sobą na razie potrzeby tworzenia wielkiej armii. Toteż Stany Zjednoczone, które w 1913 r. miały 97 mln mieszkańców, utrzymywały armię złożoną z 84 810 szeregowców i 4744 oficerów. Doliczyć tu jeszcze należy milicję stanową, zwaną Gwardią Narodową, w której służyło ponad 100 tys. ludzi.

Czasów wojny o niepodległość sięgają również początki floty wojennej Stanów Zjednoczonych. 30 października 1775 r. Kongres uchwalił zakupienie i uzbrojenie kilku okrętów „dla zabezpieczenia i obrony Zjednoczonych Kolonii”. W miesiąc później Kongres uchwalił utworzenie *Marine Corps* - Korpusu Marynarki; byli to zręczni strzelcy rozmieszczeni na okrętach wojennych. W 1798 r. utworzono oddzielny *Department of the Navy* - Departament Marynarki. W 1845 r. powstał *US Naval Academy* - Akademia Morska Stanów Zjednoczonych w Annapolis dla

kształcenia oficerów. Podczas wojny z Meksykiem w latach 1846–1848 flota wojenna Stanów Zjednoczonych odegrała niemałą rolę przy zajmowaniu Kalifornii. Niepoślednia była też rola floty w wojnie secesyjnej. Pomoc szybko zapewniła sobie przewagę nad Północnym i zdołała przeprowadzić blokadę wybrzeży południowych.

Ostatnie dwudziestolecie XIX w. przyniosło wzmocnienie floty wojennej, zarówno pod względem ilości, jak i jakości okrętów wojennych. Zwycięstwo Stanów Zjednoczonych nad Hiszpanią było w znacznej mierze dziełem floty.

Pod koniec XIX w. wystąpił na arenę publiczną wybitny teoretyk problematyki morskiej kapitan Alfred Thayer Mahan. Jego książki i artykuły o wpływie potęgi morskiej na historię - najważniejsze *„The Influence of Sea Power upon History 1660–1783”* (*„Wpływ potęgi morskiej na historię 1660–1783”*), ogłoszone w 1890 r. i *„Sea Power in the Relation to the War of 1812”* (*„Potęga morska w odniesieniu do wojny roku 1812”*), ogłoszone w 1905 r. - wywarły poważny wpływ na politykę Stanów Zjednoczonych.

Mahan postawił tezę, że kontynent północnoamerykański jest wyspą, a z tego wynika, że polityka Stanów Zjednoczonych i ich strategia muszą mieć charakter wyspiarski. Wyspa nie może się bronić u swych brzegów, wyspa musi panować nad oblewającymi ją morzami. Stany Zjednoczone muszą więc panować nad dwoma oceanami - Atlantyckim i Spokojnym; muszą

mieć na Oceanie Atlantyckim i na Spokojnym bazy i stacje węglowe.

Jest sprawą oczywistą, że działalność pisarska Mahana nie pozostała bez wpływu na rozbudowę amerykańskiej floty wojennej. Podróż naokoło świata, którą w latach 1907–1909 odbyła amerykańska *White Fleet* (Biała Flota), miała pokazać światu potęgę Stanów Zjednoczonych.

Akt wypowiedzenia wojny Niemcom przez Stany Zjednoczone postawił republikę północnoamerykańską w sytuacji, w jakiej państwo to nie znajdowało się jeszcze nigdy w ciągu swej półtorawiekowej historii. Dziwić więc nie może dezorientacja, która się ujawniła w Stanach Zjednoczonych, w kołach rządowych i w społeczeństwie. Zadawano sobie powszechnie pytanie, na czym ma polegać udział Stanów Zjednoczonych w wojnie. Czy tylko na nieskrępowanym odtąd żadnymi względami dostarczaniu państwu Koalicji sprzętu bojowego, surowców, kredytów, słowem wszystkiego czego wymaga prowadzenie wojny, czy także na udziale amerykańskiej floty w zwalczaniu niemieckich łodzi podwodnych, czy też ma to być udział w wojnie pełny wszystkimi siłami państwa. A w takim razie Stany Zjednoczone wysłać muszą do Europy swe wojska.

Tocząca się w Europie wojna unaoczniała kołom rządowym słabość militarną Stanów Zjednoczonych. Snuto więc projekty powiększenia i to dość znacznego marynarki wojennej, tak aby w roku 1925 zrównała się w sile z marynarką Wielkiej Brytanii. Zamyślano o powiększeniu armii lądowej przynajmniej do 200 tys.

żołnierza. Pozostawało to na razie w sferze projektów i dyskusji i w pierwszych miesiącach 1917 r. biła w oczy słabość militarna Stanów Zjednoczonych.

Tak widzieli rzecz zagraniczni przedstawiciele dyplomatyczni w Waszyngtonie. Był pośród nich nie tylko hrabia Adam Tarnowski, który spędził w Ameryce niespełna cztery miesiące, ale i ambasador francuski J. J. Jusserand, który już lat kilka bawił w Stanach Zjednoczonych. Według Jusseranda Stany Zjednoczone będą olbrzymim rezerwuarem, z którego państwa Koalicji czerpać będą pieniądze, surowce, sprzęt bojowy, a dopiero na ostatnim planie posiłki wojskowe. Podobnie i francuski *attaché* wojskowy kapitan Faure raportował 5 marca 1917 r., że Stany Zjednoczone nieprędko będą mogły wystawić prawdziwą armię. Opinię tę uzasadniał stan armii amerykańskiej. Uchwała Kongresu z maja 1916 r. podnosiła stan liczebny armii regularnej ze stu tysięcy na 175 tys. podczas pokoju, a na 286 tys. w razie wojny. Tak samo stan liczebny Gwardii Narodowej, tzn. milicji stanowych miano podwyższyć do 400 tys. Były to więc siły szczupłe, uzbrojone w przestarzały sprzęt bojowy (karabiny typu Springfield model z 1903 r.) i niedostatecznie wyszkolone. Uderzający był zwłaszcza brak wykwalifikowanych wyższych oficerów.

Ambasador francuski Jusserand tak oceniał sytuację: „Jeśli wojna nie potrwa długo, należałoby wysłać (do Francji) tylko niewielkie siły amerykańskie raczej symbolicznie, aby sztandar Unii powiewał w okopach. Trzeba wziąć pod uwagę, że formowanie wielkiej armii

ekspedycyjnej, która zapewne nie będzie gotowa (do walki) w czasie potrzebnym, pochłonie poważną część różnych materiałów (broń, amunicja, żywność): byłoby rzeczą bardziej celową, gdyby rząd amerykański oddał je do naszej dyspozycji”.

W tym stanie rzeczy do Stanów Zjednoczonych przybyły dwie misje dyplomatyczno–wojskowe: brytyjska i francuska. Misji brytyjskiej przewodził sekretarz stanu w *Foreign Office* Arthur James Balfour, rzeczoznawcą wojskowym był generał Robert Bridges. Znaczniejszą rolę odegrała misja francuska. Na jej czele stał były premier René Viviani, ale na czoło wysunął się od razu dzięki swej osobowości i popularności zwycięzca znad Marny marszałek Joseph Joffre.

Misja francuska przyплыnęła do Ameryki 24 kwietnia i pozostała tam do 14 maja 1917 r. W miastach, które odwiedziła misja francuska, odbywały się żywiołowe manifestacje na cześć Francji i szczytnych ideałów wolności, o które walczyła ojczyzna La Fayette’a, i to miało dla Koalicji znaczenie propagandowe. Rozmowy, które Viviani a zwłaszcza Joffre prowadzili z prezydentem Wilsonem i amerykańskimi dygnitarzami cywilnymi i wojskowymi, miały znaczenie realne, konkretne.

Z czym Francuzi jechali do Ameryki? Nowy wódz francuski generał Robert Nivelle spodziewał się zwycięskiego zakończenia wojny w niedługim stosunkowo czasie, znał też z pewnością raporty ambasady francuskiej w Waszyngtonie o stanie armii amerykańskiej; na tych przesłankach opracował własną koncepcję pomocy amerykańskiej i przedstawił ją Joffre’owi. Koncepcja



Nivelle'a tak wyglądała: niech Amerykanie tworzą co prędzej małe jednostki od kompanii do batalionu: jednostki te po przyłynięciu do Francji zostaną wcielone do pułków francuskich. W ten sposób zaradzi się brakowi wyższych oficerów amerykańskich; dowództwo sprawować będą oficerowie francuscy. Do tej koncepcji skłaniał się rząd Ribota.

Wręcz przeciwny pogląd miał Joffre. Marszałek uważał, że pomoc amerykańska, zorganizowana na zasadach proponowanych przez Nivelle'a, nic by - Francji nie przyniosła. Rolę w wojnie może odegrać tylko armia amerykańska - silna, niezależna, jednolita, pod własnym amerykańskim dowództwem. Tylko dla takiej armii społeczeństwo Stanów Zjednoczonych zdobędzie się na ofiary i poświęcenie, ponieważ w grę wejdzie honor narodowy. Podczas podróży morskiej na pokładzie statku „Lorraine II” marszałek opracował długi memoriał zawierający postulaty francuskie.

Twórca memoriału wychodził z założenia, że począwszy od lata 1917 r. zmniejszać się będzie liczebność armii francuskiej. Nie wolno wszakże pozwolić sobie z Amerykanami na zupełną szczerłość, przeciwnie, trzeba kłaść nacisk na „siłę Francji”. Przyznać należy wszakże, iż Koalicja znajduje się w sytuacji trudnej. Wielka Brytania nie szczędziła wysiłków, które Amerykanom powinny posłużyć za wzór, ale brak jej obecnie odwodów dla 79 dywizji (z tych 62 znajdują się we Francji), Włosi myślą tylko o własnych interesach, Rosjanie mogliby jeszcze znacznie powiększyć swą armię, ale rewolucja wprowadziła zamieszanie.

Stany Zjednoczone mogą odegrać poważną rolę w wojnie. Celem, do którego dążyć należy, jest sformowanie „wielkiej armii amerykańskiej”, która będzie walczyła u boku armii francuskiej. Trzeba rozróżnić dwie fazy współdziałania Amerykanów z Koalicją. W roku 1917 pomoc amerykańska nie może mieć decydującego znaczenia, ale francuska opinia publiczna przyjęłaby z ulgą i z radością przybycie do Francji amerykańskiego korpusu ekspedycyjnego, złożonego z jednej lub dwóch dywizji. Korpus taki dałby Francji „poparcie moralne”. Natomiast w roku 1918 wystąpić powinna „armia regularna zdolna do odegrania u boku wojsk francuskich takiej roli, jaką odgrywa armia brytyjska”. Szkolenie oficerów sztabowych i liniowych będzie się mogło odbywać we Francji przy udziale i pomocy oficerów francuskich.

Tyle memoriał Joffre'a. Stanowił on podstawę do rozmów marszałka i jego oficerów z Amerykanami. W wyniku tych rozmów postanowiono, że w najbliższym czasie odpłynie do Francji Amerykański Korpus Ekspedycyjny (*American Expeditionary Force - AEF*), złożony z 16 do 20 tys. żołnierza; na czele korpusu stanie generał Pershing. Następnie przy pomocy francuskiej organizować się będzie wielka armia amerykańska; wiadomo było od razu, że udział w walce wzięć będzie mogła dopiero w roku 1918.

Rezultat misji Joffre'a był więc pomyślny. Amerykanie czerpali pełnymi dłońmi z doświadczenia i wiedzy marszałka i towarzyszących mu oficerów.

Pobyty misji w Stanach Zjednoczonych miał też duże znaczenie propagandowe i rozbudził zainteresowanie Amerykanów Francją i wojną toczącą się w dalekiej Europie. Uwagę ich ściągała przede wszystkim osoba marszałka Joffre'a. W zdobyciu popularności w szerokich masach nie przeszkodziła marszałkowi zupełna nieznajomość języka angielskiego. Ilustruje to zdarzenie na Kapitolu w dniu 1 maja 1917 r. Delegacja francuska stanęła przed Kongresem, a Viviani wygłosił ze swadą po francusku swoje przemówienie. Program był wyczerpany i delegacja francuska miała już zejść z podium, gdy zabrzmiały liczne głosy domagające się mowy Joffre'a. Marszałek powiedział krótko: „*I do not speak English. Vivent les Etats-Unis*”. Tych kilka słów wywołało entuzjazm i podobno większe miały znaczenie niż długa, kwiecista mowa Vivianiego. Jak często bywa w podobnych sytuacjach, marszałka zaczęła otaczać legenda i anegdota i to, rzecz prosta, na modłę amerykańską. Na przyjęciu w ambasadzie francuskiej Amerykanki zapytywały zwycięskiego wodza, czy prawdą jest, że liście dębowe na jego kepi wyszywały mu młode dziewczęta, a każda wszyła mu pukiel swych włosów pod liść. Marszałek mógł odpowiedzieć, że nie może wiedzieć, co się działo w warsztacie czapkarskim, odparł wszakże, iż fakt wszycia pukli włosów dziewczęcych pod liście dębowe jest możliwy, ale nie zdoła tego udowodnić.

## 78. Pomoc zza oceanu

4 czerwca 1918 r. Clemenceau mówił w Izbie Deputowanych: „Siły angielskie i francuskie się wyczerpują, wyczerpują się równocześnie siły naszych nieprzyjaciół, ale my mamy sprzymierzeńców, którzy przybywają”.

Clemenceau nie mylił się, ale nie od razu otwarły się widoki na współdziałanie militarne Amerykanów z Francuzami i Anglikami.

Początkowo sądzono we Francji i w Wielkiej Brytanii, że Stany Zjednoczone będą dla Koalicji jedynie potężnym rezerwuarem, skąd czerpać będzie można pieniądze, sprzęt bojowy, wszystkie rzeczy potrzebne do prowadzenia wojny, najmniej liczone na żołnierza amerykańskiego. 24 marca 1917 r. francuski minister wojny Paul Painlevé określił, czego sprzymierzeni oczekują od Stanów Zjednoczonych. Oto pomocy w dziedzinie przemysłowej, współdziałania w walce z łodziami podwodnymi, kredytów, samolotów i pilotów. Painlevé wspominał też, że byłoby rzeczą pożądaną, aby przybył do Francji „kontyngent ochotników”. W kołach rządowych francuskich sądzono, że utworzenie i wyposażenie silnej liczebnie armii amerykańskiej powiększy trudności z dostawami amerykańskimi do Francji, a w każdym razie je utrudni, dostawy te zaś były niezmiernie potrzebne, a wydawały się bliższe i bardziej realne.

Ale zmieniła się sytuacja. Armiom państw Koalicji trzeba było żołnierza, Stany Zjednoczone zaś zmierzały

wyraźnie do zapewnienia sobie roli kierującej, a do tego niezbędna była silna armia.

*Selective Service Act* uchwalony 18 maja 1917 r. wprowadził powszechny obowiązek służby wojskowej. W ciągu trzech tygodni zarejestrowano 10 milionów mężczyzn. Pomimo protestów, podnoszonych z różnych stron, że powszechna przymusowa służba wojskowa to „sprusaczenie” Stanów Zjednoczonych, w krótkim stosunkowo czasie powstała wielka armia amerykańska. W lipcu 1918 r. liczba żołnierzy amerykańskich we Francji przekroczyła dwa miliony.

W roku 1917 była to jeszcze obiecująca przyszłość. Rekrutacja, szkolenie, przygotowanie zaopatrzenia armii, wreszcie trudności związane z jej przewiezieniem do Europy sprawiły, że dopiero w kilkanaście miesięcy po wypowiedzeniu wojny mogły Stany Zjednoczone rzucić do bojów we Francji silną, dobrze zaopatrzoną, dobrze wyszkoloną armię. Dzięki temu w 1917 r. Koalicja mogła zapisywać na swe dobro efekty propagandowe wojny wydanej Niemcom przez wielką republikę północnoamerykańską.

Pierwsze oddziały amerykańskie przyplłynęły do Francji w czerwcu 1917 r. Wojsko to nosiło mundury znane Europejczykowi z filmów westernowych: kurtka koloru *khaki*, takiegoż koloru miękki kapelusz z szerokimi skrzydłami. Żołnierze amerykańscy budzili sympatię, a może i więcej niż sympatię Francuzów, rzecz to zrozumiała. Sami też odnosili się do Francji z sympatią, wiedzieli, przypominano im to zresztą teraz, że Francja

pospieszyła z pomocą 13 koloniom Ameryki Północnej, gdy podjęły walkę o wolność.

Teraz na ziemi francuskiej rozlega się wesoły śpiew żołnierzy amerykańskich:

*Over there! Over there!*

*The boys are going,*

*The boys are coming,*

*Over there!*

*Tam! Tam!*

*Idą chłopcy,*

*Chłopcy nadchodzą,*

*Tam!*

14 lipca 1917 r. Amerykanie wzięli udział w dorocznej rewii, wzbudzając entuzjazm ludności Paryża. Tegoż dnia, 14 lipca, wódz amerykański generał Pershing przybył na cmentarz Picpus w Paryżu, gdzie znajduje się grobowiec rodziny La Fayette i gromkim głosem zameldował „bohaterowi dwóch światów”: „*La Fayette, we are here*” („La Fayette, jesteśmy tu”).

Żołnierze amerykańscy szkolili się jeszcze we Francji. Trudności były niemałe, gdyż brak było odpowiednio wykształconych i wyszkolonych oficerów wyższych stopni. Trzeba było nielada wysiłku, aby braki te usunąć. Znaczną rolę odegrali tu doświadczeni oficerowie francuscy. Aby uszanować ambicje amerykańskie nie nazywano ich instruktorami, lecz łącznikami i informatorami.

Po raz pierwszy wzięli Amerykanie udział w walkach 21 października 1917 r. w okolicach Luneville, udział ich rzeczywisty, znaczny to będzie dopiero wiosna i lato roku 1918.

Na czele armii amerykańskiej stanął potomek Alzarczyka, który w połowie XVIII w. wywędrował do Ameryki. John Joseph Pershing dobiegał właśnie sześćdziesiątki (urodził się 13 września 1860 r.). Ukończył akademię wojskową w West Point, brał udział w licznych bojach z Indianami, w 1898 r. walczył przeciwko Hiszpanom na Kubie, później przeciwko powstańcom na Filipinach. Podczas wojny rosyjsko-japońskiej był jednym z cudzoziemskich obserwatorów w Mandżurii. W 1906 r. został generałem brygady. W 1916 r. dowodził operacjami w Meksyku. Już we Francji w październiku 1917 r. dosięgła go nominacja na pełnego generała. Później, już po wojnie, otrzymał tytuł „generała armii Stanów Zjednoczonych”. Pershing domagał się autonomii dla wojsk amerykańskich we Francji i postulat ten zrealizował. Francuzom i Anglikom stawiał zarzut, że szkolą żołnierzy przede wszystkim do walki pozycyjnej, zaniedbując przygotowanie do wojny ruchomej. Tym argumentem posługiwał się przeciwstawiając się włączaniu oddziałów amerykańskich do dywizji francuskich i brytyjskich.

Ambasador francuski w Waszyngtonie Jusserand telegrafował 25 maja 1917 r. do Paryża: „Generał Pershing (...) to człowiek zimny, zdecydowany, małomówny, ale z widocznym wzruszeniem wyrażał się o roli

Francji w wojnie i o własnej chęci udzielenia naszemu krajowi skutecznej pomocy”.

Przybycie wojsk amerykańskich do Europy miało znaczenie nie tylko militarne, nie tylko wzmacniało siły Koalicji na froncie zachodnim, francuskim, miało także wagę polityczną i społeczną. Wielka armia amerykańska w Europie to niepośledni wpływ Stanów Zjednoczonych na politykę światową. Prezydent zapowiedział, że żołnierze amerykańscy przybywają do Europy nie dlatego, aby walczyć o interesy Stanów Zjednoczonych, lecz dlatego, aby bronić „słusznej sprawy”. „Będziemy walczyli - wołał Wilson - o to, co zawsze leżało nam na sercu, o demokrację (...), o prawa i wolność małych narodów, o powszechne panowanie prawa, o ligę wolnych narodów”.

Rzecz prosta, że słów tych nie można brać dosłownie. Ale mowy i deklaracje prezydenta Stanów Zjednoczonych miały znaczenie podwójne. Gdy je brano dosłownie, grały pewną rolę propagandową, ludom i żołnierzom państw Koalicji mówiły, że walczą i cierpią za piękną sprawę. Gdy odrzucono frazeologię, było sprawą jasną, że Wilson ma program polityczny, wybiegający poza kontynent amerykański, że cele wojenne Stanów Zjednoczonych nie są zbieżne z celami wojennymi mocarstw Koalicji. A potężna armia amerykańska w Europie, a potęga gospodarcza Stanów Zjednoczonych sprawiły, że dążeń prezydenta nie sposób było lekceważyć. Tym bardziej że Stany Zjednoczone nie były państwem sprzymierzonym, jak Francja, jak Wielka Brytania, jak Włochy czy Rosja, lecz jedynie pań-



stwem stowarzyszonym i wszczynając wojnę nie zaciągnęły wobec mocarstw Koalicji żadnych zobowiązań.

Wojska amerykańskie w Europie to jeszcze jedna sprawa, na którą warto zwrócić uwagę. Bogate Stany Zjednoczone mogły swoich żołnierzy, swoich „boys” otoczyć troskliwą opieką i zapewnić im lepsze warunki bytowe niż państwa europejskie, nawet tak zamożne jak Wielka Brytania czy Francja. Dotyczyło to życia na zapleczu frontu, dotyczyło to również życia w okopach. Okoliczność ta, obok niedawnych doświadczeń z buntami majowymi roku 1917 w armii francuskiej, wpłynęła na stosunek dowództwa do żołnierzy, zmusiła je do większej troski o żołnierza.

Żołnierz amerykański popłynął do Francji i walczył tam na głównym, najważniejszym terenie wojny. Nie było natomiast wojsk amerykańskich ani na froncie włoskim, ani bałkańskim czy mezopotamskim, nie było ich również w Rosji.

## **79. Niemcy w oczach cudzoziemców**

Interesujące bywa spojrzenie obcego obserwatora, przybysza z innego kraju, na obce dla niego stosunki. Nie zawsze ma on dostateczną znajomość rzeczy, aby można opierać się na jego sądach i ocenach bez obawy pomyłki, ale zawsze ma świeżość spojrzenia, a to pozwala niekiedy dostrzegać zjawiska nie zauważone od wewnątrz. Mamy w ręku nieco relacji cudzoziemców, którzy podczas wojny przebywali w Niemczech, rozmawiali z Niemcami, widzieli ulice miast niemieckich, obserwowali życie narodu w oblężonej twierdzy, jaką

były Niemcy w latach 1914–1918. Relacje te pokażą nam w pewnej mierze obraz ówczesnych Niemiec.

„Zjednoczenie całego kraju, zaufanie w wynik (wojny), życie łatwe i tanie” - oto opinia młodego Amerykanina, dawnego dyplomaty, władającego niemieckim, mającego stosunki w kołach intelektualnych Niemiec. Amerykanin ów przebywał w Niemczech do połowy października 1914 r. Niemcy, z którymi rozmawiał, zaznaczali, że nie żywią wrogich uczuć względem Francji, zdarzali się i tacy, co uważali za błąd aneksję Alzacji i Lotaryngii. Gniew Niemców zwraca się przeciwko Rosjanom, a bardziej jeszcze przeciwko Anglikom.

Obserwacje młodego Amerykanina znajdują potwierdzenie w listach, które do jeńców niemieckich we Francji wysyłały ich rodziny. W listach tych przebija nienawiść do Wielkiej Brytanii. Niektóre listy wyrażały wręcz współczucie dla „nieszczęśliwej Francji”, którą wciągnął w wojnę „perfidny Albion”. Niektórzy korespondenci wyrażali życzenie, aby Francja oderwała się od Wielkiej Brytanii, zawarła pokój z Niemcami, a wówczas te dwa mocarstwa będą rządziły światem. Cenzorzy francuscy odnosili niekiedy wrażenie, że owe antybrytyjskie uczucia to albo zbiorowa histeria, albo też taki sposób pisania nakazały rodzinom jeńców władze niemieckie.

Nastroje antybrytyjskie były w owym czasie w społeczeństwie niemieckim niewątpliwie bardzo silne, ale władze podsycaly je jeszcze różnymi sposobami

mi. Na znaczkach pocztowych np. widniały napisy: „*Gott strafe England*” („Boże ukarż Anglię”).

Nieznany z nazwiska Amerykanin, który podobno od dawna znał Berlin, opracował memoriał pt. „Stan obecny Niemiec. Plany i zasoby”. Memoriał ten ambasada francuska w Waszyngtonie przesłała do Francji. 15 grudnia 1914 r. znalazł się on w rękach zastępcy dyrektora politycznego *Quai d'Orsay* Philippe'a Berthelota.

Amerykanin ów dostrzegł od czasu wybuchu wojny nieznaczne tylko zmiany w życiu Berlina. Hotele i restauracje są czynne i robią dobre interesy, otwarte są teatry rozrywkowe, operetki i wodewile. Uderza tylko wielka ilość żołnierzy. Amerykanin twierdzi, że nigdy nie widział na ulicach Berlina tylu mężczyzn w mundurze. Podobno wielu z nich nie było dotąd na froncie.

Anglicy oddają się złudzeniom, jeśli wierzą w szerzone przez prasę wiadomości, jakoby naród niemiecki był w opozycji do „klikki wojskowej pruskiej”. „Nigdy dotąd - czytamy dalej w memoriale - korona nie cieszyła się taką popularnością, jak obecnie. Nigdy dotąd osobisty autorytet cesarza i jego wpływ nie były tak wielkie jak teraz. Nawet radykalni socjaliści na czas wojny podali rękę pruskim junkrom. Kto spodziewa się, że socjaliści nagle zmuszą rząd do zawarcia pokoju, żyje w obłokach, podobnie jak w obłokach żyją ci Niemcy, którzy sądzą, że obecne zamieszanie w Irlandii będzie sygnałem do powstania”. Nie należy również liczyć na żadne rozbieżności pomiędzy Prusakami z jednej a Bawarami, Sasami czy Wirtemberczykami

z drugiej strony. „Naród niemiecki jest głęboko przeświadczony, że zmuszono go do wojny”.

I memoriał o stanie obecnym Niemiec stwierdza, że trudno zdać sobie sprawę, jak wielka jest nienawiść Niemców do Wielkiej Brytanii. „Ta ślepa obsesja kazała im zapomnieć o dawnych gniewach na Francuzów i na Rosjan”.

Interesujące są opinie, jakie nasz Amerykanin słyszał z ust niemieckich o Austriakach. Wojskowi niemieccy nie mają zbyt wysokiego o nich mniemania. Niektórzy posuwają się nawet do twierdzenia, że łatwiej daliby sobie radę bez austriackiego sprzymierzeńca. Niektórzy tylko twierdzą, że Austriacy są jak ten koń wyścigowy, który dał się wyprzedzić w pierwszym biegu, ale w następnym wysforuje się na pierwsze miejsce.

Zdaniem autora memoriału każdego obserwatora uderzają wielkie rezerwy ludzkie, jakie Niemcy zdają się posiadać. Podobno liczba ochotników, którzy zgłaszają się do wojska, przewyższyła oczekiwania władz wojskowych; byli to ludzie zwolnieni z obowiązku służby skutkiem lekkich niedomogów fizycznych lub też innych przyczyn. Jeśli chodzi o materiał ludzki Niemcy będą mogli prowadzić wojnę jeszcze bardzo długo. Tym bardziej że przeciętny Niemiec nie odczuwa dotąd trudności aprowizacyjnych, nie brak ani zboża, ani tłuszczów, ani mięsa. Wystąpiły natomiast niedobory surowców potrzebnych przemysłowi zbrojeniowemu, sprowadzanych z zagranicy, zwłaszcza miedzi i kauczuku.

Zasługują na uwagę spostrzeżenia obserwatora amerykańskiego na temat stosunku Niemców do toczącej się wojny. Bystrzejsi Niemcy rozumieli już, że zawiodły plany wojny błyskawicznej i szybkiego zwycięstwa na zachodzie; przeżywają gorzkie rozczarowanie widząc, że wojska niemieckie nie zdołały zająć 'Calais i opanować wybrzeży Francji. Natomiast zwycięstwa rosyjskie w Prusach Wschodnich i powodzenia oręża rosyjskiego w Królestwie i w Galicji niewywołały zaniepokojenia ani w wojsku, ani u ludności cywilnej. Niemcy oceniają sprawiedliwie wysokie wartości żołnierza rosyjskiego i jego odwagę, ale są przekonani, że łatwo dadzą sobie radę z tym przeciwnikiem, nawet gdyby przekroczył gdzieś granicę Rzeszy.

Podobnie oceniał sytuację wewnętrzną Niemiec polityk szwajcarski Gustave Ador, w latach 1919–1920 prezydent Konfederacji Szwajcarskiej, wówczas prezes Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Późną jesienią 1914 r. Ador bawił w Berlinie w sprawach Czerwonego Krzyża. Wbrew oczekiwaniom spotkał się wszędzie ze „spokojnym optymizmem”. We wszystkich sferach dojrzał przeświadczenie o pomyślnym dla Niemiec rozwoju operacji wojskowych i wiarę w szczęśliwy wynik wojny. Wprawdzie w początkach wojny ofensywa rosyjska napędziła Niemcom sporo strachu, ale już z niego ochłonęli.

Z wyjątkiem Hamburga i niektórych portów dotkniętych przerwą w handlu morskim życie, zdaniem Adora, toczyło się wszędzie normalnym trybem. „Zwłaszcza w Berlinie ruch i wesołość. Hotele i restau-

racje przepelnione, do obiadu szampan. Odgłosy wojny nie dają się zauważyć. Nic niezwykłego nie można dostrzec i na wsi; wieś trzyma się dobrze, roboty polne wszędzie prawidłowo wykonano”. Gość szwajcarski zauważył jeszcze, że daleko od frontu spotyka się wielu mężczyzn zdrowych, młodych w wieku od 25 do 35 lat, dotąd nie powołanych do służby wojskowej.

Po dwuipółmiesięcznym pobycie w Niemczech powrócił do Szwecji w pierwszej połowie grudnia 1914 r. podpułkownik G. Bouveng, komendant szkoły wojskowej w Carlberg. Wrażenie swe przedstawił na konferencji prasowej w Sztokholmie; biło z nich zafascynowanie potęgą Niemiec. Pułkownik zakończył *exposé* tymi słowy: „Nie mogę przewidzieć, jaki będzie wynik wojny, gdyż nie znam wszystkich elementów gry, ale jestem przekonany, że przeciwnicy Niemiec nie zdołają ich pokonać militarnie”.

Sukcesy militarne, rabunkowa gospodarka w krajach okupowanych nie zdołały zatamować procesu osłabiania Niemiec, osłabiania kraju, osłabiania społeczeństwa. Procesu, który toczył się w tempie coraz szybszym od zimy 1914/15 r. Głód i niedostatek już latem 1917 r. uderzył przybyłego do Berlina Ignacego Daszyńskiego. A przecież Daszyński przybył z kraju uginającego się pod brzemieniem wojny.

W drugiej połowie 1917 r. sytuacja aprowizacyjna uległa lekkiej poprawie w związku z pomyślnymi zbiorami, i podniosły się nastroje w społeczeństwie po wszczęciu rokowań z Rosjanami. Panowało przekonanie

nie, że pokój z Rosją zostanie zawarty „jakikolwiek byłby tam rząd”.

Znawcy Niemiec i życia Niemców wysoko cenili ich siłę psychiczną i ich odporność. W kwietniu 1917 r., gdy w Niemczech zmniejszono racje chleba, cudzoziemcy słyszeli ze wszystkich stron powtarzane hasło: „Będziemy raczej jedli korzenie drzew, a nie ustąpimy”. Ogólnie przyjmowanym hasłem propagandowym było twierdzenie, że pokój zawarty w roku 1917 spowodowałby głód i nędzę i zmusiłby do emigracji piątą część ludności Niemiec. Powtarzano to opowiadanie, ale mimo wszystko myślano o pokoju; jedni wiązali nadzieje „z pokojem socjalistycznym w Sztokholmie”, inni z „pokojem katolickim w Rzymie”. Nie było to logiczne, ale w ówczesnych warunkach było zrozumiałe.

Jest sprawą oczywistą, że położenie na froncie wpływało na nastroje społeczeństwa, tak było w każdym kraju. Przekreślenie nadziei pokładanych w wojnie podmorskiej obniżyło nastroje w Niemczech, ale podniosły je zwycięstwa we Włoszech i spodziewany w bliskim czasie pokój z Rosją. Wielkie transporty wojskowe idące ze wschodu na zachód budziły sprzeczne uczucia - nadziei walnego zwycięstwa na froncie zachodnim, a obok nich lęk przed strasznymi, morderczymi walkami, przed żałobą.

Wojna ze Stanami Zjednoczonymi nie budziła w 1917 r. poważniejszych obaw, powtarzano opinie rzeczoznawców wojskowych, że interwencja amerykańska to „szarlataneria”.

Wiążano nadzieje z jeńcami powracającymi z Rosji. Wielu wróciło już przed zawarciem pokoju, ale większość z nich znajdowała się w takim stanie fizycznym i moralnym, że było sprawą wątpliwą, czy będą zdolni do służby czynnej.

Zima 1917/18 r. przyniosła pogorszenie sytuacji pod każdym względem. Interesujące są wrażenia kobiety, cudzoziemki, żony sekretarza legacji fińskiej w stolicy Rzeszy, baronowej Wrede. Smutne są te wrażenia. W Berlinie widzi się brak koni. Godzinna jazda powozem kosztuje 100 marek. Na ulicach spotyka się tylko kobiety i starców. Uderza powszechna apatia i przygnębienie; robi to szczególne wrażenie w miejscach rozrywek publicznych, np. w teatrze. Szeptem mówi się o wielkich stratach na froncie zachodnim i pomimo żelaznej dyscypliny daje się wyczuć, że w społeczeństwie „budzi się jakby duch frondy”. Baronowa dostrzegła wszędzie upadek autorytetów, jedynie Hindenburg zachował całą popularność.

Spostrzeżenie interesujące, trudno orzec, w jakiej mierze słuszne, że nigdzie nie widać nienawiści do Francji; baronowa w wielu miejscach mówiła publicznie po francusku nie narażając się na nieprzyjemności. O posługiwaniu się w miejscach publicznych językiem francuskim wspominają i inni obserwatorzy; rzecz charakterystyczna, że oficerowie tureccy i bułgarscy zwracali się po francusku do oficerów niemieckich. Sprawa interesująca, choć nie można wyprowadzić stąd dalej idących wniosków.



W relacjach tych uderza, jak różny obraz Niemiec rysował się w oczach cudzoziemców w początkach wojny i w dalszych jej fazach.

## 80. Październik roku 1917

Konserwatywny, reakcyjny Berlin przyjął wiadomość o wybuchu rewolucji rosyjskiej z niemałym zadowoleniem. Sekretarz Stanu w Urzędzie Spraw Zagranicznych Arthur Zimmermann uważał, że rewolucja przyspieszy pokój, sądził, że wojna nie potrwa dłużej niż do jesieni 1917 r. Rewolucja przyniesie, zdaniem Zimmermanna, rozkład państwa rosyjskiego. Państwa Centralne nie powinny temu przeciwdziałać, nade wszystko nie wolno atakować wojsk rosyjskich, wyżyłaby to propaganda angielska i głosiłaby na całym świecie, że Niemcy i Austriacy maszerują, aby zgnieść rewolucję i przywrócić carat.

Podobne nastroje, pełne optymizmu, zaznaczyły się w dyskusji w parlamencie Rzeszy w dniu 29 marca 1917 r. Zadowolenie z dokonujących się w Rosji przemian, z upadku caratu, przebijało z wynurzeń wszystkich mówców z wyjątkiem konserwatysty hr. Westarpa. Wszyscy wszakże stwierdzali, że Niemcy nie będą ingerowały w bieg wypadków w Rosji, w szczególności nie będą popierały prób restauracji monarchii.

Inaczej patrzono na Rosję z Paryża i z Londynu. Upadek caratu przyjęto z zadowoleniem, gdyż wciąż obawiano się pokoju odrębnego pomiędzy monarchią Romanowów a monarchią Hohenzollernów. Sądzono, że sukcesy ruchu rewolucyjnego dają nowemu rządowi

siłę, a to po pokonaniu pierwszych trudności pozwoli mu podjąć walkę przeciwko Niemcom z większym powodzeniem niż obalony rząd caratu. Francuzom wydawało się przez czas niejaki, że Rosja powtórzy epopeję rewolucji francuskiej, że rewolucjoniści rosyjscy wzorem francuskich z roku 1793 rzucą się do walki z wrogiem, w przywódcach rewolucji rosyjskiej widziano nowych Dantonów, Robespierre'ów, Saint-Justów. W Wielkiej Brytanii złudzenia trwały krócej. I tu wprawdzie w usunięciu skorumpowanych władz carskich dopatrywano się wzmocnienia Rosji, ale Anglicy otrząsnęli się z iluzji wcześniej niż Francuzi<sup>3</sup>

Rząd Tymczasowy czynił istotnie wszystko, co mógł, aby przekonać sprzymierzeńców zachodnich, że będzie energicznie prowadził wojnę przeciwko Niemcom. Nowy minister spraw zagranicznych Paweł Milukow potwierdził imieniem nowych władz zobowiązanie rządu carskiego z 5 września 1914 r., że nie zawrze pokoju odrębnego. W nocy okólnej z 17 marca 1917 r. Milukow stwierdził, że nowy rząd rosyjski „respektuje zobowiązania międzynarodowe zaciągnięte przez rząd upadły”. Pismem poufnym z 21 marca 1917 r. przypomniał sprzymierzeńcom, że „zobowiązania międzynarodowe” to układy z marca 1915 r. i z lutego 1917 r., a więc Konstantynopol dla Rosji, Rosja decyduje o swej granicy zachodniej, czyli o losach Polski.

Prezes Dumy Michaił Rodzianko mówił do szefa misji wojskowej brytyjskiej w Piotrogradzie generała Alfreda Knoxa: „Wszystko idzie dobrze. Rosja jest

wielkim krajem, może jednocześnie toczyć wojnę i wziąć w karby rewolucję”.

Lecz co znaczyły enuncjacje i zapewnienia Milukowa? Co znaczył prostoduszny optymizm Rodzianki? W łonie Rządu Tymczasowego nie było jednomyślności, a nawet gdyby nie było w nim tarć wewnętrznych i gdyby Milukow miał pełne poparcie swych kolegów ministerialnych, Rząd Tymczasowy był bezsilny w nowej sytuacji rewolucyjnej. 24 marca 1917 r. Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich w Piotrogradzie uchwaliła rezolucję o wyrzeczeniu się programu wszelkich aneksji i o rozpoczęciu rokowań o pokój „z robotnikami krajów nieprzyjacielskich”. A głosu Rady nie można było lekceważyć, gdyż pod jej wpływem pozostawał garnizon stołeczny. Żołnierze rosyjscy, a ogromną ich większość stanowili synowie chłopscy, pragnęli powrócić jak najprędzej do swych wsi rodzinnych i wziąć udział w zapowiadanej dzieleniu wielkiej własności ziemskiej. Nie chcieli walczyć przeciwko Niemcom w imię haseł, których nie rozumieli.

16 kwietnia 1917 r. wrócił do Rosji Lenin. Natychmiast po otrzymaniu wiadomości o wybuchu rewolucji Lenin postanowił wrócić do kraju wraz z grupą przebywających z nim w Szwajcarii działaczy rewolucyjnych. Powrót drogą okólną przez kraje Koalicji był niemożliwy, gdyż rządy państw zachodnich zgadzały się zezwolić na przejazd tylko tym emigrantom rosyjskim, którzy wyraźnie opowiedzą się za kontynuowaniem wojny. Lenin za pośrednictwem socjaldemokratów szwajcarskich uzyskał kontakt z poselstwem nie-

mieckim w Bernie. Poseł baron Gisbert von Romberg doradzał rządowi Rzeszy udzielenie zgody na przejazd emigrantów rosyjskich przez Niemcy. Po wysłuchaniu opinii Naczelnego Dowództwa rząd niemiecki wyraził zgodę na przejazd przez Niemcy pociągiem umyślnym Lenina i jego towarzyszy; pociąg miał przywilej eksterytorialności, jadący nie podlegali kontroli ani paszportowej, ani bagażowej. W nocy z 10 na 11 kwietnia 1917 r. ruszył pociąg wiozący 32 działaczy rewolucyjnych, w tym 19 bolszewików. Przejechawszy przez Niemcy do Sassnitz, udali się stamtąd przez Szwecję do Piotrogradu.

Natychmiast po powrocie do Rosji Lenin przystąpił do działania. 17 kwietnia 1917 r., dwukrotnie na zebraniu bolszewików i mienszewików przedstawił tezy „*O zadaniach proletariatu w obecnej rewolucji*”. A oto tezy Lenina:

1. Wojna, która się toczy „...ze strony Rosji również przy nowym rządzie Lwowa i *ski* pozostaje bezwarunkowo wojną grabieżczą, imperialistyczną ze względu na kapitalistyczny charakter tego rządu (...) bez obalenia kapitału nie można zakończyć wojny prawdziwie demokratycznym, nie narzuconym przemocą pokojem”.

2. „Swoistość chwili bieżącej w Rosji polega na przechodzeniu od pierwszego etapu rewolucji, który na skutek niedostatecznego uświadomienia i zorganizowania proletariatu dał władzę burżuazji, do drugiego jej etapu, który powinien oddać władzę w ręce proletariatu i najbiedniejszych warstw chłopstwa”.

3. „Zadnego poparcia Rządowi Tymczasowemu, wyjaśnianie całkowitej kłamliwości wszystkich jego obietnic, zwłaszcza jeśli chodzi o obietnicę wyrzeczenia się aneksji”.

4. Wyjaśniać masom i głosić „(...) konieczność przejścia całej władzy państwowej w ręce rad delegatów robotniczych”.

5. „Nie republika parlamentarna - powrót do niej od rad delegatów robotniczych byłby krokiem wstecz - lecz republika rad delegatów robotniczych, parobczańskich i chłopskich w całym kraju, od dołu do góry”.

6. „(...) konfiskata wszystkich ziem obszarniczych. Nacjonalizacja całej ziemi w kraju”.

7. Utworzenie jednego banku ogólnonarodowego pod kontrolą rad.

8. (...)

9. Zmiana programu partii i nazwy partii z socjaldemokratycznej na komunistyczną.

10. Odnowienie Międzynarodówki.

Program ten znaczna większość współczesnych uważała za nieżyciowy i fantastyczny. Lecz już w pół roku później wszedł on w Rosji w stadium realizacji.

Kwietniowe tezy Lenina poparła VII Ogólnorosyjska Konferencja bolszewików. Obradowało 133 delegatów, reprezentujących 80 tys. członków.

Krucha pozycja Rządu Tymczasowego słabła coraz wyraźniej. Rozdzźwięk pomiędzy rządem a narodem był coraz ostrzejszy, a pogłębiało go jeszcze hasło kontynuowania wojny. Pod naciskiem Rady Delegatów Robotniczych Milukow złożył deklarację, iż Rosja wyrze-

ka się aneksji obcych terytoriów, ale jednocześnie kierował do rządów państw Koalicji „notę wyjaśniającą”, iż „cały naród pragnie prowadzić wojnę światową aż do stanowczego zwycięstwa i że Rząd Tymczasowy zamierza przestrzegać ściśle zobowiązań zaciągniętych wobec naszych sprzymierzeńców”. Stanowisko Milukowa wywołało oburzenie szerokich kół społeczeństwa. W piśmie „Nowaja Żyzń” ukazał się artykuł z trafną uwagą, że wobec pogroźek Milukowa rządy Państw Centralnych będą mogły mocniej trzymać w korbach proletariat niemiecki i austriacki. Protestem przeciwko imperializmowi Rządu Tymczasowego były wielkie manifestacje robotnicze na ulicach Piotrogradu w dniach 3 i 4 maja 1917 r. Pod wpływem tych demonstracji ustąpili z rządu najbardziej skompromitowani ministrowie - Milukow piastujący tekę ministra spraw zagranicznych i Gucznow mający w swej gestii wojnę i marynarkę. W ukonstytuowanym w dniu 18 maja 1917 r. nowym rządzie w dalszym ciągu pod prezesurą księcia Lwowa, z lekko wzmocnionymi wpływami lewicowymi, wysunął się na czoło Aleksandr Kiereński, złożył tekę sprawiedliwości i objął tekę wojny. Na fotelu ministra spraw zagranicznych zasiadł wielki właściciel ziemski i przemysłowiec cukrowniczy Michaił Tereszczenko, mniej jaskrawie przejawiający tendencje imperialistyczne.

Nowy rząd nadal stał na stanowisku, że Rosja zdecydowanie prowadzi wojnę. Ta postawa rządu Lwowa wynikała m.in. z faktu, że wielką burżuazję rosyjską łączyły silne więzy z kapitałem francuskim i angielskim.

Podczas wojny więzy te uległy zacieśnieniu. W swych zachodnich sprzymierzeńcach burżuazja rosyjska upatrywała oparcia i pomocy przeciwko ruchom rewolucyjnym w kraju. Spodziewała się, że powodzenia wojenne umocnią jej władzę, pozwolą na rozwiązanie Rad Robotniczych i Żołnierskich, na zdławienie bolszewików pod zarzutem rozkładu wniesionego w szeregi armii.

Taka była geneza ofensywy, podjętej 1 lipca 1917 r., zwanej ofensywą Kiereńskiego. Przygotowaniem wojskowym kierował Aleksiej Brusilow, przygotowaniem propagandowym zajął się minister wojny. Kiereński, świetny mówca, odwiedzał żołnierzy na froncie i wygłaszał płomienne mowy; wołał, że „ojczyzna w niebezpieczeństwie”, pokrzykiwał o „rosyjskim Valmy”, marzyły mu się laury Dantona. Nic z tego nie wynikło. Żołnierze uważali, że skoro Rosja wyrzeka się aneksji i odszkodowań, kontynuowanie walki nie ma sensu.

1 lipca 1917 r. ruszyli Rosjanie do ataku w Galicji Wschodniej, celem był Lwów i zagłębienie naftowe Borysław - Drohobycz. Sam Kiereński był podobno w pierwszej linii okopów z rewolwerem w ręku. Atak poszedł na froncie szerokości około 70 km. Podczas pierwszych 10 dni ofensywy posunęli się Rosjanie 40 do 50 km naprzód, ale już 10 lipca ofensywa utknęła. 12 lipca Austriacy i Niemcy przystąpili do kontrofensywy i w ciągu trzech dni wyparli Rosjan z Galicji Wschodniej. Armia rosyjska cofała się szybko, żołnierze odmawiali posłuszeństwa oficerom, 1 sierpnia 1917

r. w miejsce Brusilowa dowództwo objął generał Ławr Kornilow. Powiodło mu się przywrócić dyscyplinę w wojsku, ale częściowo tylko i na krótko.

Żołnierz rosyjski miał uwagę zwróconą ku wielkim przemianom społecznym; generalicja i część korpusu oficerskiego interesowała się bardziej walką o władzę niż służbą frontową.

Niepowodzenie ofensywy Kiereńskiego wzmogło w narodzie rosyjskim dążenia rewolucyjne i antywojenne.

W dniach 16 czerwca do 7 lipca 1917 r. w Piotrogradzie obradował I Ogólnorosyjski Zjazd Rad. Wybrano Ogólnorosyjski Centralny Komitet Wykonawczy Rad (WCIK). Przewagę mieli jeszcze eserowcy i mieniszewicy, toteż Zjazd większością głosów opowiedział się za dalszym prowadzeniem wojny.

Tymczasem 16 lipca 1917 r. odbyły się w Piotrogradzie demonstracje antyrządowe; zapoczątkowali je żołnierze 1 pułku karabinów maszynowych. Początkowo bolszewicy uważali, że sytuacja jeszcze nie dojrzała do rewolucji, że ani kraj, ani armia nie są jeszcze dostatecznie przygotowane, aby poprzeć rewolucyjny czyn stolicy; przedwczesne wystąpienie mogłoby więc tylko ułatwić rządowi rozbięcie czołówki ruchu rewolucyjnego. Wrzenie wszakże w masach robotniczych i żołnierskich było tak silne, że zahamowanie demonstracji okazało się sprawą niemożliwą. Nazajutrz, 17 lipca ponad 500 tys. robotników, żołnierzy i marynarzy floty bałtyckiej wyszło na ulice Piotrogradu z hasłem „władza dla rad”. Przeciwno demonstrantom rzucono oddziały



kozackie i uczniów szkół oficerskich. Posypały się represje. Zamknięto dziennik „Prawda”, główny organ partii bolszewickiej. Aresztowano wielu działaczy rewolucyjnych. Nie powiodło się aresztowanie Lenina, który zdołał zbiec do Finlandii.

Owe represje, owe rządy „żelaznej ręki” realizował czy próbował realizować nowy, od 21 lipca 1917 r., prezes Rządu Tymczasowego Aleksandr Kiereński. Centralny Komitet Wykonawczy Rad na żądanie eserowców i mienszewików, uznał gabinet Kiereńskiego za „rząd ocalenia rewolucji” i udzielił mu „nieograniczonych pełnomocnictw i nieograniczonej władzy”. Oznaczało to zerwanie z dotychczasową dwuwładzą (Rząd Tymczasowy - Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich), zaprowadzenie dyktatury i oddanie jej w nieudolne ręce Aleksandra Kiereńskiego.

Kiereński z rozmachem zabrał się do roboty. Dla przywrócenia dyscypliny w armii wznowił sądy polowe i karę śmierci, przywrócił wojenną cenzurę prewencyjną. Lenin pisał wówczas: „Przełom 4 lipca na tym właśnie polega, że po nim obiektywna sytuacja zmieniła się gwałtownie. Zakończył się stan chwiejności władzy; władza na decydującym odcinku przeszła w ręce kontrrewolucji”.

Sytuacja zaostrzała się, obie strony - rewolucja i kontrrewolucja - zwierzały szeregi. W dniach od 8 do 18 sierpnia 1917 r. w Piotrogradzie, bez zezwolenia władz, obradował Zjazd partii bolszewickiej, kierował nim zdalnie W. Lenin. Główny referat polityczny wygłosił J. Stalin. Wskazał, że skończył się pokojowy

okres rewolucji, że należy obalić Rząd Tymczasowy. Zarazem Stalin zreferował tezę Lenina o możliwości zwycięstwa socjalizmu początkowo w jednym tylko kraju. Poważne znaczenie miała rezolucja o sytuacji gospodarczej kraju; uznano, że Rosja stoi w obliczu katastrofy gospodarczej, można jej uniknąć tylko przez zawarcie pokoju i objęcie władzy przez proletariat.

W tych warunkach burżuazja podjęła próbę powstrzymania czy stłumienia rewolucji. Rząd Kiereńskiego, pomimo swych poczynań kontrrewolucyjnych, nie wydał się narzędziem dogodnym do tego celu. Dążono do dyktatury wojskowej i szukano odpowiedniego człowieka, szukano rosyjskiego Bonapartego. Wybór był niełatwy, padł ostatecznie na generała Ławra Kornilowa. Był to człowiek energiczny i doświadczony.

7 września 1917 r. Kornilow na czele III Korpusu kawalerii i tzw. dzikiej dywizji kaukaskiej ruszył na Piotrogród. Cztery dni przedtem, 3 września, Niemcy zajęli Rygę. Były przypuszczenia, że dowództwo rosyjskie ułatwiło Niemcom tę operację, aby wywołać zaniepokojenie w stolicy i zdobyć w ten sposób lepsze warunki działania. Akcja Kornilowa tylko z pozoru była atakiem na Rząd Tymczasowy. Kornilow chciał stać osobiście na czele rządu i ogłosić dyktaturę. Faktycznie było to uderzenie w rewolucję. Tak sprawę ujął Lenin. Partia bolszewicka wezwała robotników do wystąpienia nie w obronie Rządu Tymczasowego, lecz do walki przeciwko dyktaturze. Zamach generała Kornilowa zakończył się klęską kontrrewolucji. Zwycięzcą formalnym był rząd Kiereńskiego, faktycznym proleta-

riat stolicy, kierowany przez bolszewików. 14 września 1917 r. generał został aresztowany.

Zamach Kornilowa zaostriżył sytuację i przyspieszył rozwój wypadków. Obiektywne przyczyny i bez tego wszakże posuwały sprawę rewolucji naprzód.

„Rosji grozi nieuchronna katastrofa - pisał Lenin w połowie września 1917 r. - Dezorganizacja transportu kolejowego jest nie do opisania i wzmacnia się coraz bardziej. Staną koleje. Ustanie dowóz surowca i węgla do fabryk. Ustanie dowóz zboża”. Kraj przeżywał istotnie głęboki kryzys.

Stanęło wiele fabryk, robotnicy tracili pracę. Brakło żywności i opału. W sierpniu 1917 r. codzienną rację chleba w Piotrogradzie i w Moskwie zmniejszono do 200 gramów. Siłę nabywczą pieniądza przeszło dziesięciokrotnie obniżyła inflacja, drukowanie rubli papierkowych bez pokrycia, tzw. kierenek. Było to mocne uderzenie w ludzi pracy, a jednocześnie wielka premia dla wszelkiego rodzaju spekulantów. Realna wartość płacy robotnika w 1917 r. w porównaniu z 1913 r. spadła przeszło o połowę. Zdumiewające zaślepienie burżuazji kazało jej spodziewać się, że głód i bezrobocie osłabią klasę robotniczą. Przemysłowiec Paweł Riabuszyński głosił nawet, że „koścista ręka głodu” stłumi, zgniecie rewolucję.

Tymczasem bolszewicy zdobywali coraz większe wpływy wśród mas pracujących. We wrześniu mieli już większość w Radzie Delegatów Robotniczych i Żołnierskich w stolicy i w większych miastach kraju. Za programem bolszewickim opowiadali się coraz liczniej

chłopi. Pozyskano żołnierzy i marynarzy. 12 września 1917 r. Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich w Piotrogradzie na wniosek bolszewików powzięła rezolucję żądającą oddania Radom władzy w państwie. Uchwały podobnej treści powzięto w niedługim czasie w Moskwie i w innych głównych ośrodkach w kraju.

27 września 1917 r. Lenin pisał: „Uzyskawszy większość w obu stołecznych radach delegatów robotniczych i żołnierskich, bolszewicy mogą i powinni wziąć władzę państwową w swoje ręce.

Mogą, albowiem aktywna większość rewolucyjnych elementów ludu obydwu stolic jest wystarczająca, aby porwać masy, pokonać opór nieprzyjaciela, rozbić go, zdobyć władzę i utrzymać ją. Albowiem proponując natychmiast demokratyczny pokój, oddając natychmiast ziemię chłopom, przywracając demokratyczne instytucje i swobody, zdeptane i rozbite przez Kiereńskiego, bolszewicy utworzą taki rząd, którego nikt nie obali.

Większość ludu jest za nami. (...)

Dla bolszewików czekanie na «formalną» większość byłoby naiwnością: żadna rewolucja na to nie czeka”.

20 października Lenin wrócił nielegalnie z Wyborga do Piotrogradu, a w trzy dni później, 23 października, wygłosił referat o sytuacji na posiedzeniu Komitetu Centralnego partii bolszewickiej. Stwierdził, że w lipcu 1917 r. sytuacja nie dojrzała jeszcze do wybuchu, gdyż bolszewicy nie mieli za sobą większości, ale od tego czasu wzrosli w siły i zdobyli w masach większość.

Zgłoszona przez Lenina rezolucja głosiła, że „powstanie zbrojne jest nieuniknione i że całkowicie dojrzało”. Rezolucję Komitet przyjął 10 głosami przeciwko dwóm. 25 października Komitet Wykonawczy Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich w Piotrogradzie wyłonił Komitet Wojskowo–Rewolucyjny, dowództwo rewolucji.

Wypadki potoczyły się teraz szybko. Kiereński zdawał sobie sprawę z przygotowań powstańczych bolszewików. Nie ośmielił się wszakże wszcząć przeciwko nim represji. Zapewniał jednak ambasadora brytyjskiego, że dopiero próba zamachu bolszewickiego pozwoli mu działać energicznie.

A tymczasem wybiła godzina zamachu. W nocy z 6 na 7 listopada 1917 r. bolszewicy opanowali węzłowe punkty stolicy - telegraf, elektrownię, gazownię, dworce kolejowe, magazyny zboża, węgla i nafty, bank państwa, mosty na Newie, Twierdzę Pietropawłowską. W obronie rządu Kiereńskiego wystąpili tylko uczniowie szkoły oficerskiej. Wojsko nie chciało walczyć po stronie niepopularnego, nieudolnego, skazanego na nieuchronny upadek Rządu Tymczasowego. Ministrowie zostali aresztowani w Pałacu Zimowym. Kiereński w kilka dni później, 14 listopada, w przebraniu ratował się ucieczką.

7 listopada 1917 r. w Instytucie Smolnym w Piotrogradzie rozpoczął obrady II Wszechrosyjski Zjazd Rad Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Uchwała Zjazdu brzmiała: „Opierając się na woli ogromnej większości robotników, żołnierzy i chłopów, opierając

się na dokonanym w Piotrogradzie zwycięskim powstaniu robotników i garnizonu, zjazd ujmuje władzę w swoje ręce”. Tego samego dnia Zjazd powołał pierwszy rząd radziecki - Radę Komisarzy Ludowych. Przewodniczącym został Włodzimierz Lenin.

Nazajutrz, 8 listopada, Zjazd uchwalił dekret o pokoju. „Rząd Rosji - brzmiały słowa dekretu - proponuje wszystkim walczącym narodom niezwłoczne zawarcie takiego pokoju (tj. pokoju bez aneksji i bez odszkodowań) i wyraża zarazem gotowość poczynienia natychmiast, bez najmniejszej zwłoki, wszystkich decydujących kroków, aż do ostatecznego zatwierdzenia wszystkich warunków takiego pokoju przez pełnomocne zgromadzenia przedstawicieli ludu wszystkich krajów i wszystkich narodów. (...) Jeżeli jakikolwiek naród jest utrzymywany w granicach danego państwa przemocą, jeżeli wbrew wyrażonemu przenień pragnieniu (...) nie udziela mu się prawa, by w swobodnym głosowaniu, po całkowitym wyprowadzeniu wojsk narodu przyłączającego lub w ogóle silniejszego, bez najmniejszego przymusu rozstrzygnął sprawę form swego bytu państwowego - to jego przyłączenie jest aneksją, tj. zaborem i aktem przemocy”.

## **81. Program Wielkiej Brytanii**

17 lipca 1917 r. król Jerzy V oznajmił na posiedzeniu Rady Tajnej, że dynastia królewska - dom sasko-kobursko-gotajski - nosić będzie odtąd nazwę Windsor i składa wszelkie godności i tytuły niemieckie.

Sława zamku Windsor sięga odległych czasów i przywodzi na pamięć dawne rodziny królewskie; z Windsorem związali się Plantagenetowie, spoczywają tam Tudorowie i Stuartowie, jak również i Hanowerczyki, królowa Wiktoria i Edward VII. Przybierając to nazwisko tak bardzo angielskie, tak bardzo budzące wspomnienia dawnej chwały królestwa Wielkiej Brytanii Jerzy V zaspokoił pragnienia angielskiej opinii publicznej. Od pierwszych miesięcy wojny podnosiły się liczne głosy niezadowolenia, że książęta angielskiego domu królewskiego noszą tytuły i godności niemieckie.

Było to lato roku 1917, opinia publiczna w Anglii była podniecona i zaniepokojona akcją niemieckich łodzi podwodnych i Anglicy nierzadko dawali się ponieść rozdrażnieniu i zwracali je przeciwko Niemcom. Nie znaczy to wszakże, aby powszechna była w Anglii wola prowadzenia wojny aż do zupełnego zniszczenia Niemiec.

*Attaché* wojskowy francuski w Londynie generał de la Panouse wysłał 25 września 1917 r. do ministra wojny obszerny raport zatytułowany „Opinia angielska a wojna”. Czytamy tam: „Opinię publiczną angielską poruszają rozmaite uczucia. Są to pogłoski o pokoju, tendencyjne wiadomości z Niemiec, odpowiedzi Państw Centralnych na notę papieską, komunikaty oficjalne i rezultaty nowej ofensywy Sir Douglasa Haiga, wszystko to powoduje ustawiczny przyływ i odpływ i utrudnia właściwą ocenę uczuć narodu. Nie ulega wątpliwości, że ogromna większość Anglików myśli

w skrytości, iż we wszystkich krajach ludność jest znużona wojną i że w owych notach, czasami sprzecznych, należy upatrywać początku rokowań pokojowych”.

Zdaniem generała Anglicy sądzą, że nie można brać już dosłownie tego, co się mówiło o konieczności „zmiażdżenia” militarystyki pruskiej. Spodziewają się natomiast, że nawet w Niemczech militarystyka utraci znaczenie, a to gdy Niemcy przekonają się, iż nadzieje, którymi ich karmiono dotąd, są niemożliwe do zrealizowania. Gdy zrozumieją, że bezużyteczne są ich wysiłki, ich poświęcenie, zapragną zmienić ustrój w kierunku konstytucyjnym i demokratycznym, i przystąpią do rokowań o pokój. Ale przy tym Anglicy rozumieją konieczność kontynuowania, a nawet wzmożenia wysiłku wojennego, zwłaszcza z udziałem Amerykanów. Generał dostrzegł również pomyślną z francuskiego punktu widzenia zmianę w poglądach Anglików na sprawę Alzacji i Lotaryngii, nie widzą już tu zaborczości francuskiej. Prasa angielska przyznaje, że powrót dwóch starych prowincji francuskich do Francji powinien być jednym z celów wojennych Wielkiej Brytanii. Z takimi poglądami spotkać się można również w kołach robotniczych. „I - kończył generał - to jest jedyny pozytywny rezultat ostatnich międzynarodowych zjazdów robotniczych”.

Interesujące i dla mentalności anglosaskiej charakterystyczne były poglądy szerzące się w kołach liberalnych; wielu mianowicie liberałów pragnęło, aby wojna zakończyła się bez sukcesu bijącego w oczy, aby kres wojnie położyła blokada Niemiec, a nie zwycięstwo



militarne, zwycięstwo militarne bowiem wzmocniłoby w Anglii prądy reakcyjne i wywarłoby trwałe wpływy na stosunki wewnętrzne w kraju.

Nie mniej interesujące były nastroje klasy robotniczej; powstawały na tle znużenia wojną, drożyzny, niezadowolenia budzącego się na widok ogromnych zysków przedsiębiorców zbrojeniowych. Wśród działaczy związków zawodowych krzewiła się nadzieja, że koniec roku przyniesie zakończenie wojny, a zatem uważali oni kwestię warunków pokoju za bardzo ważną. Popierali zamierzenia aneksyjne dominiów brytyjskich: a więc Związek Południowej Afryki powinien otrzymać terytorium Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej, Australia zaś posiadłości niemieckie na Oceanie Spokojnym. Wprawdzie nie mają one wartości gospodarczej, ale mogłyby służyć za bazę dla niemieckich łodzi podwodnych. Działacze związków zawodowych poczytują za słuszne i popierają dążenia francuskie do odzyskania Alzacji i Lotaryngii, potępiają natomiast zakusy włoskie na zdobycze w Azji Mniejszej. Zdaniem obserwatorów francuskich w brytyjskich związkach zawodowych (*Trade Unionach*) górują w tym czasie tendencje umiarkowane i patriotyczne.

Takie tendencje „umiarkowane, patriotyczne” należało podtrzymywać, należało wzmocniać. Służyć miały temu zapewnienia, że Wielka Brytania nie knuje żadnych zamysłów zaborczych, 7 listopada 1917 r. w Izbie Gmin zabrał głos sekretarz stanu w *Foreign Office* Sir Arthur James Balfour i w odpowiedzi na interpelację poselską zapewnił słuchaczy, że Wielka Brytania

nie zmieniła swych celów wojennych i że nie mają one nic wspólnego z imperializmem. „Czyż imperializmem jest życzyć sobie, aby Polska była niepodległa? Czyż imperializmem jest pragnąć, aby Armenia wyzwoliła się spod rządów tureckich albo chcieć ujrzeć, żeby Francja odzyskała Alzację i Lotaryngię?”

Pierwszy to raz w dziejach, w każdym razie pierwszy raz po roku 1863 sekretarz stanu Jego Królewskiej Mości mówił publicznie o niepodległości Polski jako o życzeniu Wielkiej Brytanii. Cóż, był to tylko frazes retoryczny!

Takie panowały nastroje nad Tamizą, gdy 29 listopada 1917 r. dziennik „Daily Telegraph” ogłosił artykuł Lorda Lansdowne’a o pokoju kompromisowym. Artykuł pierwotnie miał być opublikowany w dzienniku „Times”, gdzie go wszakże odrzucono. Autorem był wybitny polityk konserwatywny markiz Henry Charles Keith Petty–Fitzmaurice Lansdowne, w latach 1900–1906 sekretarz stanu w *Foreign Office*, wraz z Teophilem Delcassé budowniczy *Entente cordiale*. Lord Lansdowne wypowiedział pogląd, że strony walczące powinny się porozumieć co do pokoju kompromisowego na umiarkowanych warunkach. Twierdził, że narodowi niemieckiemu dodałoby bodźca do wkroczenia na drogę pokojową przekonanie, iż przeciwnik nie chce zniszczyć Niemiec jako mocarstwa, nie chce zrujnować handlu niemieckiego, nie chce narzucić Niemcom żadnych form ustrojowych. Autor był przeświadczony, że zwycięstwo militarne Koalicji nie jest sprawą możliwą.

Nastroje pesymistyczne, tendencje pokojowe szerzące się w społeczeństwie, niepokojem napawały zwolenników prowadzenia wojny do pełnego zwycięstwa. Gabinet Lloyd George'a był zaalarmowany. 4 sierpnia 1917 r., w trzecią rocznicę przystąpienia Wielkiej Brytanii do wojny, zawiązał się *National War Aims Committee* (Komitet Narodowych Celów Wojennych). Do prezydium weszli Lloyd George, liberał Asquith, konserwatysta Andrew Bonar Law i działacz Labour Party Alfred Barnes. Cel Komitetu tak ustalono: „wzmocnić morale narodu i skonsolidować narodowe cele wojenne wytyczone przez rząd i zaaprobowane przez ogromną większość narodu”. Komitet miał się przeciwstawić „zdradzieckiej i zwodniczej” (*insidious and specious*) propagandzie publikacji pacyfistycznych, uwydatnić korzyści gospodarcze zwycięstwa, uświadomić każdego robotnika o jego osobistej odpowiedzialności za wysiłek wojenny i wreszcie przytłumić wszelkie manifestacje klasowe i walki partyjne. Komitet organizował wiece i dostarczał, zwłaszcza zakładom pracy; odpowiedniej literatury propagandowej.

Kwestia przedstawienia opinii publicznej celów wojennych Wielkiej Brytanii w sposób zrozumiały dla wszystkich i dla wszystkich przekonujący i do przyjęcia miała kapitalne znaczenie. Łatwiej było mówić o celach wojennych we Francji: wyparcie wroga z ojczyzny, odzyskanie Alzacji i Lotaryngii, to przemawiało do serca i do rozumu każdego Francuza. W Wielkiej Brytanii sprawa nie wyglądała tak prosto. Trudną tę sprawę podjął Lloyd George. Uważał on, że zna psy-

chikę ludu i będzie umiał przemówić. Pierwszy minister był pełen niepokoju. Obserwując działania wojenne na froncie zachodnim w 1917 r. nabrał przekonania, że wojna potrwać może jeszcze długo i może naród angielski tak wykrwawić, że zagrozi to światowej potędze Wielkiej Brytanii. Troski rządowi państw Koalicji przysparzał rozwój wypadków w Rosji. Fatalne wrażenie w opinii publicznej wywarło opublikowanie przez nowy rząd rosyjski tajnych układów rządu carskiego z rządami państw zachodnich. Układów odsłaniających daleko idące, zaborcze niewątpliwie plany Koalicji. Należało podjąć kontratak. Lloyd George doszedł do przekonania, że Wielka Brytania weszła w najbardziej krytyczny, najtrudniejszy okres wojny, a w tych warunkach propaganda pacyfistyczna może osłabić morale narodu.

Takie było tło, taka była geneza mowy pierwszego ministra do przedstawicieli *Trade Unionów* w dniu 5 stycznia 1918 r. Wystąpienie premiera poprzedziły rozmowy z przedstawicielami związków zawodowych, z zadowoleniem stwierdził Lloyd George, że poglądy związków zawodowych na cele wojenne nie odbiegały od poglądów rządu. „To ułatwiło mi zadanie” - pisał.

5 stycznia 1918 r. pierwszy minister Jego Królewskiej Mości stanął w Caxton Hall przed przybyłymi na zjazd delegatami *Trade Unionów* i złożył doniosłe oświadczenie. Mowa - jak wiele mów Lloyd George'a - była zręczna i mogła zrobić wrażenie na delegatach robotniczych. „Gdy rząd - tymi słowy rozpoczął premier swe przemówienie - wzywa ludzi pracy w kraju do

działań dla utrzymania siły armii w polu”, mają oni prawo żądać wyjaśnienia celów tego wysiłku. A więc najpierw trzeba stwierdzić, że Wielka Brytania nie prowadzi wojny agresywnej przeciwko narodowi niemieckiemu. Celem Wielkiej Brytanii nie było nigdy „zniszczenie ani rozbicie” Niemiec, Wielka Brytania toczy wojnę obronną, wojnę w obronie pogwałconego w Europie prawa, ale nie dąży do podważenia roli Niemiec w świecie, ani do rozbicia Austro–Węgier, ani do pozbawienia Turcji jej stolicy czy też tureckich terytoriów w Azji Mniejszej i w Tracji. Anglicy nie zamierzają ani obalić, ani zmienić konstytucji cesarstwa niemieckiego, chociaż „ustrój militarny, autokratyczny jest w wieku XX niebezpiecznym anachronizmem”. Gdyby Niemcy nadały sobie konstytucję rzeczywiście demokratyczną, byłoby to dowodem, że naród niemiecki wyzbył się chęci „dominacji militarnej” nad światem i ułatwiłoby to zawarcie „szerokiego demokratycznego pokoju”. Ale o tym musi decydować naród niemiecki. Premier ubolewał, że Państwa Centralne nie ogłosiły dotąd swych celów wojennych; wynurzenia w tej mierze ich mężów stanu uznał za „żałośnie niejasne” (*deplorably vague*). Interesował go los Belgii, Serbii, Czarnogóry, Rumunii, niepokoił się w związku z tym, że w rozumieniu niemieckim istnieje różnica pomiędzy „niezależnością wielkiego narodu i niższego rodzaju niezależnością narodu małego”. Takie poglądy Lloyd George potępił surowo u Niemców, ale świecie wierzył w ich słuszność, gdy w rok później na paryskiej konferencji pokojowej decydował czy współdecydował

o granicach zachodnich Polski, o losach Węgrów, Rumunów, Greków, Serbów, Bułgarów, Turków, Arabów, Ormian. Niepospolity Walijczyk miał - jak trafnie powiedział R. Dmowski - zasady mocne, ale co dzień inne. Lloyd George w styczniu 1918 r. przekonywał robotników angielskich, „że dawno minęły czasy kongresu wiedeńskiego. Przyszłości cywilizacji europejskiej nie możemy poddać pod arbitralne decyzje kilku negocjatorów usiłujących szykanami lub perswazją, zagwarantować interesy tej czy innej dynastii, tego czy innego narodu. Ukształtowanie nowej Europy musi się opierać na podstawie rozsądku i sprawiedliwości, i musi zapowiadać trwałość”. Ten ustęp mowy Lloyd George’a, podobnie jak i poprzedni, należało podać w tłumaczeniu dosłownym, gdyż czytelnik wszelką parafrazę musiałby poczytać za złośliwą insynuację.

Pierwszy warunek pokoju - według Lloyd George’a - to pełna niepodległość Belgii: „polityczna, terytorialna i gospodarcza”, wraz z odszkodowaniem za zniszczenie kraju. Nie będzie to kontrybucja, jak ta, którą Niemcy nałożyły na Francję w 1871 r., lecz sprawiedliwe wynagrodzenie za wyrządzone straty. Obce wojska muszą się wycofać z Francji, Włoch, Rumunii, Serbii, Czarnogóry. Wielka Brytania stanie aż „do śmierci” po stronie demokracji francuskiej w jej żądaniu restytucji Alzacji i Lotaryngii.

W następnych wywodach premier zwrócił się ku Rosji i skierował pod jej adresem ostrzeżenie - Prusy nie zwrócą Rosji ani piędzi zajętej ziemi; pod taką czy inną nazwą okupowane prowincje rosyjskie pozostawać

będą pod władzą pruską; rządzić nimi będzie „miecz pruski w interesie pruskiej autokracji”. Rosji grozi uzależnienie gospodarcze, a w konsekwencji i polityczne od Niemiec. Gdyby wszakże Rosja przeciwstawiła się temu niebezpieczeństwu, „będziemy dumni walcząc ramię w ramię z nową demokracją rosyjską; podobnie chcą Stany Zjednoczone, podobnie chce Francja, podobnie chcą 626 Włochy. Jeśli jednak obecni władcy Rosji podejmą działania niezależne od Sprzymierzonych, nie mamy możliwości interwencji, aby zapobiec katastrofie, która na pewno grozi ich krajowi. Rosję uratować może tylko jej własny naród”.

Lloyd George przemawiał do zgromadzonych w Caxton Hall przedstawicieli robotników angielskich, ale w ostatnich zdaniach zwracał się wyraźnie do rosyjskiego rządu rewolucyjnego. Jeśli Rosja zechce walczyć przeciwko Niemcom, otrzyma pomoc Koalicji, jeśli nie zechce, osamotniona stanie przed katastrofą. Lloyd George był to polityk wytrawny i doświadczony, ale nie rozumiał zupełnie, że słowa jego nie mogą wywrzeć najmniejszego wpływu na politykę nowego rządu rosyjskiego. Lenin przecież wskazywał wyraźnie, że dla uratowania rewolucji zawarcie pokoju jest sprawą pilną i niezbędną nawet za cenę najcięższych ofiar. Zresztą przywódcy rosyjscy byli przeświadczeni, że w najbliższym czasie rewolucja zwycięży w świecie, a w każdym razie w Europie Środkowej i Zachodniej; kontynuowanie wojny byłoby więc niedorzecznością.

W każdym razie słowa Lloyd George’a miały utrudnić toczące się właśnie rokowania w Brześciu.

Znamienna była też dyskretna aluzja do porozumienia z Niemcami.

Bezpośrednio po ofercie skierowanej do Rosji pierwszy minister J.K. Mości zajął się Polską. „Sądzimy - mówił - że Polska niepodległa, obejmująca wszystkie żywoły rdzennie polskie, które życzą sobie wejść w jej skład, stanowi pilną konieczność dla trwałości stosunków w Europie Zachodniej”.

Miało swoją wymowę, że Lloyd George ustęp o Polsce związał tylko ze sprawą rosyjską; nie wspominał o zjednoczeniu Polski, jeśli rozumiał, co mówi o naszym kraju, miał na myśli tylko Królestwo Polskie, o niepodległości takiej Polski mógł mówić śmiało, gdyż powiedzieli to już przed nim trzej zaborcy.

Rząd J.K. Mości - wywodził dalej Lloyd George - zgadza się z prezydentem Wilsonem, że rozbicie Austro-Węgier nie jest celem wojennym Koalicji; należy wszakże narodowościom monarchii, które od dawna tego sobie życzą, zapewnić „rzeczywisty samorząd oparty na zasadach prawdziwie demokratycznych”. Trzeba również zaspokoić dążenia Włochów i Rumunów. Jeśli Austro-Węgry spełnią te postulaty, będą mocarstwem, którego „siła będzie się przyczyniała do pokoju i wolności w Europie i nie będą narzędziem zgubnej wojskowej autokracji Prus”.

Te same zasady - zdaniem Lloyd George'a - należy zastosować i do krajów leżących poza Europą. Wielka Brytania nie zamierza pozbawić Turków ani Konstantynopola, ani ziem przez nich zamieszkałych, wszelako Cieśniny muszą być umiędzynarodowione. W sprawie



Arabii, Mezopotamii, Syrii i Palestyny premier zastosował zwrot umyślnie niejasny i wieloznaczny. Kraje te „mają prawo do uznania ich odrębnych warunków narodowych”.

O losie kolonii niemieckich zadecyduje konferencja pokojowa; jej postanowienia będą brały pod uwagę „życzenia i interesy tubylców”. Zapowiedź to niejasna i wieloznaczna. Ale może pojawiła się tu już myśl utworzenia tzw. mandatów na wzór tych, które powstały po wojnie pod auspicjami Ligi Narodów. Mieszkańcy bowiem kolonii niemieckich powinni się znaleźć pod zarządem „do przyjęcia przez nich samych, którego głównym celem będzie zapobiec ich eksploataowaniu w interesie europejskich kapitalistów lub rządów”.

Reasumując premier wołał: „Walczymy o pokój sprawiedliwy i trwały”. Aby taki pokój się urzeczywistnił muszą być spełnione trzy postulaty: 1) musi być przywrócona świętość traktatów, 2) granice pomiędzy państwami muszą się opierać na „prawie samostanowienia lub zgody rządzonych”, 3) powstać powinna organizacja międzynarodowa, która wpłynie na ograniczenie zbrojeń i zmniejszy możliwość wybuchu wojny.

Tyle Lloyd George w Caxton Hall.

Mowa premiera nie zawierała konkretnego programu, zawierała jedynie ogólniki, czemu zresztą trudno się dziwić. Była posunięciem w grze politycznej, w grze taktycznej zarówno na arenie międzynarodowej, jak i na forum krajowym. Premier brytyjski składał ukłon w kierunku Waszyngtonu, frazeologia jego wywodów miała wyrzeć przyjazny oddźwięk u prezy-

denta Wilsona. Niemców zapewniał, że nie dąży do rozbicia i zniszczenia cesarstwa niemieckiego. Pierwszy minister Jego Królewskiej Mości zwracał się do bolszewików, przestrzegał ich przed imperializmem niemieckim, obiecywał współdziałanie i pomoc. Szef rządu koalicyjnego przemawiał do robotników, przekonywał ich, że nie zaborczość, nie imperializm, lecz szczytne ideały sprawiedliwości kierują polityką Wielkiej Brytanii, że dąży ona jedynie do pokoju sprawiedliwego, do pokoju trwałego.

A jednak uważny czytelnik wyłuska z mowy Lloyd George'a trochę danych co do istotnych celów wojennych Wielkiej Brytanii. Jej rząd chciał widzieć w Europie równowagę sił, nie dążył do zaborów na kontynencie europejskim, ale planował powiększenie imperialnego stanu posiadania w Arabii i Mezopotamii, a także kosztem kolonii niemieckich, a to za pomocą aneksji pośrednich.

Lloyd George był z siebie i swego poczucia sprawiedliwości bardzo zadowolony. „Naród - pisał do Asquitha 5 stycznia zaraz po wygłoszeniu mowy - może iść teraz naprzód, zjednoczony, ku pokojowi lub ku wojnie, jak Niemcy będą chcieli”. W Paryżu przyjęto mowę Lloyd George'a z uczuciami mieszanymi. Zadowolenie wzbudził ustęp o Alzacji i Lotaryngii, zaniepokojenie wywołały wywody premiera brytyjskiego o uwzględnieniu życzeń i interesów ludności w krajach pozaeuropejskich. Mogło to bowiem zwrócić się przeciwko rządowi francuskiemu w Algierii i w Tunezji.

Francuzi rozumieli, że mowa Lloyd George'a była gestem skierowanym i ku nowym władcom Rosji, i ku Niemcom. I Niemcy, i Rosjanie wyciągniętą dłoń pierwszego ministra Jego Królewskiej Mości odtręci. Ale było sprawą widoczną, że Lloyd George chętnie wszcząłby rozmowy z Niemcami i poszedł wobec nich na ustępstwa w koloniach, a zwłaszcza w Europie Środkowej i Wschodniej.

Gdy mowa o brytyjskich celach wojennych nasuwa się interesujące pytanie, czy Anglicy byli kiedy gotowi do zawarcia z Rzeszą pokoju kompromisowego, który pozwoliłby Niemcom zatrzymać zdobycze na terenie dawnego imperium carów i zachować status quo ante 1914 rokiem za cenę utraty niektórych kolonii i przywrócenia niepodległości Belgii? Pytanie następne: gdyby rząd brytyjski chciał rzeczywiście poczynić kroki na drodze do kompromisu z Niemcami, czy mógłby uzyskać zgodę swych sprzymierzeńców? Sprawa wydaje się wątpliwa, sprzeciw podniósłby się natychmiast we Francji, weto postawiłby zapewne prezydent Stanów Zjednoczonych. Wilson wypowiadał się stanowczo przeciwko niemieckim aneksjom w Europie Wschodniej.

W każdym razie w brytyjskich kołach rządowych „najpoważniejszym, jeśli nie jedynym poważnym zwolennikiem” pokoju kompromisowego z Niemcami był Lloyd George.

Pokój w Brześciu, pokój w Bukareszcie i polityka imperializmu niemieckiego w Rosji, na Ukrainie, na Kaukazie wywołały zaniepokojenie w Londynie. Gdy

nadto lipiec i sierpień roku 1918 przyniosły zdecydowane klęski armii niemieckiej, gdy armie państw Koalicji parły zwycięsko naprzód na wszystkich frontach, można było porzucić myśli o pokoju kompromisowym.

13 sierpnia 1918 r. sekretarz stanu spraw zagranicznych Arthur Balfour na posiedzeniu Imperialnego Gabinetu Wojennego wypowiedział się za odbudową państwa rosyjskiego w jego granicach przedwojennych z wyłączeniem wszakże Polski. Nazajutrz, 14 sierpnia, oświadczył: „Złamanie traktatu brzeskiego musi być zasadniczym celem naszej polityki. To będzie najlepsza droga do usunięcia niebezpieczeństw na Bliskim Wschodzie”. Lloyd George zgodził się z poglądem Balfoura.

## **82. Program prezydenta Wilsona**

Thomas Woodrow Wilson pragnął zostać moralnym liderem Koalicji, a może i świata. Pchała go w tym kierunku ambicja osobista, chęć zapewnienia Stanom Zjednoczonym miejsca przodującego w świecie. Clemenceau powiadał o Wilsonie, że mówi jak Chrystus, działa jak Lloyd George. W Polsce Andrzej Niemojewski nazywał Wilsona - prezydent–imperator.

Jednym ze środków wiodących do celu mogło być ogłoszenie celów wojennych takich, jakie mogłyby zjednać opinię światową. Celów, które byłyby podstawą urzędzenia świata powojennego na zasadach wolności i demokracji. Sprawa wymagała starannego przemyślenia i poważnych studiów. Prezydent i jego doradcy z jednej strony, Departament Stanu z drugiej

od dłuższego czasu pracowali nad ustaleniem ogólnych zarysów planu urządzenia świata po wojnie i zapewnienia wpływów Stanom Zjednoczonym. Latem 1917 r. pułkownik House podsunął Wilsonowi myśl powołania komisji studiów nad przyszłym traktatem pokoju. Powstało więc wielkie kolegium złożone ze 150 z górami specjalistów z różnych dziedzin stosunków międzynarodowych, kolegium zwane w skrócie Inquiry.

Dnia 22 grudnia 1917 r. Inquiry przedstawiła memoriał o celach wojennych i o warunkach pokoju. Memoriał wskazywał, że należy dążyć do demokratyzacji Niemiec, wprowadzenia tam odpowiedzialności parlamentarnej ministrów, zwiększenia udziału w rządach żywołów południowo- i zachodniemieckich oraz przedstawicieli wielkich miast Prus. Należy następnie uniezależnić Austro-Węgry od Rzeszy.

Dość obszernie zajęto się w memoriale kwestią polską. Stwierdzano konieczność utworzenia „niepodległej i demokratycznej Polski”. Jej granice powinny być ustalone na podstawach zarówno narodowościowych, jak i gospodarczych. Musi ona otrzymać „odpowiedni” (adequate) dostęp do morza. O ustroju Polski powinien decydować naród polski przez swoich wybranych przedstawicieli. Kwestia polska jest najbardziej skomplikowana ze wszystkich problemów, które mają być rozwiązane. Całkowite zjednoczenie Polski jest niemożliwe bez oddzielenia Prus Wschodnich od Niemiec, to zaś leży prawdopodobnie poza możliwościami polityki praktycznej. Polska złożona z zaboru rosyjskiego i może austriackiego mogłaby przypuszczalnie

zapewnić sobie dostęp do morza Wisłą i kanałami niemieckimi do portów w Bremie i w Hamburgu. Takie rozwiązanie spowodowałoby uzależnienie gospodarcze Polski od Niemiec i utworzyłoby teren wielkich konfliktów. Jeśli Rosja będzie słaba, pozycja nowej Polski będzie bardzo eksponowana. Niemniej jednak eksperyment ten należy podjąć, ale trzeba od początku budować państwo polskie na podstawie demokratycznej. Jeśli tej zasady nie będzie się lojalnie przestrzegało, spory wewnętrzne pomiędzy Polakami, Rusinami i Żydami doprowadzą Polskę do zupełnej bezsiły w stosunku do Niemiec.

2 stycznia 1918 r. na biurku prezydenta znalazł się nowy memoriał Inquiry. Podane tu inne pomysły w sprawie polskiej. Autorzy memoriału uznali tym razem ‘za najlepsze rozwiązania sprawy polskiej albo włączenie Polski do demokratycznej federacji rosyjskiej, albo połączenie zaboru austriackiego i rosyjskiego w autonomiczny kraj monarchii habsburskiej. I to chyba wydało się autorom memoriału rozwiązaniem najbardziej pożądanym. Sądziли bowiem, że większość słowiańska złamałaby przewagę niemiecko–madziarską w monarchii naddunajskiej, wyzwoliłaby Czechów i Słowian południowych i przeobraziłaby monarchię w federację o przewadze słowiańskiej, to zaś doprowadziłoby ostatecznie do uniezależnienia Wiednia od Berlina.

Rzeczoznawcy Inquiry pracowali sumiennie, ale życie biegło naprzód i Wilson rozumiał, że musi przemówić do opinii publicznej Stanów Zjednoczonych

i świata, musi przedstawić własny program urządzenia świata w odpowiedzi na rewolucję rosyjską, w odpowiedzi na dążenia mocarstw europejskich.

Memoriał Inquiry z 22 grudnia 1917 r. wskazywał też na kierunek polityki względem Rosji. Należy mianowicie prowadzić usilną propagandę idei Ligi Narodów, należy wskazywać również, że Koalicja nie chce się opierać wyłącznie na sile.

3 stycznia 1918 r. ambasador amerykański w Rosji David R. Francis telegrafował do Waszyngtonu, że prezydent powinien powtórzyć publicznie „szlachetne słowa” swego orędzia do Senatu z 22 stycznia 1917 r. i zalecał powrót do formuły o „pokoju bez zwycięzców”, gdyż „zmęczony naród” rosyjski nie będzie walczył o zdobycze terytorialne, natomiast „być może”, iż Rosjanie walczyć zechcą o „pokój demokratyczny”.

Z podobnymi postulatami wystąpił w początku stycznia 1918 r. Edgar Sisson, przedstawiciel amerykańskiego Komitetu Informacji w Piotrogradzie. Sisson prosił telegraficznie, aby prezydent „raz jeszcze sprecyzował antyimperialistyczne cele wojenne Ameryki i jej demokratyczne postulaty pokojowe w krótkich, zwięzłych zdaniach”<sup>4</sup>. Orędzie Wilsona miało być odpowiedzią na rewolucję bolszewicką.

Istotnie, już wkrótce, 8 stycznia 1918 r., Kongres amerykański, a za nim cały świat usłyszał górnolotne hasła, zręcznie ujęte w Czternastu Punktach. Czternaście Punktów opracowało w końcu grudnia 1917 r. trzech członków Inquiry. W ostatniej chwili przed

ogłoszeniem w niektórych miejscach dokonano zmian dość istotnych.

Punkty Wilsona obejmowały sprawy ogólne: wskazanie zasad, na jakich ma się opierać życie międzynarodowe i kwestie szczegółowe dotyczące uregulowania granic i podstaw ustrojowych niektórych państw.

Propozycje dotyczące spraw ogólnych miały pozyskać sympatie i poklask liberalnej i demokratycznej opinii świata. Wilson domagał się więc „jawnych traktatów pokojowych, jawnie zawartych, po których nie będzie już żadnych tajnych porozumień międzynarodowych” (punkt 1); „zupełnej wolności żeglugi na morzach podczas pokoju i podczas wojny” (punkt 2); zniesienia wszelkich ograniczeń w handlu międzynarodowym (punkt 3); rozbrojenia (punkt 4); uregulowania spraw kolonialnych z przestrzeganiem zasady, że „interesy ludności miejscowej będą miały tę samą wagę, co słuszne roszczenia rządu, którego tytuł ma być przedmiotem decyzji” (punkt 5) i wreszcie utworzenie Ligi Narodów (punkt 14).

Ogólniki te mogły istotnie wywrzeć dodatnie wrażenie na opinii publicznej świata i nie budziły zastrzeżeń u rządów państw Koalicji z wyjątkiem punktu 2 o wolności żeglugi. Przeciwno temu punktowi protestować będzie rząd brytyjski. Protestu natomiast nie budziły frazesy o zniesieniu tajnej dyplomacji, doświadczeni i wytrawni politycy europejscy bowiem wiedzieli, że pozostaną one na papierze.



Sprawy szczegółowe rozpoczęła kwestia rosyjska. Punkt 6 głosił: „Ewakuacja całego terytorium rosyjskiego i takie urządzenie wszelkich spraw dotyczących Rosji, które by zapewniło najlepsze i najswobodniejsze współdziałanie innych narodów świata celem umożliwienia Rosji podjęcia bez przeszkód i bez skrepowania swobodnej decyzji co do własnego rozwoju oraz polityki narodowej, a także zapewnienie jej szczerze życzliwego przyjęcia wśród społeczności wolnych narodów, gdy wejdzie tam z tą formą rządów, jaką sama sobie wybierze. Zapewnienie jej więcej niż życzliwego przyjęcia, również pomocy, jaka tylko będzie jej potrzebna i jakiej będzie sama żądała”. Słowa te, podobnie jak wcześniejsze wystąpienie Lloyd George’a, miały utrudnić porozumienie pomiędzy Niemcami a Rosją. Belgia ma być ewakuowana i odbudowana w pełnej suwerenności (punkt 7). Ewakuowane mają być również zajęte terytoria francuskie i zwrócone Francji Alzacja i Lotaryngia (punkt 8). Włochy powinny uzyskać poprawki graniczne (punkt 9). Narody Austro–Węgier mają otrzymać autonomię (punkt 10). Rumunia, Serbia i Czarnogóra będą ewakuowane, Serbia uzyska dostęp do morza (punkt 11). Narody wchodzące w skład państwa tureckiego będą miały „bezpieczeństwo życia” i autonomię (punkt 12). Serię postulatów szczegółowych zamykał punkt 13: „Powinno być utworzone niepodległe Państwo Polskie, które winno objąć ziemię zamieszkałą przez ludność bezspornie (*indisputably*) polską, mieć zapewniony wolny i bezpieczny dostęp do morza; jego niezawisłość polityczna, gospodarcza oraz

całość terytorialna winna być zagwarantowana układem międzynarodowym”.

W ocenie Czternastu Punktów pamiętać trzeba, że Wilson oparł się wprawdzie na tekście przygotowanym przez Inquiry, ale skrócił go i dokonał w nim zmian dość istotnych. Rzeczoznawcy Inquiry mówili o interesach gospodarczych i politycznych, Wilson prawił o sprawiedliwości i o rozwiązaniach słusznych i godziwych. Było to zrozumiałe, rzeczoznawcy Inquiry opracowali program polityki amerykańskiej, gdy prezydent zwracał się do całego świata w celach propagandowych.

Dla wyjaśnienia intencji Wilsona zwrócić trzeba uwagę na użyte przez niego czasowniki angielskie: *must*—*musi* i *should*—*powinien*. Określają one bowiem stopień ważności, który prezydent wiązał z poszczególnymi punktami.

Tak więc Belgię „muszą” opuścić wojska niemieckie i odzyskać ona musi pełną suwerenność. Alzacja i Lotaryngia „powinna” być zwrócona Francji. Państwo Polskie „powinno” być utworzone.

Czternaście Punktów to naczelne wskazanie i główny atut ofensywy polityczno—ideologicznej Stanów Zjednoczonych, to odpowiedź na bolszewicki program pokoju bez aneksji i bez odszkodowań; to zarazem próba skrepowania państw Koalicji, zwłaszcza Francji i Wielkiej Brytanii, w takich dążeniach, jakie nie odpowiadały interesom, i woli Waszyngtonu.

Pod względem politycznym orędzie Wilsona znaczyło, że Stany Zjednoczone nie chcą zamykać sobie

drogi do porozumienia z Austro–Węgrami, a może i z Niemcami, że nie dążą do rozbicia ani monarchii habsburskiej, ani imperium osmańskiego i nie mają wyraźnie sprecyzowanego programu. Sam Wilson myślał głównie o Lidze Narodów, w niej bowiem upatrywał najlepsze, najpomyślniejsze dla świata ułożenie stosunków międzynarodowych, a zarazem umocnienie i zabezpieczenie wpływów amerykańskich w świecie. „Któż po tej wojnie będzie mówił o względach strategicznych? - mówił Wilson do Dmowskiego - Przecież będziemy mieli Ligę Narodów”.

Myśl utworzenia Ligi Narodów wzbudziła sympatię i nadzieje wśród socjalistów i pacyfistów w państwach zachodnich, w innych krajach spotkała się ze sceptycyzmem. Znany publicysta Pertinax pisał 16 stycznia 1918 r. w dzienniku „Le Figaro”, że projekt Ligi Narodów „opiera się na wierze, iż natychmiast po zakończeniu wojny zapanuje w świecie sentyment międzynarodowy silniejszy niż sentyment narodowy, zniknie walka gospodarcza, wygaśnie na lądzie i na morzach wszelka walka zbrojna”.

Oddział II Sztabu francuskiego przeprowadził na froncie badania, jak Czternaście Punktów przyjęli walczący żołnierze. Raport z 1 lutego 1918 r. stwierdzał: „Wyłożenie celów wojennych przez prezydenta Wilsona i przez pana Lloyd George’a wywołało doskonałe wrażenie”. Żołnierze spodziewają się, że prezydent Stanów Zjednoczonych ułoży ostatecznie sprawy świata powojennego.

Rządy musiały się liczyć, rzecz prosta, z takimi nastrojami. I dlatego stwierdzić można, iż rządy państw zachodnich przyjęły wystąpienie Wilsona z uczuciami mieszanymi. Wilson osłabił niewątpliwie Państwa Centralne, gdyż podsycił nastroje przeciwko istniejącemu systemowi rządowemu, ale czy swoimi hasłami pacyfistycznymi nie osłabił zarazem rządu brytyjskiego, a zwłaszcza gabinetu Clemenceau we Francji, gdy podsycił nastroje pacyfistyczne nad Sekwaną i nad Tamiżą.

W każdym razie Czternaście Punktów służyło teraz Państwu Koalicji za cenny atut w propagandzie przeciwko Państwu Centralnym i w propagandzie w krajach neutralnych.

### **83. Strajki styczniowe**

W styczniu 1918 r. rządy Państw Centralnych otrzymały groźną przestrozę: wezbrała nowa fala strajków. Zaczął Wiedeń.

14 stycznia ludność Austrii dowiedziała się o zmniejszeniu racji mąki i o podwyższeniu ceny wyrobów tytoniowych. Gazety przyniosły tego dnia telegramy z Brześcia o daleko idących niemieckich żądaniach terytorialnych. Tegoż dnia rozpoczęli strajk robotnicy w Wiener Neustadt. W następnych dniach strajk rozszerzył się na całą niemal Austrię. Szczególnie ostrą formę miały strajki w Styrii i w Czechach, gdzie stanęły m.in. zakłady przemysłu zbrojeniowego. Jako powód formalny wysuwano warunki bytowe, ale

prawdziwą przyczyną było żądanie robotników zawarcia pokoju.

Strajk ogarnął i Węgry, gdzie również dominowały powody polityczne. 5 i 10 stycznia odbyły się wrogie demonstracje robotnicze przed konsulatem niemieckim. Robotnicy żądali, aby pokój w Brześciu zawierał Czernin, nie Kühlmann; znaczyło to, że występują przeciwko niemieckim zakusom aneksjonistycznym. W Budapeszcie interweniowała nie tylko policja, ale i wojsko.

Wódz austriacki generał Arz von Straussenberg wysłał telegram ostrzegawczy do Czernina, że „konsekwencje tego ruchu mogą być dla armii w polu i w ogóle dla prowadzenia wojny niebezpieczne”. Generał prosił, aby komunikaty o rokowaniach brzeskich redagowano ostrożnie i ze zrozumieniem sytuacji.

Przywódcy socjalistyczni austriaccy usiłowali działać uśmierzająco, ale tracili wpływ na masy; znanego przywódcę socjaldemokratycznego Karla Seitza na wiecu robotniczym na przedmieściu Wiednia Floridsdorf obrzucono obelgami.

Ambasador niemiecki w Austrii Wedel raportował 23 stycznia 1918 r., że „ostatni najświeższy ruch strajkowy, do którego przyłączyło się w samej Austrii 600 tys. robotników, był największym strajkiem, jaki Austria przeżyła”. Ambasador stwierdzał z niepokojem, że ruch ten ma charakter zdecydowanie antyniemiecki, gdyż szerzy się pogląd, że tylko niemiecki imperializm jest zawadą na drodze do pokoju. Demonstranci wdarli się do lokalu wszechniemieckiej „Ostdeutsche Rundschau” i zmusili personel do zaprzestania pracy. Zda-

niem prezesa ministrów Seidlera „ ruch przybiera charakter rewolucyjny”. W kołach rządowych pocieszano się, że kierunek radykalny, który bierze górę w masach, nie ma odpowiedniego kierownictwa.

Zainteresowanie budzi opinia hr. Wedela o Czechach. „Czesi dążą do rozbicia monarchii, to tłumaczy ich ostrożność. Niebezpieczną grę rozpoczną tylko wówczas, gdy będą mogli wierzyć w pewny sukces”.

Rząd poszedł szybko na ustępstwa, robotnicy otrzymali wyjaśnienia i obietnice, które ich skłoniły na razie do przerwania strajku.

21 stycznia prawie wszędzie powrócono do pracy. Opadła fala strajkowa, styczniowe wydarzenia w Austrii odegrały rolę niemałą i dla ludów monarchii podwójnej, i dla Niemiec, i dla dalszego przebiegu wojny. Z Wiednia posypały się iskry i padły na nagromadzone w Niemczech prochy.

Ciężka była sytuacja aprowizacyjna ludności w Niemczech. Niewielka zwyżka racji żywnościowych po zbiorach z lata i jesieni 1917 r. obowiązywała czas krótki. Już w grudniu 1917 r. przywrócono stan rzeczy z zimy 1916/17. Ludność miast dostawała tygodniowo na jedną osobę 7 funtów kartofli, 4 funty chleba, 240 gramów mięsa, od 70 do 90 gramów tłuszczu, dodatki dla najciężej pracujących wynosiły od 25 do 70 gramów. Pogarszała się jakość ubrania, ale za to dziesięciokrotnie wzrosła jego cena. Trudności transportowe powiększały niedostatek opału. Rozwijał się natomiast, wbrew tradycjom niemieckiego porządku i niemieckiej

organizacji, czarny rynek, niedostępny zresztą bądź trudno dostępny dla ludzi pracy.

Wiadomość o wielkim strajku w Austrii rozposzechniła się w Niemczech szybko pomimo wysiłków cenzury wojennej. Do akcji ruszyły niewielkie, ale sprężyste grupy Spartakusa. 28 stycznia 1918 r. nie stawiało się 400 tys. robotników fabryk berlińskich, przede wszystkim fabryk przemysłu zbrojeniowego. Nazajutrz, 29 stycznia, strajkowało już pół miliona robotników w Berlinie. Jednocześnie groźne strajki wybuchły w Mannheim, w Bochum, Dortmundzie, Halle, Kolonii, Monachium, Norymberdze, Lipsku, Wrocławiu, Magdeburgu, Kilonii, Hamburgu. Ogółem liczba strajkujących wynosiła ponad milion. Strajk objął główne ośrodki przemysłowe Niemiec.

W domu związków zawodowych w Berlinie zebrało się 500 delegatów rad robotniczych i uchwaliło rezolucję o charakterze wyraźnie politycznym. A oto główne jej punkty: 1) szybkie zawarcie pokoju bez aneksji, bez odszkodowań na podstawie prawa narodów do samostanowienia proklamowanego w Brześciu, 2) powołanie przedstawicieli robotników wszystkich krajów do udziału w rokowaniach pokojowych, 3) polepszenie warunków aprowizacyjnych, 4) zniesienie stanu oblężenia, przywrócenie prawa koalicji i swobodnego wypowiedzania się w prasie i na zgromadzeniach, 5) natychmiastowe zniesienie militaryzacji zakładów przemysłowych, 6) zwolnienie więźniów politycznych, 7) demokratyzacja instytucji państwowych w Niemczech, a przede wszystkim wprowadzenie powszechnego,

równego, bezpośredniego i tajnego prawa wyborczego w Prusach.

Program ten wykazuje wzrost w Niemczech nastrojów rewolucyjnych. Ciężkie było położenie głodującej rodziny robotniczej, ale na plan pierwszy wysunięto postulaty polityczne w tym przekonaniu, że zawarcie pokoju i demokratyzacja życia politycznego to nieodzowne warunki polepszenia sytuacji gospodarczej.

Wybrany Komitet Akcji znalazł się pod silnym wpływem Socjaldemokratycznej Partii Niemiec i Niezależnej Socjaldemokratycznej Partii Niemiec. Weszli doń m.in. Ebert, Scheidemann, Haase, Ledebour i tylko jeden spartakusowiec. Komitet rozpoczął ostrożne zabiegi około zakończenia strajku.

W niełatwej sytuacji znalazł się rząd Rzeszy. Od początku wojny Burgfrieden - zawieszenie broni pomiędzy stronnictwami i współdziałanie z socjaldemokracją uchodziło za niezbędny warunek właściwej polityki wewnętrznej. Rozumiano, że ze strony rządu wymaga to pewnych gestów względem socjalistów większościowych, aby ułatwić im działalność mas robotniczych zgodną z oczekiwaniami władz państwowych. Na kilkanaście dni przed wybuchem strajku styczniowego podsekretarz stanu w Urzędzie Kanclerskim Joseph M. von Radowitz opracował memoriał przeznaczony dla Naczelnego Dowództwa. Memoriał wykazywał, że rząd musi współpracować z socjaldemokracją, jeśliby bowiem rząd socjaldemokrację zraził do siebie i od siebie odsunął, nie będzie ona ani chciała, ani mogła „działać wśród swoich wyborców, zwłaszcza wśród



związków zawodowych zgodnie z intencjami rządu, masy robotnicze popadną wówczas pod wpływ socjalistów niezależnych, i Niemcy ogarnie fala strajków. Przedłużenie wojny, głód i mróz będą to hasła walki. Z tym niebezpieczeństwem rząd musi się liczyć, dlatego utrzymanie porozumienia z socjaldemokracją jest konieczne, konieczne jest także wprowadzenie pewnych reform demokratycznych w Prusach na wzór stosunków istniejących w państwach południowoniemieckich. W związku z tym w polityce zagranicznej rząd nie może się wyrzec oficjalnie rezolucji pokojowej, chociaż straciła ona niewątpliwie to znaczenie, które mogła posiadać w lipcu 1917 r.”

Rozumowanie polityczne wszakże nie istniało dla generała Ludendorffa, uznającego tylko siłę pięści. Mężny wódz odsunął na bok władze cywilne i we własne sprawne ręce uchwycił walkę ze strajkiem. Dnia 31 stycznia 1918 r. ogłoszono w Berlinie stan oblężenia i wprowadzono nadzwyczajne sądy wojenne, 1 lutego dowodzący w Marchii generał pułkownik Gustav von Kessel zarządził przejście siedmiu największych fabryk berlińskich pod zarząd wojskowy i pod surowymi rygorami nakazał strajkującym robotnikom stawić się do pracy 4 lutego. Około 50 tys. robotników wcielono do szeregów; władze postarały się, aby znaleźli się w ich liczbie najczynniejsi w ruchu strajkowym.

Strajk był złamany. Ludendorff uznał, że ma ręce rozwiązane i może pokusić się o realizację swych daleko idących planów imperialistycznych na wschodzie. Wzmocniona przewaga Dowództwa i stojących za nim

czynników zaznaczyła się od razu zaostrzeniem stanowiska Niemców w Brześciu.

A jednak rację miał chyba nie Ludendorff, lecz mąż zaufania tokarzy berlińskich Richard Müller, gdy pisał: „Robotnicy czuli się nie jak pokonani, lecz jak bojownicy, którzy cofnęli się po to, by zgromadzić ponownie siły”.

## 84. Brześć

Wybuch rewolucji w Rosji powitano w Berlinie z wyraźnym ukontentowaniem. Od pierwszych niemal dni wojny rząd berliński zabiegał o zawarcie z rządem carskim pokoju odrębnego; zabiegi te prowadzono rozmaitymi tajnymi drogami, rozmaitymi sekretnymi kanałami, z większym lub mniejszym nasileniem, wciąż nie tracąc nadziei na dobry wynik. A jednocześnie zamyślano o podminowaniu rządów carskich, o rewolucjonizowaniu Rosji. Rzecz prosta nie była to chęć wprowadzenia tam ustroju socjalistycznego czy komunistycznego. Chciano po prostu w Cesarstwie Rosyjskim wywołać niepokoje, zamieszki czy to wyzykując tendencje niepodległościowe lub odśrodkowe licznych narodów bądź ludów Rosji, czy też podsycając ruchy społeczne. I spoglądano niespokojnie, która droga prędzej poprowadzi do celu - pokój odrębny czy rewolucja.

„Jakże często myślałem o rewolucji rosyjskiej - wyznaje generał Ludendorff - w nadziei, że polepszy naszą sytuację militarną; wciąż wszakże były to zamki na lodzie. Wreszcie rewolucja wybuchła i zaskoczyła

nas. Ciężar spadł mi z serca. Nie mogłem wówczas uważać za rzecz możliwą, aby (rewolucja) miała i naszą siłę podkopać”.

Ograniczony umysł Ludendorffa po odbytej z nim rozmowie w tych słowach scharakteryzował historyk polski: „Świat ... dzieli się na linie i centra etapowe oraz na front, gdzie są wojska, a naprzeciw to samo w odwrotnym porządku u nieprzyjaciela. Między tymi tyłami, liniami etapów i frontów snują się niewidzialne nici wywiadu. Czymże jest ziemia, ludność, naród w tak schematyzowanym świecie? - jest nieporządkiem na liniach etapowych, jakimś kłopotem nieokreślonym na tyłach walczącej armii, którego należy z całego serca życzyć nieprzyjacielowi, bezwzględnie zaś unikać samemu”.

Można było rozumować inaczej. Wytrawny finansista Albert Ballin w liście z 10 czerwca 1917 r. do Gustava Stresemanna ocenił sytuację Niemiec jako ciężką i dodał: „Ale my czekamy na cud i cud już nawet nas uszczęśliwił: jest to rewolucja rosyjska. Cud ten ma wszakże podwójne oblicze. Umożliwia nam znakomicie prowadzenie wojny. Ale umożliwia także wrogie wojnie ruchy masowe”.

Na dwojakię znaczenie, które może mieć dla Niemiec rewolucja rosyjska, zwrócił uwagę także i kanclerz Bethmann Hollweg. Z jednej strony zwiększenie widoków na zawarcie pokoju odrębnego, z drugiej spętęgowanie, zaostwienie ruchów rewolucyjnych w Niemczech. Kanclerz z niepokojem obserwował nie tylko postępującą radykalizację niemieckich mas ludowych,

ale i zaciekły opór prawicy przeciwko wszelkim próbom wprowadzenia koniecznych reform w ramach panującego w Rzeszy ustroju społeczno-politycznego. Zdaniem kanclerza, wieści napływające z Rosji pogłębiły rozłam istniejący w społeczeństwie niemieckim.

W Berlinie wszakże na ogół panowały nastroje pełne radosnego oczekiwania; optymiści sądzili, że wojna zakończy się najpóźniej jesienią 1917 r.

Optymistyczne nastroje uderzały w dyskusji w parlamencie Rzeszy 29 marca 1917 r. W toku debat zabrał głos kanclerz Bethmann Hollweg. Wywody rozpoczął od zwrócenia uwagi Izby na doniosłe, dziejowe znaczenie wypadków rozgrywających się w Rosji. Cara Mikołaja obarczył odpowiedzialnością za wybuch wojny pomiędzy dwoma dawniej zaprzyjaźnionymi ze sobą mocarstwami. Stanowczo zaprotestował przeciwko wieściom szerzonym przez wrogów Niemiec, jakoby rząd Rzeszy zawsze popierał autokratyczny, reakcyjny ustrój Rosji, a i obecnie zamierza zdusić wolność świeżo uzyskaną przez naród rosyjski. Wieści te napiętnował jako „kłamstwo i oszczerstwo”. Twierdził, że sprawa przedstawia się wręcz odwrotnie. Podczas rewolucji w 1905 r. cesarz Wilhelm miał rzekomo doradzać carowi wejście na drogę reform upragnionych przez naród rosyjski. Niemcy dalekie są od chęci mieszania się w wewnętrzne sprawy wschodniego sąsiada. „Pragniemy jednego tylko, aby rozwój wypadków w Rosji uczynił z tego kraju mocną i pewną ostoję pokoju. Naród rosyjski z wszelką pewnością nie chciał wojny; może być przekonany, że nie będziemy się mie-

szali w jego sprawy. Nasze jedyne dążenie to pokój z narodem rosyjskim, pokój zbudowany na podstawach dla obu stron honorowych”.

W mowie kanclerskiej było więc wszystko, co według poglądów panujących na Wilhelmstrasse powinno było do cesarskiego rządu niemieckiego usposobić życzliwie i społeczeństwo rosyjskie, i nowy republikański rząd rosyjski. A więc potępienie caratu, a więc zapewnienie, że wpływy pruskie w Petersburgu działały na rzecz reform i postępu, a więc wreszcie zapowiedź, że rewolucji rosyjskiej ze strony Prus nic nie grozi.

Ogólnikowe te zapewnienia powtórzył Bethmann Hollweg w siedem tygodni później, 15 maja, odpowiadając w parlamencie na interpelacje poselskie. Pośród żywych oklasków w centrum i na lewicy kierownik rządu niemieckiego zapewnił słuchaczy, że „jeśli Rosja chce uchronić swych synów od dalszego przelewu krwi, jeśli wyrzeknie się wszelkich planów zaborczych, jeśli chce przywrócić z nami trwałe, pokojowe stosunki sąsiedzkie, to jest rzeczą zrozumiałą samo przez się, iż my, którzy pragniemy nie burzyć w przyszłości naszych stosunków, nie będziemy stawiali warunków niezgodnych z wolnością i z wolą narodów, warunków, które w narodzie rosyjskim mogłyby wzniecić zarzewie nowej nieprzyjaźni”.

Była to mowa pewnego siebie zwycięzcy, ale zwycięzcy, który rzeczywiście chce pokoju i gotów byłby ofiarować swemu przeciwnikowi wspaniałomyślne warunki.

Socjaliści domagali się, aby kanclerz oświadczył, że Niemcy nie pragną aneksji ani odszkodowań. Bethmann Hollweg uważał jednak, że deklaracja tego rodzaju wywarłaby wprawdzie dodatnie wrażenie w narodzie rosyjskim, ale w Austrii wzmogłaby silne tam już nastroje pesymistyczne i defetystyczne, byłaby zatem szkodliwa. Tymi względami tłumaczył charakter swej mowy mglisty i ogólnikowy.

W kołach wojskowych pojawiła się myśl wyzyskania stanu rzeczy w Rosji. Dnia 17 kwietnia 1917 r. generał Hoffmann, szef sztabu armii wschodniej, omawiał na konferencji w Kreuznach z generałem Ludendorffem kwestię ofensywy niemieckiej na froncie wschodnim. Zastanawiano się nad tym, czy silne uderzenie nie rozbije całkowicie armii rosyjskiej i nie rozwiąże Niemcom rąk na wschodzie lepiej niż traktat pokojowy, połączony z natury rzeczy z pewnymi zobowiązaniami. Sprawa wszakże upadła wobec tego, że ciężkie walki na zachodzie pod Arras, nad rzeką Aisne i w Szampanii nie pozwalały na przerzucenie na wschód większych sił z Francji. Ze względów politycznych przeciwni byli ofensywie wschodniej kanclerz i Urząd Spraw Zagranicznych. Na Wilhelmstrasse sądzono, że gwałtowny atak niemiecki nie tylko nie osłabi Rosji, ale przeciwnie, wzmocni ją i skonsoliduje, a ponadto unicestwi zabiegi o pokój odrębny; propagandzie angielskiej zaś dostarczy pożądanego materiału do agitacji na całym świecie, że Niemcy i Austro–Węgry walczą, aby zdusić wolność rosyjską i przywrócić carat. Gdy 3 kwietnia 1917 r. Niemcy odnieśli nad Stochodem znaczny suk-

ces lokalny, wzięli 10 tys. jeńców i sporo sprzętu wojennego, niemiecki komunikat wojenny przemilczał sprawę na życzenie czynników politycznych; wywołało to niemałe zdziwienie w świecie, tym bardziej że komunikat rosyjski podał dokładne dane o przebiegu i rezultatach bitwy.

Trudno przesądzać, czy istotnie mocne uderzenie na Rosję było wiosną 1917 r. możliwe i czy dałoby Niemcom upragnioną, pełną swobodę ruchu.

W każdym razie Niemcy, choć nie ruszyli całą mocą do ataku, nie tracili czasu, bacznie obserwowali wypadki rozgrywające się w Rosji i przygotowywali program działania.

Według danych wywiadu niemieckiego armię rosyjską opanowała myśl zawarcia rozejmu i pokoju pod warunkiem, że Państwa Centralne powstrzymają się od aneksji ziem rosyjskich. Z końcem kwietnia czy też w początku maja przybył na front wschodni przedstawiciel Urzędu Spraw Zagranicznych, aby przy pierwszej sposobności nawiązać rokowania z Rosjanami. Był to baron Kurt von Lersner, ostatnio sekretarz ambasady w Waszyngtonie.

Taka ocena armii rosyjskiej zachęcała Niemców do bezpośrednich rozmów z jej przedstawicielami. Dowództwo niemieckie nie obawiało się jeszcze upadku dyscypliny we własnej armii, nie lękało się, że żołnierze niemieccy zachęceni przykładem rosyjskich zechcą może wziąć we własne żołnierskie ręce sprawę pokoju.

9 kwietnia 1917 r. na linię okopów niemieckich w okolicach Hubertowa przybył powiewając białą

chustą porucznik rosyjski z 205 pułku piechoty; oświadczył, że działa z ramienia „komitetu pułkowego” i pragnie się dowiedzieć, czy Niemcy będą przeszkadzali „wolnościowemu rozwojowi Rosji”.

Fakt ten powitano z radością i z nadziejami w dowództwie i w rządzie niemieckim. Ludendorff polecił natychmiast zakomunikować emisariuszom żołnierzy rosyjskich, że ma pełną moc oświadczenie kanclerza Rzeszy w parlamencie, iż Niemcy nie będą się przeciwstawiały wolnościom rosyjskim. Sekretarz stanu Zimmermann telegrafował do Ludendorffa, że fakt, iż „Niemcy są gotowe rokować o pokój z przedstawicielami żołnierzy rosyjskich, wzmocni pewność siebie i poczucie siły armii rosyjskiej, a to będzie wzmagało zamęt i, jeśli to możliwe, wywoła przeciwieństwa pomiędzy Rządem Tymczasowym a wojskiem”.

Rozmowy ciągnęły się dalej. Emisariusze żołnierzy rosyjskich zapewniali, że jeśli; Niemcy wyrzekną się aneksji, Rosjanie nie będą zważali na państwa zachodnie i zawrą pokój odrębny. Oświadczenie oficera niemieckiego, iż każdy naród powinien sam decydować o swoich sprawach wewnętrznych, delegaci rosyjscy przyjęli z zadowoleniem i zadeklarowali, że nie będą żądali detronizacji cesarza niemieckiego, gdyż takie samo żądanie musieliby postawić Włochom i Anglikom. Emisariusz rosyjski wyjaśnił stanowisko żołnierzy rosyjskich w ten sposób, że jeśli kto ma „szkaradną żonę i wypędzi ją z domu, nie będzie tego samego żądał od sąsiada, który ma dobrą żonę”.



Baron Kurt von Lersner, przedstawiciel Urzędu Spraw Zagranicznych przy Naczelnym Dowództwie wyjaśnił Ludendorffowi, że jeśli Niemcy zapewnią Rosjan, iż wyrzekają się aneksji, nie oznacza to bynajmniej, aby nie mogły przyłączyć do Rzeszy Litwy i Kurlandii, nie będzie to aneksja, lecz *Grenzberichtigung* - poprawka graniczna.

Ludendorff przemyślał już podstawy pokoju odrębnego z Rosją. Wychodził z założenia, rzecz godna zastanowienia, iż „z uwagi na domy panujące w Niemczech i w Austro–Węgrzech Niemcy i Austro–Węgry muszą zawrzeć dobry pokój. Autorytet monarchii w Niemczech ucierpi, jeśli pokój nie da (Niemcom) Kurlandii–Litwy”. Natomiast dla Austriaków i dla Węgrów Galicja Wschodnia nie ma znaczenia; nie zmaleje autorytet Habsburgów, jeśli w zamian za odpowiednie odszkodowanie Austria odstąpi kraj ten Rosji. Główne zainteresowania monarchii habsburskiej kierują się ku Bałkanom i tam właśnie, mianowicie w Serbii, upatrywał Ludendorff rekompensatę dla Austro–Węgiei.

Zgodnie z poglądami Ludendorffa Hindenburg wystosował 20 kwietnia 1917 r. do kanclerza Rzeszy pismo, w którym domagał się urzędowego określenia niemieckich celów wojennych. Pokój z Rosją na podstawie status quo ante bellum uważał ze względów wojskowych za niemożliwy do przyjęcia. Litwa i Kurlandia muszą się znaleźć w rękach niemieckich. Rosjanom jednakowoż należy budować „złote mosty”, można by na przykład odstąpić im Galicję Wschodnią i Bukowinę. W Urzędzie Spraw Zagranicznych uznano

myśl tę za trafną, galicyjskie i bukowińskie straty zamysłano wynagrodzić Austrii kosztem rumuńskim. Rumunia miałaby ponadto zapłacić Austrii za jej *desinteressement* w sprawie Polski.

Dnia 23 kwietnia 1917 r., na konferencji w Kwaterze Głównej w Bad Kreuznach, wojskowe i cywilne władze niemieckie ustaliły szczegółowy program zdobyczy imperialistycznych. Silniejsi mieli się dzielić i wzajemnie rekompensować kosztem słabszych. Tak więc Niemcy rezerwowały dla siebie Litwę i Kurlandię, a nawet wyspy w Zatoce Ryskiej i Estonię. Na północy i zachodzie Królestwa wykrojony miał być dla Niemiec pas graniczny, którego rozmiary uzależniano od ułożenia w przyszłości stosunku Polski do Rzeszy. Polsce pozostawiano możliwość „rozszerzenia się na wschód”, tzn. poza Bug, ale w taki sposób, aby ekspansja ta nie naruszała interesów litewskich. W zamian za polskie, litewskie i kurlandzkie straty chciano oddać Rosji Galicję Wschodnią oraz część Mołdawii. Austro–Węgrom wyznaczano odszkodowanie w Mołdawii do Seretu, w zachodniej Wołoszczyźnie i w Serbii.

Spośród trzech mocarstw, mających wziąć udział w tych wymiennych operacjach, jedynie Niemcy miały tylko zyskiwać, nic w zamian nie dając.

Wiosną 1917 r. Niemcy spodziewali się, że już w niedługim czasie będą mogli rozpocząć rokowania z Rosjanami, że wyznaczyli już nawet pełnomocników. Byli nimi pułkownik Handess Karl von Winterfeldt, dawny *attaché* wojskowy w Paryżu, późniejszy członek delegacji rozejmowej w Rethondes oraz deputowany

socjaldemokrata Eduard David, który - zdaniem kanclerza - wykazuje zrozumienie dla „poprawek granicznych”. Aby Rosjanom oszczędzić niemiłego im terminu aneksja i równie niesympatycznego „korektura graniczna” oraz ułatwić im wyrzeczenie się Kurlandii i Litwy wpadł kanclerz na znakomity pomysł. Oto kraje te należy uznać za państwa niezależne, mające własną administrację, ale militarnie, politycznie i gospodarczo związane z Rzeszą.

Czy kanclerz miał nadmiar poczucia humoru, czy też był to brak poczucia humoru?

12 maja 1917 r. dowódca frontu wschodniego książę Leopold bawarski przesłał dowództwu rosyjskiemu „podstawy zasadniczych warunków pokojowych”. A oto one: 1) Niemcy nie będą ingerowali w sprawy rosyjskie, nie żądają odszkodowań, a jedynie zwrotu kosztów utrzymania ponad miliona jeńców wojennych. 2) Litwa i Kurlandia będą przyłączone do Rzeszy. 3) „Samodzielność” Polski związanej z Państwami Centralnymi; 4) Rosjanie wycofają się z Mołdawii, Galicji Wschodniej i Armenii; 5) Niemcy ofiarują Rosji „dobre usługi” w kwestii Cieśnin i innych spraw pozaeuropejskich, jeśli Rosja wyrzeknie się zdobycia Konstantynopola; Niemcy gotowe są pomóc finansowo w odbudowie Rosji; otrzymają dostawy zboża i nafty „po korzystnej cenie”.

Nie” wyszło z tych pożytecznych zamysłów nic. Rosjanie potwierdzili jedynie odbiór pisma księcia Leopolda. Pełnomocnicy niemieccy, wyznaczeni do ro-

kowań, czekali bez skutku i 22 lub 23 maja 1917 r. odjechali do Berlina.

Drobne to niepowodzenie nie odebrało Niemcom nadziei na nawiązanie rozmów z Rosjanami, nie przerwali więc dyskusji i rozważań na temat warunków pokojowych. Sporo światła na poglądy i dążenia niemieckich kół kierowniczych rzuca rozmowa, jaką w maju 1917 r. pułkownik von Winterfeldt i radca Friedrich Hans Rosenberg przeprowadzili z wpływowym przywódcą Socjaldemokracji większościowej Eduardem Davidem. David wydał im się dobrym partnerem; „pragnie on szczerze, aby zawarto pokój pomyślny dla przyszłości narodu niemieckiego”. „Jako człowiek bardzo inteligentny wydaje się on pozostawać w mniejszym stopniu niż niektórzy jego towarzysze partyjni pod wpływem pustych haseł i sztywnych dogmatów”. David był zwolennikiem rozszerzenia granic na wschodzie, ale tak, aby nie drażniło to w przyszłości Rosjan i nie wpłynęło ujemnie na kształtowanie się po wojnie stosunków niemiecko–rosyjskich. Jest on bowiem zwolennikiem ścisłej współpracy Niemiec z „demokratyczną Rosją”, sądzi bowiem, że taki blok skutecznie stawi czoła Wielkiej Brytanii. Mieszkańcy terenów, które Rosja ma odstąpić, powinni mieć możliwość wyrażenia na to zgody w „formie, która by przypominała prawo samostanowienia narodów”.

Winterfeldt i Rosenberg słuchali tych wywodów niewątpliwie z zadowoleniem, osłabło ono wszakże wkrótce, gdyż David okazał się pesymistą. Twierdził, że czas pracuje przeciwko Niemcom; sytuację oceniał

w czarnych barwach, gdyby wojna przeciągnęła się jeszcze przez zimę; dlatego jak najszybciej należy zawrzeć pokój, w razie konieczności z wyrzeczeniem się nabytków terytorialnych. I David, i wraz z nim przywódcy „większości socjaldemokratycznej”, tak jak w początkach wojny, tak i teraz stoją nadal na zajętych wówczas stanowisku, że „należy bronić kraju w godzinie niebezpieczeństwa”, pracują nad wykazaniem klasie robotniczej, że należy wytrwać, powstrzymać się od strajków i niepokoju, przyznać rządowi kredyty wojenne. David nie ukrywał, że zwiększające się ustawicznie trudności gospodarcze, zwłaszcza aprowizacyjne, utrudniają jemu i jego przyjaciołom politycznym działania w tym kierunku. Pośród mas pracujących szerzy się pogląd, że wojna trwa już zbyt długo, że tylko „zaborcze zachcianki” odstrasza naszych przeciwników i uniemożliwiają zawarcie pokoju. Niektórzy zaś, twierdził David, są wręcz zdania, iż nieszczęśliwy dla Niemiec rezultat wojny doprowadzi do upadku obecnego systemu rządów i do urzeczywistnienia dążeń socjalistów.

Rosja, w każdym razie ogromna większość narodu rosyjskiego, chciała pokoju, ale po upadku caratu władzę chwilowo uchwycili - rzecz paradoksalna - ci, którzy nadal chcieli toczyć wojnę. Ton nadawał początkowo Milukow, zwany Dardanelskim, główny rzecznik imperializmu burżuazji rosyjskiej, minister spraw zagranicznych do chwili, gdy 16 maja 1917 r. nacisk mas ludowych zmusił go do złożenia teki. Tę samą rolę, choć w sposób nieco inny, odgrywał Aleksandr Kiereń-

ski od 18 maja tegoż roku minister wojny. Jego to właśnie, Aleksandra Kiereńskiego, nazwiskiem nazwano ofensywę, która ruszyła 30 czerwca, a załamała się już 11 lipca 1917 r. 19 lipca rozpoczęli kontrofensywę Niemcy i Austriacy i w ciągu kilkunastu dni wyparli wojska rosyjskie z Galicji Wschodniej i z Bukowiny; 3 września 1917 r. Niemcy zajęli Rygę. Wojska niemieckie i austro-węgierskie stanęły wówczas na linii, która się ciągnęła od Zatoki Ryskiej (nieco na północ od Rygi) przez Dźwińsk (obecnie Daugavpils), jezioro Narocz, Pińsk, Łuck, Czerniowce do granicy rumuńskiej. Taki stan rzeczy przetrwał do zawarcia rozejmu 15 grudnia 1917 r.

Rosyjski Rząd Tymczasowy, czy chciał czy nie chciał, nie mógł podjąć prac nad zawarciem pokoju, gdyż siedział na wulkanie i władza jego, słaba od pierwszej chwili objęcia rządów, kurczyła się coraz bardziej.

Sytuacja zmieniła się całkowicie, gdy w dniu 7 listopada 1917 r. władzę zdobyli bolszewicy. W nocy z 7 na 8 listopada 1917 r. II Wszechrosyjski Zjazd Rad uchwalił Dekret o pokoju. Nowy rewolucyjny rząd rosyjski zaproponował „...wszystkim walczącym narodom i ich rządów niezwłocznie rozpocząć rokowania o sprawiedliwy pokój demokratyczny”. Wstępem do nich miało być natychmiastowe zawieszenie broni na okres trzech miesięcy.

Rządy państw zachodnich nie udzieliły odpowiedzi, ograniczyły się tylko do protestu złożonego na ręce ówczesnego dowódcy wojsk rosyjskich generała N.

Duchonina. Niemcy natomiast uznali propozycję rosyjską za zasługującą na wzięcie pod uwagę. W pierwszej chwili zarówno Naczelne Dowództwo, jak i Urząd Spraw Zagranicznych zajęły stanowisko wyczekujące; nie były pewne ani siły, ani trwałości nowego rządu, obawiały się również niebezpieczeństw, które mogłyby wynikać z nawiązania stosunków z władzami rewolucyjnymi. Naczelne Dowództwo wydało poufne zalecenia dla prasy, w jaki sposób ma omawiać rosyjskie propozycje pokojowe. Prasa powinna pamiętać mianowicie, że zawarcie rozejmu z jednym z państw nieprzyjacielskich jest kwestią militarną, publiczna więc dyskusja nad tą sprawą podlega kontroli władz wojskowych. Prasa powinna rzecz roztrząsać chłodno, unikając wszystkiego, co mogłoby wskazywać na słabość Niemiec, podkreślać zaś, że rozejm leży przede wszystkim w interesie Rosji. Prasa powinna również wstrzymać się od wszelkiej polemiki na temat wewnętrznych spraw rosyjskich, gdyż może to utrudnić prowadzenie rokowań o zawieszenie broni. Na razie planowano tylko zaniechanie większych akcji zaczepnych na froncie wschodnim. Działania wojenne zamierzano prowadzić o tyle tylko, aby nie dopuścić do „demoralizującego bratania się” żołnierzy.

26 listopada 1917 r. komisarz ludowy i głównodowodzący wojsk rosyjskich Nikołaj Krylenko zwrócił się drogą radiową w imieniu rosyjskiego rządu rewolucyjnego do władz niemieckich z zapytaniem, czy Niemcy są skłonni podjąć bezzwłocznie rokowania o pokój. Niemcy nie dali długo czekać z odpowiedzią. Luden-

dorff telefonował do szefa sztabu dowództwa frontu wschodniego generała Hoffmanna: „A więc, czy można z tymi ludźmi rokować?” Odpowiedź Hoffmanna była krótka: „Tak, można rokować! Ekscelencji trzeba wojska! Przyjdzie wojsko!”

Warto tu wspomnieć, bo sprawa interesująca, jak propozycje rosyjskie przyjęto w Wiedniu. Hrabia Czernin dojrzał na *Ballplatzu* trzy kierunki: jedni nie biorą Lenina poważnie i uważają go za „jednodniową muchę”, inni nie wierzą wprawdzie w ową „jednodniowość”, ale wzdragają się rokować z tak niebezpiecznym rewolucjonistą, jeszcze inni wreszcie chcą rokować pomimo możliwej „jednodniowości” i niewątpliwej rewolucyjności. I Czernin dodaje, że ten trzeci kierunek reprezentuje on sam tylko. W znamienne dla ówczesnych wyobrażeń sposób minister uzasadnił, dlaczego pomimo wszystko decyduje się prowadzić rokowania z rządem rewolucyjnym. Otóż - zdaniem jego - im krócej Lenin utrzyma się u władzy, tym spieszniej należy rokować, gdyż żaden późniejszy rząd rosyjski nie będzie już mógł wszcząć wojny.

Uderza różnica w rozumowaniu Niemców i Austriaków. W pokoju z Rosją Niemcy widzieli przede wszystkim możliwość sprowadzenia wojsk z frontu wschodniego na zachodni, Austriacy upatrywali upragnionego końca wojny. Czyj punkt widzenia był bardziej realistyczny? Czyj był bardziej trafny? Łudzili się i jedni, i drudzy.

Łudził się Czernin myśląc, że zawarcie pokoju opromieni go sławą i zapewni mu wielką pozycję oso-



bistą w monarchii i w Europie. Łudzili się i Niemcy, gdy sądzili, że do stołu obrad w Brześciu zasiądzie z nimi partner słaby, niedoświadczony i pozwoli się wyprowadzić w pole, łudzili się myśląc - jak zresztą wszyscy wówczas w Europie - że nowy rząd rewolucyjny zdoła się utrzymać przy władzy zaledwie kilka tygodni, łudzili się sądząc, że będą mogli całą swą potęgę, wszystkie siły przerzucić na zachód, a zażywać spokoju na wschodzie.

W końcu 1917 r. generał Ludendorff przygotowywał już potężną ofensywę we Francji, która Niemcom miała przynieść ostateczne zwycięstwo; generał uderzyć chciał wczesną wiosną 1918 r., potrzebny mu więc był spokój na wschodzie, toteż Naczelne Dowództwo opowiedziało się za wszczęciem rokowań z bolszewikami.

Rokowania rozejmowe rozpoczęły się w Brześciu Litewskim 3 grudnia 1917 r. 15 grudnia przedstawiciele armii niemieckiej, austro-węgierskiej, tureckiej i bułgarskiej z jednej strony, rosyjskiej zaś z drugiej podpisali akt zawieszenia broni. Wszedł on w życie 17 grudnia o godz. 12 w południe na całym froncie wschodnim od Morza Bałtyckiego do Czarnego oraz w Azji na froncie turecko-rosyjskim.

Rozejm zawarto stosunkowo łatwo i szybko, choć nie była to sprawa tak prosta, jak to sobie Niemcy wyobrażali<sup>28</sup>. Istotne trudności i komplikacje stanęły na porządku dziennym dopiero podczas rokowań o pokój.

20 grudnia 1917 r. znaleźli się już w Brześciu wszyscy delegaci państw walczących. Gospodarze,

a zarazem faktyczni kierownicy obrad, ci którzy w Brześciu mieli najwięcej do powiedzenia, to Niemcy. Przewodził delegacji niemieckiej sekretarz stanu w Urzędzie Spraw Zagranicznych przebiegły Richard von Kühlmann, pierwsze skrzypce wszakże grał w delegacji niemieckiej bezwzględny i brutalny żołnierz, generał Max Hoffmann, zdaniem cesarza Wilhelma „najlepszy znawca kwestii wschodniej”.

Na czele delegacji austriackiej stał c. i k. minister spraw zagranicznych osławiony Ottokar hrabia Czernin von und zu Chudenitz, czesko–niemiecki arystokrata, według Hoffmanna „mądry, wytworny człowiek o nerwach niestety całkowicie zużytych. Był on głęboko przekonany, że Austro–Węgry się rozpadną, jeśli pokój nie zostanie prędko zawarty”.

Trafnie ocenił Hoffmann Czernina. Jego „zużyte nerwy” i przekonanie o konieczności zawarcia pokoju za wszelką cenę, pod grozą katastrofy monarchii, tłumaczą jego niezgrabną i jego niefortunną politykę brzeską.

W delegacji austro–węgierskiej, pośród dygnitarzy *Ballplatzu* hrabiów Colloredo, Merey, Csaky, barona Andriana nie było ani jednego Polaka. Sprzeciwił się temu hr. Czernin, lękał się, że polski członek delegacji uniemożliwi mu jego grę antypolską, opierał się zwłaszcza przyjazdowi do Brześcia hrabiego Adama Tarnowskiego, w którym nie bez racji upatrywał swego rywala do fotela ministerialnego, ewentualnego przyszłego ministra spraw zagranicznych.

Turcję reprezentowali zręczni dyplomaci minister spraw zagranicznych Ahmed Nessimi Bey i ambasador w Berlinie Ibrahim Hakki Paşa. Później dopiero przyjechał wielki wezyr Talât Paşa. Pełnomocnikiem Bułgarii był ograniczony a uparty minister sprawiedliwości Ch. J. Popow, przybył mu następnie w sukurs prezes ministrów Wasyl Radosławow.

W delegacji rosyjskiej zasiadali Adolf Joffe, który w trzy lata później podpisać miał pokój z Polską w Rydze, L. Kamieniew, historyk Michaił Pokrowski, A. Bicenkowa, L. Karachan. W styczniu przyjechał do Brześcia komisarz ludowy spraw zagranicznych Lew Trocki.

Wbrew pozorom łatwiejsze były mimo wszystko zadania delegacji rosyjskiej niż niemieckiej. Rosjanie chcieli zawrzeć pokój, chociażby na surowych warunkach, zdaniem Lenina bowiem było to niezbędne dla uratowania rewolucji. Rosjanie chcieli również wyzyskać brzeski stół konferencyjny dla celów propagandy, przeforsowali więc jawność obrad i wygłaszali długie mowy zwrócone nie do siedzących naprzeciwko po drugiej stronie stołu delegatów Państw Centralnych, lecz do zmęczonych wojną, spragnionych pokoju mas ludowych na świecie. Denerwowało to wojskowych niemieckich. Po każdym posiedzeniu sporządzano protokół i drogą telegraficzną i radiową podawano go do publicznej wiadomości. Dla ułatwienia sprawy Joffe domagał się przeniesienia rokowań z Brześcia do miasta położonego w państwie neutralnym; Niemcy wszakże nie chcieli o tym słyszeć.

Problem dla Niemców, przede wszystkim dla szefa delegacji Kühlmanna, polegał na tym, w jaki sposób przezwyciężyć czy ominąć sprzeczność pomiędzy stanowiskiem Rosjan, którzy żądali pokoju bez aneksji i bez odszkodowań, a niemieckimi dążeniami do opowania Polski, Litwy, Kurlandii, Inflant. Kühlmann pisał w pamiętnikach: „Trocki życzył sobie, abym w Brześciu uderzył pięścią w stół i wskazał na mapę wojenną. Nie sprawiłem mu tej przyjemności, gdyż dałbym mu niebezpieczną broń do ręki i wystawił się na ataki partii lewicowych w Niemczech. Bardzo wąska była droga pomiędzy Naczelnym Dowództwem, które najchętniej domagałoby się bezwzględnie aneksji niczym nie osłoniętych, a większością parlamentu, która żądała pokoju bez aneksji i bez odszkodowań. Mój plan był taki - uwikłać Trockiego w dyskusję na temat prawa narodów do samostanowienia i jego możliwego zastosowania i właśnie przez prawo samostanowienia pozyskać zdobycze terytorialne, które są nam koniecznie potrzebne”.

Plan nie był wszakże łatwy do wykonania, Kühlmann musiał się bowiem liczyć ze zręcznymi partnerami bolszewickimi, gotowymi każdy jego błąd czy potknięcie wyzyskać propagandowo na arenie międzynarodowej, musiał brać pod uwagę trudności, jakie się przed nim piętrzyły w Niemczech. Z jednej strony Naczelne Dowództwo, imperialiści wszelkich odcieni domagali się rozległych aneksji, z drugiej zaś większość Reichstagu żądała szybkiego zawarcia pokoju i zgodnie z rezolucją pokojową z 19 lipca 1917 r. od-

rzucała „wymuszone zdobycze terytorialne”. Sekretarz stanu nie mógł również zapominać o postępującej radykalizacji mas pracujących, które żądały zawarcia pokoju w najbliższym czasie. Nadchodzące do Brześcia wieści o strajku styczniowym były groźnym memento.

Kühlmann wił się jak piskorz, grał różne melodie i do czasu socjaldemokraci i postępowcy poczytywali go za adepta pokoju. W oczach zaś imperialistów, chociaż nie Ludendorffa, uchodził za zwolennika rozległych zdobyczy.

Trudności przysparzali również Niemcom sprzymierzeńcy, roszczenia bułgarskie i tureckie okiełznali, z Austriakami doszło natomiast do charakterystycznego starcia. Czernin zaniepokoił się, że stanowisko delegacji niemieckiej może utrudnić lub opóźnić podpisanie traktatu i nie dopuścić, aby dzielny hrabia został wielkim pacyfikatorem - twórcą pokoju. Oświadczył więc Kühlmannowi, że w razie konieczności Austro-Węgry będą zmuszone zawrzeć pokój odrębny, gdyż otrzymał rozkaz cesarza Karola, aby pod żadnym pozorem nie dopuścić do zerwania rokowań z Rosjanami. Kühlmann oświadczenie to przyjął spokojnie, a nawet nie bez pewnego zadowolenia, gdyż mogło mu to ułatwić grę z Naczelnym Dowództwem. Czernin nie zadowolili się perswazjami u Kühlmanna, usiłował też postraszyć dowództwo niemieckie. Feldmarszałek-porucznik, czyli generał dywizji Maximilian Csicseric de Bacsany powtórzył groźby Czernina generałowi Hoffmannowi i usłyszał nie pozbawioną arogancji odpowiedź Prusaka: „Pomysł jest znakomity, zwolnię sobie w ten spo-

sób 25 dywizji, które teraz wspierają armię austro-węgierską. Po zawarciu pokoju odrębnego Austro-Węgry będą automatycznie kryły prawe skrzydło niemieckie i położenie armii niemieckiej polepszy się bardzo”. Podobnie i Ludendorff uznał, że pokój odrębny pomiędzy Austro-Węgrami i Rosją jest dla Niemców sprawą bez znaczenia.

Taki pogląd Ludendorffa to nowe świadectwo jego umysłu ciasnego i ograniczonego, kaprałskiego. Gdyby istotnie Austro-Węgry zawarły pokój odrębny z Rosją, a Niemcy pozostały z nią nadal w stanie wojny, jakież wrażenie musiałoby to wywołać w masach pracujących Niemiec, wrażenie fatalne, niebezpieczne dla ich władców. A jakież byłby to znakomity materiał dla propagandy antyniemieckiej na całym świecie? Ale w mózgu generała Ludendorffa istniały tylko „linie i centra etapowe oraz fronty”.

Inna rzecz, że pokój odrębny pomiędzy Austro-Węgrami i Rosją nie był możliwy; rozumiał to Kühlmann, nie rozumiał tego Ludendorff.

Zaniepokojenie w Berlinie, a zwłaszcza w Wiedniu budziła kwestia wpływu rewolucji rosyjskiej na masy pracujące i na masy żołnierskie w Państwach Centralnych. Z chwilą ustania działań wojennych wpływ ten działać musiał ze zwiększoną siłą.

Generał Hoffmann zapytał pewnego razu w rozmowie prywatnej eksperta delegacji rosyjskiej kontradmirała Wasilija Altvatera, jak to się stać mogło, że tak „wspaniałą armię cesarsko-rosyjską” rewolucja zupełnie rozbiła. Kontradmiral, niedawny oficer carski,

odpowiedział: „Wpływ propagandy bolszewickiej na masy jest olbrzymi. (...) Uprzedzam, że i z waszą armią będzie to samo”. Na to twierdzenie generał Hoffmann zareagował na pruską modłę. „Wyśmiałem nieszczęśliwego admirała”.

W gruncie rzeczy generał Hoffmann nie był tak bardzo pewien swoich żołnierzy, jak to się starał okazać. Rosjanie starali się przerzucać do okopów niemieckich ulotki agitacyjne, wzywające „braci żołnierzy niemieckich”, aby podjęli walkę o pokój i o socjalizm i aby szli „za wielkim przykładem waszego towarzysza Karola Liebknechta, znamienitego wodza międzynarodowego socjalizmu”.

Generał Hoffmann tym razem nie wyśmiał ulotek, lecz w ostrym tonie oświadczył delegatom rosyjskim, że rozprzestrzenianie wśród żołnierzy niemieckich ulotek agitacyjnych jest aktem nielojalności wobec rządu Rzeszy, jest to bowiem mieszanie się w wewnętrzne sprawy Niemiec. Jeśli bolszewicy nie zaprzestaną akcji ulotkowej „utrudni to poważnie dalszy bieg rokowań”.

Agitacja bolszewicka bardziej niż Niemców niepokoiła Austriaków. Hrabia Czernin usiłował robić dobrą minę do złej gry i oświadczył Joffemu, że jeśli będzie on chciał idee rewolucyjne „zaszczepić” w krajach monarchii, lepiej, aby pierwszym pociągiem wracał do Rosji, gdyż o pokoju nie będzie można wtedy rozmawiać. „Pan Joffe - relacjonuje Czernin - ze zdumieniem spojrzał na mnie swymi łagodnymi oczami i rzekł wciąż dla mnie niezapomnianym, przyjaznym, niemal

proszącym głosem: „Panie Hrabio, mam jednak nadzieję, że uda nam się wywołać i u was rewolucję”.

Hrabia Czernin chętnie grywał w pokera i w rozmowie z Joffem posłużył się metodą stosowaną przez graczy pokerowych. Myślał wszakże zupełnie inaczej; w instrukcji dla hr. Augusta Demblina, przedstawiciela *Ballplatzu* przy Naczelnej Komendzie Armii austro-węgierskiej, stwierdzał, że nie ulega dla niego wątpliwości, iż bolszewicy będą usiłowali rewolucjonizować kraje monarchii. „W każdym razie - pisał - niebezpieczeństwo jest mniejsze niż groźba zupełnego wyczerpania Państw Centralnych, przed którą stoimy, jeśli gospodarczo nie zwiążemy z nami Rosji. Nie mamy innego wyboru i musimy zrobić wszystko, aby jak najprędzej zawrzeć z Rosją pokój”.

22 grudnia 1917 r., Brześć, wielka sala teatralna kasyna oficerskiego, pierwsze posiedzenie plenarne konferencji pokojowej. Siedzą za zielonym stołem obrad Niemcy - sekretarz stanu chłodny i opanowany Richard von Kühlmann, brutalny generał Max Hoffmann, obok Austriacy - nerwowy Ottokar Czernin, hrabia Ferdinand Colloredo, ambasador Kayetan Merey, feldmarszałek-porucznik Maximilian Csicseric de Bacsan, Turcy Halil i Ahmed Nessimi Bey, Bułgarzy Popow i Petar Ganczew, a naprzeciwko przebiegły Adolf Joffe, Lew Kamieniew i uczyony Michaił Pokrowski.

Według powierzchownego sądu za brzeskim stołem konferencyjnym zasiedli przedstawiciele stron walczących. Ale kto umiał patrzeć głębiej zrozumiał, że pierwszy raz w dziejach zetknęły się tu dwa światy -



świat monarchii feudalnych, świat burżuazji imperialistycznej, świat pewnej siebie kasty oficerskiej i świat rewolucji, świat nowy, nieznanym i niezrozumiałym. Pierwszy to tego typu wypadek w dziejach, przeciwieństwo pomiędzy stronami większe niż swego czasu przeciwieństwo pomiędzy monarchiami dawnego porządku a rewolucją francuską.

Głębokie, zasadnicze sprzeczności ujawniły się od razu. 23 grudnia 1917 r. delegacja rosyjska przedstawiła 6 punktów, podstawę do rokowań. A oto one:

1) Terytoria zajęte w wyniku działań wojennych nie mogą być anektowane; wojska, które te tereny okupują, powinny je ewakuować w najbliższym czasie.

2) Należy przywrócić pełną niezależność polityczną narodom, które tę niezależność utraciły podczas wojny.

3) Narody, które przed wojną były pozbawione niezależności politycznej, otrzymają możliwość wypowiedzenia się w referendum, do którego państwa chcą należeć lub czy chcą korzystać z pełnej niezależności.

4) Na terytoriach mieszanych pod względem narodowościowym mniejszości otrzymają ustawowo zagwarantowane prawo rozwoju własnej kultury, a jeśli to możliwe i autonomii politycznej.

5) Żadne państwo nie będzie płaciło odszkodowań wojennych.

6) Sprawy kolonii zostaną rozstrzygnięte zgodnie z postulatami wyrażonymi w punktach 1) do 4).

Delegaci rosyjscy rozumieli, rzecz prosta, że ich postulaty były nierealne w tym sensie, że mocarstwa

walczące, zarówno Państwa Centralne, jak i państwa zachodnie, mogły je przyjąć tylko w razie zupełnej przegranej, a do tego było jeszcze daleko. Niemniej jednak opublikowanie postulatów tego rodzaju było dla Państw Centralnych mocno kłopotliwe. Gen. Hoffmann uważał jednak, że Rosjanie nie dość wyraźnie rozumieją sytuację i wyobrażają sobie, że Niemcy zgodzą się cofnąć do granicy z roku 1914. Podczas wspólnego śniadania 23 grudnia wyjaśnił Joffemu, że jeśli kraje wchodzące dawniej w skład cesarstwa rosyjskiego, dobrowolnie na podstawie uchwał swoich kompetentnych (*zuständig*) przedstawicielstw politycznych zechcą odebrać się od Rosji i związać z Niemcami lub z innym państwem, to rzecz prosta nie będzie to aneksją: dotyczy to właśnie Polski, Litwy i Kurlandii. Po śniadaniu odbyła się na ten temat długa rozmowa między Kühlmannem, Czerninem i Hoffmannem z jednej, a Joffem, Kamieniewem i Pokrowskim z drugiej strony. Joffe wyglądał „jakby dostał pięścią w głowę”, Pokrowski „płakał ze złości”, iż gdy Rosji wydziera się 18 guberni, nie można mówić o pokoju bez aneksji. Rosjanie zagrozili nawet zerwaniem rokowań. Kühlmann i Hoffmann przyjęli protesty rosyjskie ze spokojem, Czernin natomiast stracił panowanie nad sobą i groził pokojem odrębnym.

W opałach znalazł się zwłaszcza Kühlmann, przemyślnie plany taktyki krzyżowali mu i swoi, i sprzymierzeńcy. Coraz to dźwięczał telefon z wezwaniami Ludendorffa, aby stawiać ostre warunki, Czernin mówił o pokoju odrębnym, Turcy domagali się, aby Rosja wy-

cofała się z Kaukazu, Bułgarzy żądali, aby w Brześciu uznano, że zdobycze bułgarskie w Macedonii i w Dobrudży to nie aneksje. Nie dziwota więc, że delegacje Czwórprzymierza zużyły dwa dni na usunięcie przeciwnieństw i ustalenie tekstu wspólnej odpowiedzi.

Na wieczornym posiedzeniu w dniu 25 grudnia 1917 r. w imieniu Niemiec, Austro–Węgier, Turcji i Bułgarii zabrał głos hrabia Czernin i złożył następującą deklarację:

Delegacje państw sprzymierzonych uznają propozycje rosyjskie za godną rozważenia podstawę przyszłego pokoju. Delegacje państw Czwórprzymierza zgadzają się na natychmiastowe zawarcie powszechnego pokoju bez aneksji dokonywanych przemocą i bez odszkodowań. Jeśli wszakże postulaty delegacji rosyjskiej mają być spełnione, należy stwierdzić wyraźnie, że wszystkie bez wyjątku państwa biorące udział w wojnie zobowiążą się do ich przyjęcia w uzgodnionym terminie i bez żadnych zastrzeżeń. Deklaracja głosiła dalej, że państwa Czwórprzymierza nic mają zamiaru dokonywać siłą aneksji ani też pozbawiać niepodległości narodów, które tę niepodległość utraciły w wyniku działań wojennych. O losie narodów nie mających własnej państwowości nie mogą decydować obce państwa, muszą go rozstrzygnąć same narody. Kolonie mają być Niemcom zwrócone.

Głos zabrał następnie Joffe wyrażając zadowolenie, że delegacje Czwórprzymierza przyjęły zasady rewolucji rosyjskiej pokoju powszechnego bez aneksji, zaproponował następnie dziesięciodniową przerwę

w obradach, „aby narody, których rządy nie przyłączyły się jeszcze do obecnych rokowań o pokój powszechny, uzyskały możliwość gruntownego poznania podstaw takiego pokoju”.

Delegaci wyjechali do stolic swych krajów dla zdania sprawy z dotychczasowych działań i uzyskania dalszych pełnomocnictw. Najcięższa bodaj przeprawa czekała w Berlinie Kühlmanna, gdyż w oczach Ludendorffa sytuacja militarna Niemiec rysowała się niezmiernie pomyślnie, toteż kwatermistrz generalny taktykę i pozorne ustępstwa delegacji niemieckiej w Brześciu poczytywał za błąd szkodliwy.

Rokowania wznowiono 10 stycznia 1918 r. Delegacji rosyjskiej nie przewodniczył już Joffe, lecz komisarz ludowy spraw zagranicznych Lew Trocki.

U stołu obrad zasiadali dotychczas przedstawiciele pięciu państw; jeszcze dwa państwa zgłosiły chęć wzięcia udziału w rokowaniach brzeskich – Polska i Ukraina.

Rząd Rady Regencyjnej zabiegał o uzyskanie przedstawicielstwa w Brześciu, by zdobyć orientację w dążeniach trzech mocarstw, starać się o realizację własnych planów urzędzenia odbudowywanego państwa, a w każdym razie parować szkodliwe dla Polski działania brzeskich partnerów. Stanowisko rządu Rzeszy było od początku nieżyczliwe i nielojalne. Postulat rządu polskiego, zgłoszony zapewne zbyt późno, przedstawił Kühlmannowi prezydent ministrów Jan Kucharzewski w rozmowie w dniu 20 grudnia 1917 r. w wagonie salonowym pociągu pośpiesznego Berlin - Brześć

na trasie pomiędzy Łowiczem a Warszawą. Kühlmann wyjaśniał, że sprawę rozstrzygnąć może jedynie kanclerz w porozumieniu z Wiedniem, że Urząd Spraw Zagranicznych nie miał dotąd możliwości opracowania postulatu polskiego, że może przedstawić jedynie opinię osobistą; otóż sądzi, że w Brześciu rokują tylko przedstawiciele państw walczących, a Polska do nich nie należy. Argument Kucharzewskiego, że walki Legionów każą uznać Polskę za beligeranta, odparował Kühlmann wspominając wojska polskie walczące po stronie Koalicji. Kucharzewski nie zrezygnował i dawał przykłady, jak to na kongresy międzynarodowe zapraszano przedstawicieli narodów, których sprawy stały na porządku obrad; podkreślał, że odmowa Państw Centralnych wywołałaby w Polsce wielkie rozgoryczenie. Kühlmann nie dał się przekonać, widział natomiast takie wyjście z sytuacji: niechaj rząd polski w memoriale na piśmie przedstawi mocarstwu swe stanowisko.

Jan Kucharzewski musiał to uznać za odmowę, a jednak Kühlmann zostawiał - sobie, nie rządowi polskiemu - uchyloną furtkę; w piśmie do Urzędu Spraw Zagranicznych stwierdzał: „Proponowałbym nie wiążąco nie zamykać tych możliwości (tj. zaproszenia Polaków do Brześcia) w rozmowach berlińskich (Rady Regencyjnej), gdyż w pewnych okolicznościach wystąpienie przedstawicieli polskich w Brześciu może być pożyteczne dla naszych działań wobec Polaków, wobec Rosjan i wobec nieprzyjacielskiej zagranicy”.

Fakt, że Polska nie należała do państw biorących udział w wojnie, posłużył za pretekst do odmowy za-

proszczenia delegacji polskiej do Brześcia; beligerantem nie była Ukraina, ale to nie przeszkodziło przybyciu Ukraińców do Brześcia.

Byłej sprawą oczywistą, że państwa Koalicji zlekceważą i pozostawią bez odpowiedzi wezwania negocjatorów brzeskich, wydawało się więc, że wznowione w styczniu rokowania prowadzić będą przedstawiciele tych samych pięciu państw - pełnomocnicy Czwórzprzymierza i Rosji. Tymczasem zgłosili się wysłańcy szóstego mocarstwa i bez niczyjego sprzeciwu zasiedli u stołu obrad. Byli to szef rządu ukraińskiego Wsiewołod Hołubowicz i trzech młodzieńcy - Mykoła Lubynski, Mykoła Łewycki i Ołeksandr Sewriuk.

Kogo reprezentowali czterej Ukraińcy i jak doszło do tego, że bez przeszkód wzięli udział w negocjacjach brzeskich?

17 marca 1917 r. zawiązała się w Kijowie Centralna Rada Ukraińska; wkrótce potem stanął na jej czele przybyły z zesłania z Symbirska profesor Uniwersytetu Lwowskiego, wybitny badacz dziejów Ukrainy Michaił Hruszewski. Jeszcze w lipcu 1917 r. Centralna Rada stała na stanowisku, że Ukraina tworzy część państwa rosyjskiego, a konstytuanta wszechrosyjska uchwali autonomię ukraińską. Stanowisko to Rada zmieniła po przewrocie listopadowym. W dniu 20 listopada 1917 r. proklamowała niepodległą republikę ukraińską. 3 grudnia wielki zjazd w Kijowie znaczną większością głosów udzielił wotum zaufania Centralnej Radzie. Mniejszość opuściła zjazd i utworzyła w Charkowie komunistyczny Centralny Komitet Wykonawczy Ukraiński.

W grudniu 1917 r. miała Ukraina dwa rządy, jeden w Kijowie, jeden w Charkowie. Za Radą Centralną opowiadali się chłopi, Komitet Charkowski miał oparcie głównie w proletariacie miejskim. Przyszłość niedaleka miała pokazać, który z tych dwóch rządów weźmie górę.

Na razie Centralna Rada nawiązała kontakt z państwami Koalicji. Zainteresowanie Koalicji Ukrainą miało cel podwójny, może nawet potrójny: skierowanie nowego państwa ukraińskiego do walki przeciwko Niemcom, przeciwdziałanie szerzącym się tam wpływom rosyjskiej rewolucji komunistycznej i wreszcie *last but not least* ratowanie kapitałów francuskich zaangażowanych w Zagłębiu Donieckim. Niewiele wody upłynęło w Dnieprze, gdy w Radzie Centralnej górę wzięła myśl oparcia się na Państwach Centralnych. Wojska niemieckie i austriackie były w pobliżu, francuskie i brytyjskie za morzami i za górami.

Do porozumienia doszło szybko i już 1 stycznia 1918 r. Ukraińcy znaleźli się w Brześciu. Po naradach z Niemcami i Austriakami zjawili się na drugim plenarnym posiedzeniu. Szef rządu ukraińskiego Wasilij Hołubowicz odczytał notę Sekretariatu Generalnego Centralnej Rady datowaną 24 grudnia 1917 r., określającą postulaty ukraińskie. Oczywiście wszystkich zwróciły się na delegację rosyjską, wiele zależało od jej stanowiska. Ku zadowoleniu pełnomocników Czwórprzymierza komisarz Trocki oświadczył, iż nie widzi przeszkód, aby delegacja ukraińska wzięła udział w obradach, Rosja uznaje bowiem prawo każdego narodu do samosta-

nowienia aż do zerwania więzów z państwowością rosyjską. Zadano wówczas Trockiemu pytanie, czy Ukraińcy wchodzi w skład delegacji rosyjskiej, czy też tworzą delegację samodzielną. Odpowiedź komisarza ludowego spraw zagranicznych była jasna: delegacja ukraińska jest delegacją samodzielną, odrębną.

Hrabia Czernin powitał Ukraińców z uczuciami mieszanymi. Z jednej strony ich obecność w Brześciu można było doskonale wyzyskać przeciwko Rosjanom i przeciwko Polakom, z drugiej wszakże dwudziestoparoletni młodzieńcy, którzy wystąpili z wielką pewnością siebie, działali hrabiemu na nerwy, zwłaszcza że niezupełnie jasna była ich przeszłość (np. Sewriuk miał być dezercerem z armii austriackiej, gdzie służył jako kapral). Ale był przecież sprzymierzeniec niemiecki. Generał Hoffmann zaproponował przyjacielską usługę, on najpierw rozmówi się z Ukraińcami i ustali z nimi warunki pokoju. A oto warunki ukraińskie: przyłączenie do Ukrainy Chełmszczyzny, Galicji Wschodniej i Bukowiny. Ciekawa relacja o tej rozmowie Hoffmanna: „Niepodległe państwo polskie uważałem i uważam za utopię, nie miałem więc żadnych wątpliwości i przyrzekłem Ukraińcom poparcie w sprawie chełmskiej; domaganie się natomiast terytorium austriackiego uznałem za bezczelność i nie miałem żadnych skrupułów, aby to tym panom szorstko powiedzieć”.

Na pewno nikogo nie nękają wątpliwości, czy istotnie dzielny Prusak przemówił „szorstko”. Ukraińcy wszakże nie czuli się dotknięci, lecz w „bardzo uprzej-



my sposób” odpowiedzieli, że zwrócą się po nowe instrukcje do Kijowa.

Czernina zakusy ukraińskie na kraje monarchii habsburskiej mogły może i nieco poirytować, ale nie na długo. Znalazł w nich bowiem później tytuł do chwały, gdy sławił swą nieugiętość, z jaką odważnie przeciwstawił się panom Łewyckiemu, Lubynskiemu i Sewriukowi.

Posiedzenia plenarne brzeskie charakterem swym odbiegały daleko od dotychczasowych konferencji i zjazdów międzynarodowych, nadawał im ton komisarz ludowy Trocki. Nie mówił w sprawach konkretnych, o wytyczeniu granic, o wymianie jeńców itp. Przemawiał według określenia niemieckiego, *zum Fenster* - „do okna”, zwracał się nie do zasiadających po drugiej stronie stołu obrad delegatów Czwórprzymierza, lecz do mas pracujących Europy. Mówił o okropnościach wojny, o pokoju, wyrażał sympatię dla narodów Austro-Węgier, Turcji i Bułgarii, zapewniał o szacunku dla mas pracujących Niemiec, „na których opiera się cała niemiecka kultura”.

„Trocki - pisał Czernin - to człowiek interesujący, zręczny i bardzo niebezpieczny przeciwnik. Jest to doskonały mówca, szybki i zręczny w odpowiedzi, - widziałem takich rzadko, jest przy tym zuchwały, jak to bywa u ludzi jego rasy”.

Wreszcie Niemcom było tego dosyć. 12 stycznia 1918 r. po długiej mowie Kamiemiewa wstał generał Hoffmann i oświadczył: „Muszę zaprotestować przeciwko tonowi propozycji (rosyjskich). Delegacja rosyj-

ska rozmawia z nami tak, jakby Rosjanie stali zwycięsko w naszym kraju i mogli dyktować warunki. Zwracam uwagę, że sprawy przedstawiają się akurat na odwrót - to zwycięska armia niemiecka stoi na waszym terytorium". Wyrzucał Rosjanom, że ich słowa różnią się od ich czynów.

Ostry ten atak na Rosjan generał wypowiedział spokojnie, nie podnosił głosu, nie popierał swych słów gestami. Ale już na drugi dzień poszła po świecie wieść, że generał Hoffmann miał rokować, bił pięścią w stół. 17 stycznia przywódca socjalistów austriackich Viktor Adler oburzał się w Wiedniu, że w Brześciu generał „wali pięścią w stół, pobrzękuje szablą i zagraża pokojowi”.

Kühlmann zauważył, że podczas wystąpienia Hoffmanna „ciemne oczy Trockiego zabłyśły z zadowolenia”. Komisarz ludowy widział jasno, że mowę Hoffmanna będzie można znakomicie wyzyskać propagandowo.

W akcji propagandowej Rosjanie znacznie górowali nad Niemcami. Wybiegnijmy nieco naprzód. 7 lutego 1918 r. Trocki poruszył sprawę udziału Polaków w rokowaniach brzeskich. Na żądanie Trockiego zabrał głos członek delegacji rosyjskiej Polak Stanisław Bobiński i odczytał po rosyjsku deklarację w imieniu proletariatu polskiego. Stwierdził, że przemawia w imieniu SDKPiL, a więc tej partii, która od 25 lat przewodzi polskiemu ruchowi robotniczemu. Żądał, aby wojska i władze okupacyjne opuściły ziemie polskie, aby narodowi polskiemu zapewniono wolność prasy, słowa

i zrzeszania się, aby zniszczenia wojenne w Polsce naprawiono z funduszu międzynarodowego, utworzonego z podatku, którym obciążyć należy klasy posiadające państw biorących udział w wojnie, aby granice przyszłego państwa polskiego ustalono w drodze plebiscytu i na podstawie porozumienia z ludnością krajów sąsiednich. Podkreślił również, że Polacy wcieleni do trzech armii zaborczych muszą walczyć przeciwko własnym rodakom w interesie obcej „ojczyzny”. Tłumaczenie niemieckie deklaracji Bobińskiego odczytał znany później Karol Radek.

Wystąpienie Bobińskiego zdenerwowało Niemców. Kühlmann zaprotestował przeciwko przedłużaniu obrad długimi deklaracjami wygłaszanymi „do okna”, tzn. do opinii światowej, do ulicy. Do Berlina telegrafował, że „zuchwała i demagogiczna brutalność (deklaracji) pozostawiła w cieniu wszystko, co Rosjanie dotąd mówili”. W sukurs sekretarzowi stanu pospieszył generał Hoffmann. „Protestuję - mówił - przeciwko temu, że panowie Bobiński i Radek ośmielają się przemawiać w imieniu żołnierzy niemieckich. Muszę energicznie wziąć w obronę żołnierzy niemieckich narodowości polskiej, którzy na wszystkich frontach walczyli chwalebnie za swoją ojczyznę - Rzeszę Niemiecką”.

Zapewne nie wszystkim Polakom trafiły do przekonania wywody Bobińskiego, ale na pewno wszystkich oburzyły słowa Hoffmanna.

Dygresje pozwoliły w pewnej mierze odtworzyć atmosferę panującą w Brześciu, atmosferę wzajemnej nieufności.

9 stycznia 1918 r., o godz. 11 w południe posiedzenie plenarne otworzył wielki wezyr Talât Paşa i oddał przewodnictwo sekretarzowi stanu spraw zagranicznych Rzeszy. Przemówienie przewodniczącego zaczynały słowa: „Wasza Wysokość! Łaskawa Pani! Panowie!” Powitanie zwracało się więc najpierw do zaszczyconego najwyższym tytułem wielkiego wezyra imperium osmańskiego, następnie do jednej na sali damy, do pani Bicenkowej.

Posiedzenia plenarne w dniach 9 i 10 stycznia 1918 r. przyniosły ważne rozstrzygnięcia. Stwierdzono najpierw, że państwa zachodnie nie udzieliły odpowiedzi na apel pokojowy i nie zapowiedziały przystąpienia do rokowań. Państwa Centralne uznały więc, że straciły aktualność zapowiedziane uprzednio podstawy pokoju, mianowicie pokój bez aneksji; uznano również, że w Brześciu toczyć się będą rokowania nie o pokój powszechny, lecz o pokój odrębny pomiędzy Rosją a państwami Czwórprzymierza.

10 stycznia Trocki wyjaśnił ostatecznie, że Rosja uznaje prawo każdego narodu do samostanowienia o swym losie, delegacja ukraińska jest więc delegacją samodzielną; nie może jeszcze wszakże określić terytorium, w którego imieniu przemawiają delegaci ukraińscy, gdyż „republika ukraińska przechodzi proces stawiania się”. Nie będzie tu wszakże sporu pomiędzy delegacją rosyjską a ukraińską, wszystkie bowiem sprawy sporne rozstrzygnie ludność w głosowaniu powszechnym.

Rozpoczęły się teraz zapasy retoryczne pomiędzy Kühlmannem i Trockim; coraz to włączali się do nich brutalnie Hoffmann, nerwowo i mitygujące Czernin.

Spór toczył się o ziemię polskie, o Litwę, Kurlandię, Inflanty. Niemcy dowodzili, że ludność tych ziem wypowiedziała się już za pośrednictwem swych przedstawicielstw politycznych, że już określiła swe stanowisko i swą wolę oparcia się na Rzeszy. Trocki utrzymywał, że ludność ta będzie się mogła wypowiedzieć dopiero po wycofaniu się z zamieszkałych przez nią terytoriów wszystkich wojsk okupacyjnych i że decyzje należą do ludzi pracy, a nie do klas posiadających.

Mowom Kühlmanna i Trockiego z rosnącym zderwaniem przysłuchiwał się hrabia Czernin. Znajdował się w położeniu istotnie niełatwym, jakby między Scyllą a Charybdą. Z jednej strony wygórowane żądania Niemiec w Brześciu, z drugiej wzburzenie w krajach monarchii z powodu przedłużania się rokowań brzeskich.

Kraje monarchii ogarnęła fala strajków. Rozpoczęły się 16 stycznia w Dolnej Austrii, wybuchły 17 stycznia w Wiedniu, ogarnęły Budapeszt, gdzie demonstranci wybili szyby w konsulacie niemieckim. Obserwatorzy niemieccy zwracali uwagę na fakt, że ruch strajkowy wzbierał najpierw w „czysto niemieckich” częściach monarchii, poczytywali to za dowód, że „położenie uznać należy za bardzo poważne”. Nad Austrią wisiała groźba strajku powszechnego. Przez kilka dni w Wiedniu wychodziły jedynie dzienniki socjalistycz-

ne. Na wiecach robotniczych wznoszono okrzyki: „Pfui Hoffmann!”

Szef rządu austriackiego Ernst von Seidler zapewnił ambasadora niemieckiego, hrabiego Botho von Wedela, że przywódcy socjalistyczni „mają dobrą wolę”, ale nie wywierają dostatecznego wpływu na masy.

Powagi sytuacji dowodził również i telegram, który c. i k. szef sztabu wysłał do Brześcia do Czernina. Generał von Arz przyczynę strajku widział „w niespokojnym i przewlekłym biegu rokowań brzeskich”, wspominał też o fatalnym wrażeniu, jakie wywołała mowa Hoffmanna. „Konsekwencje tego ruchu - stwierdzał - dla armii w polu i dla prowadzenia wojny w ogóle mogą być bardzo niebezpieczne”. W konkluzji szef sztabu prosił ministra spraw zagranicznych, aby osobiście wpływał na właściwe redagowanie komunikatów prasowych o rokowaniach brzeskich.

Zaniepokojenie Niemców budził brak silnej indywidualności w kołach rządowych Austrii. „Gdyby ster rządów - pisał 17 stycznia ambasador Wedel - dzierżył człowiek mocny, jak np. hrabia Tisza, nie byłoby podstaw do obaw, ale przy tym słabym rządzie należy się przygotować na najgorsze, jeśli rokowania brzeskie nie wezmą innego obrotu”.

A jednak gdy prezes ministrów Seidler zwrócił się do Niemców z prośbą o doraźną pomoc i o wysłanie do Wiednia zboża dla zapelnienia pustych magazynów stolicy, spotkał się z odmową. Może rząd Rzeszy pomocy udzielić nie mógł, a może udzielić nie chciał. W każdym razie miał powód do niezadowolenia z nastrojów

w Austrii. Oto w komisji budżetowej parlamentu deputowany socjalistyczny Karl Seitz wezwał rząd austriacki, aby uczynił wszystko co może dla zawarcia pokoju; pokój uniemożliwiają niemieckie żądania aneksji. Mowę Seitz'a szeroko rozpowszechniono pośród robotników.

Tymczasem w Brześciu nastąpiło pewne zahamowanie obrad, chociaż nadal pracowały komisje; 19 stycznia 1918 r. wyjechał do Piotrogradu Trocki solennie obiecując Kühlmannowi powrót po kilku dniach. 20 stycznia udał się do Wiednia hrabia Czernin.

Staął w stolicy doszczętnie wyczerpany nerwowo, głowa ministerialna snuła wszakże dalekosiężne plany. Przedstawił je minister na posiedzeniu Rady Koronnej pod przewodnictwem cesarza Karola w Wiedniu w dniu 22 stycznia 1918 r. Widział w Brześciu dwa problemy do rozwiązania: pokój z Rosją i pokój z Ukrainą. Przeszkodą na drodze do pokoju z Rosją były niemieckie chęci rozległych aneksji. Przeszkodę tę zamierzał Czernin obejść zawierając z Rosją pokój odrębny i prosił o zezwolenie cesarskie. Traktat z Rosją miał zawierać jeden tylko artykuł: stwierdzenie, że zakończył się stan wojny pomiędzy monarchią Habsburgów a republiką rosyjską. Ale hrabia Ottokar Czernin von und zu Chudenitz był człowiekiem charakteru i nielojalność wobec sprzymierzeńca pragnął mu wynagrodzić, projektował więc obiecać Niemcom „wydatną pomoc” na froncie zachodnim. W jaki sposób wyczerpana Austria mogłaby udzielić Niemcom „wydatnej pomocy” militarnej, pozostanie tajemnicą tego niepo-

spolitego męża stanu, który - według trafnego określenia Askenazego - należał do „mistrzów śmiesznego autoramentu”, co to „kłamią zawsze, a nie oszukują nigdy” (*qui mentent toujours et ne trompent jamais*).

Inny charakter miało mieć „porozumienie z Ukrainą”. Traktat pokoju odrębnego z Rosją - za co trzeba by płacić Niemcom - byłby przykrą koniecznością, miałby dla hrabiego Czernina charakter wstydlivy. Traktat z Ukrainą natomiast miał mu przynieść laury twórcy pokoju, zbawcy Austrii, który biednej, głodującej ludności da chleba. Trudności były niemałe, delegaci ukraińscy żądali najpierw, aby monarchia Habsburgów odstąpiła Ukrainie Galicję Wschodnią, Bukowinę i Ukrainę Zakarpacką. Dzielny hrabia żądania te odrzucił z mocą, nie odważył się już wszakże odrzucić dalszego postulatu ukraińskiego - uformowania z Galicji Wschodniej i Bukowiny oddzielnej ukraińskiej prowincji w ramach państwa austriackiego. Było to oczywiste mieszanie się do spraw wewnętrznych Austro-Węgier, bardziej upokarzające niż prowadzona przez Rosjan propaganda rewolucyjna, przeciwko której tak ostro protestowali w Brześciu delegaci Czwórprzymierza. Nie rozumiał tego, czy nie chciał rozumieć Czernin, nie rozumiał tego, czy nie chciał rozumieć austriacki prezes ministrów Seidler, dojrzał to natomiast jasno węgierski prezes ministrów Sandor Wekerle. Dojrzał, że ingerencja w wewnętrzne sprawy jest niebezpieczna dla każdego państwa, a szczególnie groźna dla wielonarodowościowej monarchii Habsburgów, tworzy bowiem precedens i dla Włoch, i dla Rumunii. Przestrzegał



również przed uzależnieniem Austro–Węgier, które były jeszcze wówczas mocarstwem, od „organizmu państwowego, opierającego się na tak chwiejnej podstawie, jak republika ukraińska”. Wekerle ostrzegał również, że plany Czernina to utrata Polski i powstanie niebezpiecznej irredenty polskiej. Rozumieli to i Czernin, i inni członkowie Rady Koronnej. Seidler z większą pewnością siebie niż znajomością sytuacji w Austrii zapewniał, że wbrew opozycji polskiej znajdzie w parlamencie większość 2/3 głosów, aby przeprowadzić podział Galicji. Czernin przyznał, że podział Galicji to „głęboki ukłon” przed Ukrainą, to ciężki precedens, który nas wprowadzi na równię pochyłą. Ale co począć wobec grożącej katastrofy głodu?

Rada Koronna postanowiła: 1) upoważnić ministra spraw zagranicznych do zawarcia z „maksymalistami” rosyjskimi pokoju odrębnego; 2) wszcząć rokowania z Ukraińcami na podstawie podziału Galicji; 3) zrezygnować na razie (*vorläufig*) z rozwiązania austro–polskiego, a mieć na uwadze pozyskanie dla monarchii Rumunii.

Rzecz zdumiewająca, że nikt z dygnitarzy Rady Koronnej nie zadał pytania, nie próbował zastanowić się, czy Ukraina istotnie dysponuje wielkimi zapasami zboża, a jeśli tak, to czy będą możliwości ich wywiezienia z kraju. Musiano przecież zdawać sobie sprawę, że Centralna Rada jest instytucją pozbawioną wpływów i władzy.

Z trzech stron zaczęła się ciemna, fałszywa gra i wkrótce przybrała wszelkie znamiona komedii. Z jed-

nej strony występowali rzekomo w imieniu Ukrainy przedstawiciele instytucji pozbawionej w narodzie ukraińskim znaczenia i władzy, z drugiej niezgrabnie dążył do osobistego sukcesu hrabia Czernin, z trzeciej wreszcie działali ci, którzy w Brześciu mieli rzeczywiście coś do powiedzenia - Niemcy. I Niemcy w rezultacie zdecydowali. Tak zwany traktat z Ukrainą był dziełem nie Austriaków, nie Czernina, lecz Niemców.

Ukrainą interesowali się Niemcy jeszcze na długo przed wojną. Zainteresowanie to wzrosło - rzecz prosta - po rozpoczęciu działań wojennych. Już w 1914 r. myślano o poparciu narodowego ruchu ukraińskiego i wywołaniu na Ukrainie powstania, gdyby wkroczyły tam wojska niemieckie i austriackie. W miarę rozwoju sytuacji na wschodzie Europy budziła Ukraina coraz baczniejszą uwagę Berlina. Już nie tylko względy militarne - dywersja zbrojna na tyłach wojsk rosyjskich - lecz widoki na ekspansję imperialistyczną dyktowały Niemcom zainteresowanie ukraińskimi bogactwami.

Był jeszcze inny powód. Atutem ukraińskim można było szachować Polskę. Jeszcze przed aktem 5 listopada powstał w kołach imperialistów niemieckich projekt utworzenia na ziemi chełmskiej „ukraińskiego Piemontu”. Byłaby to droga na Ukrainę dla utworzenia tam własnej niemieckiej strefy interesów, byłoby to okrojenie Królestwa od wschodu i wbicie klina pomiędzy naród polski i ukraiński.

Podczas rokowań brzeskich wytyczenie granicy pomiędzy Polską a Ukrainą tak, aby ziemia chełmska i część Podlasia przypadły stronie ukraińskiej przepro-

wadził dokładnie na mapie profesor geografii uniwersytetu berlińskiego, radca tajny Albrecht Penck.

25 października 1917 r. generał Paul von Bartenwerffer, szef Wydziału Politycznego Naczelnego Dowództwa, złożył kanclerzowi memoriał w sprawie ukraińskiej. Memoriał wskazywał na znaczenie Ukrainy dla gospodarki rosyjskiej. Ukraina dawała Rosji 1/3 produkcji rolnej i 70% produkcji węgla i żelaza, utrata więc tego poważnie osłabiłaby Rosję. Niemcy władające Ukrainą to ważny element niemieckiej polityki światowej. Bartenwerffer tak sformułował motywy działań niemieckich na Ukrainie - osłabienie Polski przez wyzyskanie przeciwieństw polsko-ukraińskich, odparcie Rosji od Morza Czarnego i Cieśnin i oddzielenie jej od narodów bałkańskich, a przez to zabezpieczenie niemieckiej drogi z Berlina do Bagdadu.

Bartenwerffer był wyrazicielem nie tylko poglądów Naczelnego Dowództwa, ale i licznych kół imperialistów niemieckich. Pamiętamy, że kanclerz Bethmann Hollweg już we wrześniu 1914 r. w oderwaniu Ukrainy od Rosji upatrywał jeden z celów wojennych Niemiec. Podsekretarz stanu Wilhelm von Stumm mówił w sierpniu 1917 r. w Wiedniu Czerninowi, że Urząd Spraw Zagranicznych Rzeszy wszedł w porozumienie z separatystami ukraińskimi; Ukraińcy żądają, aby Niemcy poparli ich zakusy na ziemię chełmską i na Galicję Wschodnią. Ten ostatni postulat nie może być - zdaniem Stumma - zrealizowany póki Galicja Wschodnia wchodzi w skład monarchii habsburskiej; będzie to

wszakże możliwe, gdy Galicja połączy się z Królestwem.

Teren do traktatu z Ukrainą był więc dobrze przygotowany i nad Dunajem, i nad Sprewą, chociaż na innych przesłankach opierano się w Wiedniu, i na innych w Berlinie.

Trudności wszakże zaczęła teraz stawiać delegacja rosyjska. Na posiedzeniu w dniu 30 stycznia Trocki przedstawił delegacjom Czwórprzymierza przybyłych właśnie wysłańców komunistycznego rządu ukraińskiego i wbrew swemu stanowisku sprzed kilkunastu dni stwierdził, że Centralna Rada nie ma uprawnień do wysyłania swych pełnomocników i do rokowań, gdyż jej upadek to kwestia godzin.

Przedstawiciele Państw Centralnych zdawali sobie sprawę z kruchości rządów Centralnej Rady, z nikłych wpływów, jakimi Rada dysponowała na Ukrainie, chcieli wszakże przed własnymi społeczeństwami wykazać się pozorami sukcesu, a zarazem móc kartą ukraińską szachować Trockiego. Trzeba było raz jeszcze zwrócić się tam, gdzie zapadały ostateczne decyzje.

Dnia 5 lutego zebrała się w Berlinie narada austriacko–niemiecka. Pospieszył z Brześcia Czernin z najbliższymi współpracownikami, przybył Kühlmann. W Berlinie przyjęli ich kanclerz z sekretarzami stanu Rzeszy i figura najważniejsza - sam generał piechoty Ludendorff.

Rezultat narady to Ukraina jako pierwszy obiekt polityki Państw Centralnych. Czerninowi chodziło przede wszystkim o ukraińskie zboże, Niemcy patrzyli

na sprawę szerzej, widzieli w Ukrainie ważny teren ekspansji i drogę do rozbicia Rosji. „Rosja rozpada się na odrębne republiki” - mówił Kühlmann. Prawiono o rozciągnięciu wpływów na Polskę, na Rumunię wszystko w ramach *Mitteleuropy*.

Militarny punkt widzenia decydował o stanowisku Ludendorffa. „Położenie militarne - wskazywał kwartmistrz generalny - wymaga działania na zachodzie, jasnej sytuacji na wschodzie, a więc pokoju z Ukrainą. (...) Chętnie powitałbym zerwanie rozejmu z Rosją. Podjęlibyśmy wówczas operacje wojskowe (...) i obalilibyśmy Trockiego. (...) Z wojskowego punktu widzenia zerwanie z nim to szczęście”.

Ostateczny wynik narady berlińskiej - najpierw pokój z Ukrainą, następnie rokowania z Trockim aż „do skutku pozytywnego lub negatywnego”. Jest to konieczne, gdyż „względy militarne wymagają jasnej sytuacji”. W razie zerwania rozmów z Rosjanami „szybka akcja wojskowa”.

Pobył Kühlmanna i Czernina w Berlinie nie przerwał rozmów z Ukraińcami, wszystko szło gładko i gdy szefowie delegacji powrócili do Brześcia, traktat z Ukrainą był już w zasadniczych zrzębach gotowy, Wokół doprowadzenia sprawy do szczęśliwego końca krzątał się energicznie przybyły do Brześcia parlamentarzysta austriacki, przywódca ukraiński baron Nikołaj Vassilko.

Podpisaniu traktatu towarzyszyły znamienne okoliczności. Rokowania prowadzone w dniu 8 lutego nie doprowadziły do ostatecznego uzgodnienia stanowisk.

Wieczorem delegaci Państw Centralnych zasiedli do stołu, po obiedzie partia pokera, pienił się szampan. O godzinie 2 w nocy z 8 na 9 lutego wezwano delegatów ukraińskich - i tak powstał traktat Państw Centralnych z Ukrainą.

Traktat stanowił, że dotychczasowa granica pomiędzy monarchią Habsburgów a Ukrainą jak dotychczas pozostanie nadal na Zbruczu, dalej zaś biec będzie począwszy od Tarnogrodu linią poprzez Biłgoraj, Szczebrzeszyn, Krasnystaw, Puchaczów, Radzyń Podlaski, Międzyrzec Podlaski, Sarnaki, Mielnik. Artykuł VII przewidywał, że do dnia 31 lipca 1918 r. Ukraina dostarczy Państwowym Centralnym „co najmniej milion ton zboża, do 50 tys. ton żywca” itd.

Światło na charakter, rozum stanu i poczucie godności państwowej i osobistej c. i k. ministra spraw zagranicznych i c. k. prezesa ministrów rzuca deklaracja podpisana 8 lutego 1918 r. przez przedstawicieli rządów Austrii i Ukrainy. Zadziwiająca ta deklaracja głosiła, że „republika ukraińska uchwaliła już teraz (*d'ores et déjà*) ustawy gwarantujące prawa ludności polskiej i niemieckiej, a także Żydom zamieszkującym republikę ukraińską”. Było i zobowiązanie drugiej strony - „Cesarski i królewski rząd Austrii jest zdecydowany poczynić kroki, aby częściom narodu ukraińskiego mieszkającym w Austrii dać możliwość jeszcze szerszego rozwoju ich narodowości i ich kultury rozwijając obowiązujące obecnie odpowiednie ustawy”. W tym celu rząd austriacki przedstawi obu izbom parlamentu projekt ustawy, na mocy której „części Galicji zamieszkałe

w większości przez ludność ukraińską zostaną oddzielone od królestwa Galicji i połączone z Bukowiną, aby utworzyć nowy kraj koronny”. Rząd austriacki zobowiązywał się zrealizować te postanowienia najpóźniej do 20 lipca 1918 r. Deklaracja była tajna.

Deklarację podpisali Ołeksandr Sewriuk, Mykoła Lubynski, Mykoła Łewycki, Ernst Ritter von Seidler, Ottokar Czernin. Ze strony ukraińskiej widniały na zobowiązaniu podpisy delegatów, ze strony austriackiej zaś nie tylko podpis Czernina, ale i prezesa ministrów. Seidler podpisał deklarację oczywiście nie w Brześciu, lecz w Wiedniu.

Tajna deklaracja austriacko–ukraińska miała niewątpliwie charakter upokarzający dla mocarstwa, jakim wówczas wciąż jeszcze pozostawała monarchia Habsburgów. Rząd tworzącego się państwa, rząd któremu grunt chwiał się pod nogami, ingerował w wewnętrzne sprawy mocarstwowego partnera i żądał zmiany jego konstytucji.

Jakie motywy, jakie względy skłoniły rząd austriacki do takiego ustępstwa? W przedstawieniu Czernina była to katastrofa głodowa grożąca Austrii i wielkie zapasy zboża, którymi dysponowała Ukraina. Minister miał wprawdzie pewne wątpliwości, czy Ukraińcy dotrzymają zobowiązań traktatowych. Wątpliwości tych pozbył się wszakże natychmiast, gdy delegaci ukraińscy oświadczyli mu, że biorą „pełną osobistą odpowiedzialność”, że Ukraina dostarczy Austrii „co najmniej” milion ton zboża. O doniosłym tym fakcie uradowany minister pospieszył natychmiast zawiado-

nić telegramami szyfrowymi premierów Austrii i Węgier.

Taki to człowiek w tak ciężkiej dla państwa chwili zasiadał na fotelu Kaunitza, Metternicha, Andrassyego.

W jakiej mierze nadzieje Czernina mogły być realne? Sprawy tej nie rozumiał czy też nie chciał jej rozumieć hrabia Czernin, ale rozumieli ją dobrze Niemcy. Rzeczoznawcy niemieccy twierdzili, że na Ukrainie znajdują się znaczne ilości zboża, gdyż od zamknięcia w początkach wojny Cieśnin ustał prawie jego eksport; zboże jest obecnie w rękach chłopów, jego nabycie i następnie transport napotkają ogromne trudności.

Miało się okazać bardzo prędko, że jeśli postanowienia traktatu ukraińskiego, mówiące o aprowizowaniu Austrii, nie mają się okazać martwą literą, trzeba będzie potrzebną żywność zdobywać. Stąd ekspedycja zbrojna.

Toteż traktat z Ukrainą miał kruche podstawy, a podcięła je jeszcze ostra opozycja polska. Widać było od razu, że wbrew buńczuczным zapowiedziom premier Seidler nie zdoła jej przemóc. W dniu 19 lutego 1918 r. c.k. prezes ministrów po naradzie z ministrem spraw zagranicznych oświadczył, że przedstawiciele rządu monarchii i delegat Centralnej Rady Ukraińskiej podpisali „wyjaśnienie uzupełniające i interpretujące” zawarty przed 10 dniami traktat brzeski w tym sensie, że ziemia chełmska nie będzie zaraz przyłączona bezpośrednio do Ukrainy; granicę na tym terenie wytyczy komisja mieszana po zbadaniu stosunków narodowościowych i wysłuchaniu życzeń ludności. Ów delegat



ukraiński przybyły właśnie do Wiednia Ołeksandr Sewriuk oświadczył w wywiadzie, ogłoszonym w dzienniku „Neue Freie Presse”, że Ukraina jest skłonna do ustępstw na rzecz Polaków i pragnie, aby ludność Chełmszczyzny wypowiedziała się w głosowaniu ludowym, do jakiego państwa chce należeć.

Sprawa nabrała charakteru niepoważnego i skompromitowała ostatecznie Czernina i Seidlera. Traktat międzynarodowy, zawarty przez pięć państw, zmieniono w bardzo istotnym punkcie przez rząd jednego tylko z sygnatariuszy w porozumieniu z jednym tylko delegatem innego kontrahenta.

Nie na tym koniec. W Wiedniu rozumiano, że obiecane przez Czernina zmiany konstytucyjne w cesarstwie austriackim są bezcelowym upokorzeniem, uznano więc zobowiązanie niefortunnego ministra za „pozbawione mocy”.

Interesujące są losy samego dokumentu, owej tajnej deklaracji z 8 lutego 1918 r., noszącej podpisy O. Sewriuka, M. Lubynskiego, M. Łewyckiego, E. Seidlera i O. Czernina. Owóż w dniu 16 lipca 1918 r. w siedzibie Urzędu Spraw Zagranicznych Rzeszy na Wilhelmstrasse w Berlinie, podsekretarz stanu baron Hjalmar von dem Busche-Haddenhausen w obecności ambasadora Austro–Węgier księcia Gottfrieda zu Hohenlohe-Schillingsfurst spalił oryginał tajnej deklaracji.

Pozostała wszakże w aktach niemieckiego Urzędu Spraw Zagranicznych kopia, którą wraz z protokołem spalenia oryginału ogłosili wydawcy wybranych aktów.

W sześć dni po podpisaniu pokoju z Ukrainą, dnia 15 lutego 1918 r. generał Friedrich von Bernhardi raportował, że panujący na ziemiach ukraińskich stan anarchii uniemożliwi wszelki wywóz stamtąd żywności. Wkrótce nadeszły kolejne wiadomości, że wszystkie większe miasta na Ukrainie i prawie wszystkie węzły kolejowe znalazły się już w rękach bolszewików.

Dnia 18 lutego 1918 r. rozpoczęli Niemcy marsz na Ukrainę - 1 marca padnie Kijów, 29 marca Połtawa, 8 kwietnia Charków. W początkach maja były już w rękach niemieckich Krym i wybrzeża Morza Azowskiego aż do Rostowa nad Donem. Chciano zapewnić sobie tym sposobem nie tylko ukraińskie zboże, ale i doniecki węgiel.

Rząd wiedeński początkowo odmówił udziału w operacji ukraińskiej.

Sprzeciwiał się temu cesarz Karol, sprzeciwiali się socjaliści, a ich głosy były potrzebne do uchwalenia budżetu. W dniu 19 lutego 1918 r. prezes ministrów Seidler zapowiedział w Parlamencie „*desinteressement* monarchii w marszu niemieckim”. Ale wówczas Niemcy zagrozili, że nie dopuszczą do Austrii transportów ukraińskiego zboża. Trzeba było ugiąć się przed wolą sprzymierzeńca. Dnia 28 lutego ruszyli Austriacy w kierunku południowo-wschodnim ku brzegom Morza Czarnego; 12 marca wkroczyli do Odessy.

Cel wyprawy określił szef sztabu wojsk operujących na Ukrainie generał Wilhelm Groener tymi słowy: „Umocnić rząd ukraiński, dać mu poparcie niemieckich

sił zbrojnych, a przede wszystkim wywieźć z kraju zboże i żywność - im więcej, tym lepiej.

Zawarcie pokoju z Ukrainą zmieniło charakter układów z delegacją rosyjską i to zarówno ze strony niemieckiej, jak i rosyjskiej,

Ludendorff dążył teraz wyraźnie do zerwania układów, żądał na wschodzie „jasnej sytuacji”, długie rokowania brzeskie uważał za zjawisko szkodliwe. Sądził, że osłabia to ducha bojowego armii niemieckiej, a nade wszystko podkopuje autorytet Rzeszy w świecie, u przeciwników i u neutralnych; lękał się, że w państwach Koalicji zrodzi się przekonanie, iż Niemcom potrzebny jest pokój za wszelką cenę, skoro prowadzą tak długie rokowania z przedstawicielami rządu, chwającego się w posadach, walczącego z ogromnymi trudnościami we własnym kraju. Kwatermistrz generalny uważał, że Brześć nie przyniesie Niemcom pokoju, lecz „dalszy spadek naszej duchowej gotowości bojowej”, „siedział w Kreuznach jak na rozzarzonych węglach” i żądał od generała Hoffmanna zakończenia rokowań. Irytację dowództwa niemieckiego wzmogła jeszcze agitacja rewolucyjna; Rosjanie próbowali ją szerzyć ulotkami i apelami radiowymi wzywającymi do wymordowania cesarza, generałów i oficerów. Był to dla Niemców zarazem dogodny pretekst do zaostrożenia stanowiska wobec rosyjskiego rządu rewolucyjnego. Cesarz Wilhelm chętnie przychylił się do życzenia Naczelnego Dowództwa, lubił bowiem takie imperatorskie gesty i polecił Kühlmannowi ultimatum z terminem 24 godzin, z żądaniem natychmiastowego zawarcia pokoju

na warunkach niemieckich, tzn. wycofania wojsk rosyjskich z Inflant i Estonii do linii Narwa–Dźwińsk.

Polecenie cesarskie przeraziło Kühlmanna; sekretarz stanu uważał słusznie, że takie postawienie sprawy byłoby brutalnym odsłonięciem daleko idących zaborczych celów imperializmu niemieckiego, wywołałoby fatalne wrażenie w społeczeństwie niemieckim, gdzie nie przebrzmiały jeszcze echa strajku styczniowego, spowodowałoby komplikacje w stosunku z Austro–Węgrami, w państwach zachodnich zaś spotęgowałoby wolę walki, a w świecie wzmocniłoby nastroje antyniemieckie.

Groźbą dymisji uzyskał Kühlmann milczącą zgodę cesarską na taktykę mniej brutalną.

Spotkała go niespodzianka. Na posiedzeniu w dniu 10 lutego Trocki oświadczył, że Rosja nie podpisze aneksjonistycznego traktatu pokojowego, ale stan wojny z Niemcami, Austro–Węgrami, Turcją i Bułgarią uważa za skończony i przeprowadzi demobilizację swej armii.

Gdy Trocki skończył, na sali zapanowała głucha cisza, którą po chwili dopiero przerwał gruby głos generała Hoffmanna: „*Unerhört!*” (Niesłychane!). Członkiem delegacji niemieckiej był radca prawny Urzędu Spraw Zagranicznych Johannes Kriege. Wielki ten erudyta ustalił po starannych, wyczerpujących badaniach, że jednak podobny wypadek zdarzył się już w historii, gdyż w taki właśnie sposób jednostronną deklaracją zakończono przed paru tysiącami lat wojnę Greków ze Scytami.

Rzecz prosta, że odkrycie radcy Kriegera nie mogło uspokoić złego humoru Niemców zaskoczonych oświadczeniem Trockiego.

Po chwili namysłu zabrał głos w imieniu delegacji państw Czwórprzymierza Kühlmann i stwierdził, że zapowiedziany przez Trockiego stan rzeczy „ani pokój, ani wojna” prawnie nie istnieje. „Drzwi - dowodził - mogą być albo otwarte, albo zamknięte; albo panuje pokój, albo wojna”. Rzucił też pogroźkę - zawarto rozejm, aby osiągnąć pokój; jeśli nie ma pokoju, kończy się w przewidzianym terminie i rozejm, a więc wznowione zostaną działania wojenne.

Trocki swą deklaracją chciał wykazać całemu światu pokojowe dążenia rządu rewolucyjnego. Był też przekonany, że Państwa Centralne nie będą w stanie wznowić działań wojennych przeciwko Rosji z uwagi na wrogą wojnie postawę mas robotniczych; umacniał go w tym poglądzie strajk styczniowy w Niemczech. Trockiego ocena sytuacji była może słuszna, jeśli chodzi o Austrię, mylił się natomiast w rachubach na Niemcy; pokazały to najbliższe tygodnie.

Oświadczenie Trockiego zaskoczyło Niemców i początkowo oburzyło, ale niebawem zorientowali się, że komisarz ludowy spraw zagranicznych wsunął im do rąk silną kartę. 17 lutego 1918 r. tracił moc obowiązującą rozejm pomiędzy państwami Czwórprzymierza a Rosją, nie można go było przedłużyć, gdyż delegaci rosyjscy wyjechali z Brześcia, Niemcy mogli więc swobodnie ruszyć na wschód, położyć rękę na Ukrainie

i jej bogactwach, na Inflantach, na Estonii i odpowiedzialność za wszystko zrzucić na Rosjan<sup>70</sup>.

Rysowały się dwie możliwości: za jedną opowiadał się Urząd Spraw Zagranicznych, za drugą Naczelne Dowództwo.

Zdaniem Kühlmanna Niemcy złamali siłę oporu przeciwnika i zyskali swobodę działania na zajętych terenach na wschodzie. Przedłużanie wojny z Rosją może natomiast przynieść zaostrzenie sytuacji wewnętrznej w Niemczech. W memoriale z 12 lutego 1918 r. podsekretarz stanu baron Hjalmar von dem Busche-Haddenhausen wywodził, że w szerokich masach ludowych wzmaga się wola pokoju, socjaldemokraci działają na razie miarkująco, sądzą bowiem, iż rząd nie dąży do zdobyczy, ale pragnie „pokoju pojednania”. Lecz gdy masy robotnicze nabiorą przeświadczenia, że ich własny rząd stawia trudności na drodze do pokoju, narazi to kraj na niebezpieczeństwo.

Drugą możliwością jest akcja zbrojna. Opowiadał się za nią Ludendorff, twierdząc, że należy położyć kres niejasnej sytuacji na wschodzie, gdyż może ona grozić niebezpieczeństwem, gdy na zachodzie Niemcy zmagać się będą „o życie”.

Rozstrzygnięcie zapadło na naradzie w Homburgu 13 lutego 1918 r. Cywilni i wojskowi przedstawili swój punkt widzenia i, jak łatwo było przewidzieć, spełniono żądania Naczelnego Dowództwa. Względy polityczne - przedstawili je Kühlmann i wicekanclerz Friedrich von Payer - mówiły, że kontynuacja działań wojennych przeciwko Rosji wzmocni nacjonalizm rosyjski, zwiąże

go z bolszewizmem i utwierdzi rewolucję. W Niemczech działania zaczepne na wschodzie pogłębią nastroje antywojenne, a przecież Niemcy stoją w obliczu rozstrzygających walk na zachodzie. Rozumowanie to nie przekonało wodzów Hindenburga i Ludendorffa; Niemcy chcą pokoju - twierdzili - i dlatego muszą wojnę zakończyć zwycięstwem militarnym. Niemcy muszą zrozumieć, że walka na zachodzie ma na celu pokój, wówczas robotnik niemiecki nie będzie strajkował.

Decyzja narady - zawieszenie broni z Rosjanami wygasa w dniu 17 lutego 1918 r.; 17 lutego ofensywa przeciwko wojskom rosyjskim; z Ukrainą i z Finlandią stan pokoju.

18 lutego 1918 r. ruszyły wojska niemieckie do ataku, 24 wkroczyli Niemcy do Parnawy i do Dorpatu (obecnie Tartu), 25 byli w Rewlu (obecnie Tallin) i w Pskowie. W ciągu tygodnia w rękach niemieckich znalazły się Inflanty, Estonia i znaczna część Wołynia.

Jak na atak niemiecki zareagowała rewolucja rosyjska? Wieczorem 17 lutego zebrał się Komitet Centralny partii. Lenin postawił wniosek, aby bezzwłocznie wszcząć z Niemcami rokowania pokojowe. Komitet 6 głosami przeciwko 5 odrzucił wniosek Lenina. Dopiero nazajutrz, 18 lutego, Lenin energicznym wystąpieniem przeprowadził uchwałę Komitetu, aby drogą radiową powiadomić rząd niemiecki o gotowości przyjęcia warunków pokojowych postawionych w Brześciu. Rankiem, 19 lutego, fale eteru poniosły na zachód telegram Lenina, że Rada Komisarzy Ludowych „widzi się zmuszoną” do podpisania pokoju na warunkach niemieck-

kich. Odpowiedź niemiecka nadeszła do Piotrogradu dopiero 23 lutego; Niemcy wezwali do wysłania pełnomocników rosyjskich do Brześcia. 21 lutego Rada Komisarzy Ludowych wydała dekret „Ojczyzna socjalistyczna w niebezpieczeństwie”, wzywający robotników i chłopów Rosji do „ofiarniej obrony Republiki Rad”. 23 lutego dziennik „Prawda” przyniósł artykuł Lenina „Pokój czy wojna”. Ocenę sytuacji zawarł Lenin w przetrawionym, stanowczym zdaniu: „Niechaj każdy wie: kto jest przeciw niezwłocznemu, chociażby nawet arcy ciężkiemu pokojowi, ten gubi władzę radziecką”. Tego samego dnia, 23 lutego, na posiedzeniu Wszechrosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego referat wygłosił Lenin. „Innego wyjścia - mówił Lenin - niż przyjęcie tych warunków nie mamy. (...) Rzeczywistość pokazała nam, że walczyć po trzech latach wojny armia nasza w żadnym wypadku nie może i nie chce. Oto główna przyczyna, prosta, oczywista, w najwyższym stopniu gorzka i ciężka, ale najzupełniej jasna przyczyna tego, że żyjąc obok drapieżcy-imperialisty zmuszeni jesteśmy podpisać warunki pokoju, kiedy przykłada nam on nóż do gardła. (...) Jeśli pójdziecie do prawdziwej klasy pracującej, do robotników i chłopów, to zobaczycie i usłyszycie jedną odpowiedź, że w żadnym wypadku nie możemy prowadzić wojny, że nie mamy sił fizycznych, że zachłysnęliśmy się krwią, jak powiedział pewien żołnierz”.

Komitet 116 głosami przeciwko 85 przy 26 wstrzymujących się uchwalił przyjęcie niemieckich warunków pokoju.



Odtąd wypadki potoczyły się szybko. 25 lutego przybyli do Brześcia delegaci Niemiec i Austro-Węgier, 26 - Turcy i Bułgarzy, 28 zjechali Rosjanie. Z wyjątkiem generała Hoffmanna, który nadal nadawał ton i dyrygował, byli to wszystko ludzie z drugiego szeregu. Niemiec - minister pełnomocny Friedrich von Rosenberg, Węgier - ambasador Kayetan Merey de Kapos-Mere, Turek Hakki Paşa, Bułgar Toszew. W delegacji rosyjskiej nie było Trockiego, zasiadali w niej natomiast Grigorij Sokolnikow, a obok niego zastępca komisarza spraw zagranicznych Grigorij Cziczerin, Adolf Joffe, Lew Karachan.

1 marca 1918 r. Rosenberg wręczył Sokolnikowowi projekt traktatu. 2 marca Sokolnikow konferował z pełnomocnikami Czwórprzymierza prosząc o wyjaśnienie niektórych punktów projektu; nie domagał się wprowadzenia jakichkolwiek zmian.

3 marca odbyło się ogólne posiedzenie delegatów pod przewodnictwem ambasadora Mereya. Dyskusja miała charakter znamieny. Najpierw oświadczenie Sokolnikowa, że ultimatum niemieckie zaskoczyło Rosję w czasie przeprowadzania demobilizacji, Rosja została więc zmuszona przyjąć ultimatum i zgodzić się na podyktowane warunki, ale taki pokój nie jest pokojem porozumienia. Repliki Mereya, Rosenberga i Hoffmanna nie wniosły nic istotnego. Traktat pokoju podpisano na drugim, popołudniowym posiedzeniu w dniu 3 marca 1918 r.

A oto najważniejsze postanowienia traktatu: Artykuł III głosił: „Terytoria, które leżą na zachód od linii

ustalonej przez układające się strony, a należą do Rosji, nie będą już podlegały rosyjskiemu zwierzchnictwu państwowemu. (...) Niemcy i Austro–Węgry zamierzają zdecydować o przyszłym losie tych obszarów w porozumieniu z ich ludnością”. Z mapy, dołączonej do traktatu jako załącznik, wynikało, że linia graniczna prowadzi ma od Zatoki Ryskiej na północny wschód od Rygi, następnie wzdłuż Dźwiny, dalej na wschód od kolei Dźwińsk–Wilno–Lida, po czym wzdłuż Niemna do Mostów, stamtąd na południe do Prużan, wreszcie na wschód do Rokitna.

Artykuł VI zobowiązywał Rosję do natychmiastowego zawarcia pokoju z republiką ukraińską i do uznania traktatu pokoju pomiędzy Ukrainą i państwami Czwórprzymierza. Artykuł VI nakazywał również Rosji, aby bezzwłocznie wycofała wojska rosyjskie i oddziały Czerwonej Gwardii z Inflant i z Estonii. Wymiany dokumentów ratyfikacyjnych miano dokonać w Berlinie w dwa tygodnie po podpisaniu traktatu.

Traktaty brzeskie świetnie scharakteryzował i ocenił przyszły laureat nagrody pokojowej Nobla Gustav Stresemann, gdy mówił, że to nie Trocki, nie rezolucja pokojowa parlamentu Rzeszy, nie odpowiedź niemiecka na notę pokojową papieską, lecz potęga wojskowa Niemiec dała im upragniony pokój.

Przy innej sposobności cesarz Wilhelm II mówił o „dobrym mieczu niemieckim”.

Wymiana dokumentów ratyfikacyjnych nastąpiła w Berlinie w dniu 29 marca 1918 r.

Niedługo obowiązywał traktat brzeski. 5 listopada 1918 r. wypowiedział go rząd radziecki. Ale waga dziejowa Brześcia była niepoślednia. Rozumieli ją dobrze neutralni szwajcarscy obserwatorzy wypadków. W pokoju brzeskim i w zawartym cztery dni później - 7 marca - w Buftea rozejmie z Rumunią widzieli marsz Niemców ku Imperium Mundi, ku Imperium Świata, sądzili też, iż przedłużą one wojnę.

W Berlinie, a nawet w Wiedniu Brześć wzmógł nadzieje na zwycięstwo. Francuzom i Anglikom uzmysłowił niepomiarkowane, awanturnicze zapędy Niemców.

I tu, i tam wzrosła wola walki do ostatecznego zwycięstwa.

## **85. W okupowanej Rumunii. Pokój bukareszteński**

Pokonana Rumunia daje obraz stosunków, które zapanować by musiały w krajach poddanych wpływowi niemieckim, gdyby Niemcy wojnę wygrały, dlatego warto może przyrzeć się bliżej Rumunii okupowanej.

Zarząd okupowanych terenów rumuńskich, obejmujących całą Wołoszczyznę i południową część Mołdawii, ujęły w ręce władze wojskowe niemieckie. Na czele zarządu stał feldmarszałek August Mackensen, a do pomocy miał liczną grupę oficerów niemieckich. Instytucja ta nosiła nazwę *Oberkommando Mackensen* w skrócie OKM. Urzędnicy zarządu wojskowego to wyłącznie Niemcy. Przy OKM działał tzw. sztab gospodarczy (*Wirtschaftsstab*), złożony z urzędników za-

równy niemieckich, jak i austriackich i węgierskich, powołany do eksploatacji gospodarczej kraju. Z iście niemiecką systematycznością zorganizowano sztab gospodarczy zaraz po wybuchu wojny, jeszcze przed zajęciem kraju; krok w krok podążał on za armią niemiecką posuwającą się w głąb Rumunii.

Interesów politycznych habsburskiego sprzymierzeńca Niemiec bronił początkowo tylko pełnomocnik wojskowy (*Militärbevollmächtigter*). Znacznie później, po długim oporze, zgodzili się Niemcy przyjąć w Bukareszcie urzędnika cywilnego ze skromnym bardzo tytułem c. i k. przedstawiciela konsularnego. Chodziło tu o utrudnienie penetracji wpływów austriackich w Rumunii.

Pierwszą troską niemieckich władz okupacyjnych było dokonanie spisu znajdujących się w kraju zapasów żywności i wywiezienie ich do Niemiec. Urzędnicy gospodarczy niemieccy tak rażno wzięli się do działań i pracowali z takim zapałem, że w ciągu 21 czy 22 miesięcy okupacji do października 1918 r. zdołali wywieźć z Rumunii 2161905 ton zboża. Z nie mniejszą gorliwością wywożono bydło, drób, jaja itp. Rumunia utrzymywała nadto armię okupacyjną w sile czterystu osiemdziesięciu tysięcy ludzi i 140 tys. koni. Liczne rekwizycje, które ogołacały zasobny dotąd kraj, miały różny charakter, a pomysłowość urzędnicza nadawała im najrozmaitsze nazwy.

Taka gospodarka sprawiła, że Rumunia już w marcu 1917 r. stanęła wobec zupełnego braku artykułów, które dawniej wywoziła w wielkich ilościach. Ludność

zaskoczona nowymi, przykrymi warunkami przystosowała się do nich z wielkim trudem.

Agenci Koalicji zatroszczyli się, aby nafta rumuńska nie wpadła w ręce niemieckie. Morze płomieni ogarnęło Ploeszti i dolinę rzeki Prahova. Płonęły szyby, płonęły wieże wiertnicze, zbiorniki ropy, rafinerie. Straty obliczano na co najmniej 400 mln franków. Sądzono powszechnie, że trzeba będzie 4 do 5 lat, aby produkcję ropy doprowadzić do wysokości przedwojennej. Niemiecka wszakże organizacja i energia sprawiły przeciwnikom Niemiec zawód. 9 marca 1917 r. właścicielom pól naftowych nakazano podjęcie wydobycia ropy w ciągu miesiąca. Tereny należące do spółek czy osób, które tego warunku nie spełnią w wyznaczonym terminie, przejść miały do dyspozycji okupanta. We wrześniu 1918 r., a więc w półtora roku później, osiągnięto przedwojenny poziom produkcji.

Eksploatacja bogactw naturalnych Rumunii nie wyczerpywała w całości energii okupantów niemieckich. Przeciwnie, rozwinęli oni również żywą działalność polityczną. Przed zawarciem pokoju, przed ostatecznym rozstrzygnięciem losów Rumunii pragnęli rozszerzyć tam i umocnić własne wpływy, wyprzeć zaś wpływy sprzymierzeńca austriackiego. Celu pierwszego, pozytywnego nie osiągnęli. Niemcy narzucają wprawdzie rządowi rumuńskiemu swą wolę, zmuszą go do podpisania ciężkiego traktatu pokojowego, ale nie zdołają związać ze sobą Rumunii, nie zdołają pozyskać społeczeństwa rumuńskiego czy choćby znacznej jego części. Przeciwnie, zrażali sobie nawet polityków o wy-

rażnych proniemieckich sympatiach, np. byłego prezesa ministrów Petru Carpa, znanego germanofila, który na Radzie Koronnej ostro wystąpił przeciwko wojnie. Wkrótce po wkroczeniu wojsk niemieckich do Bukaresztu Mackensen wezwał Carpa do siebie. Stary bojar odpowiedział, że codziennie o takiej a takiej porze można go zastać w domu. Przez cały czas okupacji Carp nie szczędził krytyki wszelkim posunięciom władz niemieckich.

Cel drugi, negatywny łatwiej było osiągnąć. Nietrudno było podsycać niechęć Rumunów do Austriaków, zwłaszcza do Węgrów. Nietrudno było wywołać w społeczeństwie rumuńskim wrażenia czy przekonania, że losy Rumunii znalazły się wyłącznie w rękach Niemców, że Rumunia wejdzie do niemieckiej strefy wpływów. Musiało to znajdować posłuch u Rumunów, wiedzieli przecież, że krajem rządzi generał niemiecki.

A jak wyglądała sprawa<sup>1</sup> na terenie dyplomatycznym? Tu w rokowaniach pomiędzy Wiedniem i Berlinem, ciągnących się przez rok 1917, oba mocarstwa centralne dawnym osiemnastowiecznym obyczajem dzieliły między siebie zdobyte kraje, wymieniały prowincje, wzajemnie przyznawały sobie rekompensaty. 27 marca 1917 r. kanclerz Rzeszy oraz c. i k. minister spraw zagranicznych ustalili, że Niemcom przypadnie przede wszystkim „Wschód”, tzn. Polska i kraje bałtyckie, Austro–Węgrom zaś Rumunia. Taki podział obaj sprzymierzeńcy potwierdzali sobie jeszcze parokrotnie na wspólnych konferencjach w Kreuznach, w kwietniu, w maju i w sierpniu 1917 r. Niemcy za-

strzegali się tylko, że muszą sobie zabezpieczyć interesy naftowe w Rumunii, i że oddadzą Rumunię monarchii habsburskiej wtedy tylko, gdy sami pozyskają Polskę, Litwę i Kurlandię.

Przygotowanie rokowań pokojowych z Rumunią nie było zatem sprawą łatwą. Interesy i dążenia sprzymierzeńców były nie tylko odmienne, ale często sprzeczne, w wielu wypadkach krzyżowały się ze sobą.

Najprostsze były w stosunku do Rumunii niemieckie cele wojenne. Rumuńska nafta i rumuńskie zboże były Niemcom koniecznie potrzebne do dalszego prowadzenia wojny. W Berlinie brano także pod uwagę i przyszłą „wojnę gospodarczą” po zawarciu pokoju, czyli rywalizację ekonomiczną z państwami zachodnimi. Bogactwa Rumunii byłyby w tej mierze cennym atutem w rękach niemieckich. Tryskające w Ploeszti płynne skarby od dawna nęciły kapitalistów niemieckich. Dwa wielkie banki berlińskie. *Deutsche Bank* i *Discontogesellschaft* miały znaczne udziały w eksploatacji rumuńskich terenów naftowych. Po zajęciu Rumunii niemieckie władze okupacyjne wzięły pod własny zarząd pola naftowe, będące własnością państwa rumuńskiego, jak też kapitalistów francuskich i angielskich.

O polityce Austro–Węgier względem Rumunii trudno mówić, były to bowiem sprzeczne ze sobą polityki - austriacka i węgierska.

Austriacy, podobnie jak Niemcy, dążyli do wydobycia z Rumunii jak największych zasobów żywności. Kapitałiści austriaccy, przed wojną w nafcie rumuń-

skiej niezainteresowani, teraz nie chcieli pozwolić, aby wszystkie te bogactwa przypadły w udziale Niemcom, i żądali współudziału w rumuńskich przedsiębiorstwach naftowych. Szermowano tu argumentem, że monarchia habsburska może utracić Galicję, a więc przemysł austriacki zostanie pozbawiony nafty galicyjskiej. Myślano również w Wiedniu o rumuńskich rynkach zbytu dla przemysłu austriackiego.

Dla Austrii Rumunia miała przecież największe bodaj znaczenie pod względem politycznym. Na *Ballplatzu* upatrywano w Rumunii zaporę przeciwko Rosji do opanowania Bałkanów i Konstantynopola, widziano w niej klin wbity pomiędzy żywioły słowiańskie, pomiędzy Rosję i Ukrainę z jednej strony a Bułgarię z drugiej strony, uważano więc królestwo naddunajskie za naturalnego sprzymierzeńca i przyjaciela nie tylko Austrii, ale również i Węgier.

Węgrzy wszakże inaczej zapatrywali się na tę kwestię. Mówili o „poprawkach granicznych”, podyktowanych wymaganiami obronności kraju. W gruncie rzeczy chodziło im bodaj o rozległe lasy i bogactwa kopalniane Karpat. W Austrii na żądania węgierskie patrzono z niechęcią. Cesarz Karol oświadczył, że nie mogą one w żadnym wypadku doprowadzić do rozbicia rokowań pokojowych z Rumunią. Tymczasem stanowczo wypowiedziały się za aneksją stronnictwa polityczne, a silnie urobiona była w tym kierunku węgierska opinia publiczna. Prezes ministrów Aleksander Wekerle twierdził, że „korektura granic” jest tak powszechnym



postulatem na Węgrzech, iż nie ma polityka, który by mógł odeń odstąpić.

Sporo zamieszania wywołały żądania bułgarskie. Bułgarzy domagali się Dobrudży i to nie tylko jej części południowej, utraconej na rzecz Rumunii w 1913 r., ale całej tej prowincji aż do ujścia Dunaju wraz z rumuńskim portem Konstanca. Postulaty idące tak daleko wywołały z miejsca żywy oddźwięk w Turcji. Rząd turecki zwrócił się do Bułgarii z żądaniem zwrotu okręgu pod Adrianopolem (tureckie Edirne), który Turcja odstąpiła Bułgarii w przededniu jej wejścia do wojny w 1915 r. Uzasadniono te współdziałaniem armii greckiej w zdobyciu Dobrudży.

Sprawa była dla Niemiec niewygodna nie tylko dlatego, że wywołała konflikt pomiędzy sprzymierzeńcami, lecz i z tego względu również, że Dobrudża wraz z Konstanca w rękach bułgarskich oddawała rządowi w Sofii wszystkie połączenia kolejowe pomiędzy Państwami Centralnymi a Morzem Czarnym. Wobec zupełnego uzależnienia Bułgarii od Berlina nie była to dla Niemców kwestia zasadnicza, stanowiła wszakże pewną niedogodność.

Sprawa Dobrudży ciągnąć się miała jeszcze kilka miesięcy i przysporzyła Państwom Centralnym, zwłaszcza Niemcom, sporo kłopotu.

Rumunii, zagrożonej utratą znacznych połaci kraju na południu i na « zachodzie, niespodzianie otworzyły się widoki na aneksje na północy. Oto 2 grudnia 1917 r. w Besarabii proklamowano niepodległą republikę mołdawską. W styczniu 1918 r. wojska rumuńskie wkro-

czyły na terytorium nowej republiki. Klasy posiadające w obawie przed rewolucją przyjęły Rumunów z radością. Dnia 9 kwietnia 1918 r. władze republiki mołdawskiej ogłosiły przyłączenie czy powrót kraju do królestwa Rumunii.

Rzecz charakterystyczna, że aneksje Besarabii z cichą radością powitały zarówno Państwa Centralne, jak i mocarstwa Koalicji. I jednym, i drugim chodziło o położenie tym sposobem tamy wpływom rewolucji. Francuzi i Anglicy spodziewali się, że Besarabia da armii rumuńskiej szerokie zaplecze gospodarcze i zwiększy ją liczebnie. Niemcy zaś i Austriacy sądzili, że aneksją Besarabii w trwały sposób skłóci Rumunię z północnym, rosyjskim sąsiadem, i a więc zmusi ją do szukania oparcia w Państwach Centralnych. Mniemali również, że osłabną jednocześnie rumuńskie aspiracje do Siedmiogrodu i Bukowiny.

Rumunia walkę z Państwami Centralnymi podjęła u boku Rosji jako jej sojuszniczka. Rozejm z Państwami Centralnymi zawarła jednocześnie z Rosją. Było więc sprawą naturalną, że delegaci rumuńscy przystąpią razem z rosyjskimi do rokowań o przywrócenie pokoju w Europie Środkowej i Wschodniej. Nie chcieli do tego dopuścić Niemcy uważając, iż wspólne negocjacje mogłyby wzmocnić stanowisko Rumunii i utrudnić imperialistyczne zakusy względem tego kraju. Z zadowoleniem spoglądano więc w Berlinie na zaostrażający się konflikt rumuńsko–rosyjski o Besarabię.

Znaleziono też łatwo powód czy pretekst opóźnienia rokowań z Rumunią. Była nim kwestia dynastycz-

na. Niemcy uznali, że król Ferdynand jako Hohenzollern i oficer pruski wystąpiwszy przeciwko Państwu Centralnym dopuścił się zdrady i splamił swój honor królewski i żołnierski. Nikt z oburzających się Niemców nie brał pod uwagę prostego faktu, że król Ferdynand był władcą Rumunii, że swemu narodowi złożył przysięgę królewską i że jego pierwszym obowiązkiem było czuwanie nad dobrem swego królestwa. Widziano dwa sposoby rozwiązania kwestii królewskiej w Rumunii - albo abdykacja króla Ferdynanda wraz z usunięciem od następstwa starszego syna królewskiego księcia Karola i oddanie następstwa nieletniemu (ur. w 1903 r.) księciu Mikołajowi (musiałaby wtedy działać czas dłuższy regencja), albo też całkowite wykluczenie Hohenzollernów rumuńskich i wybór nowej dynastii, oczywiście również niemieckiej.. Wymieniano już nazwiska różnych dynastów niemieckich; myślano również o unii personalnej Rumunii z Rzeszą Niemiecką i o daniu Rumunii takiej pozycji, jaką miały Indie czy Kanada w imperium brytyjskim, brano też pod uwagę unie personalną z jednym z państw związkowych: z Badenią czy z Brunszwikiem. Rzecz prosta, że takie pomysły budziły nie lada apetyty w licznych gronie niemieckich książąt krwi.

W Wiedniu ujmowano sprawę inaczej. Bez względu na przeciwny zmianie dynastii, a nawet wymuszonej abdykacji króla Ferdynanda był cesarz Karol. Działała tu rycerska lojalność monarsza, a także przekonanie, że rugowanie monarchy, rugowanie dynastii

osłabi zasady monarchistyczne w Europie, także i w krajach habsburskich.

Ten punkt widzenia ostatecznie przeważył. Zgodzono się, że wymuszona przez zwycięzców zmiana dynastii nie mogła zapewnić nowemu monarsze należnego mu autorytetu, uznanie zaś sprawy obsady tronu za wewnętrzną sprawę rumuńską oznaczało zgodę na utrzymanie Hohenzollernów rumuńskich na tronie, tym bardziej że zajęcie Besarabii wzmocniło autorytet króla.

9 lutego 1918 r. ustąpił urzędujący od stycznia 1914 r. gabinet Iona Bratianu. Nazajutrz, 10 lutego, nominację na szefa rządu otrzymał generał Alexander Averescu, dotychczasowy wódz naczelny.

W dniu 24 lutego w Buftea pod Bukaresztem na zamku księcia Barbu Stirbeya ministrowie spraw zagranicznych Państw Centralnych, Kühlmann i Czernin, odbyli rozmowę z nowym premierem rumuńskim inaugurując w ten sposób wstępne rokowania pokojowe. Układy te, prowadzone nie bez znacznych trudności, zakończyły się podpisaniem w Buftea 5 marca 1918 r. preliminarium pokojowych.

Według układu w Buftea Rumunia odstępowała sprzymierzonym państwom Czwórprzymierza Dobrudżę aż do Dunaju, wyrażała „w zasadzie” zgodę na „poprawki graniczne” żądane przez Austro–Węgry, zobowiązywała się przeprowadzić natychmiast demobilizację przynajmniej ośmiu dywizji; dalszej demobilizacji dokonać miano po zawarciu pokoju pomiędzy Rumunią a Rosją

Rozpoczęły się teraz właściwe rokowania pokojowe; nie szły łatwo. Trudności przysparzały postulaty węgierskie idące daleko poza konieczności militarne „poprawek granicznych”, komplikował sprawy „upór” Bułgarów i ich - jak się wyraził Richard von Kühlmann - „słabo rozwinięta miłość prawdy”.

Nie bez znaczenia była zmiana rządu rumuńskiego. Król Ferdynand doszedł do przekonania, że premier generał Averescu werbuje sobie w armii zwolenników, aby zdobyć silną pozycję i ewentualnie doprowadzić do usunięcia dynastii, udzielił więc 14 marca 1918 r. dymisji niepewnemu generałowi, a 19 marca mianował prezesem ministrów wybitnego przywódcę konserwatyistów Alexandra Marghilomana, polityka o wyraźnych tendencjach proniemieckich.

Rzecz znamienita, że i Niemcy, i nowy prezes ministrów zgodnie uważali tę nominację za przedwczesną. I Niemcy, i Marghiloman woleliby, aby na czele rządu stanął na razie polityk małego formatu, drugiego rzędu, podpisał traktat, wziął na siebie odium za jego postanowienia i odszedł. Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść. Alexandra Marghiloman stanąłby dopiero wówczas na czele rządu, nie obciążony odpowiedzialnością za traktat i powróciłby do „tradycyjnej rumuńskiej polityki, jaką prowadził król Karol”. „Jako prezes ministrów - pisał 1 maja 1918 r. z uznaniem Kühlmann - okazał się człowiekiem rozsądnym i politycznie użytecznym. Bez wielu korowodów przyjął wszystkie nasze zasadnicze żądania”.

W dniach od 6 do 28 marca 1918 r. w Buftea, później w klasztorze w Cotroceni toczyły się rokowania pomiędzy przedstawicielami Czwórprzymierza i Rumunami. Głównych trudności nastęrczała rywalizacja austro–niemiecka o pierwszeństwo w eksploatacji bogactw Rumunii, a następnie wygórowane żądania bułgarskie w sprawie Dobrudży; na skutek tych żądań Turcy domagali się znacznych cesji terytorialnych od Bułgarii tytułem rekompensaty.

28 marca 1918 r. Biuro Telegraficzne Wolfa ogłosiło komunikat półurzędowy, że układy gospodarcze doprowadziły do zasadniczego porozumienia, które wszakże wymaga jeszcze dokładnego opracowania w szczegółach. Ostateczne ustalenie tekstu traktatu pokoju i układów dodatkowych zajęło przeszło pięć tygodni - znacznie więcej czasu niż pierwotnie przypuszczano.

Ostatecznie traktat pokoju pomiędzy Rumunią z jednej strony a Niemcami, Austro–Węgrami, Turcją i Bułgarią z drugiej podpisano uroczyście w Cotroceni 7 maja 1918 r. Nosi on w historii nazwę pokoju bukareszteńskiego. Był to zresztą czwarty już traktat pokoju noszący tę nazwę.

Traktat w 31 artykułach potwierdzał i rozszerzał postanowienia preliminariorów w Buftea. Rumunia zwracała Bułgarii część Dobrudży zdobytą w 1913 r., a zrzekała się na rzecz państw Czwórprzymierza pozostałej części Dobrudży aż do delty Dunaju. Austro–Węgrom oddawała pas graniczny w Karpatach Południowych od strony Siedmiogrodu i Bukowiny, od

Turnu-Severin do brzegów Prutu. Inne postanowienia mówiły o częściowej demobilizacji armii rumuńskiej, o tymczasowej okupacji kraju itp. Obok traktatu zasadniczego zawarto jeszcze kilka układów dodatkowych. Najważniejsze z nich to układ o stosunkach gospodarczych i układ naftowy. Największą doniosłość przedstawiał układ naftowy; Niemcy uzyskali na długie lata prawo eksploatacji ropy rumuńskiej.

Sytuacja tak się teraz ukształtowała: król i rząd rezydowali w Iasiach, gdzie przebywali również posłowie państw Koalicji oraz francuska wojskowa misja łącznikowa. Południowa część kraju natomiast, ze stolicą Bukareszt, pozostawała nadal pod okupacją wojskową niemiecką i austriacką. W Bukareszcie energicznie i sprężyście rządził Mackensen. Cztery dywizje niemieckie i dwie austriackie i węgierskie strzegły terminowego, skrupulatnego wywozu ropy i płodów rolnych do Państw Centralnych. Armię rumuńską częściowo zdemobilizowano, ale pozostałe dywizje stały pod bronią w Mołdawii i w świeżo zajętej Besarabii. Dowództwo niemieckie liczyło się z możliwością nieprzyjaznych kroków z tej strony w chwili niepomyślnej dla Państw Centralnych.

Pokonanie Rumunii i okupacja przyniosły Państwom Centralnym doraźnie znaczne korzyści: ropę i płody rolne. W razie pełnego zwycięstwa wszystko wskazywało, że będą to nie tylko korzyści doraźne, ale i trwałe wielkie zyski. Doraźnie kwestia rumuńska przyniosła też i trudności ze sprzymierzeńcami tureckim i bułgarskim, zapowiadały się i powikłania zwią-

zane z Ukrainą. Widać było również od razu, że taki podział łupu pomiędzy Państwa Centralne, aby jeden z nich położył rękę na Polsce, drugi zaś na Rumunii, był nierealny. Niemcy musieli być wszędzie górą. Przymierze niemiecko–austriackie to prawdziwa *societas leonina*.

Sprzymierzeńcy w zabawny sposób zarzucali sobie wzajemnie nazbyt wygórowane wymagania. „Niemcy - skarżył się hrabia Czernin - przejawiali ów nienasycony apetyt, który dał się już zauważyć w Brześciu”. „Austro–Węgry - użalał się Karol Helfferich - wystąpiły z ogromnymi dezyderatami terytorialnymi, ich mężowie stanu zaś wciąż pouczali Niemców o potrzebie wielkiej powściągliwości”.

## 86. Niemcy pośród zwycięstw na równi pochyłej

Gdy zawiodły rachuby na wojnę krótką, błyskawiczną, gdy okazało się, że wojna będzie długa, okazało się również, że Niemcy do takiej wojny nie przygotowały się gospodarczo. Zapewne, nie było to w pełnej mierze możliwe w warunkach oblężonej twierdzy, jaką były Państwa Centralne. W każdym razie warunki życia były trudne i w miarę przedłużania się wojny coraz trudniejsze. Wprawdzie pruskie ministerstwo spraw wewnętrznych zapewniało, że nie należy się obawiać głodu w kraju rolniczo wysoko rozwiniętym. Wprawdzie jeszcze w grudniu 1915 r. kanclerz Bethmann Hollweg zapewniał w parlamencie: „Nie mamy nadmiaru, ale damy sobie radę”. I w jednym twierdzeniu,



i w drugim tkwiła wyraźna przesada. Naród niemiecki z każdym miesiącem coraz dotkliwiej odczuwał wojnę. 31 stycznia 1915 r. wprowadzono racjonowanie chleba, następnie tłuszczów, mięsa, ziemniaków, cukru. Racje żywnościowe nie wystarczały; trzeba je było uzupełniać kupując żywność po wysokich cenach na czarnym rynku; nie wszyscy mogli sobie na to pozwolić. Stąd rosnąca nędza mas robotniczych.

Bardzo wiele pokazuje w Niemczech spadek płacy realnej. Przyjmijmy dla roku 1900 wskaźnik 100, to w roku 1914 wskaźnik ten wynosił 96, w 1915 - 87, w 1916 - 78, w 1917 - 70, w 1918 - 72.

Nie mniej interesujące są dane, ile żywności w latach 1913–1918 przypadało przeciętnie na jednego Niemca. Tak więc statystyczny Niemiec w 1913 r. spożywał dziennie 320 gramów mąki, w 1918 r. zaś 160 gramów mąki wraz z otrębami. W 1913 r. spożywał tygodniowo 1050 gramów mięsa, w 1918 r. zaś 135 gramów mięsa gorszego gatunku. W 1913 r. na jednego Niemca statystycznego przypadło dziennie 56 gramów tłuszczu, w 1918 r. tylko 7 gramów masła i margaryny. Szczególnie dała się we znaki zima 1916/17, owa smutna „zima brukwiowa”.

Głód i niedostatek uderzył przybyłego latem 1917 r. do Berlina Ignacego Daszyńskiego. Wspominał on: „Bawiąc w Berlinie spostrzegłem coraz częściej objawy szalonego wyczerpania masy ludności. W dużym hotelu dostawałem na śniadanie nędzną herbatę, herbatę niemiecką - *deutscher Tee* i dwa plasterki chleba. (...) Tłumy robotników, zjeżdżających rano do fabryk, mia-

ły cerę wprost żółtą. Kilkadziesiąt milionów ludzi stało już wtedy wobec niedostatku, prawie głodu. Znałem wprawdzie nędzę mas i w Austrii, jadałem w Krakowie już od dawna skromnie wymierzone porcje czarnego chleba (180 gram dziennie), nie widywałem nieraz mąsła przy śniadaniu, ale te tłumy robotnicze w Berlinie o twarzach bladych lub żółtych, ten codziennie stwierdzany niedostatek tak licznej masy ludzkiej, robiły ponure wrażenie”.

Na gmachu jedności narodowej poczęły się z wolna żłobić rysy. Pierwszy ruszył do boju Karol Liebknecht. 23 listopada 1914 r. przesłał niektórym posłom socjaldemokratycznym „tezy” wyjaśniające charakter wojny imperialistycznej; odegrają one pewną rolę w dalszej propagandzie antywojennej. 2 grudnia 1914 r. na posiedzeniu parlamentu Rzeszy stanął wniosek rządowy o dalsze kredyty wojenne. Parlament wniosek ten uchwalił przy jednym głosie sprzeciwu - głosie Karola Liebknechta. Zapewne trudno nazwać to niepowodzeniem rządu, była to wszakże niewątpliwie oznaka, że opozycja antywojenna zbiera siły.

Nie tylko zbierała siły, ale i organizowała walkę przeciwko rządowi i przeciwko wojnie.

5 marca 1915 r. zebrało się w Berlinie kilkunastu działaczy socjalistycznych i postanowiło wydawać miesięcznik, który przede wszystkim miał służyć „pojednaniu narodowemu”. Miesięcznik otrzymał nazwę „Die Internationale” (Międzynarodówka). Nowy miesięcznik już w kwietniu 1915 r. znalazł się w rękach czytelników. Dokoła pisma utworzyła się niewielka, ale

dynamiczna grupa. Pismo odegrało rolę zaczynu, wszakże represje policyjne uniemożliwiły jego publikowanie. Ważniejszym zapewne rezultatem marcowego zebrania był fakt, że działacze lewicy partyjnej zgrupowali się dokoła Karola Liebknechta i Róży Luksemburg i łączyli koła opozycyjne w całym kraju. Grupa ta otrzymała nazwę *Die Internationale*.

W Bremie działała grupa opozycyjna, nazywana Lewicą Bremeńską (*Die Bremer Linke*), i wydawała pismo „Lichtstrahlen” (Promienie światła).

Pojawiły się pierwsze niewielkie, ale znamienne oznaki sprzeciwu. 28 maja 1915 r. około półtora tysiąca kobiet demonstrowało przed gmachem parlamentu wśród okrzyków: „Chcemy pokoju i chcemy odzyskać naszych mężów! Chcemy chleba dla naszych dzieci! W dużych częściach Niemiec kolportowano już broszurę Liebknechta „*Der Hauptfeind steht im eigenen Land*” („*Główny wróg jest w kraju*”). Jesienią 1915 r. mnożyły się demonstracje przeciwko drożyznie i przeciwko brakom żywnościowym; wybuchały też spontaniczne strajki. Memento dla rządu stanowił fakt, że na posiedzeniu parlamentu w dniu 21 grudnia 1915 r. 20 posłów głosowało przeciwko kredytom wojennym.

Wiosną 1916 r. kolportowano nielegalnie w Niemczech broszurę Róży Luksemburg, pod pseudonimem Junius napisaną w kwietniu 1915 r., wydrukowaną rok później w Zurychu. Broszura nosiła tytuł „*Kryzys socjaldemokracji*” zawierała analizę marksistowską toczącej się wojny. Pomimo błędów doktrynalnych, które

wytknął Lenin, broszura odegrała pewną rolę w propagandzie antywojennej.

Nieco wcześniej, 1 stycznia 1916 r., w kancelarii adwokackiej Karola Liebknechta zebrała się grupa działaczy *Die Internationale*, aby wysłuchać referatu gospodarza o sytuacji i przeprowadzić dyskusję. W jej wyniku, wobec krachu II Międzynarodówki, postanowiono podjąć pracę nad założeniem nowej Międzynarodówki, robotniczej. Głównym jej zadaniem miała być walka przeciwko imperializmowi. Walka klasowa i międzynarodowa solidarność proletariacka - miały to być „dwie nierozłączne reguły życiowe klasy robotniczej w jej historycznej walce wyzwoleniczej”. 27 stycznia 1916 r. ukazał się „List polityczny” grupy *Internationale* z podpisem Spartakus. Za tym pierwszym listem poszły następne; broszury te nazwano „*Listami Spartakusa*”. Stąd i całą grupę *Internationale* zaczęto zwać Grupą Spartakusa. Nie była to jeszcze partia, był to dopiero związek partii. Spartakusowcy drukowali również i kolportowali różne nielegalne ulotki. Policja obliczała, że kolportażem tym zajmuje się od 500 do tysiąca osób i że rozporządzają one około 5 tysiącami konspiracyjnych adresów.

Szerzyły się strajki, wybuchające spontanicznie, nie organizowane przez związki zawodowe. Na tej fali strajkowej wypłynęli nowi przywódcy robotniczy; zwano ich *Obmann*, *Obleute*, tj. zwierzchnicy. Oni to przewodzili robotnikom w zakładach pracy nie oglądając się na stanowisko związku zawodowego.

Niemale znaczenie miały demonstracje 1 maja 1916 r. w stolicy i niektórych innych miastach Niemiec. Urządzono je wbrew woli władz partyjnych. W Berlinie na Potsdamerplatz do kilku tysięcy demonstrantów przemawiał Karol Liebknecht. Przemówienie swoje zakończył okrzykiem: „Precz z wojną! Precz z rządem!” Nie przebrzmiał jeszcze ten okrzyk, gdy policjanci rzucili się i aresztowali śmiałego mówcę. Stał przed sądem oskarżony o zdradę. Na zarzut ten Liebknecht tak odpowiedział: „Zdrada kraju jest dla międzynarodowego socjalisty zupełnym nonsensem. (...) Walczy on w imieniu międzynarodowego proletariatu przeciwko międzynarodowemu kapitalizmowi. Chwyta tam, gdzie go znajduje i może skutecznie uderzyć. To jest we własnym kraju”. Butnie rzucił sędziom: „Jestem tu, aby oskarżać, a nie aby się bronić”. Wyrok pierwotny dwa i pół roku więzienia karnego (*Zuchthaus*) podwyższono w drugiej instancji do czterech lat.

Liebknecht nie mógł, rzecz prosta, działać osadzony w ciężkim więzieniu, ale był przedmiotem owacji na wszystkich demonstracjach robotniczych.

Taką wielką manifestacją wiążącą się z Liebknechtem był pierwszy w czasie wojny masowy strajk polityczny w Berlinie w dniu 28 czerwca 1916 r.; zorganizowała go grupa Spartakusa, a wzięło w nim udział ponad 50 tys. robotników.

W więzieniu znaleźli się również Róża Luksemburg, Julian Marchlewski, Franz Mehring. Było to uderzenie w akcję rewolucyjną, utrudniło ją, ale jej nie obezwładniło.

Przeżycia „zimy brukwiowej” 1916/17 r. zaogniły sytuację, zaostrzyły ją również zawiedzione nadzieje zawarcia pokoju, wywołane przez rząd Rzeszy grudniową ofertą pokojową. W pierwszych miesiącach 1917 r. w Berlinie i w wielu ośrodkach przemysłowych odbywały się rozruchy głodowe i strajki; dochodziło do starć z policją.

W takich okolicznościach nadeszła do Niemiec wieść o obaleniu caratu. W caracie upatrywano ogólnie najgroźniejszego wroga kultury i postępu. Nienawiść do caratu i obawa przed caratem sprawiły, że niemiecka klasa robotnicza uznała w 1914 r. wojnę za wojnę obronną i postępową.

Wieści napływające z Rosji wywierały wpływ podwójny - wzmacniały dążenia do reform w kraju i wzmacniały tendencje pokojowe, budziły nadzieje, że pokój, w każdym razie pokój z Rosją jest możliwy i niedaleki. 30 marca 1917 r. Hugo Haase przestrzegał w parlamencie, że rząd Rzeszy nie dostrzega znaków czasu i prowadzi grę niebezpieczną nie biorąc pod uwagę dążeń mas pracujących i rzucił pytanie retoryczne: „Czy kanclerz chce sprawić, aby masy w Niemczech zaczęły mówić po rosyjsku?” Ale Haase jak gdyby się przestraszył własnych pogroźek, gdyż dodał zaraz, że nie ma zamiaru „straszyć ‘rewolucją’”.

Zaostrzały się przeciwieństwa i walka wewnątrz partii socjaldemokratycznej. 12 stycznia 1916 r. wykluczono z partii Karola Liebknechta, 24 marca 1916 r. jeszcze 18 członków. Byli pomiędzy nimi Hugo Haase, Eduard Bernstein, Karl Kautsky, Georg Ledebour.

Utworzyli oni w parlamencie Socjalistyczną Wspólnotę Pracy (*Sozialistische Arbeitsgemeinschaft*).

Jeszcze we wrześniu 1916 r. na zjeździe Socjaldemokratycznej Partii Niemiec 276 głosami przeciwko 159 wyrażono zaufanie władzom partii. Tezy „*Zur Friedensfrage*” („*W sprawie pokoju*”) uchwalono jeszcze znacznieszą większością. Głosiły one, że socjaldemokracja tak długo bronić będzie kraju aż przeciwnik zdecyduje się na zawarcie pokoju, który zapewni niezależność polityczną, nienaruszalność terytorialną i swobodę rozwoju terytorialnego Niemiec.

Tymczasem opozycja zwierzała szeregi, umacniała się na swych pozycjach i wreszcie na zjeździe w Gocie w dniach 6-8 kwietnia 1917 r. (wzięło w nim udział 15 członków parlamentu i 124 delegatów) ukonstytuowała się w wyniku obrad *Unabhängige Sozialdemokratische Partei Deutschlands* - Niezależna Socjaldemokratyczna Partia Niemiec. Przyłączyła się do nowej partii grupa Spartakusa, przyłączyły się i niektóre inne pomniejsze ugrupowania rewolucyjne. Nie weszła natomiast do USPD ani Lewica Bremeńska ani grupa *Lichtstrahlen* (Promienie światła). Stanęli na czele Niezależnej Partii Hugo Haase i Georg Ledebour, weszli m.in. i Karl Kautsky, i Eduard Bernstein. Szeregi Partii Niezależnej zasilili przeciwnicy głosowania za kredytami wojennymi, przeciwnicy współpracy z rządem. Nie zdołano wypracować jednolitego konsekwentnego programu, ani ustalić taktyki.

Dawna Socjaldemokratyczna Partia Niemiec, zwana odtąd socjaldemokracją większością, zachowała

mimo wszystko znaczniejsze wpływy niż Niezależna. Ostoją wpływów socjaldemokracji większościowej były związki zawodowe.

A tymczasem trudne chwile czekały przywódców klasy robotniczej w Niemczech.

W końcu marca 1917 r. władze zapowiedziały, że z dniem 15 kwietniaienne racje mąki zostaną zmniejszone z 200 gramów na 170, a zarazem zostaną zniesione lub zmniejszone różne racje dodatkowe dla dzieci i dla ciężko pracujących. Była to kropla w przepełnionym dzbanie. Ludność Niemiec bowiem znieść musiała już w styczniu 1917 r. zmniejszenie racji mięsa, masła, cukru, kartofli; cierpiała ponadto z powodu dotkliwego braku opału, trudności w zaopatrzeniu się w odzież, bieliznę, obuwie, mydło.

16 kwietnia 1917 r. w Berlinie i większych ośrodkach przemysłowych Niemiec wybuchł groźny strajk, najsilniejszy, najgroźniejszy ze wszystkich strajków od początku wojny. Około pół miliona robotników porzuciło pracę, a znaczenie faktu zaostrzyła okoliczność, że byli to przede wszystkim robotnicy fabryk przemysłu zbrojeniowego. Kierowali strajkiem „zwierzchnicy rewolucyjni”. W niektórych zakładach pracy, najpierw w fabrykach zbrojeniowych w Berlinie, strajkujący wyłaniali rady robotnicze.

Akcję pacyfikacyjną podjęli, wbrew spartakusowcom, socjaldemokraci większościowi. Friedrich Ebert, Philipp Scheidemann i Otto Braun weszli do komitetu strajkowego, aby nie dopuścić do zaognienia sytuacji. Tłumaczyli robotnikom, że strajk nie może im dać ani



chleba, ani mydła, ani butów; doradzali zarazem, aby na zebraniach robotniczych kwestię czy należy strajk kontynuować rozstrzygano w głosowaniu tajnym, gdyż w takim przypadku większość wypowie się za przerwaniem strajku. Władze wystąpiły brutalnie, w Berlinie 19 kwietnia zarządzono militaryzację fabryk zbrojeniowych. Strajkujący otrzymali karty mobilizacyjne i musieli podejmować pracę jako służbę wojskową. 24 kwietnia już wszędzie strajki przzerwano. Tegoż dnia saskie ministerstwo wojny otrzymało raport ze stwierdzeniem, iż do zakończenia strajku przyczynili się umiarkowani przywódcy organizacji robotniczych, gdyż zdołali sprowadzić ruch strajkowy z terenu politycznego na gospodarczy. Twierdzenie bardzo interesujące.

Strajki kwietniowe były dla rządu poważnym ostrzeżeniem, ostrzeżeniem były również bunty we flocie wojennej latem roku 1917.

Zrywali się do buntu marynarze floty wojennej, nie porywali się do buntu żołnierze armii lądowej. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Armia walczyła na wielu frontach, pełniła służbę na terenach okupowanych i na terenie kraju - buntowanie się nie było w tych warunkach możliwe. Inaczej we flocie, stoczyła ona 31 maja 1916 r. wielką bitwę morską na Skagerraku, po morzach i oceanach krążyły łodzie podwodne, ale wielkie okręty wojenne przez cały czas wojny stały beczynnie w Wilhelmshaven i Kilonii na kotwicy. A beczynność powoduje podatność na agitację.

Znaczna część pełniących służbę na okrętach to robotnicy wysoko kwalifikowani, mechanicy, inteligentni, klasowo uświadomieni, a oficerowie zawodowi bardzo się starali, aby pogłębić przepaść dzielącą ich od szeregowych marynarzy.

Dysponujemy interesującym, wartościowym źródłem historycznym służącym do poznania stosunków panujących w niemieckiej flocie wojennej w latach pierwszej wojny światowej. Jest nim dziennik marynarza Richarda Stumpfa. Autor z zawodu cynownik, obserwator bystry, inteligentny służył na okręcie „Helgoland”; od lipca 1914 r. do listopada 1918 r. prowadził dziennik - na jego kartach uderza ewolucja poglądów autora w latach wojny.

A oto jak Stumpfowi przedstawiały się w dniu 2 sierpnia 1917 r. nastroje panujące wśród marynarzy: „Silne wzburzenie; wywołał je zupełny brak zaufania do przełożonych, urojone wyobrażenia, że wojna ciągnie się i przedłuża jedynie w interesie oficerów, gwałtowne wybuchy gniewu z tej racji, iż załoga głoduje, oficerowie zaś hulają i mają dużo pieniędzy”.

Komisja wyłoniona przez parlament Rzeszy dla zbadania przyczyn klęski j niemieckiej przesłuchała Richarda Stumpfa jako rzeczoznawcę w kwestii stosunków, jakie łączyły oficerów i załogę. Stumpf główną przyczynę, dla której flota „zawiodła”, upatrywał w bezczynności okrętów liniowych. Gdy kto długo siedzi w więzieniu, mówi się, że ogarnęła go psychoza więzienia. Podobne zjawisko dojrzał Stumpf w postępowaniu oficerów i załogi w długim współżyciu na

okręcie. Dominowało rozgoryczenie marynarzy z powodu niewłaściwego traktowania ich przez oficerów. Przyczyn owego rozgoryczenia dopatruje się nie tyle w poszczególnych osobach, ile w panującym systemie. Zaufanie do przełożonych zanikło już w 1915 r., a to - zdaniem Stumpfa - dlatego że oficerowie - kapitanowie i porucznicy, którzy w latach swej wieloletniej służby zżyli się z załogą, związali się z nią - zostali przerzuceni do łodzi podwodnych, do małych krążowników i wypłynęli do akcji na morzach. „Zabrakło ważnego ogniwa łączności”, gdyż miejsce to zajęli młodzi, 18- i 19-letni lejtnanci, którzy „wielką rezolucją usiłowali ukryć to, czego im nie dostawało w odwodzie”. I - zauważa dalej Stumpf - gdy 16-letniemu kadetowi wciąż się mówi o różnicy pomiędzy oficerem a prostym żołnierzem, to lejtnant będzie uważał tę różnicę za rzecz naturalną.

W 1915 r. wystąpiły braki w wyżywieniu i zaostrzały się w miarę przedłużania się wojny; tym większe rozgoryczenie budziła odrębna, lepiej zaopatrzona kuchnia oficerska. Wiele do zyczenia pozostawiał i ekwipunek marynarza (mundur, bielizna, obuwie). I tu istniały różnice pomiędzy zaspokajaniem potrzeb oficerów i marynarzy.

Materiału palnego było więc dość, a w takich warunkach wieści napływające z Rosji i akcja USPD były przysłowiową iskrą rzuconą na prochy i doprowadziły do aktów niesubordynacji i do buntów. Cel polityczny - pragnienie pokoju - wiązał się z protestem przeciwko fatalnym warunkom bytowym. Marynarze wymusili

tworzenie *Menagekommissionen* (komisji menażowych). Oficjalnym zadaniem komisji była troska o lepsze zaopatrzenie załogi; zajmowały się one wszakże energicznie również organizowaniem oporu.

Lipiec i sierpień 1917 r. przyniosły na okrętach liniowych takie akty, jak odmowa pełnienia służby, strajki czy bunty głodowe, masowe schodzenie na ląd bez zezwolenia.

Władze uznały, że we flocie działała tajna organizacja rewolucyjna i wszczęły ostre represje. Do roboty rzucili się konfidenci. Posypały się aresztowania i w ślad za nimi procesy. Padło pięć wyroków śmierci, dwóch skazanych rozstrzelano, pozostałym trzem zmieniono wyrok na 15 lat ciężkiego więzienia. Kilku set marynarzy skazano na kary więzienia i na degradację. We wrześniu 1917 r. władze uznały sytuację we flocie za opanowaną. Było to przecież tylko chwilowe zażegnanie burzy.

## 87. Ułuda zwycięstwa

Wydawać się mogło, że rok 1918 rozpoczął się dla Niemiec pod szczęśliwą gwiazdą. Odniesiono zwycięstwo na wschodzie, należy teraz odnieść zwycięstwo na zachodzie - zdawało się, że były na to widoki. Trzeba było wszakże spieszyć się, gdyż czas pracował przeciwko Niemcom, osłabiał naród skazany na dotkliwe prywacje stanu wojennego, wzmacniał przeciwnika, któremu płynęły w sukurs dywizje amerykańskie i amerykańskie bogactwa. Przed Niemcami, jak nieraz

w przeszłości, stała alternatywa - armia czy dyplomacja, „dobry niemiecki miecz” czy manewry dyplomacji.

Pokój kompromisowy mieli na uwadze politycy i dyplomaci realistycznie oceniający sytuację - jak sekretarz stanu w Urzędzie Spraw Zagranicznych, chłodny i wyrachowany Kühlmann. W ich rozumowaniu dominacja niemiecka na wielkich obszarach Europy od Finlandii po Kaukaz to droga do obiecującej przyszłości, to wielki sukces, który warto kupić ustępstwami na zachodzie, ustępstwami to znaczy powrotem do *status quo ante bellum* łącznie z przywróceniem niepodległości Belgii. Za takim rozumowaniem przemawiała jeszcze sytuacja wewnętrzna Niemiec; strajk styczniowy był groźnym ostrzeżeniem.

O takim rozwiązaniu, o kompromisie na zachodzie, o pokoju białym nie chciano słyszeć w tych kołach, które decydowały o polityce Rzeszy, takiego rozumowania w ogóle nie chciało brać pod uwagę Naczelne Dowództwo.

I ten punkt widzenia przeważył, ale warto tu wspomnieć, jakim torem szło rozumowanie polityczne, jakim militarne.

Był to czas ofensywy polityczno-propagandowej państw zachodnich - mowa Lloyd George'a na kongresie Związków Zawodowych w Birmingham 5 stycznia, Czternaście Punktów Wilsona 8 stycznia 1918 r.

W piśmie do cesarza z 7 stycznia 1918 r., zredagowanym przez Ludendorffa, podpisanym przez Hindenburga, czytamy: „Aby zapewnić światową pozycję, polityczną i gospodarczą, która jest nam potrzebna,

musimy pobić państwa zachodnie. Dlatego Wasza Cesarska Mość dał rozkaz uderzenia na zachodzie. (...) Czy zawierając pokój uzyskamy dla Niemiec te korzyści, których wymaga nasza pozycja, o tym po wydarzeniach brzeskich wątpię”.

Dla Hindenburga i dla Ludendorffa wchodziła więc w grę wyłącznie siła pięści, i lekceważyli wszelkie rozwiązania polityczne.

A nieraz akcja polityczna i akcja militarna wchodziły ze sobą w konflikt, rzeczywisty czy pozorny, i trzeba było nie lada siły intelektu i siły woli, aby godzić wymagania polityki z nakazami prowadzenia wojny.

Referent wojskowy w Urzędzie Spraw Zagranicznych i oficer łącznikowy pomiędzy Naczelnym Dowództwem a kanclerzem - pułkownik Hans von Haeften opracował memoriał datowany 14 stycznia 1918 r. Treścią memoriału była ofensywa polityczna, jaką Niemcy powinny podjąć w 1918 r.

„Stoimy w obliczu rozstrzygającej walki pomiędzy Niemcami a Anglią” - tak rzecz swą rozpoczął pułkownik von Haeften. W boju tym znaczenie zasadnicze mieć będzie siła odporu społeczeństwa angielskiego; czy załamię się ona pod ciosami niemieckiego miecza. Lloyd George nie szczędzi wysiłków, aby natężyć, aby wzmocnić angielską wolę zwycięstwa. Obecnie wielkim zadaniem polityki niemieckiej jest, aby w tym przeszkodzić. W chwili rozpoczęcia ofensywy niemieckiej społeczeństwo angielskie musi się znajdować w stanie wyczerpania psychicznego. Propaganda Lloyd

George'a wykazuje opinii publicznej angielskiej grozę niebezpieczeństwa niemieckiego. Zwycięstwa niemieckie mogą wzmocnić odporność Anglików, nie znaczy to wszakże, aby należało zrezygnować z ofensywy, trzeba ją jednak poprzedzić energiczną akcją propagandową i ustawicznie pokazywać narodowi angielskiemu, że to Lloyd George ponosi wyłączną odpowiedzialność za przedłużanie się wojny, gdyż stawia daleko idące imperialistyczne cele wojenne, pokój zaś zapewniający warunki honorowe i pełne bezpieczeństwo można zawrzeć bez rozlewu krwi przez zawarcie układów.

Ludendorff przesłał memoriał kanclerzowi, ale do sprawy nie przywiązywał większej wagi. Propaganda, której celem było rozbicie psychiczne nieprzyjaciela, była orężem obosiecznym. Wskazywanie bowiem, że pokój honorowy i pomyślny można osiągnąć przez porozumienie, przez układy musiało osłabić wolę walki i w Niemczech, a tego właśnie obawiał się Ludendorff. Sprężył więc wszystkie siły, aby zadać potężny cios Wielkiej Brytanii i Francji. Czy spodziewał się osiągnąć na zachodzie taki sukces, jaki osiągnęli Niemcy na wschodzie? Rzecz to możliwa, ale bynajmniej niezupełnie pewna. Może wyobrażał sobie, że zwycięstwa niemieckie przyczynią się do obalenia Clemenceau we Francji, którego poczytywał za najgroźniejszego wroga, i Lloyd George'a w Anglii. W każdym razie droga wiodąca do zwycięstwa to dla Ludendorffa jedynie sukces militarny.

Ale byli w Niemczech ludzie, i to bynajmniej nie tylko na skrajnej lewicy, którzy inaczej i trafniej niż kwatermistrz generalny oceniali sytuację.

11 lutego 1918 r. Friedrich Naumann, autor „*Mitteleurop*”, Ernst Jackh, Robert Bosch, działacze o imperialistycznych dążnościach, przesłali Ludendorffowi pismo zawierające analizę położenia.

Autorzy wychodzili z założenia, że zachwiana została ostatnio jedność patriotyczna narodu; mieli na myśli strajk styczniowy. Strajk ten zahamowali „zorganizowani, rozsądni, starsi robotnicy”.

Dziś ludzie w Niemczech, gdy myślą o wojnie, stawiają sobie dwa pytania: jak długo jeszcze wojna będzie trwała i czy konieczna jest ofensywa na zachodzie.

Jeśli wojna przeciągnie się do roku 1919, doprowadzi to Niemcy, nawet w razie militarnych sukcesów, do katastrofy gospodarczej i politycznej. Pożytek, jaki Niemcy wyniosły dotąd z wojny, to utworzenie „*Mitteleurop*”. Ostoi się ona tylko wtedy, gdy Niemcy - państwo w „*Mitteleuropie*” wiodące - zachowają swą sprawność gospodarczą i finansową. Każdy miesiąc wojny osłabia Niemcy ekonomicznie w takim stopniu, że żadne odszkodowania nie będą mogły przywrócić gospodarczej równowagi niemieckiej. Jeśli Niemcy utracą swą przewagę gospodarczą, „*Mitteleuropa*” się rozpadnie, a Turcja, Bułgaria i nawet Austro-Węgry staną się po wojnie zdobyczą Stanów Zjednoczonych.

Dążenie więc szerokich mas narodu do zakończenia wojny ma obiektywne uzasadnienie.



Uzasadnione są również niechęci do ofensywy. Naród niemiecki ją przecierpi, jeśli będzie miał przekonanie, że nieprzyjaciel nie zostawił Niemcom innego wyboru. Takie nastroje mają zdrową podstawę i z wojskowego punktu widzenia. Żołnierz nieprzyjacielski będzie się bił gorzej, gdy będzie rozumiał, że prowadzi walkę zaczepną, tzn. że bije się o Alzację i Lotaryngię. Robotnicy angielscy wypowiadają się stanowczo przeciwko imperialistycznym celom wojennym. Ten czynnik działa i w narodzie niemieckim. Naród niemiecki musi wiedzieć, że Koalicja prowadzi przeciwko niemu wojnę zaczepną, gdy będzie to rozumiał, zbierze wszystkie swe siły. Rząd Rzeszy musi więc podjąć akcję polityczną i zmusić Lloyd George'a do wyraźnego oświadczenia, że Wielka Brytania walczy o przyłączenie Alzacji i Lotaryngii do Francji. Rząd Rzeszy osiągnie to, gdy wyda wyraźną, jednoznaczną deklarację o pełnym przywróceniu suwerenności i integralności Belgii. Niepodległość Belgii to postulat wszystkich angielskich i amerykańskich zwolenników zawarcia pokoju. Deklaracja w sprawie Belgii osłabi wolę walki u nieprzyjaciela, wzmocni zaś tę wolę w narodzie niemieckim.

Są dwa możliwe rezultaty niemieckiej akcji pokojowej: 1) w Anglii upadnie rząd wojenny Lloyd George'a, a na jego miejsce powstanie „ministerium pokojowe”; 2) Lloyd George pozostanie u władzy na czele „ministerium szowinistycznego”. Obie alternatywy są pomyślne.

Z „ministerium pokojowym” w Anglii Niemcy mogłyby łatwo zawrzeć pokój, który zapewniłby im „przyszłość kolonialną” i pozwolił kierować „*Mitteleuropa*”. „W historii byłoby to potężne zwycięstwo (*Gewaltiger Sieg*) Niemiec”. Byłoby to również „zwycięstwo wewnętrzne”, gdyż umocniłoby autorytet państwa, zagrożony „rewolucyjnym niepokojem” płynącym z Rosji. Gdyby w Anglii utrzymała się dyktatura Lloyd George’a, wojna przestałaby być dla Anglików wojną narodową, stałaby się „wojną rządową” i zakończyć by się musiała klęską Wielkiej Brytanii.

Generał Ludendorff uznał memoriał Naumanna za sprawę ważną, skoro raczył odpowiedzieć nań osobiście. Ale w odpowiedzi wykazał, nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni, że niedostępne mu jest rozumowanie polityczne, że istnieje dla niego tylko siła pięści. „Tylko działanie odnosi sukces” - pisał. Przez działanie rozumiał - rzecz prosta - tylko działania militarne. Przyszła „ofensywa - pisał dalej - nie będzie «ofensywą» niemieckiego sztabu generalnego, będzie ofensywą niemieckiego wojska”. „Skróci ona wojnę, oszczędzi pieniędzy i oszczędzi krwi”. Dowództwo niemieckie - zapowiadał kwatermistrz generalny - nie będzie czekało, aż posiłki amerykańskie tak wzmocnią Koalicję, że będzie mogła uderzyć na Niemcy.

Z czysto militarne go i to jednostronnego punktu widzenia rozumowanie to było może poprawne, ale Ludendorff nie brał pod uwagę ani czynników politycznych, ani gospodarczych, ani stopnia wyczerpania narodu niemieckiego.

Naczelne Dowództwo, podejmując decyzje wielkiej rozstrzygającej ofensywy na zachodzie, stawiało los wojny na jedną kartę. Jeśli ofensywa zawiedzie, Niemcy nie będą już więcej zdolne do działań zaczepnych, postępować będzie upadek sił i upadek ducha w narodzie i w armii.

13 lutego 1918 r. generał Ludendorff mówił na naradzie w Bad Homburg: „Walka na zachodzie, którą niesie rok 1918, jest najcięższym zadaniem militarnym, jakie kiedykolwiek stanęło przed jakąś armią; przez dwa lata daremnie usiłowali rozwiązać je Francuzi i Anglicy. Wczoraj rozmawiałem o tej sprawie z pewnym dowódcą armii, powiedział mi, że im więcej o niej myśli, tym bardziej dostrzega jej wielkość. Tak myślą wszyscy odpowiedzialni ludzie na zachodzie; wierzę także, iż tak myśli każdy żołnierz”.

Istotnie, Niemcy stały przed ciężkim zadaniem militarnym i musiały je rozwiązać w najbliższym czasie. Czas pracował, jak wiemy, na niekorzyść Niemców: pogarszała się z każdym niemal dniem sytuacja gospodarcza, zaostrzała się sytuacja społeczna, sprzymierzeńcy stawali się słabsi, przeciwnicy rośli w siły. Ale doraźnie, chwilowo warunki działania wydawały się pomyślne. Nie doszło wprawdzie do całkowitej likwidacji frontu wschodniego, trzeba było pozostawić na wschodzie jeszcze spore siły, ale już od listopada 1917 r. waliły pociągi ze wschodu przez Polskę i Niemcy do Francji. Wyczerpany był wprawdzie i osłabiony sprzymierzeniec austro-węgierski, ale klęska Włochów pod Caporetto w październiku 1917 r. na długo wyeliminowa-

wała z gry armię włoską i na czas pewien zapewniła monarchii habsburskiej bezpieczeństwo.

Takie były przesłanki niemieckiej wielkiej ofensywy marcowej roku 1918.

Poczyniono rozległe przygotowania. W 1917 r. powołano już do szeregów rocznik 1898. W 1918 r. szkolili się już młodzi ludzie rocznika 1899. Zwrócono też uwagę na tzw. „wyreklamowanych”, tzn. tych, których zwolniono ze służby wojskowej, gdyż praca ich była niezbędna w kraju, przede wszystkim w przemyśle wojennym. Liczba „wyreklamowanych” znacznie wzrosła, gdy wprowadzono w życie program Hindenburga. Zapotrzebowanie na sprzęt bojowy, a także potrzeby rolnictwa sprawiły, że wciąż wyłuskiwano z wojska robotników kwalifikowanych, techników, inżynierów, jak również i rolników.

21 stycznia 1917 r. „wyreklamowanych” było 1.431.558, w tym zdolnych nadal do służby frontowej 838.996; 1 stycznia 1918 r. „wyreklamowanych” było 2.154.387, w tym zdolnych do służby frontowej 1.097.108.

Wojsko domagało się wciąż ludzi dla zastąpienia poległych, rannych, wziętych do niewoli, ale żądało również armat, karabinów, amunicji. Było to błędne koło.

Projektowane silne uderzenie, przerwanie frontu nieprzyjacielskiego, marsz w głąb Francji - to było zerwanie po trzech latach z wojną pozycyjną, to nowa metoda walki, a może powrót do metody dawnej, do wojny ruchomej, która na zachodzie skończyła się je-

sienią 1914 r., a na wschodzie nie ustała aż do końca wojny.

Chcąc działać szybko, chcąc szybko odnieść zwycięstwo trzeba było szkolić wojsko do nowych metod walki. Ale czy armia niemiecka przy trudnościach transportowych, przy niedostatku benzyny, przy niedostatku koni zdolna była do wielkich operacji w polu? Naczelne Dowództwo próbowało w taki sposób wyjść z sytuacji: wojsko podzielono na *Angriffsdivisionen* - dywizje uderzeniowe i *Stellungsdivisionen* - dywizje pozycyjne. Dywizje uderzeniowe nieźle wyposażono w sprzęt bojowy, nawet w samoloty, a także w różne środki przewozowe, aby dać im możliwość prędkiego przenoszenia się z miejsca na miejsce. Stało się to kosztem dywizji pozycyjnych, które miały mocno ograniczoną możliwość ruchu. Była to jedna z przyczyn klęski niemieckiej, ale bodaj czy można było postąpić inaczej. W przededniu ofensywy mogli Niemcy rzucić do boju 136 dywizji pozycyjnych i 56 uderzeniowych. W ostatniej chwili podniesiono jeszcze ich liczbę do 70. Tak zorganizowanej armii postawiono ciężkie zadanie: strategiczne przełamanie frontu.

Świadek i uczestnik tych dni generał Hermann von Kuhl tak pisał: „Wojsko, które 21 marca roku 1918 podniosło się z okopów do ataku, nie było już tym wspaniałym wojskiem roku 1914. Nie było już płomiennego entuzjazmu, było poczucie obowiązku”.

21 marca 1918 r., w dniu rozpoczęcia ofensywy, siły niemieckie na wschodzie wynosiły jeszcze milion żołnierza, na zachodzie trzy i pół miliona; główną ich

część zgrupowano na terenie pomiędzy morzem a Argonnami. W marcu więc, w początkach ofensywy mieli Niemcy lekką przewagę liczebną nad armiami Koalicji: 192 dywizje przeciwko 172 dywizjom francuskim, brytyjskim, amerykańskim, belgijskim i portugalskim. Lekka ta przewaga malała szybko i zmieniała się na niekorzyść Niemców w miarę jak przyływały do Francji wojska amerykańskie; w lipcu 1918 r. było już 1.211.000 żołnierzy amerykańskich we Francji.

Zaopatrzenie armii niemieckiej było stosunkowo niezłe, gdyby ofensywa zakończyła się szybkim zwycięstwem, lecz wraz z przedłużaniem się walk występować będą coraz dotkliwsze braki, zwłaszcza niedostatek koni, samochodów, benzyny. Brak wyobraźni Ludendorffa sprawił, że Niemcy nie starali się zaopatrzyć armii w czołgi, do których taką wagę przywiązywali Anglicy.

Coraz mocniej natomiast dawał się we znaki brak ludzi. Turcja i Bułgaria odrzuciły żądanie Niemców przysłania wojsk tureckich i bułgarskich na front zachodni. Dowództwo austro-węgierskie zgodziło się wprawdzie skierować do Francji kilka dywizji, ale nie dopuściła do tego cesarzowa Żyta. Nie mogła znieść myśli, że Austriacy walczyć mają przeciwko Francji.

Jesienią 1917 r. zaczęli Niemcy układać plany wielkiej ofensywy, która ruszyć miała we Francji wczesną wiosną 1918 r.

Gdy Pétain powtarzał: „Czekam na Amerykanów i na czołgi”, Ludendorff działał pod hasłem: „Uprzedzić! Uprzedzić Amerykanów!”

Przed sztabem niemieckim rysowały się trzy możliwe kierunki uderzenia - we Flandrii pomiędzy Ypres i Lens, bardziej na południe pomiędzy Arras i Saint-Quentin i wreszcie w okolicach Verdun. Ludendorff wybrał kierunek na Arras i Saint-Quentin. Uważał tę część frontu, leżącą na styku pozycji francuskich i brytyjskich, za najslabiej bronioną; najpomyślniej przedstawiały się tam warunki terenowe, atak można było podjąć o każdej porze roku. Kwatermistrz generalny spodziewał się wbić się klinem pomiędzy armie francuską i brytyjską, rozłączyć je i następnie rozbić armię angielską.

Mówiono dotąd wiele o potrzebie zaskoczenia przeciwnika, ale długie wielostronne przygotowania, których nie sposób było zamaskować, wykluczały i uniemożliwiały zaskoczenie. Tym razem wszakże przygotowania, przesuwanie wojsk, sprowadzenie sprzętu bojowego, amunicji, zapasów żywności, lekarstw w znacznej mierze zdołano ukryć, nie całkiem jednak, gdyż w lutym 1918 r. wywiad francuski ustalił, że 233 Dywizja Pomorska w obozie w okolicach Saverne szkoli się do wojny ruchomej.

Noc z 20 na 21 marca 1918 r. była ciemna, padał gęsty deszcz. O godzinie 4 minut 30 rano zagrzmiały armaty niemieckie, rozpoczął się morderczy ogień. O godzinie 9 minut 40 pod osłoną gęstej mgły piechota niemiecka z wyborowych dywizji „uderzeniowych” ruszyła do ataku na froncie długości około 80 km od Arras do La Fère nad rzeką Oise.

Powodzenie towarzyszyło Niemcom, wdarli się w głąb pozycji francuskich i brytyjskich na froncie szerokości około 80 km, głębokości około 7 km na odcinku północnym, około 20 km na odcinku południowym. Parli w kierunku Amiens, wzięli 90 tys. jeńców i niezgorszą zdobycz; nie zdołali wszakże przerwać na dłużej łączności pomiędzy armiami francuską i brytyjską.

Szczególnie silne straty ponieśli Anglicy. Według słów Lloyd George'a „5 Armia nie była już armią. Była rozbita na oddzielne oddziały, które wszakże walczyły w odwrocie. Trzeba zauważyć, że nie było zbiegów”. Wrażenie w Anglii i zwłaszcza we Francji było niemałe, a w społeczeństwie francuskim pogłębiło je jeszcze nieoczekiwane bombardowanie Paryża. 23 marca spadły na Paryż w odstępach 15–minutowych wielkie pociski. Początkowo nikt nie umiał sobie tego wytłumaczyć, na widnokręgu nie można było dojrzeć ani zeppelinów, ani samolotów nieprzyjacielskich, wojska niemieckie były o tyle daleko od stolicy, że nie przypuszczano, aby to był ostrzał artyleryjski. Okazało się jednak, że tak właśnie było. W lesie w pobliżu Saint-Gobin Niemcy ustawili nowego typu ciężką armatę o nieznanej dotąd mocy i odległości strzału. Francuzi nazwali ją później „grubą Bertą” od imienia Berty Krupp.

Świadek naoczny Hipolit Korwin–Milewski, który przebywał wówczas w Paryżu, tymi słowami opisuje wyuczyny „grubej Berty”: „W Wielki Poniedziałek 23 marca w sam dzień piorunującego ataku Niemców na Amiens (...) wchodzi do mnie punktualnie o 8 rano słu-



żący z rannym śniadaniem i wali się ze strachu na ziemię z tacą, kawą, śmietanką itd. Przy jaskrawym słońcu, czystym jak we Włoszech niebie, niemożebności jakiegokolwiek ataku nadpowietrznego niemieckich aeroplanów, rozległ się huk strasznego wybuchu nieco odmiennej intonacji niż te, którymi co wieczór prawie nas traktowały. (...) Wybuchy w różnych dzielnicach miasta tego dnia odnawiały się regularnie co kwadrans do godziny drugiej, cały Paryż trzymał się za głowę nie mogąc zgadnąć, co skąd pada, aż ekspertyza techniczna bez wątpienia ustaliła, że to padają pociski armatnie kalibru 22 cm.

W Wielki Piątek, 29 kwietnia, pocisk uderzył w kościół św. Gerwazego w czasie, gdy odbywały się tam zwyczajowe śpiewy. Było kilkadziesiąt osób zabitych, wiele rannych”.

Bombardowania Paryża i niektórych innych miast francuskich miały niewielkie znaczenie militarne, ale budziły w społeczności nastroje niepokoju i zdenerwowania.

Sytuację na froncie utrudniał wojskom Koalicji brak jednolitego dowództwa i należytego koordynowania wzajemnych działań. Wódz francuski Pétain dążył przede wszystkim do ochrony Paryża, wódz angielski Douglas Haig do zabezpieczenia portów morskich i możliwości wycofania swej armii do Anglii.

Po stronie francuskiej i angielskiej nastroje zapewne jeszcze nie paniki, ale obaw i zdenerwowania, po stronie niemieckiej przedwczesnej radości i triumfu.

Wilhelm II 26 marca wiadomość o klęsce 5 Armii angielskiej przyjął z właściwym sobie brakiem opanowania i zapowiedział, że gdy przybędzie parlamentarzysta brytyjski prosić o pokój, będzie musiał klęczeć przed sztandarem cesarskim, gdyż jest to zwycięstwo monarchii nad demokracją.

Tydzień walk wyczerpał Niemców i osłabił ich siłę uderzeniową. Nie powiódł się 28 marca atak na Arras, zawiodły próby zdobycia Amiens. Rosły trudności z zaopatrzeniem walczącej armii. 5 kwietnia ofensywę wstrzymano, aby wznowić ją po kilku dniach. Dalsze walki toczyły się pomiędzy 9 a 29 kwietnia 1918 r. I znowu osiągnęli Niemcy sukcesy taktyczne, nie zdołali osiągnąć strategicznych. Przełamali linie brytyjskie pomiędzy Armentières i La Bassée, zajęli Armentières, zdobyli górę Kemmel.

Uderzenie na Anglików wywołało poruszenie w Londynie. Generał Sir Henry Wilson przyjechał natychmiast do Francji i tłumaczył Clemenceau i Fochowi, że należy - tak jak w roku 1914 - otworzyć śluzę i zalać kraj pomiędzy Dunkierką i Saint-Omer, a wojska brytyjskie i belgijskie cofnąć na linię Saint-Omer - Abbeville. Foch oceniał sytuację spokojniej i - jak przyszłość miała wykazać - trafniej. Sądził, że atak niemiecki jest dywersją dla odciążenia odwodów francuskich z terenu przyszłej ofensywy, skierował jednak dwie dywizje francuskie na pomoc Anglikom.

Brak rezerw nie pozwolił Niemcom na kontynuowanie działań zaczepnych i wyzyskanie dotychczasowych powodzeń.

29 kwietnia 1918 r. Ludendorff zatrzymał ofensywę.

Marcowa i kwietniowa ofensywa niemiecka wykazała, nie po raz pierwszy, jak bardzo brak jednolitego dowództwa utrudnia prowadzenie wojny. Ale ambicje i drażliwości angielskie, wspomnienia bojów toczonych przeciwko Francuzom wciąż stały na przeszkodzie porozumieniu. A pamiętajmy, że w tamtoczesnych warunkach wodzem wspólnym mógł być tylko generał francuski. Gdy generał French wyjeżdżał w sierpniu 1914 r. do Francji, Lord Kitchener przypominał mu, że nie będzie podlegał dowództwu francuskiemu. W parę lat później Sir Douglas Haig oświadczył premierowi Clemenceau: „Mam nad sobą tylko jednego wodza i nie mogę mieć innego. Jest nim mój król”.

Wraz ze zmianą warunków następuje niekiedy i zmiana pojęć. W 1918 r. Haig nie mógł dojść do porozumienia z Pétainem, żądał pomocy dla zagrożonej katastrofą armii brytyjskiej, żądał współdziałania, spotkał się z odmową. Pétain bowiem uważał początkowo ofensywę niemiecką we Flandrii za manewr dla odciążenia Francuzów od Szampanii, gdzie miałyby nastąpić uderzenie, wolał osłaniać Paryż niż ratować armię brytyjską. Ale jeżeli wodzem wspólnym zostanie Francuz i będzie dźwigał odpowiedzialność za wszystkie operacje, za cały front, zapewni Anglikom pełne poparcie armii francuskiej. Generał Wilson wpadł więc wówczas na oryginalny pomysł, aby wodzem został brutalny, pełen energii Clemenceau, a jego „doradcą technicznym” Foch. Pomysł ten upadł tak prędko, jak

go wysunięto, ale sprawa wspólnego dowództwa domagała się rozstrzygnięcia. Pierwszy krok w tym kierunku postawiono na konferencji w Doullens.

Doullens, 26 marca 1918 r. Zjechali się w pobliżu frontu Francuzi i Anglicy dla podjęcia ważnych decyzji. Jest prezydent Poincaré, jest Clemenceau, jest wódz armii francuskiej Pétain i szef sztabu Foch. Przybywają później Anglicy Lord Milner i generał Haig. Pełni niepokoję mieszkańcy Doullens dopytują się, czy Niemcy zajmą Doullens.

W takiej atmosferze przyszło podejmować decyzje. Clemenceau, który żywił szczerą sympatię osobistą do Pétaina, zachwiał się w nich i zwierzył się Poincarému: „Pétain jest irytujący ze swoim pesymizmem. Niech Pan sobie wyobrazi, powiedział mi, co powtórzę tylko Panu: Niemcy pobiją Anglików w polu, a później pobiją i nas także. Czy generał może myśleć i mówić w taki sposób?”

Ale wśród obecnych był Foch i według słów Clemenceau „narzucił się na wodza. Za tę chwilę będę mu wdzięczny do ostatniego tchnienia”. Foch wykrzyknął: „Mój plan jest prosty. Chcę się bić. Będę się bił na północy, będę się bił nad Sommą, będę się bił nad Aisne, w Lotaryngii, w Alzacji. Będę się bił zawsze. Uderzając ciągle złamię wreszcie bosza. Teraz, jak w 1914 nad Marną, trzeba się mocno trzymać ziemi! Nie wolno się cofnąć o krok”!

Stary Tygrys słuchał tych słów z zachwytem i zawołał: „*Quel bougre!*” („Co za szelma”). W pamiętnikach napisał: „Wyznaję, że z trudem powstrzymałem

się, aby nie porwać w ramiona tego wspaniałego wodza w imieniu Francji znajdującej się w strasznym niebezpieczeństwie”.

Droga do władzy stanęła dla Focha otworem. Osiągnął ją co prawda etapami. Etap pierwszy w Doullens 26 marca, porozumienie francusko–brytyjskie: „Rządy francuski i brytyjski powierzają generałowi Fochowi koordynację działań armii sprzymierzonych na froncie zachodnim. Porozumie się on z naczelnymi wodzami, którzy mają polecenie udzielić mu wszelkich potrzebnych informacji”.

Foch, gdy tylko wziął nominację do ręki, natychmiast przystąpił do działania. Haigowi zapowiedział: „Nie wolno myśleć o cofaniu się do portów. Trzeba stać na stanowisku”. Pétain otrzymał polecenie utrzymania Amiens i zachowania ścisłej łączności z armią brytyjską.

Ale Foch nie był jeszcze wodzem Koalicji, nie mógł mieć wpływu na działania ani armii amerykańskiej, ani belgijskiej, ani włoskiej. Amerykanów, Belgów i Włochów nie było w Doullens. Nie mógł jeszcze rozkazywać, musiał przekonywać. Zrozumiał to wkrótce Clemenceau, zrozumieli Amerykanie, zrozumieli Anglicy.

Następna konferencja w Beauvais 3 kwietnia 1918 r. Tym razem z udziałem Amerykanów poszła dalej niż konferencja w Doullens. Zakres władzy Focha tak określono: „Rządy brytyjski, francuski i amerykański powierzają generałowi Fochowi koordynowanie działań armii sprzymierzonych na froncie zachodnim; otrzymu-

je on w tym celu wszystkie potrzebne uprawnienia. Rządy brytyjski, francuski i amerykański powierzają generałowi Fochowi kierownictwo strategiczne operacji wojskowych. Naczelnicy wodzowie armii brytyjskiej, francuskiej i amerykańskiej mają pełne kierownictwo taktyczne swoich armii”.

Po zakończeniu konferencji Lloyd George zwrócił się do Focha z zapytaniem: „A teraz na kogo mam postawić? Na Ludendorffa czy na Focha?” „Może Pan postawić na mnie - brzmiała odpowiedź generała - wygra Pan!”

W porównaniu z układem z Doullens układ z Beauvais był krokiem naprzód. Foch nie był już tylko doradcą i koordynatorem, przyznano mu prawo kierowania, a więc dowodzenia. Nie był wszakże jeszcze wodzem naczelnym i nie dowodził wszystkimi wojskami Koalicji na wszystkich frontach, a jedynie na froncie najważniejszym, na froncie francuskim.

Wkrótce poczyniono dalsze kroki. 2 maja 1918 r. rząd włoski przyłączył się do uchwały z Beauvais, ale z zastrzeżeniem, że generał Foch będzie na froncie włoskim tylko koordynował działania wojenne, dowodzić armią włoską natomiast będzie wtedy dopiero, gdy inne armie sprzymierzone znajdą się we Włoszech i wezmą udział w walkach na froncie włoskim.

Wreszcie 14 maja 1918 r. generał Foch dostał oficjalny tytuł naczelnego wodza wojsk sprzymierzonych we Francji.

„Ale to wszystko - pisze Foch - były części procedury, ustanawiającej prawa na papierze. Należało zoba-

czyć, jak będzie można sprawować dowództwo w taki sposób utworzone”.

Jednolite dowództwo to poważny krok na drodze do zwycięstwa, to bardzo wiele, ale to jeszcze nie rozstrzygało losów wojny. Inicjatywę nadal miał w rękach Ludendorff, Foch uchwyci ją dopiero w drugiej połowie lipca.

Ale czas już ocenić wielką niemiecką ofensywę marcową, tę ofensywę, która przyczyniła się do utworzenia wspólnego dowództwa wojsk Koalicji.

Otóż uderzają tu dwie osobliwości - najpierw bijące w oczy zewnętrzne sukcesy, zwłaszcza w porównaniu do poprzednich walk na zachodzie, a po bliższym zastanowieniu nikłe rezultaty toczonych bojów. Pod względem strategicznym ofensywa zawiodła. Niemcy nie zdołali przełamać całego frontu nieprzyjacielskiego i przejść do wojny ruchomej. Straty niemieckie wyniosły około 240 tys., straty armii francuskiej i brytyjskiej około 220 tys. Zachodziła tu wszakże różnica zasadnicza, gdy miejsce poległych, rannych, wziętych do niewoli Francuzów i Anglików zajmowały świeże, doskonale wyposażone dywizje amerykańskie, Niemcom coraz trudniej przychodziło uzupełniać braki. Co więcej, zużyto znaczną część dywizji „uderzeniowych” i wypadło zastępować je dywizjami „pozycyjnymi”, przedstawiającymi dużo mniejszą wartość.

Przyczyny strategicznego niepowodzenia niemieckiego były różne. Najważniejszą chyba był brak dostatecznych sił do tak potężnego ataku, brak odwodów żołnierskich, trudności zaopatrzenia, trudności trans-

portowe, brak czołgów i w znacznej mierze silny opór wojsk Koalicji, gdzie wkrótce już zaczynały się pokazywać skutki jednolitego dowództwa. Niemcy, przede wszystkim Ludendorff, nie docenili przeciwnika.

Dowództwo niemieckie nie zaniechało wszakże planów nowych ataków, nowej ofensywy. Zdawano sobie sprawę ze słabnących własnych sił. Widziano, że armia, którą rzuci się do nowego uderzenia, będzie słabsza i gorzej zaopatrzona niż w marcu, ale liczone na sprzyjające okoliczności. Sądzone, że słabną nie tylko Niemcy, ale że słabnie również Francja i Anglia. 4 maja 1918 r. Ludendorff mówił bawarskiemu następcy tronu Rupprechtowi: „Nasi przeciwnicy na zachodzie mogą się również załamać tak niespodziewanie, jak Rosja”.

Podobne myśli wypowiedział Hindenburg w rozmowie z pułkownikiem Albrechtem von Thaer: „Nie po jednym uderzeniu upadł kolos (rosyjski). Atakowaliśmy to tu, to tam i nagle poszło tak daleko. Pójdzie tak samo i na zachodzie. Niech Pan patrzy, mamy przed sobą, Bogu dzięki, jeszcze pięć miesięcy do zimy, jeszcze wiele razy możemy przypuścić atak, uderzymy to tu, to tam...”. Tu stary pan wysuwał naprzód to prawą, to lewą pięść.

W języku urzędowym Naczelnego Dowództwa rojenia te tak się nazywały: „Gmach nieprzyjacielski tak mocno wstrząsnąć uderzeniami zakrojonymi na szeroką skalę, powiązanymi ze sobą, aż wreszcie nieprzyjaciel się załamie”.



27 maja 1918 r. rozpoczęła się na szerokości 55 km nowa wielka ofensywa niemiecka nad rzeką Aisne. Zaskoczenie i przewaga liczebna Niemców przyniosły im początkowe zwycięstwa. Już w pierwszym dniu walk Niemcy przekroczyli Chemin des Dames i rzekę Aisne i zajęli Nesle, w dniu 29 maja w rękach niemieckich było Soissons.

30 i 31 maja wojska niemieckie dotarły do Marny pomiędzy Dormans i Château-Thierry i przekroczyły ją w paru miejscach. Posunęli się Niemcy znacznie na odcinku pomiędzy Noyon i Château-Thierry, ale pochód niemiecki powstrzymali Francuzi w lasach koło Villers-Cotterêts. Jeszcze raz ruszyli Niemcy do ataku pomiędzy Montdidier i Noyon. Ale wojsko było wyczerpane kilkunastodniowymi walkami, a odwodów brakło. 11 czerwca Francuzi pod wodzą generała Charlesa Mangina ruszyli do zwycięskiej kontrofensywy i odnieśli pierwsze bodaj w 1918 r. zwycięstwo. 14 czerwca Ludendorff wstrzymał działania zaczepne.

A oto wyniki ofensywy. W pierwszych dniach duże, bijące w oczy sukcesy, znaczniejsze może niż w marcu, a zaraz później słabość, zmęczenie, rozczarowanie.

Interesujące są wydarzenia polityczne towarzyszące ofensywie niemieckiej. Ludendorff opowiada w pamiętnikach, że „z napięciem” czytał sprawozdanie z dyskusji we francuskiej Izbie Deputowanych w dniu 4 czerwca. Na podstawie odgłosów dochodzących z Francji spodziewał się silnych nastrojów pesymizmu czy nawet defetyzmu i ... zawiódł się.

Interpelacje skierowane do prezesa ministrów stały się dla niego zachętą do wygłoszenia długiej mowy, do wypowiedzenia mocnych słów zachęty i akcentów optymizmu. Clemenceau - pisał Ludendorff - „rzucił słowa dumne i wspaniałe mocne”. „Armia - wołał Stary Tygrys - przewyższyła to, czego mogliśmy od niej oczekiwać. A gdy mówię armia, mam na myśli wszystkich żołnierzy wszystkich stopni, którzy są w ogniu. To jeden z czynników naszego zaufania, czynnik główny. Wiara w sprawę jest rzeczą wspaniałą, ale nie daje zwycięstwa. Trzeba, aby ludzie umierali za swoją wiarę, by wywalczyć zwycięstwo, a nasi umierają”. Znalazła się w mowie Clemenceau trafna ocena sytuacji Niemiec. „Niemcy - mówił - postawili wszystko na jedną kartę. (...) wszystkie siły rzucili nad Yserę. A to dlatego, aby zdobyć Calais i oddzielić nas od Anglików i zmusić do kapitulacji. Dlaczego ten marsz piorunujący na Paryż? Aby zdobyć Paryż, wywołać przerażenie i zmusić nas do kapitulacji. Dlaczego dziś znowu zaczynają walkę? Aby wywołać u nas strach, ale go nie wywołają”.

Clemenceau miał słuszość; nastroje pesymistyczne, nawet paniczne, silne podczas wiosennych zwycięstw niemieckich, podsycane ostrzałem Paryża i miast Francji północnej i środkowej, zanikały szybko. Zaniechano wkrótce przygotowań do ewakuacji rządu ze stolicy. Oparli się temu Poincaré i Clemenceau. Pod datą 7 czerwca 1918 r. Poincaré nie bez zdziwienia zanotował w swym dzienniku o wizycie Pétaina w Pałacu

Elizejskim: „Po raz pierwszy widzę go zupełnie ufne-go”.

„W opinii publicznej narodów zachodnich już panowała pewność zwycięstwa. »*On les aura!*« - słyszało się we Francji na każdym kroku” - pisał Roman Dmowski.

## 88. Wszystko na jedną kartę

Trzy ofensywy w marcu, kwietniu i maju pokazały siłę czy może pozory siły niemieckiego oręza, zadały ciężkie ciosy przeciwnikowi. Ale co dalej?

W wyobrażeniach przeciętnego czytelnika gazet i komunikatów wojennych powinno teraz nastąpić potężne uderzenie, może jeszcze dwa uderzenia i wówczas... zwycięski koniec wojny.

Tak mógł myśleć czytelnik gazet, rzeczywistość wyglądała inaczej. Wiosenne sukcesy taktyczne wyczerpały i osłabiły armię niemiecką i - co brzmi paradoksalnie - pogorszyły położenie na froncie. Trzy wygięte łuki - Armentieres, Montdidier, Château-Thierry - wymagały znaczniejszych sił do obsady, a nieprzyjacielowi ułatwiały atak.

Przed naczelnym dowództwem otwierały się dwie drogi: przejścia do obrony, do taktyki defensywnej lub nowy atak, nowa ofensywa. Wybór nie był łatwy. Taktyka defensywna wymagała skrócenia linii frontu, tzn. wycofania wojsk niemieckich z nazbyt wysuniętych pozycji; musiałoby to nasilić niepożądane, pesymistyczne nastroje w armii niemieckiej, w społeczeństwie niemieckim i u sprzymierzeńców, którzy nadzieje na

pomyślne -zakończenie wojny upatrywali już tylko w zwycięstwie Niemiec, zwłaszcza po załamaniu się w połowie czerwca 1918 r. ofensywy austriackiej we Włoszech. Taktyka defensywna wreszcie to przedłużenie się wojny, to zaś było bardzo niebezpieczne, gdy czas pracował przeciwko Niemcom.

Działania zaczepne, nowa wielka ofensywa to gra *va banque*, to postawienie wszystkiego na jedną kartę; załamanie ofensywy to przegrana wojna.

Była może jeszcze trzecia droga, próba porozumienia z nieprzyjacielem, próba zawarcia pokoju kompromisowego. O tej drodze myśleli niektórzy politycy niemieccy. Kühlmann pisał w swych wspomnieniach: „Od pierwszego dnia po objęciu urzędu (sekretarza stanu) moją główną myślą było, jeśli to tylko możliwe, nawiązać rozmowy z przeciwnikiem, jeszcze przed rozstrzygnięciem”.

W maju 1918 r. wydawać się mogło, że „główną myśl” Kühlmanna można będzie zacząć realizować, że nadeszła chwila, aby rozpocząć z Anglikami dyskretne, poufne rozmowy.

17 maja 1918 r. miasto Glasgow nadało obywatelstwo honorowe południowoafrykańskiemu politykowi Smutsowi. Generał Jan Christiaan Smuts, wówczas minister obrony narodowej Związku Południowej Afryki i zarazem członek Imperialnego Gabinetu Wojennego wygłosił z racji tej uroczystości w Glasgow mowę o niemałym znaczeniu politycznym.

Generał stwierdził, że Wielka Brytania dźwiga obecnie główny ciężar wysiłków wojennych. Niemcy

usiłowali zniszczyć armię brytyjską w przekonaniu, że jest ona w toczącej się wojnie czynnikiem rozstrzygającym; gdyby została rozbita, byłby to koniec wojny. Wielka Brytania pokazała przeciwnikowi, że zmęczeniu nie ulegnie ani żołnierz angielski, ani naród angielski. Ostatnia ofensywa niemiecka przyniosła dwie korzyści: armiom sprzymierzonym dała jednolite dowództwo i uśmierzyła tendencje pacyfistyczne w społeczeństwie angielskim.

Po tych słowach pełnych dumy zwycięzcy poszły słowa inne, wyraźnie zachęcające do podjęcia rozmów z przeciwnikiem. Generał wyjaśniał, że gdy kto chce położyć kres wojnie, powinien wybadać nieoficjalnie, jakie są zamysły nieprzyjaciela. Pokój, dowodził, można osiągnąć nie tylko siłą zbrojną, ale także i orężem dyplomatycznym, mianowicie, gdy dojrzeje czas, aby Wielkiej Brytanii i jej sprzymierzeńcom zapewnić pomyślny pokój. Ale jakby w obawie, że posunął się zbyt daleko, Smuts zakończył mowę wyrażeniem przekonania, że jednak pokój nie jest jeszcze bliski i dlatego naród powinien stać mocno przy rządzie Lloyd George'a.

W znamiennej tej mowie odnajdujemy różne akcenty; była tam i duma pewnego siebie zwycięzcy i uznanie dla pierwszego ministra, nielubianego wówczas bardzo w Niemczech Lloyd George'a; ale znalazła się i aluzja do wszczęcia poufnych, dyskretnych rozmów z Niemcami na temat warunków przyszłego pokoju.

Nie były to jeszcze konkretne propozycje rokowań pokojowych. Były to - jak sądzono na Wilhelmstrasse - ostrożnie wysunięte macki.

Spotkanie w czerwcu 1918 r. w Hadze pełnomocników brytyjskich i niemieckich w sprawie wymiany jeńców wojennych dały sposobność do rozmów politycznych niemiecko-brytyjskich. Wbrew oczekiwaniom Kühlmanna rozmowy te nie przerodziły się we wstępną nawet dyskusję na temat warunków pokoju, ale interesujący był ich przebieg, interesujący i z uwagi na mentalność niemiecką, i na politykę brytyjską. Niemiec, książę Hermann von Hatzfeldt-Wildenburg-Schönstein, oświadczył, że Niemcy po wielkich zwycięstwach pod żadnym pozorem nie będą mogły zgodzić się na „pomniejszenie swej pozycji mocarstwa światowego”. Anglik, Lord Thomas Wodehouse Legh Newton, zareagował żywo; w Anglii - twierdził - po załamaniu się Rosji panują silne obawy przed nieograniczoną hegemonią Niemiec w Europie; w początkach wojny budziła niepokój ewentualność wielkiego zwycięstwa Rosji, brano wówczas pod uwagę możliwość brytyjsko-niemieckiej wspólnoty interesów przeciwko nazbyt potężnej Rosji. Obecnie - dowodził Lord Newton - jest wręcz przeciwnie, Niemcy są na wschodzie tak wielką potęgą, że ani bezpieczeństwo Wielkiej Brytanii, ani jej interesy na Bliskim Wschodzie nie pozwalają zgodzić się z taką sytuacją.

Wywody Newtona zaskoczyły Kühlmanna. Sekretarz stanu chciał mimo wszystko kontynuować rozmowy, gotów był przyjechać potajemnie do Holandii na

spotkanie z którymś z dyplomatów brytyjskich. Nie życzyli sobie tego Anglicy i za pośrednictwem holenderskim powiadomili Kühlmanna, że pełna niepodległość Belgii jest nieodzownym warunkiem nawiązania jakichkolwiek rozmów.

Pomimo niezachęcających relacji z Hagi Kühlmann nie zarzucił myśli szukania porozumienia z Wielką Brytanią; do mowy Smutsa przywiązywał wagę chyba nadmierną. Postanowił więc wzorem południowoafrykańskiego polityka wypowiedzieć się publicznie i wskazać na możliwość i potrzebę nawiązania rozmów pomiędzy przeciwnikami. Sposobność do wystąpienia dała mu prowadzona w parlamencie dyskusja nad budżetem Urzędu Spraw Zagranicznych. 24 czerwca 1918 r. stanął Kühlmann na trybunie parlamentu i wygłosił zwyczajową mowę programową. Obok pobieżnej, nadmiernie optymistycznej oceny położenia trzech sprzymierzeńców i ich stosunków z Rzeszą znalazły się w mowie sekretarza stanu entuzjastyczne, patetyczne słowa o „wspaniałym przebiegu operacji we Francji”, o „genialnym kierownictwie” wojskowym. Była też i przepowiednia, która się nie sprawdziła. „Inicjatywa - mówił sekretarz stanu - znajduje się całkowicie w rękach niemieckiego Naczelnego Dowództwa i możemy mieć nadzieję, że lato i jesień przyniosą orężowi niemieckiemu nowe, wielkie sukcesy”.

Słowa te mówca kierował do szerszego ogółu, aby zmęczony naród podnieść na duchu, i do nieprzyjrznych wodzów, Hindenburga i Ludendorffa, aby złago-

dzić napięte między nimi stosunki i ułatwić sobie kontakty z nimi.

Ale właściwy cel mowy zawierał się w aluzjach, w napomknieniach, które miały znaleźć oddźwięk nad Tamizą.

A więc najpierw odrzucenie twierdzenia, jakoby Niemcy dążyli do panowania nad światem (*Weltherrschaft*) i w tym celu rozpętały wojnę. O tym nikt w Niemczech nie myśli; panowanie nad Europą to utopia, przykładem Francja, która się wykrwawiła w daremnych wojnach o hegemonię i zahamowała swój rozwój. A więc uspokoić Anglików, przekonać ich, że Niemcy nie mają dalekosiężnych, niebezpiecznych zamysłów, ich podejrzliwość skierować w inną stronę, podsycić stare niechęci, stare resentymenty brytyjsko-rosyjskie. „Wojna - słowa te miały dotrzeć do Londynu - to dzieło Rosji, dzieło pozbawionej skrupułów polityki rosyjskiej”.

A więc w imię czego Niemcy prowadzą wojnę? Niemcy walczą o integralność terytorium Rzeszy i jej sprzymierzeńców, o swoje posiadłości zamorskie, o możliwość swobodnego prowadzenia handlu z całym światem. Poruszył też Kühlmann ostrożnie sprawę belgijską; rząd cesarski nie żywi w tej kwestii zamysłów, które mu przypisują w Wielkiej Brytanii. „Uważamy Belgię za jeden z problemów, ale nie możemy w sprawie belgijskiej dawać wyjaśnień, które będą wiązały nas, ale nie naszych przeciwników”.

Powiedziane enigmatycznie, ale jednak wymownie. Wymowne były również słowa sternika dyplomacji



niemieckiej: „Wobec potwornej wielkości tej wojny koalicyjnej, w której biorą udział i mocarstwa zamorskie, nie można oczekiwać końca wojny jedynie w wyniku działań wojennych, bez zmiany poglądów, bez rokowań dyplomatycznych”.

Kühlmann nie wierzył w pełne zwycięstwo; jego mowa miała przekonać parlament i opinię publiczną, że pokój zwycięski podyktowany przeciwnikowi jest sprawą nierealną, że Niemcy muszą zabiegać o pokój kompromisowy.

Jeśli oklaski i potakujące glosy, którymi posłowie przerywali od czasu do czasu *exposé* pozwoliły sekretarzowi stanu liczyć na przychylny oddźwięk i poparcie większości parlamentarnej, to bardzo prędko musiał się pozbyć złudzeń. Pogląd, że Niemcy nie samą tylko siłą oręza, ale i wysiłkiem dyplomatycznym zakończą wojnę, osiągną pokój, rozszerdziło konserwatystów, imperialistów. Hrabia Kuno von Westarp zatelefonował natychmiast do Kwatery Głównej w Avesnes do Ludendorffa, złożył mu sprawozdanie, otrzymał instrukcje, wrócił na salę obrad, zapisał się do głosu i uderzył w Kühlmanna. Wyznał, że mowy sekretarza stanu wysłuchał z „poważną troską”, odzegnał się od pojedynczych słów skierowanych pod adresem Wielkiej Brytanii; stwierdził, że mowa Kühlmanna to nowa oferta pokojowa, Niemcy zaś mają przed sobą jedną tylko drogę do pokoju, a jest nią zwycięstwo niemieckiego oręza. Nazajutrz, 25 czerwca, hrabiemu Westarpowi zawtórował przyszły laureat nagrody pokojowej Nobla Gustav Stresemann. Na niego i na jego przyjaciół *exposé*

sekretarza stanu podziałało „przygnębiająco”. Ubolewał, że z ławy rządowej padły słowa, iż Niemcy samą siłą oręża nie mogą zwycięsko zakończyć wojny.

Z woli Ludendorffa dymisja Kühlmannna była sprawą przesądzoną już w kilka godzin po jego wystąpieniu w parlamencie, czekano jeszcze ze względu na opinię publiczną. Dopiero 9 lipca 1918 r. podano komunikat o ustąpieniu Richarda von Kühlmannna ze stanowiska sekretarza stanu w Urzędzie Spraw Zagranicznych. Następcą Kühlmannna admirał von Hintze rozpoczął urzędowanie od podróży do Kwatery Głównej. Ludendorff uznał w nim „silną naturę”.

Dymisja Kühlmannna to jeszcze jedno świadectwo potęgi Naczelnego Dowództwa. W mowie Hugona Haasego, jednego z przywódców socjalistów, w parlamencie w dniu 25 czerwca 1918 r. znalazł się taki ustęp: „Panowie hrabia von Hertling, Payer, von Kühlmann i jak oni się tam nazywają są to tylko listki figowe dla ukrycia nagiej autokracji wojskowej. Byłaby to rzecz radosna - *erfreulich* - gdyby wyjaśniono zagmatwaną tu i ówdzie sytuację (...) słowem, gdyby stanowisko kancлера objął człowiek, który rządzi Niemcami - generał Ludendorff”.

Początkowe wątpliwości niektórych parlamentarzystów i dziennikarzy czy sekretarz stanu mógł wygłosić mowę takiej treści bez uzgodnienia jej z Ludendorffem rozchwiał przedstawiciel wojska oświadczając na konferencji prasowej, że wywody Kühlmannna „w najbardziej przykry sposób zaskoczyły Naczelne

Dowództwo, jest ono -bowiem przeświadczone, że zwycięstwo przyniesie Niemcom żołnierz niemiecki”.

Prasa prawicowa atakowała Kühlmanna tak ostro i tak brutalnie, że wicekanclerz Payer widział się zmuszonym wytoczyć pismom „Deutsche Zeitung” i „Alldeutsche Blatter” proces o obrazę sekretarza stanu spraw zagranicznych.

Ambasador Austro–Węgier w Berlinie Gottfried książę zu Hohenlohe–Schillingsfürst tymi słowy scharakteryzował nowego sekretarza stanu: „Znam go z Petersburga, gdzie widywałem go często, ale nigdy mi nie przyszło do głowy, że będzie to mógł być kiedyś sternik polityki zagranicznej Niemiec. Słyszałem później, że na stanowisku posła w Meksyku, w Chinach i w Norwegii odpowiedział swemu zadaniu, jest więc ostatecznie sprawą możliwą, że i jako sekretarz stanu zdoła zerwać liście wawrzynu, po które trzej jego poprzednicy (...) daremnie wyciągali ręce. Póki nie przekonam się osobiście, że dawny bardzo intrygancki *attaché* w Petersburgu przedzierzgnął się w męża stanu, nie mogę nowemu sekretarzowi stanu stawiać bardzo pomyślnego horoskopu”.

Wielu osobom admirał von Hintze przywodził na myśl Lorda Goringa z komedii Oskara Wilde’a, światowca olśniewającego salony arystokratyczne swymi paradoksami. W każdym razie admirał von Hintze nie omieszkał nigdy zabłysnąć dowcipem. Tak było na pierwszym przyjęciu wydanym przez świeżo zainstalowaną w Berlinie ambasadę rewolucyjnego rządu rosyjskiego. Republika rosyjska nie uznawała wówczas

orderów, admirał zjawił się więc w ambasadzie bez żadnych odznaczeń, ale za to z czerwonym goździkiem w butonierce.

Niewysokiego lotu postać admirała Hintzego nie zasługuje zapewne na tak długą relację, ale może nie jest ona zupełnie zbyteczna, gdyż był on nowym, wymownym świadectwem siły Ludendorffa. Kwatermistrz generalny rozstrzygał, kto ma być sternikiem dyplomacji niemieckiej, kto ma kierować polityką zagraniczną Rzeszy. Woli kwatermistrza bez oporu uległ kanclerz, uległ cesarz. A przecież według konstytucji Rzeszy cesarz, stosownie do własnego uznania i własnej woli, mianował i odwoływał sekretarzy stanu.

A jednak była chwila, gdy wydawało się, że i Ludendorff nie gardzi politycznymi środkami walki. Znamy nam już pułkownik von Haeften, kierownik działu wojskowego w Urzędzie Spraw Zagranicznych, opracował drugi memoriał, datowany 3 czerwca 1918 r. Treść memoriału to przygotowanie polityczne ofensywy militarnej. A cel takiej ofensywy to załamać nieprzyjacielski „front ojczyźniany”, wzmocnić zaś własny. Gdzie droga do realizacji tego celu? Pułkownik przewidywał, że w niedalekiej przyszłości ogarnie całą Europę „kryzys pokojowy” (*Friedenskrise*), tzn. nieodparte pragnienie pokoju. Najpierw ulegnie kryzysowi kraj, którego „front ojczyźniany” najwcześniej osłabi nieprzyjacielska propaganda polityczna. Rząd takiego kraju będzie zmuszony szukać porozumienia z nieprzyjacielem. Ofensywę polityczną należy wszcząć na jakiś czas przed rozpoczęciem działań wojennych. Niemiec-

ka ofensywa polityczna to liczne głosy rozlegające się w Niemczech, które w Anglii, we Francji, we Włoszech i w Ameryce wywołają wrażenie, że wielu wpływowych Niemców działa na rzecz pokoju porozumienia w imię hasła ogólnoludzkich. Ważną rzeczą będzie dobór właściwych ludzi; nie mogą to być pacyfiści, muszą to być ludzie „niepodejrzani pod względem narodowym”. Działać będą na podstawie poufnych instrukcji od rządu, ale w taki sposób, aby za granicą w niczyjej głowie nie powstała myśl, że jest to akcja zorganizowana.

Ofensywa polityczna ma przedstawić zagranicy „moralne zadania Niemiec w wojnie światowej i ich uprawnione żądania polityczne”. W szczególności ma propagandzie państw Koalicji wytrącić atut brzeski, tzn. wykazać, że pokój w Brześciu nie był pokojem aneksjonistycznym, że Niemcy mają prawo i mają obowiązek roztoczyć opiekę nad Niemcami w „starym niemieckim kraju kolonialnym, w Balticum” i w całej Rosji, że Niemcy nie chcą zapanować nad powstałymi w Europie Środkowej i Wschodniej państwami, lecz zapewnić im ład i wolność. Błędem byłoby, gdyby rząd Rzeszy składał obecnie deklaracje w sprawie belgijskiej, ale prywatne osoby mogą się na ten temat wypowiedzieć zgodnie z oświadczeniem kanclerzy. Tu pułkownik dodał naiwnie, że dałoby to silną broń do ręki zwolennikom pokoju w Anglii i w Ameryce.

Pułkownik spodziewał się, że taka ofensywa propagandowa osłabi wolę zwycięstwa w krajach nieprzyjacielskich i wzmocni tam ruch na rzecz pokoju, a przeciwnie, podetnie korzenie takiego ruchu w Niemczech.

A oto konkluzje memoriału: „Potrzebne nam zwycięstwo polityczne na tyłach frontów nieprzyjacielskich”.

Interesujące są losy memoriału Haeftena. Pułkownik opowiadał, że Ludendorff, gdy przeczytał memoriał, robił w pierwszej chwili wrażenie, jakby go chciał wyrzucić za drzwi, później wszakże przyszła refleksja i kwatermistrz generalny przesłał pismo Haeftena kanclerzowi z uwagą, że obok działań militarnych należy rozwinąć również i akcję polityczną. Na polecenie kanclerza politycznej oceny memoriału dokonał szef prasowy Urzędu Kanclerskiego dyrektor ministerialny Erhard Deutelmoser. Ocena wypadła powściągliwie; Deutelmoser sądził, że propozycje Haeftena wtedy tylko dadzą pozytywne wyniki, jeśli Niemcy wzbudzą zaufanie zagranicy, a droga po temu to zrealizowanie pruskiej reformy wyborczej i współpraca z parlamentem; dla świata bowiem „barometrem politycznym nastrojów społeczeństwa niemieckiego” będzie parlament, a nie prasa skrepowana przez cenzurę. Zasadnicze znaczenie memoriału Haeftena upatrywał Deutelmoser w tym, że pułkownik przestał już wierzyć w możliwość odniesienia zwycięstwa siłami wyłącznie wojskowymi.

Pod przewodnictwem kanclerza odbyła się narada na temat memoriału, w prasie pojawiły się nowe artykuły zapowiadające czy przygotowujące „ofensywę pokojową”, ale memoriał Haeftena nie miał dalszego biegu. 25 czerwca, nazajutrz po mowie Kühlmanna, Ludendorff zakazał Haeftenowi wszelkiego udziału w „ofensywie pokojowej”. Mowa Kühlmanna zniechęciła Ludendorffa do akcji politycznej, a może kwater-

mistrz generalny zląkł się, aby mu zgody na „ofensywę polityczną” nie poczytano za słabość?

Niewątpliwie sytuacja wojsk niemieckich we Francji była w czerwcu 1918 r. niezwykle trudna i tak ją oceniło Naczelne Dowództwo.

Naczelne Dowództwo armii niemieckiej i pruskie ministerstwo wojny domagały się od rządu energicznych kroków dla podniesienia siły bojowej Niemiec. Żądano nasilenia mobilizacji rezerw i podniesienia wydajności pracy na najwyższy poziom. Niepokój Dowództwa budził fakt, jakoby robotnicy często zmieniali miejsce pracy co obniżyło wydajność pracy i często umożliwiało uchylanie się od służby wojskowej.

Ludendorffa niepokoił silnie brak rezerw. W piśmie Naczelnego Dowództwa z 15 maja 1918 r. czytamy znamienne wyznanie: „Ciężkich strat nie możemy już więcej wytrzymać, mało ludzi, brak amunicji”. Już w drugiej połowie maja 1918 r. kwatermistrz generalny mówił do pułkownika von Haeftena, że możliwość rozstrzygnięcia wojny siłą zbrojną istnieje w tym tylko wypadku, jeśli kraj da wojsku 200 tys. rezerwistów, nowych żołnierzy. Generał myślał o sprowadzeniu części wojsk niemieckich walczących w Turcji, o „surowych środkach” przeciwko dezertantom i przeciwko uchylającym się od służby wojskowej, ale były to półczy nawet ćwierćśrodki. Niemcom w roku 1918 brak już było żołnierza i nie było widoków na poprawę tego stanu rzeczy. Ale Ludendorff widział zarazem, że czas pracuje przeciwko Niemcom, że do Francji przybywają Amerykanie, że stosunek sił zmienia się nieubłaganie

na korzyść Koalicji, że działania obronne nie prowadzą do celu, że więc trzeba uderzyć póki czas.

Taka była decyzja Ludendorffa, ale - rzecz wiele mówiąca - kwatermistrz generalny stwierdził, iż „tatykę należało postawić przed strategią”.

Jak należycie rozumieć to wyznanie? Tymi słowy odpowiedział na to Delbrück: „Atakujący czuł. się zbyt słaby, aby wybrać taki punkt frontu nieprzyjacielskiego, gdzie były widoki na najlepszą operację strategiczną, lecz wybrał miejsce, gdzie najłatwiej było się przedrzeć. Było to słuszne z uwagi na stosunek sił, ale sprzeczne z zasadą (*Grundlage*) kampanii (*Feldzug*). (...)

Jeśli generał Ludendorff nie wierzył w taktyczną możliwość przebicia się w punktach, gdzie były widoki osiągnięcia celu strategicznego i dlatego skierował atak w miejsce, które dawało próżnię strategiczną, to dowód, że generał był świadom, iż brak mu było sił do wykonania zadań, które sobie postawił; nie wyważył właściwie celu i środków”.

Opowiadano w Niemczech, że Ludendorff na zapytanie, co będzie jeśli ofensywa zawiedzie, miał odpowiedzieć: „To będzie upadek Niemiec”.

Kwatermistrz generalny stawiał los wojny, stawiał los Niemiec na jedną kartę. Znacznie od Ludendorffa rozsądniejszy następca tronu bawarskiego książę Rupprecht pisał 1 czerwca 1918 r. do kanclerza, że Niemcy mogą jeszcze zadać przeciwnikowi kilka potężnych ciosów, ale pokonać go nie są w stanie. „Teraz - pisał książę - mamy jeszcze atuty w ręku, mianowicie



groźbę nowych uderzeń w bliskiej przyszłości, utracimy je po odparciu naszych ataków”.

Szwajcarski pisarz wojskowy Hermann Stegemann mówił 16 lutego 1918 r. Conradowi Hausmanowi, że w toczącej się wojnie „zagrożenie strategiczne silniej oddziałuje i łatwiej je spożytkować niż dokonane operacje”.

Zapewne, przejście do defensywy niosło z sobą poważne niebezpieczeństwa. Trzeba by było wówczas wycofać się z wysuniętych pozycji we Flandrii, nad Sommą, nad Marną, pozycji zdobytych w marcu i kwietniu 1918 r. Byłoby to jawne przyznanie się do przegranej, wywarłoby wpływ deprymujący na wojsko, na społeczeństwo niemieckie, na sprzymierzeńców. Byłyby i inne ciężkie konsekwencje takiej decyzji. Zmieniał się przecież szybko stosunek sił i czas działał na niekorzyść Niemców. Można więc zrozumieć Ludendorffa, gdy uważał, że żołnierz musi walczyć do ostatniej chwili, póki nie zamkną się wszelkie widoki na zwycięstwo, póki nie znikną ostatnie możliwości wygranej. Można zrozumieć Ludendorffa, gdy rzucał na stół ostatni atut.

Inaczej wszakże powinien był rozumować najwyższy pan wojny (*der oberste Kriegsherr*), cesarz, łączący w swych rękach najwyższą władzę wojskową i polityczną, inaczej powinien był rozumować kanclerz Rzeszy. Czy rzeczywiście było sprawą bezcelową podjęcie próby porozumienia z nieprzyjacielem po świeżych zwycięstwach, gdy wojska niemieckie stały głęboko we Francji, gdy Koalicji groziło nowe silne uderzenie? Lu-

dendorff obawiał się, że wszelka próba rozmów pokojowych z przeciwnikiem osłabi ducha bojowego żołnierza niemieckiego, wzmocni nastroje pacyfistyczne w społeczeństwie niemieckim. I tak by zapewne było, ale te same objawy wystąpiłyby niewątpliwie w armii francuskiej, w armii angielskiej, w społeczeństwie francuskim, w społeczeństwie angielskim.

Niemcy nie tylko cofnęli się przed ryzykiem podjęcia ukrytej nawet inicjatywy pokojowej, ale wręcz przeciwnie, postępowali tak, jakby już byli zwycięzcami. Świadczy o tym wymuszona przez Naczelne Dowództwo na cesarzu dymisja Kühlmanna, świadczą o tym postanowienia narady władz politycznych i wojskowych w Spa w dniach 2 i 3 lipca 1918 r. Powzięto tam m.in. i taką uchwałę: „Belgia musi pozostać pod wpływem niemieckim, aby nigdy znowu nie mogła popaść pod wpływ francusko–angielski i być terenem koncentracji (wojsk) naszych wrogów. (...) Niemcy zapewniają sobie długą okupację. (...) Zupełne usunięcie (wojsk niemieckich) z Belgii zależy od tego, czy Belgia ściśle się z nami zwiąże”.

Takie warunki mógł stawiać tylko zwycięzca, świadomy przewagi nad wrogiem. Wiadomo było, jakie znaczenie miała Belgia dla Wielkiej Brytanii. Wiadomo było, że tylko pokonana Anglia mogła zgodzić się na oddanie Belgii Niemcom, na protektorat niemiecki nad Belgią. A do pokonania Wielkiej Brytanii było daleko! Żołnierz powinien poczytywać sobie za obowiązek walczyć do ostatniej chwili, ale czy władcy Niemiec mieli prawo prowadzić grę tak ogromnie ryzykowną?

Czy mieli prawo stawiać los kraju na jedną kartę? Opowiadają niektórzy, że Clemenceau, gdy w listopadzie 1917 r. obejmował władzę, nie miał jakoby pełnej wiary w zwycięstwo, ale odrzucił wszelką myśl o zabiegach pokojowych. „Prowadzę wojnę, zawsze prowadzę wojnę” - powtarzał. Ale Clemenceau miał prawo tak mówić i działać, gdyż znaczną część Francji zajmowały wojska nieprzyjacielskie i dalsza wojna nie mogła przynieść pogorszenia warunków pokojowych.

Z żołnierską prostotą i żołnierskim zdrowym rozsądkiem, rozstrzygnął sprawę w Niemczech Hindenburg. „Groziło nam - pisał - że zanik siły oporu w naszym narodzie i wojsku złączy się na naszą zgubę u naszego przeciwnika z żądzą zniszczenia. Wydawało się, że wyjście z ciężkiej sytuacji dać mogą tylko sukcesy wojenne. (...) Warunkiem wstępnym sukcesów było zachowanie inicjatywy, tzn. że powinniśmy być stroną atakującą. Dostaniemy się od razu pod młot, jeśli wypuścimy go z ręki”.

Powiedziane bardzo prosto, bardzo po żołniersku. Sytuacja wszakże była znacznie bardziej powikłana i znacznie trudniejsza.

Ludendorff planował pierwotnie silny atak na wojska angielskie we Flandrii. Planowana ta ofensywa nosiła kryptonim „Hagen”. Plan ten pierwszy kwatermistrz wkrótce wszakże porzucił, a właściwie odłożył. Anglicy bowiem dysponowali silnymi rezerwami. Uznał więc operację „Hagen” na razie za zbyt ryzykowną i postanowił zaatakować Francuzów. Celem uderzenia było usunięcie niebezpieczeństwa, okrążenia,

jakie zagrażało Niemcom na wysuniętych pozycjach nad Marną, jak również zużycie rezerw nieprzyjacielskich tak, aby w niedalekiej przyszłości można było uderzyć we Flandrii. Następnym celem było zdobycie Reims i przekroczenie znacznymi siłami Marny. Operacja nosiła nazwę „Marneschutz–Reims”.

Operację „Marneschutz–Reims” tak zaplanowano: 7 Armia niemiecka przekroczyć miała Marnę w okolicy Dormans i posuwać się w kierunku Epernay, armie zaś 1 i 3 miały atakować na wschód od Reims w kierunku Châlons–sur–Marne. Sztab niemiecki spodziewał się, że ważny węzeł kolejowy w Reims przez oskrzydlenie automatycznie wpadnie w ręce niemieckie. Niemcy mieli przewagę liczebną, dysponowali większą ilością armat, ale osłabły walory bojowe żołnierza niemieckiego. Nie bez znaczenia był również fakt, że tym razem Francuzi nie dali się zaskoczyć; wywiad francuski zdobył dokładne wiadomości zarówno o kierunku, jak i o terminie natarcia.

Atak ruszył 15 lipca 1918 r. Niemcy zajęli pierwszą linię pozycji francuskich i w kilku miejscach sforsowali Marnę, ale nie zdołali zdobyć silnie umocnionej drugiej linii. Już 17 lipca wieczorem Ludendorff zatrzymał ofensywę.

„Po raz pierwszy od początku ofensywy z wczesnej wiosny - pisze generał von Kühl - nasze uderzenie zawiodło nie tylko pod względem operacyjnym, ale i taktycznym. (...) 15 lipca uderzyliśmy nie na front słabo obsadzony, jak się spodziewaliśmy, lecz na gotowego do walki silnego przeciwnika”.

Inicjatywa działań wojennych wypadła definitywnie z rąk niemieckich.

## 89. „Czarne dni” armii niemieckiej

Niełatwe zadanie stało przed generałem Ferdinandem Fochem, gdy obejmował naczelne dowództwo wojsk Koalicji, i niełatwe miał początki. Od 21 marca 1918 r. na armie sprzymierzone padły ciężkie ciosy, powstrzymywane wielkim wysiłkiem. Ze strat, jakie w ich wyniku poniosła koalicja, bodaj najdotkliwszą było przekonanie o potędze nieprzyjaciela. Takie nastroje należało zmienić radykalnie, należało wpoić w armię wiarę w zwycięstwo i to zwycięstwo bliskie. Foch postanowił więc po trzech z górą latach wojny pozycyjnej przejść do wojny ruchomej, aby wojsku wszczepić „poczucie siły, którą daje ruch”. 27 czerwca generał Pétain otrzymał polecenie opracowania dla użytku wszystkich armii sprzymierzonych „ogólnych zasad organizacji i prowadzenia akcji zaczepnej”. Ofensywy dokonywać miały wojska francuskie, angielskie, amerykańskie; przygotowanie powinno się zakończyć „najpóźniej w dwa miesiące”. Foch liczył więc na udział w walce Amerykanów i miał do nich zaufanie. Podjęto prace nad programem sprowadzenia wojsk amerykańskich do Europy w drugiej połowie roku 1918. Obejmowały one transport oraz ulokowanie i zaopatrzenie we Francji. Najwyższa Rada Wojenna Koalicji wyraziła 2 czerwca 1918 r. życzenie, aby Stany Zjednoczone wystawiły na dzień 1 sierpnia 1919 r. 100 dywizji; wymagało to, aby do szeregów wcielono mie-

sięcznie 300 tys. ludzi. Tylko w takim wypadku Koalicja zdolna będzie zadać Niemcom cios ostateczny w 1919 r.

Według planów i obliczeń sztabów wojsk Koalicji z lata 1918 r., wojnę miano zakończyć decydującym zwycięstwem w roku 1919. Planowano więc serię operacji ograniczonych, aby poprawić, polepszyć sytuację własnych wojsk, mocnymi uderzeniami wyczerpać przeciwnika, zniszczyć jego rezerwy i ostatecznie wydrzeć mu z rąk inicjatywę strategiczną. Dopiero wówczas, po daleko idącym osłabieniu armii niemieckiej, miała ruszyć wielka, ogólna ofensywa wojsk francuskich, angielskich, amerykańskich. Obliczano, że nastąpi to późną jesienią 1918 r. lub wiosną 1919 r.; do tego czasu znakomita większość dywizji amerykańskich znalazłaby się już na ziemi francuskiej.

Był to plan ostrożny, przewidujący działania powolne, metodyczne, na szerokim froncie, z wyzyskaniem przewagi technicznej i liczebnej. Ostrożność taką nakazywały obawy, aby w wypadku niepowodzenia czy też wielkich strat w ludziach nie wezbrała znowu wielka fala ruchów antywojennych i buntów jak w roku 1917.

Jak w początkach wojny w sierpniu i wrześniu 1914 r. bitwa nad Marną, pierwsza bitwa nad Marną była punktem szczytowym inwazji niemieckiej, w ostatnich miesiącach wojny w lipcu 1918 r. druga bitwa nad Marną była początkiem klęski niemieckiej. Tu właśnie nad Marną poszedł w lipcu 1918 r. wielki atak francuski inaugurujący ofensywę sprzymierzonych.

18 lipca 1918 r. o godz. 4 min. 35 rano 13 dywizji francuskich i 3 amerykańskie zerwały się do ataku na froncie długości około 40 km w lasach pomiędzy Villers–Cotterêts a Château–Thierry. Jednocześnie 2500 armat rozpoczęło razić ogniem pozycje niemieckie. 350 czołgów poprzedzało atakującą piechotę i torowało jej drogę. Z góry wspomagało atakujących 800 samolotów. Po burzy nocnej, która kryła przygotowania do ataku, dzień wstał upalny, lipcowy; mgła, właściwa dniom gorącym, kryła nacierających, Ludendorff sądził nawet, że była to mgła sztucznie wywołana. Atak zaskoczył Niemców całkowicie. W ciągu kilku godzin Francuzi i Amerykanie przełamali niemieckie linie obronne, wyparli Niemców mniej więcej 10 km w tył, wzięli 10 tys. jeńców i kilkaset armat. Po tym zwycięstwie przyszły następne. Opór Niemców, silny pomimo wszystko, łamano. 2 sierpnia 1918 r. Francuzi zajęli Soissons, 3 sierpnia stanęli nad rzeką Vesle.

Bitwa 18 lipca miała doniosłe znaczenie i pod tym względem, że uwydatniła znaczenie czołgu. Manewr piechota–czołg znakomicie pomógł Francuzom do zwycięstwa i wykazał, jaki błąd popełniło dowództwo niemieckie przez niedocenianie czołgu.

A teraz znaczenie lipcowych walk we Francji roku 1918? Sprawa to interesująca, jaki wpływ wywarły na dyktatora Niemiec, na jego siłę życiową, na jego wolę, na jego umysł?

9 lipca, sześć dni przed rozpoczęciem ostatniej, nieudanej ofensywy niemieckiej, nowy sekretarz stanu spraw zagranicznych admirał von Hintze zjawił się

w Kwaterze Głównej w Avesnes. Sternik dyplomacji zadał wodzowi pytanie, czy jest pewien, że ofensywa, którą ma rozpocząć w dniach najbliższych, ostatecznie i zdecydowanie pokona wroga. Odpowiedź Ludendorffa była kategoryczna: „Odpowiadam zdecydowanym tak!” Generalska pewność siebie wywarła na Hintzem wrażenie głębokie. Poprzednik Hintzego Kühlmann otrzymał na żądanie Naczelnego Dowództwa dymisję, ponieważ wątpił w możliwość odniesienia zwycięstwa jedynie siłą oręża. „Wypowiedź generała Ludendorffa - mówił później sekretarz stanu w komisji parlamentarnej badania przyczyn klęski niemieckiej - zapowiadała mi łatwą i obiecującą rolę: na zwycięstwie przybić pieczęć zwycięzcy”. Ale już w kilka tygodni później, w początku sierpnia 1918 r., Hintze stracił wiarę w zapewnienia Ludendorffa o zwycięstwie. Doszedł do przekonania, że Niemcy stoją nie przed zwycięstwem, lecz przed klęską. Wraz z wicekanclerzem Payerem wyciągnął stąd wniosek, że wojnę należy zakończyć.

A co myślał w tych dniach wódz tak pewny siebie - Ludendorff? „Nie powiodło się naszymi zwycięstwami skłonić narodów Koalicji do pokoju przed przybyciem posiłków amerykańskich. Siła naszego wojska nie wystarczała, aby decydująco ugodzić nieprzyjaciela zanim stanie na miejscu Amerykanin ze znacznymi siłami. Jasno zdawałem sobie sprawę, że wskutek tego położenie nasze było bardzo poważne”.

Znamienne wyznanie złożone piórem takiego jak Ludendorff człowieka.



Odezwały się tu zawiedzione rachuby, przemęczenie, napięcie nerwów; ponoć kwatermistrz generalny załamał się już wówczas, a nie dopiero we wrześniu. W kontaktach z generałami miał działać nie uspokajająco, lecz deprymująco. W najbliższym otoczeniu stwierdzono u wodza niemożność podjęcia decyzji; według generała Groenera Ludendorff po prostu nie wiedział, co dalej począć. 10 sierpnia wniósł prośbę o dymisję, cesarz jej wprawdzie nie przyjął, ale rzucił znamienne słowa: „Widzę, że jesteśmy u kresu naszych możliwości. Trzeba kończyć wojnę”.

Wobec dyktatorskiej władzy Ludendorffa miało to znaczenie i dla biegu walk na froncie, i dla polityki wewnętrznej.

Społeczeństwo niemieckie i materialnie, i psychicznie było do najwyższego stopnia wyczerpane czterema latami wojny, ale komunikaty sztabowe sławiące zwycięstwo, a ukrywające niepowodzenia w błąd wprowadziły wielu Niemców.

Po niepowodzeniach lipcowych władze wojskowe lękały się wzrostu nastrojów pesymistycznych i usiływały temu przeciwdziałać. Wojskowy Urząd Prasowy otrzymał polecenie, aby „energicznie oddziaływać na postawę” narodu.

Sytuacja wojskowa i polityczna była niepomyślna, propaganda tym bardziej usilna.

W każdym razie Niemcy bezpowrotnie pozwolili sobie wydrzeć z rąk inicjatywę wojenną, ujęli ją teraz Sprzymierzeni.

Nie mogło już być mowy o przygotowywanej od miesiący operacji „Hagen”, ofensywie przeciwko wojskom brytyjskim we Flandrii. To najważniejszy chyba i najbardziej widoczny skutek walk w dniu 18 lipca 1918 r. 24 lipca 1918 r., gdy toczyły się walki pod Tardenois, w kwaterze generała Focha w Bombon zebrali się wodzowie armii sprzymierzonych. Jest więc i Francuz Pétain, i Anglik Haig, i Amerykanin Pershing. Wódz naczelny przedstawił im memoriał o prowadzeniu wojny. Naczelna teza memoriału: „Nadeszła chwila, aby porzucić ogólną postawę defensywną (...) i przejść do ofensywy”. A ofensywa to seria działań prowadzonych błyskawicznie, aby nieustannie zadawać przeciwnikowi ciosy. Cele ofensywy to opanowanie linii kolejowych Paryż–Amiens i Paryż–Avricourt, to następnie zajęcie rejonu kopalni w departamentach północnych, to wreszcie wyparcie nieprzyjaciela z rejonu Dunkierki i Calais. Działania te należy prowadzić ciągle z krótkimi tylko przerwami, aby nieprzyjacielowi utrudnić użycie rezerw i nie pozwolić na odnawianie jednostek. Z końcem lata lub w początkach jesieni będzie mogła ruszyć wielka ofensywa.

Program Focha wywołał zdziwienie wodzów armii sprzymierzonych i zastrzeżenia z ich strony. Tak więc marszałek polny Haig zareplikował, że armia brytyjska po walkach marcowych i kwietniowych nie zdołała się jeszcze zreorganizować. Generał Pétain stwierdził, że armia francuska po czterech latach bojów i ciężkich doświadczeń jest wyczerpana, wykrwawiona. Zdaniem generała Pershinga armia amerykańska pragnie się bić,

ale nie zdołała się jeszcze uformować. Foch przeszedł do porządku nad zastrzeżeniami generałów i ostatecznie skłonił ich do zastosowania się do jego woli.

Rzecz znamienna, Foch wciąż był zdania, że wojnę zakończyć będzie można dopiero w roku 1919.

Gdy w Niemczech kwatermistrz generalny Erich Ludendorff tracił wiarę w siebie i tracił zaufanie cesarza, rządu, generalicji, we Francji prezydent Poincaré i prezes ministrów Clemenceau postanowili wynieść generała Focha do godności marszałka Francji. „W chwili, gdy nieprzyjaciel - pisał w uzasadnieniu wniosku Clemenceau - straszliwym atakiem na froncie długości 100 km spodziewał się narzucić nam pokój niemiecki, który oznaczałoby ujarzmienie świata, pokonali go generał Foch i jego wspaniali żołnierze”.

Prezydent podpisał dekret nominacyjny 7 sierpnia 1918 r., 23 sierpnia zaś w kwaterze Focha na zamku Bombon w departamencie Seine-et-Marne wręczył mu buławę. Na trawniku w parku zamkowym zgromadzili się oficerowie sztabu i żołnierze noszący odznaczenia wojskowe. Wzruszony prezydent Poincaré, mając po prawicy prezesa ministrów i ministra wojny Clemenceau, wygłosił przemówienie, w którym uwypuklił nauki głoszone przez wodza i podniósł jego zasługi. Marszałek odpowiedział krótko, po żołniersku: „Panie Prezydencie, będę się starał stać na wysokości zadania, które mi rząd powierzył. Dziękuję z głębi serca”.

Może dziwić ten tytuł marszałka Francji nadany” Fochowi po czterech zaledwie miesiącach sprawowania naczelnego dowództwa, po kilkunastu zaledwie dniach

zwycięskich bojów; szło tu zapewne nie tyle o uhonorowanie wodza, ile o pokazanie żołnierzowi francuskiemu, narodowi francuskiemu, całemu światu, że Francja niezachwianie wierzy w zwycięstwo i wierzy, że zwycięstwo to jest już bliskie. Była to więc manifestacja zdrowego optymizmu.

„Nazajutrz marszałek podziękował Francji dając jej nowe zwycięstwo”.

Nazajutrz był to dzień 8 sierpnia 1918 r. „8 sierpnia - pisał Ludendorff - to czarny dzień wojska niemieckiego w historii tej wojny”.

Istotnie, był to „czarny dzień” armii niemieckiej. A było to tak. Wczesnym rankiem 8 sierpnia 1918 r. wojska angielskie i francuskie (razem 33 dywizje) pod dowództwem marszałka Haiga ruszyły do ataku na południowy wschód od Amiens i zaatakowały Niemców pomiędzy Albert i Montdidier, po obu stronach szosy Amiens–Saint–Quentin. 3 tysiące armat raziło pozycje niemieckie, 500 czołgów poprzedzało maszerującą do ataku piechotę. Zaskoczenie było zupełne, zaraz w pierwszym dniu ofensywy Anglicy i Francuzi posunęli się o 15 km, w ciągu następnych pięciu dni - do 12 sierpnia - o 60 km. Niemców ogarnęła panika, po raz pierwszy bodaj od 1914 r. cofali się w popłochu. Dopiero w połowie sierpnia zdołano opanować sytuację<sup>12</sup>.

Sir Basil H. Liddell Hart nazywa dzień 8 sierpnia 1918 r. *the famous victory* (sławnym zwycięstwem), najświetniejszym zwycięstwem oręża brytyjskiego w pierwszej wojnie światowej, zwycięstwem, którego

następstwa moralne były donioślejsze niż rezultaty militarne.

Generał Hermann von Kühl stwierdza: „Armia niemiecka 8 sierpnia doznała drugiej po 18 lipca ciężkiej porażki. Najmniejszą szkodą były straty terytorialne”. Większą były straty w zabitych, wziętych do niewoli, a największą utrata ducha bojowego żołnierza niemieckiego.

Najbardziej kompetentny rzeczoznawca generał Ludendorff wyznaje: „Słyszałem o czynach szalonej odwagi w walkach 8 sierpnia, ale także i o postępach, których - muszę to przyznać otwarcie - nie uważałem za możliwe w wojsku niemieckim: jak nasze oddziały poddawały się pojedynczym kawalerzystom, jak nasze oddziały poddawały się czołgowi. Dywizję, która dzielnie atakowała, obrzucano przezwiskami: łami-strajki! przedłużacze wojny! (...) W wielu jednostkach oficerowie utracili wpływ, dali się porwać”. Dzień 8 sierpnia zachwiał przekonaniem kwatermistrza generalnego, że działania Naczelnego Dowództwa opierają się - o ile to tylko możliwe - na wojnie, na mocnych podstawach. „Prowadzenie wojny przybrało teraz charakter nieodpowiedzialnej gry hazardowej. (...) Wojnę należało kończyć”.

Znaczenie 8 sierpnia zrozumiał dobrze i Hindenburg. Sędziwy feldmarszałek pisał, że walki toczony pomiędzy 15 lipca a 4 sierpnia można było i za granicą, i w kraju uważać za śmiałe przedsięwzięcia, które się nie udały, co się zdarza w każdej wojnie. „Ale niepowodzenie 8 sierpnia było w oczach wszystkich skut-

kiem jawnej słabości. (...) Kraj i Sprzymierzeni musieli patrzeć z niepokojem. Tym bardziej obowiązkiem naszym było zachować spokój i bieg wypadków obserwować bez złudzeń, ale i bez przesadnego pesymizmu”.

Zaniepokojony cesarz zwołał na dzień 14 sierpnia 1918 r. do swej tymczasowej rezydencji w Spa posiedzenie Rady Koronnej. Celem posiedzenia - według woli cesarza - było „sporządzenie nieupiększonego bilansu wojny” (*eine ungeschminkte Bilanz des Krieges*).

Już poprzedniego dnia przybyli do Spa Hindenburg i Ludendorff i konferowali z sekretarzem stanu von Hintzem. Pamiętać należy, iż admirał uchodził wówczas, a niewątpliwie i był mężem zaufania Naczelnego Dowództwa. W przystępie szczerości Ludendorff przyznał, że nie ma już tej pewności zwycięstwa, która ożywiała go jeszcze w połowie lipca, że ofensywa niemiecka złamie wolę nieprzyjaciela i zmusi go do zawarcia pokoju. Na zapytanie Hindenburga, jak wyobraża sobie dalsze prowadzenie wojny, kwatermistrz generalny odparł: „Defensywą strategiczną sparalizujemy wolę walki nieprzyjaciela”.

14 sierpnia posiedzenie Rady Koronnej pod przewodnictwem cesarza otworzył krótkim *exposé* kanclerz. Mówił o zmęczeniu ludności wojną, o niedostatecznym wyżywieniu. Następnie zabrał głos Ludendorff, żądał zaostżenia dyscypliny wewnętrznej w kraju, gdyż od „ducha narodu” zależy siła oporu żołnierza na froncie. Ani słowem nie wspomniał o sytuacji wojennej.

Następnym mówcą był sekretarz stanu spraw zagranicznych. Admirał von Hintze podniósł, że po ostatnich walkach we Francji wzrosła pewność siebie przeciwnika i jego wiara w zwycięstwo. Opiera się ona przede wszystkim na niewyczerpanych zasobach państw Koalicji w ludziach, surowcach i wyrobach przemysłowych, a więc tych czynnikach, których brak Niemcy odczuwają coraz bardziej. W państwach Koalicji panuje przekonanie, że czas pracuje dla nich; ostatnio powstała tam nadzieja, że sukcesy militarne pomogą czasowi. Zdaniem admirała sprzymierzeńcy Niemiec nie są pomocą, lecz ciężarem. W państwach neutralnych widać również znużenie wojną, ale panuje tam przekonanie o zbliżającej się klęsce Państw Centralnych. Neutralni wszakże najmilej powitaliby pokój bez zwycięzców i bez zwyciężonych. Końcowy wniosek sekretarza stanu spraw zagranicznych zawoalowany, ostrożny, ale przecież łatwy do odszyfrowania: nie jesteśmy w stanie złamać przeciwnika siłą militarną, musimy więc „liczyć się” (*Rechnung tragen*) z taką sytuacją w naszej polityce.

Dyskusję zreasumował cesarz w tym duchu, że należy w odpowiedniej chwili „porozumieć się” z przeciwnikiem za pośrednictwem króla hiszpańskiego lub królowej holenderskiej. I rzecz charakterystyczna - cesarz uznał za sprawę konieczną utworzenie „komisji propagandowej” dla zachwiania pewności siebie nieprzyjaciela, a podniesienia ducha w narodzie niemieckim. Do komisji wejść powinni nie urzędnicy, lecz lu-

dzie o odpowiednich zdolnościach. Należy wygłaszać „płomienne mowy”.

Po cesarzu zabrał jeszcze głos Hindenburg. Jego oświadczenie zamknięto w protokole w tych słowach: „Generał marszałek polny von Hindenburg ma nadzieję, że jednak uda się pozostać na ziemi francuskiej i ostatecznie narzucić wrogom naszą wolę”. Ustęp ten Ludendorff zmienił w protokole w sposób znamieny: „Generał marszałek polny von Hindenburg wywodzi...”.

Zastanawia różnica w stanowisku Ludendorffa w dniu 13 sierpnia, gdy był pesymistą, w dniu 14 sierpnia, gdy żądał surowego kursu wobec społeczeństwa i usztywniał deklarację Hindenburga o „narzuceniu wrogom woli Niemiec”. Ale może nie było tu różnicy w stanowisku czy zmiany stanowiska, Ludendorff był szczery wobec wojskowego, wobec admirała, wobec cywilnego kanclerza. Na posiedzeniu Rady Koronnej robił dobrą minę do złej gry. Zrzucał odpowiedzialność z siebie, z dowództwa, obarczał nią władze cywilne w kraju, oskarżał kraj o defetyzm, który przenika w szeregi armii, ale nie poczuł się do obowiązku uświadomienia rządu o groźnej sytuacji. A sytuacja była groźna.

Niemcy widzieli konieczność cofnięcia się z wysuniętych nadmiernie pozycji; mieli do wyboru trzy linie obronne, mniej więcej przygotowane. Były to: pozycja Hindenburga, zwana inaczej pozycją Siegfrieda, ciągnąca się od Ypres do Reims, pozycja Hunding od Brugii przez Tournai, Saint-Quentin do Rethel i wreszcie pozycja Antwerpia-Moza.



Linie Hindenburga wybudowali Niemcy zimą 1916/17 r. W nowych warunkach walki była już przestarzała; przede wszystkim nie stanowiła już dostatecznej zapory dla czołgów. Należało teraz niebezpiecznemu atakowi czołgów zagrozić drogę przez przeszkody naturalne albo zbudować przeszkody sztuczne.

Skurczenie frontu było operacją konieczną, ale nie było operacją prostą. Musiało przynieść wzrost pesymizmu zarówno w kraju, jak i u sprzymierzonych i tak już zachwianych w wierze w zwycięstwo. Musiało następnie osłabić siłę obronną armii niemieckiej. Na tyłach frontu znajdowały się ogromne zasoby, które w części tylko można było wywieźć, pozostałą część należało zniszczyć lub też pogodzić się z tym, że wpadnie ona w ręce nieprzyjaciela; byłaby to strata, której Niemcy nie zdołaliby już wyrównać.

Ludendorff sądził przejściowo, że atakujące wojska Koalicji znużą się niebawem ofensywą i działania ich wnet osłabną. Myślał więc o zatrzymaniu się na linii Drocourt–Péronne–Noyon–Soissons; nazwał ją „pozycją zimową” (*Winterstellung*). Nazwa ta zdaje się świadczyć, że kwatermistrz generalny jeszcze w połowie sierpnia 1918 r. myślał, że na tych leżach utrzyma się w zimie. Najbliższe dni pokazały, jak bardzo się mylił.

18 sierpnia 1918 r. 10 Armia francuska pod dowództwem generała Mangina ruszyła do ataku na terenie pomiędzy rzekami Oise i Aisne i odrzuciła Niemców poza linię Noyon–Soissons. 21 sierpnia uderzyli Anglicy pomiędzy miastem Arras a rzeką Sommą. 26

sierpnia poszedł atak angielski na linii Arras–Cambrai i zawiódł atakujących głęboko w pozycje niemieckie. 4 września 1918 r. wojska niemieckie wycofały się na linię Hindenburga. „W ciągu kilku tygodni - pisze melancholijnie generał von Kühl - utraciliśmy całą zdobycz wielkiej ofensywy wiosennej. Staliśmy znowu na pozycjach, z których w marcu i w kwietniu pełni radośnej nadziei ruszyliśmy naprzód”.

W bojach sierpniowych utraciła armia niemiecka w zabitych, rannych, zaginionych, wziętych do niewoli 298 tys. żołnierza, otrzymała zaledwie 130 tys. posiłków. Ludendorff 17 sierpnia 1918 r. żądał od ministrów wojny niemieckich państw związkowych powołania do szeregów rocznika 1900, tzn. chłopców 18-, a nawet 17-letnich. Był to akt rozpacz.

We wrześniu 1918 r. rozwijał się dalej atak Francuzów, Anglików, Amerykanów. Atakujący posuwali się wciąż naprzód i wypierali Niemców z coraz to nowych pozycji. Jednym gwałtownym uderzeniem nie zdołali przerwać frontu niemieckiego, gdyż ograniczony był jeszcze zasięg działania czołgów. Cofający się Niemcy niszczyli metodycznie linie kolejowe, drogi, mosty; w tych warunkach posuwanie się wojsk atakujących, zwłaszcza artylerii, napotykało znaczne trudności. W każdym razie wola walki i siła oporu Niemców wciąż słabły. W Naczelnym Dowództwie skarżono się, że nawet wyżsi oficerowie rozprawiają o odwrocie, osłabiając w ten sposób morale żołnierza.

Sprzymierzeni nie ustawali w atakach. 4 września nastąpiło silne natarcie wojsk amerykańskich nad Mozą

w okolicach Saint–Mihiel. 15 września atak Francuzów w Szampanii. W nocy z 25 na 26 września do wielkiego uderzenia pomiędzy Reims i Verdun ruszyli Francuzi wspólnie z Amerykanami. Tylko oddziały najslabiej zaatakowanej 1 Armii na wschód od Reims zdołały dłużej utrzymać swe pozycje. W innych punktach atakujący w kilku miejscach przełamali front niemiecki. O szybkości poruszeń wojsk Koalicji świadczy, że Amerykanie przybyli na pozycje wyjściowe na kilka godzin przed rozpoczęciem ofensywy i zupełnie zaskoczyli Niemców. 27 września Anglicy uderzyli w okolicach Cambrai. 28 września ofensywa Belgów i Anglików odrzuciła Niemców we Flandrii. Były to już dni klęski.

Abel Ferry pisał 6 września 1918 r.: „Jak cudownie fortuna kołem się toczy. Wczoraj byliśmy na dnie przepaści, dziś jesteśmy u wrót rajów. (...) Widzimy się już nad Mozą, nad Renem. Puszczam wodze fantazji. Hohenzollernowie są osądzeni. (...) Wierzę teraz w ostateczną klęskę Niemiec w roku 1919”. Nie doczekał listopada 1918 r. Zmarł 15 września 1918 r. śmiertelnie rany pod Vauxaillon, przed przepowiadaną przez siebie klęską.

17 września 1918 r. podczas zwycięskich walk Clemenceau rzucił w wielkiej mowie w Senacie te słowa: „Niemcy chciały decyzji wojennej (...). Niechże więc będzie, jak Niemcy chciały, jak Niemcy zrobiły”.

29 września 1918 r. Hindenburg i Ludendorff oświadczyli w Spa, że armia znajduje się u kresu sił i pokój należy zawrzeć bezzwłocznie, w ciągu 24, najda-

lej 48 godzin<sup>25</sup>. Ludendorff „nie rozumiał - pisze generał Groener - że przyczynia się do zakończenia wojny i zawiadamia świat o naszej klęsce. Rozejm, jako pierwszy krok do zabiegów o pokój, był do pomyślenia tylko przed (podkreślenie Groenera) ofensywą”.

A tymczasem od 26 września szła wielka ofensywa wojsk Koalicji. Atak kierowano z trzech stron: na prawym skrzydle pomiędzy Verdun i Reims ruszyli Francuzi i Amerykanie w kierunku Mezières, w centrum pomiędzy Cambrai i Saint-Quentin uderzyli Anglicy kierując się ku Maubeuge, na lewym skrzydle, północnym, natarli Belgowie, Francuzi i Anglicy ku Gandawie.

Toczyły się walki październikowe, walki ostatnich tygodni wojny.

Ludendorff upierał się pomimo wszystko przy chęci zachowania w rękach możliwie największych obszarów Francji i Belgii, a zarazem utrzymania siły bojowej swego wojska. Podwójne to zadanie stało w sprzeczności z możliwościami armii niemieckiej. Toteż taktyka ta przynosiła straty. Ludendorff wciąż trwał przy swoim, odwrót z okupowanych terenów, oddanie ich w ręce przeciwnika pogorszyć by musiało - jego zdaniem - pozycję Niemców w rokowaniach pokojowych. Ale w sztabie niemieckim szerzyły się i inne opinie. Uważano mianowicie, że sprawą najważniejszą jest zachowanie wojska zdolnego do dalszej walki. A wobec tego kwestia terenów okupowanych schodzi na plan drugi.

Linie fortyfikacyjne, obronne Hindenburga, Hunding, Antwerpia-Moza, opóźniły pochód wojsk francu-

skich, angielskich, amerykańskich, belgijskich, ale ich nie zatrzymały. Niemcy cofali się wciąż, a zmęczenie żołnierza i brak rezerw, wieści napływające z kraju o groźnej sytuacji wewnętrznej, wieści nadbiegające o załamywaniu się i odpadaniu sprzymierzeńców - wszystko to osłabiło' niemiecką siłę oporu. W początkach listopada 1918 r. front ciągnął się od granicy holenderskiej na wschód od Gandawy, na wschód od Mons i od Maubeuge, przez Mezières, na zachód od Sedanu, na wschód od Verdun, na zachód od Metz. Stali jeszcze Niemcy na ziemi francuskiej i belgijskiej, ale byli już daleko od pozycji zajmowanych od końca roku 1914.

Generał von Kühl pisał, że „wojsko, które 21 marca 1918 r. podniosło się z okopów do ataku nie było już tym wspaniałym roku 1914”. A wojsko, które w październiku 1918 r. opuszczało dotychczasowe pozycje i cofało się ku granicom Niemiec, nie było już tym samym wojskiem, które dokonało metodycznego odwrotu znad Marny w 1914 r., czy tym, które planowo wycofało się na skrócone pozycje w 1917 r. Znikł niemiecki ład i porządek, znikła żołnierska wola walki.

Ciekawe obrazy rysuje uczestnik walk we Francji i w Belgii, Polak w mundurze niemieckim Józef Iwicki. 28 września 1918 r. pisał Iwicki do matki o ataku piechoty angielskiej na okopy niemieckie: „...Żołnierze na całej linii nie myśleli o obronie tylko o ucieczce. (...) Wystarczyło, żeby jakiś gorąco kąpany tchórz zawołał: *„Der Tommy ist links durchgebrochen”* - *„Tommy (Anglik) wdarł się na lewo od nas”* i już wszystko brało

tornistry na plecy i próbowało uciekać. (...) Można było przewidzieć, że takie wojsko przez noc rowu nie utrzyma, a była to pozycja niezwykle silna...” Jeszcze parę takich przykładów i Iwicki konkluduje: „Taki to duch panuje dzisiaj w armii niemieckiej. Oczywiście, pewnie nie w całej, ale w każdym razie bardzo wiele dywizji jest tak kompletnie zdemoralizowanych”.

O nie mniej znamiennych objawach rozkładu armii niemieckiej opowiada Iwicki w liście z 8 października 1918 r., a więc po wysłaniu pierwszej noty księcia Maksymiliana. „Gdy krótko po północy nadeszła oczekiwana wiadomość, że resztki mojej dywizji (...) mają się natychmiast wycofać z frontu, miałem ledwie połowę mego oddziału, mimo że robiłem wszystko, żeby zapobiec uciekaniu (...) W tych kilkudniowych walkach nasza dywizja stopniała jak śnieg. (...) Wszystkie drogi i szosy były ostatnio nabite niezliczonymi taborami; gdzie tylko spojrzeć, wszędzie ciągnęły bez przerwy i końca długie sznury wozów wszelkiego rodzaju. (...) Mieszkańcy wiosek, przez które przechodziliśmy, z ciekawością, ale i z niepokojem wychylali głowy i patrzyli na tę falę powrotną. Tylko raz młode dziewczęta, idące w pole, ze śmiechem wołały: «A to pewnie idziecie teraz prosto do Paryża»”.

## 90. „Rewolucja od góry”

W Niemczech ludzie umiejący myśleć krytycznie, przechodzący do porządku dziennego nad wyskokami oficjalnego optymizmu, patrzyli na sytuację z rosnącym niepokojem. Przed oczami mieli przykład Rosji, gdzie

przedłużająca się wojna i niepowodzenia militarne zaostrzyły sytuację rewolucyjną. Rozumieli, że nie wolno zwlekać z rozpoczęciem rokowań pokojowych. Rzecznikiem ich był armator hamburski Albert Ballin. Miał on dobre informacje o położeniu na froncie i o nastrojach w wojsku. Od dawna cieszył się sympatią i zaufaniem Wilhelma II.

5 września 1918 r. na zamku Wilhelmshöhe pod Kassel cesarz przyjął Ballina i wysłuchał jego wywodów. Ballin doradzał „modernizację” Rzeszy. Określenie to uważał za właściwsze niż „demokratyzacja”. W „modernizacji” Rzeszy widział drogę do umocnienia dynastii. Był on zdania, że „modernizację” tę należy przeprowadzić możliwie szybko, jeszcze przed rozpoczęciem rokowań pokojowych, inaczej bowiem powstanie wrażenie, iż zabieg ten wymusił przeciwnik, a to zaszkodziłoby bardzo dynastii. Zdaniem Ballina Niemcy w ówczesnych warunkach mogli utrzymać integralność swego terytorium i zapewnić sobie odpowiedni stan posiadania w koloniach. Atuty niemieckie to okupowane ziemie francuskie i belgijskie oraz rękome obawy Anglii, aby zwycięstwo nie było nazbyt dziełem Stanów Zjednoczonych.

Cesarz przyjął te uwagi nie bez zrozumienia, wszak wcześniej już zdał sobie sprawę z ciężkiego położenia, wszak już 10 sierpnia mówił w Avesnes w Kwaterze Głównej do Hindenburga i do Ludendorffa: „To nie może się ciągnąć w nieskończoność, musimy szukać drogi, aby skończyć (wojnę)”.

W takiej sytuacji „najwyższy pan wojny” powinien był własną wolą, własną decyzją „szukać drogi”, „modernizować” Rzeszę, usunąć Ludendorffa, powołać do steru nowych ludzi, mających autorytet i zaufanie narodu. Wilhelmowi II wszakże łatwo było rzucać w pokojowych czasach gromkie słowa, zabrakło mu charakteru i siły woli, aby w trudnej chwili ująć rzeczywiście ster rządów we własne cesarskie ręce. Niepokoił się jedynie i czekał.

Ówczesny dyktator Niemiec bezwzględny, brutalny Ludendorff po raz pierwszy bodaj zaczął się załamywać, zaczął tracić pewność siebie, gdy nie dała oczekiwanego rezultatu druga ofensywa wiosenna 1918 r. 7 maja mówił do pułkownika Hansa von Haeftena, że gdyby mógł wyprowadzić z kraju i rzucić na front 200 tys. świeżego żołnierza, widziałby możliwość zwycięstwa. Ale takich zasobów ludzkich już brakło.

Kwatermistrz generalny miotał się jeszcze kilka miesięcy ku szkodzie Niemiec, odzyskiwał pewność siebie i tracił ją znowu; może temu człowiekowi silnej woli, wygórowanej ambicji i pruskiemu patriotcie niełatwo było przyznać się przed samym sobą do poniesionej klęski?

Pułkownik Albrecht Merz von Quirnheim trafnie scharakteryzował postawę Ludendorffa w ostatnich miesiącach wojny słowami: „ma on jeszcze dość wątpliwości, aby walczyć, ale zabraknie mu odwagi, aby skończyć (wojnę)”.

A tymczasem sytuacja wikłała się coraz widoczniej. 2 września 1918 r. Hindenburg wydał proklamację



do narodu niemieckiego. „Wróg wie - wołał feldmarszałek - że Niemców i ich sprzymierzeńców nie można pokonać samą siłą oręża. Wróg wie, że duch, który ożywia wojsko niemieckie i niemiecki naród, sprawia, iż jesteśmy niezwyciężeni. Dlatego obok walki z orężem niemieckim podjął walkę z niemieckim duchem i chce go zatruć”. Naród niemiecki musi się więc przeciwstawić wszelkim próbom szerzenia niepomyślnych wiadomości.

Tego samego dnia, 2 września 1918 r., dowódca wojskowy Marchii generał-pułkownik Alexander von Linsingen wydał zarządzenie, iż każdy, kto szerzy wiadomości mogące zaniepokoić ludność, podlega karze do roku więzienia.

Wymowne to świadectwo nastrojów, jakie ogarnęły naród niemiecki.

W tym samym duchu, co Hindenburg swoim manifestem, Wilhelm II usiłował działać w inny sposób. 11 września 1918 r. cesarz przyjechał do Essen i w zakładach Kruppa wygłosił płomienną mowę do zgromadzonych robotników. „Moi Drodzy Przyjaciele z Zakładów Kruppa! Już od dawna ciągnęło Mnie do Was podczas wojny”. Nie pozwoliły cesarzowi na przybycie do Essen „rozliczne obowiązki wojskowe i polityczne na różnych polach bitew”. Powiodło się to dopiero teraz i pozwoliło monarsze „wyrazić dyrekcji Kruppa, kierownikom zakładów, robotnikom i robotnicom Moje cesarskie podziękowanie za imponujący wysiłek, z którym fabryka Kruppa stanęła przy armii niemieckiej i jej wodzach i dała jej sprzęt bojowy ponad nadzieję i po-

„nad możliwość”. Długie przemówienie zakończył Wilhelm patetycznie we właściwym sobie stylu: „Niemcy! Miecz do góry, serce silne, mięśnie zwarte do walki przeciwko wszystkiemu, co stoi przeciwko nam, choćby miało to jeszcze długo trwać”.

Wielu słuchaczy zadało sobie zapewne pytanie, jak to się stało, że ci, których przez tak długie lata nazywano „ludźmi bez ojczyzny” i „wrogami Rzeszy” stali się nagle teraz w piątym roku wojny „drogimi przyjaciółmi” cesarza. Ale jest to znowu świadectwo nastrojów, tym razem u szczytu piramidy politycznej cesarskich Niemiec.

Zaczęła się wielka gra; w jakim kierunku potoczą się wypadki, czy na modłę rosyjską rewolucja proletariacka ogarnie kraj i doprowadzi do przemian w stylu komunistycznym, czy nastąpi oczywista dla wszystkich klęska militarna i wkroczenie daleko w głąb Niemiec zwycięskich wojsk Koalicji, czy wreszcie znajdzie się inne wyjście z sytuacji i pozwoli niemieckim klasom panującym osłabić ostrze przegranej?

Żywo zakrzętnął się teraz sekretarz stanu spraw zagranicznych, admirał von Hintze zatrwożony sytuacją wewnętrzną. Zaniepokojony wieściami o ciężkich walkach na froncie zachodnim, o kapitulacji Bułgarii wyznał w rozmowie z kanclerzem Hertlingiem i wicekanclerzem Payerem: „Jeśli nadal pogarszać się będzie nasze położenie polityczne i militarne, rewolucji od dołu unikniemy tylko przez rewolucję od góry”. Na polecenie Hintzego Urząd Spraw Zagranicznych opracował 28 września 1918 r. zapiskę o drodze wyjścia z sytua-

cji; drogę taką upatrywano w utworzeniu rządu opartego na „szerokiej podstawie narodowej”; nowy rząd powinien się utworzyć „w ścisłym porozumieniu z przedstawicielstwem narodowym” i „w odpowiedniej chwili” zwrócić się do prezydenta Wilsona, „aby wziął w ręce sprawę przywrócenia pokoju”.

Był to w ogólnym zarysie program, który 5 września przedstawił cesarzowi Albert Ballin. Był to program, który wyrażał dążenia lepiej zorientowanych rzeczników klas panujących.

29 września 1918 r. w Kwaterze Głównej w Spa rozpoczęły się narady dygnitarzy wojskowych i cywilnych, narady, które wywołać miały „rewolucję od góry”.

Narady te to wymiana zdań pomiędzy Hintzem a Hindenburgiem i Ludendorffem. Hintze przedstawił niepomysłną sytuację międzynarodową: kapitulacja Bułgarii, bliskie załamanie Austro–Węgier, Turcja tylko ciężarem, niepowodzenie zabiegów o mediację królowej holenderskiej, ciężkie położenie wewnętrzne.

Sytuację na froncie scharakteryzował Ludendorff żądaniem bezzwłocznego zawarcia rozejmu. Hintze wywody kwatermistrza generalnego rozumiał tak, że armia niemiecka stoi przed „katastrofą”, przed ostateczną klęską; katastrofą musi być nagłe „przejście od hucznych zwycięskich fanfar do pogrzebowej pieśni klęski”. Wywrze to wpływ fatalny na „wojsko, naród, monarchię i państwo”. Charakterystyczna kolejność. Wyjście z sytuacji upatrywał admirał w „skupieniu wszystkich sił narodu dla obrony w ostatecznej walce”;

konkretnie widział dwa sposoby działania: sposób pierwszy to dyktatura, ale pod warunkiem, że w niedługim czasie nastąpią sukcesy militarne, w przeciwnym razie dyktatura doprowadzi do rewolucji lub do chaosu. Sposób drugi to „rewolucja od góry”, tzn. związanie z rządem możliwie szerokich kręgów narodu i wzniecenie wojny ludowej”.

„Rewolucja od góry to dla mnie przede wszystkim sposób - tłumaczył sekretarz stanu spraw zagranicznych - aby zapobiec rewolucji od dołu, którą uważałem w naszej sytuacji za samobójstwo”.

Przez „rewolucję od góry” rozumiał von Hintze niewiele: wprowadzenie do rządu Rzeszy niektórych wpływowych przywódców parlamentarnych. Narodowi niemieckiemu miało to dać ułudę władzy czy współwładzy w państwie, Koalicji i całemu światu pokazać, że zjednoczył się cały naród niemiecki dokoła swego monarchy i swego rządu oraz że Niemcy mają rządy parlamentarne i demokratyczne, takie jak w państwach zachodnich.

Ludendorff odrzucił wszelką myśl o dyktaturze, gdyż zwycięstwo uważał za wykluczone, poparł natomiast wraz z Hindenburgiem plan „rewolucji od góry”. Przede wszystkim wszakże nalegał na zawarcie rozejmu, „każda godzina zwłoki niesie niebezpieczeństwo”.

Myśl Ludendorffa rysuje się jasno w świetle jego słów skierowanych do oficerów, że stracił zaufanie do armii, że możliwe jest w niedługim czasie przełamanie frontu niemieckiego, że pobita armia wycofa się do kraju i „przeniesie do Niemiec rewolucję”. W tych warun-

kach - mówił zaufanym oficerom - prosił cesarza, aby powołał do rządu i „te koła, którym głównie zawdzięczamy, że zaszło już tak daleko. Niech oni zawrą pokój, który teraz musi być zawarty. Niech jedzą zupę, którą nam uwarzyli”.

Powiedziane dosadnie i szczerze. I w tym sensie słuszny jest pogląd, że „parlamentaryzacji Niemiec nie wywalczył Reichstag, lecz zarządził ją Ludendorff. Przykładu takiej rewolucji nie ma w dziejach świata. Bywało już, że władcy wojskowi i dyktatorzy dobrowolnie oddawali władzę. Ale nie było wypadku, aby dawny dyktator zabiegał tak gwałtownie, iżby przeciwnikom zapewnić władzę, jak Ludendorff na przełomie września i października 1918 r.”

Wydawało mu się, że będzie to najlepsza, najpewniejsza droga do zrzucenia odpowiedzialności z kłiki wojskowej i obarczenia nią polityków cywilnych, ludzi środka i lewicy. Rozumował chyba logicznie, nie przewidział wszakże, iż beneficjentami tej polityki nie będą junkrzy i generałowie, lecz *gefrierter* Hitler.

Zdarza się czasem w życiu, że w chwilach grozy pojawia się i element komizmu. Tak było 29 września 1918 r. w Spa. Czynnikiem komizmu wprowadził w ciężką atmosferę Hindenburg. Sędziwy feldmarszałek z całą powagą zwrócił się do Hintzego z żądaniem, aby w rokowaniach pokojowych uzyskał dla Niemiec Briey i Longwy. Ludendorff uciął krótko: „Już nie czas po temu”.

Cesarz, który właśnie przybył do Spa, przyjął zaraz obu wodzów i Hintzego. Beznadziejne położenie mili-

tarne zreferował Hindenburg; pesymistyczna ocena sytuacji na froncie zaskoczyła Wilhelma, ale „najwyższy pan wojny” podzielił w pełni punkt widzenia Naczelnego Dowództwa, że wojnę należy kończyć bezwzględnie. W sprawach politycznych cesarz odrzucił myśl zaprowadzenia dyktatury i z aprobatą wysłuchał wywodów Hintzego na temat „rewolucji od góry”. Admirał przedstawił, jak to „z inicjatywy monarchy” dokona się przełom, który umożliwi czy ułatwi narodowi „przejście od zwycięstwa do klęski”, a w razie koniecznym porwie najszersze masy ludowe do walki pod hasłem „Ojczyzna w niebezpieczeństwie”. Ostatecznie cesarz wyraził zgodę na „rewolucję od góry”, na apel do prezydenta Wilsona o mediację w sprawie rozejmu i pokoju i wreszcie o powołanie parlamentarzystów do rządu Rzeszy, „aby ludzie, którzy cieszą się zaufaniem narodu, wzięli w szerokim zakresie udział w prawach i obowiązkach rządowych”. „Odpowiedzialność za wynik wojny spadnie na więcej ramię”. O to głównie chodziło. Władcy Niemiec wyciągnęli wnioski z biegu wypadków w Rosji, uprzytomnili, uzmysłowili sobie, że przedłużenie wojny spowoduje zaostrzenie warunków pokoju i - co więcej - przyniesie nieuchronnie upadek monarchii, a może i systemu kapitalistycznego. Zrozumienie tego faktu dotarło nawet do kaprańskiego mózgu generała Ludendorffa. Tak więc zgodnie uznano w Spa, że ratunku szukać należy w powołaniu do rządów partii politycznych, a zwłaszcza socjaldemokracji większościowej, a może wyraża-

jąc się ściśle w podzieleniu się z nimi odpowiedzialnością.

Zmiana systemu wymagała zmiany ludzi. 3 października 1918 r. otrzymał dymisję dotychczasowy kanclerz hrabia Georg von Hertling. Jego następcą - kanclerzem Rzeszy, prezesem ministrów pruskich i pruskim ministrem spraw zagranicznych został następca tronu Wielkiego Księstwa Badenii książę Maksymilian.

„Książę dyletant” - jak o nim mówiono - urodzony 10 lipca 1867 r. liczył sobie lat 51, był generałem kawalerii, doktorem prawa i doktorem *honoris causa* nauk politycznych Uniwersytetu we Fryburgu Bryzgowijskim.

Od 1907 r. był prezesem Izby Wyższej parlamentu badeńskiego i wygłaszał tam mowy, które zwracały uwagę lekkimi tendencjami liberalnymi.

Pewne zainteresowanie wzbudzić może genealogia ósmego kanclerza Rzeszy. Po mieczu był potomkiem starożytnego rodu niemieckiego Zähringów. Zähringowie byli już w X w. hrabiami w Bryzgowii, od XI wieku zaś władali Badenią. Interesująca również była linia kanclerza po kądzieli - jednym jego pradziadem był „żandarm Europy” car Mikołaj I, zwany w Rosji Pałkinem, innym francuski rewolucyjny generał Aléxandre de Beauharnais, zgilotynowany w okresie terroru w 1794 r.; bratanica generała Stephanie de Beauharnais poślubiła z woli Napoleona księcia badeńskiego i była prababką kanclerza. Kandydaturę księcia Maksymiliana na kanclerza wysuwali już od pewnego czasu „różni

profesorowie i parlamentarzyści”. Wydaje się, że i on sam przygotowywał się do objęcia urzędu kanclerskiego.

Księżę Maksymilian po przybyciu do Berlina zaprosił do siebie Eberta i oświadczył mu, że nie utworzy rządu, jeśli nie wejdą doń socjaldemokraci. Ustalono, że nie będzie to rząd koalicyjny, lecz rząd większościowy, a prawica pozostanie w opozycji. Ebert nie ukrywał, że dla Socjaldemokracji wzięcie w tak trudnej chwili dziejowej odpowiedzialności za politykę rządową jest ofiarą.

W rządzie księcia Maksymiliana zasiedli w charakterze sekretarzy stanu bez teki przywódcy parlamentarni Adolf Gröber, przewodniczący frakcji Centrum, Philipp Scheidemann, przewodniczący frakcji socjaldemokratycznej, Mathias Erzberger, ruchliwy działacz centrowy, ponadto centrowiec Karl Trimborn stanął na czele Urzędu Spraw Wewnętrznych, a działacz związkowy, socjaldemokrata Gustav Bauer na czele utworzonego właśnie Urzędu Pracy. Wszystkie pozostałe teki dzierżyli w rękach fachowi urzędnicy. W Urzędzie Spraw Zagranicznych admirała von Hintzego zastąpił Wilhelm Solf, dawny gubernator Samoa, od 1911 r. sekretarz stanu w Urzędzie Kolonii, wytrawny, doświadczony urzędnik. Kanclerz księżę Maksymilian, wicekanclerz von Payer, parlamentarni sekretarze stanu bez teki oraz sekretarze stanu spraw zagranicznych i skarbu tworzyli gabinet, mający rozstrzygać zasadnicze kwestie polityki zagranicznej i wewnętrznej.



Nasuwa się tu pytanie, jaki wpływ na życie polityczne zaczęli wywierać parlamentarzyści, gdy zasiedli na fotelach ministerialnych. Wpływ ich na bieg spraw w urzędach, na administrację, jeśli go w ogóle pozyskali, był nikły; doświadczeni biurokraci nie dali sobie wydrzeć z rąk swych agend, ale wejście do rządu Rzeszy wybitnych przywódców partii politycznych, wybitnych przywódców parlamentarnych wzmocniło system, osłabiło wznoszącą się falę rewolucyjną. Taki był zresztą cel powołania parlamentarzystów do rządu. Od ich osobowości, od ich temperamentu, ich aktywności zależało, jaki wpływ zdobędą na politykę rządu Rzeszy. Wpływ taki zdobył Erzberger i w początkach listopada odegrał rolę niemałą.

## **91. Załamanie się Bułgarii**

15 września 1918 r. wojska francuskie, angielskie, serbskie i greckie pod wodzą generała Louisa Francheta d'Esperey ruszyły do wielkiej ofensywy przeciwko Bułgarom. 26 września dowództwo bułgarskie zwróciło się do generała Francheta z prośbą o zawieszenie broni. Pierwszy to sprzymierzeniec Niemiec, który się załamał. „Nikt nie miał złudzeń, załamanie się Bułgarii pogorszyło nasze położenie” - pisał Ludendorff.

Jak do tego doszło? Co spowodowało to załamanie? Jakie były tego przyczyny?

Od długich miesięcy wszystko wskazywało, że „źle się dzieje w państwie bułgarskim”. Ofensywa wojsk Koalicji była tylko kroplą, która przepełniła dzban.

Od dłuższego już czasu społeczność bułgarską ogarnęło zniechęcenie, rozczarowanie, niechęć do sprzymierzeńca niemieckiego, a niechęć tę Niemcy podsycali skutecznie. Poseł niemiecki w Sofii hr. Alfred von Oberndorff zwierzył się swemu austriackiemu koledze baronowi Mittag von Lenkheyn, że działa w Bułgarii „energicznie i po grubiańsku” (*mit Energie und Grobheit*). Ową niemiecką „energią” był oburzony czołowy bułgarski germanofil prezes ministrów Wasyl Radosławow i nawet sam car Ferdynand. Ferdynand irytował się na niemiecką generalicję i na niemiecką dyplomację i mówił z rozdrażnieniem posłowi austriackiemu Adamowi Tarnowskiemu, że rozumie w zupełności uczucia, które Polacy żywią do Niemców.

Nastroje antyniemieckie w społeczeństwie bułgarskim wywoływała przede wszystkim eksploatacja bogactw naturalnych. Kopalnię węgla w Perniku, którą Bułgarzy poczytywali za skarb niezbędny dla rozwoju rodzimego przemysłu, usiłowali Niemcy dostać w swe ręce. „Jeżeli zabiorą nam Pernik - mówił w Zgromadzeniu minister finansów Teodor Teodorow w listopadzie 1916 r. - pozostaniemy zawsze ubodzy ze słabo rozwiniętą gospodarką rolną, jak Indie, jak Egipt i inne kraje kolonialne, gdzie przemysł znajduje się w obcych rękach”. W tym kraju rolniczym dawały się odczuć trudności aprowizacyjne, jak niedobór mąki, chleba, tłuszczów. Wiosną 1918 r. kraj stanął przed widmem głodu. Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy była mobilizacja, która objęła wszystkich mężczyzn zdolnych do służby wojskowej i sparaliżowała wiele gałęzi życia

gospodarczego. W tej sytuacji okoliczność, że wojskowi niemieccy mieli wszelkie ułatwienia w nabywaniu środków żywności i wysyłaniu ich do Niemiec, a szczerze z tego korzystali, drażniła Bułgarów i wzmagała w społeczeństwie nastroje antyniemieckie. Wiosną 1918 r. w różnych okolicach Bułgarii wybuchły rozruchy głodowe. Sporo krwi napsuło Bułgarom objęcie kolei bułgarskich przez niemiecki zarząd wojskowy i bezwzględna rabunkowa eksploatacja kolejowa.

Prasa, skrępowana cenzurą wojenną, nie mogła zamieszczać ani artykułów o treści antyniemieckiej, ani informacji o postępowaniu Niemców w Bułgarii. Wiadomości na ten temat, jak to zwykle bywa w takich warunkach, często wyolbrzymione, krążyły z ust do ust. Swobodna była krytyka w sobraniu; korzystali z niej posłowie opozycyjni.

Rosło niezadowolenie w armii, wojsko było zmęczone wojną, pamiętajmy, że ruszyło w pole w październiku 1912 r.; żołnierz był źle uzbrojony, źle obuty, niedożywiony. Żołnierz bułgarski nie znał tajnych układów, ale poszedł walczyć o Dobrudżę, o Macedonię, o dostęp do Morza Egejskiego. I spotkał go wielki zawód. Rozgoryczenie wywołała zwłaszcza sprawa Dobrudży; do tej kwestii jeszcze wypadnie wrócić. Żołnierze bułgarscy śpiewali piosenkę „sojuznici–razbojnici”. Piosenka powstała w 1913 r. podczas II wojny bałkańskiej i była wyrazem oburzenia i gniewu na niedawnych sprzymierzeńców serbskiego i greckiego. Obecnie zwracała się przeciwko Niemcom. Docho-

dziło do konfliktów pomiędzy oficerami bułgarskimi i niemieckimi.

Żołnierz bułgarski czuł się zwycięzcą, pobił Serbów, pobił Rumunów, zdobył Macedonię, zdobył Dobrudżę i siedział w polu, nie wracał do swych rodzin, swych wiosek, do swych gospodarstw. Nie mógł zrozumieć, dlaczego nie zawarto pokoju. Wyobrażenia naiwne, ale zrozumiałe u tych dzielnych, prostych ludzi.

W kraju i w wojsku działała propaganda koalicyjna; nie trzeba dowodzić, że od marca 1917 r. coraz żywiej spoglądano w stronę Rosji.

Chyba raz tylko podjęli Niemcy próbę załagodzenia nieprzyjaznych sobie nastrojów społeczeństwa bułgarskiego. W październiku 1917 r. przybył do Bułgarii cesarz Wilhelm. Sofia po raz pierwszy widziała w swych murach monarchę wielkiego mocarstwa. Trudno orzec, ile pośród zgromadzonej na ulicach publiczności było zwykłego zaciekawienia, ile wywołanego na rozkaz, a ile rzeczywistego zapału. W każdym razie Wilhelm pozyskał chwilowo sympatię wielu przywódców opozycji, z którymi łaskawie rozmawiał na przyjęciu u króla. „Widziano rozpromienione twarze panów Malinowa i Geszowa” - raportował do Wiednia poseł austriacki Otto Czernin. Cesarz wszakże był bardzo ostrożny w wypowiedziach na temat Dobrudży.

Sprawa Dobrudży zaważyła silnie na stosunkach bułgarsko–niemieckich. Jak wiemy, Bułgarzy domagali się Dobrudży i to nie tylko jej części południowej, utraconej na rzecz Rumunii w 1913 r., ale całej tej prowincji aż po ujście Dunaju z portem Konstanca. Zareago-

wali na to Turcy żądając zwrotu okręgu pod Adrianopolem (Edirne), który Turcja odstąpiła Bułgarii w przededniu jej wejścia do wojny w 1915 r. Turcy uzasadnili to żądanie udziałem armii tureckiej w walkach o Dobrudżę. Traktat bukareszteński w art. X oddawał czy zwracał południową Dobrudżę Bułgarii, a północną Niemcom, Austro–Węgrom, Bułgarii i Turcji w kondominium. Taki stan rzeczy budził niezadowolenie w Bułgarii i - rzecz prosta - nie mógł trwać długo.

16 czerwca 1918 r., po blisko pięciu latach sprawowania władzy, podał się do dymisji premier Wasyl Radosławow wraz z całym gabinetem. 22 czerwca objął rządy jeden z przywódców opozycji Aleksandr Malinow jako prezes ministrów i minister spraw zagranicznych. W wywiadzie dla przedstawiciela Biura Telegraficznego Wolffa nowy szef rządu Malinow oświadczył, że przyczyny zmiany gabinetu szukać należy wyłącznie w trudnościach wewnętrznych kraju, przede wszystkim w złej aprowizacji; w polityce zagranicznej natomiast naród bułgarski stoi na gruncie braterstwa broni ze sprzymierzeńcami.

Nie należy przywiązywać zbytnej wagi do oficjalnych deklaracji. Malinow był przywódcą opozycji. We wrześniu 1915 r. wystąpił ostro przeciwko wiązaniu Bułgarii z Państwami Centralnymi, podczas wojny nie szczędził surowej krytyki rządowi Radosławowa. Gdy stanął na czele rządu zapoczątkował od razu nowy kurs polityczny - zelżała cenzura, ze stanowisk urzędowych usuwano zwolenników Radosławowa, a wprowadzano na ich miejsce ludzi dotychczasowej opozycji. Wciąż

szermowano hasłem suwerenności Bułgarii, mówiono o kontroli wywozu, o ochronie przed ujarzmieniem gospodarczym. Rosło niezadowolenie w kraju, rosło niezadowolenie w armii, wzmagająca się agitacja prokoalicyjna, antyniemiecka, działali w tym kierunku także i oficerowie. Stany Zjednoczone nie wypowiedziały wojny Bułgarii, konsul generalny amerykański D. J. Murphy rezydował nadal w Sofii i nie zasypiał gruszek w popiele. Propaganda koalicyjna była różna. W wojsku podnosiły się bunty, dezercja przerzedzała szeregi. Poseł austriacki w Sofii Otto Czernin widział już w końcu czerwca 1918 r. możliwość zanarchizowania armii bułgarskiej, a wówczas trzeba by ją było rozpuścić.

Otto Czernin zapytał kiedyś prezesa ministrów, czy sytuację w wojsku opanować trzeba „surowością”, czy podniesieniem „fizycznego zadowolenia żołnierza”, Malinow odpowiedział krótko: „lawirować”.

W marcu 1917 r. były prezes ministrów Iwan Geszow zaatakował w Zgromadzeniu politykę zagraniczną gabinetu Radosławowa i nazwał ją „ryzykowną”, gdyż zwycięstwo Koalicji jest co najmniej możliwe. Latem 1918 r. wyraziłby się z pewnością zupełnie inaczej. Niepowodzenia bowiem i porażki niemieckie we Francji nie były dla Bułgarów wieściami dalekimi, oderwanymi od rzeczywistości, odczuwali przecież ich natychmiastowe skutki. Pułki niemieckie, strzegące Bałkanów i bałkańskich połączeń z Turcją, odwoływano na front zachodni. Nie mogło to nie wywoływać wrażenia.

I w wojsku, i w społeczeństwie szerzyło się przekonanie, że Niemcy oddali Bułgarię własnemu losowi.

Tak przedstawiała się sytuacja w Bułgarii, gdy 15 września 1918 r. generał Louis Franchet d'Esperey ruszył do ataku na czele wojsk Koalicji.

Po walkach pomiędzy rzekami Črna rēka i Wardar parli Francuzi i Serbowie ku północy w kierunku Niszu, a Anglicy na zachód od Adrianopola. Chodziło o przecięcie łączności pomiędzy Austro–Węgrami i Bułgarią, i pomiędzy Bułgarią a Turcją. Wojska bułgarskie stawiały opór bardzo słaby, walczyli Niemcy. Wezwane pilnie posiłki niemieckie i austriackie przybyły już za późno. 29 września 1918 r. Bułgarzy przyjęli bez dyskusji warunki podyktowane przez generała Franchet d'Espereya. A oto one: 1) ewakuacja wojsk bułgarskich z okupowanych jeszcze terytoriów serbskich i greckich, 2) demobilizacja armii z pozostawieniem jedynie trzech dywizji, 3) wydanie materiału wojennego, 4) wydalenie w ciągu czterech tygodni wszystkich funkcjonariuszy i agentów niemieckich, 5) okupacja niektórych punktów strategicznych w Bułgarii, ale z wyłączeniem Sofii.

Niemcy myśleli jeszcze o środkach ostatecznych, o wkroczeniu do Sofii, o obaleniu gabinetu Malinowa, o dyktaturze generała Michaiła Sawowa i o ostrych krokach względem zwolenników pokoju. Było już jednak za późno, 1 października 1918 r. admirał von Hintze telegrafował do Kwatery Głównej: „Wobec ostatecznych wiadomości z Bułgarii musimy dać tam za wygraną”. A w trzy dni później, 3 października 1918 r., poseł niemiecki w Sofii hr. von Oberndorff donosił, że armia

bułgarska znajduje się w zupełnej rozsypce i należy ją uważać za *quantite négligeable*.

3 października 1918 r. car Ferdynand abdykował, na tron wstąpił jego starszy syn Borys III.

## 92. Turcja u kresu

Niepomyślne było położenie wewnętrzne Turcji. Coraz bardziej dawały się odczuwać skutki wojen, które targwały państwem Osmanów od 1911 r. Dokuczał niedostatek, a sytuację pogarszały zły zarząd oraz nieudolna i przekupna administracja. Niektóre okolice nawiedziła klęska głodu. W zamożnej Syrii, gdzie skoncentrowano znaczne ilości wojska, już zimą 1915/16 r. wystąpił dotkliwy brak chleba. W Libanie miało umrzeć z głodu ponad 100 tys. ludzi. W stolicy dawał się we znaki głównie brak nafty, węgla, drzewa. Już z początkiem drugiego roku wojny ceny artykułów pierwszej potrzeby, z wyjątkiem chleba i węgla drzewnego, wzrosły w Konstantynopolu 4 do 5 razy w stosunku do cen przedwojennych. Życie utrudniał też nieład w stosunkach monetarnych, znaczna mianowicie i wciąż zwiększająca się różnica kursu pomiędzy pieniądzem złotym i srebrnym a papierowym. W Konstantynopolu w pierwszej połowie 1917 r. dawano za funt papierowy tylko 25 piastków srebrnych (funt = 100 piastków), za funt złoty płacono 5,5 funta papierowego. Tak było w stolicy. Na prowincji różnica była znacznie większa, w wielu okolicach nie chciano w ogóle przyjmować pieniędzy papierowych. Powszechnie stosowano drażniący i ubożący ludność system rekwizycji po-



trzebnych władzom towarów w zamian za bezwartościowe kwity.

Groźnie przedstawiała się sytuacja armii tureckiej. Zły stan zaopatrzenia i wszelkie niedostatki, wynikające z ciężkiego położenia gospodarczego, a także fatalne, dyletanckie kierownictwo Envera Paży wyczerpywały żołnierza, czyniły go i moralnie, i fizycznie coraz mniej odpornym na trudy wojenne. Cały ciężar służby frontowej dźwigał żołnierz narodowości tureckiej; żołnierzy–chrześcijan i muzułmanów pochodzenia nietureckiego poczytywano za element niepewny i używano tylko do służby na tyłach.

Poza nieliczną grupą rządzących młodoturków i różnych spekulantów, wszyscy mieli powód do niezadowolienia. Urzędnicy od początku wojny pobierali jedynie połowę poborów. Bakszysz królował więc w urzędach bardziej jeszcze niż poprzednio; bez bakszyszu nie można było niczego załatwić. Pogarszało się również położenie oficerów; dbał o nich wprawdzie bardzo Enver Paşa, ale i jego starania zawodziły coraz częściej.

Niepowodzenia wojskowe w Mezopotamii, w Syrii, w Arabii wzmagały ogólne niezadowolenie, osłabiały pozycję rządu i rządzącej grupy młodoturków.

Młodoturcy nie zamierzali wszakże ustępować, snuli wciąż dalekosiężne i nierealne plany.

Jednym z tych planów miało być utworzenie federacji muzułmańskiej. Na jej czele stać miał sułtan–kalif z siedzibą w Konstantynopolu. Władze ustawodawcze ukonstytuować miano na wzór niemiecki. Wielki wezyr

Talât Paşa uważał program ten za piękną iluzję, ale pragnął, aby iluzja ta służyła Turkom za ideał, potrzebny każdemu narodowi.

I federacja muzułmańska, i pomysły unii arabsko-tureckiej były to mrzonki. Arabowie bowiem z Turcją już zerwali i niczym nie zdradzali chęci do ponownego zbliżenia z Turkami.

Po upadku caratu młodoturcy obrócili wzrok na ziemie, które wchodziły w skład dawnego Cesarstwa Rosyjskiego, na Kaukaz, a nawet na Krym. Tam upatrywano rekompensatę za utraconą Arabię.

Traktat podyktowany Rosji w Brześciu 3 marca 1918 r. stanowił, że wojska rosyjskie zostaną wycofane nie tylko z zajętych w ciągu wojny tureckich prowincji wschodnioanatolijskich, ale także i z okręgów Kars, Ardahan i Batum (Batumi), które oderwano od Turcji w 1878 r. na mocy postanowień kongresu berlińskiego. Turcy postanowienia brzeskie interpretowali w taki sposób, że ziemie te mają po prostu wrócić pod panowanie sułtana. Dnia 10 marca 1918 r. Enver Paşa w rozkazie do armii i floty oznajmił o rewindykacji utraconych przed 30 laty prowincji i nakazał marsz naprzód celem ich zajęcia.

Turcja wchodziła więc czynnie na drogę polityki panturańskiej. Panturanizm był konsekwencją nierealnych dążeń panturkizmu. Młodoturcy stawili sobie za cel zapewnienie w państwie bezwzględnej przewagi żywiołowi tureckiemu. Kierunek ten zaczęto nazywać panturkizmem. Na przeszkodzie realizacji tych zamierzeń stała liczebna słabość Turków (ok. 10 mln wobec

16–17 mln narodowości nietureckich) oraz ich zacofanie kulturalne i gospodarcze. Wówczas przywódcy młodotureccy wpadli na myśl wzmocnienia żywiołu tureckiego przez połączenie z Turkami w jednym państwie licznych ludów pochodzenia turkского. Taki program zaborczy godził zarówno w Rosję - młodoturcy myśleli o podboju Krymu, dużej części Kaukazu wraz z Baku i naftą bakijską, Powołża, Turkiestanu, Chiwy, Buchary - jak i w Iran (chciano tam zdobyć perski Azerbejdżan i Ardillan). Profesor socjologii uniwersytetu konstantynopolitańskiego i działacz nacjonalistyczny Ziya Gökalp mawiał: „Ojczyzną Turków nie jest Turcja, nie jest Turkiestan. Jest nią wielki kraj - Turan”.

*Beatus qui tenet.* Turcy nie zwracając większej uwagi na niebezpieczeństwo grożące na południu od Anglików, ruszyli na północ i pośród walk z Ormianami, Gruzinami i Tatarami zajęli 15 kwietnia Batum, 26 kwietnia Kars; z końcem kwietnia 1918 r. znalazły się już w rękach tureckich terytoria utracone w Azji przed 30 laty. Latem 1918 r. podjęli Turcy dalsze działania i 15 września wkroczyli do Baku. Rzekomy ten sukces był kresem całej akcji. Tego samego dnia, 15 września, pod naporem wojsk Koalicji pękł front bułgarski w Macedonii. Niebezpieczeństwo stanęło przed wrotami Konstantynopola.

Na południu Anglicy rozpoczęli ofensywę 9 marca 1918 r. Pomimo znacznej przewagi sił posuwali się wolno i z trudnością. Dwie bitwy nad Jordanem w marcu i w kwietniu 1918 r. nie przyniosły sukcesu. Nastę-

nie upały letnie - termometr wskazywał 55 stopni Celjusza – utrudniały działania wojenne. Dopiero 19 września 1918 r. po starannym przygotowaniu uderzył generał Allenby z wielką mocą. Skutecznego oporu nie mogli już Turcy stawić.

Dwie następujące po sobie złe wiadomości o klęsce bułgarskiej i o ofensywie brytyjskiej w Syrii spadły na Konstantynopol jak grom z jasnego nieba. Wkrótce nadeszła jeszcze trzecia zła wiadomość. 20 września 1918 r. komisarz ludowy Gieorgij Cziczeryn w nocy do rządu tureckiego stwierdził, że wobec naruszania przez Portę traktatu brzeskiego i wobec akcji zbrojnej Turków na Kaukazie rząd radziecki uważa, iż traktat brzeski z Turcją przestał obowiązywać.

Rząd Talât–Enver–Cemal nie cieszył się zaufaniem ani narodu, ani sułtana Mehmeda VI. Co więcej utracił nawet poparcie młodotureckiego Komitetu „Jedność i Postęp” i w konsekwencji musiał ustąpić. 13 października 1918 r. stanął u steru nowy rząd. Wielkim wezyrem został marszałek Ahmed Izzet Paşa, który w 1914 r. opowiadał się stanowczo przeciwko wejściu Turcji do wojny.

Izzet Paşa podjął od razu zabiegi o rozejm. Rachował, że Wielka Brytania, która zawsze dotąd broniła integralności imperium Osmanów, nadal chronić będzie Turcję. Za pośrednika posłużył mu pozostający w niewoli angielski generał Townshend. 18 października Townshend wyjechał z Konstantynopola, 20 października był w Mudros na wyspie Limnos, gdzie mieściło się dowództwo brytyjskiej floty śródziemnomorskiej

i dokąd przybył dowódca tej floty wiceadmirał S. A. Gough–Calthorpe. Admirał odsunął od pośrednictwa Townshenda i bez pośpiechu prowadził rokowania z przybyłym delegatem tureckim ministrem marynarki Rauf Beyem. Rozejm podpisano 30 października 1918 r.

Warunki rozejmu były twarde: demobilizacja armii, wydanie okrętów wojennych, przekazanie kolei pod zarząd brytyjski, zgoda na zajęcie Konstantynopola, Bosforu, Dardaneli, Batumu i Baku przez Koalicję. Rzecz charakterystyczna: admirał prowadził układy z Turkami bez porozumienia się z Francuzami i bez ich wiedzy.

### 93. Nad Piawą

15 marca 1918 r. feldmarszałek Hindenburg wystosował do generała von Arza pismo tej treści: „Jak się wydaje, wojska francuskie i angielskie zostały wycofane z Włoch. Należy przypuszczać, że wystąpią one na niemieckim froncie zachodnim. Uważam, że ofensywa wojsk austro–Węgierskich we Włoszech jest sprawą w najbliższym czasie konieczną”.

Niedawno Wiedeń, głównie za sprawą cesarzowej Zyty, odrzucił wezwanie niemieckie, aby c. i k. wojska wzięły udział w przygotowywanych walkach we Francji. W piśmie Hindenburga była dyskretna aluzja do tej odmowy austriackiej.

Po wstępnych badaniach generał Arz udzielił 27 marca 1918 r. odpowiedzi pozytywnej; spodziewał się

zadać Włochom klęskę, omylił się, szczęście mu nie dopisało.

15 czerwca 1918 r. na froncie od Asiago do morza ruszyli Austriacy do ataku. Opór włoski okazał się nadspodziewanie silny. Na północnym zachodzie w okolicach Asiago i Monte Grappa pomimo pierwszych niewielkich sukcesów ofensywa austriacka załamała się już w pierwszym dniu. Na południu nad Piawą powiodło się Austriakom przekroczyć w kilku miejscach wzburzoną rzekę, nawet pobudować przyczółki mostowe, ale silne kontrataki włoskie i trudności w sprowadzaniu posiłków zmusiły atakujących do odwrotu i cofnięcia się na lewy brzeg Piawy. 24 czerwca przyniósł zakończenie bitwy. Komunikat austriacki z 25 czerwca 1918 r. głosił, że w rezultacie ofensywy wzięto 50 tys. jeńców, ale przemilczał, że własne straty wyniosły w zabitych, rannych, wziętych do niewoli, zaginionych ponad 150 tys. Położenie armii austriackiej tymi słowami opisuje generał Jan Romer: „Warunki były straszne. Wskutek trudów, deszczów, zimna, nieregularnej strawy i ciągłych niebezpieczeństw stan fizyczny i moralny żołnierzy był zły. Znacznie więcej niż połowa cierpiała na influencję, która objawiała się w ogólnym, znacznym upadku sił. Ciągłe ataki włoskie, ciągły ogień z dział i minowców oraz choroby przerzedzały szeregi w zastraszający sposób”.

Przegrana Austriaków, szybkie załamanie się ofensywy austriackiej staje się sprawą zrozumiałą, gdy się zważy układ stosunków w monarchii habsburskiej i we

Włoszech, gdy się zważy stan rzeczy w armii austriackiej i w armii, włoskiej.

Pokój z Rosją i pokój z Rumunią pozwoliły dowództwu austriackiemu na przerzucenie znacznych sił ze wschodu na zachód. 53 dywizje skierowano na front włoski. Cóż, kiedy stan tego wojska pozostawiał dużo do życzenia. Żołnierz był wyczerpany, słaby fizycznie, zniechęcony do wojny, z utęsknieniem wyczekiwał pokoju. Na psychikę żołnierza działało - rzecz prosta - ciężkie położenie jego głodującej w kraju rodziny. Właśnie z dniem 15 czerwca zmniejszono w Wiedniu dzienną rację chleba o połowę; w stolicy doszło do rozruchów głodowych. Ale i przydziały żywności dla wojska, nawet żołnierza w pierwszej linii frontu, były niedostateczne; mundur, bielizna, obuwie w złym gatunku. Dla trzeciej części armat brakło koni. Stan kolejnictwa nie pozwalał na normalny ruch pociągów.

Odwrotne zjawisko obserwujemy w armii włoskiej.

Październikowa i listopadowa roku 1917 klęska pod Caporetto była we Włoszech brzemienna w skutki. W wyobrażeniach narodu włoskiego, w wyobrażeniach żołnierza włoskiego wojna z Austrią przestała być już wojną zaczepną, wojną o realizowanie haseł irredenty, była to teraz wojna obronna, była to walka z najazdem tradycyjnego wroga. Dla mobilizacji sił narodowych miało to znaczenie. Zimą 1917/18 r. Włochy znalazły się w trudnej sytuacji, dokuczał niedostatek żywności, niedostatek sprzętu bojowego. Ale Włochy, w przeciwieństwie do Austrii, miały możliwość uzupełnienia braków przy pomocy sprzymierzeńców. I tak się też stało.

Toteż armia włoska stanęła do obrony przed ofensywą austriacką sprawniejsza niż atakujący i fizycznie, i moralnie. Stąd załamanie ofensywy austriackiej, stąd zwycięstwo włoskie.

Straty Włochów wynosiły, według danych włoskich, 8 tys. zabitych, 29 tys. rannych, 45 tys. wziętych do niewoli; były to więc straty niższe niż straty austriackie. Zresztą w walkach poprzednich obie strony poniosły straty dotkliwe. Ale dla monarchii habsburskiej znaczenia przegranej nie można było mierzyć wysokością strat w ludziach i w sprzęcie bojowym. Austriacy nie dopięli celu strategicznego ofensywy i w konsekwencji nie osiągnęli celu politycznego, który nakazał ofensywę. Zwycięstwo nad Włochami oddziaływałoby niewątpliwie silnie na stosunki imperium Habsburgów, zwłaszcza na Słowian południowych, nieprzyjaźnie do Włochów usposobionych. A było to po niedawnym kongresie rzymskim narodów uciemiężonych przez Austro–Węgry odbytym w Rzymie w dniach od 8 do 10 kwietnia 1918 r.

Przegrana nad Piawą przekreśliła szansę powstrzymania rozpadu monarchii.

We Włoszech natomiast zarysowała się różnica poglądów na temat finału wojny, czasu jej trwania, na temat możliwości, jakie mogły się jeszcze otwierać przed monarchią habsburską.

Francuzi, Anglicy, Amerykanie napierali na Włochów, aby generał Diaz rzucił wojska włoskie do ataku; ułatwiłoby to sytuację wojsk Koalicji na froncie zachodnim. Żądania te popierał minister spraw zagra-



nicznych Sonni-no, ze względów wszakże politycznych, nie militarnych; Sonnino lękał się, że Włochy' na konferencji pokojowej będą miały pozycję słabą, jeśli nie zdołają wyprzeć Austriaków z terenów zajętych w październiku i listopadzie 1917 r. Obawy te podzielało wielu polityków włoskich, zaniepokojonych możliwością zawarcia przedwczesnego pokoju; byłby to pokój kompromisowy, który by nie przyniósł Włochom realizacji wszystkich ich postulatów. Względy te ostatecznie przeważały i prezes ministrów Orlando wymógł na generałach Diazie i Badoglio decyzję podjęcia ofensywy. Ale w kierownictwie państw Koalicji wciąż jeszcze pokutowało przekonanie, że wojnę zakończyć będzie można zwycięsko dopiero w roku 1919. Orlando zawiadomił Diaza, że rząd zadowoli się ofensywą mniejszego wymiaru, ofensywą, która by ratowała pozory. Wahania i wątpliwości, różnice zdań, które towarzyszyły przygotowaniu bitwy pod Vittorio Veneto, znikły dopiero w przeddzień batalii; dopiero w ostatniej chwili dowództwo włoskie doszło do przekonania, że wojna zbliża się ku końcowi. Dowództwo włoskie obserwowało przegraną Niemiec we Francji; gdy nadto nadeszły do Rzymu wiadomości o ofensywie wojsk Koalicji w Macedonii i o załamaniu się Bułgarii, nie mieli Włosi wątpliwości, że Państwa Centralne wojnę już przegrały.

24 października 1918 r. ruszyła ofensywa włoska z udziałem 3 dywizji angielskich, 2 dywizji francuskich i pułku amerykańskiego. Przed atakującymi stali już nie żołnierze z bitew nad Isonzo z 1915 i 1916 r., nie zwy-

ciężcy spod Caporetto w 1917 r., nie żołnierze z czerwca 1918 r. Stali ludzie wycieńczeni, nierozumiejący sensu dalszej walki. W szeregach powtarzano, że miejsce żołnierza jest w kraju, nie na Monte Grappa, nie nad Piawą. Pierwsi oderwali się Węgrzy, porzucili swe stanowiska i wycofali się z frontu na Węgry; poszli za ich przykładem Słowacy, później Czesi. Pewien opór stawiały pułki niemieckie.

W tych warunkach atak włoski nie przedstawiał trudności. W pierwszym dniu ofensywy, 24 października zajęli Włosi Monte Grappa, w dniach 26 i 27 października przekroczyli Piawę, 29 zajęli Vittorio Veneto, 30 Asiago. 3 listopada w rękach włoskich były Trydent, Udine, Triest.

31 października delegacja rozejmowa austro-węgierska przybyła do Villa Giusti koło Padwy, aby usłyszeć warunki zawieszenia broni. Tego właśnie dnia w Wersalu sprzymierzeni ustalili warunki rozejmowe. A oto one: demobilizacja armii austro-węgierskiej, wydanie połowy sprzętu bojowego, zwolnienie jeńców, ewakuacja terenów przyznanych na mocy traktatu londyńskiego Włochom, prawo przejścia przez terytorium Austrii dla wojsk Koalicji wyznaczonych do ataku na Niemcy od południa. 3 listopada Austriacy przyjęli warunki rozejmu. Skończyła się wojna pomiędzy monarchią Habsburgów a Królestwem Włoskim.

Ostatnie walki na froncie włosko-austriackim, zwane bitwą pod Vittorio Veneto, spotkały się z różnymi ocenami. Niektórzy widzą w ofensywie włoskiej z października 1918 r. najlepiej rozegraną bitwę

w dziejach pierwszej wojny światowej; inni twierdzą, że Vittorio Veneto nie było bitwą, gdyż Austriacy nie walczyli. Najbliższy prawdy wydaje się sąd Luigi Albertiniego, że Włosi po dwóch czy trzech dniach walki zebrali owoce buntów, które rozsadziły armię austriacką.

Z końcem roku 1918 Włosi twierdzili, że w szeregach stanęło 5 mln Włochów, spośród nich 50 tys. walczyło we Francji. Liczbę zabitych obliczano początkowo na 700 tys.; ustalono później, że liczba ta w rzeczywistości była niższa.

## **94. Monarchia Habsburgów u kresu**

Od lat szerzyły się w świecie opinie, że z chwilą, gdy rozwiązana zostanie kwestia wschodnia, gdy rozpadnie się imperium osmańskie, stanie przed Europą kwestia austriacka. Liczne były głosy, że monarchia naddunajska utrzyma się przy życiu póki żyć będzie cesarz Franciszek Józef, że po jego zgonie nastąpi rozpad i koniec wielonarodowościowej monarchii Habsburgów.

Co prawda głoszono i poglądy przeciwne. Utrzymywano, że związki gospodarcze od wieków łączące kraje monarchii są tak mocne, iż naddunajskie imperium Habsburgów poczytywać należy za twór organicznie zespolony.

W 1908 r. młody socjolog czeski Eduard Beneš opublikował we Francji w języku francuskim rozprawę, na której podstawie uzyskał doktorat na Uniwersytecie w Dijon. Przedmiotem rozprawy był „*Problem au-*

*striacki i kwestia czeska. Studium o walkach politycznych narodowości słowiańskich w Austrii*". Beneš dowodził, że przeprowadzone w 1907 r. głosowanie powszechne do parlamentu i demokratyzacja życia publicznego usuną, a w każdym razie w poważnym stopniu złagodzą walki narodowościowe w monarchii. Motorem życia publicznego będą w Austrii sprawy gospodarcze, nie zaś polityczne walki pomiędzy narodowościami. Przyszły minister spraw zagranicznych i prezydent Czechosłowacji konkludował: „Mówi się często o rozpadzie Austrii. Nie wierzę w to absolutnie. Zbyt potężne są więzi historyczne i ekonomiczne, które łączą narody Austrii, aby rozpad ten mógł nastąpić.

Głosowanie powszechne i demokratyzacja Austrii, zwłaszcza Czech, przygotowują teren do złagodzenia walk narodowościowych. A interes gospodarczy różnych klas narodów zmusi do przyspieszenia rozwiązania problemu austriackiego, rozwiązania kwestii narodowościowej. Walki narodowościowe nie ustaną z pewnością ani dziś, ani jutro. Długo jeszcze odgrywać będą dość ważną rolę w Austrii, ale przestaną być tym, czym były w ostatnim półwieczu”.

Beneš dużo później, w kilkanaście lat po rozbiciu monarchii, gdy był ministrem spraw zagranicznych republiki czechosłowackiej, wygłosił taką opinię: „Stara monarchia była gospodarczo bardzo zdrowym i mocno ugruntowanym tworem”.

W 1913 r. przyszły „prezydent–oswobodziciel” Czechosłowacji Tomáš Garrigue Masaryk w mowie w parlamencie austriackim stwierdził niedwuznacznie:

„Właśnie dlatego, że nie mogę się oddać marzeniom o rozpadzie Austrii, ponieważ wiem, że ta Austria, czy dobra czy zła, będzie trwała, poważnie zależy mi na tym, aby z tej Austrii coś zrobić. (...) Nasze dążenia prawno–państwowe i administracyjne nie idą w tym kierunku, aby innych osłabić, ale aby całość wzmocnić”.

Początek wojny zdawał się przyznawać słuszność przewidywaniom Masaryka i Beneša. Ludność wykazywała wszędzie lojalność względem monarchii, mobilizacja przeszła wszędzie sprawnie. Akcje o charakterze antypaństwowym nie były liczniejsze niż w innych państwach. Zmianę sytuacji pod tym względem przyniesie dopiero długa wojna, nieszczęścia, jakie z sobą niosła, spowodowała błędna polityka władz, zwłaszcza wojskowych, niezręczna, wadliwa polityka Niemców i Madziarów.

Pamiętać wszakże trzeba, iż żadne z państw walczących nie znajdowało się w położeniu tak trudnym jak monarchia habsburska. „Rzuciliśmy na szalę więcej niż Niemcy - pisał hr. Gyula Andrassy. - Nawet najgorszy pokój nie mógł zniszczyć Niemiec i słusznie pełnomocnicy niemieccy mogli powiedzieć podczas rokowań pokojowych: «Naród 70–milionowy cierpi, ale nie umiera». Myśmy nie mogli tak twierdzić. Austria, a zwłaszcza Węgry, stały na krawędzi przepaści. Myśmy stawiali na kartę naszą egzystencję, Niemcy tylko stanowisko mocarstwowe”.

Spośród państw walczących jedynie Belgia, Serbia, maleńka Czarnogóra i może Rumunia stały przed za-

grożeniem egzystencji państwowej, ale ich struktura nie nastroczała tylu trudności, co struktura monarchii podwójnej. Toteż polityka obronna tych państw była prosta i nie budziła tylu wątpliwości, nie wywoływała takich komplikacji.

We wszystkich państwach walczących, a zwłaszcza w państwach pokonanych, uderza ogromna różnica w postawie i w nastrojach społeczeństw, narodów w pierwszych i w ostatnich miesiącach wojny. Najpierw optymizm i zupełny brak zrozumienia tego, czym jest wojna nowoczesna, a później wyczerpanie, zmęczenie, rozgoryczenie. Szczególnie silnie wystąpiła ta różnica w monarchii habsburskiej. Niemcy i Węgrzy oczekiwali, że w wyniku zwycięstwa zdołają powiększyć swe wpływy, Polacy z wybuchem wojny wiązali nadzieje odbudowy państwa polskiego, a w każdym razie znacznego polepszenia warunków bytu narodowego. Bardziej powściągliwi byli Czesi, ale i wśród Czechów panowało przekonanie, że wojna przyniesie im wzmocnienie pozycji, nie pełną niepodległość wprawdzie, lecz wyodrębnienie krajów korony św. Wacława w ramach państwowości austriackiej. Polepszenia sytuacji, również w ramach państwowości austriackiej, spodziewali się także Chorwaci, Słoweńcy, Rumuni<sup>6</sup>.

Takie pierwotne nastroje zmieniały się ustawicznie wraz z sytuacją monarchii i wraz z rozwojem wypadków w Europie.

Niepoślednie znaczenie miało stanowisko Czechów. 4 sierpnia 1914 r. w dzienniku „Narodni Listy” pisał przywódca czeskiej Narodowej Demokracji i czo-

łowy czeski ruso– i carofil Karel Kramař, że rozpoczęta właśnie wojna jest wojną pomiędzy Słowianami a Germanami. Było to bardzo wymowne pouczenie Czechów. Ale głos Kramařa był na razie odosobniony; inne dzienniki zajęły odmienne stanowisko. „Pravo Lidu”, organ socjaldemokracji czeskiej, pisał 5 sierpnia 1914 r., że naród czeski znajduje się w położeniu człowieka, który w dużym, wygodnym domu zajmuje małe mieszkanie. Nie będzie domu niszczył ani porzucał, lecz postara się o lepsze warunki mieszkaniowe. W tym samym numerze „Pravo Lidu” zwracało się do Kramafa i czeskich rusofilów. „Sympatie narodu czeskiego nie kierują się do tych, którzy dziś są przedstawicielami oficjalnej Rosji, w rzeczywistości zaś są największymi wrogami i najokrutniejszymi ciemżycielami narodu rosyjskiego”. Tomáš Garrigue Masaryk, profesor filozofii i socjologii na uniwersytecie praskim, poseł do parlamentu wiedeńskiego i lider niewielkiego stronnictwa czy ugrupowania, które nazywał grupą realistów, zajął po wybuchu wojny stanowisko antyaustriackie. Względem Rosji zachowywał się bardzo powściągliwie, widział jej słabość, obawiał się rządów rosyjskich w Czechach, przyszłość swego narodu upatrywał w oparciu o państwa zachodnie. W grudniu 1914 r. Masaryk wyjechał przez Szwajcarię na zachód. W Czechach działała tymczasem założona i kierowana przez niego organizacja Mafia. Organizacja nieliczna, tajna gromadziła dla Masaryka informacje o sytuacji w Czechach i otrzymywała od niego instrukcje. Latem 1915 r. podążył na zachód za Masarykiem jego ulubiony

i zaufany uczeń, młody docent socjologii Eduard Benes. Przyłączyli się później do nich dwaj Słowacy Milan Stefanik i Stefan Osusky. Masaryk prowadził na zachodzie, zwłaszcza w Anglii, żywą akcję i wciąż rozszerzał jej zakres. „Niepokoilo mnie - pisal później - pytanie co powie naród, jeśli nie zwyciężymy”.

Masaryk nie podzielał opinii, że tocząca się wojna to konflikt pomiędzy światem germańskim i słowiańskim. Uważał po prostu, że jest to walka o dominację nad Europą.

Politycy czescy w kraju stali długo, w każdym razie oficjalnie, na stanowisku państwowości austriackiej. Jak dalece oświadczenia lojalności były szczere, tzn. odpowiadały rzeczywistym poglądom deklarantów, jak dalece zaś miały charakter oportunistyczny, trudno osądzić. Nie ulega w każdym razie wątpliwości, że nastroje i dążenia czeskie zmieniały się pod naciskiem szybko zmieniającej się sytuacji. Wpływy emigracji czeskiej i wieści o rosnącej na zachodzie pozycji Masaryka nie były tu bez znaczenia.

Chorwaci i Słoweńcy pragnęli jedności południowo-słowiańskiej, pragnęli utworzenia Jugosławii z przeważającymi wpływami nie serbskimi wszakże, lecz chorwackimi. Kilku wybitnych polityków jugosłowiańskich udało się zaraz w początkach wojny na zachód. W kwietniu 1915 r. zawiązano w Paryżu Komitet Jugosłowiański, stanął na jego czele Ante Trumbić, Chorwat, poseł do parlamentu wiedeńskiego. Gra szła teraz o usunięcie przeciwnostw pomiędzy stanowiskiem rządu serbskiego, który stał na gruncie programu



Wielkiej Serbii, a dążeniami Chorwatów i Słoweńców do budowy Jugosławii. Szło następnie o pozyskanie dla idei państwa jugosłowiańskiego mocarstw Koalicji, a to nie było sprawą prostą, gdyż Rosja popierała rozwiązanie wielkoserbskie, Włochy dążyły do zdobycia wschodnich wybrzeży Morza Adriatyckiego, Francja i Wielka Brytania bynajmniej nie myślały jeszcze o rozbiciu monarchii Habsburgów.

Wzmoczone po wybuchu wojny wpływy kół wojskowych wiodły do tzw. rządów silnej ręki, co często wyrażało się w brutalnych represjach. Akty gwałtu i przemocy doraźnie osłabiały niewątpliwie działalność antypaństwową czy opozycyjną, na dalszą metę wszakże podkopywały fundamenty imperium. Budziły bowiem niechęć, a nawet nienawiść do państwa i rozluźniały łączące je z nim więzy.

Przewaga władz wojskowych nad cywilnymi szczególnie dawała się we znaki Polakom, Czechom, Słowianom południowym. Niemcy—oficerowie w Naczelnym Dowództwie poczytywali ich za żywioł niepewny, zdradliwy, wrogi monarchii i swoimi zarządzeniami tępymi a brutalnymi pchali ich na drogę wiodącą do obozu wrogów Austro—Węgier.

We Francji, w Wielkiej Brytanii, w Niemczech zaraz po wybuchu wojny zebrały się parlamenty i manifestowały patriotyzm, jedność narodową i poparcie dla rządu. Nawet w Rosji Duma dała wyraz podobnym sentymentom. W Austrii było przeciwnie. Prezes ministrów hr. Karl von Stürgkh, polityk o horyzontach ciasnych i poglądach anachronicznych, mniemał, że jedy-

nie system policyjny zapewni spokój w państwie. Stürgkh nie dopuścił do zwołania parlamentu i osłabił w ten sposób pozycję rządu, a nawet autorytet państwa. Parlament zebrał się dopiero w maju 1917 r., w innych już warunkach.

Na Węgrzech żelazną ręką sprawował rządy hr. Istvan Tisza; sejm węgierski obradował i nie dawał Madziarom powodu do niepokoju.

28 września 1916 r. ambasador niemiecki w Wiedniu Heinrich von Tschirschky und Bögendorff raportował do Berlina: „Im bardziej przeciąga się wojna, tym bardziej nasuwa się pytanie, jak długo jeszcze monarchia austro–węgierska będzie w stanie wytrzymać walkę tak pod względem militarnym, jak i gospodarczym”. Przejawy rozkładu upatrywał Tschirschky i w wyczerpywaniu się rezerw żołnierskich, i w brakach aprowizacji, i w złym stanie finansów, i w wadliwej, nieudolnej administracji, i w egoistycznej polityce rządu węgierskiego. Raport kończył się nutą mocno pesymistyczną. Niemcy muszą podjąć próbę uzdrowienia stosunków w Austro–Węgrzech, grozi bowiem niebezpieczeństwo, że „monarchia nagle zachoruje śmiertelnie i pociągnie za sobą Rzeszę”.

Pesymizm Tschirschkyego miał podstawy. W Austrii istotnie działo się niedobrze. Rządy soldateski budziły sprzeciw i rozdrażnienie, oburzały aresztowania i procesy sądowe prowadzone nieprawidłowo. Takie było tło zamachu, którego ofiarą padł 21 października 1916 r. premier Stürgkh. Zabójcą był Friedrich Adler, teoretyk austro–marksizmu, stojąc wówczas na lewicy

socjaldemokracji austriackiej, syn Viktora, przywódcy prawego skrzydła socjaldemokracji. Wrażenie było silne, ale tylko w kołach rządowych, „w mieście panuje głucha apatia” notował w dwa dni później Josef Redlich.

W miesiąc później, 21 listopada 1916 r., po 68 latach panowania, zmarł cesarz Franciszek Józef. „Wraz z nim skończyła się Austria franciszkowska, która zaczęła się, gdy w 1792 r. umarł syn Marii Teresy Leopold II. (...) Franciszek Józef przeżył generację Ferdynanda, przeżył generację rewolucji, ludzi roku 1866 i generację okupacji Bośni, generację społeczno-polityczną lat osiemdziesiątych XIX w., generację kapitalistyczną i imperialistyczną, której ośrodkiem był Franciszek Ferdynand, zmarł pośród generacji, która toczy ciężkie boje wojny światowej”.

Zgon sędziwego monarchy był jakby symbolem zbliżającego się końca starożytnej monarchii Habsburgów. Lekkie przemiany, nie zasadnicze rzecz prosta, można było wnet dostrzec. Na tron wstąpił stryjeczny wnuk zmarłego 28-letni Karol. Żywił wprawdzie kult dla swego zmarłego dziada, ale otoczył się nowymi ludźmi i pragnął stosować nowe metody rządzenia. A oto jak przedstawiał się młody monarcha w oczach Polaka niezwiązanego z dworem austriackim. „Cesarz Karol był ładnym mężczyzną o ujmującej powierzchowności. Wzrostu słusznego, smukły szatyn o wyrazistych niebieskich oczach, bardzo żywego usposobienia, nawet prędko, ale najlepszego serca był bardzo dobrym mężem i najczulszym ojcem i z gruntu dobrym

człowiekiem. (...) Zdolności miał, zdaje się, średnie i wykształcenie może niezupełnie odpowiadające wymagom monarchy, ale odznaczał się wielkim sprytem i bystrością umysłu, co uwydatniało się najlepiej w rozmowach, jakie prowadził z przedstawianymi mu osobami, a którym się dość często przysłuchiwałem”.

Gorącym pragnieniem młodego cesarza było zawarcie pokoju i przebudowa wewnętrzna monarchii w kierunku jej federalizacji, zapewne w myśl planów arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. Cesarz Karol był ożywiony najlepszymi chęciami, ale dobre chęci to za mało, gdy brak silnej woli, jasnego programu, doświadczenia, a także mądrych doradców.

Już pierwsze kroki cesarza wiodły do błędnych rozwiązań. Uległ naciskowi Węgrów i 30 grudnia 1916 r. pośród wspaniałych uroczystości koronował się w Budzie na króla Węgier i złożył przysięgę na wierność konstytucji. Uniemożliwił sobie w ten sposób, a w każdym razie znacznie utrudnił, federalizację królestwa Węgier, a wiązało się to przecież ściśle z wprowadzeniem takiego ustroju w Austrii.

Na Węgrzech coraz bardziej brali górę zwolennicy rozluźnienia więzów z cesarstwem, zwolennicy unii personalnej pomiędzy królestwem Węgier a cesarstwem Austrii. Stanowisko Węgrów podczas wojny w niemałym stopniu zaważyło ujemnie na losach monarchii podwójnej.

Zmiany personalne na stanowiskach kierowniczych świadczyć miały o nowej metodzie sprawowania rządów. Na fotelu ministra wspólnego spraw zagranicz-

nych zasiadł znany nam już Ottokar Czernin; jego urzędowanie na *Ballplatzu* było jednym pasmem intryg i niepowodzeń. Cesarz pragnął utworzyć w Austrii gabinet, w którym zasiedliby przedstawiciele wszystkich narodowości z liberalnym profesorem prawa Uniwersytetu Wiedeńskiego Josefem Redlichem na czele; unieвозмоżliwił to sprzeciw Berlina. W rezultacie pozostawały u steru gabinety raczej urzędnicze pozbawione autorytetu.

Na Węgrzech w dniu 15 czerwca 1917 r. złożył prezesurę gabinetu Istvan Tisza; po dwóch miesiącach rządów bezbarwnego hr. Maurycego Esterhazego na czele rządu stanął w dniu 21 sierpnia 1917 r. Sandor Wekerle, polityk doświadczony, ale małego kalibru.

W Austrii tymczasem 30 maja 1917 r. po raz pierwszy podczas wojny zebrał się parlament. Przebieg dyskusji dał zadowolenie dworowi i rządowi. Było to zresztą do przewidzenia, wszak politycy czescy 24 stycznia na ręce prezesa ministrów Clam–Martinitza i 31 stycznia 1917 r. na ręce ministra spraw zagranicznych Czernina złożyli deklarację lojalności. „Naród czeski jak zawsze w przeszłości, tak również obecnie i na przyszłość tylko pod berłem Habsburgów widzi swą przyszłość i warunki rozwoju”.

Nie pozostali w tyle za Czechami i Chorwaci. Sejm chorwacki uchwalił 9 marca 1917 r. adres hołdowniczy do cesarza Karola; deklarację lojalności względem dynastii połączono wszakże z postulatem zespolenia Chorwacji z Dalmacją i Bośnią–Hercegowiną.

Trudno dziś osądzić w jakiej mierze owe zapewnienia lojalności były wyrazem istotnego przekonania, w jakiej zaś mierze dyktowała je obawa przed represjami. Zapewne w grę wchodziły oba te względy i oba odegrały tu rolę. W każdym razie deklaracje Czechów i Jugosłowian utrudniły akcję Masaryka na zachodzie i dostarczyły przeciwnikom rozbicia monarchii Habsburgów celnego argumentu.

Parlament na pierwszym posiedzeniu w dniu 30 maja 1917 r. usłyszał z ust jugosłowiańskich (ksiądz katolicki Anton Korošec) i czeskich (František Stanek) postulat przebudowy monarchii w federację państw narodowych, ale „pod berłem dynastii habsbursko-lotaryńskiej”.

Amnestia z początkiem 1917 r. objęła skazanych z powodów politycznych, z wyjątkiem działaczy na emigracji z Masarykiem na czele. Wszystko to w myśl hasła cesarza Karola, że trzeba rządzić z narodem, gdyż to naród walczy.

Ale obok objawów czy pozorów współpracy z Czechami i Słowianami południowymi wystąpiły i oznaki przeciwne.

Deklaracja z Korfu, podpisana 20 lipca 1917 r. st.st. przez prezesa ministrów królestwa Serbii Nikolę Pašicia i prezesa emigracyjnego Komitetu Jugosłowiańskiego Ante Trumbicia, zapowiadała utworzenie przez „nasz trójimienny naród” wspólnego demokratycznego państwa Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców pod panowaniem dynastii Karadziordziewiców.

W Rosji jeńcy i dezercerzy czescy utworzyli legion czeski. Nie wziął on udziału w walkach przeciwko Niemcom, ale odegrał w 1918 r. pewną rolę polityczną i ułatwił pracę Masarykowi i Benešowi.

Rok 1917 przynosił pogłębienie rozkładu monarchii. Wysiłki cesarza Karola i jego otoczenia były tylko półśrodkami i to mocno opóźnionymi. Rządy soldateski austriackiej i węgierskiej zachowały lojalizm dynastyczny tam, gdzie był on jeszcze, a wrogów monarchii umocniły we wrogim nastawieniu. Pogłębiała ten rozkład wojna i nieszczęścia i trudności, które niosła; nie bez znaczenia była propaganda kół emigracyjnych.

6 stycznia 1918 r. politycy czescy, zebrani w Pradze, uchwalili tzw. Deklarację dnia Trzech Króli. Deklaracja głosiła, że naród czeski domaga się własnego państwa niosącego prawdziwe równouprawnienie grupom narodowym w jego granicach.

W dniach 8–10 kwietnia 1918 r. odbył się w Rzymie kongres przedstawicieli narodów „poddanych całkowicie lub w części panowaniu Austro–Węgier”. Wzięli w nim udział Polacy, Włosi, Jugosłowianie, Rumuni, Czesi, Słowacy, Kongres w myśl pierwotnych planów organizatorów miał się zwrócić wyłącznie przeciwko Austro–Węgrom. Dopiero na żądanie Komitetu Narodowego Polskiego uznano w „monarchii austro–węgierskiej narzędzie panowania niemieckiego”. Kongres stwierdził, że narody monarchii „mają prawo do utworzenia względnie uzupełnienia zjednoczonego państwa narodowego i uzyskania pełnej politycznej i gospodarczej niepodległości”.

Kongres niewątpliwie wsparł i umocnił działalność polityków czeskich i jugosłowiańskich na emigracji.

Rok 1918 to dalsze osłabienie państwa i więzi łączących jego narody. Coraz gorsza była sytuacja aprowizacyjna. Nieznacznie polepszył ją dowóz mąki kukurydzianej z Rumunii; zawiodły natomiast zupełnie nadzieje na zboże ukraińskie, nadzieje wzbudzone bezpodstawnie i lekkomyślnie przez Czernina. Obserwatorów niemieckich uderzała wielka liczba udających się z workami i sakwami na wieś dla zdobycia żywności za drogie pieniądze. Uderzyła ich również apatia, z jaką ludność przyjmuje braki aprowizacyjne.

Interesująco oświecał sytuację monarchii podwójnej ambasador niemiecki w Wiedniu hrabia Botho von Wedel. Oświecał ją - rzecz prosta - z punktu widzenia niemieckiego, a więc stwierdzał przede wszystkim, że 2/3 mieszkańców Austro-Węgier to zwolennicy Koalicji, a tylko 1/3 można uważać za zwolenników Niemiec. Zwolennicy Niemiec wierni sojuszowi to Niemcy austriaccy z wyjątkiem socjalistów oraz Madziarzy, z wyjątkiem socjalistów i adherentów Karolyiego, jak również nieliczna niefrasobliwa (*harmlose*) ludność Bukowiny. Zwolenników Niemiec jest najwyżej 16–17 milionów, pozostałe 34 miliony „stoją po tamtej stronie. Ich myśli opanowała chęć urzeczywistnienia własnych celów, które stawiają ponad monarchią; do monarchii odnoszą się bardziej lub mniej obojętnie”. Nastroje wśród „niezadowolonych” są tylko umiarkowanie rewolucyjne. „Jeśliby mieli nadzieję, że Wiedeń choćby częściowo spełni ich nazbyt radykalne życze-



nia, zmieniliby natychmiast stanowisko”. Ambasador wywodził dalej, że nigdzie w Europie Środkowej nie ma podstaw do takiej niepewności jak w Austrii. „Znają tu tylko dzień dzisiejszy, jutro już niepewne”. Wszyscy w monarchii są zdania, że w tym układzie nie może się ona utrzymać. Ale nikt nie ma wyobrażenia, jak należy monarchię zreformować. Ustalić można tylko kierunek ogólny - uznanie indywidualności narodowej (*nationale Individualität*), równouprawnienie narodowości, pomniejszenie powierzchni tarcia przez zręczne podziały (*Teilungen und Trennungen*). Ale nikt nie wie, jak te przemiany mają wyglądać. Dalej stawiał ambasador pytanie, jaką taktykę powinny obrać Niemcy. Pamiętać należy przede wszystkim, ostrzegał, że Austria to dziś beczka z prochem i dlatego materiał zapalny trzeba trzymać z daleka, „eksplozja wywołana w jednym miejscu może spowodować ogólny pożar”. „Jest to tylko kwestia czasu, kiedy okaże się niezbędny moralny, a nawet militarny nacisk Niemiec”. Właściwszy byłby nacisk moralny; gdy minie okres głodu, gdy umysły się uspokoją, gdy we Francji „zapadnie rozstrzygnięcie”, wówczas nadejdzie chwila odpowiednia, aby Niemcy przyszły z pomocą sprzymierzeńcowi. Tu następowały charakterystyczne uwagi końcowe. „Trzeba cel wytknąć i wskazać - pisał Wedel - aby ludy Austrii, ale także i Niemcy, mogły rozpoznać, czy państwo to należy utrzymać przy życiu i jak ma ono się przedstawiać. Sprzymierzamy się nie z Austrią wczorajszą, lecz z Austrią jutrzejszą, a dziś stoi ona jeszcze pod znakiem zapytania”.

Mroczną przyszłość zapowiadał więc Austrii ambasador Wedel, widział konieczność jej przebudowy gruntownej, ale według niemieckich dyrektyw i pod niemiecką protekcją. A do tego właśnie nie chcieli dopuścić ci, którzy Austrię pragnęli zachować przy życiu, Austrię niepodległą. W rozumieniu cesarza i jego doradców ratunku monarchii szukać należało w jej przekształceniu, przeobrażeniu w federację ludów ukontentowanych zaspokojeniem ich aspiracji narodowych. W takim rozwiązaniu upatrywali również najlepszą, a może nawet jedyną szansę zawarcia pokoju, który nie byłby ostateczną klęską.

Punkt 10 programu Wilsona z 8 stycznia 1918 r. głosił: „Ludy Austro–Węgier (...) powinny otrzymać pełną możliwość rozwoju autonomicznego” (*should be accorded the free opportunity of autonomous development*).

Takie sformułowanie programu świadczyło, że Stany Zjednoczone nie dążyły wówczas jeszcze do rozbicia monarchii Habsburgów, nie dążyły do rozbicia Austro–Węgier ani Francja, ani Wielka Brytania. Masaryk pisał: „Wiedeń nie budził tak bezpośredniej wrogości politycznej jak Berlin; Francuzi, Anglicy, Amerykanie walczyli tylko z Niemcami, front austriacki zwracał się jedynie przeciwko wschodowi i południu i na zachodzie nie żywiono do Austrii takiej nienawiści, jaką ściągają na siebie Niemcy. Włochy i Rosja zwracały się wprawdzie przeciwko Austrii, ale i w tych krajach byli wpływowi austrofile. Austrię poczytywano ogólnie za przeciwwagę Niemiec i za niezbędny związek ma-

łych narodów i odłamków narodów, za ochronę przed bałkanizacją. Ogólne uznanie znajdowały u, sprzymierzonych słowa Palackyego, że gdyby Austria nie istniała, należałoby ją utworzyć”.

Wiosną 1918 r. w Waszyngtonie i w Londynie, i w Paryżu innymi oczami zaczęto spoglądać na monarchię habsburską. Zwyciężył pogląd, że Austria nie jest przeciwwagą, lecz narzędziem Niemiec. Za iluzję uznano twierdzenie, iż Austro–Węgry zdołają się odebrać od Niemiec lub też odważą się wyrzucić na Niemcy nacisk dla zawarcia pokoju. Załamanie Austro–Węgier poczytywać zaczęto za niezbędny warunek pełnego zwycięstwa nad Niemcami.

Przyczyn takiej zmiany opinii było wiele.

Niewątpliwą rolę odegrała tu ruchliwa grupa, na której czele stali wpływowi publicyści Henry Wickham Steed i Robert William Seton Watson. Grupa ta prowadziła propagandę wymierzoną przeciwko Austrii; nie Niemcy były dla nich głównym wrogiem, wrogiem głównym była feudalna, reakcyjna, katolicka Austria. Działy tu różne tajemne wpływy, ich działalności można się domyślać, udowodnić nie sposób.

Celny oręż do ręki dostali wszyscy wrogowie Austrii, gdy w kwietniu 1918 r. Czernin sprowokował Clemenceau i doprowadził do żalosnej kompromitacji Wiednia.

Latem 1918 r. było już sprawą widoczną, że państwa zachodnie zajęły stanowisko zdecydowanie przeciwne integralności monarchii habsburskiej. 29 czerwca 1918 r. rząd francuski zapowiedział poparcie dążeń

czeskich do utworzenia państwa czeskiego „w granicach historycznych, krajów wyzwolonych spod jarzma austro-węgierskiego”. Następnie poszło uznanie Czechosłowackiej Rady Narodowej za rząd sojusznicy. Główną przyczyną łak pomyślnych dla Czechów decyzji państw zachodnich był Legion czeski w Rosji i rola, jaką mu wyznaczono do odegrania, ale nie w walkach z Niemcami, lecz w bojach przeciwko Armii Czerwonej. Legioniści czescy opanowali na dużym odcinku kolej syberyjską i dotarli do Władywostoku. Według Masaryka „wydało się to sagą, baśnią”. Rządy państw Koalicji chciały dojrzeć w Czechach siłę, która się przeciwstawi bolszewikom: należało więc poprzeć zwierzchników politycznych Legionu - Czechosłowacką Radę Narodową. A Lloyd George powiedział: „Nowy front Koalicji w Rosji otworzyli Czechosłowacy na środkowej Wołdze”.

Trudna sytuacja wewnętrzna, coraz widoczniejsze odchodzenie „wiernych ludów” od dynastii, od wspólnego państwa, radykalizacja mas ludowych, niepowodzenie ofensywy nad Piawą 15–24 czerwca 1918 r., postępujące rozprzężenie w wojsku - wszystko to zmuszało dwór i rząd do podjęcia kroków niezbędnych dla wyprowadzenia monarchii podwójnej z katastrofalnego położenia, w jakie się uwikłała.

Minister spraw zagranicznych (od kwietnia 1918 r.) Stephan Burian, według ambasadora Wedela jeden z nielicznych w Austrii optymistów, uważał, że pomimo niepewnych czy nawet wątpliwych widoków próbę zawarcia pokoju należy podjąć, szukał tylko chwili od-

powiedniej według wymagań „psychologii wojny”. 21 czerwca zapewniał deputowanych socjaldemokratycznych do parlamentu, że nie zaniedba niczego, co by mogło prowadzić do wszczęcia rokowań pokojowych<sup>21</sup>. Mówił to całkiem szczerze, choć zdawał sobie sprawę z piętrzących się trudności. 15 lipca 1918 r. obu prezesom ministrów monarchii złożył memoriał o aktualnej sytuacji i kazał go opublikować. Memoriał przeznaczony był nie dla szefów rządów austriackiego i węgierskiego, lecz dla zagranicy. Streszczał się w tym, że Austro–Węgry pragną zawrzeć pokój porozumienia, że ich przymierze z Niemcami ma charakter wyłącznie obronny, że przedłużanie wojny to wynik „jednostronnej woli zniszczenia” przywódców Koalicji. Cel publikacji był jasny — pokazać swoim i wrogom dobrą wolę Wiednia. Reakcja Koalicji była szybka i dobitna. Paryski, szeroko czytany „Le Temps” pisał, że „klucz do pokoju nie znajduje się na *Ballplatzu*, lecz w Szampanii”.

Burian spotkał się ze sprzeciwem nie tylko Koalicji, poważne trudności napotkał także w Berlinie. Wiosna i lato 1918 r. to okres intensywnej pracy nad realizacją zbliżenia niemiecko–austriackiego jako trzonu „*Mitteleuropy*”. Wprowadzenie w życie planów „*mitteleuropejskich*” oznaczało większe uzależnienie Austro–Węgier od Rzeszy. Ponadto Niemcy korzystali ze sposobności, jaką nastęrczył niedawny atak Clemenceau i kompromitacja *Ballplatzu*, aby zmuszać Wiedeń do ustępliwości.

Burian nie omieszkął wszakże podkreślać wyraźnie obronnego charakteru przymierza austriacko–niemieckiego.

14 i 15 sierpnia 1918 r. cesarz Karol w towarzystwie ministra spraw zagranicznych i szefa sztabu przebywał w Kwaterze Głównej niemieckiej w Spa. Burian oświadczył Niemcom wręcz, że należy zawrzeć pokój, gdyż przetrzymanie piątej zimy wojennej będzie niemożliwością, w każdym razie nie wytrzyma jej armia austro–węgierska. Niemcy przyznawali, że położenie jest wyjątkowo ciężkie, zastrzegali sobie jedynie czas do namysłu i dalszego porozumienia. W tym celu przyjechać mieli do Wiednia kanclerz i sekretarz stanu spraw zagranicznych. Berlin żądał zwłoki, domagał się skierowania do królowej holenderskiej prośby o mediację, Burian wszakże nie ustępował ani naleganiom ambasadora Wedela, ani sekretarza stanu Hintzego podczas jego wizyty w Wiedniu 5 września 1918 r.

14 września 1918 r. poszła w świat do państw walczących przeciwko Austro–Węgrom nota *Ballplatzu*; doręczono ją przedstawicielom dyplomatycznym w Wiedniu państw, które prowadziły w państwach Koalicji ochronę interesów monarchii habsburskiej. Nota stwierdzała, że chociaż walczących dzielą nadal poważne przeciwieństwa, daje się zauważyć częściowe odejście od najskrajniejszych celów wojennych i pewna zgodność co do charakteru przyszłego pokoju; świadectwem tego miały być wynurzenia prezydenta Wilsona. W takiej sytuacji rząd cesarski i królewski proponuje rządowi wszystkich państw prowadzących wojnę, aby

w najbliższym czasie wysłały do jednego z państw neutralnych pełnomocników dla poufnej wymiany zdań na temat podstaw pokoju.

Josef Redlich zanotował w swym dzienniku 15 września 1918 r.: „Wczoraj dowiedziałem się o opublikowanej dziś ofercie pokojowej Buriana: pisana stylem nudno infantylnym a zarazem napuszczonym, jak wszystkie kwiaty-myśli tego w gruncie rzeczy ograniczonego męża stanu”.

Pułkownik House nazwał notę austriacką „sensacją dnia”, ale w gruncie rzeczy i w Waszyngtonie, i w stolicach państw Koalicji dojrzano w niej świadectwo słabości Austro–Węgier. Wiedziano, że czas pracuje przeciwko monarchii nie tylko na frontach, ale i wewnątrz państwa. Dla Lloyd George’a oferta Buriana była „krzykiem rozpacz”, ale w Londynie podejrzewano również, że jest to próba rozbicia jedności sprzymierzonych<sup>26</sup>. Toteż ofertę austriacką odrzucono - Wielka Brytania 16 września, Francja 17, Stany Zjednoczone 19 września 1918 r.

Inne zupełnie wrażenie odebrano w Niemczech. 15 września 1918 r. prasa niemiecka opublikowała tekst noty austriackiej. Podziałała ona jak „piorun z jasnego nieba”, tym bardziej że czytelnicy gazet odnosili wrażenie, że z frontu napływają nieco pomyślniejsze wiadomości. Pomimo iż była to niedziela, przywódcy stronnictw prosili kanclerza o rozmowę. Kanclerzowi i sekretarzowi stanu udało się uspokoić nieco wzburzone umysły polityków. Hr. Hertling oświadczył, że nota Buriana dotknęła go nieprzyjemnie, chociaż rząd Rze-

szy solidaryzuje się z jej celem. Podczas dyskusji doszło do znamienego incydentu. Na uwagę deputowanego Davida o krzykliwej agitacji wszech Niemców odparł szef biura prasowego Wilhelmstrasse Erhard Deutelmoser, że gdyby nagle wszech Niemcy uderzyli w łagodniejszy ton, Anglicy wyciągnęliby stąd wniosek, że w Niemczech „musi być bardzo źle, skoro zamilkli nawet krzykacze wojenni”.

Niemcy sytuację w Austrii obserwowali z niepokojem. Raport ambasadora Wedela z 28 września 1918 r. to charakterystyczny wyraz niepokojów niemieckich. Tymi słowami rozpoczął ambasador swój raport: „Nastroje w stosunku do nas pogarszają się z dnia na dzień. Gdzie zbierze się 10 Austriaków, znajdzie się może jeden, który broni Niemcy, dziewięciu wymyśla i szuka materiału, aby usprawiedliwić zerwanie z nami”. Spadek waluty stawiał hr. Wedel w pierwszym szeregu przyczyn, które wywołują złe nastroje. Austriacy zarzucają Niemcom, że są kleinlich - małostkowi i nie dostrzegają ciężkiego położenia Austrii, a finansują Turcję. W świecie finansów i handlu pokładają teraz nadzieję w Anglii i Ameryce. Mówi się tam, że te państwa przyjdą Austrii z pomocą finansową, jeśli się poprowadzi odpowiednią politykę, „czego odmówił sprzymierzeniec, udzieli «może» nieprzyjaciel”.

Rzecz znamieną, że tak puszczali wodze fantazji trzeźwi - wydawałoby się - ludzie interesu, ale i politycy z kół rządowych żyli nadal w świecie ułudy. Wtedy właśnie, we wrześniu 1918 r., w kołach rządowych krążyło myślami dokoła rozwiązania austro-polskiego.



Koła rządowe - pisze ambasador - spodziewają się, że „zjednoczenie z Polską może monarchię teraz wzmocnić, odmłodzić. (...) Dla rządu jest teraz Polska celem wojennym, środkiem, który może uratować Austrię (...). Wobec zniechęcenia - sprawa polska wysunęła się na główny punkt oskarżenia. Mówi się - wystąpiło to już podczas rokowań z Burianem - że Polacy życzą sobie takiego rozwiązania, a Koalicja zgodnie z zasadą samostanowienia narodów przychyli się do takiego życzenia. I tu zawodzi sprzymierzeniec, a na co «może» zezwoli nieprzyjaciół”.

Raport kończył się twierdzeniem pełnym pesymizmu, że gdyby Austriacy mieli dobrą wolę, przetrzymaliby z pomocą niemiecką jeszcze sześć miesięcy lub nawet dłużej. „Ale dobrej woli brak”.

Trafnie chyba charakteryzował Wedel Austriaków: „Lubią, gdy życzenie staje się ojcem myśli, chętnie pławią się w złudzeniach i nic im nie przeszkadza, gdy później obudzą się z tych złudzeń”.

Austriacy myśleli nie o ratowaniu Niemiec, nie o ratowaniu przymierza z Niemcami, ale o wyrwaniu się ze śmiertelnego niebezpieczeństwa. Jak koła rządowe w Wiedniu oceniały ówczesną sytuację monarchii? Odpowiedzią na to pytanie będzie *exposé*, które c. i k. wspólny minister spraw zagranicznych wygłosił na posiedzeniu rady ministrów wspólnych w Wiedniu dnia 27 września 1918 r. Ministra niepokoiła katastrofa bułgarska i jej skutki, niepokoiła go Rumunia jeszcze wprawdzie nie groźna, ale niebezpieczna potencjalnie w razie pogorszenia sytuacji na Bałkanach. Troskę bu-

działa również Serbia; sześć dywizji serbskich walczyło na Bałkanach wespół z Francuzami, Anglikami, Grekami i maszerowało zwycięsko ku ziemi ojczystej; młodzież serbska może się zerwać do walki i Serbię obejmie powstanie.

Ten wzgląd łączył się z polityką wewnętrzną. Niebezpieczeństwo południowosłowiańskie zbliża się szybko i domaga się natychmiastowego rozwiązania. Hrabiego Buriana poniósł optymizm, gdy stwierdził, że dziś jeszcze możliwe jest rozstrzygnięcie kwestii czeskiej, ale jeśli utworzy się państwo południowosłowiańskie kwestia ta stanie się kwadraturą koła.

Wnioski końcowe ministra: 1) skłonić Niemcy do ustępstw w sprawie Alzacji i Lotaryngii, 2) rokować z Niemcami o realizację rozwiązania austro–polskiego, 3) wyraźnie zapowiedzieć Niemcom, że przedłużanie wojny poza rok 1918 jest dla Austro–Węgier niemożliwością.

Ostateczne postanowienie Rady Koronnej: szybka wewnętrzna rekonstrukcja Austrii, nie Austro–Węgier, rozwiązanie austro–polskie, energiczny nacisk na Niemcy w sprawie pokoju.

W trzy dni później, 30 września, ambasador Wedel podał do wiadomości ministra Buriana, że Niemcy pragną zaproponować Koalicji pokój na podstawie Czternastu Punktów Wilsona. 4 października w kilka godzin po nocy niemieckiej poszła do Wilsona nota austriacka z prośbą o pokój. Negatywna odpowiedź prezydenta wyszła z Waszyngtonu 18 października 1918 r.

Wówczas - wspomina Burian - „Federalizm wydał się tym, którzy chcieli utrzymać spójnię państwową, jedyną kotwicą nadziei. Na Węgrzech, gdzie wydarzenia w Austrii silnie wzburzyły umysły, żądano głośno unii personalnej”.

16 października 1918 r. cesarz Karol wydał manifest do swoich „wiernych ludów”. Zapowiadał „nową budowę ojczyzny na podstawach naturalnych i dlatego godnych zaufania”. „Austria, zgodnie z wolą swych ludów, ma być państwem związkowym; każda narodowość utworzy na swym terytorium własną wspólnotę”. Posłów do parlamentu wezwał monarcha do tworzenia rad narodowych.

Zaspokojenie aspiracji narodowych miało uratować istnienie cesarstwa austriackiego. Krok był opóźniony może o lata, może o lat dziesiątki, nie mógł więc dać oczekiwanych wyników. Faktem jest, że manifest cesarski ułatwił, bo legalizował powstanie rad narodowych, a był to przecież czynnik odśrodkowy. Na 10 dni przed proklamacją cesarską zawiązała się w Zagrzebiu Rada Narodowa Słoweńców, Chorwatów i Serbów. 19 października utworzyła się we Lwowie Ukraińska Rada Narodowa, a 21 października w Wiedniu Rada Narodowa Niemiecko–Austriacka. 28 października proklamowano w Pradze niepodległą Republikę Czechosłowacką, a nazajutrz, 29 października Rada Narodowa SHS w Zagrzebiu ogłosiła zerwanie związków państwowych z monarchią habsburską.

A Austriacy? W masach pracujących dominowały nad wszystkim sprawy bytowe, słabe było więc zainte-

resowanie kwestiami wielkiej polityki. W kołach nacjonalistów niemieckich rozwinęła się żywa propaganda, aby w ślad za innymi narodami szukać własnych rozwiązań i połączyć się z Rzeszą. W tym duchu wypowiadali się i socjaldemokraci; połączenie Austrii z Rzeszą uznali za uzasadnione względami nie tylko narodowymi, ale i gospodarczymi wobec zmienionej w wyniku wojny sytuacji ekonomicznej. W obozie chrześcijańsko–społecznym panowało przekonanie, że pomyślna przebudowa Austrii według zasad manifestu cesarskiego będzie możliwa do zrealizowania, gdyby takiej przebudowy dokonały i kraje Korony św. Stefana; byłoby wtedy możliwe utworzenie pomimo prawa samostanowienia narodów Wielkiej Austrii (Gross-österreich). Ludność Wiednia, jeśli interesowała się manifestem to jedynie pod tym kątem widzenia, czy przybliży on pokój i czy przebudowa monarchii wpłynie na warunki aprowizacyjne.

Ambasador niemiecki Wedel, który z obawą spoglądał na rozwój wypadków w Austrii, teraz - po ogłoszeniu manifestu cesarskiego - poczuł się nieco podniesiony na duchu. Stwierdzał wprawdzie, że manifest wywołał w krajach monarchii oddźwięk nikły, dodał, że „legitymuje rewolucję”, ale dojrzał i dodatnie strony proklamacji cesarskiej. Oto otworzyła ona drogę Niemczyźnie: tylko bowiem Niemcy austriaccy dochowali wierności koronie Habsburgów, dla innych narodów monarchii lojalność nie istniała. Manifest pozwolił Niemcom utworzyć Radę Narodową i dał im program: „utworzyć niemieckie państwo narodowe bez podzia-

łów, bez odpadnięcia poszczególnych części, a dalszy rozwój pozostawić przyszłości. Także i deputowani północnoczescy, którzy dotąd, po części co najmniej, czuli się odosobnieni, uważają za swój obowiązek, jeżeli to tylko możliwe, trzymać się razem z pozostałymi Niemcami austriackimi i dzielić z nimi swój los. Przyszłość pokaże, czy będą mogli tego dokonać”.

Dalsze rozważania poświęcił hr. Wedel sprawie czeskiej. Jeśli Czechom powiedzie się utworzenie państwa czeskiego w granicach historycznych, będzie to dla Niemiec „sąsiad bardzo nieprzyjemny: jeśli natomiast Czesi będą zmuszeni do rezygnacji z terenów niemieckich, będą od Niemiec całkowicie uzależnieni”, a ponieważ „są to praktyczni ludzie interesu, będziemy się mogli z nimi łatwo porozumieć i z czasem przezwyciężyć również nienawiść narodową”. Dalej znamienne spostrzeżenie: „Nadzieja, że Czesi przerzucą most do Polski przez wschodnią część Śląska austriackiego, okazałaby się złudą także i wtedy, gdyby most ten rzeczywiście dostali. I u Polaków, i u Czechów przemysł tekstylny stoi na czele interesów przemysłowych, a egoistyczni Polacy, którzy i tak nie lubią Czechów, będą się wzdragali dostarczyć rywalom węgla, chociaż go Czechom brakuje”.

Ambasador wyprowadził taki wniosek ze swych rozważań: Niemcy muszą energicznie popierać Niemców czeskich, żeby mogli umocnić swą niezależność od Czechów, muszą popierać ich również na kongresie pokojowym, aby przyznano im pełne prawo samostanowienia.

Interesujący raport, interesujące widoki, jakie roz-  
taczał jego autor. W rozważaniach ambasadora o smut-  
nym stanie, czy może już o upadku monarchii Habs-  
burgów dźwięczy jednak nuta optymizmu, ambasador  
rysuje przecież program powiększenia Rzeszy przez  
przyłączenie Austrii niemieckiej, może i związanie  
z nią Czech; możliwe straty w koloniach, możliwe stra-  
ty na zachodzie powetuje sobie Rzesza nad Dunajem.  
Pomylił się wszakże hr. Wedel przewidując, że Czechy  
w granicach historycznych będzie to „nieprzyjemny są-  
siad” Rzeszy. Czechy powstały w granicach rozleglej-  
szych niż to ambasador przewidywał, lecz przez cały  
okres międzywojenny nie były dla Niemiec nigdy „są-  
siadem nieprzyjemnym”.

Rozpad państwa następował teraz szybko, choć  
kierujący rządami monarchii politycy zdawali się tego  
nie rozumieć.

24 października podał się do dymisji Stephan Bu-  
rian, następcą jego został hrabia Gyula Andrassy de  
Csikszentkiraly et Krasznahorka młodszy. Ojciec jego,  
również wspólny minister spraw zagranicznych, był  
wraz z Bismarckiem twórcą przymierza austro-  
niemieckiego w 1879 r., synowi przypadło w udziale  
zerwanie przymierza. Andrassy wspomina w pamiętni-  
kach, że dawniej tekę spraw zagranicznych przyjąłby  
z radością, miał bowiem skryształizowane poglądy  
i chętnie podjąłby się ich realizacji. W zmienionej sytu-  
acji podjął misję dlatego, że w ciężkich czasach nikt nie  
ma prawa myśleć tylko o sobie i własnej przyszłości.  
Rozwiązanie widział jedno tylko - natychmiastowy po-

kój. Możliwy był wówczas tylko pokój odrębny. Sądził trafnie, że pokoju nie zawarto dotąd na lepszych warunkach z winy Niemców. Sądził też, że odłączając się od Niemiec, idąc własną drogą Austro–Węgry będą może mogły utrzymać swą egzystencję.

27 października 1918 r. Andrassy wystosował drogą przez Sztokholm do Waszyngtonu notę z oświadczeniem, że rząd Austro–Węgier gotów jest „nie czekając na wynik innych rokowań” (tzn. rokowań z Niemcami) rozpocząć ze wszystkimi państwami, z którymi monarchia Habsburgów jest w stanie wojny, rokowania o pokój i natychmiastowy rozejm na wszystkich frontach. Wilson mógł również wyczytać w nocy, że rząd Austro–Węgier zgadza się z jego poglądem „w kwestii praw Czechosłowaków i Jugosłowian”.

Wypadki potoczyły się dalej szybko - nastąpił koniec monarchii Habsburgów. 27 października utworzyła się w Krakowie Polska Komisja Likwidacyjna pod prezesurą Wincentego Witosa i objęła rządy w Galicji. 28 października - jak już wiemy - proklamowano w Pradze niepodległe państwo czechosłowackie, 29 października nastąpiło zerwanie w Zagrzebiu związków Chorwacji z Węgrami i utworzenie zjednoczonego państwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców (SHS). 30 października na Węgrzech wybuchła rewolucja, został zdymisjonowany rząd Wekerlego, 31 października król Karol mianował telefonicznie przywódcę opozycji hr. Karolyiego prezesem ministrów. Hrabia Mihaly Karolyi de Nagy–Karoly, przywódca Partii Niepodległości, sterującej ku likwidacji dualizmu i unii personalnej z Austrią, złożył

wprawdzie przysięgę na wierność królowi, ale dążył wyraźnie do rozwiązań radykalnych i wprowadzenia ustroju republikańskiego.

24 października 1918 r. Włosi rozpoczęli ofensywę po obu brzegach rzeki Brenta i 27 przekroczyli Piawę, 30 października zajęli Vittorio Veneto. W gruncie rzeczy nie była to ofensywa, nie było walki, Włosi po prostu posuwali się naprzód. Armia austro-węgierska nie była zdolna do stawiania oporu. Od niejakiego czasu, zwłaszcza od czerwcowej klęski nad Piawą, znajdowała się w stanie zupełnego rozprzężenia, mnożyły się wypadki niesubordynacji, nawet buntów, dezercji, w niektórych okolicach tzw. zielone kadry, uzbrojone grupy dezertersów, stanowiły istotne niebezpieczeństwo. Dawało się słyszeć żołnierzy mówiących: „Nie jesteśmy bohaterami, lecz żebrakami”. Wyżywienie złe i niedostateczne osłabiło armię; niedożywiony żołnierz nie był zdolny do żadnego wysiłku, a podatny na choroby. Skutkiem braku paszy padały konie, unieruchomiło to artylerię. Żałosne były raporty o stanie wojska, „trzeba zobaczyć tę bieliznę, aby zrozumieć nędzę”. Od pierwszych miesięcy wojny wiele wody upłynęło w Dunaju i wiele zmieniło się w psychice c. i k. żołnierza. Inny był już jego stosunek do państwa, do monarchii, do osoby cesarza-króla. Główną, a może jedyną myślą żołnierza było wyrwać się z wojennej grozy i powrócić do kraju, do domu.

Zaczęli też powracać. Początek zrobili Węgrzy, poszli za nimi Czesi, Chorwaci, Słoweńcy, Słowacy, Polacy, Niemcy. C. i k. armia przestała istnieć. 3 listo-



pada 1918 r. w Villa Giusti koło Padwy zawarto rozejm. Z ramienia Włoch podpisał go generał Pietro Badoglio, z ramienia Austro–Węgier generał piechoty Viktor von Weber.

Oddajmy głos znawcy dziejów Austrii. „Żaden historyk nie może wątpić w to, że dopiero wojna 1914–1918 rozstrzygnęła sprawę egzystencji wielowiekowej monarchii Habsburgów. Chociaż od końca XIX wieku widziano wyraźnie, że państwo to rozsadzane jest od wewnątrz odśrodkowymi dążeniami narodów w nim zamieszkujących, to jednak przed wybuchem wielkiej wojny nie było dość sił wewnętrznych, aby uciskane narodowości mogły własnym wysiłkiem doprowadzić do zniszczenia tego wielkiego mocarstwa.

Przeciwnie, można było nawet sądzić, że napięcia narodowościowe przesilają się, że wzmacnia się tendencja do zawierania kompromisów pomiędzy poszczególnymi narodowościami. (...) Pierwsze dwa lata wojny wykazały potęgę sił utrzymujących jedność i spoistość wielonarodowego państwa habsburskiego. Nawet klęski pierwszych dziesięciu miesięcy nigdzie nie ujawniły poważniejszych zjawisk rozkładowych. (...)

Prawda, poza granicami monarchii austro–węgierskiej w obozie jej wrogów działały już od końca 1914 r. komitety i organizacje zmierzające do jej rozbięcia. W gruncie rzeczy one same nie byłyby mogły niczego dokonać, gdyby nie klęski na froncie. Zatem los monarchii rozstrzygnął się na frontach wojennych”.

## 95. Wojna na noty

„Grudniowa oferta pokojowa roku 1916, rezolucja lipcowa (1917 r.), mowa Kühlmanna (1918 r.), wszystkie oficjalne wystąpienia pokojowe - wspomina książe Maksymilian badeński - były dotąd potwornością dla Naczelnego Dowództwa, gdyż wzmacniały morale wroga, osłabiały nasze własne”.

Jakże więc zdumiał się książe Maksymilian, gdy 1 października 1918 r. zaraz po przybyciu do Berlina usłyszał z ust pułkownika von Haeftena, że Hindenburg i Ludendorff domagają się, aby rząd Rzeszy zwrócił się bezzwłocznie do prezydenta Wilsona z prośbą o pośrednictwo w zawarciu rozejmu, a następnie, że rząd Rzeszy stoi na gruncie Czternastu Punktów. Książe zdumiał się tak bardzo, iż nie chciał przyjąć do wiadomości żądań Ludendorffa. Pragnął odroczyć jeszcze przynajmniej do 1 listopada wszelkie kroki pokojowe.

Jak dalece Erich Ludendorff stracił panowanie nad nerwami świadczy fakt, że Naczelne Dowództwo poszukało kontaktu z tak dotąd pogardzanym parlamentem. W tym celu wieczorem 29 września, z polecenia kwatermistrza generalnego, wyjechał do Berlina major baron Erich von Busche-Ippenbourg.

2 października 1918 r., na zaproszenie wicekancelarza Friedricha von Payera, zasiedli za stołem konferencyjnym jednej z sal parlamentu konserwatysta hr. Kuno von Westarp, przedstawiciel partii Rzeszy baron Oskar von Gamp-Massaunen, przywódca narodowych liberałów Gustav Stresemann, przywódca Centrum Adolf

Gröber, postępowiec Otto Fischbeck, socjaldemokrata większościowy Friedrich Ebert, niezależny socjaldemokrata Hugo Haase i o dziwo! - skrupulatność to czy niedopatrzanie - wiceprezes Koła Polskiego Władysław Seyda.

Major von dem Busche omówił szczegółowo położenie na frontach, przedstawił znaczenie załamania się Bułgarii, wskazał na brak rezerw i konkludował: „Według ludzkiego rozpoznania nie ma już widoków, abyśmy mogli narzucić nieprzyjacielowi pokój. (...) Dlatego nie wolno nam tracić czasu. Każde 24 godziny mogą pogorszyć położenie i przeciwnikowi dać sposobność do jasnego zrozumienia naszej słabości. Mogłoby to przynieść zgubne skutki dla perspektyw pokoju i dla położenia militarnego. Ani armii, ani krajowi nie wolno uczynić niczego, co wykazałoby naszą słabość”. Mówca wezwał stanowczo obecnych do zachowania ścisłej tajemnicy.

*Exposé* wywarło na obecnych wrażenie wstrząsające. „Ebert był śmiertelnie blady i nie mógł wykrztusić ani słowa. Stresemann wyglądał jakby go kto uderzył. (...) Pierwszy wyszedł promieniejący Seyda”. Haase zwrócił się z triumfującym uśmiechem do Ledeboura: „Teraz ich mamy”.

Tłumaczono później, że von dem Busche nie wiedział, że na sali znajdują się nie tylko wierni poddani cesarza niemieckiego i króla pruskiego. Tłumaczenie niewiele warte, a cała sprawa świadczy jedynie o zupełnej dezorientacji kół rządzących w Rzeszy, a także o zamęcie i nieładzie, jaki tam zapanował.

Skorzystał z tego nieładu Władysław Seyda i przekazał radosne wiadomości Komitetowi Narodowemu. Wysłańcem Seydy był ziemianin spod Wąbrzeźna Sikorski. Człowiek w starszym wieku uzyskał bez trudu paszport zagraniczny, wyuczył się na pamięć posłannictwa Seydy, wyruszył do Szwajcarii, telegrafował stamtąd do Paryża do ordynata Zamoyskiego z prośbą o przyjazd do Szwajcarii w ważnej sprawie. W miejsce Zamoyskiego pojechał Stanisław Kozicki i odebrał przekazane wiadomości. Wiadomości te Erazm Piltz, przedstawiciel Komitetu Narodowego przy rządzie francuskim, przekazał na *Quai d'Orsay*. Dowództwo francuskie uważało wówczas jeszcze, że decydujące uderzenie nastąpi dopiero wiosną 1919 r., toteż wiadomość o nastrojach w sztabie niemieckim była dla Francuzów doniosłej wagi.

Stanowisko Naczelnego Dowództwa było jasne - rozejm musi być natychmiast zawarty.

Księżę Maksymilian pomimo pesymizmu władz wojskowych wzdragał się przed wysłaniem noty z prośbą czy nawet propozycją zawarcia rozejmu; mniemał, że będzie to krok „szkodliwy i bezużyteczny”, gdyż cały świat uzna to za stwierdzenie klęski Niemiec. Proponował inne wyjście z sytuacji: w dwa dni po objęciu urzędowania wygłosi w sobotę 5 października w parlamencie mowę programową. Przedstawi w niej szczegółowo cele wojenne Niemiec w tym duchu, że Niemcy stają na gruncie Czternastu Punktów Wilsona „ściśle, ale z godnością”, Kanclerz sądził, że tej treści mowa parlamentarna dałaby „psychicznie”

lepszy skutek niż nota dyplomatyczna. Gotów był wszakże prosić o rozejm natychmiast, bez zwłoki dwudniowej, ale pod warunkiem, że Naczelne Dowództwo stwierdzi na piśmie, iż sytuacja na froncie nie pozwala na odroczenie propozycji rozejmowych do 5 października.

Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. Hindenburg, który wraz z cesarzem przyjechał do Berlina 2 października po południu, wystosował zaraz 3 października pismo do księcia Maksymiliana i potwierdził żądanie natychmiastowego rozejmu, „walkę należy przerwać - pisał - aby narodowi niemieckiemu i jego sprzymierzeńcom oszczędzić niepotrzebnych ofiar”.

Księżę Maksymilian nie zadowolił się tą jasną przecież odpowiedzią i zażądał dalszych jeszcze wyjaśnień. Czy Naczelne Dowództwo zdaje sobie sprawę z tego, że wszczęcie akcji pokojowej pod naciskiem ciężkiego położenia na froncie może doprowadzić do utraty kolonii, a nawet terytoriów niemieckich, mianowicie Alzacji i Lotaryngii oraz „czysto polskich obwodów w prowincjach wschodnich”.

Odpowiedź była szybka, wyraźna i dla sposobu myślenia wielu wówczas ludzi w Niemczech, nie tylko wojskowych, znamienna. „Naczelne Dowództwo bierze pod uwagę, jeśli nie można inaczej, rezygnację z nieznacznych (*geringe*) mówiących po francusku części Alzacji i Lotaryngii, odstąpienie (*Abtretung*) niemieckich obszarów na wschodzie nie wchodzi w rachubę”.

Stanowisko Naczelnego Dowództwa nie przekonało księcia Maksymiliana. Chciał on jeszcze działać na

zwłokę, chciał się przedstawić w parlamencie sam i program pierwszego w Niemczech rządu parlamentarnego. Gdyby wywołało to, jak się spodziewał, dobre wrażenie za granicą, wówczas nie można by poczytywać wystąpienia nowego rządu Rzeszy za przyznanie się do słabości. Nowy kanclerz miał jednak w tym punkcie przeciwko sobie większość, ustąpił i notę podpisał.

Krok ten uzasadniał później w interesujący sposób: gdyby nie podpisał noty on, książę badeński, nota wyszłaby z podpisem Hindenburga lub wicekanclerza Payera. Jeśli o rozejm proszą żołnierze, to jest to kapitulacja. Ale świat tak samo musiałby przyjąć notę z podpisem Payera, wicekanclerz bowiem niedawno, 12 września 1918 r., w mowie w Stuttgarcie wystąpił przeciwko programowi Wilsona.

W nocy z 3 na 4 października 1918 r. wyszła z Berlina za pośrednictwem szwajcarskim nota rządu Rzeszy do prezydenta Wilsona. „Rząd niemiecki - czytamy w nocie - prosi prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki, aby wziął w ręce sprawę przywrócenia pokoju, powiadomił o tej prośbie państwa walczące i zaprosił je do wysłania pełnomocników do nawiązania rokowań. „Rząd Rzeszy przyjmuje za podstawę rokowań program prezydenta przedstawiony w jego orędziu z 8 stycznia 1918 r. i w późniejszych enuncjacjach. Nota nosiła podpis wyraźny: „Maksymilian, książę badeński, kanclerz Rzeszy”. Telegram ten, zredagowany w języku niemieckim (!) *chargé d'affaires* Szwajcarii

w Waszyngtonie przekazał 6 października 1918 r. rządowi Stanów Zjednoczonych.

Ksiązę Maksymilian wspomina, że gdy obudził się rankiem 4 października czuł się jak człowiek skazany na śmierć, któremu dane było o tym podczas snu zapomnieć. W samej nocy widział „podwójną hańbę”; były to: prośba o rozejm, tego nie można już było zmienić, i przyjęcie bez zastrzeżeń programu Wilsona. Tę drugą „hańbę” umyślił kanclerz zmyć przez własną interpretację punktów Wilsonowskich. „Nie chciałem naginać ich sensu, ale w każdym punkcie bronić twardo naszych praw, które Wilson obiecał szanować”. Wydał więc instrukcję, aby odpowiednio opracowano tekst *exposé*, jakie wygłosić miał w parlamencie 5 października. Zamierzał uzasadnić potrzebę wysłania propozycji pokojowych, ale z wyraźną deklaracją, że jeśli przeciwnik gotów zawrzeć pokój tylko z Niemcami pobitymi i upokorzonymi, wojna musi się toczyć nadal. Oświadczył przyjęcie punktów Wilsona, ale każdy opatrzył komentarzem. Do wygłoszenia mowy wszakże nie doszło, zarówno członkowie gabinetu, jak i Urząd Spraw Zagranicznych doszli do przekonania, że sytuacja nie pozwala na taką interpretację noty kanclerskiej. *Exposé*, jakie kanclerz wygłosił w parlamencie w dniu 5 października, było utrzymane w zupełnie innym duchu niż wypowiedzi dawnych kanclerzy. Następca tronu Wielkiego Księstwa Badenii zaznaczył na wstępie, że w rządzie jego zasiadają „miarodajni mężowie zaufania” robotników, że jego doradcami są przywódcy stronnictw, że rząd jego „cieszy się pełnym zaufaniem

szerokich mas ludności”. Zapowiedział też reformy wewnętrzne, przede wszystkim zmianę reformy przestarzałego, zacofanego pruskiego prawa wyborczego. Wyjaśniał dalej kanclerz, że propozycje pokojowe skierował na ręce prezydenta Stanów Zjednoczonych, gdyż rząd Rzeszy program przedstawiony w orędziu do Kongresu z 8 stycznia 1918 r. może przyjąć za podstawę rokowań. Książę wierzy, że „myśli o przyszłym szczęściu narodów, które pan Wilson rozwija, pozostają w zgodzie z poglądami nowego rządu niemieckiego a wraz z nim ogromnej większości narodu niemieckiego”.

Naród niemiecki nie wiedział zupełnie i nie domyślał się nawet, że Niemcy prosiły o rozejm na wyraźne żądanie i usilne naleganie Naczelnego Dowództwa i że właśnie Naczelne Dowództwo ponosi całkowitą odpowiedzialność za ten krok. Pod prośbą do Wilsona o rozejm widniał podpis kanclerza, rząd księcia Maksymiliana popierała Socjaldemokracja większościowa, popierali postępowcy, popierało Centrum. A więc stronnictwa parlamentarnej lewicy i środka można było łatwo obarczyć odpowiedzialnością za podjęcie inicjatywy pokojowej. Powiodła się ta gra Ludendorffowi.

Równocześnie z notą rządu Rzeszy nadeszła do Waszyngtonu takiej samej treści nota rządu Austro-Węgier.

Wilson naradzał się starannie ze swymi doradcami nad treścią odpowiedzi rządowi Rzeszy. Istnieje kilka jej brulionów. Tekst ostateczny sekretarz stanu Lansing



przesłał 8 października 1918r. *chargé d'affaires* szwajcarskiemu w Waszyngtonie Friedrichowi Oederlinowi.

Prezydent uważa za rzecz potrzebną upewnić się co do ścisłego znaczenia noty kanclerza, a mianowicie czy rząd Rzeszy akceptuje zasady orędzia z 8 stycznia 1918 r.; a dyskutować zamierza jedynie nad „szczegółami praktycznymi” ich wprowadzenia w życie. Prezydent uważa dalej za swój obowiązek stwierdzić, że nie widzi możliwości zaproponowania rozejmu rządowi państw „stowarzyszonych” dopóki wojska Państw Centralnych okupują ich terytoria. Świadectwem dobrej woli Państw Centralnych będzie natychmiastowe wycofanie ich wojsk z okupowanych terytoriów. Prezydent poczytuje następnie za rzecz słuszną zapytać, czy kanclerz przemawia jedynie w imieniu tych władz, które dotąd prowadziły wojnę.

Książę Maksymilian przed wysłaniem noty lękał się, czy Wilson nie zechce domagać się abdykacji Wilhelma. Za pośrednictwem więc jednego z posłów państw neutralnych, którego „szczególnie cenił”, posłał do Waszyngtonu ostrzeżenie, aby prezydent nie wkraczał w wewnętrzne sprawy Niemiec. Nie wiadomo, jak przyjął to Wilson i jego otoczenie; wolno się wszakże domyślać, iż owa przestroga spowodowała zapytanie prezydenta, w ‘czyim imieniu przemawia kanclerz; pytania owego nie ma bowiem w pierwszej redakcji noty.

Philipp Scheidemann ostro ocenił ten krok kanclerza. Książę Maksymilian, czytamy w pamiętnikach przywódcy socjaldemokratów „był dobrym patriotą i los Niemiec żywo go obchodził. Ale kto tu wystąpił?

My wszyscy widzieliśmy przede wszystkim wykrwawiony naród, od czterech z górą lat gnębiony i dręczony. Widzieliśmy naród pełen radości twórczej i miłujący pokój (!), który wbrew swej woli musi uprawiać okrutne rzemiosło wojenne i kroczyć ku beznadziejnej przyszłości. Księżciu natomiast spokoju nie dawała troska, czy prezydent nie zażąda abdykacji cesarza”.

Odpowiedź Wilsona przyjęli Niemcy nie bez pewnej nuty lekkiego optymizmu. Spodziewali się żądania ewakuacji okupowanych terenów, zaniepokoił ich oświadczeniem prezydenta, że Czternaście Punktów to warunki, a nie podstawa rokowań, niezadowolenie wzbudziło pytanie, w czyim imieniu wystąpił kanclerz, można było widzieć tu mieszanie się w wewnętrzne sprawy Niemiec, ale nie padło żądanie abdykacji cesarza; sprawa najważniejsza - nota zdawała się otwierać drogę do rokowań.

Bardziej sceptycznie odniosły się do noty Wilsona rządy państw Koalicji. Premierzy Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch naradzali się właśnie w Wersalu i tam otrzymali wiadomość o odpowiedzi amerykańskiej. 9 października 1918 r. przesłali prezydentowi swe uwagi; ewakuacja terenów okupowanych jest rzeczą pożądaną, ale nie wystarczającą; sprawą konieczną jest rozbrojenie Niemiec, jeśli to nie nastąpi, Niemcy wycofają się swobodnie do kraju wprowadzając bez przeszkód cały sprzęt wojenny i po wygaśnięciu rozejmu dobrze przygotowani stawiają opór na skróconych liniach obrony.

Kanclerz uważał, że rząd może wyrazić zgodę na ewakuację terenów okupowanych po wysłuchaniu opi-

nii Naczelnego Dowództwa. 9 października rano przyjechał do Berlina Ludendorff; książę Maksymilian wręczył mu kwestionariusz z siedmioma pytaniami. Kwatermistrz generalny napisał w pamiętnikach, że pytania kanclerskie są świadectwem, „jak mało panowie w Berlinie rozumieli istotę wojny”. Odpowiedź wojskowego udzielona cywilnemu dyletantowi na wszystkie siedem punktów streszczała się w tym, że armia niemiecka może jeszcze się trzymać, jeśli nastąpi przerwa w działaniach wojennych, jeśli nastąpi rozejm. Kanclerz słowa te zrozumiał tak, jak musiał je zrozumieć człowiek normalnie myślący: „Sytuacja nasza była bardzo trudna i ciemna”. Stwierdził dalej, że Ludendorff nie brał pod uwagę możliwości zerwania zaczynanych rokowań i nie przeciwstawiał się ewakuacji zajętych terytoriów.

Wojskowym i cywilnym władcom Niemiec wydawało się, że w ówczesnych warunkach ewakuacja przyniesie nawet pomyślne skutki, podniesie bowiem upadłe morale żołnierza niemieckiego, będzie miał on bowiem odtąd przeświadczenie, że broni własnej niemieckiej ziemi przed najeźdźcą. Przed oczami mieli przykład ówczesnych Francuzów, którzy - jak pisał książę Maksymilian - „podczas czterech lat wojny wykazali zdolność znoszenia cierpień i zdolność stawiania oporu przekraczającą niemal siły człowieka, a można wyjaśnić to tym jedynie, że bronili *«la belle patrie»* przeciwko maszerującemu wrogowi”.

Replika niemiecka na notę Wilsona wyszła z Berlina 12 października 1918 r. Podpisał ją nie kanclerz, lecz sekretarz stanu w Urzędzie Spraw Zagranicznych

Wilhelm Solf. Zaczął od wyjaśnienia, że program Wilsona rząd Rzeszy uważa za podstawę trwałego pokoju, celem więc rokowań będzie jedynie porozumienie co do „praktycznych szczegółów jego wprowadzenia w życie”. Rząd Rzeszy sądzi, że rządy państw sprzymierzonych ze Stanami Zjednoczonymi również stoją na gruncie programu prezydenta Wilsona. Rząd niemiecki, głosiła dalej nota, wraz z rządem Austro-Węgier gotów jest przystąpić do ewakuacji okupowanych terytoriów. Wreszcie legitymacja czy mandat rządu księcia Maksymiliana - rząd ten utworzyła ogromna większość parlamentu. „We wszystkich swych działaniach kanclerz opiera się na woli tej większości i przemawia w imieniu rządu niemieckiego i narodu niemieckiego”.

Tymczasem nastąpiły dwa wydarzenia, które dobrą wiarę rządu niemieckiego stawiały pod znakiem zapytania.

9 października 1918 r. szwajcarska gazeta „Freie Zeitung”, ukazująca się w Bernie, opublikowała list prywatny księcia Maksymiliana ze stycznia 1918 r. z surową krytyką lipcowej rezolucji pokojowej Reichstagu z 1917 r. Publikacja ta wywołała sporo zamieszania, przez kilka czy kilkanaście godzin dyskutowano w Berlinie nad dymisją kanclerza. Nie doszło do przesilenia, oparła się temu większość parlamentarna.

12 października łódź podwodna niemiecka dwiema torpedami zatopiła angielski statek pasażerski „Leinster”, zginęło ponad 100 osób cywilnych, między nimi kobiety i dzieci.

Tym wydarzeniom przypisać może należy ton drugiej noty Wilsona, ostrzejszy niż pierwszej.

16 października 1918 r. o godz. 5 min. 20 rano nadeszła do Berlina drogą przez Szwajcarię druga nota prezydenta Wilsona. Inny, bardziej określony, wyraźniejszy był jej charakter. Prezydent stwierdzał, że sprawę przebiegu ewakuacji i warunków zawieszenia broni należy oddać wojskowym rządowi Stanów Zjednoczonych i rządów państw sprzymierzonych. Prezydent uważa za swój obowiązek oświadczyć, że rząd Stanów Zjednoczonych przyjmie tylko takie postanowienia, które zapewnią utrzymanie przewagi militarnej Stanów Zjednoczonych i ich sprzymierzeńców. Prezydent poczytuje również za swój obowiązek stwierdzić, że ani Stany Zjednoczone, ani ich sprzymierzeńcy nie zgodzą się rozważać sprawy rozejmu dopóki siły zbrojne Niemiec będą „prowadziły praktyki nielegalne i nieludzkie”, jak zatapianie statków pasażerskich przez łodzie podwodne, jak okrutne niszczenie ewakuowanych terytoriów. Koniec noty zawierał wyraźne, choć dyskretnie wypowiedziane żądanie abdykacji cesarza i usunięcie Naczelnego Dowództwa od wszelkich wpływów politycznych. Prezydent powołał się na przemówienie, które wygłosił 4 lipca 1918 r. w Mount Vernon. Powiedział tam: „zadaniem narodu niemieckiego jest zniszczenie wszędzie każdej władzy arbitralnej, która może sama potajemnie i własnowolnie zburzyć pokój świata; lub jeśli nie można jej obecnie zniszczyć, to sprowadzić ją do stanu faktycznej niemocy”. Odnosi się to do siły,

która dotąd władała narodem niemieckim. Przytoczone słowa prezydenta to warunek wstępny pokoju.

Note tę nazwał Philipp Scheidemann „odurzającym granatem gazowym”.

17 października 1918 r. odbyło się w Berlinie pod przewodnictwem kanclerza posiedzenie gabinetu wojennego z udziałem generałów Ludendorffa i Hoffmanna oraz pułkownika Wilhelma Heye, szefa oddziału operacyjnego sztabu. Interesująca dyskusja zobrazowała sytuację w wojsku i w kraju.

Wydaje się, że w ocenie sytuacji militarnej Ludendorff stracił nerwy i stracił panowanie nad sobą. „Teraz jest tak - mówił - że każdego dnia możemy być złamani i pobici. Onegdaj poszło dobrze, ale może również pójść źle”. Wspomniał też, że jednym z czynników prowadzenia wojny jest szczęście wojenne; może szczęście uśmiechnie się znowu do Niemiec”. W innej chwili dodał, że przełamanie frontu niemieckiego poczytuje za możliwe, ale mało prawdopodobne.

Przedstawiciele wojskowości i władz cywilnych widzieli w ewakuacji Ukrainy i Rumunii katastrofę, gdyż pozbawiłoby to Niemcy dowozu żywności, przede wszystkim żywca i zbóż oraz ropy.

Interesujące uwagi padały na temat nastrojów panujących w wojsku; zgodzono się, że nastroje były złe. Żołnierze przestają rozumieć za co i po co mają się bić, skoro Niemcy wycofają się z zajętych terytoriów francuskich i belgijskich, a nawet oddadzą Francji Alzację i Lotaryngię. Żołnierz przestał ufać oficerowi.

Nastroje w wojsku wiązały się z nastrojami w kraju. Zobrazował je krótko i dosadnie Scheidemann. Społeczeństwo jest wyczerpane długą wojną, rozczarowane niepowodzeniami, zawodem, jaki sprawiły łodzie podwodne, zniechęcone przewagą techniczną Koalicji, zgnębione katastrofą sprzymierzeńców, dotknięte rosnącym niedostatkiem, brakiem wyżywienia, brakiem mięsa, tłuszczu, nawet kartofli.

Słuchał tych wywodów Ludendorff, słuchał także, gdy sekretarz stanu Conrad Haussmann mówił o wrażeniu, jakie na społeczeństwie niemieckim wywarła wymiana not z Wilsonem, zwłaszcza ostatnia nota prezydenta, i wreszcie zwracając się do Philippa Scheidemanna wybuchnął: „... poderwijcie naród! Podnieście go wysoko! Czy pan Ebert nie może tego zrobić! Musi się udać”.

Słowa zadziwiające w ustach Ludendorffa, pamiętali przecież wszyscy, jak się wyrażał o socjaldemokratkach podczas strajku styczniowego roku 1918.

W zakończeniu narad kanclerz tak ujmował sytuację: zwrot ku lepszemu wykluczony, inicjatywę działania wydarto z rąk niemieckich, wojny podmorskiej nie można już prowadzić, Koalicja ma wciąż wzrastającą przewagę w ludziach i w sprzęcie bojowym. Wniosek: należy kontynuować rozmowy z Wilsonem.

21 października 1918 r. poszła do Waszyngtonu odpowiedź niemiecka na drugą notę Wilsona. Rząd Rzeszy wyrażał nadzieję, że prezydent Stanów Zjednoczonych nie postawi żadnego warunku, który byłby sprzeczny z honorem narodu niemieckiego; rząd Rze-

szy odpierał zarzut działań nieludzkich i sprzecznych z prawem, ale ustępował w sprawie wojny podmorskiej i oznajmiał wydanie komendantom łodzi podwodnych zakazu torpedowania statków pasażerskich. Wreszcie nota stwierdzała, że „propozycję pokoju i rozejmu wysunął rząd niepodlegający żadnym wpływom samowolnym i nieodpowiedzialnym, popierany przez przytłaczającą większość narodu niemieckiego.

Rzecz znamienita, rząd chciał, aby wysłaniem noty Naczelne Dowództwo wypowiedziało się co do wyrzeczenia się nieograniczonej wojny łodziami podwodnymi. Ludendorff odparł, że Naczelne Dowództwo nie ponosi odpowiedzialności politycznej i dlatego akt polityczny, jakim jest nota do obcego rządu, nie wymaga jego zgody. Parlamentarni sekretarze stanu, Erzberger i Scheidemann, uznali to za sukces - Naczelne Dowództwo rezygnuje z wpływów politycznych. Mylili się gruntownie, Ludendorff prowadził grę przebiegłą i wygrał. Odpowiedzialność nie tylko polityczną, ale także moralną i historyczną za ustępstwa czynione Wilsonowi zrzucił na polityków cywilnych, na władze cywilne.

23 października 1918 r. wyszła z Waszyngtonu, a nazajutrz, 24 października, znalazła się w Berlinie trzecia nota amerykańska. Jej ton i jej sens były jeszcze ostrzejsze; warunki zawieszenia broni muszą być takie, aby Niemcy nie mogli już podjąć walki. Nie mniej ostre, może jeszcze ostrzejsze były warunki polityczne. Nota stwierdzała, że „władza króla pruskiego nad polityką cesarstwa pozostała nienaruszona; rozstrzygająca



inicjatywa pozostaje nadal w rękach tych, którzy dotąd byli władcami Niemiec”. Prezydent poczytuje za swój obowiązek powiedzieć wyraźnie, że świat nie ma zaufania do ich słowa. Rząd Stanów Zjednoczonych może rokować tylko z „prawdziwymi reprezentantami narodu niemieckiego”. Jeśliby w imieniu Niemiec występowali „władcy wojskowi i monarchiczni autokraci”, rząd Stanów Zjednoczonych będzie żądał nie rokowań, lecz kapitulacji.

Abdykacja cesarza i rezygnacja skompromitowanego i niepoważnego następcy tronu wydała się wielu Niemcom koniecznością nieuniknioną. Abdykacji żądały nie tylko masy robotnicze, postulat ten wysuwano i wśród klas posiadających; za abdykacją opowiadał się rząd bawarski.

W takiej sytuacji wystąpił znowu Ludendorff. Nie domagał się, jak przed trzema tygodniami, natychmiastowego zawarcia rozejmu, żądał natomiast zerwania rozmów z prezydentem Wilsonem. Oświadczył, że tak nakazuje „honor wojskowy”. Usłyszał na to słowa wicekanclerza Friedricha von Payera, że jako człowiek cywilny nie wie co to „honor wojskowy”, ale patrzy na naród niemiecki, który głoduje.

Ludendorff utracił autorytet i zaufanie nie tylko wśród czynników politycznych i w szerokich kołach społeczeństwa, ale także i u większości korpusu oficerskiego. Kanclerz zażądał od cesarza odsunięcia kwartmistrza generalnego od władzy.

26 października 1918 r. odbyła się burzliwa audiencja Hindenburga i Ludendorffa u cesarza na zamku

Bellevue w Berlinie. Cesarz obsypał Naczelne Dowództwo zarzutami. Ludendorff odpowiadał tak gwałtownie, że cesarz przywołał go ostro do porządku: „Pan zapomina, że mówi Pan do króla”. W następstwie Wilhelm udzielił Ludendorffowi dymisji. Hindenburg milczał przez cały czas, aby dopiero w końcu audiencji prosić cesarza o zwolnienie; usłyszał szorstkie: „Pan zostaje”.

Ludendorff uznał zachowanie Hindenburga za nie-łojalność. Niechęć i zawiść, jaką ponoć od początku współpracy żywił do starego feldmarszałka, przeszły w nienawiść. Ścigał nią starego wodza aż poza grób. Odmówił przyjęcia dowództwa armii i wyjechał na jakiś czas do Szwecji.

Warto może przytoczyć tu trzy opinie o Ludendorffie, o tym człowieku, który odegrał tak dla Niemiec złowrogą, niefortunną rolę.

A więc najpierw jego przeciwnik zwycięski, szczęśliwy marszałek Foch. Ludendorff to „doskonały oficer sztabowy, ni mniej ni więcej, znający wspaniale swój zawód, fachowiec ze szkoły Fryderyka II, gdzie wojna przekształca się dla armii pruskiej w czystą mechanikę. Doskonale zna komenderowanie armiami, organizowanie armii. Ale nie rozumie zupełnie charakteru wojny narodowej, która rozstrzyga o wielkich interesach narodu, która wręcz rozstrzyga o egzystencji kraju, i gdzie w konsekwencji dominują siły moralne, patriotyzm”.

A pruski znawca historii wojskowości profesor Hans Delbrück pisał: „Ludendorff jako strateg to dokładnie to samo co Ludendorff jako polityk. Nie wie

nigdy, czego chce. Waha się bezpodstawnie pomiędzy sprzecznymi dążeniami. Chce wielkiego zwycięstwa, a zaniedbuje skoncentrowania wszystkich sił w rozstrzygającym punkcie”.

I wreszcie historyk militarystyki niemieckiego Gerhard Ritter: „Urojenia, które po wojnie całkowicie oparowały Ludendorffa i na koniec izolowały go jako politycznego błazna, zaczęły już w ostatnim roku wojny odgrywać poważną rolę u niego i w jego otoczeniu”. Hindenburg pozostał na stanowisku i pozostanie na nim do końca.

27 października 1918 r. wyszła z Berlina odpowiedź niemiecka na trzecią notę Wilsona. Rząd Rzeszy zapewniał, że rękowania prowadzi będzie *Volksregierung* (rząd ludowy), który dźierży w swych rękach władzę faktycznie i zgodnie z konstytucją. Temu rządowi podlegają władze wojskowe Rząd niemiecki oczekuje propozycji rozejmowych, które przyniosą sprawiedliwy pokój. Na propozycje te miały czekać Niemcy długich dziewięć dni.

A teraz pytanie, jaki wpływ miały noty Wilsona na narody w państwach walczących, a przede wszystkim na żołnierza w polu?

Powiadano niekiedy, że Wilson wiedział, co robi, gdy wysyłał noty do rządu niemieckiego, gdy zapowiadał ustanie działań wojennych, ale ich nie przerywał; tym sposobem chciał jakby osłabić wolę walki, wolę oporu żołnierza niemieckiego. Mało to prawdopodobne przypuszczenie, aby takie myśli wpływały wówczas na grę Wilsona. Myślał trochę po doktrynersku o zmianie

systemu rządów w Niemczech, o odsunięciu od władzy cesarza, monarchistów, junkrów, generałów. Pragnął ujrzeć u steru republikanów, demokratów, nie medytował nad nastrojami i uczuciami żołnierza w okopach. A żołnierz na froncie, który dotąd stawał dzielnie do walki, zawahał się nagle, czy warto ryzykować życie w chwili, gdy kończy się już wojna. Młody, frontowy oficer francuski, ozdobiony licznymi odznakami, mówił w listopadzie 1918 r. Romanowi Dmowskiemu: „Nota wilsonowska odebrała ducha armii. Myśmy wszyscy gotowi byli zginąć, nie liczyliśmy, że żywi z tej wojny wyjdziemy, ale byliśmy z tą koniecznością pogodzeni i nie odbierała ona nam dobrego humoru. Z chwilą atoli, gdy się ukazała ta przeklęta nota, każdy sobie powiedział: a więc to już kwestia kilku dni, czy paru tygodni; głupio byłoby właśnie w tych kilku dniach zginąć. I każdy zaczął myśleć o tym, żeby wyjść żywym. Byliśmy zdemoralizowani...”. Prezydent Poincaré obawiał się, że rozmowy o rozejmie i o pokoju podetną nogi żołnierzowi francuskiemu; potwierdzały to raporty z frontu, iż żołnierze wykazują coraz mniej skłonności do ryzykowania życia. Powtarzano: „to nie chwila, aby dać się zabić”. I chyba tylko nieliczni myśleli jak generał Charles Mangin, że „rozejm nie robi żadnego wrażenia na ludziach”.

## 96. Rewolucja

W dniu 26 października 1918 r. parlament Rzeszy głosami Centrum, socjaldemokratów, postępowców i narodowych liberałów uchwalił poprawkę do konsty-

tucji: „Kancelarz Rzeszy prowadzi sprawy jedynie, gdy cieszy się zaufaniem parlamentu. Kancelarz ponosi odpowiedzialność za wszystkie działania o charakterze politycznym, które podejmuje cesarz wykonując uprawnienia przyznane mu na mocy konstytucji Rzeszy. Kancelarz i jego zastępcy są odpowiedzialni przed parlamentem i przed Radą Związkową”. Dalsze poprawki dawały parlamentowi prawo wypowiedzania wojny i zawierania pokoju oraz podporządkowywały armię władzom cywilnym; nominacje i dymisje oficerów marynarki wymagały kontrasygnaty kancelarza, nominacje zaś i dymisje oficerów wojsk lądowych podpisu ministrów wojny państw związkowych, a więc pruskiego, bawarskiego, saskiego itd. Odpowiednia poprawka konstytucji głosiła, że „ministrowie wojny są odpowiedzialni przed Radą Związkową i przed parlamentem”.

28 października cesarz sankcjonował nowe akty ustawodawcze, tegoż dnia weszły one w życie i miały odtąd obowiązywać w Rzeszy.

„Rzesza Niemiecka była więc teraz monarchią parlamentarną w stylu angielskim”.

Była nią w każdym razie formalnie. Przyszłość miała pokazać, że wypadki pójdą innym zupełnie torem. Był to początek „rewolucji burżuazyjnej”, próba przełamania przewagi junkrów i kasty oficerskiej. Burżuazja zaczęła się przystosowywać do nowych warunków - świadczyło o tym m.in. także i stanowisko narodowych liberałów - w przekonaniu, że dadzą jej one nie

gorsze możliwości niż cesarstwo w stylu Bismarcka i Wilhelma II.

A masy robotnicze? Dowiedziały się w końcu października o dokonanej przemianie; znaczenie tej „pokojujowej rewolucji”, owej „rewolucji od góry” nie mogło być zrozumiałe. Gdyby większość parlamentarna wywalczyła reformy październikowe po długich wysiłkach, wówczas i klasa robotnicza, i warstwy średnie mogłyby uznać zdobycz tę za swoją własną, za swój własny sukces. Nowy system wymagał czasu, aby pokazać społeczeństwu, jak funkcjonuje, a czasu tego zabrakło. Toteż masy robotnicze zmiany w ogóle nie dostrzegły.

Październikowa wymiana not z Wilsonem miała skutek dwojaki, ukazywała wyczerpanemu, zmęczonemu narodowi bliskość pokoju, dawała nadzieję na bliski pokój, ale napełniała troską i obawą, czy dowództwo wojskowe i imperialiści nie zechcą prowadzić dalej wojny i to wojny już na ziemi niemieckiej. A myśli takie powstawały i snuły się w różnych głowach.

7 października 1918 r. szeroko czytana, wpływowa gazeta „Vossische Zeitung”, popularnie zwana Ciotką Voss (*Tante Voss*), opublikowała artykuł Walthera Rathenaua pt. „*Ein dunkler Tag*” („*Ciemny dzień*”). A oto myśl przewodnia artykułu: „Obrona narodowa, powstanie narodowe” (*Die nationale Verteidigung, die Erhebung des Volkes*). Artykuł kończył się wezwaniem: „Nie chcemy wojny, lecz pokoju. Ale nie pokoju ujarzmienia”.

„Pospolite ruszenie”, poderwanie do walki mas ludowych za przykładem rewolucji francuskiej (*levée en masse*), było w Niemczech roku 1918 niemożliwością; cztery z górą lata wojny zbyt udręczyły naród, zbyt wiele ofiar pochłonęły. Wchodził jeszcze w grę wzgląd szczególnej wagi dla rządzących - obawa przed rewolucją społeczną na wzór rosyjski.

Dziś rozumiemy, że wojna ludowa była niemożliwa, ale wówczas nie było to tak oczywiste, a pogłoski o przedłużeniu wojny, o jej wtargnięciu na ziemię niemiecką wywoływały niepokój.

4 listopada 1918 r. socjaldemokracja większościowa wystosowała odezwę do robotników: „Po wejściu naszych towarzyszy do rządu - czytamy - rząd skierował do nieprzyjaciela propozycje, które w najbliższym czasie muszą doprowadzić do zawarcia rozejmu i pokoju. Wprowadziliśmy równe prawo wyborcze w Prusach, parlamentowi zapewniliśmy naczelną władzę, zlikwidowaliśmy rządy personalne, władze wojskowe podporządkowaliśmy władzy cywilnej, a tym samym odebraliśmy militarystom najsilniejszą podporę, rozszerzyliśmy wolność prasy i wolność zebrań, Liebknechta i wielu innych uwolniliśmy z więzienia”.

Odpowiadało to prawdzie, ale było to zbyt mało, aby przekonać masy pracujące, że w Niemczech dokonała się istotna zmiana, zwłaszcza że nie zniesiono stanu oblężenia i nie odebrano komendantom wojskowym władzy<sup>6</sup>.

Taka była sytuacja, gdy do Berlina nadeszły wieści o buncie marynarzy.

Wiadomo, że wojna morską miała charakter ograniczony - pomniejsze starcia, wielka bitwa morską niedaleko Skagerraku 31 maja i 1 czerwca 1916 r. i od roku 1917 wojna łodziami podwodnymi. Niemcy oszczędzali swą flotę. Sądzi, że podczas rokowań pokojowych silna flota będzie w ręku niemieckim nie lada atutem.

Otóż teraz, gdy Niemcy stały u kresu sił, dowódca floty admirał Reinhard Scheer wpadł w połowie października na pomysł sprowokowania Anglików do nowej wielkiej bitwy morskiej. Flota niemiecka opuścić miała swe porty macierzyste, część płynąć miała ku ujściu Tamizy, druga ku kanałowi La Manche. Zmusiłoby to flotę brytyjską do wypłynięcia ze Scapa Flow i zagrodzenia drogi okrętom niemieckim.

Jakie myśli kłębiły się w mózgu admirała Scheera? Czy mógł spodziewać się zwycięstwa? Stosunek sił pomiędzy dwiema flotami kazał uważać zwycięstwo niemieckie za sprawę więcej niż wątpliwą. Admirał myślał być może, iż bitwa morską w każdym razie osłabi flotę brytyjską i pokaże Anglii, że Niemcy nie są jeszcze tak słabe, jak to sądzą w Londynie i w Paryżu, a to poprawiłoby sytuację Niemiec podczas rokowań pokojowych. Być może spodziewał się, że akcja bojowa zapobiegnie grożącej rewolcie marynarzy. I tu pomylił się boleśnie.

Pomysł ruszenia flotą do boju był to typowy rachunek bez gospodarza. Represje z lata 1917 r. nie złamały wśród marynarzy nastrojów rewolucyjnych; utrzymywali oni żywy kontakt z ruchem robotniczym, czytali pisma lewicowe i ulotki nielegalne.



Gdy 27 października rozeszła się wieść o planowanym wypłynięciu floty „na manewry” - jak oficerowie opowiadali załodze, a czemu nikt nie dawał wiary - rozpętała się rewolta. Część marynarzy i palaczy wyszła na ląd, inni stosowali bierny opór. Próby złamania buntu osiągnęły skutek tylko częściowy, tylko chwilowy i to nie wszędzie. W Kilonii marynarzy III eskadry wzmocniła bliska współpraca z robotnikami stoczni kilońskiej. 3 listopada na wielkim placu ćwiczeń w Kilonii odbył się wiec; wzięło w nim udział ponad 3 tys. marynarzy, palaczy, stoczniowców i żołnierzy. Wiecownicy ruszyli następnie pochodem ulicami miasta wznosząc okrzyki na cześć Międzynarodówki i na cześć republiki niemieckiej. W nocy z 3 na 4 listopada utworzyły się w Kilonii rewolucyjne rady marynarzy i żołnierzy. Na masztach okrętów wojennych łopotały czerwone sztandary. Za przykładem Kilonii poszła Lubeka w dniu 5 listopada, a Hamburg, Brema, Wilhelmshaven, Altona, Cuxhaven w dniu 6 listopada. Pruski minister wojny generał Heinrich Scheüch i sekretarz stanu marynarki Rzeszy Ernst von Mann-Tiechler zamierzali wziąć drakoński odwet na zbuntowanych marynarzach, ale zabrakło im sił po temu.

Rząd Rzeszy nie skierował przeciwko zbuntowanym marynarzom armat, lecz wysłał do Kilonii Gustava Noskego, członka parlamentu z ramienia Socjaldemokratycznej Partii Niemiec. Marynarze i żołnierze przyjęli Noskego życzliwie i z zaufaniem i 5 listopada wybrali go na przewodniczącego rady robotniczej i żołnierskiej. W dwa dni później, 7 listopada, rząd Rzeszy

mianował Noskego gubernatorem Kilonii. Gubernator energicznie i zręcznie przystąpił do „kanalizowania” rewolucji. Osiągnął dużo, w każdym razie tyle, ile można było osiągnąć w ówczesnej wysoko wezbranej fali rewolucyjnej. Sekundowali mu przybyli 7 listopada do Kilonii Hermann Müller, jeden z przywódców Socjaldemokratycznej Partii Niemiec, i Hugo Haase, przywódca Niezależnej Socjaldemokratycznej Partii Niemiec. Obaj przywódcy ustalili formy współdziałania dwóch partii w pacyfikacji wzburzonych nastrojów.

Pierwsza korona, która spadła z głowy panującego niemieckiego, to królewska bawarska korona Wittelsbachów. Wielka demonstracja około 200 tys. manifestantów odbyła się 7 listopada na Theresienwiese w Monachium. Dokonano ataku na więzienie wojskowe i na koszary. Z powstałych komitetów fabrycznych i rad żołnierskich powstał rewolucyjny Komitet Wykonawczy. Król Ludwik III jeszcze tej nocy opuścił stolicę i abdykował. W nocy z 7 na 8 listopada proklamowano Bawarską Republikę Rad. Nazajutrz utworzono pierwsze republikańskie ministerium; Kurt Eisner objął prezesurę i sprawy zagraniczne.

W dniach 8 i 9 listopada zapadły się w próżnię wszystkie niemieckie domy panujące, przestały istnieć królestwa, wielkie księstwa i księstwa. Zapanował wszędzie system republikański.

Zasadnicze wszakże znaczenie miała sytuacja w Berlinie. Tu wypadnie się zająć najpierw sprawą, której ówczesne znaczenie czytelnik końca XX w. nie zawsze pojmie i nie zawsze zrozumie. Była to sprawa

cesarska, sprawa Wilhelma II. Aktualności nadały jej noty Wilsona i szerzące się przypuszczenia, że Koalicja nie zawrze pokoju z Niemcami, póki na ich czele stać będzie Wilhelm II.

Niemcy ówczesni w ogromnej większości byli monarchistami. Na stanowisku republikańskim stali spartakusowcy i Niezależna Socjaldemokratyczna Partia Niemiec, socjaldemokraci większościowi teoretycznie byli republikanami, ale w rzeczywistości nie dążyli do obalenia monarchii. Rozróżnić wszakże należy instytucję monarchii i osobę monarchy. Bywali monarchowie, którzy mieli autorytet osobisty, jak cesarz Franciszek Józef, jak królowa Wiktorja, jak król Oskar II szwedzki; ich autorytet osobisty wzmacniał instytucję. Bywali monarchowie pozbawieni autorytetu, a to nigdy nie wychodziło na dobre monarchii, instytucji monarchii.

Wilhelm II miał charakter i sposób postępowania, które nie mogły budzić respektu; silny cios swemu autorytetowi zadał cesarz w 1908 r. niepoważnym wywiadem dla „Daily Telegrapha”. Twierdził tam, że był autorem angielskiego planu wojennego, który w 1902 r. dał zwycięstwo Anglikom w wojnie z Burami. Lata wojny przyniosły dalszy spadek autorytetu Wilhelma II. Pozwolił się on zepchnąć silniejszym indywidualnościom - Ludendorffowi i Hindenburgowi.

Już w 1917 r. koła rządowe niepokoiły się spadkiem autorytetu monarchy; przypisywano to „propagandzie nieprzyjacielskiej”. Było to wygodne, ale nie we wszystkim słuszne. Na poufnej naradzie w ministerstwie wojny w Berlinie w dniu 25 maja 1917 r. posta-

nowiono podjąć szeroką akcję propagandową, informować społeczeństwo o działalności cesarza i członków domu cesarskiego, o ich prostym sposobie życia, o ich zasługach, rozgłaszać, że wszelkie środki podejmowane przez rząd w dziedzinie opieki społecznej i poprawy zaopatrzenia zawdzięczać należy inicjatywie cesarskiej, cesarz powinien odwiedzać wielkie fabryki, rozdawać ordery w znacznej ilości.

Monarchii, która usiłuje ratować się takimi środkami, zagraża niebezpieczeństwo poważne.

Wilhelm II utracił niewątpliwie popularność i w społeczeństwie, i w wojsku. Przysięga wojskowa na wierność „najwyższemu panu wojny” była w wojsku wieku XX, wojsku masowym z poboru fikcją; znaczenie mogła mieć tylko dla oficerów zawodowych.

Wiele zależało teraz od samego Wilhelma i jego postępowania. Noty Wilsona i zawarte tam aluzje zwróciły ogólną uwagę na cesarza. Na porządku dziennym stanęła kwestia jego abdykacji. Szerzył się pogląd, że dynastię Hohenzollernów i ustrój monarchiczny w Niemczech uratować może jedynie abdykacja Wilhelma i usunięcie się następcy tronu.

Generał Groener doradzał monarsze wyjazd na front, ale nie na bezpieczne tyły, jak to bywało dotąd, lecz na pierwszą linię ognia. Tam, gdzie walka toczy się rzeczywiście. Jeśli cesarz zginie lub zostanie ranny, uratuje honor, uratuje dynastię, uratuje instytucję monarchii, wzbudzi szacunek i sympatię poddanych, wzmocni nastroje monarchistyczne w narodzie niemieckim.

Rada była dobra, ale dzielny Hohenzollern jej nie usłuchał. Wilhelm lękał się losu Mikołaja II, nie czuł się bezpieczny w rewolucjonizującym się szybko Berlinie i 29 października niespodziewanie dla rządu opuścił stolicę, aby nigdy już do niej nie powrócić. Wyjechał do Spa do Kwatery Głównej.

Był to błąd, gdyż cesarz stracił bezpośredni kontakt z rządem i z krajem i w sytuacji orientował się jeszcze gorzej niż dotąd.

A sytuacja zmieniała się niemal z godziny na godzinę. Przywódcy socjaldemokracji większościowej w swych działaniach hamujących, powstrzymujących ruch rewolucyjny musieli liczyć się coraz bardziej ze stanowiskiem mas pracujących, gdyż ich radykalizacja postępowała szybko. Znamienną interesującą rozmowę odbył kanclerz z Ebertem 7 listopada. „Jeśli zdołam - pytał księżę Maksymilian - przekonać cesarza o potrzebie abdykacji, czy stanie Pan przy mnie w walce przeciwko rewolucji socjalnej”? Odpowiedź Eberta: „Jeśli cesarz nie abdykuje, nie da się uniknąć rewolucji socjalnej. Ale ja jej nie chcę, jaja nienawidzę jak się nienawidzi grzechu”. Po abdykacji cesarza ma on nadzieję utrzymać partię i masy po stronie rządu.

Dokąd kierowała się w takiej chwili niespokojna myśl Wilhelma II, cesarza-fantasty, który jeszcze w październiku roił o walce wspólnej z Anglikami, Francuzami i... Japończykami przeciwko Amerykanom, teraz chciał jak najspieszniej zawrzeć rozejm z państwami Koalicji, aby móc pomaszerować na czele swej wiernej armii do Niemiec i zdławić rewolucję.

Na rozkaz generała Groenera przybyło do Spa 9 listopada 39 wyższych oficerów, pułkowników i generałów, aby zdać sprawę z rzeczywistych nastrojów w wojsku. Pułkownik Wilhelm Heye przedstawił sytuację wewnętrzną w Niemczech i zadał dwa pytania: 1) jaki jest stosunek wojska do cesarza i czy jest sprawą możliwą, aby cesarz na czele swych wojsk „zdobył kraj?”; 2) jaki jest stosunek wojska do bolszewizmu i czy wojsko wystąpi w ojczyźnie zbrojnie przeciwko bolszewikom?

Na pierwsze pytanie tylko jeden oficer odpowiedział pozytywnie, 15 wyraziło wątpliwości czy wojsko zechce walczyć w kraju, 23 odpowiedziało negatywnie. Ogólnie wyrazili oficerowie pogląd, że osoba cesarza jest żołnierzowi najzupełniej obojętna, ma on jedno tylko pragnienie: wrócić do domu, „do spokoju i porządku”.

Na drugie pytanie 8 oficerów odpowiedziało, że skierowanie wojska „przeciwko bolszewizmowi” jest niemożliwe, 12 uznało, że trzeba by dłuższego czasu, aby wpłynąć na żołnierza i pozyskać go dla walki przeciwko bolszewizmowi, 19 wyraziło wątpliwość czy w ogóle będzie można kiedy poderwać wojsko do takiej walki. Pogląd ogólny - żołnierz jest zmęczony i wyczerpany, chce wrócić do kraju i chce żyć w spokoju.

O wszystkim rozstrzygała sytuacja w kraju, a rozwijała się ona coraz mocniej torami rewolucyjnymi. Scheidemann tymi słowy scharakteryzował sytuację: „Nastroje w kołach robotniczych były napięte do najwyższych granic. Władze zabroniły odbycia wielkich

zgromadzeń ludowych zapowiadanych na 6 listopada, zabroniły też tworzenia rad robotniczych i żołnierskich. Panowała parna atmosfera przed burzą”.

Wbrew przywódcom Socjaldemokratycznej Partii Niemiec, którzy usiłowali powstrzymać podnoszącą się falę rewolucyjną, spartakusowcy wzywali robotników do wyjścia z zakładów pracy na ulicę, żołnierzy do wyjścia z koszar. Ulotki spartakusowskie głosiły: „Nadeszła godzina decydująca. (...) Nie żądamy abdykacji osoby, żądamy republiki. Republiki socjalistycznej ze wszystkimi jej konsekwencjami”. Spartakusowcy stawiali takie cele:

1. Uwolnienie wszystkich więźniów cywilnych i wojskowych.
2. Zniesienie odrębnych państw (niemieckich) i usunięcie wszystkich dynastii (niemieckich).
3. Wybór rad robotniczych i żołnierskich, wybór delegatów w fabrykach i jednostkach wojskowych.
4. Natychmiastowe nawiązanie stosunków z innymi niemieckimi radami robotniczymi i żołnierskimi.
5. Objęcie rządów przez pełnomocników rad robotniczych i żołnierskich.
6. Natychmiastowe nawiązanie stosunków z proletariatem międzynarodowym, zwłaszcza z Rosyjską Federacyjną Socjalistyczną Republiką Radziecką.

Rankiem dnia 9 listopada 1918 r. ulotki spartakusowskie dotarły do robotników w fabrykach, o 9 rano rozpoczął się w Berlinie strajk generalny.

Strajkiem kierowały dwa przeciwstawne sobie ośrodki polityczne, były to: Grupa Spartakusa i działa-

jący dotąd konspiracyjnie Komitet Wykonawczy Rad Robotniczych i Żołnierskich z jednej strony oraz Socjaldemokratyczna Partia Niemiec z drugiej. Pierwsi dążyli do zwycięstwa rewolucji, drudzy do jej opanowania i zahamowania.

Strajk ogarnął Berlin i jego przedmieścia, robotnicy ciągnęli ku dzielnicy rządowej dokoła Bramy Brandenburskiej, nieśli transparenty z napisami: „Bracia, nie strzelajcie!” Policja nie interweniowała, wojsko odmówiło wystąpienia przeciwko robotnikom, żołnierze masowo przyłączali się do demonstrantów. Do zająć doszło jedynie przed tzw. Maikäferkaserne, koszarami 2 pułku gwardii, podczas strzelaniny padło trzech robotników. Dodatek nadzwyczajny dziennika „Vorwärts” przyniósł wiadomość, że ruchem robotniczym kierują wspólnie Socjaldemokratyczna Partia Niemiec i Niezależna Socjaldemokratyczna Partia Niemiec. Przywódcy socjaldemokracji większościowej próbowali w ten sposób opanować ruch i utrzymać się na fali. Jak niedaleka już przyszłość miała pokazać, rozumowali trafnie.

Tymczasem książę kanclerz szukał nerwowo wyjścia z groźnej sytuacji; do Spa szły ustawicznie telegraficzne i telefoniczne wezwania czy błagania, aby cesarz abdykował, wezwania wciąż bezskuteczne. Kanclerz tak rozumował: „Rewolucja idzie ku zwycięstwu, powalić jej nie możemy, ale zdołamy ją może stłumić. Trzeba teraz wystąpić z abdykacją, z powołaniem Eberta, z apelem do narodu, aby wybrał konstytuante, która nada państwu ustrój. Jeśli Eberta, jako trybuna ludowego, wysunie ulica, to przyjdzie republika, to będzie



Liebknecht, to będzie także bolszewizm. Ale jeśli cesarz przed abdykacją mianuje Eberta kanclerzem Rzeszy, pozostanie jeszcze wątpliwa nadzieja utrzymania monarchii. Może powiedzie się energię rewolucyjną skierować na legalne tory walki wyborczej”.

Nie mogąc uzyskać cesarskiej decyzji abdykacji książe Maksymilian przystąpił do działania na własną rękę. Za pośrednictwem Biura Telegraficznego Wolffa opublikował następującą deklarację: „Cesarz i król postanowił zrzec się tronu. Kanclerz Rzeszy urzędować będzie póki nie ureguluje wszystkich spraw związanych z abdykacją cesarza, zrzeczeniem się następstwa tronu Rzeszy Niemieckiej i Prus i ustanowieniem regencji. Kanclerz zamierza zaproponować regentowi nominację deputowanego Eberta na kanclerza Rzeszy i przedstawić projekt ustawy o rozpisaniu wyborów powszechnych do konstytuanty”. O godzinie 12 wiadomość dotarła na ulice Berlina.

O tej samej porze w południe dnia 9 listopada 1918 r. deputacja Socjaldemokratycznej Partii Niemiec z Fryderykiem Ebertem na czele zjawiała się w gabinecie kanclerskim. Głos zabrał Ebert i oświadczył, że dla utrzymania spokoju i porządku oraz uniknięcia rozlewu krwi jest rzeczą konieczną, aby władzę objęli mężowie cieszący się pełnym zaufaniem ludu. Tego zdania są i niezależni socjaldemokraci, ale nie zdecydowali się jeszcze, czy wejdą do nowego rządu. Po krótkiej naradzie z sekretarzami stanu książe Maksymilian zwrócił się do Eberta z zapytaniem, czy byłby gotów objąć stanowisko kanclerza Rzeszy. Odpowiedź: „Ciężki to

urząd, ale go obejmę”. Odezwał się wówczas sekretarz stanu spraw zagranicznych Solf i zapytał, czy Ebert gotów jest sprawować rządu w ramach konstytucji. Na odpowiedź twierdzącą Solf zapytał następnie, czy także w ramach konstytucji monarchicznej. Padła na to znamiona odpowiedź: „Wczoraj jeszcze odpowiedziałbym na to pytanie bez wahania twierdząco, dziś muszę się najpierw naradzić z moimi przyjaciółmi”. Czy nowy kanclerz myślał jeszcze o ratowaniu monarchii w zmiennej - rzecz prosta - zasadniczo formie? Może wskazywałyby na to jego prośba skierowana do księcia Maksymiliana, aby pozostał w Berlinie i objął godność regenta (*Reichsverweser*). Książę odmówił, gdyż nie chciał współpracować z niezależnymi socjaldemokratami.

Charakterystyczne było rozstanie dwóch kanclerzy: Książę Maksymilian: „*Herr Ebert, ich lege Ihnen das Deutsche Reich ans Herz*” („*Panie Ebert, kładę Panu Rzeszę Niemiecką na sercu*”).

Ebert: „*Eure Grossherzogliche Hoheit, für dieses Reich sind zwei meiner Söhne im Felde gefallen*” („*Wasza Wielkksiążęca Wysokość, dla tej Rzeszy padło w polu dwóch moich synów*”).

Chwila wyjątkowa, chwila, gdy dzieje pędzą z zawrotną szybkością tłumaczy to niezwykle przejęcie władzy z rąk jednego kanclerza przez drugiego. Obu stronom i cesarskiemu rządowi Rzeszy, i Socjaldemokratycznej Partii Niemiec szło o to, aby władza w państwie przeszła z rąk dotychczasowych jej dzierżycieli w ręce nowych drogą nie rewolucyjną, lecz legalną czy

też quasi legalną. Przyjęto więc taką fikcję prawną: abdykacją cesarza i zrzeczenie się praw przez następcę tronu wytworzyło próżnię, nie było regenta, rząd więc sprawował przejściowo najwyższą władzę i kanclerz działał na miejscu czy w zastępstwie regenta. I w tym charakterze kanclerz Maksymilian badeński mianował kanclerzem Fryderyka Eberta<sup>20</sup>. Następna fikcja: Ebert był przez kilkanaście godzin kanclerzem Rzeszy, a przez parę godzin nawet kanclerzem cesarskim.

Zobaczmy teraz, jak rozwijały się wypadki w Berlinie i w Spa. „9 listopada 1918 r. - wspomina Philipp Scheidemann - parlament przypominał wielki obóz wojskowy. Wchodzili i wychodzili robotnicy i żołnierze. Wielu było uzbrojonych. (...) Sytuacja zarysowała mi się jasno przed oczyma. Znałem jego (tj. Liebknechta) żądania: «cała władza radom robotniczym i - żołnierskim» (...) Nie było wątpliwości. Wygra ten, kto poprowadzi masy tu «po bolszewicku» z Zamku do parlamentu lub «socjaldemokratycznie» z parlamentu do Zamku”. Stojąc przed taką alternatywą Scheidemann nie wahał się ani chwili, postanowił działać. Stał w oknie budynku parlamentu i wygłosił do wzburzonych mas płomienną mowę. Oznajmił, że Ebert tworzy rząd, w którym znajdą się wszystkie partie socjalistyczne, i zakończył okrzykiem: „Niech żyje republika niemiecka”.

Taki przebieg miało w Berlinie proklamowanie Niemiec republiką.

Tymczasem w Kwaterze Głównej w Spa w otoczeniu cesarza szukano nerwowo wyjścia z sytuacji. Szef

sztabu grupy armii pruskiego następcy tronu generał major hr. Friedrich von der Schulenburg wpadł na niefortunny pomysł: niechaj Wilhelm II złoży koronę cesarską niemiecką, a zachowa królewską pruską. Wilhelm chwycił się tej myśli, a była to myśl niedorzeczna; na zasadzie konstytucji cesarska korona niemiecka i królewska korona pruska były ze sobą nierozzerwalnie związane i abdykacja cesarza niemieckiego Wilhelma i jednoczesne pozostanie na tronie króla pruskiego Wilhelma oznaczało rozwiązanie państwa związkowego. A zresztą nie mogłoby to uratować monarchii, gdyż szerokie masy narodu niemieckiego zwracały się dotąd nie tyle przeciwko instytucji monarchii, ile przeciwko osobie Wilhelma II, którego poczytywano - nieistotnie to w jakiej mierze słusznie - za głównego sprawcę wojny i nieszczęść, które ona przyniosła.

Nastrój w Spa był coraz bardziej nerwowy. Żołnierze batalionu szturmowego Rohr, przed niedawnym czasem sprowadzonego do Spa dla ochrony monarchy, oświadczyli, że nie będą walczyć przeciwko swym towarzyszom. Bezpieczeństwo osobiste cesarza stanęło pod znakiem zapytania.

Gdy Wilhelm II odrzucił radę wyjazdu na pierwszą linię frontu i ratowania swego honoru żołnierza i wodza, gdy okazało się, że zamknięta jest przed nim droga do kraju na czele wiernej armii, gdy niebezpieczeństwo zagroziło w Kwaterze Głównej, pozostało nieszczęśliwemu jednemu tylko wyjście, przed którym się ponoć wzdrygał - ucieczka. Dokąd? Dwa kraje wchodziły w rachubę - Szwajcaria i Holandia. Hindenburg dora-

dzał Holandię, gdyż była to monarchia, nie republika, i znajdowała się bliżej.

W nocy z 9 na 10 listopada Wilhelm wyjechał ze Spa i częściowo pociągiem, częściowo samochodem przybył na stację graniczną holenderską Eijsden. Tu król pruski (korony pruskiej zrzekł się dopiero 28 listopada) musiał czekać trzy godziny zanim straż graniczna holenderska otrzymała z Hagi zezwolenie otworzenia granicy przed orszakiem oficerów pruskich. Orszak skierowano do Amerongen, niewielkiego miasteczka pomiędzy Arnheim i Utrechtem. Przed zamkiem Amerongen oczekiwał dostojnego gościa właściciel hrabia Bentinck.

Tak zwane słowa historyczne bywały niekiedy, dość rzadko, wypowiedane rzeczywiście w brzmieniu, jakim się czyta w książkach, niekiedy przeszły do potomności w formie upiększonej, niekiedy były tworem fantazji. Wilhelm II, gdy stanął na zamku Amerongen zwrócił się do hrabiego Bentincka ze słowami: „Panie Hrabio, niech mi Pan da dobrej, mocnej, angielskiej herbaty”.

„Gdy cesarz pojechał do Holandii, zabił monarchię w Niemczech”. Jest to niewątpliwie uproszczenie sprawy. Wiele było różnorodnych przyczyn, które sprawiły, że w latach międzywojennych nie odbudowano monarchii w Niemczech. Ale nie ulega wątpliwości, że Wilhelm II swymi rządami, a przede wszystkim wyjazdem do Holandii zadał cios monarchii niemieckiej.

A w Berlinie tymczasem umacniała się republika. Socjaldemokraci większościowi i niezależni doszli do

porozumienia i na razie objęli rządy wspólnie. Ebert nie był już kanclerzem, lecz przewodniczącym Rady Pełnomocników Ludowych (*der Rat der Volksbeauftragten*). Wraz z Ebertem zasiadało w Radzie trzech socjaldemokratów większościowych, którzy objęli kluczowe stanowiska: Ebert obok prezydium objął sprawy wewnętrzne i wojsko, Scheidemann prasę i informację, Otto Landsberg skarb, sprawy zagraniczne przypadły niezależnemu socjaldemokracie Hugonowi Haasemu, a sprawy społeczne i komunikacja dwóm jego towarzyszom partyjnym Emilowi Barthowi i Wilhelmowi Dittmannowi. Dotychczasowi sekretarze stanu funkcjonowali nadal pod kontrolą Rady Pełnomocników Ludowych w charakterze fachowych doradców. Urzędem Spraw Zagranicznych kierował nadal Solf, a od 20 grudnia hr. Ulrich von Brockdorff-Rantzau. Na urzędzie pozostał początkowo nawet pruski minister wojny generał Heinrich Scheuch. 10 listopada po południu zgromadzenie Delegatów Rad Robotniczych i Żołnierskich wyłoniło Komitet Wykonawczy i poparło Radę Pełnomocników Ludowych. Spartakusowcy nie weszli do Komitetu i przystąpili do walki z socjaldemokratami większościowymi głosząc, że nie są oni obrońcami, lecz zdrajcami sprawy robotniczej.

Podobnie jak w Prusach, tak i w innych krajach Rzeszy obalono wszędzie monarchię, najpóźniej w Wirtembergii, i wprowadzono rządy republikańskie. Z wyjątkiem Bawarii dominowali wszędzie socjaldemokraci większościowi.

Rewolucja, która dokonała się w Niemczech w listopadzie 1918 r. miała charakter burżuazyjny. „W rzeczywistości - pisze Arthur Rosenberg - rząd 10 listopada był to socjalistycznie zawołany rząd dawnej większości parlamentarnej poszerzonej przez lewe skrzydło Niezależnej Socjaldemokratycznej Partii Niemiec. Był to rząd, który odpowiadał zarówno rozwojowi ruchu, jak i ówczesnemu stosunkowi sił w Niemczech”.

Pozostaje jeszcze wielka niewiadoma - armia. Czy armia wyłamie się spod dyscypliny, czy się rozpręgnie, czy ogarnie ją rewolucja, czy też może utrzyma się w wojsku stary, wzorowy, niemiecki porządek? Cesarz, gdy opuszczał Kwaterę Główną, gdy zrzucił ze swych barków godność najwyższego pana wojny, oddał pełnię władzy nad wojskiem Hindenburgowi. Ten człowiek o stalowych nerwach, które nie zawiodły go dotąd nigdy, miał nadal autorytet u oficerów, miał autorytet i u żołnierzy, ale był pozbawiony zupełnie zmysłu politycznego i w trudnej sytuacji nie orientował się zupełnie. W jego imieniu i początkowo bez jego wiedzy zaczął działać generał Groener. Wieczorem 10 listopada połączył się telefonicznie z Urzędem Kanclerskim w Berlinie i oświadczył Ebertowi, że wojsko staje do dyspozycji rządu, ale w zamian feldmarszałek i korpus oficerski oczekują od rządu poparcia przy utrzymaniu w armii porządku i dyscypliny. Korpus oficerski domaga się, aby rząd walczył z bolszewizmem i obiecuje w tej walce pomoc. „Ebert przyjął moją propozycję przymierza - pisze Groener. - Odtąd codziennie wieczoro-

rem tajną linią telefoniczną pomiędzy Kancelarią Rzeszy a Naczelnym Dowództwem omawialiśmy kroki, które należało podjąć. Przymierze nie zawiodło”.

Hindenburg, któremu Groener zreferował tę sprawę, zaaprobował „przymierze oficerów z Ebertem jako jedyną możliwość powrotu do zdrowych stosunków”.

Upłynęło zaledwie kilka godzin od chwili, gdy „najwyższy pan wojny” opuścił swą armię, a już dowództwo wojska zawarło pakt z nowym rządem socjalistycznym; zaważy to na rozwoju wypadków w Republice Weimarskiej.

Zadać sobie wypada teraz pytanie, czy armia niemiecka w pierwszej wojnie światowej została pobita, czy też Niemcy zmuszone zostały przyjąć „dyktat” najpierw w Rethondes, później w Wersalu jedynie na skutek „zdradzieckiego uderzenia nożem w plecy”, czyli wybuchu rewolucji. Doniosłe to pytanie było - jak wiadomo - przez dłuższy czas przedmiotem sporu w nauce historycznej i w publicystyce niemieckiej. Historycy i publicyści nacjonalistyczni wbrew oczywistym faktom utrzymywali, że Niemcy militarne wojny nie przegrały.

Wiele można by na ten temat pisać, ograniczymy się tu wszakże do przytoczenia dwóch świadectw i ich mocy nikt nie zdoła zaprzeczyć.

Świadectwo pierwsze to głos pierwszego kwatermistrza, 1 października 1918 r. generał Ludendorff mówił do zaufanych oficerów ze swego otoczenia: „Naczelne Dowództwo i armia są już u kresu. Wojny nie możemy już wygrać, przeciwnie, stoimy w obliczu



ostatecznej klęski. Odpadła Bułgaria, Austria i Turcja są już krańcowo wyczerpane i wnet za nią pójdą. Naszą własną armię przenika niestety trucizna idei spartakowsko–socjalistycznych. Nie możemy już więcej polegać na wojsku, od 8 sierpnia stacza się ono szybko w dół. Coraz to nowe jednostki okazują się tak niepewne, że trzeba je szybko wycofywać z frontu. Jeśli wysyłamy na ich miejsce żołnierzy chcących walczyć, witają ich okrzyki «łamistrajki» i wezwania, aby nie walczyli. Nie sposób operować dywizjami, do których nie można mieć zaufania. Należy przewidywać, że już w najbliższym czasie nieprzyjacielowi, wspomaganemu przez idących z zapalem do boju Amerykanów, uda się przełamać front w wielkim stylu, wtedy wojsko na zachodzie straci ostatni punkt oporu i przejdzie zupełnie rozbite przez Ren, aby zanieść rewolucję do kraju”.

Tyle Ludendorff. Wódz, właściwy dyktator Niemiec stwierdzał na kilka tygodni przed wybuchem rewolucji, że Niemcy wojnę przegrały, że armia niemiecka została pobita, że dalej walczyć już nie może.

Powołajmy jeszcze jednego wysoce kompetentnego świadka. Jest nim uczony badacz militarizmu niemieckiego, konserwatywny historyk niemiecki Gerhard Ritter.

Jeżeli sytuacja Niemiec była rzeczywiście beznadziejna - wywodzi Ritter - należało kapitulować, aby uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi. Ale jeśli były możliwości oporu, należało je wyzyskać na wypadek postawienia ciężkich warunków zawieszenia broni i pokoju. W tym celu trzeba było wycofać armię na po-

zycje z góry przygotowane, dobrze umocnione i należyście skrócone. Uniemożliwił to Ludendorff swym hasłem „utrzymać każdą piędź ziemi”. Dalszy wywód Rittera wypadnie zacytować dosłownie. Powstało wówczas „niebezpieczeństwo możliwego w każdej chwili przełamania cienkich linii niemieckich, które w wielu punktach utrzymywali tylko oficerowie karabinami maszynowymi. A wtedy przyszedł chaos, dzika ucieczka i kapitulacja lub wzięcie do niewoli bezbronnym mas”.

W więc czy Niemcy militarnie wojny nie przegrały?

## 97. Rozejm

General Groener z niepokojem śledził sytuację na froncie, zwłaszcza marsz Amerykanów ku Verdun, a także rozwój sytuacji w kraju. 6 listopada uznał, że jedynym wyjściem z beznadziejnego położenia jest natychmiastowe nawiązanie bezpośrednich rokowań dowództwa niemieckiego z dowództwem wojsk państw Koalicji. Nie zdążył wszakże poczynić odpowiednich kroków, gdy do Berlina nadeszła nowa, czwarta nota amerykańska. Rząd waszyngtoński zawiadomił, że rządy państw sprzymierzonych stoją na gruncie programu Wilsona, domagają się wszakże odszkodowań za straty wyrządzone przez Niemców we Francji i w Belgii. Nota kończyła się informacją, że rząd Stanów Zjednoczonych i rządy państw sprzymierzonych upoważniły marszałka Focha do przyjęcia uppełnomocnionych przed-

stawiciele rządu niemieckiego i zakomunikowania im warunków rozejmu.

Generał Groener odetchnął z ulgą. Groźba kapitulacji nie wisi już nad armią niemiecką, warunki zawieszenia broni usłyszą przedstawiciele rządu, politycy cywilni i na nich spadnie niezadowolenie narodu za przegraną.

Stanowisko przewodniczącego delegacji niemieckiej zamiast przewidzianego do tej roli wojskowego generała Ericha von Gundella objął polityk, poseł do parlamentu z frakcji Centrum i od niedawna sekretarz stanu bez teki Matthias Erzberger. Generał Groener nie poskąpił znamienego wyznania: „Mogłem się tylko cieszyć, że przy tych nieszczęsnych rokowaniach, gdzie niczego dobrego nie można było oczekiwać, wojsko i dowództwo pozostaną możliwie nie obciążone”.

Podobnie wypowiedział się na temat Erzbergera i Hindenburg. Mówił, że po raz pierwszy w dziejach świata rozejm zawierają nie wojskowi, lecz politycy. Feldmarszałek zgadza się z tym, zwłaszcza że nie ma żadnych dyrektyw do udzielenia; armii potrzebny jest w każdym razie spokój.

Drugim delegatem był poseł niemiecki w Sofii Alfred hr. von Oberndorff i przedstawiciele wojska i marynarki generał–major Hans Karl Detlof von Winterfeldt, dawny *attaché* wojskowy niemiecki we Francji, i kapitan marynarki Ernst Vanselow.

Delegacja wyjechała z Berlina 6 listopada pociągiem do Spa, a stamtąd samochodami ku posterunkom francuskim. Jazda była powolna, „gdyż masy wojska

niemieckiego w długich kolumnach ciągnęły nieprzerwanie” do kraju. 8 listopada delegacja niemiecka przekroczyła linię frontu niemieckiego i mniej więcej 150 metrów dalej spotkała pierwszych żołnierzy francuskich. Dwóch oficerów francuskich towarzyszyło wysłannikom niemieckim w drodze do La Capelle. Żołnierze francuscy w miasteczku wołali „*Finie la guerre!*” i głośno klaskali w ręce „z radości, że wojna się kończy”, jak wspomina Erzberger, a może z radości na widok Niemców przybyłych prosić o pokój. Następnie samochodami francuskimi w towarzystwie oficerów francuskich, później kolejną dojechali pełnomocnicy niemieccy 8 listopada o godz. 7 rano w pobliżu Compiègne, gdzie na polanie leśnej stał już pociąg marszałka Focha.

8 listopada 1918 r. o godz. 9 rano w wagonie salonowym marszałka Focha rozpoczyna się posiedzenie. Po jednej stronie stołu zasiada marszałek Foch, po jego prawej stronie jego szef sztabu generał Maxime Weygand, po lewej pełnomocnik brytyjski admirał Sir Wester Wemyss i admirał Hope, naprzeciwko Niemcy: Matthias Erzberger, Hans von Winterfeldt, Ernst Vanselow.

Następuje sprawdzenie pełnomocnictw delegatów niemieckich, wzajemna prezentacja członków delegacji, po czym pierwsze starcie słowne:

Marszałek Foch: Jaki jest cel wizyty Panów?

Erzberger: Otrzymać propozycje państw sprzymierzonych dla zawarcia rozejmu na lądzie, na morzu, w powietrzu, na wszystkich frontach i w koloniach.

Marszałek Foch: Nie mam żadnych propozycji.

Tu przychodzi z pomocą dyplomata hr. Oberndorff: Pan Marszałek zechce nam powiedzieć, jak sobie życzy, abyśmy się wyrażali. Nie przywiązujemy wagi do określeń. Możemy powiedzieć, delegacja niemiecka prosi o warunki rozejmu.

Marszałek Foch: Nie mam żadnych warunków do postawienia.

Erzberger powołuje się na notę Wilsona o upoważnieniu marszałka Focha do zakomunikowania delegatom niemieckim warunków rozejmu. Marszałek przerwał Erzbergerowi ruchem ręki i oświadczył: „Zostałem upoważniony do podania Panom warunków rozejmu, jeśli Panowie poprosicie o rozejm. Czy Panowie proszą o rozejm?”

Erzberger i Oberndorff jednocześnie: Prosimy o rozejm!

Marszałek Foch: Odczytane zostaną Panom warunki ustalone przez rządy państw sprzymierzonych.

Generał von Winterfeldt odczytał wówczas przygotowaną uprzednio deklarację, że Niemcy chcą bezwzględnie zawrzeć rozejm, ale muszą starannie przestudiować postawione warunki, a to wymaga czasu, delegacja niemiecka prosi więc o natychmiastowe wstrzymanie działań zbrojnych dla zaoszczędzenia życia ludzkiego. Odpowiedź marszałka: ostateczny termin podpisania aktu zawieszenia broni 72 godziny. Działania wojenne ustaną w sześć godzin po podpisaniu.

Nad opracowaniem warunków rozejmu marszałek Foch pracował już od 8 października 1918 r., tzn. zlecił

tę pracę gronu specjalistów; tekst ostateczny ustalono w Wersalu 4 listopada.

A oto warunki rozejmu: Ewakuacja Belgii, Francji, Alzacji i Lotaryngii. Ewakuacja lewego brzegu Renu i przyczółków mostowych. Wydanie 5 tys. armat, 30 tys. karabinów maszynowych, 3 tys. moździerzy, 5 tys. lokomotyw, 150 tys. wagonów, 2 tys. samolotów, 5 tys. samochodów. Wydanie 100 łodzi podwodnych, 8 lekkich krążowników, 6 pancerników. Pozostałe jednostki mają być rozbrojone i znajdować się pod dozorem. Utrzymanie blokady. Zrzeczenie się kolonii afrykańskich.

Niemcy próbowali dyskutować, próbowali złagodzić, osłabić podane im warunki, uderzyli w nutę, którą później często powtarzać będą. Wskazywali mianowicie, że postawione warunki są nie do przeprowadzenia, nie do wykonania, że oznaczają one nie tylko bezbronność Niemiec, lecz i „oddanie ich bolszewizmowi, że anarchia i głód to bezpośrednie skutki takich warunków rozejmowych”. Francuzi i Anglicy nie dawali wiary tym wyjaśnieniom, mieli pewność, że Niemcy chcą im zastawić pułapkę, że chcą jedynie zyskać na czasie, aby postawić na nogi pobitą, cofającą się armię, aby móc ją rzucić do nowego uderzenia. Padła ze strony niemieckiej uwaga, że Koalicja popełnia ten sam błąd, który popełnili Niemcy wobec Rosji wiosną 1918 r., gdy sądzili, iż pokonali bolszewizm, a okazało się, że jest przeciwnie. Na to padła zimna uwaga admirała Hope: „Kto chwyci wiatr w żagle, ten odnosi sukces”.

W sobotę, 9 listopada, delegacja otrzymała wiadomości z Berlina, o abdykacji cesarza a następnie o utworzeniu nowego rządu pod prezesurą Eberta. Anglicy wystąpili wobec Niemców z wątpliwościami, czy nowy rząd będzie mógł wypełnić postanowienia i warunki rozejmowe. W niedzielę wieczorem otrzymał Erzberger szyfrowany telegram z podpisem Hindenburga, że rozejm należy zawrzeć za wszelką cenę; wkrótce nadeszła depesza *in claris* z upoważnieniem podpisania nałożonych warunków. Depesza nosiła podpis: *Reichskanzler Schluss* (kanclerz Rzeszy koniec). Oficer francuski wręczając depeszę Erzbergerowi zapytał, kto to jest pan Koniec, który został kanclerzem, a o którym nic nie wiadomo. Jak się okazało później telegram ten wysłano nie z Berlina, nie było połączenia, lecz z Kwatery Głównej. A więc nie władza cywilna go wysłała, lecz wojskowa.

Ostatecznie w wyniku parugodzinnego posiedzenia nocnego podpisano akt zawieszenia broni w poniedziałek, 11 listopada, o godzinie 5 rano. Rozejm wchodził więc w życie 11 listopada 1918 r. o godzinie 11 w południe.

Niemcy uzyskali niewielkie złagodzenie warunków, mieli wydać nie 30 tys., ale 25 tys. karabinów maszynowych, nie 2 tys. samolotów, lecz 1700.

„Gdyby feldmarszałek Hindenburg sam wręczyć musiał swą szpadę marszałkowi Fochowi - jak uczynić musiał Napoleon III wobec Wilhelma I pod Sedanem - nie można wątpić, że całe Niemcy zrozumiałyby, iż zostały pobite. Godząc się na pertraktacje z Erzbergerem,

Koalicja sama zapewniła nieoczekiwane bezpieczeństwo sztabowi niemieckiemu i zwała na młodą republikę cały ciężar klęski”.

Wiadomość o podpisaniu zawieszenia broni nadbiegła do Paryża już w godzinę później. Otrzymał ją o godz. 6 prezes ministrów i minister wojny Georges Clemenceau. O szczęśliwym wydarzeniu powiadomił zaraz prezydenta Republiki Raymonda Poincarégo. O godz. 9 rano stanął w Paryżu marszałek Foch i złożył na ręce prezesa ministrów i ministra wojny dokument rozejmowy. Zwycięski wódz udał się następnie do Pałacu Elizejskiego i podzielił się z prezydentem Poincaré wrażeniem z Rethondes. Niemcy - mówił - „nie uznali swej przegranej, a co najgorsze, że w nią nie wierzą”. Foch dał wyraz przekonaniu, że gdyby nie zawieszenie broni, armia niemiecka byłaby w krótkim czasie zmuszona do zupełnej kapitulacji. „Czy nie byłoby to sprawą bardziej pewną?”

Clemenceau chciał początkowo zawiadomić Francję o podpisaniu rozejmu swoją mową w Izbie Deputowanych. Ale rzecz nie dała się ukryć. Około godziny 10 rano ukazały się na ulicach Paryża dodatki nadzwyczajne trzech dzienników „L’Echo de Paris”, „Le Gaulois”, „Le Matin”. O godz. 11, w chwili gdy rozejm wchodził w życie, rozegrały się dzwony kościołów paryskich i zagrzmiały salwy armatnie.

Prezydent Republiki przesłał prezesowi ministrów i ministrowi wojny list z tymi słowami: „W godzinach radości i dumy narodowej myśl moja kieruje się (...) do tych, którzy oddali życie za ojczyznę, do tych, których



rany skazały na kalectwo, do tych, którzy są jeszcze pod bronią i otrzymują teraz nagrodę za nieustrudzone wysiłki i bezprzykładne męstwo”. Pismo prezydenta Republiki, „wyraziciela uprawnionego jednomyślnych uczuć kraju”, przesłał Clemenceau Fochowi i Pétainowi do odczytania żołnierzom.

W Izbie Deputowanych, a następnie w Senacie Clemenceau odczytał bez komentarzy tekst aktu rozejmowego i wygłosił krótkie przemówienie zakończone wyrazami hołdu dla bohaterów poległych i żyjących, którzy sprawili, że „Francja odnajdzie swe miejsce w świecie, i iść będzie ku wiecznemu postępowi, Francja, dawniej żołnierz Boga, dziś żołnierz ludzkości, zawsze żołnierz Ideału”. Rozległy się wówczas głosy: „Zawsze żołnierz Boga i dlatego żołnierz Ideału”.

Według słów Poincarégo „Paryż był rozradowany, rozgorączkowany, rozentuzjasmowany”.

A jak wydał się Paryż cudzoziemcowi?

Konstanty Skirmunt przyjechał właśnie z Rzymu do Paryża i wieczorem poszedł na Bulwary.

„I trafiłem na obraz jedyny w swoim rodzaju: rzecz można, że cała ulica tańczyła, całowano się i ściskano, przelatywały sznury mężczyzn i kobiet, trzymających się za ręce w zawrotnej farandoli. Ulubieńcami publiczności byli Amerykanie, którym przypisywano zasługę doprowadzenia wojny do zwycięskiego końca. W pewnej chwili wzięto mnie za Amerykanina i otoczono kołem wołając: «*Vive le president Wilson*»”.

Warunki rozejmu w Rethondes uznali Niemcy za twarde, za twarde uznał je również Lloyd George, hi-

storia wszakże pokazała, że jeśli uczyniły one dalszą wojnę sprawą mało realną, sprawą mało prawdopodobną, to nie zniszczyły, a nawet nie osłabiły na długo pruskiego militarizmu. Wiemy dziś jak szybko odbudowała się po klęsce armia niemiecka, jak szybko pobite w 1918 r. Niemcy mogły podjąć znowu walkę o hegemonię w Europie, dlatego zadać wypada pytanie, czy Rethondes nie było krokiem przedwczesnym, czy nie było błędem, czy wojska państw Koalicji powinny były walczyć nadal, maszerować w głąb Niemiec i przyjąć w Berlinie akt bezwarunkowej kapitulacji armii niemieckiej.

Historykowi, czytelnikowi dzieł historycznych łatwo dziś postawić takie pytanie czy taki postulat, ale czy wówczas w listopadzie roku 1918 Francuzi i Anglicy mogli zdobyć się na taki wysiłek? Jak decyzję dalszych bojów, niewątpliwie ciężkich, przyjąłby żołnierz oddający się już nadziei bliskiego końca wojny? Zważmy jeszcze, że sztaby wojsk państw Koalicji nie orientowały się w sytuacji Niemiec, nie zdawały sobie sprawy ze stopnia rozkładu armii niemieckiej, ze stopnia rozkładu Rzeszy.

W grę wchodziły ponadto nie mniej doniosłe względy polityczne. Jeśli alianci dotąd prowadzili wojnę na ogół zgodnie, to okazało się teraz, że już w Rethondes w dniu 11 listopada roku 1918 rozeszły się ich drogi, a to dlatego, że rozbieżne były ich cele. Wielka Brytania cele zasadnicze osiągnęła już w dniu zawieszenia broni, odebrała Niemcom flotę i kolonie, Niemcy przestały być dla Wielkiej Brytanii niebezpiecznym

rywalem, rywalem tym stawała się znowu, jak to było przez wieki, Francja. A Francja osiągnęła jedno tylko - oswobodzenie terytorium. Daleko jej było do celu zasadniczego - zapewnienia sobie na czas długi bezpieczeństwa na wschodniej granicy.

Czy w takich warunkach można było kontynuować wojnę?

## 98. Kwestia polska

Kwestia polska czasu pierwszej wojny światowej to proces odzyskiwania i odbudowywania Państwa Polskiego. Jest to sprawa wewnętrzna Narodu Polskiego, jak rozwijała się jego świadomość polityczna i jak państwo swoje odbudowywał. Jest to zarazem problem szerszy, problem międzynarodowy, jaki wpływ na rozwój stosunków międzynarodowych musiała wywrzeć odbudowa Państwa Polskiego, jakie stanowisko względem dokonującej się odbudowy zajmowali zaborcy, jakie stanowisko zajmowały inne państwa.

W Polsce od dawna przewidywano wojnę, tę wojnę, o którą modlił się Mickiewicz, „wojnę powszechną za wolność ludów”; widziano, zwłaszcza po konflikcie lat 1905, 1908/9, 1911, 1912/13, że wojna ta się zbliża, ale rozumiano, że Polska nie leżała u źródeł wielkich konfliktów międzynarodowych, zarazem wszakże widziano, iż wojna toczyć się będzie na ziemiach polskich i niezależnie od wyniku przynieść będzie musiała Polsce inne, nowe warunki życia narodowego.

Pomimo niebywale trudnych warunków, pomimo ucisku narodowego, pomimo wysiłku rusyfikacyjnego

i germanizacyjnego zaborców naród polski nie tylko nie utracił swej świadomości narodowej, ale ją rozwinął i umocnił i pogłębił. Obok świadomości narodowej, obejmującej w stopniu silniejszym czy słabszym cały naród, wyróżniamy świadomość polityczną, która charakteryzowali niezaprzeczalnie tylko część narodu. Świadomość polityczna to przekonanie o niewątpliwym, mającym nastąpić w czasie niedającym się bliżej określić odzyskaniu niepodległości, to zarazem wizja, zwykle mglista i niejasna własnego, przyszłego, odbudowanego państwa polskiego<sup>1</sup>.

„Nie mieliśmy wątpliwości - pisał Roman Dmowski - że Polska prędzej czy później odzyska niepodległość, ale że rozwiązanie kwestii nie odbędzie się w paru aktach, oddzielonych od siebie większą lub mniejszą przestrzenią czasu, że będzie ona rozstrzygnięta w jednym wielkim akcie, że Państwo Polskie powstanie od razu na obszarze bardzo bliskim tego, któryśmy sobie za cel postawili - o tym tylko marzyć było można”.

Podobnie myślał i antagonistą Dmowskiego Aleksander Lednicki. 22 lipca 1917 r. pisał Lednicki do Erazma Piltza: „...Czasami mi się zdaje, że co szereg pokoleń straciło, nie może jedno zdobyć - trzeba coś zostawić do zrobienia dla naszych dzieci i wnuków, czyli że pewien jestem, że naród polski nigdy się nie wyrzeknie ani Śląska, ani Cieszyna, ani Poznańskiego. Czy ten program jest dzisiaj realny? Nie wiem, wyznam otwarcie, ale to jest nasz narodowy program i my od niego nie możemy odstąpić i tylko konieczność zmusi nas odłożyć jego skuteczne realizowanie”.

A więc naród polski w chwili wybuchu wojny miał, jak przez cały okres niewoli, wolę odzyskania niepodległości, wolę odbudowania własnego państwa, miał jego wizję ogólną, nie określoną, miał przekonanie, że dokona się to etapami. Istotnie, dokonało się to etapami, ale na krótkiej przestrzeni czasowej. A wynikało to stąd, że wojna nie trwała krótko, kilka miesięcy, jak to powszechnie sądzono, lecz ciągnęła, się ponad cztery lata i - co jeszcze ważniejsze - przyniosła klęskę wszystkim trzem zaborcom.

Zwróćmy teraz uwagę na owe etapy odbudowania państwa. Rozważania te połączyć wypadnie z uwidocznieniem etapów rozwoju świadomości międzynarodowego znaczenia sprawy polskiej zaborców i mocarstw zachodnich.

Etap pierwszy zaczyna się w sierpniu roku 1914. Rozpoczęła się wojna pomiędzy zaborcami, wojna na ziemiach polskich. Okazało się od razu, że sprawa polska nie utraciła swego znaczenia, że je zachowała, że „się podniosła”, według słów Aleksandra II, z chwilą, gdy nad Wisłą rozległy się pierwsze strzały. Nic w tym dziwnego. Dla Państw Centralnych i dla Rosji niepoślednie znaczenie miało stanowisko społeczeństwa polskiego wobec stron walczących. Dla mocarstw zachodnich stosunek poróżnionych ze sobą zaborców był probierzem ich stosunku do wojny; jeśli państwa rozbirowe brały do ręki atut polski, zmniejszało to poważnie możliwości zawarcia porozumienia niemiecko-rosyjskiego, zawarcia pokoju odrębnego pomiędzy

Niemcami a Rosją, tego zaś mocno się obawiano i w Paryżu, i w Londynie.

Nasuwa się teraz pytanie, czy rządy mocarstw walczących miały choćby jakiś pogląd na kwestię polską, program działania w kwestii polskiej byłby bowiem wymaganiem zbyt wygórowanym. Odpowiedź musi być tylko negatywna.

Dla Niemiec i dla Rosji naczelnym przykazaniem była germanizacja bądź rusyfikacja Polski. Wiele oznak wskazuje, że i w Berlinie, i w Petersburgu zaostrzono, w przewidywaniu bliskiej wojny, kurs germanizacyjny czy rusyfikacyjny i usiłowano proces wynaradawiania przyspieszyć. Wybuch wojny niewiele tu na razie zmienił, nie pojawił się nigdzie konstruktywny program rozwiązania kwestii polskiej, pojawiły się natomiast próby pozyskania opinii publicznej w Polsce dla siebie, a skierowania jej przeciwko nieprzyjacielowi. Taki właśnie sens miały odezwy władz wojskowych trzech zaborców.

Inny zupełnie charakter miało stanowisko mocarstw zachodnich, Francji i Wielkiej Brytanii względem Polski, jeśli w ogóle można mówić o takim stanowisku.

We Francji od upadku II Cesarstwa, od Komuny Paryskiej kwestię polską traktowano *per non est*; sympatie jakie budziła w kołach katolickich i na skrajnej lewicy nie miały szerszego znaczenia. Polska była zawadą na drodze do zbliżenia z Rosją. Lekkie zainteresowanie Polską zdawało się budzić, gdy Francuzi zaczęli dostrzegać, że istnieje nie tylko problem polsko—

rosyjski, że istnieje również problem polsko–niemiecki, gdy Francuzi zrozumieli, że postawa narodu polskiego będzie musiała mieć znaczenie dla Rosji walczącej z Niemcami; płynęły stąd obawy kół wojskowych, aby autonomia Królestwa nie wpłynęła ujemnie na stan obronności granic zachodnich Rosji; przeważały wszakże opinie, iż pojednanie Rosji z Polską wzmocni sprzymierzeńca Francji. Nieśmiałe lekkie aluzje francuskie w Petersburgu w przededniu wojny i sugestie na temat złagodzenia polityki rosyjskiej w Królestwie wywoływała jedynie chęć umocnienia przyszłego terenu wojny rosyjsko–niemieckiej.

A Wielka Brytania? Pisarz angielski W. Alison Philips w opublikowanej w 1915 r. książce o Polsce pisał: „W Rosji, w Niemczech, w Austrii problem polski pozostał sprawą żywą, w świecie mówiącym po angielsku zainteresowanie publiczne sprawą polską umarło, jak się wydaje, całkowicie po upadku powstania 1863 r.” „Czasem tylko - jak pisze S. Askenazy - przypominano sobie o Polakach dla jakiejś przygodnej nieczystej wyreki”. Tak było np. w roku 1878. Niektórzy Anglicy zasłyszeli może o werdykcie nieboszczyka margrabiego Salisbury’ego, że jeśli jakaś siła, która mogłaby państwo polskie cudem przywrócić do życia, to nie ma takiej siły, która by państwo to zdołała cudem przy życiu utrzymać.

A teraz kwestia, w jakiej mierze naród polski był na tym pierwszym etapie do wojny przygotowany?

Zmagały się z sobą dwa kierunki, dwie orientacje: antyrosyjska i antyniemiecka.” W chwili wybuchu

wojny żaden z tych kierunków nie zdobył decydującej przewagi w społeczeństwie; naród polski nie opowiedział się w swej większości jednoznacznie ani przeciwko Rosji, ani przeciwko Niemcom.

W zaborze austriackim górowała orientacja antyrosyjska, w zaborach rosyjskim i niemieckim przeważała raczej orientacja anty niemiecka. Można to ocenić - rzecz prosta - tylko bardzo ostrożnie i bardzo ogólnie; stanowiska np. Królestwa, które nie poparło akcji J. Piłsudskiego, nie można tłumaczyć jedynie wpływami Narodowej Demokracji. Jest wszakże sprawą zrozumiałą, że podział na orientacje czy na obozy wystąpił podczas wojny ostrzej niż to było w czasach pokoju.

A więc naród polski nie był do wojny przygotowany politycznie w tym sensie, że nie zajął wyraźnego stanowiska, że trwał nadal spór, który z zaborców, Niemcy czy Rosja, jest główną przeszkodą w odbudowie państwa. Odzywały się z tego powodu głosy potępiające brak wyrobienia politycznego u Polaków, którzy w wielkiej chwili dziejowej nie wzniesli się ponad waśnie i spory stronnnicze. Oceny to błędne. Wynikły one z braku zrozumienia sytuacji politycznej w Europie. Fakt, że naród polski nie opowiedział się w całości ani po stronie Koalicji, ani po stronie Państw Centralnych okazał się zjawiskiem dodatnim - jak zobaczymy - gdyż na arenie międzynarodowej podniósł wagę kwestii polskiej.

Działania polskie w pierwszym etapie wojny: w dziedzinie militarnej to Legiony walczące przeciwko Rosji, to tzw. Legion Puławski werbowany pod hasłem



walki z Niemcami. Symboliczne tylko znaczenie miało kilkuset ochotników polskich (bajończycy i reuilczycy), którzy bili się u boku armii francuskiej do wiosny 1915 r. Realne natomiast znaczenie miała armia polska tworzona we Francji w latach 1917–1918. Trzon jej stanowili Polacy - ochotnicy z Ameryki, głównie ze Stanów Zjednoczonych. Politycznie podlegała Komitetowi Narodowemu Polskiemu, wodzem jej był generał Józef Haller.

Jakie znaczenie miał polski czyn zbrojny podczas wojny lat 1914–1918? Znaczenie militarne było nikłe. Wojsko polskie ani w bojach przeciwko Rosji, ani w bojach przeciwko Niemcom nie mogło wpłynąć na wynik wojny. Znaczenie polityczne było natomiast doniosłe. Armia polska we Francji, zwana armią błękitną lub armią Hallera, to jeden z głównych powodów, dla którego Polska była reprezentowana na paryskiej konferencji pokojowej.

Żołnierz polski walczący dzielnie na wielu frontach dawał narodowi po latach klęsk i niewoli poczucie własnej wartości. Pamiętać przy tym należy, że państwo polskie już w chwili swego powstawania rozporządzało kadrami doskonałego wojska.

W dziedzinie politycznej jest to krakowski Naczelny Komitet Narodowy (NKN), usiłujący związać sprawę polską z Austrią i pracy do rozwiązania austro-polskiego. Jego celem było Królestwo może trochę poszerzone, może trochę uszczuplone, połączone z Galicją pod berłem cesarza Franciszka Józefa. To następnie obóz orientacji antyniemieckiej; najwybitniejszym,

głównym jego wyrazicielem był Roman Dmowski. Najważnym celem polityki Dmowskiego w owym czasie było pracować w miarę polskich możliwości, aby przeszkodzić zawarciu pokoju odrębnego pomiędzy Niemcami a Rosją. Zjednoczenie większej części ziem polskich z samorządem czy autonomią pod dominacją rosyjską poczytywali działacze tego obozu za pierwszy etap na drodze, może jeszcze dalekiej, do odzyskania niepodległości.

Etap drugi zaczyna się latem 1915 r. Wojska Państw Centralnych doszły na ziemiach polskich mniej więcej do linii drugiego rozbioru; przyspieszyło to rozwój kwestii polskiej jako problemu międzynarodowego. Zaborcy i ich sprzymierzeńcy starali się wciąż pomniejszać znaczenie Polski, ale była to sprawa coraz trudniejsza. Walczył przecież żołnierz polski, w stolicy zaczął działać odnowiony Uniwersytet Polski, zaczęto stawiać w skromnych na razie, mało widocznych rozmiarach, ale skutecznie zręby państwowości polskiej.

Kwestię polską znacznie naprzód ruszyli Niemcy. W październiku 1916 r. doszli do przekonania, że pokoju odrębnego z Rosją nie uda im się zawrzeć, a jednocześnie coraz dotkliwiej odczuwali brak rezerw, brak materiału ludzkiego. Nie było więc już przeszkód, a były wskazania, aby podjąć kwestię polską. Taka była geneza aktu 5 listopada. Manifest cesarza Austrii i Niemiec z 5 listopada 1916 r. głosił, że z ziem „wydartych (...) panowaniu rosyjskiemu” obaj monarchowie postanowili „utworzyć państwo samodzielne z monarchią dziedziczną i ustrojem konstytucyjnym”.

Akt 5 listopada walnie przyczynił się do umiędzynarodowienia kwestii polskiej i nadania jej wagi. Dodatkowo znaczenie aktu dwucesarского wyraźnie stwierdził Dmowski w słowach: „Akt 5 listopada oddał nam duże usługi w stosunku do państw zachodnich. Więcej niż cokolwiek przyczynił się on do pouczenia polityków europejskich o międzynarodowym znaczeniu sprawy polskiej. Był też silnym bodźcem dla nich do zajęcia się nią w sposób poważniejszy. Wzmocnił on bardzo nasze stanowisko na Zachodzie: przekonano się, że mieliśmy słuszość, gdyśmy ostrzegali państwa zachodnie, i rozumiano, że zachowanie się Polski względem Niemiec zależy w znacznej mierze od naszej postawy, od naszych wskazówek danyh krajowi. Po raz pierwszy poczuliśmy, że w państwach zachodnich jesteśmy nie tylko informatorami, ale przedstawicielami jakiejś siły, z którą się liczą. Wiedziano, że nie możemy nic dać Sprzymierzonym od Polski, ale patrzono na nas jako na tych, którzy mogą powstrzymać Polskę od dania żołnierza Niemcom”.

Przez kilkanaście dni listopadowych sprawa polska nie schodziła ze szpalt dzienników w państwach Koalicji, zwłaszcza we Francji. Od dawna, chyba od roku 1863, nie poświęciła prasa francuska tyle uwagi Polsce. Silna była obawa, że Polacy podążą masowo do szeregów i uformuje się milionowa blisko armia polska, że armia ta podzieli z Niemcami ciężar walki przeciwko Rosji, a wówczas Niemcy będą mogli przerzucić potężne siły na front zachodni.

Dmowski protestował przeciwko aktowi 5 listopada, to było zgodne z założeniami jego polityki, a jednocześnie ciągnął z niego niemałe zyski.

Tu kończy się etap drugi odzyskania niepodległości. Było już sprawą oczywistą dla każdego, że sprawa polska to doniosłej wagi problem międzynarodowy.

Rewolucja rosyjska zaczęła etap trzeci. Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich w Piotrogradzie orędyem z 27 marca 1917 r. oznajmiła narodowi polskiemu o „zwycięstwie wolności nad żandarmem wszechrosyjskim” i oświadczyła, iż „demokracja rosyjska stoi na stanowisku (...) że Polska ma prawo być zupełnie niepodległa pod względem państwowym i międzynarodowym”. Znacznie bardziej powściągliwa była opublikowana cztery dni później, 31 marca 1917 r. proklamacja Rządu Tymczasowego; zapowiadała utworzenie państwa polskiego, „połączonego z Rosją wolnym sojuszem wojskowym”. O granicach państwa polskiego odbudowanego decydować miała konstytuanta rosyjska.

A co o odezwie Rządu Tymczasowego myślał Lenin? „Rząd nasz - są słowa Lenina - wydał manifest o niepodległości Polski i naszpikował go nic nie mówiącymi frazesami. Napisano, że Polska powinna znajdować się w wolnym sojuszu wojskowym z Rosją. Właśnie w tych trzech słowach zawarta jest prawda. Wolny sojusz wojskowy maleńkiej Polski z ogromną Rosją jest w rzeczywistości całkowitym militarnym ujarzmieniem Polski”. W odezwie CKR PPS–Lewicy

z kwietnia 1917 r. czytamy: „Carat jest obalony, ale imperializm trwa dalej” (podkreślenie w oryginale).

W roku 1917 ciężar działań wojennych przesunął się całkowicie na front zachodni. Tzw. ofensywa Kiereńskiego miała znikome znaczenie w toczącej się wojnie. 15 grudnia 1917 r. pomiędzy Państwami Centralnymi i Rosją stanął rozejm.

Jak nowe warunki wpłynęły na rozwój sprawy polskiej? Niemcy dążyli do pozyskania rekruta polskiego dla utworzenia siły, której mogliby użyć na froncie wschodnim. Wydarzenia roku 1917 tę potrzebę ograniczyły do minimum. Okazało się zresztą, że naród polski nie da Niemcom żołnierza. Widać było zarazem jasno, że plany niemieckie ekspansji wschodniej nie dadzą się urzeczywistnić bez posiadania Polski. Niemcy nie zastanawiali się teraz, jak zdobyć polskiego rekruta, lecz jak urządzić Polskę - drogę do Rosji - tak, aby zapewnić sobie maksimum korzyści przy minimum nakładów.

Okazało się teraz, jak pomyślny był dla sprawy polskiej podział na orientacje.

Kraj zajął się budowaniem zrębów państwowości polskiej; od 1 września 1917 r. w rękach polskich w Królestwie było szkolnictwo wszystkich szczebli i sądownictwo, organizowano siły zbrojne i siły porządkowe, organizowano administrację. Gdy w listopadzie 1918 r. skończyła się okupacja na terenie Królestwa i Galicji Zachodniej, rząd polski mógł natychmiast ująć władzę w swoje ręce.

Jednocześnie działacze polscy na Zachodzie wiąza-  
li kwestię polską ze sprawą Koalicji. Doniosły etap  
otworzyła tu jesień 1917 r. Kwestia polska samym  
swym ciężarem gatunkowym narzucała się, zwłaszcza  
od listopada 1916 r., mocarstwom Koalicji, ale mocar-  
stwa te wzdragały się ją podnieść, wciąż lękały się ura-  
zić Rosję. Ale w przededniu rewolucji październikowej  
autorytet i znaczenie Rządu Tymczasowego spadły już  
tak nisko, tak dalece, że państwa Koalicji” uznały za-  
wiązany w dniu 15 sierpnia 1917 r. Komitet Narodowy  
za „oficjalną organizację polską” - (Francja - 20 wrze-  
śnia, Wielka Brytania - 15 października, Włochy - 30  
października, Stany Zjednoczone - 10 listopada 1917  
r.)! Komitet uzyskał więc swobodę działania w pań-  
stwach zachodnich na rzecz swego programu i istotnie  
związał kwestię polską ze sprawą Koalicji, ze sprawą  
tego obozu, który osiągnął zwycięstwo.

W chwili, gdy ustały działania wojenne miała już  
Polska ukształtowane podstawy aparatu państwowego  
i znajdowała się w obozie zwycięzców i w przeciwień-  
stwie do państw pokonanych (Niemcy, Austria, Węgry,  
Bułgaria, Turcja) uzyskała reprezentację na konferencji  
pokojowej.

Rozwój kwestii polskiej podczas pierwszej wojny  
światowej to zamknięcie, a zarazem jak gdyby skrót  
okresu rozbiorowego. Wystąpiły tu wszystkie niemal  
czynniki, które wpływały na ewolucję sprawy polskiej  
w wieku XIX. Widzimy więc i wysiłek powstańczy,  
i rewolucyjny, i próby porozumienia z zaborcami, i ra-  
chuby związane z Zachodem.

## 99. Zamknięcie

Wojna europejska? Wojna lat 1914–1918? Wielka wojna? Pierwsza wojna światowa? Cztery nazwy dla oznaczenia tego samego doniosłego zjawiska dziejowego; każda zwraca uwagę na inny charakter wojny, każda podkreśla inną jej cechę, każda uwydatnia inne jej oblicze. Która nazwa jest właściwa?

W Polsce w okresie międzywojennym mówiono najpierw o wojnie europejskiej, później o wojnie światowej lub o wielkiej wojnie; tak w roku 1937 zatytułował dwutomową historię lat 1914–1918 Jan Dąbrowski. We Francji mówiło się najczęściej *La Grande Guerre* - Wielka Wojna, w Anglii o wielkiej wojnie lub o wojnie światowej; ta ostatnia nazwa przeważała też w Niemczech. Po roku 1939 prawie wszyscy już wojnę lat 1914–1918 nazywają pierwszą wojną światową, tylko we Francji góruje nadal *La Grande Guerre* w odróżnieniu od *drôle de guerre* (śmiesznej wojny), którą dla wielu Francuzów jest ich wojna w 1940 r.

A więc europejska czy światowa? We właściwym znaczeniu tego wyrazu nie była to wojna światowa, rozstrzygnęła się bowiem całkowicie na polach bitew w Europie. Działania wojenne na Bliskim Wschodzie i w Afryce miały charakter peryferyjny i na losy wojny nie wywarły wpływu istotnego. Znamiona światowe ma wojna lat 1914–1918 dzięki temu, że od początku wzięły w niej udział dominia i posiadłości zamorskie Wielkiej Brytanii, w kwietniu zaś 1917 r. przystąpiły do wojny Stany Zjednoczone. Poważne znaczenie odgry-

wał też fakt, że Wielka Brytania i Francja panowały na morzach i oceanach świata i dosłownie z całego świata mogły czerpać środki do walki. Można więc powiedzieć, że wojna lat 1914–1918 zaczęła się jako wojna europejska, a w dalszym biegu stawała się wojną światową. Różniła się pod tym względem od wojen dawniejszych, wojen europejskich, kontynentalnych. Wojna siedmioletnia (1756–1763) w Europie i jednoczesna wojna francusko–brytyjska w Ameryce Północnej i w Indiach (1755–1763) to dwie różne wojny. Wojny napoleońskie objęły cały niemal kontynent, ale nie wyszły poza Europę. Egipska wyprawa generała Bonaparte'go nie miała tu znaczenia.

Za światowym charakterem wojny lat 1914–1918 przemawiają stawiane wówczas cele wojenne. W XVI i XVII w. Habsburgowie walczyli z Francją o hegemonię w Europie. O dominację w Europie toczył boje Napoleon I.

Niemcy natomiast wystąpili do walki o współudział w hegemonii nad światem. Pierwsze urzędowe enuncjacje na ten temat zawiera mowa kanclerza Capriewego w parlamencie Rzeszy w dniu 10 grudnia 1891 r., że Niemcy muszą być mocarstwem nie tylko europejskim, ale i światowym. Szerzyła w społeczeństwie niemieckim te myśli obfita literatura propagandowa. Cele wojenne Niemiec określone w memoriale kanclerza Bethmanna z 9 września 1914 r. to utworzenie pod kierownictwem niemieckim Środkowoeuropejskiego Związku Gospodarczego, to założenie zwartego imperium kolonialnego w Afryce Środkowej.



Wojna lat 1914–1918 miała już pewne cechy wojny totalnej. Celem wojny totalnej jest zupełne zniszczenie przeciwnika, a przeciwnikiem w wojnie totalnej jest nie tylko żołnierz walczący z bronią w rękę, przeciwnikiem jest każdy cywilny obywatel państwa nieprzyjacielskiego. Wojną totalną była wojna secesyjna w Ameryce (1861–1865), wojną totalną była wojna Anglików z Burami (1899–1902). W bojach lat 1914–1918 widzimy już obrazy wojny totalnej; zdarzyło się to przede wszystkim w Belgii, gdzie brutalnie, nie licząc się z prawem międzynarodowym, tłumiono ruch oporu, skąd wbrew prawu deportowano robotników do pracy w Rzeszy. A więc zaczątki wojny totalnej. Dalsze jej elementy to blokada Niemiec przez Anglię i prowadzona przez Niemcy nieograniczona wojna łodziami podwodnymi w celu odcięcia Anglii od świata i od wszelkich dostaw.

Wojna lat 1914–1918 była to wojna imperialistyczna, ale nadawano jej charakter wojny ideologicznej. W latach 1914–1917 wyglądało to sztucznie lub - jeśli kto woli - fałszywie. Mocarstwa walczące były to państwa imperialistyczne, była wszakże różnica zasadnicza pomiędzy burżuazyjnymi demokracjami parlamentarnymi, jak Francja i Wielka Brytania, a autorytarnym cesarstwem niemieckim, ale sprzymierzeńcem demokracji zachodnich był car, to zaś nie pozwoliło na twierdzenie, że walka toczy się pomiędzy postępem a zacofaniem, pomiędzy liberalizmem a absolutyzmem. Sytuacja zmieniła się w marcu 1917 r., gdy carat runął wreszcie w przepaść, gdy w kwietniu wystąpiły prze-

ciwko Państwom Centralnym Stany Zjednoczone. Demokracje burżuazyjne, pozbawione teraz carskich obciążeń, walczyły przeciwko oligarchiom militarystycznym i coraz wyraźniej głosiły potrzebę zmiany ustroju politycznego Niemiec Hohenzollernów. Jednocześnie na wschodzie Europy rodził się świat nowy, powstawała Wielka Niewiadoma.

Wojna przyniosła zwycięstwo demokracji burżuazyjnych, przyniosła klęskę trzech monarchii konserwatywnych. Wielu fakt ten poczytało za dowód wyższości ustroju parlamentarnego, liberalno–demokratycznego. Państwa powstałe po wojnie, jak Polska, jak Czechosłowacja, budując swą odrodzoną państwowość budowały ją na modłę francuską w przekonaniu, że jest to wzór najdoskonalszy.

A teraz kto wygrał wojnę? Pytanie wydać się może dziwne, nielogiczne, gdyż wojna zawsze, jeśli się nie kończy kompromisem, przynieść musi wygraną jednej, przegraną drugiej stronie. I wydaje się, że tak było i w roku 1918. Rok 1918 przyniósł przecież niezaprzeczoną klęskę militarną Niemiec. W ładnych, pełnych uroku miejscowościach w okolicach Paryża, w Wersalu, w Saint–Germain–en–Laye, w Neuilly–sur–Seine, Trianon, w Sèvres zwycięskie państwa Koalicji podyktowały pokonanym przeciwnikom twarde warunki pokoju. A jednak bieg wydarzeń pokazał, że taka ocena byłaby błędna, byłaby mylna. Sytuacja była bardziej powikłana, warto dlatego postawić pytanie, czy zwycięstwo militarne w wojnie oznaczało tym samym wygranie wojny? Czy zamiast mówić o wygraniu wojny

nie należy raczej zastanowić się, kto i co wygrał, kto i co przegrał, gdy po wojnie kształtował się nowy podział Europy i świata.

Zacznijmy - bo to sprawa prostsza - od odpowiedzi na pytanie, kto wojnę przegrał.

Przegrały wojnę Niemcy; armia niemiecka, duma narodu, poniosła porażkę, ale dziwna była to porażka, niebywała. Wszak pokonana armia niemiecka jeszcze przez kilka tygodni, a na wschodzie nawet kilka miesięcy ciążyła na obcych zajętych terytoriach. Sytuacja niebywała! Taka sytuacja nie zdarzyła się dotąd nigdy w dziejach. Musiało to wywrzeć wpływ niemały na wyobrażenia narodu niemieckiego o charakterze przegranej. Zwycięska Koalicja narzuciła w Wersalu pokonanym Niemcom twarde warunki pokoju, narzuciła „dyktat wersalski”. Utrata terytoriów zagarniętych dawnymi laty na wschodzie i na zachodzie, wysokie odszkodowania (co prawda nigdy ich nie spłacono), ciężkie klauzule, mające uniemożliwić odrodzenie militarizmu pruskiego, odbudowanie armii niemieckiej. Lecz cóż, w dwadzieścia zaledwie lat od podpisania traktatu wersalskiego były już Niemcy straszliwą potęgą, która niebezpieczeństwem śmiertelnym zagroziła Europie, zagroziła światu.

Przegrała wojnę starożytna monarchia Habsburgów, gdyż została rozbita wbrew przedwojennym przewidywaniom Masaryka i Beneša. Przegrały wojnę Węgry, gdyż bezpowrotnie zniszczone zostało i rozbite tysiącletnie królestwo Korony św. Stefana. Klęskę poniosła Bułgaria, gdyż rozwiały się sny o Wielkiej Buł-

garii, największym i najpotężniejszym państwie Bałkanów.

Dwa mocarstwa Europy Zachodniej osiągnęły, wydawało się, zwycięstwo.

Francja miała dwa główne cele wojenne: odzyskać Alzację i Lotaryngię i usunąć niebezpieczeństwo zagrażające jej zza Renu. Alzację i Lotaryngię odzyskała, ale zniweczenie militarizmu pruskiego, zniszczenie armii niemieckiej tak, aby nie mogła już więcej Francji zagrozić, okazało się złudzeniem. Francja olbrzymim, bohaterskim wysiłkiem wygrała wojnę militarnie, przegrała ją politycznie. Wygrała wojnę militarnie, ale było to zjawisko bezprzykładne. Przez cztery z górą lata dźwigała Francja brzemień wojny, bardziej nim obarczona, bardziej nim przygnieciona niż inne mocarstwa Koalicji, wreszcie odniosła zwycięstwo, ale gdy wróg poprosił o rozejm, gdy rozejm zawarto, armie pokonanego najeźdźcy okupowały jeszcze rozległe połacie kraju. Z wojny wyszła Francja tak dalece osłabiona biologicznie, a przede wszystkim psychicznie, że dalej nie mogła już odgrywać ani w świecie, ani nawet w Europie tej roli, jaką odgrywała przez wieki.

Ludziom, którzy przeżyli wojnę wydawało się, że są świadkami wspaniałego zwycięstwa, walnego, świetnego triumfu Wielkiej Brytanii. Przestała istnieć niemiecka flota wojenna, Niemcy przestały być na rynkach Europy i świata niebezpiecznym rywalem Anglii. A zarazem Wielka Brytania nie dopuściła do zbytowego osłabienia Niemiec, nie dopuściła do zbytowego wzmocnienia Francji, rozszerzyła swój kolonialny stan

posiadania, powiększyła swe imperium. W Lidze Narodów pozyskała dogodnie narzędzie hegemonii politycznej. Lecz zwycięstwo brytyjskie było jedynie zwycięstwem pirrusowym. Właśnie od czasów pierwszej wojny światowej obserwujemy coraz bardziej widoczny, coraz szybciej postępujący rozkład imperium brytyjskiego.

A Rosja? Wojna dała Rosji obalenie caratu, dała Rosji rewolucję, a wyrażając się ściślej, poprawniej przyspieszyła obalenie caratu, przyspieszyła wybuch rewolucji. Obalenie caratu, rewolucja to wiele! To bardzo wiele!

Wygrała wojnę, a raczej zyskała na wojnie Polska, gdyż Polacy zdołali odbudować Państwo Polskie. Zyskali Czesi, mogli bowiem utworzyć swoje państwo czechosłowackie. Wygrała Jugosławia. Wygrała Rumunia.

W tych czterech wypadkach było to tylko wyzyskanie sprzyjającej, pomyślanej koniunktury wojennej.

Wojna lat 1914–1918 zadała cios dotychczasowemu stanowisku Europy w świecie. Była Europa ośrodkiem dyspozycyjnym polityki i gospodarki świata, była ogniskiem kultury i nauki promieniującym na świat cały. Nadszedł kres tego w chwili, gdy wydawało się, że Europa osiągnęła apogeum.

I wtedy właśnie Europa wojnę przegrała. Był ważny czynnik przegranej - obalenie autorytetów. Proces ten zaczął się w roku 1789, potoczył się dalej w roku 1848, a dokonał się ostatecznie w latach pierwszej wojny światowej. Upadł wówczas autorytet monarchii,

upadł autorytet monarchy–człowieka, upadł autorytet górnych warstw społeczeństwa, ale - co najważniejsze - upadł w świecie autorytet białego człowieka. Biały człowiek cieszył się dotąd w całym świecie autorytetem niepodważalnym, nienaruszalnym, intelektualnym i fizycznym. Pojawiały się na tym autorytecie niekiedy plamy, ale nie znajdowało to silniejszego oddźwięku. W częstych bojach pomiędzy białymi i kolorowymi zwyciężali biali. Z rzadki tylko los przynosił białym klęskę. Porażki doznali Włosi z rąk Etiopczyków, Rosjanom zadali klęskę Japończycy. Anglików bijali Zulusi, Holendrów Aczyńcy. Ale wszystko to były boje toczone przez kolorowego człowieka na jego własnej ziemi w obronie przed białym najeźdźcą zwykle zwycięskim. Teraz, w latach pierwszej wojny światowej było zupełnie inaczej. Białemu człowiekowi potrzebna była pomoc kolorowego, sprowadził go więc do Europy i kazał mu zmagać się, walczyć z innym białym. I kolorowy człowiek walczył, i walczył dzielnie. Wracął z Europy na Czarny Ląd, wracał do Azji jako zwycięzca białego człowieka.

Były i inne oznaki zejścia Europy z pierwszego miejsca w świecie.

Stany Zjednoczone z końcem XIX w. zdobyły pozycję mocarstwową; państwa europejskie musiały coraz poważniej brać pod uwagę ich dążenia i ich interesy. Ale interesy te obejmowały kontynent amerykański, Ocean Spokojny i Daleki Wschód, dążenia nie sięgały ku Europie. Stany Zjednoczone wciąż były dłużnikiem Europy. Wojna zmieniła ten stan rzeczy. „Republika

imperialna”, według określenia Raymonda Arona, usiłowała wydzwignąć się na stanowisko pierwszego mocarstwa świata i zabierać głos w sprawach całego świata.

Od początku wieku XX potęgą, której głos w sprawach Azji Wschodniej i Oceanu Spokojnego nie mógł być lekceważony, była Japonia. Groźnym memento była dla Europy rewolucja w Chinach. Ruchy wolnościowe w Indiach, w Persji, Turcji, w krajach arabskich rozwijały się coraz silniej i stanowiły coraz większe niebezpieczeństwo dla hegemonii europejskiej. Wszystkie te procesy, wszystkie te zjawiska pierwsza wojna światowa zaogniła i zaostrzyła, a ich działanie przyspieszyła.

Dobiegła kresu *la belle époque* - epoka liberalizmu, parlamentaryzmu, demokratyzacji, względnej stabilizacji warunków życia znacznej części Europy. Rozpoczął się okres następny, trudny i groźny, wojen okrutnych, dyktatur, totalizmu, obozów koncentracyjnych, brutalizacji polityki, brutalizacji życia.

Cezura historyczna, chwila rozgraniczająca, przełomowa w dziejach ludzkości, bywa najczęściej umowna, a nigdy nie można jej zacieśnić do jednego dnia, czy nawet jednego roku; proces dziejowy jest złożony, zjawiska, które znamionują i zapowiadają nową erę, pojawiają się w pełni okresu poprzedniego, jego pozostałości zaś, jego relikty istnieją, trwają w epoce nowej.

Pierwsza wojna światowa zapoczątkowała czy też przyspieszyła tak głębokie przemiany w rozwoju ludzkości, że z wszelką pewnością uznać ją możemy za do-

niosły moment przełomowy, a wyrażając się ściślej, za wstęp do okresu przełomowego. Okres ten przełomowy rozpoczyna sierpień roku 1914, październik roku 1917, a kończy? Kończą ją chyba dopiero brzemienne w doniosłe przemiany, w doniosłe wydarzenia lata po drugiej wojnie światowej.